

„POLA ZIELONE,
WCIAŻ WIDZĘ JE...”

Halina Niziołek

**„POLA ZIELONE,
WCIAŻ WIDZĘ JE...”**

Dębica 2017

© by Halina Niozolek, Dębica 2017

Recenzent

ks. dr hab. Kazimierz Talarek

Korekta

mgr polon. Dorota Stępień

Skład techniczny i projekt okładki

Łukasz Sady

Patronat

Leszek Klabacha

Dyrektor I Liceum Ogólnokształcącego

im. Kr. Władysława Jagiełły

w Dębicy

Druk

Drukarnia Autograf



ul. Gajowa 15, 39-300 Mielec

tel. 17 788 61 04

kom. 793 122 300

e-mail: autografdruk@gmail.com

<http://drukarnia-autograf.biz.pl>

Spis treści

Wstęp	7
Listopad	13
Grudzień	47
Styczeń	77
Luty	123
Marzec	159
Kwiecień	191
Maj	223
Czerwiec	271
Lipiec	339
Sierpień	395
Wrzesień	481
Październik	563
I znów listopad... ..	605
Przypisy	629
Wybrana bibliografia	661
Podziękowania	663
Spis fotografii	665
Fotografie	671

Wstęp

„Snucie opowieści jest stare jak świat. To pradawne i potężne narzędzie, za pomocą którego my, ludzie od zawsze się porozumiewamy. Przez całe życie opowiadamy różne historie oraz ich słuchamy, a robiąc to, budujemy mosty. Nasze niesione oddechem historie trafiają do serc i umysłów innych. Opowieści objaśniają świat wokół nas, naturę, gwiazdy, ruch morza, życie jako takie. Zgłębiają przeszłość, odnoszą się do teraźniejszości, wyobrażają przyszłość. Przeniosły przez dzieje nasze historie, kultury, tradycje, duchowość i moralność. Opowieści także bawią i umilają czas, inspirują i prowokują. Poprzez nie oglądamy świat, w jakim żyjemy, istoty, jakimi jesteśmy, istoty, jakimi być możemy, i rozumiemy, że jesteśmy ludzcy”¹.

Ta opowieść zrodziła się z potrzeby serca i sentymentalnych związków z najmniejszą ojczyzną, jaką jest moja rodzinna wioska Bobrowa. I choć miejscowości tej nie znajdziemy na kartach wielkiej historii, to przecież od początku swego istnienia była świadkiem wielu ważnych wydarzeń, zrodziła też wielu ludzi – wielkich i zwyczajnych, poświęcających się dla całej społeczności czy dla swych bliskich; a każdy z nich wart jest serdecznej uwagi i pamięci.

Celem tej opowieści jest ukazanie dzieciństwa moich rówieśników: pokolenia – „rocznik 45” – urodzonych na granicy wojny i pokoju – na tle dawnej i współczesnej historii Bobrowej i okolic, przybliżenie twórczości Tadeusza Mikołajka – pisarza związanego z naszym regionem oraz opis życia, obyczajowości, kultury materialnej i duchowej mieszkańców wsi, „by czas nie zaćmił i niepamięć”.

Opisując ten mikroświatek trzeba było przyjąć miarę Miłosza, który uczył:
„Kto chce malować świat w barwnej postaci,
Niechaj nie patrzy nigdy prosto w słońce.
Bo pamięć rzeczy, które widział, straci.
Łzy tylko w oczach zostaną piękące.
Niechaj przykłąknie, twarz ku trawie schyli
I patrzy w promień od ziemi odbity,
Tam znajdzie wszystko, cośmy porzucili:
Gwiazdy i róże, i zmierzchy, i świty”².

Łapię więc ten „promień od ziemi odbity”, by przywołać rzeczywistość już nieistniejącą; tużpowojenne lata, tamto życie, tamtych ludzi. A przez taki właśnie powrót do przeszłości, która przecież drzemie w sercach każdego z nas i towarzyszy nam do końca naszych dni, próbuję odtworzyć zakłętą we wspomnieniach czas, pamiętając, że nasz dziecięcy świat – jak to pięknie napisała Wisława Szymborska: „był tak mały, że mieścił się w uścisku dwu rąk, tak łatwy, że dawał się opisać uśmiechem, tak zwykły, jak w modlitwie echo starych prawd”³.

Moje pokolenie było świadkiem rodzenia się, trwania i upadku ustroju socjalistycznego w Polsce. Dziś – już szacowne panie i dostojni panowie – patrzyliśmy na rzeczywistość powojenną oczami dzieci; ciekawi życia, pełni nadziei na przyszłość, choć niezbyt dużo rozumiejący z tego, co działo się wokół nas. Chociaż minęło już 70 lat, ale serdeczna pamięć wciąż ożywia tamten niezwykły czas.

Wspomnienia te niech będą hołdem dla ludzi i ocaleniem w pamięci miejsc zapamiętanych z wioski mojego dzieciństwa, wzbogaceniem materiałów o Bobrowej, których jest tak mało w literaturze regionalnej, a przecież to miejsce godne jest uwiecznienia. Dedykuję ją również tym, dla których tematyka dotycząca „małych ojczyzn” jest bliska i warta poznania.

Leopold Harla – pochodzący właśnie z Bobrowej działacz społeczny i polityczny, autor wielu artykułów o naszym regionie pisał:

„Bobrowa nie wyróżnia się niczym szczególnym. Ot, przeciętna wieś. A może właśnie dlatego warto jej poświęcić trochę uwagi” [...]. Znajdziemy tu bowiem dużo zjawisk typowych, charakterystycznych dla większości wsi w Dębickiem”⁴.

Jednym z ważnych powodów powstania tej opowieści jest też chęć spopularyzowania twórczości Tadeusza Mikołajka, tak blisko związanego z Bobrową. Może to niezbyt głośny pisarz, bo jego przeszłość akowska wyeliminowała jego utwory z księgarni i bibliotek czasów PRL-u. Ale o talencie Mikołajka świadczyć może choćby to, że jego powieści i opowiadania wydrukowało tak szacowne wydawnictwo, jakim jest „Ossolineum”, a także to, że „jego utwory drukowane były we wszystkich niemal znanych w kraju perio-

dykach i tłumaczone na języki: angielski i angielsko-amerykański, francuski, rosyjski, szwedzki, litewski, nawet tatarski”⁵.

Znany dębicki historyk, badacz literatury naszego regionu, autor świetnego dzieła „Od Raby do Wisłoki – szlakami pióra” doktor Marian Morawczyński podkreśla, że twórczość Mikołajka jest gęsta w treści i zwarta w formie, oszczędna, ciekawa, ważna i że utwory tego pisarza – jak podkreślał to też pisarz Wilhelm Mach – czyta się: „jednym tchem”⁶. Morawczyński nazywa nawet jednego z Mikołajkowych bohaterów – Cykańca „góralsko-dębic-kim Kmicicem”⁷.

Również autorzy pracy „Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów”: Antoni Stańko i bobrowianin Eugeniusz Skowron piszą o Mikołajku: „Jego książki, w których są zawarte przeżycia z lat wojny i okupacji, tchną tymi okolicami, m.in. Bobrowa”⁸.

Uważna lektura utworów tego pisarza prawie nie budzi wątpliwości, że autor czerpał obficie z własnych doświadczeń i przeżyć; szczególnie z okresu pobytu w Bobrowej. Urodzony w Dębicy, przyjeżdżał do wioski swojego dzieciństwa do dziadków; jako dorastający chłopak tu rozpoczął działalność konspiracyjną, wstępując do bobrowskiej drużyny AK. Walczył jako starszy strzelec o ps. „Sokół”, następnie został mianowany na stopień podporucznika.

Dzięki temu pisarzowi Bobrowa – niby niczym się nie wyróżniająca – trafiła na karty literatury. I to jest wielki powód do dumy! Warto zebrać i opracować materiały dotyczące bobrowskiego epizodu w życiu pisarza, zanim czas zatrze ostatnie ślady. Przecież jego mama – Bronisława Osaków-na z domu – urodziła się i mieszkała tuż obok „ludowca”, który pojawia się w wielu utworach autora „Żarówki”, tu w Bobrowej Mikołajek spędził swe najszcześniejsze lata dzieciństwa. Tu zaczynał swą działalność podziemną, tu wielokrotnie powracał, by powspominać, spotkać się z krewnymi i ze swymi dawnymi kolegami, pochodzić po znajomych polach i ścieżkach, zaglądnąć do Olszyn czy iść na grób matki pochowanej na cmentarzu w Nagoszynie.

I choć jego utwory to literatura piękna, w której występują fikcyjni bohaterowie i miejsca, to jednak z łatwością odnajdziemy tam znajome pejzaże Bobrowej i okolic, charakterystyczne postacie czy sytuacje, a także powiedzonka typowe dla bobrowskiej gwary. Szczegóły usytuowania i krajobrazu wioski swojego dzieciństwa zawiera opisywana przez Mikołajka wioska Topolówka; prawdopodobnie Nagoszyn pojawia się w utworach pisarza jako Sławno lub Kędzierzyn, Korzeniów jako Kunów, Radomyśl – Wielkomyśl, a Mielec – Jelec.

Pełna urokliwych zakrętów i mielizn rzeczka, płynąca leniwie i sennie, za-rośla olszyn, pola w rędzinach ciągnące się aż do Wisłoki – nazwanej przez Mikołajka „Dużą Rzeką”, za którymi na horyzoncie widoczne były pierwsze wzgórza Podkarpacia, charakterystyczna zabudowa wzdłuż błotnistej drogi, po której łążyły gęsi, a także wszechobecne wierzby, topole, brzozy i wikliny,

stawki zarośnięte tatarakiem, bocianie gniazda, typowe domostwa, prace gospodarskie i polowe, grająca przez lata ta sama wiejska orkiestra, twardzi, dumni, pracowici, oddani rodzinom i ziemi mieszkańcy biorący udział w kolejnych wojnach i tak tragicznie doświadczeni, młodzież rwąca się do walki; ambitna i odważna – to wszystko autor zapamiętał i wykorzystał w swych utworach. Wielokrotnie powtarzał, że wspomnienia z pobytu w Bobrowej pozostały głęboko w jego sercu [„cały ten pejzaż mocno wrośnięty we mnie”]⁹.

Dlatego elementy tego pejzażu, epizody z życia bohaterów, ich zachowania, mentalność, świat przyrody, opisy zabudowań wiejskich, wnętrz, a także różnych wydarzeń przedstawionych w twórczości Mikołajka można w wielu przypadkach traktować jako bagaż wspomnień pisarza z pobytu w Bobrowej.

Wiele postaci z jego utworów „to symultanicznie przedstawione „ja” autora, faktów, wydarzeń z życia podziemia jemu znanych, przeżywanych. Pewno trafne będą te odczytania, które utożsamiają niektórych bohaterów z autorem”¹⁰.

O bohaterze „Zamykania koła” Mikołajek pisze jak o sobie: „Wyrwał się stąd kiedyś, żeby ciągle wracać i ciągle uciekać, nigdy nie pogodzony nawet – a może przede wszystkim – sam z sobą”¹¹.

Jego literaccy bohaterowie to barwna rzesza chłopaków; najczęściej chłopskiego pochodzenia. Pewnie bobrowscy rówieśnicy Mikołajka – koledzy z czasów wojny – mogliby przejrzeć się w ich losach jak w lustrze; szkoda, że już niewielu z nich żyje. Kapral Paweł Gwóźdź – Dolina, plutonowy Natan, Trzos, Ciuchraj, podchorąży Lutek Trębacz – Cykaniec, Witek, Kalina, Kalita – Lin, porucznik Senny, plutonowy Bluszcz, Jasyr, Sokół, Jedlina, porucznik Błękitny, podchorąży Korab, Bronek Drugot, Izydor, Teodor, Sowa, Gruby, Żbik – to postacie z różnych utworów Mikołajka, z których wielu posiada cechy i wojenne życiorysy bobrowskich chłopaków. W przytoczonych fragmentach utworów tego pisarza tamte wydarzenia i ich bohaterowie znów ożywają. Czy ktoś je jeszcze rozpozna? Wszak, kto przeżył te straszne czasy, unika raczej wspomnień i całe swoje bolesne doświadczenia zamyka głęboko w sercu.

Wioska mojego dzieciństwa – duża, rozciągnięta wzdłuż rzeczki o dziwnej nazwie Potok Skołodziński [nikt nie używał tej nazwy; dla nas była po prostu „rzykom” i już!], dzieliła się na kilka części: Podedwór, Środek czyli Koło Ludowca [według relacji Bronisława Harli dawniej dla tej części używano też nazwy – Kmiecie], Koniec, Przedewsie, Zabłocie, Kolonia i Zakęcie a także Dębina, czyli Wola Bobrowska, która jednak zachowywała pewną odrębność, a w końcu stała się samodzielną miejscowością.

Tę moją wioskę – podobnie jak sąsiednie – zamieszkiwała przeważnie ludność zasiedziała z dziada pradziada na swych gospodarstwach, żyjąc – jak mawiano – „na kupie”, czyli w dużych, wielopokoleniowych rodzinach. Gospodarstwa już od dawna kurczyły się coraz bardziej, dzielone na mniejsze

części i przekazywane jako spuścizna dorosłym dzieciom, których w rodzinach zazwyczaj było wiele. Mieszkańcy – choć prości – byli bardzo pracowici, uczciwi, gościnni, życzliwi, otwarci na świat, ale też dumni, hardzi i nieulekli. Sposób życia i gospodarowania przejmowali po swych przodkach, ucząc się wszystkiego od rodziców. Głęboko wierzący, pobożni, pielęgnowali dawne zwyczaje, a choć niekiedy jeszcze wierzyli w niektóre zabobony i przesady, to byli przecież ciekawi wszelkich nowości, pragnęli uczyć się, zmieniać otaczającą rzeczywistość i własne życie.

W czasach mojego dzieciństwa dopiero zaczęli leczyć wojenne rany.

Powojenne porządki zaprowadzone w naszym kraju zmieniły wiele w tym względzie. Przeprowadzana właśnie reforma rolna odbierała majątki dzieciom, które rozparcelowywano i oddawano chłopom. W Bobrowej parcelację gruntów dworskich przeprowadzono już w dwudziestoleciu. W tamtym to właśnie okresie do wioski mojego dzieciństwa przybyło wiele rodzin nawet z odległych terenów, osiedlając się najczęściej nieopodal Wisłoki na tzw. Zakąciu i Kolonii. Powstały też wtedy grunty gromadzkie, które m.in. sprzedawano na działki budowlane. Reszta – zwłaszcza nieużytki – służyła jako raj dla gęsi, kaczek i – dzieci. Mówiliśmy rodzicom, że idziemy grać w piłkę „na wieś”, bo tak te miejsca nazywano. Można tam było cudownie spędzać czas, a niekiedy nawet nabierać dorodnych pieczarek, bo na wsi pasły się konie i krowy dostarczające cennego nawozu. A na gromadzkich wolnych parcelach niedługo po wyzwoleniu zaczęły powstawać nowe domy. Również nasz.

Wieś powoli zmieniała swe oblicze i dziś jest nie do poznania. Ale tamta – tużpowojenna – pozostała w sercach i w serdecznej pamięci ludzi mojego pokolenia; urodzonych zaraz po wojnie, już „ze spokojnych doniczek”. To uczucie serdecznej więzi z „małą ojczyzną” zachęca do wspomnień, choć niełatwo uporządkować je w jakąś logiczną całość. Powtórzę więc za pisarzem Wilhelmem Machem: „Poszczególne wypadki jawią mi się w pamięci jak wysepki na czarnym szumiącym rozlewisku [...]. Niech pozostaną tak, jak ułożyły się i ukształtowały [czy też może odkształciły] we wspomnieniach, jednocześnie moje i nie moje, rozsypane i zarazem zjednoczone, niby rozbita mozaika w skrzyni”¹².

I niech tym serdecznym wspomnieniom towarzyszy wiersz – modlitwa poety księdza Jana Twardowskiego:

„Przywróć mi, Panie, z dawnych lat
herbaty gorzkiej łyk [...]
i umarłego ojca list
sweter od siostry serce matki
i spowiedź świętą z dawnych burz
gdy łyzy ważyła ręka Zbawcy
i jeszcze jeden taki dzień
z dzieciństwa mego na ślizgawce”¹³.

Listopad

W wiosce mojego dzieciństwa było sześć pór roku. Było rodzące nadzieję przedwiośnie, prawdziwa, zielona wiosna, skwarne lato, złota jesień, jesienna szaruga oraz mroźna i śnieżna zima. Rolniczy rok zaczynał się – jak u Reymonta – jesienią, bo wtedy siało się zboże na nowy plon, a rok kościelny wtedy, gdy ksiądz zapowiadał rozpoczęcie nabożeństw roratnich. Obowiązywała swoista wiejska chronologia, gdy czas liczyło się według pór roku, świąt i nabożeństw. Mówiło się, że to wydarzyło się na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem, tych odwiedzimy w tygodniu po Zielnej, a tamto zrobimy po Zaduszkach.

Dla mnie świat zaczął się listopadową szarugą...

Była to pierwsza powojenna jesień. Mimo że dopiero skończyła się straszna wojna, że ludzie wciąż nie mogli uwierzyć w to, co tak niedawno się wydarzyło, to życie – jak w opisanych przez Reymonta Lipcach „szło swoim odwiecznym porządkiem, komu śmierć była naznaczona – umierał, komu radość – weselił się, komu bieda – wyrzekał, komu choroba – spowiadał się i czekał końca – i pchało się jakoś z Bożą pomocą, z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, byle się ino zwiesny doczekać, abo tego, co komu przeznaczone”¹.

Jak witaliśmy ten świat, który dźwigał się po strasznej apokalipsie?

Wioska mojego dzieciństwa – Bobrowa w tym pierwszym powojennym roku wyglądała biednie i smętnie. Właśnie tak jak we wspomnieniach Mikołajka:

„Wyobraziłem sobie wieś: czarne strzechy nad białymi ścianami, kopuły mgieł nad rzeczką; brodzą w niej olchy i wierzby, rosa na polach. Zdawało mi się, że słyszę pianie kogutów i nadranne kwilenie kur”².

Również wracając tu po latach – słowami jednego ze swych literackich bohaterów – Mikołajek wspomina: „Wreszcie znajome w każdym szczególnie zarysy rodzinnej wsi; długi i brzydki parterowy budynek kiedyś dworskiej resztówki, naprzeciw staw zarastający przy brzegach sitowiem i tatarakiem – rzęsa ze wszystkich stron otaczała maleńki spłachetek czystej wody. Droga wśród drzew i ogródków [...], łagodna cisza, łagodny cień odwieczera;

pastuchy na polach coraz częściej patrzą na słońko: tracąc promienie ciągle jeszcze wisało nad olszynami [...]. Rozejrzał się – wszystko to samo, lecz jakby mniejsze. Również i chałupka, w której ojciec z ciotką gospodarzyli. Czarną strzechę skołtuniły wieloletnie wiatry; wybrzusząc ściany powoli wrastała w ziemię”³.

Tuż po wojnie takie drewniane domki pod strzechą były charakterystyczne dla całej okolicy; również dla wioski mojego dzieciństwa. Tylko nieliczni gospodarze – jak np. Wilczyńscy, mieszkający koło mostku na rzeczce – mieli „kamienice”, czyli dom murowany. Ale każdy, nawet najuboższy dom posiadał jakąś swoją ciekawą historię i swoje tajemnice, które znali tylko jego mieszkańcy.

Nasi rodzice – zapewne pełni niepokoju, ale i wiary cechującej zawsze ludzi młodych – pocieszali się wzajemnie, że przecież każdy miesiąc, każdy rok musi być lepszy; najważniejsze, że nie spadają już bomby, że nie grozi na każdym kroku śmierć – no i to, że są razem. Mijały dni pracowite, znojne, pełne cierpienia, różnych udręk i lęków, ale też wiary i nadziei pokładanej w Bogu i w tej jakiejś odwiecznej, wewnętrznej sile tkwiącej w każdym człowieku.

Listopadowe dni – jak zawsze – mijały powoli; ponure i słotne, coraz krótsze i coraz ciemniejsze. Polami wciąż płynęły zimne mgły, na kałużach tworzyły się nocami cienkie lodowe szybki, a Wisłoką płynął uciążliwy dla przepływających się „sryż”, który powoli zaczynał gęstnieć, tworząc krę, pojawiającą się najpierw na przybrzeżnych płyciznach. Późne ranki wstawały powoli, mrok rzedniejąc, wyłaniał szare strzechy chałup, poskręcane pnie starych, ogołconych z liści drzew i zarys błotnistej drogi. Wieś budziła się powoli do życia. Gdzieś zapiał kogut, zaszczekał pies, zaskrzypiał studzienny żuraw. W zapłakanych deszczem okienkach chałup zaczęły migotać chybotliwe płomyki naftowych lamp, a nad dachami bure kity dymów. Rozpoczęły się codzienne prace w gospodarstwie, pojawiały się znane odgłosy; od wieków te same.

Mikołajkowy bohater Jarosław z opowiadania „Ślepe gwiazdy” wspomina, że jego „półsen [...] przerwany został w miejscu, gdzie trwał naprawdę – w wiejskiej izbie. Przerwało go obsuwanie się ciała po ścianie albo dobiegający z podwórza brzęk wiader, albo też jedno i drugie. Gospodarz zapewne poił bydło, a zatem daleko było jeszcze do tych nadrannych godzin”⁴.

A Paweł z „Tryptyku na śniegu” zapamiętał taką poranną sytuację: „Matka wyszła z chałupy, wypuściła kury ze stajni [...] poszła doić [...], weszła ze skopkiem w rękę.

– Nie będę dziś niczego warzyć. Chcecie to pijcie mleko, jedzcie chleb [...]. Wycierała zapaską oczy [...]. Wzięła garnek ziemniaków ugotowanych w łupinach i wyszła na obejście”⁵.

Mimo tych odwiecznych, codziennych rytuałów, którymiznaczony był każdy dzień, w wiosce mojego dzieciństwa po skończeniu wojny wiele się zmieniło. Nadchodził nowy czas, który trzeba było mierzyć całkiem inną miarą.

Mieszkańcy – tak ciężko doświadczeni – budzili się z nadzieją, ale i trwogą, bo rzeczywistość tużpowojenna nie napawała optymizmem; raczej niepokojem i lękiem o przyszłość. Straszne wojenne rany jeszcze się nie zabiły, pamięć rodziła nocne koszmary, a wieści o nowych porządkach pod władzą Sowietów budziły najgorsze przeczucia. Przekazywano sobie informacje zasłyszane w nielicznych na wsi, ocalałych radiach. Nie były optymistyczne, choć oficjalna propaganda już agitowała do poparcia nowej władzy, mającej zapewnić krajowi pokój i świetlaną przyszłość.

Nie wiedzano jeszcze, jak zaowocuje ta – tak propagowana – ścisła więź ze Związkiem Radzieckim. Nie docierały zakulisowe działania władz, które same również nie do końca znały polityczne zamiary decydującego o losie milionów ludzi Stalina. Podobno „jesienią 44 roku [...] w trakcie jednej z rozmów Churchilla ze Stalinem Churchill wyraził obawę, że w wypadku, gdy wojska rosyjskie zajmą teren Polski, władze Moskwy będą chciały narzucić Polsce ustrój komunistyczny. Na to Stalin miał się roześmiać i powiedział: „Ależ skąd, panie premierze, komunizm pasuje Polsce akurat tak, jak krowie siodło”⁶.

Ale ludowe referendum z 13 czerwca 1946 roku, którego hasłem było: „Głosuj 3 razy tak”, a potem zmanipulowane wybory do sejmu w styczniu 1947 roku były dowodem bezwzględного utrwalania nowej władzy przez komunistów. Urząd prezydenta powierzono Bolesławowi Bierutowi, a utworzenie rządu Józefowi Cyrankiewiczowi. Ich wizerunki oglądaliśmy odtąd na portretach w szkołach, urzędach i wszystkich instytucjach.

Po dwu tygodniach uchwalono tzw. Małą Konstytucję, która sankcjonowała nową sytuację polityczną. Wciąż jednak jeszcze trwały wewnętrzne walki, a kraj – dopiero co przeorany wojną – zagarniały nowe siły; niezrozumiały i niepokojący.

Bez względu na te zawirowania, w wiosce mojego dzieciństwa rodziły się dzieci, a wraz z nimi nadzieja. Wielka polityka działa się gdzieś daleko, a codzienność zmuszała do zajmowania się organizowaniem życia na nowo, co było piekielnie trudne.

Po powrocie z wysiedlenia mieszkańcy Bobrowej zastawali – jeśli nie zgliszczą i ruiny domów, to zgubne ślady frontu, który stał na tych ziemiach [Latoszyn, Głowaczowa, Grabiny Róża, Przerety Bór, Zasów] od sierpnia 1944 roku, kiedy to wyzwolona została Dębica – do stycznia 1945 roku.

Rosyjskie wojska – zajmując nowe tereny i przebywając na nich przez kilka miesięcy – pustoszyły pozostawione bez opieki gospodarstwa. Kwaterujący tu żołnierze nie tylko zużywali zapasy ziemniaków, mąki czy innych produktów, które znajdowali, choćby były starannie ukryte. Rozbijali ścia-

ny, wyłamywali zamki, rozkopywali piwnice, grabiąc i niszcząc przy okazji sprzęty, naczynia, ubrania. Szukali cennych rzeczy; a prawie wszystko stanowiło dla nich dużą wartość.

Magdalena Grzebałkowska pisze, że byli „jak dzieci w sklepie z zabawkami, w którym nie ma dorosłych. Podoba im się rower, na którym jedzie ktoś drogą? Biorą rower. A krowa przy drodze ładna? Też będzie ich [...]. Wyszabrowane rzeczy wymieniają na alkohol albo wysyłają do domów”⁷.

Dużo przedmiotów, które znajdowali rosyjscy żołnierze, było dla wielu z nich zupełną nowością. Opowiadano, że jeden z nich znalazł w domu „Wojtka” Węgrzyna zegarek schowany w drewnianym młynku do kawy. Po obejrzeniu podarował go koledze, a sam zabrał młynek – szczęśliwy, że ma całą fabryczkę produkującą takie zegarki.

Również styl życia tych żołnierzy powodował duże straty i zniszczenia. Rosjanie w piwnicy jednego z sąsiadów, gdzie przechowywane były ziemniaki, które były podstawą ich pożywienia, zrobili sobie też latrynę. Po ich odejściu trzeba było wyrzucić ziemniaki, których nie zdążyli zużyć i długo czyścić wszystkie pomieszczenia.

Dziwiły bobrowian obdarte mundury tych rosyjskich żołnierzy, karabiny na sznurkach i prymitywne zachowania. Tłumaczyło ich jedynie to, że wysłano ich na front bez odpowiedniego zabezpieczenia, przygotowania i wyposażenia; sami musieli sobie radzić w obcym terenie, najczęściej spotykając się z wrogością miejscowych ludzi.

Razem z nimi szły wszy. Zawieszone na płocie wojskowe czapki aż „ruszały się” od całych tabunów zamieszkujących tam insektów. Po odejściu wojska we wszystkich domach odbywało się wielkie szorowanie, czyszczenie, gotowanie bielizny i trucie robactwa. W porównaniu z Niemcami, którzy – choć byli wrogami, wykazywali większą kulturę – Rosjanie prezentowali brak najprostszych zasad higieny czy obycia. Ale jedni i drudzy zachowywali się jak okupanci i jak okupanci pozostawili po sobie zniszczenia, strach i nędzę.

Np. w pobliskim Straszęcinie – w zabytkowym kościele, który ocalał szczęśliwie po I wojnie – Rosjanie urządzili stajnię dla koni, a potem go spalili.

Front stojący w naszej okolicy przez pół roku przyniósł prawie w każdej miejscowości wielkie straty. W powiecie dębickim zburzonych zostało około 50% budynków. Ogromnie zniszczone były m.in. Grabiny, Głowaczowa, Podgrodzie, prawie całkowicie spalone Gumniska i Braciejowa; duże straty poniosły: Globikowa, Gołęczyna, Borowa, Róża, Stara Jastrząbka.

Na szczęście – jak pisze Leopold Harla – naoczny świadek tamtych dni: „Zniszczenia wojenne w Bobrowej w zakresie obiektów gospodarczych i mieszkaniowych były [...] stosunkowo niewielkie. W czasie pacyfikacji spalono i zburzono 4 gospodarstwa, w wyniku działań frontowych spaleni uległy trzy budynki mieszkalne”⁸.

Trzeba zaznaczyć, że z powodu biedy niewielu mieszkańców wsi inwestowało w budowę nowych czy w remont starych chat i budynków gospodarczych, a także w wymianę wyeksploatowanych urządzeń i maszyn niezbędnych w gospodarstwach rolnych. Liczne rodziny – tak jak przed wojną – wciąż koczowały w prymitywnych klitkach, nie mając materiałów budowlanych ani pieniędzy na ich zakup. Dlatego powojenne władze przekazały najbardziej potrzebującym pewną ilość takich materiałów z rozbiórki baraków poobozowych w Pustkowie i magazynowych w Dębicy.

Także – jak twierdził Leopold Harla – mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa korzystali z tej pomocy. Dodawał on również, że „rolnicy najbardziej dotknięci wojną otrzymują pewne zapomogi pieniężne oraz przydziały drzewa z lasów państwowych. Niektórzy zaopatrują się w drzewo w drodze nielegalnej, na co władze państwowe, rozumiejąc trudną sytuację, patrzą w wielu wypadkach „przez palce” [...]. Takie materiały, jak pustaki, cegłę, dachówkę wytwarza się prymitywnymi metodami we własnym zakresie lub nabywa za gotówkę, za zboże, bądź na kredyt [jak kto może] od prywatnych wytwórców, gdyż państwowe i spółdzielcze wytwórnie materiałów budowlanych jeszcze nie powstały. Mimo olbrzymich trudności odbudowa gospodarstw przebiega stosunkowo szybko. Niemal w każdym gospodarstwie coś się remontuje, przebudowuje, rozbudowuje”⁹.

Leopold Harla – mający w roku zakończenia wojny 15 lat [urodził się w 1929 roku] obserwował też codziennie, że wojenne dramaty: strach, tragiczne warunki życia, niepewność jutra, nędza, choroby wciąż męczyły ludzi i nie pozwalały zapomnieć: „Braki, zniszczenia materialne są ogromne. Duża część ludzi cierpi rzeczywistą nędzę, wielu jest chorych, dręczonych szerzącymi się na skalę epidemii chorobami – świerzbem, tyfusem, czerwonką”¹⁰.

Ale Leopold Harla widział też codzienne, mozolne starania rodziców i sąsiadów, i ufał – jak oni – że przyniosą pozytywne efekty. Dlatego dodawał: „Czas rozpocząć normalne życie. Normalne, choć przecież długo jeszcze ciężkie i pełne niedostatków”¹¹.

Już w 1944 roku powstały w kraju tymczasowe Rady Narodowe, które reprezentowały w terenie nową władzę i miały pomagać mieszkańcom w organizowaniu życia po wojnie.

Wcześniej władzę we wsi pełnił wójt, potem sołtys. W Bobrowej wójtami byli: Stanisław Majka, Jan Kochan zwany „Lichoniem”, Jan Zięba, Jan Skowron, Jan Lipa, Tomasz Osak, a w czasie okupacji Józef Sehn. Sołtysami byli: m.in. Tomasz Osak, Władysław Zięba, Bronisław Harla, po wkroczeniu Rosjan – Jan Węgrzyn, a po wojnie – Stanisław Piecuch, Wojciech Węgrzyn, Paweł Skrzypek, Stanisław Sojka, Stanisław Wilczyński.

Nowo powstałe Rady Narodowe – niestety – wkrótce całkowicie zostały podporządkowane programowi politycznemu rządzącej partii i zachowały za-

ledwie pozory demokracji, decydując tylko o drobnych sprawach lokalnych, jak podatki, szarwarki, obowiązkowe dostawy, prowadzenie zebrań, organizowanie „polowań” na stonkę czy akcje rozdzielania deficytowych towarów.

Nasza Gromadzka Rada Narodowa urzędowała najpierw w Nagoszynie, a później w Bobrowej w ludowcu.

Pomieszczenie było bardzo skromnie urządzone. Jakiś prosty, drewniany stół, kilka krzeseł, szafa na dokumenty, metalowy wieszak na ubrania. Na stoliku założonym różnymi dokumentami kałamarz, kilka ołówków, pióro, popielniczka i czarny ebonitowy telefon na korbkę. Okna pozbawione firanek, podłoga napuszczona na brązowo, w kącie kosz na śmieci. Zawsze różni interesanci, dużo dymu z papierosów, podniesione głosy i papiery, papiery, papiery... Przewodniczący nawet do domu zabierał całe pliki nowych zarządzeń, które codziennie dostarczał listonosz. Jeździł też na różne szkolenia, a potem organizował zebrania, starając się przekazać wytyczne z powiatu, a także przekonywać do nich mieszkańców wioski mojego dzieciństwa.

Nie było to łatwe, bo powojenna władza wprowadzała porządki obce dla polskiej tradycji i wiary. Nowy system prawny opierał się przede wszystkim na prawie karnym, które „traktowane było jako jeden z głównych instrumentów eliminacji przeciwników politycznych. Stanowiło ono podstawę do represji i działania dla tworzonego aparatu bezpieczeństwa [...]. W okresie 1944-1956 „władza ludowa” wydała około 300 aktów prawnych, zawierających przepisy karne”¹².

Zaczęło działać wszechwładne UB, budzące strach, szalała propaganda prosowiecka, czaiła się niepewność i pogłoski o niebezpieczeństwie trzeciej wojny światowej. Ludzi gnębiła obawa przed jutrem. Łatwo było trafić do więzienia jako „wróg ludu”, kułak czy zdrajca.

Już w 1944 roku powstał w Dębicy Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, którego organizatorem i pierwszym kierownikiem został Zenon Kiwierski. Struktury UB obejmowały różne sekcje, referaty, grupy operacyjne sprawujące kontrolę nad wszystkimi dziedzinami życia politycznego i społecznego. Do lipca 1950 roku pracował tu np. inspektor zajmujący się wydawaniem i rejestrowaniem dowodów osobistych obywateli. Nawet starsuszków – niechętnych i gderających na jakieś nowe wymysły – wożono do dębickich fotografów, by wypełnić obywatelski obowiązek posiadania tych koniecznych dokumentów. Zaproszono też do ludowca fotografa z Dębicy, który – rozwiesiwszy na ścianie białe prześcieradło, pełniące rolę tła – fotografował niechętnych jakimkolwiek wyjazdom bobrowian. Potem, gdy przychodzili po odbiór nowych dokumentów, bezradnie przekładali w rękach te dowody z orłem bez korony, niepodobnym do tego, którego znali w latach swej młodości i oglądali je długo, dziwując się swoim twarzom tak brzydkim i obcym, utrwalonym na tamtych czarno-białych, byle jakich fotografiach.

Obradujące w listopadzie 1949 roku III Plenum KC PZPR poświęcono zadaniom partii „w walce o czujność rewolucyjną”, a Urząd Bezpieczeństwa podjął bezpardonową walkę z konspiracyjnymi organizacjami niepodległościowymi i z przeciwnikami politycznymi; w tym z Kościołem.

Jadwiga Lazarowicz – żona majora Adama Lazarowicza „Klamry”, który był w czasie wojny Komendantem Obwodu AK Dębica – wspomina: Martwiemy się [...], można tak łatwo wpaść w ręce UB. Wspierane przez Sowietów szaleje jak gestapo za niemieckich czasów [...]; aresztują tak w mieście, jak i na wsi. Kościół jest strasznie prześladowany. Wielu księży siedzi w więzieniach [...] Z klasztorów wypędzają zakonnice. I tak w Dębicy, gdyby nie ludność, która stanęła w ich obronie, nie wiadomo, gdzie by je wywieźli. Naród cierpi wystraszony”¹³.

Liczni agenci i tajni informatorzy pracowali dla UB w zakładach pracy, w urzędach, instytucjach publicznych, a także jako rezydenci inwigilowali swych sąsiadów i znajomych. W jednym z zachowanych raportów możemy np. przeczytać taki donos: „Jan Ciecieręga z Nagoszyna, pracownik spółdzielni ZSch w Żyrakowie twierdził publicznie [...], że Związek Radziecki narzucił Polakom swojego marszałka [K. Rokossowskiego], ażeby wiedzieć o wszystkim i mieć wpływy”¹⁴.

„Polytykujący” wieczorami sąsiedzi kpili z wątpliwej polskości owego generała Rokossowskiego, mówiąc, że dlatego ma nienaturalnie wysoko uniesione brwi, bo aż tak się zdziwił, że jest Polakiem. Na szczęście nikt o tym nie doniósł władzom bezpieczeństwa.

Szczególnie tragiczny był los „chłopców z lasu”, wciąż pozostających w podziemiu. Wyłapywano ich, więziono i zabijano. Jadwiga Lazarowicz tak pisze o dramatycznej sytuacji niedalekich Gumnisk, w których w czasie wojny była siedziba Komendy Obwodu AK:

„Rok 1949 to czas wzmożonych aresztowań i prześladowań przez UB. Podobnie jak gestapo prześladowały całe okolice i wsie. Gumniska-Foks to wioska, która wiele wycierpiała, bo niszczyli ją z jednej strony Niemcy, a z drugiej Sowietci. Po zakończeniu wojny wielu ludzi zginęło tam od min. Wreszcie przyszło prześladowanie AK-owców za to, że bronili swą matkę Ojczyznę przed hitlerowcami. Mieszkańcy Gumnisk jeszcze nie wszyscy mają domy, bo cała wieś była spalona, ale UB na to nie zważa. Wzywa to jednego, to drugiego, bije, zadając pytania dotyczące pracy w AK. To znów pytają o mojego męża” [...] Biją, znęcają się w nieludzki sposób”¹⁵.

Mąż Jadwigi po zakończeniu wojny cały czas się ukrywał, zmieniając miejsca pobytu i równocześnie działając w organizacji „Wolność i Niezawisłość”. Aresztowany, po ciężkim pobycie w więzieniu i groteskowym procesie, został skazany na śmierć i zamordowany 1 marca 1951 roku. Nikomu z rodziny nie pozwolono go pożegnać, nie oddano zwłok i zatajono miejsce pochówku.

Takich dramatycznych wydarzeń było wiele. Ale życie toczyło się nadal.

Wprowadzony już w 1944 roku trzyletni plan zwany Planem Odbudowy Gospodarki był realizowany dość sprawnie. Nastąpiło pewne podniesienie stopy życiowej, produkcja nastawiona na zaopatrywanie rodzimego rynku zaczęła zaspokajać najpilniejsze potrzeby, odbudowywano i uruchamiano te zakłady pracy, które były mniej zniszczone i zdewastowane, dzięki czemu w znacznej części udało się zlikwidować bezrobocie. Ale warunki życia były wciąż bardzo ciężkie, trwały dyskusje i spory dotyczące nowej sytuacji politycznej i społecznej. Ludzie zbierali się, by dzielić się swoimi niepokojami. Często lekarstwem na owe smutki był bimber, który – jak w czasie wojny – dawał zapomnienie i złudne poczucie pewności, ale był też przyczyną wielu dramatów.

W takich to warunkach rozpoczynano nowy etap życia. Rozminowywano pola, naprawiano lub odbudowywano domy, gromadzono niezbędne sprzęty i paszę dla zwierząt domowych, które miały zapewnić przeżycie tych pierwszych powojennych zim. Jedni drugim pomagali w przetrwaniu, pocieszali, uczyli nadziei. Szukano siły i ratunku przed zwątpieniem w modlitwie.

W kościele w Nagoszynie – jeszcze noszącym ślady wojny – modlono się, dziękując za ocalenie i błagając o prawdziwą wolność. Księża wspierali starania wiernych i budzili nadzieję. W 1946 roku na Jasnej Górze ogłoszono akt zawierzenia Polski Najświętszemu Sercu Maryi, który był echem objawień fatimskich z początku wieku, wieszczących straszną wojnę dla pogrążonego w grzechach świata. Jej niedawne zakończenie otwierało nową epokę, w której Maryja miała być Przewodniczką i „Pocieszycielką strapionych”. Bo też tych strapień było potwornie dużo.

Po powrocie z wysiedlenia brakowało wszystkiego. Na niektórych polach pozostały zamarznięte ziemniaki. Tarto je i po dodaniu mąki robiono z nich placki ratujące przed głodem. Potrzeby życiowe ograniczano do minimum. Mówiono: „Tak krawiec kraje, jak mu materii staje” i kupowano tylko najniezbędniejsze rzeczy, jak nafta, sól czy świece. A zapalki naprawdę dzielono na czworo. Dzielono się też tym, co kto miał: odrobiną mleka, mąki czy kaszy. Starano się przywrócić życiu stabilność i ład oraz wartości nadające sens istnienia: wiarę, nadzieję i miłość, pielęgnowanie tradycji, szlachetność i honor.

Bo życie przecież musiało trwać. Kobiety umiały polepy lub szorowały podłogi, rozpalały ogień i gotowały strawę, choćby to miała być postna polowka czy nieomaszczone ziemniaki, wystrzygały papierowe serwetki, a na parapetach stawiały pachnącą „anginkę”, takież mirt czy kwitnącą różowo pelargonie zwaną „muszkatlą”.

Z wojny wracali ci, którzy walczyli w polskich oddziałach, przebywali w obozach koncentracyjnych czy na przymusowych robotach w Niemczech. Choć pełni ran na ciele i duszy, uważali się za szczęśliwców, których los ocalił i pozwolił powitać opuszczone progi domów. Bo przecież wielu nie prze-

żyło tego strasznego kataklizmu, niektórzy zostali na obczyźnie lub ich los pozostał na zawsze nieznany. Wciąż część młodzieży działała w podziemiu i jeszcze przez kilka lat toczyły się dramatyczne, bratobójcze walki; w ziemię wsiąkała krew tych „z lasu” i tych z bezpieczni.

Ludzie z wioski mojego dzieciństwa – pracownicy, zaprawieni we wszelakich trudach, uparci i ofiarni – przywracali ziemi jej wartość, jej zdolność rodzenia, by znów mogła być żywicielką dla ludzi i zwierząt. Od świtu do nocy poświęcali jej swój czas, swój trud i serce, uprzętaali zgłiszcza, zasiewali ugory, przekopywali zagony, pielili chwasty.

Leopold Harla tak pisze o sytuacji panującej w Bobrowej w tamtym okresie:

„Już na wiosnę 1945 roku udało się obsiać zbożami jarymi, zielonkami oraz zasadzić okopowymi w zasadzie całość gruntów ornych z wyjątkiem terenów zajętych pod przyfrontowe lotnisko [...], kilkudziesięciu najbiedniejszych i najbardziej potrzebujących otrzymuje bezpłatnie konie wraz z uprzężą, wielu samą uprzęż, wielu rasowe krowy, później odzież, obuwie [m.in. z demobilu wojskowego]. Pewną pomoc w środkach żywności, odzieży, koniach, lekarstwach otrzymują rolnicy także od międzynarodowych organizacji charytatywnych [UNRA]”¹⁶.

To przyfrontowe lotnisko zbudowali Rosjanie zaraz po zajęciu wioski. Jak pisze Bronisław Harla obejmowało ono obszar kilkudziesięciu hektarów: „Od Piękosia z rędzin [Jana] do drogi, która biegnie do Brzeźnicy [...]. Zaorali traktorami, zabronowali, zniwelowali. Niewielki pożytek mieli z tego lotniska. Raz tylko widziałem eskadrę samolotów, gdy tam lądowała i startowała. Front, gdy ruszył w styczniu 1945 roku, prędko poszedł daleko na zachód. Potem skończyła się wojna. Niemniej lotnisko przez kilka lat po wojnie stało bezużytecznie. Nie było wolno wejść na nie z pługiem. Mnie też zabrano na to lotnisko około 2 hektary ziemi”¹⁷.

Rolnikom z wioski mojego dzieciństwa – tak jak i tym z okolicy – brakowało materiału siewnego i ziemniaków sadzeniaków. Państwo umożliwiała ich zakup po możliwie niskich cenach. I tak już „w jesieni 1945 roku Bobrowa zagospodarowuje ostatnie leżące odłogiem hektary ziemi [...]. Odnaleziono stare miedze i drogi, przekopano nowe rowy odwadniające, zaorano i obsiano pola. Nikt nie oczekiwał jednak wysokich plonów. Ziemia wyjałowiona, pozbawiona obornika i nawozów mineralnych nie mogła ich dać”¹⁸. Ale – jak podkreśla Leopold Harla: „w ogromnym trudzie i mozole [...] dźwiga się do życia Bobrowa, dźwigają się okoliczne wsie, powiat, cały zrujnowany kraj”¹⁹.

Niektórzy bobrowanie podejmują – przerwana przez wojnę – dodatkową pracę w przemyśle. Chociaż „dużym zniszczeniom w wyniku działań wojennych uległy [...] zakłady przemysłowe w powiecie dębickim, zbudowane tu w ramach Centralnego Okręgu Przemysłowego [...], a maszyny i urządze-

nia w zdecydowanej większości [...] zostały zdemontowane i wywiezione do Rzeszy [zakłady Przemysłu Gumowego „Stomil” w Dębicy, Wytwórnia Tworzyw Sztucznych w Pustkowie]”²⁰, to zaraz po wojnie, już w 1945 roku uruchomiono powtórnie produkcję w dębickich Zakładach Mięsnych, w kwietniu 1946 roku w pustkowskiej „Lignozie”, a w 1950 w „Stomilu”.

Mimo wszelkich trudności dnia codziennego – jak od wieków – z radością czekano w rodzinach na mające się urodzić maleństwa. Bo każde nowe życie ci zwyczajni, prości, przyzwoici ludzie traktowali jako wielki dar i przyjmowali je z radością.

W tym pierwszym roku – na pograniczu wojny i pokoju – przychodziły na świat dzieci, które nie miały pamiętać wojny, ale żyć w świecie nadziei. Moi rówieśnicy. Ostatnie pokolenie przedtelewizyjne, nazywane też czasem pokoleniem „pokolumbowym”.

Wiedzę o świecie czerpaliśmy z zachowań, przeżyć, opowieści naszych rodziców, babć, dziadków, sąsiadów i krewnych, z książek i szkolnej nauki, a przede wszystkim z otaczającej nas rzeczywistości; dotykanej, realnej, bolesnej.

Kobiety do końca pracowały, bo ciąża – zwana wtedy pięknie stanem błogosławionym – nie zwalniała od obowiązków. Ale taka kobieta była darzona przez wszystkich szacunkiem; ustępowano jej miejsca w kościele, gdy przyszła do kogoś, sadzano i częstowano pić, starano się też pożyczyć lub podarować jej to, o co prosiła. Mówiono, że to wyróżnienie pomóc brzemiennej, a odmowa może sprawić, że myszy zjedzą gospodarzowi zboże. Uważano też, że kobieta w ciąży powinna zachowywać pogodę ducha i spokój, unikać zdenerwowania i zmartwień, bo jej nastroje udziela się potomkowi. A gdy nagle przestraszona dotykała np. twarzy, mogła się spodziewać na skórze dziecka czarnego znamienia nazywanego „myszką”. Pracowała w gospodarstwie tak jak zawsze – z wyjątkiem dźwigania ciężarów – i przygotowywała spokojnie wyprawkę dla maleństwa, ufając w szczęśliwy poród. Dorośli traktowali to wydarzenie jako coś naturalnego, bez zbędnych ceregieli, co potwierdza autorka biografii mamy księdza Popiełuszki:

„Rodziła w domu, jak inne kobiety na wsi w tamtych czasach. Nie było to wydarzenie wyjątkowe. Kładła się na łóżko i dziecko przychodziło na świat. Takie to proste. Zgodne z naturą”²¹.

Mężczyźni zamawiali u stolarza kołyskę, która musiała najczęściej wykołysać kilkoro, a czasem nawet kilkanaścioro dzieci. Bo niektóre kobiety rodziły co roku jak drzewa owocujące w przydomowych sadach, powierzając swój i swych dzieci los miłosiernemu Bogu. Zdarzało się też często, że umierały przy porodzie, zostawiając czasem liczną gromadkę sierot. Umierały też często nowo narodzone dzieci. Pewnie jedną z przyczyn było to, że prawie nigdy do porodu nie wzywano lekarza; chyba, że pojawiały się jakieś

komplikacje, ale wtedy – zanim zdecydowano się pojechać po pomoc – było już zazwyczaj za późno. Nie było też mowy o żadnych aborcjach.

Jasyr z „Trójkąta błędów” wyznaje: „W ogóle mogłem wszystkiego uniknąć, gdyby moja matka nie była tak mocno wierząca. Kiedy lekarz orzekł, że dla jej dobra nie powinienem przychodzić na świat, nie posłuchała go. Powiedziała mu, że woli śmierć. Urodziła mnie i od tego czasu ciągle choruje”²².

W każdej wsi była doświadczona kobieta – najczęściej matka wielu dzieci – która pełniła funkcję położnej, zwana „arkuszerkom”. W wiosce mojego dzieciństwa mające rodzić kobiety prosiły o pomoc bardzo miłą starszą kobietę, którą wszyscy nazywali „babciom Gilkom”. Nie tylko odbierała – zazwyczaj szczęśliwie – porody, ale też interesowała się losem i zdrowiem tych „swoich” dzieciaków. Zaglądała do domów, pomagała niedoświadczonym mamom, udzielała cennych rad. Była osobą niezwykle energiczną, szybką w ruchach i w mowie, o żywych, ruchliwych oczach, zawsze życzliwym uśmiechu i starannie przyczesanych, siwiejących już włosach. Wszyscy ją lubili i chętnie choć chwilę przystawali, by opowiedzieć o swych troskach i radościach związanych z pielęgnowaniem niemowląt.

A niemowlę nie miało łatwego życia. Tuż po urodzeniu krępowano mu ręce i nogi płatem materiału tak, że tylko wystawała mała główka. Te „powijaki” miały zapewnić dziecku bezpieczeństwo, prawidłowo ukształtować kręgosłup, rączki i nóżki. Ślady tego dawnego zwyczaju odnajdujemy w starej kolędzie „Z nieba wysokiego”, w której śpiewamy o nowo narodzonym Jezusie: „wszak na rączkach ma powicie, karać nie może, bo dziecię, tylko dawać życie”. Na szczęście z powijkami wygrał becik, który pozwalał małaństwu na większą swobodę, choć starsze kobiety nadal zawiązywały jego troczki tak, żeby ręce i nogi malucha były wyprostowane i schowane do środka i by nie mógł ich sam uwolnić. W tym otulaniu, wiązaniu było wiele odwiecznej mądrości. Ciepło i intymność zawiązanych pod brodę betów były namiastką sytuacji niemowlęcia zagnieżdżonego jeszcze we wnętrzu mamy. Niestety, nie było pampersów – tego rewelacyjnego wynalazku dwudziestego wieku – więc jeszcze przed narodzinami szykowano gumową ceratkę, która często „odparzała” delikatne ciało niemowlaka i przygotowywano pieluchy.

Tetrę – miękką i delikatną – można było zdobyć jedynie mając wielkie szczęście. Najczęściej obszywano wycięte ze spranych już – więc miękkich – poszewek czy prześcieradeł duże kwadraty i nimi owijano pupę niemowlaka. Oczywiście pieluch zużywało się dużo więc trzeba je było prać codziennie, po uprzednim wygotowaniu w blaszanym garze. Specyficzny zapach gotujących się pieluch, wymieszany z wonią szarego mydła, wypełniał przez wiele miesięcy cały dom, a suszące się na sznurze – rozpiętym na podwórzu – trzepotały na wietrze, jakby stadko gęsi pasących się na trawie nagle poderwało się do lotu. Były widomym znakiem dla wszystkich przechodzących gościń-

cem, że rodzicom przybył nowy potomek. W wielodzietnych rodzinach hołdujących zasadzie: „co rok prorok” pieluszki wisiały „na okrągło”; latem „na polu”, a zimą w kuchni nad piecem. Oczywiście w niedziele i święta sznurki na podwórku były puste. Nikt nawet nie pomyślał, żeby w te dni wieszać przed domem jakieś pranie. Spotkałoby się to ze zdecydowaną dezaprobatą całej wsi, a etykietkę złej i bezbożnej gospodyni trudno byłoby zmyć.

Rodzice starali się ochrzcić dziecko jak najwcześniej; zwyczajowo do dwóch tygodni. Było to konieczne, bo wiele dzieci umierało tuż po urodzeniu. Dlatego nie odwołano z przyjęciem tego, tak ważnego sakramentu. Rodzice chrzestni: „kum” zwany też „kumotrem” i „kuma” byli dobierani bardzo starannie, bo traktowano ich jako zastępców rodziców naturalnych. W tamtych czasach, gdy często – zwłaszcza kobiety umierały młodo, np. przy porodzie – chrzestni brali na siebie obowiązek utrzymania i wychowania sierot. O randze chrzestnych świadczyło np. to, że często dzieci otrzymywały ich imiona, a potem utrzymywały serdeczne więzi, jak z najbliższymi członkami rodziny. A sierot było wiele, tak jak wiele było coraz to nowych, małych mogiłek na nagoskim cmentarzu. Te nie ochrzczone chowano w najdalszej części cmentarza, pod samym płotem. Widok tych małych grobów był bardzo przygnębiający, ale w dzień Wszystkich Świętych na wszystkich płonęły żałobne znicze.

Chrzczonego malucha nie obdarowywano jakimiś cennymi prezentami, chociaż w książce „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas” znajduje się informacja, że „kumowie [...] przynosili na chrzciny placek, chleb i wódkę oraz prezenty dla dziecka: pieniądze, które wkładano w pieluchy, obrazki świętych oraz materiały na ubranka”²³. Zgodnie z zasadą: „wedle stawu grobla” każdy dawał tyle, ile mógł.

Rodzice starali się jak najpiękniej wystroić swe maleństwo do chrztu. Przygotowywano biały becik z koronkami i kapkę uszytą z błyszczącego materiału z podszewką. Kapka też miała koronki, a także wyhaftowane kwiatuszki i przypięte gałązeczki mirtu lub delikatnej „szparagi”. Taką kapkę się najczęściej pożyczano; dziewczynkom w kolorze niebieskim, chłopcom – w różowym. Czasami była też biała; wtedy przypinano na niej duże kokardy w odpowiednich kolorach. Jedna kapka służyła wielu maleństwom.

Dzieci do kościoła zawożono wozem lub saniami. Niekiedy w zimie były kłopoty, bo gościniec do Nagoszyna – szczególnie w „Górach” [które, niestety, po latach wypłaszczyły się, ulegając zapotrzebowaniu na piach] – zalegały nawiane, głębokie zasy. Wtedy chrzciny przenoszono na późniejszy okres. W czasie dużych mrozów – podczas drogi czy w nieopalanym kościele – łatwo było o przeziębienie, ale ksiądz nie żałował święconej wody. Cieszono się, gdy dziecko krzyczało podczas ceremonii, bo to wróżyło zdrowie i piękny głos. Przepowiadano, że taki dzieciak może będzie mówcą, śpiewakiem albo organistą. Wierzono też, że chrzest odmienia małego człowieczka; gdy

wcześniej był płaczący, będzie spokojny, gdy był śpiochem – zacznie rozrabiać. I pewnie się to sprawdzało, bo przecież dziecko rośnie, więc zmiany w jego zachowaniu były czymś naturalnym.

Po powrocie z kościoła do domu przygotowywano skromne przyjęcie z plackiem, kiełbasą i wódką – najczęściej domowej roboty – którą wypijano za zdrowie nowego chrześcijanina. Wszyscy też uważnie przyglądali się maleństwu wtulonemu w białą poduszczykę ozdobioną mirtą, zgadując, czyje cechy odziedziczyło. Wróżono z nich przyszłość dziecka, nie szczędząc okolicznościowych zachwytów i pomyślnych przepowiedni. Komentowano kolor oczu, kształt podbródka, wielkość nosa, włosy i głosik, ruchy i miny.

Nowe, socjalistyczne państwo chciało ingerować w wychowanie dzieci, by wyrosły na ideowych i posłusznych obywateli. Ministerstwo zdrowia opracowywało specjalne instrukcje dotyczące wychowywania, które jednak natychmiast spotykały się z krytyką rodziców.

„Nowy obywatel miał być nauczony, że nic mu się nie należy. Im wcześniej, tym lepiej [...]. Matki wyśmiewały się z urzędowych zaleceń. – Nie brać na ręce? Uczyć niemowlę odpowiedzialności? A niech idą do diabła z takimi pomysłami – mówiły – będę robić to samo, co moja matka i babka. I kołysały niemowlęta w ramionach. W takich sprawach mężowie nie mogli się im sprzeciwić, zostawiali im wolną rękę, nawet ci, którzy zapisywali się do partii, żeby zrobić karierę [...]. W poradnikach, których astronomiczne nakłady zostały w późniejszym czasie przerobione na papier toaletowy, pisało, że niemowlę po nakarmieniu śpi. Śpi aż do następnej pory karmienia i nic mu się nie śni. Je i śpi na przemian, żeby szybko przybierać na wadze. To jest jego zadanie. Nie zajmuje się niczym innym. Płacz – pisało – nie jest zjawiskiem normalnym. Jego przyczyną może się okazać jakaś choroba, choć najczęściej bywa on świadectwem niewłaściwie zorganizowanej opieki [...]. Bezproblemowe przybieranie na wadze, jedzenie i spanie miało być tylko środkiem prowadzącym do celu, tylko ostatecznym dowodem przystawania życia osobistego do powszechnie zalecanej normy”²⁴.

Mądre i doświadczone kobiety z wioski mojego dzieciństwa oczywiście nie ulegały socjalistycznej modzie. „Piastrwały” swe maluszki, brały na ręce, przytulały do piersi, a ich twarze jaśniały miłością i oddaniem. Ale musiały przecież iść do codziennych zajęć zostawiając je najczęściej pod – nie zawsze wystarczającą – opieką rodzeństwa. Nie zawsze też kupowano smoczek zwany „cumelkiem”, nie było ozdobnych gryzaczek, tylko grube, gumowe smoczki na butelkę, deformujące się pod wpływem gorącej wody czy dłuższego ssania. Zastępowano je nieraz kawałkiem szmatki, w którą zawijano troszkę cukru, a która jak „cumelek” służyła uciszaniu „rozdartka”. Ale najlepszym „uciszaczem” i „pocieszaczem” była pierś matczyna. Kobiety karmiły bardzo długo, przekonując się, że było to wygodne, a także czując, że

taki pokarm jest najlepszy i najzdrowszy; wierzyły też, że karmienie piersią chroni przed niechcianą ciążą.

Dziecku szyło się z bawełny lub flaneli maleńkie czapeczki, koszulki zawiązywane na „trocki”, czy niezdarne śpioszki; a na drutach lub szydełku robiono sweterki z miękkiej włóczki, np. z białego królika angory. O zakupie gotowych ubiorów dla maluszków tuż po wojnie można było tylko pomarzyć. Trochę później pojawiły się trykotowe, po pierwszym praniu deformujące się koszulki czy okropne, brudnobeżowe śpiochy o potworkowatych kształtach. Starszym dzieciom szyto bawełniane koszulki, płóciennokowe sukieneczki i bluzeczki zapinane na guziczki czy parciane „porcięta” na gumce. Niestety, materiały były byle jakie, brzydkie, kolory jakieś wypętlę, a domorośle krawcowe nie zawsze utalentowane, więc trudno było te ciuszki polubić. Hitem tamtych czasów były aksamitne, odświeżone sukieneczki dla kilkuletnich dziewczynek; najczęściej czerwone. Takie sukieneczki miały długie rękawy, marszczony dół, karczek zwany „szyjką” ozdobiony haftowanymi kwiatuśkami i biały doszywany kołnierzyk typu „bebi”. Szyto je z jakiś spódnic ocalałych sprzed wojny po babciach, z ubiorów niekiedy przysyłanych w paczkach z Ameryki czy kupionych okazynnie na „jarmaku” w Dębicy. Taka sukieneczka, zakładana na specjalne okazje, służyła wielu dzieciom; przechodziła ze starszych sióstr na młodsze, potem darowano ją krewnym lub znajomym.

Chłopców kilkuletnich ubierano w rozpinane koszulki, szyte według kroju tych dla dorosłych i w „portecki” na szelkach, których długość zazwyczaj kończyła się w połowie łydki. Często na dole były one zapinane na guziki. Wtedy ściśle opinały nogi i można było w nich schować – tak jak i w obowiązkowych kieszeniach – np. wykradzione w sadzie sąsiada smakowite jabłka czy jakieś chłopczyńskie skarby: sznurki, procę, składany nożyk, obgryziony kawałek ołówka czy parę gwoździaków.

Dzieci były radością rodzin, ich dumą i nadzieją, a bezdzietność – zawsze tragedią. Opinia publiczna była surowa i niesprawiedliwa wobec bezdzietnych kobiet; dociekliwie wypytywano o przyczyny, uważano to za karę Bożą lub inne zło. Gdy jednak – niezwykle rzadko – bezdzietne małżeństwo decydowało się na adopcję, również to krytykowano, a maluchy nazywano „kupnymi dziećmi”, odnosząc się do nich z niechęcią i z lekceważeniem.

Na szczęście dzieci rodziły się obficie. A jeszcze, gdy pierwszy urodził się syn, to rodzina pękała z dumy. Bo spłodzić syna było ambicją i miernikiem wartości każdego mężczyzny. Ci, którym rodziły się same córki, byli przedmiotem kpin i lekceważących uwag. Jedno z bobrowskich wesel odbywało się – wbrew tradycji – w domu chłopaka, bo panna pochodziła skądś z daleka i nie miała bliskiej rodziny, a rodzice Pana Młodego mieli tylko trzech synów, więc szans na urządzenie weseliska własnej córce – żadnych. Przyśpiewywano

wtedy podczas biesiady trochę żartobliwie, a trochę ironicznie: „A u Władków w sieni stokroć się zieleni, dziwujcie się ludzie, Władek „córę” żeni”.

Wszystkie więc kobiety zachodzące po raz pierwszy w ciążę marzyły o urodzeniu chłopca, obserwowały oznaki zapowiadające powicie upragnionego synka, cieszyły się, gdy miały apetyt na coś kwaśnego czy ostrego, wróżyły z kształtów zaokrąglającej się figury, z porannego samopoczucia czy z ogarniających je nastrojów.

Ale dziewczynki też były radością rodziców. Już od najmłodszych lat zaprawiały się do pełnienia przyszłej roli: żony i matki, a także gospodyni. Były to trudne funkcje; by im sprostać, trzeba było nie lada siły fizycznej, dobrego zdrowia, krzepy, wewnętrznej determinacji, gotowości do poświęceń i serdeczności. Natomiast chłopców od maleńkości przyuczano do pracy fizycznej, uczono zaradności, odpowiedzialności, odwagi, umiejętności podejmowania ryzyka. Te przekonania wyrażała między innymi weselna przyspiewka towarzysząca rytuałowi oczepin:

„Jak cie bedo cepić spojrzj do powały, żeby twoje dzieci corne łocka miały.

Jak cie bedo cepić spojrzj do komina, żebyś urodziła najpirszego syna.

Najpirszego syna, a potem córecke, żeby ci nosiła wody konewecke”.

W roku zakończenia wojny mój rocznik dał się w kołyskach robionych z drewna, nie wiedząc nic o skomplikowanym świecie, o wydarzeniach, które się działy wokół i zmieniały wszystko – niosąc nadzieję, ale też niepokój i strach. Ci, którzy urodzili się na początku roku 1945 byli jeszcze dziećmi wojny, ci z późniejszych miesięcy – już zwiastunami nowych porządków.

Gdy za oknami gęstniała ciemność listopadowych wieczorów, poruszone nogą bieguny kołyski zastygały w bezruchu, a migotliwe, mdłe światło lampy naftowej filowało na stole, rozpoczynały się długie rozmowy o nowym życiu, które właśnie się rodziło, o wydarzeniach, które miały zadecydować o przyszłości, o lękach i nadziejach.

A jakie ważne wydarzenia znamionowały ten niezwykle rok końca wojny i rodzenia się nowego, nieprzewidywalnego świata?

Styczeń 1945 roku był miesiącem wyzwolenia Warszawy: „Armia Czerwona rozpoczęła ofensywę na szerokim froncie, wyzwalała Warszawę i ziemie na zachód od Wisły. Ludność byłego GG była już wówczas u kresu sił [...]. Gdy w połowie stycznia ziemia i powietrze drżały od huku, kiedy przez wsie i miasteczka przeciągnął łoskot żelaznych gąsienic, a szosy i trakty leśne wypełniły się gwarem żołnierskich gromad, wędrujących na zachód [...], długie korowody wysiedleńców zaczęły nadciągać [...], ludzie szli pieszo lub wlekli się na wynajętych furmankach”²⁵.

Dla bobrowian ów styczeń był ważnym miesiącem nadziei – front wreszcie się ruszył na zachód i można było wracać z wysiedlenia, choć powracających czekało jeszcze wiele dramatycznych dni. Tak tę sytuację opisuje

Leopold Harla: „Wojna przecież nie całkiem się jeszcze skończyła, wciąż wymagała ofiar i ludzkich, i materialnych. Wróg nie jest do końca pobity. Wielu młodych ludzi musi iść do wojska, aby wziąć udział w ostatecznym rozgromieniu hitlerowskiej bestii”²⁶.

Ze względu na zaistniałą sytuację 19 stycznia generał Leopold Okulicki „Niedźwiadek” wydał dramatyczny rozkaz rozwiązania Armii Krajowej, a równocześnie w tajnym rozkazie skierowanym do komendantów regionów akowskich zobowiązał ich do aktywnej działalności na rzecz powstania prawdziwie niepodległego państwa. Wielu dowódców oddziałów pozostało jednak w podziemiu. Najsłynniejszy chyba – Zygmunt Szyndzielarz „Łupaszka” jeszcze długo walczył przeciwko nowym władzom.

27 stycznia Rosjanie wyzwolili obóz Auschwitz, uwalniając 7 tysięcy skrajnie wyczerpanych i wygłodzonych więźniów i odkrywając tajemnice niemieckich obozów zagłady.

W lutym 1945 roku odbyła się brzemienna w skutki konferencja w Jałcie, w której uczestniczyli przywódcy zwycięskich mocarstw: amerykański prezydent Franklin Roosevelt, premier Wielkiej Brytanii Churchill i wódz Związku Radzieckiego Stalin. To ten ostatni – jak mówiono – „rozdawał karty” przy podziale wpływów. Europę rozdzieliła z północy na południe „żelazna kurtyna”. Polska zmieniła dotychczasowy kształt i ustrój, straciła swój charakter i możliwość samostanowienia, gdyż dostała się pod rządy komunistów; a na froncie wciąż ginęli młodzi ludzie, choć koniec wojny wydawał się bliski.

Rząd Tymczasowy przeniósł się do zrujnowanej Warszawy, co usankcjonowało ją jako stolicę. Choć wielu uważało, że miasto zburzone w 85% powinno pozostać pomnikiem tragedii narodu, inni zaś, że państwa nie stać na odbudowę, więc należy stolicę przenieść gdzie indziej, to Bierut zdecydował inaczej. Kierując się sugestiami płynącymi z Kremla powołał Biuro Odbudowy Stolicy do oszacowania strat i sporządzenia planu podniesienia miasta z ruin. Wkrótce rozpocznie się akcja propagandowa i wielka akcja odbudowy, której koszty poniesie cały naród zgodnie z hasłem: „Cały Naród Buduje Swoją Stolicę”. Ale najpierw trzeba będzie zabezpieczyć ruiny i wywieźć 20 milionów metrów sześciennych gruzu. A gruby kożuch pyłu będzie wisiał w powietrzu przez kilka lat. Z rozbiórki różnych budowli, a nawet całych fragmentów zabudowy miast na Ziemiach Odzyskanych: z Wrocławia, Świdnicy, Legnicy, Brzegu wyruszą transporty wiozące potrzebną stolicy gotycką cegłę, odpowiednią dachówkę, posadzkowe płyty. Powstanie stolica łącząca cechy nowoczesnego, socjalistycznego miasta z ocalałymi fragmentami dawnej, zabytkowej zabudowy.

W marcu 1945 roku powstał Korpus Bezpieczeństwa, mający zajmować się ochroną urzędników państwowych i bezwzględnym zwalczaniem niepodległościowego podziemia. Do Warszawy na rozmowy ze stroną so-

wiecką zostało wezwanych szesnastu przywódców Polski Podziemnej, m.in. dowódca AK generał Leopold Okulicki. Zostali tam podstępnie aresztowani i wywiezieni na przesłuchania do Moskwy.

Ofensywa Armii Radzieckiej i państw sprzymierzonych – znaczone wieloma krwawymi bitwami – przynosiła w te wiosenne dni wyzwolenie kolejnym terenom zajęтым przez Niemców. Oczywiście w tej ofensywie brali udział też bobrowianie. Walczyli i ginęli, jak np. brat Bonisława Harli, który poległ pod Kołobrzegiem.

16 kwietnia rozpoczęła się bitwa o Berlin.

30 kwietnia żołnierze Armii Czerwonej wywiesili na gmachu niemieckiego Reichstagu zwycięską flagę. Hitler popełnił samobójstwo.

8 maja Niemcy podpisali kapitulację, a salwy armatnie ogłosiły koniec wojny. Polska witała wolność, która jednak niepokoiła i napawała lękiem.

W czerwcu odbył się w Moskwie jeden z najbardziej dramatycznych procesów politycznych przeciwko owym – wezwanym tam w marcu – 16 przywódcom Polski Podziemnej, których propaganda przedstawiała jako zbrodniarzy i zdrajców. Generał Okulicki skazany został na 10 lat więzienia. Mimo usiłowania władz, przedstawiających oficjalną wersję tych wydarzeń, zazwyczaj ludzie wiedzieli swoje i wyrażali te opinie podczas wieczornych spotkań sąsiedzkich.

Starsi mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa pragnęli przede wszystkim normalności; chcieli orać ziemię, siał, pracować; mieli dość tej strasznej wojny i oszukańczej polityki.

Ale młodzież rwała się, by uczestniczyć w życiu publicznym i działać na rzecz środowiska. Toteż w Bobrowej już „od wiosny 1945 roku wznawiają działalność organizacje polityczne i młodzieżowe, powstają nowe organizacje, wznawia pracę spółdzielnia spożywców „Społem” i sklep spółdzielczy, szkoła podstawowa prowadzi zapisy dzieci”²⁷.

Młodzi ludzie, którym najpiękniejsze lata dorastania zabrała wojna, często znacząc życiorysy straszliwymi tragediami i którzy nie mogli się doczekać wolności, pragnęli zmieniać swe życie i otaczający świat, uczyć się, pracować dla wspólnego dobra, przeprowadzać pożyteczne akcje, służące mieszkańcom wioski. Dlatego w najlepszej wierze przystępowali do istniejącego Związku Walki Młodych, głoszącego hasła tworzenia nowej, sprawiedliwej i nowoczesnej Polski.

„Koło Związku Walki Młodych” powstaje w Bobrowej już [...] w maju 1945 roku [...]. Przewodniczącym koła zostaje Bronisław Dziurgot, wokół którego już wcześniej skupia się duża grupa młodzieży. Dom Dziurgota przez długi czas spełnia rolę świetlicy. Codziennie wieczór zbiera się tu bobrowska młodzież i prowadzi namiętne dyskusje i spory”²⁸. Te spory dotyczyły istniejącej sytuacji politycznej i przyszłości Polski, bo młodzi bardzo różnili się

w swych poglądach. Wszyscy jednak cieszyli się z odzyskanej niepodległości, która oznaczała kres zmarnowanych lat.

Lato 1945 roku było gorące i burzowe.

6 lipca podpisano w Moskwie umowę repatriacyjną, która dała początek wielkiej, dramatycznej „wędrowce ludów”. Do ZSRR zaczęto przesiedlać ludność rosyjską, białoruską, ukraińską i litewską, a do Polski – z terenów, które zostały wcielone do Związku Radzieckiego – polską i żydowską. Kontynuacją tej „wędrowki ludów” była przeprowadzona w 1947 roku akcja „Wisła”, w czasie której na Ziemi Zachodnie wysiedlono z Bieszczadów 140 tysięcy rodzin Łemków, Bojków i Ukraińców. Na opuszczonych terenach osiedlano Polaków.

22 lipca minął rok od ogłoszenia Manifestu Lipcowego zawierającego zasady, na których organizowała się nowa władza komunistów, przesądzająca o przyszłości kraju.

2 sierpnia zakończyła się konferencja w Poczdamie. W tym też dniu nowe władze wydały dekret o amnestii dla żołnierzy podziemia; wciąż jednak trwały bratobójcze walki z tymi, którzy postanowili pozostać w konspiracji, nie godząc się z nową sytuacją polityczną. Brandys pisał: Wiosna i lato roku 1945 ubiegały na zażartych walkach [...]. Nie było linii frontu. Na tej wojnie strzelano zza drzew, z ciemności nocy, każdy trakt leśny, przydrożny rów czy wąwóz groził zasadzką²⁹.

A Stefan Korboński, ostatni Delegat Rządu na Kraj ubolewał: „Dalsze pozostawanie w wojennym podziemiu nie ma już sensu i celu. Jakież to jednak upokarzające, że ludzie z podziemia, ci najlepsi z najlepszych, zostali potraktowani jak przestępcy, którym wybacza się zbrodnie walczenia o Polskę. To jest po prostu haniebnie, ale trudno z tego powodu odrzucać ostatnią szansę”³⁰.

Nie wszyscy jednak zdecydowali się na tę „ostatnią szansę” więc owa „straszna gra” wciąż trwała. I wciąż odnosili rany i ginęli młodzi ludzie. Tak było z brygadą wspomnianego Zygmunta Szyndzielarza „Łupaszką”, który rozwiązał swe oddziały, ale wkrótce znów wrócił do partyzantki. Podobny los spotkał jednego z bohaterów Mikołajkowej powieści „Żegnajcie chłopcy”, dopiero po wojnie „kosztującego lasu” i rannego w jednej z potyczek. „Sokół siedział z automatem u szyi, trzymał jego głowę na swych kolanach. Co pewien czas wycierał mu krew z kącików ust. Bluszcz szedł obok furmanki”³¹. Koledzy próbowali rannego dowieźć do szpitala w Jelcu [Mielec?], ale – niestety – nie zdążyli.

Przeciwno „leśnym oddziałom” rozsianym w wielu regionach skierowano tak liczne siły, że można było mówić o prawdziwej wojnie domowej: „Ponad sto tysięcy żołnierzy. I ponad pięćdziesiąt tysięcy milicjantów. Kolejne sto tysięcy ormowców [...], trzy dywizje NKWD liczące około trzydziestu pięciu tysięcy żołnierzy”³². Podczas jednej z takich milicyjnych akcji jesienią 1945 roku w okolicach Nagoszyna funkcjonariusze dębickiego UB rozbili 40-osobowy oddział partyzancki pochodzący z powiatu mieleckiego.

Akowcy, którzy jeszcze niedawno czuli się bohaterami, teraz przeżywali ogromne dylematy. Bali się przyszłości, bo choć kusiły wezwania władz do wyjścia z podziemia, choć rozwieszone w wielu miejscach plakaty, artykuły w gazetach, i przemówienia głoszone w radiu i na wiecach zapewniały o bezpieczeństwie ujawniających się i o szansie włączenia się młodzieży akowskiej w odbudowę i rozwój kraju, to równocześnie codziennie szeptano o nowych aresztowaniach, o torturach i wyrokach śmierci. Taki los spotkał np. leśniczego z Nagoszyna, o którym wspomina Antoni Darlak ze znanej dębickiej rodziny, a który w czasie wojny przebywał w leśniczówce w Nagoszynie, gdzie schroniło się wielu wysiedleńców. Leśniczy był członkiem AK, a jego leśniczówka – punktem kontaktowym. Został aresztowany i skazany na długoletnie więzienie, bo pastuch, któremu ufano, okazał się oficerem UB.

Ci chłopcy, którzy ujawnili się i wstąpili do ludowego wojska, też przeżywali wielkie dramaty: „Służba wartownicza, wieczne patrole. I wzajemne łowy. Czyhali na siebie ci sami ludzie, którzy w czasie okupacji mieli wspólnego wroga. Teraz dzieliła ich codziennie pogłębianą nienawiść”³³.

Zbyt wcześnie dojrzali, skażeni śmiercią, czuli się wewnętrznie wypaleni i bali się przyszłości. Sokół mający osiemnaście lat zwierzał się koledze: „Cholernie boję się czasem swojego myślenia. Myślę o swoich rękach, do czego są zdadne, do czego zdatny jest mój mózg. Mózg i ręce.

– No, strzelasz, bracie, jak anioł.

– Ale nie umiem tańczyć. Nawet tańczyć”³⁴.

A Jarosław Brycki z opowiadania „Ślepe gwiazdy” – kapitan UB z partyzancką i frontową przeszłością ubolewał: – Każdy wyjazd już nie na akcję, lecz tylko zwyczajnie w teren mógł być ostatnim [...]. Powodowało to wewnętrzny zamęt, prowadziło do depresji, rodziło pytanie: dlaczego teraz, kiedy okupacja jest za nami musimy zabijać i kaleczyć się nawzajem, nie tylko fizycznie. Do tego dążyliśmy z takim uporem”³⁵.

6 sierpnia Amerykanie zrzućili na Hiroszimę bombę atomową, która zabiła ponad 100 tysięcy ludzi, a po trzech dniach – na Nagasaki, gdzie zginęło 40 tysięcy ludzi. A choroba popromienna zbierała jeszcze przez długie lata swoje straszne żniwo.

Jasyr odwiedzał właśnie matkę. „Nazajutrz dowiedział się o Hiroszimie. Killkaset tysięcy ludzi spłonęło. To było coś większego niż miliony spalonych w krematoriach, tamci płonęli latami, teraz wystarczyła sekunda”³⁶.

Pierwsza powojenna jesień również obfitowała w znamienne wydarzenia.

Na początku września skapitulowała Japonia. Druga wojna światowa przeszła do historii. Świat – straszliwie okaleczony – budził się do życia.

2 września w Warszawie powstało konspiracyjne zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość” mające na celu kontynuowanie działań niepodległościowych: obronę niezawisłości Polski i praw obywateli.

12 września peerelowski rząd unieważnił dotychczasowy konkordat i wkrótce opracowano nowe zasady polityki wobec Kościoła. Wprowadzono śluby i rozwody cywilne.

14 września organizacja UNRA – powołana do niesienia pomocy krajom dotkniętym wojną – podpisała z Polską umowę, na mocy której do 1947 roku otrzymaliśmy około 2 miliony różnych darów; począwszy od parowozów, traktorów, maszyn rolniczych, zboża, po leki, odzież czy różnorodne artykuły spożywcze.

W październiku Polska przystąpiła do Organizacji Narodów Zjednoczonych.

W listopadzie przyznano nagrodę Nobla Aleksandrowi Flemingowi za wynalezioną 17 lat wcześniej penicylinę, która w czasie wojny i tuż po niej ratowała życie tysiącom ludzi.

20 listopada w Norymberdze rozpoczął się przed międzynarodowym trybunałem wojskowym wielki proces zbrodniarzy wojennych, odpowiedzialnych za śmierć milionów ofiar. W skład tego trybunału wchodził sędziowie z USA, Wielkiej Brytanii, Związku Radzieckiego i Francji.

Na ławie oskarżonych o zbrodnie przeciwko ludzkości zasiadło 21 zbrodniarzy hitlerowskich. Posiedzenia, które z zapartym tchem śledził cały świat, trwały prawie cały rok. Wyroki śmierci wykonano w październiku 1946 roku, a popioły rozsypało nad obozem w Dachau. Oskarżony Herman Goering – marszałek Rzeszy, założyciel gestapo, twórca obozów popełnił tuż przed ogłoszeniem wyroku samobójstwo, Rudolf Hess – jeden z przywódców NSDAP – zmarł w więzieniu, Hans Frank – generał-gubernator, twórca gett i deportacji na roboty do Niemiec został powieszony, tak jak Joachim Ribbentrop – minister spraw zagranicznych. Wciąż ginęli też zwykli ludzie, a martwe ciała, czasem obdarte z ubrania, znajdowano porzucone na polach, w zaroślach czy w rowach. Tak było w wiosce mojego dzieciństwa, tak było w okolicy i w całej Polsce. Zakopywano pośpiesznie gnijące zwłoki, a w kilka lat później dokonywano ekshumacji.

W niedalekiej Machowej z przydrożnego rowu wykopano owinięte płaszczem ciało bohaterskiego żołnierza Werhmachtu, austriackiego grenadiera Ottona Schimka, przed rokiem rozstrzelanego za niesubordynację i dezercję, i pochowano je na pobliskim cmentarzu. Ten młodzieńcyk, mający w chwili egzekucji w machowskim lesie zaledwie 19 lat, był przerażony okrucieństwami wojny. Za odmowę rozstrzelania żołnierzy AK został uwięziony; początkowo prawdopodobnie w Dębicy lub w Pilźnie, a po próbie ucieczki przetrzymywany w piwnicach klasztoru Karmelitów w Lipinach. Przed egzekucją napisał do swego brata list, w którym znalazły się znamienne słowa o duszy, której przecież nie można zabić i o nadziei pośmiertnej nagrody.

Również w wiosce mojego dzieciństwa dokonano ekshumacji zwłok ofiar wojennych, m.in. z ogrodu Kozów obok kapliczki. Żołnierze przekopali i wyrównali teren, a szczątki zabrali na dębicki Cmentarz Wojskowy.

Nasza noblistka Wisława Szymborska pisała:

„Po każdej wojnie

ktoś musi posprzątać.

Jaki taki porządek

Sam się przecież nie zrobi”³⁷.

Mówiono, że przemiany na wsi zaczynały się od litery „A”, bo taki kształt miało urządzenie nazywane „kroczką”, składające się z dwu połączonych żerdeń, którym odmierzano ziemię przydzielaną chłopom na skutek reformy rolnej. Nie były to dni łatwe, a dzielenie ziemi – sprawiedliwe.

Bobrowa nie posiadała już od lat dwudziestych obszarniczego dworu, którego majątek można byłoby rozdzielić; wciąż istniał jednak duży „głód ziemi”, bo wieś była – mimo strat wojennych – bardzo przeludniona.

Leopold Harla pisze: „Nie był to problem nowy. Już przed 1939 rokiem Bobrowa posiadała znacznie większą gęstość zaludnienia niż wynosiła średnia powiatowa, liczona tak dla ludności wiejskiej, jak i dla powiatu ogółem. Po wojnie, w związku z dalszym przyrostem ludności [mimo strat spowodowanych eksterminacyjną polityką okupanta], problem stał się nadzwyczaj palący”³⁸.

Nie tak wyobrażali sobie wolność Polacy.

Pierwszy numer „Przekroju” z 1945 roku tchnie optymizmem:

„Wojna się kończy. Umiejmy odczuć całą radość nadchodzącego pokoju. Ale nie wolno nam zapominać, że koniec wojny, w naszym wypadku szczególnie, nie oznacza bynajmniej demobilizacji Narodu. Właśnie po wojnie czeka nas ogromny wysiłek odbudowy, który będzie wymagał od nas poświęcenia, dyscypliny, wytrwałości nie mniejszej, niż wymaga tego wojna od żołnierza frontowego.

W rezultacie tej wojny, w rezultacie naszego zwycięstwa, osiągniętego dzięki mądrej polityce Rządu Tymczasowego, uzyskujemy najlepsze rozwiązanie państwowe, jakie mogliśmy zyskać w naszych ciężkich warunkach. Ziemie, które zdobędziemy na zachodzie i nad Bałtykiem, pozwolą z gruntu zmienić całą naszą strukturę narodową. Przez reformę rolną i kolonizację ziem zachodnich staniemy się narodem podobnym do nowoczesnych narodów europejskich. Za kilka lat przeciętna stopa życiowa Polaka będzie bez porównania wyższa niż przed wojną. Dzieci chłopów bezrolnych z Rzeszowskiego czy Krakowskiego, którzy przesiedli się nad Odrę, czy na Pomorze będą miały zupełnie inne, jaśniejsze i bardziej syte dzieciństwo, będą miały młodość spędzoną w średnich szkołach, będą miały przed sobą drogi życiowe takie, o których marzyć nie mogły dziesiątki pokoleń polskich chłopów.

Mimo strat, mimo cierpień, których odrobić nie można, dostaliśmy szanse historyczne kolosalnie ważne.

Od nas będzie zależało, czy je wykorzystamy, czy prędko zbudujemy nowe, demokratyczne państwo polskie, czy potrafimy wyzyskać owoce zwycięstwa orężnego. Wojna się kończy. Szykujemy się do wielkiej kampanii odbudowy”³⁹.

Trudno było mieszkańcom wioski mojego dzieciństwa wierzyć w te zapewnienia. Gdy zaczynaliśmy stawiać pierwsze, niepewne jeszcze kroczki, na rynku w Dębicy stawiano szubienicę, by powiesić na niej akowców.

Jeden z bohaterów „Żegnajcie chłopcy” – Bluszcz, czekający na wyrok w więzieniu, ma wizję śmierci, która go wkrótce osiągnie: „Nie widać domów ani kwiatów, zniknęły kasztany. Prostokąt rynku wyrwał się z mgieł i nie ma już ciszy. Słońce oślepia, tłumy ludzi gną się jak zboża na wietrze. Wszyscy patrzą na trzy wielkie bramy, których tu nigdy nie było. Wolno zbliża się do nich odkryta ciężarówka.

Przystanął. Maria mocno obejmuje jego ramię. Chce go zmusić do dalszej drogi.

– Nie, przecież to ja.

– Ty?

– Tak. Pośrodku. Ten pośrodku to ja. Odejdź, Mario.

Zobaczył przestrach w jej oczach [...]. Ciężarówka sunie wolniej niż robak po wielkiej szosie, ale i tak o wiele za szybko; zajeżdża między ludzi, zawraca, cofa się. On widzi sam siebie między dwoma innymi, poznaje i tamtych. Maria też go chyba zobaczyła, bo coraz mocniej obejmując jego ramię, mówi:

– Uciekaj, jeszcze jest czas.

– Nie”⁴⁰.

To dramatyczne wydarzenie, które miało miejsce na dębickim rynku tak wspomina Antoni Darlak: „Prowizoryczną szubienicę konstrukcji bramowej postawiono dokładnie przed oknami mieszkania Pendereckich w odległości około 40 metrów [...]. Egzekucja odbyła się zgodnie z obowiązującym regulaminem [...]. Czas egzekucji wyznaczono na środę w południe, w dzień targowy, w którym Rynek był wypełniony tłumnie. Chodziło władzom wyrażnie o zastraszenie społeczeństwa i wymuszenie w ten sposób zaprzestania walki podziemnej z komunistycznym reżimem”⁴¹.

Powieszono wtedy trzech żołnierzy „Mściciela”, dowodzącego oddziałem Narodowych Sił Zbrojnych liczącym ponad 35 żołnierzy, którzy nie złożyli broni i organizowali różne akcje zbrojne przeciwko nowej władzy. W czasie jednej z nich podczas strzelaniny, jaka wywiązała się w okolicach Grudnej schwytano 13 członków oddziału; 5 skazano na śmierć, w tym 3 powieszono właśnie 10 lipca na dębickim rynku. Wybrano – jak podkreślił Darlak – dzień targowy, gdy rynek był pełen ludzi. Przyprawdzono też starszą młodzież szkolną.

Być może świadkami tego strasznego wydarzenia byli też mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa, licznie przecież jeżdżący w środy na targ do Dębicy. Nigdy jednak o tym nie opowiadali.

Zwłoki powieszonych zakopano potajemnie na cmentarzu, ale członkom WiN-u udało się oznaczyć to miejsce, by później uczcić bohaterów. Scenę egzekucji potajemnie sfilmowano, a kliszę przemyciono na Zachód i upowszechniono w angielskiej prasie, ale zarówno autor zdjęć – członek AK i WiN-u Józef Stec, jak i posiadacz kopii fotografii – lekarz Stefan Zdanowski [w czasie wojny szef służby sanitarnej AK] zostali na skutek donosu aresztowani i skazani na wieloletnie więzienie.

Kolejne lata naszego dzieciństwa też obfitowały w brzemienne w skutki wydarzenia. Trafnie ujęła to Ewa Lipska; też z rocznika 1945:

„A myśmy biegli przez trawniki,
gdy rozstrzygały się losy historii”⁴².

We wrześniu 1948 roku stanowisko sekretarza generalnego PPR objął Bolesław Bierut, a w grudniu tegoż roku powstała PZPR, która realizowała plany umacniania państwa socjalistycznego.

Na początku lat pięćdziesiątych Bierut skupił w swym ręku niemal dyktatorską władzę. Był prezydentem, prezesem Rady Ministrów, Przewodniczącym Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego i I Sekretarzem Komitetu Centralnego PZPR. Zastraszenie i propaganda – charakterystyczne dla kultu jednostki – działały według najgorszych wzorów sowieckich. Konstytucja z 1952 roku, którą podobno osobiście zatwierdzał Stalin, dawała tylko pozory demokracji, a w rzeczywistości była wyrazem polityki rządu całkowicie zależnego od ZSRR. Więżono działaczy opozycji i tzw. wrogów ustroju.

Sytuacja prostych ludzi była wciąż bardzo trudna, choć obiecywano szybkie podniesienie stopy życiowej mas pracujących miast i wsi powyżej poziomu przedwojennego.

Plan Trzyletni miał odbudować gospodarkę, zwiększyć zatrudnienie, wykorzenić biedę dręczącą zwłaszcza mieszkańców wsi, a państwo miało równo traktować wszystkie trzy sektory gospodarki: państwowy, spółdzielczy i prywatny, co wkrótce okazało się złudzeniem. Zaczęto tępić „prywaciarzy”, przejmując ich warsztaty pracy czy sklepiki.

Wciąż tragiczną sytuację kraju tłumaczono tym, że dopiero ruszyła odbudowa przemysłu, że najważniejsze jest na razie zagospodarowanie Ziemi Odzyskanych, umacnianie obronności, odbudowa miast, ale że trzeba wierzyć w lepszą przyszłość i włączać się w dzieło budowy nowego państwa. Szczególnie propagowano wspieranie odbudowy stolicy, żądano też przekazywania datków na działalność różnych instytucji. Załatwiając jakieś sprawy w urzędzie musiało się kupować tzw. „cegiełki”; a to na PCK, a to na odbudowę Warszawy czy na TPD. Różne pisma urzędowe, a nawet świadectwa

szkolne miały nalepione znaczki różnych opłat, bez których nie można było niczego załatwić. Znów cukier był na kartki.

Propaganda ukazywała jednak rzeczywistość w optymistycznych barwach i sławiła zaangażowanie Polaków w tworzeniu nowej rzeczywistości. Szczególnie stawiano na młodych, ale wielu z nich – np. mając za sobą przeszłość akowską – nie chciało angażować się po stronie władzy. Dlatego stworzono nową organizację, która mogła przyciągnąć młodzież, dając szansę działalności i awansu nawet najbiedniejszym, najmniej zorientowanym politycznie i najslabiej wykształconym. W lipcu 1948 roku zorganizowano we Wrocławiu Kongres i Zlot Zjednoczeniowy Młodzieży Polskiej, na którym cztery działające dotąd organizacje zostały przekształcone w jedną: Związek Młodzieży Polskiej. Organizacja ta miała jednoczyć młodych ludzi: aktywnych, chcących zdobywać wiedzę, uczestniczyć w życiu społecznym, robić kariery i włączać się do budowania nowego systemu politycznego i społecznego.

My – ci „już ze spokojnych doniczek” – nie pamiętaliśmy innych czasów, dlatego od małego starano się na nas oddziaływać. Wymyślono dla nas nowe hasła i nowy język propagandy. „Było to pokolenie, które można było w pełni wychować, jednym słowem było to pokolenie, z którego można było zrobić budowniczych tego systemu”⁴³. Obiecywano, że wkrótce nadejdą piękne czasy, gdzie zostanie spełniony socjalistyczny ideał życia: „Od każdego według zdolności, każdemu według potrzeb”. Hasło to dorośli w swych dyskusjach komentowali słowami popularnego powiedzenia: „Obiecanki cacanki, a głupiemu radość”, ale wielu młodych przyjmowało je z wiarą i nadzieją.

Pod wpływem agitatorów młodzież, zwłaszcza wiejska, opuszczała przebudniane, biedne miejscowości, wstępując do paramilitarnej organizacji ZMP. Junackie brygady podejmowały pracę na wielkich budowach, w kamieniołomach, meliorowały pola, uruchamiały linie kolejowe, odgruzowywały miasta, pomagały w kołchozach. Przy okazji młodzi ludzie zdobywali podstawowe i zawodowe wykształcenie.

Propaganda gloryfikowała aktywistów, zetempowców, budowniczych, ludzi zaangażowanych, postępowych. W urzędach, na budynkach publicznych, w prasie i radiu zaroiło się od krzyczących plakatów i propagandowych haseł: „Niech żyje PZPR – awangarda klasy robotniczej”, „Plan sześćioletni – siła i dobrobyt Polski Ludowej”, „Niech żyje sojusz robotniczo-chłopski” itp.

Równocześnie pojawiły się nowe słowa na określenie tych, którzy nie nadążali, nie rozumieli, stali z boku lub krytykowali działania władz: reakcjonista bumelant, kułak, szkodnik, spekulant. Tacy ludzie stawiali się przedmiotem kpin i ostrej krytyki; pojawiali się na plakatach i satyrycznych rysunkach w gazetach; zawsze jako wstrętnei, głupi, pazerni i budzący oburzenie. Już w 1945 roku powstał znamieny plakat Tadeusza Trepkowskiego

przedstawiający wielki bucior z cholewą depczący syczącą żmiję z napisem: „Zgnieciemy szkodników”⁴⁴.

Wkrótce zaroilo się od tego typu twórczości.

Bobrowianie widywali codziennie takie plakaty, załatwiając urzędowe sprawy w Gromadzkiej Radzie, w urzędach gminy w Żyrakowie czy w różnych instytucjach w Dębicy.

Działania władz, oparte na zasadach życia przejętych od Sowietów – choć głosiły wolność społeczną i dobro człowieka – bezpardonowo walczyły z własnością prywatną, odrzucały wielowiekowe wartości pielęgnowane przez pokolenia, kpiły z narodowych tradycji; szczególną walkę prowadziły też z chrześcijańskim światopoglądem, uznanym za przejaw wstecznictwa i zabobonu.

Jeszcze w kwietniu 1947 roku w pogrzebie generała Karola Świerczewskiego – którego uznawano za narodowego bohatera – brali udział duchowni, ale już przygotowywano się do bezpardonowej walki z Kościołem. Nawoływano do całkowitej laicyzacji życia, likwidacji nauki religii i usuwania krzyży. Ale bobrowianie strzegli wiary, trwali przy Bogu i Kościele – jedynej nadziei w tym tak trudnym czasie, gdy każdy dzień był wypełniony ciężką pracą i troską o podstawowe potrzeby: o zapewnienie chleba, odzienia, opał. Wciąż oszczędzano na wszystkim, harowano od świtu do nocy, choć już niezbyt wierzono, że w zaistniałej sytuacji ma jeszcze jakikolwiek sens stare przysłowie, że „Oszczędnością i pracą ludzie się bogacą”.

– To chyba gdzie indziej, nie u nas – komentowano ze smutkiem.

Nasza chatka, do której wprowadziła się młoda rodzina jeszcze w czasie wojny, wyglądała nędznie; była stara, niska, z krzywym piecem i słomianym dachem. Ale rodzice dbali o czystość, o kwiatki w oknie i umiecione podwórko. Było w niej ciepło, schludnie i miło. Takich chałupek było po wojnie wiele w wiosce mojego dzieciństwa, a także w całej okolicy. Trwały jeszcze przez wiele lat – ciągle naprawiane, ale coraz bardziej rozsypujące się i zapadające w ziemię. Dziś prawie nie ma po nich śladu, chyba, że na starych fotografiach i w pamięci mieszkańców.

W „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas” czytamy: „Dom [...] składał się zwykle z jednej dużej izby i obok położonej komory i stajni, a z tyłu usytuowanej wozowni. Wszystko to było stawiane z drzewa i kryte słomą [...]. Chaty, choć obszerne, były dość niskie, pochylone pod ciężarem dachów słomianych. Drzwi [...] zasuwane grubym drągiem tzw. zaporą. Okna były małe”⁴⁵.

Brakowało podstawowych sprzętów. Reperowano stare meble, wykonywano też nowe; często prymitywne, byle jakie, brzydkie, ale niezbędne. Wkrótce w pejzażu Bobrowej i okolicznych wsi zaczęły się też pojawiać nowe domy.

Tylko nieliczne rodziny, na skutek ożywionej propagandy zachęcającej do osiedlania się na tzw. Ziemiach Odzyskanych, opuszczały swoje wioski.

Autorzy „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas” piszą: „Część mieszkańców gminy Żyraków wyjeżdżała na tzw. Ziemie Odzyskane, bo tam łatwiej było zacząć nowe życie, a część odbudowywała domy i zabudowania gospodarskie zniszczone przez działania wojenne”⁴⁶.

Przez Polskę przetaczała się wówczas prawdziwa wędrówka ludów. Dekretem PKWN w październiku 1944 roku powołano Państwowy Urząd Repatriacyjny odpowiedzialny za transport i zagospodarowywanie terenów opuszczonych przez Niemców. Z przedwojennych ziem polskich na wschodzie wcielonych po wojnie do Związku Radzieckiego przesiedlono na zachód ponad dwa miliony ludzi, wielu wracało tam z frontu, z obozów, z wygnania. Wielu też uległo zapewnieniom władz o czekających na Ziemiach Zachodnich szansach na lepszą przyszłość.

Leopold Harla pisze o różnych rodzajach emigracji zarobkowej bobrowian: „Były tu dwie zasadnicze możliwości: osadnictwo wiejskie na Ziemiach Odzyskanych i częściowo na terenach południowo-wschodnich oraz przeniesienie się do pracy w miastach, również na terenach Ziem Odzyskanych. Z pierwszej możliwości skorzystało w Bobrowej stosunkowo niewiele, zaledwie kilka rodzin. Wielokrotnie więcej osób, głównie młodzieży, podjęło pracę w miastach Ziem Odzyskanych [Wrocław, Gdańsk, Szczecin] oraz innych miejscowościach. [...] Zarówno w pierwszych latach po wyzwoleniu, jak i następnych była to w większości młodzież”⁴⁷. Znaleźli się wśród tych osób m.in. Aleksander Bacher, Bronisław Dziurgot, Antonina Lipa, Tadeusz Mikołajek, Zbigniew Janora, Eugeniusz Skowron.

Ogólnie z powiatu dębickiego w latach 1945-1948 wyjechało na Ziemie Zachodnie ponad 14 tysięcy osób. Niektórzy wracali, nie znajdując w obcym świecie szczęścia i swego miejsca, by zostać tam na zawsze, tak jak Stanisława i Władysław Skowronowie z wioski mojego dzieciństwa.

Edek z „Żegnajcie chłopcy” wyjaśnia przyczyny tej sytuacji: „Ludzie wyjeżdżali na zachód i często wracali. Co mi z dziesięciu czy piętnastu hektarów, z maszyn, sam się będę do nich zaprzęgał?”⁴⁸.

Wielu też szukało na ziemiach opuszczonych przez Niemców porzuconego przez nich dobytku. „Propaganda przedstawiała Dolny Śląsk i dawne Prusy jak krainę mlekiem i miodem płynącą, gdzie na każdego czekają luksusowe wille z pełnym umeblowaniem, a na ulicach leżą skarby porzucone przez Niemców”⁴⁹.

W wiosce mojego dzieciństwa też plotkowano, że Niemcy, opuszczając swe domostwa, pozostawili tam wiele bogactw, które – teraz niczyje – stają się własnością wszystkich chętnych. Ktoś dostał nawet list od znajomego, który tam wyjechał, potwierdzający te plotki i zapraszający w odwiedziny. Ojciec, nasłuchawszy się tych opowieści i zachęcany przez kolegów, zdecydował się wziąć udział w takiej eskapadzie. Wraz z grupą rówieśników – może

w nadziei znalezienia czego wartościowego, a pewnie bardziej z chęci przeżycia niezwyklej przygody [był przecież młody, odważny, silny, a życie codzienne wlokło się szare, zgrzebne, pełne lęków i zmartwień] i odwiedzenia kolegi, wyruszył w drogę. Po dwu dniach mama szalała z niepokoju, bo już sama podróż pociągiem – przeładowanym, często na dachach, w strasznym tłoku lub w bydłych wagonach – była bardzo niebezpieczna. Jechało się w nieznane, sytuacja na Ziemiach Zachodnich była jeszcze nieustabilizowana, słyszało się o morderstwach, zaginięciach i innych strachach. Wszędzie tam spotykało się ruiny, niewypały, szajki szabrowników, podejrzane indywidua z bronią, milicyjne łaziki; można było tę eskapadę przypłacić kalectwem, więzieniem, a nawet życiem.

Jeden z bohaterów powieści Ewy Stachniak „Konieczne kłamstwa”, który udał się do Wrocławia, zachęcany hasłami o czekających na tych ziemiach świetnych warunkach do osiedlania się, tak wspominał tużpowojenny Wrocław: „To był prawdziwy Dzik Zachód [...]. Nad pustymi ulicami wciąż unosił się gryzący dym. Na pokrytych czerwonym pyłem chodnikach walały się połamane meble, żołnierskie hełmy, niemieckie i rosyjskie, porzucone tobołki. Tylko szczury poruszały się bez lęku, nawet w świetle dnia [...]. Na ulicach leżały zwłoki i kłęby szmat, drogę tarasowały przewrócone tramwaje i resztki barykad skleconych ze stołów, łóżek, krzeseł i kredensów [...]. Bo wtedy Dolny Śląsk był ziemią niczyją. Rajem dla szabrowników, schronieniem dla przesiedleńców i ludzi politycznie podejrzanych. W tym mieście można było zniknąć, zaszyć się bez śladu. Ale można tu było dostać nożem w plecy albo zginać od zabłąkanej kuli”⁵⁰.

Po kilku dniach ojciec wrócił poszarzały i milczący. Nie wiemy, co przeżył. Nie chciał o tym opowiadać; przynajmniej nam, dzieciom. Stwierdził tylko, że już nigdy w życiu nikt nie namówi go na taką wyprawę, choćbyśmy mieli umrzeć z głodu. Przywiózł jakiś mały pakuneczek owinięty w gazetę. Było w nim lusterko, które znalazł porzucone na jakimś gruzowisku. Choć było mocno sfatygowane, służyło nam przez wiele lat, wisząc w kuchni na ścianie. Wreszcie, gdy już nie można było rozpoznać rysów przeglądających się w nim osób, postanowiono je wyrzucić, tym bardziej, że mama domagała się kupna modnej „psychy”. Bo w latach pięćdziesiątych owa psycha był to hit meblowy; taki rodzaj toaletki z niskimi szufladkami na dole i dużym lustrem w ramach, umieszczonym nad nimi. Prawie każda młoda kobieta z wioski mojego dzieciństwa musiała mieć taką psychę, w której wreszcie mogła oglądać całą swoją postać. I wtedy okazało się, że pod tekturą, okrywającą od tyłu stare lusterko są jakieś papiery. Zawierały konspiracyjne chyba – pisane niezbyt wprawnym piórem informacje, dotyczące jakichś okupacyjnych spotkań czy akcji; były daty, nazwiska czy pseudonimy, określenia miejsc i za-

szefrowane słowa. Początkowo wszystkich interesowały, ale potem o nich zapomniano i przepadły gdzieś – niestety – na zawsze.

Jaki obraz widział w tym lusterku ojciec, goląc się starą brzytwą, na ostrzoną na skórzanym pasie, służącym specjalnie do tego celu – no i do straszenia nas laniem? Nigdy do tamtych wydarzeń nie wracał.

Razem z siostrą oglądałyśmy w tym lusterku swoje „ulyzane” fryzurki, kokardy ze wstążek odpowiednio składanych i wkładanych do metalowych spinek zaciskanych na czubku głowy, loczek nad grzywką zakręcany na palcu przez mamę i umocowywany okropnie drapiącymi wsuwkami, coraz dłuższe mysie warkoczki zaplatane tak mocno, że naciągały skórę koło uszu, dodatkowo utrwalane przez mamę wygładzeniem ostatniego wymykającego się kosmyka poślinionym palcem, by – jak mówiła – nie wisiały paskudne „lyce”. Pilnowała też – jak wszystkie mamy z wioski mojego dzieciństwa – by „granica” [czyli przedziałek] biegła równiutko przez środek głowy. Takie fryzury miały wszystkie koleżanki z klasy. Tylko niektórym dziewczynkom – gdy już skończyły sypać kwiatki podczas procesji, w czasie których należało mieć włosy rozpuszczone jak anioły na świętych obrazkach – mamy pozwalały obciąć warkocze. Ale wzorem dla nas miały być długie warkocze dwu córek lekarza Dygdonia z Nagoszyna, które zawsze sypały kwiatki, idąc tyłem w pierwszej parze przed księdzem krocącym pod baldachimem; z pięknie rozpuszczonymi włosami. Sypać kwiatki w pierwszej parze było nie lada wyróżnieniem; tylko pod ich nieobecność udawało się innym dziewczynkom dostąpić tego zaszczytu.

Za najpiękniejsze uważało się włosy kręcone, ale tylko nieliczni mogli się nimi pochwalić, bo prawie wszyscy mieli proste, szare i niesforne.

Jedynie z okazji Pierwszej Komunii Świętej – i czasem z okazji sypania kwiatków w dzień odpustu – miałyśmy rozpuszczone włosy kręcące się po całonocnych, bardzo ściśle splecionych warkoczach. Szczytem piękna były loki zwinięte w rurki, opadające na ramiona. Mama rozgrzewała w ogniu pieca specjalne żelazne nożyce wyglądające jak narzędzie tortur, a przypominające troszkę dzisiejszą lokówkę i wkładając w nie papier sprawdzała, czy są odpowiednio rozgrzane. Papier dymił, przypalał się i śmierdział, a my z duszą na ramieniu poddawałyśmy się temu upiększaniu. Rurki rodziły się piękne, ale częstym efektem ubocznym były strupki po oparzeniach na czole czy uszach. Rozpalone nożyce niszczyły strasznie włosy, dlatego były w użyciu tylko w sytuacjach wyjątkowych. Zresztą wszystkie niemal ówczesne zabiegi „upiększające” fryzury były ryzykowne.

Jedną z nich była trwała ondulacja. Podobno są na świecie trzy rzeczy wieczne: wieczne pióro, wieczna miłość i – właśnie – wieczna ondulacja. I chyba to prawda, lecz płyny w dzisiejszych zakładach fryzjerskich, sposoby wykonywania „trwałej”, stosowane odżywki są już zupełnie inne. W czasach

mojego dzieciństwa prawie wszystkie „nowoczesne” kobiety robiły sobie „łondulacje”, która straszliwie niszczyła włosy, ale dawała mocny, trwały skręt; modny i wygodny. Znany w Dębicy i okolicy fryzjerski zakład Barana, zwłaszcza przed świętami, był pełen ochotniczek „trwałej”. Znacznie później wymyślono płyny do robienia ondulacji w domu, co było praktyczniejsze i tańsze, ale jeszcze bardziej zabójcze dla włosów. Wymyślono też „trwałą” wykonywaną na specjalnych wałkach podłączanych do prądu. Nie wiadomo, ile było ofiar tego eksperymentu, dość, że go wkrótce zaprzestano. Ale „trwała” wciąż żyje. Trochę później przysłała moda tapirowania włosów, czyli „kołtunienia” pasemek gęstym grzebieniem dla uzyskania efektu napuszonej fryzury, ale długo nie była u nas akceptowana. Tradycyjne, starsze kobiety pozostawały przy dawnych fryzurach; nosiły koczki – najczęściej upięte nisko na karku, zaplatane i podpinane kościanymi, ozdobnymi zapinkami, warkocze poprzypinane długimi drucianymi szpilkami przy głowie, czy krótkie, proste włosy, najczęściej ukryte pod chustkami.

Kobiety w starszym wieku niespecjalnie dbały o fryzury i pielęgnację urody. Zresztą prawie nikt nie myślał o modzie; nie było na to czasu, pieniędzy i sprzyjających okoliczności.

„Gomułka, ówczesny dyktator partyjny i jego urzędnicy próbowali wmówić kobietom PRL-u, że Polka powinna wyzbyć się arystokratyczno-burżuazyjnych naleciałości w postaci ciągotek do upiększania się i pozostać surowa, prząsna i mieć postawę kołchoźnicy. Mile widziane były muskuły, chustki na głowie, a z biżuterii najwyżej zegarek i obrączka. No, najlepiej srebrna, bo oddanie złotej na budowę stolicy było zaszczytem”⁵¹.

Mężatki – także młode, nawet w lecie nosiły perkalowe chustki kryjące włosy. Idąc do kościoła, do krewnych czy do sklepu zakładały odświeżne lekkie chustki bawełniane lub jedwabne. Pewnego lata w modę weszły tzw. „gazówki” – chustki bardzo cienkie, przeźroczyste, wykonane ze sztucznej tkaniny w kwiatki. W każdą niedzielę kościół barwił się tymi kolorowymi gazówkami wiązanymi czasem pod szyją, a częściej z tyłu głowy. Gdy zdarzyło się, że ktoś założył w pośpiechu chustkę tak, że wierzchni róg był krótszy, zaraz drwiono z niego mówiąc, że ma chustkę ubraną „do góry śmichem”. W zimniejsze dni zakładano cieplejsze chustki wełniane; niekiedy drogie i piękne, przedwojenne lub pochodzące z amerykańskich paczek. Były to tzw. „tybetówki” zwane też „dybetówkami” z wzorem w kolorowe kwiaty, z delikatnej tkaniny; być może sprowadzanej właśnie aż z Tybetu. Taka chustka była chlubą gospodyni; oszczędzała ją i ubierała tylko od święta. Była też oznaką dobrobytu, dodawała powagi, budziła szacunek i zazdrość innych kobiet. W zimowe dni starsze kobiety zakładały dodatkowo na głowę ciepłutkie jak koc, wełniane „pletówki”; najczęściej w ciemną kratę.

Młode dziewczyny i bardziej nowoczesne mężatki lubiły chodzić z gołymi głowami. Ciocia Staszka miała piękne, grubaśne „warkole” sięgające poniżej kolan, które rozczesywała kościanym grzebieniem na podwórku i splatała w dwa warkocze spadające wzdłuż ramion. Siostra mojej koleżanki Ceśki, mająca też piękne, gęste włosy zaplatała warkocze i upinała je wokół głowy jak koronę. Na co dzień dziewczyny zazwyczaj wiązały włosy w koński ogon zwany „kitkom”, lub zaplecione warkocze przeplatały na krzyż i podwiązywały przy głowie. Taką fryzurę nazywano „gretkom”.

Długie, zadbane warkocze były powodem dumy i były bardzo cenione przez mężczyzn, więc dziewczyny prawie nigdy nie obcinały włosów na krótko. Dbały o nie, używając różnych naturalnych środków wzmacniających. Myły w deszczówce, w kurzym żółtku rozbitym z wodą, płukały w wywarze z rumianku, pokrzyw czy w rozcieńczonym soku z kiszonej kapusty, natłuszczały brylantyną, starannie je rozczesywały i zaplatały. Jednak nigdy włosów rozpuszczonych nie nosiły poza domem, bo to było czymś niedopuszczalnym, zuchwałym. Rozplatały je tylko w zaciszu domowym, by cieszyć ich widokiem i oczarowywać męża. Warkocz tradycyjnie należało obciąć Pannie Młodej w czasie oczepin, ale wielu mężczyzn zabraniało tego swym młodym żonom, gdyż kochali te dziewczynskie warkocze, tak jak Piotr, bohater powieści „A jak królem, a jak katem będziesz”: „Pomyślałem jednak o Heli, o jej jasnym warkoczku tak poręcznym do owijania wokół dłoni, żeby przechylić jej głowę i [...] całować ją aż po korzonki włosów”⁵².

Chłopcy nie mieli problemów z fryzurami. Maluchom golono po prostu głowy zostawiając co najwyżej samą grzywkę. Było to wygodne i chroniło przed wszami, które tuż po wojnie były powszechną plagą. Starsi chłopcy nosili króciutkie włosy zaczesane do przodu, też wygodne i nie wymagające grzebienia. W ogóle nie zwracali uwagi na swe fryzury. Aż pewnego dnia zauważało się radykalną zmianę. Chłopak przychodził do szkoły z włosami zadartymi do góry, utrwalonymi na jakiejś brylantynie lub rozmoczonym cukrze i z wielgaśnym grzebieniem wystającym z tylnej kieszeni spodni, którym co chwilę zaczesywał niesforne kosmyki przyzwyczajone do układania się w innej pozycji.

Pierwszym chłopakiem z naszej klasy, który zapoczątkował modę na fryzurę zadartą do tyłu i co chwilę ślinioną dla zachowania szpanerskiego kształtu był Wiesiek z Końca, trochę od nas starszy i bardziej doświadczony, gdyż pomagał ojcu w handlowaniu końmi. Patrzyliśmy na niego z podziwem, a koledzy z zazdrością. Wkrótce wszyscy chłopcy z klasy mieli na głowach zadarte „jeżyki”; dobitny znak – tak, jak i ukradkiem popalane papierosy – wkraczania w dorosłość.

Najwięcej dzieci, podobnie jak ich rodzice, miało włosy o nieciekawym kolorze brązowawo-szarawym, myszowatym; rzadziej spotykało się włosy o kolorze dojrzewającego zboża czy prawdziwych blondyneków o typowo

słowiańskiej urodzie; zdarzali się też bruneci o włosach bardzo ciemnych, a nawet kruczoczarnych. Wszystkie te barwy były przyjmowane jako naturalne. Najgorzej miały dzieci o włosach rudych, zazwyczaj skręcających się w loczki. Dodatkowo najczęściej miały one też jasną cerę, rumieniającą się na słońcu oraz piegi. Traktowane były trochę jak odmienne; wyszydzane i izolowane podczas dziecięcych zabaw. I było jak w popularnej piosence śpiewanej przez Marię Koterbską: „Brzydula i rudzielec niby nic a znaczy wiele, niby nic a spróbujcie raz być brzydulą tak jak ja”. Piosenka była żartobliwa, brzydule wyrastały na piękne dziewczyny, włosy rude weszły w modę, ale przykre wspomnienia z dzieciństwa na pewno „rudzielcom” pozostały.

Starsi mężczyźni dbałość o fryzury ograniczali do minimum.

Często w niedzielne przedpołudnia umawiali się na strzyżenie u któregoś z sąsiadów. Zasiadali na krześle w kuchni lub latem na podwórku i okryci jakąś zapaską gospodyni ucinali sobie pogawędkę w czasie, gdy właściciel maszynki do golenia – niekiedy amerykańskiej, z paczki, podziwianej i każdorazowo zachwalanej – „produkował” im fryzury. Najważniejsze było to, żeby odsłaniały kark i były wygodne. Włosy – niezbyt krótkie – zaczesywano do góry i obowiązkowo formowano koło uszu solidne baczki. By żadne kosmyki nie spadały na czoło i na oczy noszono niekiedy małe, okrągłe czapeczki mające formę rzadkiej siatki przylegającej do głowy, zrobione z kolorowej włóczki na szydełku przez matki lub żony. Mężczyźni lubili też czapki z daszkiem zwane czasem „leninówkami”, które zawsze nosili z fantazją. Mikołajek tak o tym wspomina:

„Przy wszystkich ich opowiadaniach największą rolę grały czapki. Każdy, kiedy mówił, bez przerwy przesuwiał swoją na głowie. Raz daszek dotykał nosa, za chwilę niemal prostopadle sterczał do góry. Raz czapka na prawym, raz na lewym uchu. Wszyscy pochodzili z okolicznych wsi”⁵³.

Wielu mężczyzn, zwłaszcza starszych, goliło się tylko przy święcie. Nosili też brody, a jeszcze częściej – wąsy. Każdy dorastający chłopak z niecierpliwością i uwagą wyczekiwał pierwszego, „wykluwającego” się zarostu, by wreszcie nie być lekceważonym przez starszych gołowąsem. Młodzi woleli wąsy małe, podkreślające męskość, a niekłopotliwe. Natomiast niektórzy staruszkowie lubili wąsiska długie, które w takcie rozmowy podkreślali ręką jak niegdyś sarmaci, a na noc zakładali na nie opaski, zwane „bindamy”, by się nie zdeformowały podczas spania.

Włosy myło się zazwyczaj raz w tygodniu, deszczówką. Zbierało się ją podczas deszczu, podstawiając jakąś miednicę czy wiadro pod rynnę. Była to woda miękka i wtedy jeszcze czysta. Używało się szarego mydła, a do płukania dodawało octu lub wywaru z pokrzyw, rosnących obficie na wszystkich podwórkach i cenionych też jako wartościowy składnik strawy dla świnek. Tak umyte włosy, choć po tych zabiegach miały niezbyt piękny zapach, były

zdrowe i lśniące. Niektórzy używali nawet do ich płukania nafty. Jedna z moich szkolnych koleżanek właśnie tak „pielęgnowała” swe włosy, ale choć były bujne i gęste, to jednak odstraszały; zawsze tłuste i niezbyt ładnie pachnące. Do celów leczniczo-kosmetycznych stosowano też sok z piołunu, który działał bakteriobójczo i był wykorzystywany w walce z wszawicą. Piołun czyli bylica rósł – jak pokrzywy, łopian czy lebioda – na każdym niezagospodarowanym miejscu. Rozrastał się bujnie rozwijając swe popielatozielone, filcowate, owłosione liście. Na dorodnych gałązkach pojawiały się drobniotkie niepozorne, srebrzystobiałe kwiatuszki zebrane w grona. Misternie wykrojony liść – roztarty na dłoni, pachniał intensywnie i smakował gorzko.

Swoje pierwsze pryszcze oglądałyśmy w modnych lusterkach kieszonkowych: prostokątnych lub okrągłych, ze zdjęciem jakiejś aktorki czy aktora na odwrocie. Były nieodzownym „gadżetem” noszonym w kieszonce szkolnego fartucha, a zdjęcia zamieszczonych tam młodzieżowych idoli – tematem rozmów, a nawet wymiany.

W domach, gdzie mieszkali mężczyźni było zawsze lustro do golenia. Wykrojona w prostokąt szyba pomalowana z jednej strony farbą i podklejona papierem była umieszczona w ramce stanowiącej podpórkę. Ten niewyszukany przedmiot był nieodzownym rekwizytem w czasie rytuału golenia. Bowiem ta czynność nie była zwykłym zabiegiem pielęgnacyjnym, a czymś więcej; właśnie rytuałem.

Tak zapamiętał go Ludwik Nowakowski: „A golenie to był cały ceremoniał [...]. Odbywało się zawsze przy kuchennym stole [...]. Ojciec zasiadał do niego tylko na taborecie, nigdy na krześle. Zaczynało się od przygotowania akcesoriów, a tego było trochę. Najpierw lustro na nóżce, a potem układane na kawałku ręcznika: brzytwa zawinięta w cienką irchę, miseczka, pędzel, mydło, kawałek starej gazety do wycierania brzytwy, lapis do ewentualnego tamowania krwi przy zacięciu; na koniec, troszkę dalej butelka wody kolońskiej. Wszystko to miało określone miejsce na tej niewielkiej przestrzeni, leżało równiutko, zawsze tak samo, w jednakowych odstępach. Co jakiś czas przed goleniem ojciec ostrzył brzytwę na kawałku szarego kamienia [...]. Robił to z największą uwagą i bardzo starannie [...]. Przy żadnym z zajęć nie widziałem go tak skupionego. Tym właśnie nabożnym skupieniem nadawał temu, skądinąd prostemu zabiegowi jakąś magię. Spluwał na kamień i ostrzył brzytwę powolnymi, rytmicznymi ruchami. Potem sprawdzał efekt na wyrwanym ze skroni włosie.

– No, wyostrzona na glanc – mówił z zadowoleniem i z takim samym namaszczeniem przystępował do dalszych czynności [...]. Woda musiała być letnia, przegotowana, nalewana z czajnika do porcelanowej miseczki tuż przed namydleniem. Kładł ręcznik na kolana, moczył koniec pędzla w miseczce dobrą chwilę, aż namiękł i spokojnym ruchem nawilżał zarośnięte policzki [...],

zapieniał mydło na brodzie [...]. Namydliwszy się, z mikołajową brodą z białej piany brał ostrą brzytwę i jeszcze przed pierwszym pociągnięciem na policzku kilkanaście razy przeciągał ją wprawnym ruchem po skórzanym pasku, który specjalnie do tego celu wisiał u stołowej nogi. To był stary, wojskowy pasek, szeroki, z porządnej skóry [...]. Dopiero po odprawieniu całego rytuału zaczynał golenie. Lewą ręką sięgał za prawe ucho, naciągał skórę policzka i zaczynało się rytmiczne, metaliczne chrzesczenie [...], sprawdzał potem wierzchem dłoni każdą stronę, czy wystarczająco gładka⁵⁴.

Takie sceny miały miejsce w każdym domu i na pewno pamiętają je nie tylko moi bobrowscy rówieśnicy.

A oto późnojesienny pejzaż wioski mojego dzieciństwa. Ciężka mgła wisi nad opustoszałymi polami, oplątuje nagie gałęzie w sadach, osiada na dachach, na płotach, na trawie. Ze strzech i z dachówek kapie wciąż woda, siąpi przykry kapuśniaczek; szaro, mokro, zimno. Wiatr hula po polach, naginając nagie drzewa. W takie smętne, ponure, deszczowe dni „rozciągało” się wełnę kupioną na targu lub u kogoś ze wsi, bo w wielu gospodarstwach hodowano owce.

Mikołajek wspomina: „W stajni beczały cielęta, baran trykał rogami w furtkę ogrodu. Ostrożnie [...] zbliżałem się do niego. Kiedy wyciągnąłem ręce, żeby dotknąć miękkiej wełny, poczułem kilka uderzeń po nogach. Gubiąc bućki uciekłem do ganku, a stary gąsior sycząc pędził za mną wyciągając szyję”⁵⁵.

Prawie wszystkie wiejskie dzieci nosiły na nogach ślady kontaktów z różnymi zwierzętami domowymi. Uciekaliśmy z podwórek przed rozbrykanymi żrebakami, rozzłoszczonymi indorami, a pewnego dnia przed groźnym baranem ciotki Staszki, który – drażniony przez dzieciaki idące gościńcem – nagle pokonał furtkę i ruszył pędem za umykającymi co sił w nogach malcami. Najmłodsi nie mieli szans. Dopadł jednego z nich i tak pucnął go rogami, że ten padł jak podcięty kłos; sam zaś majestatycznie odszedł, dumnie potrząsając twardym łbem zdobnym w potężne, zakręcone rogi i lekceważąc swą ofiarę, drącą się wniebogłosy.

Długie, jesienne wieczory wypełnione były pracą. Przy naftowej lampie, gdy dzieci odrabiały zadania czy głośno czytały, kobiety prasowały, szyły, reperowały odzież i worki na przyszłoroczne ziarno, dziergały na drutach, haftowały, przędły wełnę. Mężczyźni łuskali groch, rozłupywali na drobne szczapy przyniesione z podwórza kawałki drewna, oskrobywali karpiele i buraki, naprawiali drobne narzędzia i sprzęty. Wszyscy krzatali się, wykonując – jak zawsze – odwieczne prace i rytuały i z pokorą przyjmując kolejne wydarzenia, kolejne odmiany pór roku; zawsze ufając Bożej opiece.

A my, dzieciaki – cieszyliśmy się wszystkim, co przynosił każdy kolejny dzień, każdy miesiąc i rok: słońcem i deszczem, śniegiem i mrozem, wiatrem, burzami, gwiazdzystym niebem, srebrną poświatą księżyca, przezroczystością poranków i mleczną mgłą.

Choć roraty zaczynały się zawsze o godzinie szóstej, a więc wychodziło się na nie z domów jeszcze czarną, późnojesienną nocą, były wśród mieszkańców wioski mojego dzieciństwa bardzo popularne. Bardzo lubiła je moja babcia Józia – kobieta pobożna, mądra, doświadczona i niezwykle pracowita. Opatulona w ciepły pled w kratę, w ciężkich trzewikach włożonych na grube, wełniane skarpety – wraz z sąsiadkami prawie codziennie przemierzała długą drogę do kościoła w Nagoszynie. A kościół – jeszcze usypiony – powoli wypełniał się okutymi w grube ubrania ludźmi, rozbłyskiwały przy ołtarzu migocące ogieńki świec, które zapalał organista, zaspany chłopak w ministranckiej komeżce pociągał za wstęgę sygnaturki, umieszczonej w drzwiach zakrystii, a jej dźwięk natychmiast ożywiał panującą ciszę, przerywaną tylko czymś tłumionym kaszlem i milkł aż pod wysokim, jeszcze mrocznym sklepieniem. Był to znak dla organisty czekającego już na chórze, by zaintonować adwentową pieśń, rozpoczynającą poranne nabożeństwo: „Niebiosą roś spuszczajcie z góry, Sprawiedliwego wylejcie chmury”...

Dzieci było niezbyt dużo; wkrótce – znużone, zmarznęte i niedospane – podrzemywały lub wierciły się niespokojnie. Ale dorośli byli bardzo rygorystyczni; zaraz je upominali, zachęcali do śpiewania i do wspólnych modlitw.

Pewnego razu sąsiadka umówiła się na roraty z moją chrestną, ale ona nie mogła się jej dobudzić. Zaniepokojona zaczęła walić pięściami w okno. Wreszcie otworzył gospodarz, na pół przytomny. Zaczął rozbudzać domowników i otwierał wszystkie okna na oścież. Okazało się, że śpiący prawie ulegli zaczadzeniu, co zdarzało się, bo domy były opalane węglem, piece nie zawsze szczelne, a izby starannie zamykane przed uciekającym ciepłem. Tak to roraty ocaliły sąsiadów przed tragedią.

Prawie wszyscy mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa chętnie brnęli przy świetle latarek przez błotniste, albo już przyprószone śniegiem ścieżki czy przez zamarzające kałuże, by dotrzeć na te piękne nabożeństwa, niosące nadzieję na rychłe Boże Narodzenie. W kieszonce zawsze nieśliśmy pienią-

żek na ofiarę. Nawet najbiedniejsi rzucali na tacę choćby drobną monetę, wierząc – jak to pisał Władysław Syrokomla – iż „Pan Bóg taki hojny, że co dasz w ofierze to – mówią – odda sto razy”¹.

Gdy wracaliśmy do majaczących w oddali domów, granatowe niebo stało się szare, a pierwszy świt przedzierał się dopiero przez mrok ustępującej nocy. Rodził się nowy, zimny, grudniowy dzień.

W imieniny Barbary pilnie obserwowaliśmy pogodę, bo przecież „Święta Barbara po wodzie, to Boże Narodzenie po lodzie”. I wszyscy się cieszyli, gdy zbliżające się święta zapowiadały się białe i mroźne. A w radiu już od rana rozbrzmiewała marszowa muzyka. To orkiestry górnicze budziły mieszkańców Śląska, obwieszczając górnicze święto – Barbórkę, która tuż po wojnie była jeszcze „Barburką”. W szkole robiliśmy wysokie czapki z pióropuszem i śpiewaliśmy o Karliku, który niósł w koszyku „perlik stalowy do roboty gotowy”.

Był to też czas oczekiwania na przyjście Świętego Mikołaja. W tamtych biednych czasach, gdy rzadko delektowaliśmy się słodyczami, wizyta tego Świętego Dobroczyńcy była nie lada świętem, choć prezenty znajdowane pod poduszką były – z dzisiejszego punktu widzenia – ubożuchne. Ale i tak na to wydarzenie wyczekiwało się długo i starało się być grzecznym, o czym przypominały ciągle ostrzeżenia rodziców: – Tylko różgę dostaniesz! Któregoś szczególnie trudnego roku zobaczyłyśmy z siostrą włożone w poręcz naszego żelaznego łóżka dwie gałązki świerkowe, a na nich dyndające cukierki w kolorowych papierkach. Pod poduszką znalazłyśmy jeszcze bloki rysunkowe i świecowe kredki. Nasze koleżanki i koledzy chwalili się podobnymi skarbami. Cóż, jakie czasy, takie prezenty! A i tak pewnie bardziej nas cieszyły te drobiazgi niż dziś cieszą dzieciaki drogie, wymyślne, piękne zabawki i smakowite łakocie.

Jak piękne były takie poranki, gdy pakowaliśmy cenne zdobycze, by pochwalić się nimi w szkole! Za oknem witał nas świat pokryty spadłym w nocy śniegiem; czystym i świeżym, na którym widniały tylko drobne ptasie ślady wyglądające jak tajemniczy napis w niezrozumiałym języku.

Nic nie wiedzieliśmy o istnieniu jakiegoś Dziadka Mroza, Gwiazdora czy o prezentach wkładanych pod choinkę na Gwiazdkę. Był tylko jeden taki święty dobroczyńca – biskup w czerwonym płaszczu, znany wszystkim dzieciom i przez nie kochany – Święty Mikołaj.

Po wizycie Świętego Mikołaja zaczynały się przygotowania do świąt Bożego Narodzenia. Mamy kupowały kolorowe, papierowe główki aniołów, krepinę nazywaną u nas „bibułom”, „złotko” czyli kolorowy staniol i wieczorami doklejały tym aniołkowym główkom bibułkowe skrzydła i marszczonę – niebieskie lub różowe sukienki, a dzieci doczepiały nitkowe wieszaczki i już piękne aniołki były gotowe, by wyfrunąć na choinkowe gałązki. Wieczorami – tak jak inne dzieciaki – posrebrzałyśmy też orzechy specjalnym proszkiem i owijałyśmy w kolorowe bibułki kamyczkowe cukierki, których

nie wolno było skosztować aż po zlikwidowaniu choinki nazywanej w wiosce mojego dzieciństwa „drzewkiem”. Dopiero wtedy przynosiłyśmy je do szkoły i obdzielaliśmy kolegów w nadziei, że kolejne dni też będą słodkie, bo choinki „rozbierano” w różnym czasie, a wszystkie dzieci chętnie dzieliły się – również z tymi, którzy nie mieli w swoich w domach choinek.

Także w szkole robiliśmy choinkowe ozdoby: łańcuchy sklejane z kolorowego papieru i „pawie oczka” z kilku różnej wielkości barwnych kółek naklejanych jeden na drugi; od największego po najmniejszy.

Wiele rodzin – zwłaszcza wielodzietnych i biednych – rezygnowało z choinek. Za to znowu w niektórych domach stawiano drzewka ogromne, szerokie i sięgające do sufitu. U naszej sąsiadki Anieli zajmowało ono prawie pół pokoju. Pięknie pachniało lasem, było przybrane prawdziwymi bańkami z cieniutkiego, zdobionego w piękne wzorki szkieleta, pieczonymi, lukrowanymi pierniczkami i długasnymi łańcuchami – wykonanymi z kawałków słomki, pomiędzy którymi znajdowały się różnokolorowe bibułkowe „harmonijki”. W naszym domu choinka była dość skromna, choć nigdy nie był to jakiś pokraczny „chojok”. Patrzyłyśmy z radością, jak ojciec osadzał pachnącą lasem jodełkę w starym, zmyślnym stojaku z trzema nóżkami mającymi kształt siedzących krasnali. I zaraz zawieszało się na niej – oprócz wyklejonych wcześniej bibułkowych aniołów – cukierki i jabłka, i przypinało na specjalnych „żabkach” kolorowe, cieniutkie świece.

Te świece, choć stwarzały niepowtarzalny, czarowny nastrój, bywały – niestety – przyczyną pożarów, dlatego po zelektryfikowaniu Bobrowej w 1954 roku na choinkach pojawiło się oświetlenie elektryczne. Ojciec specjalnie celebrował wykonywanie tego nowoczesnego oświetlenia: powoli malował żarówki, podciągał kabel, montował wtyczkę. Byliśmy zachwyceni, choć – z dzisiejszego punktu widzenia – były to ordynarne, duże żarówki, nierówno pomazane; chyba akwarelami. Wszyscy jednak chwalili wynalazek i przez kilka lat, zanim pojawiły się w sklepach maleńkie żaróweczki choinkowe, zdobiły bobrowskie drzewka takie właśnie koszmaki. Niestety, czas pachnących i migocących prawdziwych świeczek minął chyba bezpowrotnie.

Najdłużej choinki stały do święta Matki Boskiej Gromnicznej, ale wtedy wyglądały już dość żałośnie, bo były „objedzone” ze wszystkiego, co się dało, a i same drzewka – zawsze przecież prawdziwe, bo sztucznych „wynalazków” jeszcze nie było – niezbyt zdobiły izbę uschniętymi, opadającymi igłami. Ale w czasie świątecznym wypełniały nasze domy czarowną aurą, zapachem lasu, światłem i czymś nieuchwytnym, co w tamtych smutnych czasach niosło otuchę i nadzieję. Rodzice pilnowali, by nie zjadać niczego z choinki. Nie zawsze jednak wystarczało nam silnej woli, więc po kryjomu podkradaliśmy cukierki, zwijając papierki na powrót tak, by wyglądały na nienaruszone. Po

świętach, wśród niejadalnych aniołów, łańcuchów i baniek, wisały smętnie na choince; nieszczęśni świadkowie naszych dziecięcych słabości.

Grudniowe dni miały powoli: czasem już mroźne, czasem mokre, szare, wietrzne i smętne. Dorośli – okutani w co tam kto mógł – jechali na „jarmak” do Dębicy, by zrobić konieczne przedświąteczne zakupy. Tuż po wojnie niekiedy rozdzielano też amerykańskie dary z UNRY, czyli Organizacji Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy, które były dla mieszkańców wioski prawdziwym rarytasem. „Paczki „od cioci UNRY” były [...] obiektem pożądania większości Polaków. Czego tam nie było; puszkowana wieprzowina i bekon, ser cheddar w kolorze intensywnie pomarańczowym, kawa nesca, masło solone i orzechowe, czekolada”².

Choć wielu mieszkańców uważało, że podział tych darów nie był do końca sprawiedliwy, ale cieszą się nimi i z podziwem delectowano nowymi smakami.

Pewnego razu przed świętami mama przywiozła z Dębicy niezwykle pachnące pomarańczowe kule, które wystąla w długiej kolejce. Zdobiły choinkę, a potem – delikatnie obrane ze skórki, którą się smażyło z cukrem, by dodawać ją do pieczonych ciast – były wspaniałym rarytasem o niezapomnianym smaku i aromacie.

Małgorzata Tulli pisała: „Dwa razy w roku w sklepach pokazywały się pomarańcze. Kupowano je dla nas za prawdziwe pieniądze, które nazywano twardą walutą i których naszemu państwu zawsze było trochę szkoda, bo miało ambicję, żeby nas karmić jak najtaniej. Tak oto, w drodze łaski nieuzasadnionej żadną zasługą, mieliśmy okazję przed świętami wejść w posiadanie drogocennych pomarańczy, płacąc za nie naszymi, nic niewartymi talonami i aluminiowymi żetonami z orłem bez korony. Ale tych pomarańczy było mało, nie wystarczyło dla wszystkich. Żeby wejść w ich posiadanie, trzeba było stanąć w długiej kolejce, z nadzieją, że nie zabraknie, zanim dojdziemy do lady. Cytryny pokazywały się nieco częściej, tak samo nienależne. W mgnieniu oka, jeszcze zanim zaczęto je wypakowywać z dostawczego samochodu, przed sklepem ustawiała się długa kolejka. Tłumaczono nam, że w kraju, z którego pochodzą, niewielu może sobie na nie pozwolić. Ale wszyscy się domyślali, że to bujda”³.

Radio z entuzjazmem podkreślało troskę władzy ludowej o swych obywateli, pozwalając śledzić drogę tych egzotycznych owoców do naszego kraju. Informowano: a to, że właśnie wypłynęły z portu Hawana na Kubie, a to, że już dopływają do Gdyni, a to, że już są rozładowywane, a na koniec, że już pojawiły się w sklepach. I wtedy kto tylko mógł, ustawiał się w długich kolejkach i cierpliwie czekał, licząc na to, że może uda mu się zdobyć choć trochę tego rarytasu dla „dziecek” na święta.

Pewnej zimy, zgodnie z przysłowiem mówiącym, że jak na Barbarę przy-
mrozi, to Boże Narodzenie będzie „po wodzie”, po okresie silnych jak na gru-
dzień mrozów i śniegów, tuż przed świętami ociepliło się, a delikatny biały
puch całkiem stopniał. Święta Bożonarodzeniowe bez śniegu? Niemożliwe!
Z niepokojem i nadzieją patrzyliśmy z siostrą w niebo.

I w samą Wigilię, gdy ojciec wniósł do izby zieloną, pachnącą lasem cho-
inkę, zauważyliśmy, że na jego czapce i na ramionach skrzą się małe, białe
płatki szybko topniejące w cieple kuchni.

– Śnieg! Śnieg! Szybko wkładałyśmy czapki, płaszczyki i biegłyśmy na
podwórze, cieszyć się, że Święta – jak zawsze – będą białe i śliczne. I tak
właśnie było.

Na Wigilię czekali wszyscy jak na święty czas, wierząc, że maleńki Jezu-
sek, który się urodził dwa tysiące lat temu w betlejemskiej stajence, urodzi się
znów, by być z nami, by nas wspierać i by błogosławić „Ojczyznę miłą”, „nasz
dom i majątność całą i wszystkie wioski z miastami”. Nie oczekiwaliśmy pre-
zentów, bo przecież nie było zwyczaju obdarowywania się na Gwiazdkę. Nie
było też stroików czy jemioły pod powałą. Tam wisiał „świat” robiony przez
ojca z kawałków opłatków, które oddawałyśmy z żalem po złożeniu wigilij-
nych życzeń, w czasie których tylko poszczypywałyśmy ich bieluśkie brzegi.
Opłatki były traktowane jako coś świętego. Leżały w bezpiecznym miejscu
i czekały na ten jedyny dzień w roku. Oglądałyśmy delikatnie wytłoczone na
nich sceny biblijne ujęte w kształt koła, sprawdzałyśmy ich niezwykłą lekkość
i kruchość. Ojciec wycinał te opłatkowe koła, nacinał i łączył tak, by powstał
rodzaj kulistej gwiazdki przypominającej z daleka kształt naszej planety. To
był właśnie „świat”. Zawieszony pod sufitem na cienkiej nitce, lekko falując
przy najmniejszym ruchu powietrza, pięknie ozdabiał izbę przez całe święta.

Przygotowania do Bożego Narodzenia zaczynały się – oczywiście – już
miesiąc wcześniej, właśnie roratami, gdy śpiewaliśmy: „Spuście nam na
ziemskie niwy, Zbawcę z niebios, obłoki”, rekolekcjami i spowiedzią, w której
uczestniczyli chyba wszyscy mieszkańcy wsi. My, dzieci – idąc do spowiedzi
całowaliśmy rodziców w rękę w geście przeprosin, przepraszali się także do-
rośli. Szkoda, że ten piękny obyczaj odszedł do lamusa historii.

Od 13 grudnia, kiedy to przypadały imieniny świętej Łucji, gospodarze
bacznie obserwowali pogodę, bo kolejne dni, aż do Bożego Narodzenia, były
zapowiedzią pogody na każdy miesiąc przyszłego roku. Starsi ludzie prze-
konywali, że ta wróżba zawsze się sprawdzała więc codziennie skrupulatne
zapisywali w kalendarzach uwagi o deszczu, śniegu, słońcu czy mrozie.

A w domach odbywały się generalne porządki. Bielenie kuchni było do-
meną kobiet. Najpierw udawały się „na jarmak”, dosiadając się do sąsiadów,
którzy jechali do Dębicy furmanką. Przywoziły pędzel z prosa, przygotowy-

wały wapno z wodą, do którego wsypywały trochę „ultramaryny” – siwej farbki do bielizny, też przywiezionej z „jarmaku” w papierowej torebce.

Po wyniesieniu sprzętów, nakryciu papierami podłogi i pieca – bardzo sprawnie, prawie nie rozchlapując farby – mama odnawiała sufit i ściany, aż stały się bielutkie z odcieniem błękitu, czyste i świeże. W starym domu bieliło się też piec zrobiony z cegły i ciągle okopcony koło drzwiczek. Potem myło się wszystko tak, że nie było żadnego śladu bielenia. Tak było w każdym domu.

Kobiety – nawet przy małych przymrozkach – myły też okna. Używano do tego ciepłej wody z octem, który jak wapno był świetnym środkiem dezynfekującym, a potem glancowały szyby do sucha zmiętymi kartkami gazet. Okna błyszcząły i zdawały się być większe, zwłaszcza, gdy przyozdobiono je czyściutką, wykrochmaloną firanką zrobioną na szydełku w przeróżne wzory i watą ułożoną na parapecie, służącą jako uszczelnienie. Potem myło się kaflowy piec i meble, szorowało szczotką ryżową drewniany blat kuchennego stołu i podłogę z jasnych desek.

Czasem kupowało się też w Dębicy drobne ozdoby lub blaszane foremki do ciastek, a wtedy pierniczki – które potem wieszano na choince – miały kształt grzybków, gwiazdek, rombów, rybek czy kółeczek. Pieczone dużo wcześniej i zamknięte szczelnie w metalowym pojemniku, na święta stawały się kruche, miękkie i delikatne. Przekłuwałyśmy je – pięknie polukrowane – i nawlekaliśmy na nitki, a gdy nie mogłyśmy się oprzeć, by nie schrupać jakiegoś ciasteczka, udawałyśmy, że samo się pokruszyło.

Pieczenie świątecznych ciast trwało kilka dni. Zbierało się wcześniej jajka, ser, masło, kupowało „zapachy” zwane też „olejkami”, by potem mieszać „kucić”, „ucirać”, ubijać, ugniatać, wałkować – i wreszcie piec w „brandurze”; zawsze ze strachem, że ciasto opadnie, zrobi się zakalec lub składniki źle się połączą i nie wyjdzie wyrośnięte i „kreche”. Nie było oczywiście mierników temperatury czy sygnalizacji czasu wypieku, dlatego wyznaczano jednego z domowników do pilnowania placka. Zerkał on co chwilę na zegar, a pod koniec pieczenia otwierał delikatnie „brandurę” i ostrym końcem metalowego druta do robienia swetrów delikatnie przebijał gorący miąższ. Gdy okazywało się, że po wyjęciu drut był suchy, a kolor i wygląd wypieku zadowalał gospodynię, można było wyciągnąć go i ułożyć na wcześniej przygotowanej deseczce.

Gdy pojawił się „prodziż”, pieczenie placków stało się łatwiejsze, a efekt doskonalszy, choć i on czasem zawodził ku zmartwieniu gospodyń, oglądających z przerażeniem przypalony lub zakalcowaty wypiek. Ale najczęściej placki udawały się piękne, dorodne i smakowite.

Mężczyźni zazwyczaj uciekali wtedy z domu, znajdując sobie zawsze jakąś niezwykle pilną robotę na podwórzu, w stajni czy w stodole, lub wyruszali „na wieś” załatwiać nie cierpiące zwłoki sprawy. Dzieci starały się pomagać dorosłym, choć więcej było z tego kłopotu niż pożytku; do pracy

włączały się też babcie, bo dla każdego było jakieś pożyteczne zajęcie. Kupowaliśmy w sklepie drożdże, bacząc, by były świeże, jasne, wilgotne i pachnące orzechowo. Roztopione w ciepłym mleku z łyżeczką cukru były podstawą wspaniałych, słodkich plaków drożdżowych; pulchnych i żółciutkich od dodanych hojnie żółtek, cudnie smakujących z miękkim, domowym masłem i białą kawą lub świątecznym „kakałem”.

Dziewczynki od małego pomagały w kuchni mamom. Ubijałyśmy pianę z białek, „przepuszczaliśmy” dwa razy przez maszynkę z korbą niesforną, rozsypujący się bez przerwy, rozmoczony mak, „kręciłyśmy” w drewnianej makutrze ser aż ręce mdlały, myłyśmy stos brudnych naczyń i sprzątałyśmy niezwykle bałagan, nie mogąc się doczekać, aż pięknie pachnące i rumiane wypieki wynurzą się z przepaścistego piekarnika.

Gdy gotowe „syrowce”, strucle makowe, pierniki i drożdżowe bułki ostygły, można było je kosztować; chociaż tylko troszeczkę, bo przecież były przeznaczone na święta.

Gospodynie cały dzień nie zdejmowały fartucha z przodzikim, zwanego zapaską. Początkowo te zapaski szyto z kolorowego kretonu, a potem z dederonu. Ów dederon zrobił w szybkim czasie zawrotną karierę, a hitem – który przetrwał do dziś – stała się podomka z tego materiału zakładana na sukienkę.

Popularne czasopismo „Przyjaciółka” – zgodnie z panującym wówczas trendem – ogłosiło konkurs na polską nazwę obco brzmiącego „szlafroka”. Wygrała właśnie nazwa „podomka”. Ta rodzima, polska podomka zyskała też swoistą formę: rozpinanego z przodu chałatu bez rękawów, z dużymi kieszeniami, w których znajdowaliśmy zawsze jakiś cukierek, drobne ciasteczko czy parę groszy. Miała mnóstwo zalet. Była tania, zgrabna, kwiecista, lekka, łatwa do prania, szybko schnąca i nie wymagająca prasowania. Nie można się więc dziwić, że tak polubiły ją wszystkie wiejskie kobiety.

Przed świętami piekło się też chleby. Pieczenie chleba to był cały rytuał przekazywany z pokolenia na pokolenie. Najpierw robiło się w glinianym garnuszku – tylko do tego służącym – zakwas z żytniej mąki i wody, który musiał dojrzewać w cieple przez kilka dni. Potem dodawało się go do przesianej przez sito mąki i wyrabiało baaardzo długo, aż ręce mdlały, a ciasto stawało się pulchne, lekkie i gładkie, i „odchodziło” od dna drewnianej „dziżki”. Bo do pieczenia chleba były w każdym domu używane specjalne akcesoria: „dziżka”, deska, na której bochny wjeżdżały do pieca, drewniana paca do zsuwania chlebów z deski i metalowa „kociuba” do rozgarniania żaru. Żar musiał być odpowiedni; w piecu palono drewnem z dodatkiem kilku węgielków, pilnowano właściwej temperatury i czasu wypieku. Od jakości wyrobionego ciasta, temperatury żaru i czasu wypiekania bardzo wiele zależało.

I choć nie było żadnych specjalnych mierników, każda doświadczona gospodyni doskonale umiała zrobić wszystko akuratnie. To była mądrość

wyuczona przez podglądanie mam, przez ich wskazówki oraz własne próby i doświadczenie.

Gdy ciasto rośło i gdy piekło się w piecu, należało być cicho i nie „przetwierać się”, czyli nie otwierać drzwi, żeby nie było przeciągów aż do chwili, gdy gospodyni decydowała, że chleb już „doszedł”. Otwierała wtedy ostrożnie przepastne wnętrze pieca. Najpierw wionął na izbę cudowny zapach, nie mający sobie równych, a potem pojawiały się wciągane na pacy pięknie zbrązowiałe bochny. Lubiłyśmy, gdy chleb trochę popękał, bo ta część – chropowata i stwardniała, zwana „skaruchom”, posmarowana masłem, jeszcze parząca w ręce – była najsmaczniejsza. Czasem, gdy zostały na dnie dzieżki resztki ciasta po sformowaniu bochenków, piekło się małe podpłomyki, zwane „podskrobkami”; też pyszne.

Wspomnienia z dzieciństwa wielu ludziom kojarzą się właśnie z pieczeniem chleba. Poetka Urszula Kozioł w „Postojach pamięci” z rozrzewnieniem wspomina „bochny chleba podsypane białymi otrębami [...] z charakterystycznym dołkiem pośrodku, wyciśniętym przez palec, brzuchate bochny z owym pępkiem w środku, parujące wonią polną [...]”; od spodu przyłgnęły drobne węgielki drzewne i popiół⁴.

A „chłopski pamiętnikarz” Stanisław Sikoń z Wielkiej Wsi pisze: „Kładło się na łopatę ciasto. Łopata była posypana mąką, aby się ciasto do niej nie przylepiło. Dłonią się ciasto na łopacie równało i zostawał cienki placek, w którym się jeszcze palcami lub łyżką znaki robiło, i smarowało się je żółtkiem lub serem, i tak się do pieca wsadzało, i za 10 – 15 minut te placki, zwane podpłomykami były już upieczone. Te placki były bardzo smaczne”⁵.

Gospodyni brała kolejne bochny do ręki, opukiwała skórę sprawdzając, czy jest odpowiednio wypieczona i czy nie ma zakalca. Następnie pocierała ręką zmoczoną w wodzie wierzchy aż syczały i dymiły. Gdy przestygły, brała jeden z chlebów, robiła nad nim znak krzyża i kroila wielkim nożem grube pajdy, którymi karmiła wszystkich czekających na tę chwilę.

Nic nie mogło dorównać smakowi świeżutkiej kromki, czyli „skibki” lub „przyłypki” – przysmaku wszystkich dzieci. Wyszarpywaliśmy jeszcze ciepłe kawały lub wgryzaliśmy się w cudnie miękki miąższ pachnący słonecznym latem. Gdy jakieś okruszki spadły na podłogę, podnosiło się je, całowało, zdmuchiwało ewentualny kurz – i pałaszowało. Bo chleb był wyjątkowym, niemal świętym pokarmem, szczególnym Bożym darem. To właśnie o chleb prosiliśmy codziennie Boga w najważniejszej modlitwie, której nauczył ludzi sam Jezus: „Chleba naszego, powszedniego daj nam dzisiaj”. Nikt się nie ważył go marnować czy wyrzucać.

Jeden z bohaterów powieści Jerzego Fąfary „Pomruk” tak tłumaczy chłopski szacunek dla chleba: „Od dziada pradziada niczym chleb rozkroisz, znak krzyża na nim rysujesz nożem. I czego tak ludzie od dawien dawna ro-

bili? Ano właśnie od tego, że [...] zboże to jak paciorki rozsypane przez pana Boga, to jakby w niebie różaniec się urwał Najwyższemu po to, by zakiełkować tu na naszych [...] polach i przemienić się w chleb nasz powszedni”⁶.

Upieczone chleby – choć starczały na cały tydzień – do końca zachowywały świeżość i smak.

Honorem każdej gospodyni było upiec chleb jak najlepszy, co było sztuką nie lada, a hańbą – taki z zakalcem czy ze skórką odchodzącą od „łosródki”. Tę prawdę wyrażała żartobliwa ludowa przyśpiewka: „Taki my sie chlyb wydarzuł, że pod skórę kotek właziuł, podniós łogonek do góry, jeszcze nie dostał do skóry”.

W późniejszych latach modny stał się chleb przywożony z Dębicy przez „Siwego” [Jakubczyńskiego].

Był to niemłody już mężczyzna, który dostarczał listy, paczki i różne pisma na pocztę w Nagoszynie. Jadąc dużym wozem, zaprzęgniętym w siwego konika [stąd przezwisko „Siwy”] zabierał z piekarni w Dębicy dużą ilość świeżutkich bułek i chlebów – wybornie pachnących i wyglądających tak smakowicie, że prawie każdy wracał do domu z solidnie nadgryzioną „przylypkom”. „Siwy” musiał czasem limitować przewożony na miękkim sianku chleb, by starczyło dla swojaków z Nagoszyna, bo wzdłuż gościńca ustawiały się kolejki chętnych. Nawet kierownik naszej szkoły, pan Zieliński, który był stałym klientem „Siwego”, zwalniał codziennie kilku uczniów, by mogli kupić pieczywo dla niego i dla chętnych, dysponujących pieniżkami uczniów. Dzięki „Siwemu” mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa mieli codziennie świeże pieczywo, a on zarabiał za to jakieś grosze, zyskując sobie dozgonną wdzięczność ludzi oraz „złotą sławę” w całej okolicy. A my, obładowani, szczęśliwi powracaliśmy na lekcję ze smakowitymi „łupami”. Oczywiście nikt nie czekał do przerwy. Każdy pałaszował świeżutkie bułeczki – pachnące, rumiane, puchate – urywając pod ławką po kawałku najpierw miękkuchną „łosródke”, a na koniec chrupiącą skórkę. Zjadało się wszystko co do okruszka. Koledzy chętnie dzielili się z tymi, którzy nie mieli ni grosza. W ten sposób – choć nieoficjalnie – odbywało się śródlekcyjne wielkie śniadanie, z cichym przyzwoleniem rozumiejącego nasze apetyty kierownika szkoły.

Pewnego dnia przed świętami pojawiał się w domach oczekiwany gość – kościelny Józef Grzyb, który przynosił wigilijne opłatki. Był to starszy, wysoki, sympatyczny mężczyzna, który, wszedłszy do izby, wszystkich serdecznie witał, po czym chwilę rozmawiał z domownikami i zasiadał na podstawionym krześle. Następnie kładł na stole czarną walizeczkę i wyciągał z niej paczuszkę opłatków, zawiniętych w bielusieńki papier. Gospodyni dziękowała pięknie i zamykała cenny dar wysoko w kredensie, by dotrwał bezpiecznie do wigilijnej wieczerzy. A gość zaraz zbierał się do wyjścia, bo przecież dni były krótkie,

a domostw do odwiedzenia dużo. Wtedy gospodyni wkładała mu do kieszeni długiego płaszcza już wcześniej odłożony na tę okazję pieniędzy.

Gdy wydawało się, że w te najkrótsze dni grudniowe szarość i mrok całkiem zapanowały nad światem, nadchodziło zimowe przesilenie, a wraz z nim powrót nadziei. Bo zbliżał się przecież czas niezwykły, jedyny, święty. Oczekiwana przez wszystkich Wigilia rozpoczynała magiczny okres świąt, zwany też „godami”. Od wieków przeżywano ten dzień podobnie, a ta powtarzalność tworzyła tradycję: piękną, przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Wraz z tradycją przekazywano też wiarę w różne przesady, związane z tym niezwykłym dniem. Oczekiwano, że rankiem pierwszy przyjdzie do domu mężczyzna, bo to oznaczało wszelaką pomyślność. Nie można się było w tym dniu gniewać czy kłócić, bo zły nastrój trwałby cały następny rok. Nie należało niczego pożyczać, by w domu ciągle nie odczuwało się jakichś braków, ani niczego naprawiać, żeby się wciąż coś nie psuło. Dzieci powinny być grzeczne i posłuszne, by takie były aż do następnej Wigilii. Musiało się też skosztować każdej z dwunastu wigilijnych potraw, by w nadchodzącym roku nie omijały nas przyjemności.

Gdy w Wigilię woda, węgiel, drewno były już nanoszone, jadło dla krów, świń i drobiu przygotowane na całe święta, zaczynaliśmy ubierać choinkę. Wyglodzeni od rana, przez szyby, na których wzmagający się mróz malował swe artystyczne wizje, wypatrywaliśmy pierwszej gwiazdki.

Jan Wiktor tak zapamiętał ten dzień: „Ustała wszelka praca. Przeminął zgiełk dzisiejszych spraw. Opustoszały ścieżki. Świąteczna cisza spoczęła wśród zabudowań wsi. Mieszkańcy trwali w oczekiwaniu. Okna rozjaśniały się kolędami”⁷.

Choć nie co roku niebo było bezchmurne, to wszystkie dzieciaki starały się wypatrzeć tę wyczekiwaną, jasną i piękną, jedyną wśród wszystkich – Gwiazdę Wigilijną. Gdy zaczął zapadać wczesny zmierzch, wybiegaliśmy przed dom, by się upewnić, czy na pewno jest. I patrzyliśmy jak urzeczeni. Właśnie „gdzieś daleko w przepaściach nieba zaczęła nieśmiało rozbłyskiwać gwiazda zwiastująca wiecznie odradzający się sen o miłości, słabo zamigotała we mgle niby zwodniczy sygnał, poczęty w niedościgłych wyżynach, nabierała światła i drgała w pustce, samotnie gorejąc. Potem coraz więcej, jednakowo roziskrzonych”⁸.

Dopiero poczuwszy zimno tej wieczornej godziny, wbiegaliśmy do ciepłej izby, głośno otrzepując w sieni buty ze śniegu i szybko zajmowaliśmy miejsca przy stole, gotowi do rozpoczęcia obrzędów. Rodzice jeszcze krzatali się po izbie, jeszcze kończyli sto koniecznych prac, ale wkrótce też przychodzili – już świątecznie ubrani i przygotowani do uroczystej wieczerzy. Cała rodzina – nazywana pięknie „familia” – zbierała się przy stole nakrytym wykrochmalonym i wyprasowanym na „glanc” lnianym obrusem, pod którym

na środku piętrzyło się pachnące letnią łąką sianko, a na nim – na białym, lśniącem czystością talerzu – leżały leciutkie jak puch opłatki z wyciśniętymi scenkami biblijnymi. Świeczka w glinianym lichtarzu i świerkowa gałązka dopełniały dekoracji stołu. Liczyliśmy talerze, bo jeden musiał pozostać dla niespodziewanego gościa. Ten byłby przyjęty i ugoszczony jak najważniejsza osoba, bo w tym dniu nikt nie mógł pozostać głodny czy samotny; w ludowych opowieściach symbolizował on spragnionych schronienia i posiłku rodziców Jezusa, którzy daremnie szukali miejsca w Betlejem.

Dzieci zawsze czekały z nadzieją, że jakiś nieznajomy wędrowiec zapuka w ten niezwykle wieczór do drzwi i będzie dodatkową „atrakcją”. Niestety, w naszym domu nigdy nie pojawił się w Wigilię taki naprawdę niezwykle, niespodziewany gość. Czasem przychodzili zaproszeni dziadkowie i z nimi jedliśmy uroczystą kolację. Pusty, dodatkowy talerz – który do końca wieczoru lśnił czystością – był też symbolem duchowej obecności tych, którzy już przekroczyli próg śmierci, ale wciąż żyją w pamięci i sercach bliskich.

Zacznął się „Pośnik”. Stawaliśmy kołem, by przy zapalanej świecy i przy migocących na choince, chybotliwych światełkach odczytać stosowny fragment Biblii, odmówić modlitwy w intencji żywych i umarłych; modlitwom zawsze przewodniczył ojciec jako głowa rodziny. Nastrój tego wieczoru – niepowtarzalny, uroczysty i trochę tajemniczy – na zawsze zapadał w pamięć. I było tak, jak w tej pięknej piosence autorstwa Krzysztofa Cybrucha:

„Ojcu w ręku opłatek się bieli,
Matki oczy jakby za mgłą,
Prosto z nieba spłynęli anieli,
Błogi pokój przywiodły na dom”⁹.

Dorośli wracali myślami do tych, których zabrała niedawna wojna. Milkli na chwilę, cicho wzdychając. Jakie obrazy mieli przed oczyma? Jak wspominali niedawne Wigilie spędzone gdzieś na wysiedleniu, u obcych, może w piwnicy? A, co czuli ci, dla których przez tamte tragiczne lata wojennym domem był las? Jeden z bohaterów Mikołajka – Witek wspomina:

„Dzień wigilijny spędziliśmy w marszu. Zmieszany z ziemią śnieg grubo oblepiał koła. Prężyły się białe grzbiety koni, boki opływały im wodą. Nad grzywami ciężki baldachim gałęzi. Wieczorem stanęliśmy na postój. Mokre trawy dymiły, gałęzie długo skwierczały zanim wypuściły płomień. Tomek stanął obok wozu, wziął do ręki gąsiorek.

– Chłopaki, ojciec wydziela opłatek! – zawołał Senny. – Jazda, ustawić się z miarkami. Podchodziliśmy kolejno, wlewał nam do kubków i manierek. Drugą ręką ciął bagnetem duże kawały rąbanki.

– Jedzcie, pijcie – mówił. – Nie ma co strzepić języka. I tak wiecie, czego wam życzę.

Wódka poprawiła nam humory. Byliśmy przecież jedną wielką rodziną”¹⁰.

Inny z Mikołajkowych bohaterów – Paweł spędzał jedną z wojennych Wigilii w leśniczówce, gdzie zanieśiono go rannego, nieprzytomnego po akcji:

„Na wodnistym tle okien stały pokryte śniegiem drzewa. W domu ruch, zbliżały się święta.

W Wigilię pomagałem Iwie ubierać choinkę. [...]. Wieczorem usiedliśmy do kolacji. Pod obrusem leżało na stole siano, w kątach pokoju stały snopy zboża. Ciepło lśnił piec. Siedziałem obok Iwy. Miałem na sobie starannie zaczerowany komiśny sweter i brezentowe spodnie [...]. Matka Iwy donosiła potrawy. Na końcu tacę z dwiema karafkami. Leśniczy wstał. Miał na sobie ciemny garnitur, krawat; w ogromnych rękach opłatek.

Dość długo musieliśmy czekać na tę wspólną kolację – podszedł do żony.

– Żebyśmy wszyscy, jak tu jesteśmy, spotkali się za rok – obszedł nas po kolei, wrócił na miejsce. Kiedy ceremonia życzeń się skończyła, popatrzył na mnie. Nalewka, czy monopolówka?

– Monopolka – nie piłem dotąd ani nalewki, ani wódki gorzelnianej. Znałem tylko samogon.

Wypiliśmy i zaczęła się kolacja. Jadłem, bo tak należało [...]. O czym myślałem tego dnia? Żył jeszcze Benek i Iwa, ale nie mogłem w tym obrazie znaleźć radości. Był to chyba pierwszy, pełen spokoju, smutek przemijania.

– Panie Pawle, należy się cieszyć – powiedział leśniczy.

Uśmiechnąłem się. Z czego się miałem cieszyć? Z tego, że będę musiał odejść”¹¹.

I jeszcze inna wojenna Wigilia, którą przeżyli bohaterowie Mikołajka, po akcji na szosie, w której musieli dobić jednego z nich – ciężko rannego Heńka:

„Wieczorem byliśmy w obozie. Karp nie wspomniał nawet o picu. Siedzieliśmy obok siebie. Nad głowami ciężko kiwały się grube płaty gałęzi. Blask ognia przejrzystym rumieńcem rozlewał się po śniegu. Świszcząc przez zęby podszedł Natan. Usiadł, zapalił papierosa i nie przestając świstać, palił. W oczach odbijały mu się drobne iskierki ognia.

– Którego mamy dzisiaj? – zapytałem.

– Dwudziesty czwarty. Wigilia – ziewnął Karp”¹².

„To nie były wesołe święta. Nie lepszy był też Nowy Rok. Spiliśmy się, i to było wszystko”¹³.

Ale choć myśli i wspomnienia wielu mieszkańców wioski mojego dzieciństwa w tę „cichą noc, świętą noc” uciekały do tamtych, tragicznych, wojennych przeżyć, to przecież była i radość, że to najgorsze minęło, że jest się z bliskimi, że na obrusie leży prawdziwy Boży Syn ucieleśniony w kruchym, bieluchnym opłatku.

Niestety, byli i tacy, którzy te pierwsze powojenne lata przeżywali w więzieniach, czy na syberyjskiej zsyłce, jak np. bobrowianin – żołnierz AK Władysław Jasiński [rocznik 1919]. Więźniowie traktowani byli jako najgorsi

przestępcy, a ich żywot przepełniony był ciężką pracą, głodem, cierpieniem i beznadzieją. Ale gdziekolwiek rzucił ich straszny los, starali się, by ten dzień był inny od szarej codzienności, piękniejszy, lepszy. Więźniowie z ubeckiej katowni przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie tak wspominali Wigilię 1949 roku: „Śpiewano we wszystkich celach, wbrew więziennemu regulaminowi [...] nowe, jakże nam bliskie słowa do starej góralskiej kolędy [...]. Tłum ruszył do „stołu” wzniesionego z sienników, nakrytego cudem zdobytym prześcieradłem. Leżało na nim kilkadziesiąt okruchów chleba, i nasze opłatki. Niejedna popłynęła łza”¹⁴.

Czy jakieś dziwne zamyślenie naszego ojca w każdy wigilijny wieczór również biegło do tych, którzy tak wielką cenę zapłacili za nasze spokojne Wigilie? Czy dlatego nasze babcie i mamy ukradkiem ocierały nagle toczącą się po policzku łzę?

Dzieci jednak czuły tylko radość i podniosłość chwili, gdy z opłatkiem, delikatnie niesionym w rękę, podchodziły do każdego z domowników z wigilijnymi życzeniami. Zawsze były to życzenia zdrowia, pomyślności w życiu i Bożego błogosławieństwa na każdy dzień przyszłego roku, a także tego, żeby za rok było nas tyle samo albo i więcej; szczęśliwych przy wigilijnym stole.

Następnie mama wносиła po kolei wigilijne potrawy. Ponieważ nawet w najbiedniejszych rodzinach – zgodnie z uświęconą od wieków tradycją – powinno ich być aż dwanaście, przygotowywano je dużo wcześniej. Oszczędzono, gromadzono ser, grzyby, jajka, śmietanę, suszone owoce. Zaczynano od pieczenia pierników, które musiały „skruszeć”, potem chleba, bo długo zachowywał świeżość. Przed samymi świętami moczono suszone grzyby, kiszone buraki „ćwikowe” na czerwony barszcz, przygotowywano zakwas do żurku. Jeden dzień poświęcano na wypiek ciastek, a w dzień Wigilii gotowano przygotowane wcześniej potrawy. Były oczywiście bezmięsne, nie było też mowy o alkoholu. Jadło się wszystkie potrawy na jednym talerzu, na który nakładało się kolejne przysmaki z dużej misy czy gara ustawionego na opłatku na środku stołu. Gdy opłatek przyklejał się do dna garnka cieszyliśmy się, bo to wróżyło, że w przyszłym roku będzie urodzaj na zboże, groch czy ziemniaki. Zaczynaliśmy od białego barszczu z chlebem, potem był barszcz czerwony z uszkami, fasola, kapusta z grzybami, pierogi ruskie, z kapustą kiszoną i słodką, ziemniaki, kasza z suszonymi śliwkami, kluski z makiem, bułka drożdżowa i kompot z „suszek”. Specjalnie wybierane jesienią na tę okazję jabłka – słodkie i soczyste – krajano ze skórką w plasterki, a następnie suszono i przechowywano w słoikach aż do Wigilii, kiedy to przygotowywano z nich pyszny kompot; zdrowy i pachnący latem. Nie jedliśmy ryb, nie było też zwyczaju podawania kutii. Tylko w niektórych domach przyrządzano te potrawy. Ale i tak jedzenie było bardzo obfite i smaczne.

W każdej rodzinie – nawet najbiedniejszej – starano się urządzić Wigilię tak, by była naprawdę wspaniała. Radość domowników płynęła nie tylko z obfitości stołu, ale przede wszystkim ze świadomości zbliżających się wielkich wydarzeń religijnych, z nadziei stąd płynącej i z możliwości obcowania z bliskimi w cieniu betlejemskiej stajenki. Niezwykłą, radosną atmosferę podkreślał zapach świeczek, potraw, dźwięk kołęd i urok bożonarodzeniowego drzewka.

Biedny, groźny tużpowojenny świat był tego magicznego wieczoru gdzieś daleko; czuliśmy się bezpiecznie, jak w jakiejś zaczarowanej baśni. Zasłonięte firanki chroniły przed mrokiem nocy i złem świata. W kącie izby panoszył się dorodny snop zboża; trochę już niezrozumiały symbol dawnych, jeszcze pogańskich obrzędów, bo tradycja chrześcijańska nałożyła się tu na starszą – przedchrześcijańską. Pod sufitem lśnił najczystsza bielą fruwający „opłatkowy świat”, na choince pyszniły się skrzydlate anioły, kolorowe kruche bańki, w których migotało odbicie świeczkowych płomyków, przeźroczyste, delikatne „anielskie włosy”, lukrowane pierniczki, specjalnie na tę okazję przechowywane jabłuszka, niekiedy też pomarańcze, a wokół pachnącego lasem drzewka cała rodzina odświętnie ubrana, serdeczna wobec siebie, szczęśliwa tą chwilą, która do dziś jawi się niezapomniana i nieodżałowana. Był to swoisty, cudowny „mikroświatek”, który nigdy już – niestety – nie powróci.

Po wieczerzy wyciągaliśmy spod obrusa żdźbła ze złożonego tam sianka. Zielone, długie i twarde zwiastowało zdrowie i pomyślność na cały rok, kruche, blade czy nadłamane – choroby i zmartwienia. Ponieważ święcie wierzano, że wigilijne wróżby mają swą specjalną moc, ci – którzy nie mieli szczęścia – na chwilę milkli w zadumie, zastanawiając się, co ich czeka. Ale zaraz nastrój się poprawiał, bo wszyscy zasiadali do kołęd, których mnóstwo było zamieszczonych w starych, starannie przechowywanych kantyczkach; zresztą prawie wszyscy znali ich bardzo wiele na pamięć. Naszym śpiewom zawsze wtórował ojciec, przygrywający pięknie na saksofonie.

Tego niezwykłego wieczoru przez ośnieżoną wieś niosły się słowa: „Bóg się rodzi, Moc truchleje”, „Dzisiaj w Betlejem wesoła nowina”, „Cieszymy się i pod niebiosy wznosmy razem miłe głosy”, „Jezu malusieńki leżysz nagi-sieńki”, „Lulajże Jezuniu, moja perełko”, „Pójdźmy wszyscy do stajenki do Jezusa i Panienki” i wiele innych, cudownych kołęd. Nie śpiewano jednak nigdy tej – tak dziś popularnej – pięknej i nastrojowej: „Cicha noc, święta noc”, gdyż zbyt świeża i bolesna była pamięć niedawnych wojennych świąt Bożego Narodzenia, gdy rozlegały się we wsi niezrozumiałe słowa tej kołеды, śpiewanej przez przebywających w wiosce mojego dzieciństwa Niemców.

Od krzepiącego ciepła wigilijnego wieczoru i dźwięku płynących melodii tajały serca, rodziła się nadzieja na płodny rok, spokojniejszy świat, jaśniejszą przyszłość. Czarne myśli odpędzały działające jak balsam piękne teksty tych prastarych pastorałek, niosące moc spływającą na każde udręczone serce. Ma-

leńki Jezus był wszak już tak blisko; przychodził błogosławić, pocieszać, zbawiać.

Wybiegało się potem na dwór i przemykało do stajni, by posłuchać zwierząt, które ponoć w tę jedyną, niezwykłą noc – za to, że towarzyszyły Dzieciąteczku w pierwszych chwilach jego człowieczego bytu – mówiły ludzkim głosem. Niestety, choć przytulaliśmy się do ciepłych krowich grzbietów, patrzyliśmy w oczy naszym Krasulom, nigdy nie udało nam się ich podsłuchać. Zachowywaliśmy się może zbyt hałaśliwie, a może ziąb wyganiał nas zbyt szybko do ciepłej izby. Wkładaliśmy więc w pośpiechu do mokrych krowich pysków zachowane w tym celu opłatkowe okruchy i bieглиśmy z powrotem, kryjąc w szalikach nosy przed mrozem i wiatrem.

Białe płatki śniegu wirowały na tle granatowego nieba w jakimś dziwnym, czarownym tańcu, aby po chwili osiadać nam na włosach, na czapkach, na ubraniach. Jeszcze mieliśmy nadzieję, że może nasze Burki czy Łatki odezwą się w zrozumiałym nam języku, ale tylko dalekie, znajome ujadanie wiejskich psów przerywało nocną ciszę. Dorastające panny uważnie nasłuchiwały tego ujadania. Wierzyły, że – jak mówił dawny zwyczaj wigilijny – z której strony ono dobiegnie, stąd pojawi się wymarzony kawaler. Dziewczyny pragnęły, żeby odgłosy dochodziły z różnych stron, albo, żeby z tej, gdzie miały już ukochanego, bo wigilijna wróżba potwierdziłaby jego miłość.

Niektórzy gospodarze wychodzili do sadu i przykładając siekierę do pnia nie chcącego rodzić drzewa wypowiadali magiczną formułkę: „Nie tnij, bo będzie rodziło”. Podobno tak ocalone przed wycięciem drzewo w kolejnych latach obficie owocowało.

Długo jeszcze w ten grudniowy wieczór migotały w oknach światełka choinek, a domownicy wygodnie usadowieni wokół stołu śpiewali wciąż piękne, stare kolędy, oczekując na Pasterkę.

W 1955 roku w wieczór wigilijny po raz pierwszy po wojnie można było posłuchać kolęd również w radiu. Było to dla wszystkich czymś niesłychanie ważnym; wielkim i radosnym wydarzeniem. Podgłaśniano maksymalnie radia, słuchano z niedowierzaniem i nadzieją, że może nadchodzi lepszy czas, podśpiewywano razem z radiowymi chórzystami i cieszą się jak dzieci.

W wigilijne wieczory lubiliśmy też słuchać opowieści babci, która wspominała, że za jej młodości po Wigilii wkładało się drewnianą łyżkę za cholewę i szło do sąsiada, by dokończyć wieczerzę i wspólnie śpiewać kolędy. Potem wszyscy razem szli do kolejnego domu i tak dalej, aż przychodziła pora, gdy całą gromadą ruszali na Pasterkę.

– „Bo co to by była za Wigilia, gdyby Pasterki nie było”?¹⁵.

Pasterka to była uroczystość magiczna. W ciemną, mroźną, grudniową noc, kto tylko miał siłę i zdrowie wyruszał z domu, by dołączyć do innych. Migają światełka latarek, słychać było strzępy rozmów ludzi brnących po

śniegu długą drogą do nagoskiego kościoła. Szczególnie w „Górach” wiatr nawiewał zasy, przez które przedzieraliśmy się z wielkim trudem.

Wewnątrz kościoła też panowała tajemnicza ciemność, tylko czerwona „wieczna lampka” strzegąca Najświętszego Sakramentu świeciła znajomym blaskiem i migotliwymi ogieńkami rozświetlały mrok drobne świeczki na ogromnej choince stojącej obok ołtarza. Trochę po omacku sięgaliśmy do kamiennej misy, by – umoczywszy koniuszki palców w lodowatej, święconej wodzie – pospiesznie wykonać znak krzyża i z powrotem wcisnąć zgrabiące ręce w wełniane, zrobione przez nasze mamy rękawiczki z jednym palcem. W ciszy słychać było tylko pojedyncze ciche szepty, pochrząkiwania; ktoś zakaszał, ktoś wycierał nos zmarznięty na zimowym wietrze.

I nagle w tej ciemności wybuchął w niebo rozrywający ciszę dźwięk organów i tryumfalny, mocny śpiew organisty: „Bóg się rodzi, Moc truchleje...” I zaraz zapalały się światła w całym kościele, wydobywając kształty kościelnych sprzętów, rzeźb, obrazów, postać księdza w uroczystych szatach wchodzącego na stopnie ołtarza i sylwetki ludzi wypełniających każde wolne miejsce. Tłum podejmował słowa kolędy z radością, mocą i wiarą głosząc wielką nowinę o cudzie w Betlejem, który zburzył cały porządek świata, a potem co roku powtarzał się w sposób cudowny i unaoczniał się także tu, w tym wiejskim kościółku, tak drogim sercu każdego człowieka, biorącego udział w tej nocnej uroczystości. To przecież sam wieczysty Bóg – Pan Niebios – urodził się w lichej stajni jako człowiek; nieporadny i słaby, a przez to tak bliski, więc wobec takiego cudu „Moc truchleje”, „ogień krzepnie, blask ciemnieje”. Wszyscy padali przed tym cudem na kolana, jak owi pasterze z betlejemskiej krainy; pełni wiary, że Boża dziecina wspomůže w codziennych trudach i troskach zasmucających serca. Bo przecież ta najczarniejsza, najdłuższa noc grudniowa stała się czasem narodzin samego Boga, narodzin nadziei, początkiem nowego etapu życia.

Piękny żyrandol, który w wiosce mojego dzieciństwa nazywano „pająkiem” rozsiewał miękkie, wibrujące światło. Dzieci ściśnięte gdzieś między rodzicami, opatulane, przytulane, początkowo zaciekawione, wkrótce zaczynały ziewać i drzemać, ale co chwilę budziły je, a to radosne dźwięki muzyki, a to donośny głos księdza sprawującego Najświętszą Ofiarę, a to wrzaskliwe śpiewy ludzi: „Gloria, gloria, gloria in excelsis Deo”!

Co chwilę z ciekawością spoglądaliśmy na „chłopską” stronę kościoła, gdzie na bocznym ołtarzu zbudowana została szopka pełna glinianych figur; pięknych, kolorowych, choć już trochę pouszkadzanych i obdrapanych. Nie wyobrażaliśmy sobie kościoła bez bożonarodzeniowej szopki. Ten prastary zwyczaj został zapoczątkowany jeszcze przez świętego Franciszka, a wciąż był żywy; wciąż zaciekawiał i wzruszał.

W samym środku spało na sianku Boże Dzieciątko, nad którym czuwali: święty Józef i Maryja, a także kłęczący wół i osioł. Wokół stajenki pasły się białe owieczki, a pastuszkowie i Trzej Królowie szli, by oddać cześć świętej Dziecinie. Nad stajenką błyszczała jaskrawa gwiazda i zawisały w powietrzu piękne anioły ze srebrnymi skrzydłami. A pośród tej niezwykłej nocy wciąż płynęły w niebo coraz to nowe kolędy. I choć kościół nie był oczywiście ogrzewany, a z ust śpiewających ludzi unosiły się obłoczki pary, choć nogi całkiem przemarzały od lodowatej posadzki, to nastrój był podniosły i pełen radości. Nikt nie chciał zostawać w tę noc w domu; nawet zagorzali grzesznicy, unikający kościoła jak diabeł święconej wody, wędrowali na pasterkę i śpiewali wraz z innymi: „Podnieś rękę Boże dziecię, błogosław Ojczyznę miłą...”

Droga powrotna była bardzo uciążliwa. Dawało się we znaki zmęczenie i zimno. Już z kościoła wychodziło się przemarzniętym, a na zewnątrz, zwłaszcza na otwartej przestrzeni, dął mroźny wiatr sypiący śniegiem w oczy i zasypujący wydeptaną ścieżkę. Biegliśmy z siostrą i innymi dziećmi prawie z płaczem, zacierając ręce i tupiąc nogami. Choć rodzice ubierali nas ciepło, „na cebulkę”, to cienkie skórzane trzewiki, jakie wówczas produkowano, pończochy na „halterach”, płaszczyki – niby na „watelynie”, ale raczej wiatrem podszyte – nie chroniły dostatecznie przed trzaskającym mrozem, więc prawie bez czucia dobiegałyśmy do domu. Mama nalewała do miednicy zimnej wody, a my wkładałyśmy do niej sine nogi i ręce, by nie ogrzewały się zbyt szybko, gdyż wtedy niesamowicie bolały. Na osłodę dostawałyśmy kawałek świątecznego placka i pakowałyśmy się pod pierzynę; ciepłą, przytulną, przywołującą szybki, mocny sen. A w srebrnej poświacie księżyca lśniły na choince kolorowe bańki i fruwały pod powalą świetliste anioły. Tak w tę niezwykłą noc zasypiały wszystkie dzieci w wiosce mojego dzieciństwa.

Dopiero w Boże Narodzenie można było jeść świąteczne wypieki. Wstawaliśmy dość późno, budzeni dopiero, gdy pora była ruszać na Mszę świętą. I znów ogarniał wszystkich niezwykle nastrój, choć odświętnie przybrane wnętrze kościoła wyglądało całkiem inaczej niż nocą.

Kłękaliśmy przed szopką, by w świetle dnia znów – jak co roku – podziwiać z bliska glinianych pastuszków porzucających owieczki i zdążających do Betlejem, trzech Mędrców ze Wschodu kłękających przed stajenką, a przede wszystkim Boskie Dzieciątko leżące na sianie, nad którym pochylała się święta Panienka Maryja i święty Józef. Na niebie namalowanym granatową farbą pięknie lśniła złota gwiazda i błyszczały skrzydła aniołów niosących szarfę z napisem: „Gloria in excelsis Deo”. Po dokładnym obejrzeniu szopki wrzucaliśmy drobny pieniążek w otworek między złożonymi rączkami glinianego aniołka z troszkę obtłuczonym noskiem. Wtedy ten aniołek

śmiesznie kiwał w podziękowaniu główką, więc patrzyliśmy z zachwytem, bo wydawało nam się to niezwykle zmyślnym wynalazkiem.

A wieczorem znów wieś rozbrzmiewała śpiewem kolęd. W każdym domu zasiadano wokół choinki i cała rodzina – najczęściej z sąsiadami czy gośćmi – śławiła Boże Dzieciątko „licho uwite, nie w aksamity, ubogo”, a przez to tak bliskie prostym ludziom. Szczególnie ciekawa była stara kolęda, ułożona przez znanego poetę romantycznego Teofila Lenartowicza „Mizerna, cicha stajenka licha” – chyba nigdzie nie śpiewana na tak piękną i skoczną melodię, jak w parafii mojego dzieciństwa. Była weselsza, szybsza i bardziej rytmiczna niż ta oryginalna. Można podejrzewać, że dawno temu jakiś ksiądz czy organista nagoski zdobył tekst tej kolędy i sam ułożył do niej tę niezwykłą, skoczną melodię, wartą ocalenia.

Czas godów – bo tak ten okres nazywano – mijał szybko. „Święta, święta i po świętach” – mówiono, wracając do szarej codzienności, bo każdy dzień musiał być wypełniony pracą. Rodziny – najczęściej wielopokoleniowe – wciąż zbierały się razem wieczorami wokół ciepłego pieca czy wokół lampy. Tu, w przytulnej kuchni, najczęściej przebywali domownicy po wykonaniu wszystkich zajęć gospodarskich. Tu rodzice sprawdzali postępy w nauce swoich dzieci, tu śpiewano kolędy, czytano na głos gazety i książki, tu toczono rozmowy; były najczęściej konkretne, związane z problemami rodziny i codziennym bytowaniem. Dotyczyły gospodarstwa, planowanych zajęć, zdrowia, koniecznych spraw i wydatków, zakupów, chorób, potrzeb osobistych.

W podejmowaniu decyzji zawsze liczono się ze zdaniem najstarszych. Dziadkowie i babcie cieszyli się dużym autorytetem; doradzali, niekiedy nawet decydowali. Głową rodziny jednak zawsze był mąż i on miał najważniejszy głos. Żona go wspierała, pomagała mu i pozwalała mieć ostatnie zdanie. Gdy dorośli rozważali jakieś ważne sprawy, dzieci nie zabierały głosu. Uciekały gdzieś do kąta, by bawić się lub psocić. Pod lampą odrabiało się zadania i słuchało czytanych przez mamy książek dla dzieci, a czasem – przez ojców – gazet; równie niezrozumiałych jak rozmowy dorosłych o polityce, prowadzone przyciszonymi głosami. Gdy chcieliśmy włączyć się do rozmowy, zaraz babcia lub mama strofowały nas:

– Zamknij się, jak starsi mówią.

Wiedzieliśmy więc dobrze, że „Ryby i dzieci głosu nie mają”. Bo wychowanie w wiosce mojego dzieciństwa było tradycyjne i zazwyczaj wszyscy je akceptowali. Żył się wciąż według starych, sprawdzonych zasad, według Dekalogu; dokładnie wiadano, jak należy postępować w danej sytuacji, a czego nigdy nie wolno. Tak było w Polsce od wieków. Przytaczano często dawne mądrości: „Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci”, „Kto słucha ojca, matki, ten ma grzbiet gładki”, a „Kto nie słucha ojca, matki, słucha psiej skóry”. Księża w szkole i w kościele podkreślali wartość czwar-

tego przykazania: „Czcij ojca i matkę swoją, abyś długo żył i dobrze ci się powodziło na ziemi”.

Na lekcji religii, uczący nas proboszcz – ksiądz Józef Fijał czytał i interpretował słowa Biblii, że kto szanuje rodziców, gromadzi skarb ogromny, który będzie największym bogactwem jego życia. A mama uczyła nas starego wierszyka Władysława Bełzy, zapamiętanego jeszcze z czasów swojego dzieciństwa:

„Co masz kochać? – pytasz dziecię, co dla serca jest drogiego?

Kochaj Boga, bo na świecie nic nie stało się bez Niego.

Kochaj ojca, matkę swoją, módl się za nich co dzień z rana,

Bo przy tobie oni stoją, niby straż, od Boga dana”¹⁶.

„Wiara była u nas twarda, w serce wbita każdemu, dziadom, pradziadom” – wspominała mama Jerzego Popiełuszki, a autorka jej biografii dodawała: „Religijność była czymś naturalnym, oczywistym, integralną częścią wychowania, które splatało się z biologicznym cyklem życia wiejskiej społeczności i stanowiło czynnik kształtujący osobowość”¹⁷.

Śpiewaliśmy: „Ja wiem w kogo ja wierzę” i nie były to puste słowa. Ideologia, wychowanie socjalistyczne były nam – maluchom nieznane i nie wpływały na nasze zachowania. Nasze charaktery kształtowały jasne, zdecydowane nakazy i zakazy zanurzone w odwiecznej tradycji i silnej wierze. A wieści o czymś niewłaściwym postępu – bez telefonów i bez nowoczesnych środków komunikacji – roznosiły się po wsi niewiarygodnie szybko i opinia publiczna natychmiast wydawała kategorię osądu, z którym wszyscy się liczyli.

Często słyszeliśmy:

– Słuchaj ojca! – Co ci mama mówiła? – Spytaj babci, powie ci to samo co ja. – A co ksiądz wam mówi?

Bo trzeba przyznać, że istniał jednolity front wychowawczy, który dawał dobre rezultaty. Nie było buntów, nieposłuszeństwa, chuligaństwa, szanowało się księdza i nauczycieli, rodziców i ludzi starszych. Dużą rolę w wychowaniu przez dawanie właściwego przykładu i wpajanie szlachetnych zasad moralnych przypisywano zwłaszcza matkom, bo przecież wiadomo było: „Jaki korzeń taka nać, taka córka, jaka mać”.

Wiedzieliśmy, że nie możemy się wymigać od zadanej pracy czy zasłużonej kary. Ale też dokładnie rozumieliśmy, czego oczekują od nas dorośli. Dydaktyczne również były lektury czytane nam przez rodziców. Mama czytała nam na przykład ze starej książeczki do nabożeństwa – którą do dziś pieczołowicie przechowujemy – przykłady różnych cudów, które zdarzyły się na świecie, a które miały umocnić w nas wiarę i zasady moralne. Książeczka ta nosiła tytuł „Kwiat Eucharystyczny” i była wydana 25 sierpnia 1939 roku, czyli na pięć dni przed wybuchem wojny. O jej wartości może świadczyć wspomnienie jednej z więźniarek ubeckiej katowni w Fordonie – Józefy Wagner, której udało się przemycić ją do celi: „Przebywając w wię-

zieniu, przez cały czas miałam ze sobą książeczkę do nabożeństwa „Kwiat Eucharystyczny”[...] Ten modlitewnik znałam na pamięć. On był dla nas wsparciem duchowym. On był naszą nadzieją w chwilach zwątpienia. On był naszą ucieczką w modlitwach do Boga. On był dla nas wolnością ducha”¹⁸.

Utwór księdza Antoniego Jeża zamieszczony w tej książeczce – do dziś zapisany w mojej pamięci – nosił tytuł „Ufność dziecińy”:

„Miłe są Bogu modły dziecięcia, serduszko dziecka niewinne, święte
Tuli Bóg chętnie w swoje objęcia i cuda działa dlań niepojęte.

W kraju irlandzkim – lat temu wiele – misjonarz pełen świętego żaru
Nauczał dzieci w jednym Kościele, że Jezus Chrystus – z łask swych nad-
miaru

Raczył pozostać na zawsze z nami i przemieszkuje we dnie i w nocy
Tam na ołtarzu, pod postaciami, aby nam zawsze być ku pomocy.

Każdy więc człowiek, mały czy wielki niech się ucieka do Zbawiciela!

On leczy grzesznych, koi ból wszelki, on wszystkim chętnie łask swych
udziela.

Słowa te wzniosłe niby głos z nieba, chwytą do serca dziecina mała.

Ach, jej pomocy Bożej potrzeba, ona od dawna jej wyglądała.

Kiedy więc wszyscy wyszli z kościoła, ona drżącymi idzie krokami

Pod wielki ołtarz i na głos woła: „Jezu najśłodszy, jesteś tu z nami?”

Cisza...Więc dziecię w świętym zapale wspina się aż na stół ołtarza

I paluszkami puka nieśmiale, i swe pytanie jeszcze powtarza.

A wtem, o dziwo! O cudzie Pański!!! Słyszysz wyraźnie z domu Bożego

Głos nader miły, słodki, niebiański: „Jestem tu dziecię, czy żądasz czego?

– Ach tak, mój Jezu, ja błagam Ciebie, daj memu ojcu łaskę Twej wiary,

Ażeby razem ze mną był w niebie i Ciebie, jak ja, kochał bez miary.

– „Dobrze dziecino” – Jezus odpowie. Dziecię radośnie wraca do domu,

Lecz nie wspomina ni w jednym słowie, o tym, co zaszło, z ludzi nikomu.

Nazajutrz ojciec świętej dzieciny, na podziw wszystkim, spieszy skruszony

Spowiedzią świętą zmazać swe winy i Jezusowi bije pokłony”¹⁹.

Nasze matki uosabiały – przekazywane z pokolenia na pokolenie – dobroć, serdeczność, miłość, poczucie bezpieczeństwa i odpowiedzialności za wychowanie swych pociech. Ich opowieści, których znały wiele i którymi usypiały nas w zimowe wieczory były zawsze pouczające, zawsze z morałem. Przychodziły, by okryć ciepłą pierzyną zasypiające dziecko i czułym głosem zaczynały np. taką opowieść:

„Było to bardzo dawno temu, chyba jeszcze przed pierwszą wojną. Pewnego razu przybył do wsi pięknym wozem zaprzężonym w cztery konie wielki pan. Był już w podeszłym wieku, miał sumiaste wąsy, barankową czapkę, obszerny płaszcz z bobrowym kołnierzem i wysokie, „wyglancowane” buty. Zajechał z fasonem przed dom sołtysa i polecił obwieścić, że szuka żony dla swoje-

go jedynaka, który odziedziczył cały jego majątek. Jest to młodzieniec krzepki, uczciwy, pobożny, pracowity i szlachetny. Ponieważ jest dobrym synem zgodził się, żeby żonę wybrali mu rodzice jako osoby doświadczone i najlepiej mu zawsze doradzające. Prosi więc, aby tu przybywały chętne do zamążpójścia dziewczyny zabierając z sobą uprzątnięte z domu śmieci, by je złożyć na jego wozie. On zaś będzie je obserwował i którąś wybierze na synową.

Ta wieść rozeszła się po wsi lotem błyskawicy. Każda z dziewcząt marzyła o takim mężu. Zaczęły więc krzątać się, wymiatały śmieci z każdego zakamarka: z izb, sieni, piwnic i podwórek, a nawet z psiej budy. Następnie stroiły się w najlepsze sukienki; te, w których szły do kościoła na Sumę, węgielkiem czerniły brwi, pocierały i poszczypywały policzki, by się zdrowo rumieniły i z uśmiechem ruszały na spotkanie szczęścia. Niektóre aż uginały się pod ciężarem zebranych śmieci z nadzieją na wygraną. Tylko jedna, biedna dziewczyna chodziła smutna i zadumana. Nie dość, że jej najlepsza sukienka była stara, sprana, brzydka i pocerowana, to jeszcze z rana – jak co dzień – czyściutko wysprzątała jedyną izdebkę w maleńkiej chatce i nie miała żadnych śmieci, choć też marzyła, żeby szczęście i do niej się uśmiechnęło. Nie mając prawie cienia nadziei jeszcze raz omiotła wszystkie kątki, wybierała pajęczynowe nitki, które od rana zdążył zasnuć pracowity pajacek i sporządzwszy małe zawiniątko ruszyła w drogę. Dotarła na miejsce ostatnia, gdy już zapadał zmierzch i wszystkie inne panny z niecierpliwością oczekiwały werdyktu i rychłych swatów. Na jej widok ożywił się znużony całodziennym czekaniem bogaty pan szukający synowej.

– Chodź tu do mnie miła dziewczyno – powiedział. – To właśnie ty będziesz moją synową, bo widzę, że jesteś najbardziej pracowita, skromna i że twój dom będzie lśnił czystością. Widzę też, że jesteś ładna, choć się nie upiększałaś strojem czy malowaniem”.

Tak właśnie została nagrodzona pracowitość, czystość i skromność, co miało być dla nas nauką i przykładem. Zdarzało się nam przecież czasem – jak to dzieciom – psocić, wymigiwać się od obowiązków, uciekać „na wieś” do zabawy, by zejść rodzicom z oczu, bo zawsze wyszukiwali nam jakieś zajęcie.

Sąsiadka „Frankowa”, która miała bardzo liczną gromadkę dzieciaków – choć były posłuszne i pracowite – ciągle powtarzała: – Kozoł pon, zrobił som – i szła wykonywać jakąś pracę w domu czy w gospodarstwie, bo nagle nikogo nie było w pobliżu. Szczupła, wysoka, poważna, zawsze w chustce na głowie i w kolorowej zapasce na długiej spódnicy, odznaczała się serdeczną dobrocią i życzliwością. Cierpiała na dolegliwą migrenę i ciągle kupowała „proszki z kogutkiem” czyli aspirynę. Nie narzekała jednak i ciągle się krzątała, by oprać, wyżywić i wychować swoje pociechy. Przy naftowej lampie wokół stołu pochylały się dziecięce główki, na które spoglądała z dumą i miłością, powtarzając znane, pouczające przysłowie: „Posłuszne dziatki to skarb matki”. W piecu

trzaskały kawałki drewna, a z czytanych głośno przez Edka, Staszka, Milę, Ma-dzię, Walę, Marysię, Danusię, Tereskę czy Manka książek nagle schodziły do ocienionej izby – jak żywe – różne baśniowe postacie; niezwykle, czarowne i piękne. A za oknami tężała zimowa noc; czarna i też pełna tajemnic. Więc uciekało się pod ciepłe pierzyny, a kolorowe sny trwały aż do rana.

Przez okna domów – małe, przysłonięte krótkimi firankami – coraz większe zimno wdzierało się do środka. Ale w piecu płonął ogień, a my pa-trzyliśmy, z podziwem, jak mróz malował na szybach czarowne kwiaty, jakby zjawiły się tu gdzieś aż z krainy baśni o Królowej Śniegu, która swym zim-nym oddechem zmienia wszystko w kryształki lodu.

Na parapetach zamarzniętych zimą okien zawsze rosły jakieś roślinki. Za-zwyczaj były to różowo lub czerwono kwitnące, często wieloletnie, więc już trochę pokraczne pelargonie zwane „muszkatlami” lub ich odmiany – „krako-wioki” o specyficznym zapachu liści; owalnych, nerkowatych, prawie zawsze z brązowym pierścieniem w środku. Obowiązkowo na parapetach krzewiły się też mirty – pięknie pachnące i zakwitające drobnymi, białymi kwiatusz-kami; tylko przy zaciemnionych oknach. Choć trudne w hodowaniu, były bar-dzo popularne, bo nieodzowne do ozdoby sukien ślubnych i do sporządzania wianków dla sypiących kwiatki dziewczynek. Panny Młode, które „straciły dziewictwo” nie miały prawa do mirtowych ozdób. To było ich piętno i wstyd. Obnoszono je na językach, pozwalając sobie na złośliwe uwagi i niewybredne żarty. Najczęściej rezygnowały też z welonu, a gdy już urodziły to swoje nie-szczęsne dziecko, które od razu nazywano znajdą, to jeszcze zdarzało się, że ksiądz przy chrzcie sam nadawał mu jakieś dziwaczne imię, dodatkowo pięt-nując je już na zawsze wśród Zosiek, Kasiów, Jaśków i Stasiów.

W wielu domach hodowano też – dające namiastkę lata – paprotki o cieniutkich rozłogach i pierzastych liściach wyrastających na długich, dość sztywnych łodygach, czasem filodendron o liściach „dziurawych”, dużych, błyszczących, ciemnozielonych i o wijących się jak węże rozłogach lub poko-jową lipkę, mającą delikatne, trochę pomarszczone, brzoskwiniowe kwiatki. Taką lipkę rozrośniętą jak duży krzew widywałam u mojej cioci Stefki. Może jej nazwisko Lipa sprawiało, że ta lipka czuła się tam tak wspaniale!

Jedna z sąsiadek hodowała oryginalne boże drzewko. Ten ciekawy pół-krzew, silnie rozgałęziony, o sztywnych pędach, miał malutkie, delikatne, jasnozielone, strzępiaste listki, które wydzielały piękny, balsamiczno-ta-jemniczy, korzenny zapach. Herbatka z bożego drzewka miała właściwości lecznicze; podobno poprawiała apetyt, ułatwiała trawienie, była dobra na przeziębienia, a nawet na robaki.

Jeśli chciało się mieć taką roślinkę, jaką chlubiła się któraś z sąsiadek, należało po kryjomu odszczypać małą „zaszczepkę”. Uważano, że otrzymana jawnie nie będzie chciała rosnąć.

Hodowane na parapetach i w ogródkach różne ziółka i kwiaty nie tylko miały zastosowanie lecznicze, ale też znaczenie symboliczne, bo symbolika, magia i tajemniczość były bardzo ważnym elementem ludowej kultury i tradycji. I tak np. róża przez swoje kolce – pojawiająca się często na świętych obrazach – symbolizowała siedem boleści Maryi i przypominała, że wielkie wyróżnienie, które Ją spotkało, wiązało się nierozzerwalnie z cierpieniem. Rozmaryn o drobnych listkach – znany z popularnej piosenki, w której „rozwijaj się”, miał ponoć dać Świętej Rodzinie schronienie podczas ucieczki do Egiptu, a maleńki, delikatny, skromny fiołek wyrażał pokorę Matki Bożej, która – choć jest Królową Nieba i Ziemi, „nie gardzi dary naszymi” – jak mówi słowa znanej pieśni.

W wiosce mojego dzieciństwa dość popularny był też aloes; niekłopotliwy sukulent o grubych, leczniczych listkach przykładanych do warg, gdy wykwitało na nich przeziębieniowe, bolesne „zimno”, asparagus zwany „szparagom” – „obowiązkowo” dodawany do ozdoby bukietów, grubosz zwany drzewkiem szczęścia lub drzewkiem pieniężnym, którego łodyżka przypominająca pień i rozgałęziająca się jak drzewo zdobna była w jasnozielone, prawie okrągłe, grube, mięsiste i błyszczące listki, a także fuksja nazywana ułanką – o zwisających, dzwonkowatych kwiatach mających długie pręciki i niezwykle długie szyjki słupków, czy łatwa w uprawie, stąd niezwykle popularna trzykrotka o długich, mięsistych łodygach i jasnozielonych, prążkowanych listkach, rosnąca nawet w miejscach dość ciemnych i czasem rozwijająca małe, białe kwiatuszki.

Doniczki – gliniane, czasem pokryte glazurą i ozdobione kolorowym wężykiem – kupowało się na „jarmaku”. Za podstawkę służyły zazwyczaj stare, czasem obite talerzyki gliniane, szklane lub blaszane. Później karierę zrobiły miseczki bakelitowe. Takie właśnie – jako niepotrzebne już próbki fabryczne – przynosił czasem z „Lignozy” nasz ojciec i chętnie rozdawał sąsiadkom. Nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy, że te miseczki zwiastowały nową erę przedmiotów z tworzyw sztucznych, tak bardzo pożytecznych w każdym domu.

Patrząc na zieleniejące się na parapetach roślinki, wspominaliśmy – już tak dawne – upalne dni słonecznego lata, kiedy wieś aż kipiała obfitością różnego rodzaju kwiecica. Zawsze wtedy przynosiło się do domu pachnące bukiety, by ozdobić nimi izbę. W każdym domu stawiano w szklankach czy flakonach takie żywe kwiaty zerwane w ogródku, na łące czy w polu. Do tych domowych bukietów często wykorzystywano sympatyczną „miłość”. Była to bardzo popularna w wiosce mojego dzieciństwa bylina rosnąca na podwórkach, przy płotach, przy obórkach czy śmietnikach. Nie miała zbyt-nych wymagań i pleniła się bujnie wyrastając aż nad płoty i kwitnąc obficie. Żółte, pełne kwiaty tworzyły zwarte bryły, dumnie wznosząc swe główki, jakby świadome wagi symbolu, jaki niosła ich nazwa – miłość. Czy świad-

czyły o kwitnących uczuciach mieszkańców, których podwórza tak pięknie zdobiły? Myślę, że tak było.

Wszędzie też krzewiły się bujnie pomarańczowe nasturcje i żółte nagietki, ślicznie wyglądające wśród bujnej zieleni lata. Rozsiewały się same i też nie miały wielkich wymagań. Ot, trochę miejsca w kącie ogródka czy między warzywami, które – oczywiście – dominowały w każdej zagrodzie. „Nogietki” były też świetnymi pułapkami dla mszyc, oszczędzających wtedy sąsiadujące warzywa, jak np. koperek rozsiewany „z ręki” po wszystkich grządkach. Gospodynie je lubiły i pozwalały im królować wśród kolorowego kwiecia, tak jak i pomarańczowo-bordowym aksamitkom, nazywanym ze względu na swój intensywny, specyficzny zapach „śmierduszkamy”. Ślicznymi, wprost symbolicznymi kwiatami wsi były malwy, ulubione rośliny ozdobne naszych babć i mam. Rosły pod ścianami prawie każdego domu, ślicznie je dekorując w różowe lub białe kwiaty; najczęściej „ślypiate” z żółtym środkiem, ale niekiedy też pełne, podobne do róż, obficie oblepiające sztywne łodygi. Wyrastały wysokie, więc były narażone na silne podmuchy wiatru. W czasie letnich burz szalone wichury i ulewy gięły je i łamały, budząc zawsze smutek i żal gospodyń, które podnosiły je, podwiązywały, usuwały połamane pędy, by znów mogły cieszyć oczy swoim pięknem. Malwy były znane już w starożytności i cenione ze względu na właściwości lecznicze i dekoracyjne. Właśnie ich pastelowe, duże kwiaty oraz wysokie, sztywne łodygi czyniły je dostojnymi i wyniosłymi. Jako typowy element wiejskiego pejzażu były uwieczniane na obrazach wielu malarzy i opisywane w wielu utworach.

W każdym przydomowym ogródku rosły też słoneczniki – rośliny łączące piękno z pożytkiem. Tak jak malwy dźwigały ponad płoty swe dumne głowy na grubych łodygach. Pomarańczowo ubarwione kwiaty słoneczników obracały się za słońcem. „Siemiecki, hej, gryźcie siemiecki...” – chyba z ukraińska podśpiewywała jedna z sąsiadek, dając nam dojrzałe koła słoneczników, zawsze częściowo wydziobane przez ptaki, z którymi dzieliliśmy smakowite ziarenka, wypluwając łupiny farbujące nasze ręce i śmiejące dokoła.

Kochaliśmy te wszystkie zwyczajne, pospolite kwiaty, popularne w wiejskich ogródkach. Mikołajkowy bohater Bluszcz – wracając z jednej z akcji miał w oczach kryte słomą dachy, odpustowe kwiaty w ogródkach i piękny zachód słońca”²⁰. Te „odpustowe kwiaty” – choć niezbyt wyrafinowane – były przecież tak barwne, tak swojskie i wspaniałe wtapiały się w wioskowy pejzaż.

Oczywiście w ogródkach królowały użytkowe warzywa: marchewka, pietruszka, cebula, koper, zielony groszek, fasola, ogórki, pomidory i kapusta, niekiedy też kilka zagonków wczesnych ziemniaków i buraków ćwikłowych. Rzadko pojawiały się selery, kalafiory, szparagówka czy pory. Gdzieś w kącie podwórka rosły krzaki porzeczek, kolczastego agrestu lub dziczejących malin, niekiedy

przedzierających się ku słońcu swoimi łodygami, pełnymi czerwonych owoców przez jakieś stare połamane dachówki, kawałki cegieł czy kamienie.

I było jak u Tuwima:

„Tam zawsze w rumowisku owem

Stał malinowy krzak, przybłąda.

Sam nie wie, jak się tu przyszwendał,

Lecz rósł, lecz trwał – i malinowe

Grube łzy ronił...”²¹.

Popularnej dziś papryki czy cukini w ogóle nie uprawiano. I tylko kilku gospodarzy miało parę zagonków truskawek przeznaczonych na sprzedaż.

Corocznie w pogodną niedzielę ojciec wyprawiał się rowerem, by przywieźć koszyczek tych cudownie pachnących i smakowitych owoców od Skowronów znad Wisłoki. To były pamiętne chwile, a dorodne, czerwone truskawki wydawały się nam niesamowicie piękne i słodkie.

Warzyw nie kupowano. Honorom każdej gospodyni było mieć pełne ich grządki na domowe potrzeby od wiosny do późnej jesieni, a także na zimowe przetwory. Ziemniaki i kapustę sadzono na polach, a resztę warzyw właśnie w przydomowych ogródkach oddzielonych sztachetowym płotem od „łobeścia”.

Zimowe przetwory to przede wszystkim była beczka kiszonej kapusty, soki z wiśni, smażone jabłka i powidła śliwkowe. Dla celów leczniczych robiło się soki z borówek i malin. W piwnicy składowano buraki ćwikłowe czyli „ćwiki”, cebulę, pietruszkę i marchew, a w komorze w skrzyni ze zbożem lub na strychu w sianie późne odmiany jabłek i gruszek. Niektóre gospodynie gotowały też na zimę kompoty z różnych owoców, smażyły dżemy i przygotowywały ogórki kiszone. Jednak kompot piliśmy najczęściej w lecie, ze świeżych owoców. W zimie piło się zazwyczaj gorące mleko [niektórzy z kożuchem – brrr!], a także zbożową kawę „Dobrynkę” zabielaną mlekiem i „bawarkę” czyli herbatę z mlekiem.

Prawdziwą, czystą herbatę piło się dość rzadko. Zazwyczaj nam, dzieciom – dawano herbatkę lipową, z własnoręcznie ususzonych nasion, lub z sokiem malinowym czy borówkowym. Były pyszne, zdrowe i pięknie pachnące. Najcudowniejsza była ta z lipy, której skrzydełkowe nasiona zrywaliśmy wspinając się po grubych konarach lip rosnących na podwórku koleżanki Celinki. Gęstwina gałęzi i sercowatych liści pełna była brząków pszczelich, świergotów ptasich, wietrznych poszumów i miodnej woni. Do dziś gdzieś z otchłani mojej pamięci unosi się cudny zapach, piękny złocisty, słoneczny kolor i niepowtarzalny smak tamtej lipowej herbatki. Popijało się ją parząc sobie dłonie gorącym, blaszanym garnuszkiem i marząc o powrocie pięknego, miodnego lata.

Ale tymczasem panowała wszechwładna zima, otulająca cały świat rażącą bielą. A w zimie odbywały się w wiosce mojego dzieciństwa świniobicia.

Świnie zabijano najczęściej przed Bożym Narodzeniem, ale niekiedy też na Nowy Rok czy na Wielkanoc i w każdym domu było to ważnym wydarzeniem, do którego długo się przygotowywano. Oczywiście trzeba było już na wiosnę kupić na targowisku w Dębicy małego świniaka i hodować go aż do jesieni. Mama jeździła na targ rowerem i zawsze przywoziła w worku zawieszonym na ramie dwa małe prosiaczki, z których jedno szło na sprzedaż, a drugie na rzeź. Zawsze mówiła, że szkoda trudzić się dla jednego, a i różniej zwierzątkom we dwójkę. I pewnie tak było.

I tu akurat nie sprawdzało się stare porzekadło: „Nie miała baba kłopotu, kupiła se prosie”.

W wiosce mojego dzieciństwa tradycje hodowania świń były bardzo zakorzenione. Już pod koniec XIX wieku „Bobrowa zasłynęła jako ośrodek hodowli trzody chlewnej”²². Zdrowo rosnące świniaki dały się jak najęte, domagając się coraz więcej żarcia. W dostarczaniu im zielska uczestniczyły oczywiście dzieci. Uzbrojeni w „sirp” – zazwyczaj wbijany ostrzem w belkę węgła – ścinaliśmy pokrzywy, które rosły wszędzie w wielkiej obfitości. A choć nakładaliśmy wełniane rękawice, długo piekły poparzone ręce pełne drobnych bąbli. Pocięte drobnutko, dodane do otrąb i „utucone” z parowanymi ziemniakami zalanymi serwatką, mlekiem czy pomyjami pokrzywy znikwały w przepastnych brzuchach „żyрных” świnek, które rosły jak na drożdżach, co cieszyło oczy i serce gospodyń.

Gdy świnki miały odpowiednią wagę i grubość słoniny, a zbliżał się czas świąt, ustalano termin świniobicia. Miarą wagi tuczników – używaną w wiosce mojego dzieciństwa – był „metr” równający się stu kilogramom. Świnia przeznaczona na ubój powinna osiągnąć wagę od półtora do dwu metrów. Również ważna była grubość słoniny. Mierzyło się ją palcami i gospodarz był dumny, gdy była grubsza niż na cztery palce.

Wtedy rozpoczynała się cała starannie opracowana i corocznie powtarzana ceremonia przygotowań, a potem zabijania, spuszczenia krwi, rozcinania, patroszenia, ćwiartowania zabitej świni, a wreszcie przerabiania mięsa na smakowite wiktuały. Mistrzem w tym fachu był wujek Stanisław Lipa, dlatego trzeba było zamawiać go z dużym wyprzedzeniem. Ojciec kupował zapas pieprzu, soli, angielskiego ziela i bobkowego liścia, ostrzył noże, pożyczał specjalne drewniane koryto, wyjmował z kredensu odpowiednie naczynia. Gdy w drewnianym, solidnym młynku na korbkę pozwalał nam zemleć brązowe kulki pieprzu, patrzył uważnie, by nawet jedno ziarenko nie spadło na ziemię, a gdy na skutek naszej nieuwagi tak się działo, nakazywał szukać go i po „odmuchaniu” dorzucić do innych. Pieprz zazwyczaj zdobywano z trudem; był drogi więc też cenny. Obierałyśmy też z łusek ząbki „czostku”, który sadzono we wszystkich przydomowych ogródkach. Był bowiem bar-

dzo popularny jako dodatek do wielu potraw, a także stosowany jako lek na różne dolegliwości, zwłaszcza na przeziębienie.

W dniu świniojocia wszyscy wstawali wcześniej rano. Zawsze żał nam było świnki, którą zdążyliśmy polubić i nie chcieliśmy oglądać, jak będzie zabijana. Ale wiejskie dzieciaki najczęściej od małego uczestniczyły w różnych drastycznych scenach mających miejsce w gospodarstwie i wcześniej oswajały się ze śmiercią. Były świadkami zabijania kur, kaczek, gęsi, królików czy świń, obserwowały zapładnianie i wycielanie się krów, czy podglądały nieprzyjemne badania weterynaryjne.

Bohater Mikołajka – Cykaniec wyznaje: „Ja od dzieciństwa dusiłem młode wrony, patrzyłem jak zabijają świnię. Niejeden rzeźnik groził mi nożem i nic z tego powodu nie przeżywałem”²³. W zachowaniu chłopców, którzy konstruowali proce i mierzyli z nich do ptaków również nie było żadnego umyślnego okrucieństwa. Tak działał instynkt od wieków kierujący zachowaniami prostych ludzi. Pisarz Jose Sarmago pisze nawet: „Wróble narodziły się po to, żeby strzelać do nich z procy, chłopcy, żeby strzelać do wróbli. Jest tak od początku świata”²⁴.

Gdy wreszcie wybiegałyśmy z domu, na bieli śniegu, który zalegał podwórko, wykwitał dziwny, czerwony, krwisty kwiat, a zabita świnia leżała już ułożona w drewnianym korycie, ledwo się w nim mieszcząc. Ojciec polewał ją wrzątkiem, a wujek zdierał nożem szczecinę z jej grzbietu. Następnie podciągano ją do góry za pomocą powroza i już za chwilę na belce wisiąły różowe, rozkrojone półtusze. Obok w dużej misie czerwieniła się krew potrzebna do zrobienia kaszanki czyli „kiszki”, a w miednicy wstrętne, parujące jelita, które potem starannie czyszczono, wielokrotnie płukano wodą z octem, by mogły służyć jako osłony kielbas i kaszanek.

W czasie świniojocia cały dzień odbywała się bieranina, krojenie, mieszanie, gotowanie, przyrządzanie mięsa, aż przybierało ono formę kielbas, kotletów, salcesonów, smalcu czy sadła. Nie mógł się zmarnować nawet kawałeczek. Wszystko porozdzielano, przetworzono, sprawiono tak, że mogło stanowić podstawę żywienia na długie zimowe dni. Oprawiający tusze świńskie mężczyźni oddzielali schab, potem wycinali kości z szynki, z wątroby i podgardla, i robili pasztet dodając jajka i rozmoczoną bułkę oraz przyprawy, przygotowywali też kaszankę z „pencoku”, tłuszczu i spuszczonej krwi, i napełniali tym farszem grube jelita. Zaś w cienkie – za pomocą specjalnej tulejki przymocowanej do maszynki do mielenia mięsa – wtlaczali masę mięsną z kawałków schabu, łopatki, boczku i podgardla, wymieszaną z dużą ilością soli, pieprzu i posiekanego drobniutko czosnku – robiąc wspaniałe kielbasy. Przygotowywano też salceson. Pozostałe kawałki gorszej jakości mięsa, nerki, serce, śledzionę, uszy, ryj mielono z przyprawami i wkładano do wymytego starannie świńskiego żołądka, po

czym zalewano rosółem, szczelnie zaszywano i – tak jak szynki – gotowano długo na wolnym ogniu. Na koniec mocno dociskano i studzono. Solidnie posoloną słoninę, salceson i sadło można było przechowywać w zimnym pomieszczeniu aż do wiosny. Kobiety zabierały się też zaraz do peklowania, zaprawiania, marynowania mięsa w słoikach, by jak najdłużej zachowało świeżość, a mężczyźni wędzili kiełbasy, szynki czy boczki.

Pchaliśmy wózek wypełniony kiełbasami do gospodarstwa Władysława Łączaka, zwanego „Loncokiem”, który miał odpowiednią wędzarnię, a gospodyni częstowała nas kiszonymi ogórkami o wspaniałym zapachu i smaku.

Mimo sprawnej krzątania przy przetwarzaniu mięsa pracę kończono już po zmierzchu i wtedy biegaliśmy do sąsiadów, by zanieść im trochę słoniny, kaszanki i kiełbasy. Ten zwyczaj obdarowywania był nie tylko miły, ale też pożyteczny. Można było liczyć na rewanż, gdy obdarowani gospodarze wyprawiali świniobicie w swoim domu.

Już na następny dzień zjadaliśmy wytworzone specjały; choć dosyć oszczędnie, bo to przecież zazwyczaj był adwent – czas oczekiwania na świąteczne ucztowanie. Na razie częściej na obiad były ziemniaki z jajkiem sadzonym i kapustą, która kisiła się w beczułce, rozsiewając w pobliżu charakterystyczny, kwaśny zapach. Była podstawową „jarzyną” na zimowe dania, a jej sok – lekiem na różne dolegliwości. Podawano go np. na czczo dzieciom przeciwko owsikom; popularnej „pladze” dzieciństwa w tamtych czasach.

Kiszenie kapusty również było bardzo ważnym wydarzeniem w każdym domu. Najpierw wyparzano dębową beczkę i pożyczano od jakiegoś sąsiada szatkownicę, bo nie wszyscy takie urządzenie posiadali, a na codzienne potrzeby wystarczał przecież kuchenny „tasok”. Przynoszono w koszu lub w „łopołce” kapuściane głowy, które najpierw obierano z wierzchnich liści; twardych, zabrudzonych, często poobgryzanych przez gąsienice bielinka kapustnika, a następnie czyste już głowy krajano na kilka części i wycinano z nich głąby. Potem przy pomocy ręcznej szatkownicy siekano kapustę w wąskie paseczki, co wymagało dużej wprawy i siły. Niejednokrotnie brak takiej wprawy lub nieuwaga osoby szatkującej kończyła się groźnymi skaleczeniami, bo noże szatkownicy musiały być bardzo ostre. Na koniec wysypywano posiekaną masę – wymieszaną z utartą marchewką, solą i kminkiem – do wyparzonej beczki. Kapusta musiała być mocno ugnieciona. Specjalnym drewnianym „bijokiem” ubijało się ją dotąd, aż puściła sok. Czasem w małych beczułkach kiszono też ogórki, a nawet jabłka. Na koniec beczkę nakrywano, a po kilku dniach – gdy zaczął się na powierzchni zbierać charakterystyczny kożuch, a całą kuchnię wypełniał specyficzny, kwaśny zapach – wynoszono ją do chłodnego miejsca i tam przechowywano, wykorzystując kiszonkę do przygotowania obiadów prawie codziennie, przez całą zimę.

W zimowe dni zajmowaliśmy się również „rozciąganiem” wełny, zwanym też gremplowaniem, które było przygotowaniem do przędzenia. W bardzo wielu bobrowskich gospodarstwach hodowano barany. Strzygli je sami gospodarze, a wełnę przekazywali do obróbki żonom. Jedna z sąsiadek miała zwyczaj strzyc swe owieczki tylko fragmentarycznie, w zależności od zapotrzebowania na wełnę. Pasły się więc śmiesznie powystrzygane, a to na grzbiecie, a to z boku, a to na brzuchu.

Przygotowując wełnę, należało najpierw tłuste, skudłone pęczki porozciągać na miękkie i puszyste kłębki gotowe do przędzenia na specjalnych kołowrotek zwanymi „wózkami”, które zastępowały dawne kądziele. Kobiety – „prząśniczki jak anioł dziewczynki” potrafiły wysnuwać bardzo cieniutkie i równiutkie niteczki, które potem przewijało się na drewnianym, zmyślnym urządzeniu zwanym „krzyżokiem”, a po ściągnięciu wiązało w pęczki i prało. Następnie najczęściej farbowano wełnę w gotującej się w garze farbie na czerwono, zielono, granatowo lub czarno, suszono na sznurku jak bieliznę, a na koniec zwijano na motki, czyli „gołki”. Do zwijania potrzebne były dwie osoby. Jedna zakładała pęczki wełnianych nici na rozłożone dłonie, a druga zwijała z nich wełnę, którą można już było przerabiać na drutach na ciepłutkie swetry, rękawice, skarpety, czapki, szaliki czy nauszники.

Wełniane domowe wyroby były bardzo szorstkie, drapiące skórę, ale ciepłe i praktyczne, no i ogromnie przydatne w czasach deficytu wszelkich towarów. Dla najmniejszych dzieci przeznaczona była miękkuchna i puszysta wełna z królików „angorów”. Były trudne w hodowli i nie można ich było zamykać w klatkach; chyba dlatego po naszej izbie kicał taki bielutki, śliczny, puchaty króliczek.

Niektóre kobiety [druty w rękach mężczyzn i chłopców to był straszny wstyd!] opanowały sztukę robienia na drutach do perfekcji. Tworzyły naprawdę ładne wyroby, stosowały różne ściegi i wzory, a czapki ozdabiały ślicznymi „kucotkami” wykonywanymi na specjalnej konstrukcji z tektury, na którą nawijało się grubo uprzedzoną wełnę, a potem odpowiednio przycinało i związywało. Powstawały wtedy wspaniałe, gęste kule, będące prawdziwą ozdobą dziecięcych czapeczek.

Robiono różnorodne swetry: z bulwiastymi guzikami; też z włóczki, grube – z wzorem w warkocze, czy cienkie – w pawie oczka. Bywały z krótkim lub z długim rękawem, rozpinane i wciągane przez głowę, z golfem lub z małym dekoltem, na dwu lub na pięciu drutach, które z rowerowych szprych wykonywali dla swych kobiet mężczyźni. Wiele z kobiet posiadało duże umiejętności dziergania rękawiczek z jednym lub z pięcioma palcami – w paseczki lub wzorki przedstawiające np. modne śniegowe gwiazdki. Potrafiły też robić skarpety, ozdobne szaliki, chusty zakładane na ramiona,

a nawet nauszniki dla mężczyzn. Dziewczynki od małego przyuczały się do robienia na drutach i były dumne, gdy posiadały tę sztukę.

Był to też świetny sposób na nudne, długie, zimowe wieczory. Można było przy tym zajęciu równocześnie słuchać radia lub np. śpiewać różne piosenki. Mama mówiła: „Przy muzyce i robocie człek zapomni o kłopotcie”. Migwały więc druty, płynęły wesołe radiowe melodie, rosły wełniane robótki, miło mijał wieczorny czas. Wreszcie trzeba było iść do łóżek. Ojciec przykręcał lampę, jednym dmuchnięciem gasił jej płomyk, a zaraz ciemność ogarniała izbę, a z nią przyplływały kolorowe, dziecięce sny.

Chyba w piątej klasie nastąpiła moda na torby robione z włóczki, w których nosiłyśmy książki. Zastąpiły nasze stare teczki; skórzane, wielkie, ciężkie i brzydkie. Popisywałyśmy się więc talentami w artystycznym łączeniu kolorowych, wąskich paseczków z resztek wełny i w umiejętności przekształcenia wydzierganego prostokąta w gustowną torbę. Trzeba było znaleźć i wymierzyć też podszewkę z jakiegoś niepotrzebnego kawałka tkaniny, zszyć wszystko razem po lewej stronie tak, by ukryć zwisające brzydkie końce włóczek i dorobić dwa mocne ucha. I torba była gotowa. A jaka piękna! I lekka! I nikt nie miał takiej samej!

A zima zagościła już na dobre. Mijał dzień za dniem, tydzień za tygodniem, zgodnie z odwiecznym rytmem wiejskiego życia. Bo tamto wiejskie życie miało swój ustalony rytm: rytmicznie biły ludzkie serca, rytmicznie zegary odmierzały godziny, bocian wylatujący z gniazda płynął w powietrzu rytmicznie poruszając skrzydłami, młockarze rytmicznie walili cepami w rozwiązane snopy, a my śpiewaliśmy swe dziecięce piosenki, klaszcząc do rytmu w ręce. Natomiast zaburzenie odwiecznego rytmu przynosiło zawsze niepokój, troskę, nieszczęście, brak poczucia ładu i sensu.

Leniwie budził się zaśnieżony świat. Gdy okutani wybiegaliśmy na podwórze, by nacieszyć się nieskażoną bielą i odcisnąć na niej swoje ślady, witało nas mroźne powietrze i lodowaty wiatr, strząsający z drzew ciężkie płaty śniegu. Kłęby pary znaczyły każdy nasz oddech. Rozglądaliśmy się ciekawie, bo wokół było jak w dziecięcej baśni. Ziemia i niebo stapiały się w jakiejś przedziwnej mieszaninie bieli z domieszką błękitu. Zadziwiały nieskazitelnie białe czapy na dachach, płotach, studniach. Biegliśmy przez zaspy śniegu, by poczuć jego chrzęst i sypkość, i rozglądaliśmy się wokoło, wciąż zdziwieni tym cudem natury. Za skutą lodem rzeczką rozciągały się nieskalane żadnym śladem puste pola, ciągnące się aż do Wisłoki, połyskujące w styczniowym, zimnym słońcu. W powietrzu panowała niezwykle cisza; cisza dająca dziwne poczucie niezrozumiałego szczęścia, jakbyśmy się nagle znaleźli w nierealnym, zaczarowanym świecie. Tak było zawsze, gdy w nocy spadł świeży śnieg.

Ale dla dorosłych śnieżna zima wiązała się z wieloma kłopotami. Wychodzili okutani, by odśnieżać ścieżyny wiodące do studni, do stajni, do chlewika czy psiej budy. Ciszę poranka przerywało tylko krakanie wron, które szukały na odmiecionych ścieżkach zagubionych ziaren. Wszyscy spoglądali z troską w styczniowe niebo, na którym zaczynały się kłębić lodowate chmury wieszczące nowe zadymki. Wiedzieli, że wkrótce trzeba się spodziewać okólnika podawanego z domu do domu kolejnym sąsiadom.

„Łokólnik” był urzędowym pismem powiadamiającym o jakiejś ważnej sprawie dotyczącej wszystkich mieszkańców. Przekazywano go od domu do domu; bardzo szybko, nie pomijając nikogo. Fenomenem było to, że nigdy nie zdarzyło się, żeby okólnik zaginął, żeby nie został podany dalej lub zniszczony. W zimie wzywał najczęściej – w ramach odrobienia szarwarku – do udziału w odśnieżeniu gościńca, by umożliwić łączność wioski ze światem.

Ów „szarwak” był przymusowym świadczeniem nałożonym przez nową władzę na mieszkańców wsi. Był to obowiązek wykonywania robót publicznych, głównie przy budowie i utrzymaniu dróg, mostów, oczyszczaniu ro-

wów czy umacnianiu wałów i brzegów Wisłoki faszyną. Gromadzka Rada Narodowa ustalała corocznie liczbę dni szarwarku przypadającą na każde gospodarstwo. Zniesiono go dopiero w 1958 roku.

Każdej zimy kilka dni poświęcano właśnie odśnieżaniu gościńca.

Zdarzało się, że oczyszczona droga wyglądała jak ogromny tunel, a śnieg zalegał wysoko ponad płotami. Idąc tym wydrążonym tunelem widziało się tylko smużki dymu, unoszące się z kolejnych chat i wąskie dróżki prowadzące do każdego obejścia. Kolejne kurniawy znów je zasypywały i odśnieżanie trzeba było zaczynać od nowa. Pocieszano się jedynie tym, że dni już stawały się dłuższe więc i do wiosny było coraz bliżej. Przecież: „Na Boże Narodzenie przybywa dnia na wołowe leżenie”, a „Na Nowy Rok na barani skok”!

Styczniowe dni były zawsze śnieżne i mroźne. Drzewa pękały jak zapaliki, wichry ziębiły izby, długie noce czernią kładły się na uśpione, zawiane śniegiem domostwa. Już od wczesnego rana nad chałupami kłębiły się bure kity dymów. To gospodynie rozpałały ogień, by parować ziemniaki dla drobiu i świń, gotować śniadanie dla domowników i ogrzać wyziębioną izbę. Gdy miało się na pogodę i mróz to dymy strzelały prosto w górę, a gdy zimne wiatry zwiastowały nadejście śniegów i zamieci – płożyły się po dachach, wracały kominem aż do izb, tłumiły płomienie palenisk. Gospodynie po zapaleniu w piecu biegły pod studnię, by zaczerpnąć wody. Niekiedy oblodzone wiadro studzienne przymarzało do cembrowiny, a placyk wokół zmieniał się w niebezpieczną ślizgawkę. Wtedy to wzywano jakiegoś mężczyznę, który odrąbywał lód spod wiadra, a któraś z kobiet na łopatkę przynosiła trochę popiołu i rozsypywała wokół studni. Jeszcze zamieniało się kilka zdań z sąsiadkami i już można było wracać z pełnymi wiadrami do ciepłej izby.

Świętowanie Nowego Roku rozpoczynano zabawą taneczną w ludowcu. O imprezach sylwestrowych chyba nikt nie słyszał.

Zakończenie Starego Roku czczono Mszą świętą dziękczynną, w czasie której proboszcz podsumowywał mijający rok. Ksiądz Fijał „grzmiał”, zawsze utyskując na zbyt małą ilość rodzących się dzieci – i choć rodziny były zazwyczaj liczne – zachęcał do ich powiększania.

Oburzał się na dziennikarzy i polityków twierdzących, że ziemia zbyt szybko się zaludnia, co grozi plagą głodu. Przypominał, że tyle jest terenów zupełnie niezamieszkałych – całe kontynenty, niezliczone kraje z małą liczbą narodzin, które można zasiedlać. Mówił najczęściej o Afryce, a nawet o pustyniach bezludnych, co długo męczyło naszą dziecięcą wyobraźnię, która przywoływała obraz dzieci bawiących się wśród piasków pustyni. Wracaliśmy z kościoła brnąc przez kopny śnieg. Zawianą drogę z Nagoszyna wyznaczały tylko rosnące szpalerem rosochate wierzby, których skołtunione konary stały całe w bieli.

W Nowy Rok mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa chodzili „w gości” do krewnych, by zobaczyć, co u nich słyszeć, powspominać ubiegły rok i podyskutować o przyszłości, która – niestety – nie jawiła się zbyt różowo. Wiadomo, czas od Bożego Narodzenia do Gromnicznej był okresem, kiedy nie tylko ksiądz, ale i wszyscy powinni „kolędować”, czyli odwiedzać krewnych, składając im noworoczne życzenia. Nie było wtedy roboty w polu, która uniemożliwiałaby spotkanie się i biesiadowanie. Nie czekało się na specjalne zaproszenia, nie zapowiadało wcześniej swojej wizyty, ani nie ustalało godzin przyjścia. Wszyscy wiedzieli, że zawsze mogą wpaść do krewnych, znajomych, do sąsiadów i zawsze będą mile widziani.

Wchodząc do izby, śpiewali kawałeczek jakiejś kolędy: „Nowy Rok bież”, „Do szopy, hej, pasterze” czy „Bóg się rodzi”. Zawsze serdecznie witani, składali domownikom noworoczne życzenia i zasiadali do stołu. W tużpóźno wojennej rzeczywistości nie myślano o jakiś szalonych marzeniach. Życzono sobie zdrowia, miłości w rodzinie i Bożego błogosławieństwa na każdy czas. Z troską i niepokojem mówiono:

– Oby ten rok nie był gorszy od starego, żeby nie doszło – broń Boże – znowu do następnej wojny, bo wtedy już po nas.

– No i żeby nie było jakiś kataklizmów i nieszczęść: pożarów, powodzi, nieurodzajów, bo jak wtedy przeżyjemy kolejną zimą?

– Mówią, że kiedy styczeń najmroźniejszy, wtedy roczek najpłodniejszy, a przecież mrozi i sypie od dawna, to może plony będą obfite.

– Daj Bóg, daj Bóg...

Wspominano też – oczywiście – tak jeszcze świeże w pamięci lata wojny, wyrażano nieśmiało nadzieje na lepszy czas, ale i obawy, czy da się wymazać z pamięci tak wciąż żywe koszmary. Takie obawy wyraża m.in. Natan z Mikołajkowego „Tryptyku na śniegu”:

„Boję się, że każde pokolenie wierzy. Ale jak pogodzić dwie sprzeczności: żeby żyć normalnie, należałoby to wszystko zapomnieć. A zapomnieć się nie da. Czy świat ma należeć do obłąkanych?”¹.

Ci z przeszłością podziemną, pełni niepokoju o własny los w zaistniałej sytuacji politycznej, ponuro milczeli lub cicho wzdychali, mając wciąż w pamięci leśne, tragiczne lata, tak jak inny bohater „Tryptyku na śniegu” – Witek:

„Las był pełen śniegu, była wielka cisza. Patrzyłem na obdarte, cisnące się do ognia postacie i nie chciało mi się wierzyć, że gdzieś tam istnieją wsie i miasta, ludzie podnoszą do góry kielichy, śpiewają, tańczą. Od nas, jeszcze wieczorem, kilkunastoosobowa grupa poszła na wypad. Myślałem o tych, którzy gdzieś tam świętują, i o tych, którzy brną teraz wśród śniegów”².

Świętowanie Nowego Roku było skromne. Gospodyni stawiała na stole przygotowane kanapki z białym serem, „swojskom” kiełbasą i ukiszonym ogórkiem. Przynosiła też jakiś „krechy” lub drożdżowy placek.

W wielu domach pieczono te placki według tych samych, sprawdzonych przepisów. Młode gospodynie miały specjalne zeszyty ze zbiorem takich właśnie przepisów przekazywanych przez babcię, mamę, sąsiadki i koleżanki. W naszych domowych, starych szpargałach zachował się np. przepis na piernik, który – zgodnie ze zwyczajem – przygotowywano na Boże Narodzenie i Nowy Rok: „Utrzeć dwa żółtka ze szklanką cukru, połową szklanki miodu, jedną łyżką masła, pół kilogramem mąki, proszkiem do pieczenia i dodać „ciutkę” przyprawy do pierników. Dosypywać porcjami. Dodać jedną szklankę mleka i wszystko dobrze utrzeć. Dodać ubitą pianę z białek, wymieszać, wlać do natłuszczonej formy i piec w niezbyt gorącym piecu”.

Kakao – niemożliwe wtedy do zdobycia – nie występowało w tym tuż-powojennym „piernikowym” przepisie. Koło Gospodyń Wiejskich, istniejące w wiosce mojego dzieciństwa od czasów przedwojennych, organizowało kursy uczące nowoczesnego gotowania i pieczenia, a także stosowania nowych produktów spożywczych, przypraw i dań. Kursy te cieszyły się ogromnym powodzeniem i kończyły uroczystym świętowaniem. Młode gospodynie w bielutkich fartuszkach, samodzielnie uszytych i obwiedzionych mereżką, serwowały różne potrawy i wypieki. Raczone się nimi, śpiewano i tańczono przy muzyce. Robiono też pamiątkowe zdjęcia, które pewnie do dziś przechowują uczestniczki tamtych kursów.

Noworoczny piernik, czy „syrowiec” ułożony przez gospodynię na stole w szklanym „kloszu” wszyscy chętnie pałaszowali i chwalili. Gospodarz już wcześniej nastawiał „zacir” i po sprawdzeniu, czy „brawa” jest już gotowa, przygotował domowy bimber. A z chwilą, gdy na stole pojawiała się butelczka samogonu, rozmowy stawały się mniej pesymistyczne:

– Jakoś to będzie – mówiono. – Przeżyliśmy wojnę to i teraz damy radę. Byle łaskawy Bóg błogosławił!

– No, jak widać, że dzień trochę dłuższy to i nadzieja się rodzi.

– Tak, tak. Oby tylko słońeczka i wiosny doczekać.

– No to na zdrowie i – jak to mówią: „By w kołysce dziecko było i przy stole się szczęściło na ten Nowy Rok”!

– Na zdrowie! Wiadomo, że na frasunek dobry trunek.

Wracały też nieustannie te same tematy: nowe porządki, sfałszowane wybory, wciąż działające podziemie, groźba nowej wojny, spółdzielnie produkcyjne, niepokój o przyszłość. Ale my, dzieci – cieszyliśmy się obecności kuzynów i innych rówieśników, z którymi urządzało się dzikie zabawy. A strachy były wszędzie takie same.

Popijając domową „samogonkę” i pogryzając kanapkami przekazywano sobie wiadomości i plotki. Przychodził, utykając, dziadek i ściskając nas na powitanie łaskotał zmrożonymi, szorstkimi wąsikami, czarnymi i twardeymi jak druciki. Rozsiadłszy się przy stole, sączył ciekłą herbatkę lipową

i zagadywał do nas lub pośpiewywał grubym głosem: „Był Duda był, miał dudy miał, ale te dudy nie były Dudy, a bo ten Duda łód innego Dudy te dudy miał”. A potem, wzbraniając się lekko, wypijał „tylko jeden kuśtycek” i zaczynał opowiadać o swych wojennych przygodach, niezrozumiałych dla nas – dzieci, by na koniec zanucić jeszcze coś cichutko w szwargotliwym – chyba węgierskim, niezrozumiałym dla nikogo języku, zapamiętanym z czasów pierwszej światowej wojny, w której uczestniczył.

A za oknem czerniało zimowe niebo. Jego wygląd zapowiadał pogodę na cały rok. Wierzono, że „Gdy styczeń jasny i biały, w lecie będą upały”. A gdy nagle z roziskrzonego nieba odrywała się jedna z gwiazd, trzeba było pomyśleć jakieś marzenie, które powinno się spełnić, ale tylko wtedy, gdy nikomu się go nie wyjawiało. Ale najczęściej noce były pochmurne i ciemne, wieszczące śnieżyce i zamiecie, które nanosiły nowe warstwy białego puchu.

W takie śnieżne dni oglądaliśmy zimowy świat przez okna ocieplone watą umieszczoną między szybami i ozdobione gałązką świerkową. Ale gdy tylko wychynęło zza horyzontu blade słońce, wybiegaliśmy na mróz, obrywając ostre sople zwisające z dachów i lizaliśmy je po kryjomu, choć język kołowaciał i przymarzał, a lodowata woda mroziła żołądki. Na nagich gałązkach jaśminu i bzu kołysały się barwne szczygły, gile i sikorki. I wtedy wydawało się, że krzaki nagle rozkwitły wesołymi kolorami. Wszędobyłskie wróble i wrony zlatywały nisko tuż pod nogi. Niekiedy na gościńcu odzywały się dzwonki sań, które przemykały szybko, mijając domy zagrzebane w zasypach. Brnąc po kolana w śniegu, toczyliśmy śnieżne kule, by ulepić dużego bałwana. Nigdy się nie nudziliśmy i lubiliśmy ten mroźny, styczniowy czas.

Cały okres bożonarodzeniowy aż do Gromnicznej pełen był ciekawych zwyczajów przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Już późnym wieczorem i nocą w Boże Narodzenie chodzili tzw. „śmieciorze” i zaścielali słomą całe podwórka domów, w których mieszkały panny. Honorom gospodarzy było wysprzątać wszystko do czysta wczesnym rankiem zanim ludzie będą szli do kościoła. Nie było to łatwe, bo słoma – najczęściej wybrana z pobliskiej stodoły czy „styrty” – była zmieszana ze śniegiem i rozdeptana.

Porządki powinny wprawdzie robić „wyróżnione” tym zwyczajem panny, ale najczęściej sprząтали rodzice, nie mając serca wypędzać swych pociech z ciepłych łóżek na mróz i śnieg, czy „słyzgawice”. Matki nastoletnich córek, by nie dopuścić do zaśmiecenia podwórza, cały wieczór czyhały za firanką przy zgaszonym świetle – niestety – w końcu sen je morzył, a rano ukazywał się ich oczom niezbyt wesoły widok. I tak było w całej wsi, co powinno cieszyć, ale było nie lada kłopotem. Najgorzej było tam, gdzie zamiast słomy porozsypanyo sieczkę, niemożliwą do wysprzątania ze śniegu, lub zrobiono jakiś jeszcze gorszy kawał. Zdarzało się bowiem, że wrota, drzwi od stodoły

czy nawet części wozów wynoszono na dach lub na drzewa, a wtedy ściąganie ich było nie lada problemem.

Idący do kościoła mieszkańcy wioski mieli niezłą zabawę, tradycji stało się zadość, no i dziewczyna została wyróżniona, o czym plotkowały wszystkie sąsiadki, więc choć problem był spory, nie można się było obrażać. Najbardziej pracownicy „śmieciorze” robili słomiane kukły i po przystrojeniu ich w stare, potargane szmaty, upodabniające je do strachów na wróble, umocowywali wysoko na drzewie lub na dachu. Te – zazwyczaj – „ozdabiały” posesję cały dzień; były bowiem powodem dumy mieszkającej tam rodziny.

W Świętego Szczepana święcono w kościele owies, którym mężczyźni po skończonej Mszy świętej rzucali w wychodzące z kościoła dziewczęta. Ten zwyczaj był pamiątką kamienowania pierwszego chrześcijańskiego męczennika – świętego Szczepana. A poświęcony owies dawano potem koniom – na zdrowie. Niektórzy chłopcy przynosili też do kościoła groch, więc trzeba było szybko uciekać, chować twarz i ręce, co nigdy się do końca nie udawało. I choć bolało, to przecież tradycja – rzecz święta!

W tym dniu ksiądz nie żałował kropidła i – idąc obok ministranta niosącego wielką misę pełną święconej wody – wymachiwał nim zapamiętałe, co chwila zanurzając je, a następnie z rozpędem solidnie mocząc wszystkich dokoła.

A od dnia Świętego Szczepana chodzili też po wsi Kolędnicy. W kolejnych domach prezentowali barwne widowisko pełne muzyki, śpiewów i psot, nawiązujące do średniowiecznych przedstawień bożonarodzeniowego misterium. Za swe występy otrzymywali od domowników nie tylko oklaski, ale też poczęstunek i drobne podarunki w postaci świątecznych wypieków, wędlin, jajek i pieniędzy. Niestety, nie wszyscy wpuszczali kolędników do domu, obawiając się, że dzieci będą bać się Żyda, Diabła czy Śmierci, którzy – jak tłumaczono maluchom – są groźni, zuchwali, szaleją po izbie, rozchlapują wodę, brudzą czarną sadzą i wyczyniają różne inne psoty. W takiej sytuacji Kolędnicy śpiewali tylko pod oknem kilka kolęd i po otrzymaniu jakichś świątecznych wiktuałów szli dalej w wesołym, barwnym korowodzie.

Już z oddali widać było wyłaniający się z mroku wcześniej zapadającej, zimowej nocy – kolorowy, rozśpiewany orszak. Przez szybę podziwialiśmy kręcącą się kolorową Gwiazdę sunącą przodem, kłapiącego wielką paszczą Turonia, Króla Heroda w złocistej koronie, garbatego Żyda, czy Anioła z wielkimi skrzydłami idącego za rękę z Diabełkiem niosącym widły i ciągnącym za sobą śmieszny ogon. Niektórzy aktorzy swoje role odgrywali przez kilka lat z rzędu, budząc wśród mieszkańców szacunek i podziw.

Tradycja kolędy była popularna w całej okolicy i wszędzie miała podobnych bohaterów. Byli to: „Herod, Trzej Królowie, żołnierze, hetman, pasterze, święty Józef, anioł, śmierć, diabeł i Żyd. W grupie kolędniczej byli muzykanci: skrzypek, harmonista i bębniści”³.

Dziad wyciągał dziewczyny do tańca, a Diabeł smarował je sadzą i psocił, ku udawanemu przerażeniu gospodyń. Bo wszyscy byli życzliwie nastawieni do Kolędników; częstowali kieliszeczkami wódki i z serca ich obdarowywali. Zdarzało się, że poczęstunek nie zawsze wychodził jednak Kolędnikom na dobre. Tak zapamiętał jeden z takich wieczorów w 1935 roku uczestniczący w Kolędzie bobrowianin Aleksander Bacher:

„Wracali weseli, kolędę odbyli,
Darowanym trunkiem hojnie się raczyli.
W głowach zaszumiało, zrobiło się błogo,
Podchmielony Turoń wyrwał Diabłu ogon.
A diabeł nie wiedział, kto go tak urządził,
Więc króla Heroda widłami potrafił.
Herod bał się Diabła, bo ten zęby szczyrzył,
Śmiejącemu się Słudze policzek wymierzył.
Sługa chwycił Żyda w swoje ręce młode
I na złość Królowi targał go za brodę.
Tylko Józef i Anioł pozostali nietknięci,
Jako, że byli trzeźwi, spokojni i święci.
Wreszcie walka ustała po jakiejś godzinie,
Zwaśnieni podpisali wstępne porozumienie.
A ich mediatorzy siedzący na żerdzi
Orzekli: dokument niech sołtys zatwierdzi.
Sołtys zatwierdzając, dopisał tekst krótki:
W dniach kolędowania nie wolno pić wódki”⁴.

Przez wiele lat podziwialiśmy też szopkę, z którą chodzili po wsi m.in. bracia mamy. Sami wykonali drewnianą konstrukcję przypominającą teatrzyk kukiełkowy dość dużych rozmiarów, „typu krakowskiego, z dwiema wieżyczkami po bokach”⁵, a także różne postacie, które rzeźbili z drewna, a potem malowali; wykonywali też różne potrzebne akcesoria, a ze skrawków kolorowych tkanin – kukiełkowe ubiory. Często sami też układali teksty. Po rozsunięciu kurtyny zaczynał się spektakl: barwne kukiełki występowały zazwyczaj w parach, przedstawiając w ciekawej, częściowo komediowej formie historię związaną z narodzeniem Chrystusa. Pojawiali się więc: Maryja z Dzieciątkiem i Józefem, Aniołowie, Trzej Królowie, Pasterze, ale także Baba Jaga, Żyd, Ksiądz, Diabeł, Czarownica i inne oryginalne postacie. Jeden z pastuszków w skocznej przyśpiewce wymieniał na przykład, jakie dary dadzą Dzieciątku: „Kuba worek gruszek, Stach masła garnuszek, chodzą wszyscy po kolędzie, kiedy tego mało będzie, dodam jabłuszek”. Ale najbardziej intrygowała nas Śmierć, która, ścinając Herodowi głowę, wołała groźnie:

„Królu Herodzie za twe zbytki idź do piekła, boś ty brzydki”.

Dziś, choć już nie ma śladów po tej pięknej szopce, a lalkarze są starszymi panami, to kilka tekstów i kukiełek przetrwało, by świadczyć, że czas nie unicestwia wszystkiego.

W okresie świątecznym wystawiane były też jasełka. Były to wielkie przedsięwzięcia, z dużą ilością „aktorów”. Próby odbywały się w domu mojej babci Józ i przyjeżdżał na nie rowerem proboszcza nagoski katecheta – ksiądz Józef Majchrowicz. Lubił młodzież, miał z nią świetny kontakt, dlatego ochoczo uczono się tekstów i scenicznego ruchu.

Miałam wielkie szczęście uczestniczyć w tych jasełkach i to w podwójnej roli: rozpoczynałam widowisko, witając publiczność i zapraszając ją do oglądania, a potem jako jeden z aniołów śpiewałam małemu Jezuskowi w dziewczęcym chórze. Razem ze mną występowało kilka innych dziecięcych aniołków, m.in. moje koleżanki z klasy: Łodzia i Janka. Było bardzo wesoło. Wszyscy chętnie uczyli się ról i prezentowali je z zaangażowaniem i przejęciem.

Pewnego dnia jedna z „aktorek” – Jasia, chciała coś przynieść z domu, więc ksiądz pożyczył jej rower, zastrzegając, by nikt o tym nie wspomniał proboszczowi Fijałowi, bo gdyby ten się dowiedział, że na jego rowerze jechała panna, nigdy by już na niego nie wsiadł. Było dużo śmiechu, bo młodzież była wesoła, skora do żartów, choć w ciągu dnia najczęściej ciężko pracowała w gospodarstwie.

Po pewnym czasie próby przeniosły się do kościoła w Nagoszynie. Oczywiście chodziliśmy pieszo, bo żadnej komunikacji nie było. Gdy wracaliśmy wieczorami, opiekowały się nami inne, też „dobre anioły” – starsze koleżanki uczestniczące w widowisku: Jańcia – filigranowa, zgrabna blondyneczka o niebieskich, figlarnych oczkach i milutkim głosie, Jasia – ta od pożyczonego roweru – „żywe srebro”, znajdująca sposób na każdy kłopot, gotowa do największych poświęceń dla „sprawy”, czy Zytka – kojarząca się z Jagienką z „Krzyżaków” – dorodna, wesoła, rumiana, wszystkim życzliwa, zawsze uśmiechnięta, zakochana w Olku, też grającym w jasełkach wraz z innymi bobrowskimi chłopakami: Jaśkiem, Józkiem, Tadkiem, Leszkiem, Mietkiem.

I było tak pięknie: atramentowe, zimowe niebo, na którym jarzyło się kilka złotych gwiazd, dźwięk skrzypiącego pod butami śniegu i wesołe śmiechy młodych dziewczyn i chłopaków; choć najczęściej biednych, ale tak bardzo kochających życie, umiających się cieszyć każdą chwilą, życzliwych światu i ludziom.

Jasełka grane kilkakrotnie w kościele bardzo się podobały i gromadziły tyle ludzi, że brakowało siedzących miejsc. Widowisko było bardzo barwne, pełne muzyki i śpiewów. Dbano nie tylko o właściwą interpretację tekstów, ale o najdrobniejsze szczegóły dotyczące strojów czy rekwizytów, co w tamtych biednych czasach nie było łatwe do wykonania. Zdarzały się też różne niespodzianki. W czasie spektaklu pasterze zapalali na scenie umieszczonej przed głównym ołtarzem prawdziwe ognisko w wielkiej balii obłożonej gru-

bymi brewionami, które rozniecano polewając drewno naftą. Pewnego razu ktoś chlapnął za dużo tej nafty i płomień wyrwał się tak wysoko, że wszyscy zadrżeli. Na szczęście ogień szybko przygasł i nie trzeba było używać wody, która – na wszelki wypadek – czekała w pobliżu w blaszanym wiaderku.

Podczas spektaklu śpiewaliśmy wiele kolęd i pastorałek zachęcając do wtórowania zgromadzoną publiczność. W zimową, ciemną noc styczniową echo niosło słowa:

„Na onej górze świecą się zorze,
Pasterze się uwijają i na multaneczkach grają,
Nie wiem dlaczego, nie wiem dlaczego.
Przystąpmy do nich, poznamy po nich,
Czyli co wiedzą o Panie i kędy jest święte stanie
Narodzonego, Narodzonego”.

Przy otwieraniu drzwi podmuchy zamieci wdzierały się aż do środka kościoła, ale nikt na to nie zważał, bo tu działy się magiczne wydarzenia: rodził się Jezus, przybywali Trzej Królowie, Herod zarządzał rzeź niewińców, a święci Anieli śpiewali: „Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli”. I było pięknie, bezpiecznie i spokojnie, choć tuż za drzwiami szalała śnieżna zadymka. Łatwiej było ją pokonywać podczas powrotu do domów, gdy brnęło się – już nocą – przez zaspy, mając wciąż w uszach i w sercu echa tych, dopiero co przeżywanych jasełek.

A w święto Trzech Króli święcono w kościele kredę; a kto miał – to i mirrę [czy ktoś miał?], i złoto, a potem tą święconą kredą pisano na drzwiach domów K M B – czyli pierwsze litery imion Trzech Królów: Kacpra, Melchiora i Baltazara, którzy, kierując się niezwykłym światłem betlejemskiej gwiazdy, zmierzali ze Wchodu, by dać pokłon Dzieciątku. Śpiewaliśmy z przejęciem: „Trzykroć szczęśliwi królowie, któż Wam nie zazdrości? Cóż my damy Jezusowi, pałając z miłości”? I obiecywaliśmy w swoich dziecięcych sercach ofiarować Mu nasze dobre uczynki.

Niedziela po święcie Trzech Króli była przypomnieniem chrztu Pana Jezusa w Jordanie. W kościele odnawialiśmy przyrzeczenia z naszych chrztów i patrząc na stojącą obok ołtarza piękną, alabastrową chrzcielnicę, którą w 1929 roku ufundował hrabia Tadeusz Rey z Przecławia, śpiewaliśmy z przejęciem, że „strzec wiary ślubujemy, w niej żyć, umierać chcemy”.

A styczeń trwał. Choć w największe mrozy i zadymki wieś wyglądała prawie jak wyludniona, to zawsze kogoś można było spotkać w sklepie lub przy studni. Te ostatnie były integralną częścią bobrowskiego krajobrazu. Lin z „Zamykania koła” – wracając do rodzinnej wsi – „zobaczył czarne, pozieleniałe na szczytach strzechy, a na podwórkach nieodłączne żurawie”⁶.

Również naprzeciw naszego domu stała taka studnia z żurawiem, z której czerpali wodę okoliczni mieszkańcy. Była bardzo głęboka i miała cudow-

nie czystą wodę. Zanurzało się w niej wielkie blaszane wiadro uwieszone na solidnym łańcuchu, a woda z chlupotem je wypełniała. Choć dorośli zabraniali nam zaglądać do jej przepastnego wnętrza, kusiła nas tajemnicza głębia i mieszkające tam głucho echo. Zresztą rodzice – by ustrzec maluchy przed niebezpieczeństwem – straszili różnymi „utopcami” i innymi zmorami, mieszkającymi w odmętach ciemnej wody. Te informacje potwierdzały też czytane nam przez nasze mamy baśnie o zaczarowanych studniach. Ale i tak niekiedy pochylaliśmy głowy nad cembrowiną i krzyczeliśmy tubalnym, groźnym głosem, a coś niewidzialnego i tajemniczego jeszcze groźniejszym głosem odpowiadało nam z czarnej toni.

Wcześniej rano, gdy jeszcze my, dzieci – wygrzewaliśmy się w ciepłych łóżeczkach, rodzice szli do studni po wodę. Zimową porą trzeba było najpierw odmieść ścieżkę, którą zasypał nocny śnieg, a wiatr nawiał głębokie zasy. Okutane gospodynie wracały szybko z powrotem; zmarzniete, ale z pełnymi wiadrami, z których wychlapywały się srebrne krople zapadając w białą puch.

Taka czysta woda była skarbem, więc o studnie dbano; co jakiś czas je czyszczono, zmieniano zardzewiałe wiadra czy porwane łańcuchy. Gdy woda zaczynała mętnieć, znajdującego się na rzeczy mężczyznę spuszczano na linie w głąb studni, a ten wybierał osad z dna i podawał go w wiadrze pomocnikom czekającym na górze. Trwało to dość długo i było bardzo trudnym zadaniem. Potem trzeba było jeszcze wielokrotnie wybierać zmaconą wodę, aż stawała się znów krystaliczna i przejrzysta.

O studniach – tak ważnych dla mieszkańców wsi – układano nawet piosenki, jak np. tę zaczynającą się od słów: „Dudni woda dudni w cembrowanej studni, zakochać się łatwo, odkochać się trudniej”, „Na wójtowej roli studzieneczka stoi”, czy tę poznaną dzięki radiu: „Głęboka studzienka, głęboko kopana, a przy niej Kasieńka jakby malowana”. Twierdzono też, że gdy komuś przeszła drogę kobieta niosąca pełne wiadra wody, to mógł liczyć na szczęśliwy dzień. Gorzej było, gdy jej wiadra świeciły pustką. Wtedy najlepiej było poczekać aż zostaną napełnione i dopiero wtedy iść w swoją stronę.

Gdy na placyku obok domu Piękosiów grywaliśmy w piłkę, często – spoceni i spragnieni – biegliśmy pod studnię i piliśmy łąpczywie prosto z wiadra lodowatą, przeźroczystą, orzeźwiającą wodę, rozchlapując ją dokoła i moczając ubranie, i nogi. Smakowała jak najlepsza oranżada, którą mogliśmy się delectować tylko w wyjątkowych okazjach, np. na czyimś weselu.

Studnie kopano „na wyczucie”, nigdy nie mając pewności, że trafi się na źródło. Ponieważ wieś powstała na terenach podmokłych, często dostawała się do studni tzw. woda podskórna; mętna i brudna. Trudno było z nią walczyć. Tak było w przypadku, gdy ojciec i sąsiad Józef zbudowali studnię na wspólnej granicy podwórek. Choć wody nigdy w niej nie brakowało, nie nadawała się do spożywania przez ludzi. Pojono nią krowy, podlewano w czasie

suszy delikatne roślinki w ogródku, a mama i sąsiadka Aniela spuszczały do niej mleko w bańkach zawieszanych na sznurze. Zachowywało długo świeżość i w lecie było świetnym, chłodzącym napojem.

Studnie stawiane licznie w granicach dwóch posesji były symbolem dobrosąsiedzkich stosunków. Dowodziły, że mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa byli ludźmi zgodnymi, życzliwymi, miłymi i dobrymi sąsiadami. Wspólne troski, problemy, podobne obowiązki i zajęcia gospodarskie, zabawy, wyznawane wartości, podobne dążenia i odziedziczona po przodkach obyczajowość łączyły i tworzyły więzi, które sprawdzały się zwłaszcza w chwilach trudnych. W razie nieszczęścia nikt nie zostawał bez pomocy. Znikały wszelkie animozje, otwierały się serca, łączyły ręce. W gromadzie można było czuć się bezpieczniej, pewniej, bardziej swojsko; po prostu dobrze. Tu wszystko było znajome, bliskie, rozpoznawalne, przewidywalne i życzliwe. Nieliczne niesnaski – w rodzinie i między sąsiadami – były zazwyczaj szybko zażegnane.

Człowiek nie mógł podołać trudom życia sam; wzajemnie się wspierano, pomagano, pocieszano. Gdy np. ktoś kopał ziemniaki, mógł liczyć na to, że stawi się na polu wielu sąsiadów. Przychodzili z koszykami i motykami, i ciężko pracowali mając pewność, że gdy oni będą mieć wykopki, sąsiedzi też przyjdą z pomocą.

Był to tzw. „łodrobek”, który dotyczył wielu polowych prac wymagających licznych rąk: żniw, wrywania buraków, sadzenia ziemniaków, młocki, zbiórki siana, układania kop ze słomą itp.

Mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa spotykali się przy studziennych żurawiach nie tylko, by naczepać wody, ale by pogwarzyć, ponarzekać na zdrowie, a czasem pożartować czy poznać najnowsze nowiny. Nie zawsze tak było.

Rzeszowski etnograf Franciszek Kotuła pisał:

„Dawnymi czasy korzystano z wody, która licznymi strugami wypływała na powierzchnię. Jak wszędzie [...] było dużo „gęstej” wody, zamulonej, zakisłej i zatęchłej, brudnej. Miała ona różne formy: potoków i potoczków, sadzawek i stawów [...]. Pili z niej ludzie i piło bydło. Jeśli jej tyle było, kto by tam studnie kopał! Chorowało bydło, chorowali ludzie. Czysta, źródłana woda była niejako objawieniem [...]. Takie źródlane wody czyste były jak łzy, przejrzeć się w nich było można. A przy tym zimne, orzeźwiające”⁷.

Tuż po wojnie skrzypiące żurawie studienne – bardzo liczne – były stałym elementem pejzażu każdej wioski. Jeden z bohaterów Mikołajka tak je zapamiętał: „W wyobraźni zobaczyłem wielką równinę, czarne strzechy o szmaragdowych od mchu kalenicach, żurawie jak żyrafy i cały ten pejzaż mocno wrośnięty we mnie”⁸.

Obok studni zawsze na małych ławeczkach stały przywiązane do łańcucha blaszane lub drewniane wiadra – często ze znacznymi śladami upły-

wającego czasu – zwane „cyrpokamy”, bo czerpały wodę, która chlustała do podstawionych wiader, rozpryskując się przeźroczystymi kroplami.

Na jednym z podwórek niedaleko kościoła w Nagoszynie, gdzie – strudzeni długą drogą – biegliśmy napić się wody, zawsze obok wiadra stał także poobijany blaszany garnuszek czyli popularny „blaszoczek”. Gospodyni, stojąc w drzwiach, życzliwie się uśmiechała, patrząc, jak nam smakuje zimna, orzeźwiająca woda z jej studni. Blaszane wiadra, tak jak „gornuszecki” kupowano u „szmaciorza” jadącego czasem przez wieś. Najczęściej jednak zamawiano klepkowe, ciężkie wiadra u bednarzy, którzy wykonywali je – jak beczki – z drewnianych deseczek spiętych metalową obręczą. W wiosce mojego dzieciństwa mistrzem w tym fachu był wujek Władysław Węgrzyn; również stolarz i cieśla. O popularności i randze bednarzy świadczy znana i popularna u nas piosenka ludowa: „Ty dziewczyno, ty mnie nie znosz? Od Rzeszowa jestem bednorz”.

Przy studniach znajdujących się na podwórkach często umieszczano też drewniane lub betonowe koryto do pojenia bydła. Tu biegły wracające z pastwiska krowy, tu też pojono konie. Przy studni także odbywano zimne kąpiele.

Na niektórych podwórzach były bardziej nowoczesne studnie z kołowrotem na korbę, jak ta obok naszej szkoły, przykryta specjalnym daszkiem. Piliśmy z niej na przerwach wodę z blaszanego garnuszka postawionego obok, bo picie prosto z wiadra – jako niehigieniczne – było surowo przez nauczycieli wzbronione. Okazało się jednak, że to nie my zanieczyściliśmy wodę, a jeden z licznych kotów, których właścicielką i „nianią” była krewna kierownika szkoły, nazywana przez nas „Stefcią”. Wszystkie jej kotki miały dziecięce imiona i były strasznie rozpieszczane. Śmieszyło nas to i dziwiło. Choć w każdym domu były koty i gdy były małe głaskaliśmy je, podsuwalismy miseczkę mleczka, to jednak Mruczki, Łatki czy Burasy przede wszystkim były po to, żeby nie rozpleniała się plaga myszy; groźnych w komorach i w domach. Ulubiony kotek Stefci – Maciuś pewnego dnia zniknął ku wielkiej rozpaczy opiekunki i dopiero po pewnym czasie odnalazł się jako studzienny „topielec”. Mimo że studnię starannie oczyszczono i zdezynfekowano, już nigdy żadne dziecko nie napiło się z niej wody.

Styczniowy krajobraz wioski mojego dzieciństwa ginął w zimowej mgle. Lodowy wiatr smagał nagie konary drzew, wielkie płaty śniegu lepiły się do szyb, przez które oglądaliśmy świat, a uporczywa zadymka tworzyła nowe zaspę, zawiewając dopiero co przekopane ścieżynki. Domki wydawały się jeszcze niższe w swych śniegowych czapach zdobnych w długie, ostre sopele. Tylko gdzieś górowały nad nimi ogołocone drzewa caluśkie w bieli, a ich gałęzie uginały się pod ciężarem śniegu. Zmarznięte wrony wśród krakań i trzepotów spadały nagle na odśnieżone podwórka, plamiąc śnieżną biel wielkimi, czarnymi skrzydłami. Za rzeczką jakaś okutana w „pletówkę” postać brnę-

ła przez zasy do stojącej samotnie chaty Ziębów. Królowała zima. Wioska wyglądała na zagubioną w otchłani i odciętą od świata – zwłaszcza nocami; uśpiona, ciemna i cicha.

Na początku lat pięćdziesiątych wyrosły wzdłuż bobrowskiego gościńca elektryczne słupy górujące nad drzewami i żurawiami studziennymi. Czasem przysiadły na nich wróble lub gołębie, by wkrótce sfrunąć na jakieś „łobeście”, gdzie zawsze można było znaleźć trochę ziarna przeznaczonego dla kur. Któregoś roku krajobraz wioski mojego dzieciństwa wzbogacił się też o bardzo wysokie wieże wiertnicze. W Bobrowej i okolicy poszukiwano ropy naftowej i gazu. Ponoć je nawet znaleziono, ale nie zdecydowano się na eksploatację. A wieże wiertnicze i obsługujący je „wiertacze” zniknęli nagle tak, jak się pojawili. I szybko o nich zapomniano, choć wspomagali domowe budżety niektórych gospodyń, kupując u nich mleko, jajka czy sery. Taką okazją do sprzedania produktów rolnych – często kosztem drastycznego ograniczenia własnego spożycia – stała się też wspomniana elektryfikacja wsi.

Elektryfikacja to było jedno z czołowych – obok likwidacji analfabetyzmu – haseł nowego, socjalistycznego ustroju, które było entuzjastycznie przyjęte przez prawie wszystkich Polaków. Tylko starzy ludzie, przyzwyczajeni do naftowych lamp, nieufni wobec wszelkich zmian, gderali na nowe, niepotrzebne wynalazki argumentując, że dotąd nie było „elechtryki” i było dobrze, a to, co ta nowa władza ofiarowuje musi zawierać jakiś „haczyk”. Ale prędko ich zakrzyczano i wszyscy z niecierpliwością czekali na ten dzień, kiedy w domach zapalą się elektryczne światła.

I pewnego dnia do wsi zajechała ekipa monterów z ogromną ilością różnego, nieznanego dotąd sprzętu. Obok gościńca pojawiły się zrzucone na stos słupy, ogromne zwoje drutów, kabli, porcelanowych i szklanych „fajek”, słupolazów oraz różnych innych urządzeń i materiałów. Monterzy zajęli kwatery u gospodarzy. Sołtys przydzielał je tam, gdzie ludzie byli życzliwi i mieli osobne miejsce do spania.

Wszyscy z ogromną ciekawością śledzili pracę „elechtryków”; serdecznie ich przyjmowano, dogadzano z wyżywieniem, zagadywano, zapraszano, częstowano pierogami i samogonką. Zdarzyła się nawet romantyczna miłość i jeden z nich stał się mieszkańcem wioski mojego dzieciństwa.

Państwo fundowało wszystkim gospodarstwom po trzy punkty świetlne. Gospodarze, którzy chcieli mieć dodatkowe światło musieli to załatwiać we własnym zakresie. Okrągłe klosze wielkich żarówek, wyglądające jak pobiela-
ne talerze – wszędzie takie same – nie grzeszyły urodą. Ale nam się podobały, a pomysły, by je zmienić na nowe, piękniejsze – zrodziły się dużo później. Wtedy dopiero kupowano w dębickim sklepie znajdującym się w Ciasnej ulicy – gdzie było „szwarc mydło, powidło i inne delikatesy” – nowe żyrandole

i klosze wykonane według aktualnej wówczas mody: metalowe, ze szklanymi, podmalowanymi „łopatkami” na trzy strony, uważanymi za szczyt piękna.

Na ścianach pociętych kablami elektrycy przymocowywali szpecące, brązowe, ebonitowe wyłączniki, które włączały światło przez przekręcenie pokrętki. Żarówki często się „pały” i wtedy wracano do korzystania z – wciąż trzymanej „na podorędziu” – lampy naftowej. Gospodarze w ramach oszczędności – przyzwyczajeni do naftowych lamp – kupowali żarówki dające słabe światło tzw. „sześćdziesiątki”, a nawet „czterdziestki”. A i tak wielu, zwłaszcza starszych ludzi żałowało, że nie da się ich „przykręcić”, tak jak przykręcało się knot dawnej lampy.

Gospodynie z okazji włączenia po raz pierwszy we wsi prądu zarządzały wielkie sprzątanie, przekonując domowników, że teraz wszelkie nieporządki w izbie będą widzieć nawet idący gościńcem i nie wchodzący do domu przechodnie. A Aleksander Bacher żartobliwie notował:

„Podobno nawet kury w kurniku
Cieszą się z „elechtryki” tej.
Przy świetle więcej jaj znoszą,
A ziaren zjadają mniej”⁹.

Niestety, „elechtryka” często się psuła i nagle światło gasło. Wtedy „wątowało” się korki, albo szukało świec, których zapas zawsze był w pobliżu. W naszym przypadku trzeba było w razie awarii rąbnąć w najbliższy słup. Nie wiadomo, kto wpadł na ten pomysł, ale okazywał się niezwykle skuteczny. Ojciec, albo któryś z sąsiadów brał siekierę i walił obuchem co sił w drewniany słup stojący obok domu „Felynów”, a światło rzeczywiście znów rozbłyskało na nowo.

Elektryfikacja była wielką sprawą. Chociaż w wiosce mojego dzieciństwa niewiele było nowoczesnych urządzeń ułatwiających pracę w domu i gospodarstwie, ale oświetlenie pomieszczeń i podwórza dawało komfortowe warunki dla wieczornej pracy, nauki, czytania, sąsiedzkich spotkań. Mamy odkładały na późniejszą porę cerowanie, dzieciarnia – odrabianie zadań, a babcia Józia cieszyła się, że do ciemnej nocy będzie mogła haftować. Pierwszymi nowoczesnymi wynalazkami, którymi chwaliły się gospodynie były elektryczne żelazka, zastępujące te na rozżarzone węgle, czy te z „duszą”, czyli posiadające żelazny wkład, który najpierw musiał się rozgrzać w palenisku do czerwoności. Żelazko z „duszą”, wyglądającą jak „łosołka” do ostrzenia noży, miało drzwiczki zamykane na maleńki skobelek i dość długo utrzymywało wysoką temperaturę, ale wkrótce i ono zostało wyrzucone do lamusa.

W domach zaczęły się też pojawiać radia: duże, ebonitowe skrzynki z zielonym, magicznym oczkiem. Pewnego razu poszliśmy ze szkoły na wycieczkę do jednego z mieszkańców – członka spółdzielni produkcyjnej – by posłuchać radiowej audycji, bo oczywiście w biednej wiejskiej szkole takie-

go cudu techniki nie było. Staliśmy na podwórku, a odbiornik ustawiono na parapecie otwartego okna. Na koniec miła gospodyni poczęstowała nas smażonymi „blynkami”, co podobało nam się nie mniej niż wysłuchana audycja.

Potem już coraz więcej mieszkańców wioski mojego dzieciństwa kupowało radioodbiorniki. U nas w domu też zagościł „Pionier”, który jednak psuł się często, co było powodem licznych wizyt naprawiacza z Woli Żyrakowskiej, uczącego też rodziców, jak szukać zakazanych audycji „Wolnej Europy” czy stacji zagranicznych, nadających modną wówczas muzykę rozrywkową, której ojciec był wielkim wielbicielem. Często do późna wieczór w naszym domu rozlegały się dźwięki pięknych, zagranicznych melodii, albo – niestety – warkot zagłuszek, przez które z trudem przebijały się zakazane głosy wolności.

Wracający po latach do rodzinnej Topolówki bohater Mikołajka – Lin tak wspomina czasy po elektryfikacji wsi: „Weszła ciotka [...], przekręciła kontakt, uściśkała siostrzeńca, potem trochę nieśmiało Krzysztofa. Elektryczne światło, zainstalowane w chałupie już kilkanaście lat temu, ciągle wydawało się Linowi nierealne; w jego pamięci w tej izbie zawsze stała na murku pieca naftowa lampa, gaszona wcześniej lub przynajmniej z mocno przykręconym dla oszczędności knotem [...]. Wyszli [...] na silnie oświetlone podwórze: nad drzwiami płonęła duża żarówka w kloszu z czystego szkła. Światło było też w sieni, komorze i stajni. Ale najbardziej dziwiło to oświetlone podwórze, tak ciemne w dzieciństwie”¹⁰.

Na styczniowym, nocnym niebie najczęściej kłębiły się śnieżne chmury, ale czasem załśnił niespodziewanie jasny, srebrny sierp lub wielka, czerwona księżycowa kula. W takie styczniowe noce ciszę przerywało tylko głośnie szczekanie psów. Było ich w każdej wiosce bardzo dużo. Wielkie brytany i małe kundelki, Azorki, Kajtki, Burki, Kruczki i Łatki – wszystkie mieszkwały w budach skleconych byle jak z desek, ale dobrze wymoszczonych słomą. Najczęściej biegały wolno po podwórkach; tylko te groźniejsze miały na szyi długi łańcuch. Niekiedy łańcuchy były przywiązane do stalowej liny rozciągniętej od węglów chaty do stodoły, dając psom dość dużo swobody. Psy spuszczone na noc czyniły wiele hałasu. Bure, czarne, rude, szare czy „ciapate” – prawie nigdy nie były źle traktowane. Gospodarze dbali o nie jak o cały swój inwentarz: gładzili po skudłonej sierści, pilnowali, by zawsze miały wodę i jedzenie. Na zimę naprawiano psie budy i zabezpieczano je przed zimnem, okrywając słomą. Dla dzieciaków – przytulane, obejmowane i pieszczone – były opiekunami i przyjaciółmi. Rzadko uczono je sztuczek; nie były do popisywania się, a do kochania. Gdy była bardzo brzydka pogoda, wpuszczano je do domu.

Były bohaterami różnych powiedzonek: a że to taka „pieska sprawa”, a to „pieska pogoda”, że taka śląkwa, „że psa z budy nie wygoń”, lub, że ktoś „łże jak pies”... Poetka Wisława Szymborska dziwiła się, „dlaczego mówimy: „łże jak pies”, skoro pies kłamać nie potrafi, przeciwnie; mówi prawdę i tylko prawdę na

wszystkie dostępne mu sposoby – głosem, spojrzeniem, sierścią, łapami, a na dodatek wyspecjalizowanym u niego organem szczerości, czyli ogonem”¹¹.

Psy odwdzięczały się wiernością: pilnowały zagrody, szczekały, gdy ktoś obcy zbliżał się do domu, ostrzegały przed złodziejami, wyciem budziły w razie pożaru. Nigdy nie zakładano im „puzdra” czyli kagańca, nie wyprowadzano na spacer na smyczy, rzadko szczepiono.

– Nie ugryzie, nie ugryzie – zapewniał gospodarz wchodzącego na podwórze.

– Szczeka, bo przecież on tu od pilnowania dobytku. No chodź tu Burek, chodź, do nogi – i pies przybiegał do swego pana, by być pogłaskanym i poczochronym, po czym tracił zainteresowanie przybyszem i biegł do swoich psich spraw.

W każdym gospodarstwie było wiele różnych zwierząt. Psy pilnowały podwórka, ostrzegały przed nieproszonymi intruzami, były wiernymi towarzyszami dla dzieci i dorosłych. Koty łapały myszy, które były plagą niszczącą ubrania w szafach czy niezabezpieczone jedzenie, a przede wszystkim przegryzały worki i wyjadały przechowywane w komorach zboże. Wyprawionych kocich skórek używano do wygrzania bolących pleców, czasem też Mruczka czy Kicię zabierano do łóżka, by przytulić się do ciepłutkiego futerka, które grzało jak piecyk i ponoć pozytywnie oddziaływało na zdrowie.

Koty i psy rozmnażały się bez jakiejkolwiek kontroli; zdarzało się więc, że ślepe jeszcze kocięta czy szczeniaki topiono w Wisłoce. Uważano to w owych czasach za rzecz normalną, regulującą równowagę biologiczną. A ludzie żyli w symbiozie ze środowiskiem naturalnym i przyjmowali zjawiska i prawa przyrody jako coś oczywistego. I traktowali jako Boże dary: i niebo, i ziemię, i tego psa, i kota, i ptaka, i drzewo.

Nocą psie szczekanie często zwiastowało zbliżanie się wartowników. Warta obywatelska została utworzona przez ludową władzę dla polepszenia bezpieczeństwa mieszkańców i ochrony ich dobytku. Kilkuosobowe grupy mężczyzn „uzbrojonych” w kije przemierzały nocą wieś i baczyły, czy ktoś podejrzany nie skrada się opłotkami, czy nie ma chuligaństwa, czy gdzieś się nie pali.

Aleksander Bacher pisał:

„Zdarzało się, że i kobieta czasem wartowała;

Taka, która się nocy i mężczyzn nie bała”¹².

Najczęściej warta przebiegała spokojnie. Nie było w wiosce mojego dzieciństwa wielkich kradzieży, tak jak przed wojną, gdy wielu – zwłaszcza młodych ludzi – nie mając możliwości żadnego zarobku decydowało się na taki desperacki krok. Opowiadano m.in. że pewien chłopak, bez grosza przy duszy, wszedł nocą przez okno do niedalekich sąsiadów i ściągnął pierzynę ze śpiących gospodarzy, po czym czmychnął błyskawicznie tą samą drogą. Znalazł chętnego kupca, a nazajutrz mógł płacić za muzykę na wiejskiej za-

bawie i tańcować z upatrzoną dziewczyną aż do rana. I choć domyślano się sprawcy, nikt nie złapał złodzieja za rękę.

Czasy powojenne też były trochę niepewne, toteż przez wiele lat kolejni gospodarze – wg listy stworzonej w Gromadzkiej Radzie Narodowej – pełnili owe nocne warty. Często wstępowali do naszego domu, przytupując ośnieżonymi butami i wpuszczając przez otwarte drzwi smugę mroźnego powietrza. Zdejmowali kurtki, czapki i – zawsze gościnnie przyjmowani przez ojca – część nocy spędzali na rozmowach o polityce, a czasem na grze w karty: w „zechy-ka” lub w „tysiaca”. Snuli też opowieści o duchach, strachach, światełkach nad bagnami czy w dziuplach starych wierzb, o widmach, które mieszkają na łąkach, bagnach, bezdrożach i pustkowiach, a których zadaniem było – jak pisze Franciszek Kotula: „ludzi oszukiwać, omamiać, zwodzić i wodzić następnie po najgorszych dziurach, zapadliskach i młakach – bagnach aż do zupełnego wyczerpania, nieraz omdlenia [...]”. Tak potrafiły zmienić przed człowiekiem świat, że nikt nie wiedział, gdzie się znajduje. Z lubością czatowały na muzykantów wracających z wesel, wprost napęczniałych od jedzenia i napitku, ociężałe – bo i darami obładowanych – idących do swoich domów”¹³.

Członkowie kapeli „Jarosów” nieraz wracali przez nadwiśłoczne zarośla i uśpione pola do ciemnej wioski, znaczonej tylko czernią rozhuśtanych wiatrem wysmukłych drzew, dziwując się tajemniczym, niespokojnym nocom. Bo, jak o tych widmach pisze dalej Kotula: „Sposobów zwodzenia i wodzenia ludzi miały one niezliczoną ilość [...]; ot, wędrował człowiek nocą [...] zmęczony, wypatrywał w mroku, czy gdzieś nie błyszczy się światło świadczące, że siedziba ludzka jest blisko, że tam można się będzie ogrzać, wypocząć. I nagle...jest światełko! Człowiekowi żywiej zabiło serce: wydobywa resztki sił i idzie na wprost, żeby dojść tam jak najprędzej. Idzie...idzie... ani rusz dojść do niego. Już nogi nie chcą nieść, ale człowiek wlecze się. Wreszcie świta, nadchodzi dzień. Jasno zrobiło się dokoła, wymęczony człowiek patrzy, rozgląda się...stoi w tym samym miejscu, z którego zobaczył światełko, a przecież szedł całą noc”¹⁴.

Dorośli prześcigiwali się w snuciu takich strasznych, a jednak pociągających jakimś tajemniczym urokiem opowieści o strachach i duchach, a dzieci podśluchiwały utulone pod grubymi pierzynami i udające sen. A potem, gdy patrzyły na księżyc, który wytaczał się zza nadrzecznych topoli, urzekając swym niezwykłym, niepokojącym blaskiem i gdy widziały niebieskie cienie drzew na śniegu, poruszane wiatrem, wyobraźnia dziecięca przywoływała dziwaczne, nierealne, straszne postacie zatopione w srebrnej księżycowej poświacie, snujące się po manowcach i zagubionych ścieżkach.

Wartownicy – zajęci rozmowami czy grą w karty na chwilę zapominali o realnym świecie. Jednak co jakiś czas wychodzili, by sprawdzić, czy nie dzieje się coś niepokojącego, czy panuje uspokajająca cisza, czy też głośne uja-

danie psów nie zwiastuje jakiejś biedy. Czasem dostrzegali krwawoczerwoną lunę na czarnym niebie i wtedy biegli na tzw. „Dulówkę”, gdzie koło furtki na drzewie wisiał duży dzwon „na trwogę”, by budzić śpiących mieszkańców.

Nie wiadomo, kiedy go tu powieszono. Pierwsi właściciele tej posesji usytuowanej na małym pagórku wyjechali zaraz po wojnie gdzieś w Bieszczady. Jakie były tego powody? Nie wiadomo. W Bieszczady uciekali wtedy zazwyczaj ci, którzy działali w czasie wojny w konspiracji, albo narazili się nowej, socjalistycznej władzy. A może mieli tam jakiś krewnych? Ale pewnie tęsknili za naszą wioską, bo jeszcze kilkakrotnie przyjeżdżał w rodzinne strony dorosły syn Dulów, który został weterynarzem. Zawsze nas odwiedzał, wspominał swe dzieciństwo i częstował się kapustą z ziemniakami, stojącymi w „brandurze”, długo utrzymującej ciepło. Potem chodził po polach, po zapamiętanych ścieżkach, zaglądał do swego dawnego domu, który miał już nowych właścicieli, strząsał kilka czerwonych jabłuszek z jabłoni rosnącej w ogrodzie, które tak pięknie prezentowały się w bukietach święconych na „Zielną” i długo patrzył na stary dzwon. O czym myślał? Pewnie wspominał noce, gdy budził go ze snu, gdy był jeszcze dzieckiem.

A dzwon „na trwogę” odzywał się dość często – w wiosce były przecież prawie same drewniane zabudowania, w obejściach pełno słomy i gromadzone na opał drewno; wszystko to łatwo stawało w płomieniach. Do trwożnego głosu dzwonu dołączał wkrótce przeraźliwy dźwięk strażackiej syreny. To strażacy-ochotnicy ruszali na ratunek ze swym prymitywnym sprzętem. Wtedy też – kto żyw – ubrawszy naprędce jakieś odzienie, gnał co sił do pożaru.

Wodę czerpano ze studni, z licznych przydomowych stawków i z rzeczki. Ponieważ wieś rozciągała się wzdłuż potoku, woda zawsze była w pobliżu. Wszyscy ustawiali się w szeregu i podawali sobie wiadra z rąk do rąk. Polewano nimi palące się ściany, przekazując z powrotem puste wiadra do tego, kto – stojąc w rzece – nabierał wodę i podawał pierwszemu z utworzonego łańcucha. Ponieważ ogień zazwyczaj zwyciężał z ludźmi w tej dramatycznej, nierównej walce, wkrótce zostawały tylko tłące się i długo jeszcze śmierzzące zgłiszczka. Przerazonych, zrozpaczonych pogorzalców i uratowane resztki ich dobytku przyjmowali litościwie krewni lub sąsiedzi; w naszym domu znaleźli schronienie Skowronowie, którzy musieli odbudować zniszczone pożarem domostwo.

Wieś współczuła i chętnie niosła pomoc. Nikt przecież nie był pewny, czy i nad jego kominem nie pojawi się niespodzianie straszny, czerwony kur.

Władze sprawdzały, czy przy każdym domostwie jest sprzęt przeciwgaśniczy: bosak zwany osęką, wiadro na wodę i skrzynia z piaskiem. Ale nie na wiele się one zdawały, gdy gwałtowne płomienie w kilka chwil zmieniały wszystko w perzynę. Modlono się więc do świętego Floriana i zawodzono w smętnych suplikacjach: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas, Panie”. Niestety – mimo szczerych błagań – ogień, „morowe” powietrze

i wojny nie oszczędzały ludzi, a czerwony kur budził się najczęściej nocą, gdy umęczeni gospodarze zasypiali twardym, głębokim snem.

Starano się być czujnym, przestrzegano przed zaproszeniem ognia, na lekcjach uczono zachowywania ostrożności. Na okładkach zeszytów czytaliśmy hasło: „Dzieci plus zapałki równa się pożar” z odpowiednim rysunkiem, rodzice pilnowali swych maluchów, ale przerażająca luna i tak coraz to zalewała niebo napęlniając wszystkich trwogą.

Wiatr targał jaskrawopomarańczowe jęzory i miotał snopy iskier rozdzierających czerń nocy. Co chwilę buchał w niebo słup ognia, a kłęby czarnego dymu kotłowały się ponad dachami. I znów zewsząd biegli ludzie z osøkami i wiadrami. Ktoś rąbał lód na rzeczce, spod którego zaczęła się rozlewać lodowata woda. Znów pełne wiadra przechodziły z ræk do ræk, by wychlustać je w buchający burymi kłębami dym i szalejące jęzory ognia. Strażacy kierowali strumienie wody tam, gdzie nie sięgały wiadra. Inni ostrymi „łosekami” rozrywali krokwie dachu i palące się belki ścian. Przerażone zwierzęta wypędzane ze stajni miały się w panice. Spłoszone stadko gołębi zataczało kręgi nad słupem ognia, a ich skrzydła w łunie świeciły niepokojącym blaskiem. Kolejne zwęglone, wstrętne zgłiszczka parowały, wydzielając specyficzną, duszącą woń. Ludzie stali osłupieni...

Tak padały pastwą ognia domostwa Książków, Mądrów, Iskrów, Skowronów czy Piękosów „z Morańcówki”.

Niekiedy po takim dramatycznym pożarze budziliśmy się udręczeni nocnymi koszmarami z krzykiem grozy lub siadaliśmy oniemieli, zlani zimnym potem, bo w snach wracały obrazy tamtych, niezapomnianych chwil. Znów buchały płomienie, a z nich wyłaniały się jakieś straszne zmyry i wyciągały ku nam oślizgłe macki. Wtedy rodzice przytulali nas i mówili:

– No już dobrze, to tylko sen. Popatrz w okno, to zapomnisz. Więc spoglądaliśmy w ciemne jeszcze szyby i staraliśmy się wymazać z pamięci tamtą noc, choć jeszcze długo wracały obrazy nie tylko ze snu, ale z prawdziwych, niedawnych wydarzeń – tragicznych i przerażających.

Mieszkańcy wsi od dawna organizowali się, by jak najskuteczniej pomagać przy gaszeniu ognia. Już na początku dwudziestego wieku powołano do życia specjalną organizację: Ochotniczą Straż Pożarną. W 1912 roku rozpoczęła działalność drużyna strażacka w Nagoszynie, w 1916 w Woli Wielkiej, w 1923 w Żyrakowie, a w 1926 w Bobrowej. „Jej założycielami i pierwszymi strażakami byli: Jan Skóra, Andrzej Skowron, Michał Osak, Karol Osak, Stanisław Skrzypek, Stanisław Piszczek i Bronisław Harla”¹⁵. Bronisław Harla wspomina, że pierwszym naczelnikiem bobrowskiej straży został Franciszek Bacher z Dębicy [brat mojego dziadka Michała], który ożenił się w Bobrowej z Karoliną Momolówną; tu przez jakiś czas gospodarzył i prowadził warsztat stolarski. „Miał kilkoro dzieci i chciał je wykształcić. Więc sprzedał go-

spodarstwo i przeniósł się do Dębicy”¹⁶. Po wyjeździe Bachera naczelnikiem bobrowskiej straży został Harla. „Strażacy początkowo nie mieli żadnego specjalistycznego sprzętu, tylko zapał i chęć działania. W Żyrakowie – jak czytamy w „Ocalić wspomnienia – zachować czas” – „pożary gaszono wodą przynoszoną wiaderkami, używano też podręcznego sprzętu gospodarstwa domowego. Dopiero później udało się zakupić sikawkę ręczną”¹⁷.

Tak było oczywiście też w wiosce mojego dzieciństwa. Bronisław Harla pisze o sposobach zdobywania funduszy przez bobrowskich strażaków: „Urządzaliśmy różne zabawy i festyny, a za zarobione pieniądze sprawiliśmy sobie granatowe strażackie mundury i pasy koalicyjne, w których występowaliśmy w czasie różnych uroczystości i parad”¹⁸. Okazją do zaprezentowania mundurów było np. pełnienie straży przy grobie Pana Jezusa w nago-skim kościele w Wielką Sobotę. Z inicjatywy strażaków przystąpiono też do budowy Domu Ludowego.

Ale najważniejszy był – oczywiście – sprzęt gaśniczy. A „pierwszym sprzętem OSP w Bobrowej była sikawka ręczna „hydropult”. Z czasem sprzęt systematycznie uzupełniano”¹⁹.

Sikawkę podwożono wozem konnym. Początkowo „w akcjach gaśniczych brały udział dwie pary koni. Ich właścicielami byli: Stanisław Piszczek i Stanisław Trojan”²⁰.

Sprzęt gaśniczy ustawiano w pobliżu płonącego budynku, podłączano parciane węże, rozciągano je, a czterech strażaków, rytmicznie poruszając mechanizmem sikawki, pompowało wodę, którą polewano płomień. Strażacy-ochotnicy cieszyli się wszędzie wielkim mirem, gdyż dawali dowody odwagi, sprytu, determinacji i odpowiedzialnego działania.

W szkole omawialiśmy książeczkę Czesława Janczarskiego „Jak Wojtek został strażakiem”, która była ulubioną lekturą chłopaków. Każdy z nich marzył, by założyć lśniący hełm oraz strażacki mundur i gasić pożary, a może nawet – jak książkowy Wojtuś – uratować kogoś z ognia. Lekturka – jak wszystkie w owym czasie – niosła wyraźną naukę, była też inspiracją chłopców zabaw. Wielu z nich zresztą po kilku latach zasililo szeregi Ochotniczej Straży Pożarnej – również w wiosce mojego dzieciństwa – odznaczając się wielką gorliwością i odwagą.

A życie toczyło się dalej, kolejny Nowy Rok rozbudzał marzenia, ale też skłaniał do wspomnień. Rodzice np. często wspominali swój styczniowy ślub – w samym środku wojny: pożyczoną od zamężnej koleżanki kremową suknię ślubną, welon z amerykańskiej firanki, siarczasty mróz, zaspę w „Górach” w drodze do kościoła i skromny poczęstunek zamiast głośnego wesela. Proboszcz Fijał udzielający ślubu wygłosił – jak zawsze w takiej sytuacji – uroczyste życzenia: – Pamiętajcie o złożonej przed chwilą przysiędze

wierności i uczciwości, życie zgodnie, pielęgnujcie tradycje, strzeżcie wiary, przyjmijcie rodzące się dzieci jako największy Boży dar.

Wyraził też nadzieję na rychły koniec wojny i nadejście lepszych czasów. Rodzice byli młodzi, pełni wiary. Na dodatek było tuż po Agnieszce, a wiadomo, że „Święta Agnieszka wypuszcza ptaszka z mieszka”, co oznaczało przełamanie zimy, bo ptactwo zaczynało opuszczać ciepłe kraje, by znów wkrótce powrócić do ojczystych gniazd.

Dorośli podczas noworocznych spotkań wspominali też styczeń 1945 roku, gdy wracali do swych domów po wysiedleńczej tułaczce: do wygasłych palenisk, ogołoconych ścian, pustych stajni i chlewików, porozwalanych budynków i sprzętów gospodarczych. Opuścili je przecież już w sierpniu poprzedniego roku, gdy wkroczyli tu Rosjanie. Już „na początku 1944 roku klęska Niemców była [...] coraz bardziej widoczna. O wiele rzadziej widziało się jadące na wschód posiłki. Na wsiach rzeszowskich można było zauważyć pewnego rodzaju odprężenie. Skończyły się nieustanne poprzednio łapanki, kończyła się pomału aktywność Gestapo i żandarmerii”²¹.

Ale nadzieje na rychły koniec wojny przeplatały się z niepokojem i goryczą: „Na początku 1944 roku [...] Armia Czerwona po odniesieniu wielkich zwycięstw pod Stalingradem i Kurskiem wkroczyła na przedwojenne ziemie Polski i zaczęła wypierać wojska niemieckie na zachód. Nie była jednak witana jak wyzwolicielka, w sercach Polaków wzbudzała lęk. Wiedzieli, że przyjście Rosjan oznacza, że po zakończeniu wojny nie nastąpi odrodzenie niepodległej i demokratycznej Polski. Panowały gorycz i rozpacz”²².

Mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa mieli przynajmniej nadzieję, że nadchodzące wydarzenia przyniosą przecież tak wyczekiwany pokój, a tego najbardziej pragnęli. Niektórzy wierzyli, że nadejdzie też prawdziwa wolność. To słowo powtarzano jak zaklęcie.

Leopold Harla pisał: „Armia Radziecka, łamiąc niemieckie linie obronne, coraz bardziej zbliża się do granic Polski. Dzień wolności jest już blisko. Upragniona wolność już jutro, pojutrze przestanie być tylko pragnieniem i tęsknotą, a stanie się realnym faktem”²³.

Natarcie wojsk radzieckich na Dębicę nastąpiło w sierpniu 1944 roku. W czasie działań wojennych miasto zostało zniszczone aż w sześćdziesięciu procentach, mocno ucierpiały okoliczne wsie, a front utrzymywał się tu aż do ofensywy styczniowej 1945 roku. Nadzieje na rychłe zakończenie wojny znów spełzły na niczym. Bobrowianie kryli się w piwnicach czy w prowizorycznych schronach, ale przebywanie w sąsiedztwie linii frontu było tak niebezpieczne, że zarządzono ewakuację ludności cywilnej.

Mieszkańcy Bobrowej i innych przyfrontowych wsi wyruszali na niepewną „poniewirke” tylko z węzełkami na plecach, zostawiając cały dobytek. Przenosili się do krewnych, znajomych czy tylko życzliwych: na Podolu,

w Korzeniowie, Ropczycach czy innych – niezbyt odległych miejscowościach. Obserwowali potem z oddalenia każdy symptom zapowiadający klęskę Niemców, żywo o tym dyskutowali i rozbudzali w sercach nadzieję. Jesień 1944 roku była bardzo ciepła. Niekiedy udawało się wysiedleńcom ze strefy frontowej, w tym mieszkańcom wioski mojego dzieciństwa, uzyskać jednorazową przepustkę do swojego domu. Wracali z bólem w sercu, patrząc, jak niszczy dorobek ich życia. Niekiedy wykopywali trochę ziemniaków czy wycinali kilka główek kapusty, ale duża część ziemi pozostawała nieuprawiona i nieobsiana. Ludzi ogarniało przygnębienie.

„Ich dobytek marniał lub został rozgrabiony, zdewastowany, zniszczony. Ale nie tylko czekano na rozwój wypadków; podejmowano też czynną walkę z wrogiem. Wielu ukrywało się po lasach. Wokół Dębicy rozwijała się działalność partyzantka; zwłaszcza akowska, mimo że złapani partyzanci byli torturowani, mordowani lub wywożeni do obozów. Tak było w przypadku znanego w okolicy działacza katolicko-społecznego, komendanta obwodu AK z Zasowa – Konstantego Łubieńskiego, który został aresztowany przez UB w listopadzie 1944. Udało mu się szczęśliwie uciec, ale jeszcze przez trzy lata musiał się ukrywać w okolicznych lasach [...].

Ofensywa styczniowa rozpoczęła się 12 stycznia natarciem armii I Frontu Ukraińskiego, znajdującego się za Wisłą [...]; do końca dnia 17 stycznia wojska niemieckie zostały wyparte z pozostającej jeszcze w ich władaniu części ziemi dębickiej”²⁴.

Wreszcie – po ruszeniu ofensywy – wracali do opuszczonych domów bobrowscy wysiedleńcy. Migotliwe światło naftowej lampy, wokół której siadali, znów rysowało na ścianach znajome cienie; powracał nastrój rodzinnego ciepła i bezpieczeństwa, choć sytuacja była wciąż tragiczna, a życie trzeba było rozpocząć znów od nowa.

Bronisław Harla pisze o smutnym powrocie z wysiedlenia do spalonego domu. „Po powrocie do „domu” poprosiłem zduna Saka, który wybudował nam piec w stajni. Było to wtedy dużo, bo było gdzie ugotować pożywienie. No i był ciepły kąt do spania”²⁵. Ale podkreśla też tragizm sytuacji, w jakiej znalazła się jego rodzina: „Gospodarstwo moje uległo całkowitemu zniszczeniu: dom spalony, ostatnia krowa zabita, syn uległ ciężkiemu wypadkowi, sporo gruntu zabrane pod lotnisko”²⁶. W całej okolicy mieszkańcy przeżywali podobne dramaty.

Mikołajek tak opisuje tużpowojenny krajobraz rodzinnej wioski, widziany oczyma bohatera „Zamykania koła”:

„Ospale naciskając pedały jechał przez pustą, prawie wymarłą okolicę – w czterdziestym czwartym przez pięć miesięcy stał tu front. Ludzie wrócili tylko częściowo, żyjąc w nielicznych, ocalałych budynkach, ziemiankach i szałasach; teren był już rozminowany, ale oracze jeszcze często ginęli od

min i niewypałów. Wśród okaleczonych drzew, splowiałych lasków i nad płaskim pejzażem nagich pól jedynie upał trwał niezmordowanie”²⁷.

Paweł z powieści „Żegnajcie chłopcy” – pełniący służbę wojskową w koszarach – wspominał tużpowojenne akcje rozminowywania pól: „Usłyszałem wybuchy na dalekiej równinie za rzeką. Wyszkoleni saperzy rozminowywali chłopskie pola. Nie można było widzieć tych wybuchów, ale przecież mi się zdawało, że je widzę. Włodek ze złością przydeptał butem niedopałek [...]. Znów będą świeże kadłuby”²⁸.

Bo dla saperów wojna się jeszcze nie skończyła: „codziennie lecą do nieba”²⁹.

Ale najbardziej tragicznie kończyły się próby rozminowywania pól przez samych rolników: w pobliskiej Chotowej 3 maja, tuż przed końcem wojny, zginęło 5, a w Gumniskach wkrótce potem – 6 osób. Również kilku mieszkańców wioski mojego dzieciństwa – w tym Leopold Harla – zostało okaleczonych na skutek wybuchu niewypałów, zalegających różne, mniej uczęszczane miejsca. W nadwiślocznych zaroślach i w naszej rzeczce w Olszynach jeszcze kilkanaście lat po wojnie chłopaki znajdowali miny przeciwpiechotne i różne rodzaje pocisków. Z dumą opowiadali o ich wydobywaniu, rozkręcaniu czy wrzucaniu do ogniska; jednak zawsze w sekrecie przed nauczycielami i rodzicami, zabraniającymi zbliżania się do takich niebezpiecznych miejsc.

Wracali więźniowie z obozów i z przymusowych robót w Niemczech. Mieszkaniec Pilzna Stefan Janusz – działacz społeczny, współtwórca dębickiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk zanotował 20 lutego 1945 roku: „Przeciągają przez Pilzno pierwsze grupy ludzi wywiezionych na niewolnicze roboty do Niemiec. Wracają do miejsc rodzinnych. Są witani z głębokim wzruszeniem. Wypytyują o bliskich i są wypytywani o tutejszych. Fala wracających odtąd nie ustaje”³⁰.

Wracali też do domów chłopcy działający w konspiracji, związani z różnymi organizacjami; w większości rozczarowani nową sytuacją polityczną, niepewni jutra. Dla akowców to, o co walczyli, okazało się ułudą, budzącą zwątpienie i rozpacz. Niektórzy jeszcze długo pozostawali w lasach, inni przyłączali się do zwolenników nowego ustroju, bo chcieli żyć, uczyć się, pracować, zakładać rodziny, działać dla wspólnego dobra.

Wielu z nich nie doczekało końca wojny, inni trafiali do ubeckich więzień, jak Mikołajkowy bohater Cykaniec, czy – jak wspomniany już bobrowianin Władysław Jasiński – byli zsyłani do rosyjskich łagrów. Jasiński po latach wspominał, że warunki w obozie były tragiczne. Dnie wypełniała katorżnicza praca w tajdze, choć temperatura spadała nawet do minus 65 stopni. Dzienną porcję żywności stanowił kawałek zmrożonego chleba i trochę wody uzyskanej ze stopionego śniegu. Panował straszliwy głód. Szerzyły się choroby; w tym kurza ślepotą i cynga spowodowane brakiem witamin, dokuczały liczne rany i odmrożenia – niezwykle bolesne. Ale najbardziej bolała

tęsknota, niepewność jutra, zagrożenie śmiercią, bezradność i beznadzieja. Jedyną rzeczą, której nie można było odebrać więźniom, była wiara w Boga i modlitwa, która pozwalała przezwyciężyć ogarniający pesymizm. Władysław Jasiński – by wyrwać się z piekła łagrów – wstąpił do Czerwonej Armii, z którą przybył do Polski. Udało mu się przeżyć i wrócić do rodzinnej wioski. Niewielu znało jego tragiczne losy. Bezpieczniej było milczeć. A nam – nieświadomym niczego dzieciom – przedstawiano Związek Radziecki jako kraj szczęśliwych ludzi, kraj dobrobytu, szlachetnych praw i obyczajów.

W wielu bobrowskich domach panowała żałoba. Za swoją działalność okupacyjną wysoką cenę zapłacili i członkowie AK, i gwardziści, i przedwojenni pepeerowcy.

Mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa nigdy nie potrafili być bierni. A więc i w czasie okupacji hitlerowskiej – zwłaszcza młodzi mężczyźni – chcieli za wszelką cenę walczyć z Niemcami i szukali okazji do walki. Najmniej wiemy o bobrowskich akowcach, bo nie powstał żaden dokument przedstawiający wiernie ich działalność.

„Zamiast nazwisk używano pseudonimów, a nazwy miejscowości były oznaczane kryptonimami lub cyframi [...]. Nic też dziwnego, że w takich warunkach nie mogło się ostać wiele dokumentów, tym bardziej, że większość z nich uległa zniszczeniu na skutek późniejszych wydarzeń”³¹.

Na pewno wiemy jednak, że w Bobrowej istniała aktywna drużyna akowska, uczestnicząca w różnych akcjach przeciw Niemcom, że należał do niej m.in. Eugeniusz Skowron „Wiklina” czy sam Tadeusz Mikołajek i jego starszy brat, który jednak nie doczekał wyzwolenia. Mikołajek, który całą swoją twórczość poświęcił wojennym i powojennym losom „chłopców z lasu” ukazanych w oparciu o własne i swoich kolegów przeżycia, w „Tryptyku na śniegu” przedstawia m.in. 16-letniego Józka Synaka, aresztowanego w czasie rewizji w domu, po jednej z partyzanckich akcji: „Józek nie należał, domyślał się tylko [...]. Jeden dzień, jeden jedyny dzień upłynął od śmierci Benka [zginął w akcji] i już mieli jego rodzinę”³².

Józek wkrótce zmarł, torturowany przez gestapo, ale nikogo nie wydał, a działalność partyzancka nadal trwała.

„– Komórka działa – cieszył się Paweł, odwiedzwszy „Szarego” – kierownika szkoły pełniącego funkcję dowódcy Placówki”³³.

Wiemy, że „społeczeństwo naszego powiatu garnęło się do szeregów AK. Jak zwykle prym dźwżyła młodzież, która – opanowana gorączką czynu – rwała się do walki, nie bacząc na niebezpieczeństwa [...]. Między wsią a miastem nie było różnicy. Młodzież wszędzie była jednakowa – gorąca i patriotyczna. Niemal każda wieś w powiecie posiadała swój pluton albo drużynę zdolną włączyć się do walki w każdej chwili”³⁴.

Ale wielu mieszkańców – nawet członków rodzin akowców – nie miało o tym bladego pojęcia; to był temat tabu. Jak pisze Stańko, „zaprzysiężony żołnierz przybierał pseudonim i wstępował do szeregów Podziemia, a ponieważ jego wieś czy miasto, jego oddział, dowódca, i koledzy również zmienili nazwy i nazwiska, przeto powstało nowe środowisko, nie znane codziennemu otoczeniu”³⁵.

Stańko pisze dalej: „Walka z okupantem toczyła się w warunkach ścisłej konspiracji. Oddziały były powoływane pod broń do wykonywania konkretnych zadań i to przeważnie nocą. Po wykonaniu rozkazu żołnierz wracał do swojego domu i nazajutrz wykonywał normalną pracę. Niejednokrotnie nieraz najbliżsi nie mieli pojęcia, że ich syn czy brat brał udział w akcji nocnej”³⁶. Nie było im łatwo: „Każdy z nich, zanim przekradając się po zastodolu i polem przyszedł tu z karabinem, kosił zboże lub cały dzień zwoził snopki. Ci, którzy zasypiali w trawie, nie czując rosy, i ci, oparci o jabłonie, aż stękali z przemęczenia”³⁷.

Jeden z bohaterów Mikołajka – Bobek, działający w konspiracji, mówi Emiłowowi o swych rodzicach nieświadomych jego udziału w akcjach zbrojnych: „Tak, bracie, oni nawet nie wiedzą, że śpią na krawędzi – wskazał głową chałupę”³⁸.

Komendantem Dębickiego Obwodu AK był Adam Lazarowicz „Klamra” stacjonujący w szkole w Gumniskach. Jego żona Jadwiga, nauczycielka – również działająca w konspiracji [ps. „Aldona”] – tak wspomina uroczystość poświęcenia akowskiego sztandaru, która dla wszystkich była wielkim przeżyciem:

„Jest pięknie haftowany: orzeł polski srebrnymi nićmi, a na drugiej stronie Matka Boska Częstochowska [...] Przed uroczystością poświęcenia sztandaru zeszli się wszyscy ważniejsi. Poprzymosili swoje mundury [...]. Gdy już się poubierali i mój mąż też, staję jak wryta, oczu nie można oderwać. Dziwię się, bo już dawno nie widziałam polskich żołnierzy. Tacy piękni i drodzy naszym sercom [...]. Cała uroczystość ma się odbyć w szkole [...]. Przy zrozbionym ołtarzu krząta się ksiądz „Mieczyk” [Stanisław Bartosz] [...]. Po mszy przemawia „Pług” [mjr Łukasz Ciepliński]. Mówi wiele o pracy AK i o swoich przejściach wojennych, o opiece Matki Bożej Królowej Polski. Następnie ksiądz „Mieczyk” dokonuje poświęcenia sztandaru. Potem stajemy na baczność, każdy podchodzi do sztandaru i oddaje hołd naszej Ojczyźnie.

Zaczynamy pieśń „Boże, coś Polskę”. Melodia płynie wspaniale z piersi dzielnych Polaków. Głosy są silne, przeważają męskie. Słyszeć ich pewno daleko za oknami”³⁹.

W Dębickim Obwodzie AK podległym komendantowi Adamowi Lazarowiczowi działały zgrupowania partyzanckie liczące ponad 2 tysiące żołnierzy, skupione w trzech rejonach: jeden z nich obejmował Placówki „Pocisk”, „Zapalnik” i „Kartacz”; liczyły one ponad tysiąc uzbrojonych ludzi. Placówka „Kartacz” – powstała w połowie 1941 roku – obejmowała też wioskę mojego dzieciństwa

i znajdowała się w Korzeniowie. Dowodził nią Franciszek Podraza „Nałęcz”, którego tak przedstawia dębicki pisarz, akowiec Władysław Strumski:

„Urodzony w 1901 roku. Starszy ogniomistrz służby stałej artylerii. W konspiracji od czerwca 1940 roku; zaprzysiężony przez „Jędrusia” [ppor. Stanisław Kita]. Do marca 1941 prowadził kolportaż prasy konspiracyjnej; był kierownikiem kolportażu „Odetu”. Od 1941 roku dowodził placówką Korzeniów w Obwodzie AK Dębica”⁴⁰.

Zastępcą dowódcy był Władysław Ciuruś „Staszek”, a oddziałem dywersyjnym tej placówki dowodził kapral podchorąży Artur Cwen ps. „Ren”. „Brał udział w zdobywaniu broni i sprzętu wojskowego, ubezpieczeniu odbioru zrzutów broni. W tajnym nauczaniu zdał dużą maturę przed komisją egzaminacyjną „Kuźnica”. Walczył w akcji „Burza” w ramach II rejonu walki na Kałużówce początkowo jako zastępca dowódcy III plutonu w 3 kompanii, a następnie jako dowódca. Odznaczony Krzyżem Walecznych”⁴¹.

Strumski podkreśla waleczność „Rena” i jego oddziału podczas bitwy na Kałużówce. „Batalion niemiecki posuwający się od strony Braciejowa – Gębiczyna natknął się na stanowiska „Pęka”, który miał na swoim odcinku dwa plutony własne, podporządkowany mu pluton „Cebuli”, nad którym w chwili rozpoczęcia bitwy objął dowództwo „Ren”, oraz liczący około trzydziestu ludzi oddział żołnierzy radzieckich [...]. Doskonale spisywał się „Ren”, który mając przy sobie grupę żołnierzy ze swego plutonu i jakąś sekcję wojaków radzieckich, osłaniał z nim lewe skrzydło kompanii, gdzie nacisk był największy”⁴².

Wśród partyzantów Placówki Korzeniów, w skład której wchodziło około 200 żołnierzy, wyróżnił się też Jan Kaczor ps. „Wiertło” – „żołnierz AK Obwodu Dębica. Był podoficerem w plutonie dywersyjnym [...]. Następnie członek dyspozycyjnej grupy bojowej komendanta Obwodu. Podczas akcji „Burza” walczył w szeregach II Zgrupowania. Uczestnik walki z Ekspedycją niemiecką pacyfikującą Gumniska, a następnie walk na polanie Kałużówka. Wzięty do niewoli po rozwiązaniu zgrupowania i najprawdopodobniej wywieziony do obozu, gdzie został zamordowany przez Niemców”⁴³.

Wśród członków korzeniowskiej Placówki AK znajdujemy liczne bobrowskie nazwiska: Ćwik, Ziobro, Koziara, Dygdoń, Czaja, Dziurgot, Gil, Kaczor, Kmiecik, Lipa, Marzec, Prucnal, Skowron, Trojan, Wójcik, Ziobro. W partyzantskich akcjach na terenie wioski mojego dzieciństwa brali też udział akowcy z Woli Żyrakowskiej: Bolesław Gil, Franciszek Trojan, Stefan Zawiślak.

Ponieważ „w warunkach konspiracyjnych znaczenie broni było wprost nieocenione [...] każda placówka posiadała oficera broni, którego zadanie polegało na gromadzeniu, naprawie, konserwacji oraz konspiracyjnym przechowywaniu broni, czyli tzw. zamelinowaniu”⁴⁴. Do takiej właśnie meliny w Korzeniowie przywieźli m.in. 800 sztuk granatów przydzielonych akowcom obwodu dębickiego: komendant placówki Zasów Alfred Łubieński

i Krzysztof Jabłonowski ps. „As” – syn dziedzica z Przyborowia, który niedługo potem znalazł się w obozie w Gross-Rosen.

W korzeniowskiej leśniczówce był punkt zborny żołnierzy, miejsce kontaktów, melina i skład broni, a w gorzelnii Szerauców – właścicieli korzeniowskiego dworku – magazyn broni przeciwpancernej i granatów. Jerzy Szerauc był akowcem, a ojciec Jerzego – Leopold udzielał schronienia partyzantom i uchodźcom. Leśna polana niedaleko Grobu Dragona z czasów najazdów Szwedów – ukryta w miejscu otoczonym podmokłymi lasami oraz trudno dostępnymi, skrytymi wśród krzaków jałowców i wysokich paproci ścieżynkami – była bezpiecznym schronieniem dla partyzantów.

Placówki akowskie skupiały po kilka bojówek, wyznaczanych do różnych akcji. „Przynależność do bojówki była zaszczytem, a choć łatwiej w niej było o śmierć aniżeli o odznaczenia bojowe, to każdy, kto by z niej zrezygnował, naraziłby się na zarzut tchórzostwa”⁴⁵.

Swoistym drogowskazem dla partyzantów korzeniowskiego „Kartacza” był krzyż stojący do dziś na skrzyżowaniu leśnych dróg. Bohater Mikołajka – Bluszcz, chcąc wstąpić do leśnego oddziału, spotyka się z partyzantami pod takim właśnie krzyżem. „Spotkanie nastąpiło na skrzyżowaniu leśnych dróg. Między drzewami, tuż za wizerunkiem rozpiętego na krzyżu Chrystusa”⁴⁶.

Na polanie obok Grobu Dragona odbywały się Msze polowe dla partyzantów. „Każda placówka miała swojego kapelana [...]. Kapelani pełnili normalne czynności duszpasterskie w rejonach swoich Placówek. Odprawiali Mszę świętą dla walczących oddziałów, udzielali ślubu ukrywającym się akowcom, chrzcili ich dzieci, grzebali i ewidencjonowali poległych, brali udział w partyzanckich akcjach zbrojnych”⁴⁷.

Kapelanem Placówki Korzeniów był nagoski proboszcz, ksiądz Józef Fijał, a Placówki Zasów – proboszcz tamtej wsi – ksiądz Krawczyk. Nocne Msze święte odprawiane dla partyzantów miały w sobie niezwykły klimat.

Jadwiga Lazarowicz wspomina, jak jej mąż Adam zabrał ją na taką nocną polową Mszę świętą w lesie koło Gumnisk:

„Mąż prowadzi mnie w las zupełnie jak w dzień, zna każdą ścieżkę. Ciemno dokoła, tylko robaczki świętojańskie przyświecają. Naraz dziwny obraz staje przed nami. Światło, ołtarz ze świecami, krzyż, mszał, zupełnie jak w kościele.

– Czy ja śnię? [...]

Podchodzi do nas ksiądz „Mieczyk” i mówi, że wszystko przygotowane, można zaczynać.

Adaś robi zbiórkę. Młodzi partyzanci stoją ze swym dowódcą „Dzwonem” [Zygmunt Pawlus] na czele, do modlitwy. Po chwili pojawia się ksiądz już ubrany do Mszy świętej. Rozpoczyna modły u stóp leśnego ołtarza”⁴⁸.

Każdy dzień żołnierski był zorganizowany: „Typowo wojskowe zajęcia: pobudka, gimnastyka, modlitwa, po śniadaniu zajęcia szkoleniowe, musztra, kopanie umocnień, budowa szałasów itp.”⁴⁹. Stąd właśnie żołnierze wyruszyli na akcje do okolicznych miejscowości.

Władze akowskie głosiły, że „zadaniem naczelnym jest niszczenie linii kolejowych i kołowych, atakowanie mniejszych oddziałów niemieckich, likwidacja żandarmerii, policji [...] i co jest sprawą arcyważną: ochrona ludności przed gwałtami i rekwizycjami nieprzyjaciela”⁵⁰.

Bohater „Zamykania koła”, wiążąc z ojcem „nieudany owies na pól z ostem”, wspominał jedną z akcji przeciw Niemcom, mającą przerwać połączenia telefoniczne: „Widział nadrzeczne wikliny, dalej porośnięty drzewami drugi brzeg – obraz płynącej korytem wody podsuwała pamięć [...]; nie chciał widzieć go tak samo, jak i stojącego za rzeką borku, gdzie przed ćwierćwieczem piłował z chłopakami telegraficzne słupy”⁵¹.

Niestety, „zapasy posiadanej broni były tak małe, że starczyć mogły tylko dla niewielkiej części oddziałów [...]. Wtedy to dowództwo AK wydało rozkaz zdobywania broni na nieprzyjaciela z zachowaniem jak najdalej idącej ostrożności”⁵².

Źródłem pozyskiwania broni były także zrzuty z samolotów. Takie zrzuty miały miejsce m.in. na polach równinnych w Mokrem.

Stańko pisze: „Dowódcą zrzutów jest ppor. „Ryś” [Antoni Cwen – ojciec Artura]. Skrzynka pocztowa dla zrzutów znajduje się w sklepie żelaznym w Dębicy [...]. Miejscem oczekiwania na potwierdzenie sygnału dla rejonu zrzutowego [...] jest dworek Łubieńskich w Zasowie”⁵³. Korzeniowska Placówka „Kartacz” w czasie tej akcji miała za zadanie zamykać i ubezpieczać drogę: Czarna – Jaźwiny.

Pogotowie do przyjęcia zrzutów oczekiwało raz w miesiącu w czasie pełni księżyca, kiedy radio londyńskie nada po wiadomościach w języku polskim umówioną melodię i potem – w odpowiednich odstępach czasu – powtórzy ją jeszcze dwukrotnie. Pod koniec kwietnia 1944 roku odebrano taki radiowy sygnał zrzutu na Placówkę nr 2 w rejonie Jastrzębki Starej. Antoni Stańko był jednym z uczestników tej akcji. Tak ją wspominał: „W pewnym momencie dał się słyszeć pomruk wysoko przelatującego samolotu, a kiedy dostrzegliśmy go na gwiazdzistym niebie, zapalono światła strzały. Pilot nie zareagował na ten sygnał i poleciał w kierunku Mielca. Tam prawdopodobnie został zestrzelony, gdyż usłyszeliśmy daleką kanonadę, a potem wybuch i ogień na ziemi”⁵⁴.

Ale były też na terenie Placówki Zasów zrzuty udane, jak ten w pierwszych dniach sierpnia 1944 roku; już w czasie akcji „Burza”. Brali udział w tym zadaniu również partyzanci korzeniowskiego „Kartacza”. Zdobyta wtedy broń była ogromnie potrzebna w prowadzeniu różnych akcji zbrojnych.

Antoni Stańko opisuje także taki udany zrzut: „Noc była jasna, gwiazdzi-
sta, księżyc w pełni. W bladej poświacie księżyca widoczność była bardzo
dobra. Można było odróżnić i rozpoznać nawet z dość znacznej odległości
znajome sylwetki kolegów i otaczające nas przedmioty. Miało to duże zna-
czenie przy obserwacji lądujących spadochronów i zbieraniu rozproszonych
zasobników, a pilotowi ułatwiało kontakt z placówką zrzutu [...]. Około go-
dziny pierwszej po północy dał się słyszeć od strony południowej daleki po-
mruk wielosilnikowego samolotu. Pomruk ten stawał się coraz wyraźniejszy,
aż przeszedł w ogłuszający huk silników samolotowych, a na niebie, na dość
znacznej wysokości, ukazał się samolot, zataczając koło nad placówką zrzutu [...]. Nagle na ciemnym tle nieba rozkwitły wspaniałe chaszcze białych spa-
dychronów, pod którymi zwisały ciężkie zasobniki metalowe. Szał radości
opanował czekających, gdy zobaczyli spadającą z nieba upragnioną broń”⁵⁵.
Niedaleko terenu zrzutu czekały w pogotowiu konne wozy, żeby zabrać po-
jemniki do meliny. Niełatwo było je wszystkie znaleźć ze względu na ciem-
ności, dość wielkie rozproszenie, a latem – wysokie zboża. Ale partyzanci
mieli ewidencję zrzuconych pojemników, więc niekiedy kilku z nich czekało
na poranek, by – przy dziennym już świetle – odzyskać wszystkie skarby.

Konstanty Łubieński wspomina wielką radość akowców, przejmujących
zrzuty: „Każdy pistolet, ręczny karabin maszynowy czy inna broń, czy wresz-
cie aparaty radiowe oglądaliśmy z największym pietyzmem. Tego uczucia
nie zrozumie nikt, kto nie przeżył okupacji w oddziale wojskowym, kto nie
był w akcji, mając tylko starego fromera [frommer: węgierski, kieszonkowy
pistolet wyprodukowany w 1910 roku], który często zawodził, czy granat
własnej produkcji lub tylko butelkę zapalającą”⁵⁶.

Zazdrościli akowcom tej broni partyzanci GL, o czym pisze Leopold Har-
la: „Najtrudniejszym problemem było zdobycie broni [...]. W przeciwień-
stwie do AK, która była obficie zaopatrywana w pieniądze i broń z Londynu,
PPR i GL zdane były wtedy wyłącznie na własne siły, i na poparcie miejsco-
wej ludności”⁵⁷.

Akowcy z korzeniowskiego „Kartacza” obstawiali zrzuty w Jastrzębce
Starej i w Łączkach Kucharskich. Rozbrajali też Niemców m.in. w Bobrowej
i w Nagoszynie, przejmowali amunicję, granaty, przeprowadzali zbrojne ak-
cje na pociągi, na magazyny, a także np. golili głowy dziewczynom zadającym
się z Niemcami i wykonywali wyroki śmierci na zdrajcach i kolaborantach.

Te ostatnie zadania były dla nich najtrudniejsze. Rozmyślał o tym boha-
ter Mikołajka Cykaniec, gdy miał wykonać taki wyrok na swym dawnym ko-
ledze: „Okazało się, że chociaż już wybrałem, teraz znów trzeba było wybie-
rać [...]. Błękitnego znałem, był moim szkolnym kolegą. Piłem z nim jeszcze
niedawno [...]. Zdaje się, że trzeba będzie wyrzec się teraz i brata, i swata”⁵⁸.

Akowcy byli świetnie zorganizowani i wszędzie mieli swoich ludzi. Nawet na posterunku policji w Dębicy „nie brakowało wtyczek akowskich, odnoszących prawie na bieżąco o wydarzeniach”⁵⁹.

To właśnie wywiadowcy AK obserwowali m.in. transporty zmierzające do małej, zagubionej wśród lasów miejscowości Blizna, położonej niedaleko obozu jenieckiego w Pustkowie, z której w 1940 roku Niemcy wysiedlili wszystkich mieszkańców. Wkrótce okazało się, że powstała tu zamknięta, pilnie strzeżona strefa wojskowa, do której – po zbombardowaniu zakładów zbrojeniowych w Peenemunde na wyspie Wolin – przeniesiono produkcję nowoczesnych rakiet V-2. Akowcy z Dębickiego Obwodu „Deser” – mimo szczelnych zabezpieczeń, sieci gniazd karabinów maszynowych i bunkrów, nie tylko wytropili tajemnicę Blizny i nie tylko przesyłali do dowództwa w Warszawie szczegółowe raporty o dokonaniu około 120 prób odpalenia rakiet, ale też wydobyli jeden z niewypałów i dostarczyli fragmenty V-2 specjalistom z warszawskiego „Kedywu”, którzy z kolei drogą powietrzną przesłali je do Anglii. Były to niezwykle ważne akcje; jedne z tych, które zadecydowały o losach tej strasznej wojny. W przewodniku „Śladem cudów Podkarpacia” czytamy, że „poligon w Bliźnie był osobliwie maskowany. Więźniowie z pustkowskiego obozu z dykty i drewna zbudowali tu chłopskie chałupy, stajnie, i obory, a na płotach suszyły się gliniane garnki i bielizna. Pustych chałup pilnowały gipsowe psy, na polach pały się gipsowe krowy, a przed jedną z chałup fajkę palił gipsowy dziadek. Z powietrza teren do złudzenia przypominał wiejską osadę”⁶⁰.

Niestety, nie przeżył nikt ze świadków, którzy pracowali wówczas w Bliźnie, a wojskowe obiekty zostały zburzone przez uciekających Niemców. Andrzej Płes pisze, że „Blizna była przez dwa wojenne lata jednym z najbardziej tajemniczych miejsc na świecie i do dziś strzeże swoich sekretów”⁶¹. Jednym z nich jest prawdopodobna wizyta na tym poligonie samego Hitlera, który wiosną 1944 roku wracał przez Dębicę ze swej kwatery w Winnicy na Ukrainie.

W dębickich placówkach AK świetnie działała służba łącznościowa. Za pośrednictwem gońców – łączników przenoszono ważne informacje nieraz na bardzo duże odległości. „Goniec-łącznik miał do dyspozycji przede wszystkim własne nogi, potem konia, ewentualnie wóz, rower, auto lub koleję”⁶².

Ważną rolę pełnili też kurierzy przenoszący pocztę i inne przesyłki. Ich komendantem na okręg dębicki była Celina Łopuska, ze znanej rodziny ziemiańskiej ze Strzegocic. Skrzynki pocztowe były umieszczane w sklepach, w warsztatach rzemieślniczych, a nawet w domach prywatnych.

Każda placówka miała też swoją służbę sanitarną. Oprócz szkolenia sanitarnego prowadzono akcję zdobywania sprzętu sanitarnego, leków i materiałów opatrunkowych. Dostarczali je m.in. właściciele dębickiej apteki: Jadwiga i Włodzimierz Gardzielowie.

Stańko podkreśla odwagę sanitariuszek; gdy np. w czasie odwrotu żołnierzy po bitwie na Kałużówce został odcięty punkt sanitarny, a nikt nie śmiał wychylić głowy zza drzew, „dwie piętnastoletnie siostry Łopuskie [Barbara i Krystyna] podeszły lasem od strony zachodniej i wykorzystując naturalną osłonę terenową, biegiem wpadły do stodoły. Wkrótce wyszły objuczone kocami oraz sprzętem liturgicznym księdza Mieczyka. Drogę powrotną przeszły również szczęśliwie”⁶³.

W lipcu 1944 roku żołnierze korzeniowskiego „Kartacza” – wraz z grupą Władysława Strumskiego „Brutusa” – wzięli udział w napadzie na niemiecki pociąg w Głowaczowej. Do zadań bojówki Korzeniów dowodzonej przez kaprala Jana Deca „Cebulę” należało wybranie miejsca do przeprowadzenia tej akcji i „rozpracowanie zabezpieczenia”.

Jak pisze Stańko: „Akcja ta spowodowała przerwę w komunikacji na okres jednej doby, w czasie kiedy Niemcy ewakuowali się z Rzeszowa”⁶⁴.

Najważniejszą i największą akcją zbrojną oddziałów AK na naszych terenach była „Burza”. Rozkaz rozpoczęcia akcji „Burza” Placówki Zasów i Korzeniów otrzymały 28 lipca 1944 roku. W pierwszych dniach sierpnia nastąpił w rejonie Jastrząbki Starej drugi zrzut broni dla akowców.

„Podchorąży „Iwo” otrzymał rozkaz marszu kompani do III rejonu walki w Gołęczynie i przetransportowania broni zrzutowej do obozu III zgrupowania [...]. Grupa przeznaczona do transportu broni liczyła około 150 ludzi, z których każdy dźwigał ciężar około 40 kilogramów. Szli nocą przez tereny nasyczone wojskami niemieckimi. Wiśłokę przekroczyli między Strzegocicami a Pilznem i bez przeszkód dotarli do III zgrupowania z całą bronią zrzutową. Po wykonaniu zadania część grupy wróciła do Placówki Zasów, a reszta, w sile jednej kompanii, weszła w skład III zgrupowania pod dowództwem Jana Kuty – ppor. „Rudolfa”⁶⁵.

Grupa ta wkrótce wzięła udział w bitwie na Kałużówce. Uczestniczący w transportowaniu broni żołnierze Placówki Korzeniów weszli w skład II zgrupowania liczącego 465 osób pod dowództwem Romana Kani ps. „Rygiel”.

Stańko pisze, że nastrój wśród oddziałów był pełen optymizmu, że żołnierze dzielili się wrażeniami z pierwszych potyczek i rwali się do walki. Zastępcą Deca był na Kałużówce kapral Artur Cwen „Ren”. Żołnierze mieli jako takie uzbrojenie, ale „wyposażenie marne” i „kompletny brak rynsztunku”. Nadrabiali te braki w czasie walk na Kałużówce bohaterską postawą i gotowością oddania życia. Do dziś przed siedzibą dowództwa II Zgrupowania, która mieściła się w leśniczówce Berdech rośnie stary jesion, pod którym akowcy składali żołnierską przysięgę. Powstało też wiele pomników i tablic upamiętniających śmierć tamtych bohaterów; takie pomniki znajdują się m.in. w Gołęczynie, na Kałużówce, w Braciejowej, w Korzeniowie czy w Mokrem.

Każda akcja dla tych młodych chłopaków była wielkim przeżyciem, jednak najbardziej pamiętało się tę pierwszą. Bohater „Tryptyku na śniegu” wspomina:

„Wiatr – pomyślałem. – To dobrze, że od rana przechodzą burze. Zmyje wszystko i nikt śladu nie dojdzie. Przycisnąłem twarz do kłującego siana. Tego, co się działo, nie chciałem nazywać po imieniu. Gdyby ten deszcz i we mnie mógł zmyć wszystko, nie leżałbym teraz tak”⁶⁶.

Mikołajek opisuje też potyczkę oddziału akowców z Niemcami, wracającymi ze Sławna [Nagoszyn?], w której po raz pierwszy – i jedyny – wziął udział młodzieńki Benek Synak, a której topografia przypomina znajome miejsce pomiędzy wioską mojego dzieciństwa a Nagoszynem. „Miejsce: zakręt. Kuliste wierzby okręcają się dokoła swych osi. W dali ledwie widoczna plama sośninki [...]. Głęboki choć cichy szum zbóż, pisk polnych myszy [...]. Zajęliśmy stanowiska w bruzdach ugoru. Pośrodku ręczny karabin maszynowy. Za plecami rów do sośninki [...]. Zakręt jest prawie pod kątem prostym, można ścigać kulami na prawo i na lewo. Syczą kłosa.

– Co Benek wtedy myślał? Musiał się bać. Nawet tego, że trzeba strzelać do ludzi. Chwilami pewnie niczego nie widział przed sobą. Może się modlił, żeby tamci nie nadjechali albo żeby Szary odwołał rozkaz. A od strony pagórków Sławna doleciał turkot kół. Ściskanie w dołku i mieszane uczucie: albo z głową zaryć się w ziemię, albo posłuchać serca, które odpycha od ziemi i ile sił w nogach – każe uciekać. Cień pierwszego wozu zalewał nie zasłonięty zbożami odcinek drogi. Postacie zaczęły spadać z wozów, zanim bębenki uszu oddały pospieszny łomot „suki”. I ta ulga, że się strzela, że to oni giną, że ma się już tę pierwszą akcję za sobą. Szary w kapeluszu nasuniętym na oczy, przygryzając wargę, coraz to nowe serie wyciskał z kaemu. Na zakręcie rumowisko. Z przydrożnych rowów leca kolorowe nici. Szary gwizdnął: odwrót.

– Benek pierwszy. Chyłkiem dopadł do rowu i upadł. Krzyknął tak dziwnie jak kuropatwa. Szary wziął go na plecy [...]. Był już prawie świt. Gwiazdy topiły się w szarawym błękicie, leciała rosa, ćwierkały drozdy. Benek leżał pod krzakiem”⁶⁷.

To po tej akcji nastąpiły we wsi pacyfikacje, a zabranego do więzienia Józka Synaka torturowano i zabito. Po takich wydarzeniach, które tragicznie zapisywały się w pamięci walczących, przychodziły wątpliwości i niepokój. Ale wypełniali rozkazy wierni danej przysiędze, choć każda akcja dla tych zwyczajnych, prostych chłopaków była wielkim przeżyciem, dramatem, który pozostawał w pamięci na zawsze.

Jeden z Mikołajkowych bohaterów – Witek wspomina też akcję na niemiecki pociąg:

„Ciszę rozbełtał daleki, podobny do podmuchu łoskot. Nie chciałem przyjąć tego do świadomości. Dygnęły drzewa. Zadzwończyły druty. Po milimetrze

zacząłem odsuwać się do tyłu. Senny popatrzył na mnie bez słowa. Pociąg wybiegł w pole widzenia. Wtedy wszystkim udzieliło się drżenie ziemi. Ciężko sapała lokomotywa, kołysał się za nią łańcuch wagonów. W kilku pierwszych drzwi były szeroko otwarte. Siedzieli w nich żołnierze ze spuszczoneymi nad torem nogami. Śpiewali. Ogniki papierosów w drzwiach wagonów wydłużały się w linie, cień dymu lokomotywy sunął po ziemi. Przed oczami, rytmicznie postukując na złączach szyn pełzł rozśpiewany transport; Tomek przeklinał sam siebie, bo dręczyła go niepewność, czy dobrze nastawił iglicę. A pod pierściami chodziła ziemia. Płomień, chmura dymu, znów płomień. Usłyszałem syczenie przewróconej lokomotywy...Przypięci do kolb kaemiści wodzili seriami po całej długości. Pracowało kilka automatów. Ale transport już organizował obronę. Tomek dał rozkaz odwrotu. Wtedy byłem jednym z pierwszych. Właściwie tylko na to czekałem. Biegłem, zasłaniając uszy. Na głowę spadał wzniesiony wybuchem piasek, szeleścił po liściach.”⁶⁸.

Tragizm tych przeżyć i odczuć potwierdza też Władysław Strumski: „Nie po raz pierwszy biorę udział w akcji, a jednak za każdym razem czuję podniecenie. Wydaje mi się, że serce podchodzi do gardła, a twarz dziwnie tężeje. Wiem z opowiadań kolegów, że tego samego wrażenia, choć w różnym stopniu, doświadczają i oni”⁶⁹.

Pierwsze zachłyśnięcie się walką z wrogiem ustępowało po pewnym czasie miejsca uczuciom rozgoryczenia i smutku. Wiktor z „Tryptyku na śniegu” wyznaje: „Nie miałem w sobie żadnej radości, nie czułem nawet cienia dumy z powodu udanej akcji. Moja wyobraźnia pracowała w innym kierunku [...]. Mdlilo mnie na myśl o szynach kolejowych, bo widziałem na nim ludzkie mięso pomieszane z ziemią i żelastwem”⁷⁰.

Tęsknie i boleśnie odczuwali też ci chłopcy smak tak przecież niedawnego, przedwojennego życia, smak bujnej młodości wśród bliskich, bez konieczności zabijania i godzenia się na własną śmierć: „Żyją ludzie – myślałem – żyją sobie. Wywaliliśmy pociąg, a ilu naszych za to poszło? Nas wcześniej braknie niż ich”⁷¹.

Młodzi „leśni” nie byli też niekiedy pewni, czy wstąpili do właściwej organizacji. Rywalizowały z sobą zwłaszcza GL i AK mające zupełnie inne programy ideowe i inną wizję przyszłej Polski. Chłopcy wybierali te, które działały w ich miejscowościach, z którymi mieli kontakt, do których szli ich koledzy, krewni, czy znajomi. To oni byli najlepszymi agitatorami, umożliwiali kontakty i udzielali niezbędnych informacji.

Pawła Gwoździa z Mikołajkowej powieści „Tryptyk na śniegu” wciągnął do konspiracji stryjeczny brat – Cykaniec. Paweł chciał walczyć jak jego starszy brat, który mu imponował odwagą, kontaktami z podziemiem, posiadaniem broni. W ogóle chłopcy szli do leśnych oddziałów z różnych powodów: z przekonania, by się sprawdzić, poczuć smak mocnego życia, zaimpono-

wać innym czy uciec od biedy i beznadziejności życia. Jeden z partyzantów z ugrupowania „Błękitnego” rozmawia o tym z podchorążym Cykańcem: „Wielu młodych chłopców przychodzi do lasu tylko po to, żeby przeżywać własny heroizm i żadne idee ich nie obchodzą. Inni znów nie mogą odłączyć idei od heroizmu”⁷².

Cykaniec rozpoczął działalność konspiracyjną w Narodowych Siłach Zbrojnych i tam składał przysięgę wraz z całym leśnym oddziałem. „Przysięgę odebrał szef sztabu brygady major Bóbr. Oddział był wymusztrowany nie gorzej niż kompania honorowa. Stanął w dwuszeręgu, powtarzał za majorem:

– W obliczu Boga ukrzyżowanego i Najświętszej Panny Marii, Królowej Korony Polskiej, przysięgam na ten krzyż do ostatniej kropli krwi bronić wiary i ziemi ojczystej przed zakusami każdego wroga i bez szemrania spełniać wszelkie związane z tym rozkazy. Tak mi dopomóż Bóg”⁷³.

I to była jego idea: „bronić wiary i ziemi”. Mikołajek pisze, że w Topolówce [Bobrowa?], działała bojówka GL, potem też AK – składająca się z kilkunastu chłopaków. W jego utworach pojawiają się tylko ich imiona czy pseudonimy: Kuba, Izydor, Paweł, Benek, a także nauczyciel o pseudonimie „Szary”.

Mikołajek, który wstąpił do bobrowskiego oddziału AK świetnie znał środowisko akowców więc opisywał nie tylko akcje zbrojne, ale codzienne obozowe życie, scenki rodzajowe, a także przeżycia wewnętrzne, myśli i uczucia „leśnych” chłopców. Ukazywał rodzące się przyjaźnie, poczucie solidarności i współodpowiedzialności, dojrzewanie i świadomość działania, ale także nawarstwiające się zmęczenie, wątpliwości i lęki. Lektura jego utworów przywołuje tamten straszny czas i przybliża dramaty młodych ludzi.

Cykaniec wspomina: „Były szarugi, jesienne przymrozki [...]. Prawie każdy dzień to potyczka [...]. Było ciężko, ale miałem wtedy w sobie wielką radość. Dzisiaj jej nie ma”⁷⁴.

A Natan dodaje: „Dopiero czwarta pora roku upływa mi w lesie [...]. Zdaje mi się, że jestem tu od urodzenia i będę do końca życia. Że nic więcej nie było i nie będzie. Zawsze tylko osmalone przez wiatr pyski, mróz, deszcz albo upał. Czasem trochę strzelaniny i wiotkie rozmachy rąk tych, którzy kończą swój bieg [...]. Chciałbym wiedzieć, dlaczego to wszystko się dzieje, po co, komu to potrzebne. Chciałbym wierzyć, że to zbawi naród albo uleczy ludzi z choroby wojny”⁷⁵.

Na nastroje młodych partyzantów wpływała uciążliwość codziennego leśnego życia. „Deszcze zaczęły się na dobre. Nigdzie nie było schronienia przed wilgocią. Lasy tonęły w oparach zimnej mgły. Za nami krążyła obława, oddział był w ciągłym ruchu. Maszerowaliśmy leśnymi drogami. Wszyscy bez przerwy kaszleli. Kaszlała tyraliera, strażę, wartownicy i szperacze. Nogi gniły nam między palcami ale wieś, która udzieliłaby schronienia, musiałaby

spłonąć [...]. Odzież sztywniejac ocierała ciała. Pasy uciskały biodra. Nikomu nie udało się zaświecić zapałki. Ale szliśmy⁷⁶.

Niekiedy najważniejsze okazywały się koce do otulenia zmarzniętego, zmoczonego deszczem ciała i wódka kojąca bóle i poprawiająca humory.

Stefan Dąbski z oddziału dywersyjnego na Rzeszowszczyźnie wspomina: „Nikt na świecie nie umiał się tak bawić, jak nasza brać partyzancka. Jedzenia to może i nieraz brakowało, ale wódki nigdy⁷⁷. Ogrzewała, stępiała bóle, przynosiła kojący sen.

Niekiedy potrafili nawet z siebie żartować. Gdy Mikołajkowi bohaterowie zdobyli magazyn z bielizną, cieszyli się jak dzieci:

„Tomek znów walił kijem w menażkę:

– Uwaga, baczość! Będziemy świadkami historycznej chwili. Podporucznik Senny będzie oblekał czyste gacie.

Senny wciągnął je z powagą, zapiął.

– Melduję posłusznie – gotów!

– Dziękuję wam w imieniu służby dla narodu⁷⁸.

A Izydor kpił ze swojego wyglądu: „Cholera, co ten mój ojciec myślał [...]. Kto widział partyzantowi przyklejać takie nogi? Nie mógł się jeszcze trochę przyłożyć i całego zrobić mnie na glanc? Czy ta robota taka niemiła?⁷⁹. I dodawał: „Po wojnie, człowieku, najpierw zeżrę trzy kilo słoniny, żeby się raz na całe życie najeść czegoś dobrego, a potem będę spał. Ale tak, że tercjarki, zamiast do Częstochowy oglądać cud, będą przyjeżdżały patrzeć na mnie⁸⁰.

Najczęściej jednak ci młodzi, zwyczajni chłopcy skrycie cierpieli, odczuwali strach i samotność i marzyli o domu, a gdy mogli, choć na krótką chwilę wracali do swych rodzin – tak jak bohater powieści „Żegnajcie chłopcy” – choć takie powroty były bardzo niebezpieczne. „Należało pojechać do matki. Postanowiłem, że zrobię to rano. Zobaczę wieś, towarzyszy z konspiracji, matka popłacze się z radości. Pewnie zaraz da na mszę, jak to nieraz robiła na moją intencję⁸¹. Tęsknili też za miłością, za dziewczynami, które zostawili, pragnęli – jak wszyscy – bliskości i czułości.

Cykaniec wspomina: „Szedłem przez późną wilgotną już jesień na spotkanie czegoś, co będzie w zwykłych ludzkich wymiarach i właśnie dlatego da mi spokój. Miałem zamiar oświadczyć się. Tułając się po lasach i dziurach, prowadząc za sobą zawszonych ludzi, będę wiedział, że gdzieś tam istnieje ktoś, kto należy tylko do mnie⁸².

Niestety, bardzo się rozczarował, bo rodzice Inki – dziewczyny poznanej w leśniczówce, gdzie leczono go, znalezionej po jednej z akcji; ранnego i nieprzytomnego – przyjęli go bardzo chłodno. Niewiele o nim zresztą wiedzieli; nie mógł i nie chciał o tym opowiadać.

„W czasie okupacji obowiązywały członków AK surowe przepisy konspiracyjne. Nie wolno było prowadzić żadnych zapisów, notatek czy też pa-

miętników. Nie wolno było fotografować członków AK, a nawet ich przyjaciół i kolegów. Jednym słowem nie wolno było pozostawiać żadnych śladów życia zbiorowego, które mogłyby naprowadzić nieprzyjaciela na działalność konspiracyjną. Tam, gdzie odstąpiono od tej zasady, a były takie przypadki w powiecie dębickim, drogo zapłaciliśmy za tę lekkomyślność. W ten sposób straciło życie kilkunastu nieocenionych towarzyszy broni⁸³.

Niestety, zdarzały się też donosy. W 1944 roku na skutek takiego donosu na działania akowców NKWD i milicja z Nagoszyna aresztowała 32 partyzantów z Mokrego. Wywieziono ich w głąb ZSRR, skąd nigdy nie wrócili. Donosy doprowadziły też do przeprowadzania pacyfikacji w wielu miejscowościach, w tym w wiosce mojego dzieciństwa.

W czasie partyzanckich akcji śmierć zbierała obfite żniwo, a w zagajnikach i na polankach leśnych pojawiały się płytkie mogiły, które szybko zarastały trawą i różnymi chaszczami.

„Przeważnie chłopcy, którzy ginęli w większej odległości od oddziału, byli zostawiani lub – o ile pozwalały na to warunki – zakopywani na miejscu [...]. Chowało się ich w samej bieliźnie, bo ubranie oddawało się często koledze, który nie miał w czym chodzić. O trumnie czy Mszy świętej nawet mowy nie było⁸⁴.”

Zdarzało się też tak, że umierającego kolegę trzeba było dobić, by nie dostał się w ręce nacierających Niemców. Mikołajek opisuje jedną z akcji na przejeżdżające szosą niemieckie ciężarówki, którą dowodził Cykaniec, a w której został ciężko ranny Heniek: „Podeszliśmy do niego. Umierał między pierwszymi drzewami. Jedną kulę dostał w ucho, dwie przebiły płuca. Leżąc na brzuchu unosił się na łokcie, zalepione oczy zwracał na mnie i mruzczał coś urywanym głosem. Ktoś pospiesznie rozwijał bandaż.

– Nie ma Heńka – Karp wyprostował się powoli. Umierający zabulgotał niezrozumiale, próbował wyżej unieść głowę; ręce rozbiegły mu się na boki, przytulił policzek do śniegu, na którym włosy leżały rozsypaną miotełką. Karp odbezpieczył pistolet, przekładał go z ręki do ręki, jakby parzył mu dłonie.

– Chyba nie będziemy czekać aż dojdzie. Po co ma się męczyć – powiedział to głosem, w którym odczułem i mękę umierającego, i jego własną.

– Zabierzemy – powiedziałem.

Heniek przecząco potrząsnął głową, we włosach iskrzył się śnieg. Sucho trzasnął strzał, znów zasepleniły suche igiełki sosen. Tężał czerwony śnieg. Chłopcy rozchodzili się powoli⁸⁵.

W takich chwilach było najtrudniej; brak było kogoś bliskiego, kto rozproszyłby czarne myśli, odsunął dręczący widok śmierci, ukoił serce, przepędził zwątpienie. Bolała rzeczywistość, uwierała codzienność: „Zawsze był tylko las, czasem wiejskie chałupy. Obwieszane bronią postacie w łachmanach, wysmagane przez wiatr twarze. Zdziczały smutek i świerzb, na który nie pomagały kupowane w aptekach maście i płyny⁸⁶.”

Cykaniec dalej wspominał: „Po bezdrożach, przebijając się przez zasy krążyliśmy wokół ekspedycji [...]. Forsowne marsze wymęczyły oddział, zdarzały się też pierwsze odmrożenia – nie zawsze na postojach paliliśmy ogniska. Chłopcy wychudli, szczenieli, wszystkich gryzły wszy”⁸⁷.

Ale niektórzy najgorsze przeżycia mieli jeszcze przed sobą. Cykaniec wpadł w ręce gestapo, gdy postanowił odwiedzić ojca. Ze związanymi do tyłu rękami był brutalnie przesłuchiwany: „Zaraz sobie zatańczysz – zdję mi buty i wpędzili na potłuczone szkło. Musieli stłoczyć się koło mnie, bo odbijany chwiałem się na wszystkie strony. Już nie wiedziałem, czy jest to klucie stóp, czy całego ciała. Usłyszałem muzykę, dźwięki bulgotały jak w wielkim kotle. Nie należałem do siebie; uniesiony do góry przez wiele rąk i na powrót wbity stopami w podłogę. Szeroko otworzyłem oczy zdziwiony, że nikogo nie widzę. Usłyszałem śmiech i nagle zobaczyłem wiele twarzy.

– No ruszaj się. Co, nie lubisz polki? – tłusty siedział na krześle i kłaskał.

Kłucia już nie czułem, ale nogi zgięły mi się w kolanach i upadłem na klęczki. Podnieśli, położyli na biurku. Za każdym uderzeniem głowa podskakiwała mi do góry. Widziałem, jak za oknem trzepocą suche strączki akacji”⁸⁸.

Cykaniec był przesłuchiwany przez wiele dni, ale nie wydał nikogo. Skazany na rozstrzelanie, szczęśliwie uciekł z miejsca egzekucji w parku i wrócił do leśnego oddziału. Ale nie wszyscy mieli tyle szczęścia.

Niekiedy podczas spotkań rodzinnych czy towarzyskich w wiosce mojego dzieciństwa, gdy kolejne „kuścyczki” rozgrzewały serca, usypiały czujność i rozbudzały odwagę, ktoś nagle rzucał jakieś słowo nawiązujące do wojennej przeszłości, jakieś dziwne hasło, które w mig zapalało ogniki w oczach wtajemniczonych. Ktoś – dotąd milczący – zaczął wspominać wojenne chwile używając zapomnianego na co dzień i niezrozumiałego dla nas, dzieci – języka konspiracji.

Takim właśnie językiem – barwnym, bogatym, charakterystycznym dla „leśnych” – posługują się bohaterowie Mikołajka.

Określenia rodzajów broni to: nagan, kłamka, czwórka, rura, sprężyna, kosa [nóż], zabawka, gnat, jajeczko [granat].

Szczególnie barwne i dosadne są określenia sposobów walki i rodzajów wojennej śmierci: cyknąć serię, prysnąć serią, zmieść seryjką, plunąć serią, dopaść, gruchnąć z kabeka, pruć seriami, wyrąbać, rozwalić, rąbnać, stuknąć, trzasnąć kogoś, trzepnąć, rozłupać, utłuc, dogodzić komuś, wyprostować kogoś, dziurawić z karabinu, przedziurawić kogoś, pocałować lufę nagana, skończyć przedstawienie, zabawić się bezpiecznikiem, szczeknąć bezpiecznikiem, strugać kulami, zatłuc, zgruntować kogoś, przerobić kogoś, zarobić czapę, rozwalić, skończyć zabawę, ukończyć bieg, oprawić kogoś do sześciu desek, posadzić na kimś niezapominajki, dać komuś światłość wiekiustą, podłożyć zabawkę, nakryć się kopytami, kupić śmierć, dostać parę gramów, mieć z brzucha kamizelkę, zgasać.

Określenia leśnych młokosów to: szczyl, prawiczek, mamlas, klej, cepek, burek, lalusz, chłoptyś, bidota, ciołek, kmiotek, buc; a doświadczonych: kosa, ojczulek.

Określenia dziewczyn to: sarenka, kozica, delikates, binia, dziunia, ździ-
ra, razówka.

Określenia dotyczące picia wódki i rodzajów alkoholu: szarpnąć stakań-
czyk, przewrócić jednego, ćmaga, samogon, bimber.

Inne charakterystyczne powiedzonka „leśnych”: wyciągnąć się z portek [stanąć na baczność], kusza [pysk], rozpipczyć oddział, wyżyłować się, zabez-
pieczyć się jajeczkiem, z daleka czuć ich spluwą, stawać na ostatnich nogach, podwinąć kite, terminować u Bozi, machnąć [uderzyć], zapalić komuś ogień na pysku, wymacać [wywiedzieć się], przykutasić [złapać, zaaresztować], upalić kilometr [przejść], kikować [patrzyć z ukrycia, śledzić, patrolować], przetrzepany przez życie, robić komuś placuszki młotkiem [bić młotkiem przy przesłuchaniu], zrobić kojkę [zrobić posłanie], wyglądać jak śmierć na chorągwi, strugać cyrk, zapaskudzić sobie parafię, cackać się, zakurzyć [za-
palić papierosa], ruchawka, skubnąć dziewczynę [poderwać], podrygiwać na ostatnich nogach, kółeczko [okrążenie], skopać po oczach, poczkować [po-
pilnować], czekać na parę gramów, strugi pocisków, klaskały kaemy, seria szczypała cegły, strzelanina szyła noce.

Marian Morawczyński, oceniając język utworów Mikołajka, podkreśla jego wartość, polegającą na wiernym odtworzeniu słownictwa młodzieży uczestniczącej w akcjach bojowych, którym przecież autor „Tryptyku na śniegu” sam się posługiwał: „Autentyzm ludzkich faktów, także autentyzm języka sprawił, że słownictwo [...] jest jędrne, jurne, nieraz ordynarne”⁸⁹. Wiele z tych oryginalnych słów i wyrażeń na stałe weszło również do codziennego języka mieszkańców wioski mojego dzieciństwa.

Nagle wspomnienia z niedawnego czasu wojny kończyły się głośnymi westchnieniami. W ciepłej izbie, choć za oknem hulała kurniawa, było spokojnie, miło i bezpiecznie. Wokół stołu krążył kieliszek.

Po każdym „stakanku” samogonki coraz bardziej rozwiązywały się języ-
ki. Rosła odwaga, ochota i hardość. Ktoś nagle wzdychał:

– Ech, gdyby tak teraz mieć taki pistolet!...

Jeden z sąsiadów przyznawał się, że swoją „klamkę” zakopał w stawku, znajdującym się naprzeciw tzw. przełazku obok domu Ciecieręgów i Wilczyńskich; jeszcze tuż po wojnie będącym siedliskiem gęsi i kaczek, tapla-
jących się w pokrytej zieloną rzęsą wodzie, ale coraz bardziej zarastającym trzciną, tatarakiem, różnym zielskiem, a w końcu całkiem zasypanym. Inny wspominał, że swój pistolet schował w stodole „na boncie”, ale ten szybko zardzewiał; zresztą nie miał do niego naboju, więc wyrzucił w go Olszynach, ktoś inny, że utopił w nurtach Wisłoki, czego teraz żałuje, bo to byłaby cenna

pamiątka. Nikt się nie dziwił tym zachowaniom. Zaraz po wojnie jej uczestnicy najczęściej chcieli odciąć się od przeszłości, zacząć naprawdę żyć, realizować marzenia; zresztą za przechowywanie broni groziły srogie kary. Kto dziś wie, ile miejsc zapomnianych w wiosce mojego dzieciństwa i w okolicy kryje jeszcze tajemnice tamtych lat?

Bluszcz, wracając do lasu po zabiciu Czajki, przypomina sobie plakaty o zapluty chłopcach reakcji: „Był już mglisty dzień; żołnierze i ubowcy kończyli przetrząsać wieś [...]. Na słupie płotu dojrzałem drukowane obwieszczenie, nie większe od kartki z zeszytu. Posiadanie broni będzie karane śmiercią – tyle zdążyłem odczytać. Spomiędzy stodół wyszło kilku żołnierzy. Prowadzili na wpół ubranego chłopaka. Jeden niósł za nim niemiecki karabin [...]. Widziałem zmięte bezsennością twarze żołnierzy i tego chłopaka. Opalona o białym czole. Wyglądała jak przepołowiona i podobnie przepołowione były ukazujące się na niej uczucia; junactwo i wyraz proszącego strachu.

– Wiem, znaleźliście zatknięty za strzechę [...]. Nadal utrzymywał się ten powszechny za czasów okupacji sposób chowania broni. Żołnierze przeważnie byli ze wsi, wiedzieli, gdzie szukać”⁹⁰.

Tymczasem gospodyni dokładała nowe kanapki, rósł gwar rozmów, niektórzy zaczynali coś nucić pod nosem, aż w końcu wyrwała się z czyjejś piersi nostalgiczna piosenka partyzancka, a po niej znów następowało wymowne milczenie...

„Dziś do ciebie przyjść nie mogę, zaraz idę w nocy mrok,
Nie wyglądaj za mną oknem, w mgle utonie próżno wzrok.
Po co ci kochanie wiedzieć, że do lasu idę spać,
Dłużej tu nie mogę siedzieć, na mnie czeka leśna brać”.

To nagłe milczenie malowało się boleścią na twarzach, bo choć upływający czas ma dar znieczulania, wystarczyło jakieś jedno wspomnienie, które otwierało na nowo niby już zabliznione rany. Te tak skomplikowane, tak często tragiczne losy młodych ludzi zaplątanych w machinę wojny wciąż sprawiały, że przeżyte koszmary wracały – na jawie i w snach; tak ciężko było milczeć w poczuciu klęski tego, w co się wierzyło i za co chciało się oddać młode życie.

Narrator powieści Mikołajka pt. „Żarówka” mówi o bohaterze Ryszardzie Romanku – byłym akowcu: „Gdy nachodziło go wspomnienie jakiejś sceny z dawnego życia – milkł. Znów nie rozumiał, co się wokół dzieje”⁹¹.

Również inny Mikołajkowy bohater – Jasyr „nie wierząc w Boga, modlił się wiele nocy, aby jego syn przez całe swoje życie nie wziął broni do rąk” [...]. Jasyr miał rację, że czas przeszedł w czas, który nie może należeć do nich. Czy powinien się tego wstydzić? Dokonało się to przecież bez udziału ich świadomej woli. Jakkolwiek najpierw działali zgodnie z wymogami czasu, później wbrew. Mimo to chcąc czy nie chcąc, dokładali swoją część do tego czasu, który nie był już ich [...]. Czy należało tego żałować? Ustalił już

przecież, że akurat na tyle go starczyło, taka przypadła mu rola. Wielka i zarazem maleńka. Zagrał ją, jak umiał”⁹².

Postacie z utworów Mikołajka – chłopaki z krwi i kości, jak chłopaki z Bobrowej i innych okolicznych wiosek serca mieli odważne, ręce wyrwyjące się do broni, a dusze szlachetne i naturę refleksyjną, która nie pozwalała zapomnieć. Autor mówi np. o Sokole: „Widać było po jego twarzy, że mając osiemnaście lat, poczuł się tak stary i znużony, jakby wojował zabijając nie trzy lata, lecz miliony, jakby zabijał od czasów, kiedy powstał świat”⁹³.

Niektórzy recenzenci książek Mikołajka zarzucają mu, że pokazał swoich bohaterów jako prostych chłopaków ze wsi, którzy byli „partyzantami z konieczności, a nie z ideowego wyboru [...], którzy nie traktują udziału w walce jako posłannictwa, jako aktu uwznioślającego, jako aktu duchowej nobilitacji”⁹⁴.

Marian Morawczyński nie zgadza się z tą tezą. Taka ocena – pisze – „nie przystoi tym chłopcom z drużyny Mikołajka, którzy w końcu wszyscy wiedzieli o akcji „Burza”, a większość z nich była już uczniami nowo zorganizowanej Szkoły Mechanicznej w Dębicy, w której także była szeroko rozwinięta konspiracja i dywersja”⁹⁵. Autor „Ślepych gwiazd” przekonuje, że do przemycenia własnych poglądów byli mu „potrzebni [...] bohaterowie prości, o nieskomplikowanym umyśle i psychice”⁹⁶. Nazywa nawet taki zabieg „tkaniem dymnej zasłony”⁹⁷.

Gdy styczniowy wieczór swym czarnym woalem otulał zimowy pejzaż wioski mojego dzieciństwa, w ludowcu zaczynała się noworoczna zabawa.

„Ludowiec” zbudowano przed wojną [w 1928 roku] z inicjatywy młodzieży bobrowskiej, choć niektórzy mieszkańcy niechętnie patrzyli na to przyszłe „miejsce zgorszenia” i odmawiali pomocy.

Bronisław Harla wspomina: „Nie była to taka prosta sprawa, bo do budowy tego domu przystąpiła tylko połowa mieszkańców Bobrowej. Od początku do końca tej budowy najwięcej pracy włożył wójt Bobrowej, Tomasz Osak. Straż Pożarna też dużo pomogła. W nocy, jako strażacy, wykopaliśmy fundamenty, dużo większe, aniżeli Rada Wiejska wyznaczyła w planie. I tak już pozostało. Dużą pomoc okazał nam Antoni Darłak z Żyrakowa. On dzierżawił prawo polowania na terenie Bobrowej i czynsz dzierżawny płacił cegłą, bo miał cegielnię. [...] Dom stanął, choć z wielkim trudem. I przydał się niedługo, bo w nim ulokowano mleczarnię”⁹⁸.

W 1943 roku mleczarnię zlikwidowano, a w 1944 roku na jej miejscu powstała piekarnia chleba dla radzieckich oddziałów wojskowych. Po wojnie zdewastowany budynek musiał być gruntownie wyremontowany i przystosowany do nowych celów. Wkrótce jego część zajęła Gromadzka Rada Narodowa i sklep. Ale pozostała dla młodzieży duża sala, w której odbywały się spotkania, zabawy, występy teatralne i zabawy taneczne.

A zabawy taneczne w ludowcu zawsze cieszyły się dużym powodzeniem. Pod ścianą na rozstawionych tam ławkach rozsiadały się gospodynie okutane w jakieś płaszcze i chustki, bo do ogrzania sali musiała wystarczyć początkowo żelazna koza, czyli prosty piecyk z rurą wypuszczaną na zewnątrz, a później kaflowy piec, też dający niewiele ciepła. Przyglądały się z życzliwością tańczącym, wspominając własną młodość i komentując zachowania dziewczyn i chłopaków. Mężczyźni oblegali bufet z piwem, a na środku sali wirowały rozgrzane tańcem pary aż złote pyłki kurzu wzbijały się pod powałą. Przez otwierane co chwilę drzwi wdzierała się do środka styczniowa zadymka, tu – w tym mikroświatku, gdzie królował taniec i skoczna muzyka – zupełnie niegroźna.

Do tańca przygrywała kapela złożona z kilku muzykantów, a czasem – w przypadku potańcówki – sam akordeonista. W wiosce mojego dzieciństwa przez wiele lat działała kapela „Jarosów”. Grali w niej trzej bracia Jarosowie: Kazimierz na skrzypcach, mój ojciec Józef – na klawirze lub na saksofonie i Stanisław na akordeonie oraz ich kolega z Dębiny Julian Partacz jako bębniarz. Czasem dołączał też klawirzysta „Lypur” z Podola, lub harmonista „Mazurek” z Bobrowej. Jak piszą autorzy „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas”: „Jarose” z Bobrowej grający na weselach, festynach i dożynkach [...] tworzyli jedną z najlepszych kapel w okolicy”⁹⁹.

Gdy zabawa rozkręcała się na dobre, a kurz kłębiący się w powietrzu stawał się zbyt gęsty, gryzł w oczy i drażnił nosy, przerywano tańce i któryś z organizatorów przynosił wiadro wody, kropił nią obficie podłogowe deski, a potem zamykał brzoźową miotłą zalegające podłogę kurz i błoto. I znów zabawa zaczynała się na nowo, znów ludowiec wypełniał się muzyką, śmiechem i tańcem. Dźwięki skocznych melodii przenikały przez ściany „ludówki” aż na zasypany śniegiem gościniec. Daleko niosły się głośne śmiechy i wesołe rozmowy. Chłopcy zawijali dziewczynami coraz szybciej, coraz zapamiętałej, aż krople potu spływały im po czole. Po chwili już zdejmowali marynarki, podwijali rękawy koszul, a na ich plecach i pod pachami wykwiły mokre plamy.

Paweł z powieści „Żegnajcie chłopcy” wspomina jedną z takich zabaw tuż po wojnie: „Grała muzyka [...]. Na chwilę przystanął, kołyszając się razem z drzewem. Nikt nie powinien go widzieć z Tadkiem, poza tym na zabawie mogły być chłopaki z Urzędu i milicji [...]. Zaczynał w Narodowych Siłach zbrojnych, wyzwolenie zastało go w Armii Ludowej. Ranny w czasie przechodzenia przez front nie mógł wstąpić do wojska [...]. Ukryty za węglem ciemnej chałupy palił papierosa, słuchając muzyki. Po godzinie orkiestra zagrała mocniej niż zwykle, był to już marsz. Głosy niosły się w obie strony wsi”¹⁰⁰.

Dla niedawnych akowców – takich, jak bohaterowie Mikołajka – tużpowojenny czas był tak samo tragiczny jak wojna.

Jasyr – wciąż pozostający w lesie – wspomina sytuację, gdy otrzymał rozkaz wykonania wyroku śmierci na młodym milicjancie. Jeniec szedł, nie odzywając się. „Obydwie decyzje chybały się we mnie jak na rozhuśtanych szalach wagi. W jednej sekundzie byłem pewny, że zabiję, w następnej gotów byłem przysięgać, że nigdy [...]. Doszliśmy do przydrożnego rowu; jeniec potknął się. Odruchowo nacisnąłem spust, upadł jakby od tego potknięcia. A ja stałem zdziwiony i zasłuchany w echo serii. Zabiłem nie z wyboru decyzji, ale tym ślepym nawykiem, który tkwił we mnie, nawykiem leśnego, osaczono-ego zwierzęcia, reagującego na każdy ruch”¹⁰¹.

A Paweł z „Żegnajcie chłopcy”, który się ujawnił, opowiedział się po stronie nowego porządku politycznego i wstąpił do wojska, jest wciąż pełen rozterek i wątpliwości:

„Inaczej miało wyglądać życie; jak wezbrana woda. Okazuje się, że rwie-my do czegoś, a przychodzi zupełnie co innego. Co z sobą zrobić? [...] Nie wiem, nic nie wiem. I z niczego nie umiem się cieszyć. Chociaż wojna się skończyła, ja żyję, jestem oficerem, mam kilka krzyży i kupę medali”¹⁰³.

Bo Pawłowi wciąż przeszkadzała owa niedawna akowska przeszłość; był „elementem niepewnym klasowo i politycznie”, ciągle obserwowanym i sprawdzanym, dlatego żył niepokodzony z sobą i światem: „Widziałem to wszystko, było takie samo jak zawsze, a przecież nie chciałem i nie mogłem tam wrócić. Wydawało mi się, że dzisiaj nie potrafiłbym już po dawnemu patrzeć, jak kłosa chyla się na wietrze, na lasy i wsie, na białe od żaru horyzonty, i czerpać z tego spokój [...]. Byłem jak zielona łąka, w której ktoś przeorał czarną bruzdę i ta bruzda psuła całą zieloność. Nie mogłem się uwolnić od wrażenia, że jestem jakiś skażony i już nigdy nie będę taki sam jak przedtem”¹⁰⁴.

Tymczasem dni styczniowe mijały powoli; mroźne i śnieżne. Królowa-ła zima. Trzymał tęgi mróz. W długie, zimowe wieczory i noce, gdy ciężkie od śniegowych chmur niebo przybierało kolor ciemnego granatu, gdy na-chodziły ponure myśli, straszne wspomnienia, niepokojące strachy, wtedy chciało się być razem. Schodzili się więc po domach sąsiedzi i w łagodnym kręgu lampy gwarzyli popalając skręty lub „sporty” wkładane do szklanej fif-ki. Opowiadali różne historie, „polytykowały” i wspominali wojenne lata. Do uszu zasypiających w ciepłej, przytulnej kuchni dzieciaków docierały frag-menty tych rozmów i mrozących krew w żyłach opowieści.

– Gospodyni – dejże jeszcze po kuśtycku – prosił ktoś i po chwili znów krą-żył wokół stołu mały kieliszek z upędzonym potajemnie samogonkiem.

Każdy z mężczyzn, któremu gospodarz nalewał – zawsze do pełna – wy-pijał jednym haustem do dna krzepiący napój, a następnie, starannie wy-trzasnąwszy na podłogę ostatnią kropelkę, przekazywał kieliszek kolejnemu kompanowi. Taki był odwieczny rytuał, co potwierdza Mikołajek w „Zamy-

kaniu koła”: „Synuniu [...] postawił na stole butelkę wódki, nalał do jednego kieliszka. – Twoje! – strząsnął resztki na podłogę, nalał dla Lina”¹⁰⁵.

Nikt nie odmawiał. Takim zachowaniem uczestnik wspólnej biesiady dawał odczuć, że jest swój, że można mu ufać, że przynależy do gromady. Natomiast niepijący zawsze budził podejrzenia. I było tak, jak w starej śpiewce:

„Pije Kuba do Jakuba, Jakub do Michała.

Pijesz ty, pije ja, kompanija cała.

A kto nie wypije, tego we dwa kije...”

Kieliszek krążył wokół raz po raz, dopóki we „flaszecce” nie pokazało się dno, wyznaczając czas powrotu do domów.

Wraz z ubywaniem rozweselającego trunku ożywały rozmowy, robiło się coraz bardziej swojsko i nastrojowo. W czasie takich wieczornych spotkań wujek Kazek sięgał po swoje skrzypczki, które kochał nad życie, pielęgnował, „glancował”, z którymi prawie się nie rozstawał i których nigdy nie odstępował nikomu – i zaczynał grać tak pięknie, tak rzewnie i lirycznie, że nawet najtwardszym mężczyznom szklily się oczy i topniały serca. Była w tych melodiach jakaś tęsknota i żal, tkliwość i lament, jakieś wołania, jęki i szlochy. W skrzypcowe melodie wkradały się bowiem nuty bolesne, zatrute, skłaniające do zadumy i refleksji. Wszyscy milkli, tylko czysty głos skrzypiec niósł się daleko, przenikając ogacone liśćmi ściany naszego domu, by ulecieć, gdzieś, hen – w otchłanie czarnej nocy.

Ale okazywanie słabości było w wiosce mojego dzieciństwa czymś niemęskim, wstydliwym. Dlatego któryś z sąsiadów przerywał tę niezwykłą chwilę, która budziła w każdym słuchającym inne – skrywane głęboko sekrety i wspomnienia.

– Ej! Zagrałybyście coś wesołego!

I wtedy natychmiast skrzypczki ożywały, zmieniały tony i wionęła z nich melodia żwawa i piękna, a tak wszystkim dobrze znana: „To jest Ameryka, to słynne USA”... Na dźwięk tej bardzo popularnej, lubianej piosenki ojciec podrywał się ze stołka, wyciągał z futerału saksofon, na którym migotliwe światło lampy kładło złociste blaski, i dołączał do grającego brata, a skoczne melodie śmigały jak wiosenne skowronki aż pod obłoki zimowego nieba. I było tak pięknie i ciepło, i swojsko, i bezpiecznie.

Taka muzyka na żywo była ogromnie ważnym elementem tużpowojennej codzienności, a i teraz pojawia się jeszcze czasem w snach... A na pogrzebie wujka ksiądz, sprawujący żałobne obrzędy, wyraził nadzieję, że na pewno tam w niebie, uwolniony od trosk codzienności, znów gra – jak zawsze – chętnie i pięknie, wtórując anielskim chórom. Słuchając więc wówczas pogrzebnych dzwonów, spoglądaliśmy w niebo z nadzieją, że w ich żałosny ton wplotą się dźwięki tej jego ulubionej melodii: „Tu jest Ameryka...”

Zawsze w styczniu odbywały się we wszystkich domach nagoskiej parafii duszpasterskie wizyty proboszcza Fijała, zwane kolędą. Terminy wizyty były podawane w niedzielę po Mszy świętej w czasie ogłoszeń, tak samo jak informacje dotyczące planowanych ślubów, różnych uroczystości, składek, podejmowanych inicjatyw czy nabożeństw stanowych. Te ostatnie odbywały się w poszczególne niedziele miesiąca; kolejno – dla zamężnych kobiet, mężczyzn, panien i kawalerów. Proboszcz grzmiał z kazalnicy, gdy zostawało na nie mało osób, a w czasie ich trwania napiętnował niewłaściwe zachowania, zbyt swobodny ubiór, małą religijność, pijaństwo i inne grzechy.

„Kolędowanie” księdza do wszystkich domów w parafii było dla mieszkańców czymś niezwykle ważnym. Na ten dzień sprzątało się pięknie dom, na stole – na bielutkim, wykrochmalonym, sztywnym jak karta papieru obrusie kładło się krucyfiks, najładniejszy talerzyk na święconą wodę, świeczkę w lichtarzyku i świerkową gałązkę pełniącą rolę kropidła. Wszyscy domownicy, wystrojeni w odświętne ubrania, w napięciu oczekiwali dostojnego gościa. Dzieciaki wybiegały na gościniec patrzeć, czy nie nadchodzą poprzedzający księdza: ministranci, kościelny i organista. Przywoził ich wszystkich do Bobrowej których z właścicieli najpiękniejszych sań i najdorodniejszych koni. Najpierw chłopcy w białych komeżkach, ubranych na ciepłe kurteczki, wpadali rozchichotani do kolejnych domów i przytupując butami przed progiem, żeby strząsnąć oblepione śniegiem podeszwy, biegli wprost pod piec, by ogrzać zgrabiące ręce. Czasem dawali się namówić na troszkę ciepłego mleka i po chwili znów spieszyli dalej, ściskając w garści zdobyczny grosik. Za nimi, stąpając powoli, przychodził kościelny Józef Grzyb. Ten starszy, sympatyczny mężczyzna, zawsze witał gospodarzy tą samą wesołą pastorałką:

„Przylecieli aniołkowie jak ptaszkowie z nieba

I śpiewali dziecięczie wesoło jak trzeba.

Hojże, hojże, Panie Jezu, hojże, hojże, hoc, hoc,

Chodziliśmy, budziliśmy pastuszków całą noc”.

Kościelny po kilku chwilach rozmowy wychodził z ofiarowanym datkiem, a za nim, na koniec, przybywał ksiądz proboszcz z organistą; starym już i trochę utykającym, ale pełnym werwy, niosącym pojemnik ze święconą wodą, której parę kropel gospodyni wylewała na przygotowany talerzyk.

Po uroczystym powitaniu i odmówieniu odpowiednich modłów zakończonych podaniem domownikom do pocałowania krucyfiksu i po pokropieniu izby święconą wodą, proboszcz zasiadał na najwygodniejszym krześle ustawionym na środku izby i przywoływał do siebie trochę strwożone dzieci. Te małe brał na kolana, serdecznie do nich przemawiał i dawał im parę cukierków, a starszym przeglądał zeszyty do religii, czasem kazał zmówić pacierz, dopytywał o wyniki w nauce i o posłuszeństwo wobec rodziców. Na koniec znów obdarowywał pysznymi czekoladowymi cukierkami, na które zawsze czekaliśmy.

Po jego wyjściu natychmiast rozwijaliśmy tę słodkość z szeleszczącego papierka, wkładaliśmy cukierek do buzi i czekaliśmy, aż czekoladowa otoczka rozpuści się na języku, by odsłonić pyszną grylażową masę. Proboszcz Fijał zostawiał też zawsze na pamiątkę kolędy święty obrazek, który później pełnił rolę zakładki w książeczce do modlenia.

Dłużej niż z dziećmiakami dostoyny gość rozmawiał z dorosłymi. Sprawdział w swoim grubym notesie oprawnym w skórę stan liczebny rodziny, dopisywał imiona nowo narodzonych dzieci, wykreślał ze swego rejestru osoby zmarłe, pytał o zdrowie, o stosunki w rodzinie, o gospodarstwo, rozmawiał o radościach i smutkach, o kłopotach i planach na przyszłość. Potrafił dostrzec zafrasowane miny, niepewne spojrzenia, ostre rysy zmienione chorobą. Wypytywał, doradzał, pocieszał. Jego rady, napomnienia i przestrogi brano sobie naprawdę do serca, bo był niepospolitym człowiekiem i kapłanem cieszącym się wielkim autorytetem. Sam żył bardzo skromnie, a datki otrzymane w czasie kolędy przeznaczal na potrzeby kościoła, a także na wspomaganie potrzebujących.

Gdy do swojego kajecika z zadowoleniem wpisał moją najmłodszą siostrę Marysię, powiedział ojcu, że liczy na kolejne dzieci, więc na razie stawia przecinek po jej imieniu. Wtedy jednak rodzice zdecydowanie polecili postawić kropkę.

Zimowy pejzaż był piękny, choć daleki od sielanki. Mrozy dawały się wszystkim we znaki, śniegi wciąż zasypywały domy, drogi, podwórka i pola, a lodowaty wiatr zginał skrzypiące od zimna drzewa. Ludzie poruszali się w tunelach wyrytych w śniegu, którego wciąż przybywało. Z dachów zwisały długie, ostre, lodowe sople, urzekające nas groźnym pięknem, które czasem – ku oburzeniu rodziców – odrywaliśmy, by polizać zamrożniętą, orzeźwiająca wodę. Wracaliśmy całą gromadą ze szkoły, zgadując, co będzie na obiad. Za rzeczką rozciągała się wielka śnieżna pustynia, ogromne płatki śniegu wirowały w powietrzu, po czym przyklejały się do twarzy, osiadały na ubraniach, na zasnutych lekką mgiełką, oszronionych płotach, drzewach i polach. Raziła oczy biel śnieżnego puchu, znaczona tylko tropami ptaków i zajęcy, uporczywy wiatr przenikał przez nasze paletka, buty grzęzły w świeżo nawianych zaspach, kostniały zmarzniete ręce dzierżące teczki pełne książek i zeszytów. Zdążaliśmy jednak do domów wśród śmiechu i gwaru, całą gromadą – radośni i beztroscy – mimo wszechobecnej biedy, burczących z głodu brzuchów i zasypywanej kopnym śniegiem ścieżki. Przewracaliśmy się w zasy i zjeżdżaliśmy, podkładając teczki, z najmniejszego nawet pagórka; m.in. „mknęliśmy” od przełazku po dróżkę wiodącą obok domu Harłów, ślizgaliśmy się na najkrótszej nawet zamrożniętej kałuży, biliśmy się śnieżkami i na nieskażonej bieli odciskaliśmy piękne kształty aniołów, kładąc się na plecach i zakreślając półkola rozłożonymi rękami. Codziennie też umawialiśmy się na ślizgawkę, nie wiedząc do końca, czy rodzice na to pozwolą.

– Pamiętaj, przyjdź.

– Może...

– Morze jest dalekie i głębokie – odpowiadało się zawsze, choć tak naprawdę to o prawdziwym morzu – jak i o wielu rzeczach i zjawiskach świata – niewiele wiedzieliśmy. Nikt z nas morza nie widział, chyba tylko na obrazku. Dlatego z wielką uwagą słuchaliśmy opowieści nowego kolegi Wieśka, który pewnego dnia zawitał do naszej klasy. Był sierotą. Pomiedzy pobytami

w domach dziecka i u różnych krewnych mieszkał jakiś czas u jednej z cioć w wiosce mojego dzieciństwa. Mógł wtedy odwiedzać nagoski cmentarz, gdzie znajduje się grób jego mamy.

On widział morze; co więcej – chwalił się, że zostanie marynarzem jak jego starszy brat, czym bardzo imponował, zwłaszcza chłopakom. Z jego opowieści wyłaniał się obraz rozszalałych morskich żywiołów; groźnych, tajemniczych, ale przepięknych. Był to obraz bardzo ubarwiony, niemal fantastyczny, fascynujący i oddziałujący na naszą dziecięcą wyobraźnię. Sami nigdy dotąd nie mogliśmy poczuć gorącego piasku na plaży, nie znaleźliśmy smaku słonej, morskiej wody, nie widzieliśmy bezmiarów wód, białych grzyw na falach czy grozy morskiej nawałnicy. Dlatego, wracając razem ze szkoły do domów, zazdrościliśmy Wieškowi, ale też wierzyliśmy, że kiedyś i my zakosztujemy wspaniałych, morskich przygód.

A gdy tylko zjedliśmy obiad, po pośpiesznym odrobieniu zadań wybiegaliśmy na dwór, by cieszyć się zimą. Mało kto miał sanki, a łyżew i nart nie mieliśmy wcale. Dopiero później chłopaki zaczęli sobie konstruować okropne, ordynarne łyżwy poprzyczepiane do butów jakimiś rzemykami czy potworkowate narty z wymoczonych i wygiętych desek, czym strasznie szpanowali, budząc respekt i podziw maluchów.

Dzieciarnia umiała sobie organizować wspaniałe zabawy na śniegu.

Obok kuźni przy ścieżce wiodącej na „przełazek” naprzeciw domu Skrzypków był mały stawek pełen rzęsy, tataraku i sitowia, oczywiście zamarzający zimą. Tu mieliśmy naturalne lodowisko, na którym „siurgaliśmy się” aż do zmroku, by w całkiem przemoczonych trzewikach i skarpetach wrócić do domu i dzielnie znieść gderanie mam układających buciory i ubrania do wysuszenia na piecu. Na tej ślizgawce – zwanej u nas też „lygawom” – chłopaki zrobili pewnej zimy specyficzny „kierot” urozmaicający i przyśpieszający ślizganie.

Chyba ten właśnie stawek wspomina bohater Mikołajka – Lin, uczestniczący w zabawie w nowo wybudowanym Domu Strażaka, gdy pisze, że wraz z kolegą „wyszli nad porośniętą tatarakiem sadzawkę”¹. Obok była kuźnia. Dziś – niestety – nie ma śladu ani tego uroczego stawku, ani kuźni.

Podczas krótkich lutowych popołudni zjeżdżało się też z najmniejszych górerek „na byle czym”; na desce, teczce szkolnej, a najczęściej na własnej pupie, co kończyło się kolejną burą rodziców. Ale – oczywiście – ten „zakazany proceder” niszczący teczki i ubrania trwał, bo mało kto miał prawdziwe sanki.

Pewnego dnia, wracając z „Zenówki”, zjeżdżaliśmy – jak co dzień – z mostu obok domu Lipów do ledwo zamarzniętej rzeczki. Za którymś razem kruchy lód się załamał, a amator zimowej jazdy wylądował w lodowatej wodzie wraz z teczką. Na szczęście rodzice niezbyt interesowali się naszym szkolnym rynsztunkiem. Teczka ów pechowiec szybko zaniósł do swej babci, a ona „konspiracyjnie” wysuszyła w „brandurze” całą jej zawartość: zeszyty, książki, kredki,

a także przemoczone ubranie. Wprawdzie szkolny ekwipunek nie odzyskał dawnej urody, ale jakoś dalej służył. I skończyło się wszystko tylko katarem, któremu można było łatwo zaradzić, wycierając nos w rękaw kurtki, a „kater” i tak towarzyszył przecież prawie wszystkim dzieciom przez całą zimę.

Wieczorem siadaliśmy w kręgu lampy i jeszcze raz przeżywaliśmy ślizgawkowe przygody czytając w „Świerszczyku” wierszyki o dziecięcych zimowych zabawach:

„Ślizga się już Michałek,
Kto nie chce niech nie wierzy,
Szust – i jedzie kawałek,
Bęc – i na lodzie leży”.

W te dni, gdy światem gnała śnieżna zamieć i musieliśmy pozostać w izbach, włączaliśmy też radio, by słuchać audycji uczących wesołych, dziecięcych piosenek. Powtarzaliśmy za radiowym chórkim: „Już od wczoraj ślizgawka gotowa, tylko przypiąć łyżewki i mknąć”, „Pomyśl Janku o bałwanku, przecież śnieg na dworze”, czy „Śniegu całe mieszki, chodź się bawić w śnieżki” – a nasze dziecięce serca wyrwały się na mróz, na śnieg, na ślizgawkę. Czekaliśmy tylko końca zamieci i znów wybiegaliśmy na dwór.

W sąsiadującej ze ślizgawką kuźni zawsze panował ruch. Przychodzili tu gospodarze, by naprawić jakieś narzędzie niezbędne w gospodarstwie czy podkuć konia, ale też aby pogadać o polityce czy o innych ważnych sprawach. Bo kuźnia nie tylko była miejscem pracy, ale też ważnym miejscem rozmów na najbardziej dręczące tematy. Kowale byli postaciami cieszącymi się dużym poważaniem, tak jak i inni rzemieślnicy wiejscy: m.in. kołodzieje zwani stelmachami – robiący i naprawiający konne wozy, czy rymarze wykonujący chomąta, lejce i inne wyroby ze skóry. „Złotą rączką” w tym fachu był Edward Prucnal, który naprawiał rozwory, sworznie, orczyki i różne przedmioty gospodarskie. Chcąc wejść do jego izby mieszkalnej, przechodziło się przez pomieszczenie pełne rozmaitych narzędzi, którymi dokonywał napraw.

Popularnością cieszyli się też ślusarze, masarze, krawcowe, bednarze, zduni, cieśle i stolarze czy szewcy reperujący buty; a wszyscy starali się wykonywać swą pracę solidnie i starannie, by zaspokoić niezbędne potrzeby mieszkańców całej wioski. Wszyscy bowiem wiedzieli, że byli sobie nawzajem potrzebni, a że we wsi zazwyczaj było kilku specjalistów danego fachu, trzeba było też liczyć się z konkurencją. Pracowali – tak jak bohaterowie wierszyka ze szkolnej czytanki – „dla wspólnej korzyści i dla dobra wspólnego” nawet nocami, co znalazło wyraz w popularnej, żartobliwej piosence ludowej. Dziewczyna oznajmia mamie:

„Nie chce, nie pójde, nie chce ślusorza.
Bo ten ślusorz robi kluce,
we dnie w nocy wciąż się tuce”.

Niektórzy rzemieślnicy bobrowscy byli prawdziwymi mistrzami w swoim fachu, jak np. kowale: Władysław Łączak, Kazimierz Ćwik, Władysław Borkowski. Także inni rzemieślnicy zapisali się w życzliwej pamięci mieszkańców Bobrowej, jak np. Władysław Węgrzyn – łączący umiejętności stolarskie i ciesielskie, tak potrzebne przy wznoszeniu nowych domów w wiosce mojego dzieciństwa, „Dolcok” [Stanisław Dolczak] wykonujący piękne chomąta, czy szewc Stanisław Miler, o którym śpiewaliśmy słowami znanej piosenki: „Miler Stach szewcem był, pantofelki piękne szył i o szóstej punkt, młotkiem w buty tłukł”. Wprawdzie zamiast „pantofelków pięknych” wyrabiał on na specjalnych drewnianych „kopytach” dość toporne trzewiki „na miare” z juchtowej, grubej skóry, a najczęściej – uzbrojony w „śpilor”, szewski „motek”, grubaśną igłę i dratwę, czyli grubą nić nasączoną smołą – zszywał stare, rozłazące się buciska, przylepiał starte zelówki, podbijał dziurawe podeszwy, przymocowywał przyszczyпки, by jakoś jeszcze uratować zanożone mu wysłużone obuwie, które niejedną już przeszło drogę. Również popularnym „mistrzem szydła i dratwy” był Stanisław Piszczek czy mieszkający na końcu wsi Władysław Kolis. Świetnym stolarzem, kontynuującym tradycję rodzinną był mój dziadek Michał Bacher, spędzający w swym warsztacie prawie całe dnie. Pewnego razu zrobił dla mamy praktyczny „wózek” do przędzenia wełny, a nam śliczną klatkę dla kanarka, który tak był oswojony, że jadł z ręki, a czasami – wypuszczony – latał swobodnie po izbie. Ale przede wszystkim nasz kanarek pięknie śpiewał, najczęściej wtórując pogwizdywaniom ojca. Swym srebrzystym głosikiem i żółciutkim kolorem ożywiał i rozweselał cały dom, szczególnie w ponure zimowe i jesienne dni.

Dużą popularnością wśród mieszkańców cieszyli się też wikliniarze wykonujący z wikliny – której pełno rosło w wiosce mojego dzieciństwa – wagi wozów, stoliki, krzesła, umywalki, dziecięce wózki, chodziki, koszyki, „łopołki” i wiele innych użytkowych przedmiotów.

Wszyscy bobrowianie parający się rzemiosłem mieli też po kawałku ziemi i małą gospodarkę, w której wytwarzali podstawowe produkty żywnościowe.

Idąc do szkoły na „Zenówkę”, mijaliśmy kuźnię, w której zawsze panował duży ruch; kręcili się tam różni mężczyźni, parskały konie, buchał żar paleniska, stękał kowalski miech, dudniły ciężkie młoty. Żyłasty kowal – o czerwonej, rozgrzanej żarem paleniska twarzy, na której tkwiły kościane okulary i o wielkich jak bochny chleba dłoniach – uwijał się sprytnie po ciasnym wnętrzu. Wszyscy go szanowali, bo znał się doskonale na swej robocie. Odziany w skórzany fartuch chwycił obcęgami rozżarzone do białości kawałki żelaza, które wkładał szybko do wody, gdzie stygły przybierając szarawy kolor. Woda syczała, kłęby pary wypełniały okopcone wnętrze, a kowal życzliwie uśmiechał się do podglądających jego pracę dzieci. W książce „Ocalić wspomnienia – zachować czas” czytamy:

„Kowal miał status najważniejszego rzemieślnika w każdej wsi. Kowale [...] mieli wielkie poważanie [...], oni w magiczny sposób z niekształtnej bryły za pomocą tajemniczych procesów oraz ognia i silnych uderzeń tworzą cenne i trwałe elementy codziennego użytku np. narzędzia rolnicze, okucia do drzwi, skrzyń, kraty, zawiasy, siekiery. Rzemieślnicy ci umieli też okuć wóz na użytek gospodarza, okuć konia [...]. Kuźnie zawsze tętniły życiem”². Kowale czy ślusarze pełnili też bardzo ważną rolę w czasie wojny.

Leopold Harla pisze: „Gwardziści z Bobrowej dysponowali początkowo tylko kilkoma karabinami zachowanymi z kampanii wrześniowej. Amunicji było jak na lekarstwo. Przy tym broń stara lub zdobyta w walce często nie nadawała się do użytku, wymagała naprawy, usunięcia uszkodzeń, dorobienia brakujących części [...]. Kowalem, który bobrowskim gwardzistom oddał nieocenione usługi przy naprawie broni był Władysław Łączak. Rzecz jest tym godniejsza podkreślenia, że Łączak nie był związany z PPR-em i Gwardią. Po prostu służył sprawie”³.

„Uczniem szkoły mechanicznej, który w czasie nauki w szkole dorabiał tam części do karabinów i pistoletów oraz przerabiał amunicję, był „gwardzista Jan Skowron”⁴.

Bobrowscy rzemieślnicy mieli dusze artystów. Na nagoskim cmentarzu do dziś możemy oglądać kute krzyże i daszki wykonane przez tych prawdziwych mistrzów. Mistrzem był też malarz – samouk Feliks Mazur, wykonujący obrazy świętych i kompozycje tematyczne do kościoła. Takich rzemieślników – artystów było wielu w całej okolicy. Na wspomnienie zasługują np. Jan Sak i Franciszek Sikora z Żyrakowa, którzy zrekonstruowali uszkodzoną w czasie wojny figurę Zmartwychwstałego Chrystusa, znajdującą się w żyrakowskim kościele, uzupełniając precyzyjnie Jego brakującą rękę wniesioną w górę w geście błogosławieństwa.

Niestety, wiele z profesji funkcjonujących tuż po wojnie odeszło już do historii. Władza ludowa nie ceniła rzemieślników, uprzykrzała im życie, niszczyła „inicjatywę prywatną”.

W wiosce mojego dzieciństwa byli też chłopci, którzy specjalizowali się w jakimś jednym rodzaju hodowli: krów, świń, kur czy koni. W naszej klasie był Wiesiek, którego ojciec – jak cała rodzina Zimów – zajmował się handlem koni. Wiesiek najwcześniej z nas czuł się dorosłym; pomagał ojcu, był od nas na pewno dojrzałszy i bardziej doświadczony. To on pierwszy przyszedł do szkoły z niesforną grzywką zaczesaną do tyłu, którą bez przerwy poprawiał, by odpowiednio stała, czyniąc go starszym.

Handel końmi był bardzo popularnym zajęciem w mojej wiosce. Ciekawy opis „rytuału” przeprowadzania transakcji handlowej znajdujemy w opowiadaniu Mikołajka „Sielanka”. Emil, budząc się rano, zobaczył, że „pod szopą gryzły siano dwie obce chabety. Wiedziałem: przyjechał Stach Kikut, kamrat

ojca ze wszystkich wojen i handlarz koni”⁵. Ich spotkania zawsze przebiegały jednakowo: częstowano się wódką, oglądano dokładnie każde zwierzę, po czym – po wielu utarczkach i dysputach – kupowano lub zamieniano konie, co nieraz trwało cały dzień ku niezadowoleniu matki: „Targowali się zajadle. Prali się w czarne dłonie, odskakowali, żeby za chwilę znów przybijać. Targowali się z prawdziwą przyjemnością. Bo chłop lubi się targować.

– Tak jest! – krzyczał Kikut [...]. Dobijamy i będzie litkup”⁶.

Bobrowianie mówili: „lytku” i pieczętowali handel kolejną butelką bimbru.

Młodzi chłopcy, chcąc wyuczyć się fachu, terminowali u starszych rzemieślników. Termin trwał kilka lat. W tym czasie adept do danego zawodu przyglądał się pracy, poznawał jej tajniki, ale przede wszystkim pełnił różne funkcje pomocnicze i usługowe. Majster po troszeczkę przekazywał mu wiedzę nie spiesząc się, by u jego boku nie wyrósł zbyt szybko młody konkurent. Oczywiście rodzice ucznia opłacali jego naukę i godzili się na wszystkie warunki, mając nadzieję, że po usamodzielnieniu ich syn „się odkuje” – jak mawiano. Ale duża ilość bobrowskiej młodzieży chciała się uczyć w szkołach średnich, tam zdobywać różne zawody, a potem robić kariery. Sprzyjała temu nowa powojenna sytuacja.

Leopold Harla pisze: „W 1945 roku trwa nabór ochotników do wojskowych szkół oficerskich. Koło ZWM prowadzi w tym kierunku agitację. ZWM-owcy dają przykład i zgłaszają się jako pierwsi: Jan Skowron, Bronisław Dziurgot, Bolesław Wiącek. Idą także Bolesław Mikołajek, Stanisław Sak, Czesław Fila, Kazimierz Bugaj, Bronisław Sak i inni. Inni w tym czasie wstępują do Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej, aby strzec porządku i spokoju mieszkańców: Stanisław Adamowicz, Jan Ziobro, Czesław Harla, Jan Osak, Kazimierz Dadel [...] oraz Marian Janora, Adam Gałka, Stanisław Książek, Stanisław Trojan”⁷.

Wielu bobrowian wyjechało po wojnie do pracy do różnych miast, gdzie kontynuowali naukę, zostawali inżynierami, nauczycielami, specjalistami w różnych dziedzinach. Lin wspomina, jak w czasie jednego z powrotów do rodzinnej wsi spotkał dawnych kolegów: „Lin skręcił do sklepu. Zaraz za nim wszedł bardzo wysoki i bardzo szczupły mężczyzna w mundurze kapitana żegluga wielkiej – oczywiście Staszek Cień.

– I ciebie przywiało? – zapytał Lin. – Jak żyjesz?

– Sam jako tako, gorzej z kacem. Patrzysz, że chodzę w mundurze? [...] W dzień chodzę w portkach ojca, dzieci całej wsi mają uciechę, wyglądam jak w trzyćwierciówkach. Pamiętasz, jak to zawsze szyli nam, albo kupowali na wyrost. No to co, chyba nie odmówisz? – Staszek wskazał winiak na półce.

– Troszeczkę. Jak ci się wiedzie na tych morzach?

– Normalnie. Kiedy pływasz, to ta chałupka, ta wieś, kurze i gęsie gówno na każdym kroku urastają razem ze swym smrodem do najważniejszego miejsca we wszechświecie”⁸.

Już pod koniec stycznia zauważaliśmy wydłużanie się dnia, gdy o poranku – czekając na śniadanie, składające się najczęściej z pajdy chleba z masłem i świeżo wydojonego mleka lub zabiłonej kawy „Dobrzyńki” pachnącej cykorią – spoglądaliśmy na świat przez okno, na którym zakwitły przez noc szkliste, fantazyjne kwiaty mrozu. Cieszyliśmy się, że święta Agnieszka, już wypuściła „z mieszka” ptaszki, które rozpoczęły swe loty ku naszym polom, lasom i wioskom. A choć wiedzieliśmy, że z dalekiej Afryki, gdzie zazwyczaj zimowały, mają bardzo daleką drogę, to przecież każdy dzień przybliżał czas ich powrotu.

Niektóre popołudnia, gdy za oknami szalała kurniawa, spędzaliśmy u blisko mieszkających kolegów czy koleżanek, plotkując lub grając w karty. Robiliśmy je z kartoników wyciętych z tekturowych pudełek po papierosach. Czarną i czerwoną kredką malowaliśmy na nich figury odwzorowywane z prawdziwych, kupowanych w sklepie kart, które rodzice chowali w szufladzie „nakasłyków”. I choć nasze postacie karcianych królów, dam, waletów nie zawsze były okazami urody to gra bywała i tak wspaniała, a czasami tak zacięta, że nie ustępowała grze dorosłych.

Nastoletnie dziewczyny i chłopaki bawili się w grę zwaną towarzyskim flirtem. Na kilkunastu luźnych kartkach znajdowały się ponumerowane cytaty, pytania, odpowiedzi, złote myśli, komplementy i inne króciutkie teksty dotyczące miłości. Każdy gracz otrzymywał taką samą ilość wylosowanych karteczek, a potem uczestnicy wymieniali się nimi, podając danej osobie tylko numer jakiejś informacji. Ta osoba powinna odpowiedzieć tekstem z jednej ze swoich kartek. Zabawa odbywała się w milczeniu, a toczące się w ten sposób „dialogi” bywały absurdalne, często śmieszne; czasem jednak udawało się wyrazić poprzez nie prawdziwe, skrywane uczucie. Ale my, dzieciaki – graliśmy w wojnę lub w tysiąca.

Zaraz na początku lutego przypadało Święto Matki Boskiej Gromnicznej, które kończyło okres świąteczny: czas choinek, Bożych żłóbków, kolęd i szopek. Można było wynieść, porąbać i spalić wyschnięte już drzewko, schować głęboko w szafie choinkowe ozdoby, podzielić sprawiedliwie i pozjadać nieliczne, zachowane jeszcze – rozmiękłe cukierki oraz orzechy, które wyłuskiwało się ze sreberek i rozbijało młotkiem. Trzeba też było zrobić porządki: powycierać kurze, uprzątnąć opadłe igiełki świerkowe i niepotrzebne papierki po słodyczach.

Niekiedy – przy odwilży – pojawiały się już na wierzbowych gałązkach pierwsze, maleńkie, rachityczne pączki, budzące tęsknotę za wiosną, które przynosiliśmy do domów na bukiety. Ale zazwyczaj wkrótce znów przychodziła fala mrozów czy śnieżyc i zima wzmagająca się na dobre.

Bo luty zazwyczaj bardzo dawał się wszystkim we znaki. „Idzie luty, podkuj buty” – mówiono. I jeszcze długo – zamiast znanego widoku z okna – witały nas przedziwne, czarodziejskie wzory pokrywające szyby; fantazyjne liście i kwiaty malowane grubą, białą kreską przez siarczysty mróz. Dotknięte ciepłym oddechem, rozstępowały się tworząc mały otvorek, przez który można było zobaczyć świat skuty lodem, zawiany nocną zamięcią, pokryty skrzącym się w zimnym słońcu śniegiem. Wokół panowała niema pustka. Tylko gdzieś tam przemykał jakiś opatulony człowiek odwalający ścieżynkę do studni lub do stajni, albo już wracał pospiesznym, dźwigając w zgrabiałych rękach rozchlapującą się, lodowatą wodę.

Lutowe święto Matki Boskiej – dawniej nazywane Świętem Oczyszczenia Najświętszej Panny Marii a obecnie Świętem Ofiarowania Pańskiego – miało upamiętniać przybycie Maryi do świątyni, by po porodzie, w geście oczyszczenia, mogła złożyć na ofiarę parę synogarlic i ofiarować Bogu swe dzieciątko – „Światło Świata”. Wśród mieszkańców wioski mojego dzieciństwa najpopularniejsza jednak była nazwa: Święto Matki Bożej Gromnicznej. To przecież Ona sprowadziła na ziemię niebiańskie Światło – Jezusa i tym Światłem obdarza wciąż wszystkich ludzi, i strzeże od nieszczęść i kataklizmów. Stąd pochodzi zwyczaj poświęcania i zapalania w tym dniu woskowych gromnic.

Na Gromniczną pogoda była nieprzewidywalna. Niekiedy mróz dawał się mocno we znaki, a niekiedy nadchodziła fala ciepła, roztopów i nieśmiałego słońeczka. Wrócono z tej pogody zgodnie z powiedzeniem: „Na Gromniczną mróz, ładuj [szykuj] chłopie wóz, na Gromniczną roztajanie, ładuj chłopie sanie”. Mówiono też: „Gdy w Gromniczną z dachu ciecze, wiosna jeszcze się odwlecz”. Ponieważ ta wróżba najczęściej się spełniała, pragnęliśmy w tym dniu ostrego mrozu, bo chcieliśmy już rychłej wiosny. W Gromniczną szliśmy okutani do kościoła, chowając ręce w uszytych przez nasze mamy ciepłutkich muflach z króliczych futerek, by święcić wysokie, odlewane z pszczelego wosku gromnice, przybrane białą wstążeczką i zieloną gałązką mirtu. Zapalone w czasie kościelnej uroczystości migotały pomarańczowym blaskiem, a woskowe krople skapywały na ręce, parząc nam palce i tworząc niewielkie, miękkie kulki, gładkie i plastyczne, ale szybko bielejące i twardniejące w zimnym powietrzu. Zajęci świecami, niezbyt słuchaliśmy półgodzinnego kazania głoszonego przez proboszcza z wysokiej, ozdobnej kazalnicy przykrytej białą serwetą.

Ksiądz spoglądający na lud Boży z wysoka wyglądał dostojnie, a jego głos brzmiał donośnie i uroczyście. Po kazaniu organista intonował jakąś pieśń Maryjną, a proboszcz szedł po składce z tacą w ręce, poprzedzany przez kościelnego niosącego zapaloną świecę. Wszyscy rozstępowali się i wrzucali na tacę przygotowany pieniążek, a głośnie „Bóg zapłać” wplatało się między słowa pieśni.

Śpiewana Msza święta – jak zwykle – trwała długo; co najmniej półtorej godziny, a kończyła się adoracją Najświętszego Sakramentu i licznymi ogłoszeniami.

Poświęcone świece nieśliśmy do domów nabożnie, bo miały chronić przed burzami, nieszczęściami i być duchową pomocą umierającym, którym wkładano je do rąk w ostatniej godzinie życia. Podobno dawniej, po przyniesieniu gromnicy z kościoła wypalano jej ogniem krzyżyk na „stragarzu” lub nad drzwiami, ale ten zwyczaj powoli zanikał.

Umieszczona wraz z poświęconą palmą pod świętym obrazem gromnica była zapalana i stawiana w oknie w czasie burz, bo – jak wskazuje jej nazwa – chroniła od gromów i nawałnic.

W czasie takich gwałtownych, groźnych burz zwracano się też do Maryi z błaganem: „Pod Twoją obronę uciekamy się święta Boża Rodzicielko...”

Babcie opowiadały nam starą legendę związaną z Matką Boską Gromniczną, a mówiącą o Maryi, która ratowała ludzi przed wilkami, skradającymi się zimowymi nocami pod wiejskie domostwa. W niektórych domach były nawet małe obrazki ukazujące Matkę Bożą odstraszać płomieniem świecy watahę zgłodniałych wilków, szczerzących groźnie kły.

Luty był czasem, gdy wilki niekiedy rzeczywiście na przyleśnych terenach podchodziły pod ludzkie siedziby w poszukiwaniu pożywienia. Opowiadano o nich różne, krwawe historie. Bano się ich, więc powierzano się opiece Maryi, co właśnie wyrażały te obrazy. Były bardzo sugestywne. Scenerię stanowił nocny, zimowy pejzaż: zaśnieżone, uśpione chaty, gwiazdziste, granatowe niebo, jakiś drewniany, rozwalający się płot, nie zabezpieczający przed wilkami. Maryja w białej, przejrzystej i zwiewnej szacie, jakby utkanej ze śnieżnej mgły, zapaloną świecą omiata mrok i powstrzymuje wygłodzoną watahę.

Taki groźny, nastrojowy obraz przemawiał mocno do naszej wyobraźni i serc.

Znaliśmy również pouczającą legendę o Matce Bożej, za którą szedł groźny wilk. Szukali go właśnie chłopci, bo czynił w wiosce wielkie szkody, napadając na gospodarskie zwierzęta. Ale Maryja ukryła go pod swą szatą, a ludziom poleciła poszukać wilka w swoich sercach. Gdy chłopci odeszli, nakazała wilkowi, by nie czynił szkód tam, gdzie palą się gromniczne świece. Starsi ludzie mówili też, że Matka Boża bierze pod swą szczególną opiekę te sieroty, których matki umierały z zapaloną gromnicą w ręku. Wierzyliśmy w tę niezwykłą moc poświęconej świecy, więc chętnie czciliśmy to święto. Czuliśmy, że potrzebujemy tego światła z ręki Maryi, by pokonując zagrażające nam duchy ciemności iść w jej blasku przez trudne dni życia.

A dnie stawały się coraz dłuższe i pierwsze przedwiosenne powiewy niosły nadzieję. Na płotach zaczęło pojawiać się pranie, bo przecież: „Po świętej

Dorocie schną chusty na płocie”. Organizowano też ostatnie przed Wielkim Postem zabawy taneczne w ludowcu, a po domach „wyskubki”.

Darcie pierza zaczynało się już jesienią, po oskubaniu gęsi, gdy nastawały długie, ciemne wieczory. A gęsi było zawsze w wiosce mojego dzieciństwa – tak jak i w całej okolicy – bardzo dużo; dawały smaczne mięso i pierze, były łatwe do hodowania, można było wykorzystywać w kuchni ich jajka, albo sprzedawać dorosłe już ptaki na „jarmaku” w Dębicy. Nikt nawet nie wyobrażał sobie jakiegoś podwórka bez białego, gęgającego stadka. Szerokie, gromadzkie pastwiska ciągnące się tuż za zabudowaniami – zwane „wsią” były świetnym miejscem wypasu, a płynąca wzdłuż wsi rzeczka służyła jako miejsce wodopoju i kąpieli. Gdy po izbie u jednej z sąsiadek biegały nowo wyklute żółciutkie gąsięta, jej córeczka Helcia łapała te puszyste „pilusie” i śpiewała im popularną ludową piosenkę:

„Hulala, hulala, gąski moje, hulala, hulala do domu,
opowiem wam troski moje, lecz nie mówcie nikomu”.

Dzięki rozpowszechnionej hodowli tego drobiu, pierza gęsiego było w każdym domu bardzo dużo, a że jego skubanie było zajęciem nudnym i żmudnym, organizowano wspólne wieczory u kolejnych sąsiadek. Jak w Reymontowskich Lipcach prządki, tak w wiosce mojego dzieciństwa „skubiorki” zbierały się co wieczór w którymś z domów pod lampą wokół stołu, na którym piętrzyła się góra pierza, a do której gospodyni dokładała wciąż nowe garście białych piórek.

Należało mieć do tego zajęcia odpowiednią odzież i akcesoria. Zakładało się chustkę zasłaniającą włosy, fartuszek z kieszonką, by schować klucz do domu, bo wracało się czasem bardzo późno, gdy domownicy już spali i przetak, który kładło się „na podołku”. Biorąc do ręki garstkę piór trzeba było ostrożnie chwycić każde z nich i ściskając zręcznie między palcami, odrywać lekuchny puch. I tak po kolei – tysiące piórek – aż stół był czysty, a gospodyni dziękowała i zapraszała na kolejny wieczór. Oczywiście tę żmudną pracę wykonywały tylko kobiety. Mężczyźni zazwyczaj znikali wtedy z domu. A dla młodych chłopaków była to okazja do robienia różnych psikusów, do spotkania upatrzonej dziewczyny, a nawet do „zaliczania się”, szczególnie podczas drogi powrotnej do domu.

Niekiedy chłopaki wpadali nagle do izby, robiąc takie zamieszanie, że wyłożone na stole pióra nagle zrywały się w powietrze białą chmurą aż pod powałę, a potem opadały miękko wirując wokoło i zaścielając całą izbę. Ale nikt się nie gniewał, bo takie były zwyczaje.

W czasie tych cowieczornych spotkań było zazwyczaj bardzo wesoło. Ruchoe cienie kładły się po kątach, filowała naftowa lampa zawieszona nad stołem, migały zręczne ręce. Gdy już opowiedziano sobie wszystkie najnowsze plotki, obgadano nielubianych sąsiadów, wyżalono się na kiepskie czasy,

na zły los, na choroby i na swoich mężczyzn, przychodził czas na śpiewanie. Najczęściej jedna ze „skubiorek” najpierw nieśmiało, potem coraz głośniej zaczynała nucić, a wkrótce podejmowały melodię pozostałe kobiety i zaraz rzewne i skoczne piosenki niosły się aż poza progi zagubionych w śniegu chat. Śpiewano przyśpiewki ludowe, te zasłyszane w radiu i te grane na weselach i zabawach. Najczęściej były to piosenki polskie, ale lubiano też dawne rosyjskie i nowe radzieckie utwory – najczęściej piękne i wzruszające: „Serce”, „Kalinka”, „Hej sokoły”, „Bradiaga”, „Katusza” itp. Bo przecież, jak pisze Jerzy Antczak: „Zniewolenie i komunistyczna śruba nie przekładały się na nienawiść do rosyjskiej muzyki i rosyjskich piosenek z gatunku „Sierce, tiebie nie хочzietsa pokoja”, albo „Ech, kalinka, kalinka, kalinka maja” nie mówiąc o dziesiątkach innych duszoszczipatielnych numerach”⁹.

Na zakończenie wieczornych „posiadów” w każdym domu organizowano „wyskubek”. Było to uroczyste przyjęcie, najczęściej z muzyką. Gospodyni stawiała na stole placek własnej roboty, jakieś kanapki z kawałkiem wędliny, kiszonym ogórkiem i kapką musztardy, a także buteleczkę samogonki wyprodukowanej w domu lub wino ze „skrabidupy”, czyli z owoców dzikiej róży. Zaproszony grajek; najczęściej harmonista – też ugoszczony przez gospodynię – zaczynał wygrywać różne, skoczne melodie. Zaraz pojawiali się chłopcy, zawsze chętni do spotkań towarzyskich i tańców. Wesoła impreza trwała nieraz długo w noc. W końcu żegnano się, by na drugi dzień znów zacząć skubanie w kolejnym domu.

Zdarzały się też podczas „wyskubków” – gdy wypito zbyt dużo gorzałki – różne incydenty. Jeden z nich – mający miejsce w domu Jana Dula nazywanego „Tu-Dulem” – wspomina Bronisław Harla: „W trakcie zabawy jacyś tam kawalerowie zaczęli się dzirmać”, tj. bić. Wybili okna, rozbili drzwi. Powstała z tego piosenka:

„U Tu-Dula jest wyskubek,
U Tu-Dula wielki zgiełk.
U Tu-Dula goście bawią.
Tu-Dul śpiewa: jożem pieł.
U Tu-Dula biją okna,
U Tu-Dula łamią drzwi.
U Tu-Dula dzieci płaczą.
Dul nie słyszy. Tu-Dul śpi”¹⁰.

Zimową porą organizowano też przedstawienia teatralne w ludowcu, które cieszyły się ogromnym powodzeniem wśród mieszkańców.

Tradycja teatralna w wiosce mojego dzieciństwa sięga lat dwudziestych XX wieku, gdy Bronisław Harla i Karol Mazur z Dębiny postanowili urządzić jasełka. Kupili w Dębicy książkę Lucjana Rydla: „Betlejem polskie”, rozpisali role, wyszukali bobrowskich ochotników-aktorów i rozpoczęli próby. Przy

wykonywaniu kostiumów, rekwizytów i charakteryzacji pomagały córki ówczesnego kierownika szkoły Zygmunta Babczyna: Emilia i Stanisława.

Bronisław Harla – grający rolę Heroda – wspomina: „Sukces, jaki odniosło nasze przedstawienie, przeszedł najśmielsze oczekiwania [...]. Nie tylko młodzi, ale także starzy ludzie przyszli na te jasełka, bo czegoś takiego nigdy w życiu nie widzieli. Od tego czasu nastąpił we wsi zwrot na lepsze [...]. Przygotowywaliśmy i odgrywaliśmy coraz to nowe sztuki: „Chata za wsią”, „Zemsta” Fredry, „Walkowe kochanie” i inne. Wyjeżdżaliśmy z przedstawieniami także do sąsiednich wsi”¹¹. I tak np. sztukę „Gwiazda Syberii” bobrowski zespół grał w wiosce mojego dzieciństwa, w Woli Bobrowskiej, a nawet w Lubczy – rodzinnej wsi Klemensa Trojana.

Bronisław Harla wspomina, że „obecni na tym przedstawieniu widzowie płakali”¹².

Piękną tradycję bobrowskiego teatru amatorskiego kontynuowano również po wojnie.

Leopold Harla pisze: „Szczególną sławę bobrowskiemu kołu ZMW i kołu „Wici” przynosi ponad 30-osobowy zespół artystyczny, który, obok występów we własnej wsi, wyjeżdża wielokrotnie do sąsiednich miejscowości, jest zapraszany do Dębicy, występuje w Rzeszowie”¹³.

W latach 60-tych „zespół wziął nawet udział w ogólnopolskim konkursie „Wieś bliżej teatru” i wygrał projektor, dzięki temu w Domu Ludowym w Bobrowej wyświetlano filmy”¹⁴. Leopold Harla pisze dalej: „Początkowo ZWM i ZMW prowadzą odrębne zespoły, które podobnie jak ich macierzyste organizacje ostro z sobą rywalizują, a nawet wzajemnie się bojkotują. Wspólny zespół powstaje w 1947 roku, gdy pomiędzy obydwoma kołami ustępuje do tychczasowa niechęć, a jej miejsce zajmuje atmosfera zgody i współpracy”¹⁵.

Wioskowi aktorzy w ciągu wielu lat swej działalności wystawiali różne sztuki przeznaczone dla dorosłych, ale my, dzieci – zawsze towarzyszyliśmy rodzicom; tym bardziej, że grali w nich sami znajomi: Zyta Harla, Janina Wójcik, Aleksander Bacher, Tadeusz Bacher, Aleksander Marzec, Bronisław Harla, Eugeniusz Skowron, Jan Skowron, Józef Skowron, Tytus Wilczyński. Choć niewiele zazwyczaj rozumieliśmy, ale z wielką uwagą śledziliśmy akcję, traktując wydarzenia dziejące się na scenie jako realną rzeczywistość, która na długo zostawała w naszej pamięci. Głośno płakałam, gdy w czasie jednego ze spektakli został zabity bohater grany przez Aleksandra Bachera i mówiłam, że raczej powinni zabić dziadka, a nie wujka, który jest jeszcze taki młody!

Dorośli w czasie wspólnych spotkań często komentowali grę aktorów, wspominali dowcipne teksty, jak ten ze „Ślubów panieńskich”, gdy piękna Aniela i Klara przysięgały „nienawidzić ród męski, nigdy nie być żoną”, czy śmieszną piosenkę, którą śpiewano podczas jednego z przedstawień:

„Matusz moja, deściez mi jom, bo wom zęby powybijom,
powybijom, powyşturchom, łozenie się z waszom córkom”.

Spośród wielu spektakli wystawianych w wiosce mojego dzieciństwa na najwyższe wyróżnienie zasługuje „Skąpiec” Moliera, a w nim świetnie zagrała postać Harpagona, w którą wcielił się Tytus Wilczyński. Równie wspaniale, wręcz brawurowo zagrała rolę Frozyny w tym spektaklu Zyta Harla, która zresztą święciła też tryumfy m.in. w pięknie, z rozmachem wystawionej sztuce według powieści Józefa Kraszewskiego „Chata za wsią”. Grali w niej też: Janina Wójcik, Celina Harla, Józef Węgrzyn, Aleksander Marzec i wielu innych bobrowskich aktorów. Szlify aktorskie niektórzy chłopcy zdobywali na deskach teatryku zorganizowanego w Technikum Mechanicznym, do którego uczęszczali. W „Ocalić wspomnienia – zachować czas” znajdują się zdjęcia z wystawienia w 1947 roku w „Mechaniku” dramatu Juliusza Słowackiego pt. „Mazepa”, w którym główne role kreowali chłopaki z Bobrowej: „Aleksander Bacher jako Mazepa, Eugeniusz Skowron – Wojewoda i Edward Piękoś – lokaj”¹⁶.

Lutowe dni były jeszcze krótkie i bardzo mroźne, ale życie toczyło się swoim utartym torem. Dużo czasu spędzano w domach, słuchano radia, spotykano się, by snuć wspomnienia, dyskutować o polityce i codziennych problemach. A dzieciarnia – mimo mrozu – codziennie wybiegała na „dwór”: brodziła w zaspach, odciskając śmieszne ślady, zjeżdżała na sankach, organizowała różne zawody, np. bitwę na śnieżki zza barykad zbudowanych ze śniegu. Starsi chłopcy oczywiście zaczepiali dziewczyny, ciskali w nie śnieżnymi kulami czyli „gołkami” wrzucali w głębokie zaspy, a potem zaśmiewali się z piszczących i wołających o ratunek koleżanek. Wszyscy też, naturalnie, „siurgaly” się „na butach” po lodzie. Lygawy” powstawały m.in. na różnych podmokłych miejscach, które, zamarzając, stawały się wspaniałym terenem zimowych zabaw dla okolicznej dzieciarni.

Przypadający w lutym „tłusty czwartek” zapowiadał zbliżający się Wielki Post. Nakaz poszczenia traktowano bardzo poważnie, więc i ten czwartek musiał być naprawdę „tłusty”. Nawet w biednych domach oszczędzano smalec, jajka, masło, by upiec – obowiązkowe w tym dniu – pączki lub chrust. W wiosce mojego dzieciństwa córki przejmowały konieczne umiejętności pieczenia od swych mam, tak jak i ich zeszyty z kulinarnymi przepisami. Pomocą były kursy gotowania organizowane przy Kołach Gospodyń Wiejskich, zwracano się też po przepisy do zaufanych sąsiadek.

Mama lubiła korzystać z porad Anieli „Bonorki”, która była naszą najbliższą sąsiadką – zawsze życzliwą, uśmiechniętą, chętną do pomocy. Codziennie przychodziła, by trochę posiedzieć i podzielić się najnowszymi nowinkami. Nie pogardziła nigdy maleńkim naparsteczkiem nalewki; sama też często przynosiła dla nas; a to troszkę sera, a to odrobinę miodu czy parę owoców. Znała wszystkich bobrowian i wszyscy ją znali. Potrafiła robić zastrzyki,

przez co odwiedzała różne domy ciesząc się wielkim poważaniem mieszkańców. Opowiadała ciekawe anegdoty, przygody, które się jej przytrafiały; zawsze z humorem i życzliwością.

W tłusty czwartek mama z sąsiadką Anielą spotykały się, by porównywać, czyje pączki lepiej się udały. Nam, dzieciakom – zawsze smakowały wszystkie. A do czasów mojego dzieciństwa rytuał wypieku pączków od lat był zawsze taki sam.

Po przygotowaniu potrzebnych naczyń, narzędzi i produktów należało troszkę ogrzać mąkę przyniesioną z zimnej komory, potem dokładnie ją przesiać na stolnicy z różnych zanieczyszczeń, a na koniec zmieszać z wyrośniętym rozczyntem z ciepłego mleka, żółtek i roztopionego masła. Następnie dodawało się kilka kropelek „zapachów”: rumowego, arakowego, waniliowego lub pomarańczowego – kupowanych w malutkich szklanych rureczkach zamkniętych gumowymi korkami – i wyrabiało delikatnie tak długo, aż pulchniutkie ciasto zaczynało „odchodzić” od stolnicy. Z tego ciasta „tolało” się małe kuleczki i robiąc w nich zagłębienie, wypełniało kupowaną w sklepie marmoladą krojoną z dużego bloku, który – stojąc zawsze na ladzie zawinięty niedbale w pergamin – był nieustannym łupem łakomych os. Mówiło się, że ta „marmulada” zrobiona była z „buroków”, ale nam i tak smakowała.

Ułożone rządkami na stolnicy pączkowe kule musiały wyrosnąć, a do tego potrzebowały dużo ciepła. Nie wolno więc było się „przetwirać”, by nie wpuszczać do izby zimna, co było bardzo trudne, bo właśnie wtedy miało się tyle ważnych dziecięcych spraw do załatwienia! Czekaliśmy więc niecierpliwie, ukradkiem zaglądając pod wykrochmaloną ścierkę, którą pączki były nakryte dla ochrony przed chłodem. Wyrośnięte kule smażyło się w głębokim rondlu wypełnionym do połowy roztopionym, gorącym smalcem, który skwierczał i pryskał, dymił, i smrodził. Wrzucane na dno, prawie natychmiast wyskakiwały na powierzchnię i szybko brązowiły. Trzeba je było szybko przewracać na drugą stronę i pilnować, by się nie przypaliły. Wyjęte i osączone na białym papierze, posypywaliśmy cukrem pudrem, który uzyskiwało się roznosiąc w ściereczce „tolokiem” czyli wałkiem zwyczajne krysztalki cukru.

Mimo że te – wykonywane w domu – bardzo nam smakowały, to najcudowniejsze jednak były pączki mojej „krzesnomatki”, czyli ciotki Majki. Była to „kobieta-anioł”. Mimo licznych chorób i trudów życia, dla każdego miała życzliwy uśmiech i dobre słowo. W jej uważnym spojrzeniu ciemnobrązowych oczu można było odczytać zachwyt nad każdym drobiazgiem, kwiatkiem, dzieckiem, a równocześnie jakąś bezbronność wobec świata, który nie szczędził jej razów. Chociaż miała trzech synów, pochłaniających każdą ilość jej wypieków, zawsze zostawiała dla mnie kilka olbrzymich „jak kocie łebki”

pączków. Takie też pączki „jak kocie łebki” wypiekała dozorczyń Kordula, w której postać wcielałam się w jednym z dożynkowych monologów.

Niektóre gospodynie, zwłaszcza te mniej zamożne, piekły faworki, zwane u nas chrustem. Czasami też niektóre mamy z chrustowego ciasta wykonywały karnawałowe róże. Po „roztolaniu” na stolnicy ciasta wykrawały krążki różnej wielkości, nacinały każdy w kilku miejscach i składały po kilka zaczynając od największego do najmniejszego. Potem naciskały palcem środek tak, że poszczególne krążki zlepiały się, a „płatki” w miejscach nacięć rozchylały się tworząc róże. Należało je jeszcze tylko delikatnie zanurzyć we wrzącym smalcu i po chwili rumiane, posypane cukrem-pudrem cuda były gotowe, by cieszyć oczy i podniebienia gości i domowników, i zdobić talerze pełne złocistego, pysznego chrustu.

Zapraszało się sąsiadów lub najbliższych krewnych, by posmakowali wypieków i skosztowali łyeczka samogonki. Wciąż trwał zwyczaj wytwarzania tego domowego alkoholu, który upowszechnił się zwłaszcza w czasach okupacji, gdy „bimber” – choć za jego „pędzenie” groziły srogie kary – był towarem wymiennym, swoistym środkiem płatniczym, który nieraz mógł ocalić nawet życie. Szczególnie Rosjanie gotowi byli oddać prawie wszystko co mieli, byleby uzyskać ten pożądany produkt.

Stefan Dąbski wspomina sytuacje, gdy partyzanci odwiedzali wiejskie domy: „Przyszło się z wizytą do gospodarza na wsi, to nie częstowano jedzeniem, najwyżej kawałek suchego chleba na stół wjeżdżał, za to butelka własnej roboty być musiała. Kieliszek przeważnie był tylko jeden, z którego, według ustalonej tradycji pierwszy przepijał gospodarz, żeby gościom udowodnić, że to nie żaden denaturat, od którego oślepnąć można, ale solidna wódeczka własnej roboty, z której cała zagroda dumna być może. Dla udowodnienia jej siły brał też często w rękę zapalnik, którą potem przytknął do ulanej na łyżce wódki, a ta z kolei zapalała się jasnoniebieskim płomieniem. To już był ostateczny dowód, że jego wódka jest pierwszorzędnej jakości”¹⁷.

Zwyczaj pędzenia bimbru został nawet utrwalony w popularnej piosence, którą przypomina Bronisław Harla. Pisze on: „To jest utwór bezimiennego autora, ale pochodzi z Bobrowej. Niejeden do niej coś dołożył od siebie. Piszący te słowa też ma w tej piosence swoje trzy grosze:

„Koło Dębicy, nad rzeką Wiśłoką,
Wioska Bobrowa ciągnie się szeroko.
Żyje w niej ludek wesół, podchmielony,
Bo wszyscy pędzą dużo samogony”.

Następne zwrotki to poetycki przepis na przygotowanie „zacieru” [nazywanego też „brawą lub „paciarą”], a następnie na sporządzenie z niego „hary” czyli samogonu, wyrażenie obawy przed odkryciem nielegalnego procederu

i nadziei, że po wojnie człowiek „w kawiarni likier stawiać sobie każe, nie będzie w nocy drzemał przy tej harze”¹⁸.

Tajniki robienia „samogonki” z różnych produktów [najczęściej ze zboża, czy z ziemniaków] były mieszkańcom wioski mojego dzieciństwa świetnie znane, a spotkania przy kieliszeczku cementowały rodziny. Bo poczucie przynależności do rodziny było niezwykle cenną wartością w tych niepewnych czasach. To ona dawała poczucie stabilizacji, łagodziła lęki, była wsparciem w najtrudniejszych chwilach. Rodzinna więź, wpisana w odwieczną tradycję i naznaczona niedawnymi doświadczeniami wojny – gdy dawne więzy były zrywane, a ludzie często gubili się rozproszeni, oddaleni od bliskich – tym bardziej była doceniana i pielęgnowana. Szczególnie domownicy trzymali się razem, a czas dzieciństwa; owe szczęśliwe chwile spędzone w rodzinnym domu, stawały się utrwaloną na zawsze skarbem pamięci.

Owa pamięć przywołuje np. obraz ojca, zabawiającego nas „puszczaniem zajączków” na ścianie, które powstawały w smudze światła naftowej lampy. Należało złączyć opuszkami kciuk, palec wskazujący i mały, a pozostałe wyprostować i ułożyć tak, by cień dłoni przybierał kształt zajęczego pyszczka i uszu, które niekiedy nawet śmiesznie się poruszały.

Potem ojciec brał do ręki kuchenną lampę i wychodził z nią do komory, a z nim podążało migotliwe światło, zostawiając izbę w półmroku. Po chwili przynosił olbrzymie soczyste gruszki lub złociste renety przechowywane w zbożu; w środku zimy smakujące najbardziej. Mimo wielu trosk miał wielkie poczucie humoru i skłonność do żartów. Czasem do tych przekomarzań dołączała mama śpiewając nie mające końca piosenki, o tym, jak „piesek wpadł do kuchni i porwał mięsa ćwierć”, o Romciu, który radził, jak zatkać dziurę w dzbanku, czy szczególnie lubianą przez nas – piękną, rzewną ukraińską dumkę:

„Gdym z Kozaki szedł na boje, moja Hanna rzecze:

– Niesiesz luby życie swoje pod tatarskie miecze!

Lecz modlitwa, płacz dziewczyny z w boju cię ocali;

Ty mi za to, mój jedyny, przywieź sznur koralu.

Bóg kozaczej szczęścił braci; w jednej boju chwili

Han tatarski wojsko traci, a my gród zdobyli.

Gdy wyparto krzepkie wrota, gdy się miasto pali,

Inszy srebra, inszy złota, jam szukał koralu.

Wśród rabunku los mi służy, Pan Bóg zdobycz poda;

Sznur koralu, krasny, duży, jakby wiśnia młoda!

Pochwyciwszy zdobycz drogą, już nie czekam dalej,

Śpieszę stanąć przed niebogą, dać jej sznur koralu.

Pędzę stepem, pędzę błonią – oj, daremna praca!

W naszej wiosce dzwony dzwonią, lud z mogilek wraca.

Dobrzy ludzie śpieszą ku mnie i wołają z dali:

– Twoja Hanna leży w trumnie, nie trzeba korali!
Zapłakałem, zająknąłem i roztrącam rzeszę,
I przed cerkwią padam czołem, i przed obraz spieszę.
Do najświętszych stóp Maryi niosę smutne żale
I zawieszam na jej szyi czerwone korale”¹⁹.

Zimowy czas powoli przetaczał się kolejnymi lutowymi dniami, mróz wciąż trzymał tęgi, nadchodziła ostatnia niedziela karnawału zwana „zapustamy” lub „łostatkami”. W tym dniu również organizowano spotkania rodzinne i zabawy taneczne, ale w kościele już rozpoczynało się Czterdzie-stogodzinne nabożeństwo przygotowujące do Wielkiego Postu.

Wkrótce miał zacząć się długi okres smutku, pokuty, modłów, ograniczania wizyt – trudny zwłaszcza dla tych kumoszek, które lubiły wiedzieć, co we wsi „piszczą” i biegały do sąsiadek, roznosząc ploteczki. Bo i w wiosce mojego dzieciństwa były takie, które „nieprzerwanie chodziły po wsi, zaglądały do izb, do garnków, do sąsieków, do skrzyń, pod pierzynę i pod łóżko. Rozdziawiały gęby z podziwu, trzęsły się z oburzenia, to podrygiwały ze śmiechu. A że od śmiechu do płaczu najkrótsza droga, to zapaski same niosły się do oczu”²⁰.

Mężczyźni – przed rozpoczęciem postu, w czasie którego wypadało powstrzymać się od alkoholu i ograniczyć „kurzenie cygarków” – odwiedzali sąsiadów czy krewnych z flaszeczką, by na koniec się jeszcze troszkę poweselić. Dziadek Michał, skończywszy snucie barwnych wspomnień o wojennych przygodach – zarumieniony i wesolutki – zaczynał śpiewać: „Napił się dziadus ciepłego winka, ściga babunię koło kominka. Babunia rada rączkami kleszcze: o mój dziaduniu ścigaj mnie jeszcze”. Ale wtedy wkraczała zdecydowanie babcia Józia i zabierała bez ceregieli do domu opierającego się męża.

Zbliżający się czas „Wielkiego Postu” był bardzo smutny; dłużył się, bo trwał aż siedem tygodni – do Wielkanocnej Niedzieli. A zaczynał się posypywaniem głów popiołem w Środę Popielcową. Przyroda zazwyczaj też dopasowywała się do nastroju tego dnia, który bywał najczęściej smętny, zimny i wietrzny, ponury jak ludzie zdążający z kościoła do domu ze śladami popiołu we włosach, w żałobnych nastrojach, bo przecież zawisł „na krzyżu Pan, Stwórca Nieba, płakać za grzechy człowiecze potrzeba” – jak śpiewało się w kościele odartym z wszelkich ozdób i kwiatów. Nastawały dłużące się dni bez zabaw, wesel, wesołych przyjęć. Niektórzy nawet wyłączali radia; zwłaszcza nie słuchali audycji rozrywkowych. Sumiennie poszczono, czyli „suszono”; rezygnowano nawet często ze spożywania mleka, a potrawy maszczono jedynie olejem rzepakowym, kupowanym w sklepie; bo już wtedy chłopci nie wytwarzali – jak dawniej – oleju z ziaren wyhodowanego lnu, który wytłaczało się przy pomocy specjalnego urządzenia zwanego „stępą”.

Mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa chętnie uczestniczyli w cotygodniowych nabożeństwach Gorzkich Żalów i Drogi Krzyżowej.

Najbardziej zapamiętanym nabożeństwem Wielkiego Postu była właśnie Droga Krzyżowa. Mamy dziewczynki stawiały warunek: ubrać spodnie – oczywiście pod spódnicę, bo tak się je nosiło, a lutowe i marcowe dni bywały bardzo zimne. Buntowałyśmy się, że to nie po „dziewczyńsku”, zresztą uroda tych „porteczek” szytych przez mamy czy babcie zostawiała wiele do życzenia, ale w końcu ulegałyśmy kategoriernym warunkom i opatulone i „zubirane” jak furman biegłyśmy z koleżankami do kościoła.

W kościele było zimno, ale zawsze przychodziło na to nabożeństwo wiele ludzi, zwłaszcza dzieci. Choć mroziła posadzka mokra od topniejącego śniegu, naniesionego pod butami, choć ręce „grabiały” i chrypiały głosy, ale i tak wszyscy lubiliśmy podążać za księdzem i śpiewać ułożone na tę okoliczność pieśni; już dziś zapomniane – opowiadające o męce Pańskiej, a towarzyszące każdej ze stacji Drogi Krzyżowej. Swymi rzewnymi melodiami i przejmującym tekstem rozbudzały naszą wyobraźnię, rodziły refleksje, żal, skrucę i chęć poprawy życia. Otwieraliśmy przecięte na pół cieniutkie zeszyty udające notesy i śpiewaliśmy zapisane tam teksty tych pieśni, które przekazywały młodszemu pokoleniu babcie i mamy:

„Zastanów się chrześcijanie na chwilkę małą,
Zastanów się, a pójdziemy Drogą Krzyżową,
Mękę Pańską rozważać, za grzechy łzy wylewać,
Jezusa bolesną drogę w sercu rozważać” – tak to się zaczynało.

Wszystkie dzieciaki oraz dorośli zgromadzeni na tym nabożeństwie szli za ministrantami niosącymi krzyż i za księdzem prowadzącym modlitwy przy kolejnych Stacjach, przedstawiających etapy męki Chrystusa. Te obrazy – rozmieszczone na bocznych ścianach wzdłuż obu naw – zakupiono w 1894 roku; jeszcze do starego kościółka. Wyraziste postacie – barwne, realistyczne i wymowne, mocno przemawiały do naszej dziecięcej wyobraźni, wpływały na nasze nastroje i uczucia. Przyklękaliśmy na zimnej, mokrej posadzce naprawdę wzruszeni i przejęci, by oddać hołd Zbawcy wyrażany słowami: „Kłaniamy Ci się Panie Jezu Chryste [...], który przez krzyż i mękę swoją odkupiłeś świat”. Bardzo przejmowała nas scena ukazująca spotkanie wiedzionego na Golgotę Syna ze swą Matką, gdy „miecz przeraził jej serce, gdy go widzi w tej męce, a On jeszcze błogosławił Najświętszej Matce”.

Głęboko wzruszała nas też scena przedstawiająca świętą Weronikę, która ocierała twarz umęczonemu Jezusowi. W duchu dziwiliśmy się, że ta słaba kobieta wykazała tyle odwagi, by przedrzeć się przez kordon uzbrojonych żołnierzy oraz reakcja prowadzonego na śmierć Jezusa, który „dał jej swą twarz skrwawioną, na chuście wyrażoną.

Ach, jak mile ta niewiasta jest nagrodzoną”!

Współczuliśmy Jezusowi, upadającemu na twarz, z przerażeniem patrzyliśmy, jak przebijano Mu ręce i nogi wielkimi gwoźdźmi, jak umierał na

krzyżu za nasze straszne grzechy i na Jego blade, martwe ciało złożone w ramionach Maryi. Końcowa pieśń była prośbą:

„Przyjmij Jezu najłaskawszy te nasze kroki,
Przy którychśmy rozważali okrutne męki.
Przez te Twoje boleści prowadź nas do wieczności,
Abyśmy Cię oglądali w wiecznej radości”.

Prostota tych pieśni, ich wyrazisty realizm, silna uczuciowość, dość naiwna forma i przemawiające do każdego religijne przesłanie sugerują ludowy charakter cyklu. A archaiczne słownictwo i formy językowe świadczą, że te utwory są bardzo stare i warte zapisania, by „czas nie zaćmił ich i niepamięć”.

Po skończonym nabożeństwie wracaliśmy wyciszeni, zadumani i nawet jeszcze po powrocie do domu – zasiadając do odrabiania zadań – wciąż poważni i skupieni.

W każdą niedzielę Wielkiego Postu chodziło się na Gorzkie Żale; bardzo popularne wśród dorosłych. Nabożeństwa te nie poruszały tak mocno dziecięcej wyobraźni jak Droga Krzyżowa; trwały długo, kościół był zatłoczony, a kazania, tak jak i śpiewane z książeczki pieśni, napisane staropolszczyzną – dla nas, dzieci – były w dużej mierze niezrozumiałe. Nie wiedzieliśmy przecież co znaczyły wyrażenia: „uderz, Jezu bez odwłoki”, „upał serca swego chłódzę, gdy w przepaść męki Twej wchodzę”, „opoki się twarde krają”, „żołnierz rękawicą chlusta”, czy „pycha światowa niechaj co chce wróży, co na swe skronie wije wieniec róży”.

Codziennie liczyliśmy lutowe dni mijające powoli i pocieszaliśmy się tym, że na szczęście to najkrótszy z miesięcy. A niekiedy zaczynały się już nawet pierwsze roztopy. Wtedy na gościńcu i na podwórkach pojawiała się gruba warstwa błota zmieszanego ze śniegiem.

Ale nie tylko mokre, wietrzne i brudne przedwiośnie – znaczone liszajami topiącego się, burego śniegu, błotnistymi drogami trudnymi do przebycia, a często groźnymi podwoziami – harmonizowało z czasem Wielkiego Postu. Ten post nie był tylko symboliczny; nastawał przecież przednówek, gdy zaczynało brakować zapasów poczynionych w jesieni. W niejednej chacie prowadzono dysputy, co trzeba będzie koniecznie kupić, co pożyczyć, jakie zwierzę domowe zabić, rezygnując z intratnej sprzedaży na targu. Coraz częściej obiady były jednogarnkowe, potrawy „jałowe”, chleb wydzielany, a kromki z cukrem – zamykanym na klucz – skropione wodą, musiały wystarczyć za jedyny dziecięcy smakołyk.

Surowe nakazy religijne sprzyjały ascetycznemu życiu. Poszczono w środy i w piątki; często o chlebie i wodzie, unikano wszelkich rozrywek, wyłączano „kołchoźniki”, stosowano różne umartwienia: rezygnowano ze słodczy, alkoholu, papierosów, odprawiano dodatkowe modły, uczestniczono w różnych żałobnych uroczystościach kościelnych.

W długie, wciąż jeszcze zimowe wieczory, gdy filujący płomyk naftowej lampy wydobywał z ciemnych kątów fantazyjne cienie, a specyficzne zapachy skwierczącego knota i dopalających się w piecu sosnowych drewnien tworzyły niezwykły nastrój, przytulaliśmy swe dziecięce główki do szorstkich poduszek i opatuleni po uszy pod wielkimi pierzynami przenosiliśmy się w świat dziecięcych baśni, wyczarowywany z czytanych przez nasze mamy książeczek: „Czy to bajka, czy nie bajka, mówcie sobie jak tam chcecie, a ja tylko wam odpowiem – krasnoludki są na świecie”.

A o tych krasnoludkach chyba najpiękniej opowiadała „młoda Kołodziejka” mieszkająca na „Dulówce”. Gdy wyruszaaliśmy gromadką na jagody do lasu w Korzeniowie tak przekonująco snuła niezwykle o nich historie, które ponoć naprawdę się jej przydarzyły, że objadając się borówkami cały czas zaglądaliśmy pod krzaki, pod liście paproci, pod rozłożyste gałęzie świerków, czy z mchu nie wyłaniają się nagle te niezwykle, leśne skrzaty.

Zasypialiśmy bezpieczni i szczęśliwi nie znając lęków naszych rodziców często szepczących po kątach, choć i do naszych dziecięcych uszu docierały czasem pojedyncze, obce, groźnie brzmiące słowa: Katyń, przesłuchania, więzienia, tortury, bolszewicy, komuna. Przy szczelnie zasłoniętych oknach dorosli wciąż słuchali audycji Radia „Wolna Europa” z niezdarnych, wielkich radioodbiorników „Tesla” czy „Pionier”, które – choć niemiłosiernie zagłuszane – były ważnym źródłem tak oczekiwanych informacji poza cenzurą. Niepokój czaił się w oczach gospodarzy, gdy spotykając się z zaufanymi sąsiadami, przekazywali sobie najnowsze wiadomości z kraju i zagranicy, deliberowali nad przyszłością, z pogardą mówili o tych, którzy donosili na sąsiadów.

Oficjalne wiadomości radiowe i prasowe pełne były optymizmu i dumy z sukcesów naszego socjalistycznego państwa – kraju robotników i chłopów, które w sojuszu ze Związkiem Radzieckim buduje świetlaną przyszłość. Pełno też było informacji o wrażliwych imperialistach. Gazety pokazywały odrażające karykatury uzbrojonych po zęby lub ubranych jak Mister Twister ze szkolnego wierszyka autorstwa rosyjskiego poety Samuela Marszaka owych imperialistów, którzy tylko czyhali na potknięcia naszego – najwspanialszego przecież – socjalistycznego obozu. Grozili kolejną wojną, prezentując gigantyczne bomby budzące w nas, dzieciach – strach i odrazę. I choć mijały kolejne lata naszego dzieciństwa to sytuacja polityczna niewiele się zmieniała.

Tę sytuację Polski lat pięćdziesiątych tak scharakteryzował potomek sławnego rodu Tarnowskich – Andrew, który w 1957 roku wrócił z emigracji do ojczyzny:

„W 1957 roku Polska była państwem satelickim, demokracją ludową kierowaną przez lojalną wobec Moskwy PZPR, która rządziła żelazną ręką i nie tolerowała opozycji. W kraju stacjonowały wojska radzieckie, mające zapewnić jego lojalność. Aż do połowy lat pięćdziesiątych radzieccy „dora-

cy” i oficerowie NKWD zajmowali kluczowe stanowiska w całym państwie i rządzie, i nie tylko w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego i w tajnej policji. Na porządku dziennym były tortury, mordy, wywózki na Syberię. Cenzura kontrolowała prasę, literaturę, radio, telewizję, kino i teatr [...]. Polska znalazła się pół wieku w tyle za Zachodem²¹.

Ale jakoś trwaliśmy, rodziny trzymały się razem, ziemia – niedawno jeszcze pokaleczona bombami – dzięki ciężkiej pracy dawała chleb, rodziły się dzieci, starsi wyjeżdżali do miast, by tam pracować, spełniać swe marzenia, robić kariery. I wielu się to udało.

W „Ewangelii świętego Jana” mamy przedstawioną sytuację, w której Filip informuje Natanaela, że właśnie spotkał tego, o którym pisał Mojżesz i prorocy. A był to Jezus, syn Józefa z Nazaretu. Natael bardzo się zdziwił i zapytał: „Czy może być coś dobrego z Nazaretu”?²². My również często uważamy, że w małych, prowincjonalnych miejscowościach rodzą się tylko zwyczajni, szarzy ludzie. Nie jest to absolutnie prawdą. Wioska mojego dzieciństwa może poszczycić się wieloma mieszkańcami, którzy zapisali się w jej historii, z których możemy być dumni i o których warto pamiętać.

Oto sylwetki kilku z nich:

Wielokrotnie wspominany tu pisarz Tadeusz Mikołajek urodził się wprawdzie w Dębicy [w 1927 roku], ale jego mama – Bronisława Osakówna z domu – pochodziła właśnie z Bobrowej. Mikołajek jako dziecko przyjeżdżał tu do dziadków. W chwili wybuchu wojny miał 12 lat, po jej skończeniu – 17. Jego ojciec Antoni – z zawodu policjant – walczył w oddziałach Andersa, a matka wraz z czwórką dzieci: Bolesławem, Tadeuszem, Marianem i Wiesławem przebywała w czasie wojny w domu swoich rodziców, w zaułku położonym w centrum wsi, tuż obok ludowca. Tadeusz – jak pisze Marian Morawczyński „został przydzielony do działającej w Bobrowej drużyny AK”²³.

Wspomnienia z działalności akowskiej są właśnie dominującym tematem utworów pisarza. Przypadły przecież na najważniejszy okres w jego życiu: czas dorastania, dojrzewania, kształtowania się charakteru i postawy życiowej, a zarazem najtrudniejszych, najtragiczniejszych przeżyć wojennych, które zaważyły na całym jego losie więc – oczywiście – znalazły odbicie w jego twórczości.

Marian Morawczyński pisze też, że „po drugiej, lewej stronie Wisłoki, był także zorganizowany ruch oporu o tendencjach lewicowych, wprawdzie nieporównywalnie słabszy w stosunku do AK; w samej Bobrowej Mikołajka miał jednak bogate tradycje przedwojenne, niosąc szeroko rozumianą oświatę do miejscowej młodzieży, przygotowując do życia – cieszył się wśród niej dużą sympatią; okupant przeprowadził tam później krwawe pacyfikacje. Z tym ruchem lewicowym i lewicującym spotkał się również Mikołajek, trudno, żeby nie pozostał w jego pamięci”²⁴.

W wielu utworach pisarz przedstawia dręczące jego i wielu jego rówieśników dylematy moralne i ideowe dotyczące niezwykle trudnego wyboru któregoś z kilku – tak odmiennych – ugrupowań konspiracyjnych działających na naszym terenie, czy – po wojnie – konieczności opowiedzenia się za, czy przeciwko ludowej władzy. Podkreśla też, jakim dramatem dla wielu było ujawnienie swej działalności w podziemiu i oddanie broni. „Część „leśnych ludzi”, zagrożonych w nowym ustroju politycznym, uciekła na Ziemię Odzyskane, właśnie głównie do Wrocławia, tam też podążyła rodzina Mikołajka – to Wrocław stał się dla nich etapem i miejscem wzbierania goryczy i niepewnego jutra”²⁵.

„Mikołajek spotykał się z towarzyszami nie tyle broni co niedoli – we Wrocławiu, utrzymywał też ścisłe kontakty z ocalałymi na terenach dębickich. Spotkania we Wrocławiu, zapewne nierzadkie, były okazją i potrzebą wspólnych wyżaleń na dolę „zakażonych” piętnem AK, najpierw ukrywających swoją przeszłość, potem zaś traktowanych podejrzliwie, z uprzedzeniami”²⁶.

Bo Mikołajek nigdy nie wyparł się swej akowskiej przeszłości. Zapłacił jednak za to wielką cenę. Nie mógł marzyć o jakiegokolwiek karierze czy intratnej posadzie.

„Imał się różnych zawodów, najczęściej fizycznych, które albo nie odpowiadały jego duszy bądź co bądź w końcu przecież dotkniętej tchnieniem którejś muzy, albo też sam zmieniał pracę, bojąc się dekonspiracji lub też nie wytrzymując zagładania przez ramię”²⁷.

Również trudna była jego droga pisarska. Nie chciano drukować jego tekstów, a cenzura wykreślała duże ich fragmenty. Z trudem udało mu się zadebiutować w 1961 roku powieścią „Żarówka”. Potem powstało jeszcze kilka powieści: „Tryptyk na śniegu”, „Trójkąt błędów”, „Żegnajcie chłopcy”, „Zamykanie koła”, „Amba”, „Mrok”, a także liczne opowiadania. Inspiracją największej liczby utworów były przeżycia autora; zwłaszcza te z okresu wojny – tak ściśle związane z wioską mojego dzieciństwa.

„Bohaterowie „Żegnajcie chłopcy”: akowiec Błyszcz z bandy i jego kolega z frontu żołnierz PRL wracają jakby do tej samej wsi [Bobrowej?], chodzą po tych samych ulicach miasteczka [Dębicy?]”²⁸.

Wchłonęli też wiele cech, doznań czy elementów biograficznych autora: „Bo wszystkie niemal utwory Mikołajka są coraz to nowym strumieniem żywiołu autobiograficznego – i w masce, w cyniźmie, zamknięciu w sobie, zalewaniu gryzącego robaka, niepewności, wewnętrznej alienacji – jest autor autentyczny, prawdziwy”²⁹.

Bohater „Trójkąta błędów” – Jasyr wspomina miejsca tak bliskie autorowi: „To miasto na pograniczu wzgórz i dolin: tu się urodziłem, tu stawiałem pierwsze kroki [...]. Nikt mnie tu już nie pamiętał, wyjechałem w dzieciństwie. Ale niedaleko stąd żyje matka”³⁰. Pamięta też, że gdy wrócił do tego

swojego miasta to „słońce już zachodziło, po kamienistej drodze wzdłuż koszar turkotały chłopskie furmanki”³¹, a „drewniany, zbudowany przez Armię Radziecką most był długi, wysoki”³².

Będąc dziećmi, widywaliśmy niekiedy tego eleganckiego pana – wyróżniającego się spośród mieszkańców wioski mojego dzieciństwa – wysokiego, szczupłego, o sprężystych ruchach, corocznie letnią porą przyjeżdżającego z Wrocławia, by odwiedzić krewnych z Bobrowej. Wędrował samotnie po polach; rędzinami w stronę Wisłoki, brzegiem rzeczki do Olszyn, nagoską drogą do kościoła i na cmentarz. Miał niezwykle przenikliwy wzrok, bardzo jasne, jakby przezroczyste oczy i pierwsze srebrne nitki w lekko pofalowanych, zaczesanych do tyłu i odsłaniających wysokie czoło włosach. Zawsze powolny, zamyślony, zatrzymywał się na chwilę rozmowy z ludźmi pracującymi w polu czy idącymi gościńcem. Zachodził również do sklepu, gdzie był serdecznie witany przez robiących zakupy. Odwiedzał też dawnych kolegów, a nawet pojawiał się na zabawach organizowanych na wolnym powietrzu.

Bobrowianin Bacher Aleksander – poeta, harcerz, działacz kulturalny urodził się w 1926 roku. Po skończeniu Szkoły Mechanicznej w Dębicy i studiów inżynierskich pracował jako nauczyciel na Śląsku, a potem – aż do emerytury – w pracowni projektowej przy Zakładach Chemicznych w Tarnowie. Animator życia kulturalnego w swym środowisku, reżyser widowisk i ich uczestnik, organizator imprez i wycieczek. „Jego karierze zawodowej towarzyszyła pasja społecznika oraz amatorska twórczość poetycka [...]; w swoich wierszach jak w pamiętniku opisuje swoje przeżycia i obserwacje oraz wydarzenia, w których uczestniczył [...]. Związany jest z rodzinną miejscowością w żyrakowskiej gminie poprzez więzy rodzinne, spędzone dzieciństwo i młodość. Wraca tam”³³.

A wraca zwłaszcza w swoich wierszach, w których zawsze wyraża swe przywiązanie i tęsknotę do rodzinnej wioski. Píše więc, trawestując słowa znanej piosenki:

„Lubię śpiewać, lubię tańczyć,
Lubię zapach pomarańczy,
Lubię także to i owo;
Najbardziej ciebie, Bobrowo”!³⁴.

Bronisław Harla [1900-1984] – zapisał się w historii wsi złotymi zgłoskami. Mimo trudnego, sierociego dzieciństwa zawsze pogodny, aktywny, towarzyski, pełen różnych pasji był jednym z inicjatorów i współzałożycieli Ochotniczej Straży Pożarnej w Bobrowej, aktywnym strażakiem, a w czasie wojny komendantem bobrowskiego plutonu BCH liczącego około czterdziestu ludzi. Znamca ludowej kultury, propagator czytelnictwa, animator życia kulturalnego w mojej wiosce, działacz społeczny, bibliotekarz, organizator różnych imprez, konkursów recytatorskich i poetyckich, wycieczek i spotkań z ciekawymi

ludźmi, uczestnik męskiego chóru mogący się pochwalić głębokim, pięknym głosem, znający mnóstwo piosenek patriotycznych, ludowych, kabaretowych i biesiadnych, śpiewanych ze swadą i dowcipem przy różnych okazjach towarzyskich. Jego popisowym szlagierem była przedwojenna piosenka kabaretowa: „Baby, ach te baby, człek by je łyżkami jadł”. Wrażliwość muzyczną i piękny głos odziedziczył po rodzicach. Jego ojciec był klarncistą grającym na weselach, a matka – jak sam pisał – „bardzo piękna córka bogatego kmiecia – umiała dużo pieśni religijnych i innych, które często i pięknie śpiewała”³⁵.

Harla przez wiele lat prowadził punkt biblioteczny, współpracował przy tworzeniu widowisk teatralnych i sam w nich uczestniczył, zapraszał do Bobrowej objazdowe kino i zespoły teatralne z okolicznych wsi, m.in. z Nagoszyna. Był współorganizatorem Uniwersytetu Ludowego, cieszącego się w wiosce mojego dzieciństwa dużą popularnością. Obejmował on 100 godzin wykładów z ciągu roku, a także zajęcia kulturalne, np. wycieczki czy spotkania z ciekawymi ludźmi. Z wykładami przyjeżdżali do naszej wsi ludzie kultury, politycy, różni działacze społeczni, m.in. badacz i historyk literatury dr Marian Morawczyński czy Edmund Galas – wieloletni dyrektor jednego wówczas w Dębicy liceum ogólnokształcącego.

Leopold Harla urodzony w 1929 roku [zmarł w 1989] w Bobrowej – syn Bronisława, absolwent liceum pedagogicznego i Wyższej Szkoły Nauk Społecznych w Warszawie, współzałożyciel i prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Dębicy, działacz polityczny i społeczny; był autorem wielu artykułów prasowych, m.in. o przeszłości Bobrowej, książki „Pustków przypomina”, przedstawiającej historię tego obozu, a także współautorem wydawnictwa „Dębica i okolice”.

Kucharski Eugeniusz – urodzony w 1937 roku w Bobrowej – pierwszy ksiądz pochodzący z wioski mojego dzieciństwa; Mszę prymicyjną odprawił w 1960 roku w swym parafialnym kościele w Nagoszynie. Był wikariuszem w Przyszowej, Tęgorozy, Wadowicach Dolnych, Brzesku i Krzyżanowicach, a w 1981 roku został proboszczem w Drwini, gdzie wybudował kościół. Zmarł w 1985 roku w czasie pielgrzymki do Rzymu na atak serca. Jego grób znajduje się na cmentarzu w Drwini.

Kucharski Stanisław – urodzony w 1948 roku w Bobrowej, absolwent Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy i Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor zwyczajny; został dyrektorem Instytutu Chemii na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Uczony o międzynarodowej sławie, specjalizujący się w badaniach z zakresu chemii kwantowej, współpracujący z Uniwersytetem Gainesville na Florydzie.

Eugeniusz Skowron – urodzony w Bobrowej w 1927 roku, absolwent Szkoły Mechanicznej w Dębicy, akowiec o pseudonimie „Wiklina”; po ukończeniu studiów inżynierskich we Wrocławiu pracował jako nauczyciel,

a następnie jako konstruktor: najpierw w WSK-PZL we Wrocławiu, a potem w WSK Dębica. Był organizatorem i instruktorem, a później kierownikiem Punktu Konsultacyjnego Politechniki Krakowskiej w Dębicy, recenzentem prac inżynierskich, monografii i artykułów prasowych, a także współautorem książki „Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów”.

Młodsze pokolenie reprezentują:

Władysław Bielawa – urodzony w Bobrowej w roku 1956, absolwent Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy i Politechniki Krakowskiej; działacz samorządowy; pełnił funkcję burmistrza Dębicy, a później starosty powiatu dębickiego.

Marek Rączka – urodzony w 1961 roku – choć nie pochodzi z wioski mojego dzieciństwa, ale jest z nią związany od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, gdy po ukończeniu studiów rolniczych w Krakowie, podjął pracę w Gospodarstwie Rolnym w Bobrowej, należącym do Kombinatu Rolno-Przemysłowego „Igloopol” w Straszęcinie; działacz samorządowy, pełniący kolejno funkcję radnego gminy Żyraków, zastępcy wójta w tejże gminie, potem zastępcy wójta gminy Jodłowa, a od 2010 roku – wójta gminy Żyraków.

Wyżej przedstawieni mieszkańcy Bobrowej to tylko niektórzy z tych, z których wioska mojego dzieciństwa może być dumna. Szlachetną tradycję włączania się do pracy „dla dobra wspólnego” kontynuuje kolejne pokolenie bobrowian; np. działacze samorządowi: Paweł Jarosz, Zuzanna Janora, czy „Bobrowskie Stowarzyszenie Aktywnych. Łączymy Pokolenia”.

Możemy być też dumni z tego, że Bobrowa ma ciekawą historię i leży w bardzo ciekawej okolicy. Niedaleko stąd do Wiewiórki, w której mieli swą rezydencję Tarnowscy ze słynnego, starego, magnackiego rodu. „Stąd Polska miała hetmany, stąd marszałki, stąd podskarbie, stąd kasztelany, stąd wojewody wielkie i wielkie pany”³⁶.

Mimo iż hetman wielki koronny, pierwszy magnat XVI-wiecznej Polski, zwycięzca spod Obertyna – Jan Tarnowski miał piękny zamek w Tarnowie, to ukochał nasze okolice i wybudował wspaniałą rezydencję właśnie w Wiewiórcie; tu również osadził zdobytych w tej bitwie jeńców tatarskich. Niestety, wichry różnych wojen zatarty prawie ślady wspaniałej budowli Tarnowskich. On sam, gruntownie wykształcony, przeznaczał na szkołę i nauczycieli w Tarnowie „dwie dziesięciny” z folwarków w Wiewiórcie, w Borowej i w Nagoszynie.

Początkowo w Wiewiórcie był „dwór modrzewiowy; prosty płot biegł wokół cieniściego sadu, stary szpaler lipowy zdobił ogród, a za ogrodem tuż zabudowania gospodarskie, jak przystało ziemianinowi, który w domu, u siebie, zrzucał oznaki dygnitarstwa, zostawał uprzejmym gospodarzem, szlachcicem, rolnikiem najpowszedniejszym [...]. W polu rycerskie popisy, a pod strzechą własna rodzina, biesiada z sąsiadami, dyskusje z uczonymi”³⁷.

Po pewnym czasie Tarnowski wybudował tu wspaniały murowany zamek, który odwiedzali sławni humaniści, jak Klemens Janicki czy Jan Kochanowski. Bywał tu królewicz Zygmunt August i sławny rycerz Zawisza Czarny, wielcy polscy magnaci: Ostrogscy, Zasławscy, Łubieńscy, Lubomirscy, Sanguszkowie, a ponoć też królowie: polski – Zygmunt Stary i węgierski – Jan Zapolya.

Zamek był jednym z najokazalszych w ówczesnej Polsce: miał cztery wieże, a wewnątrz wspaniałe komnaty; otaczała go fosa, a na dziedzińcu zamku wjeżdżało się przez most zwodzony. Do dziś krążą legendy, że pod nim był tunel wiodący do samego Tarnowa, ale nie udało się go – niestety – odkryć.

Podobno w miejscu jednego z zachowanych „kopców” w Woli Wielkiej również znajdowała się rezydencja Tarnowskich, ale nie ma po niej śladu, a miejscowa legenda mówi, że ów zamek zapadł się pod ziemię.

Hetman Jan Tarnowski był twórcą pionierskiej, skutecznej metody zdobywania twierdz. Zamiast wyniszczających szturmów rozkazywał wykonywać potajemnie podkopy pod obronnymi murami i podkładać tam mocne ładunki wybuchowe. Pod koniec życia pisał w ulubionej Wiewiórcie traktat o sztuce wojennej. Tu też zmarł, a został pochowany w katedrze tarnowskiej.

W niedalekiej Machowej mieszkali Ankwiczowie, skoligaceni z wielu bogatymi rodami w Polsce. Michał Ankwicz kupił w XVII wieku wieś Podgrodzie, a potem potomkowie tego rodu dokupywali okoliczne wsie; m.in. Chotową, Żyraków i Machową. Tu właśnie urodziła się ich córka Ewa zwana też Henriettą – słynąca z urody i inteligencji, znająca kilka języków. Zagrożona gruźlicą wyjeżdżała z rodzicami na południe Europy. W Rzymie poznała samego Adama Mickiewicza i została jego przewodniczką po tym mieście. Był zafascynowany piękną hrabianką, którą uważał za postać prawie nieziemską. Pisał więc:

„W białej sukience i ubrana w róże;
Motyle wkoło, ona między nimi
Zdała się wznosić i nie tykać ziemi;
Twarz piękna jako Przemienienie Pańskie”³⁸.

Poeta gotów był się z nią ożenić, ale rodzice pragnęli dla córy bogatego i utytułowanego męża. Do tej sytuacji nawiązuje Mickiewicz w cytowanym wyżej wierszu „Śniła się zima”, w którym przytacza słowa Ewy, też zauroczonej poetą:

„Rodzice moi chcą mnie z innym swatać,
Lecz ja jaskółka, chcę daleko latać;
Mam skrzydła dobre, patrz, jaki ptak ze mnie”³⁹.

Rodzice wyperswadowali córeczce małżeństwo z naszym wieszczem, ale Ewa stała się bohaterką kilku jego utworów. Przedstawił ją jako Ewę w III części „Dziadów” i jako Ewę Horeszkównę w „Panu Tadeuszu”, poświęcił jej też kilka wierszy, m.in. cytowany wyżej „Śniła się zima”, a także „Do Henrietty” czy „Do mojego cicerone”.

Ewa dwukrotnie wychodziła za mąż: raz za hrabiego Sołtyka, a po jego śmierci za dziedzica Zasowa, Mokrego i Jastrzębki Nowej – hrabiego Kazimierza Kuczkowskiego. Jednak do końca kochała Adama, utrzymywała z nim korespondencję, przechowywała listy i zmarła ponoć z jego podobizną w ręce.

Ojciec Ewy – dumny hrabia Ankwicz – był postacią znaną w okolicy; choć miał kamienicę w Krakowie, gdzie mieszkał, to często odwiedzał Machowę, by pilnować produkcji gorzałki czy osobiście doglądać swych majątków w Podgrodziu, w Żyrakowie, w Czarnej.

Ewa przyjaźniła się też z innymi wielkimi pisarzami okresu romantyzmu: z Zygmuntem Krasińskim, Teofilem Lenartowiczem, Józefem Korzeniowskim. Po śmierci została pochowana w rodzinnym grobowcu w Machowej. Do dziś zachowały się jej niektóre listy do Mickiewicza, które ukazują więź tej kobiety z wieszczem. Tak np. w roku wybuchu Wiosny Ludów [1848] pani Ewa Kuczkowska wysłała z Krakowa list do Adama, w którym pisała:

„Wyczytawszy [...] w naszym tu krajowym dzienniku [...], iż Pan jesteś w Mediolanie i tam legię polską formujesz, na tę wiadomość, na wspomnienie Mediolanu, wraz z Pana nieśmiertelnym nazwiskiem, powstała we mnie chęć napisania choć kilku słów do Pana i tej ulegam w tej chwili [...]. Wróciła do nas po dwuletniej podróży pani Sidorowicz, która mi wiele o Panu mówiła; zapewniała, że jeszcze o mnie wiele wspominać raczysz, w dowód czego wręczyła mi pierścioneł, który przed 18 laty w Rzymie naznaczył smutną rozstania godzinę”⁴⁰.

Również Mickiewicz pisał czasami do Ewy, zwierając się jej ze swoich kłopotów. Znamienny jest list wysłany z Marsylii we wrześniu 1855 roku, informujący o wyjeździe do Stambułu: „Rodzinę zostawiłem, tylko sam puszczę się w podróż. Stało się to wszystko nagle. Odebrałem przed kilku dniami dopiero polecenie naukowe od rządu [...], a dziś już wsiałam na statek do Stambułu. Jak długo tam zabawię, nie wiem jeszcze”⁴¹.

Do Stambułu poeta dotarł 22 września, a już 26 listopada zmarł, prawdopodobnie na cholere, choć istniały też pogłoski o jego otruciu.

Ciekawym dokumentem dotyczącym naszych okolic jest pamiętnik Ewy Ankwiczówny, w którym opisuje szczęśliwe chwile młodości spędzone w Podgrodziu. Jadąc po latach z mężem z Machowej do Lwowa, mijała tę miejscowość; co wzbudziło w niej serdeczne wspomnienia:

„Biedne Podgrodzie moje – gdzie młodą bardzo będąc, w 1836, raz kilka tygodni przebawiłam i przeskakałam [...]. W Podgrodziu oczy zamykałam, by nie patrzeć na jego wzgórze, bogate łąny i śliczne lasy [...]. Jak tu dobre maliny i poziomki w tych zaroślach i jak ich znaczna ilość [...]; jakie dobre obfite grzyby; jaki miód doskonały chłopci tu mają i zawsze w darach przynosili; jakie kurczęta, jajka przeróżne”⁴².

W niedalekiej Zawadzie, do której od lat corocznie pielgrzymują mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa, mieszkali najpierw Ligęzowie. Jeden z nich, Stanisław Ligęza żyjący w XVI wieku, sprowadził do kaplicy zamkowej obraz Matki Bożej, otaczany wielkim kultem, szczególnie po cudownym uzdrowieniu jego małego wnuka Kazimierza, „który gdy miał półtora roku przez 3 godziny był trapiiony ciężkimi konwulsjami. Strapieni rodzice, nie widząc żadnego ratunku, zanieśli dziecko przed obraz Matki Bożej Zawadzkiej i położyli je w czasie Mszy świętej na stopniu ołtarza. Po zakończeniu Mszy dziecko zupełnie wyzdrowiało”⁴³. Ten cudowny obraz z Zawady „nosi na sobie cechy i charakter obrazu Najświętszej Maryi Panny Śnieżnej, jaki znajduje się w Bazylice Matki Bożej Większej w Rzymie. Zapewne podobieństwo tych dwóch obrazów może wskazać pochodzenie obrazu zawadzkiego.

W wieku XV i XVI szerzył się kult Matki Bożej Śnieżnej nie tylko w Rzymie, ale także w innych miastach, a wśród nich i w Polsce. Wraz z kultem rozpowszechniały się, zwłaszcza w XVI wieku, kopie tego obrazu. Jednak pochodzenia obrazu zawadzkiego nie udało się dotąd ustalić”⁴⁴.

Ojciec uzdrowionego Kazimierza – Achacy Ligęza ufundował kościół, gdyż „do ubogiej kaplicy zawadzkiej [...] przybywały z dalekich stron rzesze pielgrzymów, otaczając w skupieniu i z modlitwą na ustach obraz Bogarodzicy”⁴⁵.

Kolejnymi właścicielami Zawady byli Raczyńscy herbu „Nałęcz”, wywodzący swój znakomity ród od jednego z rycerzy Mieszka I, niezwykle zasłużeni dla Ziemi Dębickiej; w tym dla Bobrowej np. przy wznoszeniu pierwszej szkoły. Bowiem w 1884 roku właśnie Karolina Raczyńska podarowała parcelę pod budowę szkoły w wiosce mojego dzieciństwa. Karolinie i Karolowi Raczyńskim zawdzięczamy również to, że w 1882 roku sprowadzili do Dębicy Siostry Służebniczki, którym podarowali grunt oraz dwa budynki i kaplicę.

W XIX wieku w Zawadzie mieszkali Atanazy i Anna [z domu Radziwiłłówna]. Atanazy Raczyński był politykiem pełniącym funkcje poselskie, wybitnym znawcą sztuki, członkiem królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie. To on odbudował i ozdobił cennymi dziełami sztuki zawadzki zamek.

XIX-wieczny historyk i folklorysta Żegota Pauli pisał: „Za Ropczycami leży w równinie śliczny zamek Zawada, w gotyckim stylu świeżo przez hrabiego Raczyńskiego zbudowany. Obok zamku jest także piękny ogród z parkiem i klombami, a dalej miasteczko Dębica”⁴⁶. Również przebywający w gościnie u Anny i Atanazego pamiętnikarz i rysownik Franciszek Ksawery Prek był zachwycony: „Nic dotąd podobnego nie widziałem. Ta budowla po każdym rogu ma wieżyczkę i podobna jest do meczetu [...]. Ogród ładny, nowo założony otacza ją. Wewnątrz dom w dziwnie pięknym guście ubrany. Pan Raczyński podróżował, wiele rzeczy z zagranicy przywiózł, szczególnie z Włoch, mnóstwo pięknych obrazów”⁴⁷.

W tej rezydencji gościła też świetna poetka Kazimiera Iłakowiczówna, zaprzyjaźniona z właścicielem Zawady – Edwardem Raczyńskim.

Bobrowianie zdążający do kościoła w Zawadzie z doroczną pielgrzymką też mogli podziwiać tę posiadłość, zbudowaną w stylu neoromantycznym – będącą kopią wspaniałej budowli należącej do odkrywcy złóż diamentów w afrykańskiej Namibii, zanim w czasie I wojny uległa znacznemu zniszczeniu. Do dziś można natomiast oglądać na Starym cmentarzu w Dębicy piękne Mauzoleum Raczyńskich – „perłę neogotyku” – zbudowane w 1884 roku.

Hrabia Edward Raczyński – jak pisze Józef Buszko – „był to wyjątkowy protektor Dębicy, dla którego trudno znaleźć porównanie [...], doskonale rozumiejący uwarunkowania rozwoju nowoczesnego miasta, wspierający każdą inicjatywę mieszkańców”⁴⁸. Wspomagał powstanie przedsiębiorstw COP-u, rzeźni, Szkoły Mechanicznej, budynku „Sokoła”, boiska przy gimnazjum, stadionu i wielu innych dębickich inwestycji.

Jeden z folwarków Raczyńskich w przysiółku Berdech – który był miejscem krwawych zajść w czasie rabacji chłopskiej, kiedy to właściciele zostali okrutnie zamordowani – dzierżawił przez 7 lat znany pisarz Ignacy Maciejowski-Sewer. Zgodnie z panującą pod koniec XIX wieku modą pragnął żyć na wsi w otoczeniu sielskiego krajobrazu i „bratać się z ludem”. Ale nie miał zbytniego talentu do uprawy roli więc stwierdziwszy, że gospodarstwo „zmęczyło” go i „podniszczyło”, wrócił do Krakowa. U Sewera w Braciejowej przebywali różni znani artyści: Stanisław Wyspiański, Adam Asnyk, Jan Styka, Jan Matejko. Często malowali swe obrazy na ścianach i sufitach dworku; jednak dziś nie ma po nich śladu.

Wspomniany wyżej Wyspiański przebywał także w posiadłości Łubieńskich w Łękach Górnych. Mieszkał tam w starym zborze ariańskim, który zachował się do naszych czasów.

W niedalekim Przyborowie mieszkali Reyowie i Jabłonowscy. Ród Reyów wywodził się od słynnego pisarza okresu renesansu – Mikołaja z Nagłowic. Jeden z jego potomków – wojewoda lubelski Władysław Rey kupił w XVII wieku od Jana Amora Tarnowskiego miejscowość Przeclaw i zbudował tu swą posiadłość. Po latach inny z Reyów – Kajetan rozbudował zamek czyniąc z niego piękną rezydencję, do której zapraszał wielu znamienitych gości. Niestety, zginął w pojedynku, który stoczył z ojcem wielkiego poety romantycznego – Zygmunta Krasińskiego, zaś kolejny z Reyów – Dominik został zamordowany przez chłopów w czasie rabacji. Mieczysław, syn Dominika – następny właściciel Przeclawia – zapisał się złotymi zgłoskami w historii rodu; wziął udział w powstaniu styczniowym, a po powrocie z przymusowej emigracji rozpoczął ożywioną działalność społeczną i polityczną; m.in. był posłem na sejm, walczył o podniesienie poziomu oświaty wśród ludu, gromadził starodruki, rękopisy, obrazy i pamiątki po swym sławnym przodku Mikołaju.

W 1887 roku odkupił od hrabiostwa Raczyńskich z Zawady dwory w Bobrowej i Dębinie stając się właścicielem tych miejscowości. Wkrótce zbudował w wiosce swojego dzieciństwa cegielnię, wykorzystując uzyskaną cegłę m.in. jako materiał do budowy murowanych budynków dworskich. Mieczysław – zwany „hrabią znad Wisłoki” przebudował zamek w Przecławiu i gościł w nim wielu znanych ludzi, m.in. Henryka Sienkiewicza. Ten sławny pisarz wziął udział w wielkim polowaniu, zorganizowanym przez właściciela Przecławia w 1903 roku.

Pewnego razu na dziedzińcu zamku wylądowali też niespodziewanie na skutek awarii samolotu słynni pionierzy polskiego lotnictwa: Franciszek Żwirko i Stanisław Wigura. Reyowie chętnie udzielili im pomocy.

Dbali też o rozwój polskiej kultury, m.in. ufundowali nagrodę dla najlepszych polskich pisarzy, której zdobywcami byli m.in. Henryk Sienkiewicz [1911 rok] i Władysław Reymont [1913 rok].

W przecławskiej rezydencji Reyów przebywała przez pewien czas pisarka Waleria Szaley-Groele zanim zamieszkała w Dębicy, gdzie po śmierci została pochowana i uczczona tablicą pamiątkową. W Przecławiu znalazła się z polecenia samej Marii Konopnickiej. Uczyła języka polskiego, a także zorganizowała orkiestrę i chór młodzieżowy, dla którego układała teksty piosenek i melodie. Przygotowywała także spektakle teatralne oraz pisała powieści historyczne.

W niedalekim Rzemieniu przez 20 lat mieszkała inna pisarka – Elżbieta Drużbacka, nazywana „Sarmacką Muzą” – autorka licznych wierszy religijnych, refleksyjnych i satyrycznych.

Jeden z Reyów, Mikołaj – dziedzic Przyborowia i Chotowej, który uzyskał tytuł doktora praw, był znany działaczem PSL-u i wraz z Witosem posłował do Parlamentu Wiedeńskiego. Od 1884 roku zamieszkał w Przyborowiu, gdzie wybudował sobie piękny dworek, zaprojektowany przez jego przyjaciela, słynnego w okresie Młodej Polski architekta, propagatora góralszczyzny, twórcy tzw. „stylu zakopiańskiego” w budownictwie – Stanisława Witkiewicza.

W tej posiadłości również przebywało wielu sławnych ludzi, m.in. wielki śpiewak Jan Kiepura. Do dworu wiodła szeroka aleja lipowa, przy której była rzeźba świętego Benedykta, a okazały dwór otaczał rozległy park pełen wspaniałych drzew.

Również ta rodzina Reyów była bardzo zasłużona. W 1880 roku Mikołaj Rey przy pomocy żony Marii zorganizował w Chotowej pierwszą w rejonie Dębicy ochronkę dla dzieci, zapraszając tam Siostry Służebniczki, a na pamiątkę rabacji, w czasie której zginął jeden z jego przodków i dla upamiętnienia cierpień rodaków ufundował na rynku w Pilźnie piękną figurę Matki Boskiej. Józef Buszko wspomina również, że „hrabia Mikołaj Rey uprawiał zboża nasienne wszystkich rodzajów oraz sadzeniaki ziemniaków. Rozpro-

wadzane przez kółka rolnicze w regionie dębickim znacznie poprawiły wydajność upraw zbożowych w folwarkach i gospodarstwach chłopskich”⁴⁹.

A Konstanty Łubieński pisze: „W czasie wojny Przyborów od samego początku stał się aktywną placówką konspiracyjną i społeczną. Tutaj zatrzymywali się pierwsi emisariusze z Węgier i na Węgry. Tutaj znalazło schronienie wielu wysiedlonych z Zachodu i przybyszów zza Sanu. W Przyborowie lokowaliśmy różne władze AK, przyjeżdżające do obwodu dębickiego na inspekcje, a także rannych z niektórych akcji dywersyjnych”⁵⁰.

Helena z Reyów – Jabłonowska [też mieszkająca w Przyborowiu] już jako młoda dziewczyna organizowała kursy gospodarcze dla dziewcząt, część swego posagu przekazała dla Legionów Polskich, a w czasie I wojny światowej działała w Wiedniu, pomagając polskim uchodźcom i ofiarom wojny. W okresie dwudziestolecia zakładała na wsiach dziecińce, współpracowała z Akcją Katolicką i Sodalicją Mariańską, skupiającą kobiety, organizowała Koła Gospodyń Wiejskich, działające przy Katolickim Stowarzyszeniu Kobiet Diecezji Tarnowskiej. W czasie II wojny światowej była członkiem „Uprawy” – podziemnej organizacji ziemian, podlegającej AK, gdzie otrzymała pseudonim „Rzepicha”. Opiekowała się obozem w Pustkowie; dostarczała żywność i leki, które uratowały życie wielu więźniom. Jako prezes Oddziału Powiatowego Rady Głównej Opiekuńczej w Dębicy ocaliła wielu młodych ludzi przed wywózką do Niemiec. Jak pisze siostra służebniczka Agnieszka Skrzypek, wykupiła także grupę 22 dzieci – prawdopodobnie żydowskiego pochodzenia – które Niemcy wieźli pociągiem w stronę Lwowa. „Szybko doprowadzono je do klasztoru sióstr służebniczek, które prowadziły szpital. Wieczorną porą dzieci ukryto w popłochu na strychach domów po przeciwnej stronie klasztoru. Następnie wywieziono wozem drabiniastym lasami do Siedlisk-Bogusz i przekazano księdzu, który na niedzielnej mszy świętej ogłosił, że są do odebrania dzieci do pomocy w gospodarstwie”⁵¹.

Po wyzwoleniu, majątek Jabłonowskich został znacjonalizowany, a dwór – zniszczony w czasie wojny – popadł w ruinę. Helena zamieszkała w Krakowie, gdzie zmarła. Jej grób znajduje się w rodzinnym grobowcu na cmentarzu w Straszęcinie.

Wszyscy trzech synowie Heleny i Józefa oraz córka Maria Michalina [ps. „Swing”] działali w partyzantce.

Najstarszy Stanisław [„Dąb”] walczył w szeregach AK. Gdy po wojnie znacjonalizowano rodzinny Przyborów [dawna nazwa wsi: Przyborowie], zamieszkał w Krakowie, a następnie w Warszawie, gdzie zmarł w 2000 roku.

Drugi syn Andrzej ps. „Śmigło” ukończył konspiracyjną podchorążówkę i podczas akcji „Burza” brał udział w walkach II Zgrupowania na Kałużówce. Zginął wczesnym świtem 25 sierpnia 1944 roku w czasie wycofywania się oddziału, gdy niósł rannego Tadeusza Ciszka. „Został pochowany w lesie; po

wyzwoleniu zwłoki ekshumowano i przeniesiono do rodzinnego grobowca w Straszęcinie”⁵².

Najmłodszy Krzysztof również działał w konspiracji; m.in. przewoził swym samochodem broń ze zrzutów włoskich, którą przeładowywano na furmanki i dostarczano do Niedźwiady, gdzie był magazyn broni partyzantów AK. W jednej z takich akcji we wrześniu 1943 roku uczestniczył też Jan Łopucki – syn dziedzica ze Strzegocic, posiadacz wspaniałych koni, który również działał w konspiracji. Łopucki aresztowany w Rzeszowie, przeżył piekło sowieckiego łagru w Stalinogorsku, a po powrocie udało mu się dotrzeć do II Brygady Karpackiej. W 1947 powrócił do Polski, gdzie zrobił karierę naukową jako profesor zwyczajny na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, a także zainicjował badania nad działalnością AK na Rzeszowszczyźnie. W AK działały także jego dwie młodziutkie siostry.

Krzysztof Jabłonowski [„Cis”] ranny w walce z Niemcami został ujęty i więziony w obozach koncentracyjnych. Przeżył i wrócił do Krakowa, gdzie zmarł w 1983 roku.

Jabłonowscy sprzyjali partyzantom i udzielali im różnorodnej pomocy. Mąż Heleny Józef [„Wiąz”] ukrywał poszukiwanych przez gestapo oficerów, pomagał partyzantom, organizował przerzut emisariuszy na Węgry.

Antoni Stańko wspomina, że gdy ósmego sierpnia 1944 roku został zestrzelony nad Dębicą i wylądował przymusowo na polach koło Grabin radziecki samolot, partyzanci wydobyli z wraku pilota i zabrali go właśnie do Przyborowia. „Lotnikiem zaopiekowali się Jabłonowscy z Przyborowia, udzielając mu chwilowego schronienia. Kiedy wrócił do przytomności, dali mu cywilne ubranie i przez Podgrodzie skierowali go do obozu III Zgrupowania. Tutaj dołączył do zwiadu radzieckiego”⁵³.

Władysław Strumski [„Tyran”] w „Dziesiątce w akcji” pisze, że gdy przeprowadzał zbrojną akcję na niemiecki pociąg z Rzeszowa na terenie Głowaczowej, również polecił zaprowadzić rannego „Farysa” do Przyborowia, bo tam zawsze można było liczyć na pomoc partyzantom.

Znaną rodziną ziemiańską byli też Łubieńscy z niedalekiego Zasowa. Gdy za udział w powstaniu styczniowym władze rosyjskie zarekwirowały majątek Witolda Łubieńskiego w Sieradzkim, przeniósł się do Galicji i właśnie w Zasowie [dawna pisownia: Zassów] kupił niewielki majątek. Wkrótce założył tu szkółkę drzew owocowych, którą wnet rozwinął i przekształcił w nowoczesny zakład ogrodniczy.

Konstanty Łubieński wspomina: „Zassów [...] był majątkiem o wyjątkowym uroku. Taka była powszechna opinia. Położony na wzgórku, ostatnim wzgórku podkarpackim w kierunku Wisły, posiadał bardzo rozległy [ponad 2 ha], piękny park. Obok starych buków, jesionów, lip, wierzb płaczących oraz wielu innych drzew i krzewów, rosły tam egzotyczne okazy, jak strzeli-

ste orzechy amerykańskie i kasztany jadalne, które, o dziwo, wytrzymywały najcięższe mrozy [...]. Dom położony w parku był duży, może dlatego zwano go pałacem [...]. Piętro nasadzono na budynek bardzo stary, gdyż sięgający ponoć XVI wieku [...]. Wokół domu, a także w domu, było mnóstwo kwiatów [...]. Park przechodził w szkółki drzew i krzewów ozdobnych, w sady oraz pola róż [...]. Całość przedstawiała się przepięknie”⁵⁴.

Witold Łubieński, jego syn Andrzej i ich następcy przyczynili się do rozwoju sadownictwa w całej okolicy, również w Bobrowej. Szczególnie na tym polu zasłynął Alfred Łubieński, który – po skończeniu Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie – wyjechał na studia ogrodnicze w Genewie, a następnie pracował w różnych znanych firmach szkółkarskich, w tym przy hodowli róż w ogrodach w Wersalu. Wróciwszy do rodzinnego Zasowa, prowadził tu nowoczesną uprawę drzew i krzewów „doprowadzając zakłady zasowskie do poziomu, nieustępującego analogicznym zakładom w zachodniej Europie”⁵⁵.

Inny członek tego rodu – Tadeusz był znany społecznie i patriotą. Wraz z czterema synami wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Najbardziej w walkach z bolszewikami zasłynął wyżej wspomniany Alfred – żołnierz I Pułku Ułanów Krechowieckich, który został odznaczony Krzyżem Walecznych. W czasie II wojny światowej walczył we Francji, a zaraz po powrocie do kraju z niemieckiej niewoli stworzył w Zasowie placówkę AK i został jej komendantem.

Alfred, noszący pseudonim „Iwo”, brał udział w różnych akcjach partyzanckich, jeździł jako furman z księżną Heleną Jabłonowską do obozu w Pustkowie, by – na polecenie władz akowskich – zapoznać się z jego położeniem, a także – w czasie akcji „Burza” – walczył w bitwie z Niemcami w rejonie Gołęczyny. Po rozwiązaniu oddziału ukrywał się wraz z Adamem Czerepakiem w zamaskowanym schronie leśnym. Zginął 12 września 1944 roku podczas przeczesywania przez Niemców lasów w rejonie bitwy. Po wojnie jego zwłoki zostały przeniesione do rodzinnego grobowca w Zasowie.

Konstanty Łubieński – też akowiec, brał m.in. – wraz z grupą około 30 partyzantów Armii Krajowej Obwodu Dębickiego – udział w akcji na niemiecki pociąg urlopowy, którym wracali z frontu wschodniego żołnierze Wehrmachtu. W czasie zamachu, do którego doszło pod Czarną, zginęło 13 Niemców, a kilkunastu odniosło rany. Niestety, hitlerowcy pomścili tę akcję, już nazajutrz rozstrzelując 54 więźniów na nasypie kolejowym obok dębickiej cegielni. Byli to ludzie przywiezieni z okolicznych więzień. Skrępowani drutem kolczastym, nie mieli żadnych szans ucieczki czy obrony. Musieli też na tę zbrodnię patrzeć spędzeni w to miejsce mieszkańcy miasta. Przez kilka dni nie pozwolono pochować zamordowanych.

Już w 1945 roku postawiono w tym miejscu krzyż, potem zwłoki przeniesiono na Cmentarz Wojskowy, a miejsce kaźni upamiętniono obeliskiem, gdzie corocznie odbywają się religijno-patriotyczne uroczystości.

Dobra Łubieńskich w 1944 roku przejęło państwo, a oni – mimo swych zasług – musieli opuścić ukochany Zasów. Majątek tylko w niewielkiej części przekazano chłopom; większość ziemi i dwór przejęło nowo powstałe Państwowe Gospodarstwo Rolne.

Właścicielami sąsiadującego z Bobrową Korzeniowa na przełomie wieków byli Steczkowscy.

Jan Kanty Steczkowski był człowiekiem starannie wykształconym; doktorem praw, pełniącym ważne funkcje państwowe. Prawnik, ekonomista, polityk, specjalista w dziedzinie bankowości był przed I wojną światową dyrektorem Banku Krajowego we Lwowie, później ministrem skarbu i premierem Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego w 1818 roku. Podczas pełnienia tej ostatniej funkcji opracował podstawy aktów normatywnych, które wykorzystał nowy rząd po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Steczkowski hojnie wspierał budowę kościoła w Nagoszynie, był też m.in. fundatorem głównego ołtarza dla tego kościoła. Zmarł wprawdzie w Krakowie, ale w 1930 roku – gdy proboszczem był ksiądz Leon Pyzikiewicz – jego prochy przeniesiono do Nagoszyna i pochowano w grobowcu rodzinnym na dziedzińcu kościelnym.

Dworek Steczkowskich w Korzeniowie odkupili Szeraucowie. Pochodzili z Austrii, ale przenieśli się do Lwowa, gdzie wzbogacili się dzięki rozwijającemu się przemysłowi naftowemu. „Po I wojnie światowej, wybierając obywatelstwo polskie, spolszczyli swe nazwisko z Scherautz na Szerauc”⁵⁶. Leopold Szerauc wraz z żoną Wandą poznaną na Kaukazie przybyli do Korzeniowa i tutaj zamieszkali. Była to rodzina bardzo patriotyczna.

Pułkownik Edward Szerauc podczas I wojny światowej został odznaczony Srebrnym Krzyżem Orderu „Virtuti Militari”, a Leopold w czasie II wojny światowej udzielał schronienia partyzantom i uchodźcom, i – mimo nacisku okupacyjnych władz – nigdy nie podpisał volkslisty. Niestety, nie doczekał wyzwolenia; zmarł w 1943 roku i został pochowany koło kapliczki stojącej nieopodal korzeniowskiego dworku.

Konstanty Łubieński wspomina ryzykowną akcję partyzancką, w czasie której przewieziono z Trzciany do korzeniowskiego oddziału broń ze zrzutów: „Most na Wisłoce i szosa do Korzeniowa. Czujemy się już całkiem bezpiecznie. W Korzeniowie wita nas Jerzy Szerauc i melduje, że w gorzelni melina przygotowana”⁵⁷.

Ów Jerzy Szerauc [ps. „Szary”] był synem Leopolda. Jako żołnierz AK brał udział w partyzanckich akcjach i przechowywał broń akowców. Został uwięziony i przesłuchiwany w więzieniu w Rzeszowie, a następnie zesłany do Ro-

sji, gdzie pracował w kopalniach węgla niedaleko Tuły. Po powrocie z Rosji ożenił się z Cecylią Rey z Przecławia i wyjechał na stałe do Francji.

Adam Asnyk – największy poeta okresu pozytywizmu bywał w Nagawczynie u pełnomocnika majątku Raczyńskich z Zawady – Ignacego Pieniążka, w Jodłowej spędził dzieciństwo znany poeta Mieczysław Jastrun, a w rezydencji Sanguszków w Gumniskach, gdzie gościła m.in. słynna piosenkarka i artystka kabaretowa okresu dwudziestolecia Hanka Ordonówna, kilkakrotnie przebywał też u szwagra Wincenty Pol, autor „Pieśni o ziemi naszej”, w której pytał: „A czy znasz ty bracie młody twoje ziemie, twoje wody?”.

Te właśnie słowa Wincentego Pola wycinałyśmy ze sztywnego brystolu, by je później przykleić – klejem zrobionym z mąki zmieszanej z wodą – na dużym arkuszu pakowego, szarego papieru, podarowanego nam przez „sklepową”, tworząc w ten sposób geograficzną gazetkę klasową. Zamieściliśmy na niej potem z trudem wyłudzone z domu i od znajomych widokówki różnych miejsc w Polsce; oczywiście czarno-białe i ta „gazetka cud” zdobiła naszą klasę przez długi, długi czas.

W bliskim Latoszynie funkcjonował przez wiele lat Zakład Zdrojowo-Leczniczy, do którego przyjeżdżało wielu znanych ludzi z kraju i zagranicy. Lecznicze właściwości wód siarczano-żelazistych doceniono tu już w XVII wieku. Od 1863 roku świetnie prosperował w Latoszynie zakład uzdrowiskowy hrabiego Morskiego, który cieszył się ponoć większą sławą niż Szczawnica i Krynica Górską. Były tu pensjonaty dla kuracjuszy, łaźienki, karczma i wielkie tereny leśne, gdzie odbywano dalekie spacery. Zniszczony przez huragan i pożar, a potem przez działania wojenne w czasie I wojny światowej, został odbudowany i znów – od 1932 roku cieszył się dużą popularnością. W latach II wojny światowej służył żołnierzom niemieckim, ale w końcu został zburzony i do dziś nie doczekał się odbudowy.

W niedalekich Ropczycach urodził się Józef Mehoffer, syn ropczyckiego starosty, znany artysta okresu Młodej Polski, przyjaciel Stanisława Wyspiańskiego. Ten modny wówczas malarz secesyjny wykonywał obrazy olejne, portrety, a przede wszystkim witraże. Możemy je podziwiać w kościele Mariackim w Krakowie, w skarbcu na Wawelu, w Katedrze Łacińskiej we Lwowie czy we Fryburgu.

Jak widać, nasza okolica obfituje w bardzo wiele ciekawych, czasem niedocenianych, a wartych poznania miejsc.

Jeszcze zimne powiewy wiatru przynosiły niekiedy dokuczliwe zadymki, jeszcze gdzieś tam piętrzyły się śnieżne zasy, ale już marcowe promienie lizały ziemię i na wyżej położonych polach zaczynały się roztopy, a na wierzbach i w kępach wikliny srebrzyły się nieśmiało puchate bazie. Spod resztek brudnego śniegu, który na skutek odwilży stawał się miękki i coraz bardziej mizerny, sterczały jeszcze smętnie zeszłoroczne bure badyle, a już w Olszynach pojawiły się pierwsze przebiśniegi, a na łąkach i nieużytkach powiększały się rozlewiska wody z wiosennych roztopów.

Przed domem ostatni bałwan tracił kształty, zapadał się w siebie, kurczył, aż wreszcie stawał się garstką brudnego śniegu na rozmięklej, błotnistej ziemi. Pola jeszcze drzemały po zimowych śniegach, ale nieśmiała wiosna czaiła się już, by wybuchnąć pierwszą zielenią. Również niebo odzyskiwało swój najpiękniejszy kolor jasnego błękitu, a powietrze – świeżość i czystość. I choć było biednie, „głodno i chłodno”, bo przecież trwał przednówek, to jakaś niejasna nadzieja i radość ogarniała zasmęcone ludzkie serca.

Pachniała świeżością rozmiękła ziemia, rodziły się żrebaki i cielęta, które troskliwe gospodynie uczyły ssać, podpychając je pod ciężkie wymiona ich matek. Niekiedy poród bywał trudny, wtedy wołano na pomoc sąsiadów. Mężczyźni zawiązywali na nogach cielątka mocny sznur i ciągnąc co sił, wydobywali z rozdętego łona rodzącej krowy mokrego malucha. Gospodynie spuszczały siarę, czekając cierpliwie, by znów można było doić pachnące, pożywne mleko.

O tej porze roku najbardziej odczuwało się też smak chleba, zwłaszcza, że w wielu rodzinach już go brakowało. Upieczone bochenki były zamykane w kredensie na klucz i tak jak cukier wydzielane domownikom przez gospodynie. O wielu rodzinach mówiono, że „maszczą sobie jedzenie zębami”, bo domownicy spożywali sam postny barszcz i nieomaszczone ziemniaki.

A „zimioki” przechowywane przez zimę w piwnicach były pomarszczone, miękkawe i zaczęły wypuszczać bladożółte „kiły”, które musieliśmy co-

dziennie obrywać. Ale zaraz też biegliśmy nad ukochaną rzeczkę, już czystą i wolną od lodu. Cieszyliśmy się, bo w powietrzu czuć było nieuchwytny zapach przedwiośnia, a namoknięta ziemia szybko wysychała w promieniach słońca. Tylko w kałużach na gościńcu wciąż stała brunatna, mulista woda.

„Na świętego Grzegorza idzie zima do morza” – mówili mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa, z nadzieją czekając na każdy nowy dzień. I choć czasem ranki witały nas deszczem, uśmiechaliśmy się radośnie, bo przecież obmywał świat z pozostałości zimy.

„Marzec siadł przy drodze, czeka na wiosenkę, a deszczyk mu moczy zieloną sukienkę” – można było przeczytać w starym podręczniku mamy. I rzeczywiście często całą noc cichutko szeleścił ciepły kapuśniaczek, budzący do życia i pola, i drzewa, i trawy. W zdziczałym sadzie wiśniowym na gałązkach pojawiły się pierwsze, drobne pąki. Strząsaliśmy z tych gałązek, całych w deszczu, zimne krople rosy i nieśliśmy je do domów, by – ułożone w glinianym dzbanku – rozwinęły białe kwiatki w sam czas Wielkiej Nocy.

Przez okna „obramowane” nieśmiałą jeszcze, dopiero wykluwającą się zielenią oglądaliśmy marcowy świat. Niekiedy wstawał pogodny dzień, a niebo, zaróżowione pierwszymi promyczkami słońca, zapowiadało, że nadszedł już na pewno „czas radosny oczekiwania wiosny”. Nocne przymrozki skrzyły jeszcze wyblakłą trawę, lecz na gałązkach drzew lodowe kryształki przekształcały się w kropelki rosy, lśniące jak najprawdziwsze perły. Jednak na całkowite odejście zimy trzeba było jeszcze trochę poczekać.

Przednówek trwał na dobre, głód coraz częściej zaglądał do chałup, starzy ludzie wychodzili do ogródka i wystawiali na pojawiające się nieśmiałe słoneczko swe poszarzałe twarze, odstawiali blade ręce i nogi, czasem pełne różnych „guzłów”, sińców i ropiejących ran. Dzieci biegały po podwórzach, ciesząc się z każdej ciepłej chwili, choć i na nich zima odcisnęła swe piętno; świadczyły o tym czerwone, swędzące krostki „pokrzywki”, krzywicze pałkowate nogi i wydęte brzuchy, odmrożone dłonie i nosy, a także nieustający katar i kaszel. Sprzyjały tym różnym dolegliwościom zimne marce, które zdarzały się często; marce paskudnych pogód, ślimaczających się roztopów, brudnego, mokrego śniegu długo zalegającego zacienione miejsca, do których nie docierały żadne słoneczne promyki. Ten przedwiosenny czas był też niekiedy okresem groźnych powodzi, zimnych, przenikających do szpiku kości wiatrów, a także poważnych chorób, gnębiących szczególnie ludzi starych.

Chorowały też bardzo często dzieci, które już przy pierwszym wiosennym, ale przecież jeszcze zdradliwym podmuchu zdejmowały czapki, szaliki i kurtki. Również ze względu na trudne warunki życia, brak odpowiedniego odżywiania, niedobory witamin wiele maluchów miało krzywicę, dopadały nas typowe choroby wieku dziecięcego: męczący koklusz, szpecąca paskudnymi strupami i pozostawiająca ślady zwane „dziubamy” oспа, wyso-

kogorączkowa odra, różne przeziębienia, anginy i grypy, ogromnie bolesne, „szczykające” zapalenia uszu i gardła. Zdarzały się też – budzące największy niepokój rodziców: szkarlatyna zwana też płonicą, krup, czerwotka czyli dżynteria, Hayne-Medyna czyli wirusowe zapalenie rdzenia kręgowego, czy błonica [dyfteryt] atakująca gardło i dlatego nazywana też dławcem. Niekiedy w zabrudzone rany wdawała się śmiertelna gangrena, dręczyła też dzieci, a także dorosłych zdradliwa gruźlica zwana suchotami, zbierająca tuż po wojnie obfite żniwo. Chory „na płuca” czyli na gruźlicę „dychurz” „chyrłot się”, czasem nawet pluł krwią, aż ktoś wreszcie go przekonywał:

– Ale cie „haruje”! Idźże do lykorza.

I zdesperowany delikwent z duszą na ramieniu zjawiał się u któregoś z dębickich lekarzy, zawieszony tam przez kogoś z rodziny na wozie, pod pierzyną. Najczęściej zaraz na początku zaznaczał, że absolutnie nie zgodzi się pod żadnym warunkiem iść do „śpitała”. Jak ma już umrzeć to w domu, pod świętymi obrazami, wśród najbliższych.

Z pomocy lekarzy korzystano tylko w bardzo poważnych przypadkach, gdy wszystkie domowe sposoby zawiodły. Nie było to bowiem łatwe, bo opieka medyczna była słabo rozwinięta, a dotarcie do lekarza bardzo uciążliwe. Na szczęście mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa mogli szukać pomocy np. w Nagoszynie, gdzie mieszkał znany w okolicy lekarz Dygdoń, który osiedlił się tu z żoną i dwiema córkami – ślicznymi, ale bladymi, chudziutkimi i kruchymi; wydawało się nam, że złamie je jeden silniejszy podmuch wiatru. „Dochtur” Dygdoń zrezygnował z życia w mieście i osiadł w Nagoszynie, gdzie świeżego powietrza dla wątłych córek było pod dostatkiem; stał się też wybawieniem dla wielu chorych z całej okolicy. Można było wezwać go o każdej porze dnia i posłać po niego furmankę lub sanie, a on zawsze przyjeżdżał i starał się zaradzić złu. Przyjmował też potrzebujących w swym domu, choć nie nadużywano jego dobroci i gotowości do poświęceń, czekając do ostatka z wiarą, że może choremu pomogą domowe sposoby lub modlitwy zanoszone w jego intencji. Zanim doktor Dygdoń zamieszkał w Nagoszynie było jeszcze gorzej.

„Swok” Lina – uczestnik obydwu światowych wojen – dziwuje się: „Teraz we wsi doktory, aptekarze, inżynierzy – kto to kiedy widział”¹.

W poważnych przypadkach wieziono chorego do Dębicy. Tu w 1929 roku przy ulicy 1 Maja [dziś Kolejowa] powstał Miejski Ośrodek Zdrowia z inicjatywy doktora Lica, który przyjmował nie tylko chorych z miasta, ale też z okolicy; zapamiętany został jako człowiek szlachetny i gorliwy. Od 1930 roku leczył tam też specjalista położnictwa, okulistyki i chirurgii, działacz PCK, ginekolog Aleksander Mikołajków, który w czasie wojny uratował 13 Żydów, ukrywając ich w swoim domu. Zginął w Braciejowej 24 sierpnia 1944 w czasie akcji „Burza”. W 1946 roku zamieszkał też w Dębicy Karol Sęczyk, uczestnik trzeciego powstania śląskiego, współpracujący z AK na Śląsku, znany dentysta, który od

1953 roku kierował też Oddziałem Pogotowia Ratunkowego. Od 1954 roku rozpoczął działalność Szpital Powiatowy, który mieścił się przy ulicy Krakowskiej, w budynku odebranych siostrom zakonnym.

Ale z takiej profesjonalnej pomocy lekarskiej korzystano tylko w najcięższych przypadkach. Nie było zwyczaju częstego odwiedzania lekarzy, którzy byli postaciami niemal egzotycznymi; nie znano ich dokonań i losów, choć wielu z nich zasłużyło na miano bohaterów.

Do takich postaci należał m.in. lekarz Stefan Zdanowski – ps. „Wojak”, członek AK, szef służby sanitarnej Placówki Dębica, a po wojnie pełnomocnik PCK. Aresztowany w roku 1949 roku za działalność niepodległościową na 6 lat, po amnestii wrócił do Dębicy, gdzie w 1955 roku został ordynatorem oddziału wewnętrznego Szpitala Powiatowego.

Innym takim cichym bohaterem był lekarz Jan Szymaszek – też członek AK, zastępca służby sanitarnej obwodu Dębica, a w czasie akcji „Burza” lekarz III Zgrupowania w Gołęczynie. Po wojnie był organizatorem, a potem kierownikiem dębickiego Prewentorium dla dzieci zagrożonych gruźlicą, a także [od 1954 roku] organizatorem i ordynatorem oddziału gruźliczego szpitala i Poradni Przeciwgruźliczej.

Znaną w okolicy postacią był też pierwszy dyrektor Szpitala Powiatowego w Dębicy Julian Maj; w czasie wojny chirurg II Korpusu generała Władysława Andersa, uczestnik bitwy pod Monte Cassino, a od 1947 roku dyrektor i ordynator oddziału chirurgiczno-położniczego szpitala przy ulicy Bojanowskiego. Julian Maj za sprzeciwianie się odebraniu budynku klasztornego Siostrom Służebniczkom i zamianę go na szpital – gdyż to przesunęło plany budowy nowej placówki szpitalnej – został usunięty ze stanowiska dyrektora.

Sposób wyrzucenia zakonnic z ich klasztoru był w wiosce mojego dzieciństwa żywo komentowany. Choć władze starały się ukryć ten proceder, ktoś z bobrowian, będący akurat w Dębicy 24 sierpnia 1954 roku widział, jak oddziały milicji i UB wkroczyły do klasztornego kościoła, gdy odbywało się tam poranne nabożeństwo. Zabrano na posterunek milicji księdza Teofila Deca, Matkę przełożoną, i siostrę, która szarpała za sznur od dzwonu wzywającego „na trwogę”. Przerażone zakonnice zaryglowały drzwi do budynku klasztornego, modliły się i w oknach stawiały święte obrazy. Jedna z nich lała wodę na szturmujących, inne wzywały pomocy. Wokół zebrał się tłum wznoszący okrzyki przeciwko władzy, ale szybko został spacyfikowany. Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Wreszcie przy pomocy strażackiej drabiny milicjanci wdarli się przez okno na piętrze i zmusili siostry do opuszczenia budynku. Przeprowadzono szybki remont i otworzono szpital powiatowy, a dębickie Służebniczki ulokowano w budynku po starym, nędznym szpitaliku.

Wraz z doktorem Majem od 1952 roku pracował ordynator oddziału ginekologiczno-położniczego Ryszard Krawczyk.

Znaną postacią był też lekarz Kazimierz Gradziński ps. „Helios” – w czasie wojny szef służby sanitarnej obwodu dębickiego AK. Od 1940 roku był kierownikiem ambulatorium PCK, dochodzącym lekarzem obozowym w Pustkowie, a także lekarzem II Zgrupowania na Kałużówce. To on – słusznie nie ufając Niemcom, którzy wbrew konwencjom dobijali rannych – zaprotestował przeciwko planom dowództwa Zgrupowania, by ciężko rannych po bitwie na Kałużówce zostawić w lesie pod znakami Czerwonego Krzyża. Po wojnie lekarz Gradziński zamieszkał w Szczecinie.

Bobrowianie cenili też – wielce zasłużonego, świetnego pediatrę Tomasa Gąsiora. Ten absolwent dębickiego gimnazjum, lekarz medycyny, w czasie wojny działał w szeregach ZWZ AK [ps. „Odys”], pełniąc funkcję zastępcy służby sanitarnej w placówce AK w Brzezinach, a także zastępcy delegata powiatowej administracji cywilnej w powiecie dębickim.

Jeszcze inny z lekarzy, Stefan Bartuś – znany doskonale mieszkańcom wioski mojego dzieciństwa – był działaczem PCK, a od 1948 roku organizatorem i kierownikiem Stacji Pogotowia Ratunkowego.

Wymienieni lekarze – choć rzadko korzystano z ich pomocy – zapisali się na zawsze w pamięci wdzięcznych bobrowian jako świetni specjaliści, sumienni, niezwykle uczciwi, szlachetni ludzie.

Wielu starych mieszkańców wsi chętnie się tym, że nigdy nie leczyli się u lekarzy ani nie byli w szpitalu. Wielu też miało do końca życia mocne zęby i serca, nie było prawie chorób cywilizacyjnych i wypadków w ruchu drogowym. „Jeździć po doctorach” było prawie wstydem, kaprysem, narażaniem siebie i rodziny na wielkie wydatki. Ludzie byli przekonani, że ból wpisany jest w los człowieka żyjącego „na tym łez padole”, że od cierpienia nie ma ucieczki, trzeba je przyjąć tak jak śmierć, która dosięgnie przecież każdego. Trzeba zaufać Bogu, bo tylko wiara pozwala nadać cierpieniu i śmierci właściwy sens. Do ciężko chorego wzywano więc najpierw księdza, a potem dopiero lekarza.

Rzadko korzystano też z leków aptecznych. Gdy okazywały się konieczne, trzeba było po nie jeździć do dębickiej apteki Włodzimierza Gardziela. Starano się jednak przede wszystkim leczyć domowymi sposobami, znanymi od pokoleń; przydawały się rozgniecione kapuściane liście na okłady, sok z kiszzonej kapusty, herbatki lipowe, rumiankowe, z dziurawca, z szałwii, z malin czy suszonych borówek, gorący rosół z kogutka, ciepłe mleko z „czostkiem” lub z miodem i jajkiem, wywary z ziół: z babki, z krwawnika, ślazu czy skrzyptu, cebulowe syropy, woda z solą do płukania gardła, pieprzówka na bóle żołądka, zimne ostrze noża przykładane na nabite guzy, szmatka nasączona octem na rozpalone gorączką czoło, a także stawianie baniek czy pijawek.

Piotra z powieści „A jak królem, a jak katem będziesz” właśnie takimi domowymi sposobami – po weselnej bójce – leczyły matka i żona: „Nacie-

rały mnie denaturatem, i bimbrem, smarowały maściami robionymi z ziół i masła. Poszło parę kur i gołębi młodziaków na rosoły i zupy”².

Bańki lekarskie były rzeczą bardzo cenną i tylko parę osób we wsi je posiadało. Zapraszano do domu sąsiadkę mającą takie bańki i umiejącą je stawiać, co nie było sprawą łatwą. Trzeba było wiedzieć, w którym miejscu na ciele można je umieścić, jak to zrobić, by się dobrze trzymały, by nie poparzyć chorego i w odpowiednim czasie bezboleśnie je pozdejmować.

Specjalistkę od baniek zawsze przyjmowano z serdecznością i atencją. Już wcześniej przygotowywano potrzebne przybory. Stolik obok łóżka chorego nakrywano obrusem, w szklance wypełnionej ziarnem umieszczano świeczkę, a obok kładziono zapaliki, trochę denaturatu w metalowym pudełeczku i patyczek leszczynowy owinięty kawałkiem waty. Sąsiadka zapalała świeczkę, moczyła w denaturacie koniec patyczka z watą, podpalała, a potem szybko przecierała nim wnętrze bańki i przykładła do pleców chorego. Gdy plecy obrosły już bąblami baniek, a delikwent pociał się „przykryty z uszamy” pod grubą pierzyną, był czas na herbatę i chwilę rozmowy. Jeszcze tylko należało sprawdzić, czy wszystkie bańki dobrze się trzymają i – ewentualnie – dokonać poprawek. Gdy zdarzało się jakieś ciężkie zapalenie, „ciągnęły” szybko znajdujące się pod nimi ciała, które w tych miejscach przybierało sinofioletowy kolor.

Sąsiadka uspokajała chorego, że na pewno wkrótce mu się polepszy, kończyła sączyć herbatę i pogadywała z domownikami – najczęściej o różnych chorobach – by po kilkunastu minutach ściągnąć bańki i uwolnić delikwenta. Wystarczyło naciskać palcem skórę tuż przy brzegu bańki, by powietrze dostało się do środka i wtedy łatwo odchodziła. A chory rzeczywiście prawie zawsze odczuwał poprawę samopoczucia i obniżenie gorączki.

Bardzo często takim „uniwersalnym” domowym lekarstwem był też na wsi alkohol. „Wódka była nieodzownym towarzyszem chłopca i każdego domu: wódką leczono chorych, nawet niekiedy usypiano dzieci dodając kilka kropli do kostki cukru, zawiniętej w szmatkę obwiązaną nitką i pełniącej rolę smoczka, rozgrzewano kieliszeczką zmarzniętego, wzmacniano osłabionego, a także zalecano wódkę na zmartwienie”³. Mówiono wtedy: „Na fra-sunek dobry trunek”.

Najczęściej stosowanymi lekami aptecznymi były krople inoziemcowe, biorące swą niewinną nazwę od uczonego Innoziemcowa, a będące mieszaną strychniny, nalewki z rzewienia, glistnika i opium, a także krople miętowe „nakapane” na łyżeczkę cukru, „proszek” z kogutkiem czy z krzyżykiem, olejek rycynowy czy kamforowy, jodyna, spirytus salicylowy. Ukojenie przynosiły też matczyne dłonie, gładzące nasze główki i cichutko szeptane słowa otuchy.

A po epidemii koklusz, która zapanowała wśród dzieci z wioski mojego dzieciństwa, rodzice zabierali nas do Olszyn, byśmy mogli pooddychać świeżym, uzdrawiającym powietrzem.

Starzy ludzie zazwyczaj z pokorą znosili choroby, uważając, że to nieodczyny towarzysz późnego wieku. Bali się tylko samotności, bo nie mieć się o kogo martwić, nie mieć dla kogo żyć to było prawdziwe przekleństwo. Ale rodziny były zazwyczaj wielodzietne, a staruszkowie czuli się w nich dobrze; byli przecież najczęściej użyteczni – pilnowali domu, kołysali niemowlęta, karmili kaczki, kury i gęsi, i wykonywali drobne prace porządkowe. Liczono się z ich zdaniem, pielęgowano w chorobie, otaczano szacunkiem.

Nie było prawie przypadków, żeby starymi ludźmi pogardzano lub źle ich traktowano. Nie mówiono o nich zimno: „seniorzy”, nikt też nie wyobrażał sobie nawet możliwości wysyłania staruszków do domów opieki; byli kochanymi dziadziusiami, babciami, wujciami, którzy starali się do końca swych dni pracować, a przede wszystkim sami też obdarzali bliskich opieką i miłością. Często – mając duży багаż doświadczeń; zwłaszcza wojennych oraz dystans do wielu spraw – potrafili młodszych zarażać optymizmem, nadzieją i wiarą w przyszłość.

Traktowali życie jako dar, którym chcieli dzielić się z bliskimi, modlili się dużo w intencji rodzin, odwiedzali krewnych, i znajomych – a znali prawie wszystkich mieszkańców wioski – snuli wspomnienia i „polytykowały”. Spokojnie też czekali na śmierć. Głęboko wierzący, ufający Bogu, pogodzeni z losem i z naturalnym biegiem czasu, z pokorą „nieśli swój krzyż” akceptując odwieczny tragizm istnienia; umieli też cieszyć się każdym drobiazgiem i zazwyczaj czuli się szczęśliwi. Z nadzieją i wiarą patrzyli w niebo, czekając na dzień, na noc, na słońce, na deszcz, na to, co Bóg da. I z oddaniem pracowali, dopóki tylko mogli. Gdy brakło im sił, siadywali na łóżku lub na ławeczce przed domem i z rękami ułożonymi „na podołku” patrzyli gdzieś w dal, jakby nieobecni, cisi, akceptujący swą starość i niemoc.

Jeden z Mikołajkowych bohaterów – Kalita mówi: „Zastanawiam się, o czym marzył nasz dziadek. Starowina wódki nie pił [...], na ścierni nie został po nim ani jeden kłosek, jego snopki z małymi knybelkami, wydmuchane, wymuskane, słynne były na całą parafię [...]. Jak umierał, miał blisko dziewięćdziesiątkę, długo przedtem leżał, narobiła się kupa odleżyn – nigdy słowa nie pisnął. I umarł szczęśliwy. Zastanawiam się teraz, o czym on marzył, na jaką przyjemność sobie pozwalał.

– Bo ja wiem? – Żenia też się zamyślił – Niemożliwe przecież, żeby człowiek całe życie przeżył bez jednej przyjemności. Jego chyba cieszył deszcz w maju, pogoda we żniwa...

– To cieszy każdego chłopca – przerwał Cok”⁴.

Gdy nas, dzieci – dopadały wiosenne kaszle i katary, gorączki i dreszcze, nasze mamy „pakowały” nas pod ciepłe pierzyny i zaczynały domowe leczenie. Herbatki, jakieś „proszki”, okłady, a przede wszystkim dobre, matczyne ręce, głaszczące nasze rozpalone czoła sprawiały, że chorowanie bywało na-

wet przyjemne. Mogliśmy wtedy trochę grymasić, a mamy starały się nam dogadzać przynosząc co chwilę, a to jabłko, a to cukierka, a to śmietankowy budyn czy kromkę świeżego chleba ze śmietaną i z cukrem. A po paru dniach już uciekaliśmy z izby „na dwór”.

Wszyscy czekali na cieplejsze wiosenne dni i ozdowieńcze promyki coraz to mocniejszego słońka. Uważnie obserwowano pogodę w dniu 10 marca, bo przecież „Czterdziestu Męczenników jakich, czterdzieści dni takich”. I martwiono się, gdy wtedy było zimno i wietrznie. Ale nam, dzieciom – nie przeszkadzały zimne dni; wybiegaliśmy na podwórka, by bawić się, jak co dzień: spotykać się z kolegami, dokazywać, gonić się „na wsi” za rzeczką, szaleć za piłką, która czekała gdzieś w kącie od późnej jesieni.

By zapobiec niektórym chorobom, mamy karmiły nas przydziałowym tranem – plagą naszego dzieciństwa, podawanym codziennie wielką łyżką; obrzydliwie śmierdzącym i tłustym oraz „winem żelaznym” – rdzawym płynem, zawierającym żelazo; słodkawym i nawet dość smacznym. Miał dostarczać żelaza do budowy kości i chronić przed krzywicą, która wydymała dziecięce brzuszki, krzywiła słabe kręgosłupy i koślawiła nogi. Dzieci często miały też odmrożone nosy, ręce i palce stóp; czerwone i bolące. Wierzono, że słońko będzie tu najlepszym lekarstwem, więc rodzice chętnie wypuszczali nas na dwór.

Ponieważ wciąż szerzyły się groźne dziecięce epidemie, wprowadzono obowiązkowe szczepienia, których baliśmy się jak diabła święconej wody. Szczepiono nas na ospę, gruźlicę i chyba na dyfteryt. Zawsze trzęśliśmy się ze strachu na widok zajeżdżającego przed szkołę samochodu z charakterystycznym znakiem Czerwonego Krzyża i pań w białych kitlach szykujących przerażające narzędzia tortur. Niektórzy nawet uciekali ze szkoły, ale napiętnowani przez rodziców wracali, by oddać się w ręce pielęgniarek; surowych i poważnych, rozdrapujących specjalnymi „stałówkami” na naszych ramionach okropne ślady, które później ropiały i zabliźniały się grubymi strupami. Po ich odpadnięciu pozostały nam już na zawsze szpecące i nieusuwalne blizny. Moje pokolenie nosi je do dziś jako pamiątkę socjalistycznej troski państwa o nasze zdrowie.

Wielkim problemem były też bolące zęby, na którą to straszliwą dolegliwość cierpieli i dorośli, i dzieci. Wtedy prawie każdy – jak to i dziś bywa – chętnie udzielał cierpiącemu jakichś rad, które zazwyczaj okazywały się nieskuteczne. Gdy więc po zastosowaniu wszystkich możliwych środków – od pocierania popiołem, po znieczulanie spirytusem – bolący ząb dalej dokuczał tak, że nie można było wytrzymać, zaczęto na nim mocną nitkę, którą przywiązywano do klamki, a potem – niespodziewanie – gwałtownie otwierano drzwi. Delikwent nawet nie zdążył krzyknąć, gdy wyrwany ząb już dyndał na nitce. Jednak w przypadku zębów trzonowych – niestety – tej prostej metody nie dało się zastosować, więc w końcu udawano się do dentysty.

W wiosce mojego dzieciństwa jeden z mieszkańców trudnił się po amatorsku tą profesją. Ponoć w czasie okupacji Niemcy zorganizowali w jego domu gabinet dentystyczny dla żołnierzy. Ponieważ tych najbardziej krewkich lub tchórzliwych trzeba było mocno przytrzymywać, niemiecki dentysta wzywał do pomocy gospodarza. Ten mógł więc wielokrotnie przyglądać się owej „operacji”. Niemcy – uciekając w panice przed zbliżającym się „Iwanem” – pozostawili dentystyczne narzędzia, które przecież nie mogły się marnować, gdy było tylu potrzebujących. Nowy ich właściciel został więc dentystą.

Pewnego razu ojciec zawiózł i mnie do jego domu, by wyrwać popsute ząb. Bolało straszliwie, bo przecież nie było żadnego znieczulenia, a umiejętności i narzędzia owego „dobroczyńcy” nie były chyba najlepsze. Ale w tamtych czasach był on osobą bardzo cenioną i bardzo pożądaną. Nie brał pieniędzy. To były tylko czyny miłosierne wobec potrzebujących bliźnich. A że bolało? Trudno. Wiele rzeczy bolało.

A o zęby niezbyt dbano. Małe dzieci nie miały szczoteczek ani pasty. Czasem kupowano proszek do mycia zębów, przypominający kredę. Można było nim pocierać zęby palcami; często też służył do wybielania naszych „usmarowanych” tenisówek. Dopiero później kupowało się drapiące szczoteczki i jedyny rodzaj pasty; szarej, grudkowatej, o smaku wapna i zapachu mięty.

Rzadko zęby leczono; najczęściej – gdy bardzo bolały – wyrywano. Wiele było szczerbatych uśmiechów, nie tylko u dzieci, ale też u dorosłych. Niekiedy, gdy ból zębów stawał się nie do zniesienia, a nie zaradził bobrowski fachowiec, decydowano się na wizytę u Anny i Mariana Hoszardów; później też u dentysty Karola Sęczyka.

Marian Hoszard był technikiem dentystycznym, już przed wojną mającym swój stomatologiczny gabinet przy ulicy Słowackiego w Dębicy i tam w ostateczności zjawiali się z duszą na ramieniu również mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa. Anna Hoszardowa prowadziła w swym domu pierwszy w Dębicy zakład kosmetyczny, ale pełniła też rolę asystentki męża.

Mama wspominała taką wizytę, w czasie której zemdląca ze strachu i bólu, bowiem najczęściej przy wyrywaniu zębów nie stosowano znieczuleń. Bywało też, że bolący ząb dentysta próbował ratować, boleśnie go borując i zabezpieczając „blombom”, lub zakładając „żelazno korone”.

W pierwszych latach po wojnie plagą dotyczącą dzieci była wszawica, a „iskanie” główek dziecięcych przy pomocy specjalnego kościanego grzebienia o gęstych zębach, zwanego „wszorzem”, było codziennym zabiegiem pielęgnacyjnym wykonywanym przez wiele mam. Idąc przez wieś gościńcem, można było obserwować te mamy siedzące na schodkach i przeglądające włosy swym córkom, które kucaly przy nich z główkami na ich kolanach. Bo tę „operację” wykonywano często na podwórkach, do słoneczka. Wspólne wysiłki rodziców i nauczycieli, akcje propagandowe, poprawiające się wa-

runki sanitarne i możliwość zaopatrzenia się w środki zwalczające tę plagę, przyniosły wkrótce dobre rezultaty.

Dużo dzieci i dorosłych nosiło ślady skaleczeń, stłuczeń, ukłuć czy oparzeń. Brzydkie blizny, głębokie szramy, krosty, powbijane „drzyzgi”, „parchy” i sine plamy „zdobiły” prawie wszystkich. Na skutek wojny pojawiły się nowe znamiona: blizny od kul, ślimaczące się rany po odmrożeniach, urwane palce, kontuzjowane nogi czy inne ułomności, a także odwieczne choroby, znajdujące podatny grunt w tużpowojennych wsiach: różnego rodzaju paraliże, padaczka zwana „wielką chorobą”, „rwanie w kościach”, „puchlyna”, „boloki”, „świąd”, skręt lub „kater” kiszek, płasawica czyli choroba świętego Wita i wiele, wiele innych.

Dużo też było chorób ukrytych, nierozpoznanych, nieleczonych, prowadzących do przedwczesnej śmierci. Zdarzały się też nieszczęśliwe wypadki przy pracach polowych, bo tych samochodowych jeszcze nie było.

A ból towarzyszył codziennie wielu ludziom; był czymś oczywistym, naturalnym. Jak ktoś powiedział, najgorszy był taki ból, co nigdy „nie spał”, który w każdej chwili przypominał o sobie, czyhał, nie opuszczał człowieka ani na moment. Takiego bólu doznawali np. cierpiący na różnego rodzaju nowotwory, na które nie było lekarstwa ani środków uśmierzających.

Długo mieliśmy w pamięci straszliwe krzyki jednego z sąsiadów umierającego na raka.

Każdą śmierć przyjmowano z pokorą i determinacją; bo widocznie tak musiało być, bo przecież to Bóg jest Panem życia i śmierci, to on wyznacza czas i chwile darowane ludziom, i żaden bunt tu nic nie pomoże. Przychodzimy na ten świat i odchodzimy, gdy On wskaże godzinę. Ważne, żeby zostawić po sobie jakiś ślad dobra, poświęcenia i miłości.

W wiosce mojego dzieciństwa chorowali nie tylko ludzie, ale i zwierzęta. Spustoszenie siały: różycy, pomór, parchy, pypcie, ochwat, pryszczycy i inne zwierzęce zarazy.

Trwały właśnie wczesnowiosenne, słoneczne dni, przesyczone wonią ropulchłej ziemi, gdy w mojej Bobrowej było szczególnie smutno i pusto. Epidemia pryszczycy dziesiątkowała codziennie stada świń. Właśnie wybierano z gnojowisk parujący nawóz, by go przewieźć na pola, zabierano się do siewów i wiosennych upraw, gdy nadeszły wieści o szerzącej się epidemii. Ludzie zbierali się po opłotkach, pełni niepokoju i obaw o swoje trzody. Pojawiły się okólniki przekazywane od domu do domu, wzywające na zebranie w ludowcu. Władze zarządziły stosowanie różnych środków ostrożności i przedstawiły symptomy, po których można było rozpoznać tę straszną chorobę. Poinformowano też, gdzie należy odstawiać zarażone sztuki i przestrzegano przed ukrywaniem pojawiającej się epidemii. Zalecono też ograniczenie kontaktów wśród ludzi. Wkrótce potem na gościńcu rozłożono

słomiane maty, nasączone odkażającymi środkami o ostrym zapachu, a na furtkach gospodarstw, gdzie pojawiła się zaraza, przymocowano ostrzegawcze napisy: „Uwaga! Pryszczycza”!

Mimo stosowania się do zaleceń władz, zaniechania odwiedzin, unikania kontaktów z tymi, u których w gospodarstwach wykryto pryszczycę; zaraza rozprzestrzeniała się szybko i dotknęła wiele bobrowskich gospodarstw. Co kilka dni przyjeżdżał do wsi „weteryniarz”, lokalizujący epidemię i decydujący o odstawianiu chorych zwierząt na wyznaczone miejsce.

Wszyscy byli przerażeni i liczyli straty spowodowane tą straszną chorobą, bo przecież już od końca XIX wieku, jak pisze Leopold Harla: „Bobrowa zasłynęła jako ośrodek trzody chlewnej”⁵. Wraz z powstaniem nowoczesnej dębickiej rzeźni bobrowscy rolnicy uzyskali nowy rynek zbytu: sprzedawali świnie na bekony eksportowane do Anglii. Były to specjalnie hodowane prosięta, które musiały mieć chude mięso i odpowiednią wagę. Ceny były dość wysokie, więc pomór świń stanowił wielką stratę. Gdy zaraza wreszcie minęła, zagrody zdezynfekowano i uprzątnięto, a ludzie – choć ponieśli duże straty – odetchnęli z ulgą i znów gościńcem ciągnęły do punku skupu wozy, a w kielniach pochrząkiwały dorodne prosiaki.

Marzec był jednak przede wszystkim czasem narodzin. W specjalnie przygotowanych wiklinowych kojcach kury, kaczki i gęsi wysiadywały jaja. Takie kojce stały w sieniach lub nawet w izbach. Ze zniecierpliwieniem czekaliśmy na czas wylęgu i patrzyliśmy z ciekawością, jak na „wysiedzianych” jajkach, ozdobionych kawałkami poprzyklejanych piórek, pękają skorupki i wyglądają z nich żółte, puchate kuleczki, które po chwili wyskakiwały na chwiejne nóżki i robiły pierwsze drobne kroczki, spoglądając wokoło ciekawie czarnymi, okrągłymi oczkami. Zadowolona gospodyni drobiła gotowane na twardo jajka, sypała je na rozłożoną gazetę i zaganiała rozłazące się po izbie maleńkie kurczaczki, kaczuszki czy „pilusie”. I już biegła do stajni, bo tam nowo narodzona „cielysia” na niezgrabnie rozkraczonych nogach na próżno próbowała pić ożywczą siarę z nabrzmiątych dojków matki. Gospodyni, sprawnie podsuwając swój palec, uczyła tej sztuki bezradnego malca. Krasula stała cierpliwie, liżąc szorstkim językiem zlepioną jeszcze sierść swego dziecka. A na podwórku już brykało młode źrebiątko, z uśmiechem oglądane przez idących gościńcem. Zobaczyć na wiosnę źrebaka wcześniej niż jakiś nowo wykluty drób to była wspaniała wróżba na cały rok; można było mieć nadzieję, że będzie się silnym i żwawym jak to źrebię, a nie wątłym i słabym jak pisklę. Podchodziliśmy więc do samego płotu, żeby podziwiać dzikie harce pięknego, cienkonogiego źrebaka. Biegliśmy też w pola ścieżką obok Piękosiewego domu, gdzie za ukrytym w trzcinach małym stawkiem najwcześniej pojawiały się niziutkie, brązowo kwitnące maleńkimi, niepozornymi kwiatuszkami „żydy” zwane też „boćkami”, a wkrótce – właśnie tu

najobficiej zakwitające białe stokrotki i żółte mlecze. Powietrze niesło ciepłe powiewy, ale pola były jeszcze szare, z dopiero co blade zazielenioną ozimną. Wokół panowała cisza i nagle ozywał się jakby jakiś srebrny dzwoneczek – głos skowronka. I było naprawdę jak u Reymonta, który pisał:

„Aż z tej omdłej szarości [...] wystrzelił nagle głos skowronkowy... Wy-rwał się gdziesik z roli, zatrzepotał skrzydłami i jął świergotać, jako ta z czy-stego srebra sygnaturka, jako ten wonny pęd wiośniany tlił się na bladym niebie, bił w górę, wiośniał, iż w onej świętej cichości wschód rozdzwaniał się na cały świat”⁶.

Prawie zawsze w dniu imienin ojca: 19 marca – na świętego Józefa, opie-kuna rodzin – była ciepła, słoneczna, prawdziwie wiosenna pogoda. Bawi-łyśmy się z koleżanką Luśką jej przyslaną z Ameryki piękną lalką. To cudo miało wielkie, niebieskie oczy, które naprawdę mrużyło, prawdziwe wło-sy i miękkie, gumowe ciało obleczone w śliczną sukieneczkę. Nasze lalki były brzydactwami uszytymi z jakiś szmatek, z trocinowym wnętrzem oraz z pomalowanymi byle jak jakąś farbą oczami i buzią. Używało się też do tej „operacji” niezmywalnego ołówka „atramentowego”, który przed użyciem należało poślinić. Ponieważ nic nie można było już poprawić, bo zostawiał on trwałe ślady, nasze lalki miały zazwyczaj wątpliwą, „krzywą” urodę. Mie-wałyśmy też lalki ze szmatek, ale z kauczukową twardą głową.

W jednym ze sklepów przy rynku w Dębicy ustawione w równych rząd-kach na kilku półkach „kokosiły się” takie rumiane kauczukowe głowy lalek różnej wielkości. Wyglądało to dość upiornie, ale nam się bardzo podoba-ło. Wszystko w nich było zrobione od matrycy; w kauczukowych głowach były wyciśnięte „ślepe” oczy, usta, uszy, nos i włosy. Choć dziś wydałyby się paskudztwem, wtedy były obiektem pożądania wszystkich dziewczynek, bo przyszyte do szmacianego kadłubka wyglądały i tak lepiej niż te ze szmacia-nymi głowami. Również i te upiększałyśmy, malując im farbami czerwone usta i kółka na policzkach, czarne punkciki oczu, brwi i skręty włosów, ale efekt i tak zawsze był mizerny. Ta natomiast, która przypłynęła „zza wielkiej wody” była szczytem urody i niespełnionym obiektem naszych marzeń. Do-tykałyśmy ją delikatnie, nieśmiało, uważając, by jej nie zrobić krzywdy.

Mama wyszła z domu i wołała nas na świeżo usmażone racuszki, czy-li „blynki”. I wtedy zobaczyła kołujące nad domami bociany. Po chwili wraz z ojcem zadzierałismy głowę ciesząc się, że wróciły akurat na jego imieniny i że wiosna naprawdę już jest. Bo wiosnę zwiastowały właśnie bociany. Były ptasim symbolem wsi.

Sam Mickiewicz pisał w „Panu Tadeuszu”:

„Bo już bocian przyleciał do rodzinnej sosny

I rozpiął skrzydła białe – pierwszy sztandar wiosny”⁷.

Chociaż coś się chyba naszemu wieszczowi – po latach niebytności w kraju – pomyliło, bo kto kiedy widział bociana na sośnie? Ale przecież – jak mówi stara łacińska maksyma: „Nieraz i wielki Homer zadrzemie”, a poezja nie musi przecież wiernie odtwarzać rzeczywistości; ma być piękna i ma wzruszać.

Boćki lubiły naszą wieś i nie zrażały się tym, że krzyczeliśmy, gdy kołowały nad naszymi głowami: „Kle, kle boćku, kle, kle, twoja matka w piekle, gotuje ci kluski, używa na ciepło”. Co roku już od początku marca wyczekiwaliśmy tych ptaków.

Jedna rodzina bociania gnieździła się w samym środku wsi – przy ludowcu. Koleżanka Ceśka mieszkająca w pobliżu biegła do nas z radosną wiadomością:

– Jest, jest, widziałam go krążącego nad gniazdem!

Trzeba dodać, że zobaczenie pierwszy raz na wiosnę bociana w locie zwiaśtowało szczęśliwy cały rok, zaś stojącego lub siedzącego w gnieździe – raczej mizerny. Z okien przedszkola widzieliśmy, jak bociany znoszą gałązki, jak naprawiają i moszczą gniazdo, jak naradzają się głośno klekocąc, jak wychowują młode i jak uczą je latać. Czasami w słotny dzień chowały głowy w pióra na skrzydłach i brodziły osowiałe w zaroślach przy pobliskim stawku.

Śpiewaliśmy piosenkę o żabce, która „poszła po wodę do zimnego źródła, a bocian: rach – ciach – ciach, nie dał jej spokoju” i podziwialiśmy piękno i dostojność tych wspaniałych ptaków. Wierzyliśmy wtedy jeszcze, że to one przynoszą dzieci, ale nigdy – niestety – nie udało nam się tego podejrzeć. Patrzyliśmy, jak kroczyły dostojnie po mokrych łąkach, zgrabnie łapały żaby, lub stały cierpliwie na jednej – cienkiej, czerwonej nodze. Naśladowanie ich w tej pozie nigdy nam się nie udawało. Wkrótce traciliśmy równowagę i upadaliśmy na trawę, zanosząc się ze śmiechu.

Nikt nie ważył się nigdy zniszczyć bocianiego gniazda, wszak mądrość ludowa przestrzegała, że – jak to ujął romantyczny poeta Cyprian Kamil Norwid: „winą jest dużą popsować gniazdo na gruszy bocianie, bo wszystkim służy”⁸. A tak nawiasem mówiąc, to i ten twórca chyba trochę „zadrzemał”, bo kto widział bocianie gniazdo na gruszy? Jedynie trzeci z wieszczów – Juliusz Słowacki napisał, że widział je kiedyś „na polskim ugorze”. No i z tym możemy się zgodzić. Zwłaszcza w sierpniu, gdy zbliżała się pora odlotów, stadka dostojnie krocących po ścierniskach i ugorach boćków były czymś codziennym. A potem – nagle – odlatywały przypominając nam o końcu lata i zbliżającej się jesieni. I zaraz robiło się tak jakoś smętnie, nostalgicznie, jak na obrazie Józefa Chełmońskiego „Bociany”.

A może bociany mają tajemniczą, nadprzyrodzoną moc? Jedna z bohaterów powieści Józefa Kraszewskiego „Chata za wsią” – prezentowanego na bobrowskiej scenie teatralnej – Cyganka Aza opowiada:

„Żal mi nędzy, chłodu, głodu i włości mej; bośmy widać przeznaczeni na wiekuiste błąkanie się po świecie... Prawda, że ci to niepojęte, żeby tęsk-

nić można do czarnego chleba, do czarnej roli i wędrówki bez końca? Mówią ojcowie nasi, że w kraju, z któregośmy wygnani, cześć oddawano ptakowi, który i do was zalata...Patrz, oto jego gniazdo na tym drzewie. Cierik ten zowie się u was bocianem. Bocian w cygańskim podaniu jest przeklętym jak Cygan [...]. Bocian jak my nie ma swojej ziemi. Dawno, dawno, lat temu tyle, ile ziaren w wydmię piasku, co gwiazd na niebie zimowym – wielkie było na ludzi nieszczęście. Ludzie naówczas jeszcze byli wielką jedną rodziną, ale już ją toczyły robaki... Bogu nie upodobało się stworzenie jego. Mroden-oro chciał je zniszczyć całe. Między synami ludzkimi był tylko jeden z rodziną sinobrody starzec, którego Bóg przeznaczył na odnowienie rodzaju, starzec ten nazywał się Noa-oro. I kazał mu Bóg budować statek wielki, w którym by się mogły pomieścić wszystkie zwierzęta ziemi po parze i trochę ludzi wybranych. Kiedy się niebieskie otworzyły wrota i wody potokiem łąć się poczęły na ziemię, uchodziło, co żyło, żegnało matkę – ziemię wejrzeniem żalu i tęsknoty. Nie było oczu, co by nie zapłakały, rozstając się z kącikiem rodzinnym; jeden tylko bocian wszedł do statku z żabą w pysku, nie obeszawszy się nawet na gniazdo swoje. Mroden-oro, co patrzył z wysoka, przeklął go za tę nieczułość i skazał odtąd na wieczną tęsknotę. Gdy potem wody osiały, bocian rozpoczął wiekuistą wędrówkę od jednej do drugiej ziemi, bo Bóg tak uczynił, ażeby zawsze jednej żałował, a po drugiej płakał... Ten bocian to Cygan [...]. Tęsknimy zawsze, idziemy wiecznie, nigdzie nie ma dla nas ojczyzny i spoczynku”⁹.

Bociany z wioski mojego dzieciństwa trafiły nawet na łamy literatury. Tadeusz Mikołajek – który ze swego podwórka mógł obserwować bocianie gniazdo na topoli obok domu Cholewów – w utworach „Żegnajcie, chłopcy” i „Zamykanie koła” tak wspominał te piękne ptaki:

„O zmierzchu wracały z pól krowy, przestając u rzeczki. Woda ciurkliwie syczała im między wargami, stary bociek z szumem prostował w gnieździe skrzydła”¹⁰.

„Wydłużone cienie zalegały drogę, w gniazdach klekotały bociany – szum prostowanych skrzydeł daleko niósł się w świeżym, jakby żółtobłękitnym powietrzu”¹¹.

Wiersz pt. „Pytanie” poświęcił też bobrowskim bocianom – mającym swe gniazdo na topoli obok domu Cholewów – Aleksander Bacher:

„Rokrocznie to gniazdo boćki zajmowały.
Wychowywały młode, nad wioską latały. [...]
Często widać było, jak żaby nosiły,
Siadały na gnieździe i młode karmiły. [...]
Po sąsiedzku, w ludowcu niekiedy huczało,
Ale boćkom wcale to nie przeszkadzało.
Zabawy, festyny, różne weseliska

Cierpliwie znosiły dzielne bocianiska”¹².

Jaka szkoda, że nie ma już tego gniazda i tego świata! Nikt nawet nie wie, gdzie odleciały tamte bociany z wioski mojego dzieciństwa.

Z dalekich krain wracały też inne ptaki; w ciepłym, wczesnowiosennym powietrzu była nadzieja i zapowiedź nowego życia. Rozpoczęły się ptasie gody, wielogłosowa ptasia muzyka budząca nas przed świtem i budowanie gniazd. Kochaliśmy tę porę roku i kochaliśmy to powracające do nas, świergotliwe, krzątające się ptactwo, tak różnorodne i piękne.

Obserwowano codziennie pogodę, tak ważną dla rolników, bo przecież: „Suchy marzec, mokry maj, będzie żytko kieby gaj”. Cieszono się więc, gdy pogodnym rankiem w kałużach na gościńcu odbijały się złociste promyki wiosennego słońca, ale gdy marzec znaczyły zimne wiatry i deszcze, budziło to niepokój rolników, którzy już pragnęli wyjść w pole. Deszczowa wiosna – niestety – nie wróżyła dobrych plonów. Deszcze opóźniały wiosenne siewy, sprawiały też, że oziminy rosły mizerne, a nawet gniły, opóźniał się też czas sadzenia ziemniaków, a przednówek dawał się coraz bardziej we znaki.

Kalendarz gospodarskich czynności każdy rolnik nosił w sercu. W formie pisemnej wisiął też na ścianie w każdej kuchni dzięki gazetom, które drukowały pod koniec roku takie kalendarze. Wystarczyło je wyciąć, podkleić tekturką i nabić na gwoździk na ścianie i już można było być pewnym, że nie przegapi się ważnych terminów. A wiadomo, że na wsi „każda rzecz musiała być zrobiona, kiedy przychodził czas, gdyż czas ten wyznaczały ziemia, pogoda i niebo. A także obyczaj, ten piąty żywioł świata”¹³. Przestrzegano więc pilnie terminów różnych prac polowych, nikt ich nie lekceważył i nie przekładał na później. A pracy zawsze towarzyszyła modlitwa. Zmęczeni gospodarze prostowali na chwilę grzbiety, by spojrzeć w stronę kościelnej wieży czy na stojące przy drogach krzyże i cicho modlili się znanymi od dziecka słowami: „Któryś za nas cierpiał rany”... Szczególnie starzy ludzie demonstrowali swą religijność przy każdej okazji wznosząc modły. Często dreptali gościńcem przesuwając palcami różańce z dużymi czarnymi paciorkami i szepcąc zdrowaśki lub przyklękali przy przydrożnych, zadumanych świątkach i modlili się żarliwie.

A tych przydrożnych świątków było bardzo dużo: krzyże z konającym Jezusem, fraszobliwe Chrystusy w koronie cierniowej z głową podpartą na dłoni, postać Matki Bożej z różańcem czy z Dzieciątkiem na ręku i postacie różnych świętych. Bardzo popularne w naszej okolicy były figurki świętych: Kajetana [Chotowa], czy Jana Nepomucena [Jodłowa, Ropczyce, Pustków, Łęki Górne, Straszęcin, Latoszyn, Żyraków] – zwane pieszczotliwie „Kajetankami”. Szczególnie lubiano świętego Nepomucena – patrona dobrej spowiedzi, pomagającego w dniach suszy czy powodzi, no i – oczywiście – orędownika

do Boga dla tonących, bo przecież ten biskup Pragi został utopiony przez króla czeskiego Wacława w nurtach Wełtawy pod słynnym mostem Karola.

Zadumane świątki – często rzeźbione przez domorosłych artystów – były obok krzyży symbolem żywej wiary mieszkańców naszych okolic.

Najstarszym krzyżem w wiosce mojego dzieciństwa jest ponoć ten przy drodze z Kolonii do Woli Żyrakowskiej. Pochodzi z przełomu XVIII i XIX wieku i został postawiony w miejscu mogiły żołnierza napoleońskiego, uciekającego przed wojskami rosyjskimi, gdzie zginął też mieszkaniec mojej wioski ścigający złodziei koni. Dwa krzyże – stojące obok gościńca – wyznaczały kiedyś początek i koniec Bobrowej. Pierwszy krzyż od strony Woli Żyrakowskiej, stoi niedaleko „Zenówki”. Podobno pochowano tu też jakiegoś żołnierza poległego w czasie ostatniej wojny.

Podobny krzyż stał za zabudowaniami Edwarda Prucnała, tam, gdzie gościeńiec do Korzeniowa wił się wśród pustych pól, bo zagrody budowano wzdłuż rzeczki, a ta skręcała w stronę Wisłoki, do której – już za wsią – wpływała. Potem za Prucnałem wzniesiono nowe domy, a na miejscu dawnego krzyża stoi mała kapliczka, znajdująca się dziś na podwórzu Zbigniewa Piszczka.

Również przy drodze do Nagoszyna ustawiono dwa duże krzyże: pierwszy – niedaleko za zagrodą Morańców, drugi – rozgraniczający obie wsie. Drogę do kościoła mierzyliśmy właśnie odległością między tymi krzyżami. Pierwszy – stary, drewniany, z daleka widoczny, nie wiadomo przez kogo wzniesiony – stał samotnie wśród pól. Gdy wracaliśmy z kościoła w czas zawiei, deszczu czy mrozu był znakiem, że docieramy do pierwszych zabudowań naszej wioski i wkrótce będziemy w domu. Dziś – odnowiony – zagubił się trochę wśród nowo powstałych, okazałych budynków rozbudowującej się Bobrowej.

Drugi – pochodzący z 1875 roku – bardziej okazały, widoczny z daleka na tle wznoszących się za nim wzgórz Cieszęcin, przetrwał w niezmienionej formie do dziś. Stoi na granicy Bobrowej i Nagoszyna na murowanym postumencie, bielonym na biało; figurę ukrzyżowanego Chrystusa osłania metalowy daszek. Ten krzyż też był dla nas swoistym drogowskazem, wyznaczającym połowę drogi do kościoła.

Takich krzyży i różnych świątków było w okolicy bardzo dużo; stawiano je – zawsze z ważnych powodów – w polach, na miedzach, na podwórkach, przy ścieżkach czy na rozstajach dróg. Właśnie na rozstaju ścieżek pod takim krzyżem w korzeniowskim lesie zbierali się w czasie wojny akowcy.

Historii wielu starych krzyży i świątków dziś nikt już nie pamięta. Niektóre są bardzo intrygujące i warte poznania, jak ta – dotycząca figury w lesie między Chotową a Czarną. Podobno w tym miejscu za jakieś przewinienie obdarto z odzienia nieszczęsnego chłopca i – nagiego – rozerwano wołami. Wkrótce w tym miejscu postawiono żelazny krzyż, ale po nocy duch tego chłopca wciąż straszył jęcząc: – Koszuli!, koszuli!

Strwożeni ludzie wieszali więc na ramionach krzyża swoje koszule, odbijające się w świetle księżyca jakąś nieziemską bielą i łopoczące złowieszczo na wietrze. Niekiedy wisiało ich tam bardzo dużo, tworząc niesamowity widok. Unikano więc tego miejsca, zwłaszcza nocą; tym bardziej, że wokół rozciągały się stare, mroczne, pełne dzikich zwierząt lasy. Dziś stoi tam inna figura – cementowa z żelaznym wizerunkiem Chrystusa Ukrzyżowanego; koszul też już nikt nie wiesza i tylko nieliczni pamiętają tę dawną legendę.

Święte figury na krzyżach, na kamiennych słupach czy w kapliczkach były najczęściej dziełem ludowych artystów. Zazwyczaj, dość prymitywnie wykonane z drzewa lipowego lub sosnowego, nie grzeszyły urodą ani walorami artystycznymi, ale zawsze budziły żywe uczucia i – poświęcone przez księdza – były wyrazem żywej wiary prostych, szlachetnych ludzi. Gdy pytano jednego z ludowych twórców, skąd bierze natchnienie i jak tworzy swe dzieła, rzekł: – „Trzeba mieć oczy widzące, serce czujące i ręce zdadne i ochotne...Zresztą pytajcie ziarnka, jak rośnie, pytajcie kwiatka, jak kwitnie, pytajcie ptaszka, jak nuci, pytajcie słońka jak świeci. Ja tak samo”...¹⁴.

Taką figurę Chrystusa, wyrzeźbioną przez domorosłego artystę, bardzo ciekawie opisuje Bolesław Leśmian w wierszu „Żołnierz”. Okaleczony w czasie I wojny żołnierz, wypędzony z domu jako nieużyteczny więc zbędny, stanął pod taką przydrożną, wyrzeźbioną z sosnowego drzewa figurą, by wypłakać swe żale:

„Chryste – na wskroś sosnowy, a zamyśł się srodze!
Nie wiem, czyja cię ręka ciosała wyśmiewna,
Lecz to wiem, że skąpiła urody i drewna.
Masz kalekie kolana i kalekie nogi,
Pewno skaczesz miast chodzić, unikając drogi? [...]
Chrystus, słysząc te słowa, zsunął się na ziemię,
Ów, co Boga wyciosał, bywał bity w ciemień!
Obie ręce miał lewe, obie nogi – prawe,
Sosnowymi stopami podziurawił trawę.
– Marna ze mnie sośnina, lecz piechur niemarny,
Przejdę wieczność piechtami, chociażem niezdarny.
Pójdziemy nierozłącznie, bo wspólna nam droga,
Będzie nieco człowieka, będzie nieco Boga.
Podzielimy się męką – podzielnać jest męka!
Wszak ta sama nas ludzka skoślawiła ręka”¹⁵.

Poeta trafnie oddał tu charakter takiej właśnie niezdarnej rzeźby wykonanej przez wiejskiego artystę. Jednak w tej koślawej postaci Chrystusa człowiek widzi i wielbi prawdziwego Boga, który – przez swe podobieństwo do poranionego człowieka – jest mu bliski, drogi i zrozumiały. Bo ten ka-

leki Chrystus współcierpi i dzieli się męką z nieszczęsnym żołnierzem, tak strasznie pokrzywdzonym przez los.

Przydrożne świątki wrastały w krajobraz wsi, były ważnym elementem wiejskiego pejzażu, jego symbolem, a przede wszystkim wyrazem żywej wiary ludzi, którzy zatrzymywali się przed nimi na chwilę zadumy, modlitwy lub tylko milki i zegnali się pobożnie. Zwłaszcza po strasznych kataklizmach, takich jak zarazy, pożary czy wojny stawiano nowe święte figury jako wotum ofiarne, dowód wiary, wyraz dziękczynienia czy pamięci.

„Cieszy się starzec, gdy minie marzec” – mówił niedaleki sąsiad Pieter, któremu minęło już osiem krzyżyków, bo w tym właśnie miesiącu śmierć zbierała najobfitsze żniwo. Była oczywiście dla niego czymś zwyczajnym, naturalnym, więc staruszek ze spokojem przyjmował fakt, że niedługo umrze i starał się tak żyć, by nie była dla niego zaskoczeniem. Bo ludzie najbardziej bali się śmierci nagłej, bez wyznania grzechów i pobłogosławienia najbliższych.

Kotula pisze: „Kto znał pokolenia chłopskie jeszcze w głębi XIX wieku, wie, że właściwie nie znały one lęku przed naturalną śmiercią w starości. Uważano zgon za coś naturalnego i nieodzownego. Co więcej: starzy ludzie wyczekiwali go jako wybawienia od cierpień, niedostatku, uciążliwości i zniedołężnienia podeszłych lat. Natomiast istniał lęk przed zejściem z tego świata bez zaopatrzenia religijnego [...], a w końcu przed piekłem”¹⁶.

Mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa pragnęli umierać na własnym łóżku, pod świętymi obrazami, w otoczeniu rodziny, zaopatrzeni przez księdza Ostatnim Namaszczeniem. Mówiono: „Śmierć pewna, godzina niepewna” i wznoszono błagalne prośby w Suplikacjach: „Od nagłej, a niespodziewanej śmierci zachowaj nas, Panie”!

Niedawna wojna zburzyła przekonanie o majestacie umierania. Śmierci masowe, straszne, przypadkowe, niespodziewane budziły strach, rozpacz i marzenie, by było jak dawniej. Ludzie cenili śmierć cichą, spokojną, oczekiwaną. Gdy dożywali późnej starości i czuli, że nadeszła pora rozstania się z tym światem, wzywano księdza, który przybywał z Najświętszym Sakramentem i Świętymi Olejami. I wtedy przyjmowano śmierć z pokorą i nadzieją, że jest tylko bramą do lepszego świata. Przecież tu, na tym „łóż padołe” przeżyli tyle trosk, tragedii, biedy, że – pogodzeni z losem – odchodzili w spokoju otoczeni bliskimi, w domu, który zbudowali ich przodkowie, na ziemi, której oddali cały swój trud, swój pot i swoją miłość.

Zebrani gromadnie najbliżsi krewni czuwali obok łóżka chorego, by w tej chwili ostatecznej zamknąć mu oczy, a potem – zgodnie z odwieczną tradycją – umyć ciało zmarłego i ubrać go odświętnie do trumny, zrobionej „na wymiar”, najczęściej ze szlachetnego, modrzewiowego drewna. Zapalano gromnicę, a ręce zmarłego oplątywano różańcem. Zatrzymywano zegar, a na lusterko zawieszano czarną chustę. Otwierano okna i rozpoczynano

modły. Członkowie rodziny zakładali żałobne ubiory: kobiety czarne chustki, bluzki, spódnice czy sukienki, a mężczyźni czarne opaski na rękaw. Żałoba trwała cały rok, a niektóre – zwłaszcza starsze kobiety – po śmierci swych najbliższych nosiły czarne stroje już do końca życia. W czasie żałoby nie organizowano żadnych przyjęć, nie uczestniczono w zabawach, weselach czy jakichkolwiek imprezach; opinia publiczna napiętnowała każdy głośny śmiech, wesołą minę, przebywanie poza domem.

Tymczasem przy otwartej, prostej trumnie odprawiano różaniec i śpiewano żałobne pieśni. Przychodzili sąsiedzi i znajomi, aby pożegnać zmarłego. Modły trwały przez trzy dni, aż do pogrzebu. Wtedy zamykano trumnę i przy wtórze lamentów najbliższych członków rodziny zmarłego, zabijano ją gwoźdźmi.

Przybywali licznie uczestnicy żałobnej uroczystości. Przywożono księdza, który miał przewodniczyć obrzędowi pogrzebu. Przed wyprowadzeniem trumny uderzano nią trzy razy o próg chaty w geście ostatniego pożegnania.

Bohater Mikołajka Lin, zaraz po ślubie z Ludwiką – na którym nie było rodziców, bo „matka niedomaga” – otrzymał telegram o jej śmierci: „Zamiast w podróż poślubną, pojechali na pogrzeb [...]. Rankiem zobaczył wieś jakby poszarzałą i zdziadziałą, zupełnie wypraną z radości. Nie mógł uwierzyć, że żył kiedyś tutaj i zamierzał na zawsze pozostać. Ferment kolektywizacji nie interesował go nie tylko dlatego, że przyjechał na pogrzeb – od dawna miał już inne problemy, które zgon matki także odepchnął od niego. Umarła poprzedniego dnia na atak serca – śmierć niezbyt częsta na wsi. Wstała jeszcze, ubierając się, zmówiła pacierz. Potem powiedziała:

– Śnił mi się Lanek [...]. Pewnie dzisiaj przyjadą, czuje to moje serce – podniosła dłoń do piersi i usiadła. – Co tu tak duszno? – opadła na posłanie i to już był koniec. Dowiedział się o tym od ojca, który bez potrzeby stale poprawiał coś w trumnie, na pół łyśa głowa podrygiwała mu na chudej, żylastej szyi. Ludzie przychodzili, klękali, klepiąc pacierze i wychodzili. Trumna, zapach kadzidła, wosku i pojękiwania kum – wszystko to powiększało i niezrozumienie i obcość tej izby, w której dwadzieścia parę lat temu Lin się urodził”¹⁷.

W pogrzebach uczestniczyło bardzo wielu ludzi, a kto nie mógł, modlił się za zmarłego w domu. Choć nie drukowano wtedy żadnych „klapsydr”, to wieści o kolejnej śmierci i terminie pogrzebu natychmiast były przekazywane przez sąsiadów i znajomych wszystkim mieszkańcom wioski. Dalekich krewnych zawiadamiano zazwyczaj wysyłając telegramy, którymi posługiwano się prawie tylko w ostatecznych sytuacjach, stąd listonosza z telegramem witano – jako zwiastuna złych wieści – zawsze z niepokojem i z lękiem.

Trzeba było pojechać na pocztę do Dębicy i tam podyktować „panience z okienka” jak najkrótszą wiadomość, gdyż za każde słowo telegramu trzeba było zapłacić. Gdy krewny był szczęśliwym posiadaczem telefonu, należało – w tym samym pomieszczeniu, gdzie wysyłało się telegramy – zamówić roz-

moowę, a potem cierpliwie czekać w kolejce, aż „panienka z okienka” wywoła do jednej z trzech – znajdujących się tam – przezroczystych kabin. Nie były wyciszone, więc oczekujący słyszeli fragmenty rozmów, jakieś trzaski, czy powtarzające się wołanie: halo, halo, znamionujące zakłócenia na linii, a nawet interwencje u panienki, gdy połączenie zostało nagle przerwane.

Za furmanką, na której wieziono trumnę, szedł piaszczystą drogą do Nagoszyna długi korowód żałobników. Przed wojną wyznaczano jednego, cieszącego się autorytetem, pobożnego mężczyznę, który prowadził każdy pogrzeb. Szedł na czele konduktu i intonował żałobne pieśni. Przez długie lata tę funkcję w wiosce mojego dzieciństwa pełnił Maciej Węgrzyn. Czarna chorągiew powiewała na wietrze, a żałobne „Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie...” niosło się daleko wśród rozległych pól. Mijane dwa krzyże przydrożne wyznaczały coraz krótszą odległość do kościoła, gdzie już czekał na środku monumentalny katafalk i wysokie lichtarze zapalonych świec. Ksiądz – w czarnym ornacie – w trakcie żałobnej uroczystości przemawiał do pogrążonej w smutku rodziny, wspominał zmarłego, czasem nawet wypominając otwarcie jego złe uczynki, wzywał do modlitwy i wraz z organistą odśpiewywał żałobne „Rekwije”. Po Mszy świętej i przeznaczonych na tę okoliczność modłach kondukt udawał się na nagoski cmentarz. Wysoko w powietrzu rozbrzmiewały pełne rozpachy dźwięki kościelnych dzwonów, ciężkie buciory miesiły błoto zalegające krętą drogę wzdłuż nielicznych chałup, słychać było ciche szepty, wzdychania i żałobne śpiewy.

Mikołajkowy bohater Paweł wspomina pogrzeb znajomego Dudonia: „Plewił wówczas z matką proso, biły dzwony, chowano starego Dudonia. Matka wrzuciła garść zielska do podwiniętej i umocowanej przy pasie spódnicy i wyprostowała się. Osłaniając dłonią oczy, patrzyła na ciągnącą za wozem gromadkę ludzi. Potem spojrzała na syna i powiedziała:

– Wieczne odpoczywanie... Niech mu tam ziemia lekką będzie. Przecież ten człowiek w całym swoim życiu nie zaznał niczego prócz pracy. Widzisz, synu, tak to jest”¹⁸.

Przed bramą cmentarza kondukt przystawał na chwilę. Teraz trumnę brali na ramiona mężczyźni: bliscy zmarłego i nieśli do wcześniej wykopanej mogiły. Ksiądz modląc się, kroił trumnę, najbliżsi zmarłego podchodzili, by ją jeszcze ucałować i już spuszczano ją na sznurach do grobu, i rzucono po garści piasku.

Rodziny nie zawsze mogły się pogodzić z utratą najbliższych. Słychać było głośnie szlochy, czasem rozdzierające krzyki, gdy nagle przerywała się jakaś tama skrywanego bólu, a do głosu dochodziły pierwotne instynkty. Ale już grabarz łopatą zasypywał grób i żałobnicy zaczynali się rozchodzić, by na chwilę pomodlić się przy mogiłach swoich krewnych i wracać do codziennych obowiązków, które nie mogły przecież czekać. Wieńców prawie

nie było, również niewiele było kwiatów, ale były żarliwe modły, prawdziwa rozpacz i łzy, i milcząca obecność współmieszkańców.

Niektórzy podchodzili, by uściskać najbliższych zmarłego.

– No, co zrobić? Dzisiaj żyjesz, jutro gniesz. Na niektóre sprawy nie ma rady – wzdychano. I dodawano: – Nikt z nas nie zna dnia ani godziny.

Spotkany przez Lina „swok” – na pytanie, jak żyje – opowiedział: „Ano wszyscy tu żyjemy, ino coraz więcej nas jeździ na spacer tam – ruchem łysej głowy wskazał kierunek sąsiedniej wsi, gdzie na wzgórzu był parafialny cmentarz. – Od czasu, jakeś był ostatni raz, niejeden już się tak przewiózł. Ale tylko w jedną stronę”¹⁹.

Kobiety najczęściej lamentowały głośno, ale mężczyźni nie płakali, bo wstydem dla nich byłoby jawne okazywanie słabości. Piotrek z powieści „A jak królem, a jak katem będziesz” mówi: „W mojej wsi rzadko się widywało mężczyzn płaczących na pogrzebie. Chyba, że ktoś sobie mocno popił przed stypą lub przypomniał sobie wyrządzoną mu w testamencie krzywdę”²⁰.

Człowiek współczesny najczęściej chowa swój ból głęboko w duszy i cierpi w ukryciu. Wraca do domu, do swych zajęć, stara się normalnie żyć. Ale choć największe nawet dramaty z czasem bledną, to nigdy nie umiera bolesna pamięć o kimś bliskim, kto odszedł na zawsze i ból, który osiada na sercu jak kamień.

Często śmierć wydawała się tak absurdalna i niesprawiedliwa, że trudno było się z nią pogodzić. Ktoś powiedział, że nie jest przykrojona na miarę człowieka, że przekracza nasze wyobrażenia o skali cierpienia i o fizycznym bólu po stracie kogoś najbliższego. Ale dni i noce toczyły się dalej, zgodnie z rytmem przyrody, śmierć i życie przeplatały się nawzajem, a wszechmocny Bóg sam wyznaczał czas dany każdemu człowiekowi. I nikt nie buntował się przeciw temu odwiecznemu porządkowi.

Poetka Urszula Koziół pyta: „Jak to jest [...]; gdzieś ktoś umiera, a tu rośnie trawa, kwitną kwiaty, rodzi się zboże. A tu wonnym chlebem pieczonym dymi się komin. Biedronka gramoli się na łądzkę trawy, wędrują spiesznie mrówki...tu jest jakaś niepojęta ciągłość, powtarzalność coroczna [...]; w człowieku wzbiera smutek, ale i spokój, bo wtedy, wydaje się, że to wszystko, co jest obok, istnieje od jakichś najdawniejszych początków i wtedy prawie się wie, co to znaczy wieczność”²¹.

Zapewne takie myśli trapiły też bobrowian wracających przez jeszcze przedwiosenne, błotniste pola z cmentarza na nagoskiej górze. Przecież tak często dotyczyły ich tragedie, których sensu nijak nie mogli pojąć. Ale mieli instynktowne poczucie, że otaczający ich świat i człowiek stanowią nierozdzielalną jedność i tak jak w przyrodzie bywają lata spokojne, ale też pełne kataklizmów, tak jak wszystko wokół na wiosnę się rodzi a przed zimą zamiera, tak bywa i z ludźmi, i tak było zawsze, tak jest i będzie aż po wiek wieków.

To tylko było pewne, że każdy kiedyś umrze, a słońce dalej będzie codziennie wschodzić nad Wisłoką i zachodzić za nagoskimi górkami niezależnie od wszystkiego. Bo przecież – jak pisała Maria Dąbrowska – „Cóż stąd, że umieramy? Życia jest wciąż tak dużo [...]. Wszystko mija i nic się nie zmienia. Po złotym tle wciąż płyną szare obłoki”²².

Ciche westchnienia wiatru wtórowały melancholijnemu nastrojowi, rześkie powietrze nasycone było wilgocią, pachniała świeżością wiośniana ziemia, a wiatr niósł zapach dymów z wypalanych zeszłorocznych traw.

Czasem w domu zmarłego odbywała się stypa, na którą zapraszano najbliższych. Przy kanapkach, cienkiej herbatce i kieliszeczku wódki wspomniano zmarłego, pocieszano opłakujących, ofiarowywano pomoc. A potem wszyscy wracali do swoich codziennych zajęć.

Zazwyczaj o takiej wczesnowiosennej porze w wiosce mojego dzieciństwa pojawiali się Cyganie. Dorośli witali ich z mieszanymi uczuciami. Wiadomo było, że Cyganki wkrótce rozbiegną się po zagrodach i zaraz zaczną znikać kury, gęsi czy jakieś drobne przedmioty. Ale też patrzono z radością na barwny tabor cygański, mający w sobie pewną egzotykę, niosący powiew dalekiego świata, tajemniczości, swobody i bez troski. Brodaci, o śniadych cerach mężczyźni szli obok wozów na drewnianych kołach z błotnikami wygiętymi jak wachlarze, przypominających dawne, małe wagony, które zamiast dachu miały płótno rozpięte na metalowych obręczach.

A każdy wóz był inny; rzeźbiony i jaskrawo malowany w smoki, krokodyle, egzotyczne ptaki czy splecione gałęzie. Na wozach jechały kobiety i dzieci w różnym wieku, siedzące wśród mnóstwa różnorodnych przedmiotów, pierzyn, worków i kolorowych tobołków. Cyganom towarzyszyły zawsze psy biegnące obok zaprzęgów; posłuszne i spokojne. Wiejscy chłopcy i dorośli gospodarze oglądali piękne konie i uprzęże, kupowali też czasem od Cyganów sukno na ubrania czy miedziane rondle, a kobiety podziwiały egzotyczną urodę cygańskich dziewcząt, ich piękne złote ozdoby, zwinne sylwetki i uwodzicielskie uśmiechy. Lubiły sobie też powróżyć, choć najczęściej w tajemnicy przed mężczyznami, wyśmiewającymi ich zabobonność i naiwność. Młodzież kochała cygańskie wieczory przy ognisku, w których chętnie uczestniczyła; radosne śpiewy, tańce wokół ognia i opowieści z dalekich stron.

Jakże niektórzy, zwłaszcza młodzi, zazdrościli Cyganom ich swobody, wolności, radosnej włóczęgi, o czym sami mogli tylko pomarzyć!

Śpiewali więc popularną piosenkę:

„Cygane bez roli, Cygan bez chaty,

Cygane szczęśliwy, choć niebogaty.

Cygane nie sieje, Cygan nie orze,

Cygane – gdzie spojrzysz, tam jego zboże.

Cyganem chciałbym być, Cygankę chciałbym mieć,

Cyganka mówiła, że kocha mnie”.

To poczucie wolności i swobody znajdujemy w słowach Azy z „Chaty za wsią”, która mówiła: „Nam świat chatą, niebo dachem, a mogiłą ziemia cała. Gdzie stąpisz, to kości depcesz praojców i matek...Nigdzie nie brak wody, by pragnienie ostudzić i miejsca na rozbicie szatry, gałęzi na ogień. A kto siedzi, ten gnije jak pies na łańcuchu”²³.

Mieszkańców wioski mojego dzieciństwa fascynowała egzotyka wyglądu i ubioru Cyganów, ich zachowanie, obyczaje, język, ale też i to, że od dwu tysięcy lat tak wędrowali po całej Europie, nie znając swej ojczyzny, historii, nie mając ziemi ani miejsca na groby; wszędzie obcy, wszędzie intruzami, tolerowanymi tylko przez chwilę.

„W istocie w twarzach, stroju tych przybłędów było coś tak nie naszego, coś obcego”²⁴. Oni sami często nie rozumieli tej tajemniczej siły, która gnała ich po świecie, siły, „która ptaka pędzi do gniazda, a zwierzę do jamy [...], która włada nie tylko ciałem i duchem, i pcha, choćby na śmierć”²⁵. Ten prastary, tajemniczy lud „po secinach wygnania jeszcze nosił wypiętnowany na czołach ślad pochodzenia swego kędyś z ogorzałego Wschodu, czy Południa”²⁶.

Piękne, miłe Cyganecki zaglądały ciekawie do izby, zagadując wesoło, oferując różne towary i wróżby. Czarowały wdziękiem i obietnicą odgadnięcia przyszłości. Tymczasem inne krzątały się po obejściu czy po zakamarkach domu. Po chwili znikwały nagle, unosząc do swego taboru sery, chleby, różne warzywa, a przede wszystkim ukryte pod szerokimi, marszczonymi spódnicami kury lub gęsi, którym sprytnie, jednym ruchem ukręcały szyje. Biegały cicho, zawsze boso, a ich stopy były twarde jak kamienie na bobrowskim gościńcu.

Dziewczyny marzące o szczęściu i miłości zawsze pragnęły pomyślnych wróżb, dlatego ukrywały w jakimś kątku parę groszy, by usłyszeć zapewnienia wróżącej im z ręki Cyganki o miłości, rychłym zamążpójściu lub o wielkim bogactwie. Ta potrafiła zawsze swym śpiewnym, symbolicznym językiem, pełnym zawiłości, ale też sugestywnych obietnic nakłonić do wróżb największych nawet niedowiarków.

Tak zapamiętał wróżącą Cygankę Wilhelm Mach – pisarz pochodzący z Kamionki, absolwent dębickiego gimnazjum: „Wiatr poruszał jej siwiejące włosy, wydobywał je pasmami spod czerwonej chustki. Falowała jej szeroka, pomarszczona spódnica [...].

– Młode życie hucznie płynie – zaczęła cichym, śpiewnym głosem – a komu życie długie, a komu krótkie, a jakiej rzece do morza daleko, a jakiej blisko, powie Cyganka za dobre słowo i za ofiarę daną w miarę, ani nie w groszu, ani nie w złocie, byle w szczerzej ochocie, dajcie panie, Cygance papierek, o tu do ręki [...]. – Cyganka widziała, co widzieć trzeba, żeby doli albo niedoli powróżyc [...]. Cyganka nie szpieg. Cyganka zioła zbiera, a z dobrego zioła lekarstwo będzie i na boleść, i na ranę od noża czy postrzału, a i też lekarstwo

na kochanie nieszczęśliwe [...]. Cyganka rozchodnik zbiera, macierzankę zbiera, wy Cyganki nie gońcie, bo wam doli i niedoli nie ukradnie”²⁷.

Niektóre młode Cyganki były bardzo piękne, więc dziewczyny wiejskie podziwiały ich urodę, ale nigdy nie odważyłyby się zachowywać tak śmiało i wyniośle jak tamte, świadome swego wdzięku. Taką piękną Cyganką była właśnie Aza z „Chaty za wsią” grana wspaniale w bobrowskim teatrze przez Celinę Harlównę czyli „Celke Herlonke”.

„Prócz wdzięku świeżej młodości miała tę piękność nie naszą, dziką, osobliwą, ognistą, której próbki widzimy w indyjskich posążkach, w indyjskich malowidłach, zdobiących stare ich poemata. Oczy jej czarne siały ogień i zdawały się więzić wzrokiem, niepokonanym, przy którym każda najśmielsza zniżała się powieka; nos kształtnie zgięty, usta nieco wydatne, policzki jednostajnej barwy ciemnozłocistej okalały sploty włosów hebanowych tak obfite, tak ogromne, że nimi i głowa opasana była i szyja otoczona, a reszty jeszcze splecione, przez ramiona na barki spadały. Na jej czole, w otwartych ustach i całej postawie szatan czy diabeł w kolebce napisał: – Ty będziesz panowała. I szła za swoim przeznaczeniem śmiało, pewna jutra; a było coś zadziwiającego w tej nędzy i łachmanach, okrytych purpurowym płaszczem poczucia swej potęgi [...]. Na tej piersi lada płócienna zasłona zamieniała się w szatę bogatą i posłuszna falowała jak najcieńszy rąbek”²⁸.

Taka piękna dziewczyna cygańska pewnego razu przyszła do naszego domu. Miała bujne, czarne włosy, a w uszach wielkie złociste koła obwiedzione misternym koronkowym ornamentem; lśniące w słońcu i pobrzękujące przy każdym ruchu głowy. Prosiła tylko o coś do picia i zniechęcona tym, że nikt nie chciał sobie powróżyc, wyszła dumna, prawie obrażona.

Poetka cygańska Papusza wspomina, że gdy zaraz po wojnie jej tabor stał niedaleko Mielca, przyszła do nich Polka i ofiarowała im niechciane dziecko, którego ojcem był jakiś Cygan. Dla bezdzietnej Papuszy stał się on ukochanym synkiem, którego nazwała Tarzanem. Ale nam, dzieciakom – dorośli opowiadali mrozące krew w żyłach historie, że Cyganie porywają dzieci, że zabierają w daleki świat i każą żebrac, że trzeba zamykać domy i nie otwierać aż wyjadą poza wieś. Więc choć nas fascynowali barwnością, egzotyką i wesołością, tym, że kochali przestrzeń i naturę, to baliśmy się ich trochę, a nocami śniliśmy dziwne historie o groźnych, tajemniczych Cyganach. Wieczorami wychodziliśmy przed dom, by z daleka patrzeć na płonące gdzieś pod Dębiną ogniska, skąd wiatr niósł szwargotliwe słowa cygańskich, rzewnych pieśni. Ponoć melodie cygańskich muzykantów tak oczarowały mojego dziadka Jana, gdy był jeszcze młodym chłopakiem, że opuścił dom i przez rok wędrował z taborem, by za opiekę nad końmi, nauczyli go pięknie grać. I tak się stało. Po powrocie przygrywał do tańca na weselach i zabawach na kłarnecie i na skrzypcach, a tę pasję do muzyki zaszczepił swoim synom.

Zwyczajni ludzie nie mogli zrozumieć trybu życia Cyganów, tej ich wiecznej włóczęgi, tego, że nigdzie nie mogli zagrzać miejsca na dłużej. Wielu też czuło do nich niechęć, a nawet wrogość. Bo niektórzy Cyganie rzeczywiście budzili postrach; szczególnie starzy mężczyźni o groźnym, niechlujnym wyglądzie i twardym spojrzeniu. Ich bezwzględność, spryt i pomysłowość w oszukiwaniu rodziły czujność i dystans. Byli wśród nich świetni znawcy koni, wytrawni handlarze, ale nie brakowało też koniokradów. Potrafili wyprowadzić upatrzoną sztukę ze stajni, po cichutku, nocą, a przeszkodą nie były ani zamknięte drzwi, ani pilnujący zagrody psy – nagle milczące, jakby zaczarowane.

Również niektóre stare „Cyganichy” budziły niechęć, odstręczały zaniebanym wyglądem, niechlujnym ubiorem i niewybrednym językiem, którego używały w sytuacji, gdy gospodynie przepędzały je z podwórek. Ale gdy tabor opuszczał naszą okolicę, robiło się jakoś pusto i smutno.

Przed wojną cygańskie tabory barwnym korowodem bardzo często przemierzały wiejskie drogi i ścieżki. W czasie wojny jednak Cyganie podzieliли tragiczny los Żydów. Również – jak podaje Leopold Harla – w 1943 roku Niemcy zamordowali pięcioosobową rodzinę cygańską o nieznanym nazwisku, przebywającą w Bobrowej²⁹.

„W tamtych latach Cyganie mogli odjechać tylko ku zagładzie w [...] cygańskim obozie śmierci”³⁰. Jeden z bohaterów powieści „Ciemno, prawie noc” – Cygan Albert – mówi: „Nikt nie stanął w obronie Cyganów, żadne państwo nie otworzyło granic, żeby mogli się schronić [...]. Nikt też nie stawia pomników tym nielicznym, którzy Cyganom wtedy pomagali, bo nikomu specjalnie nie zależało na naszym przetrwaniu”³¹.

Ale nawet ci, którym udało się przeżyć wojnę, również nie zaznali szczęścia: „Nie lubili zatrzymywać się na długo w jednym miejscu, bo bez podróży, której pragnienie mają we krwi wyrodnieją i wymierają. To łączy wszystkich Cyganów i gdy po wojnie zmuszono ich w Polsce do osiedlania się, skarleli, stracili wolę życia”³².

Właśnie w 1952 roku rząd PRL rozpoczął akcję rejestrowania, kontrolowania i osiedlania Cyganów. Urzędnicy żądali od nich stałego meldunku, dowodów osobistych, zaświadczeń o zatrudnieniu, książeczek wojskowych, wypełniania przez ich dzieci obowiązku szkolnego. Długo się opierali, ale w końcu ulegli rygorystycznej akcji likwidowania koczownictwa. Do 1960 roku około 4 tysiące Cyganów porzuciło wędrowny tryb życia, ale jak pisał jeden z nich: „Wrodzony instynkt włóczęgowski oraz tęsknota za wolnością, za taborom, lasem, to wszystko wpływa, że Cyganie załamali się [...]. Tęsknota u nich jest tak silna jak u Indian, co też wyginęli prawie”³³.

Niezwykłe wzruszająco to poczucie zniewolenia i tęsknotę za swobodą wyraziła poetka Papusza:

„Wziąć słowika w klatkę zamknąć, to on wszystko traci. Choć pięknie śpiewa, to jemu jest smutno. I te ściany takie ciężkie nade mną. A ja, cygańska córka [...]. Jechałam taborem, to czułam się jak królowa Bona. Do mnie należeli perły rannej rosy. Moje były gwiazdy złote. Dziś co we włosy wplotę”?³⁴.

I tylko jeszcze czasem na rynku w Dębicy jakaś Cyganka podchodziła nieśmiało do zbliżającego się przechodnia, obiecując dobrą wróżbę za grosik, ale zniknął dawny, barwny świat taborów, swobodnego życia, niepowtarzalnego uroku nocnych tańców i śpiewów przy ogniskach. Pozostały wspomnienia i stare piosenki: „Hej, tam pod lasem”, „Z tamtej strony wody Cyganeczka tonie”, czy ta o dziewczynie, która „w cichy i pogodny wieczór majowy” prosiła spotkaną w lesie Cygankę: „Ach ty, Cyganko, ty wróżyć umiesz, co ten wiatr szumi, ty go rozumiesz. Wywróż, ach, wywróż z tej szczerzej ręki, a ja ci złożę należne dzięki”. Ale – niestety – ta wróżba nie była pomyślna, bo „gdy Cyganka wróżyć przestała, to się dziewczyna łzami zalała”.

25 marca przypadało Święto Zwiastowania, które wszyscy witali z radością. Nie tylko zapowiadało, że za dziewięć miesięcy narodzi się Boży Syn, ale też potwierdzało zbliżanie się ciepłych, pięknych dni. W sadach bielono pnie drzew; niektóre ze śladami zajęczych zębów, przycinano stare gałęzie i te – nadłamane przez zimowe wichury i śniegi. Bielutkie stokrotki i pierwsze nieśmiałe fiołki wystawiały swe główki na ciepłe słońko.

Pachniała ziemia – wiosennie – jak od wieków. Ta niby znajoma ziemia, a skrywająca tyle nieznanых tajemnic!

Trudno było sobie nawet wyobrazić ów pradawny czas, gdy przed milionami lat szumiało tu morze, a około 10 tysięcy lat temu panował lodowiec, który – cofając się – pozostawił po sobie morenowe gleby, narzutowe kamienie, zlepieńce, ily, torfy, gliny, lessowe mady, żwiry i piachy. Dlatego gleby tu niezbyt urodzajne, najczęściej II klasy, ale urozmaicone; to kraina ziemniaków i żyta. Szło się w pole: albo w „płoski” na zachód od zabudowań wsi, albo w rędziny ciągnące się aż do brzegów Wisłoki. Nasza ukochana rzeczka stanowiła granicę rozdzielającą różne rodzaje gleb, od których zależał charakter upraw.

Najlepsza pszenica rodziła się w rędzinach; w piaskach siano żyto i sadzono ziemniaki. Na szczęście okres wegetacji roślin na naszych terenach jest chyba najdłuższy w kraju, bo wynosi aż około 220 dni, co sprzyja rozwojowi roślin i dojrzewaniu plonów.

Okolica, gdzie rozciąga się wioska mojego dzieciństwa – położona w dolnym biegu starej Wisłoki – była niegdyś częścią Kotliny Sandomierskiej na granicy Doliny Dolnej Wisłoki i Płaskowyżu Tarnowskiego. Rosły tu potężne drzewa, między innymi czarne dęby, które do dziś znajdowane są na dnie tej rzeki, tak jak i kości pradawnych zwierząt: turów czy mamutów. Na polanach pełnych bagnisk krzewiły się wysokie trawy, krzewy i zioła, pełno było opa-

rzelisk i wykrotów. W ostępach leśnych żyły dzikie zwierzęta, a w licznych rozlewiskach budowały swe żeremia bobry.

Mimo dość niekorzystnych dla osadnictwa warunków naturalnych, pojawili się tu ludzie z sąsiadujących z sobą plemion Lendzian i Wiślan, którzy zaczęli zakładać pierwsze osady. Najstarsze ślady kultury materialnej pochodzą z epoki neolitu. Są to fragmenty kamiennych narzędzi, grotów, naczyń i ceramiki, jeszcze do dziś wykopywane niekiedy z ziemi.

Stanisław Kłos we wstępie do albumu „Powiat Dębicki” pisze: „Dolina Wiśłoki oraz pas wzniesień rozciągających się wzdłuż progu Pogórza, należą do najstarszych obszarów osadniczych w tej części kraju”³⁵.

Jacy byli ci nasi przodkowie? Pewnie tacy jak my, choć ich życie było zupełnie inne.

Paul Auster pisze:

„Nawet jeśli człowiek zmienił otaczający świat, z nim samym nigdy tak się nie stało. Fakty z życia są wciąż te same. Żyjesz i umierasz. Rodzisz się z ciała kobiety [...]; wszystko, co ci się przydarza, od chwili narodzin do chwili śmierci, każda emocja, która cię rozpala, każdy błysk gniewu, każdy przypływ namiętności, każdy atak płaczu, każdy wybuch śmiechu, każde uczucie, które kiedykolwiek pojawi się w twoim życiu, było już odczute przez każdego człowieka, który był przed tobą”³⁶.

Pierwsi rolnicy przybyli tu z południa. Wędrowali doliną Wiśłoki i osiedlali się wzdłuż jej wysokich brzegów, które stanowiły naturalną ochronę przed napadami wrogów. Budowano prymitywne chaty, karczowano ziemię – pełną kamieni, uporczywej trawy włosianki, pleniącego się zielska i wszędobylskich wiklin. Zagospodarowanie tego terenu było dla pierwszych osiedleńców bardzo trudne; rozciągały się tu liczne torfowiska, bagna, błota, podmokłe mszary, pełno było sadzawek i strumyków zalewających pola. Ale osadnicy byli ludźmi twardymi i upartymi, i umiejętnie wykorzystywali istniejące tu warunki naturalne.

Na początku naszej ery prowadził tędy szlak handlowy – od Sandomierza przez Mielec, Dębicę, Pilzno, Żmigród, Duklę i dalej na południe. Świadczą o tym wykopaliska; w okolicy znaleziono wiele narzędzi kamiennych, antyczne i średniowieczne monety, nawet arabskie ozdoby.

Karol Ozga – autor legendy o Kocim Zamku pisze: „Trakt wzdłuż Wiśłoki był [...] częścią tzw. „szlaku bursztynowego”, wiodącego z krajów leżących nad Morzem Bałtyckim aż na południe Europy i dalej wzdłuż wybrzeży Morza Śródziemnego na wschód”³⁷.

A Stanisław Kłos dodaje: „Przetrwały tu liczne ślady miejsc umocnionych i zachowane w terenie archaiczne w brzmieniu nazwy: Marchot, Polen Gera, Maga, Głodomank i wiele innych. Utrwalone w tradycji dotyczą konkretnych miejsc i zdarzeń, mających już jednak tylko posmak legendy.

Opowiadają one o dawno minionych wczesnosłowiańskich, a może jeszcze odleglejszych czasach, o zaginionych miastach i zamkach, i władcach znanych tylko z ludowych opowieści”³⁸.

Niestety, wiele śladów zatarł czas, działalność rolnicza prowadzona przez wieki oraz piaszczyste, nietrwałe gleby. Wiadomo jednak, że już w średniowieczu uprawiano tu żyto i owies, a także len i konopie, które wykorzystywano do wyrobu płótna. Las dostarczał zwierzyny, owoców, grzybów, a przede wszystkim drewna do budowy domów, torf – jak drewno – służył do palenia, glina do wypalania cegieł, a także wyrobów garncarskich, a wszędybolska wiklina do wykonywania wielu potrzebnych w gospodarstwie rzeczy: plecionych płotów, wozów, mebli, opalek, koszy czy mioteł. Zajmowano się też hodowlą zwierząt, rybołówstwem, ciesielstwem, kamieniarstwem, bednarstwem, kowalstwem, a także łowiectwem i bartnictwem.

Ludność zamieszkująca te tereny oddawała cześć wielu różnym pogańskim bóstwom, bo „ludzie nie mogąc zrozumieć różnych zdarzeń i zjawisk, przypisywali je wyimaginowanym postaciom, obdarzając je nadprzyrodzonymi mocami. Ten świat odszedł już w zapomnienie i tylko przechodząc obok starej kapliczki, góry dziwnego kształtu, ogromnego kamienia leżącego w szczerym polu przypominamy sobie słowa legendy”³⁹.

Mijały wieki, kurczyły się lasy, ale wciąż była to kraina wierzb, olch, brzoź, topól, wiklin i polnych grusz, różnych bajorek, strumyków, piasków i glin, i ten charakter zachował się do czasów współczesnych. A tamta, pierwotna wiara też przez wieki była żywa. Uświęcała przede wszystkim niektóre elementy przyrody; wiercono w różne bóstwa i złe moce zamieszkujące uroczyska, rozstaje dróg, stare drzewa – szczególnie dęby, lipy czy wierzby, a także tajemnicze dziuple, bagna, stare cmentarzyska, zapadliska i wykroty. Szczególnym kultem otaczano podobno czarny bez, zwany w wiosce mojego dzieciństwa „bulowatym”; ponoć był siedliskiem złych duchów, dlatego te krzaki omijano, „nikt ich nie ścinał, nie łamał gałęzi, nie zrywał kwiatów”⁴⁰. Bardzo ciekawą rośliną krzewiącą się szczególnie wokół starych zamczysk czy rozpadających się ruin była kłokoczka; dziś mało znana. Jej siedlisko potwierdzono np. na skraju lasu w Stasiówce przy drodze do Niedźwiady. Ten ciekawy krzew dostarczał mieszkańcom twardego drewna, świetnego do sporządzania domowych sprzętów i narzędzi, gęstego oleju do oświetlania kurnych chat i jadalnych nasion smakujących jak orzeszki pistacjowe, ale – przede wszystkim – wykorzystywanych od czasów chrztu Polski do sporządzania różańców o oliwkowobezowym kolorze, które ceniono w wielu krajach Europy.

Legenda z okolic Dębicy pt. „Palana Gera – świątynia Peruna” opowiada o Świętej Górze w okolicach Latoszyna, niedaleko miejsca, gdzie rzeka Ostra wpada do Wisłoki, na której ponoć czczono pogańskiego bożka Peruna.

„Szumiały dęby prastare, źródło cicho sączyło swe wody, tuż obok płonął święty ogień Peruna, gdy nagle w dolinie Ostrej pojawił się goniec na spienionym koniu. Przywiózł on straszne wieści. Oto od zachodu ciągnęły wojska Świętopełka Wielkomorawskiego, a z nim kapłani nowego boga, który tak kochał ludzi, że umarł za nich na krzyżu. I w imię tego boga wszystkich, co chcieli trwać w wierze ojców, rąbano toporami, przebijano mieczami i topiono w wodzie [...]. Ludzie nie rozumieli, co się dzieje. Zagrożeni utratą życia pozwalali się ochrzcić. W nocy jednak zanosili ofiary Perunowi i świętym krukom, rozpalali święty ogień i odbudowywali ogrodzenia”⁴¹. I choć nowa wiara zwyciężyła, chociaż „mijały stulecia [...], źródło bijące kiedyś spod korzeni świętego dębu Peruna dalej sączyło wodę”⁴².

W tym to miejscu wybudowano w XIX wieku Zakład Zdrojowy, gdyż woda z owego źródła okazała się pełna leczniczych właściwości.

Inna legenda dotycząca naszych terenów opowiada o tym, że idąc w ślady świętego Cyryla i Metodego – szerzących nową, chrześcijańską wiarę – wielu mężczyzn chciało poświęcić się pracy misyjnej. W okolicy Dębicy przywędrowali dwaj mnisi: Przemysław i Bożydar. Postanowili zamieszkać na wzgórzu między Latoszynem a Gumniskami, niedaleko Palany Gery. „Na Palanej Gerze ścięto już święte dęby, zburzono gontynę, rozpędzono kruki, lecz w nocy wciąż zapalały się ognie Peruna i pojawiały płotki je okalające, mimo że zaledwie wczoraj je zniszczono. Postanowili zostać tu, w centrum pogaństwa, nie mieczem i toporem, ale przykładem i dobrym słowem głosić sławę Pana”⁴³.

Mnisi owi zaczęli uprawiać rolę, a plony były zadziwiająco obfite. Zнали się też na rzemiośle, potrafili leczyć rany oraz składać połamane ręce i nogi. Chętnie opowiadali o dalekich krajach i o swoim Bogu, do którego się modlili i który im pomagał. Wielu ludzi, patrząc na ich pobożne, uczciwe życie, zaczęło przyjmować nową wiarę; pomogli też zbudować mnichom dużą chatę z kaplicą i świetlicą do przyjmowania gości. Nazwano ją cerekiew, a choć dziś nie ma po niej śladu, to owo wzgórze nazywa się wciąż Cerekwia.

„Kiedy do kraju Wiślan wprowadzono chrześcijaństwo niejako urzędowo, ludność, zetknąwszy się z nim, musiała dostrzec ubóstwo starej wiary”⁴⁴.

Wschodnie tereny Polski chrzcił m.in. święty Metody; prawdopodobnie wędrował tu też święty Wojciech. Taką tezę sugeruje Franciszek Kotula, opierając się na – do dziś żywych – legendach o tym, że to właśnie święty Metody wygłaszał kazania na terenie dzisiejszego Krosna, Jasła, Rzeszowa.

A kościół w Brzeźnicy poświęcił prawdopodobnie w 1069 roku święty Stanisław, który zatrzymał się na nocleg w Pustyni. W tym miejscu wkrótce wypłynęło źródło, a w XVII wieku zbudowano tu drewniany kościółek, który dotrwał do dziś. Legenda mówi, że święty Stanisław przybył powtórnie do Brzeźnicy kilkadziesiąt lat później, by upomnieć się o należną dziesięcinę. „Proboszcz Jan Strzemię z rodu Gryfitów nie tylko nie dopuścił do wi-

zytacji swojego kościoła, ale wprost wygnał go ze swego dworu. Wzburzony Stanisław rzucił klątwę na Brzeźnicę, która zachowała swą moc do naszych czasów. Wskutek jej działania podobno żaden kleryk stąd pochodzący nie dotrwał do świeceń kapłańskich”⁴⁵.

Niektóre źródła wspominają też, że obraz Matki Bożej Pocieszenia znajdujący się w pilzneńskim klasztorze przynieśli tu z sobą właśnie uczniowie św. Metodego, a Jej kult utrwalali ojcowie benedyktyni, do których należała osada. Uciekali się do tej Maryi mieszkańcy Pilzna i okolic w czasie licznych wojen niszczących nasze tereny: napadów Tatarów w 1241, Węgrów w 1474 roku, którzy pod wodzą Tomasza Tarczaya spalili Dębicę i okolice, Wołochów w 1509 roku, czy wojsk węgierskich i tatarskich dowodzonych przez Jerzego Rakoczego w czasie tzw. wyprawy lwowskiej w 1657 roku.

Niestety, nie zachowały się żadne pradawne legendy dotyczące samej wioski mojego dzieciństwa, choć jej przeszłość na pewno na takowe zasługiwała. Bo przecież – jak mawiali starzy: „Każda wieś ma swoją pieśń”. Trzeba ją tylko wyłuskać ze strzępów przekazywanych ustnie z pokolenia na pokolenie legend dotyczących regionu, z zachowanych dokumentów i utworów literackich odtwarzających dawne dzieje tych ziem. Taką historią z dalekiej przeszłości jest opowieść „Grób dragona” dotycząca czasów najazdu szwedzkiego, też zawarta w książce „W cieniu Palany Gery”.

Jak wiele wcześniejszych wojen, również i ta ze Szwedami z 1656 roku – po przegranej przez Polaków bitwie pod Warszawą – przetoczyła się przez nasze tereny. „Szwedzi zajmowali kraj prawie bez oporu, bo główne siły polskie cofały się w górę Wisły, szykując się do ponownej bitwy, resztę kraju pozostawiając bez ochrony. Szwedzi, rozzuchwaleni powodzeniem i mający w pamięci niedawne porażki, w drodze odwetu niszczyli kraj, rabując, paląc i mordując”⁴⁶.

Wróg dotarł też do naszej okolicy. Ale mieszkańcy stawiali zaciekle opór. „Rosły w siłę oddziały chłopskie dowodzone przez doświadczonych weteranów wojskowych pochodzenia chłopskiego. Między nimi uwijały się niewielkie oddziały Czarnieckiego [...]. Król szwedzki Karol Gustaw widząc, że nie pokona armii polskiej, mając na karku oddziały chłopskie, wydał rozkaz spacyfikowania całych okolic”⁴⁷.

Szwedzi spalili m.in. zamek w Przecławiu, niszcząc i rabując, co się dało. Również wiele pobliskich wsi zostało spalonych, a ludność wymordowana.

W Korzeniowie znajdowała się główna baza organizująca chłopów do walki z wrogiem i paraliżowania ruchów wojsk nieprzyjaciela między Dębicą a Mielcem oraz Przecławiem a Radomyślem.

Oddział składający się z około tysiąca wyszkolonych rajtarów szwedzkich otoczył pewnego dnia Korzeniów, by uniemożliwić organizowanie się oddziałów chłopskich. Ale we wsi były same kobiety, starcy i dzieci, bo młodzi mężczyźni przygotowywali się do walki i oczekiwali wroga właśnie koło

wioski mojego dzieciństwa. Wielki strach padł na mieszkańców Korzeniowa. „Rajtarzy wypędzali ich z domostw, mordując od razu starców i niemowlęta. Kobiety spędzono w jedno miejsce. Chaty po splądrowaniu i obrabowaniu, podpalano. Dzień był dżdżysty i dym z mokrych strzech zasnuł niebo. Dostrzegli go chłopci znajdujący się w gromadzie, czającej się pod Bobrową”⁴⁸.

Wtedy natychmiast zwartą gromadą ruszyli na pomoc zaatakowanej wiosce. Ale zanim zdyszani dotarli na miejsce, ze szwedzkimi rajtarami toczył już bitwę oddział polskich dragonów, który znajdował się akurat niedaleko.

„Dowódca, stary chłop, który pół życia spędził w wojsku na różnych wojnach, po przybyciu na miejsce zorientował się, że mieszkańcom niewiele już pomoże. Postanowił więc wziąć srogi odwet na napastnikach. Urządził zasadzkę na powracających z pościgu za dragonami rajtarów, a resztą sił otoczył wieś i uderzył na Szwedów, zajętych grabieżą i dobijaniem tych, co jeszcze żyli”⁴⁹.

Chłopi pod wodzą tego świetnego chłopskiego przywódcy – dobrze uzbrojeni i wyszkoleni – wyparli Szwedów. „Widząc ciała pomordowanych bliskich i znajomych, zgłiszczą domów i zniszczony dobytek, nikt z nich nie znał litości. Cięli, rąbali, dusili gołymi rękami nawet tych, co klękali i prosili o łaskę. Tego dnia nikt nie znał litości”⁵⁰.

Do dziś zachował się w Korzeniowie Grób Dragona, upamiętniający tamto wydarzenie. W tym właśnie miejscu został pochowany śmiertelnie zraniony w tamtej walce – nieznany z nazwiska – polski dragon. W pobliżu znajduje się też kopiec zwany Babim Morem. To miejsce pochówku poległych w tamtej walce ze Szwedami. Pewnie znajdują się tam też szczątki bohatersko walczących mężczyzn z wioski mojego dzieciństwa. Podobno wcześniej istniał w tym miejscu drewniany kościół świętej Anny, spalony podczas szwedzkiego „potopu”. Z ocalałej podmurówki zbudowano skromną kapliczkę, istniejącą do naszych czasów.

Mogiła Babi Mór kryje też szczątki poległych w walkach z siedmiogrodzkimi oddziałami Rakoczego, który – po zawarciu ze Szwedami i Chmielnickim antypolskiego układu w 1657 roku – pustoszył nasze ziemie. Wprawdzie nie pozostały materialne ślady udziału bobrowskich chłopów w tych walkach, ale zachowała się pamięć w legendzie przekazywanej ustnie z pokolenia na pokolenie.

Mickiewicz pisał o trwałości i wartości takiego przekazu: „Płomień rozgryzie malowane dzieje, skarby mieczowi spustoszą złodzieje. Pieśń ujdzie cało” [...] – i to ona: „stoi na straży narodowego pamiątek kościoła”⁵¹. A ustną legendę o tamtych wydarzeniach potwierdziły wykopaliska archeologiczne; pod kopcem Babiego Moru znaleziono ludzkie kości i krzyże stawiane tam przez świadków tamtych wydarzeń.

A w Olszynach zakwitły bielutkie zawilce.

Kwiecień

„Na zielonej trawie pasie Kwiecień pawie, a słoneczko złote pomaga łaskawie” – tak brzmiały słowa wierszyka ze starego podręcznika mamy. Czasem jeszcze zdarzały się wiosenne przymrozki i gdy rano wybiegaliśmy na dwór, trawa na wsi za rzeczką pokryta była srebrzystym szronem, a na gościńcu lśniły w słońcu ścięte mrozem kałuże. Ale najczęściej kwiecień witał nas ciepłem i nadzieją.

Bo właśnie prawdziwa wiosna przychodziła znad łąk, znad pól, znad olśzynowego zagajnika. Obwieszczały ją łagodne tchnienia wiatru, błękitniejące niebo czy coraz bardziej życzliwe słońce, które topiło ostatnie śniegi i pokrywało smugi, błonia, pola i rozciągającą się za rzeczką „wieś” coraz intensywniejszą zielenią. 8 kwietnia w Święto Zwiastowania przepowiadano pogodę na Wielkanoc, bo przecież: „Jakie Zwiastowanie, takie Zmartwychwstanie”. Cieszą się, gdy było słonecznie i ciepło; rolnicy wychodzili w pola oglądać oziminy, odprowadzać wodę z zagonów, równali kopczyki pozostawione przez krety, zaglądali do ziemniaczanych kopców, by zobaczyć, jak przetrwały zimę. Bo od stanu przechowanych tam ziemniaków zależało bardzo dużo.

Ziemniaki były podstawowym produktem spożywczym na wsi. Codziennie gościły w kuchni, więc uprawiano ich dużo, by starczyło na cały rok. Pochwałę ziemniaka zawarł nawet poeta Jan Brzechwa w książeczce: „Stonka i Bronka”, która była naszą szkolną lekturą: „Ślinka płynie, oko skrzy się, gdy ziemniaki dymią w misie”¹.

Właśnie wiosną nastawała pora, gdy wybierano je z kopców zbudowanych i okrytych cieplutko przed mrozami jeszcze jesienią. Wożono je do piwnic, które już świeciły pustkami, a jeśli nawet zachował się w nich jakiś zapasik, to ziemniaki były już brzydkie, pomarszczone, oplecione bladeżółtymi „kiłamy”, wydzielające nieprzyjemną woń.

Następnie przygotowywano do sadzenia te, mające „oczka”, z których miały wykiełkować nowe rośliny. Często – dla oszczędności – krojono ziem-

niak tak, by w każdym kawałku było choć jedno oczko. Sadzono ręcznie – idąc za końmi ciągnącymi pługi, które wyorywały głębokie bruzdy.

Była to bardzo ciężka praca, a wykonywały ją najczęściej kobiety. Posuwając się wzdłuż wyznaczonych przez pługi rządków, niosły z sobą ciężkie koszyki wiklinowe wypełnione sadzeniakami, z których brały do ręki po kilka ziemniaczanych kawałków i schylając się co krok wsadzały je w świeżą ziemię. Należało przy tym uważać, żeby nie zniszczyć pojawiających się na nich małych kielków i zachować równe odległości między umieszczanymi w rzędku częstkami ziemniaków. Potem te obsadzone rzędkie przyorywano, a gdy roślinki wykiełkowały, okopywano je tworząc tzw. „koziołki”. Od noszenia kosza i ciągłego schylania się mdlały barki i kręgosłup, bolały ręce i nogi. Ale kobiety wiejskie od dzieciństwa były zaprawiane do ciężkiej pracy; potrafiły nawet jeszcze śmiać się, żartować i podśpiewywać. Szczególnie, gdy w pobliżu byli młodzi mężczyźni, dziewczyny „zaczeptały” ich przyśpiewkami.

Niosło się po polach: „Chciało się Zosi jagódek, kupić ich za co nie miała, Jasiu miał pełny łógródek, ale go prosić nie śmiała”, „Łobiecoł my Waluś czerwony kapelusz i wstażkę do niego, żebym była jego”, „Łoloboga, nie wyczy-mom, wszystkie majo, a jo ni mom, wszystkie majo po chłopoku, a jo ni mom tego roku” – i wiele innych. Te zaczepki i przyśpiewki nie przeszkadzały jednak w uwijaniu się w pracy na kartoflisku. A trzeba było się spieszyć, by nie zostać w tyle za innymi, bo to był wielki wstyd i powód do drwin.

Najczęściej na „stajonku” pracowało po kilka kobiet, które przychodziły na „łodrobek”. Ta ciężka praca trwała wiele dni. Wschodzące rośliny trzeba było później odpowiednio pielęgnować: plewić z chwastów, okopywać motykami, obierać ze stonki, a potem patrzeć jak rosną, zakwitają liliowo lub białą i czekać z nadzieją, że udadzą się piękne i smakowite, a pod każdym krzaczkiem będzie wiele ziemniaczanych bulw.

Zagrożeniem dla młodych upraw były wiosenne susze niszczące młode roślinki, grady i ulewę powodujące, że ziemniaki gniły, czy różne szkodniki, jak np. ziemniaczana stonka. Jednak w sprzyjających warunkach już w czerwcu można było podbierać spod krzaków pojedyncze bulwy i napawać się ich smakiem. Ugotowane w całości, polane podsmażonym masłem i posypane młodym koperkiem były przysmakiem, jakiego się nie zapomina.

Dzieci towarzyszące dorosłym w pracach polowych – prócz pomagania w sadzeniu lub napełnianiu koszyków sadzeniakami – zawsze wynajdywały jakieś zabawy. Skakały do opustoszałych kopców, rzucały ziemniakami na odległość, goniły się po polu, zdejmowały czapki, by poczuć wiosenny wiatr we włosach i ciepło słonecznych promyczków na skórze.

Ziemniaczane kopce niekiedy pełniły też funkcję prawdziwych kryjówek. Czytamy o tym w jednej z powieści Mikołajka. Leśni chłopcy, po przybyciu na miejsce akcji skierowanej przeciw Niemcom, zastali w jednej z zagród

same zgłiszcza. „Cały oddział rozbiegł się po pogorzelisku. Po chwili Kuna przyniósł kilkuletnią dziewczynkę. Znalazł ją w dziurze wybitej do kopca ziemniaków. Natan wziął ją na ręce, otulił połamami kurtki, wygrzebał nawet z kieszeni paczkę sklejonych cukierków”². Potem odniesiono ją do zaprzyjaźnionej z akowcami leśniczówki.

A na polach coraz śmielej zieleniła się ozimina nadciągająca wiosna, tylko w kępach krzaków i w miejscach zacienionych wciąż leżały liszaje brudnego śniegu.

Zwalona niedawno spróchniała wierzba przypominała jeszcze o zimowych wiatrach i mrozach, ale w jej rozrzuconych konarach już radośnie świergotała czereda kolorowych ptaków. Gdzieś tam pracowali oracze jak z obrazów Chełmońskiego czy Ruszczyca, bo do połowy kwietnia należało uporać się z wiosennymi zasiewami jarych zbóż.

W „piaskach” pola szybko obsychały w podmuchach wiosennego wiatru, ale w rędzinach, gdzie gleba była gliniasta i pojawiała się rudosina „szkała”, wciąż w zagonach i w koleinach polnych dróg, wyłobionych kołami wozów i racicami krów, stała brunatna woda. Tam zwlekano jeszcze z wiosenną orką. Ale już słońce spijało kałuże, w powietrzu słychać było ptasie świergoty, a nasza rzeczka stawiała się coraz czystsza i nabierała koloru nieba. Taką wiosnę zapamiętał Mikołajek: „Wiosenne rozlewisko – krzyk czajek nad gniazdami – leżały na nich jakby piegowate jajka”³.

Zaczynały się przedświąteczne rekolekcje. Te dni były wolne od nauki szkolnej, ale musieliśmy spędzać długie godziny w kościele.

Nastrój był poważny; księża uświadamiali nam, jak bardzo jesteśmy grzeszni, słabi, leniwi i niesforni. Za to droga do kościoła i z powrotem nigdy nam się nie dłużyła. Było wiele śmiechu, żartów i pogwarek. Ale zdarzały się też incydenty godne potępienia. Pewnego razu chłopcy rozbili szklane izolatory na przydrożnym słupie telegraficznym, spierając się o to, kto najcelniej rzuca kamieniami. Na drugi dzień za ten głupi wybryk dostaliśmy od księdza Majchrowicza straszną burę. I choć dziewczyny nie brały w nim udziału, wszyscy czuliśmy się winni. Późniejsza spowiedź też była trudniejsza niż zwykle, a pokuta bardziej dotkliwa.

Niekiedy marzliśmy okropnie, bo zdarzały się bardzo zimne i wietrzne dni. Wiadomo: „Kwiecień plecień, bo przeplata trochę zimy, trochę lata”. Toteż z niepokojem czekaliśmy na Palmową Niedzielę. Pragnęliśmy ciepła i słońca w tym dniu, gdyż mówiono, że „jaka Palmowa, taka Wielka”, a nie wyobrażaliśmy sobie, że na Wielkanoc mogłoby być pochmurnie czy deszczowo.

Palmowa Niedziela była świętym ruchomym, tak jak Wielkanoc. Dla nas była zapowiedzią już najprawdziwszej wiosny, niosąc nadzieję i radość z budzącej się do życia przyrody. Podobno dawniej nazywała się „Kwietną” lub „Wierzbną”. Potwierdza to wiersz Władysława Kondratowicza – Syrokomli, który pisał:

„Otóż Wierzbna, otóż Kwietna
Zawitała nam niedziela! [...]
Orzeźwiona łzami wiary,
Wraca w domy ciżba prosta
I jak każe zwyczaj stary,
Różdżką wierzby siebie chłosta.
„Nie biłem, a wierzba biła”.

Już za tydzień Zmartwychwstanie!”⁴.

W wiosce mojego dzieciństwa również święciło się w tym dniu palemki czyli różgi wierzbowe, już pokryte baziami, ozdobione gałązkami zimozielnego bukszpanu i sztucznymi kwiatkami, owinięte w dolnej części bibułą. Te palemki miały przypominać uroczysty wjazd Pana Jezusa do Jerozolimy, gdy witano go zielonymi gałązkami z drzew palmowych. Połykaliśmy potem kilka poświęconych bazi, bo miały zapewnić zdrowie na cały rok, a rodzice wkładali palemki za święty obraz, by chroniły – tak jak gromniczna świeca – przed nieszczęściami. Ale starego zwyczaju uderzania bliskich palmką ze słowami: „Nie ja biłem, a wierzba biła” już chyba nikt nie pamiętał.

W czasie uroczystej Sumy, stojąc z tymi palemkami w rękach, słuchaliśmy Pasji, którą odśpiewywał chór mężczyzn. Zbierali się dużo wcześniej i obdzielali rolami, a potem odbywali wielodniowe próby, by właśnie w Niedzielę Palmową wyśpiewać jak najpiękniej historię męki Chrystusa. Na zamieszczonym w „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas” zdjęciu z 1950 roku stoją członkowie bobrowskiego chóru. Podpis pod zdjęciem brzmi: „Chór wiejski w Bobrowej pod przewodnictwem Stanisława Jarosza [grał na wszystkich instrumentach] – Walenty Wolak, Stanisław Skrzypek, Kazimierz Łączak, Bronisław Harla, Stanisław Kolbusz, Leonard Kolbusz, Jan Osak, Jan Knot”⁵.

Do przedstawienia Pasji włączano także mężczyzn nie należących do chóru. Któregoś roku brał udział w tym przedsięwzięciu także nasz ojciec. Choć świetnie grał na kilku instrumentach, to raczej nie wyróżniał się mocnym głosem, dlatego występował w partiach chóralnych. Najpiękniej, najdonioślej, najczyściej śpiewali „Kolbusze”, dlatego jeden z nich – Stanisław – zawsze grał rolę Jezusa. Czasem Kolbusza zastępował inny chórzysta – Stanisław Skrzypek. Pasja wykonywana w nagoskim kościele to było piękne, wzruszające widowisko i choć trwało długo, nikt się nie czuł znużony.

Na koniec ksiądz odczytywał ogłoszenia parafialne, z których najciekawsze były zapowiedzi przedślubne, bo po skończonym Wielkim Poście zaczynał się okres wesel.

Wracając do domu, całą drogę rozprawiano o tych, którzy właśnie „spadli z ambony”. A w kwietniu po Wielkanocy zawierano wiele małżeństw. Komu się bardzo spieszyło, musiał zdążyć przed majem, bo – jak mówiła tradycja – majo-

we śluby były zawsze nieszczęśliwe. Trzeba było więc potem czekać do czerwca. Ale najwięcej weseł w wiosce mojego dzieciństwa odbywało się jesienią.

A w szkole witaliśmy wiosnę piosenką do słów Marii Konopnickiej „W polu”. Nauczycielka, która uczyła nas w klasach najmłodszych – Joanna Zielińska była żoną kierownika szkoły i cieszyła się wśród dzieci i dorosłych wielkim autorytetem. Grała na skrzypcach melodie różnych piosenek, budząc nasz podziw i respekt. Powtarzaliśmy za nią słowa i próbowaliśmy też śpiewać, ciągle straszliwie fałszując:

„Pójdziemy w pole w ranny czas, młode traweczki, witam was!

Młode traweczki zielone, poranną rosą zroszone.

Długoście spały twardym snem pod białym śnieżkiem w polu tym,

Teraz główeczki wznosicie, bo przyszło słońko i życie”⁶.

Śpiewaliśmy byle jak, z niecierpliwością, bo już chcieliśmy biec na te pola i łąki, by oglądać „te traweczki zielone”, wiosenne i młodzietkie jak my. Wśród wielkich rozlewisk błyszczących w słońcu, jak srebrne kulki z czarną kropką w środku, połyskiwał żabi skrzek. Wyciągnięty z wody rozlewał się galaretowatą ciapką szybko wysychającą w słonecznych promieniach. Niektóre kulki tego skrzeku przekształciły się już w zwinne kijanki, które nazywaliśmy „głowocamy”, bo wydawało się, że składają się tylko z czarnej głowy i ruchliwego ogonka. Wiedzieliśmy, że ucieszą się boćki, bo bogactwo skrzeku i kijanek zapowiadało wielką ilość pożywnych żab.

Goniliśmy się wśród rozlewisk, porzucając teczki w możliwie suchym miejscu, przeskakiwaliśmy kałuże i wtedy dopiero pełną piersią wykrzykiwaliśmy piosenkę o tych traweczkach „poranną rosą zroszonych”, z dziecięcą naiwnością ciesząc się i dziwując pięknu świata.

Ale jednak to na lekcjach religii naprawdę „darliśmy” się z całych płuc: „Gwiazdo śliczna, wspaniała, Częstochowska Maryja”... A ksiądz Józef Majchrowicz [który pełnił funkcję nagoskiego wikariusza w latach 1951-1957] – tę swoją ulubioną pieśń kazał nam wciąż powtarzać głośniej i głośniej, że aż drżały szyby w oknach naszej klasy. Lubiliśmy go, choć ciągle oburzał się na dziewczynki, bo w duży ziąb nosiliśmy ciepłe „porteczki”. Wołał nas na środek i dawał złotówkę, żeby sobie kupić sukienkę i wyglądać jak należy. Był dobrym psychologiem. Umiał nas zainteresować lekcją, przywożąc na swoim zdezelowanym rowerze duże, kolorowe obrazy, ilustrujące różne sytuacje ewangeliczne. Oglądaliśmy więc, jak maleńki Jezus przyjmuje hołdy pastuszków i Trzech Mędrców, jak dorasta pracując razem z Józefem, jak w łodzi pośród straszliwej burzy ucisza wicher, jak dzieli chleb i ryby wśród rzeszy wygłodzonych słuchaczy jego kazań, jak modli się przed męką w Ogrójcu i jak umiera skrwawiony na krzyżu.

Dziś dopiero mamy świadomość, jak trudna wówczas była misja – takich jak on – wiejskich katechetów, zmagających się z nieprzychylną władzą, żyją-

cych w ciężkich warunkach materialnych, przemierzających duże odległości do szkół, w których trzeba było wpajać religijną wiedzę niechętnym urwisom. I ten rozdzierająco głośny śpiew: „Do Ciebie się uciekamy, o Maryjo, Maryjo”... – miał przedrzeć się przez niechęć, obojętność, lekceważenie i lenistwo; i przeźdierał się, i wyrывał ze szkolnych murów, i niósł się daleko przez wieś.

A już nadchodził Wielki Tydzień.

Uroczystości Wielkiego Tygodnia zaczynały się czwartkową uroczystą Mszą świętą, upamiętniającą Ostatnią Wieczerzę, którą oglądaliśmy na jednej z kolorowych ilustracji księdza Majchrowicza. Nie była to pewnie reprodukcja słynnego obrazu Leonarda da Vinci, ale nam i tak bardzo się podobiała. Nabożeństwo było długie, a my – zmęczeni pomaganiem dorosłym w przygotowaniu do świąt – marzyliśmy o szybkim powrocie do domu.

Już kilka dni wcześniej zaczynało się wielkie sprzątanie: bielenie ścian, wietrzenie, mycie okien i kuchennych sprzętów, pranie, wymiana słomy w siennikach, zmiana pościeli, trzepanie chodników, układanie w szafach, w kredensie i na półkach, wyścielanie czystym papierem szuflad i półek, wycieranie zakurzonych bibelotów, wieszanie lśniących białą, wykrochmalonych firanek zrobionych szydełkiem i zamiatanie brzoźową miotłą „łobescią”.

W wolnej chwili pisało się listy do krewnych mieszkających gdzieś daleko, zwłaszcza w USA. Nie było zwyczaju wysyłania kartek świątecznych. Zresztą mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa bliskich mieli niedaleko i prawie nigdzie też nie wyjeżdżali. Wciąż przecież trzeba było pracować w domu i w gospodarstwie; obrządzać inwentarz, pilnować prac polowych, opiekować się rodziną. Dbano, by wszystko było zrobione na czas, bo od tego zależała przecież chłopska egzystencja, taki był też odwieczny porządek i zwyczaj. Nie można było zostawić Burków, Krasul, Siwków – no i dzieci – na łasce sąsiadów czy na pastwie losu.

Dopiero w późniejszym okresie księży, czy zawsze skory do działalności społecznej Bronisław Harla, zaczęli organizować wycieczki do Częstochowy czy Zakopanego, ale też tylko nieliczni się na nie decydowali.

Tylko czasami przychodziły widokówki z odległych miejsc; z miast, gdzie ktoś odbywał służbę wojskową, z wyjazdu w poszukiwaniu pracy, z pobytu w górach czy nad morzem. Ale były to sytuacje wyjątkowe, jak ta, gdy do jednej z bobrowskich dziewcząt jej chłopak – żołnierz przysłał list pisany na brzoźowej korze. Cóż to była za sensacja! Wszyscy go oglądali i podziwiali, a inne dziewczyny z wioski puchły z zazdrości.

Czasem też przychodziły listy z zagranicy od cioć i wujków, tęskniących gdzieś tam na antypodach świata za swoją utraconą ojczyzną, którą wciąż widywali w snach taką, jaką opuścili i jaką ubarwiała ich nostalgia.

Masowa emigracja z naszych terenów zaczęła się na przełomie wieków XIX i XX i była kontynuowana w okresie międzywojennym. Jednak niezbyt

wielu bobrowian odważyło się na ten desperacki krok; niektórzy nie wyobrażali sobie, że można opuścić gospodarstwo, ziemię uprawianą przez ojców, dziadów i pradziadów, swoich bliskich czy groby przodków. Ale znaleźli się też śmiałkowie, którzy zdecydowali się wyjechać na niepewny los w poszukiwaniu ziemi, chleba, zarobku, szczęścia, jak np. dwóch braci i trzy siostry Bronisława Harli, 2 siostry mojej babci Weronki czy dziadek Jan.

Przeważnie wyjeżdżano „na saksy” do Ameryki i do Niemiec, ale też do Kanady, Anglii czy Francji. Już pod koniec XIX wieku istniała w Galicji sieć agentów zachęcających do wyjazdów za morze i przedstawiających wspaiałe warunki pracy i życia, jakie tam panują. Zwerbowani ochotnicy ryzykowali wiele, ale byli gotowi na wszystko:

„Marzą o lepszym życiu w Ameryce i o dobrych zarobkach, są zdecydowani ciężko pracować, tego nauczyli się w domu, chcą posyłać pieniądze rodzinie, a kiedy wrócą [...] – przywieźć z sobą okazałą sumkę”⁷.

Nie wszystkim jednak się udawało. Po uciążliwej, długotrwałej podróży statkiem i upokarzających formalnościach w biurze imigracyjnym, gdzie byli przepytывani, poddawani kontroli medycznej i policyjnej, musieli zaczynać zupełnie nowe życie w środowisku obcym, niezrozumiałym i wrogim. Wielu umierało już podczas podróży, inni gdzieś przepadali, lub ciężko pracując ulegali wypadkom, czy – tracąc pracę – stawali się żebrakami.

Zdarzały się też różne zdrady. Np. niektórzy mężczyźni, którzy zostawili w Polsce swe żony, zakochiwali się, wiązali z nowymi partnerkami, odcinając się od przeszłości, lub utrzymując więź z dawną rodziną, nieświadomą prawdy. Taką sytuację ukazywała popularna w wiosce mojego dzieciństwa, a zupełnie dziś zapomniana piosenka:

„Wielka zbiera mnie ochota,
By w rodzinne wrócić strony,
Aby zawieźć trochę złota
I znów wrócić do swej żony. Aniele mój...
Gdy wyjadę z Ameryki
I na polskiej ziemi stanę,
To porzucę kraj ten dziki,
Aby znaleźć życia zmianę. Aniele mój...
Żono ciebie tu zostawiam,
Byś chowała moje dzieci,
Bądź mi wierną w śnie, na jawie,
A czas prędko ci uleci. Aniele mój...
Gdy powrócę, a broń Boże,
Z jakimś draniem cię zastanę,
Zimnym trupem go położę,
Tobie prawię ekstra-lanie. Aniele mój...”

Ale najwięcej wśród emigrantów było ludzi uczciwych, pracowitych, wiernych swym partnerom życiowym, pozostawionym w ojczyźnie. Wielu z nich, zmagając się z trudnymi warunkami życia, bardzo ciężko pracowało, marząc o powrocie i poprawie losu swoich bliskich. Ci po pewnym czasie wracali z „dularamy”, budząc podziw i zazdrość. Inni robili karierę w obcych krajach i tam układali swą przyszłość. Gdy czasem po latach nieobecności przyjeżdżali, wówczas odwiedzali krewnych, zostawiając drobne podarki, wspominali przeżyte tu chwile, szukali zapamiętanych miejsc, szli do kościoła złożyć ofiarę za szczęśliwy powrót i na cmentarz, by pomodlić się za bliskich zmarłych. Najczęściej żalowali, że muszą znów opuszczać ukochane strony.

Nasze „amerykańskie” ciotki w czasie jednej z wizyt podarowały mamie białą aksamitną chustkę, której jednak nie odważyła się nosić, a nam, dzieciom – dały jakieś dziwne, niezbyt smaczne cukierki. Ojciec – tak jak tego pragnęły – oprowadzał je po polach, starych groblach, mostkach, szedł z nimi do kapliczki i nad Wisłokę. Wdychały z radością świeży zapach młodej trawy, przesłaniając rękami oczy przed mocnym słońcem, przyglądały się wiosennemu niebu, pochylały się nad każdym kwiatkiem, pączkującymi gałązkami drzew i krzewów, obserwowały śmigające w powietrzu ptaki i maleńkie rybki w naszej rzeczce.

Te miejsca – zapamiętane z dzieciństwa – były im wciąż drogie. Niestety, najczęściej je rozczarowywały; wydawały się inne, mniejsze, nie takie, jakie im się wciąż śniły po nocach. I wtedy jedna przez drugą zaczynały wspominać: – Och, jak tu kiedyś było pięknie; jakie kwiaty, jakie owoce, jakie drzewa, krzewy, jakie zapachy i kolory!

Tak ubarwiała tamtą rzeczywistość dawno minioną młodość i wyobrażenia tworząca się przez lata oddalenia i tęsknoty, i idealizująca wspomnienia „kraju lat dziecińczych”.

Na koniec ciotki zabrały z sobą mały woreczek ziemi z grobu rodziców i ze swojego dawnego podwórka, suszone grzyby, wyskubane pióra i pyszny miód, jakiego nie można było kupić nawet w Ameryce, a – przede wszystkim – tęsknotę, której nie udało się ukoić.

Tak też tęsknił bohater utworu Ignacego Maciejowskiego-Sewera Michał Kopeć, który nie potrafił żyć z dala od domu, w Ameryce:

„Ta choroba nazywa się tęsknicą za swymi. Wdziera się człowiekowi do serca i ssie i ssie, aż wyssie z niego wszelką moc, a ustąpi, gdy ino zostanie z niego łupina”⁸.

Dlatego Michał Kopeć w końcu wrócił do swoich. „Wieczorem, kiedy słońce chowało się za góry, Michał poleciał w stronę lasu popatrzeć na swoją drogę, która go wyprawiła do Hameryki [...]. Postął nad nią, popatrzył i wracał na rozłogi do Męki Pańskiej rozpiętej na krzyżu”[...].

– Mój krzyżowina – szepnął – jakże miło człowiekowi ślepa na tobie oprzeć...

Zadzwoniono na Anioł Pański.

– I znowu cię słyszę, dzwonie mój – zawołał. Zdjął kapelusz i szeptał: „Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi i poczęła z Ducha Świętego, Zdrowaś Maryjo, łaski pełna...”

Usiadł pod krzyżem. Zachód słońca zmieniał się w wiekuiastą jasność, jakby nad głowami świętych... Michał, wpatrzony w nią, słuchał świerszcza w zbożu, tętentu żrebaków wracających z pola, fujarki lecącej po błoni. Jakże mu było swojsko, czuł się u siebie, na swoich śmieciach, i nie wiedząc, skąd mu to przyszło, zaczął dziękować Bogu, że zesłał na niego tęsknicę, co mu serce ssła, póki się nie opamiętał i nie uciekł od nich do swoich krajów...”⁹.

Nie dziwiliśmy się tęsknocie dręczącej – tak jak książkowego Michała – nasze amerykańskie ciotki. Przecież tu była ich ziemia, skropiona potem i krwią ich ojców i dziadów. Tu znały kiedyś każdy kamień, każde drzewo, każdy krzak, każdy zakręt gościńca, układ gwiazd na niebie, zioła, trawy i kwiaty, zapachy i wiatr, śniegi i deszcz, uśmiechy bliskich i ich łzy.

Mikołajek pisze o wyjeździe do Ameryki matki Lina, bohatera „Zamykania koła”: „Matka musiała być jako młoda dziewczyna w Ameryce, bo chodziło o dolary na kupno paru zagonów posagu”¹⁰.

Pewnego dnia wrócił z Ameryki niedaleki sąsiad Markiel, mieszkający obok ludowca. Chodził ubrany trochę egzotycznie i budził powszechne zainteresowanie, chętnie opowiadając niesamowite historie, których był uczestnikiem lub świadkiem. Mężczyźni zbierali się na jego podwórku i popalając „cygarki” chętnie słuchali tych opowieści, wtrącając co chwilę jakieś uwagi czy pytania, zawsze ciekawi dalekich, nieznanymi światów.

Niekiedy od krewnych żyjących za granicą przychodziły „dulary”, które trzeba było głęboko ukrywać, bo władze zabroniły posiadania obcych walut, lub paczki, które ubarwiały nasze siermiężne życie. To, co zagraniczne, było zawsze doskonalsze i piękniejsze, niezwykle i wzruszające. Cieszono się więc barwnymi ubraniami z paczek, jakimiś ciekawymi drobiazgami; choćby nawet nieprzydatnymi, ale niekiedy też dobrej jakości sprzętem, jak np. nożyczki czy maszynka do strzyżenia włosów, a także – niedostępne na rynku, a tak upragnione przez mężczyzn – karty do gry.

Ojciec zawsze czekał na drewniane „blaciki”, czyli ustniki do saksofonu, których nigdzie u nas nie można było zdobyć. Gdy docierały, rozwijał je z zaciekawieniem z delikatnej bibułki i cieszył się jak dziecko; zaraz też sprawdzał, jak brzmią i chwalił się nimi przed kolegami i sąsiadami.

Szczęśliwi odbiorcy paczek nie wyrzucali nawet metalowych puszek, kolorowych, papierowych pudełek czy innych pojemniczków, w których znaj-

dowały się różne produkty tylko stawiali je na półkach, na „nakaslyku” czy za szkłem w kredensie „na parade”.

Listonosz rzadko jednak przynosił wyczekiwane, zagraniczne listy czy paczki. Przez lata ten sam, pochodzący z Nagoszyna Antoni Radziszewski zazwyczaj dostarczał jakieś urzędowe pisma: nowe zarządzenia władz, nakazy płatności, druki z ustaloną wysokością podatku, dotyczące obowiązkowych dostaw, szarwarków, składek czy wezwania do różnych urzędów.

Dlatego – choć go szanowano i lubiano, choć częstowano go posiłkiem i chętnie słuchano zawsze nowych plotek i anegdot, którymi sypał jak z rękawa – obawiano się jego wizyt. Ale gdy przynosił w swojej przepaścistej „kalycie” list z Ameryki, domownicy szczerze się cieszyli, wielokrotnie ten list czytali, pokazywali sąsiadom i znajomym; później pieczołowicie przechowywali, a widokówki wkładali za szybę kredensu lub przypinali na ścianie, by wszyscy mogli je podziwiać.

Pewnego razu mieszkająca na Końcu koleżanka Weronka, którą rodzice nazywali Wenią, a my – Wenką przyniosła do szkoły śliczną pocztówkę przysланą właśnie z Ameryki. Wenka miała bardzo ładne, duże oczy, była szczupłutka, zgrabna i wysoka, czego jej zawsze zazdrościłyśmy, tak, jak owej amerykańskiej pocztówki. Był na niej namalowany bukiet niebieściutkich niezapominajek i życzenia wykaligrafowane pięknym pismem, charakterystycznym dla starych Polonusów. Ale najbardziej zaskakujące i niezwykle było to, że niezapominajki na tej kartce pachniały. Było to wtedy coś nieprawdopodobnego, by papierowe kwiatki miały zapach. Brałyśmy tę karteczkę kilkakrotnie do ręki ostrożnie, delikatnie jak opłatek i nie mogłyśmy wciąż uwierzyć własnym oczom i – nosowi.

Jakże w takich sytuacjach trudno było ufać gazetom piszącym, że USA to nasz największy wróg, że panuje tam wielka nędza i niesprawiedliwość, że imperialiści amerykańscy wyzyskujący niewolników tylko czyhają, żeby wywołać nową wojnę. Oczywiście dorośli z większym dystansem niż my, dzieci – przyjmowali te wieści. Niektórzy proponowali nawet ironicznie, żeby to Polska wywołała tę wojnę pierwsza, a na drugi dzień się poddała.

Przed wielkanocnymi świętami było zawsze wiele pracy, a wszystkie czynności i rytuały były głęboko zakorzenione w tradycji.

W środowy poranek błotnistym gościńcem jechały jedna za drugą furmanki wypełnione ludźmi i zwierzętami domowymi upchanymi w kielni. Zaprzęgi wyglądały malowniczo. Właściwe utrzymanie koni i wozu było chlubą gospodarza. Drewniane koła umiejętnie smarowane toczyły się gładko po bobrowskiej drodze i prawie nie skrzypiały. Wkrótce jednak i tak zastępowały je coraz częściej nowocześniejsze – gumowe. Na wiosenny „jarmak” w Dębicy mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa wędrowali też pieszo, czasem dosiadając się na jakąś nie przepełnioną jeszcze zbytnio furę. A ponie-

waż – jak mawiano – „Lepiej byle jak siedzieć niż wygodnie stać” to nikt nie narzekał; wręcz przeciwnie; w gromadzie było rażniej i weselej. Najwięcej było kobiet, chcących zrobić konieczne przedświąteczne zakupy, a czasem – za zaoszczędzone przez zimę grosze – sprawić sobie lub „dzieckom” jakiś drobiazg. „Ukokoszone” na furmankach wyglądały jak te opisane przez Urszulę Kozioł: „Spod odsuniętych chustek [gazówki, tybetówki] wysmykiwały się ich krótkie włosy z rozmytą ondulacją.”¹¹. Poetka zauważyła też „gryzące barwy ich swetrów we wzorek z różą na piersi lub makiem polnym”¹².

Gdy pozwalala na to pogoda, robiono wielkie wiosenne pranie. To pranie zaczynało się wcześniej rano. Najczęściej wybierano sobotę, bo wiadomo – Matka Boska w tym dniu pieluszki Dzieciątka prała i na tę pamiątkę w każdą sobotę świeciło słoneczko; jeśli nie cały dzień, to zawsze można było liczyć choćby na kilka ciepłych promyczków. Trzeba było najpierw nanosić dużo wody i gotować ją w blaszanym „banioku”, specjalnie do tego przeznaczonym. Z pokrojonymi, cienkimi wiórkami szarego mydła woda tworzyła „bulkająco” pianę, zapach mydlin roznosił się po całym domu, a buchająca para osiadała na szybach, pokrywając je szarą mgłą.

Tymczasem nagie pierzyny i poduchy wietrzyły się na płocie, z daleka przyciągając oczy swą intensywną czerwienią. Gospodyni – stojąc przy rozgrzanej „blasze” wycierała spocone czoło brzegiem perkalowego, kolorowego, ochronnego fartucha – „obowiązkowego” ubioru każdej zameężnej kobiety. Wielką drewnianą „warzochom” upychała z powrotem do gara wydymające się co chwilę białe bieliźniane balony. Nie było kolorowej pościeli. Wygotowaną, a potem wypraną w balii trzeba było kilkakrotnie wypłukać, dodając do ostatniej wody trochę ugotowanego „krochmolu” z ziemniaczanej mąki i garść siwej farбки – ultramaryny, kupowanej w papierowych torebkach w Dębicy – „U guchelców”. Pranie było ciężką pracą. Trzeba było mocno pocierać tkaninę o blaszaną tarę zaczepioną na brzegu wielkiej balii ustawionej na „taborku”. Wymagało to siły; bolały ręce, kręgosłup i nogi. Ale efekt był wspaniały.

Rozwieszone na sznurze i wyschnięte w wiosennym słońcu poszewki poduszek i pierzyn, prześcieradła i obrusy, ręczniki i męskie koszule nabierały lśniącej czystości. Przyniesione wieczorem do domu pachniały wiosennym wiatrem i świeżością, a wyprasowane żelazkiem z „duszą”, która rozgrzewała się w ogniu pieca, stawały się gładkie i sztywne jak papier; smacznie się w takiej pościeli spało, a sny musiały być kolorowe i piękne.

W wielu domach kobiety prasowały żelazkami, które rozgrzewały się dzięki umieszczonym wewnątrz rozżarzonym węgielkom. Trzeba było uważać, żeby nie spalić lub nie pobrudzić prasowanej bielizny; należało też co chwilę machać żelazkiem, by węgielkowy żar nie przygasał. To też była bardzo trudna praca, a tkaniny z naturalnych włókien były „miętliwe” i niełatwo poddające się tej obróbce. Ale każda dziewczynka zawczasu przyuczała się

do tej czynności, toteż mogła pomagać mamie w prasowaniu stosu wysuszonych na sznurze ubrań czy pościeli.

Gdy nadchodził Wielki Piątek, życie jakby zwalniało. Często pogoda współgrała z tym smutnym dniem; bywała ponura, wietrzna i mglista. Nikt nie myślał o jedzeniu. Pracowało się jak co dzień w gospodarstwie, robiło przygotowania do świąt, ale przede wszystkim się pościło: jadło tylko trzy razy i to postne potrawy, wyłączało się radio, rodzice nakazywali spokój, upominali, żeby się głośno nie śmiać ani zbyt nie psocić, tym bardziej, że było się już po spowiedzi wielkanocnej i trzeba było wytrwać w dobrym przynajmniej do Wielkiej Niedzieli. Niektórzy nawet rezygnowali z mleka i dzień ten spędzali o chlebie i wodzie.

W Wielki Piątek obowiązkowo szło się do kościoła na Drogę Krzyżową, Gorzkie Żale i obrzędy związane z tym dniem. Dzwony na kościelnej wieży i dzwonki mszalne milkły. Głos drewnianych kołatek, przygaszone, migotliwe światło świec, fioletowy kolor księżych ornatów, żałobne melodie, okno obok bocznego ołtarza Matki Bożej zasłonięte wielkim malowidłem przedstawiającym pochmurny, ciemny, ponury pejzaż Jerozolimy, a pod tym ołtarzem otwarty, pusty grób ozdobiony białymi kwiatami hortensji zwanej „fortazjom” – wszystko to tworzyło niezwykle nastrój żalu, smutku i żałoby. Po uroczystościach, klęcząc przesuwaliśmy się w długim szeregu, by ucałować wielki krzyż położony na środku kościoła. Martwą ciszę przerywało tylko jakieś tłumione kasznięcie, czyjś krótki szept czy brzęk drobnych pieniędzy, które po pobożnym ucałowaniu przebitych gwoźdźmi rąk i nóg Jezusa wrzucaliśmy do leżącej obok miseczki.

Zmęczeni i zziębnięci, „podyrdując” wracaliśmy do domu, bo jeszcze czekało nas malowanie pisanek, by były gotowe do porannego święcenia.

Prawdziwie artystyczne pisanki niełatwo było wykonać, ale wiele kobiet w wiosce mojego dzieciństwa posiadało tę piękną sztukę. Niektóre sąsiadki przynosiły jajka do malowania naszej mamie, a ona zdobiła je z radością i talentem.

Najpierw trzeba było wybrać odpowiednie, dorodne jajka – te z ciemniejszą skorupką; potem je ugotować i ostudzić. Podarowany przez sąsiada mającego pasiekę воск pszczeli topiło się w blaszanym pudełeczku po paście do butów „Dobrolin” specjalnie do tego celu przechowanym, a gdy wrzał na gorącej blasze, zanurzało się w nim gwoździk z małym łepkiem nabitym na patyk i tym gwoździkiem znaczyło się na jajku różne kropki i kreski, które układały się w przeróżne wzorki.

Było kilka tradycyjnych wzorów, powtarzanych corocznie: przypominających płatki śniegu, gałązki świerkowe czy kwiatki, ale prawdziwe mistrzynie wymyślały wciąż nowe, oryginalne ornamenty, którymi upiększały pisanki budzące podziw, będące prawdziwą dekoracją wielkanocne-

go stołu, chętnie ofiarowywane jako prezent w czasie świątecznych wizyt u krewnych czy sąsiadów.

Jako dzieci rwaliśmy się do malowania pisanek, ale wzorki zawsze wychodziły koślawe, a przyskający воск parzył nam ręce.

Ozdobione jajka wkładało się do rozpuszczonych we wrzącej wodzie farbek do tkanin, kupowanych w Dębicy – oczywiście „U guchelców” – i zostawiało na noc, żeby nabrały intensywnego koloru. Zafarbowane garnki wymagały potem długiego szorowania drobnym piaskiem czy popiołem. Ale przecież tradycja – rzecz święta!

Kobiety z wioski mojego dzieciństwa wykorzystywały też do malowania jajek naturalne barwniki: młode pędy zielonego owsa wysiewanego dużo wcześniej w doniczce, sok z buraków ćwikłowych czy łuski cebuli dające głęboki, miedziany kolor. Takie pisanki można było po świętach spożyć; w przeciwnieństwie do tych barwionych farbą do tkanin.

Niekiedy malowało się jajka kacze – większe i śliczne, ale najczęściej to sadzano na nich kaczki, by wkrótce wymoszczony kojec zażółcił się od piszczących, puchowych kaczuszek.

Raniutko w Wielką Sobotę biegliśmy obejrzeć efekt malowania pisanek. Należało delikatnie wyjąć je z farby i ułożyć na szmatce, by odsączyć wodę. Potem trzeba było je wytrzeć do sucha i ostrym nożykiem zdrapywać woskowe wzorki dbając o to, by nie zarysować skorupki, co nie było sprawą prostą. Gdy pisanki były już gotowe, przecierało się je szczyptą tłuszczu, żeby się błyszczały i można już było się wybierać do święcenia. Do koszyczków wkładało się kawałki kiełbasy, boczku, chleba, sól i chrzan, jajka ugotowane na twardo i obrane ze skorupki, no i oczywiście baranka symbolizującego Zmartwychwstałego Chrystusa. Ozdobą były najczęściej witki wierzbowe pokryte baziami i ciemnozielony barwinek. Rósł w ogródkach, nawet zimą, zieleniąc się spod śniegu, a gdy święta wypadały dość późno, zdążył nawet zakwitnąć drobnymi, sympatycznymi, fioletowymi kwiatuszkami, będącymi dodatkową ozdobą „święconek”.

Dzieci i dorośli z całej wsi od rana zdążali pod budynek szkoły, gdzie na podwórzu odbywała się ceremonia święcenia pokarmów na świąteczny stół. Wszyscy odświętnie ubrani, przystawali w grupkach, rozmawiając o różnych sprawach i ciesząc się z nadejścia świąt. A zewsząd otaczały nas wonie budzącej się wiosny. Spoglądaliśmy w niebo przeświecone złocistymi promieniami słońca i biegliśmy oglądać, co inne dzieci mają w koszyczkach; jakie wiktuały, pisanki i baranki.

Te ostatnie najczęściej były z gipsu. Przechowywane z roku na rok niekiedy wyglądały na mocno już sfatygowane; czasem z odtrąconym złotym rogiem, uszkodzonym nosem czy urwaną chorągiewką. Kupowało się je na targu w Dębicy i było jak w wierszu Mirona Białoszewskiego, próbującego

dostrzec i ocalić chociaż w poezji piękno ukryte w tych zapomnianych już symbolach Wielkanocnych Świąt.

Poeta – odwołując się do różnych kultur i tradycji – tak opisał gipsowego baranka sprzedawanego na bazarze:

„masz assyryjskie rogi
i jedną nogę
czerwono lakierowaną [...]
jego profil
– jak z lewej ręki –
i jego baranica piękna –
ach! Dwa profile Nefretet [...]
cztery czerwone kropki uszu,
Babilony
trefione w srebra z tłuczonego lusterka
i czerwone chorągiewki,
kożuchów złote Homery,
lazurkowe cokoły”¹³.

Baranek wielkanocny z wiersza – tak samo jak te nasze – choć niezbyt piękny, jakby zrobiony lewą ręką, ma w sobie coś urokliwego; choćby ten profil – tu porównany do profilu pięknej żony jednego z faraonów – Nefretete. Poecie – a przecież i nam – trochę żal, że ten gipsowy, jarmarczny baranek uznany za kicz, został dawno wyrzucony na śmietnik i zastąpiony sztampowym – z cukru.

Niektóre baranki w naszych dziecięcych koszyczkach były ulepione z masła zmieszanego z utartym serem w takich proporcjach, że nie traciły urody i charakterystycznych kształtów nawet pod wpływem drobnej mżawki czy bladego, wiosennego słońca. Miały jeszcze tę zaletę, że po świętach stawały się pysznym przysmakiem. „Zjadliwe” były też baranki pieczone w specjalnych blaszanych formach o charakterystycznych kształtach, otwieranych jak pudełka. Wlewało się w nie odpowiednio przygotowane ciasto i wypiekało w piecu jak drożdżowy placek. Duże, o miodowobrazowej skórce, z wytłoczonymi skrętami udającymi owcze runo były ozdobą koszyka ze święconką, i – potem – wielkanocnego stołu, a na koniec – oczywiście – ucztą dla podniebienia; zwłaszcza jedzone ze świeżym masłem.

Cukrowych baranków nie mieliśmy; chyba jeszcze ich nie wymyślono lub nie były popularne w wiosce mojego dzieciństwa.

Oprócz baranków święciliśmy też czasem gipsowe zajaczki. To one podobno, jak głosiła legenda, śpiąc – jak to zwykle zające – z otwartymi oczami, pierwsze zobaczyły zmartwychwstanie Chrystusa i dlatego też stały się symbolem Wielkanocnych Świąt.

Księdza przywożono furmanką zaprzęzoną w dwa piękne konie. Witał wszystkich, zakładał bielutką komżę i po krótkiej modlitwie obficie święcił przyniesione produkty. Podstawialiśmy jak najbliżej swoje koszyczki, by na pewno zostały solidnie pokropione. Sami też chcieliśmy poczuć na twarzach zimne kropelki święconej wody.

Po powrocie do domu odstawialiśmy poświęcony koszyk i pomagaliśmy w ostatnich przygotowaniach do świąt, a wieczorem szliśmy na nabożeństwo paschalne.

Wnętrze kościoła w dalszym ciągu było ciemne, zimne i ponure. Wciąż panowała martwa cisza i atmosfera żałoby. Białe ciało Chrystusa złożone w grobie pod bocznym ołtarzem kontrastowało z ciemnym, surowym tłem. Cały wystrój kościoła, przejmująca cisza i ten grób Boży skłaniały do refleksji i zadumy – i choć trochę nużyły – to przecież przejmowały nas wzruszeniem i zapadały głęboko w pamięć.

Wieczorne uroczystości tego dnia trwały długo i kończyły się bardzo późno, więc nie zawsze braliśmy w nich udział. Chyba nawet nie wszyscy dorośli zdawali sobie sprawę z wagi obrzędów Wielkiej Soboty, uznając za najważniejsze święto Wielkanocną Niedzielę.

Publicysta Szymon Hołownia pisze:

„Najważniejsze i najstarsze zarazem w roku kościelnym są święta Wielkiej Nocy, czyli Zmartwychwstania. Bo o ile bez urodzenia Pana Jezusa trudno sobie wyobrazić Jego zmartwychwstanie, o tyle chrześcijaństwo zbudowane jest jednak na fakcie, że Chrystusowi udało się pokonać śmierć, co czeka nas wszystkich, którzy w Chrystusa wierzą [tych, którzy nie wierzą, czeka zresztą też]. Najważniejszym świątecznym nabożeństwem w roku [...] jest liturgia Wigilii Paschalnej, czyli mówiąc po ludzku, uroczysta msza z siedmioma czytaniem, przypomnieniem chrztu i uroczyste odśpiewanym „Orędziem Paschalnym” [...], święceniem ognia i wody, odprawiana wieczorem w Wielką Sobotę. Akurat wtedy, gdy w wielu kuchniach panie domu osiągnęły właśnie szczyt przedświątecznych przygotowań, nieświadome, że omija je ceremonia ważniejsza w swej wymowie nawet od rezurekcji, na którą nazajutrz się wybierają [...]. Bo to w Wielką Sobotę wieczorem zaczynają bić dzwony, które ogłaszają światu, że Jezus zmartwychwstał! Cień tej logiki można jednak odnaleźć w ludowej mądrości, która pozwala wracającym w sobotę z kościoła podjadać już świąteczne mięso”¹⁴.

Po powrocie z kościoła do domu dorośli natychmiast zabierali się do swoich zajęć narzekając, że chyba nie zdążą ze wszystkim na czas. Nam, dzieciom – mamy urządzały wielką kąpiel w ogromnych baliach stawianych na środku kuchni. W piecu buzował ogień rozniecany przez dokładanie coraz to nowych kawałków pachnącego lasem drewna, co chwilę szturchanych „kociubom” tak mocno, że do popielnika wpadały jaskrawopomarańczowe, roz-

żarzone grudki popiołu. Cała izba wypełniała się milutkim ciepłem, a w wielkim garze parowała gotująca się woda. A potem następowało wielkie mycie, chlapanie, pluskanie, aż mydliny zalewały podłogę, którą jeszcze trzeba było starannie wyszorować. Ubrane w szorstkie od krochmalu, flanelowe, ciepłe nocne koszule suszyłyśmy z siostrą włosy przy otwartych drzwiczkach pieca, a potem umykałyśmy, by szybko zanurzyć się w mocny sen.

I wydawało się, że minęła zaledwie chwilka, gdy trzeba było zrywać się na Mszę Rezurekcyjną zaczynającą się jeszcze przed świtem. Była bardzo uroczysta, z procesją trzykrotnie okrążającą kościół. Biły dostojnie dzwony z wieży kościelnej, wtórowały im radośnie małe dzwoneczki ministrantów w białych komeżkach oraz donośne, choć trochę ochrypłe i nieco zawodzące śpiewy uczestników Rezurekcji: „Wesoły nam dziś dzień nastał”. A niebo powoli jaśniało i zabarwiała się bladym różem. Dzień wstawał piękny, skąpany w odświeżających zorzach.

O takich momentach pisał ks. Jan Twardowski:

„...tylko dwie są czyste chwile
ta wczesna ranna i tamta o zmierzchu
gdy Bóg dzień daje i gdy go zabiera”¹⁵.

Właśnie zza drzew po wschodniej stronie wschodziło jeszcze trochę blade, ale niosące nadzieję i radość wiosenne słońce. Lśniła w odbitych promieniach złota Monstrancja niesiona przez proboszcza, kroczącego dostojnie pod baldachimem w pięknych, białych szatach, łopotały na wietrze kościelne chorągwie, barwiły się kolorami niesione przez przedstawicieli różnych stanów feretrony z postaciami świętych; zdobne w sztuczne kwiaty i kolorowe wstęgi rozwiewane wiatrem. Niekiedy znienacka wybuchała głośnym echem petarda; stary zwyczaj pielęgnowany przez chłopaków, tolerowany przez księży, a będący postrachem dla dzieciaków.

Rezurekcyjne petardy miały – według legendy – budzić śpiących w Tatrach rycerzy, zmiękczać serca skąpców i niedobrych sąsiadów. Niektórzy chłopcy przygotowywali się do tej chwili dużo wcześniej. Do puszki po farbie wlewali trochę wody, a następnie wsypywali odrobinę zdobycznego karbidu i puszkę szczelnie zamykali. W czasie procesji, do maleńkiego otworu w denku wkładali zapaloną zapalkę i uciekali na bezpieczną odległość. Huk był ogromny! Małe dzieci były przerażone, ale dorośli łaskawym okiem patrzyli na te wybryki. No, cóż – wiadomo: tradycja!

I już po chwili: „Alleluja! Jezus żyje”! – niosło się daleko, budząc we wszystkich radość i nadzieję, kojąc bóle i lęki dręczące serca, bo przecież: „Wstał, przeniknął sklepu mury Bóg natury, Alleluja”!

Zastanawialiśmy się – śpiewając tę radosną pieśń wielkanocną – jak to się stało, że Zmartwychwstały, który przeniknął mury, chciał dostać się do sklepu? Nie wiedzieliśmy przecież, że staropolskie słowo „sklep” oznaczało

sklepienie; w tym wypadku: kamienne sklepienie grobu. Myśleliśmy też już o czekającym nas w domu świątecznym śniadaniu, bo rano – szczególnie, gdy już mogliśmy przyjmować komunię świętą – niczego nie jedliśmy.

Po skończonej uroczystości, zanim jeszcze wybrzmiały kościelne dzwony, pośpiesznie wracano do domów. Już w sieniach kobiety zdejmowały odświętne chustki wiązane pod brodą, wieszały starannie płaszcze i narzucając na ubranie kuchenną zapaskę szły przygotowywać świąteczne śniadanie.

Mężczyźni oczywiście – jak co dzień – musieli i w Wielkanocną Niedzielę obrządzić gospodarstwo, gospodynie krzątać się w kuchni, ale my, dzieci – mieliśmy wolny czas; nawet trochę się nudziliśmy, bo nie chodziło się w tym dniu w gości, nic nie można było robić, a po obfitym śniadaniu z żurkiem omaszczonym suto przysmażoną kiełbasą, z domową szynką i jajkiem jako symbolem odradzającego się życia w roli głównej; nie mieliśmy nawet apetytu na pałaszowanie świątecznych wypieków.

A na stole czekała pyszna, lukrowana babka i – do pary – ozdobny mazurek, a także „strucel” makowy i „syrowiec”. Gdy w końcu wybiegaliśmy na podwórko, zaraz dobiegały nas głosy mam: – „Tylko uważajcie, żeby się nie pobrudzić”, bo – oczywiście – paradowaliśmy w odświętnych ubraniach. Był to więc dla dzieci dość trudny dzień. Na szczęście można było czytać dziecięce książeczki czy coś tam rysować, a wieczorem słuchać jakiejś ciekawej audycji emitowanej przez radio w tym dniu: baśni, teatrzyku, czy – w późniejszych latach – powieści radiowej „Matysiakowie”. Ta powieść radiowa w odcinkach zawładnęła sercami słuchaczy – dużych i małych – na długie lata.

Oczywiście cały dzień pałaszowaliśmy wielkanocne smakołyki, bo choć już wszyscy byli objedzeni, i to przecież wiadomo: „Lepiej żołądek popsować niż dar Boży zmarnować”. Czekaliśmy też z niecierpliwością Wielkiego Poniedziałku, bo wtedy był przecież ukochany przez wszystkie dzieci Śmigus-dyngus.

Istotę tej odwiecznej tradycji dowcipnie wyjaśnił popularny satyryk Artur Andrus: „We wszystkich naukowych opracowaniach można było przeczytać, że ten zwyczaj polega na zalotnym polewaniu zimną wodą młodych dziewcząt przez wiejskich kawalerów – zawsze i ja się załapałem na jakiś kubełek. Zdaje się to potwierdzać teorię, że jest taki wiek w życiu człowieka, są takie style ubierania i takie typy urody, że trudno stwierdzić, czy to, co wraca z rezurekcji, to chłopiec, którym się nie interesuje nawet Wojskowa Komisja Uzupełnień, czy panna na wydaniu”¹⁶.

Bo każdy miał prawie pewność, że zostanie w tym dniu oblany.

Prawie co roku była piękna pogoda, wiosenne słończko ślicznie świeciło i już dość mocno grzało. Zaraz po przebudzeniu biegliliśmy oblać rodziców, potem laliśmy się nawzajem, czyhając na dzieciaki z sąsiedztwa, też – jak my – czające się z przygotowaną wodą za płotami podwórek. Nikt się nie wzbraniał, każdy chciał uczestniczyć w tej zabawie; wszak tradycja – prze-

cież wiadomo – święta rzecz! Potem przebieraliśmy się szybko i szliśmy do kościoła wiedząc, że pokazanie się w miejscach publicznych „nie ujdzie nam na sucho”. Nie obawialiśmy się o swoje fryzury czy ubrania; „ulyzane” mysie warkoczyki po rozpleceniu szybko wysychały, a ciuszki – najczęściej bawełniane – nie niszczyły się polewane czystą wodą ze studni.

Pewnego roku dyngus był wyjątkowo obfity.

Jako że wioska mojego dzieciństwa była typową „szeregówką”, szło się dość wąskim gościńcem oddzielonym małymi „krzykopamy” od ciągnących się wzdłuż pól. Chłopaki w tym dniu na podwórku Ziobrów umieścili strażacką motopompę, która pompowała wodę z rzeczki płynącej tuż za ich zabudowaniami. Pompa ta była tak ustawiona, że woda zalewała cały gościniec; od płotu do płotu. Nie udało się ominąć szerokiego wodnego strumienia i każdy – mały brzdąc czy człowiek dorosły – wracał z kościoła do domu przemoczony do suchej nitki. Starsi przemykali chyłkiem, by jak najprędzej znaleźć się poza zasięgiem wody, ale kręciło się tam też wiele dzieciaków, które – piszcząc z uciechy – wielokrotnie przebiegały tam i z powrotem, mając niezłą wiosenną kąpiel.

Niektórzy młodzi chłopcy mieli już nawet za sobą pierwszą kąpiel w Wiśloce, bo honorem było zaliczyć ją jak najwcześniej. Gdy tylko kry ustępowały, a pierwsze wiosenne burze przetoczyły się po niebie, uznawano, że ziemia została „ogrmiana” więc można na niej już spokojnie siadać, a woda w rzekach nadaje się do kąpieli. Nie wymyślono wtedy jeszcze żadnych klubów „Morsów” czy innych związków amatorów zimnych kąpieli, ale były one popularnym, choć ryzykownym „sportem” wśród chłopaków; również w wiosce mojego dzieciństwa. Niewielu z nich przeplącało tę przygodę chorobą; ludzie byli zahartowani i nie zapadali tak często na różne przeziębienia.

Po przebraniu się i obiedzie czekaliśmy niecierpliwie, by znowu wyrwać się z domu i by znów się oblewać lub obserwować starszych chłopaków, którzy „polowali” na dziewczyny. A dziewczyny chciały być oblane, bo to świadczyło o ich powodzeniu, choć też trochę się bały. Pewnego roku chłopaki wyciągnęli z domu Dankę z sąsiedztwa, zanieśli wyrrywającą się pod studnię i tu – przytrzymując wrzeszczącą wniebogłosy – polewali lodowatą wodą prosto z wiadra. Nie mogła się nawet obrazić, bo przecież: „tradycja ...itd. A na drugi dzień można się było przed koleżankami pochwalić wspaniałą przygodą, no i – przede wszystkim – powodzeniem u chłopaków. Bo solidnie zmoczone panny miały wielkie szanse na zamążpójście, a obrażalskie i pominięte – niewielkie. Przechadzały się więc dziewczyny gościńcem niby nic, drobiły małymi kroczkami, niby uciekając przed oblaniem, a tak naprawdę szukając okazji do śmigusowych figlów. Zerkały też dyskretnie na boki, gdzie za płotami czy węgłami domów czała się „kawalerka” z wiadrami pełnymi wody.

W tym dniu przebieraliśmy się kilka razy, zawsze strofowani przez mamy, które jednak pobłażliwie patrzyły na nasze zabawy, obserwowały życzliwie rozdokazywaną młodzież i zającując świąteczne przysmaki, wspominały własne śmigusowe przygody z dzieciństwa.

Był to też dzień odwiedzin i to wesołe święto obchodzono gromadnie. Objadające się smakołykami sąsiadki opowiadały o pewnym absztyfikancie z Dębicy, który przybywszy w dzień „leja” do jednej z bobrowskich dziewczyn, skropił wszystkich delikatnie perfumami. Zaśmiewały się z tego zachowania; było uważane za rodzaj fanaberii, a i tak podobno skończyło wielkim „laniem”, gdyż bracia tej dziewczyny powitali eleganta wiadrzem wody ze studni.

A nazajutrz wracała szara codzienność, choć wiosna już szła wielkimi krokami, a wraz z nią nadzieja w sercu i radość.

Ale zdarzyło się pewnego razu, że świąteczny nastrój zburzyło nagle tragiczne wydarzenie; właśnie w drugi dzień świąt, gdy w ludowcu trwała zabawa taneczna, a głosy skocznej muzyki niosły się po opłotkach, w pobliskim sąsiedztwie zastrzelił się młody chłopak Emil.

Niekiedy, idąc do kościoła, widywaliśmy go siedzącego przed domem; zawsze z książką w ręce. Plotkowano, że właśnie te książki, zachłannie czytane, a mówiące o bezsensie życia i o śmierci były powodem tego desperackiego kroku. Ale nikt nie wiedział na pewno, jak to było naprawdę, jakie ten kilkunastoletni chłopak miał wcześniejsze przeżycia i doświadczenia życiowe i skąd wziął pistolet? Być może, leżał gdzieś ukryty za węglem jeszcze od wojny, jak to często bywało.

Szliśmy – dzieci i dorośli mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa – w długim, pogrzebowym kondukcje. Zaczynał się przed domem zmarłego tuż za zakrętem koło ludowca, mijał drewniany krzyż wśród bobrowskich pól, potem krzyż żelazny, znaczący początek Nagoszyna, przechodził przez „Góry”, zakręcał koło parkanu Babczynów i wchodził do kościoła, by po żałobnych uroczystościach znów się rozwinąć i podążać błotnistym gościńcem wśród nagoskich chałup na – widoczne z daleka – cmentarne wzgórze; zawsze wietrzne i przejmujące smutkiem.

Po drodze pośpiewywano żałobne pieśni, odmawiano różaniec, cicho szep-tano o kruchości życia i o nieprzewidywalności wyroków Bożych, wyrażając żal i wdychając nabożnie. Ksiądz – odmówiwszy na cmentarzu okolicznościowe modlitwy i pokropiwszy trumnę – wrócił na plebanie, a i tłum żałobników szybko topniał rozchodząc się grupkami na „swoje” mogiłki i do domów.

Ta niespodziewana śmierć, tak absurdalna i straszna, długo komentowana i wspominana przez mieszkańców mojej wioski, burzyła nasze poczucie ładu świata i pogodę dzieciństwa. To było całkiem niezrozumiałe, niesprawiedliwe i nie do pojęcia. Ktoś powiedział, że dzieciństwo kończy się wtedy, gdy zaczyna się śmierć. I to była prawda, której doświadczyliśmy boleśnie.

Ale prawdziwą grozę śmierci odczuliśmy, gdy zginęła tragicznie młoda dziewczyna Albinka, której włosy wplątały się w tryby maszyny na zajęciach lekcyjnych w dębickim „Mechaniku”. Widywaliśmy ją idącą ze szkoły do domu – i te jej włosy – dorodne, bujne, spięte w gruby warkocz.

Długo prześladował nas nieludzki krzyk jej mamy, wzbijający się ponad tłumem ludzi, którzy uczestniczyli w pogrzebie. A prawie wszyscy mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa szli wtedy w żałobnej procesji, serdecznie opłakując tę niezrozumiałą śmierć, która rodziła poczucie strasznej niesprawiedliwości losu, bezradności i absurdu. Modlili się szczerze i towarzyszyli zbolalej rodzinie w jej cierpieniu.

Bo prości ludzie naprawdę umieli współczuć, umieli wspierać, a udział w pogrzebie uważali za swój chrześcijański obowiązek. Zresztą prawie zawsze żegnali przecież ludzi im bliskich, bo wszyscy w wiosce się znali, mieszkali tu najczęściej od dziada pradziada, codziennie kontaktowali się ze sobą, dzielili wspólnie ciężki los.

Domy stały dla wszystkich otwarte, każdego witało się serdecznie i serdecznie goszczono. Mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa, którzy wzajemnie pracowali i wzajemnie się modlili, razem też chcieli pożegnać odchodzących na zawsze. Jeśli ktoś nie mógł uczestniczyć w pogrzebie, to – widząc kondukt żałobny, na czele którego jechała furmanka zaprzęzona w dwa dorodne konie [przez długi czas był to zaprzęg Mysiny] – zatrzymywał się, odprowadzał wzrokiem idących, wzdychał pobożnie, a czasem przyklękał i odmawiał modlitwę za zmarłego.

Było to zachowanie wynikające z potrzeby serca i obyczajowości charakterystycznej dla ludzi wsi, z mądrości; nie tej wyczytanej z książek, a nabytej poprzez doświadczenie pokoleń. Bo mieszkańcy wsi kierowali się tzw. „chłopskim rozumem” i zachowywali się zawsze naturalnie, tak samo jak ich dziadowie i pradziadowie, bez żadnej pozy. „Naturalnie mówili, naturalnie śpiewali, zawsze naturalnie chodzili, naturalnie wstawali i siadali, wszystko zawsze ani za późno, ani za wcześnie, ani za krótko, ani za długo”¹⁷.

I było tak jak w wierszu księdza Jana Twardowskiego:

„Tu Pan Bóg jest na serio pewny i prawdziwy
Bo tutaj wiedzą kiedy kury karmić
Jak krowę doić żeby nie kopnęła
Jak starannie ustawić drabinę do siana
Jak odróżnić liść klonu od liścia jaworu
Tak podobne do siebie lecz różne od spodu [...]
Tu wiedzą że konie stają głowami do środka
Że kos boi się bardziej w ogrodzie niż w lesie
Że skowronek spłoszony raz jeszcze zaśpiewa
Kukułka tutaj żywa a nie nakręcona

Pszczółka się wciąż uwija raz w prawo raz w lewo
A mirt zakwita tylko na zimowym oknie [...]
I wiadomo że sosny niebieskozielone
A dziurawiec to dziwne świętojańskie ziele

.....

Tu Pan Bóg jest jak Pan Bóg pewny i prawdziwy¹⁸.

Mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa dzielili się też chętnie tym, co mieli. Gusia – malutka córeczka sąsiadki, która przybiegała do nas się bawić – gdy nadchodziła pora obiadu, pierwsza zasiadała przy stole z łyżką w ręce, a potem my biegałyśmy, by posmakować pysznych naleśników z „rombarbarem”, które robiła jej mama. Również listonosz – odwiedzając domy – niekiedy sam brał talerz i nakładał sobie z garnka jakąś ulubioną potrawę, serdecznie zapraszany przez gospodynię do zjedzenia jeszcze jednego „ruskiego”, czy ziemniaczanego placka.

Zdarzyła się też ciekawa historia z inkasentem pobierającym opłaty za prąd. Poczęstowany przez mamę herbatą i plackiem z „marmuladom” – na którym zamiast kruszonki była przeplatanka z wałeczków ciasta – zaczął się żalić, że musi wracać ciemnym wieczorem na rowerze do Dębicy. Wtedy ojciec natychmiast zaproponował mu nocleg. A gdy na dodatek okazało się, że nosi takie samo jak my nazwisko, to potraktowano go jak krewniaka; ugoszczono, przenocowano i wypuszczono dopiero po obfitym śniadaniu. Tak było w każdym domu. Gdziekolwiek się poszło: do sąsiadki, do znajomych czy do koleżanki – wszędzie się cieszone, znajdowano chwilę czasu na serdeczną rozmowę i częstowano, „czym chata bogata”.

A na łąkach było istne szaleństwo mleczy.

Mleczko to kwiaty mojego dzieciństwa, które obwieszczały zwycięstwo wiosny. Żółciły się na polach, rowach, podwórkach, wciskały się wszędzie – dorodne i słoneczne, choć plamiące nasze ręce na brązowo „mleczkiem” ukrytym w łodyżkach; rozkwitały, by zmienić się wkrótce w kuliste dmuchawce, rozwiewane przez wiatr i zapowiadające przyszłoroczną obfitość tych roślin. Małe dziewczynki plotły wianki z żółtych kwiatów mleczy i ozdabiały nimi swe głowy w mysich kucykach. Czasem przysiadła na nich na chwilę żółciutki motyl cytrynek, czasem obudzona ciepłem wiosennego południa pszczoła lub kosmaty, buczący basem bąk. Podobnie jak mleczko, bujnie zakwitały też różowobiałe stokrotki, tak wszechobecne, że nie docenialiśmy ich delikatnego piękna. Czasem, pasąc krowy, umilałyśmy sobie czas wyrывая kolejne stokrotkowe płatki i wypowiadając słowa popularnej wróżby: „Kocha, lubi, szanuje, nie chce, nie dba, żartuje”... I choć czasem ostatni płatek mówił, że – nieestety – nie dba”, albo, że „żartuje”, to i tak stokrotki lubili wszyscy.

Harcerze śpiewali o tej, która rosła, „gdzie strumyk płynie z wolna, rozsiewa zioła maj”, a potem „z harcerzem poszła w dal”. A urok tych kwiatków

opisywali nawet poeci. Jeden z takich wierszy napisanych przez znaną pisarkę Wandę Chotomską – po skomponowaniu melodii – znalazł się w repertuarze trochę późniejszego, ale jakże popularnego peerelowskiego zespołu młodzieżowego „Gawęda”, który śpiewał:

„Nie deptać stokrotek po drodze,
Bo chociaż stokrotka niewielka,
To w każdej jest nutka piosenki
I w każdej słodczy kropelka.
I człowiek się robi bogatszy
Przez taki maleńki kwiatuszek.
Dlatego rzucamy dziś hasło:
– Nie deptać stokrotek i wzruszeń”¹⁹.

Coraz bardziej też zieleniły się ozimina wiosenne pola, a drzewa stały całe w pąkach, bo to przecież zbliżał się 23 kwiecień – dzień imienin Wojciecha, a przecież wiadomo: „Na Wojciecha w polu pociecha”. W tym dniu pamiętano, by wysiać marchewkę i pietruszkę, buraki i ogórki, właśnie dlatego, by wyrosły piękne – „na pociechę”.

Nad łąką fruwało coraz więcej ślicznych, żółciutkich cytrynków, które co chwilę przysiadły cichutko na rozkwitłych wiosennych kwiatkach. Gdy złapało się takiego motylka delikatnie w obie dłonie, można było – rozchylając nieco palce – podglądać, jak trzepoce skrzydełkami i kręci się niecierpliwie. Wypuszczony, natychmiast odfrunął, zostawiając na dłoniach delikatny, żółty proszek.

Choć czasami słońeczko grzało już mocno, to znów po paru dniach oziębiało się gwałtownie, a północny wiatr nawiewał grube, bure chmurzyska. Budziliśmy się nazajutrz zaniepokojeni dziwnym blaskiem zza okien. A tam mokry śnieg leżał bielą na młodych, dopiero rozwijających się listkach drzew, na mleczach i stokrotkach, na zielonej trawie i na błotnistych ścieżkach. Pęczniejące pąkami gałązki bzu gięły się pod ciężarem białego puchu. Na szczęście ten niespodziewany śnieg szybko topniał, nie przynosząc większych szkód, a świat znów cieszył nas młodą zielenią.

Patrząc na tę coraz bujniejszą zielenią okrywającą rozmiękłą ziemię, przyozdabiającą drzewa i ogrody, na tak nam znane domy rozsiane wzdłuż małej, krętej rzeczki, na wieżę nagoskiego kościoła, nadwisłoczną zarośla i ciemniejący na horyzoncie korzeniowski las, zastanawialiśmy się czasem: jakie były początki tej naszej wsi i jakie ta ziemia skrywa tajemnice? Ile przeszło przez nią nieznanymi kataklizmami i tragicznymi wydarzeniami, nie zapisanych przez żadnego kronikarza? Ile było pożarów, powodzi, epidemii „morowego powietrza”, dziejowych zawieruch, które przechodziły nad naszą okolicą?

Warto poznać choćby okruchy historii i utrwalić je, zanim odejdą w mrok i zamienią się w pył. Bo przecież – jak mówią starzy – nawet przydrożny kamień, który trwa przez wieki tylko mchem porastając, w końcu w proch się rozsypie.

A powstanie wioski mojego dzieciństwa ginie w mroku przeszłości; jej najstarsze dzieje są – niestety – mało znane. Nie zachowały się jakieś namacalne relikty z dawnych wieków. Wiadomo jednak, że Bobrowa powstała gdzieś na przełomie XIV i XV wieku w czasie osadnictwa na północnych, podmokłych terenach, tak samo jak Mokre, Nagoszyn, Korzeniów i Dębina, która dawniej była częścią Bobrowej. Początkowo wioska mojego dzieciństwa była własnością Mikołaja Ligęzy z Bobrka – przysiółka Zawady. Tak jak i sąsiednie miejscowości „kształtowała się samoczynnie przez całe wieki w zgodności z aktualnie panującymi warunkami gospodarczymi i społecznymi oraz miejscowymi warunkami środowiska geograficznego”²⁰.

A usytuowanie Bobrowej – jak wiadomo – nie było korzystne. „Ziemia była podmokła, miejscami nawet bagnista. W licznych rozlewiskach wody budowały swe żeremie bobry. Stąd zapewne pochodzi nazwa Bobrowej”²¹. Należy ona do tzw. wsi skupionych o wydłużonej zabudowie; domostwa powstawały wzdłuż Potoku Skołodzierskiego. Było też kilka rozproszonych domów; do takich – w czasach mojego dzieciństwa – należał np. dom Gilów wybudowany Olszynach.

W późniejszych wiekach powstały też przysiółki usytuowane wzdłuż brzegu Wisłoki: Kolonia i Zakęcie.

Leopold Harla – zakochany w swojej rodzinnej wiosce, napisał wiersz nawiązujący do jej powstania:

„Bobrowa”
Olchy i dęby,
Brzozy i klony.
I wierzby.
W osadzie bobrów,
Nad rzeką –
Bo gdzieżby?
Olchy
Nad strugą,
rzeczułką,
Skołodzierskim potokiem.
Olchy,
Wierzby i dęby
jak sięgnąć okiem.
I żeremia bobrowe
kopcami znaczone,
wśród mokradeł zielonych

gęsto rozrzucone.
Pełno tu zwierza w lasach
I ptactwa w leszczynie.
Bogactwem rybostanu
Skołodzierski ciek słynie.
Widzi to
Człowiek dzielny.
I mówi do żony.
Tak do niej powiada:
– Tu będzie o s a d a!
B o b r o w a!
Przed sześcioma wiekami
Dzieje swe zaczyna:
Od bobrów – Bobrowa,
Od dębów – Dębina.
Biegły lata.
Działy się
Dzieje – zapodzieje.
Rosła Bobrowa.
Kurczyły się knieje.
Były dwory,
rozbiory,
zabory.
Było obce prześladowanie –
Lecz przetrwali bobrowianie!
Były głody,
powodzie,
pożary.
Była choroba morowa –
Lecz przetrwała Bobrowa!
Był czas okupacji,
Czas zbrodni,
co ostateczną
klęskę zapowiadał –
lecz przetrwała bobrowska osada!
A dziś? Dziś:
Niech zawsze prawdę znaczy
To dumne zawołanie:
„Piękne są bobrowianki!
I tacyż są bobrowianie!”
I niech prawdę oznacza to drugie zawołanie:

„Gospodarne są bobrowianki!
Pracowici są bobrowianie”²²!

Wiadomo, że w średniowieczu przez jakiś czas Bobrowa należała do najprzedniejszego rycerza Polski – Zawiszy Czarnego z Garbowa.

Gdy w Wiewiórcie Tarnowscy zbudowali swój piękny zamek, przyjeżdżało tam wielu znanych ludzi, których zachwyciła nasza okolica. Wśród nich był sam Zawisza Czarny.

Autorzy „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas” piszą: „Wiewiórka należała w przeszłości do kilku polskich rodów magnackich. Czar miejsca zachęcił do przybycia w te strony Zawiszy Czarnego, słynnego w całej ówczesnej Europie rycerza, bohatera spod Grunwaldu”²³.

Z zachowanych dokumentów wiadomo, że najpierw podstoli krakowski Klemens Nawój sprzedał Zawiszy Wiewiórkę, a potem ten dokupił 5 wsi, w tym Zasów, Nagoszyn, Bobrowę, płacąc za nie wysoką cenę.

Józef Buszko w książce „Dębica. Zarys miasta i regionu” pisze: „Widocznie musiały one być dla Zawiszy Czarnego ważne. Ich atrakcyjność wynikała może z niewielkiej odległości od granicy węgierskiej, gdyż wiadomo, że Zawisza Czarny związany był wówczas z Zygmuntem Luksemburczykiem”²⁴.

Warto temu, tak sławnemu rycerzowi poświęcić więc trochę uwagi.

Urodził się około 1380 roku w Garbowie. Ponoć wyrósł na bardzo przystojnego mężczyznę o szerokich barach, kruczoczarnych włosach, śmiałym spojrzeniu błękitnych oczu i śniadej cerze. W służbie u króla węgierskiego Zygmunta Luksemburskiego uczył się rycerskiego rzemiosła, brał też udział w wielu wojnach i turniejach rycerskich, z których zawsze wychodził zwycięsko. Po jednym z takich turniejów, jaki odbył w Hiszpanii, gdzie potykał się z – też bardzo znanym – Janem z Aragonii, został obwołany niepokonanym, najślawniejszym rycerzem Europy. Miało to swoje ważne konsekwencje: „Był zapraszany na europejskie dwory, wziął udział w kilkuset turniejach, co przyniosło mu olbrzymi majątek. Był właścicielem 31 wsi i kilku warownych zamków”²⁵.

Ciekawą charakterystykę Zawiszy znajdziemy na kartach „Krzyżaków” Henryka Sienkiewicza, który pisze o nim: „Zawisza Czarny, Sulimczyk, najśłynniejszy między słynnymi, wzór rycerzy”²⁶.

Mistrzowsko wypełniał rycerski kodeks honorowy; zgodnie ze starymi obyczajami prezentował w swym postępowaniu cechy dwojga zwierząt: lwa i baranka.

„Ten z powodu swych czynów bojowych, znajomości praw rycerskich i niezmiernej surowości w ich przestrzeganiu, znany był po świecie szeroko. W sprawach najbardziej zawikłanych, w których chodziło o honor rycerski, udawano się do niego nieraz z bardzo daleka, i nikt nigdy nie śmiał mu przeczyć, nie tylko dlatego, że pojedyncza walka z nim była niepodobna, ale i dlatego, że uważano go za „zwierciadło czci”. Jedno słowo przygany lub po-

chwały z ust jego szybko rozchodziło się między rycerstwem Polski, Węgier, Czech i Niemiec i mogło stanowić o złej lub dobrej sławie rycerza”²⁷.

Zasłynął niezwykłym męstwem m.in. w bitwie pod Grunwaldem.

Sienkiewicz pisze:

„Na czele przed chorągiewnymi szedł najstraszniejszy ze wszystkich Polaków Zawisza Czarny herbu Sulima [...]. Pod okrutną ręką Zawiszy ginęli bitni mężowie, jakby w tej czarnej zbroi sama śmierć szła im naprzeciw, on zaś walczył z namarszczoną brwią i ściśniętym nozdrzem, spokojny, uważny, jakby zwykłą odbywał robotę; czasem równo poruszał tarczą, odbijał cios, lecz każdym błyskom jego miecza odpowiadał krzyk straszny porażonego męża, a on nie oglądał się nawet i szedł pracując naprzód jak czarna chmura, z której co chwila piorun wypada”²⁸.

„A tak okrutnie siłą nad wszystkimi górował, że nieszczęśni to byli rodzi-ce, których dzieciom wypadło się z nim spotkać w boju”²⁹.

Czy naprawdę – w przerwach między wojennymi wyprawami – przebywał w swoich włościach: w Nagoszynie, Mokrem, Żyrakowie, Bobrowej? Czy przemierzał ścieżki wioski swojego dzieciństwa? Warto wierzyć, że tak było. Prawdopodobnie na terenie Nagoszyna osadził Tatarów, którzy stanowili jego łup wojenny.

Jak pisze Sienkiewicz, miał zwyczaj przywozić z różnych wojen, w których brał udział, różnych jeńców i osadzał ich w swoich dobrach. Chętnie też ich darował różnym przyjaciółom.

W „Krzyżakach” czytamy np., że Zbyszkowi z Bogdańca podarował „dwóch ludzi czarniawych, krępych, przybranych w żółte, podobne do żydowskich kaftany, w czerwone krymki [czapki tatarskie noszone na Krymie] i niezmiernie szerokie hajdawery [...]. Pan z Grabowa ma w służbie Turków, których pobrał, wojując nad Dunajem u cesarza rzymskiego Zygmunta. Zawisza napadł ich kilkudziesięciu przed trzema laty w wąwozie, częścią wytracił, częścią pochwytał – i wielu potem rozdawał, kazał ich ochrzcić, byli z azjatyckiego brzegu, z Brussy”³⁰.

Jeszcze w czasach swojego dzieciństwa ludzi z Nagoszyna nazywano czasem Tatarami, ale czy mieli coś wspólnego z Zawiszą? Niektórzy badacze piszą, że osiedliło się tam kilku Tatarów w czasie najazdów tatarskich w XIII wieku, gdy po krwawych walkach na tych terenach Polacy pokonali wroga. Ale może ci sprowadzeni przez rycerza dołączyli do tamtych, którzy już tu żyli. Początkowa nazwa wsi Nahoszan i oryginalna gwara tej wioski mogą być potwierdzeniem, że kiedyś na pewno osiedlili się tu Tatarzy: „Gwara tej wsi posiada cechy ruskie, tatarskie i pruskie [szwedzkie]”³¹.

Nazywanie nagoszan Tatarami znalazło też odbicie w opowiadaniu Mi-kołajka pt. „Sielanka”:

„W niedzielę po południu patrzyłem na stojące w upale drzewa rzeki.

– Daj karego, napasę go w olszynach – powiedziałem do Staśka.

– A zajrzyj tam, czy Tatarzy nie spaśli ugoru zawołał ojciec.

Mieszkańcy Kędzierzyna wywodzili się ze Szwedów i Tatarów³².

Tatarzy osiedlili się ponoć również w pobliskiej Górze Motyczej, gdzie też w XIX wieku zamieszkali Cyganie, a w 1905 roku Żydzi.

Nazwa naszej ukochanej rzeczki płynącej przez moją wioskę: potok Skłodzierski także „wywodzi się z czasów Zawiszy Czarnego, który miał przekazać część ziemi nagoszyńskiej, znajdującej się nad tą rzeczką, niejakiemu Skłodzierzowi, rycerzowi walczącemu w bitwie pod Grunwaldem”³³.

To piękna historia dotycząca naszych okolic, w tym wioski mojego dzieciństwa; można być dumnym, że Bobrowa i okoliczne wsie mają związek z postacią największego rycerza średniowiecznej Polski!

Gdy uświadomimy sobie, że tereny te były mokradłami, z licznymi potokami, gdzie mieściły się żeremia bobrów, można sobie wyobrazić, że Zawisza przez samą ciekawość zapuszczał tu konia. Bo bobry były niezwykle zwierzętami.

Na naszych terenach żyły tzw. bobry europejskie. Zaliczane są one do zwierząt bardzo inteligentnych. To jedyne – oprócz ludzi – stworzenia, które nie są całkowicie zależne od otoczenia. Potrafią je zmieniać, przy czym wykazują się niezwykle talentami inżynierskimi. Budują kanały, stawiają tamy, zbierają korę i gałązki z drzew i wciskają je w muł, a nawet powalają drzewa. W ten sposób zmieniają i przystosowują do swoich potrzeb istniejący ekosystem. Środowiskiem bobrów są właśnie tereny podmokłe, porośnięte łożyną, zalewane wodą wzbierających rzeczek, pełne jeziorok, oparzelisk, takich właśnie, jakie istniały na terenach wioski mojego dzieciństwa. Bobry dostarczały cennych futer i leczniczego sadła zwanego skromem.

Bohater „Krzyżaków” Maćko z Bogdańca, chcąc zaleczyć źle gojącą się ranę, wysłał Zbyszka i Jagienkę właśnie po skrom bobrowy. Sienkiewicz tak to opisuje:

„Wybrali się razem na bobry po świeży skrom do gojenia bardzo potrzebny [...], poszli piechotą, gdyż przez gęste mokradła trudno było przejechać [...], szli wśród kęp łożyn i szarych wierzb po gruncie mokrym i śliskim [wary ptasie, opar mgły], tam jest oparzelisko, gdzie kaczki zimują [...], wiatr zaszeleścił łożyną, żółciejącymi liśćmi wierzb i odsłonił zapadłą toń jeziora zmarszczoną nieco od powierzchni i pustą [...]. Po chwili wiatr opadł i nastała cisza zupełna. Wówczas na powierzchni zaczęła jedna głowa, potem druga – a wreszcie znacznie bliżej spuścił się do wody z brzegu duży bóbr ze świeżo uciętą gałęzią w pysku i począł płynąć wzdłuż rzęsy i kaczęńca, podnosząc paszczę w górę i holując gałąź przed sobą”³⁴.

Niewykluczone też, że sam Zawisza w chwilach odpoczynku po krwawych bojach, zdejmował zbroję, a przywdziewał bobrowe futro. Wszak, Eu-

stachy Rylski w opowiadaniu o rycerzach pt. „Szara lotka” pisze: „Okuci od stóp do głów w stal podczas wojennych wypraw, w czasach pokoju zamieniali ją na lniane koszule, tuniki z grubego sukna, skóry owcze, bobrze, wilcze lub niedźwiedzie”³⁵.

Zawisza wziął udział w wyprawie Zygmunta Luksemburskiego, w czasie której pod Golubacem został wzięty do niewoli i w 1428 roku zamordowany. Po jego śmierci majątek przejął syn Jan Zawiszyc, a potem wnuczka Barbara. Poślubiła ona Andrzeja Tęczyńskiego, a po jego śmierci Jana Amora Tarnowskiego, który był hetmanem koronnym, senatorem, towarzyszem Jana Kochanowskiego w jego podróży do Włoch.

W średniowieczu istniał osobny zawód bobrowników podległych tylko królowi i możnowładcom. Bobrownicy polujący na bobry i wyprawiający ich skóry cieszyli się wówczas dużym mirem; nie odrabiali pańszczyzny, byli ludźmi dumnymi, odważnymi, świadomymi swej roli, a choć później stawali się rolnikami przyrośniętymi do miejsca, w którym się zagnieździłi, to przecież w ich sercach pozostała duma, hart, pewność siebie, zawziętość i gotowość do walki aż do zwycięstwa.

Aleksander Bacher pisał:

„Mijały wieki, upływał czas,
A człowiek wciąż karczował las,
Budował domy, kopał rowy...
Kurczył się teren bobrowy”³⁶.

Tak rzeczywiście było, bo przez wieki osuszano mokradła, karczowano lasy, wydzierano ziemię na uprawy rolne. Wciąż jednak w okolicy szumiały bory. W pobliskim Przecławiu podobno polował z sokołami Leszek Biały, mający tu swój pałacyk myśliwski, a będący jednym ze spadkobierców króla Bolesława Krzywoustego, który – dzieląc Polskę na dzielnice – utworzył tu Księstwo Sandomierskie. A w nagoskich lasach polował sam król Jagiełło.

Jak mogło wyglądać takie polowanie w naszej okolicy? Skorzystajmy z opisu związanej z Dębicą pisarki Walerii Szalay – Groele, która przebywała kilka lat w Przecławiu jako nauczycielka:

„Puszcze tu były odwieczne, ciemne, niezmierzone [...], dęby olbrzymie leśne, ciche, zadumane, wznosiły ku niebu królewskie swe korony. Naraz cicha głąb zadrżała gwarem jakimś odległym, gwar ów przybliżał się z każdą chwilą, słysząc już było ujadanie psów, tętent koni, trzask łamanych gałęzi i rozognione głosy ludzkie [...]. Chwilę już długą jechali myśliwcy [...] za tropem zwierza, nie znaleźli go jednak dotąd. Puszcza tymczasem coraz dziksza, coraz bardziej nieprzejeđnaną się zdała: grząska ziemia zapadała się pod kopytami koni, zalewając je mętą, bagnistą wodą, splątane gałęzie i konary zatrzymywały myśliwych”³⁷.

Jeszcze do początku XIX wieku nasze tereny porastała nieużyteczna dla rolnictwa, zadrzewiona, pełna bagien i zarośli wiklinowych roślinność, będąca pozostałościami Puszczy Sandomierskiej. Przez równinne tereny, do wiosek, spływały różne, często bezimienne potoki i strugi, które co roku zalewały uprawne pola. Wszędzie królowały błota, bagna, podmokłe łąki, jeziorka oraz porośnięte trzciną i sitowiem sadzawki.

Nawet jeszcze w czasach mojego dzieciństwa takich stawków i bagienek w różnych miejscach w wiosce mojego dzieciństwa było bardzo dużo. Największe były stawy obok „Zenówki” i Błocizna „Pode Dworem”; mniejsze stawki – za ludowcem, koło przełazku, koło kuźni przy ścieżce do szkoły, na podwórzu mojej ciotki Staszki, za domem Mazurów czy na „Końcu”.

Początkowo na tych terenach wznoszono kurne chatki – małe i prymitywne; dopiero około 1860 roku zaczęto budować w domach piece i kominy. Podstawowym zajęciem mieszkańców była uprawa roli i hodowla bydła. Musiała ona zaspokajać podstawowe potrzeby ludności. Żywność, odzież, sprzęt domowy i gospodarski produkowano we własnym zakresie. Ponieważ kultura rolna była na niskim poziomie więc plony były niskie, hodowane zwierzęta padały od różnych chorób, brakowało żywności dla ludzi i paszy dla zwierząt, a do chat często zaglądał głód. Ale mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa i okolicy zawsze sobie jakoś radzili i zawsze zachowali dumę, wytrwałość i upór w obronie swego mienia, swych praw i godności.

Wioska mojego dzieciństwa – oprócz Zawiszy Czarnej miała w swej historii kilku innych znamienitych właścicieli, liczących się w kraju, choć nie zawsze łaskawych dla podlegających im chłopów:

„Bobrowa, od początku należała do dworu Przeclawskich, potem Ligęzów, następnie Radziwiłłów i Raczyńskich”³⁸.

Przeclawscy mieli olbrzymie dobra. Do tzw. klucza przeclawskiego w XVI wieku należało miasto Przeclaw razem z przedmieściami, zamkiem i folwarkiem, wsie: Bobrowa, Brzeźnica, Dulcza Mała, Kłęczana, Kozłów, Łączki, Męciszów, Pustków i przylegające pola w stronę Rzeszowa, Ruda, Żyraków, a także barcie i stanowiska myśliwskie w lesie Przedbórz.

Chłopi odrabiali pańszczyznę i wykonywali różne świadczenia dla dworu. Dziedzic Ligęza – mający m.in. przywilej polowania na bobry – pobierał też czynsze od rzemieślników i daniny składane corocznie na świętego Marcina. Ale najbardziej bezwzględni wobec mieszkańców podległych wsi byli Radziwiłłowie, bezlitośnie egzekwujący pańszczyznę i tłumiący jakiegokolwiek oznaki buntu. To – między innymi – doprowadziło do krwawych wydarzeń 1846 roku.

Od czasów średniowiecza okolice wioski mojego dzieciństwa były plądrowane przez obce wojska, w tym przez – wspomniane już – najazdy Tatarów.

„Przewodnik po Parafii w Nagoszynie” informuje, że „podczas wiosennego najazdu tatarskiego na ziemie polskie w 1241 roku doszło do krwawej walki na terenie dzisiejszej wsi Nagoszyn, w której Polacy pokonali Tatarów. W bitwie tej miał zginąć dowódca mongolski, zwany Na-ho-szan”³⁹, od którego ponoć pochodzi nazwa wsi.

Kolejne najazdy miały miejsce w 1266 i 1289 roku. Jazda tatarska, szybka i zwrotna, stosowała bardzo skuteczną, wschodnią taktykę walki. Uzbrojeni w łuki i szable Tatarzy, na swych małych, ale rącznych, szybkich i wytrzymałych konikach rzucali się niespodziewanie do ataku, by po chwili pozorować ucieczkę, rozprościć ścigających ich przeciwników, po czym znów nieoczekiwanie zaatakować. Ich sposób prowadzenia walki: dziki, bezwzględny, podstępny – budził przerażenie i popłoch.

„Podążali oni na zachód na małych, kudłatych konikach, pozostawiając za sobą spalone osady i ciała pomordowanych w okrutny sposób ofiar”⁴⁰. Wykazywali niebywałą waleczność, odporność, zapalczywość, bezwzględność i okrucieństwo. Zostawiali gołą, wypaloną ziemię. Ich ofiary to setki ludzi zamordowanych i uprowadzonych w jasyr.

Ślady tamtych strasznych najazdów i toczonych na naszych terenach walk przetrwały do dziś w nazwach niektórych miejsc. W Ociece – wzgórze, na którym rozegrała się krwawa bitwa nazywa się Tatarską Górą, miejscowość Czerwone Jabłuszko po najeździe tatarskim uzyskało nazwę Pustków, a oblegany i w 1258 roku zniszczony przez zagony tatarskie warowny gród niedaleko Braciejowej, gdzie ludzie umierali śmiercią głodową, nazwano Głodomankiem.

Józef Buszko w książce „Dębica. Zarys dziejów miasta i regionu” pisze o tatarskiej wyprawie z 1502 roku, w czasie której została zniszczona Dębica, a dębicki pisarz Władysław Strumski w swej powieści historycznej „Kosy przeciw kiścieniom” – o tej z 1624 roku. Akcja tego ostatniego utworu toczy się głównie na terenach Rzeszowszczyzny, czyli dotyczy naszych okolic i oddaje tragiczną atmosferę tamtych lat.

„Płonęły wsie i osiedla, a mieszkaniiec szedł w pęta lub pod nóż. Tatarzy nie bawili się w zdobywanie miast, aby się nie zatrzymywać, bo chcieli dotrzeć jak najdalej. Kulim-bej wypełniał w ten sposób rozkaz Kantymira. Plany krwawego murzy były dalekosiężne, a wykonanie ich miało mu przynieść sukces, jaki nigdy dotychczas nie stał się udziałem Tatarów. Trzy tysiące wojowników Kulim-beja zamierzało zniszczyć jak największą połąć Polski i ściągnąć na siebie wszystkie siły polskie, znajdujące się wewnątrz kraju. Sam Kantymir natomiast chciał ruszyć na czele głównych sił, liczących piętnaście tysięcy wojowników, ku Warszawie i samo serce dumnego Lechistanu porazić trwogą i rozpaczą.

Stary chłop Pyrz, który pamiętał wcześniejszą tatarską napaść budził syna:

– Tatary blisko [...].

– Jezusie, Maryjo! Co robić? Co robić?

– Budź wszystkich [...]. Z dobytku zakopać, co się ino da. Pościele, chusty i takie tam [...] załadować na wozy, wziąć żywność i w las [...].

W cichym do tej pory obejściu Pyrza zawrzało. Dziewki, ogarnawszy się co nieco, na wieś pobiegły ludzi powiadomić. Pyrzowa ze szlochaniem wiązała toboły, młode Pyrze zaś wzięli się do kopania dołów dla ukrycia tego, czego zabrać nie było można [...]. Stary Pyrz udziału w krzątaniu nie brał. Stał przy wrótniach i posępnie dumał. Jeżeli wieści o Tatarach były prawdziwe, to jutro, czy pojutrze jego zagroda zmieni się w pogorzelisko. Z chałupy, co ją własnymi rękami stawiał [...] nie ostanie nic. Zniszczeje wszystko, na co latami w krwawym trudzie pracował. Po przejściu dzicy tatarskiej iście patrzeć nie będzie na co.

Serce Pyrza opływało krwią serdeczną. Zagroda. Wieś. A ludzie? Co z ludźmi? Pójdą na poniewierkę, na nędzę, głód, byle jeno głowy unieść cało. Żniwa za pasem. Urodzaje dał Pan Bóg piękne, ale kto z nich skorzysta? Przekłęci Tatarzy nawet zboża na pniu palą, uciechę znajdując w szale niszczenia wszystkiego, co spokojnemu mieszkańcowi służyć może⁴¹.

Jeden z bohaterów powieści – Pietrek, który jako sekretarz na zamku rzeszowskim u Ligęzów pracował – przekonał się, że Tatarzy dotarli do Rzeszowa, konno galopował, by ostrzec mieszkańców dworu Ciosków z Przybyszówki i swą ukochaną Aldonę. Zagrożenie było bliskie, bo wróg kierował się w stronę krakowskiego traktu:

„Młodzieniec był tak pogrążony w myślach, że daleki gwar nawet nie dotarł do niego. Uderzyła go dopiero nadzwyczajna o tej porze jasność. Zatrzymał konia i przez chwilę obserwował dziwne zjawisko, nim pojął, że to nie zorze i nie księżyc, jeno łuna. Zaraz też zrozumiał, jako płoną wsie po zachodniej stronie Wisłoka. Chłopiec pojął, że niebezpieczeństwo blisko. Trzeba natychmiast ostrzegać, kogo jeno się da. Bez namysłu spiął konia ostrogami i skokiem wracał do Przybyszówki, lecz nim pierwszych chałup dopadł, usłyszał we wsi gwar i okrzyki: Gore! Ratuj się, kto w Boga wierzy. Tatary!

Jako, że jego obecność tutaj była zbędna, skierował konia na krakowski trakt, aby się do Świnczy dostać, ostrzec rodzicieli i sąsiadów. Okazało się jednak, że i świnczanie nie śpią. Już z dala Pietrek usłyszał gwar, ryk bydła, rżenie koni, turkot kół i inne odgłosy świadczące o pospiesznym opuszczaniu wsi przez jej mieszkańców. Po chwili uderzył dzwon na trwogę. Zaraz zawtórowały mu dzwony w sąsiednich wsiach, głosząc nadejście wroga. Łuny na niebie rozlewały się coraz szerzej i były coraz bliższe [...]. W Woliczce panował chaos i rozprzężenie. Mieszkańcy byli przerażeni i zupełnie zagnębieni w swych poczynaniach. Jedni ładowali na wozy, co się jeno dało, zaś inni wykrzykiwali, aby niechać wszystkiego i z duszą uciekać [...]. Do Pietrka podszedł wójt, pytając, czy są dla niego polecenia od pana.

– Tak – rzekł młody cancellarius – Tatarzy mogą tu być lada chwila. Nie ma czasu do stracenia. Bydło, owce, świnie wygnać w pola, rodziny sadować na wozach i pędzić co koń wyskoczy do lasu albo na Sędziszów się udawać. Ale bez zwłoki”⁴².

„Płomienie w Racławce i Staroniwie rozlewały się na coraz nowe połacie nieba. Pietrek patrząc na ogień uczuł dominujący ból w okolicy serca. Będąc chłopem, rozumiał chłopów, wiedział, jaką straszną klęską jest dla nich utrata budynków i dobytku. A ilu uniesie głowy cało? Młodzieniec tak się zamyślił nad niedolą współbraci, że nie zauważył zbliżających się ku niemu tajemniczych cieni. Nagle koń chrapnął i zarżał, jakby czymś przerażony [...]. W powietrzu gwizdnął tatarski arkan, ścisnął chłopaka gwałtownie za szyję, wywłókł z kulbaki i zwałił z konia”⁴³.

Najazdy Tatarów, a także Litwinów i Rusinów sprawiały, że wyludniały się wsie i osady, również w naszej okolicy, a do dziś zachowało się przysłowie z tamtych strasznych czasów, że „Gość nie w porę gorszy Tatarzyna”.

W 1474 roku nasze okolice zalały – znów niosąc zagładę i śmierć – wojska węgierskie. Spłonął wtedy pierwotny, cenny wizerunek Matki Boskiej Pocieszenia z Dzieciątkiem w kościele klasztornym w Pilźnie. Wymalowany na nowo, znów spłonął podczas najazdu Rakoczego w 1657 roku. Malowano go więc znowu, prawdopodobnie z wykorzystaniem ocalonego fragmentu. Do dziś jest przedmiotem dumy mieszkańców i szczerego kultu wiernych. Otrzymał też miano Matki Boskiej Pilzneńskiej.

Najazd Rakoczego, który dotarł aż do naszej okolicy, czy wkrótce „szwedzki potop” przyniosły następne zniszczenia i śmierć. Śladem ówczesnych walk jest – wspominany już – istniejący do dziś cmentarz historyczny w Korzeniowie.

A w Olszynach, na rozlewiskach kwitły złociste kaczeńce, białe zawilce zwane konopkami i bładożółte pierwiosnki czyli „kluczyki”. Zbliżał się maj – najcudniejszy miesiąc roku.

Wioska mojego dzieciństwa majową porą wydawała się krainą łagodności. Pierwsza wiosenna burza obmyła już świat ciepłym deszczem. Wielobarwna tęcza zakwitła na niebie, obejmując łagodnym łukiem jej krańce i chowając się gdzieś w wodach Wisłoki. I nagle wyrzało słońce, otwierając bezmierną przestrzeń ponad niskimi chatami. Świat skrzył się od wiosennej wilgoci, przyozdobiony różnobarwnymi kwiatkami wiosny i jasnozielonymi listkami drzew, których było tak dużo, że w wielu miejscach łączyły się gęstymi, splątanymi konarami. Wysokie topole prawie dotykały błękitu nieba. Białokore brzozy i wiklinowe zarośla stały zdobne w wiosenne baze. Na mokradłach rozpościerały się dywany złocistych kaczeńców. W gnieździe na topoli obok zagrody Cholewów rozpiął skrzydła bociek i ruszył na żaby łowy dla nowo wyklutego potomstwa. Lekkie muśnięcia wiatru niemrawo osuszały błotniste kałuże na bobrowskim gościńcu. Wiecznie głodne gołębie – utrapienie mamy, ale radość i duma ojca – wyszukiwały na ogródku dopiero co posianych ziarenek grochu.

– Patrz jaki „dęciuch”! – wołał ojciec do sąsiada idącego zobaczyć, czy w „pioskach za smugiem”, czyli na podworskich polach, choć trochę podrosło „zmarnowane” przez zimowe śniegi i wiosenne deszcze – mizerne żytko. Rzekiwiście, gołębie – dostojnie kroczące po ścieżce, na której leżało rozsypane dla nich ziarno – wyglądały okazale, że aż chciało się pogłaskać ich lśniąco i miękkie jak aksamit pióra. Pusząc się i nadymając wole największy z nich podchodził odważnie, by wydziobać ulubioną ziarenką prosto z ręki ojca. Szare wróble, zbierające wiklinowy puch na wyścielanie gniazd, uwijały się „fiur-gając” wśród krzaków jarzębin i bzów. Bury kocur, wyginając grzbiet, pilnował suszących się na płocie garnków.

Na podwórkach słychać było gwar krzątających się kobiet i dokazywanie malców bawiących się „na wsi” za rzeczka w konie. Wystarczyło znaleźć kawałek dość długiego patyka udającego konia i już można było harcować po zielonym błoniu wyobrażając sobie, że mknie się na najprawdziwszym rumaku.

Na gałęziach „kasztanów” pękały grube pąki. Sąsiadka Aniela – ta, która znała tajniki robienia zastrzyków i stawiania baniek – dreptała po gościńcu drobnymi kroczkami, starając się ominąć kałuże. Jak zwykle niosła swoją „pielęgniarską” torbę, pogadując to z tym, to z tamtym; zawsze życzliwa ludziom i światu. Często przychodziła na pogaduszki, przynosząc różne ploteczki o chorobach nękających bobrowian, o szykujących się weselach, chrzcinach, pogrzebach czy sąsiedzkich sporach. Ze śmiechem opowiadała o małym synku Sojków, który tak bał się zastrzyków, że codziennie chował się przed nią w dorodnych ziemniaczanych krzakach rosnących w ogródku przed domem. Ale gdy otwierała furtkę nie wytrzymał i wychylając się zza krzaka pytał żałośnie: – Znowu idziesz? I zaczynał nieśmiało płakać zabierany przez mamę do domu.

Ale – na szczęście – w maju czas zimowych chorób mijał, a okrzepnięta już wiosenka niosła nadzieję: w błękicie nieba, w zapachu ciepłego powietrza, w poszumach wiatru, w obmytych nocnym deszczem młodziutkich listkach wszędobylskich wierzb, strzelistych topól, rozłożystych lip i dostojnych klonów. Budziła ukryte tęsknoty i wrażliwość serc, które nagle zaczynały bić mocniej, otwierały się na miłość, dobro i piękno, skłaniały do refleksji nad światem i własnym życiem.

A zaczynało się wszystko od tarniny; gdy nagle – po kilku ciepłych już dniach – powracał niemiły ziąb. Ale każdy to wiedział: gdy kwitnie tarnina, to zawsze jest zimno, a po nim już prawdziwy wybuch wiosny! Bo wystarczyło tylko kilka dni, gdy spod bielusieńkiego, delikatnego kwiecica na tarninowych kolczastych krzakach wypęły nieśmiałą zielenią pierwsze listki, by znów zagościło dobroczynne ciepło. „Tarnina. Taki kwiat lichy, po rowach rośnie, na brzegu lasu [...]. Ale jak zakwitnie taka tarnina w maju to [...] jak panna strojna przed przyjściem swatów”¹.

Dlatego nikt nie narzekał, bo to też był widomy znak wiosny. Martwiono się tylko, żeby jakiś spóźniony przymrozek nie zniszczył zaczynających kiełkować na grządkach warzyw, które – wysiane w równiutkich rządках, wyznaczonych sznurkiem – już zaczynały się zielenić. Wysiewano marchewkę, pietruszkę, buraki czerwone, koperek. Sadzono cebulę dymkę, zielony groszek, fasolę, bób, ogórki i pomidory, które wcześniej flancowano w doniczkach. Przyglądano się pilnie grządkom, czy nie zadomowił się gdzieś w pobliżu kret, czy przez dziury w ogrodzeniu nie wdarły się na grządki kury, czy wiecznie głodne gołębie nie wydziobują rozpęcniałego w wilgotnej ziemi zielonego groszku i niskiej fasoli szparagowej zwanej „piechotom”.

„Święty Stanisław kusecko wystaw” – mówiono sprawdzając, czy – tak jak było w zwyczaju – na dzień 8 maja, czyli w Stanisławowe imieniny zboża zaczęły już wypuszczać pierwsze kłosa; zapowiedź urodzaju. I czekano z niepokojem na „zimnych ogrodników”, bo wiadomo, że „Pankracy, Serwacy, Bonifacy żli na ogrody chłopacy”. Podobno – jako pierwszych chrześcijan – torturowano

ich i zamordowano właśnie w ogrodach i na pamiątkę tych dramatycznych wydarzeń na parę dni, aż do „zimnej Zośki”, która świętuje imieniny 15 maja – przychodziło co roku paskudne oziębienie; nawet przymrozki, mogące zważyć młode roślinki lub gwałtowne burze z porywistym wiatrem i siekącym gradem, który niszczył drobne roślinki, łamał młode pędy i dziurawił delikatne listki. Ale w końcu ciepła wiosna zawsze wygrywała z chłodem.

Sady zaczynały się stroić w biel, odmieniając pięknie całą wieś, pełną przecież jabłoni, grusz, wiśni i śliw. Uwijały się wśród kwiecica pracowite pszczoły i opasłe „ćmile”. Przed oknem naszej kuchni znów zakwitła ukochana czereśnia. Była młoda i miała niewiele owoców, ale były bardzo smaczne, dorodne i soczyste. Natomiast chyba największe czereśniowe drzewa rosły za stodołą Harłów. Miały grube, rozłożyste konary, na których można było siedzieć w gęstwinie liści i – mając do towarzystwa śmiesznego stracha na wróble, którego tak naprawdę nikt się nie bał – zajaść pyszne owoce i pstrykając pestkami plotkować do woli o różnych dziewczynskich sprawach.

Na „wsi” co rano pojawiały się wielkie stada gęsi, już podrośniętych, zmieniających upierzenie z żółciutkiego na białe; co jakiś czas przywoływane przez gospodynie, baczące, by któreś z maluchów nie zagubiło się lub nie przytrafiło mu się coś złego. Zdarzało się bowiem, że padało ofiarą drapieżnego jastrzębia lub nawet lisa, który czasami zjawiał się niespodziewanie, nie wiadomo skąd. Podrastające „pilusie” były oczkiem w głowie każdej bobrowianki; miały przecież dostarczyć smacznego mięsa, a przede wszystkim mięciutkiego pierza na ciepłutkie poduchy i pierzyny.

Radość i nadzieja zakwitwały w każdym sercu. Ludzie wychodzili do ogrodów i sadów, ciesząc się majem.

Przy gościńcu pod topolami żółciły się opadłe z drzew kotki, wyglądające jak gąsienice, na giętkich gałązkach brzózek jaśniały błyszczące młode listki, na polach pod Wisłoką żółciły się już całe wielkie płachty rzepaku, a na miedzy obok naszego pola w rędzinach zakwitła polna grusza-ulęgałka, czyli „łolyżołoka”. Takich grusz na miedzach było dużo, bo dawniej sadzono je – jako odporne i długowieczne – na oznaczenie granic pól.

Pięknie o takiej kwitnącej ulęgałce pisał Wiesław Myśliwski: „Niemal w oczach kwitła, z każdym dniem coraz gęściej pokrywając się od wierzchołka po najniższe gałęzie białą otuliną, przez którą z trudem przebijały się jasnozielone listki. Tylko ulęgałki tak kwitną. Wybuchają omal biało. Ta orgia nie trwa długo. Gdy się jednakże na taką kwitnącą ulęgałkę patrzy, można zawstydzić się sobą. Czymże się bowiem jest wobec takiej kwitnącej ulęgałki”².

Zdarzało się jednak, że nawet taki piękny, wiośniany nastrój nagle pryskał.

Pewnego dnia ktoś wracający z „jarmaku” w Dębicy przywiózł straszną wiadomość, którą usłyszał od „cebulorek” z Ropczyc. Nazywano te handlarki tak,

bo właśnie z okolic Ropczyc przywożono na targ do Dębicy wiele dorodnych warzyw; w tym cebulę, w hodowli której specjalizowali się ropczyccy rolnicy.

Otóż 11 maja niedaleko od Ropczyc w Wielopolu Skrzyńskim wybuchł straszliwy pożar.

Był rok 1955 i wiosna rządziła światem. Do Wielopola przyjechało kino objazdowe. Po wieczornej majówce w pobliskim kościele tłumy waliły do dużego, drewnianego baraku, w którym mieściła się szkoła, mała biblioteka i świetlica; stojącego przy rynku miasteczka. Plakat zapowiadał komedię Jana Rybkowskiego „Sprawa do załatwienia”. I zapowiadała się świetna rozrywka, bo grali w niej znani i lubiani aktorzy: Irena Kwiatkowska, Hanka Bielicka, Adolf Dymśa, Edward Dziewoński. Niecierpliwie czekano na rozpoczęcie seansu. Sprawdzono jeszcze, czy drzwi są zamknięte i starannie zabito deskami okna w obawie przed amatorami darmowego oglądania.

W czasie projekcji operatorzy – podobno już „po kieliszku” – niezbyt byli zainteresowani tym, co się wokół działo. Jak później ustalono – od niedopałka z czyjegoś papierosa zapaliły się celuloidowe taśmy. Płomienie natychmiast ogarnęły szczelnie zamknięte pomieszczenie. Wybuchła panika. Ludzie tratali się wzajemnie, padali poparzeni i zatruci oparami z celuloidowych taśm. Z sufitu spadały strzępy płonących papierowych girland, którymi ozdobiono salę. Jakiś strażak – też oglądający film – ławą wybił okno, ktoś z zewnątrz poodrywał deski z futryn, ale piekło trwało. Wysuszone drewno paliło się jak papier, waliły się ściany, niósł się w niebo straszliwy, czarny, trujący dym.

Wracali strażacy, którzy pobiegli po sprzęt, ale mogli tylko dogaszać tragiczne pogorzelisko. Zginęło 58 osób, w tym 38 dzieci. 20 osób było rannych; nikt z ocalonych nie zapomniał tamtych dantejskich scen do końca życia.

Chyba wszyscy do dziś pamiętają szczegóły tych opowieści, przekazywanych sobie z ust do ust, te westchnienia, pełne współczucia i grozy: – Łoloboga! łoloboga!

Sąsiadki gromadziły się w domach, na mostkach, przed sklepem, zachodziły do znajomych i krewnych. Robota wszystkim leciała z rąk. Modlono się za ofiary pod kapliczkami i w kościele. Od balasek aż po chór niosła się błagalna pieśń do Maryi, wspomóżycielki strapionych: „Serdeczna Matko, opiekunko ludzi, niech Cię płacz sierot do litości wzbudzi”! Nikt nie zwracał uwagi na nas, dzieci – więc z zapartym tchem chłonęliśmy straszne wiadomości, które potem nie pozwalały zasnąć, wracały w koszmarach i wspomnieniach. Budziły też nasze obawy, czy rodzice pozwolą nam po wydarzeniach w Wielopolu uczestniczyć w tak wspianiałej, upragnionej rozrywce, jaką były seanse objazdowego kina.

Przyjeżdżało zazwyczaj raz na miesiąc i zawsze było miłą, wielce oczekiwaną niespodzianką i wielką atrakcją, zapowiadaną na plakatach przypiętych do drewnianego słupa przed ludowcem. Już od południa dzieciarnia

wypatrywała przyjazdu samochodu z napisem „Kino objazdowe”, ściskając w rękę wyproszone u rodziców pieniądze na bilet. Wreszcie pojawiała się w tumanach kurzu zdezelowana ciężarówka ze sfatygowaną plandeką – pewnie jeszcze z wojennego demobilu – i zaczęto wносить do ludowca tajemniczą aparaturę, wielkie metalowe krążki skrywające taśmy, jakieś kable, a na koniec wymiętoszone płótno – niegdyś białe – zawieszane jako ekran. Nam, dzieciom – wszystko wydawało się cudem techniki; czekaliśmy z niecierpliwością aż sala zapełni się widzami, bo wtedy projektor zaczynał terkotać, a na ekranie pojawiał się zaczarowany świat. Wyświetlano najczęściej po dwa filmy: jakiś obyczajowy czy komediowy; często z francuskim komikiem Fernandem w roli głównej i jakiś kryminał, np. wzruszające wszystkich, oczywiście czarno-białe i na pewno nie przeznaczone dla dzieci, „Wiano” Jana Łomnickiego z młodziutką Zofią Kucówną w roli głównej. Oczywiście filmy poprzedzała tak lubiana przez wszystkich „Polska Kronika Filmowa” przedstawiająca w sposób „lekki, łatwy i przyjemny” różne ciekawe wydarzenia z kraju i świata bez nadętej propagandy. Lektorami kroniki byli popularni aktorzy: Władysław Hańcza i Andrzej Łapicki. I w ogóle nie przeszkadzało nam to, że „po ekranie latały kreski i kropki, bo taśmy zwykle były solidnie zniszczone, projektory warczały jak ciężarówki, a dźwięk raz po raz sprzęgał się i przechodził, a to w pisk, a to w buczenie”³.

A w sąsiedzkich rozmowach wracano do tragedii w Wielopolu wielokrotnie, uzupełniając wiadomości o różne nowe szczegóły. Opowiadano, że pogrzeb był wielką żałobną manifestacją pilnowaną przez UB i milicję, że nie pozwalano nikomu robić zdjęć; pokazywano artykuły w „Trybunie Ludu” i w innych gazetach dotyczące tamtych wydarzeń, będące jedynie oficjalnymi, krótkimi, beznamiętnymi wzmiankami o tragedii, bo władze chciały utrzymać wszystko w ścisłej tajemnicy. Barak rozebrano, ślady uprzątnięto. Dopiero pod koniec lat 80-tych postawiono na tym miejscu pomnik z krzyżem i nazwiskami ofiar. A jedyną namacalną pamiątką po tamtych wydarzeniach stał się obraz namalowany 40 lat później przez jednego ze świadków pogrzebu – miejscowego fotografa Romana Lipę. Ale pamięć pozostała na pewno nie tylko w sercach rodzin, świadków ofiar i mieszkańców miasteczka. Zapamiętał je i głęboko przeżył również każdy mieszkaniec okolicznych miejscowości, w tym – wioski mojego dzieciństwa.

Takie wydarzenia budziły nie tylko współczucie, ale rodziły pytania dotyczące sensu życia i cierpienia, niepewności jutra, daremności ludzkich starań i poświęceń, nieprzewidywalności Bożych planów i tajemnic. Z czasem przychodziło uspokojenie i pogodzenie się z losem, ale niepokoje wciąż zalegały w głębi ludzkich serc. Dotyczyły one spraw ostatecznych, niezrozumiałych, odwiecznych i przywodziły na myśl takie pytania, jakie zadawała sobie Barbara z powieści Dąbrowskiej: „Dokąd to wszystko toczy się i po co?

Gdyby posiadała więcej wiedzy, znała wszystkie tajemnice świata, a nawet wszechświata, to rozumiałaby dobrze i to. Ale żeby osiąść tę wiedzę, trzeba by mieć nie wiem ile czasu i nie wiem jaką spokojną głowę. Człowiek nie może bez wytchnienia załatwiać powszednich czynności i jednocześnie zagłębiać się w jakieś rzeczy wiekuiste, powszechne. Więc może nie pozostaje nic innego, jak uwierzyć, że w tym powszednim krzątaniu są też jakieś rzeczy wiekuiste, powszechne”⁴.

Na wiele wątpliwości odpowiadała zakorzeniona na naszych terenach od pokoleń wiara. Mówił o niej pięknie nagoski ksiądz proboszcz Stanisław Kurczab w czasie wizytacji biskupa Piotra Bednarczyka: „Lud tutejszy jest głęboko wierzący, przywiązany do Kościoła i spraw z nim związanych. Są tu ludzie zdolni do ofiary i poświęcenia na cele religijne. Są tu ludzie niezwykle pracowici, pielęgnujący tradycje religijne, domowe i regionalne”⁵. Rzeczywiście, wierzyliśmy mocno i śpiewaliśmy z ufnością:

„Ja wiem, w kogo ja wierzę stałością duszy mej,
Mój Pan w tym Sakramencie, pełen potęgi swej.
To Ten, co zstąpił z nieba, co życie za mnie dał...”

Bo po pomoc i pociechę szło się do kościoła. Wracaliśmy z przekonaniem, że tylko wiara, miłość, dobroć i głęboka ufność w tym okrutnym świecie przywraca ład serca i niesie nadzieję.

Zachwycała świeżość niedzielnego, wiosennego poranka, szyby różowiały słonecznym blaskiem, bielutkie, młode kwiatuszki wiśni zaglądały w okno. Jeszcze w plamach cienia czaił się chłód poranka, gdy bieглиśmy na Mszę, zawsze parę kroków przed rodzicami, strąsając z gałązek rosnących wzdłuż drogi wierzb ostatnie krople nocnego deszczu, osiadające nam na twarzach. Mieszkający na zakręcie koło ludowca ojciec mojej koleżanki Ceński – odświętnie ubrany w garnitur i białą koszulę – stał z kapeluszem w ręce, czekając na resztę domowników i witał spieszących zewsząd do kościoła sąsiadów: tych zza rzeczki, tych z „Przedewsia”, z „Pode Dworu” i od naszej – północnej strony.

Droga – choć błotnista, pełna wybojów i kałuż – mijała szybko. Zanim ostatnie strzępy porannych mgieł opadły na trawy i słoneczne promienie rozgrzały nasze zmarznięte twarze i dłonie już za drzewami majaczyła dostojna, wysmukła sylwetka nagoskiego kościoła. I już otwieraliśmy ciężkie, masywne drzwi wiodące do środka. Jak pięknie wyglądał w pogodne, wiosenne niedziele, gdy przez szyby grubymi wstęgami promieni wlewało się słoneczne światło, odbijając się od złożonych ornamentów ołtarzy, jak lśnił czystością i bielą pięknie haftowany, świeżo wykrochmalony i wyprasowany lniany obrus na ołtarzu, jak przejmująca była niezwykle cisza i spokój tego miejsca, zanim zaczęło się uroczyste, tajemnicze misterium Mszy świętej!

Na dźwięk sygnaturki majestatycznie wchodził na stopnie ołtarza ksiądz w zdobionym złotem ornacie w otoczeniu małych chłopców w komeżkach,

a stary organista intonował pieśń, którą podejmował tłum, napełniając wielką przestrzeń kościoła wielogłosowym chórem: „Z pieśnią wesela witamy, o Maryjo, miesiąc Twój”!

Urzekła niezwykłość tego miejsca, nabożna uwaga wiernych, niezrozumiały, a tak fascynujący szelest łacińskich słów wypowiedzianych dostojnym głosem przez księdza, jego rytualne czynności, dźwięki ministranckich dzwonek i zapach kadzidła, owiewający wszystkich modlących się gorąco o łaski na ten trudny czas. Czekano na chwilę, gdy ksiądz, chodząc po składce wyciągał rękę i nie bacząc, czy rodzice wrzucą coś na tacę, gładził nasze głowy, a czasem przesyłał uśmiech lub jakieś miłe słowo. Gdy byliśmy trochę starsi, wtedy szukaliśmy pomocy i otuchy w indywidualnej modlitwie, szczególnie do Matki Bożej, która spoglądała na nas z bocznego ołtarza po „babskiej” stronie.

Ten bardzo stary, tajemniczo piękny obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy – spotykany w wielu kościołach całej Europy – zachował się jeszcze ze starego, drewnianego kościółka. Z ufnością i wiarą spoglądaliśmy na tajemniczą twarz Madonny z fruującymi wokół jej głowy aniołkami, która zbierała nasze prośby i żale, i zanosila je przed Boży tron.

Po obiedzie znów szliśmy do kościoła na nieszpory. Było to bardzo popularne i lubiane przez wszystkich nabożeństwo. Bohater Mikołajka – Paweł wspomina kolegę z dzieciństwa – Józka, „który, należąc do Gwardii Ludowej i biorąc udział w akcjach, co niedziela chodził z matką na nieszpory”⁶. Śpiewaliśmy na tych nieszporach z przyniesionych książeczek bardzo stare pieśni; tajemnicze i pełne niezrozumiałych słów. Na koniec wszyscy wstawali, a organista intonował podniosły hymn „Magnifikat”: „Uwielbiaj duszo moja sławę Pana mego, chwal Boga Stworzyciela tak bardzo dobrego!”

Rozmodlone głosy niosły się donośnie ku niebu. I było bardzo uroczyste, pięknie i niedzielnie.

Wracaliśmy pogodni i szczęśliwi. Gdy ziemia trochę obeschła, to wybieraliśmy drogę przez pola. Bo tam królowała już prawdziwa zielono-żółta wiosna. Na zagonach coraz wyżej wystrzelało soczystozielone żyto, a na ugorach żółciło się jeszcze mnóstwo mleczy, tworzących przepiękne kobierce. Wiele też przekształciło się już w puchate kule, pełne maleńkich nasionek, które porywał i rozsiewał wiosenny wiatr. W płyciutkich, zarośniętych trawą „krzykopach” wciąż pełno było bladożółtych „kluczyków”, zaczynały też kwitnąć niezapominajki, jaskry i firletki, a także bladoróżowe kwiatuszki, które nazywaliśmy „śmietankami”.

Przynosiliśmy do domów bukietki tych wiosennych kwiatków, by ustawić je w szklance z wodą przed obrazem Maryi, tak szczególnie czczonej w tym Jej miesiącu. Dorodnymi liśćmi kusił też kwaśny szczaw, rozrastający się na miedzach i rowach. Zrywaliśmy najpiękniejsze liście, by poczuć na ję-

zyku miłą kwaśność i by nasze mamy mogły ugotować pyszną zupę, podawaną nam z ryżem i jajkiem na twardo.

Po niedzielnym wypoczynku czekały pilne prace w polu i w ogrodzie. Na poletkach, gdzie posiano len, konopie czy bób już plenił się wszędobyłski „pyrz”, skrzyp, „łognicha” i inne zielsko, które trzeba było wyplewić, co było pracą żmudną, wymagającą cierpliwości, zginania kręgosłupa lub klęczenia na kolanach. Wykonywały ją wyłącznie kobiety i one nosiły potem w podwiązanych na plecach płachtach uzbierane zielsko do domu, by sporządzić z niego „żarcie” dla świń.

Jedna z sąsiadek – o charakterystycznej sylwetce – codziennie dreptała drogą na pole w rędzinach. Zawsze ta sama bura spódnica, na niej płócienkowa zapaska w jakiś drobny rzucik, a na plecach wielka kraciasta chusta z włożonym w nią wiklinowym koszem na zielsko dla „gadziny”. Jej bose stopy zniekształcone przez lata ciężkiej pracy miękko płaskowały wśród kałuż, kręgosłup zginał się coraz bardziej ku ziemi, ale twarz – cała w siatce zmarszczek – uśmiechała się do wszystkich pogodnie i życzliwie.

Majowe pola barwiły się sylwetkami pracujących ludzi. Wszędzie widać było zgięte plecy kobiet „na chyłka” „wydzirających” zielsko czy „podsypujących” motyką rządkę czyli „koziołki” ziemniaków. Przerywano też zbyt gęsto wysiane warzywa, „siekano” chwasty i spulchniano ziemię w zagonkach buraków, bobu, ogórków oraz pomidorów, które wkrótce miały otrzymać mocne tyczki, choć nie tak wysokie, jak te dla fasoli. W rządku zielonego groszku lub – niekiedy uprawianej też fasolki szparagowej – wbijano rosochate gałązki, wokół których owijały się młode pędy. Na polach pojawiły się śmieszne strachy na wróble w dziurawych kapotach, które miały strzec wysianych roślinek, ale wkrótce nie tylko wróbelki, ale i inne ptaki przyzwyczajały się do ich widoku. Zdarzało się nawet, że przysiadają na starym strachowym kapeluszu, wzbudzając oburzenie gospodarzy i radość dzieciaków. I było jak u Konopnickiej:

„Jadą, jadą dzieci drogą, siostrzyczka i brat
I nadziwić się nie mogą, jaki piękny świat.
Tu się kryje biała chata pod słomiany dach,
Przy niej wierzba rosochata, a w konopiach strach”⁷.

Majowe wieczory były pełne rechotu żab znad stawów, znad „Błocizny” i znad pełnych wody rowów. Nikt nie chciał przebywać w domu, więc spędzało się je siedząc do późna przed domem na schodach pod niebem roziskrzonym gwiazdami.

A że „Święta Zofija kwiaty rozwija”, pachniały białe i liliowe bzy rosnące przy płotach i dzika czeremcha nazywana u nas „korcipkom”, rozsiewająca słodki, duszący zapach. Od kapliczek niosły się pobożne śpiewy, a po niebie niekiedy przemykały chmurki o dziwacznych kształtach, skłaniające do marzeń. Bo nastrój majowych wieczorów bywał refleksyjny.

Mama lubiła tak właśnie zamyślać się, patrząc w rozgwieżdżone niebo, czasem nuciła coś cicho, a czasem wzdychała nie pogodzona z istniejącą, szarą rzeczywistością i ciągle marząca o innym, lepszym życiu dla siebie i rodziny. Przychodzili sąsiedzi, obsiadali ten specyficzny wiosenny salon i oddawali się opowieściom, a pewnie i ukrytym tęsknotom.

Czasem przychodziła babcia, a jej twarz usiana zmarszczkami, rozpogadzała się jak u młodej dziewczyny. Jej wiara i ufność Bogu była tak silna i naturalna, że nie podlegała żadnym dyskusjom. Tak jak i inne babcie uważała, że życie codzienne tu na ziemi jest nierozzerwalnie splecione z życiem wiecznym, że wszystko pochodzi od Boga i jemu trzeba zaufać, choć wiele rzeczy jest niezrozumiałych, nawet strasznych. Potrafiła przekonać o tym bliskich i żyć w zgodzie z tymi przekonaniem. Zresztą i inni dorośli w ten sposób okazywali swoją żywą wiarę. Uważali, że bez niej człowiek byłby jedynie przypadkowym, marnym pyłkiem zagubionym gdzieś w kosmosie. Patrzyli z podziwem w niebo roziskrzzone miliardami gwiazd, skrywające tyle tajemnic, objawiające odwieczną potęgę Stwórcy i odczuwali jakąś niewytłumaczalną jedność z otaczającą ich naturą wszechświata.

Zaraz po przebudzeniu śpiewano: „Kiedy ranne wstają zorze”, a potem „Godzinki” sławiące Maryję – Gwiazdę Porankową. Witano się słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” lub – gdy spotykano kogoś przy pracy – „Szczęść Boże”. Życzono zawsze Bożego błogosławieństwa i opieki Maryi, a żegnano się słowami: „Zostańcie z Bogiem”. W domach tuż przy drzwiach wieszano małą, metalową kropielnicę, zdejmowano czapki, bo na ścianach wisiały krzyże i święte obrazy; często się żegnano, modlono, pobożnie wzdychano czy odmawiano różaniec, który wszędzie z sobą noszono. Uważano, że nie można sobie życia układać tak, jakby Bóg nie istniał, bo on jest potężny, wszechmocny i „za dobre wynagradza, a za złe karze”, a „Modlitwą i pracą ludzie się bogacą”.

Ta bezwarunkowa wiara i ufność pokładane w Bogu dawały ludziom wynurzoną z oddechu niedawnej wojny pokój serca, tak niezbędny w trudach i zawiłościach toczącego się życia.

Tak też od najmłodszych lat wychowywano dzieci. Najpierw matki brały do swych rąk maleńką rączkę swej pociechy i kreśliły nią znak krzyża. Potem uczyły pierwszego pacierza: „Do Ciebie Boziu rączki podnoszę, o zdrowie mamy, taty i wszystkich proszę. I proszę także niech mnie od złego na każdym kroku aniołki strzegą”. Ilustracją wiary w stałą obecność Anioła Stróża w życiu każdego człowieka był ów – najczęściej wieszany nad łóżkiem malucha – bardzo popularny obrazek, ukazujący dwójkę dzieci, które w czasie groźnej burzy starają się przejść przez wzburzony nurt rzeki po zepsutym mostku, a piękny Anioł otacza je swymi opiekuńczymi skrzydłami.

Nasze mamy uczyły nas też wierszyka o grzecznym dziecku, które „gdy wstanie nie pyta o śniadanie, tylko rączki umyje, oczka, buzię i szyję i uczesze się pięknie, do paciorka przyklęknie”. Wpajały maluchom konieczność bycia grzecznymi i zaczynania dnia od tego paciorka, „bo Pan Jezus jest wszędzie i za złe karać będzie”. A potem, kładąc je do snu, czy w czasie prac w kuchni uczyły innego wierszyka, który od pokoleń znało każde dziecko:

- „– Kto ty jesteś? – Polak mały.
- Jaki znak twój? – Orzeł Biały.
- Czym ta ziemia? – Mą ojczyzną.
- Czym zdobyta? – Krwią i blizną.
- Czy ją kochasz? – Kocham szczerze.
- A w co wierzysz? – W Boga wierzę”⁸.

Bo wiara w Boga zawsze wiązała się z patriotyzmem. Śpiewały więc mamy religijne pieśni, przeplatając je tymi, które uczyły miłości do ojczyzny:

„Nad moją kołyską matka się schylała
I pacierz po polsku mówić nauczała.
Ojcie nasz i Zdrowaś i Skład Apostolski,
bym umiłowala biedny naród polski” – a potem:
„Dopóki w żyłach naszych choć kropla polskiej krwi,
Dopóki w sercach naszych ojczysta miłość tkwi.
Stać będzie kraj nasz cały, stać będzie Piastów gród,

Zwycięży Orzeł Biały, zwycięży polski lud” – i wiele, wiele innych; prostych, a przecież tak pięknych, starych piosenek, przekazywanych z pokolenia na pokolenie.

Kształtując poczucie patriotyzmu i postawę religijną wiele matek marzyło też, by któreś z dzieci wybrało stan duchowny. Gdy rodzice jednego z Mikołajkowych bohaterów rozmawiali o jego przyszłości, o tym, że musi się uczyć, ojciec kpił z zamiarów matki:

„– A jakże – mruknął. – Dla ciebie największe szczęście katolickiej rodziny to ksiądz albo zakonnica”⁹.

Marzenia niektórych matek spełniły się; bobrowskim rodowodem może się pochwalić kilku księży i kilka zakonnic.

A na świecie królowała już niepodzielnie dojrzała wiosna. Rozkwitało coraz więcej kolorowych kwiatów, było coraz barwniej i piękniej. Kwitły też wiosenne krzewy i drzewa zadziwiając obfitością bieli, różu, żółci i fioletu.

Jeszcze przed świtem budził nas harmider swiergocącego ptactwa, gdzieś nagle odzywała się kukułka wróżąc dziewczynom, za ile lat wyjdą za mąż, a wszystkim – jak bogaty będzie cały rok. Bo, kogo kukułka „łokukała” bez grosza przy duszy, mógł być pewny, że będzie biedniutki „jak święty turecki”. Dlatego nosiliśmy w kieszeni choćby jeden drobny pieniążek mogący

nam zapewnić pomyślność i powodzenie. Bo z niedostatków, biedy i szarości codziennego życia rodziły się nasze naiwne tęsknoty i marzenia o szczęściu.

Ponieważ zieleniły się już bujnie łąki i pastwiska, zaczęto wyganiać krowy: na miedze, na polne drogi, na ugory i „za błonie”, gdzie – po odebraniu tych terenów dworowi – było pastwisko gromadzkie. Bobrowskie błonie nie przypominało tego ze starej żołnierskiej piosenki: „Tam na błoniu błyszczą kwiecie, stoi ułan na widecie, a dziewczyna jak malina niesie koszyk róż”, ale dziewczyny z wioski mojego dzieciństwa naprawdę były jak w tej piosence – „jak maliny”.

Aleksander Bacher napisał nawet wiersz o urodzie bobrowskich dziewcząt:

„Piękne te nasze dziewczęta –
Zwłaszcza, gdy są wystrojone –
I na co dzień, i od święta.
Chciałbym każdą mieć za żonę”¹⁰.

A w taki czarowny, majowy czas pachnący bzami, odurzającej wonią czeremchy, „bulowatego bezu”, delikatnych, bielutkich konwalii, rozkwitających tulipanów i narcyzy, i pęczniejących grubych pąków piwonii w sercach bobrowskich dziewczyn i chłopaków rozkwitała miłość. Piękne wieczory sprzyjały potajemnym spotkaniom, miłosnym westchnieniom, romantycznym wyznaniom.

Cieszyło zbawienne ciepło, a nawet zdarzały się gorące, prawie letnie dnie. Pojawiało się jednak inne zagrożenie – gwałtowne wiosenne burze, niosące ulewne deszcze i grady niszczące zasiewy. A już szczypiorek strzelał w górę ciemnozielonymi cybuchami, pęczniały bulwiaste rzodkiewki, rozkładała szeroko listki wczesna, zielona sałata i pieprzowa, pięknie pachnąca mięta dodawana do twarożku. Nastawał długo oczekiwany czas nowalijek; zdrowych i urozmaicających dietę. Bujnie rosły zboża, zieleniły się krzaki wczesnych ziemniaków, wróżąc obfite zbiory.

A tu pewnego razu w gazetach i na ścianach urzędów pojawiły się wielkie plakaty: „Uwaga! Stonka”, „Wróg czuwa!”, „Zwalczajcie stonkę ziemniaczaną”. Prasa informowała o perfidnej akcji wrażliwych imperialistów amerykańskich, którzy rozkazali zrzucić groźnego „żuka kolorado” na polskie plaże. Wzywała do czujności i walki.

„Poradnik Rolnika” z 1954 roku przestrzegał: „Chłop, jako pełnoprawny obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i gospodarz ziemi, musi zachować czujność wobec podszeptów wrogiej propagandy, która stale szerzy plotki, że stonka ziemniaczana nie jest groźnym szkodnikiem ziemniaków i że niebezpieczeństwo grożące nam ze strony stonki jest rzekomo wyolbrzymione”¹¹.

Niektórzy dorośli jednak mówili, że to nasi zrzucają stonkę, żeby uzasadnić marne zbiory w spółdzielniach produkcyjnych, a ona przefruwa na chłopskie pola i niszczy chłopskie ziemniaki.

O tym groźnym chrząszczy dyskutowano na wiejskich zebraniach i na lekcjach w szkole, gdzie czytaliśmy książeczkę Jana Brzechwy, z kolorowymi ilustracjami Jana Marcina Szancera, pod tytułem „Stonka i Bronka”. Autor pisał o żarłoczności tych szkodników, a szczególnie larw, które niezwykle szybko się rozmnażają, „przy czym żadna z nich nie spocznie, pokąd jeden liść zielony został jeszcze niezjedzony”¹².

Oczywiście autor dodawał, że „tak panoszą się szkodniki, słane do nas z Ameryki, które nadto wróg jest gotów zrzucić stale z samolotów”¹³ i że Bronka – ubrana na ilustracji jak radziecka pionierka w zielony mundur i czerwoną chustę – zawiadomiła o znalezieniu stonki Radę Narodową, a ta zorganizowała akcję, w której wzięły też udział dzieci zbierając do butelek żarłoczne szkodniki. Utwór ten – oczywiście – kończył się pouczającym apelem: „Bierzcie wszyscy przykład z Bronki. Trzeba niszczyć larwy stonki”¹⁴.

Nie dziwiło więc nikogo, gdy w wiosce mojego dzieciństwa również organizowano polowania na stonkę. Władze ustalały nazwiska kilku drużyn poszukiwaczy i przydzielaly określony obszar, przypadający na jedną osobę. Okólnik przekazywany z domu do domu zawiadamiał mieszkańców kilkunastu kolejnych „numerów”, by w danym dniu stawić się o określonej godzinie przed ludowcem, skąd po sprawdzeniu listy obecności wyruszano „na łowy”. Rodzice, zajęci ważniejszymi sprawami, wysyłali zazwyczaj na tę akcję dzieci, które chętnie wykorzystywały tę sytuację, by nie iść do szkoły. Znając wygląd tych szkodników tylko z gazet i plakatów, i nie zdając sobie jeszcze sprawy z zagrożenia, jakie stwarzały te żarłoczne „żuki kolorado”, szliśmy całą gromadą na krótki spacer w pola przesiąknięte zapachem niedawnego deszczu lub skąpane już w słonecznych, ciepłych promykach i zaraz wracaliśmy do domu.

Taka sytuacja trwała przez kilka lat. Aż pewnego dnia gruchnęła po wsi wieść, że w oknie Gromadzkiej Rady Narodowej można obejrzyć prawdziwe stonki. Biegliśmy je zobaczyć jako niezwykle ciekawostkę. Rzeczywiście w stojącej na parapecie dużej butelce gramoliło się kilka małych, pasiastych, niezdarnych okazów, nie wyglądających wcale groźnie; raczej śmiesznie, a nawet sympatycznie. Były podobne do biedronek, tylko trochę większe, a ich grzbiety zdobiły nie kropki, a czarno-białe paski.

I byliśmy rozczarowani, bo – gdy zaraz pobiegliśmy w pola – nie mogliśmy wypatrzeć żadnej, nawet najmniejszej stoneczki. A tu jeszcze ustanowiono nagrodę dla „szczęśliwego znalazcy”.

Niestety, wkrótce stonki stały się zmorą upraw w całej okolicy, a rodzice często wysyłali dzieci do zbierania z ziemniaczanych liści całej chmary tego obrzydlistwa, które należało dokładnie rozdeptać. Stosowano też metodę strzepywania stoniek do butelek z naftą czy z innym, trującym płynem, a na koniec najbardziej zabójczą – również dla nas ludzi – posypywanie krzaczków azotoksem. Napełniało się zużyta pończochę tą trucizną i wytrząpywało

idąc wzdłuż rządków kartofli. Azotox pylił się pięknie, tworząc tumany zabójczego kurzu, z czego nie zdawano sobie w pełni sprawy. Komu bardziej zaszkodził: stonco czy nam? Nie wiadomo. Ale wszyscy bobrowianie stosowali go „namiętnie”, a pola aż dymiły pokrywając białym pyłem wszystko dookoła. Na szczęście w pewnym momencie uznano ogromną szkodliwość tego środka i zakazano jego stosowania.

A na ugorach, nieużytkach, na ścieżynach i miedzach krzewiło się i zakwitało coraz więcej chwastów i ziół, barwiąc wszystko wokół wiosennymi kolorami. Nie plewione zielsko panoszyło się też na uprawnych zagonach. I znów kobiety szły w pole, by – często klęcząc na kolanach – „wydzirać trowe”, a potem przynosiły ją dla świń w workach czy w starych „pletówkach” zarzuconych na plecy. Plewiono len, konopie, proso, buraki, a także mak, który jeszcze legalnie bujał na polach i w ogródkach, piał się w górę, by późnym latem w miejscu czerwonych lub bladoróżowych kwiatków wytworzyć pękate makówki, a w nich miliony czarnych, lub ciemnopopielatych ziarenek. Czasami też trzeba było plewić pszenicę, gdy była zbyt zarośnięta perzem czy kąkolem. Okopywano też ziemniaki; niekiedy konnym płużkiem, a najczęściej motyką. Cały tydzień – oczywiście oprócz niedziel – trwały intensywne prace w polach.

Paweł Gwóźdź – bohater „Tryptyku na śniegu” wspominał: „Szedłem. Dokoła jak ruchome wydmy słały się zboża [...], wróciło tamto popołudnie w rędzinach. Baby plewiły proso, chłopci obsypywali płużkami ziemniaki. Białą kurzawą wiało z kwitnących zbóż. Stary Synak, Benek i ja kosiliśmy konicz: nikły, splątany wylubem”¹⁵.

Tylko w niedziele pola pustoszały, choć krowy i tak wyganiano rano i po południu, bo od tego – tak żmudnego zajęcia – nie było żadnego święta.

Ale majowe niedziele były pełne radości i nadziei. Zaczynał się sezon zabaw na świeżym powietrzu. Byliśmy młodzi i czas był dla nas łaskawy. Jabłonie stały całe w białoróżowym kwieciu, sztywne świece kasztanowców zaczynały rozwijać swe płatki, odurzająco pachniały jaśminy, na polach bujało coraz piękniej zboże, a w gęstych zaroślach wiklinowych i kolczastych gałązkach tarniny słowiki wyciągały radosne trele.

Zielony maj roztaczał przed nami swe czary. Rwaliśmy mokre od deszczu, cudownie pachnące gałązki bzów i zanosiliśmy do izby. W pękatym, glinianym dzbanie ustawionym na wykrochmalonej serwecie, ozdobionej kolorową mereżką i szydełkową koronką wyglądały przepięknie. Czasem wśród liliowych kiści znajdowaliśmy odmienny, wielopłatkowy kwiatusek, który jak czterolistna koniczyna wróżył niespodziewane szczęście.

Wiosenny, świąteczny nastrój udzielał się wszystkim mieszkańcom wioski. Jeszcze przed zapadnięciem zmroku gościniec zaczynał rozbrzmiewać śmiechem i wesołymi pogwarkami. Wystrojone dziewczyny grupkami zdążały na zabawę. Niektóre miały już swoich chłopaków, z którymi umawia-

ły się na tańce, inne niosły w sercu nadzieję na spotkanie tego, dla którego spragnione miłości serce mocniej zabije.

„Wystarczało bardzo niewiele: zbita z desek estrada [...] lub po prostu deski położone bezpośrednio na ziemi i kapela [...], a radości było co niemiarą i zabawa rozkręcała się na całego [...]. W repertuarze muzycznym królowały walczyki, tanga, fokstroty, oberki i polki”¹⁶.

Umęczeni wiecznymi kłopotami ludzie, którzy nie tylko swoje ręce, ale i serca zaprzęgali do kieratu codziennych spraw, spragnieni byli tych zabaw jak kania dżdżu, by odpocząć, by poskakać, by zapomnieć na chwilę o dręczących troskach. Wszak w każdym drzemał instynkt każący wyładować swe emocje w szalonych tańcach, które wyciskały ostatnie poty, ale też wyzwalały ochotę i entuzjazm, tak niezbędne w życiu.

Autorzy „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas” piszą:

„W niedzielę cała wieś szła „na dechy”, czyli potańcówkę. Tańczyli wszyscy – starzy i młodzi, biedni i bogaci, chudzi i grubi, uzdolnieni tanecznie i ofermi. Ludzie nie mieli radia ani telewizji więc sami organizowali sobie zabawę. Dziewczyny stroiły się w zwiewne sukienki, a chłopcy przed zabawą długo pucowali buty”¹⁷.

Korony wysokich topól i przysadzistych wierzb ciemniały w miodowym świetle nadchodzącego wieczoru, na wiosennym niebie jedna po drugiej zapalały się gwiazdy, powietrze przenikały wonie majowych bzów. Daleko w ciemne opłotki niosła się głośna, skoczna muzyka. W tańcu rozładowywały się emocje, zadzierzgały się przyjaźnie, rodziły się miłości, znajdowały ujście zapalczywości, grały temperamenty. Podochocona kawalerka śpiewała: „Chłopcy bobrowianie koźcie sobie zagrać, tylko se nie dejcie cupryny natargać. Bo nasza cupryna nie lada, nie lada, żeby jo targała byle jako dziada”.

Ale często zdarzało się, że sami brali się za czupryny, bo zabawy najczęściej kończyły się – niestety – bijatyką. Powody były różne: dziewczyna z innej wsi, rywalizacja między chłopakami, obyczaj, alkohol, jakiś drobny incydent czy zatarg.

W wiosce mojego dzieciństwa chłopaki najczęściej bili się z tymi z Nagoszyna czy z Woli Żyrakowskiej, którzy odważyli się przyjść na bobrowską zabawę. Nie wiadomo, jak dawne były te animozje między sąsiadującymi wsiami. Przecież często chodziło się do tego samego kościoła, uczestniczyło w tych samych nabożeństwach, słuchało tych samych nauk i napomnień. Ale to nie miało znaczenia. Do sąsiednich wsi szły zorganizowane grupy chłopaków, już wcześniej zaopatrzonych w narzędzia walki: kije, sztachety, nawet noże. Taką zabawę zapamiętał Aleksander Bacher:

„Podłoga na polu, zabawa publiczna,
Pełniutko młodzieży a pogoda śliczna.
Już wieczór zapada, harcują młokosy.

Odważni tańczą a grają Jarosy.
Zrobiło się ciemno, nasiliło granie
Na teren zabawy wkraczają wolanie.
Kilku agresywnych przybyszów na bańce
Weszło na podłogę utrudniając tańce. [...]
Pryskają dzieciaki, „lobidzo” kobiety,
A krewcy młodzieńcy targają sztachety.
Walka rozgorzała, krzyk niesamowity,
Każdy z każdym walczy trzeźwy czy podпиты [...].
Ponad pół godziny trwało zamieszanie,
Bójka się skończyła, gdy zwiali wolanie”¹⁸.

A Józek Bylina z Mikołajkowego opowiadania „Dziewczyna z warkoczem” mówi: „Bić, bracie, to ja się umiem. Od maleńkości się biłem. Czy to przy pasieniu krów na granicy drugiej wsi, czy w lesie na orzechach, po mszy przed kościołem – nigdy się bez pucówki nie obeszło”¹⁹.

Świetnie taką sytuację ilustruje też jedna z lubianych piosenek ludowych:

„Bili się chłopcy w sobotę wieczór do rana,
Przy każdym jednym stała dziewczyna spłakana.
– Moja dziewczyno, moja jedynie nie smuć się,
I masz tu winko, i masz tu piwko napij się.
– Winka nie lubię, piwka nie będę, gorzkie jest.
– Przez ciebie jedną dziewczyno biedno bitka jest”.

Najczęściej bowiem walczone o dziewczyny. Prawie było to niemożliwe, żeby żenili się w Bobrowej chłopaki z Nagoszyna, czy nasze panny wychodziły za mąż za „obcych”. Ostatecznie tolerowano „absztyfikantów” z wiosek położonych bliżej Dębicy czy zza Wisłoki. Z dużym dystansem patrzono na całkiem „obcych”, przybyłych „skądsik”, nie wiadomo skąd. A gdy jednak miłość pokonywała wszystkie niechęci i animozje i np. panna z Nagoszyna decydowała się zamieszkać u teściów w Bobrowej, patrzono na nią z niechęcią i nie mówiono o niej inaczej jak: „ta nagoszanka”. Dopiero później przełamano te straszne stereotypy i nastąpiło prawdziwe wymieszanie par. Bo miłość zwyciężała uprzedzenia i bobrowskie chłopaki coraz częściej żenili się z pięknymi dziewczynami z okolicznych wsi. Np. kolega z klasy – Leszek poślubił śliczną, miłą Fredzię z Nagoszyna, która szybko zyskała sympatię wśród bobrowianek, tym bardziej, że była krawcową i chętnie służyła sąsiadkom, szyjąc im modne ciuszki. W Nagoszynie znaleźli swe żony Zbyszek Lipa i Janek Marzec. Kuzynka Baśka wybrała chłopaka z Nagoszyna. Jej mama chwaliła się, że taki elegancki, pracuje na Śląsku i tam zabierze żonę. I tak się też stało.

Dziś trudno byłoby zliczyć dziewczyny i chłopaków z obcych wsi zamieszkujących wioskę mojego dzieciństwa. Już dawno nie ma znaczenia, kto skąd po-

chodzi, tylko jakim jest człowiekiem. Ale tuż po wojnie nie ufano obcym i na zabawach – gdy temperamenty brały górę – zdarzały się nawet ciężkie pobicia.

Jeden z sąsiadów, Milek – najspokojniejszy człowiek pod słońcem – został w zamieszaniu dźgnięty nożem w brzuch. Sytuacja była tragiczna, tym bardziej, że kontakt z pogotowiem był bardzo utrudniony. Trzeba było jechać rowerem po pracownika Gromadzkiej Rady, który posiadał klucze do „ludowca”, gdzie znajdował się jedyny we wsi telefon, lub do Nagoszyna na pocztę.

Z tych telefonów można było jedynie – kręcąc korbą – dodzwonić się na pocztę w Dębicy, a stamtąd „panienka z okienka” łączyła się z pogotowiem. Jeśli mimo trzasków, szumów i pisków dobywających się z słuchawki udało się porozumieć, gdy była akurat wolna karetka i lekarz – co nieczęsto się zdarzało – to istniała nadzieja na fachową pomoc. Należało tylko czekać cierpliwie, aż po wyboistym gościńcu: przez Zawierzbie, Żyraków i Wolę Żyrakowską samochód dotrze na miejsce. Na szczęście sąsiad został uratowany, ale bójkę zdarzały się jeszcze długo.

Nawet Krzysztof – syn Lina wychowany we Wrocławiu – po zabawie w rodzinnej wiosce ojca wrócił ze spuchniętym nosem ze skrzepami krwi: „Ja guza nie szukałem. Tamtemu też się parę zębów zakołysało. Dziewczyna taka jego, jak i moja. Dał mi w nos, to oddałem”²⁰.

Opinia publiczna była dość tolerancyjna dla sprawców tych awantur. Mówiono, że „młodość musi się wyszumieć”, a milicja rzadko interweniowała, mając ważniejsze sprawy na głowie; zresztą we wsi nie było posterunku. Chłopaki po zabawie żywo komentowali takie incydenty, nawet się szczycili swoją odwagą i brawurą. Dziewczyny także lubiły opowiadać o tym, jak to chłopcy bili się o nie, co było powodem do dumy i podnosiło prestiż danej panny. Również często mama takiej „piękności” „lotała” do sąsiadek, chwając się, jakie to jej córeczka ma powodzenie. Chłopcy leczyli rany i sińce, matki łątały porwane koszule, przyszywały oderwane rękawy marynarek, a wkrótce, na kolejnej zabawie znów szły w ruch sztachety, kije, czasem noże.

Leopold Harla pisze, że młodzież bobrowska należąca do organizacji ZWM i „Wici” starała się uczyć właściwych zachowań: „W grzecznej formie zwracano uwagę, że chłopcy nie powinni tańczyć w płaszczach, w czapkach na głowie, z papierosami w ustach, że partnerkę po tańcu należy odprowadzić na miejsce, a nie zostawiać na środku sali, że ewentualną odmowę ze strony dziewczyny należy przyjmować w sposób cywilizowany, kulturalny, a nie policzkować, jak bywało nieraz przedtem”²¹.

W takie niedzielne, majowe noce do białego rana wieś szumiała muzyką, śpiewem, radością. Po opłotkach pachnących wiosną niosły się skoczne melodie, a czasem jakiś pojedynczy silny głos wybijał się przez ciemność: „Całą noc psy szczekały, całą noc nie mogłem spać, całą noc bzy pachniały”...

A majowa noc rzeczywiście pachniała odurzającą wonią kwitnących bzów. Czas płynął niepostrzeżenie. Piwo szumiało w głowie. Tańce rozpalały zmysły, pary wymykały się z podłogi, by tulić się w ciemności nocy i rozmawiać tajemnie z księżycem. Aż wreszcie trzeba było wracać. Zdarzyło się, że gdy młody sąsiad wrócił późną nocą do domu po zabawie, matka – nagle obudzona – zaczęła gderać: – Wrocosz dopiero teraz, a tu nie będzie co rano krowom dać. Miołeś przecie narznąć siecki.

Zdesperowany chłopak odburknął:

– Nie trza było cekać. Do ty pory to byście już te słome nożyckamy pocieley.

Jeszcze z oddali wciąż dochodziły strzępy wygrywanych melodii, ale powoli wszystko ucichało i tylko tajemnicza poświata księżyca srebrzyła uśpioną wieś.

W późniejszych czasach zabawy odbywały się w nowo wybudowanym Domu Strażaka. Wspomina to Lin z „Zamykania koła”: „Zbudził się z dużym pragnieniem. Gdy szedł do izby poszukać mleka, nogi poplątała mu gromka melodia „Kazaczoka”. Wyrównał krok, ruszył w tamtą stronę. W dżinsach i zmiętej, płóciennej koszuli. Bufet był w przybudówce Domu Strażaka. Za prowizoryczną ladą kilka osób zajadle naciskało pompki wbitych w beczki pip, jak gdyby wtykając szklanki z piwem i butelki z czerwoną kartką w stojących przed bufetem ludzi.

– Daj mi od razu dwie – powiedział do żony Synunia. Jedną wypił zaraz, z drugą zamierzał wyjść na powietrze. Ale już za łokieć chwycił go Majzel, za nim z półlitrowką barwionej wódki stał stary, wąsaty cieśla o egzotycznym nazwisku – Nil²².

„Wypili po stakanie i Lin nabrał ochoty do tańca. Wykupił bilet wstępu na salę – obowiązywało to tylko mężczyzn – i wszedł do wnętrza. Kobiety siedziały na ławach i krzesłach pod ścianami, niektóre z dziećmi na rękach, dziewczęta wystawały grupkami. Z kąta szedł już do niego uśmiechnięty Synuniu. Spluwając resztkami tytoniu, powiedział tym swoim odbijającym się w nosie głosem:

– Jesteś? No to hulamy – zagarnął ramieniem dziewczynę.

– I Lin hulał [...]. Czuł się w środku podchmielonej nocy, jak kiedyś, gdy był młody. Orkiestrze przewodzi przecież ten sam skrzypek. Nie zna ani jednej nuty, lecz gra już prawie pół wieku; jeszcze dziadek tańczył przy pisku jego skrzypiec, potem ojciec, a teraz Lin z synem²³.

Zapamiętane z dzieciństwa zapachy i dźwięki majowych wieczorów, sady całe w kwiatach, zielone pola kojarzą się też nierozzerwalnie ze śpiewami pod kapliczką.

Bo „zwykle w maju na wiejskie dziewczyny nachodziła pora szczególnej religijności. Na chłopaków zresztą też. Spotykali się wieczorami pod figurą Matki Bożej, chwalili łąki umajone i strzelali niekoniecznie w celach pobożnych²⁴.

Kapliczki przydrożne – tak jak przydrożne świątki i krzyże – były ważnym elementem wiejskiego pejzażu. Stawiano je od wieków w czasach ważnych dla mieszkańców danej miejscowości; jako wyraz wiary, symbol błagalnych modłów czy wotum dziękczynne po ustaniu zarazy, po zakończeniu wojny czy jakiegoś innego kataklizmu. Często już nie pamiętano o ich początku; wydawało się, że były od zawsze.

Pięknie o takich kapliczkach pisał Jan Wiktor – absolwent dębickiego gimnazjum: „Są one klejnotami wprawionymi w pejzaż, jego duszą i uzupełnieniem. Lud stawiał je w dniach wesela i w godzinach smutku jako ofiarę za doznane łaski, jako prośbę o plony, o pomyślność, jako wotum składane sercem. Pozostały te modlitwy z kamienia i z drzewa wśród kobierców łąk, wśród miedz, na skrajach lasów, na rozstajach, w miejscach najbardziej uroczych, które fantazja ludowa zaludnia legendami, miłuje pieśnią i poezją”²⁵.

Gdy zaczynał się maj, kapliczki w wiosce mojego dzieciństwa ożywały. Już pod koniec kwietnia widać było przygotowania do rozpoczęcia bardzo popularnych i lubianych nabożeństw majowych. Otwierano – na ogół zamknięte w innych porach roku drzwi kapliczek, bielono i sprzątano starannie wnętrze, by lśniły czystością, ścierano stolik i nakrywano go świeżym obrusem, a na koniec ozdabiano figurę Matki Bożej królującej we wnętrzu i święte obrazki na ścianach. Na „ołtarzyku” stawiano kilka lichtarzyków, w których podczas nabożeństw paliły się świece. Przez cały miesiąc przynosiliśmy do kapliczki świeże kwiaty, które wstawiało się do różnych słoików i szklanek.

Aż ciasno i duszno było od narcyzów o drobnych, misternie powycinanych płatkach z drobną czerwoną-żółtą koronką w środku, białych i liliowych bzów, kipiących bogactwem kwiatowych kiści czy odurzających gałęzi „korcipki”; gęsto oblepionej białym kwieciem. Dzieci przynosiły nazbierane na łąkach żółciutkie, słoneczne jaskry i duże, białe – z żółtym środkiem – rumiany.

Chodziliśmy najczęściej do kapliczki stojącej wśród pól za domem Prucnałów, choć czasem wybieraliśmy się też do tej „Pode Dworem”, obok domostwa Kozów. Ta była jakby ważniejsza, bardziej oficjalna, otwierana tylko przez trzymającą klucz, odpowiedzialną za ład i wystrój Marysię Kozównę. Zbudowana w II połowie XIX wieku, początkowo była drewniana. Znajdowała się w niej figurka Matki Bożej z Dzieciątkiem na ręku. „Figurę tę pierwotnie zakupiono do kościoła, jako feretron, ale okazała się zbyt ciężka, żeby móc ją nosić w czasie procesji, więc właściciele postanowili kupić ją od Parafii z kościoła w Nagoszyńcu. Figura ta znajdowała się w drewnianej kapliczce aż do roku 1985, kiedy to wybudowano nową, murowaną kapliczkę w miejsce starej”²⁶.

Modlitwy i pieśni prowadziły w niej wybrane osoby; były to zawsze kobiety starsze wiekiem i cieszące się dużym mirem we wsi. Również przebieg nabożeństwa był z góry ustalony. Po odmówieniu „Litani łoretańskiej” zawsze najpierw śpiewano „Chwalcie łąki umajone”, a potem kilka pieśni into-

nowanych przez przewodzącą śpiewom, cieszącą się autorytetem, pobożną kobietę. Nastrój majowego wieczoru trochę niepokoił, tym bardziej, że kapliczka graniczyła z dużym, dzikim ogrodem, z którego niedawno ekshumowano szczątki żołnierzy zabitych w czasie wojny. Musieliśmy się też ciągle opędzać od złośliwych komarów, które całymi chmurami nadlatywały z nad pobliskiej „Błocizny”. Czasami podczas trwania pobożnych śpiewów nagle rozdzierał wieczorną ciszę ogłuszający ryk motocykli. To chłopaki z Woli Żyrakowskiej – dla szpanu i z powodu zainteresowania bobrowskimi pannami – przejeżdżali kilka razy „tam i nazod” obok kapliczki, wywołując radosny niepokój wśród dorastających dziewczyn i zgorszenie starszych kobiet.

W „naszej” kapliczce – usytuowanej wśród pól za domem Prucnałów, a mającej prawie 200 lat, bo zbudowano ją w I połowie XIX wieku – było bardziej swojsko i „demokratycznie”. Łatwiej było o klucz, kolejność i wybór utworów należały do zebranych, kto chciał, to przynosił kwiatki i dostawiał kolejne kwiatowe słoiki. Więcej przychodziło dzieci, panowała luźniejsza atmosfera, a otaczająca kapliczkę wielka przestrzeń zamknięta aż korzeniowskim lasem na północy i nagorskimi „Górami” z dominującą za nimi wieżą kościoła, w narastającej szarówce wieczoru wytwarzały aurę tajemniczości i romantyzmu. Z pobożnymi melodiami śpiewających mieszały się szepty zakochanych, żabie rechoty i ujadanie psów. Tu było najpiękniej. Kapliczka ta „od razu była wymurowana. Na frontowej ścianie był obraz Matki Bożej Łaskawej, a po prawej stronie był obraz Józefa na płótnie. Gdy modlitwy o zdrowie sąsiadki, zanoszone przez mieszkańców zgromadzonych przy tej kapliczce zostały wysłuchane, ufundowali oni do tej kapliczki obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Pochodzi on z przełomu XIX i XX wieku”²⁷.

Spotkania pod kapliczką miały niepowtarzalny, trudny do opisu nastrój. Tworzył go ciepły majowy wieczór, gdy barwy dnia powoli traciły swą intensywność i łagodniały coraz bardziej, a niebo najpierw sine, zabarwione liliowymi smugami, potem granatowe, pełne złotych gwiazd, przeglądało się w srebrnej poświacie księżyca. Urzekało wiosenne powietrze, przesycone zapachami kwiatów i pieśni Maryjne niosące się daleko, daleko aż do granic przestworzy.

Cóż z tego, że nie zawsze rozumieliśmy śpiewanych słów, że zamiast: „serce – samo szuka” śpiewaliśmy „samoszuka”, zamiast: „z nami śławi Maryję” – „Znamisław i Maryje”. Nawet zastanawialiśmy się, kim była ta „Samoszuka” i ten tajemniczy „Znamisław”, ale jakoś nikogo dorosłego nikt o to nie zapytał.

A takie pomyłki zdarzały się często – nie tylko pod kapliczkami, ale też w kościołach; co przecież nie umniejszało wartości tych, z głębi serca płynących pieśni.

Hołownia pisał: „Niedociągnięcia form – nieuniknione przy śpiewaniu utworu po raz pięćdziesiąty sprawiają, że nierzadko [...] zamiast zachęty: „Królowej Anielskiej śpiewajmy, różami uwieńczmy jej skroń”, w niebo

wznosi się zaprawiona refleksją militarną pochwałą szefowej konkurencyjnego wyznania: „Królowej angielskiej śpiewajmy”, a na miejscu zaś inwokacji: „Maryjo śliczna i niepokalana”, usłyszeć można frapującą farsę „Maryjo śliczna ino po kolana” [...], miast „Tyś plastr z miodu Samsona”-„Tyś chlast w mordę Samsona”²⁸.

Wnętrze kapliczki, oświetlone blaskiem migocących świeczek, rzucało złote blaski na święte oblicze Maryi; tej od wiosennych kwiatków, od jaskółek i skowronków, od ludzkich łez i westchnień. I wydawało się, że Jej postać ożywała; troskliwie i litościwie spoglądała na przybyłe dzieci, kobiety, zakochane pary, a nawet tajemniczo, łagodnie się uśmiechała do przychodzących tu po pomoc i po opiekę. Dla młodych był to też świetny pretekst do romantycznych spotkań.

Znaliśmy i śpiewaliśmy wiele pieśni: „Chwalcie łąki umajone”, „Cześć Maryi”, „Nie opuszczaj nas”, „Najświętsza Panno Gidelska”, „Królowej Anielskiej śpiewajmy”, „Idźmy, tulmy się jak dziatki”, „Nie płacz już dziecino” i wiele innych. Wszystkie swą obrazowością przedstawionej sytuacji; tak swojskiej i ujmującej za serce, czasem ludowym rodowodem i pewnym prymitywizmem formy – tak bardzo pasowały do tych nabożeństw, do tych kapliczek z figurami gipsowymi, z których w wielu miejscach obłaziła farba i z obrazami już naznaczonymi czasem, malowanymi przed laty przez kogoś ze wsi, jakiegoś swojskiego Rafaela”, który – jak ten z Tuwimowych „Kwiatów polskich”:

„Ku czci Najświętszej Panny
Malował uczuć swoich kwiaty
W tonacji bladej, choć pstrokatej”²⁹.

Nasz bobrowski „Rafael” – Feliks Mazur też nie żałował jaskrawych, kontrastowych barw; po latach już wypełzłych i przydymionych. Był człowiekiem wrażliwym i utalentowanym, malarzem amatorem, prymitywistą jak Nikifor. Wykonywał okolicznościowe malowidła do kościoła; to właśnie on na Wielki Tydzień namalował wielkoformatowy pejzaż Jerozolimy, zdobiący ścianę przylegającą do ołtarza po „babskiej stronie”, pod którym był umieszczony grób Chrystusa. Poruszała nasze serca ponura i przygnębiająca tonacja tego obrazu: groźne, granatowe niebo nad miastem, skłębione chmury i błyskawice, wspaniale wyrażające nastrój Wielkiego Piątku. Mazur malował też obrazy do kapliczek i do domów, a ich charakter świetnie wpisywał się w wyobrażenia i uczucia prostych ludzi.

Obrazy w naszej kapliczce idealnie pasowały do tych lichtarzyków „od Sasa do lasa”, do różnego autoramentu stoików, w których ciasno upchane było różnorakie bujne kwiecie pachnące odurzająco, całymi naręczami znoszone codziennie dla Maryi. Urzekały nas zapachy tych kwiatów, zmieszane z zapachem palących się świec i z zapachem wiosennych pól i łąk, zapadająca zewsząd ciemność, dobiegające znad stawów rechoty żab, głośnie, choć

czasem fałszujące śpiewy; ale jakże szczere i z serc płynące. Wszystko to tworzyło jakieś czarowne misterium, które w szarej codzienności było jak klejnoty namalowane na szyi Madonny – cenne i piękne.

Chłonęliśmy niezwykłą atmosferę tych majówek sercami naiwnych i zdumionych dzieci. Po litanii – odmawianej zawsze na początku – i starej, pochodzącej jeszcze z III wieku modlitwy „Pod Twoją obronę”, z przejściem śpiewaliśmy:

„Pani w ofierze Tobie dzisiaj składam,
Wszystko, czym jestem, wszystko co posiadam.
Ty wiesz najlepiej, żem nędzny ubogi,
Żyję wśród smutku i żalu, i trwogi”.

A potem coraz to inne – śliczne, stare pieśni Maryjne, wyszukiwane według alfabetu z przyniesionych książeczek. Pragnęliśmy, by te chwile pod kapliczką trwały jak najdłużej; tak były ważne i piękne, zapadały w pamięć i w serce, dodawały uroku i wartości powszednim, gorzkim dniom. Dlatego, kto tylko mógł, zdążał co wieczora do kapliczki, by przeżyć coś niezwykłego, podniosłego i czarownego.

Wzbogaceniem repertuaru majówkowych wieczorów były nieznane nam pieśni intonowane przez nową mieszkankę wioski mojego dzieciństwa – „Kondejke”. To ona nauczyła nas m.in. śpiewanej potem w „mojej” kapliczce – prawie codziennie – prośby:

„Panu Bogu Ojcu cześć, chwałę dajmy,
A Najświętszą Pannę na pomoc wzywajmy,
Do Niej się uciekajmy.
Ażeby się raczyła modlić za nami,
Ażeby Duch Święty został zawsze z nami.
Daj to Boże, daj!”

A w oddali, w zapadającym już prawie zmierzchu „wśród gwiazd na nieboskłonie widoczna była wieża kościoła”³⁰. Potem wracało się do domu, jeszcze w czasie drogi śpiewając: „Wszystkie nasze codzienne sprawy, przyjm litośnie Boże prawy”, a pośród chat niesło się daleko echo tej starej, jeszcze XVIII-wiecznej pieśni, żegnającej kolejny dzień życia. W sweterkach nie dbale zarzuconych na ramiona i już w letnich, perkalowych sukienkach, czy w przypadku chłopaków – w cienkich koszulach z podwiniętymi rękawami – czuliśmy, że naprawdę króluje wiosna i ufaliśmy naiwnie, że świat wkrótce będzie nasz. Majowy zmierzch nadawał dziwaczne kształty przydrożnym drzewom, świeciło tajemniczo w księżycowej poświacie próchno starej wierzby, w wieczornej rosie intensywniały zapachy mijanych ogrodów, niebo lśniło blaskiem gwiazd i wydawało się, że wystarczy wyciągnąć rękę, by schwycić jedną z nich.

W każdym domu w tym miesiącu oddawano Maryi szczególną cześć. Na stołach czy „nakaslykach” ustawiano figurki lub obrazki Matki Bożej, umieszczone na specjalnych podstawkach, które dekorowano bukietami polnych i ogródkowych kwiatów. Przynosiliśmy z pól i łąk złociste jaskry, liliowe firletki, fioletowe fiołki, a z ogródków gałęzie bzu, narcyze, tulipany i piwonie. Bo ogrody aż kipiały od kwiecica. I choć nie znaleźliśmy w ogóle poezji Miłosza, to było właśnie tak – jak w jego wierszu – pięknie i lirycznie:

„Piwonie kwitną białe i różowe,
A w środku każdej, jak w pachnącym dzbanie,
Gromady żuczków prowadzą rozmowę,
Bo kwiat jest dany żuczkom na mieszkanie.
Matka nad klombem z piwoniami staje,
Sięga po jedną i płatki rozchyla,
I długo patrzy w piwoniowe kraje,
Dla których rokiem bywa jedna chwila.
Potem kwiat puszcza, i co sama myśli,
Głośno i dzieciom, i sobie powtarza.
A wiatr kołysze zielonymi liśćmi
I cętki światła biegają po twarzach”³¹.

W takich chwilach miało się instynktowne poczucie przynależności do świata natury, poczucie odwiecznego ładu i harmonii, pewności trwania, powtarzalności rytmu przyrody, bezpieczeństwa wynikającego z bliskości naszych mam, objaśniających nam świat. Bo przecież czuliśmy, że – trawestując słowa noblisty – tak, jak „kwiat jest dany żuczkom na mieszkanie”, tak świat był dany na mieszkanie nam, ludziom. Czuliśmy się szczęśliwymi dziećmi Bożymi, które z tego daru chcą i potrafią umiejętnie i z radością korzystać. Więc korzystaliśmy, a każdy drobiazg potrafił cieszyć, gdy jeszcze nie w pełni miało się świadomość istniejącego wokół zła.

Niektóre hasła propagowane przez władze były nawet bardzo przekonujące, nie pozbawione pewnej dozy romantyzmu, dające nadzieję i rozbudzające marzenia, a nas, młodych – rozpierała energia, niecierpliwość, chęć działania i spełniania marzeń.

Ale wciąż byliśmy jeszcze dziećmi. Kochaliśmy zapach mokrej ziemi po deszczu, kwitnące drzewa w sadach, z których nagle opadały białą zamiecią delikatne płatki, barwiąc śnieżnie cały sad, pachnące liliowe i białe bzy, rosnące na podwórkach, a gdzieś tam też rozkwitający jaśmin. Biegaliśmy boso, by poczuć pod stopami miękkiego dotyku trawy i strząsać z niej ostatnie krople rosy. Wpadaliśmy do izby tylko na chwilę po kromkę chleba z cukrem, którą mamy skrapiały wodą, by lepiej się trzymał lub po świeżo zerwaną laskę „rombarbaru” – strasznie kwaśnego i strasznie pysznego.

Na płotach domów „zakwitały” czerwienią wietrzące się w łagodnych powiewach zimowe, kwieciste chusty, futrzane kołnierze czy wsypy bruchatych pierzyn i poduch. Z otwartych drzwi niósł się zapach mydlin, parujących ziemniaków, gotujących się pieluch i głosy krzątających się mam.

Pewnego dnia zamontowano w każdej kuchni – gdzie najczęściej przebywali domownicy – głośniki radiowe; niewielkie drewniane skrzynki obciągnięte z przodu brudnoburym płótnem, zwane „kołchoźnikami”. Miały być atrakcyjnym i skutecznym środkiem przerwanej informacji i propagandy, zgodnie z ukutym wówczas hasłem: „Radio w każdym domu”. Ale rzadko go słuchano. „Głośnik zwykle gadał sam do siebie”³² – a nazywano go pogardliwie „szczekaczką”. Tylko niekiedy budził zainteresowanie mieszkańców wioski mojego dzieciństwa, np. gdy wiadomości z regionu przekazywała córka naszej sąsiadki Marysia Piękosiońska, gdy nadawano koledy, lub gdy była transmisja z wyścigu kolarskiego. W 1952 roku mężczyźni emocjonowali się walkami bokerskimi na Igrzyskach Olimpijskich w Helsinkach, gdzie bokser Zygmunt Chychła zdobył dla Polski pierwszy po wojnie olimpijski medal, a w 1956 roku wszyscy cieszyliśmy się z sukcesu Elżbiety Duńskiej – Krzesińskiej, która zwyciężyła w skoku w dal na olimpiadzie w Melbourne. „Świerszczyk” zamieścił nawet zdjęcie polskiej mistrzyni wraz z wierszykiem, którego autor – nawiązując do uczesania „Złotej Eli” – pisał, że „zafurkotał warkoczyk i skoczyła na medal, jak nikt w świecie nie skoczył”.

Niektórzy młodzi mężczyźni słuchali w radiu sprawozdań z meczów piłki nożnej. Cytowany tu wielokrotnie Leopold Harla, czyli „Poldek Herlyk” nawet na weselu siostry Ireny, odbywającym się w jego rodzinnym domu, co chwilę to wybiegał do drugiej izby, to powracał, by – zaaferowany – przekazywać wszystkim gościom pełne emocji radiowe sprawozdanie z jakiegoś meczu.

Dla nas, bardziej emocjonujące były te mecze, które rozgrywali chłopcy z sąsiedztwa na wielkim ugorze, porośniętym trawą, gdzie później zbudował dom Władysław Szelest i powstała remiza straży pożarnej.

Natomiast przez wiele lat w maju prawie wszyscy – dorośli i dzieci – słuchali w radiu sprawozdań z Międzynarodowego Wyścigu Pokoju organizowanego od 1948 roku na trasie: Warszawa – Berlin – Praga; szalenie w Polsce popularnego, który zaczynał się zawsze w dniu Święta Pracy – pierwszego maja. Był on w naszym kraju niezwykle popularny, zwłaszcza, gdy tryumfy zaczął święcić ulubieniec milionów polskich kibiców Stanisław Królak – zwycięzca wyścigu w 1956 roku.

Pewnego razu chłopaki z wioski mojego dzieciństwa postanowili osobiście obejrzeć wyścig. Całą bandą szli polami w stronę Wisłoki, by dotrzeć do przystanku w Kochanówce, stamtąd pojechać do Dębicy, a następnie przebieść się na pociąg do Rzeszowa, bo tam właśnie miał się kończyć jeden z etapów wyścigu. Opowieściom o tym wydarzeniu nie było końca.

A tak je wspomina pisarka Anna Chmiel: „Od 1948 roku z oczami pełnymi zachwytu młode pokolenia podziwiałały kolarzy walczących o laur zwycięstwa w corocznych Wyścigach Pokoju, upamiętniających rocznicę zakończenia II wojny światowej. Niekiedy etap kończył się w Rzeszowie, na stadionie „Stali”. Tłumy ludzi wybiegały wówczas na ulice miasta, by wiwatować na cześć Polaków, którzy jeszcze wówczas zdobywali w ogólnopolskiej klasyfikacji czołowe miejsca [np. Rajmund Zieliński]. Niemal całe społeczeństwo utożsamiało się ze swymi ukochanymi kolarzami i największym szczęściem było to, że nasz dołożył kolarzowi bratniego ZSRR. Wyścig Pokoju był wspa-
niałą, porywającą, wyjątkową imprezą ogólnonarodową”³³.

Jednak tylko niektórzy mogli oglądać kolarzy na żywo; przede wszystkim słuchało się transmisji radiowych.

„Były to czasy, w których Wyścig Pokoju był dorocznym wydarzeniem sportowym, wielkim masowym świętem [...]. Każda rodzina słuchała sprawozdań, które były komentowane w tak fenomenalny sposób, że wszystkim skakało ciśnienie, wszystkim udzielała się masowa histeria [...], gdy Królak, Mytnik, Szurkowski, Szozda czy Krzeszowiec pokazywali na co ich stać. Gdy toczyli cichą, czasem brutalną walkę z bezwzględnością Rosjan [Lichaczew], lub Niemców, z którymi trzymali też Czesi. To dlatego nasi kolarze mieli w Polsce tak kolosalny entuzjazm i czasem na granicy hysterii aplauz. Gra szła nie tylko o medale. Była wyrazem naszych skrywanych sympatii i antypatii politycznych [...]. Bohdan Tomaszewski dawał oprawę kolarstwu i lekkiej atletyce, Jan Ciszewski piłce nożnej i żużlowi. Ich słynne lapsusy nadały koloryt ówczesnym transmisjom”³⁴.

Z uchem przy głośniku czekaliśmy na finał każdego etapu kolarskich zmagania, choć należało już dawno wypędzać krowy. Rodzice z pobłażaniem traktowali te opóźnienia, sami zauroczeni głosem sprawozdawcy, krzyczącego poprzez trzaski i szumy: – Halo! Tu helikopter! Tu helikopter! Widzę peleton, a w nim Polaków!

Potem, siedząc na schodach w ciepłe, pełne wiosennych zapachów majowe wieczory, gdy na gościńcu kładły się coraz dłuższe cienie rosochatych wierzb, a od Wisłoki nadciągał gęstniejący mrok, komentowaliśmy z zapałem wydarzenia tego wyścigu; zwłaszcza walkę i sukcesy kolarzy w biało-czerwonych koszulkach. Na niebie zapalały się gwiazdy, a wokół gołej żarówki nad drzwiami krążyły ćmy; z bliska szare i brzydkie, ale urokliwie błyszczące w swym locie na zatracenie.

Od małego byliśmy dwujęzyczni. Między sobą rozmawialiśmy gwarą, naśladowując naszych rodziców i dziadków, a w przedszkolu, a potem w szkole używaliśmy języka literackiego; niestety, dość ubogiego. Mieszkańcy mojej wioski posługiwali się bardzo oryginalną gwarą, tą – jak mówił poeta – „mową dziada, pradziada, co szmerliwa jak trawa”, przekazywaną ustnie z pokolenia

na pokolenie. Jedną z najbardziej charakterystycznych jej znamion było tzw. „mazurzenie”. Ta cecha nadała przydomek dawnym mieszkańcom naszych terenów – „Mazury”.

Dziewiętnastowieczny pisarz z Tarnowa Adam Gorczyński pisze: „W ziemi pilźnieńskiej [...] leżała włość Pakosza, starego pana Stolnika siedziba, rodu jego stare gniazdo. Pakosza [Parkosz], Mazurów osada, rozłożona na pagórze, stacza swe zagony na dolinę rzeki; w tym miejscu Wisłoka z objęcia gór wychodząc, szerokim zatacza się kołem”³⁵.

A przypis do tej informacji brzmi: „Mazury – ze względu na mazurzenie tak nazywano mieszkańców między Rzeszowem a Krakowem”³⁶.

Echa używania tej nazwy słyhać m.in. w popularnej piosence ludowej śpiewanej w naszej okolicy: „Hej, z góry, z góry jadą Mazury. Jedzie Mazureczek, wiezie mi wianeczek rozmarynowy”.

Romantyczny pisarz Zygmunt Kaczkowski pisze o Mazurach z przekąsem:

„Ho, ho! Panie bracie! Cale to inny naród te Mazury; napatrzysz się ich dosyć i w Pilźnie, i w Tarnowie, bo oni tam siedzą i piwo smalą przemyskie albo aż nawet wareckie. Cale to inny naród jak nasi. Mazur się ślepo rodzi i aż dopiero trzeciego tygodnia trochę słońca dojrzewa. Mazur każdy mały i nabity jak pień, jada jaglaną kaszę ze śliwkami i jajecznicę z kiełbasą, wąsiska ma duże jak sum, a w piwie tak wymoczone, że o pół mili cuchnie jak browar. Każdy leniwy do roboty i ciężki jak wół, że kiedy by cię na nogę nadeptał, to zaraz odpadnie. Leżą też sobie na piochach i wygrzewają się do słoń, bo słońce to u nich słoń się nazywa. Na Mazura kiedy by bieda przyszła i zaczęła go jeść od palców, to by go mogła zjeść aż do karku, on by się ani ruszył; głowy mu żadna bieda nie uje, bo twarda. W boju żadnej odwagi nie mają, aż kiedy byś którego uderzył, dopiero ci jak gad skoczy, a wtedy choćbyś go pociął na kawałki, to jeszcze każdym kawałkiem ruszać się będzie aż do zachodu słońca. Biją się zawzięcie, ale tylko ze złości. Nabożni są, którzy się w katolickiej wierze chowają, ale siła jest heretyków pomiędzy nimi, a nawet są lutry i kalwiny. Mowa ich inna jak nasza, a nawet niełatwo ich wyrozumieć: bo oni kiedy z góry jadą, to mówią: pod górę, a kiedy droga jest pochyła, to u nich: z pośluza. Kiedy który rękę za pas włożył, to mówi, że wraził, a koń to u nich psina, a drób domowy to gad. Polowania u nich nie ma, a lis, co się tam liszka nazywa, to już drapieżny zwierz; ale za to tchórzów u nich bez końca, a z kunami sypiają, i to także gad u nich”³⁷.

Niezbyt pochlebna to charakterystyka Mazurów, pewnie stronnicza i nie całkiem sprawiedliwa. Ale podobno „w każdy boje jest trochę prowdy”. A prawdą jest na pewno to, że bobrowski język był barwny, oryginalny, dobitny, klarowny, jędrny, soczysty, zmysłowy, pełen napięć, ciekawych i zaskakujących określeń; często ostrych jak brzytwa i celnych jak snajperska kula. Wyróżniał mieszkańców wioski mojego dzieciństwa od sąsiadów z Nagoszyna, Brzeźnicy

czy innych okolicznych wsi. Poprzez swoją dosadność, zadziorność, krwistość, fantazję oddawał charakter posługujących się nim ludzi; był bogatszy niż ten literacki – rodził się i zmieniał przez pokolenia w codziennym trudzie, w doświadczeniach – zarówno tragicznych, jak i radosnych; stąd wiele tu określeń twardych, jednoznacznie wartościujących, nawet okrutnych czy ordynarnych. Ale dzięki tym cechom pozwalał barwnie i trafnie wyrazić słowami całe bogactwo świata, zadziwiając precyzyjnie określać charaktery osób, ich zachowań, uczuć i czynności, swojsko nazywać cechy przedmiotów, elementy przyrody, różne zjawiska i stosunki międzyludzkie.

Niestety, w powojennej szkole traktowano gwarę jako gorszy rodzaj języka, krytykowano ją i wyśmiewano. Zabraniano używania jej na lekcjach i w rozmowach z kolegami. Wielu rodziców w trosce o wykształcenie dzieci godziło się na ten proceder, starało się też w domu używać języka literackiego, choć najstarsi mieszkańcy pozostali wierni mowie ojców; tym bardziej, że modny „język przemówień, język gazet i referatów był napęczniały od utartych zwrotów, niestrawny i nie nadawał się do przeżywania”³⁸.

Dlatego też niewiele słów i wyrażenń oficjalnej, socjalistycznej nowomowy zagościło w tym kolokwialnym języku na dobre [aktywista, kolektywizacja, kołchoźnik, propaganda, pegeeryzacja]. Oparty o wiekowe obserwacje, doświadczenia i przeżycia tradycyjny język mieszkańców wioski mojego dzieciństwa czerpał różne elementy, zarówno z języka literackiego, z mowy potocznej regionu, jak i z zapożyczeń obcych; zwłaszcza niemieckich i rosyjskich. Zapozyczenia z tych języków pojawiały się na skutek różnych kontaktów międzyludzkich, zwłaszcza w czasie wojen, gdy mieszały się jak w tyglu narody i ich mowa.

Z języka niemieckiego przejęliśmy np. wiele nazw narzędzi i urządzeń, a także innych słów; np. bajzel, bety, bumelant, cyferblat, durszlak [druślok], dupersztyk, fajrant [fajerant], furman [furmon], geszeft, git, hebel [hybel], halsztuk, majzel, miszung, prependyk, raszpla, szajba [siajba], szajs, szlafrok [ślafrok], szuter [siuter], szuwaks, sztreka [śtreka], szwankować, szwarcować, szwargotać, szwindel, wasserwaga [waserwoga], wihajster, winkiel.

Z rosyjskiego przyswoiliśmy sobie np. słowa: baciarka, bradziarzyć, chadziaj, charoszo, ciurma, dziengi, gieroj, kałmuk, niemnożko, siudać, smotrać, swołocz, stakan, ślozy, ustrojstwo, wsjo rawno, w try miga. Zdarzały się też – choć bardzo rzadko – zapożyczenia francuskie: abażur, burdel [nieporządek], szpachla, żorzeta, czy nawet tureckie: bułanek, kalyta, kapciuch, karakon, meszty, hajda. Natomiast prawie nie używano słów pochodzących z języka angielskiego, tak dziś popularnych.

Pojawiały się natomiast w naszym języku określenia żydowskie: chałat, ickel [słabe światło], icki [kosmyki], kacap, maca, mosiek, mycka, pejsy, pacht, a także elementy języka ukraińskiego, zwłaszcza zaczerpnięte z lwowskiego

tzw. „bałaku”: bajerować, bandzioch, bimbać, brykać, buchnać, chara, chojrak [chojrok], dyndać, filować, heca, hołota, kimać, kociuba, kumać, motać, rychtować, rypać, skut, szlug, szpanować, szwendać, taskać, trefny, rezać, wcinać.

Znajdziemy w bobrowskim języku elementy pochodzące z gwary sąsiednich wiosek, np. z Nagoszyna wyróżniającego się niezwykle wymową wyrazów, wywodzącą się prawdopodobnie z kontaktów z osiadłymi tu w średniowieczu Tatarami, są też pewne zapożyczenia z języka osiedleńców, którzy z różnych stron przybyli tu – szczególnie po parcelacji dworu – i osiedlili się na stałe w Bobrowej, a także słownictwo techniczne i zawodowe związane z postępowaniem na wsi, z przemianami w kraju, zdobywaniem wykształcenia i rewolucją techniczną po II wojnie światowej.

Niektóre słowa i wyrażenia – niezrozumiałe dla niewtajemniczonych, obcych – czynią język wioski mojego dzieciństwa suwerennym, bardzo autentycznym, oryginalnym, charakterystycznym tylko dla tego skrawka Polski. Bogactwo słownictwa, związków frazeologicznych, metaforyki zadziwia i aż prosi się o zarejestrowanie, „by czas nie zaćmił i niepamięć”.

Wszystkie elementy bobrowskiej gwary – wymieszane, podlegające ewolucji, przeinaczeniom i zmianom – stanowiły barwny konglomerat językowy; piękny, niezmiernie bogaty w nazywanie typów ludzkich, ich cech, zachowań, uczuć, a także nazw narzędzi, sprzętów, prac polowych i gospodarskich, czynności codziennych, obyczajów, ubiorów, potraw czy elementów przyrody.

Był to oczywiście język mówiony, kolokwialny, bardzo specyficzny, zanurzony w gwarze małopolskiej, której najistotniejszą chyba cechą było właśnie mazurzenie, czyli wymawianie głosek szumiących szczelinowych: ż, sz, cz jako syczących zębowych: s, z, c [żyto – zyto, poszedł – posed, czekać – cekać]. Ale w tej wymowie nie było w naszej gwarze konsekwencji. Mówiliśmy bez mazurzenia: żaba, zboże, żryć, szkoła, szumieć, ale mazurzyliśmy wypowiadając np. słowa: cekać, casem, koszycek, przeskoczyć.

Inną cechą było tzw. siakanie, czyli wymawianie głosek dźwiękowych jako miękkich [szklanka – sklonka, szpital – spitol, szprycha – sprycha]. Miękką samogłoskę „e” [-ie-] wymawiano jako „i” [dziewka – dziwka, śpiewka – śpiwka], a samogłoskę „a” – jako „o” [gadać – godać, czapka – copka, prawda – prowda, trawa – trowa]. Samogłoski „i”, „e” wymawiano też niekiedy jako twarde „y”: [lypa, lyść, rzyka, syr, mlyko]. W wygłosie nie wymawiano nosówek: „ę” i „ą” [idą – ido, robię – robie]. Natomiast wygłosową końcówkę – „ej” wymawiano jako „i” lub „y” [szybciej – szybci, takiej – taki, drugiej – drugi, dawniej – downi].

W ogóle – jak to bywa w języku mówionym – wymowa nie była staranna; niektóre głoski opuszczano lub przekręcano [kwardy, wszyskie, wosza, łostawić, jes, szed].

Nie starano się o pełne, piękne zdania. Mowa była emocjonalna, pełna wykrzykników, słów zabarwionych uczuciowo, dosadnych epitetów, powtó-

rzeń, chaotycznych wyrażen. Ale przecieŹ zawsze dopełniała taką komuni-kację językową – jakŹe waŹna – mowa ciała: gesty, mimika, przybierane pozy. RóŹnego rodzaju wtręty językowe, powtórzenia, wykrzykniki, zaburzony tok zdań, specjalna intonacja i swoiste akcenty – niestety – nie są moŹliwe do do-kładnego przekazania w języku pisanym.

Ciekawą cechą bobrowskiej gwary było np. to, Źe w nagłosie występo-wały tzw. protezy językowe [robak – chrobok, ojciec – łojciec, obiad – łobiod, oko – łoko, otworzyć – łotworzyć, obudzić – łobudzić, aŹ – jaŹ, ojej – łoje-jey, olaboga – łoloboga, ale – hale], lub tzw. wymowa hiperpoprawna [łopata – opata, łokieć – okieć]. W niektórych wyrazach występował tzw. przegłos, gdzie „o” wymawiano jako „e” [miotła – mietła, niosę – niese, biorę – biere]. Charakterystyczne było łączenie przysłówków i zaimków z przyrostkami: „-ik” i „-ok” [gdzieś – dziesik, ktoś – ktosik, któryś – któresik, tu – tutok, dziś – dzisiok]. Starsi mieszkańcy stosowali jeszcze dawniejsze formy zaimków [tu – hawok, hań, tam – hyjnok]. Często przed przymiotnikami dodawano przed-rostek „prze”, by podkreślić jakąś cechę [przepiekny, przedobry, przegrzec-ny], lub stosowano swoiste stopniowanie [dobreńki, cyściuchny]. RównieŹ charakterystyczne było stosowanie wymiennie przyimków „bez” i „przez”. Mówiono, Źe ktoś chodzi „przez” czapki, a coś wydarzyło się „bez to, Źe”... Po-wodowało to czasem zupełną zmianę sensu danej wypowiedzi. Na przykła-d w jednej z Maryjnych pieśni zamiast „Bez Ciebie jest ciągle źle”, niektórzy śpiewali „Przez Ciebie jest ciągle źle”.

Ale najciekawsze było to, Źe gwara mieszkańców wioski mojego dzieciń-stwa miała swoje osobliwe, „przeciekawe” powiedzonka i barwną frazeolo-gię. Niekiedy na jedno określenie w języku literackim istniało w tej gwarze kilka: charakterystycznych, barwnych, celnych, oryginalnych, dosadnych, czasem nawet na granicy wulgaryzmów.

Język ten chłonał teŹ liczne przysłowia i powiedzonka, które przeszły do obiegowego języka z języka ogólnopolskiego. Najczęstsze z nich to przysłowia kalendarzowe. Te majowe to np. „Święta Zofija kłosy rozwija”, „Święty Stanisław kusecko wystaw” czy „Pankracy, Serwacy, Bonifacy źli na ogrody chłopacy”.

Narzędzia, budynki, wyposaŹenie, czynności gospodarskie miały swe specyficzne nazwy. Gospodarz, zapręgając wóz, stosował charakterystycz-ne określenia dotyczące róŹnych elementów zaprzęgu: łorcyk, wertluch, podkulek, kłonica, dyszel czy róŹnego rodzaju nazwy nadwozi, oczywiście drewnianych. A wiec wasząek to był wóz z drewnianymi bokami ułożony-mi na „podenkach” i spiętymi łańcuchami, z ławką z deski dla powoŹącego i „kielniom” z tyłu, lytry miały boki w formie drabiny i były używane np. do przewoŹenia snopków, a półkoszek – upleciony był z wikliny. Idąc do stodoły, gospodarz miał przed oczami bojsko, sąsieki, bonta, kalenice, a przychodząc do izby: ślubanek, nakaslyk, psyche, taborek, brandure czy zopiecek.

Nie sposób tu wyliczyć wszystkich używanych w wiosce mojego dzieciństwa charakterystycznych słów i zwrotów, ale warto ich jak najwięcej ocalić, bo wiele z nich na zawsze odchodzi w niepamięć, a jest przecież nieocenionym bogactwem przekazanym nam jako duchowe dziedzictwo przodków.

Mnóstwo rzeczowników w bobrowskiej gwarze określało cechy ludzi, przede wszystkim podkreślając ich charakter i wady. Bardzo duża ilość tych wartościujących rzeczowników dotyczyła kobiet:

Leniwe, niechlujne, ociężałe lub zbyt frywolne, przebiegłe czy nierozgarnięte, pyskate czy mrukliwe – każda określana była wieloma, jakże barwnymi epitetami! Oto niektóre z nich: bździaćka, cerepa, chadra, chichotka, chudзина, ciapa, ciekacka, cielycha, ciemiega, cholera, ciućma, ciućmok, cochra, cudok, ćmonda, dziopa, dziwoszka, dziwa, dziwka, dziwok, fajfura, fludra, gik, glyzda, gupiok, graca, harownica, hulacka, kopa, koraga, koromesło, krowa, landara, latawica, latopirz, lebiega, łomycek, makolągwa, mamuna, mękol, niemok, niemota, podfruwajka, pojazda, pokraka, pomietło, popychadło, poturadło, prukwa, pukwa, rajfura, rampampuła, raszpla, rochła, rozgraka, rozdrapa, rzegotka, srajda, staro łupa, santrapa, siksa, skomarga, skowyra, suchara, suchlyta, świnią, tobuł, torba, wodziorka, wręga, wuka, zabawnica, żegotka.

Również dla mężczyzn było wiele oryginalnych określeń: baciara, baron, bećwon, bejok, bitnik, buc, bucyfoł, byk, cap, ciućmok, ciura, chamidło, chojrok, cholernik, chyrlok, ciemniok, ciudrok, ciura, cymboł, ćmion, ćmok, ćwok, dupek, dychusz, dziadyga, dziwok, fafur, farydzeusz, fesiok, fifok, francok, gołębiorz, gówniorz, gnojek, grandziorz, guchelec, gupek, gupiok, harownik, jancykrys [antychryst?], judosz, kałmuk, kościorz, kurdupel, kuternoga, latopirz, lofer, łachudra, łajza, łazęga, łoberdziod, łobździdrag, łoklętnik, łomycek, łopaciorz, łoter, łosioł, łysol, mamlok, menda, mękol, miglanc, mizerota, murga, najduch, nadrach, nożownik, nygus, palamenter, patałach, pieron, pijok, pomietło, poszczeleniec, poturadło, pryk, przygupek, przyżynek, rak, rakarz, siandar, siubaryk, siudyk, siurek, skórnik, smark, smurcek, spaślok, szczył, skut, szumowina, szuwoła, ślepuga, śmierdziel, śmirus, śpik, śturmok, świdrygoł, świszczypoła, talyjon, todrys, tumok, turoń, wampirz, waryjot, wsiok, wycirus, wystyrkus, zbereźnik, zmortwieniec, żeleźniocek, żłób.

Oczywiście, wiele z tych wyrazów mogło być określeniami zarówno kobiet, jak i mężczyzn.

Było też wiele ciekawych przymiotników określających różne cechy ludzi, czy przedmiotów: brzuchaty, chrościaty, cycaty, drujki, gracmaty, gramotny, kaprawy, komyśny, kosiaty, kostropaty, łokalony, niegramotny, nieużyty, parchaty, plaskaty, rapciaty, robotny, rozkrochmalony, skołtoniony, skurdawiały, smyśny, splaszczony, szotorny, szykowny, śwarny, świdrowaty, umordowany, upačkany, walny, wypindżony, wyrywny, zakłaknięty, zapaszczany, zazuwny, zapyziały, zmietolony, żyrny.

Barwne były też czasowniki: badziewić, bachutać, bocyć się, bojcyć, bradziarzyć, buceć, bułyć, burchać się, ciałkać, ciałkotać, ciapać, cieknać, ciempić, ciepnać, cepirzyć, chłać, chlapać jęzorem, chybać, chymrać, cikać, cycać, cyckać, cyganić, cylnąć, cympieć, cyrkłować, cywać, cukać się, ćkać, doskwirzyć, dyrdać, podyrdywać, duldać, dziamolić, dziamotać, dziubdziać, fiurgać, frygać, futrować, glymać, gmyrać, godać, gramolić się, grandzić, gzić się, hajcować, harować się [drapać się, ale też kaszleć], hornosać się, iść na udry, jojceć, karwencyć, kapnać się, kimać, kokosić się, kołowacieć, kuśkać, lobidzić, lotać, lukać, lygać, łabudzić, łechtać, łobstać [objąć], łobzirać się, łociapać się, łobstorcować, łochajtnąć się, łochlać się, łochendorzyć, łochynąć się, łodchrzanić się, łodzipnąć, łofluchać, łogarnąć się, łokalić, łokidać, łokutać, łomyckować, łoszargać, maćkać, mamlać, mamlać, mamrać, mamzić, marcować się, maźgać się, merezić, mękolić, misić, napęchrać się, naraić, paćkać, pelentać się, pockać, poturać, pozirać, przefastrygować się [pofatygować się, przejść], przetwirać się, przyfanzolić, przyfilować, przykaraulyć, przykrzyć się, przyświadcać, pucować [mocno lać], pultać się, pyrkać, pyrkotać, pytłować, rajcować, repecić, ropotać, rozbebeszyć, rozbuchać, rozkielotać, rozkrzekotać, rozpirzyć, roztrebuszyć, rozwoltać, rychtować, rypnąć, rzegotać, sfolżeć, sibować, siepać się, silabizować, sipieć, siudać, siurgać, skapcanieć, skapieć, skapnąć się, sklamrzyć, skłapnąć, skomlić, skwirceć, smurceć, smyrgać, snukać, spinać się [mobilizować się], strugać, swarzyć się, szpyrłać, szygać, ściubić, ślenceć, ślymardzić się, śniodać, śturać, świrzbić, tolać się, tondrać, tyrpać, ubabrać się, uciaćkać, ućmić, uflogać, ufluchać się, ukućkać [byle jak rozmieszać], ukuśkać [niezdarnie uciąć], ulymanić, upaćkać, uszwatłać się, uświnić, uświrknąć, użreć, wadzić się, wałnąć się [położyć się], wojarzyć, wonitować, wrazić, wskurać, wścikać się, wtranżolać, wyciepać, wycyganić, wydolić, wykopyrtnąć się, wylotać, wyrceć, wyrnąć, wysiudać, wyszczelić [wyrzucić], wytarabanić się, wzuć, zachamęcić, zaguźlać, zaharatać się [przeziębici], zaiwaniać, zalycać, zastempować [przeszkadzać], zemlić na muto, zepchnąć [zrobić], zezuć, zmachać się, ździwiać.

Ciekawe były określenia dotyczące budowy i funkcji życiowych człowieka, określające elementy ubioru, uczesania, toalety, a także nazywające różne elementy przyrody i otaczającego świata.

Oto kilka takich określeń dotyczących budowy i funkcji biologicznych człowieka, wyglądu, zachowań, uczuć:

baład, bandzioch, bebechy, bolok, chrosty, cuj, fafuły, gałązki [chude ręce], gicoły, giry, girce, glaca, gordzil, grace, grabie, jadacka, japa, kalapata, kielce, kinol, kłapacka, kolańca, kołton, krzywulce, ksiuty, kulasy, łapy, łysy, morda, niuch [pysk], nochol, nos pyrkaty, parchy, pazory, podołek, podśmiejchujki, prosiątka [łydki], raban, rapy, ryj, sirdy, spacniok, ślozy, štama, wamtuch, wanc, wciry, zachciwajki, zakuto poła, zojady, ziobra.

Nazwy określające status danej osoby i powiązania rodzinne: gdowa, dziwka, krzesnomatka, kum, kumoter, stryk, stryjanka, swat, wujanka, swok.

Właśnie swokiem nazywał spotkanego krewnego Mikołajkowy bohater – Lin: „Był to mąż jednej z siostr matki; ten stopień pokrewieństwa tak tu nazywano”³⁹.

Określenia dotyczące ubrań, uczesania, toalety, pościeli to np: barachło, bety, buciory, biustnik, dybetówka, farfocle, gacie, gazówka, gdynki, granica [przedziałek], gretka, guzołek, haltery, jupa, kalyta, kandachary, katana, kołton, kormon, korypce, krawatka, lejba, lyce, lystwa, łabaje, łachy, łoberok, łoblodro, łobrombek, łondulacja, łonucki, łopanki, łoszywka, podbródek [śliniaczek], spodnica, sweder, szarguty, wszorz, zopaska.

Określenia nazywające elementy przyrody, pogodę, różne cechy, zjawiska, m.in. zjawiska atmosferyczne: barany [jeżyny], bojurka, bulowaty bez, burchać sie, chabazie, chojara, ćmok, fortazja, giergonia, giętka, harbędzie, kolok, korcipka, korgol, krzykopa, lygawa, łopendy, łoranka, margorzatki, muszkatla, pacyna, paryje, pempce, pizdryk, plyzga, pucuwa, pomietło, rombarbar, saszy-na, skrabidupa, szkała, szczyrwiołki, ścirnia, śląkwa, tornie, wakacja.

Określenia dotyczące potraw, spożywania posiłków, przyjęć: biba, blynki, chlabotka, ciutka, czostek, drujkie, gorzkołyna, kabanina, kapecka, kwaselyna, kwasior, lyść bobkowy, łotopa, marmulada, maśłychy, pacafoty, pam-puchy, pamuła, paciara, piecoki, popijawa, prozioki, psiuby, pypki, skośnioki, śpiytus, zioberka.

Określenia dotyczące świata zwierząt: cielycha, cielysia, ciesia, chrobok, gadzina, kiernoz, łocielonka, pilusie, głowoc.

Określenia dotyczące pracy, narzędzi, sprzętów domowych i gospodarskich, zabawek:

baniok, bełtacka, blaszka [brytfanka], blaszoczek, cebrzyk, chochelka, cu-melek, cyganek, cyrpok, cyzoryk, druślok, dyle, esiok, gorcek, grafka, grotki, haladryja, harówa, klytka, kierot, kiery, knypel, kolybka, kolcenta, krwawica, kuśka, kwaterka, kuśmider, loga, luśnia [strzelba], lyce, lytry, łopołka, łorcyk, łorka [ciężka praca], łosołka, mamuna, mordęga, nakaslyk, pacocha, patelka, pizdryk, pociosek, podkulek, podsiebitka, psycha, puzdro, raban, ropot, rupieć, rzeszutko, skopiec, stragorz, stempor, strulki, szarwak, ślubanek, sipa, ścirnia, ślychta, śpilor, śtych, tasok, tolok, taborek, urynołek, warzocha, woszta, żyrдка, żeleźniocek.

Powiedzenia mające charakter dosadnych porównań czy barwnych metafor; często zaczerpnięte ze świata zwierząt i związane z codziennym życiem: gęgo jak gęś, gupi jak cap, godo na morgi, po wsiosku, do imentu, w dyrdy, mieć świrki w łocach, wywalić kogosi za łoszywe, dać komuś wyćwike, chodzić na przyboś, bulyc jak za zboże, chustka do góry śmichem, założyć nogi w klepieńdzie, dać w cuj, rozdziawić jape, wyczaskać po niuchu, ni

tyle ni łowyle, dyszcz sipi, śnig waly, na sermater, bez powołke, na łoplatke, ale mycyje!, niech ręka Bosko broni, łeb jak ćwierć, śpi jak zabity, mlasko jak świnią, łązi jak ciemięga, cygani jaż się kurzy, żre jaż się mu uszy trzęso, kuly siebie, wziąś ciupasem, plecie, co mu ślyna na język przyniesie, godo na morgi, szczyrzy zęby, suszy zęby, mo łapy jak podolski złodziej, tuce się jak Marek po piekle, wystrojuł się jak siwy do Rzymu, łobrucic na co dzień, chytać dwie sroki za łogon, kokosić sie na taborku, baranio głowa, uparty jak łosioł, szyja jak u gąsiora, ni pies ni wydra, nakryć się nogamy, jak psu z garła wydar, ki diobeł, za hunur, krótko o węzłowato, gapi się jak sroka w koś, gapi się jak wół na malowane wrota, nie pamięto wół jak cielęciem buł, psio pogoda, is na ukoske, na grande, na rackach, mieć godane, łobiecywać gruszki na wirzbie, nie w kasze dmuchoł, łopowiadać cuda-niewida, łońskiego roku, pocałować klamke, wycyniać brewerie, wycyganić cosik, trzymać sie spodnicy, zemlyć na muto, is na udry, mieć śwircki w łocach”.

W bobrowskiej gwarze zdarzały się formy dawnej liczby podwójnej [zróbwa, złoźwa], formy rodzaju żeńskiego dla rzeczowników męskich lub odwrotnie [beretka, krawatka, lytra, rowa, kontrol, pomarańcz], a także całe bogactwo wariantów różnych form gramatycznych np. zawdy [zawsze], zarutko [zaraz], łocwi [łatwiej], terozem [ja teraz], jozem poszed [ja poszedłem], co-bych [co bym, żebym], ucigem [uciekłem], nazod [z powrotem], nie dziwota [nie dziwne], ajno? [na pewno?], ne [weź], ciekniej ino chodem [biegnij tylko szybko], na ręcach [na rękach], tych dziecek [tych dzieci], pockać [poczekać], łostałech [zostałem], wzionem [wziąłem], weźnie [weźmie], siodem se, jozem se siod [ja siadłem], nałomyśnie [naumyślnie], ale wielgi! [ale wielki].

Często stosowano też różne zdrobnienia w formie spieszczeń [dziweczka, chłopoczek, kawalyrek, łomycek, koniś, pilusie, bluzecka, sukiennecka], a także mające wydźwięk ironiczny: [udaje dziwoszke, paniusia], wyrażające współczucie: [dziopa, psina, chudzina], określające właściwość danej rzeczy: [chuścina, sukienecyna], czy wyrazy naśladujące język dziecięcy: ajci [spacer], papu [jedzenie], nynać [spać], husiać [huścić], ciucia [pies], ciesia [koń], cipusie [kurczątko], ciemek [buziak]. Popularne były również zgrubienia podkreślające negatywny stosunek mówiącego do danej osoby czy zjawiska: dziwocha, pijocyna, loga, gira, rapa, łeb, kolaniska, kolańca, morda, cuj, kinol, polyki, chlać.

Tak to – barwnie, oryginalnie, zawsze jednoznacznie, zdecydowanie, dosadnie, a czasem nawet okrutnie, ale przecież cudnie! – nazywane było wszystko, co wiązało się z życiem mieszkańców wioski mojego dzieciństwa. Nieobce w tym swoistym języku były też różne przekleństwa wyrażające emocje mówiących.

Bohater „Tryptyku na śniegu” wstydzi się, że będąc w malignie – więc nie kontrolując tego, co mówił – zapewne używał niecenzuralnych wyrazów. „Byłem przecież wychowany w środowisku, gdzie język nie był zbyt liryczny”⁴⁰.

Niestety, ponieważ gwara była traktowana jako gorsza odmiana polszczyzny, lekceważona, wyśmiewana, nawet napiętnowana, posługiwaliśmy się nią tylko w rozmowach prywatnych: w domu czy podczas zabaw z rówieśnikami. W szkole, w sklepie, w urzędzie stosowaliśmy język oficjalny, czyli ogólnopolski język literacki. Ta druga odmiana polszczyzny sprawiała często duże problemy; była dla nas trudniejsza, uboższa, obca. Często na lekcji wyrywało nam się jakieś gwarowe słówko – najczęściej natychmiast wyławiane i krytykowane przez nauczycieli.

Nowe pokolenia, od dzieciństwa przekonane o wyższości języka literackiego, gardziły dawnymi zwrotami gwarowymi i specyficznymi powiedzonkami, które odchodziły w niepamięć. Warto jednak tę dawną gwarę odtwarzać i pielęgnować jako jeden ze skarbów kultury duchowej mieszkańców wsi.

Również warto ocalić rdzenne nazwiska bobrowian, gdyż dzisiejsze mieszanie się ludności prowadzi do zapomnienia lub wygaśnięcia wielu z nich np. gdy nie ma w rodzinie męskiego potomka dziedziczącego ojcowskie nazwisko. A wiele jest naprawdę bardzo starych i ciekawych.

W zachowanych „Rotach przysięgi Gromadzkich Wójtów” pochodzących z 1768 roku wpisanych do Urzędu Miejskiego Dębicy, którzy ślubowali władać sprawiedliwie, rzetelnie i lojalnie wobec zwierzchnictwa dziedzica Michała Radziwiła znaleźli się też bobrowianie: Stanisław Momela [dziś Momola] i Andrzej Mądro⁴¹.

Bobrowskie nazwiska były bardzo różnorodne. Wywodziły się zazwyczaj od określeń bliskich prostym ludziom i związanych z ich życiem; były to nazwiska odzwierzęce, określające uprawiane zawody czy cechy charakteru, części ciała, zainteresowania, elementy świata przyrody itp.

Odzwierzęce to: Baran, Gil, Kaczor, Kaczówka, Koza, Koziara, Miętus, Orłowski, Skowron, Szerszeń, Szczygieł, Sojka, Wilczyński, Zięba.

Nazwiska zaczerpnięte ze świata przyrody, historii, nazw geograficznych i elementów otaczającej rzeczywistości: Bugaj, Gałka, Grzyb, Iskra, Jaje, Jaszcz, Jeniec, Król, Kujawski, Lipa, Marzec, Mazur, Rusin, Skóra, Szelest, Zator, Zima, Żak.

Nazwiska będące określeniami zawodów, przedmiotów użytkowych, potraw: Cholewa, Jaszcz, Knot, Kołodziej, Książek, Kubek, Kucharski, Markiel, Sak, Szewc, Skrzypek, Szczudło, Świder, Węgrzyn.

Nazwiska wywodzące się od imion, części ciała i cech ludzkich: Adamowicz, Biduś, Bogdan, Ćwik, Grześ, Jakubiec, Jarosz, Kmiecik, Kochan, Kurczyk, Lamenta, Mądro, Mordyński, Partacz, Piecuch, Piszczek, Pyskaty, Skóra, Stefański, Zdeb, Ziobro.

Najwięcej nazwisk miało już zatarte pierwotne znaczenie. Niektóre z końcówką – „ski” mogły sugerować korzenie szlacheckie, jak np. Horodyński [znane były te nazwiska w starych rodzinach szlacheckich na Białostocczyźnie, na Śląsku i w okolicach Sandomierza], Borkowski, Kruszyński, Kucharski, Kuczkowski, Ostrowski, Stefański. Natomiast inne – najliczniejsze, najbardziej różnorodne – wskazują na pochodzenie typowo chłopskie: Bała, Bielawa, Bonarek, Ciecieręga, Ciukaj, Dadel, Derłęga, Dolczak, Dygdoń, Dziurgot, Fila, Gądek, Golemo, Górza, Jamróz, Janora, Kitrys, Kobos, Kolbusz, Kolis, Kondeja, Łączak, Maroń, Milas, Momola, Moraniec, Obas, Osak, Piękoś, Prucnal, Pruś, Sądej, Sidor, Słaba, Stalec, Szczedor, Trojan, Więch, Wiącek, Wolak, Wójcik, Zapart.

Oczywiście nazwiska wymawiano gwarowo: Adamowic, Bonorek, Dolcok, Herla, Jaros, Jonora, Kacówka, Kochon, Kocur, Kolys, Kołodziej, Kurcyk, Loncok, Lypa, Łobuz, Łorłowski, Łosok, Łostroski, Partac, Sondaj, Trojon czy Wolok.

Także charakterystyczne dla gwary były określenia żon i dzieci tworzone od tych nazwisk np. Bonorka, Bonorcyk, Bonorkowna, Dolcocka, Dolcocyk, Dolcokowna, Herlyno, Herlyk, Herlonka, Kmietka, Kmieciok, Kmiecionka, Lypino, Lypiok, Lypionka, Loncocka, Loncocyk, Loncokowna, czy Wolocka, Wolocyk, Woloconka. Tylko niektóre określenia żon były zgodne z ogólnopolską zasadą językową, ale i tu zakradały się gwarowe przekształcenia np. Adamowicka, Borkosko, Horodyńsko, Morańcowo, Szczygłowo,

Niewielu było w wiosce mojego dzieciństwa – a także w okolicy – potomków cudzoziemców, jak na przykład Szerauowie mieszkający w dworcu w Korzeniowie, którzy przybyli do Polski z Austrii w XIX wieku i spolszczyli swe nazwisko Scherautz. Obcojęzyczny rodowód mają nazwiska: Stubenvolowie, którzy nabyli w 1911 roku dwór w Straszęcinie, bobrowscy Bacherowie, Harlowie czy Sehnowie.

Bronisław Harla wspomina, że prawdopodobnie jakiś francuski żołnierz z armii Napoleona o nazwisku Charla [a może o imieniu Charles?], uciekając spod Moskwy – ranny i chory – dowłókł się do dworu w Rzemieniu i tam pozostał. Ożenił się i zamieszkał w Rzochowie koło Mielca, stając się protoplastą rodu Charlów. Jeden z Charlów – Jan, mieszkający w Kiełkowie, ożenił się z bobrowianką Anną Osak i w 1907 przeniósł się do wioski mojego dzieciństwa. Pisownię „Harla” wprowadził dopiero Bronisław, urodzony już w Bobrowej.

Bacherowie przybyli z Austrii w czasie ożywienia gospodarczego w zaborze austriackim w drugiej połowie XIX wieku, gdy wielu urzędników i rzemieślników osiedlało się w Galicji z nadzieją na pewną pracę i możliwość awansu społecznego, a Sehnowie – mający korzenie niemieckie, a pochodzący z Tuszowa pod Mielcem – osiedlili się w wiosce mojego dzieciństwa po parcelacji bobrowskiego dworu.

W opracowaniu „Dębica. Zarys dziejów miasta” czytamy, że wdowa po Janie Bacherze była bogatą mieszczką mającą 4 kamienice, a inni Bachero-
wie byli malarzami pokojowymi, wykonawcami szyldów i cenionymi stolar-
zami. Niestety, wojenne kataklizmy spowodowały zubożenie członków tych
rodzin. Jeden z nich mawiał: – Wojna zburzy kamienice, a ziemia się ostanie.
Dlatego sprzedał wszystko i zamieszkał w Bobrowej.

Często zamiast nazwisk używano barwnych przezwisk. Wywodziły się
z różnych zaobserwowanych cech danej osoby, jej zachowań, powiedzonek,
czasem jakiegoś incydentu, czy przekształcenia imienia. Prawie zawsze
przechodziły z ojca na syna i zazwyczaj już nikt nie pamiętał, skąd się wzięły.
Ponieważ na wsi na skutek wielodzietności i sąsiedzkich ożenków te same
nazwiska wciąż się powtarzały, używano właśnie tych barwnych, wyróżnia-
jących określeń: Bibek, Bioły, Chechłaś, Dęciuch, Fajecka, Felyn, Gik, Głobik,
Głowoc, Hanzycha, Jana, Jesioter, Kaprawy, Klabacha, Koniorz, Kopcik, Kota-
nia, Kucotek, Kulawiec, Kuternoga, Lychoń Mały, Łokulornik, Maruszka, Mi-
czurin, Moździoch, Ptoszek, Siwy, Soja, Świdrowaty, Wazonik, Worecek.

Jerzy Fąfara pisze ciekawie o funkcjonowaniu takich przezwisk na przy-
kładzie określenia „Głupek”. „Jak kto raz na wsi głupkiem zostanie, to już na
wieki. Bo i syna będą tak nazywali, i wnuka, że to ten od Głupka. Mimo że
głupi nie musiał być, ale jak go rozpoznać wśród innych. Po nazwisku nie za-
wsze można. Nazwisk tych samych we wsi wiele. Ale jak powiesz: no wiesz,
tego zza rzeki – Głupka. A, to wszystkim rozjaśniało się”⁴².

Bronisław Harla przypomina różne anegdoty z czasów swej młodości do-
tyczące właśnie przezwisk funkcjonujących w mojej wiosce. Jeden z mieszkań-
ców, który po powrocie z niewoli spotkał sąsiada Osaka nazywanego „Kopci-
kiem”, chcąc go godnie przywitać „powiedział do niego tak dostojnie: – Jak się
macie Kopcieju? [...] I tak zrobił sobie wroga. Podobnie było z księdzem. Gdy
chodził po kołodzie przyszedł do pewnego domu, w którym mieszkał Lipa, ale
przezywali go „Jesioter”. I ksiądz przywitał go: – Jak się macie Jesiotrze?

Zanim to się wyprostowało, to był we wsi ubaw nie z tej ziemi”⁴³.

W wiosce mojego dzieciństwa bardzo popularna była też anegdota o ko-
biecie z Korzeniowa idącej na jarmark. Zaczepiła jadącego wozem bobrow-
skiego gospodarza, chcąc przysiąc się na jego furę. Gramoląc się, postano-
wiła powiedzieć jakiś komplement, by mu się przypodobać:

– Panie Bibuś, ale pan ma pięknego konika! – zachwyciła się uprzejmie.

Bardzo się zdziwiła, kiedy ten wyrzucił ją z wozu i jeszcze pogroził ba-
tem. Nie wiedziała, że Bibek to nie było jego nazwisko, a przezwisko, którego
nie cierpiał. I nawet nie pomogło to śliczne spieszczenie.

Oprócz oryginalnych przezwisk w wiosce mojego dzieciństwa nadawa-
no też ciekawe, niekiedy niezwykle piękne imiona. Ich bogactwo i różnorod-
ność wynikały z fantazji, tradycji oraz z wielodzietności rodzin. Gdy rodziła

się kolejna pociecha – ósma, dziewiąta, dziesiąta – trudniej było o znalezienie dla niej imienia, bo te najpopularniejsze już były wykorzystane. Znana anegdota mówi o pewnym ojcu, któremu – gdy miał zdecydować o imieniu kolejnego potomka – zaproponowano skorzystanie z „Litani do Wszystkich Świętych”. Zajęty jakąś sprawą, zerknął tylko pobieżnie na pierwszą stronę litanii i zdecydował: – A niech będzie Kiryelejson.

Nadawane imiona były ważne, bo przecież już na zawsze łączyły się nierozdzielnie z człowiekiem, który je nosił. Najwięcej było tych pospolitych: Bolesław, Helena, Jan, Maria, Stanisław, Tadeusz, Władysław, Zofia. Chrzciło się bowiem często tak, jak ochrzcił sąsiad, krewni czy znajomi. Zdarzyło się nawet, że w jednej rodzinie w wiosce mojego dzieciństwa nadano bliźniakom imiona Stanisław i Stanisława, tak jak miał również na imię ich ojciec. Śmiano się, że gdy gospodyni wołała: „Stasiu”! – żądając pomocy, to nie było nikogo, a gdy do jedzenia – stawiali się we trójkę.

Było też wiele imion wyszukanych i przepięknych np. Adela, Albina, Anastazja, Aniela, Filomena, Klara, Leokadia, Natalia, Otylia, Regina, Wiktoria, Zyta, Hieronim, Izidor, Marcel, Tymoteusz.

Również zdrobnienia wielu imion, nadawanych dzieciom w wiosce mojego dzieciństwa brzmiały oryginalnie: Antośka, Tośka [Antonina], Brońcia [Bronisława], Celka [Cecylia], Ceśka, Cześka [Czesława], Filonka [Filomena], Fredzia, Fredka [Alfreda], Irusia [Irena], Jagośka, Jadźka [Jadwiga], Jańcia [Janina], Luśka [Halina], Klorka [Klara], Lodzia, Lodka [Leokadia], Madzia [Matylda], Milka, Milcia, Milena [Emilia], Michaśka [Michalina], Nastka [Anastazja], Salomea [Salka], Stefka [Stefania], Wala, Walerka [Waleria], Wiśka, Wikta, Wikcia [Wiktoria], Wenka, Wenia [Weronika], Milek [Emil], Felyn [Feliks], Gustek [August], Hirek, Hermin [Hieronim], Izek [Izydor], Kazek, Kaźmirz [Kazimierz], Lenek [Leonard], Lojzek [Alojzy], Manek [Marian], Pieter, [Piotr], Tynek [Tymoteusz], Walek [Walenty].

Te zdrobnienia najczęściej nie były spieszczzeniami, a raczej skrótowcami używanymi dla wygody. Niektóre były ciekawe i miłe, ale wiele było pospolitych, dużo brzydszych niż oryginalne brzmienie imienia. I chyba nie zdawano sobie sprawy, jak takie nadawanie pięknym niekiedy imionom nowego, bardzo pospolitego brzmienia umniejszało ich wagę, ich wartość i piękno. Bo przecież jakże piękniej i oryginalniej brzmi imię: Klara niż Klorka, Filomena niż Filonka czy Hieronim niż Hermin. Ale na to nie zwracano uwagi.

Często dzieci dziedziczyły imiona po przodkach czy po rodzicach chrzestnych. Napawało to dumą rodziców i krewnych, rodziło poczucie przynależności i pewność kontynuacji tradycji rodzinnej.

W „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas” czytamy np. że: „Imiona: Józef i Jan w rodzinie Kaniów [Mała Wola] nadawane były naprzemiennie przez

kolejne pokolenia”⁴⁴. Taki zwyczaj był pielęgnowany też w wielu bobrowskich rodzinach.

Niekiedy imienia „użyczał” jakiś wujek, „stryk”, kum, ciotka, „wujanka” czy „swok”, którzy dla rodziców malucha byli kimś szczególnie drogim czy ważnym.

W wiosce mojego dzieciństwa bardzo często nadawano imiona pochodzące od różnych świętych, którzy stawali się patronami mającymi sprawować duchową opiekę nad dzieckiem. Dbał o to ksiądz proboszcz Fijał, odrzucając przed chrztem te, które uznał za pogańskie, lub z innych powodów niewłaściwe. Zresztą nie ograniczało to zbyt rodziców, bo rejestr świętych był przecież bardzo obfity. Wierzono, że wybrany patron przekaże swe cechy imiennikowi: pobożność, szlachetność, pracowitość, upór w dążeniu do celu czy gotowość do poświęceń. Do swych patronów zwracano się o pomoc i opiekę w chwilach trudnych, w smutkach, w nieszczęściu i trwodze. A przecież mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa borykali się z wieloma trudnościami, przeżywali wiele dramatów i przeważnie cierpieli biedę więc okazji do modłów nigdy nie zabrakło.

Ale dumni bobrowianie nigdy nie popadali w rozpacz. Walczyli o swój byt z determinacją i wiarą. A ta wiara była bardzo potrzebna; na co dzień, ale zwłaszcza w czasie licznych wojen, czy powstań narodowowyzwoleńczych, w których uczestniczyli, tak jak i okoliczni mieszcianie i szlachta.

Z historycznych przekazów wiadomo, że np. w latach 1768-1772, tj. w okresie konfederacji barskiej stoczono w okolicy kilka potyczek z wojskami rosyjskimi. Powstańcy zgromadzeni w lasach Zwiernika organizowali napady na Rosjan m.in. we wsi Bielowy, na drodze z Dębicy do Pilzna i w samym mieście, a także na poddębickich Błoniach. Na owych Błoniach aż do naszych czasów widoczne były zarośnięte krzakami okopy z czasów walki z Moskalami, ale zrównały je spychacze podczas budowy Zakładu Wiertniczego.

Wielu wiejskich chłopów wraz z mieszczanami z powiatu dębickiego walczyło też w powstaniu kościuszkowskim, a także w powstaniu styczniowym. Czy byli wśród nich bobrowianie? Nie wiadomo. Wiadomo, że za Wisłę przeprawiali się młodzi mężczyźni z Galicji – także z Dębicy i okolicznych miejscowości – by wstąpić do oddziałów Kościuszki, a także, że z Dębicy wyruszył oddział powstańców styczniowych, który pod Szczucinem został rozбитý przez wojska rosyjskie. Wiadomo też, że w tym ostatnim romantycznym zrywie brali udział Reyowie: Mieczysław zwany „hrabią znad Wisłoki” i Mikołaj z Przyborowia. Na starym cmentarzu w Dębicy postawiono krzyż upamiętniający ofiary styczniowego powstania, a nieliczne echa tamtych tragicznych wydarzeń zachowały się w opowieściach o polnych, zapomnianych mogiłach rozsianych po okolicy i w piosenkach śpiewanych przez nasze bab-

cie i mamy. Jedna z nich opowiada o rozstaniu dziewczyny z chłopcem, który szedł walczyć właśnie w powstaniu:

„Pośród drzew gęstej altany swej kochance ścisnął dłoń
rycerz, co w krwawym powstaniu wkrótce osiąść miał swą broń.
Nocą, w ogrodzie milczenie, róży wonią pachniał świat
I słowika miłe pienie upiększa kochankom świat.
Lecz nie dla niej śpiew słowika, ani zapach bzu i róż,
Bo jej serce coś przenika, że się nie zobaczą już”.

Przeżywane od pokoleń tragiczne wydarzenia wykształciły w mieszkańcach wioski mojego dzieciństwa twardość charakterów, odporność na przeciwności losu, zdecydowanie w działaniu i upór w dążeniu do celu. Mimo wysmaganych wiatrami twarzy, żyłastych rąk i ubogich, czasem pocerowanych ubrań, nosili się dumnie, chodzili wyprostowani, odważnie pokonywali wszelkie przeciwności, mieli swój honor, swoje zdanie, którego potrafili bronić, chętnie zdobywali wiedzę o świecie, byli otwarci na nowości, chcieli być aktywnymi uczestnikami życia publicznego, a nie biernymi świadkami toczącej się historii. Wielu wśród nich było cichymi bohaterami, a wielu „tylko” uczciwymi, porządnymi ludźmi, których też warto pamiętać.

Bardzo barwną, charakterystyczną postacią był np. jeden z sąsiadów – Władysław cieszący się dużym mirem wśród mieszkańców. Był wielkim milczkiem o aparycji, manierach i ruchach arystokraty. Wysoki, kostyczny, zawsze trzymający się prosto, chętnie uczestniczył w spotkaniach sąsiedzkich, choć rzadko zabierał głos. Gdy jednak się odezwał – każde jego słowo było przemyślane i nabrzmiałe sensem. Jego niepokązna, ale rezolutna żona – którą bardzo szanował i kochał – po raz kolejny wyklócała się krzykliwie z sąsiadką zza płotu. W pewnej chwili ów sąsiad wyszedł flegmatycznie z domu i powoli, donośnym, ale spokojnym głosem powiedział:

– Kasiu, nie kłóć się. Powiedz jej dwa mądre słowa: do widzenia dupo i chodź do izby.

Po czym odwrócił się z dumnie podniesioną głową i majestatycznie zamknął za sobą drzwi. Tego milczka i kpiarza wspomina Bronisław Harla, opisując dzieje jednej z bobrowianek, która trzy razy wychodziła za mąż. Pierwszy mąż zginął w kopalni w Ameryce, drugi poległ podczas oblężenia Przemyśla, walcząc w armii Franciszka Józefa, a z trzecim postanowiła się rozwieść. Gdy sąd ogłosił separację małżonków od stołu i łoża, nie bardzo rozumieli, co to ma oznaczać. Więc ów bobrowianin, który skojarzył słowo „separacja” z suplikacjami śpiewanymi w kościele, poszedł do owego milczka i kpiarza po radę:

– Władziu, powiedz mi, co to jest ta suplikacja, bo myśmy w sądzie dostali jakąś suplikację.

Na to sąsiad:

– Mówię ci, Janie, że suplikacja to jeszcze nic, ale jak dostaniecie „magnifikat” to będzie koniec z wami”!⁴⁵.

Inny z sąsiadów – który również odznaczał się łagodnym usposobieniem, anielską cierpliwością i stoickim spokojem – gapiąc się w okno, milcząco wysłuchiwał monologu żony, która w niedzielny poranek, mając mniej zajęć – wykrzykiwała swe pretensje nagromadzone w ciągu tygodnia. W pewnym momencie, zauważywszy swego znajomego idącego gościńcem, otworzył na oścież okno i zawołał:

– Micho! chodź tu do nos, bo tu moja baba głosi kazanie, to nie bedziesz już musioł iść do kościoła.

Michał nie wahał się ani chwili. Pchnął furtkę i wparował do izby na odzież koledze. A ponieważ był powszechnie lubiany, sympatyczny i dowcipny, szybko jakimś miłym słowem udobruchał gospodynię i rozładował napiętą atmosferę. Zawsze w dobrym humorze, śmiał się głośno rechocąc i marszcząc przy tym czoło, a jego nieliczne, białe, cieniutkie włoski wyglądały jak delikatny gołębi puch.

Takich ciekawych typów było wśród mężczyzn i kobiet w wiosce mojego dzieciństwa bardzo dużo.

Stałym elementem wiejskiego folkloru były pyskówki sąsiadek. Często niósł się wśród opłotków babski jazgot, budząc żywe zainteresowanie sąsiadów i przechodniów. Kłótnie nie były niczym nadzwyczajnym; nikt się na takie zachowania nie oburzał. Wiadomo było, że kobiety wkrótce się pogodzą, by po pewnym czasie znów rozpocząć swoisty, ciekawy spektakl. Obserwatorzy gromadzący się na gościńcu z zainteresowaniem śledzili przechylające się przez płoty i wygrażające sobie nawzajem gospodynie. Byli jak kibice uczestniczący w pasjonującym meczu: głośno komentowali toczącą się kłótnię, zagrzewali do walki, dopingowali to jedną, to drugą sąsiadkę, zachęcali obie strony do większego zaangażowania. Takie publiczne pyskówki miały coś z teatru, z odwiecznego wiejskiego rytuału. Ubarwiały dość monotonne życie codzienne, dostarczały rozrywki, tematu do rozmów, plotek i żartów, kształtowały opinię publiczną.

Często powodem takiej kłótni były kury, które przecisnęły się przez dziurę w płocie i rozgrzebały sąsiadce grządki. Gospodynie, aż czerwone z emocji, nie kryły swych myśli i – zauważywszy zainteresowanie widzów – starały się przeciągnąć ich na swoją stronę:

– Ludzie, patrzcie, jak to sie rozindycuła! Bo ci żyłka pęknie staro cerepo i dopiro się twój ucieszy!

Oponentka nie była sąsiadce dłużna i również – ku uciesze gawiedzi – rzuciła kilka dosadnych, obraźliwych epitetów, nazywając sąsiadkę „gracmatom fludrom”, „landarom” i „klukwom z kosiatymy giramy”.

Spektakl trwał dość długą chwilę, aż widzowie – już zaspokoiwszy ciekawość – powoli zaczęli odchodzić do swych, nie cierpiących zwłoki spraw więc i zwaśnione kobiety wyczerpane krzykami, ale usatysfakcjonowane, a – przede wszystkim uciszane przez mężów – szły do swych domów. Zresztą gniew też szybko wyparowywał i wkrótce dochodziło do zgody, zwłaszcza w niedzielę, gdy szło się na Mszę czy na Nieszpory. Sąsiadki spotykały się na gościńcu i któraś z nich zaczynała nieśmiało rozmowę:

– Pochwalony...No, coś tako łobrażalsko? Chyba nie bedziesz się gniwać do końca życia. Chodźwa razem, będzie raźni.

– Jo? Jo już nie pamiętom, ło co tam poszło. Tak się cłowiek casem zezłości niepotrzebnie. No, chodźwa, chodźwa, bo już późno.

I już razem, zgodnie ruszały do kościoła.

A maj trwał, zieleniał i cieszył serca. Świat cały składał się z cudnych barw, radosnego świergotu ptaków i świeżych zapachów płynących znad łąk i pól. I już nadchodziło uroczę – tak bardzo pasujące do tego najpiękniejszego miesiąca – Święto Zesłania Ducha Świętego czyli Zielone Świątki.

Na ten dzień należało przyozdobić zagrody świeżą zielenią. Służyły do tego liście tataraku zwanego w wiosce mojego dzieciństwa „saszynom” i zielone gałązki drzew. Dzieciaki chętnie biegły nad stawy koło „Zenówki” pełne saszynowych kęp i – mocząc nogi grzęznące w nadbrzeżnym błocie – przynosiły do domu całe naręcza tych pachnących roślin. Pokryte zielonym kożuchem wodnej rzęsy, pełne tataraku i kwitnących żółto lilii wodnych stawy naprzeciw „Zenówki” były jakby wizytówką wioski mojego dzieciństwa. Bo przybywających do wsi witały właśnie – dawny budynek dworski i ów staw „zarastający przy brzegach sitowiem i tatarakiem – rzęsa ze wszystkich stron otaczała maleńki spłachetek czystej wody”⁴⁶.

Przed wojną – jak zapamiętał Aleksander Bacher:

„Woda była czysta. Pojono nią krowy,

Pławiono w niej konie, myto dzieciom głowy.

Na brzegu w szuwarach gnieździły się ptaki,

Na podmokłej łące, żaby i ślimaki”⁴⁷.

Na mokrych brzegach zakwitały błękitne niezapominajki, które „żabim patrzą oczkiem”, a których nazwa wywodzi się ponoć ze szkockiej legendy, którą opowiadała nam któraś z nauczycielek. Otóż jakiś rycerz spacerował ze swą wybranką po wilgotnej łące pełnej kwiecia. Chcąc nazrywać rosnących nieopodal kwiatuszków – niebieskich jak oczy dziewczyny – wchodził coraz dalej w zarośnięte trawami bagno. Nagle to bagno zaczęło go wciągać, a ciężka zbroja uniemożliwiała ocalenie. Wtedy złapał się kępy kwitnących niebiesko kwiatuszków i głośno wołał do przerażonej wybranki:

– Nie zapominaj, nie zapominaj!

I zaraz zamknęła się nad nim zdradziecka topiel. A od tego jego wołania wzięła się nazwa niezapominajek.

Wracaliśmy znad stawów przez wieś, dźwigając pachnące, zielone nąrcza. Zanim rozrzuciło się długie, szablowate liście „saszyny” po wyszorowanej do czysta podłodze i po wyzamiatanych starannie podwórku, wydobywało się najgłębiej ukryty, dopiero co wyrosły, krótki, prawie biały pęd tkwiący wewnątrz rośliny i zjadało: wonny, smakowity, świeży i wilgotny. Był to jeden z niezapomnianych smaków dzieciństwa, sprawdzany co roku i nigdy nie zawodzący.

Na ścianach domów przybijano gałęzie brzozy, olszyny lub lipy – pełne dojrzałej już, ale jeszcze intensywnie jasnej zieleni, bo w Zielone Świątki zawsze musiało być pogodnie, radośnie i wiosennie zielono. A potem śpiewaliśmy z zapalem w czasie kościelnych uroczystości:

„Upadnij na kolana ludu czią przejęty,

Uwielbiaj swego Pana:

Święty, Święty, Święty!”

Wracając przez pola do domów, mijaliśmy zagonki kwitnącego bobu. Dziwiliśmy się jego kwiatkom, które wyglądały jak delikatne, białe skrzydełka, na które nakropiono maleńkie, fioletowe plamki podobne do atramentowych kleksików, których pełno było w naszych zeszytach. A wieczorem przyglądaliśmy się popisom strażaków i zabawie tanecznej, którą organizowali corocznie w tym dniu.

Ale najbardziej oczekiwaliśmy drugiego dnia tych świąt, bo wtedy paliło się „sobótki”. Ten – jeszcze pogański zwyczaj – był w wiosce mojego dzieciństwa wciąż żywy. Jak głoszą stare podania, ponoć początkowo paliło się pochodnie w święto Kupały, a więc 24 czerwca – ku czci tego właśnie pogańskiego bożka, który miał zapewniać dobre plony podczas zbliżających się zniw. Biegano wtedy z płonącymi pochodniami i okadzano pola. Ponieważ niekiedy – zwłaszcza na piaszczystych glebach – zboża zaczynały już bieleć, dochodziło do zgubnych pożarów więc obrzędy przeniesiono na drugi dzień Zielonych Świąt, kiedy łany były jeszcze bezpiecznie zielone.

Słońce już dawno skryło się za horyzontem i tylko złocista poświata nad Olszynami znaczyła jego odejście, gdy między rozkołysanymi zbożami zaczęły wykwiatać płonące pochodnie. Wkrótce było ich już bardzo dużo. I nawet gdy zapadła już całkowita ciemność i niebo robiło się ciemnogrnatowe, wciąż w polach „na pioskach”, a także na olszynowych wzgórzach koło domu Cyganów jaskrawo płonęły sobótki. Gdzieś zahukała sowa, nagle nad głowami przeleciał cicho nietoperz, a w bezwietrznym powietrzu płynęły zapachy palonych ognisk, które kończyły ten urokliwy wieczór.

Dzięki majowym deszczom i ciepłym powiewom coraz bujniej rosły zboża i trawy. Kobiety na klęczkach znów plewiły len i konopie, zagonki maku

i tycznego grochu, bobu, kapusty i buraków zarastające uciążliwym perzem, rdestem, skrzypem i innym zielskiem. Co kilka dni trzeba było wyrwać chwasty w ziemniakach, burakach, a nawet w pszenicy, gdy okazywało się, że zaczynały bujać w niej – kąkol i bławat.

Nie świętowano Dnia Matki, a kobiety nie myślały o odpoczynku. Nawet nie marzyły o delikatnych, wypielegnowanych kobiecych dłoniach czy o pomalowanych paznokciach. Spracowane matczyne ręce, które się całowało to był symbol i – smutna rzeczywistość tamtych czasów. W dziecięcym wierszyku ze szkolnej czytanki mama „ręce czarne ma do łokci, tak szoruje drewnianą podłogę. Czarne drzazgi tkwią koło paznokci”. Kochaliśmy te spracowane matczyne ręce, które podawały nam chleb, znały krzyżyk na naszych czołach, umiały odganiać smutki, koić bóle, dodawać odwagi. Gdy nie mogliśmy zasnąć, bo dręczyły nas jakieś dziecięce smuteczki, mamy uspokajały szepcząc: – Teraz śpij; „ranek jest mądrzejszy od wieczora”, więc na pewno coś poradzimy.

Pamiętaliśmy nauki usłyszane na kazaniu głoszonym przez proboszcza Fijała: „Szanując matki wasze, gromadzicie skarb na całe życie i na wieczność”. Wierzyliśmy w to mocno i ta wiara nadawała naszemu życiu wartość i sens.

W wiosce mojego dzieciństwa ceniono nie tylko ciężką pracę, ale też wartości niematerialne, które czyniły życie piękniejszym i bardziej wartościowym, a o których tak ładnie pisał poeta Konstanty Gałczyński: „Aby chleb leżał na stole, a pracom lampa świeciła”⁴⁸. Ta lampa to właśnie poetycki symbol wartości duchowych, które rozświetlają życie człowieka, nadają jego pracom głęboki sens i ponadczasowy wymiar. W tworzeniu takiej atmosfery, która sprzyjała rozwojowi intelektualnemu i uczuciowemu dzieci najważniejszą rolę odgrywały oczywiście matki, ale także i inne kobiety należące do rodziny: babcie, ciocie, siostrzyczki. Zawsze potrafiły sprawić, że życie wydawało się mądrzejsze, piękniejsze i lepsze.

Poetka Urszula Kozioł tak pisała o wiejskich kobietach: „Powolne, łagodne, jakimś gestem umiały przywracać ład, coś zabrać w ceber, coś wymieść miotłą związaną z brzoźowych gałązek [...], były niepowstrzymane w celebrowaniu obrządku życia wskrzeszanego każdym dniem od nowa i przekazywanym sobie z rąk do rąk [...]. Ich ręce rozczyniały chleb, czyniły jadło, odczyniały zło, wszczynały lament, czynne były stale i żmudnie [...], szorstka zgrzebność ich podołków pachniała mlekiem, które strzykało z krowich wymion i spryskiwało im skórę twarzy, wsiąkało w ich pot razem z zapachem ciepłego oddechu domowych zwierząt, mieszało się z mdlącą wonią nawozu, tej omasty ich ziemi [...]; pachniały słomą i ziarnem, które było darem tej dobrze omaszczonej ziemi i było nagrodą za trud, a także potrzebą [...]. I wsiąkał w nie zapach farbowanego wapna, którym bieleły drewniane, belkowane izby z ubogą skrzętnością, jakby łaknąć czegoś jasnego, czegoś, co by przeniosło bliżej oczu po-

godny kolor nieba oglądanego od świtu w polu, i pielęgnujące nie tylko ogień, ale i mirt zielony przy oknach i drobnolistne paprotki”⁴⁹.

Nasza mama nie była typową wiejską gospodynią i codzienne prace w gospodarstwie były dla niej przykrym obowiązkiem. Posiadała za to wiele talentów; pięknie haftowała, m.in. gorsety, wyczarowywała cudzińka na drutach, szyła jak zawodowa krawcowa, malowała artystyczne pisanki, dużo czytała, kochała śpiewać, tańczyć, oglądać filmy, modnie się ubierać, wprowadzać coraz to nowe zmiany w mieszkaniu, spotykać się ze znajomymi. Była zlepkiem przeciwieństw. W jej naturze mieszały się: delikatność i gwałtowność, wrażliwość i odporność na trudy życia, serdeczność i zdystansowanie. Nigdy nie pogodzona z istniejącą sytuacją, zawsze marzyła o życiu innym, lepszym, piękniejszym. Buntowała się przeciw sytuacji wiejskiej kobiety i uparcie dążyła do zamieszkania w mieście, mimo protestów ojca umiającego być szczęśliwym w każdej sytuacji.

A na łąkach bujała soczysta trawa. Na rowach i nieużytkach rozkwitały żółciutkie jaskry i wszędobylskie białe rumiany z pomarańczowymi oczkami, na ugorach plenił się rdest i dorodny szczaw, którego kwaśny sok wyssany z liści gasił nasze pragnienie i który zbierało się na pyszną, zieloną zupę. Na dorodny liść łopianu gramoliła się kolorowa, włochata gąsienica, zielony, duży pasikonik przyskał spod nóg i ginął w gęstwie zieleni, cichy poszum traw unosił się w powietrzu. Było pięknie, spokojnie i bezpiecznie.

Niestety, krowy paśliśmy nie na kipiących bujną zielenią łąkach, a najczęściej na wąskich drózkach wijących się wśród pól. Wymagało to nieustającej uwagi i pilnowania, by zamiast mizernej trawy nie łakomiły się na rosnące na sąsiedzkich zagonach dorodne zboże, ziemniaki czy inne uprawy. Oczywiście, bez przerwy coś zakazanego podjadały i trzeba było nieustannie z nimi walczyć. Silniejsze od nas, dzieci – wygrywały.

Pasienie krów to była naprawdę ciężka praca i zmora dzieciństwa. Silne i uparte, w gorące dni nieustannie oganiały się od natrętnych much, bąków i gzów, majtając ogonami i podrzucając łby, a niekiedy wyrzywały się i „gziły” biegając jak oszalałe i nie dając się poskromić. Czekano się więc z upragnieniem na zbliżające się południe lub zachód słońca – wyznaczające czas powrotu do domu.

Tak jak Mikołajkowy bohater Lin nie mieliśmy zegarków, więc ustalaliśmy godziny według położenia słońca:

„Będąc wiejskim malcem, tak bardzo czekał, aż własny cień zmniejszy wymiary do pięciu stóp – cieniem mierzył wtedy czas”⁵⁰. I gdy wreszcie słoneczna kula znalazła się tuż nad drzewami, złocąc łagodnym blaskiem ich korony i nastawała upragniona pora powrotu, drózkami z pól, a potem gościńcem ciągnęły pędzone przez dzieciaki stada. W upalne dni krowy wyrzywały się i biegly do rzeczki, by długo pić zimną wodę.

Mikołajek tak to zapamiętał: „Do rzeczki, przyspieszając kroku, zbliżały się krowy [...]. Pastuch przystanął na wysokim brzegu; krowy dotknęły pyskami wody, piły oganiając się od bąków; ślina lśniącymi nitkami zwisała im z nozdrzy; przewalając się z boku na bok ciężko ruszyły z powrotem”⁵¹.

Dopiero późną jesienią, po zbiorach, można było pozwolić krowom na większą swobodę.

Tylko niektórzy gospodarze poświęcali dla krów osobne pastwiska, gdzie bujała dorodna trawa, podsiana białą koniczyną zwaną „konicem”, który gęsto obsiadały brzuchate pszczoły.

Rodzice mieli w rędzinach rozległą łąkę, na którą wypędzaliśmy nasze „siwe wołki”. Było to miejsce prawie czarodziejskie – niestety – na zawsze już utracone. Rosło tam bowiem wiele ziół i roślin, które już są bardzo rzadkie i znajdują się pod ochroną. Na tej odurzającej zapachami łące – nazywanej prozaicznie ugorem – rósł np. osobliwy gatunek niziutkiej róży, niezwykle pięknie i intensywnie pachnącej. Nie sposób tego dokładnie wyrazić, bo jak opisać zapach? Biedzili się nad tym nawet wielcy poeci.

Julian Tuwim, chcąc oddać zapach rezedy tak pisał w „Kwiatach polskich”:

„A pachnie – właśnie? Jak opiszę,
Woń, którą kwiat swobodnie dysze?
Ile słów trzeba i łamańców?
Jaki zawiły wprzęgnąć muszę
Metafor i porównań łańcuch
Jak mózg utrudzę i wysuszę,
Zanim wykrętnie i wymyślnie
Pióro tę woń w wyrazy wciśnie
W słowa bezradne i bezsilne,
W fałszywe słowa i omyłne,
Co już, tuż – tuż, są niby blisko,
Już wlażyły w kwietny pył jak osa –
– I nic. A przytknąć kwiat do nosa,
Powąchać raz – i wie się wszystko”⁵².

Na koniec poeta skonstatował, że „rezeda pachnie jak rezeda”.

Jednak o tamtej róży nie można było powiedzieć, że pachniała jak róża, bo to był zapach naprawdę niespotykany, cudny, jedyny, niepowtarzalny i – na zawsze utracony.

Róża ta osobliwa miała krótką, ale mocną, grubą łodyżkę pokrytą drobnymi „kujkami” jak u kaktusa, ginącą wśród wysokich traw i ziół. Wyróżniały ją za to pięknie wybarwione, ciemnoróżowe kwiaty z żółtym proszkiem w środku, jak to u dzikich róż bywało; o delikatnych, dużych płatkach, wspinających do sypania podczas procesji. Niestety, gatunek ten dziś prawdopodobnie całkowicie już wyginął, niech więc przetrwa chociaż we wspomnieniach.

Na naszej łące rosły też wysokie, dumnie sterczące na swych łodygach, żółciutko kwitnące dziewanny, o których mówiono, że „Gdzie rośnie dziewanna, tam bez posagu panna”, bo pleniła się ta dorodna roślina na glebach ubogich, piaszczystych. Dziki koper – o którym wspomina Mikołajek – „wybuchał tu wysoko i chwiał na wietrze swe pierzaste białe baldaszki”⁵³. Rozpierały się tam też sztywne krzaki cykorii o delikatnych, niebieściutkich kwiatach, bylica zwana też piołunem; gorzka i specyficznie pachnąca, złocisty dziurawiec – „świętojańskie ziele” o kwiatach zebranych w szerokie baldachy; ponoć mających niezwykłą moc, szczególnie w tę jedyną, najkrótszą noc Świętego Jana. To właśnie to ziele – według ludowych legend – chroniło przed czartami, złymi czarami, a kobiety w ciąży przed „dziwożonami”, czyli złośliwymi demonami.

Na łąkach i ugorach rosły też różowe firletki, żółte jaskry, fioletowe dzwonki, bordowo kwitnące, drobniutkie goździki, olbrzymiolistne podbiały, wielkookie rumiany, jaskrawopomarańczowa ognicha, białobaldachowate krwawniki, splątane, delikatnie różowe powoje i setki innych kwiatów i ziół, których nazw nie znaleźliśmy, a które tworzyły wspaniały, barwny kobierzec; nie tylko pachnący, ale bardzo smakujący naszym krówkom.

W drobnej trawie, na brzegu odwadniającego kanału zwanego „psiąkałem”, w którym wiosną pływał żabi skrzek i nad którym zakwitały modre niezapominajki, dojrzewały w czerwcowym słońcu smakowite, czerwone poziomki o delikatnym smaku i intensywnym, słodkim zapachu; można też tam było znaleźć dorodne pieczarki.

Mikołajek w „Tryptyku na śniegu” pisze: „Widzę siebie i babkę, jak idziemy między ścianami zbóż. Obrzeża je błękit, widać w nim szare kamyczki skowronków. Na pastwisku chmiel i powój [...]; języki krów zagarniają trawę. Na skarpie potoczku rosną poziomki różowe i cierpkie. Babka zbiera pieczarki”⁵⁴.

Tam można było naprawdę wypoczywać: czytać książki, śpiewać, bo ponoć było wtedy lepiej skubało, palić ogniska, wykorzystując jako opał wyschnięte „krowie placki”, gapić się w bezmiar błękitu i marzyć, marzyć... I było tak, jak u Konopnickiej opisującej polskie zioła i polne kwiaty, która nazwała świat „Bożym zielnikiem”. Taki sielankowy obrazek z wioski mojego dzieciństwa, niestety, czarno-biały: z „łąką”, domem pod strzechą i uśmiechniętą śliczną bobrowianką „Jankom Lypionkom” utrwalony został na zdjęciu zamieszczonym w „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas”⁵⁵.

Niezwykłe ważnym majowym wydarzeniem w mojej wiosce była zawsze Pierwsza Komunia Święta. Nie poprzedzały jej jakieś specjalne nauki w kościele, choć przed spowiedzią zdawaliśmy przed księdzem egzamin ze znajomości katechizmu. Potrzebną wiedzę zdobywaliśmy na lekcjach religii i wkuwaliśmy na pamięć w domu. Zbliżająca się pierwszokomunijna uroczystość przysparzała nam wiele trosk. Baliśmy się spowiedzi świętej, którą straszył nas ksiądz Majchrowicz, a potem znów baliśmy się, że od czasu

spowiedzi coś nagrzeszemy i nie będziemy mogli uczestniczyć w tej wielkiej uroczystości. Atmosferę lęku stwarzali nie tylko księża, ale też rodzice, co chwilę przypominający o konieczności bezwzględnego posłuszeństwa i zachowywania się bez zarzutu, co nie było takie proste, bo wszystko, co się robiło, zdawało się być grzechem. Niepokoiło nas też to, że nie przełknimy białego opłatka. Nawet uczono nas, jak się zachować w takiej sytuacji, która – oczywiście – przydarzyła się jednej z dziewczynek. Na szczęście – spanikowanej – pomógł proboszcz Fijał, dając do popicia trochę wody w maleńkim, mszalnym dzbanuszk.

Baliśmy się, jak wytrzymamy bez jedzenia od wieczora poprzedniego dnia, bo tak nakazywał Post Eucharystyczny. Ale te dziecięce lęki zagłuszała radość z uczestniczenia w tak ważnym wydarzeniu; jak nas słusznie przekonywano – najpiękniejszym w życiu. Śpiewaliśmy z przejęciem i wiarą:

„O milcząca Hostio biała na kolanach wielbię Cię,
Tyś tak cicha, taka mała, a w Twym cieniu kryje się
Ten co rządzi całym światem, Bóg wszechmocny, Stwórca nasz,
Przed którego majestatem aniołowie kryją twarz”.

Na znak ministranckich dzwonek podchodziliśmy parami do masywnych, drewnianych, przykrytych bielutką, haftowaną serwetą balasek, które na czas Komunii Świętej zamykano, oddzielając tym sposobem prezbiterium od naw kościoła. Z przejęciem połykaliśmy biały, delikatny jak puch opłatek i modliliśmy się gorąco, czując, że uczestniczymy w jakimś niezwykłym misterium. I naprawdę wierzyliśmy, że ukryty w tym kruchym opłatku Jezus spogląda w głąb naszych serc, że przychodzi tam, by pozostać już na zawsze.

Cieszyły też przygotowania do tej uroczystości. Bieluteńkie sukieneczki – najczęściej półdługie z falbanką na dole, zawsze z długim rękawem i z dekoltem pod samą szyję – ozdabiały gałązeczki mirtu. Każda z dziewczynek miała włosy skręcone w rurki i wianek ze sztucznych białych kwiatków, ale ze świeżą, zieloną gałązką mirtu lub „szparagi”, a w ręce – niekiedy ozdobionej koronkową rękawiczką – „lilijkę świętego Józefa”. Natomiast buty – najczęściej sandaalki; rzadko białe i nowe – niekoniecznie były powodem chluby.

Chłopcy występowali w białych koszulach z kołnierzykiem wyłożonym na ciemne, najczęściej czarne ubranka, w których wyglądali jak „mali starzy”. Gdy spodnie mieli krótkie to zakładano im białe podkolanówki. Zamiast lilijek nieśli świece przybrane białymi kokardami z odrobiną mirtu.

Pierwszokomunijne sukieneczki szyto z sukien ślubnych, z jakiś przedwojennych firanek, czy „upolowanego” szczęśliwie w sklepie delikatnego materiału; często też pożyczano sukienkę od krewnych, przechowywano z najstarszej córki dla młodszych, a czasami „białe cudo” przepływało ocean w paczce z USA, by być powodem dumy i niedościgłym obiektem pożądania zazdrosnych koleżanek.

Po uroczystej, baaardzo długiej Mszy świętej robiono wszystkim „komunistom” zbiorowe pamiątkowe zdjęcie z proboszczem Fijałem i uczącym religii wikarym. Fotograf za dodatkową opłatą wykonywał również indywidualne fotografie poszczególnych dzieci. Liliжки, wianki, białe sukienki ozdobione zielonym mirtem, ubranka chłopców „paradujących” w białych podkolanówkach ze świecami w rękach, ozdobionymi białą kokardą zachowały się utrwalone na starych fotografiach prezentowanych w „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas”⁵⁶.

Na pamiątkę tego ważnego dnia otrzymywaliśmy święte obrazki do umieszczenia na ścianie, z podpisem przygotowującego nas do komunii świętej księdza Józefa Majchrowicza i małe, owalne medaliki z Matką Boską zawieszane na niebieskiej tasiemce zwanej „siutasiem”. Nosiliśmy te medaliki z wielką czcią przez całe dzieciństwo i młodość, wierząc w ich niezwykłą moc. Były ogromnie popularne w całej Europie od czasu, gdy w 1830 roku kazała je wykonać francuska szarytka święta Katarzyna Laboure, zgodnie z prośbą objawiającej się jej Maryi. Na jednej stronie widniał wizerunek Matki Boskiej stojącej na półkuli z wijącym się wężem, w długiej szacie, z rozłożonymi rękami. Promienie biegnące od licznych pierścieni na Jej palcach symbolizują bogactwo łask, które spływają na noszących ten medalik. Wokół widnieje napis: „Maryjo bez grzechu poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy”. Na drugiej stronie kilka symboli: litera M, krzyż, dwa serca i dwanaście gwiazd. Wiele osób z naszego pokolenia nosi te medaliki do dziś, choć nietrwałe niebieskie tasiemki zastąpiono już dawno srebrnymi łańcuszkami.

Po skończonej uroczystości zegnaliśmy się prędko i już biegliśmy na wy czekiwane uroczyste śniadanie, które odbywało się najczęściej na podwórzu przed plebanią, albo – w razie deszczu – wewnątrz plebanii. Długo pamiętało się cudowny smak „kakawa” i słodkiej bułki z dżemem posypanej kruszonką. Smakowało nam wszystko tym bardziej, że byliśmy strasznie wygłodzeni.

Potem wracaliśmy do domu wśród bujających coraz wyżej łańców żyta, oddawaliśmy mamom święty obrazek, by go zawiesiły nad łóżkiem – i było po uroczystościach. O żadnych przyjęciach, prezentach, specjalnej celebracji tego dnia nawet nie marzyliśmy. Jedynie rodzice przypominali o konieczności właściwego zachowania, co było nie lada uciążliwością. Ale jeszcze długo wracaliśmy wspomnieniami do tamtych pięknych chwil. Właśnie jedno z nich znajdujemy w książce „Ocalić wspomnienia – zachować czas”.

„Była uroczysta Msza o siódmej. Pamiętam, że wszyscy byli bardzo głodni, bo nie jedli od poprzedniego wieczora – Post Eucharystyczny. Potem przyjęcie na plebanii: dzieci dostawały po kubku ciepłej kawy zbożowej oraz słodkie bułki z kruszonką [...]. Prezenty? Nie pamiętam. U nas nie dostawaliśmy nawet czekolady. A o późniejszych przysłowiowych zegarkach komunijnych nikomu

się nawet nie śniło. Czy było gorzej? Biedniej na pewno, ale w tej prostocie była jakaś głębia i cały sens uroczystości nie ginął w pogoni za prezentami”⁵⁷.

A wokół dojrzała zieleń już całkiem zawładnęła światem; głęboka, czysta, świeża, najpiękniejsza z pięknych. Tak ją zapamiętał jeden z Mikołajkowych bohaterów: „Było bardzo zielono i ta zieleń miała inny odcień niż w mieście”.⁵⁸

Pasło się krowy już w wysokich trawach, a gdy maj był ciepły i słoneczny, ale też często skrapiany deszczem, to nawet zaczynano pierwsze sianokosy. Któraś z dziewcząt śpiewała dźwięcznym jak dzwoneczek głosem, który niósł się wśród pól:

„A tam w lesie na pasiece, kuku,
A tam w lesie na pasiece
Tam dziewczyna trowe siece,
Kuku, a kuku, a kuku.
Nasiekała, nagrabiała, kuku,
Nasiekała, nagrabiała, na Jasieńka zawołała,
Kuku, a kuku, a kuku.
Mój ty Jasiu trowke zadej, kuku,
Mój ty Jasiu trowke zadej
Tyko ze mnom nic nie godej,
Kuku, a kuku, a kuku.
Bo my mama zakozała, kuku,
Bo my mama zakozała,
Żebym z tobom nie godała”....

Cieszyliśmy się wszystkim dookoła: i zielenią, i niebem, i głosem rzekotki zapowiadającym ciepły, majowy deszczyk, przed którym nikt nie chował się do domu, bo przecież wierzano, że od takiego deszczu pięknieje cera i włosy, i smyrgającą spod nóg kuropatwą, i tym, że wkrótce zaczną się wakacje. Bo do bycia szczęśliwymi wystarczała nam sama świadomość, że żyjemy. A mieliśmy wielki apetyt na życie!

Przekwitały kasztanowce, ciemniała zieleń wiązów, jesionów i wierzb, srebrzyły się na tle błękitu nieba poruszane ciepłym wiatrem listki wysmukłych topoli, a rozłożyste lipy już gotowały się do rozwinięcia swego pachnącego kwiecia. Na miedzach, nieużytkach, w zakamarkach podwórek i w przydrożnych rowach bujało zielsko: parzące pokrzywy, wielkolistne łopiany, osty splątane z gęstą, wybujałą trawą. Przez otwarte okna naszej klasy czerwcowy wiatr przynosił odurzający zapach jaśminu, lilii i maciejki. Czekaliśmy wakacji, ale lekcje wciąż trwały.

Na kolorowych obrazkach, które ksiądz Majchrowicz przywoził do szkoły na swym zdezelowanym rowerze oglądaliśmy, jak Anioł z mieczem wypędzał potępionych przez grzech Adama i Ewę, a oni szli skuleni, by pracować na ziemi, która miała rodzić oset i ciernie. Prawie jak nasza – myśleliśmy wracając przez pola do domów, bo wszędzie pleniły się perze, osty, głucha pokrzywa – jasnota, z której białych kwiatków wysysaliśmy pyszny, miodny nektar, gorzkie piołuny i wysokie skrzypy o długąsmym korzeniu, którego nigdy nie dało się wyciągnąć w całości; zawsze w końcu się urywał, a z części pozostałej pod ziemią wkrótce wyrastała nowa roślina, jeszcze mocniejsza, jeszcze wyższa i dorodniejsza.

A nad wszystkim królowała bujna zieleń zbóż falujących jak nieznane morze. Słońce grzało jakby była to pełnia lata i nic nie zapowiadało pierwszej groźnej burzy.

I nagle od ziemi podrywał się lekki, prawie niewyczuwalny powiew wiatru. Wzbijał w górę jakieś piórko, żdźbło trawy, drobny listek i ginął gdzieś, by za chwilę powrócić; silniejszy, bardziej porywisty. I z minuty na minutę stawał się coraz chłodniejszy, bardziej szalony i groźny. W powietrzu czuć było intensywny zapach rozgrzanej ziemi i nadciągającą wilgoć, a chmury rozpoczynały coraz gwałtowniejsze gonitwy po niebie. Zachodziły jedna za drugą, gęstniały, to znów rozpierzchały się, by za chwilę skłębić się jeszcze

bardziej. Na dworze ciemniało. Wiatr gwałcił konary drzew rosnących wzdłuż gościńca. Ciężki grzmot przetoczył się przez horyzont.

Biegliśmy ścieżkami wśród pól, łapiąc z trudem powietrze. Nie chcieliśmy się chronić pod drzewami, których było wokół tak wiele, bo stawały się często ofiarą piorunów. Wtedy ze zgrozą oglądaliśmy rozłupany, potrząskany, zwęglony pień i połamane gałęzie zalegające wokół trawę.

Na nasze głowy spadły pierwsze krople deszczu, gdy dopadliśmy pobliskiego domu. Zdyszani, zbici w gromadkę staliśmy w oknie patrząc, jak szalała ulewa. Błyskawice kroiliły niebo, strugi wody ciekły po szybach, a na parapecie migotał ogieniek zapalonej gromnicy, którą gospodyni postawiła jako obronę przed nawałnicą. W izbie było prawie ciemno, a my milkliśmy na odgłos każdego gromu uderzającego gdzieś niedaleko.

– Ale pucuje! Świata nie widać – dziwił się gospodarz.

Na szczęście wkrótce wiatr ucichł, deszcz stał się malutkim deszczykiem i tylko czasami dochodziły do nas niedźwiedzie pomrukiwania oddalającej się burzy. Wracaliśmy, skacząc po kałużach, które natychmiast zaczęło osuszać czerwcowe, gorące słońce. W jego blasku lśniła z daleka smukła wieża nagoskiego kościoła. Przypominała nam o zbliżającym się odpuscie, na który wszystkie dzieci czekały z niecierpliwością. Bo zawsze na świętego Antoniego odbywał się Wielki Odpust Parafialny.

Był ważną uroczystością religijną, do której przygotowywała się cała parafia, ale także barwnym jarmarkiem uwielbianym przez wszystkie dzieci. Już dochodząc do zakrętu przed kościołem można było zobaczyć barwny tłum ludzi, konne wozy i kramy pełne różnorodnych towarów. Jednak wszystkie dzieci wiedziały, że nie można przed uroczystościami w kościele oddać się rozkoszy oglądania i kupowania więc karnie szły obok rodziców, by uczestniczyć w uroczystej Mszy świętej i procesji. Dziewczynki – najczęściej wystrojone w białe sukienki – maszerowały z koszyczkami do sypania kwiatków, a po Pierwszej Komunii Świętej z lilijkami; zaś chłopcy – w białych komeżkach – z dzwoneczkami, których dźwięki słychać było już podczas drogi do kościoła. Na dziedzińcu przykościelnym, ocienionym po brzegach zielenią wysmukłych drzew, tańczyły w lekkim wietrzyku jasne plamy słonecznego blasku. A kościół zapełniał się w tym dniu po brzegi; także cały dziedziniec był pełen odświętnie wystrojonych wiernych.

Msze święte w czasach mojego dzieciństwa zawsze były odprawiane tylko w godzinach przedpołudniowych; najważniejszą z nich była Suma – szczególnie ta odpustowa, z uroczystą procesją wokół kościoła. W czasie owej odpustowej procesji przedstawiciele różnych stanów: panny, mężatki, kawalerowie i żonaci mężczyźni nieśli święte figury, chorągwie i feretrony.

Dziewczynki sypały kwiaty, a chłopcy w komeżkach dzwonili małymi dzwoneczkami. Ich głos mieszał się z dostojnym biciem dzwonów i z pieśnia-

mi rozmodlonych rodziców, z dumą obserwujących swe pociechy. Najbardziej zasłużeni w parafii mężczyźni nieśli ozdobny baldachim, pod którym – żwirową dróżką otaczającą kościół, całą zasypaną płatkami czerwcowych kwiatów – kroczył dostojnie ksiądz proboszcz, trzymając w uniesionych dłoniach złocistą Monstrancję. Wysoko w niebo niosły się pobożne śpiewy uczestników procesji: „Słuchaj, Jezu, jak Cię błaga lud,

Słuchaj, słuchaj, uczyn z nami cud.

Przemień, o, Jezu, smutny ten czas.

O, Jezu, pociesz nas”.

Podniosła atmosfera procesji sprawiała, że robiło się tak wzruszająco i ciepło na sercu, że aż łzy cisnęły się do oczu i rodziła się nadzieja, że Jezus przywoływany w pieśni spogląda łaskawie na utrudzonych, znękanych ludzi, i że z Bożą pomocą da się pokonać wszystkie trudności, uleczyć rany duszy i z nadzieją popatrzeć w przyszłość. Taka była wiara tych ludzi; naprawdę głęboka i prawdziwa, prosta i ufna.

Dzieciom zawsze trochę dłużyły się te uroczystości więc myśli już uciekały do zbliżających się zakupów, a głowy odwracały w kierunku kościelnej bramy.

Wreszcie, gdy proboszcz pobłogosławił zebranych, a organista zaintonował ostatnią pieśń można było pospiesznie się przeżegnać i z niecierpliwością czekać na rodziców, by wziąć od nich zebrane na tę okazję pieniądze; najczęściej podarowane przez dziadków. I już się biegło w tłum, do kramów, gdzie było tyle różnych wspaniałości, że trudno było się zdecydować, czy kupić kolorowe piłeczki na gumce wypchane trocinami, czy różne gwizdawki w kształcie ptaszków, korkowce – ulubione przez chłopaków, dziewczynskie złociste, blaszane pierścionki z oczkiem, zegarki z namalowanymi wskazówkami na papierowej tarczy, zawsze pokazujące ten sam czas, kwiatuszkowe broszki czy inne ozdóbki i zabawki, których ogromna ilość i barwność aż zapierały dech. Na paru stoiskach piętrzyły się dewocjalia: książeczki do modlenia, krzyżyki, medaliki, różańce, ale przy nich zatrzymywali się tylko dorośli. Szczególnie kupowano różańce, bo łatwo się gubiły, a wiele starszych ludzi prawie się z nimi nie rozstawało. Zwłaszcza kobiety idąc do kościoła, do sklepu, do krewnych czy w pole przesuwały w palcach paciorki różańca i powtarzały półgłosem kolejne zdrowaśki.

My bieглиśmy do kramów ze słodkościami, które aż przyprawiały o zawrót głowy. Najpiękniejsze były – umieszczone wysoko na drewnianych konstrukcjach nad ladami – pięknie zdobione kolorowym lukrem serca z ciasta z różnymi napisami: „Kocham Cię”, „Tylko Ty”, „Zawsze Razem” itp. Kupowali je chłopcy swoim wybrankom, by tak zamanifestować swoje uczucia. Obok tych serc, błyszczących się w słońcu, bo zawiniętych w cieniutki celofan, wisały różne odpustowe ciasteczka: podwójne całuski, maleńkie, twarde i paskudnie smakujące, ale bardzo ładne – nanizane na nitkę i poprzetykane bibułką ułożoną

w harmonijkę, które zakładało się na szyję jak korale, czy inne – w kształcie krążków złożonych jeden nad drugim i owiniętych bibułą tak, że wyglądały jak duży „cukieras”, albo znów pojedyncze, duże herbatniki grubo posypane cukrem, mające kształt sześciopłatkowych kwiatków z dziurką w środku. Na ladzie zrobionej z desek przykrytych pakowym, szarym papierem leżało mnóstwo różnych, smakowicie wyglądających cukierków, też cudnie kolorowych, wyglądających jak papierosy w biało-czerwone prążki, jak różnokolorowe kulki, czy jak paskowane poduszeczki o przeróżnych smakach. Najbardziej lubiliśmy te gryłazowe, ale i inne były świetne więc trudno było się zdecydować, a już rodzice wołali, że trzeba iść do domu; już skosztowali kiszonych ogórków z beczki, którymi też handlowano, już pogwarzyli ze znajomymi, już obdarowywali drobniakami napraszających się żebraków i musieli się spieszyć, bo – jak co dzień – czekały na nich gospodarskie obowiązki.

Więc wydawaliśmy szybko wszystkie pieniądze i zając się po drodze cukierkami – niepomiennie na uwagi rodziców, że popsują nam się zęby – opróżnialiśmy papierowe tutki i już żalowaliśmy swoich decyzji, bo można było jednak kupić coś innego. Ale na taką okazję trzeba było czekać znowu długi rok.

Z tamtej cudownej atmosfery odpustów zostało dziś niewiele. Jej echa możemy znaleźć w słowach starej piosenki, śpiewanej przez babcię Józję:

„Pokłoń się Andziu i ładnie proś, i ładnie proś, i ładnie proś,

To ci z odpustu przyniosę coś, przyniosę coś, hej!

A co, a co, a co, a co, a co?

Przyniosę tobie koral sznur, koral sznur, koral sznur,

Oraz chusteczkę w przepiękny wzór, w przepiękny wzór, hej!

I co, i co, i co, i co i co?

Pierścioneć z oczkiem za złote dwa, za złote dwa, za złote dwa,

Takie jak Kasia wójtówna ma, wójtówna ma, hej!”

Takich zwrotek, a w nich zapytań i obietnic było jeszcze dużo, ale kto je jeszcze pamięta?

Po południowych nieszpórach – jak nakazywał stary obyczaj – przychodzili zaproszeni na ten dzień goście, których częstowało się upieczonym plackiem z kruszonką czy andrutem z masą kakaową i kompotem z „rombarbaru”. Prawie zawsze była piękna pogoda, więc stół wynosiło się w cień drzew, rosnących na środku podwórka i tu gwarzyło aż do wieczora. A wieczorem – zgodnie z tradycją – była zabawa taneczna na deskach. Już rano na Mszy świętej proboszcz przestrzegał przed pijaństwem i awanturami, które zdarzały się corocznie na zabawach w dniu odpustu, ale rzadko się udawało „nie zgrzeszyć”, więc później „grzmiał” z ambony, wytykając winnych.

Zabawy organizowali – jak zwykle – strażacy. Każdorazowo pisali do lokalnych władz o pozwolenie na sprzedaż alkoholu, choć było wiadomo, że zawsze tę zgodę dostaną. Taka była tradycja, a dodatkowo źródło zarobku dla straży

pożarnej, która za zebrane fundusze kupowała niezbędny pożarniczy sprzęt. A alkohol ośmielał i dodawał wigoru. Wtedy kawalerka ruszała „na dechy”. Potem dołączali starsi i – jak zawsze – tańce trwały prawie do rana.

W całej parafii odpust był dniem spotkań, przyjęć i zabaw, które przeciągały się do późna. Więc w tę krótką czerwcową noc wciąż niesły się po opłotkach śmiechy, gwar i śpiewy. A to, że „dla Hucuła nie ma życia jak na poloninie”, a to, że „przepijemy naszej babci domek mały”, a to znów, że „sia-dła pszczołka na jabłoni i otrzepuje kwiat”. Znad rozległych pól i łąk łagodny wiatr niósł zapachy polnych kwiatów, wilgotnych od rosy traw i nadchodzącego lata. Żał było wracać do domu, żał zasypiać w taką piękną, pogodną noc delikatnie oświetloną nadszczerbionym księżycem.

Choć zazwyczaj po odpuście trzeba było wysłuchiwać gorzkich napomnień proboszcza dotyczących niewłaściwego zachowania młodzieży; zwłaszcza podczas zabaw, to bardzo go ceniono i darzono ogromnym szacunkiem. Bo długoletni nagoski proboszcz, ksiądz Józef Fijał był niezwykle zasłużonym człowiekiem. W książce „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas” znajdujemy informację, że urodził się w 1908 roku w Smęgorzowie niedaleko Dąbrowy Tarnowskiej, że święcenia kapłańskie przyjął w Tarnowie w 1933 roku i że zanim dotarł do Nagoszyna, był wikarym m.in. w Przecławiu i w Kamienicy. Od 1938 roku pełnił funkcję proboszcza w Sromowcach Niżnych, a potem przez wiele lat – aż do emerytury – w Nagoszynie, do którego przybył w środku wojny w lipcu 1941 roku. Czasy były straszne, ale on odważnie wziął się do pracy.

„Ks. Józef kochał Boga i widział go w każdym człowieku”¹. Taką opinię podzielało wielu ludzi. Znający proboszcza Fijała ksiądz Szwarga podziwiał go za to, że „odmawiał sobie wszystkiego, aby mógł ulżyć doli wysiedlonych, oraz swoich parafian”².

Gdy na jesieni 1944 roku zamknięto kościół z powodu tyfusu, dalej odprawił Msze święte, narażając swe zdrowie i bezpieczeństwo. Uratował również kościelne dzwony, które umieszczono na wieży w 1929 roku w święto patronki kościoła – świętej Barbary. „Dzwony te miały przejść w ręce wojska niemieckiego, ale szczęśliwie ocalały, gdyż Ksiądz Proboszcz Józef Fijał zamurował sklepienie pod wieżą i nie można było się do nich dostać”³.

Odważnie bronił swoich parafian i wstawiał się za nimi w potrzebie.

Siostra bobrowskiego działacza młodzieżowego, Romana Bonara – Bronisława Świder wspomina, że – gdy Niemcy w lutym 1943 roku aresztowali ojca i żonę Romana, Helenę – starała się o ich zwolnienie, pisząc podanie do dębickiego gestapo.

„Gdy podanie to podpisało 10-u świadków, tj. znajomych sąsiadów, poszłam z nim do księdza proboszcza Fijała w Nagoszynie. Proboszcz też pod-

pisał”. A wahającego się wójta, ofuknął: „Jasiu, boisz się podpisać za Bonarem? O Bonara starego się boisz? Coś ty ogłupiał?”⁴.

W czasie wojny ksiądz Fijał został też kapłanem korzeniowskiego oddziału AK.

Zasady konspiracji i brak dokumentacji uniemożliwią prześledzenie tej jego działalności; wiadomo jednak na pewno, że „9 lipca 1943 roku bez wahania, narażając własne życie, wraz ze swoim wikariuszem księdzem Janem Rzepą udał się do pacyfikowanej wsi Bobrowa, aby dodać otuchy swoim parafianom”⁵.

Odprowadzał dla akowców polowe Msze święte, udzielał im sakramentów, pomagał. Nieraz miał do czynienia z tymi młodymi chłopcami: przerażonymi, rannymi, umierającymi, szukającymi pocieszenia.

A funkcja partyzanckiego kapłana wymagała wiele odwagi, determinacji i nawet gotowości poświęcenia życia. O powinnościach takiego kapłana pisze Władysław Strumski, przedstawiając sytuację po bitwie na Kałużowce:

„Żołnierze nasi, choć młodzi i niezbyt w bojach zahartowani, otrzymawszy nawet śmiertelny postrzał, nie wzywają pomocy ni ratunku, konając cicho i jakby łagodnie wymawiając tylko jednym tchnieniem „Jezus Maria”. Nie umierają samotnie. Niemal przy każdym są sanitariuszki i jest nasz kapłan. Udziela sakramentów, błogosławi, zamyka umarłym oczy i już doskakuje do następnego. Już daje umierającemu krzyż do ucałowania, rozgrzesza. Jest wzorem kapłana, ale i żołnierza nie znającego trwogi. Wydaje się, że niewielu żołnierzy mogłoby mu dorównać w męstwie, tylko, że jego odwaga jest cicha, niewidoczna. Bohaterstwo nie rzucające się w oczy. Niemniej, gdyby mnie zapytano później, kto się najbardziej odznaczył w bitwie, chyba wskazałbym niepozornego księdza, bo o ileż łatwiej się wybić walczącemu z bronią w rękę, który sam zagrożony jest również groźny dla przeciwnika. Otrzymuje rany, ale i sam je zadaje, gdy kapłan narażony na największe niebezpieczeństwo ma za tarczę ochronną tylko modlitwę. Trzeba hartu ducha, wielkiej siły woli, ażeby patrząc wciąż śmierci w oczy, obcując w czasie walki z umierającymi, nie drżeć ze strachu, nie pomyśleć o własnym niebezpieczeństwie, tym więcej, że nikt nie wzięłby mu tego za złe, bo posługę kapłańską pod kulami wypełnia nie z rozkazu, ale z nałożonego na siebie dobrowolnie obowiązku. Gdy my byliśmy żołnierzami Polski Walczącej, on był Żołnierzem Chrystusowym. Nas nie oczekiwały nagrody za krew przelaną, za poniesione trupy, co najwyżej skąpa pochwała dowódcy. On nie mógł i na to liczyć, jego obowiązek liczył się według innych kryteriów, a nagroda tylko na tamtym świecie”⁶.

Nasz proboszcz był człowiekiem pryncypialnym, surowym, zdecydowanym, twardym, bezkompromisowym, ale w tamtych czasach były to cechy nieodzowne. Bardzo zaangażowany w sprawy wiary i Kościoła, swe posłannictwo traktował jako misję, której poświęcił wszystko. Wysoki, szczupły,

ale postawny, noszący się prosto, poważny, powściągliwy, dostojny, skupiony cieszył się wielkim autorytetem wśród parafian, zawsze liczących się z jego zdaniem. Uczył, że Kościół to Dom Boży i wspólnota wiernych, i że to właśnie Kościół jest strażnikiem Boga w naszych sercach, stąd musi mieć wymagania i niezłomne zasady. W swoich kazaniach proboszcz nawoływał do stałego pogłębiania żywej wiary, wzywał do życia zgodnego z Dekalogiem, wytykał grzechy, piętnował zwłaszcza pijaństwo, awantury, nieszanowanie świąt, żądał czystości życia przedmałżeńskiego, szacunku dla miejsc kultu, uczestniczenia we wszystkich ważnych uroczystościach kościelnych, punktualnego przychodzenia na Mszę świętą.

Zawsze świetnie zorientowany w sprawach parafian, nie darował żadnej bójki po niedzielnej zabawie, żadnego obyczajowego skandalu; wszystko skomentował i napiętnował. Pragnął wielodzietności rodzin, traktując każde dziecko jako pożądany dar Boży, pomagał i domagał się pomocy dla sierot, wdów, ludzi biednych, starych, kalekich, obarczonych dużą rodziną. Uczył, że zło zwycięża się dobrem, kłamstwo prawdą, a nienawiść dobrocią i że dopóki nasza wiara będzie silna, starczy dla wszystkich miejsca na ziemi, chleba, nadziei i miłości. Chodząc po kołędzie, w biednych domach nie przyjmował zwyczajowych paru groszy, ale to on zostawiał pieniądze, by wspomóc potrzebujących. Był blisko swych parafian. Nigdy np. nie odmawiał zaszczytowania wesela, choć przebywał na nim krótko, gdyż prowadził surowe życie i stronił od wszelkich uroczystości, z wyjątkiem religijnych.

Zawsze króciutko ostrzyżony, z tonsurą na czubku głowy, schludnie ubrany, przemierzał swą parafię na starym rowerze – w czarnej sutannie z białą koloratką pod szyją. Zamieszczone w „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas” zdjęcia ukazują m.in. proboszcza Fijała z grupą dzieci po uroczystości Pierwszej Komunii Świętej⁷, czy podczas prymicji księdza Eugeniusza Kucharskiego z Bobrowej⁸.

Ksiądz Fijał dbał o porządek w kościele, w jego otoczeniu i na cmentarzu. Wzywał przebywających w czasie nabożeństw na podwórzu kościelnym, by weszli do wnętrza, a tych, co stawali pod chórem, do podejścia bliżej ołtarza. Kobiety piętnował za nieodpowiedni strój, np. trochę prześwitujące bluzki, ubiory bez rękawów czy z dekoltem. Sam obchodził plac kościelny i wyszukiwał maruderów, sam też podchodził do niewłaściwie ubranych i dyskretnie wypraszał z kościoła. Żądał częstych spowiedzi i dbania o swe sumienie. Mikołajek przedstawia anegdotę mogącą być satyryczną aluzją do naszego proboszcza. Ojciec Emila, bohatera „Sielanki” kosząc zboże, zobaczył biegnącą Stelmaszkę:

„– Wróć, kobito, mówię ci – wróć!

– Że co? – spytała przestraszona Stelmaszka. Ojciec osłonił ręką ucho.

– Nie słyszę. Tak, tak, ksiądz proboszcz kazał cię pozdrowić. Co proboszczowi? Wszystko mu z rąk leci, boś ty trzy dni nie była u spowiedzi. Bez kolacji wczoraj poszedł spać. Co, nie masz się z czego spowiadać”?⁹.

Proboszcz Fijał pragnął świadomego wyznawania wiary i w tym duchu prowadził katechezy w szkole. Nie cierpiał lenistwa, żądał systematyczności i pilności w nauce. Oburzał się np. gdy nikt nie odrobił poprawnie domowego zadania na temat: „Jaki jest najważniejszy moment Mszy świętej”? Wydawało nam się to łatwe. Wszyscy napisaliśmy, że to „Podniesienie”, co potwierdzali też nasi rodzice. Ale musieliśmy szukać odpowiedzi ponownie. Wertowaliśmy książeczki do modlenia i indagowaliśmy starszych, szczególnie pobożnych mieszkańców wioski. Na próżno. Po wysłuchaniu ostrej reprimendy na temat nieznamości istotnych spraw dotyczących naszej wiary dowiedzieliśmy się, że ten najważniejszy moment to „Przeistoczenie”. I tę prawdę zapamiętaliśmy już na zawsze, tak jak wiele innych, których nas nauczył. Innym znów razem na zadanie domowe mieliśmy przedstawić żywot swojego patrona. Za karę, że posiadałam – wg księdza – zniekształcone imię świętej Heleny, musiałam oprócz jej historii życia opisać też losy świętej Zofii – patronki drugiego imienia. A przy okazji przeczytałam żywoty wielu innych świętych, które okazały się bardzo ciekawą, pouczającą i chwytającą za serce lekturą.

Jako dzieci trochę baliśmy się go, ale też podziwialiśmy jego mądrość, zaangażowanie i pobożność. Wszyscy mieszkańcy naszej wioski darzyli go szacunkiem, uznawali jego autorytet, słuchali jego głosu i starali się postępować według zasad przez niego głoszonych i świadczonych własnym życiem. Bo choć życie księdza Fijała było surowe i skromne, to zostawiło i w sercach parafian, i w nagoskim kościele niezatarte ślady.

Za jego bytności wykonano nowe witraże, gdyż poprzednie uległy w czasie wojny zniszczeniu. Proboszcz przeprowadził zbiórkę srebrnych monet na kościelny kielich, uporządkował cmentarz, zorganizował akcję oprawienia przez introligatora zniszczonych książeczek do modlenia posiadanych przez parafian. Zbudował – dzięki dużemu uporowi i zaangażowaniu – Dom Katolicki i przebudował w 1963 roku plebanię. Organizował jasełka i chór męczyzn do śpiewania Paschy w Niedzielę Palmową.

Był odważny w poglądach; na kazaniach wzywał do bronienia własnej ziemi, wiary i tradycji, namawiał, żeby nie wstępować do spółdzielni produkcyjnych, brał w obronę szykanowanych przez władze, m.in. rodzinę Kołków z Nagoszyna, których chciano wysiedlić z gospodarstwa. Śmiało mówił o sprawach, o których władza kazała milczeć, m.in. o tzw. cudzie lubelskim.

Otóż 3 lipca 1949 roku w archikatedrze lubelskiej, gdy było tam sporo modlących się ludzi, zakonnica zobaczyła, że po obliczu Matki Boskiej Częstochowskiej przedstawionej na obrazie toczy się ciemnoczerwona, krwawa łza. Na wieść o cudzie zaczęli przyjeżdżać ludzie z całej Polski. Mimo na-

gonki w prasie wyszydzającej ciemnotę, głupotę i powrót do średniowiecza – w czym przodowała „Trybuna Ludu” – 10 lipca w archikatedrze lubelskiej zgromadziło się około 20 tysięcy ludzi. Tłum wiernych modlił się codziennie, oglądając płaczącą Maryję. Gdy 13 lipca ktoś niespodziewanie krzyknął, że wali się rusztowanie remontowanej katedry, ludzie rzucili się do ucieczki. W panice zginęła 21-letnia dziewczyna, a 19 osób doznało różnych obrażeń. Interweniowała milicja i straż pożarna. Zaczęły się kilkudniowe zamieszki, szykany, aresztowania, a 17 lipca władze zorganizowały wiec, na którym ośmieszano ciemnotę prostych ludzi i dementowano pojawienie się jakiegokolwiek nadprzyrodzonego zjawiska.

Proboszcz Fijał opowiadał o tym zdarzeniu i przedstawiał je w świetle wiary, a w wiosce mojego dzieciństwa jeszcze długo je komentowano.

Jedynie tuż po wojnie władze stwarzały pozory pozytywnego stosunku do Kościoła. Zezwolono na nauczanie religii w szkołach, a majątki kościelne wyłączono z reformy rolnej. Ale równocześnie zerwano konkordat ze Stolicą Apostolską, wprowadzono śluby i rozwody cywilne, zaczęto atakować duchowieństwo w prasie i radiu, ograniczano swobody religijne. Od końca lat czterdziestych władze podjęły już zdecydowaną walkę z Kościołem, choć nie potrafiły stłumić pobożności Polaków.

„Kościół katolicki ze względu na wielowiekową tradycję i silnie ugruntowaną pozycję społeczną [niemalże wszyscy mieszkańcy powiatu deklarowali przynależność do Kościoła katolickiego], stanowił naturalnie głównego przeciwnika dla PZPR w walce o wpływy ideologiczne”¹⁰. Dlatego władze próbowały za szelką siłę laicyzować społeczeństwo, a równocześnie kompromitować i osłabiać autorytet duchowieństwa. Zaczęły się np. pokazowe procesy księży. Jednym z oskarżonych był m.in. biskup kielecki Czesław Kaczmarek, który – aresztowany w styczniu 1951 roku – został skazany za działalność przeciwko państwu i Związkowi Radzieckiemu aż na 12 lat więzienia. Oskarżanych i prześladowanych było bardzo wiele księży i zakonnic, a sprawy te specjalnie nagłaśniano i ukazywano tak, by podważyć autorytet Kościoła.

Nasz proboszcz – wracając z odpustu w kościele Świętej Jadwigi w Dębicy – również został aresztowany i od października 1950 roku do lutego 1951 roku przesiedział w więzieniu. Autorzy „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas” tak przedstawiają ten fragment życia księdza Fijała: „Za obronę wiary i Kościoła został uwięziony przez UB. Dzięki pomocy rodziców udało mu się opuścić więzienie, ale stan jego zdrowia świadczył o nieludzkim traktowaniu. Więzienie ubeckie nie złamało ks. Józefa, który nadal w głoszonych kazaniach zachęcał do walki w obronie Kościoła”¹¹.

Organizował modlitwy w intencji prymasa Polski Stefana Wyszyńskiego, którego uwięziono już po śmierci Stalina we wrześniu 1953 roku i przetrzy-

mywano w różnych miejscach aż do czasu odwilży w 1956 roku. Ksiądz Fijał bronił go, przekazywał i upowszechniał jego nauki.

W materiałach dębickiego UB znajdujemy notatki służbowe dotyczące działalności proboszcza Fijała.

Edyta Adamczyk pisze: „Na księdza Józefa Fijała z Nagoszyna sprawę ewidencyjną prowadzono od listopada 1949 roku. Oskarżano go o uczestnictwo w pacyfikacji Nagoszyna w okresie okupacji hitlerowskiej, wrogi stosunek do ZSRR i PRL oraz „księży patriotów” oraz o agitację przeciwko spółdzielni w Nagoszynie i niepodpisanie apelu sztokholmskiego”¹².

Rzeczywiście, już w 1944 roku nasz proboszcz otwarcie krytykował m.in. dekret PKWN o reformie rolnej. Na skutek zdecydowanej postawy księży takich jak on, mieszkańcy wsi niechętnie przyjmowali ziemię odbieraną dawnym właścicielom.

Potwierdza to Edyta Adamczyk pisząc: „Zabranie cudzej własności postrzegane było w większości przez nich jako grzech. W przekonaniu tym próbowali utwierdzić mieszkańców powiatu lokalni księża, m.in. ks. Fijał z Nagoszyna”¹³.

Informator noszący ps. „Giewont” donosił, że „ksiądz Fijał [...] narzekał na ciężkie czasy jakie ówczesznie były dla kapłanów ze względu na ograniczenia dla Kościoła. Odnosił się także do ustawodawstwa w sferze ślubów cywilnych i stwierdził, że chociaż zabieranie ksiąg parafialnych jest nielegalne, to księża nic nie mogą już zrobić”¹⁴.

Gdy w maju 1949 roku władze wydały dekret dotyczący wolności sumienia i wyznania, agent relacjonował, że „negatywny stosunek względem dekretu o wolności sumienia wyrażali m.in. ks. Tomasz Bułat z parafii Zwiernik, ks. Leopold Krawczyk z Zasowa oraz ks. Józef Fijał z Nagoszyna”¹⁵.

Innym razem informator donosił:

„Relacje państwo – Kościół negatywnie oceniał [...] ks. Józef Fijał z Nagoszyna twierdząc, że nie ma na stanowiskach państwowych odpowiednich osób, sprzyjających porozumieniu, a tylko sami wrogowie Kościoła”¹⁶.

Po wybuchu wojny w Korei informator „Giewont” znów donosił: „Ks. Fijał [...] był bardzo zadowolony z takiego obrotu sytuacji politycznej, twierdząc, iż jest to początek wojny ogólnoświatowej”¹⁷.

Ta trzecia wojna światowa, na którą wielu ludzi czekało z nadzieją, miała być starciem wielkich mocarstw poza granicami naszej ojczyzny. Wierzono, że doprowadziłaby do wyzwolenia Polski spod wpływów ZSRR, przyniosła kres władzy komunistów i dała wszystkim prawdziwą wolność.

„Sytuacja w Korei według opinii niektórych mieszkańców powiatu – czytamy w aktach dębickiego SB – miała stanowić jedynie preludium do niej. Opinie takie wygłaszał m.in. ksiądz Fijał z Nagoszyna”¹⁸.

Tajny informator relacjonował też rozmowy ks. Fijała z innymi duchownymi; m.in. z ks. Leopoldem Krawczykiem i ks. Curyło, a także z ks. Krawczykiem i ks. Zagórskim z Żyrakowa” na temat spółdzielni produkcyjnych: „Ks. Fijał powiedział, że do spółdzielczości dojdzie ponieważ chłopów zmuszą, ponieważ opornych pozamykają, kilku we wsi dla postrachu”¹⁹.

Te liczne doniesienia świadczą, jak bardzo władza obawiała się poglądów i ocen nagoskiego proboszcza. Śledzono każdy jego krok, podsłuchiowano rozmowy i kazania, gdyż wiadano o jego wielkim wpływie na parafian i innych księży. Bo był to naprawdę odważny, bezkompromisowy, strzegący wiary, moralności i uczciwości kapłan, zatroskany o swych wiernych i o losy ojczyzny.

Pracował w parafii mojego dzieciństwa w czasach tragicznych, straszliwie trudnych i dla Kościoła, i dla zwykłych ludzi. Atmosfera tamtych lat nie sprzyjała działalności duszpasterskiej, którą jednak z uporem prowadził. Po jego śmierci określono go jako „ascetę, wymagającego od parafian, jeszcze więcej od siebie”²⁰.

W dziecięcym pamiętniku mojej siostry, w którym różne aforyzmy, czy umoralniające wierszyki wpisywali krewni, nauczycielki i koleżanki – bo taka panowała moda – ksiądz Fijał wpisał pamiętne słowa: „Per aspera ad astra”. Początkowo nie umieliśmy przetłumaczyć tej łacińskiej maksymy. Potem zrozumieliśmy, że była to też maksyma, którą on sam kierował się w życiu: „Przez ciernie do gwiazd”.

Słusznie podkreślają autorzy „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas”, że chociaż proboszcz Fijał „w 1969 roku opuścił probostwo w Nagoszynie, ale w pamięci parafian pozostał na zawsze kapłanem o wielkim sercu”²¹.

Ksiądz Józef Fijał zmarł 21 grudnia 1989 roku w rodzinnym Smęgorzowie i tam został pochowany. Dzięki jego opiece i wsparciu duchowemu wioska mojego dzieciństwa może się pochwalić pierwszym bobrowskim kapłanem, którym został – wspomniany wcześniej – Eugeniusz Kucharski. Później śladem księdza Kucharskiego podążyli inni. Kapłanami zostali bobrowianie: Tadeusz Jarosz i Marek Zaborowski. Również z wioski mojego dzieciństwa pochodziło kilka siostr zakonnych: Maria Mazur – siostra Sebolda ze Zgromadzenia Służebnic Najświętszego Serca Jezusowego, Katarzyna Osak, Helena Markiel, Maria Ziobro, czy Agnieszka Skrzypek, która jest autorką obszernej publikacji pt. „Służebniczki dębickie w diecezji tarnowskiej w latach 1891-1989”.

Początkowo Bobrowa, Dębina i Nagoszyn należały do parafii Przecław; najstarszej w dolinie Wisłoki. Tu podobno już w XIII wieku Ligęzowie ufundowali kościół, nad którym opiekę przejęli kolejni właściciele – Przecławscy. Parafia ta została ustanowiona w 1554 roku przez słynnego kardynała Zbigniewa Oleśnickiego i wtedy Przecław stał się jedną z 14 parafii należących do dekanatu dębickiego, którego siedzibą był najstarszy w Dębicy, bo pochodzący z XIV wieku kościół parafialny pod wezwaniem Świętej Jadwigi

i Magdaleny, zbudowany na tzw. Starym Mieście. Mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa pokonywali pieszo lub konno – w każdą niedzielę – ponad 8 km piaszczystej drogi, by uczestniczyć w Mszy świętej czy innych uroczystościach kościelnych w przeclawskim kościele. Kroniki wspominają, że ponieważ wiele osób starszych, chorych czy dzieci miało trudności z dotarciem na nabożeństwa, od 1791 roku księża z Przeclawia przyjeżdżali co niedzielę do Nagoszyna, by tu odprawiać Mszę świętą. Ale wciąż był zwyczaj jeżdżenia do Przeclawia na odpust w święto Matki Boskiej Zielnej.

Zachowała się stara legenda mówiąca o tym, że „pierwszy kościółek w Nagoszynie znajdował się w lesie, blisko leśniczówki. Na tym miejscu, na skrzyżowaniu dróg w lesie, do dnia dzisiejszego stoi bardzo stary krzyż”²², ale nie ma – niestety – żadnego potwierdzenia tej legendy.

Wiadomo natomiast, że jeden z właścicieli Nagoszyna – Paweł Leński pragnący mieć kościół w swojej wsi, przekazał na ten cel część gruntów nabytych od Lubomirskich. Następnie w 1792 roku zakupił w Ropczycach drewniany kościółek pod wezwaniem świętej Barbary i przewiózł go do Nagoszyna. Autorzy „Przewodnika po Parafii w Nagoszynie” przytaczają przekazywaną w tradycji ustnej informację, że Leński wygrał kościół w karty, ale żadne dokumenty tego nie potwierdzają.

Kościółek nagoski był niewielki, modrzewiowy, pochodzący prawdopodobnie z XVII wieku.

Do dziś zachowały się – przeniesione z tamtego – do nowego kościoła: organy, Droga Krzyżowa, feretrony, chorągwie i obraz Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Obraz ten – pochodzący z 1907 roku – otaczany był szczególną czcią, zwłaszcza przez kobiety. To przed nim modliły się wszystkie Panny Młode tuż po zawarciu ślubu, to tu zanosilo modły kilka pokoleń mieszkańców parafii, a więc i mojej wioski, tu i ja przeklęczałam wiele chwil, modląc się do Maryi o łaski dla siebie i bliskich; tu lubię wracać, przepełniona tęsknotą i wzruszeniem. To dla Maryi przedstawionej w tym właśnie wizerunku ułożono tę śliczną pieśń: „Do Ciebie, Matko, Szafarko łask błagalne pienia wciąż płyną”. Śpiewaliśmy więc z przejęciem:

„Spoglądnij na nas przez obraz on

Pomocy Nieustającej.

Cierpienia czas pomocą darz

I nieustannie ratuj nas!

Twe lica jakże łaskawe są,

Pociąga słodycz w nich Twoja,

Ufamy mocno, że ulżysz łzom

I wsparciem staniesz się w znojach”.

Wizerunek Maryi na tym obrazie znany jest na całym świecie. Rzeczywiście, jako patronka najbardziej strapionych i potrzebujących jej opieki urze-

ka na nim szlachetnością swych „lic”, dobrocią, łaskawością, jakimś niezwykłym blaskiem i cudownością.

Ta średniowieczna ikona powstała gdzieś na Wschodzie; być może w Bizancjum – i została przywieziona do Rzymu przez bogatego kupca. Legenda mówi, że gdy podczas morskiej podróży rozszalała się straszna burza, wyciągnął on ze skrzyni ów obraz, przed którym zaczęli się modlić przerażeni pasażerowie, a nawałnica wkrótce ustała. Obraz otaczany wielką czcią, przebywał w Rzymie aż do czasów wojen napoleońskich; wtedy w tajemniczych okolicznościach nagle gdzieś zaginął. Odnalazł się jednak i został przekazany redemptorystom. Ukoronowany przez papieża w 1867 roku, do dziś znajduje się w ich rzymskiej świątyni, a jedna z jego licznych kopii dotarła do kościoła w Nagoszynie.

Na złocistym tle malarz przedstawił tu cztery postacie. Maryja trzymająca Dzieciątka patrzy na nas z czułością pomieszaną ze smutkiem, wskazując dłonią Jezusa. Jej miodowe oczy i mocne brwi wyrażają piękno i wyniosłość. Jezus o dziecięcej twarzy spogląda lękliwie, jakby przeczuwał swą przyszłą mękę. Symbolizują ją: włócznia, trzcina z gąbką i naczynie na ocet niesione przez Archanioła Michała oraz krzyż i gwoździe – przez Archanioła Gabriela. Ten obraz Maryi w nagoskim kościele był dla nas najbardziej wymowny i wzruszający.

Patronat nad powstałą kanią i kościołem w Nagoszynie pełnili kolejni właściciele wsi; zasłużyli się tu zwłaszcza Grocholscy i Konopkowie. Pierwszym kapłanem został ksiądz Tomasz Chwastowicz, który przybył do Nagoszyna w 1793 roku. Ubiegano się też wciąż o ustanowienie parafii, a w 1846 roku za czasów księdza Józefa Książka utworzono w jednym z drewnianych budynków dworskich – pełniących też rolę plebanii – szkołę dla dzieci. Ksiądz Andrzej Cebula w 1894 roku na miejscu starej, wybudował nową, murowaną plebanię, składającą się „z kancelarii, kuchni, spiżarni, sali, trzech pokoi i piwnicy”²³. To na tej plebanii zajądaliśmy wspańiałe pierwszokomunijne śniadanie, które tak cudnie pachniało i tak wszystkim smakowało!

Kościółek, tak cenny dla wiernych z Nagoszyna, Bobrowej i Dębiny, otaczany był troską i wzbogacał się wciąż o nowe nabytki. Za ofiary parafian ksiądz Andrzej Cebula zakupił Drogę Krzyżową, organy i trzy dzwony. Te dzwony umieszczono na wybudowanej obok kościółka drewnianej dzwonnicy, ale podczas I wojny światowej oddano je – jak piszą autorzy „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas” – „na cele wojskowe”²⁴, czyli zostały przetopione przez Austriaków na armaty.

Choć kościółek stawał się dzięki zabiegom księży i ofiarności parafian coraz piękniejszy, a jego wystrój – coraz bogatszy, to wkrótce okazał się za mały. Dlatego powstał pomysł budowy nowej, dużej świątyni.

Zaczęto gromadzić fundusze. Ksiądz Antoni Bryndza, który był w Nagoszynie w latach 1861-1883 kapłanem, a następnie pierwszym expozytem,

nie tylko przedstawił plan budowy dużego kościoła, ale zapisał też cały swój majątek na budowę tej nowej świątyni. Jego dzieło kontynuowali kolejni księża, m.in. ksiądz Błażej Potoczek. Oszacowano koszty, które miały wynieść ponad dwadzieścia osiem tysięcy koron i kontynuowano zbieranie pieniędzy.

Antoni Stańko pisze, że „według przedłożonego kosztorysu [...] gmina Nagoszyn miała złożyć 37 307 koron austriackich, gmina Bobrowa 28 086 koron, zaś Mieczysław hrabia Rey z Przecławia 9 606 koron”²⁵.

Mozolnie zbierano grosz do grosza i – jak piszą autorzy „Przewodnika po Parafii w Nagoszynie” – „nie patrząc na trudności finansowe, przystąpiono do poszukiwania projektu budowy nowej świątyni”²⁶.

Projekt kościoła sporządził profesor Teodor Talowski, uznany architekt, profesor Politechniki Lwowskiej, pochodzący z Zasowa. Ksiądz Potoczek zakupił wapno i na rzecz budowy świątyni zapisał swój majątek.

W 1903 roku, gdy expozytem był ksiądz Marcin Zuziak, do parafii dołączono Bobrowę. Wtedy jej mieszkańcy – którzy już od lat chodzili do kościoła w Nagoszynie, choć należeli nadal do Przecławia – chętnie włączyli się do zbierania funduszy. Również wspierali finansowo tę akcję dawni parafianie, którzy wyemigrowali za ocean, a także hrabia Mieczysław Rey z Przecławia, Jan Kanty Steczkowaki z Korzeniowa i wielu, wielu innych szlachejnych i ofiarnych ludzi.

Niestety, uzbierane fundusze traciły wartość na skutek postępującej inflacji i budowę wciąż trzeba było odkładać. Dopiero ksiądz Jan Pięta uzyskał od starostwa w Ropczycach pozwolenie na wzniesienie nowej świątyni na cmentarzu położonym obok starego kościółka i częściowo na ziemi dworskiej. W latach 1920-1921 istniejący cmentarz został przeniesiony na nowe miejsce – dziś zwane „starym cmentarzem”.

I wreszcie po wielu latach starań, w 1922 roku rozpoczęto budowę, którą kierował architekt Jan Krawczyk.

Jak piszą autorzy „Przewodnika po Parafii w Nagoszynie”, „praca była bardzo ciężka. Wykopane doły pod fundamenty trzeba było zbroić deskami, bo ziemia, przekopana przy usuwaniu grobów, osuwała się prawie na każdym miejscu. Pomimo starań nie udało się wykopać wszystkich szczątków, co potwierdziło się w 2009 roku, gdy prowadzono prace nad instalacją kanalizacji”²⁷. Rzeczywiście, gdzieś tam pozostały też szczątki mojej babci Weronki, która nie ma swego grobu na żadnym z istniejących cmentarzy.

Stary kościółek, którego konserwator zabytków z Krakowa nie pozwolił zburzyć, przekazano w 1926 roku do Lichwinia koło Tuchowa. Przez kilka dni furmanki parafian wywoziły na nowe miejsce elementy tego kościółka, który służył jeszcze wiernym aż do pożaru w 1979 roku, kiedy to – niestety – całkiem spłonął.

Był ciekawym obiektem architektonicznym. Zbudowany z drzewa modrzewiowego, na zewnątrz był oszalowany deskami. Przy wejściu od strony zachodniej miał tzw. babiniec, czyli miejsce dla kobiet, a przy wejściu od strony północnej tzw. „sobótki”, czyli podcienia uzyskane dzięki specjalnemu zadaszaniu. Takie podcienia, zwane też „sobotami” czy „sobotnikami” budowano w wielu dawnych kościołach; miały być schronieniem m.in. dla dalekich pielgrzymów, którzy na niedzielne uroczystości, np. na odpust przybywali już w sobotę, lub w niedzielę bardzo wcześnie rano. Obok ołtarza była specjalna galeria, gdzie zasiadali dziedzice wsi. Sufit był płaski, pomalowany na niebiesko i ozdobiony gwiazdami. Podłoga była drewniana, „a jego wnętrze było stosunkowo jasne, miłe, nastrojowe i przytulne”²⁸.

Główny ołtarz wykonany w stylu wczesnobarokowym zdobił obraz świętej Barbary – patronki kościoła. Dwa boczne ołtarze poświęcone były Najświętszemu Sercu Pana Jezusa i Matce Boskiej. Obok stała drewniana, rzeźbiona chrzcielnica, która w nowym kościele została zastąpiona inną – alabastrową, ufundowaną w 1929 roku przez właściciela Przecławia – hrabiego Tadeusza Reya. To przy niej odbywały się chrzty nowo narodzonych mieszkańców wioski mojego dzieciństwa, to tu stawaliśmy się dziećmi Bożymi.

Po lewej stronie znajdowała się również pięknie rzeźbiona ambona, z której głosili Dobrą Nowinę, ale też grzmieli na zatwardziałych grzeszników kolejni proboszczowie. Przy bocznych ścianach stały gotyckie konfesjonały, na środku drewniane ławki, a z tyłu na okrągłych, dość masywnych filarach z drzewa wznosił się mały, kościelny chór. „Świątynia była jednak bardzo mała i dlatego podczas głównych nabożeństw panował niesamowity ścisk”²⁹. Wszak gorliwość religijna mieszkańców Nagoszyna i Bobrowej zawsze była wielka.

Dlatego właśnie postanowiono wznieść nowy, większy, murowany kościół. Wożono furmankami piach z Wisłoki, gromadzono cegłę, drewno, deski. Po poświęceniu kamienia węgielnego prace ruszyły pełną parą. Codziennie na placu budowy pracowało kilkadziesiąt chętnych osób. Zdarzały się też przykre incydenty, jak ten, gdy zawaliło się rusztowanie i chłopiec z wioski mojego dzieciństwa doznał lekkich obrażeń. Na szczęście nic tragicznego się nie stało.

A zapal nie ustawał. Autorzy „Przewodnika po Parafii w Nagoszynie” piszą: „Pieniądze na dalszą budowę kościoła zdobywano na wszystkie sposoby. Robiono zapisy, wyprawiano do domów kvestarzy, do których czasami dołączał się sam Proboszcz, urządzano festyny, wysyłano prośby do rodzin zamieszkałych w Ameryce, a związanych z Nagoszynem. Od tych ostatnich [...] pochodziła więcej niż połowa funduszy”³⁰.

Choć było to przedsięwzięcie niezmiernie trudne, to dzięki wielkiemu zaangażowaniu mieszkańców Nagoszyna, Bobrowej i Bobrowej Woli, którą w roku 1922 też przyłączono do nagoskiej parafii, rosły mury wymarzonej

świątyni. W 1924 roku zakupiono nowe dzwony i zawieszono je na drewnianej, prowizorycznej dzwonnicy.

W 1925 roku prace budowlane zostały zakończone. Ksiądz Jan Pięta był szczęśliwy, choć w prowizorycznym ołtarzu nie było jeszcze figur, a tylko obraz świętego Jana Kantego autorstwa profesora Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie Wincentego Wodzinowskiego. Został on ufundowany przez Jana Kantego Steczkowskiego, wspomnianego już ówczesnego właściciela Korzeniowa, człowieka bardzo zaangażowanego w powstanie tej świątyni, który – „mimo że Korzeniów należał do parafii w Przecławiu – to zawsze, kiedy przebywał w Korzeniowie, przyjeżdżał na Mszę świętą powozem do kościoła w Nagoszynie”³¹.

Nie było też w nowym kościele stałej ambony, konfesjonatów ani ławek. Ale były Misje święte prowadzone przez redemptorystów z Tuchowa, był zapał, szczerza wiara i był wielki misyjny krzyż, który postawiono na kościelnym placu.

Ten nowy, duży, murowany kościół pod wezwaniem świętego Antoniego z Padwy został konsekrowany 19 lipca 1925 roku przez biskupa Leona Wałęgę: „Wizytacja Arcypasterza, bierzmowanie i konsekracja kościoła zostały w sercach uczestników, niezatarte wrażenie. Całe pokolenia przodków czekały na taką chwilę. Świadkowie tych wydarzeń przeżyli długo oczekiwanym moment radości”³².

Nowy kościół otrzymał prawa parafialne, a ksiądz Jan Pięta został pierwszym proboszczem parafii Nagoszyn. W ten sposób parafia zyskała – jak piszą autorzy „Przewodnika po Parafii w Nagoszynie”: „nowy trzynawowy neogotycki kościół bazylikowy z cegły i kamienia kryty blachą”³³.

Wiele zabiegów kosztowało wyposażenie wnętrza kościoła. Niektóre sprzęty, figury, obrazy i przedmioty kultu przeniesiono ze starego kościółka. Na ścianach powieszono m.in. barwne, ekspresyjne, tak bardzo przemawiające – szczególnie do nas, dzieci – Stacje Drogi Krzyżowej pochodzące z 1894 roku.

Znalazło się też wielu chętnych fundatorów nowego wyposażenia kościoła. Wielki ołtarz – do którego Najświętszy Sakrament sprowadzono aż z południowego Tyrolu – został ufundowany przez Jana Kantego Steczkowskiego. Ołtarz wykonał z lipowego i dębowego drewna, dostarczonego mu przez parafian, Wojciech Gallus z Lipin, w którego pracowni powstał też m.in. ołtarz do kościoła w Czarnej. Wykonał on także piękną gotycką ambonę, ołtarze boczne, a niedługo po wojnie – ozdobny kredens do zakrystii. Piękne witraże ufundowali: jeden – ksiądz Pięta, drugi – Katarzyna Osak z Bobrowej, która – powróciwszy z Ameryki – została zakonnicą w klasztorze dominikanek i trzeci – mieszkańcy parafii. Pozostałe wyposażenie również zostało wykonane dzięki ofiarności wiernych, dumnych z piękniejącej świątyni. Duży wkład miało tu kilka bogatych rodzin z Nagoszyna; np. ołtarz Matki Boskiej ufundowała rodzina Kołków, a – Serca Pana Jezusa – rodzina Wałęgów.

Z południowego Tyrolu sprowadzono pięć figur: świętego Antoniego, świętego Piotra, świętego Pawła i dwa Anioły, które ustawiono w głównym ołtarzu. Wykonano również dwa konfesjonały i 14 ławek, a na chórze umieszczono organy. Te stare organy – pochodzące z 1900 roku – brzmiały niezwykle pięknie w przestronnym wnętrzu, gdy organista intonował dziękczynne „Te Deum”. Kościół stawał się coraz piękniejszy, a na frontowej ścianie umieszczono tablicę z nazwiskami fundatorów, na której są też bobrowskie nazwiska, m.in. Antoniego Sojki.

W 1927 roku przybył z Zalipia do Nagoszyna nowy proboszcz ksiądz Leon Pyzikiewicz. Pełnił on funkcję wicedziekana w dekanacie Rzemień, uczył też w szkole religii. Niezwykle pracowity, żądał od uczniów przestrzegania zasad wiary, dyscypliny i pilności w nauce. Wśród parafian cieszył się wielkim autorytetem i serdecznością.

W rok od objęcia przez niego nagoskiej parafii podczas różańcowego nabożeństwa w kościele wybuchł pożar. „Znaczna część dachu została spalona. Remont trwał dwa tygodnie”³⁴.

Mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa długo wspominali to dramatyczne wydarzenie, zwłaszcza ci, którzy uczestniczyli wtedy w nabożeństwie różańcowym.

W 1928 roku wybudowano kościelną wieżę mającą ponad 46 metrów, widoczną z najbardziej odległych miejsc Nagoszyna i Bobrowej, na której to wieży w następnym roku powieszono dzwony ze starej, drewnianej dzwonnicy.

Kościół zawsze był otwarty dla wszystkich. Początkowo parafianie wykupywali sobie miejsca w ławkach, ale później siadało się tam, gdzie było jakieś wolne miejsce. Oczywiście zachował się tradycyjny podział na babską i męską stronę.

Ksiądz Pyzikiewicz wybudował w 1935 roku Dom Katechetyczny, który był siedzibą różnych grup parafialnych, wyremontował też plebanię i zakupił w Książnicach drewniany budynek z 1832 roku, mający pełnić rolę wikarówki i organistówki. Jako pierwszy zamieszkał w nim ksiądz Stanisław Galas, który przybył do parafii w 1938 roku jako wikariusz.

Tuż po wojnie w lipcu 1945 roku w części budynku rozpoczął działalność urząd pocztowy. To tu przywoził z Dębicy listy i paczki znany wszystkim „Siwy” zaopatrujący nas w świeżutkie pieczywo, to stąd wychodził na obchód wsi popularny, długoletni listonosz Radziszewski.

Czasy II wojny światowej były bardzo trudne dla nagoskiej parafii. Wśród ludności panował strach i niepewność. Kościół był miejscem modłów, na których – jak zawsze – gromadziło się bardzo wiele ludzi. Tu szukali pociechy, nadziei i umocnienia.

W marcu 1941 roku zmarł ksiądz Pyzikiewicz. Został pochowany obok kościoła, tak jak ksiądz Potoczek, rodzina Steczkowskich czy Babczynów. Ze

wszystkich przykościelnych grobowców nam, dzieciom – najbardziej podobał się ozdobiony rzeźbą ślicznego aniołka grobowiec siostry zakonnej Florentyny Smoły, która zmarła bardzo młodo i też została pochowana na dziedzińcu kościelnym.

Po śmierci księdza Leona Pyzikiewicza od marca do lipca 1941 roku administratorem parafii był ksiądz Stanisław Pękala, a następnie – w latach od 1941 do 1969 – proboszczem był ksiądz Józef Fijał. Nawet w czasie wojny, gdy od stycznia do marca 1942 roku władze zawiesiły działalność nagoskiej parafii z powodu panującej epidemii tyfusu „odprawiane były nieoficjalne nabożeństwa z prośbą o zdrowie i pokój”³⁵.

Po zakończeniu wojny życie parafii rozkwitło na nowo. Na dziękczynnych nabożeństwach śpiewano ze wzruszeniem i radością: „Ojczyznę wolną pobłogosław Panie!” Niestety, sytuacja polityczna sprawiła, że znów wkrótce powrócono do dawnego tekstu: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie!”, co powodowało interwencje służb bezpieczeństwa i zagrożenie księżom sankcjami karnymi. Jednak prawie wszyscy kapłani wykazywali odwagę i zdecydowaną postawę antykomunistyczną, a Kościół w czasach forsowanej przez władze laicyzacji stał się strażnikiem wiary, ostoją tradycji i mecenasem kultury.

Szczególnym kultem – od wieków – lud wiejski darzył Matkę Bożą uciekając się do niej we wszystkich sprawach życia. Ten ludowy, Maryjny charakter wiary pielegnowały zwłaszcza kobiety. Maryja ucieleśniała bowiem najpiękniejsze tęsknoty serca i najszlachetniejsze uczucia: ufność i czułość, bezwarunkową miłość i miłosierdzie, dobroć i współczucie.

Kult Maryjny znajdował wyraz m.in. w czasie peregrynacji po Polsce Jasnogórskiego Obrazu, a także w licznych udziale w procesjach, nabożeństwach, w indywidualnych modłach do Maryi Panny, np. po zakończeniu uroczystości ślubnych, w uczestniczeniu w śpiewach pod kapliczkami i pielgrzymowaniu na odpusty m.in. do Przecławia na „Zielną” czy dwa razy do roku do Zawady.

Zresztą całe rodziny brały żywy udział w życiu Kościoła, a religijność mieszkańców na naszych terenach pozwalała przetrwać najtrudniejsze doświadczenia życia. Ta religijność to nie był tylko kult, obrzędowość, rodzaj tradycji przekazywanej przez pokolenia i zanurzonej w przeszłości, ale też poczucie wierności normom i zasadom zakotwiczonym w Dekalogu. Po strasznych przeżyciach wojennych wszyscy odczuwali ogromną potrzebę powrotu do normalności. Chętnie przychodzono do kościoła na nabożeństwa i modlitwy, chętnie pomagano też w naprawie zniszczeń, m.in. zreperowano witraże, wymieniono dach nad nawami i wyremontowano wieżę, zdjęto zniszczoną drewnianą podłogę, zamieniając ją na nową, z kamiennych płytek. Prezentowała się elegancko, ale ciągle marzły nam kolana, zwłaszcza w czasie mrozów i słoń, gdy była lodowata, a na dodatek mokra od śniegu czy deszczu nanie-

sionego pod obcasami przybywających parafian, a my, dziewczynki – klęczałyśmy w swych prążkowych, bawełnianych pończoszkach zapinanych na haltery. Wkrótce potem, w latach pięćdziesiątych – dzięki nieustającej hojności parafian – zakupiono nowe tabernakulum, kinkiety, nową figurę świętego Antoniego, wykonano ogrodzenie, wyremontowano organy. Bo parafianie z Nagoszyna i Bobrowej zawsze żywo uczestniczyli w życiu parafii.

Przy kościele działały różne związki katolickie, z których najstarszym był Trzeci Zakon Świętego Franciszka powstały w końcu XIX wieku. „Celem zakonu była chrześcijańska doskonałość, którą osiągnano przez zachowanie reguły tercjarskiej. Przyjęcia do zakonu dokonywano przez dwa akty: obłuczyny i profesję. Tercjarzy nazywano zakonem pokutującym, kładącym nacisk na wzajemną miłość”³⁶.

„Tercyjankom” – jak je nazywano – przewodniczyła w naszej parafii Anna Osak z Nagoszyna. Wyszywała pięknie gorsety, haftowała kościelne obrusy, pomagała w organizowaniu różnych uroczystości kościelnych. Obserwowaliśmy, jak ustawiała w pary dziewczynki sypiące kwiatki podczas procesji, jak szła wraz z nami i zachęcała do równego, głośnego recytowania: „Święty, święty, święty, Pan Bóg zastępów! Hosanna, hosanna, niech brzmi hosanna!”

Na zachowanym zdjęciu z uroczystości zakończenia oktaw Bożego Ciała na pierwszym planie siedzi w dostojnej pozie katecheta ksiądz Majchrowicz, a za nim na schodach, ustawione według wzrostu i płci stoją dzieci z Nagoszyna i Bobrowej; te pierwsze jakoś zawsze bliżej najważniejszych osób. To właśnie siostry „tercyjanki” starannie ustawiały nas do takich pamiątkowych zdjęć. „Sypiori”, czyli dziewczynki sypiące kwiatki podczas procesji „paradują” tu w strojach krakowskich i w wiankach na głowie; chłopcy dzwoniący dzwoneczkami – w białych koszulach i komeżkach, obcięci „do grzywki”. Wszyscy stoją karnie w równych rzędach. Pozy, miny, wygląd – identyczne jak na zdjęciu z okazji Pierwszej Komunii Świętej zamieszczonym w „Ocalić wspomnienia – zachować czas”³⁷, choć pochodzą one z różnych lat. Taki sam układ postaci, te same miny, te same krzesła, te same schody. Utrwalenie czegoś, co przez lata nie przemijało. Ale i to odeszło...

Przy nagoskim kościele – nazywanym przez parafian „małą bazyliką”³⁸ – wciąż działają założone jeszcze w XIX wieku: Bractwo Szkaplerza Świętego, Towarzystwo Wstrzemięźliwości, Bractwo Niepokalanego Serca Najświętszej Panny Maryi czy Bractwo Żywego Różańca.

A czerwiec trwał i roztaczał swe czary. Od łąk w pełnym rozkwicie wiatr przywiewał słodkie, duszne zapachy traw i dzikich ziół. Modlono się o pogodę, bo czas był już na rozpoczęcie sianokosów. Wstając jeszcze przed świtem, bo przecież „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje”, spoglądano w niebo wyglądając rannej zorzy zwiastującej słońce. A gdy nawet padało, pocieszało się, że przecież „Deszcz ranny i płacz panny prędko przechodzą”. Ale, gdy

niebo nie zamierzało się rozchmurzyć, a przychodził dzień świętego Medarda, zaczynano się naprawdę martwić, bo przecież i to pamiętano, że „Kiedy Medard się rozwodni będzie deszczu sześć tygodni”. Wtedy przywoływano stare opowieści o tym, jak to dawno, dawno temu Pan Bóg – wysłuchawszy szczerych i gorących modłów ludzi proszących o deszcz – wezwał do siebie jednego ze świętych starców, akurat nie parającego się żadną niebiańską robotą, by spełnił te ludzkie pragnienia.

– Idź, gdzie proszą – rzekł Pan Bóg.

Skwapliwy święty starzec począł spełnić polecenie Boga, ale – że był trochę głuchy – zrozumiał, że ma iść, gdzie koszą, a nie – gdzie proszą. No i od tego czasu corocznie, gdy ów święty starzec tylko posłysz płynące z ziemi ku niebu brzęczenie kos, natychmiast zsyła na ziemię obfity deszcz.

Niektórzy nazywali te czerwcowe deszcze – świętojańskimi, bo właśnie wtedy zbliżał się czas świętojańskiego przechodzenia wiosny w letni czas. Oczekując upragnionego słońca przepowiadano pogodę z lotu jaskółek, których pełno gnieździło się pod strzechami domów i stodół. Już wychodząc na podwórko, mogliśmy obserwować ptasią krzątanicę wokół gniazd gęsto ulepionych pod dachem Bonarkowego domu i stajni. A ponieważ wiadomo: „Gdy jaskółka lot swój zniża, deszcz się zbliża” więc radowano się, gdy ptasia czereda wzbijała się wysoko, szybując po błękitniejącym niebie. Wszyscy trwali w gotowości i gdy tylko zaświeciło pożądane słońeczko, a ciepły wiatr zwiął mokrą rosę, zabierano się do pracy.

Sianokosy odbywały się zazwyczaj dwa razy w roku. Kosiarze wyruszali gromadnie na zielone łąki pełne kwiecia. W rozchełstanych koszulach, odsłaniających owłosione torsy mokre od potu, szeroko stawiając nogi w „cholewiokach”, energicznym zamachem rąk dzierżących kosy zagarniali wysoką trawę, której intensywny zapach unosił się w przejrzystym powietrzu. Praca była ciężka i wymagała dużych umiejętności. Bohater powieści „Żegnajcie chłopcy” narzekał: „Kosiłem młody potraw. Wiotki i niezbyt gęsty nie chciał się układać w pokosy”³⁹.

Czasem któryś z mężczyzn stawał nagle, gdy spod jego nóg smyrgnął śpiący pod miedzą zajęć, czy poderwał się w górę jakiś maleńki, zaniepokojony o swe gniazdko ptaszek, a zdarzało się też znaleźć ukryte w gęstej trawie nakrapiane białe-brązowe lub niebieskie jajeczka. Wtedy zostawiano dość dużą kępę trawy, by pisklęta mogły mieć spokojny dom. Nikt nie niszczył gniazd ani nie płoszył ptaszków mieszkających w zielonym gąszczu.

Pot zalewał oczy, ale praca szła wartko.

Kosiarze przystawali co chwile, wbijali kosisko w miękką ziemię i garścią trawy przecierali błyszczące w słońcu ostrze. Następnie wyjmowali z drewnianej „babki”, zawieszanej u pasa kamienną „łosołkę” i mocnymi ruchami ostrzyli kosy, by znów pochylić się nad łąką i szerokim zamachem ramion

zagarniać kładącą się na pokosy trawę. Tę, skoszoną wcześniej, trzeba było rozrzucić widłami lub grabiami, by szybciej podeschła.

To najczęściej była praca kobiet. Od rana uwijały się roztrzásając siano, potem jeszcze przewracały je na drugą stronę, a już wysuszone – grabiły na kupki i układały na drewnianych kozłach, lub robiły dość duże kopy, przykrywając je snopem zboża, pełniącym rolę swoistego daszku. Zmęczone i spocone ocierały co chwilę czoło brzegiem fartucha, osłaniającego letnie, kwieciste sukienki. Mężczyźni spoglądali dyskretnie na uwijające się dziewczyny; czasem któryś zaśpiewał znieńacka: „Stary babie dejcie grabie, żeby siano grabała, młody pannie dejcie chłopca, żeby go pokochała”. Dziewczyny chichotały, a robota aż paliła im się w rękach. Dzieci też trochę pomagały, ale szybko się męczyły, więc kładły się na miedzy i gapiły się w niebo, na którym płynące leniwie chmurki układały się w przedziwne historie. Snuły się po tym czerwcowym niebie – co chwilę zmieniając kształty – jakieś skrzydlate anioły i dziwaczne zwierzęta, baśniowe potwory i coraz ciemniejsze bałwany. Czasem zrywał się wiatr, niespodziewanie zaczynało się „burchać”, „ły-skać” i – niestety – już podsuszone siano moczył kolejny deszcz.

Wszyscy znów z troską patrzyli w niebo i z nadzieją oczekiwali pogody, by siano mogło dokładnie wyschnąć.

Codziennie polami ciągnęli ludzie z grabiami na ramieniu, by przewracać, grabić, znosić na jedno miejsce i kopać pachnące, szeleszczące źdźbła. I znów trapiło się, gdy nadciągały czarne chmury gnane wiatrem, a gdy spadał deszcz – rozwalano kopki, rozkładano siano do ponownego suszenia i wszystkie czynności wykonywano od nowa. Zdarzało się, że trzeba je było powtarzać kilkakrotnie, bo burzowe wiatry wciąż niszczyły kopki, porywały garście siana i rozrzucały po polach.

Zdarzały się też takie lata, że ledwo udało się wykraść siano pomiędzy deszczami i zwieźć je do stodoły; wtedy – niestety – bywało podgniłe, czarniawe, zaparzone, o stęchłym zapachu. A przecież stanowiło tak ważny pokarm dla zwierząt w czasie długich, zimowych miesięcy. Trapiło się również o ziemniaki, bo na skutek częstych deszczów gniły. Taką sytuację przedstawia Mikołajek:

„Przed południem deszcz przestał padać. Ojciec wyjrzał przez okno.

– Emil, tam pewnie woda w ziemniakach stoi. Pospuszczaj i popraw kopki.

Poszedłem. Kopki stały nienaruszone. Spuściłem wodę z ziemniaków... Usiadłem pod krzyżem na małym wzgórku przy ścieżce. Ćmiąc papierosa siedziałem ze spuszczoną głową. W rękach ścisnąłem stojącą przede mną łopatę”⁴⁰.

Przywiezione w drabiniastych wozach siano składowano w stodole lub na strychach domów. W lecie – pachnące i delikatne – było też dla wielu, zwłaszcza młodych, ulubionym miejscem do spania. Pilnowano tylko, by nie było zbyt

świeże, bo intensywne zapachy mogły odurzyć śpiącego. Najczęściej rozkładało tylko prześcieradło i przynoszono jakiegoś „jaśka”, ale czasem wstawiano na strych nawet łóżko, które wypełniano świeżym sianem. Mikołajek pisze o młodym drwalu Metysie, który nocował na strychu w domu Saszki: „Ledwie zdążył zjeść jabłko, których stos leżał obok łóżka – zasnął.”⁴¹

Wielu mieszkańcom wioski mojego dzieciństwa przechowywane na strychu siano pachniało również schowanymi w nim zimowymi jabłkami i smacznymi kolbami kukurydzy. Stanowiło też dodatkowe ocieplenie domu, ale – niestety – było łatwopalne i niekiedy jakaś zabłąkana iskra z komina powodowała tragiczny pożar.

A czerwiec dojrzewał. Biegaliśmy do kościoła na czerwcowe nabożeństwa poświęcone Sercu Pana Jezusa. Wzdłuż drogi wyciągały do nas swe rosochate ramiona stare, znajome wierzby, których pnie okrywała szara kora pełna guzów, głębokich bruzd, skaleczeń, a niekiedy wygniłych dziupli, z których wysypywało się brązowe próchno. Na gościńcu zalegał gruby kożuch pyłu, który wzbijał się w powietrze, lub błotniste kałuże ochlapujące nasze nogi. Na otaczających polach wciąż jeszcze królowała soczysta zieleń. Gdźieniedzie kwitła białą pianą tatarka, zwabiająca roje pszczoł i pachnąca odurzająco, to znów błękitniały zagonki lnu, jakby płachty opadłego na ziemię nieba. W „Górach” witały nas kępy olszyn i wikliny, jakieś kolczaste krzaki głógów i dzikiej róży, tarniny i czeremchy, parę krzywych brzoźek, wyróżniających się z kłębowiska zieleni bielą kory, gęste zarośla wielkolistnych łopianów i gorzkich piołunów. Zbliżając się do kościoła, za wysokim płotem Babczynów czyściło się buty szmatką zabieraną z domu; niektórzy dopiero tu zakładali buty – oczywiście „na przyboś” – po starannym wytarciu nóg przyprószonych pyłem gościńca lub zabłoconych na tej drodze, zawsze pełnej wybojów i kałuż. Przemierzali ją „na bosoka”, bo buty należało szanować.

Ale już rozkolebany dzwon wzywał swym czystym, dźwięcznym głosem do pośpiechu, a z kościelnej wieży, błyszczącej w blaskach czerwcowego słońka, zrywało się w trzepotach i krakaniach czarne stado wron. Na kościelnym dziedzińcu górował dostoyny, czarny krzyż misyjny, a w gęstwinie liści wysokich drzew okalających kościół krył się łagodny cień.

Wracało się już wieczorem, wśród śmiechów i gwaru. Czasem spośród gałęzi wierzb rzucających na gościniec swe pękate cienie wyfruwał nagle wielki czerwcowy chrabąszcz i z warkotem skrzydeł przelatywał tuż obok naszych głów. Schwytyany nieruchomiał, a jego brunatno-szary pancerz był twardy i chłodny. Wypuszczony, tkwił jeszcze chwilę nieruchomo, aby powoli rozprostować skrzydełka i niespodziewanie, pospiesznie zerwać się i odlecieć w gęstniejący mrok.

Już na progu domów domagaliśmy się jedzenia i ściągaliśmy odświętne ubrania i buty, bo latem „koło domu” biegaliśmy boso. Tylko do szkoły czy

kościół zakładaliśmy „tanisówki”, sandały zwane „łopankamy” lub „gdynkamy”, a w jesieni i w zimie – trzewiki. Te trzewiki nie były ocieplane więc – mimo grubych, wełnianych skarpet – marziliśmy strasznie i potem, gdy robiło się ciepło, wygrzewaliśmy na słońku poodmrażane, sinoczerwone paluchy. „Kościółowe” dziewczynskie sandały stały zazwyczaj w szafie; zakładało się je w niedzielę na wydziergane przez nasze babcie białe, ażurowe, niciane podkolanówki, ciągle opadające, mimo ściągających je pod kolanem, wciągniętych w specjalne dziurki sznureczków z „kucotkami”. Zaraz po przyjeździe z kościoła zrzucało się je z ulgą i biegło w sfatygowanych „gdynkach” lub boso do ważnych dziewczynskich zabaw. Również chłopcy uwielbiali „ganiać na bosoka”, czasem nawet do szkoły, o czym wspomina Aleksander Bacher:

„Przez lato do szkoły boso się biegło.
Cóż to była za frajda, zwłaszcza kiedy lało.
Po błocie, wodzie, po mokrym trawniku
Biegło się podczas ciepłego deszczu”⁴².

Po błotnistym zazwyczaj bobrowskim gościńcu rzadko jeździły furmanki, prawie nigdy – auta. Chodziło się pieszo, przeskakując kałuże lub wzbijając kurz; po drodze płątały się często kaczki, gęsi i kury, tędy też goniliśmy na pastwiska nasze krowy.

Emil z „Sielanki”, który spotkał się z chłopakiem oferującym mu broń, wspomina: „Wyszliśmy na drogę: pełną kurzu, kamieni i dołów [...]. Upał trochę zelżał. W szklistych bajorkach taplały się gęsi”⁴³. I dalej: „Do wsi przyszedłem o zmierzchu. Kurz drogi przesypywał się pod racicami krów. Chałupy stały w otoczce cienia i drzew”⁴⁴.

W niedzielę drogą spacerowały panny, chichocząc i nieśmiało, choć troszkę zaczepnie zerkając na chłopaków. W odświętnych ubiorach, starannie wypranych, wykrochmalonych i wyprasowanych, starały się wyglądać pięknie, choć w tamtych czasach powszechnej biedy, szarości i brzydoty było to niezwykle trudne.

Wojciech Solorz pisał: „W tych przasných, szarych, smutnych czasach, szare były także dziewczyny [...]. W prasie, w kinie, na plakatach i w pieśniach masowych, nadawanych przez głośniki aż do znudzenia, od wieczora do rana, królował typ traktorzystki i przodownicy pracy”⁴⁵.

Dziewczyny z wioski mojego dzieciństwa rzadko chodziły do kina, nie miały też czasu słuchać radia czy myśleć o modnych ubiorach; najczęściej ciężko pracowały, pomagając rodzicom w gospodarstwie, niańczyły młodsze rodzeństwo, przygotowywały ślubną wyprawę, uczyły się krawiectwa, gotowania, pieczenia, haftowania, przędzenia, robienia na drutach czy na szydełku. Były zajęte od rana do nocy. Ale zawsze znajdowały parę minut, by jakoś przyozdobić bluzeczkę czy sukienkę, wydziergać kolorowe rękawiczki, czapkę czy szalik, poczernić brwi węgielkiem dobytym z pieca, poszczypać

policzki, by były bardziej rumiane, twarz posmarować kremem „Śnieg Tatrzański”, a wargi – miodem.

Umiały też pięknie się uśmiechać, chodziły prosto, z wdziękiem i z głową do góry, choć obcasy ich odświeżnych bucików grzęzły w błocie albo zapadały się w piachu gościńca.

Mimo biedy i tej szarości codziennego bytowania bywało wesoło, chciało się żyć, kochać, „zdobywać góry”! Bo „PRL oznaczał również to, że słońce wschodziło i zachodziło, że poeci pisali wiersze, ludzie się kochali”⁴⁶.

Chłopaki spoglądali na spacerujące dziewczyny, upatrując tej jedynej. W niedzielne popołudnia zazwyczaj zbierali się na podwórku jednego z nich, przywozili tam beczkę piwa, po czym wkładali w zaczipowane miejsce „pipe”, podstawiali musztardówki i spijali złocisty napój, zdobiący ich w wąsy z obfitej piany. Następnie rozsiadali się wygodnie na trawie w swych białych koszulach wykrochmalonych i uprasowanych przez troskliwe mamy, w niedzielnych „portkach” w kancik, często też w siatkowej czapeczce na włosach, zrobionej szydełkiem z kolorowej włóczki.

Gdy było zbyt gorąco, zdejmowali koszule i układali je delikatnie na trawie, pozostając w „siatkowych” białych podkoszulkach, które były nieodzownym elementem męskiego ubioru. Gładko wygoleni ostrą brzytwą lub nowoczesną maszynką zaopatrzoną w żyłkę „Rawa Lux”, pachnąc „Wodą Brzozową”, lub „Przemysławką” – która, jako modna wówczas woda po goleniu była w powszechnym użyciu, a której niezbyt wytworna woń już mieszała się z potem i zapachem piwa – pogadywali wesoło i sączyli boski napój, aż beczka była całkiem pusta. Bo przecież i tak na drugi dzień piwo zmieniłoby się już w zwietrzałe „chlapy”, którymi gardził prawdziwy mężczyzna.

Ktoś otwierał – pobijając otwartą dłonią w dno butelki – „ćwiortecke cysty”, ktoś przywoływał idącego drogą sąsiada. Humory dopisywały wszystkim. Na tle błękitu kołowały gołębie, co chwilę sfruwając na podwórko po rozsypane dla nich ziarenka pszenicy i głośno trzepocąc skrzydłami, zagłuszały wesołe rozmowy i coraz głośniejsze śpiewy. Szczególnie jeden z chłopaków – naprawdę uzdolniony muzycznie – ciągle przeżywał jakieś perypetie miłosne więc po kilku piwach rozmarzał się i zawodził basem: „A gdy ty luba zdradzisz mie, karabin kupie sobie i powyszczyłom wszystkie panny złe, a sobie nic nie zrobie”. I gotów był chyba przekuć słowa w czyn, bo jak wszyscy chłopcy bobrowianie był hardy, honorny i zawadiacki. Ale zapał szybko przeradzał się w znużenie i rezygnację, a zgodnie z powiedzeniem, że „Co nagle, to po diable”, sięgał po kolejną relaksacyjną porcję przyniesionej z domu samogonki. Niektórzy już nawet podrzemywali, inni zaczęli zbierać się do domów, bo zbliżał się czas kolacyjnej zacierki.

Mikołajkowy bohater Emil wspomina: „Nazajutrz była niedziela. Po południu pierwszy raz od wielu dni poszukałem kolegów. Piliśmy samogon,

„zagryzając” surowymi jajami. Pod wieczór odsunąłem szklanę i mimo protestów wyszedłem. Słońce prześwitywało między drzewami i wśród budynków. Drogą spacerowali ludzie”⁴⁷.

Czas niedzielny płynął leniwie. Nad strzechami pełnymi gołębi, które czasem zrywały się do krótkiego lotu pod pogodnym, wysokim niebem, by znów powrócić na placyk przed stodołą, ciągnęły się pasemka dymów, w kącie podwórka na nigdy nie koszonej trawie, gdzie rosły bujne pokrzywy i inne „habazie” wylegiwał się rudy kocur, a od rzeczki nadciągał orzeźwiający wieczorny chłodek. Na gościńcu rozsiadły się wydłużające się coraz bardziej cienie przydrożnych wierzb. Było dobrze, spokojnie, niedzielnie.

Żonaci mężczyźni zbierali się po kilku na mostkach i pałac skręty rozprawiali o polityce, po czym najczęściej dołączali do „kawalyrki”, by pomóc w opróżnieniu beczki i pojawiających się – nie wiadomo skąd – nowych butelek wódki. Nawet bez kieliszka dawano sobie radę. „Każdy pociągał z butelki, wycierał szyjkę rękawem i podawał drugiemu”⁴⁸.

Niektórzy wyciągali z szop jakieś stare, zdobyczne rowery i z namaszczeniem przejeżdżali gościńcem do znajomych. Jeden z wujków miał poniemiecką damkę z zakrzywionymi – jak baranie rogi – „kieramy”, na której dumnie paradował. Zanim wsiadł na rower, starannie zapinał szerokie nogawki spodni specjalnymi wielkimi klamerkami, by nie wpłatywały się w „sprychy” i dostojnie ruszał, podnosząc wysoko kolana. Rower skrzypiał niemiłosiernie, choć wujek dbał o niego; ciągle coś reperował, podmalowywał, oliwił, łątał dętki, poprawiał spadający łańcuch.

Dzieci bawiły się na podwórkach, a czasem też próbowały jazdy na rowerze, zabranym po kryjomu, gdy dorośli zajęci byli jakimiś ważnymi sprawami. Natomiast dorosła kobieta pedałująca na rowerze była zjawiskiem tak rzadkim, że niekiedy wołano domowników, by biegli zobaczyć to dziwo: – Patrz, baba jedzie!

Dziecięcych rowerków oczywiście nikt nie miał, a nauka jazdy na dużym rowerze – zwłaszcza „męskim” – wymagała nie lada sprytu. Trzeba było rozpędzić pojazd, po czym, opierając jedną nogę na pedale wygiąć ciało tak, by zręcznie wsadzić drugą nogę pod ramą czyli „rurkom” na przeciwległy pedał i – po złapaniu równowagi – w tym ekwilibrystycznym przegięciu zażywać rozkoszy jazdy. Wyższe dzieci przerzucały nogę nad ramą i kolebiąc się na obie strony dla zachowania równowagi, jechały „na stojąco”, bo nie sięgały na siodełko. Najczęściej takie zabawy kończyły się bolesnymi upadkami, choć i mistrzów nie brakowało. Ale „upadły” delikwent, choć czasem długo leczył rozbite łokcie i kolana, na których rosły „piętrowe” strupy, był i tak szczęśliwy, gdy rower wychodził z opresji cało i gdy udało się uniknąć lania. Choć wiele razy w takich sytuacjach bardzo chciało się płakać, to zaciskało się zęby, bo wstydem było okazywanie słabości. Zresztą – jak słusznie mó-

wiono – jaki by nie był powód do łez, w końcu i tak trzeba było wytrzeć nos. I było się szczęśliwym, bo przeżyło się ciekawą przygodę, a czasem jeszcze widziało podziw i zazdrość na twarzach rówieśników. A dorośli byli przyzwyczajeni do oglądania naszych porozbijanych kolan. Dawali nam, dzieciom – dużo swobody, z której skwapliwie korzystaliśmy.

Tak więc niedziela była dniem wyjątkowym, zupełnie innym niż szare dni codzienne. Najpiękniejszym, gdy świeciło słońce. Już od rana otwierano na oścież drzwi, wychodzono na podwórze, pogadywano z sąsiadami idącymi do kościoła. Wszyscy byli odświętnie ubrani, czasem słychać było – oprócz codziennego gdakania kur czy porykiwania bydła – głośną muzykę z radia lub skoczne melodie wygrywane przez któregoś z chłopaków na harmonii lub na „torgance”. Dzieciaki – też odświętnie wystrojone – biegały po podwórkach; trochę niemrawe, bo pilnie uważające, żeby się nie pobrudzić. W powietrzu, w rozmowach, w zachowaniach ludzi było coś uroczystego, dostojnego i radosnego; czuło się atmosferę święta, ludzie byli wobec siebie życzliwi, czas płynął leniwie, nikt się nie spieszył. Bo jak napisał jeden z poetów: „W niedzielę nawet ptaki latają wolniej”.

Prawie w każdą taką niedzielę odwiedzała nas ciocia Staszka pracująca w pustkowskiej „Lignozie”. Częstowana upieczonym na niedzielę drożdżowym plackiem z kruszonką czy „kisielowcem”, który ojciec żartobliwie nazywał „mękolem” lub „papierzokiem”, bo niekiedy przylepiał się do podłożonego na blaszce pergaminu – piła cieką herbatę „z wiankiem”, czyli nalaną po sam wierzch szklanki – pomagającą łatwiej przełknąć kolejny kawałek tego domowego wypieku.

Zwłaszcza ów kisielowiec był w biednych latach pięćdziesiątych szalenie modnym rodzajem taniego, biszkoptowego placka. Do mąki dodawało się kisiel w proszku: pomarańczowy, malinowy czy wiśniowy, który nadawał ciastu ładny kolor – żółciutki lub różowy, ale powodował, że stawało się suche, jakby pyliste, koniecznie wymagające popijania.

Ciocia – zawsze modnie ubrana – w cieniutkich pończochach nylonowych, w filcowym „kepi” na głowie, w butach na „klockowym” obcasie była dla nas źródłem wiedzy o eleganckim świecie, czyli o obyczajach panujących na fabrycznym osiedlu w Pustkowie. Rozsiadając się wygodnie w prześwietlonej słonecznym blaskiem izbie, opowiadała o paniach dyrektorowych, które były wyroczniami i forpocztami mody, nowoczesnych fryzur czy zachowań. Pokazywała, jak „nienormalnie” kołtunią sobie grzebieniem włosy i tylko lekko je potem zaczesują, a taka „napompowana” fryzura nazywa się „tapirem”. Darowała naszym szmacianym lalkom cudownie kolorowe, mieniące się barwami skrawki pięknej tafty, z której owe damy szyły sobie najmodniejsze kreacje.

Wtedy to zapragnęłam być krawcową i nauczyłam się nawet szyć na maszynie – starej, ale niezawodnej „singerówce” – posagu mamy, który babcia Józia przed laty też otrzymała jako ślubne wiano. „Singerówka” – którą posiadało też kilka bobrowskich krawcowych – pochodziła z początku wieku i była na owe czasy cudem techniki. Niedługo wcześniej, bo w 1885 roku ten wynalazek, zwany ze względu na kształt „grzbietem żółwia” lub koniem, otrzymał pierwszą nagrodę na światowej wystawie w Paryżu.

Jej konstruktorem był Niemiec Isaac Singer, stąd jej nazwa. Wdrożona do seryjnej produkcji wkrótce zyskała międzynarodową sławę. Była niezwykle pożytecznym sprzętem w naszej kuchni; miała żelazne, pełne zdobnych zawijasów nogi i piękne, drewniane pudło – pokrywę z inkrustowanego w kwiatowe wzory, kolorowego drewna. Solidna, niezawodna, precyzyjna, długie lata służyła kolejnym pokoleniom jej szczęśliwych nabywców. Niestety, nie zostałam krawcową, jak moja babcia Józia, gdyż okazało się, że nie było to takie łatwe, a i talentu nie stało.

Nauka tego zawodu trwała nawet kilka lat. Terminowało się u sprawdzonej mistrzyni igły i nożyczek. Ponieważ było wiele chętnych dziewczyn – bo przecież na ówczesnej wsi nie było wielu możliwości zdobycia jakiegoś ciekawego zawodu – uznana krawcowa mogła wybierać i mieć duże wymagania. Uczennice przez długi czas wykonywały żmudne prace ręczne: pruły stare ubrania przeznaczone do przeróbki, fastrygowały, obszywały „łobrombki”, podwijały „lystwy”, „dzirgały” dziurki, przyszywały guziki, haftki i zatrzaski, wiązały nitki, sprzątały ścinki, rysowały formy, brały miarę, ustalały i zapisywały terminy przymiarek, prasowały gotowe ubiory.

Krawcowe mające uczennice wymagały od nich sumienności, dokładności, posłuszeństwa i nienagannego zachowania. Nie pozwalały na zmarnowanie nawet kawałeczka materiału czy nici. Żądały, by nitki użyte do fastrygowania wykorzystywać jeszcze raz, by ze skrawków odciętego materiału szyć jakieś drobne ciuszki, np. dla dzieci, by po pracy sprzątać izbę i przygotować materiały na następny dzień.

Dopiero pod koniec „terminowania” uczennice mogły wykonywać bardziej odpowiedzialne, samodzielne prace: szyć na maszynie, kroić materiał, wykonywać drobne zamówienia klientek – uszyć poszewkę na poduszkę, kuchenny fartuszek czy dziecięcą koszulkę. Szefowe – uczące tej i innych profesji – niezbyt chętnie patrzyły, jak pod ich boki rośnie konkurencja, dlatego bardzo powoli przekazywały różne tajniki swego zawodu.

Wiejskie dziewczyny rzadko kończyły jakieś profesjonalne szkoły czy kursy. Na taki – aż do Warszawy – wyjechała w styczniu 1939 roku nasza mama, ale rosnące nastroje wojenne, tęsknota oraz poczucie obcości i zagubienia w wielkim mieście sprawiły, że po miesiącu wróciła do domu.

Kobiety wiejskie codziennie miały pełne ręce roboty zarówno w domu, jak i w zagrodzie, bo każda praca w polu musiała być wykonana w odpowiednim terminie, bydło nie znało święta ani niedzieli, małe dzieci wymagały ciągłej opieki, a wszyscy domownicy czekali na ciepłą strawę, czystą odzież i dobre słowo. Gdy mężczyźni po niedzielnym obiedzie wychodzili z domu „na baciarkę”, one jeszcze miały wiele obowiązków. I było jak w starym porzekadle: „Koza do woza, wół do karety, baba do garów, a chłop do fety”. Ale i kobiety choć na chwilę biegły do sąsiadki na niedzielne babskie pogaduchy; siadały w ogródkach, na schodkach, czy na wygniecionej bosymi stopami trawie i w cieniu starych drzew dających błogosławiony cień opowiadały o dzieciach, o krewnych i znajomych, udzielały sobie wzajemnie porad dotyczących kuchni i gospodarstwa, komentowały audycje radiowe i plotki z wielkiego świata wyczytane w gazetach.

A w szerokim świecie było tyle ciekawych wydarzeń, które przypominały bajki dla dorosłych! Bo oto piękna aktorka amerykańska Grace Kelly – będąc na festiwalu filmowym w Cannes – poznała księcia Rainiera z Monaco; niedługo potem poślubiła go i zamieszkała w cudownym pałacu, a znowu austriacka księżniczka Soraya oddała rękę i serce niewyobrażalnie bogatemu szachowi Iranu Rezie Pahlawi.

Słuchaliśmy tych niezwykłych historii i wraz z naszymi mamami śledziłyśmy dzieje tych wybranek losu. „Przyjaciółka”, którą co tydzień przynosił listonosz Radziszewski, wciąż dostarczała nowych wieści: księżna Kelly rodziła kolejne dziecko, a potem nagle zginęła w strasznym wypadku samochodowym, to znów Soraya – daremnie starająca się urodzić mężowi męskiego potomka – musiała się zgodzić na rozwód i odejść od kochanego mężczyzny. Te sensacje czytało się z zapartym tchem i przekazywało sąsiadkom, wzruszającym się losami tych nieznanych postaci. A choć prócz wielkich miłości, wspaniałych przygód, niezwykłych karier gdzieś tam zdarzały się wielkie tragedie, to nawet one miały jakiś pociągający urok. Świat odślaniał przed nami nowe, niezwykle barwy. Gdy wszystko wokół było liche i brzydkie: dominowały bure kolory, tandetne materiały, bieda, lichota, szarość codziennego dnia, to każdy okrucieństwo innej rzeczywistości poznanej z gazet czy radia był jak powiew wiosennego wiatru.

Zbierało się wycięte z gazet kolorowe zdjęcia aktorów, a także zdobyte gdzieś ładne pudełka, czy metalowe puszki po kawie przysłanej w paczce z USA, które stawiało się jako najpiękniejszą ozdobę na kredensie. Świeciły tam jak brylanty wśród tandetnych ozdóbek kupionych w jakimś dębskim sklepie lub na jarmarku.

Marzeniem kobiet były też kreacje, jakie nosiły aktorki oglądane na zdjęciach, natomiast marzeniem każdej dziewczynki był „strój krakowski” z ozdobnym gorsetem. Te gorsety – pięknie haftowane cekinami i koralika-

mi, a także wyszywane kordonkiem – były tak cenne jak prawdziwe korale dla dorosłych kobiet. Takie piękne korale miała jedna z sąsiadek. Nie nosiła ich; wisiały na ścianie jako ozdoba świętego obrazu, a potem zostały przez nią zawieszone jako cenne wotum na ramie obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, który odwiedzał naszą parafię.

Nie mając oczywiście takich koralików, nosiłyśmy do gorsetu koraliki z kolorowych szkiełek, tak kruchych jak choinkowe bańki. Zawiazane na karku czerwoną wstążeczką pięknie się błyszczały i bardzo nam się podobały, szczególnie, gdy były duże i składały się z kilku sznurków; każdy innego koloru. Dumnie „paradowałyśmy” w nich, tak jak wszystkie nasze koleżanki.

Babcia śpiewała:

„Wiejska dziewczyna w tym wiejskim stroju najładniej wygląda w świecie,
Jako na miedzy ta róża polna, jako to łąkowe kwiecie.

Spódniczka na niej suto marszczona, gorset wyszywany w kwiaty,
Włosy w warkocze równo splecione, a w tych warkoczach bławaty.
Jeszcze fartuszek w pasie związany, na głowie chusteczka krasna,
Sznury koralików dokoła szyi, a twarz pogodna i jasna.

Bo babcie matuś tak się nosiły i ja też kocham te stroje,

Te stroje piękne, jasne i proste, jak proste jest serce moje”.

Gorsety zakładało się do sypania kwiatków, gdy nosiło się święte figury czy chorągwie na procesjach, podczas ważnych wydarzeń np. przy powitaniu księdza biskupa, w czasie występów na uroczystościach szkolnych czy na dożynkach. W niedzielę po gościńcu spacerowało się w batystowych, kwiecistych sukienkach lub w białych bluzkach – często przez siebie wyhaftowanych – i w kolorowych spódnicach.

Gościniec był miejscem bezpiecznym nawet dla dzieci, bo przecież rzadko przejeżdżał tu jakiś pojazd. Konie zaprzężone do furmanek szły zazwyczaj stępą, więc powożący „furmon” mógł w każdej chwili zatrzymać wóz. Dlatego nawet maluchy wysyłano do sklepu czy do krewnych, nie obawiając się o ich bezpieczeństwo. Zdarzały się jednak wyjątki.

Niekiedy gospodarz, wracając z miasta czy z pola konnym wozem, wstępował do sklepu, by pokrzepić się „bąckiem” lub nawet „półtyterkiem” wódki, którą spożywał na miejscu, po czym wtarabaniał się na furę i zaczynał drzemać, a konie – wiedzione instynktem – wracały nie pilnowane do domu. Gdy jednak odzywała się w woźnicy „ułańska fantazja”, wtedy wywijał batem zmuszając swe Siwki czy Kasztanki do galopu, co było już bardzo niebezpieczne dla uczestników ruchu drogowego. Zdarzało się też, że konie płoszyły się niespodziewanie i pędziły przez wieś na złamanie karku – z szalonymi ślepiami i grzywami rozwiewanymi przez wiatr – trając wszystko po drodze, czasem nawet łamiąc dyszle, orczyki, drewniane koła z metalowymi obręczami czy własne nogi.

Na gościńcu pojawiały się też rowery, jadące powolutku po wertepach i nawianym piachu, a czasem przejeżdżał jakiś zdezelowany samochód osobowy nazywany u nas „taksówkom”, wzbijając tumany kurzu lub rozchlapując błoto i głośnym klaksonem rozpędzając pałętający się po drodze drób. Wprawdzie podwórka ogrodzone były płotami, ale niesforne kury, kaczk i gęsi przełaziły niekiedy między sztachetami lub korzystały z niedomkniętych przez nieuwagę wrót i spacerowały po gościńcu. Prawie zawsze zdążyły zrejterować przed wolno człapiącymi w zaprzęgu końmi czy innymi pojazdami. Gdy jednak zdarzało się, że szofer nie potrafił na czas zahamować, wtedy – „łobżałowane” przez „lobidząco” gospodynię – stawały się niedzielnym smakowitym obiadem.

Dzieciaki przyglądały się ciekawie pojawiającym się autom; szczególnie uradowani byli chłopcy, rozprawiający ciągle o samochodach i motocyklach, i pewnie marzący, że kiedyś zdobędą takie чудо.

Któregoś lata jakąś zdezelowaną „warszawę” kupił brat Ceśki, Staszek. „Warszawa” była dumą naszego młodego ludowego państwa. Był to pierwszy samochód zbudowany w 1951 roku w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu. Jej pierwowzorem była radziecka „pobieda”, ale konstrukcja i nadwozie przypominały bardzo amerykańskiego „chevroleta”, bo Rosjanie korzystali z planów wykradzionych Amerykanom. Ta Staszkowa – choć była zardzewiała i zniszczona – budziła powszechny podziw i respekt.

Młody „konstruktor” potrafił ją „ożywić” i zapraszał nas na przejażdżkę drogą do Nagoszyna, co było powodem naszej nieklamanej radości i dumy. Auto nie miało klaksonu, więc trąbiło się odpustową trąbką, przez dziurawą podłogę można było oglądać kałuże na gościńcu, a nawet można było sobie uciąć krótką rozmowę z przechodzącym akurat mieszkańcem wioski, bo tempo jazdy było iście spacerowe. Ale to jednak był szpan!

Wzdłuż gościńca usytuowane były bobrowskie domy. Od drogi oddzielały je „krzykopy” i „łobeścia” ogrodzone płotami z drewnianych kołków i „żyrdki”. Niektóre domy stały trochę głębiej i wtedy prowadziły do nich wąskie dróżki.

Bohater Mikołajka wspomina: „Kroczyłem piaszczystą dróżką, która prowadziła z gościńca do naszej chałupy. Na obejściu leżał cień budynków i dębu, ale pola były jasne od słońca”⁴⁹. Tak właśnie był usytuowany dom matki Mikołajka, a pola, które zaczynały się tuż za stodołą, ciągnęły się aż do ulubionych przez niego Olszyn.

Niektóre chałupy miały już wiele lat i wyglądały tak, jak ta, opisana przez Wandę Żółkiewską: „Stała [...] szara i nędzna. Szcerniała od wilgoci strzechy liniała jak stary pies na wiosnę, a małe, z bardzo grubych desek drzwi garbiły się od starości. Nawet szybki w oknach nie były przejrzyste, a tylko jakieś zielonkawe i chropowate. Przed domem stała sękata łąwa, samotna,

bezczyнна. Żadnego kwiatka ani śladu ogródka. Zdziczała wiśnia wiązała drobniutkie owocki”⁵⁰.

Wkrótce po wojnie zaczęły w mojej wiosce powstawać nowe, ładne, funkcjonalne domy. Oczywiście królowały te drewniane, parterowe, bo piętrowe kamienice powstawały zazwyczaj tylko w miastach.

Najpierw kupowano w korzeniowskim lesie drzewo, które musiało się długo suszyć; następnie je ociosywano siekierami, cięto piłami, a na końcu wznoszono z uzyskanych bali ściany i konstrukcję dachu. Przywożono z Wiśłoki żwir i kupowano pyliste wapno, które „gaszono” w specjalnie wykopanych dołach, dolewając wodę i mieszając tak długo, aż się „zlasowało”, czyli zrobiło się gęste, „serowate”. Przywożono przydziałowy cement i składowano go w suchym miejscu, by nie skamieniał.

Dawniej, gdy domy pokrywano strzechą, trzeba było przygotować prostą, długą słomę żytnią, którą wiązano w tzw. „kicky” i równiutko przycinano. Układanie i mocowanie takiej strzechy wymagało dużych umiejętności, by dach był szczelny i zabezpieczał przed deszczami, śniegami i zimnem. Przegniłe, zniszczone wiatrem, opadami, czy upływającym czasem dachy naprawiano, łątając ich fragmenty świeżą słomą. Ale nowo powstające budynki już przykrywano dachówką, którą wykonywano najczęściej samodzielnie, wykorzystując specjalne, metalowe formy.

Robiono też pustaki, choć ściany domów wciąż najczęściej wznoszono z drewnianych bali. Pustaki trzeba było po uformowaniu suszyć na słońcu i chronić przed uszkodzeniem przez kury czy gęsi. To pilnowanie było zmartwieniem dla dzieci, bo czasem niespodziewanie jakiś Burek czy Mruczek nagle wbiegał na zakazany teren i niszczył nie wyschnięte jeszcze pustaki, za co obrywało się zawsze burę, a czasem i lanie, bo praca przy ich wykonywaniu była bardzo ciężka i żmudna.

Domy budowano sposobem gospodarczym, przy pomocy krewnych i znajomych. Spontanicznie i ochoczo zgłaszali się chętni do najcięższych prac ziemnych i budowlanych. Zaczynano od wykopywania i „szolowania” fundamentów, czyli obijania deskami ścian wykopu w celu ich wzmocnienia. Następnie ubijano cementowe fundamenty, robiono – najczęściej z pustaków – podmurówkę, a na niej budowano ściany z drewna, a czasem z cegły lub też z pustaków. Tylko do wyjątkowych prac zamawiano specjalistów: cieślę, tynkarza, stolarza czy dekarza. To też byli mieszkańcy mojej wioski. Kilku z nich było prawdziwymi mistrzami, wprost artystami w swym fachu, jak np. wujek Władek, który pracował przy budowie wielu domów w wiosce mojego dzieciństwa; wykonywał też wiele prac ciesielskich i stolarskich: okna, drzwi, a nawet meble i beczki. Choć jego ręce były czerwone, opuchnięte, żylaste i pełne śladów po różnych skaleczeniach, potrafiły niezwykle

precyzyjnie, starannie i akuratnie wyczarowywać drewniane przedmioty – trwałe, praktyczne i bardzo ładne.

Znany pisarz Wiesław Myśliwski tak pisze o ważnej roli stolarzy, których sława była trwała jak dzieła ich rąk. „Sława stolarska bywa na ogół trwalsza niż wiele innych sław [...]. Sława stolarska trwa przynajmniej dotąd, dopóki te okna, te drzwi, meble służą ludziom, a bywa, że służą przez pokolenia. Kto wie, czy sławy stolarskiej nie można by porównać ze sławą odkrycia, że ziemia jest okrągła. Przesadzam? Z pewnością, lecz cóż ma człowiek z tego, że przestała być płaska? Czy to mu w czymś ulżyło, czy, powiedzmy, mniej cierpi?”⁵¹.

A domy budowano w wielkim trudzie. Nie było przecież specjalistycznych maszyn czy urządzeń. Sąsiedzi, znajomi i krewni przynosili z domu swoje narzędzia: łopaty, młotki, siekiery. Prymitywne rusztowania, krążek ze sznurem do podawania mały, drabina, kaster do mieszania zaprawy zwany też „kajfoszem”, druciana siatka na ramie czyli „rafka” do przesiewania piasku, kozioł do noszenia cegieł, taczki i ręce – zawsze chętnych do pracy budowniczych – wystarczały, by powstał kolejny, nowy dom.

Słońce brązowiło spocone twarze i nagie torsy, bolały grzbiety i nogi, ale w rękach budowniczych uzbrojonych w drewniane pace, pion czyli „wasserwoge”, w kielnie i młoty aż paliła się robota. Nawet z gościńca słychać było pokrzykiwania murarzy pracujących na rusztowaniach. Rosły ściany, a na nich umieszczano konstrukcję dachową, którą pokrywano dachówką. Na szczycie nowego dachu zwanym kalenicą zawsze przymocowywano bukiet kwiatków zerwanych z ogródka, czyli „wiche”. Była znakiem ukończenia budowy i znamionowała czas poczęstunku dla wszystkich pracujących, zwanego właśnie „wichowym”.

Mężczyźni rozsiadali się na trawie, szczęśliwy gospodarz częstował wódką pitą z jednego kieliszka krążącego wokoło, a gospodyni przynosiła na wielkim talerzu kanapki z serem, kiełbasą i ogórkiem kiszonym doprawione pieprzem i szczyptą musztardy.

Nie płacono pieniędzy. Pracowano za „Bóg zapłać” wiedząc, że – gdy zajdzie potrzeba – każdy będzie mógł też skorzystać z takiej sąsiedzkiej pomocy.

O budowaniu swego domu tak pisze Bronisław Harla: „Zabrałem się do odbudowy spalonego domu [...]. Na wsi nikt nie czeka na pomoc z nieba. Tylko każdy, jak może, tak się stara. Nie doje, nie dośpi, nie ogląda się na pomoc, lecz dąży do swego i swoje robi. Ja nie miałem żadnych pieniędzy, bo skąd? Drzewa na dom też nie można było normalnie kupić, bo to były lata 1946-1947. Przydziałów żadnych. Ale miałem żróbka, którego sprzedałem za dobre pieniądze, bo był dorodny. Zdobyłem trochę gotówki [...]. Z wielkim trudem zgromadziłem wszystkie materiały na budowę domu. A wszystko prywatnie i za gotówkę. Dom wystawił mi wówczas sąsiad, Władysław Węgrzyn. To znaczy on tylko mierzył, obliczał, zaznaczał ołówkiem, a tzw. za-

rzynanie oraz ociosywanie, a także dźwiganie drzewa na zrąb [na powstającą z układanych bali ścianę], to wszystko robiłem już ja z synem Czesławem. Wreszcie dom stanął pod dachem.”⁵².

Do zamieszkania w takim nowym domu jednak było jeszcze daleko. Uszczelniano więc szpary między kolejnymi belkami ścian mchem przywiezionym lasu w Korzeniowie, umieszczano od środka metalową siatkę zwaną „rapiwą”, obijano ściany palmą czyli trzciną, a dopiero potem je tynkowano i bielono gaszonym wapnem, do którego dodawano troszkę siwej ultramaryny służącej też do wybielania tkanin. W taki sposób powstawał i nasz dom – oczywiście – drewniany, pokryty dachówką, tak jak inne, budowane w tym okresie.

Tak rodziła się w wiosce mojego dzieciństwa nowoczesność, choć jeszcze długo w jej krajobrazie dominowały strzechy; strasznie łatwopalne, bo byle iskra powodowała groźne pożary. Zdarzały się też dachy – zwłaszcza jakiś obórek czy szop – kryte papą.

Po wykonaniu prac związanych z wykończaniem ścian wprawiano okna i drzwi, budowano piece, utwardzano polepę, lub – coraz częściej – układano drewniane podłogi z heblowanych desek. Wykonywano wysokie progi i wstawiano proste drzwi zbite z kilku desek zaopatrzonych w żelazne zawiasy i w prosty zamek z kluczem lub skobel z kłódką. Takie drzwi nie były zbyt szczelne, więc na zimę zabezpieczano je warkoczem splecionym ze słomy i przymocowywanym do ich krawędzi grubymi gwoźdźmi. Dopiero na koniec wstawiano różne sprzęty i meble.

Nowo budowane domy składały się najczęściej z dwu izb mieszkalnych, dużej sieni, komory, składziku nad piwnicą i tzw. przybudówki, pełniącej tymczasowo rolę stajni, a raczej obory, choć tej nazwy w wiosce mojego dzieciństwa nie używano.

W naszej stajni było miejsce dla krowy, świnki, a nawet w pewnym okresie dla niewielkiego Siwka, którego – choć był chyba wątpliwej rasy i klasy, ale cudnej urody i takowej łagodności – wszyscy bardzo kochaliśmy, a który – niestety – po kilku latach został sprzedany. Nasz Siwek stał sobie w kącie stajni, poskubując siano zatknięte za drabinę żłobu, gapił się obojętnie na leżącą obok Krasulę, to znów przysypiał na stojąco, jak to bywa z końmi, ale wyprowadzony na podwórko wypinał szeroką pierś, rżał dziarsko, potrząsał łbem zdobnym w długą grzywę i parskał radośnie, poddając się naszym głaskaniom i poklepywaniu. Wyróżniał się spośród chyba wszystkich koni na świecie tym, że niczego się nie bał oprócz czarnych parasoli.

Niektóre domy zdobiły ganki. Ganki miały małe, łączone okienka bez firanek. Na ścianach wieszano suszone wianki z ziół, bukiety święconego zieleń, jakieś narzędzia czy codzienne okrycia. Czasem stał tam też mały stół czy krzesło, na którym siadywali starsi domownicy. Dopiero później pojawiły się w nowych domach ładne, duże, ukwiecone ganki, a nawet przeszklone

werandy. Również niewielkie dwukwaterowe okna izb zaczęto zamieniać na tzw. okna weneckie – duże, trzykwaterowe. W zimie uszczelniało się je, wysypując między podwójne szyby trociny okryte bibułą; czasem przewiazaną wstążeczką lub ozdobioną świerkową gałązką. W lecie zdejmowało się wewnętrzne kwatery; pojedyncze okna łatwo było wtedy otwierać. Zdobiły je firanki i kwitnące na parapetach kwiatki.

Dawniej zamiast ganku przed chałupami bywały przyzby, czyli wały z ziemi usypane wzdłuż podmurówki, czasem pokryte deskami. Mikołajek pisze: „Starzy ludzie [...] przysiadali na przyzbach”⁵³. Wyciągali z kapciuchów zawieszonych na szyjach pod koszulą machorkę i robili kopjące skręty, które palili z lubością, a które brązowiły palce i przyspieszały choroby płuc.

Mieszkańcy domów, które nie miały ganku tylko wielkie, szerokie schody siadywali na nich wieczorem z sąsiadami przychodzącymi „popolytykować” i pogwarzyć o swych troskach. Od stawów słychać było rechoty żab, a czasem przy bezwietrznej pogodzie dalekie, urywane śpiewy czy rozmowy. Uwielbialiśmy tak siedzieć w ciepłe, usiane gwiazdami wieczory. Wokół oplecionej żelaznymi prętami szklanej kuli będącej osłoną żarówki roilo się od komarów i ciem, a my baliśmy się tylko, by zwabiony światłem nie przyleciał i nie wplątał się nam we włosy jakiś nietoperz, czym nas nieraz straszły nasze babcie.

Wokół ścian, pod okapem, suszyło się ułożone starannie porąbane drewno, które musiało wystarczyć jako opał na całą zimę. Już w lecie rolnicy otrzymywali „asygnaty” na jego przydział i po uiszczeniu opłaty mogli je wyciąć w lesie i przywieźć na podwórze. Tu piłowano długie bale na małe kawałki; początkowo za pomocą ręcznej piły, a potem „cyrkulatek”, dość prymitywnie wykonanych i nie mających odpowiednich zabezpieczeń, co sprawiało, że wielu ludzi kaleczyło się straszliwie, nosząc do końca życia paskudne blizny. Taka dramatyczna przygoda zdarzyła się Jaśkowi z sąsiedztwa, który – jak to każdy ciekawski chłopak – podszedł zbyt blisko piłujących mężczyzn, po czym została mu na policzku wieczna pamiątka.

Praca przy pomocy cyrkulatek była lżejsza i szybsza. Poprzecinane klocki rąbano siekierą, która – wbita w ciężki, poszczerbiony, drewniany kloc – znajdowała się na każdym podwórzu. Niekiedy na klocu kładziono nie drewno, ale główkę kury, kaczkę czy gęsi, by złożyły ofiarę na rzecz rodzinnego rosołu.

Na podwórzu czasem zainstalowany był też kierat; zmyślne urządzenie wykorzystujące siłę pociągową koni do napędu np. prostej młockarni czy siewkarni. Od nazwy tego urządzenia często nazywano codzienną, powtarzalną, żmudną pracę w gospodarstwie „chodzeniem w kieracie”. A jeden z Mikołajkowych bohaterów – Emil określa tym mianem natłok powracających myśli: „Wiedziałem, że muszę podjąć decyzję, ale nie mogłem nic wymyślić. Byłem zmęczony. Zdawało mi się, że ciągle chodzę w koło, jakbym bezustannie poganiał konie w kieracie”⁵⁴.

W kącie podwórka stawiano różne narzędzia rolnicze, takie jak brony, pług czy „kolceta”. Na wielu podwórzach znajdowały się „gruby”; rodzaj piwniczek częściowo wykopanych w ziemi, przykrytych kopulastym daszkiem utworzonym z nałożonej na wierzch darni. Służyły do przechowywania produktów spożywczych; zwłaszcza w lecie, gdyż panował w nich miły chłód. Wokół tej na podwórku Harłów rosły zdziczałe krzaki porzeczek i malin, rodzących małe, ale bardzo słodkie owoce.

Drzwi prowadzące do domu zamykano na kłódkę – wykonaną przez miejscowego ślusarza – tylko na noc lub gdy gdzieś dalej wyjeżdżano; ale nawet wtedy klucz leżał pod wycieraczką lub za węglem. Nie było raczej złodziei; zresztą, co można było ukraść w tych biednych czasach? Na domy mieli też baczenie sąsiedzi, pilnowały dobytku psy, a obcy człowiek idący przez wieś był zawsze z ciekawością obserwowany przez wszystkich. Ciotki, które przyjechały z Ameryki niezmiernie się dziwiły, że wciąż – tak jak za czasów ich młodości – można zostawiać drzwi zamknięte tylko na skobelek. Były tym naprawdę wzruszone.

Od wczesnej wiosny do jesieni otwierano drzwi na oścież i najwyżej osłaniano jakimś kocem przed muchami, których całe roje gromadziły się w sąsiedztwie stajni, „chływków” czy gnojowisk.

Chłopski pamiętnikarz z początku XX wieku Stanisław Sikoń wspomina: „W domu naszym była jedna izba, drzwi do sieni zasuwano się na zaporę, ze sieni zaś na zewnątrz był skobel i w razie opuszczenia mieszkania przez wszystkich domowników drzwi od zewnątrz zamykało się na kłódkę [...], drzwi ze sieni do izby zamykało się na klamkę”.⁵⁵

Gdy domy były już gotowe, zasiedlone, miały podstawowe sprzęty i zaczęły normalnie funkcjonować, decydowano się na budowę osobnych budynków mieszczących stajnię i stodołę. I znowu oszczędzano każdy grosz, sprzedawano wyhodowany inwentarz, znów korzystano z pomocy sąsiadów, krewnych i znajomych, i wznoszono w głębi podwórza, czyli „łobeścia” budynki gospodarcze.

Drzwi do stajni zamykały się na haczyk lub na metalową zaczepkę; miały być zaporą nie dla ludzi, a dla zwierząt. Okienka były tam małe, o matowych szybkach, wzmocnionych drucianą kratką. Wewnątrz panował gorąc od parujących zwierząt, dlatego prawie zawsze drzwi stały otworem. Na szklanej żarówce oplecionej żelazną siatką słyszać było nieustanne brzęczenie roju much. Przed założeniem „elechtryki” na haku pod powalą wieszano latarkę przynieszoną z domu; naftową lub „karbidówkę” – ledwo rozświetlającą mrok obory.

Krowy stały, pobrzękując łańcuchami i niecierpliwie wymachując ogonami w oczekiwaniu na świeże siano, które gospodarz zakładał za umocowaną nad żłobem drabinę, lub leżały leniwie ułożone na świeżej słomie gryząc „dźwioke”. Gdy nie było w gospodarstwie oddzielnego chlewika, odgradzano w jed-

nym z kątów stajni miejsce dla świnki. Przez otwór w ścianie do specjalnego pojemnika wkopanego w ziemię spływała gnojówka, czyli „bojurka”. Obok na ścianie wisiał umocowany na haku zardzewiały i zdezelowany niemiecki hełm, popularny w gospodarstwach jako czerpak do nabierania gnojówki.

Była przecież cennym, naturalnym nawozem, podobnie jak obornik, czyli „gnój” starannie składowany w pryzmę na podwórzu w miejscu ograniczonym deskami lub pustakami. Pryzma gnojownika – wydzielająca zawsze charakterystyczną, kwaśną woń – miewała od jednego nawet do dwu metrów wysokości w zależności od ilości posiadanych zwierząt. Gnój składał się ze zwierzęcego „łajna”, słomy i różnych organicznych odpadków. Najcenniejszy był ten znajdujący się na samym spodzie pryzmy; długo zalegający i przetworzony we wspaniały, naturalny nawóz. Był też niekiedy siedliskiem szczurów, ale wszyscy uznawali to za rzecz naturalną. Nad gnojowiskiem zawsze unosił się rój brzęczących much o tęczowych, lśniących w słońcu odwłokach.

Wczesna wiosna w wiosce mojego dzieciństwa pachniała właśnie „bojurkom” i wywożonym w pole gnojem, a dopiero później aromatami rozkwitających kwiatów, krzewów i drzew.

Konieczną budowlą na każdym podwórzu był – zazwyczaj ukryty w krzakach lub przytulony do zabudowań gospodarczych – „wychodek”, czyli wygódka z malutkim serduszkim wyciętym w drzwiach. Wewnątrz było drewniane siedzenie z okrągłym otworem, a na ścianie pocięte stare gazety nabite na gwoździu. Zimą czy latem, w dzień czy w nocy, w deszcz czy zawieję musiało się w potrzebie wędrować do tej wygódki. Z tego obowiązku zwolnione były tylko małe dzieci; szczęśliwi posiadacze nocniczków. Ale nikt nie narzekał, bo nie wyobrażał sobie, że może być inaczej.

Do stajni często przylegała stodoła zamykana na noc zasuwą czyli rygłem. Przez otwarte wierzeje widać było duże „bojsko”, na którym stała sieczkarnia i młynek do „wiania ziarna”, a w kącie różne potrzebne w gospodarstwie narzędzia: łopaty, sipy, widły, grabie, stępor do miażdżenia ziarna, „esiok” do siekania buraków czy karpielei, „tucok” do świńskich ziemniaków, kosa, graca itp. Jesienią uprzątało boisko i na klepisku rozkładano przygotowane do młócenia wiązki owsa, prosa, łubinu, żyta czy pszenicy. Młócenie cepami było czynnością typowo męską; trudną i żmudną, wymagającą dużych umiejętności, których uczono już podrastających chłopców.

Po jednej, lub po obu stronach boiska były sąsieki, gdzie składowano zboże. Kto nie miał stodoły, musiał układać przywiezione zboże na podwórku w stogi zwane kopami. Mikołajek wspomina:

„Wszedłem na boisko, oparłem się o wyższą ściankę stodoły. Stałem w szumie deszczu i widziałem tę rodzinną zagrodę. Chałupa i stajnia pod jednym dachem, a między węglami wąskie wyjście na pola”⁵⁶. A gdzie indziej powie: gospodarka „na bociani krok”.

Takich zagród było wiele w wiosce mojego dzieciństwa. Mikołajkowy bohater Paweł, po jednej z partyzanckich akcji, z radością wraca do znajomej zagrody: „Podczołgałem się do rzeki. Przeszedłem ją po lodzie. Byłem już na rodzinnych równinach. O północy chałupy Topolówki. Na drodze kłóciła się gromada pijanych [...]. Skręciłem w nasz zaułek. Obejście było czysto wymiecione ze śniegu, z dachu zwisały długie sople. Zapukałem. Matka otworzyła bez pytania. Objęła mnie już w sieni”⁵⁷.

Do budynków gospodarczych często przystawiano różne, byle jak sklecone gołębniki, kurniki z grzędami i gniazdami do znoszenia i wysiadywania jaj, szopy i szopki, składziki, klatki na króliki i psie budy, przy których wyrzucano niepotrzebne już stare przedmioty: jakieś dziurawe garnki, połamane widły, zdezelowane sprzęty, kawałki kolczastego drutu, które wkrótce porastały zieliskiem i – zapomniane – stawały się miejscem wylegiwania kotów, skrytych kurzych gniazd z zagubionymi jajkami czy nawet dziecięcych zabaw, bo zarzewiała pokrywka wspaniale mogła pełnić rolę rycerskiej tarczy, a ułamane widły – groźnej dzidy. Nie było specjalnych pojemników na śmiecie, ale nie było też jeszcze plastików, które nie ulegają rozkładowi przez wiele, wiele lat. Człowiek doskonale radził sobie z likwidacją odpadów: niektóre palił, inne wyrzucał na gnojowisko czy właśnie gdzieś w kąt podwórza, gdzie powoli rozpadały się i ulegały niszczyielskiemu działaniu przyrody. Pleniły się tam zazwyczaj parzące pokrzywy, różnego rodzaju „chabazie”, ale też wiele ziół: dziki rumianek, babka lancetowata, krwawnik czy skrzyp. Bardzo lubiliśmy, gdy dojrzewał tam pewien pospolity chwast, który nazywaliśmy „szczelaczkom”. Gdy dotknęło się jego malutkich strączków, rozrywały się pod naszymi palcami, a twarde nasionka wystrzeliwały śmiesznie z wielką siłą.

Na podwórzu często kopano studnie. Trudno jednak było uzyskać czystą, nadającą się do picia wodę, bo zanieczyszczały ją wody podskórne; wtedy wykorzystywano ją do pojenia bydła, lub do chłodzenia w lecie mleka czy masła, które zanurzało się w „puszkach” lub innych zamkniętych naczyniach zaczepionych na sznurach.

W latach pięćdziesiątych w wiosce mojego dzieciństwa pojawiły się na podwórzach budowle zwane „suszarkamy”, w których suszono i przechowywano liście kontraktowanego tytoniu czyli „bakonu”, a które później pełniły funkcję „drewutni” i składowiska różnych sprzętów gospodarskich.

Drzwi do domów prowadziły do zazwyczaj mrocznej sieni, a stąd do kuchni i często do komory oraz do składziku. W komorze przechowywano w drewnianych skrzyniach zamykanych wiekiem wymłócone zboże i mąkę, drobne narzędzia rolnicze i domowe oraz butelki z naftą. Wszystko tam było starannie ułożone, a polepa czysto umieciona. Natomiast składzik był właściwie rupieciarnią. Tam wynosiło się niepotrzebne „łachy”, zbyteczne przedmioty czy sprzęty, przeczytane gazety – układane i zszywane rocznika-

mi, meble nie mieszczące się w izbach, zużyte czy wymienione na nowe, ale i tak zbyt cenne, by je wyrzucić, bo nigdy nie wiadomo było co, kiedy i komu mogło się przydać. Przy powszechnym ubóstwie towarów na rynku i panującej wszędzie biedzie rzeczywiście co jakiś czas wyszukiwało się w składziku jakiejś rzeczy pilnie potrzebnej rodzicom lub sąsiadom. Ta tendencja przechowywania staroci, „bo mogą się kiedyś przydać” dotyczy do dziś chyba wszystkich, którzy pamiętają tamte czasy.

Składzik był też wspinałym miejscem dziecięcych zabaw, przebieranek, chowania się, robienia różnych psot, a także podkradania pysznych przysmaków: suszonych śliwek, miodu, choinkowych cukierków czy ciasteczek upieczonych na święta.

W sieni niekiedy stała drabina wiodąca na strych otwierany drewnianą klapą ze skoblem, a w kącie bywało wiosną moszczone gniazdo dla kury czy kaczki wysiadującej pisklęta. Paweł z „Tryptyku na śniegu” wspomina: „Wciągnąłem buty na bosc stopy; żdźbła siana kłuły mnie pomiędzy palcami. Nie szukając w ciemności drabiny, chwyciłem rękami brzeg otworu w powale, cicho zeskoczyłem do sieni”⁵⁸.

Na hakach wbitych w ścianę lub na drewnianym wieszaku wisały „domowe” płaszcze, marynarki, swetry czy „pletówki”. W lecie stawiano też w sieni wiadro z czystą wodą przyniesioną ze studni. W zimie zawsze woda stała w kuchni, a i tak niekiedy nocą zamarzała tworząc na powierzchni wiadra cienką skorupkę. Z sieni, po uniesieniu drewnianej pokrywy schodziło się schodkami do piwnicy; po ziemniaki, buraki, „korpiele” czy główkę kapusty.

Óśrodkiem życia domowego była kuchnia – duża i jasna [„ślepych” kuchni bez okien nawet sobie nie wyobrażano]. Oddzielał ją od sieni wysoki próg, stanowiący świetną barierę dla pałętających się tam kaczek czy kurcząt, a także dla malutkich dzieci bawiących się w izbie. Można też było przysiąść na nim na chwilę jak na wygodnej ławie.

Cok z „Zamykania koła” wspomina ciotkę, która w zdenerwowaniu „energicznie zamiotła spódnicą wysoki próg, mocniej niż zwykle zamknęła drzwi”⁵⁹.

Przy wejściu obok drzwi wisała często metalowa miseczka z wodą święconą. Starsi ludzie np. wyruszając w drogę żegnali się maczając w niej palce, bo przecież „Bez Boga ani do proga”. Kuchnie miały zazwyczaj niskie sufity ze „stragarzami” i glinianą polepę, później zastępowaną drewnianą podłogą. Bohater opowiadania „Nad Wisłoką” po powrocie do rodzinnego domu „postawił synka na polepie”⁶⁰.

Ułożona z szerokich desek podłoga dodawała izbie elegancji. Ale trzeba było ją wciąż szorować ryżową szczotką i zmywać szmatą moczoną w cebrzyku z wodą i wykręcaną z nadmiaru wilgoci. Była to praca ciężka, brudna, wykonywana na kolanach, najczęściej przez nasze mamy. Po umyciu podłogi nie wolno było wchodzić do kuchni aż do jej wyschnięcia, a potem – przez kil-

ka godzin trzeba było przemieszczać się po rozłożonych gazetach. Ale wtedy wyglądała pięknie; była jasna, lśniła czystością i pachniała szarym mydłem.

Taka czysta, szorowana przynajmniej raz w tygodniu podłoga była dumą każdej gospodyni, ale też sporym uprzykrzeniem, zwłaszcza w rodzinach, gdzie było dużo dzieci. Szczególnie w czasie jesiennych słońc czy wiosennych roztopów, gdy podwórka i wszystkie dróżki były pełne błota, wciąż trzeba ją było zmiatać i szorować.

Żadnych dywanów nie kładło się na podłodze. Jeśli ktoś takowy posiadał, to umieszczał go na ścianie, zazwyczaj nad łóżkiem, gdzie pełnił rolę ozdobnego kilimu. Na nim często wieszano święte obrazy. Nad naszym łóżkiem wisiał piękny, choć noszący ślady upływającego czasu, jeszcze przedwojenny, wełniany kilim przedstawiający lwa z bujną grzywą, dumnie przeżającego się wśród ciemnych zarośli. Gdy leżałam złożona jakąś dziecięcą, groźną chorobą z bardzo wysoką gorączką, ten lew wydawał mi się, żywy i tak groźny, że mama musiała zasłaniać go gazetą przypiętą pinezkami. Na tym dywanie wisiało przez jakiś czas szalenie modne w wiosce mojego dzieciństwa „monidło”.

Za łóżkiem przybijano kupowane na „jarmaku” pstrokato malowane kilimki z grubego płótna lnianego, których naiwną urodę chyba najpiękniej, najdowcipniej opisał poeta Miron Białoszewski:

„Jest sobie zielony ogród
na wszystkie pory
w rajske szczypiory
w drzew kalafiory.
Panna tu leży w jarzynie
[myśli że na mięcie]
za długie nóżki – podgięte,
obie lewe i przejęte [...]
Anilinowe ptaszki
Weselą ogród rajski”⁶¹.

Oprócz „panien w jarzynie” częstymi motywami kolorowych kilimków były jelenie na rykowisku, łabędzie pływające na stawie, pastuszek grający na fujarce, góral z ciupagą „spod samiuśkich Tater”, paw z pięknie rozpostartym ogonem, czy różnego rodzaju kwiatowe bukiety. Te dość prymitywne malunki o pstrokatych barwach miały w sobie coś swojskiego, radosnego, miłego sercu. Ożywiały izbę, wносиły nastrój pogody i serdeczności. Białoszewski zapewniał więc zadziornie, „że te ogrody nie zmienią urody ody-rydy-rydy uha!”⁶².

I pewnie miał rację ten, kto twierdził, że kicz jest sztuką szczęścia.

Później za łóżkiem zaczęto umieszczać słomianą matę; praktyczną, choć wątpliwej urody, a na niej czasem przypinano pinezkami kalendarz wycięty z gazety, jakieś zdjęcia, proporczyki, kolorowe opakowania z czekolad, czy inne papierowe pamiątki.

Na ścianach kuchni zawsze też wisiały haftowane granatowym lub czerwonym kordonkiem makatki z budującymi hasłami, wyszywane najczęściej przez młode mężatki, chętne do ozdabiania swojego nowego domu. Otoczone jakimiś girlandami kwiatów lub ozdobnymi esami-floresami uśmiechały się z makatek do domowników i gości starannie wydziergane postacie, a wyszyte pod nimi ozdobnym ścięciem podpisy zawierały pouczające maksymy: „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje”, „Dobra żona tym się chlubi, że gotuje, co mąż lubi”, „Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść” itp. Ale najdowcipniejszy chyba napis można było przeczytać na makatce w kuchni mojej babci Józ. Brzmiał on tak: „Pijocku, pijocku, nie siadej na krzocku. Jak się krzoczek złomie, pijocek utonie”. Świetnie ilustrował tę maksymę wyhaftowany siwą nicią obrazek – z pijaczkiem i krzaczkiem na środku.

Oczywiście w każdej kuchni był piec; gliniany, bielony wapnem, czy bardziej nowoczesny – kaflowy. Taki wiejski, kuchenny piec wspomina Paweł z „Tryptyku na śniegu”: „Siedziałem pod piecem i łuskałem groch [...], zdjąłem z kolan przetak i usiadłem przy stole. Sosnowe, na wiśniowo pomalowane sprzęty, niebieski piec z cegieł, gliniana polepa”⁶³. Wiejski kuchenny piec miał czterofajerkową płytę kuchenną, pod którą cały dzień żarzyły się drwa i węgielki przyniesione w „łopołce” lub w wiklinowym koszyku, z których w razie potrzeby można było rozdmuchać ogień. Wewnątrz znajdował się piec chlebowy i „brandura” do przechowywania ugotowanych potraw, a na piecu niekiedy „suśnia”, która czasem pełniła rolę ciepłutkiego miejsca do leżenia, a nawet spania, szczególnie dla najstarszych domowników; no i często – dla domowego kota. Na piecu kładziono „czoski” – czyli drobniutkie, smolne drewienka, by dobrze wyschły i były pomocne przy rozpalamiu ognia, a także zapalki, by nie dosięgły ich dzieci, ale żeby były „na podorędziu”.

Obok pieca zawsze znajdował się „taborek”, szufelka na popiół, kociuba, koszyk z drewnem i kawałkami węgla na opał, a na ścianie obok, czyli też „na podorędziu” wieszana była solniczka.

Wszystko tu było praktyczne, przemyślane, konieczne, podręczne dla zawsze krzątającej się gospodyni. Sikoń wspomina: „Matka w lecie gotowała ziemniaki w jednym garku, w drugim gotowała mleko na kluski, a w trzecim garku gotowała ziemniaki dla trzody chlewnej. Takie gotowanie było bardzo prędkie, gdyż ogień bezpośrednio ogrzewał garki i przeważnie opał stanowiły drobne gałązki [...]. Za piecem były żarna do mielenia zboża, bo matka [...] równocześnie robiła trzy prace: patrzyła na kuchnię, czy w garkach nie kipi, ręką mieliła zboże w żarnach, a jedną nogą kołysała dziecko. Tak to kobieta – matka [...] ciężko pracowała i głową i rękami, i nogami jednocześnie”⁶⁴.

Żelazne drzwiczki pieca zazwyczaj były proste, funkcjonalne, zamykane na „zaczepek”. Ale w niektórych domach można było podziwiać misterną ro-

botę i poczucie estetyki któregoś z boborowskich kowali, który z kowanego żelaza pięknie wykonał ten użytkowy przedmiot.

Na kuchennej blasze codziennie gotowano ziemniaki dla świń. Wyjmowało się fajerkę i tam umieszczało kociołek z pokrywką, który smolił się niechętnie sadzą. Zapach tych parowanych ziemniaków zawsze wypełniał kuchnię, a para wydobywająca się z kociołka osiadała na ścianach, które wilgotniały i zachodziły pleśnią. Ugotowane ziemniaki rozgniatało się drewnianym tłuczkiem, mieszało z otrębami i z jakimś zielskiem.

Lin z powieści „Zamykanie koła” wspomina: „Weszli do izby pełnej znajomych zapachów; mleka, parowanych kartofli, pajęczyny i chleba. Usiedli przy stole, ojciec otworzył okno. Biała firanka osiadła mu na zakurzonej marynarce”⁶⁵.

Obok pieca na ścianie wisały wianki „czostku” i cebuli, które w razie potrzeby gospodyni odcinała nożem nie psując przy tym całości, stanowiącej również ozdobę kuchni.

Jeśli w domu były książki – najczęściej dla dzieci – to trzymano je w „nakasłykach”, komodach, czasem na przymocowanych na ścianie drewnianych półkach. Właśnie tak przechowywałam ulubione książeczki: „Kanato”, „Zwienigorod”, „Migdałowe historie”, „Konik Garbusek”, „Baśń o carze Sałtanie”, wiersze Konopnickiej, Tuwima czy Brzechwy.

Każda kuchnia wyposażona była w proste, funkcjonalne sprzęty. Mikołajek pisze o Linie z „Zamykania koła”, który po kilku latach wrócił do domu:

„Wchodząc tutaj nawet nie obejrzał wnętrza, dobrze wiedząc, że prawie nic się nie zmieniło: dwa stoły, parę krzeseł, dwa łóżka, nad nimi obrazy. Tylko zamiast nieodłącznego od jego dzieciństwa ślubanka – kozetka. Poza tym pralka i elektryczna maszynka, równie trochę nierealne, jak zwisająca z powały żarówka, jak radio”⁶⁶.

„Ślubanek” – wspomniany przez Lina – był bardzo zmyślnym drewnianym meblem, który bywał prawie w każdym domu. Miał kształt długiej, zamykanej skrzyni ustawionej na krótkich nogach. W dzień służył domownikom za wygodną ławę z oparciem. Wewnątrz na słomianym sienniku przechowywało się pościel, a także np. kozuch, koc czy gruby pled. Wieczorem odsuwało się zewnętrzną deskę i w środku można było wygodnie spać. Później „ślubanek” zastąpiła kanapa, miękko wyściełana trawą morską, zwana też leżanką lub – rzadko – kozetką.

Pod oknem zawsze stał stół – najczęściej dębowy: duży, solidny, ciężki, szorowany jak podłogi szczotką ryżową moczoną w wodzie z szarym mydłem. Niczym go nie nakrywano, a tylko dbano o to, by nie było na blacie jakiś okruszków czy zabrudzeń. Później pojawiły się kolorowe ceraty, których brzegi podwijano pod blat i przyszpilano pinezkami. Podczas posiłków kró-

lował na stole chleb, który gospodyni kroїła wielkim nożem na grube pajdy i kładła bezpośrednio na blacie przed każdym z domowników.

Wszyscy zasiadali wokół stołu: na drewnianej ławie z oparciem, na krzesłach, na „taborku” czy na ślubanku. Wiele posiłków podawano w garnku, w którym się gotowały lub w dużych misach; wtedy przed każdym domownikiem kładło się na blacie łyżkę; dawniej drewnianą, potem blaszaną. Każdy nabierał do swego fajansowego lub blaszanego talerza trochę potrawy z tego wspólnego naczynia, starając się wyłowić najsmaczniejsze kąski. Po posiłku stół uprzątano do czysta.

Wieczorem pojawiała się na nim naftowa lampa, bo dzieci zabierały się do odrabiania zadań. Dorośli przysiadali się do nich z gazetą czy robótką. Przy stole zawsze też sadzano przybywających do domu gości, sąsiadów czy znajomych. Kładziono wtedy jakąś miseczkę na popiół, bo prawie wszyscy mężczyźni palili papierosy. Najczęściej jednak niedopałki wrzucano do koszyka z opałem lub bezpośrednio do pieca.

Bardzo ważnym meblem kuchennym był kredens. Początkowo, wykonywany przez domorosłych stolarzy, nie zawsze wyróżniał się urodą. Za to był solidny i pojemny. Był rodzajem szafy z zamykanymi drzwiczkami na dole, z szufladami pośrodku i odkrytymi półkami na górze. Na półkach stawiano jakieś – najczęściej tandetne – fajansowe lub gliniane dzbanki, talerze czy garnuszki, ale czasem można było wypatrzeć cenną, starą porcelanę; np. otrzymaną od dawnych właścicieli dworu, którzy musieli opuścić wieś. W kredensie chowano miski, garnki, słoiki oraz produkty spożywcze: sól, cukier, kaszę, mąkę przyniesioną w jakimś pojemniku z komory, a także różne przyprawy. W szufladzie leżały łyżki, jakiś nóż, „pacocha”, „bełtacka” do piany, „tasok”, „tolok” i inne przyrządy kuchenne.

Gospodynie z wioski mojego dzieciństwa zawsze dbały o to, by izby były czyste i miłe. Często ozdabiały półki kredensu sklejjąc długie paski papieru, w których wycinały przeróżne ażurowe wzorki i przypinały je do brzegów półek. Takie ozdoby – wykonane przez ekspedientkę „Ciecierzynę” – były także na półkach w naszym sklepie.

Później nastała moda na nowoczesne kredensy kupowane w sklepie meblowym w Dębicy; lekkie, z nastawą zamykaną na drzwiczki z szybkami, niekiedy o wygiętych liniach boków, malowane na biało. Były przedmiotem podziwu, pożądania i zazdrości wielu kobiet. Oczywiście bobrowianki dotąd wierciły swym mężom dziurę w brzuchu, aż prawie w każdym domu zaczęły pojawiać się te nowoczesne, ładne meble. Zaczęto też kupować inną nowość – całe komplety mebli kuchennych. Niestety, choć wyglądały estetycznie, to wiele osób – zwłaszcza starszych – nie chciało ich zaakceptować. Stoły były za małe, za lekkie, a taborety nie tak wygodne jak dawne krzesła. Dlatego w wielu

domach pozostawiano stary, solidny stół, a ten nowy ustawiano gdzieś w kącie, wynoszono do ganku, czy przekazywano potrzebującym sąsiadom.

Jeśli w kuchni stało łóżko to pościel na dzień wynoszono do drugiej izby, by – przykryte szaroburym, „niebrudliwym” kocem – mogło służyć jako wygodne miejsce do siedzenia. Często też polegiwali na nim starsi domownicy i dzieci, które czasem przysypiały smacznie w ciągu dnia na kolorowej podusie. Najczęściej jednak traktowały łóżko jako wygodny kącik do zabaw i psot.

Prawie zawsze w kuchni stała też kołyska, bo zazwyczaj dzieci w każdej rodzinie było dużo. Trochę starsze oddawały to miejsce maluszkom, a same przenosiły się na łóżko rodziców, a potem – do starszego rodzeństwa.

Specjalnych łóżeczek dziecięcych z drabinkami nie było. Żeby maluch nie sturlał się z pościeli, kładło się go „od ściany”, chyba że łóżko miało wysokie boki zabezpieczające przed upadkiem. Na jednym łóżku spało zazwyczaj kilkoro dzieci, w tym niekiedy jedno „w nogach”. No i często dołączał jeszcze jakiś ulubiony kotek czy piesek, do którego miło było się przytulić.

W kącie izby stały też zazwyczaj: wiaderko, cebrzyk, bańka na mleko, niecki, „maśnicka” i praska do sera. Taka praska wykonana z drewna posiadała wymyślne pokrętko, którym dociskało się dość rzadką mazię serową powstałą z ogrzewanego mleka, zamkniętą w trójkątnym woreczku uszytym z rzadkiej tkaniny; najczęściej z pieluszkowej tetry. Ściskana co jakiś czas mocniej nabierała coraz gęstszej konsystencji, a z woreczka cały czas kapła do podstawionego garnka wodnista „syrwotka”. Był to bardzo popularny, pożywny napój; gotowano z niego „polywke” zabielaną śmietaną i podawaną na ciepło z ziemniakami lub dodawano do „żarcia” dla świń.

Jeden z bohaterów Mikołajka wspomina: „Pachniało chlebem i serwatką, która ściekała do glinianej miski z wypełnionego twarogiem woreczka”⁶⁷.

Doświadczona gospodyni w odpowiednim momencie wyciągała ugnieciony ser, który był pysznym produktem, spożywanym prawie codziennie z chlebem, lub używanym jako składnik różnych potraw, np. pierogów.

W kuchni wydzielano też kącik do mycia. Do wiklinowej lub drewnianej umywalki z okrągłym otworem w środku, najczęściej pomalowanej na białe, wstawiano miednicę, a pod nią umieszczano wiadro na brudną wodę. Wokół boków umywalki wieszano perkalową, kolorową zasłonkę, a na ścianie ręcznik na haku. Obok miednicy kładziono na talerzyku szare mydło i garnuszek do czerpania czystej wody z wiaderka stojącego obok. Nad umywalką zazwyczaj przymocowywano praktyczną półeczkę, na której stawiano małe lustreczko, kładziono przybory do golenia i grzebień.

O łazienkach nawet nikomu się nie śniło. To tu odbywało się mycie ciała i włosów. Choć było dość trudne, ale po ciężkiej pracy w gospodarstwie nie można było przecież brudnym iść do łóżka. Posiadacze umywalek doskonale więc opanowali sztukę mycia się „fragmentami”. Nogi wymoczone w rosie

lub w rzeczce wystarczyło wypłukać, a kąpano się w cebrzyku – w soboty i przed świętami; w wodzie nanoszonej wcześniej ze studni i nagrzanej w wielkim „banioku”. Najczęściej taka kąpiel była dla spracowanych mieszkańców relaksem i przyjemnością, ale niektórzy wzbraniali się przed zbyt częstymi „ablucjami”, tak jak jeden z sędziwych sąsiadów, który na ponaglenia synowej odburkiwał zawsze: – Za hunur się nie bede mył”.

Latem często wynoszono miednicę z wodą na podwórze lub myto się przy studni, gdzie zainstalowane było też poidło dla zwierząt; drewniane lub betonowe. Zimna jak lód woda hartowała, a niekiedy pomagała odzyskać formę po wieczornych „przygodach”, jak to było w przypadku bohaterów Mikołajka – Lina i Krzysztofa: „Rozebrani do spodenek podeszli pod studnię; wylali na siebie po kilkanaście wiader zimnej wody; lśniąc wilgotnymi torsami zasiedli do śniadania”⁶⁸.

Naczynia myło się w cebrzyku „myjokiem”, czyli ściereczką z kawałka miękkiej tkaniny urwanej np. ze starej bluzeczki czy prześcieradła. O gotowych, kupowanych w sklepie ściereczkach nikt nawet nie myślał. A najlepszym środkiem czystości, którym szorowano przypalone i okopcone sadzą spod fajerek rondle i garnki, był popiół z wypalonego drewna. Resztki jedzenia zmieszane z wodą tworzyły pomyje, które były smakowitym napojem dla świnek i krów. Naczynia płukało się w ciepłej wodzie nalanej do miednicy. Potem stawiało się je na stojącej obok ławeczce do wysuszenia, a na koniec chowało do kredensu z wyjątkiem kilku, które były ciągle w użyciu, jak te na mleko, na ziemniaki czy na wodę. Zawsze stały na kuchennej płycie lub w brandurze i prawie nigdy nie były puste. Do nich właśnie zaglądaliśmy wpadając do domu; wygłodzeni i zmęczeni po różnych dziecięcych szaleństwach i gonitwach. Potrawy w brandurze zachowywały ciepło aż do wieczora i baaardzo smakowały.

Kuchnia była najważniejszym i najmiłym miejscem domu. Tu zawsze pachniało gotującymi się potrawami, choć przecież nie tylko służyła do sporządzania posiłków; była równocześnie umywalnią, jadalnią, salonem, gdzie przyjmowało się gości, gabinetem psychologicznym, gdzie odbywały się swoiste seanse terapeutyczne, w czasie których kojono różne bóle i uciszano skołatane serca, trybuną, gdzie głośliło się śmiało, odważne poglądy, czytelną, sypialnią i – oczywiście – bawialnią dla dzieci. Czasami pełniła też rolę masarni, szwalni, warsztatu naprawczego, a u nas jeszcze bywała salą prób zespołu muzycznego Jarosów. Tu biegliśmy płakać, cieszyć się, opowiadać o naszych porażkach i sukcesach.

Wiesław Myśliwski potwierdza tezę o ważnej roli, jaką pełnią kuchnie w naszym życiu: „Kuchnia ma to do siebie, że zwalnia człowieka z wszelkich pozorów, przymusów, konieczności. W kuchni najlepiej się jadło, najlepiej się roz-

mawiało, najlepiej się milczało. Jeśli ktoś komuś chciał się zwierzyć, najlepiej było w kuchni. Kuchnia sprzyjała szczerości. Kuchnia to jakby serce domu”⁶⁹.

W domach wiejskich w czasach mojego dzieciństwa prawie zawsze oprócz kuchni był pokój, zwany „drugom izbom”. Gdy przyszedł jakiś ważny gość, zapraszało się go właśnie tam. Ten – po dłuższych ceregielach i zapewnieniach, że w kuchni jest też miło – dawał się zaprowadzić do pokoju. W tej drugiej izbie – najczęściej nie opalanej – spano tylko wtedy, gdy brakowało miejsca w kuchni. Czasem na zimę wstawiano do tej izby prymitywny piecyk zwany kozą, z rurą wyprowadzającą dym na zewnątrz, ale kopcił i brudził więc korzystano z niego tylko w ostateczności.

Dwa złożone łóżka – solidne, drewniane, często z rzeźbionymi zagłówkami – stały naprzeciw drzwi, pod świętymi obrazami. Były starannie nakryte białym prześcieradłem, wełnianym pledem w kratę, lub – rzadziej – przedwojenną jeszcze, pluszową kapą. Piętrzyły się na nich – niekiedy „aż pod powałę” – puchate poduchy obleczone w bielusieńkie, pięknie wykrochmalone i wyprasowane, często ozdobione haftem i falbankami płócienne poszewki, które oczywiście służyły do ozdoby, a nie do spania. W kilku domach podziwiać można było rozpartą na poduchach, ubraną w piękną suknię porcelanową lalkę pochodzącą z jakiejś zagranicznej paczki; oczywiście nikt nie ośmieliłby się nią bawić; miała tylko cieszyć oczy, ale wzbudzała też poczucie dziecięcej zazdrości.

Obok łóżka stał „nakaslyk”. Był rodzajem szafki z szufladą, w której chowało się różne drobiazgi, grzebień, szpilki do włosów, różaniec, parę groszy odłożonych na składkę w kościele, leki.

W dolnej części zamykanej drzwiczkami były półki na ręczniki, chustki na głowę, obrusy, pudełko na kwitki. Na „nakaslyku” leżała uszyta z grubej jak żaglowe płótno bawełny, wykrochmalona serwetka obwiedziona zębato szydełkową koronką, a na niej jakieś zdjęcie, widokówka, lub drewniana kasetka z rzeźbionym wieczkiem. Tam kobiety chowały swe korale, jakąś broszkę, wsuwki czy grzebyczki do wpinania we włosy. Niekiedy stawiano tu też flakonik perfum, który np. zafundował kawaler swojej pannie. Najczęściej był to „Poemat” lub rosyjska „Biełaja Sirień” o mdlącym, mocnym zapachu. Czasem na serwetce kobiety układały też drobne bibeloty. Prawie w każdym domu były np. robione na szydełku niciane białe pudełki z kokardką, nałożone na butelkę, gipsowe zwierzątka kupowane na odpuscie – często noszące ślady dziecięcych przytulań a nawet upadków, czy karafki z kompletem sześciu kieliszków w kształcie rybek wykonane z kolorowego szkła; oczywiście nie używane do innych celów niż ozdabianie izby.

Gdy w wiosce mojego dzieciństwa „założono elechtryke”, pojawiły się na „nakaslykach” przy łóżku różne lampki nocne z abażurami fantazyjnie

wyciętymi z papieru, robione często przez domorosłych „artystów” lub kupowane na „jarmaku”.

Jeden mieszkańców Bobrowej zbierał jakieś dziwnie powyginane korzenie, czyścił je, przycinał, nadawał im kształty zwierząt, czy różnych stworków służących do ozdabiania izby, a czasem wkręcał w nie oprawki do żarówek tworząc osobliwe, nocne lampki. Na koniec wszystko lakierował i „uszcześliwiał” nimi swoich znajomych. Ta swoista korzenioplastyka była przez pewien czas bardzo popularna nie tylko w wiosce mojego dzieciństwa.

Na środku pokoju stał stół przykryty białym, lnianym obrusem, na którym – wstawione do szklanki z wodą – rozkwitały kwiatki zerwane w ogródku: żółta miłość, różowe panienki, pomarańczowe nagietki, kocanki zwane też suchołustkami, pachnący groszek czy kolorowe astry. Początkowo stoły stawiane w pokoju były prostokątne lub kwadratowe, ale pewnego roku nastała moda na okrągłe i wtedy w wielu bobrowskich domach pojawił się taki nabytek. Przykrywało się go nie lnianym obrusem, a haftowaną, okrągłą serwetą w różne wzory. Młode mężatki, panny i starsze gospodynie całe wieczory spędzały szydełkując; prześcigały się w wymyślaniu coraz to nowych wzorów, wymieniały się pomysłami i podpatrywały pomysły sąsiadek. Potem właśnie takie haftowane dzieła zdobiły te nowoczesne, modne, okrągłe stoły. Obok stały solidne krzesła z siedzeniami z drewnianych deseczek, a na bocznej ścianie – szafa.

Owa szafa był to też mebel nieodzowny w każdym domu; duży, ciężki, pojemny. Solidna, najczęściej orzechowa szafa była zazwyczaj dwudrzwiowa, choć zdarzały się też trzydrzwiowe, z szufladami na dole, półkami i wydzielonym miejscem do zawieszania ubrań; czasami też z lusterkiem umieszczonym wewnątrz drzwi. Mieściła całą odświeżoną garderobę domowników, pachnącą niemiłosiernie naftaliną, której kulki wkładano do środka, by wystraszyć wszędobylskie mole, czyhające tylko na wełniane „smakołyki”. W szafie przechowywano również bieliznę, ręczniki, pościel, a nawet buty „wyglancowane” na błysk: skórzane trzewiki, czy wysokie oficerki z włożonymi do środka prądnicami, czyszczone pastą „Dobrolin” – zwane „szklankami”.

Takie szpanerskie oficerki zainstalowali sobie tuż po ślubie moi rodzice. Były piękne, z modnej, „skrzypiącej” skóry, ale zimne, twarde i okrutnie niewygodne. Obdzierały stopy do ran, a na dodatek okazały się „nie do zdarcia” więc stały się koszmarem wielu zim.

To dla tych butów konstruowano specjalne urządzenia zwane „pieskami”, dzięki którym udawało się je samodzielnie zdjąć z nóg.

Joanna Lustyk pisze: „Piesek – prosty przyrząd do zdejmowania oficerek, składający się z krótkiej deski opartej z jednej strony na dwóch nóżkach i zakończonej półokrągłym wycięciem. [Bohater] usiadł na ławie, jedną nogę oparł mocno na desce, a piętę drugiej zaklinował w wycięciu i pociągnął. Sto-

pa gładko wyslizgnęła się z dopasowanego buta”⁷⁰. Takiego „pieska” trzymali w kącie pokoju wszyscy właściciele oficerek.

Pod oknem pokoju zazwyczaj umieszczano komodę, pełniącą też rolę domowego ołtarzyka. Na białej serwecie stawiano tam krzyżyk, obok jakiś święty obrazek w ramce, książeczkę do modlenia i różaniec, które zawsze musiały być pod ręką, a w szklance – ogródkowe kwiatki. Niekiedy umieszczano tam też lichtarzyk ze świeczką, którą zapalano podczas odprawianych modlitw. Wszyscy domownicy klękali tu do pacierzy, ale szczególnie starsze kobiety długie chwile spędzały przed tym domowym ołtarzykiem, prosząc Boga o zdrowie i potrzebne łaski.

Meble zazwyczaj były wykonywane przez miejscowych stolarzy; ciężkie, solidne, trwałe i funkcjonalne, choć nie zawsze urodziwe. W kolorze drewna lub pomalowane ciemną, prawie czarną farbą sprawiały dość ponure wrażenie.

Młode gospodynie zaczęły więc kupować pojawiające się czasem w dębickim sklepie meble bardziej nowoczesne. Niestety – produkowane z lichych materiałów, seryjnie, szybko, by móc zaspokoić ogromne potrzeby – były nietrwałe, byle jak wykończone, tandetne.

W latach pięćdziesiątych zrodziła się nowa moda; przedmiotem pożądania naszych mam stały się meble „polyturowane”. Ich blaty były pokryte grubą warstwą specjalnej, lśniącej polityry, dzięki czemu uzyskiwały „wysoki połysk”. Takie meble nie były tanie; a kupowało się je najczęściej w sklepie mojego wujka Stefana Sojki w Dębicy przy ulicy Kolejowej, który sam był stolarzem, ale sprowadzał też meble aż z dalekiej Kalwarii. Mieć „meble kalwaryjskie” było przedmiotem westchnień wielu mieszkanek wioski mojego dzieciństwa. Niektóre z nich – jako, że cechowały się stanowczością i zaradnością – stawały się wkrótce dumnymi posiadaczkami takich właśnie mebli „na wysoki połysk”. Trzeba było o nie specjalnie dbać: osiadający kurz natychmiast był widoczny, tak jak i nieusuwalne ślady po upuszczeniu na blat czegoś twardego, np. łyżki, noża, czy postawieniu szklanki z gorącą herbatą.

Gdy wkrótce nastała nowa moda na tzw. meblościanki, to znowu one wygrały z dawnymi komodami, „nakaslykamy”, tradycyjnymi szafami, które odeszły do lamusa historii. Niektóre gospodynie chlubiły się też zakupem nowoczesnych, rozkładanych foteli zwanych „amerykankamy”. Już sama ich nazwa podkreślała „światową” klasę tych mebli.

Na ścianie niekiedy przybijano drewniane lub metalowe półeczki na kwiatki. Najczęściej były to „szparagi” lub paprotki, które bujnie rosły nawet w półcieniu, a ich pędy sięgały czasem prawie do podłogi. Mówiono, że paprotka tam najlepiej buja, gdzie panuje zgoda i miłość, więc gospodynie chętnie się nimi chwaliły. Czasem pokój zdobiła trzykrotka lub bluszcz. Niektóre gospodynie rozpięły wzdłuż ścian jakieś sznurki, po których wiły się długie pędy tych bluszczu, w których meble tonęły jak w jakiejś dżungli.

Drewniane podłogi w pokojach pokrywano czasem błyszczącym pokostem lub malowano bordową farbą. Wtedy kładziono na nie jakiś pleciony z kolorowych sznurków kilimek zapobiegający ścieraniu się tej farby.

Ściany początkowo były bielone wapnem na biało, ale któregoś roku przyszła moda na desenie, czyli robienie na białym tle tzw. „wałka”. Początkowo technika wykonania tego „wałka” była bardzo prymitywna. Zanurzano w kolorowej farbie „ściśnięty” kawałek szmatki, wykręcano i „turlano” ją po ścianie rzędami od góry do dołu. Powstawały nieregularne ciapki, tworzące fantazyjny wzór; nie ma co ukrywać – wątpliwej urody. Ale i tak były szalenie modne. Potem można już było kupić w sklepie „U guchelców” specjalne gumowe wałki z wyciśniętymi na nich wzorkami; przeważnie kwiatowymi. Zrobiły one wielką karierę. A ponieważ wiele osób – nie chcąc się narażać na wydatki – wypożyczało sobie taki wałek od sąsiadek, wkrótce w wielu domach pojawiła się identyczna ozdoba ścian; najczęściej drobny rzucik kwiatowy, czasem jakieś trójkąci czy inne geometryczne wzory.

W licznych domach „druga izba” była raczej składem różnych rzeczy, gdzie ubrania, buty, różne „klamoty” leżały na krzesłach czy na podłodze. Podczas jesienno-skubania piór opowiadano taką anegdotę, ponoć prawdziwą. Gdy u jednego z bobrowskich gospodarzy było wesele, „miastowy” swat poszedł ze swą drużką mieszkającą bliźniutko do jej domu, w którym była sień, kuchnia i pokój. Relacjonował potem z ironią tę wizytę: – Przeszliśmy przez jedną sień, Jasia posadziła mnie w drugiej sieni, a sama poszła się przebrać do trzeciej sieni. Niestety, czasami i tak bywało.

Na ścianach w pokoju wisiły liczne święte obrazy. Niektóre umieszczano na barwnym kilimie lub podwieszano na ukos pod sufitem, ozdabiając dodatkowo sztucznymi kwiatami z bibuły. Takie cudne obrazy Najświętszego Serca Maryi i Najświętszego Serca Jezusa podziwialiśmy u koleżanki Janki. Były już chyba bardzo stare, nawet trochę szerniały, ale miały jakiś tajemniczy urok i powagę, i zmieniały pospolitą izbę w miejsce niezwykle i piękne.

Jeden z bohaterów Mikołajka tak wspomina obrazy w jego rodzinnym domu: „Zostałem sam, patrzyłem po ścianach; nad jednym łóżkiem obraz brodatego Boga, nad drugim Matki Boskiej. Nad oknem Chrystus na krzyżu. Te obrazy to miejsce wytchnień mojej matki. Ona stąd czerpie siłę – pomyślałem”⁷¹.

Święte obrazy na ścianach domów w wiosce mojego dzieciństwa nie przedstawiały większej wartości materialnej czy artystycznej. Były to najczęściej oleodruki, czyli reprodukcje wykonane farbą olejną na grubym papierze, często przez niezbyt wybitnych autorów i oprawione w ciemne, szerokie, drewniane ramy. Ale dla właścicieli, poświęcone przez księdza chodzącego po kołędzie, były czymś świętym, najcenniejszym. Dlatego też w izbie chłopcy i mężczyźni zdejmowali czapki, a gdy wyrwało im się jakieś przekleństwo, zaraz byli napominani, zwłaszcza przez seniorów ro-

dzin. Oprócz wizerunków Matki Bożej i Chrystusa bardzo popularne były obrazy przedstawiające Świętą Teresę od Dzieciątka Jezus, kanonizowaną tuż przed wojną. Tereska miała pełną słodczy twarz, a leżący na jej rękach krzyż Chrystusowy ozdobiony był czerwonymi różami. Nad łózkami często wisiał obrazek z Aniołem chroniącym dzieci w czasie burzy, obrazki komunijskie i portrety zwane „monidłami”.

Klękaliśmy do pacierzy patrząc, jak Anioł przeprowadza bose i lichy ubrane dzieci przez dziurawy mostek, a groźna sytuacja ukazana na tym malowidle wciąż poruszała naszą dziecięcą wyobraźnię. Wokół panował mrok, wiatr nagiął do ziemi gałęzie drzew, szalała burza, błyskawice cięły niebo. Ale Anioł o ślicznej, niebiańsko spokojnej twarzy osłaniał skrzydłami zabłąkane, strwożone maluchy, o które nie trzeba było się już martwić.

Upływający czas na wsi odmierzały wschody i zachody słońca; rano budził domowników „stróż poranka”, czyli kogut obwieszczający świt, zwany też „piejokiem”, a wieczorem – jak mówiono – szło się spać razem z kurami, czyli wkrótce po zmroku. Natomiast nieliczne zegary – najczęściej pięknie wykonane – były cenną ozdobą i wisiały nawet wtedy, gdy już dawno były popsute i nieruchome. Np. u wujka Piszczka w pokoju stał cudny zegar stojący; miał rzeźbioną szafę, lśniące jak złoto wskazówki, otoczkę cyferblatu i wahadło zwane u nas „prependykiem”, które poruszało się majestatycznie raz w jedną, raz w drugą stronę, błyskając tajemniczo słonecznymi refleksami. Miał też ów cudny zegar pod tarczą podwieszone dwa ciężarki w kształcie szyszek, niezbędne do uzyskania ruchu wskazówek. Głośno powtarzał swoje tik-tak, a co godzinę wydzwaniał jakąś krótką melodię kurantową, stając się na chwilę oryginalnym instrumentem, budzącym ciekawość i podziw. Zegary wymagały nakręcania, co było czynnością ważną i celebrowaną; wykonywał ją gospodarz codziennie o tej samej godzinie. Zegarków na rękę nie miał prawie nikt. Niektórzy mężczyźni nosili w wewnętrznej kieszonce marynarki dość duże zegarki w formie okrągłego, zamykanego pudełeczka, zwanego „koperdom” przypięte do tzw. dewizki czyli łańcuszka. Taki zegarek nazywany u nas „cebulom” nosił z dumą sąsiad Markiel po powrocie z Ameryki.

Niektóre nowe domy miały aż dwa pokoje i wtedy w kuchniach – nawet dużych – nie stawiano łóżek. Ale też było jeszcze wiele chałupek z jedną maleńką izdebką. Taką maleńką izbę nazywano „ciupkom” albo „kłytkom”, w przeciwieństwie do bardzo dużej zwanej haladryjom”. W takiej „ciupce” często gnieździły się nieraz nawet bardzo liczne rodziny.

Tak było najczęściej w bardzo starych domach. Taka izdebka nie miała żadnych wyszukanych sprzętów czy ozdób. Jan Wiktor pisze: „Na nagich, kiedy kto wie bielonych ścianach, wisiało parę szerniałych obrazów. Między świętościami pozbawionymi kolorów i kształtów tkwiła pasyjka osmętniona przez ludzkie płacze i skargi. Nie było więcej sprzętów poza skrzynią na ła-

chy, drągu pod powałą, ciężką ławą, wędrującą w razie potrzeby po chałupie, z łóżkiem w kącie”⁷².

Ale bez względu na to, jaką chatę zamieszkiwali mieszkańcy wioski swojego dzieciństwa, wszędzie dbano o czystość, o domowe ciepło, kochano swoje domostwa, trwano w nich zazwyczaj od urodzenia do śmierci, chyba że jakieś losowe zawieruchy wypędzały domowników na tułaczkę. Ale wtedy zawsze tęsknili i – gdy tylko mogli – wracali. „Wszędzie dobrze, a w domu najlepiej” – mówili. Taka była tradycja i wiara. Uczył tego m.in. proboszcz Fijał, cytując słowa prymasa Stefana Wyszyńskiego: – „Szanujcie zagrody ojców waszych, na których żeście się urodzili, wyżywili i wychowali”.

Te zagrody – ograniczone płotami wyplecionymi z wikliny lub zrobione z ociosanych kołków drewnianych – wciąż były zagospodarowywane i upiększane. Wydzielano ogródki kwiatowe i warzywne, jeszcze przed budową domu sadzono drzewa, które szybko rozrastały się, dając cień i owoce, stawiano drewniane ławeczki, omiatano trawnik i ścieżki. Czyste, ukwiecone podwórka były chlubą gospodyń. A zagospodarowane znajome kąty, wybujałe drzewa sadzone własną ręką, krzewy i kwiaty dawały poczucie przynależności do tego miejsca, pewność stabilizacji i przekonanie, że tu będzie można wśród bliskich osób i oswojonych miejsc dożyć spokojnie końca swoich dni.

Dom i ogródek były królestwem kobiet, a mężczyźni dbali o ład i właściwe funkcjonowanie gospodarstwa. Wielu mieszkańców rzeczywiście nie opuszczało przez całe życie rodzinnego gniazda. Myśleli tak, jak jedna z bohatererek „Chaty za wsią”: „Na co mi świat? Albo to ja ciekawa szerokiej ziemi i siniego morza? Gdzie kogo posadziła dola, tam mu żyć i umierać. Co wam lepszego, że kości wasze leżą rozsypane po świecie, a serce nie ma się gdzie, nie ma do czego przytulić”⁷³.

Żyjąc od dzieciństwa w jednym miejscu i pracując na swojej roli, mieszkańcy wsi czuli bliskość tej ziemi, którą kaleczyli pługami i zmuszali do rodzenia chleba, rozumieli jej odwieczne tajemnice, byli z nią związani na zawsze jakimiś niewidzialnymi nićmi. Sprzedaż ziemi czy gospodarstwa była jakimś aktem zdrady, czymś niegodziwym, bo to była ich krwawica, ich miłość i przeznaczenie, tu wsiąkał ich pot i łzy, tu były cmentarze, gdzie chowali swoich bliskich i gdzie pragnęli złożyć także swoje kości.

Czerwiec był miesiącem, gdy z izby uciekało się na podwórze, „na wieś” czy nad naszą kochaną, płyciutką rzeczkę, gdzie robiło się zapory i obserwowało maleńkie, parocentymetrowe rybki o nieznanej nazwie. Przyglądaliśmy się z zachwytem ich urodzie, błyszczącym łuskom, niezwyklej gibkości i zwinności. Nikt nie hodował rybek w akwarium; najpiękniejsze były te żyjące w bystrej wodzie, śmigające z prądem rzeczki. W czasie wakacji od rana, gdy tylko wschodzące nad zaroślami Wisłoki słońce wyzłociło chłodną jeszcze, pomarszczoną wietrzykiem wodę, aż do wieczora, gdy na horyzoncie za

wysokimi akacjami rosnącymi na podwórku Piękosia gasły ostatnie zorze, spędzaliśmy tam każdą wolną chwilę. Nad wodą czasem zawisała na chwilę zielonooka ważka o prawie przeźroczystych skrzydełkach mieniących się barwami tęczy, czasem z groźnym bzykiem przemknęła do niedalekiej pasieki Węgrzyna jakaś opita nektarem pszczoła, lub na pochyłym brzegu przysiadł na chwilę mały wróbelek i śmiesznie kiwając główką, patrzył koralowym oczkiem na nasze zabawy. Na pobliskiej łące koło domu Ziębów zrywaliśmy polne kwiatki dla mam, kładliśmy na dłoni śmieszoną czerwoną biedronkę w kropki i unosząc do góry rękę, zachęcaliśmy ją do lotu powtarzając znane zaklęcie: „Biedroneczko, leć do nieba, przynieś nam kawałek chleba”, lub leżeliśmy na trawie patrząc na przemykające po błękitnym niebie białe, barankowe chmurki i myśląc „o niebieskich migdałach”. I choć nie zawsze spełniały się nawet małe marzenia, to i tak byliśmy szczęśliwi. Miał rację poeta Leopold Staff, który pisał:

„Pomiędzy zaproszeniem a rankiem podróży,
Między wzniesioną dłonią a owocem drzew
Śpi szczęście”⁷⁴.

Pozostawiano nam wiele swobody, więc – gdy nie było pilnej pracy w domu – znikaliśmy na całe godziny. Było nas – dzieciaków z sąsiedztwa – bardzo dużo, dlatego i pomysłów na ciekawe zabawy nigdy nie brakowało. Urządzaliśmy różne zawody, zabawy w chowanego czy mecze gry w szmacciankę lub piłkę gumową. O prawdziwej, skórzanej nawet nie marzyliśmy. W gronie dziewczynek bawiłyśmy się lalkami, w dom, w sklep, w szkołę. Pewnego razu naprzeciw naszego domu na grubej gałęzi akacji zwanej „po bobrosku” „wakacjom” chłopaki rozwiesili gruby sznur, a na nim położyli deseczkę i tak powstała wspaniała huśtawka. Można się było na niej bujać bardzo wysoko, a gdy się osiągało najwyższy punkt – zrywać kiście akacjowych kwiatów: bielutkie i pachnące i wsadziwszy je do ust zacisnąć zęby, by wyszarpać zieloną szypułkę. Wspaniałe pachnące akacjowe kwiaty smakowały miodnie i były naszym dziecięcym przysmakiem, tak jak wysysany nektar ze śmiesznych, białych kwiatków jasnoty, którą nazywaliśmy głuchą pokrzywą. Nikt nie przejmował się tym, że w kwieciu często ukrywały się drobne robaczki czy drobinki kurzu. Przecież i agrest, i porzeczki, i inne „łopendy” czyli „zdobyczne” owoce jedliśmy też nieumyte, prosto z krzaka. Nieskażone chemią, „ekologiczne”, nikomu nie szkodziły. Wiedzieliśmy, że nie wolno nam tylko jeść bardzo niedojrzałych jabłek, bo mogą być powodem groźnej czerwonki. Przestrogą dla nas była śmierć malutkiej córeczki „łód Szczendorów”. Długo prześladował nas krzyk jej matki, gdy nie udało się uratować chorego dziecka.

Wesołe zabawy trwały aż do zmroku. Tylko wtedy, gdy zaczynało się „burchać” i nadchodziła gwałtowna, czerwcową nawałnicą, chowaliśmy się w izbie, z niecierpliwością spoglądając przez okno, czy nie przestaje padać.

Szyby dzwoniły deszczem, drzewa targane wiatrem gięły się prawie do ziemi, a zalane deszczem podwórka i gościniec świeciły pustkami. Ale zdarzało się, że nawet w taką pogodę przemykał w jakimś worku na głowie ktoś „przypilony” brakiem zapalek czy nafty, a przede wszystkim papierosów, albo któryś z włóczących się codziennie po okolicy dziadów prosiących.

Jeden z nich nawet był mieszkańcem wioski mojego dzieciństwa. Co rano wędrował po bobrowskich drogach i drózkach, zaglądał do domów, zbierał różne dary do swoich licznych woreczków obwiązanych u pasa, do zardzewiałych garnuszków czy tobołka przytroczonego na plecach. Najchętniej zachodził tam, gdzie np. zabito świnie czy wyprawiano wesele. Zawsze szczerze obdarowany odchodził, mrucząc niezrozumiałe coś w rodzaju podziękowania. Wysoki, silny, wyprostowany, żylasty budził niepokój wśród dzieciaków skołtunionymi, siwymi włosami i takąż brodą, potarganymi łachmanami, w które był odziany i drewnianym kosturem, którym się podpierał. Rodzice straszili małe dzieci, że – gdy będą niegrzeczne – zabierze je do swego worka. Niepokoił nas, ale i zaciękawiał. Opowiadano, że człowiek ten porywał psy i robił z nich psie sadło; ponoć lecznicze i że psy to instynktownie czuły. Rzeczywiście, ujadły zawsze straszliwie, gdy przechodził drogą wzdłuż opłotków. Mieszkał ze swą niewidomą żoną „Pode Dworem” w małej, rozwalającej się lepiance. Ludzie mu pomagali; przynosili jakieś ubrania, sprzęty, ale nie rozumieli i nie akceptowali jego stylu życia. Na wsi ceniono ciężką pracę fizyczną, uprawę ziemi i ten, kto się nią nie chciał parać, był traktowany pogardliwie. Litowano się bardziej nad jego żoną, która czasami wychodziła na próg domu obmacując ściany. Babcia Józia wysyłała mnie czasem z garnkiem zupy dla tej nieszczęśliwej kobiety. Wtedy ona podnosiła do góry swe niewidzące, jakby szklane oczy i pytała: – A cyjaś ty?

Usłyszawszy odpowiedź, chwaliła szlachetność babci i żwawo opróżniała ronderek, zawsze wychwalając smak zjadanej potrawy. Raz też dziadek Michał podarował jej zrobione przez siebie drewniane krzesło, ale wkrótce zostało porąbane na opał, tak jak i różne elementy starutkiej chatynki, m.in. ocieplenie z desek; też darowane przez któregoś z życzliwych sąsiadów. Proboszcz Fijał zawsze wzywał do pomocy tej rodzinie, sam też jej pomagał finansowo, ale nie na wiele się to zdało. Chatka coraz bardziej zapadała się w ziemię, a jej samotni, starzy mieszkańcy pomarli. Ślady zatarł czas...

Na pewno nie byli to ludzie źli, a przede wszystkim nieszczęśliwi; niezaradni, samotnie borykający się z losem, nie mający oparcia w żadnych instytucjach państwowych, które powinny im przyjść z pomocą. Sąsiedzi – sami cierpiący biedę – choć starali się pomagać, nie mogli odmienić ich losu.

Czasem znów na zapyłonym gościńcu pojawiał się kominiarz. Już od rana umorusany sadzą, był postacią barwną, mimo czarnego ubioru. Na jego widok trzymaliśmy się za guzik, bo to miało przynosić szczęście. W naszym „Elementa-

rze” zamieszczono wierszyk ukazujący bardzo ciepło tego reprezentanta klasy robotniczej. Czytaliśmy więc, że „kominarz jest cały czarny. Ale jak się umyje będzie biały. On ma małą córeczkę. Pocałował ją w nosek, zostawił płameczkę. A ona go rączkami objęła za szyję i rączki ma czarne, ale to się zmyje”. Kominarz był postacią ważną i oczekiwaną. Znał swoją wartość więc gdy czyścił kominy, w ogóle nie zważał na to, że wyciągając sadze przez specjalne drzwiczki w piecu brudzi nimi niemiłosiernie wszystko dokoła. Było potem zawsze wiele sprzątań, ale nikt nie śmiał mu zwracać uwagi i głośno nie narzekał, bo nie wymiecione sadze zapalały się w kominach, będąc przyczyną groźnych pożarów. Czasem kominarz zrzucał z dachu gniazda kawek, które lubiły gnieździć się w kominach, stając się utrapieniem mieszkańców; zawsze też przynosił jakieś nowe wieści, opowiadał ciekawe historie i chętnie „polytykował” z gospodarzami.

Dosyć regularnie, co kilka tygodni, przez wieś wędrował „mietlorz”. Pochodził z Korzeniowa i był mistrzem w swym fachu. Chętnie kupowano od niego solidne, duże brzozowe miotły przydatne w mieszkaniu, na podwórku, w stodole i w stajni. Był człowiekiem cichym, solidnym, skromnym i życzliwym. Niekiedy towarzyszyła mu dorastająca córka, jak on dźwigająca na plecach powiązane miotły i jak on – cicha, skromna i grzecznie uśmiechnięta.

Czasami przejeżdżał przez wieś dużym wozem handlarz oferujący różne garnki, wiadra czy „puszki” na mleko. Cały dzień odbywał się wtedy ożywiony handel wymienny. Za stare szmaty można było zdobyć – nieosiągalne w byle jak zaopatrzonych sklepach – prawdziwe skarby. Mimo skromnych zasobów szaf, gospodynie zawsze coś wyszukały, bo garnki były przecież artykułem pierwszej potrzeby. Najpierw długo oglądały wybraną sztukę odzieży, sprawdzając stan łat i dziur, wzdychały, odkładały na miejsce, znów wyjmowały – i zaniepokojone, że najlepszego towaru może dla nich zabraknąć – decydowały się pozbyć jakiegoś starego płaszcza, poplamionej spódnicy czy dziurawych portek. Potem biegly za wozem, przepychały się wśród rajujących kobiet, targujących się o ceny „blaszoczków”, patelni, garnków czy wiader, by po długich wahaniach i dysputach wracać uszczęśliwione do domu z blaszanym „wiaderekiem”, czerwonym „rondelekiem” z rączką, czy upragnionym „druślokiem”.

Pożądanym towarem były też dziecięce nocniczki o kształcie pękatego rondelka z uszkiem.

Jedna ze spóźnionych sąsiadek – nie mogąc kupić odpowiedniego garnka – zakupiła taki właśnie nocnik i gotowała w nim obiady, co wyglądało dość podejrzanie i bardzo nas dziwiło.

Emaliowane naczynia – lichej jakości – szybko się obijały, a w dnach wypadały dziury. Wtedy do akcji wkraczali mężowie lub „druciorze”, którzy niekiedy towarzyszyli „szmaciorzom”. Lutowali i drutowali garnki, przedłużając ich żywot tak, by dotrwały przynajmniej do następnego przyjazdu tych wyczekiwanych handlarzy.

Bo oszczędzano na wszystkim. Nosiliśmy ubrania po starszym rodzeństwie, przekazując je następnie – jeśli się całkiem nie rozpadły – młodszym siostram czy braciom. Z koleżanką Ceską nosiliśmy stare, koślawe i za duże buty otrzymane w spadku po starszych siostrach. Podzielowane podeszwy „wołały jeść”, a one same o pomstę do nieba. Ale przynajmniej nie żał było w nich biegać po kałużach czy zdzierać je na ślizgawce. Obrażaliśmy się na naszą koleżankę Lodzię, bo jako jedynaczka nosiła śliczne, nowiutkie bordowe buciki – cudowne trzewiczki z kwadratowymi, twardymi noskami, zapinane na sprzączki. Bardzo jej zazdrościliśmy, więc boczyliśmy się na nią przez kilka dni. Ale ona musiała uważać, by swych butków nie zniszczyć, a my – pełny luz: bieganie po piachu, wchodzenie w kałuże, taplanie się w mokrym śniegu. Lodzia wkrótce zdołała trochę „sfatygować” swoje trzewiczki i znowu mogliśmy razem grać w strulki lub w ubijanego. Nosiliśmy też stare, skórzane teczki z paskami zapinanymi na sprzączki, które czasy swojej świetności miały dawno za sobą, ale świetnie się komponowały z wykrzywionymi butami. A ponieważ naszej koleżance – jedynaczce rodzice kupili nowy, piękny tornister – znów byliśmy przez kilka dni obrażone.

Na szczęście wkrótce nastała moda na noszenie książek w prostych, sztych z cienkiego, kolorowego materiału torbach z dwoma uchami. Dziewczyny ze wszystkich klas zgodnie „szpanowały” z własnoręcznie wykonanymi torbami: w ciapki, kwiatki czy inne wzorki. Te torby – tanie, praktyczne, łatwe do uszycia zrobiły wielką karierę. Były przez wiele lat używane przez kobiety, a nawet przez mężczyzn do noszenia wszelkich zakupów; łatwo było je uszyć samemu, lub za parę groszy kupić na „jarmaku”, a po użyciu poskładać i schować do kieszeni. Wyparły je dopiero torby foliowe.

Niekiedy ścieżkami od strony „Kyndyrza” przychodził wędrowny handlarz „walizkowy”. Różnorodne drobiazgi potrzebne w gospodarstwie miał schowane w dużej walizie, którą – przymocowaną skórzanym pasem – ledwo dźwigał, ocierając co chwila pot z czoła. Z ciekawością i podziwem patrzyliśmy, jak z różnych wymyślnych przegródek i schowków wyciąga prawdziwe „cuda”: kolorowe krawaty i gumę na podeszwy, kościane grzebienie i kamyczki do zapalniczek, igły różnej wielkości, różnorodne nici, kordonki i muliny do wyszywania, barwne tasiemki i wstążki na dziewczynskie kokardy, szaliczki, chustki „gazówki”, a nawet „nylony”, czyli cieniutkie jak pajęczyna pończochy, uznawane jednak za zbytek i rzadko przez wiejskie kobiety kupowane oraz wiele jeszcze innych niezwykłych „cudności”.

Czasem pojawiali się też skromnie ubrani, cisi, spokojni i niezwykle uprzejmi Świadkowie Jehowy, przed którymi jednak prawie wszędzie zamknięto drzwi i których nazywano pogardliwie „kociorzamy”. Mamili kolorowymi obrazkami, ukazującymi piękną, szczęśliwą rzeczywistość, którą można by stworzyć, ale też wieszczili rychły koniec świata i namawiali do przyjęcia

ich religii. Znali świetnie „Pismo Święte” i umieli je wykorzystać do swych celów. Przedstawiali sprytnie argumenty mające podważyć naszą wiarę, dlatego księża zabraniali wdawać się z nimi w religijne dyskusje.

Niekiedy też, dziarsko, z pieśnią na ustach: „My ZMP, my ZMP reakcji nie boimy się”! – maszerowała przez wieś umundurowana w zielone, drelichowe bluzy, w furazerkach na głowach i z łopatami na ramieniu, drużyna junaków. Władza ludowa, chcąc wykorzystać zapał młodzieży pragnącej działać dla dobra wspólnego i móc bardziej wpływać na jej wychowanie, wprowadziła obowiązek powszechnego przysposobienia zawodowego i wojskowego oraz dbałości o tężyznę fizyczną młodych ludzi, dla których organizowano tzw. hufce pracy. Do paramilitarnej organizacji SP werbowano chłopców od szesnastego roku życia. Młodzi junacy mieli się przede wszystkim uczyć zawodu, ale najczęściej ciężko pracowali przy odbudowie kraju, na socjalistycznych budowach i w rolnictwie, szczególnie podczas akcji żniwnych. Organizowano współzawodnictwo w pracy i w sporcie, mobilizując ich do ciągłego wysiłku i rywalizacji. Propaganda uwielbiała zetempowców stanowiących przecież tanią siłę roboczą i partyjny „narybek”, przedstawiając ich zapał, zaangażowanie i postępowość – w gazetach, w radiu i na plakatach. Ukazywano ich jako dzielnych, szczęśliwych młodych ludzi, którzy realizowali hasło: „Nie matura, lecz chęć szczerą robi z ciebie bohatera”.

Mali chłopcy wybiegali na gościniec z zazdrością patrząc na maszerującą kolumnę.

Pojawiali się też w wiosce mojego dzieciństwa inni ludzie w mundurach: żołnierze przyjeżdżający na urlop, marynarze, którzy pochodzili z Bobrowej, a zaciągnęli się na okręty, a pewnego razu przejechała nawet kolumna czołgów, wywołując niezwykle hałas, od którego trzęsły się domy, budząca pewien niepokój, no i wielkie zaciekawienie, zwłaszcza wśród chłopaków.

Zdarzyło się też, że przez wieś pewnej niedzieli przejeżdżał „łodziorz” głośno reklamujący swój towar, cały czas otoczony zgrają dzieciaków, które zdążyły wyłudzić od rodziców parę groszy i teraz z niecierpliwością czekały w kolejce na gałkę lodów w małym, wafelkowym rożku, zazdroszcząc tym, którzy już upajali się tą niezwykłą, mrozącą zęby słodkością.

Ale najniezwyklejszą postacią, przemierzającą pewnego razu wioskę mojego dzieciństwa był najprawdziwszy, najczarniejszy – jak tylko można sobie wyobrazić – Murzyn. Nie wiadomo było skąd się wziął i dokąd wędruje, odprowadzany przez gromadę zadziwionych dzieciaków. Był młody, wysoki, o lśniącej, czarnej skórze i kręconych włosach, naprawdę jak z wierszyka o Murzynku Bambo, co to w Afryce mieszka. Ubrany był zwyczajnie, w jakąś koszulkę i ciemne spodnie, szedł żwawo, nie zwracając uwagi na ciekawskie spojrzenia, a gdy zniknął za zakrętem, kierując się w stronę Korzeniowa, wydawało się nam, że to był tylko sen.

Niekiedy też gościńcem szybko jechała furmanka, wioząca księdza do kogoś bardzo chorego. Obwieszczał to dzwonek, którym energicznie potrząsał towarzyszący księdzu ministrant. Taka sytuacja wzbudzała zawsze wielkie zainteresowanie bobrowian, bo wszyscy się przecież znali i interesowali losem współmieszkańców. Na dźwięk tego dzwonka klękaliśmy z szacunkiem, bo przecież tak blisko był sam Chrystus ukryty w białym opłatku. I nagle na moment stawało się jakoś podniosłe i uroczyście. W takiej chwili ciszy myśli dorosłych biegly ku zaświatom, ich twarze poważniały, a czoła zasnuwały się zadumą.

Zdarzało się też, że wzdłuż gościńca – od początku mojej wsi aż po figurę Chrystusa na granicy z Nagoszynem, i dalej, aż do kościoła – pojawiały się ozdoby z bibułek i kwiatów rozmieszczane na płotach i na palikach wbitych w ziemię. Był to znak, że w naszej parafii miał się wkrótce pojawić Gość ważny i dostojny – biskup z Tarnowa. Wykonywano też wówczas ozdobne bramy powitalne: na początku Bobrowej, Nagoszyna i przed kościołem. Takie ozdoby i bramy były popularne w całej Polsce.

Szymon Hołownia pisał: „Najbardziej lubiłem chwile, gdy na drodze prowadzącej do mojej parafii wyrastała skomplikowana konstrukcja z dykty, papier-mache, wstążeczek i sztucznego zielska, na której szczycie widniał pracowicie wycięty [...] napis: Witamy Arcypasterza [...]; jest to znak, że do parafii zjeżdża z wizytacją biskup”⁷⁵.

Jedną z takich wizytacji opisują autorzy „Przewodnika po Parafii Nagoszyn”:

„Dnia 18 lipca 1925 roku, wczesnym popołudniem, przyjechał do Nagoszyna Ks. Dr Leon Wałęga. Biskup tarnowski [...]. Po Księdza Biskupa wyjechała do Dębicy liczna i barwna banderia na koniach”⁷⁶.

Taka wizyta biskupa miała też miejsce w naszej parafii w czasach tużpowojennych. Obok krzyża znajdującego się naprzeciw Borkowskich zatrzymała się barwna kawalkada, na końcu której, w przystrojonej pięknie bryczce siedział w otoczeniu świty ksiądz biskup. Licznie zebrani mieszkańcy Bobrowej pragnęli powitać dostojnego Gościa z radością i szacunkiem już na początku swej wsi. Uniesiona na rękach „babci Gilki” recytowałam – przestraszona i przejęta – wierszyk ułożony na tę okoliczność przez wujka Aleksandra Bachera:

„Dawno mama mi mówiła,
Że ksiądz biskup u nas będzie
Więc do Bozi się modliłam,
By przyjechał jak najprędzej.
Potem co dzień odmawiałam
Paciorek na tę intencję;
Aż się wreszcie doczekałam:
Dziś witamy Ekszelencję!”

Powitania odbywały się też po dotarciu barwnej kawalkady do kościoła. „Plac przed kościołem i cały gościniec był wypełniony ludem, który prowadził Arcypasterza w procesji. Przy kościele znajdowała się specjalna brama, przy której nastąpiło liturgiczne powitanie”⁷⁷.

Pobyty biskupa w parafii zawsze był wielkim wydarzeniem i świętem. Dostojny Gość prowadził Msze święte, wygłaszał kazania, udzielał komunii świętej, bierzmował dzieci, spotykał się z kapłanami, błogosławił zgromadzonych ludzi. Żegnano go również bardzo uroczyście i również odprowadzała go liczna banderia na koniach. A każda wizyta księdza biskupa była głęboko przeżywana, długo pamiętana i komentowana.

A czerwiec powoli zbliżał się do końca i niósł powiew nadchodzącego lata. Przypadające w tym czasie Boże Ciało było jednym z największych i najpiękniejszych świąt obchodzonych przez mieszkańców całego kraju.

Jego niezwykłą atmosferę ujmująco wyraził twórca Młodej Polski Stanisław Przybyszewski, pochodzący z Kujaw: „Gdybym się znalazł nagle na tej ziemi podczas dnia, nie wiedząc ani dnia, ani godziny, ani w ogóle nie wiedząc, gdzie się znajduję, z niechybną pewnością mógłbym powiedzieć, że to święto nad święta: Boże Ciało [...]. Teraz ksiądz zaintonuje jedną z najpotężniejszych pieśni, jakie Kościół duszę grzesznego człowieka z sobą nierozzerwalnie spętał: cały kościół zdrżny straszną mocą tego tak na wskroś polskiego „dies irae”. Święty Boże, Święty Mocny, hymn nad hymny: teraz na wsze strony zaświeci wybawczym słońcem złota monstrancja, a lud legnie pokotem przed tak wielkim Majestatem”⁷⁸.

Bardzo lubili i uroczyście czcili to święto również mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa. Dla nas, dzieci – było ono trochę jakby powtórką odpustu, choć – niestety – już bez kramów i całej tej atmosfery jarmarku, ale dla dorosłych był to dzień niezwykły. Już dużo wcześniej parafia przygotowywała się do tego święta. Władze nie pozwalały, by procesje – jak dawniej – wędrowały przez wieś; odbywały się więc tylko na placu wokół kościoła, gdzie ustawione były cztery piękne ołtarze. A tradycyjna procesja Bożego Ciała miała niezwykle uroczystą oprawę.

Pochodzący z Dąbrowy Tarnowskiej pisarz Jerzy Braun wspomina „nieustanne bicie dzwonów, larum małych dzwoneczków, potrząsanych przez ministrantów, chórалny śpiew tłumów tłoczących się pod baldachimem, rzędy dziewczynek w bieli z wiankami na głowach, sypiących kwiaty przed złotą monstrancją”⁷⁹.

Niezwykły charakter święta Bożego Ciała potwierdzają też zdjęcia z tej uroczystości w Nagoszynie zamieszczone w „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas”⁸⁰.

Corocznie wielki tłum rozmodlonych ludzi otaczał długi, biały wąż sypiących kwiatki dziewczynek i chłopców w komeżkach, dzwoniących małymi dzwoneczkami na chwałę Tego, który „zagrody nasze widzieć przychodzi”.

Tę uroczystą, starą pieśń: „Zróbcie mu miejsce, Pan idzie z nieba” – a także inne, równie piękne – znali i śpiewali z wielką żarliwością i wiarą wszyscy uczestnicy procesji.

Hołownia pisze: „Większość tych śpiewanych w polskich kościołach to pieśni sprzed kilkadziesiątu i więcej lat. Niewielu wiernych zwraca jednak uwagę na drzemiące w nich skarby poezji ludowej, roztaczane przez autorów malownicze, rustykalne wizje”⁸¹.

Pieśń „Zróbcie Mu miejsce” na pewno przemawiała do wszystkich barwnym obrazem Chrystusa, który przybywa z nieba, by wędrować po ścieżkach, odwiedzać zagrody i z troską patrzeć, „jak się Jego dzieciom powodzi”.

Przedstawiciele poszczególnych stanów – odświętnie ubrani; niekiedy w strojach ludowych: panny, kawalerowie, mężatki i żonaci – nieśli przyozdobione kolorowymi wstęgami i kwiatami kościelne chorągwie i święte figury.

Na jednej z fotografii zamieszczonych w „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas” można rozpoznać dziewczyny z wioski mojego dzieciństwa: Marysię Ostrowską i Tylkę Ziobro niosące figurę Matki Boskiej, na innym piękną Chorągiew z orłem w koronie, być może pochodzącą jeszcze ze starego kościółka św. Barbary.

Feretrony z nagoskiego kościoła noszone w czasie procesji – jak czytamy w „Przewodniku po Parafii w Nagoszynie” – „mają swoją tajemniczą, prawdopodobnie długą historię. Wiadomo, że feretron z figurą Matki Bożej ufundowali Józef i Barbara Wałęgowie. Z 1933 roku pochodzą dwa sztandary biały i czarny, dar Weroniki Szewc z Nagoszyna i feretron Św. Antoniego – ofiara rodziny Pyskatych i Borkowskich”⁸².

Oczywiście Borkowscy i Pyskaci to znane rodziny bobrowian.

Ołtarze polowe na Boże Ciało były wykonywane przez wyznaczonych mieszkańców parafii. Chętnie dostarczano im ścięte brzoźki, mające tworzyć tło dekoracji; tak gęste, że ołtarze te tonęły w zieleni. Delikatne brzozowe gałązki zdobne w jasnozielone listeczki, szeleszczące przy każdym powiewie, tuż po uroczystości odłamywano i zabierano do domu, by je wbić w ziemię w ogródku i na polu, ponieważ miały zapewniać bezpieczne urodzaje. Tych gałązek było tyle, że starczyło dla każdego, a ogołocone ołtarze na opustoszałym już placu kościelnym przedstawiały widok dość opłakany.

O tym zwyczaju tak pisał Franciszek Kotula: „Pewnego dnia, zdaje się w roku 1965, jechałem drogą z Pilzna w kierunku Jasła. Wymijałem i wyprzedzałem całe gromady ludzi niosące naręczą gałązek [...], szły z klasztoru karmelitów z Pilzna [...]. Dlaczego mają chronić pola przed gradem jedynie gałązki drzewek zdobiących ołtarze w oktawę Bożego Ciała? W moim prze-

konaniu – że niby święcone – to już późniejsza historia; poświęcenie tylko wzmacniało siłę, którą gałązki drzewa lub krzewu miały dawniej”⁸³.

I tak tradycji stawało się zadość.

Zaraz po uroczystościach ołtarze rozbierano, a plac kościelny zamiatano i uprzątano.

Zanim jednak zaczęła się procesja, na tle brzozowych ścian stawiano rusztowania, a na nich wieszano kilimy wypożyczane od parafian, stawiano stoły przykryte białymi obrusami, misternie wyhaftowanymi przez którąś z „tercyjanek”, wykrochmalonymi i starannie wyprasowanymi, a na nich świece i bukiety kwiatów we flakonach lub szklanych słojach.

Czerwiec obfitował w różnorodne kwiecie, które hojnie ofiarowywano na ozdobę ołtarzy. Bujnie rozpychały się więc stłoczone obok siebie ogromne różowe piwonie, czerwone róże, wonne, fioletowe lilie czy białe rumiany. Ale nie tylko ołtarze zadziwiała przepychem i różnorodnością kwiecica. Droga, po której stąpił Chrystus w Świętej Monstrancji, niesionej uroczystie pod baldachimem przez księdza proboszcza w otoczeniu najważniejszych parafian, była cała usłana delikatnymi płatkami kwiatków w tonacji różowo-czerwonej z domieszką fioletu, błękitu, żółci i bieli. Można było się schylać i garściami nabierać kwiatowego puchu, co też czyniły najmłodsze dzieciaki, obrzucając się nim nawzajem. Za księdzem podążała wielka rzesza parafian, zanosząc pobożne modły i śpiewy.

Po tym dniu tak uroczystym nadchodził równie cudowny, odświętny tydzień. Były to tzw. Oktawy Bożego Ciała, czyli ośmiodniowe uroczystości ku czci Najświętszego Serca Pana Jezusa, połączone z Nieszporami i procesją. Codziennie podczas Nieszporów niosło się w niebo uroczyste, śpiewane na stojąco: „Uwielbiaj duszo moja sławę Pana swego, chwal Boga Stworzyciela, tak bardzo dobrego”, czyli „Magnifikat” – pradawny, piękny, podniosły hymn Maryjny. A potem obchodzono kościół w uroczystej procesji, w czasie której, przy wtórze śpiewów, bicia dzwonów i brzęku małych dzwoneczków sypało się kwiatki nazbierane pracownice na polach, łąkach i w ogródkach. W ostatni dzień Oktaw święciło się wianki uplecione z pachnących ziół i ozdobione kokardką zrobioną ze wstążki.

Wianków plotło się kilka: z rozchodnika, który płożył się gęsto po rowach i na nieużytkach, zdobiąc je mięsistymi, jasnozielonymi listkami z szarobiałym puszkiem i pięknie wybarwionymi, żółciutkimi kwiatuśkami w kształcie gwiazdeczek, liliowej, odurzająco pachnącej macierzanki, dzikiego rumianku o malutkich żółtozielonych kwiatkach, białobaldaszkowego krwawnika, złocistego dziurawca czy zielonej mięty. Były to zioła, które stosowano jako lekarstwo na różne dolegliwości: rumianek na przemywanie ran, krwawnik na tamowanie krwi, miętę na dolegliwości żołądkowe itp. Cenionym i szczególnie przez nas lubianym ziołkiem była macierzanka,

czyli tymianek. Ta mała krzewinka kokosiła się bujnie na miedzach i piaszczystych, wygrzanych słońcem polnych drogach, m.in. „za smugiem”, przez który szło się w Olszyny piaszczystą ścieżką, odgałęziającą się od gościńca obok domu mojej koleżanki Janki. Macierzanka miała ciemnozielone, malutkie listeczki i liliowe, drobniutkie kwiatuszki i cała była urokiem i zapachem, o czym dobrze wiedziały obsiadające ją gęsto pszczoły.

Po poświęceniu wieszało się pachnący ziołami wianek na ganku lub na ścianie izby, by służył w razie potrzeby do sporządzenia uzdrawiających naparów i by bronił od zarazy i nieszczęść. Podobno w dawnych czasach podpalano wysuszone wianki i okadzano nimi zwierzęta domowe, by uchronić je od chorób.

Zwyczaj święcenia wianków był bardzo stary; pochodził jeszcze ze średniowiecza. A wianek był też symbolem niewinności; dawniej zakładały go na głowę Panny Młode, a podczas oczepin oddawały druhnom. Mówiło się też o dziewczynie, która zaszła w ciążę, że „straciła wianek”. O wianku opowiadały liczne przyśpiewki weselne i piosenki ludowe, jak ta zaczynająca się od słów: „Łód krzocka do krzocka po lystecku, powiedz my dziewczyno ło wionecku”. Do wianków często wplatało się dodatkowo ozdobne kwiatki; na przykład jaśminu czy dzikiej róży, której kolczastych krzaków pełno było w wiosce mojego dzieciństwa.

Zgodnie z tradycją, w ostatnim dniu Oktaw odbywało się też błogosławieństwo dzieci, których było bardzo dużo, więc ich gwar wypełniał cały wielki plac kościelny, gdzie gromadziły się – wystrojone i przejęte – wokół dumnych matek, bo ojcowie zazwyczaj zostawali w domu, przy licznych obowiązkach gospodarskich. Sam proboszcz Fijał po skończonej procesji schodził dostojnie po schodach, ogarniając z satysfakcją wielką gromadę swoich pobożnych parafian; rozmodlonych, rozśpiewanych, chętnie uczestniczących w uroczystościach religijnych. Podchodził do stojących i błogosławiąc, kładł rękę na płowych główkach niesfornych maluchów i starszych dzieciaków, już trochę krępujących się tych czułych gestów. Zagadywał też życzliwie do mam, szczególnie, gdy szczyły się licznym potomstwem. Te, z jedynakami u boku, stały trochę wstydliwie, będąc prawie pewnymi, że ksiądz powie im coś uszczypliwego, pokiwa z dezaprobatą głową lub przynajmniej pogrozi palcem. Bo wiadomo, proboszcz bardzo dbał o to, by dzieci rodziło się jak najwięcej.

Koniec czerwca łączył się też zawsze z zakończeniem roku szkolnego. Przychodziliśmy do szkoły w tym ostatnim dniu odświętnie ubrani, z bukietami w rękach. Ale nie były to wykwintne bukiety ułożone przez florystki. Eleganckich róż ani innych oryginalnych kwiatów w przydomowych ogródkach nie było. To było królestwo floksów, astrów, georginii, zwanych „giergoniamy”, nagietek, malw, astrów, rumianów, „czosek”, zwanych też „panienkami”, czy

aksamitek o specyficznym zapachu, dzięki któremu otrzymały nazwę „śmierduszków” oraz innych „samosiejek”, zakwitających każdego roku na grządkach.

W dniu zakończenia roku szkolnego przynosiliśmy dla naszych nauczycieli te ogrodowe kwiatki, przyozdobione asparagusem zwanym „szparagom”, z zazdrością spoglądając na wyróżniający się urodą i zapachem bukiet cudownych, bordowych róż naszej koleżanki Janki. Tylko w jej ogródku kwitły szlachetne odmiany róż; odurzająco pachnące, aksamitne, dumne na swych wysokich łodygach. Dlatego trochę wstydliwie nieśliśmy te nasze, pospolite bukiety. Ale zawsze dawaliśmy je ze szczerego serca, kochając i szanując tych, którzy nas uczyli, a którzy i wśród dorosłych cieszyli się wielkim autorytetem. Szczególnie wzruszające było pożegnanie na zakończenie szkoły podstawowej, gdy – świadomi kończącego się dzieciństwa – z oczami pełnymi łez śpiewaliśmy tradycyjną piosenkę pożegnalną, której pewnie dziś już nikt nie pamięta:

„O Boże, hołdy składamy Tobie na zakończenie szkolnych klas.

Przyjmij cześć naszą i w każdej dobie, o Boże, błogosław nas.

Błogosław także i tych, o Panie, co nauczali nas,

My za ich trudy na pożegnanie podziękę z serc niesiem wraz”.

Na zakończenie uroczystości w 1954 roku kierownik szkoły poinformował nas, że wkrótce – 30 czerwca o godzinie 13. będziemy świadkami niezwykłego wydarzenia – całkowitego zaćmienia słońca. I że należy bacznie obserwować to zjawisko, bo następne będzie dopiero w 2135 roku. Dla nas była to data całkowicie abstrakcyjna!

Czekaliśmy z niepokojem na ten dzień. Zaopatrzeni w kawałki okopconego szkła przyglądaliśmy się niespokojnemu niebu, na którym czarna kula wtaczała się na słońce, by zakryć je na chwilę całkowicie. Zrobiło się tak jakoś niesamowicie: niebo przybrało dziwny seledynowo-niebieski kolor, wszystko wokół poszarzało, ucichły ptaki i zwierzęta, ludzie też przycichli, tylko małe dzieci trochę marudziły, tuląc się do swych mam. Z radosnymi okrzykami witaliśmy powrót słońca i żywych kolorów nieba i ziemi. I na zawsze zapamiętaliśmy ten niezwykły dzień.

Po uroczystym zakończeniu roku szkolnego zaczynały się oczekiwane wakacje. Biegliśmy w pola ze świadectwami w rękach, by smakować życie, by cieszyć się z młodego lata, które królowało roztaczając wokół swe czary. Szumiały wysokie łąny zbóż, wśród których błękitniały bławatki i czerwieniły się maki, kuropatwy przemykały po miedzy pełnej białych krwawników, „ślypiatych” rumianów i kolczastych ostów. Na miedzach było pełno krzaków tarniny, głogu, a także dzikich róż, które właśnie pięknie rozkwitały. Dzikie róże obrastały zwłaszcza miejsca nie użytkowane, zarosłe różnymi krzakami i zielskiem, broniąc przystępu ostrymi kolcami, ale też dekorując

wioskę mojego dzieciństwa burzą pachnących, delikatnych kwiatków, które tak pięknie umiał opisać tylko poeta:

„Nie są wyniosłe, ni zawistne,
Lecz dobroduszne, drobnolistne,
Gęste i niskie, krasne, kraśne,
Zawsze z żółtawym proszkiem w środku.
Dobre przy bluzkach dla podlotków.
Lub w szklance. Takie róże właśnie.
A woń kwiatowej mają wody”⁸⁴.

Barwy płatków tych różyczek były prześliczne, delikatne, intensywne i często zdobiły nasze izby. Natomiast ich owoce – zwane bardzo nieelegancko „skravidupom” – zbierano, gdy zwarzył je pierwszy przymrozek i po oczyszczeniu z szorstkiego, drapiącego podniebienie wnętrza zamykano w przepastnych, szklanych gąsiorach zwanych „dymionamy”, by po pewnym czasie, uzupełnione cukrem, wybarwiały się w słodkie, pachnące wino.

Na miedzach, którymi biegaliśmy, na różnego rodzaju nieużytkach, na rowach i na zaniedbanych polach pleniły się też obficie kolczaste osty pełne różowych, drobnych, strzępiastych kwiatków, wychylających się z półokrągłych koszyczków. Nie były jeszcze zbyt wysokie, ale przez całe lato bujnie się rozrastały i rozsiewały wokół swe nasionka podobne do kłaczek wełny. Były nieznośnym chwastem, z którym daremnie walczono. Wyglądały jednak bardzo ładnie; zarówno dorodne kolczaste krzewy, obficie oblepione kwieciami, jak i bielutki puch niesiony z wiatrem nad polami. Pokochał je szczególnie polski malarz Jan Stanisławski, który nazywał je z ukraińska bodiakami i często przedstawiał na wielu obrazach [np. „Bodiaki pod słońce”]. Pisał o nich też nawet sam Wyspiański przedstawiając sielankowy obraz wsi:

„A ja wolę gaik spokojny,
Sad cichy, woniami upojny,
Żeby mi się świeciły jabłonie
I mlecz w puchów koronie,
I trawa schodziła zielona,
Kręciła się przy mnie żona,
Żebym miał kąt z Bożej łaski
Maleńki, jak te obrazki
Co maluje Stanisławski.
Z jabłoniemi i bodiakiem
We złotawem słońcu takim”⁸⁵.

Brodząc w miękkiej trawie nad brzegiem stawu, zbieraliśmy sitowie zwane „sitem” i pletliśmy z niego śmieszne, wysokie – jak te u krasnoludków – czapki i zaśmiewając się biegliśmy w nich gościńcem do domu, bo już w stajniach porykiwały krowy, a nawet wakacje nie zwalniały nas od dzie-

cięcego obowiązku wypędzenia bydła w pole. Rodzice brali ostrożnie do ręki przyniesione świadectwa, powoli czytali, chwalili lub ganili, a nawet zdarzało się, że sięgali po wiszący na ścianie skórzany, „wielofunkcyjny” pas. Bo wiele dzieci przynosiło słabe oceny, a nawet zostawało na drugi rok w tej samej klasie. Nie zawsze była to ich wina. Dzieci często chorowały, opuszczając lekcje, były zostawiane w domu, by wykonywać różne prace gospodarskie czy domowe albo opiekować się młodszym rodzeństwem; bywały nieraz głodne, niedopilnowane, a nawet zaniedbane. Ale coraz więcej rodziców rozumiało potrzebę ich kształcenia, co otwierało większe perspektywy życiowe i dawało szansę na lepszą przyszłość.

Biegąc ścieżkami wśród bielejących już zbóż, chłoniliśmy znaną nam ciszę, panującą w rozgrzanym powietrzu, a gdy tę ciszę nagle przerywał daleki, przytłumiony gwizd lokomotywy, pędzącej gdzieś w dalekie strony, zatrzymywaliśmy się, marząc, że też jedziemy tym pociągiem na spotkanie wielkiej przygody. Cieszyliśmy się, instynktownie czując jakiś niepojęty dla nas, a tak ważny, dający poczucie bezpieczeństwa ład i sens otaczającego nas świata, zanurzonego w bujności otaczającej nas przyrody, o którym tak pięknie napisał Mikołajek:

„W dużej ciszy słychać coś jakby szept: zbóż, traw, drzew, owadów [...]; chociaż byłem dzieckiem czułem w tym wewnętrznym ład”⁸⁶.

Od dawna było już tradycją, że zawsze w dniu świętych: Piotra i Pawła szło się do lasu na borówki zwane też jagodami. Wprawdzie władze PRL-u nie uznawały tego święta, ale mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa przerywali prace polowe i chętnie wybierali się do lasu. Zazwyczaj już wcześniej docierała do nas wieść, że borówki w korzeniowskim lesie są wystarczająco czarne i dojrzałe. Wiadomość tę najczęściej przekazywał „mietlorz”, który właśnie zaczął je nosić na „jarmak” do Dębicy. W mojej wiosce nikt jagód nie kupował, bo byłoby to czymś niehonorowym, wstydliwym wydawać niepotrzebnie pieniądze, skoro można było samemu iść do lasu i nazbierać, ile się tylko chce. Wszak korzeniowski las obficie rodził wszelakie smakołyki: borówki, czerwone „kogutki”, fioletowe jeżyny zwane „baranamy” i różnorakie grzyby.

Z radością organizowano grupkę chętnych na wspólną wyprawę. Najczęściej wybierały się do lasu dzieciaki, starsze kobiety i młode dziewczyny. Mężczyźni uznawali to zajęcie za zbyt niepoważne, „babskie”, a młode gospodynie, mając „na głowie” dzieci i gospodarstwa, z trudem znajdowały czas, by choć raz w roku nazbierać jagód.

Wędrując gościńcem wśród pól – za domem mojej koleżanki Luśki już prawie nie było zabudowań – pojadaliśmy zabrane z domu kromki chleba, bo zerwani z łóżek wczesnym świtem, wyruszaliśmy na czczo, jeszcze do końca nie rozbudzeni. Ale w grupie szło się rażno i wesoło. Wkrótce mijali-

śmy ukryty w gąszczu krzaków i wysokich traw dawny Cmentarz Choleryczny; opuszczony i omijany z daleka, a tuż za nim drogę wiodącą na Dębinę.

I już byliśmy w Korzeniowie, choć do lasu było jeszcze dość daleko. Na podwórkach domów ukrytych wśród sadów już krzątały się kobiety, dzieci wyganiały krowy, słychać było rozmowy przy studniach i w opłotkach. Skręcaliśmy z gościńca – wzdłuż którego rosły olbrzymie, stare dęby, smukłe topole i przysadziste wierzby – na piaszczystą dróżkę, białą od pyłu, wijącą się wśród kęp różnych krzaków, cienkich brzózek, kłujących jałowców, wysokiej trawy i różnego zielska.

Widoczny brzeg lasu był jeszcze skąpany w porannej mgle, ale słońce wypijało szybko chłodną rosę więc na polanach pokrytych wełnianką, macierzanką i rozchodnikiem było już sucho. Omijaliśmy kolczaste ostrężyny, kępy wrzosów, krzaki jałowca, małe sosenki i świerczki. Łagodny wietrzyk niósł żywiczną woń sosen, a z niedalekich pól – zapachy dojrzewających już na piaszczystych glebach zbóż.

I już wchodziliśmy w przyjemny chłód lasu. Wokół roznosił się żywiczny zapach świerków i jodeł, które stały majestatyczne, proste i wspaniałe, dumne i nieruchome. Przez łagodne, usłane igliwem pagórki i polanki szybko docieraliśmy do ogromnych leśnych polan, pokrytych paprociami i borowiną. Widać już tam było pochylone sylwetki zbieraczy, dochodzili też co chwilę nowi. Ale jagód wystarczyło dla wszystkich, zwłaszcza, że korzeniowsko-nagoskie lasy ciągnęły się na ogromnej przestrzeni. Tu zatrzymywaliśmy się, by zacząć zbieranie.

A była to żmudna i ciężka praca, ale też pewna odmiana w codziennym kieracie życia, no i duży pożytek, bo nazbierane borówki zamieniały się wkrótce w bardzo smaczną jagodową zupę, były przerabiane na dżemy do naleśników lub do chleba, stawały się pysznym farszem do pierogów; niestety strasznie plamiącym języki i ubrania, czy jagodowym sokiem, który – zamknięty w słoikach – cudnie smakował, pachniał i wzmacniał nasze zdrowie w czasie długich, zimowych dni.

Chętnie towarzyszyliśmy więc dorosłym, którzy – zaopatrzeni w przepaściste „puszki” czy wielkie wiaderka – wkładali nam w ręce blaszane „półtytroki”, żądając solidnego zbierania. Przestrzegali też, żeby przed końcem pracy nie próbować zjeść ani jednej jagódki, bo potem już nie sposób się oprzeć. Ale już po chwili, najpierw po kryjomu, a potem całkiem otwarcie – narażając się na utyskiwania i kpiny – wpychaliśmy do „dziurawego dzbanka” te największe, najpiękniejsze, najczarniejsze, wygrzane słońcem, by poczuć wspaniały smak i zapach, i naprawdę przekonać się po raz kolejny, że nie można się nimi nasycić.

Czas szybko mijał, garnuszek wciąż był napełniony tylko do połowy, nasze buzie umazane czernią, a my – zmęczeni, ale szczęśliwi – zabieraliśmy się do przeglądania przyniesionych z domu zawiniątek z jedzeniem. Jakże

smakowały kromki chleba, na których już roztopiło się masło, czy „prozioki” pieczone wprost na kuchennej blasze, teraz zagryzane borówkami!

Po chwili znów zabieraliśmy się do pracy, pokrzykując do siebie nawzajem i żartując beztrasko. Szybko jednak rosło zmęczenie, doskwierał nasilający się upał, gryzły komary, kleszcze i mrówki. Nogi i plecy bolały zarówno dzieci, jak i dorosłych, ale oni musieli przecież napęłnić wszystkie przyniesione naczynia, a w puszkach i wiaderkach wciąż było za mało jagód. Niehonorowo byłoby nieść niepełne pojemniki; przeciwnie – należało nazbierać „z cubkiem”, a wcześniej jeszcze „utrząść” jagody pobijając lekko puszką czy wiadrem o ziemię. Dopiero wtedy okrywało się kopiate naczynia pierzastymi liśćmi paproci; dorodnych i pięknych. Gęste i wysokie krzewy paproci tworzyły prawdziwe łąki, będąc niewątpliwą ozdobą korzeniowskiego lasu, tak jak i proste, strzeliste sosny, zastygłe w parnym powietrzu, o grubych, chropowatych pniach, na których lśniły bursztynowo grube guzy miękkiej żywicy.

Na koniec wyszukiwało się mocne źdźbła wysokich traw i obwiązywało nimi zdobyte skarby. Dorośli dopiero wtedy pozwalali sobie na jedzenie borówek. Ale zazwyczaj już się wszystkim spieszyło, bo wysokie i gorące słońce wskazywało zbliżające się południe, więc, idąc na przełaj przez wysoką borowinę, by dotrzeć do ścieżki, poszczypywali pojedyncze jagódki, z żalem zostawiając za sobą tyle czarnych smakowitości!

Czekała nas jeszcze bardzo długa droga do domu w upale czerwcowego dnia i w pyle wijącej się wśród pól drogi, tylko gdzieniegdzie ocienionej przez przydrożne drzewa.

Zostawialiśmy za sobą nasłonecznione, nagie pagórki i tajemne wykroty, gdzie był wieczny cień, a aksamitny, zawsze wilgotny mech oplatał szare kamienie i próchniejące, stare pnie.

Podczas takich leśnych wypraw zdarzały się różne przygody. Pewnego razu jedna z sąsiadek, delikatna, wrażliwa Irusia – zmęczona i zdesperowana, że w jej puszcze wciąż mniej niż u innych – postanowiła: – Mam dość; siądę pod „suską” i niech mnie „kowole” zjedzą. Na szczęście widok tych wielkich i dotkliwie kęsających mrów szybko dodał jej sił do dalszego zbierania. Inna z dziewcząt potknęła się o korzeń i pełna już puszka potoczyła się po ziemi, a pracowicie „udziubdziane” borówki wysypały się na piaszczystą ścieżkę. Ale dziewczyny w wiosce mojego dzieciństwa nie były mazgajami. Ta pozbierała się szybko, porozcierała obtarte kolana, wybierała trochę jagód, narwała na wierzch liści paproci – robiąc obowiązkowy „cubek” – po czym związała puszkę jak inne dziewczyny i szła dumnie do domu, a nikt się nie domyślił, że tam borówek – jak na lekarstwo!

Najczęściej – zbierając jagody do przyniesionych „gornuszecków” – puszki i wiadra pozostawiało się obok siebie na leśnej ścieżce. Nie zawsze było to bezpieczne, choć dość praktyczne. Noszenie z sobą coraz cięższego, wielkie-

go naczynia było niewygodne, łatwo też gubiło się, pozostawione nawet na chwilę w wysokiej borowinie i jeszcze wyższych paprociach.

Bywało jednak, że ktoś sobie trochę odsypał z nie pilnowanych naczyń, jakieś biegnące dziecko coś przewróciło lub trochę podjadło, a nawet zdarzało się, że ktoś przez pomyłkę dosypał jagód sąsiadowi, utrzepał pobijając o ziemię, a zorientowawszy się w pomyłce, odsypywał z powrotem. Tych utrzepanych było jednak dużo mniej i wyglądały żałośnie; były pogniecione i brzydkie. Właścicielka krzyczała, złorzeczyła, ale nikt oczywiście nie przyznał się do pomyłki. Natomiast wszyscy chętnie pomagali dozbierać do pełna pechowej koleżance. Każdy wsypał garść jagódek i już był „cubek” gotowy do zawiązania.

Na końcu czerwca pojawiały się też na odsłoniętych i wygrzanych w słońcu pagórkach leśnych żółciutkie kurki o fantazyjnie wywiniętych kapeluszach, zwane u nas „lyszówkami”. Obrane do czysta i wypłukane z piasku, a następnie uduszone ze śmietaną były cudownie pachnącym przysmakiem.

Wychodziliśmy z lasu obładowani, z pełnymi puszkami, wiaderkami, „blaszockami” i garścią gałązeczek borowiny oblepionej najdorodniejszymi jagódkami z siwym, delikatnym nalotem, który ścierał się przy dotknięciu, mającymi być miłym podarkiem dla najmłodszego rodzeństwa. I znów wracaliśmy całą gromadą; najpierw „na ukoski” przez wrzosowiska, polanki i kępy „mleczycy”, omijając nigdy nie wysychające bajorka pełne żab, kolczaste ostreżyny, wysokie, sztywne dziewanny i kępy zarośli. Żegnał nas głośny stukot dziecięcia kryjącego się wśród gałęzi sosen, spod nóg smyrgały brązowe i zielone pasikoniki, szeleściła sucha trawa, prażyło słońce. Byliśmy zmęczeni, spoceni, ale szczęśliwi. W domu szorowaliśmy umorusane twarze i ręce, i usuwaliśmy z naszej skóry kleszcze, nie mając pojęcia, że mogą być przyczyną jakichś chorób.

Któregoś roku w dniu Piotra i Pawła ruszyliśmy do lasu całą gromadą. Mimo ostrzeżeń doświadczonych, starszych ludzi, że w to święto zazwyczaj bywają gwałtowne burze, nikt się nie przestraszył. Wstaliśmy raniutko. Pogoda była piękna, powietrze jeszcze rześkie, więc żwawo zdążaliśmy gościńcem, potem piaszczystymi drózkami aż do lasu, gdzie szybko znaleźliśmy wielką polanę dorodnej, oblepionej wprost czarnymi jagodami borowiny. Czyste powietrze aż drgało świeżością, pachniały sosny, śpiewały leśne ptaki. Zbieraliśmy żwawo smakowite jagódki, co chwilę dosypując je do przyniesionych naczyń.

Burza przyszła niespodzianie. Nagle piekące żarem słońce skryło się za czarną chmurą, wcześniej niewidoczną zza koron wysokich drzew. I zaraz zerwał się wicher i huknęły grzmoty, zwielokrotnione przez echo. Las, przesycony dusznym powietrzem i mocnym zapachem igliwia pociemniał gwałtownie, ukazując swe groźne oblicze. Nad naszymi głowami pojawiły się nagle liczne, czarne chmurzyska galopujące na oślep. Gałęzie drzew i krzewów jakby zerwały się do biegu. Załopotały targane wiatrem liście paproci. Drzewa zaszumiały złowieszczo. Zapanował chaos.

Zbieraliśmy pośpiesznie nasze naczynia – jeszcze niepełne – i biegliśmy co sił w nogach przez wysoką borowinę, potykając się na wykrotach i próbując omijać rosnące gęsto na obrzeżach lasu kłujące jałowce i choinki samo-siejki. Patrzyliśmy trwożliwie w czarne, krojone błyskawicami niebo i – z nadzieją – w stronę domów stojących na skraju korzeniowskiego lasu. Wicher szalał, grzmiało coraz głośniejsze i bliżej, a rzadkie i ciężkie krople deszczu już toczyły się po liściach paproci.

I nagle ze skotłowanych chmur lunęła prawdziwa ulewa, a cały las pograżył się w mroku. Na oślepie, przemoknięci do suchej nitki, dopadliśmy dysząc do pierwszej chaty. Było tam już sporo przemokniętych „zbieraczy”, stojących w przylepionych do ciała ubraniach, a gliniana polepa izby zmieniała się w wielką kałużę. Wyglądaliśmy żałośnie i żałośnie wyglądały nasze zbiory ubite na papkę i rozmoczone w deszczowej wodzie. Oczywiście garnuszki były puste, a i brzuchy też nie najedzone. Wszystkim jednak dopisywały humory więc śmialiśmy się z siebie nawzajem, bo wyglądaliśmy jak „zmokłe kury”.

Burza przeszła tak niespodziewanie, jak się pojawiła. Gdy jeszcze ostatnie, ciepłe krople spadały na ziemię, na niebie pojawiło się znów – obmyte czerwcowym deszczem – piękne, złociste słońce. Wracaliśmy, omijając szybko niknące na piaszczystej drodze kałuże, a gorące powietrze suszyło nasze ubrania. Jeszcze na liściach drzew, na skołtunionych krzakach obrastających brzegi przydrożnych zagonów, na wysuszonych upałem żdźbłach trawy lśniły wielkie krople, jeszcze w „krzykopach” stała woda, pachniała gorzko mokra ziemia, a upał znów zaczął dawać się we znaki. Cienkie, perkalowe sukienki szybko wysychały, droga przemierzana „na bosoka”, gdy brodziło się w ciepłych kałużach i miękkim błocie, mijała szybko, wszystkim dopisywały humory.

Odchodzący ścieżkami do swych domów, rozsianych wzdłuż bobrowskiego gościńca, uczestnicy wyprawy już umawiali się na kolejne jagodobranie. Aby zdążyć przed żniwami! Bo na półkach pod lasem, tych najbardziej piaszczystych, zboże – w którym kwitły soczyście czerwone maki – już było całkiem białe i tylko czekało na sierpy i kosy.

Gospodarze, wykorzystując dzień świąteczny, przechadzali się wśród pól. A tam można się było prawie zagubić w morzu dorodnych, ciężkich już od ziaren zbóż, a także oglądać dorodny, „modny” rajgras, pachnący łąką, różowy „konic” – niestety – często poprzerastany wylubem, wysoki, wielkolistny, zakwitający różowymi kwiatuśkami, „bakon”, czy miododajną tatarkę, której kwiecie wprost roiło się od pszczoł, motyli, trzmieli i bąków.

Spod nóg nagle wystrzeliwały przepiórki i znów zapadały w zboże, aż sypały się szare piórka. I jeszcze daleko słychać było ich nawoływanie, które dla każdego rolnika brzmiało jak wezwanie do rozpoczęcia żniw: „pójdźcie żąć, pójdźcie żąć”...

„**N**ad wsią stała słoneczna sieka”¹.

Rozpalony skwarem lipiec zapowiadał rychłe żniwa. Jaskrawożółta kula słońca wyglądała tak, jakby była wykrojona z plastra miodu. Mdlały kwiaty, trawy i liście zastygłe w bezruchu, bo ani najmniejszy podmuch wietrzyka nie łagodził lipcowego upału. Na papierówkach zieleniły się coraz większe jabłuszka, którym – stęsknieni świeżych owoców – nie pozwalaliśmy dojrzeć, próbując, czy już nadają się do spałaszowania. Rodzice przestrzegali, że te „szczyrwiołki”, zwane też „psioramy” mogą być przyczyną czerwonki, ale kto by to brał do serca! Wyszukiwaliśmy w gąszczu liści najdorodniejsze owoce i wbijaliśmy zęby w zieloną, twardą skórkę, a cierpki miąższ sprawiał, że drętwiał język i miła kwaśność wypełniała usta ożywczą świeżością. Albo siadaliśmy na trawniku pod rozłożystymi drzewami i – spoglądając na ruchliwe cętki słońca, migające między gałęziami – sprawdzaliśmy twardość orzechów rozbijając zieloną zewnętrzną skorupę, brudzącą ręce trudnym do zmycia, brązowym sokiem. Pod ścianą kwitły „jak piana” wysokie, różowe i bordowe, pełne i „ślypiate” malwy, a na grządkach w ogródku aż kipiały żółcią nagietki, bujały różowe floksy, niebieskie ostróżki i pomarańczowe nasturcje zaplätujące swe łodygi wokół płotu.

W kącie ogrodu pęczniały już smakowite strączki zielonego groszku i wśród wielkich, szorstkich liści, pokrywających cały zagonek, wylegiwały się dorodne ogórki. Tylko pomidorowe kule wciąż jeszcze lśniły zielenią wśród mocno i gorzko pachnących liści. Ale wsparte na tyczkach, systematycznie ogoławane z niepotrzebnych pędów i wciąż podwiązywane krzaki rosły nad podziw, dając nadzieję na obfite zbiory.

Jakże pięknym i bezpiecznym wydawał się nam, dzieciom – świat, jak spokojnie biegły wakacyjne dni, jak smakowała jedzona na podwórku skibka chleba posypanego cukrem i skropionego wodą! Chciało nam się śmiać, biegać, skakać, turlać po miękkiej trawie, krzyczeć na cały głos i żyć pełną piersią, marząc o przygodach, które zdarzały się bohaterom czytanych przez nas książek.

Niektórzy z nas niecierpliwie czekali na wyjazd na kolonie, organizowane przez zakłady pracy rodziców. Pakowałam skromną garderobę do topornej, tekturowej walizki, wzmocnionej na rogach blachą, zabierałam jakiś zeszyt, ołówek, ze dwie koperty ze znaczkiem, by napisać list do rodziców i przenosiłam się do całkiem innego świata. Ale choć było miło, to tęskniłam za domem, za koleżankami, za znajomym pejzażem. Po powrocie śpiewałam nowe piosenki, które przekonywały, że nasz socjalistyczny świat jest piękny i mądry, a ten – kapitalistyczny – okrutny i niesprawiedliwy. Uczyliśmy się bowiem wielu zaangażowanych piosenek, wśród których najbardziej wzruszała ta o Murzynie Dinie, której ojciec „był niewolnikiem, pracował ze wszystkich sił, lecz ojca kiedyś zabili za to, że czarny był. Za czarną skórę, kręcony włos, za czarny murzyński los”.

Najczęściej jednak wakacje spędzało się w rodzinnej wiosce, pomagając rodzicom w zajęciach domowych i pracach w polu; najwyżej na parę dni wyjeżdżając do dziadków czy krewnych.

A właśnie nadchodził najgorętszy okres dla rolników. Słońce paliło nieźnośnie, w polach gwałtownie białało zboże, w wysokiej, mdlejącej od żaru trawie ogłuszająco grały koniki polne, pachniały wygrzane zioła i biała kwitnąca, miodna gryka przyciągająca roje pszczoł. Leniwie pobrzękiwały krowie łańcuchy, gdy po zapylonych, krętych ścieżkach pędziliśmy z pastwisk bydło, spragnione świeżej wody, która już czekała w przystudziennych korytach. Często krowy skręcały nagle do rzeczki, która w letnie dni ledwie sączyła się cienką, przeźroczystą strugą i piły łapczywie, zanurzając pyski w chłodnej wodzie. Starzy ludzie chronili się przed upałem w domach lub w cieniu drzew, niektórzy podrzemywali, czekając na obiad, który – mimo gorąca panującego w izbie – przygotowywały, jak co dzień, pracowite gospodynie.

Znane powiedzenie przekonuje, że rolnik to ma dobrze na świecie. Śpi, a zboże mu samo rośnie. Tę „mądrość” zdaje się potwierdzać fragment z Biblii o królestwie Bożym, mówiący, że „z królestwem Bożym dzieje się tak, jak gdyby ktoś nasienie rzucał w ziemię. Czy śpi, czy czuwa, we dnie i w nocy nasienie kiełkuje i rośnie, on sam nie wie jak. Ziemia sama z siebie wydaje plon, najpierw źdźbło, potem kłos, a potem pełne ziarna w kłosie. A gdy stan zboża na to pozwala, zaraz zapuszcza sierp, bo pora już na żniwo”².

Niestety, to tylko piękna metafora. W wiosce mojego dzieciństwa każda grudka ziemi oblana była potem rolniczego trudu, każdy kłos czuł dotyk spracowanej ręki, każda garść zboża rodziła się w bólu.

Godzono się z tym, że tuż po wojnie plony były mizerne. Przecież duża część ziemi w czasie przymusowego wysiedlenia leżała odłogiem, tratowały ją wojska, ugniatały czołgi i armaty, przecinały okopy, rozrywały bomby. Kryła też niebezpieczne niewypały, długo jeszcze znajdowane na miedzach, pastwiskach czy w rowach. Nie było też wystarczającej ilości ziarna do zasiewu, nie

było nawozów, nie było maszyn. Niedawne lata okupacji przyzwyczały mieszkańców wsi do radzenia sobie nawet w bardzo trudnych sytuacjach i do rezygnacji z wielu rzeczy. Była w nich zawziętość, pracowitość, tradycyjny chłopski upór i wiara, że dadzą radę, że musi być lepiej. Gdyby nie konieczność „dokarmiania” bratnich krajów, a także drakońskie, obowiązkowe dostawy zboża, ziemniaków czy nawet mleka nakładane na rolników, potrafiliby utrzymać swoje rodziny i cieszyć się w miarę spokojnym bytem. Bo pracowitości, samozaparcia i siły przetrwania nigdy im nie brakowało. Ale kolejne zarządzenia władz uniemożliwiały stabilizację i budziły nowe niepokoje.

„Radykalną reformę rolną państwo przeprowadziło do roku 1949. Majątki obszarowe powyżej 50 ha rozparcelowano pomiędzy milion bezrolnych i małorolnych chłopów. Powstały w ten sposób liczne gospodarstwa karłowate, z których nowi właściciele nie mogli się utrzymać. Wkrótce partia zdecydowała dopiero co ofiarowaną drobnym posiadaczom ziemię uczynić własnością kolektywną”³.

W wiosce mojego dzieciństwa już od dawna nie było obszarników, natomiast istniało mocno zakorzenione przywiązanie do własnej ziemi. Jej posiadanie dawało poczucie bezpieczeństwa, godności, użyteczności, nadawało sens życiu, stwarzało pewność porządku świata. Tymczasem ustawa z 1949 roku wprowadzała komasację gruntów ornych, podporządkowaną potrzebom gospodarki uspołecznionej i lekceważącą zupełnie różnice jakości gleby, stanu utrzymania pól i ich położenia. Prowadziło to do wielu niesprawiedliwości, roszczeń i sporów. Mili sąsiedzi nagle stawali się wrogami, ustalony tryb życia ulegał zachwianiu, a trud włożony w użyźnienie swego „gruntu” – który otrzymywał ktoś inny – szedł na marne.

Sławomir Koper pisze: „Na początku lat 50-tych tak zwana wojna o handel zniszczyła ostatnie prywatne placówki handlowe, a nakłady na brojenia [Stalin szykował się do III wojny] podcięły podstawy gospodarki. Przymusowa kolektywizacja wsi oraz obowiązkowe kontyngenty spustoszyły polską wieś, a powstające PGR-y i spółdzielnie produkcyjne okazały się kompletnie nierentowne. Nie bez znaczenia była również forsowana industrializacja kopalń, obciążająca gospodarkę poważnymi kosztami. W sierpniu 1951 roku ponownie wprowadzono reglamentację żywności, początkowo na mięso i tłuszcze [...]. To był dopiero początek, wkrótce pojawiły się kartki na cukier, słodycze, proszki do prania i mydło [...]. Z reglamentacji wycofano się w styczniu 1953 roku, dokonując jednak drastycznej podwyżki cen”⁴.

Wprowadzone od 1952 roku kontyngenty, czyli obowiązkowe dostawy określonej przez władze części płodów rolnych, którą każdy rolnik musiał oddać państwu, wyniszczały wieś i doprowadzały do sytuacji, w której rodziny musiały znów ograniczać swe potrzeby do minimum, często odczuwając brak stabilizacji życiowej i sensu codziennego trudu. Mimo usilnych starań

i pracy ponad siły chłopci nie widzieli możliwości zaspokajania swych dążeń i ambicji dotyczących rozwoju gospodarstwa, podnoszenia stopy życiowej, ani też realizowania marzeń np. związanych z kształceniem dzieci.

Nowa władza z niechęcią patrzyła na jakąkolwiek prywatną własność. Tych, których najpierw zachęcano do intensywnej produkcji i hodowli, wkrótce zaczęto nazywać kułakami, wrogami ludu; szykanowano ich, gnębiono, a nawet więziono.

Jeden z wujków, mający duże gospodarstwo, chwalił się nagrodą, którą otrzymał za duże dostawy dla państwa. Był to wielki dyplom i dorodna, drożdżowa buła. Wyglądała smakowicie, choć – jak się okazało – była „nafaszerowana” niejadalną kaszą. Po pewnym czasie uznano jednak wujka za kułaka, podwyższano mu limity dostaw, a nawet – na skutek donosu – [powiedział nieopatrznie, że za Niemców było mu lepiej niż po wyzwoleniu] aresztowano na trzy miesiące.

Obowiązkowe dostawy obejmowały nie tylko zboże, ziemniaki, mleko, zwierzęta rzeźne, ale też siano i słomę; płacono za nie dużo mniej niż wynosiły ceny rynkowe.

Wciąż działała groźna Bezpieka, pełno było donosicieli, panowała atmosfera nieufności i strachu. Bano się spóźnić z dostawami, obawiano się głośnych narzekania, krytyki władzy, a nawet jakiegoś nieopatrznie wypowiedzianego słówka czy żartu. Bo w PRL-u „człowiek był ze wszystkich stron podglądany, podsłuchiwany, osądzany i poszturchiwany”⁵.

Ale prawda o tej strasznej rzeczywistości „siermiężnego socjalizmu” najczęściej nie docierała do nas, dzieci – więc beztrudno graliśmy w piłkę, w klasy czy w „piekło-niebo”, puszczaaliśmy latawce, albo radośnie paradowaliśmy zapyłonym gościńcem w wysokich, zielonych czapkach uplecionych z sitowia. Na gałązkach wiśni, przesyconych słonecznym blaskiem, dojrzewały szkarłatne owoce. Zrywaliśmy je garściami, by poczuć w ustach aksamitną miękkość i cudowny, lekko kwaśny smak. Małe dziewczynki wybierały szypułki z parą wisienek i zakładały na uszy, ciesząc się z tych pierwszych w życiu kolczyków; ślicznych i – smacznych. Gorące słońce opalało dziecięce, piegowate twarze i tak już brązowe, a piegami martwiły się dopiero dorastające panny, bo uważały je za mankament urody. Smarowały się różnymi miksturami lub kupowały nowoczesny krem „Halina” z dużą ilością kamfory. Uważałam wtedy, że ten krem ze względu na nazwę będzie na pewno świetny i dla mnie, choć nie byłam „piegowata”; niestety, nigdy mi go nie kupiono. Bo rodzice mieli wtedy inne zmartwienia.

Na terenach dużych majątków ziemskich działały Państwowe Gospodarstwa Rolne – bardzo hołubione przez władze – w których pracujący robotnicy otrzymywali pensje. Tak było np. w Straszęcinie, gdzie wywłaszczono dawnych właścicieli dworu i dużego, ok. 200-hektarowego gospodarstwa – Stu-

benvollów. Tam, gdzie nie było warunków do tworzenia PGR-ów, zachęcano do organizowania spółdzielni produkcyjnych, które nazywano – według sowieckiej mody – kołchozami. Tylko niewielu rolników zapisywało się do tych kołchozów i zaczynało wspólnie gospodarować. Na Rzeszowszczyźnie akcja wstępowania do spółdzielni produkcyjnych szła oporniej niż w innych regionach, a najgorzej – w powiecie dębickim. Gdy pod koniec 1949 roku w województwie rzeszowskim było 15 spółdzielni, to w powiecie dębickim – jedna.

Akcji tworzenia kołchozów towarzyszyła ostra, agresywna propaganda w radiu, prasie, na zebraniach – wychwalająca pod niebiosa korzyści płynące z gospodarki kolektywnej, a równocześnie wyśmiewająca i krytykująca oportunizm, zacofanie i głupotę tych, którzy nie dawali się przekonać. W wiosce mojego dzieciństwa zaczęli się pojawiać ponurzy panowie z czarnymi teczkami, którzy wielokrotnie nachodzili rolników, agitując za przystąpieniem do gospodarki kolektywnej. Po takich wizytach ojciec chodził milczący, zdenerwowany, podczas obiadu odkładał łyżkę, mówiąc, że nie jest głodny i wychodził na podwórze, by koić serce obserwowaniem swobodnych lotów ukochanych gołębi.

Prawie wszyscy bobrowscy gospodarze stawiali opór propagandzistom, choć nie było to łatwe. Bronisław Harla wspomina: „To była zmora. Wszędzie agitowali i zmuszali do podpisania deklaracji. Ja w tym czasie byłem członkiem Rady Gminnej w Żyrakowie. Po każdym naszym posiedzeniu jakiś urzędnik wyskakiwał z deklaracjami i nudził: podpisz i podpisz. A jeżeli się wykręcałeś, toś był wróg śmiertelny Polski Ludowej. Pewnego razu to całą niedzielę, od rana do wieczora, przebywał u mnie niejaki W. Reguła z Dębicy i agitował mnie [...]. Wytrwałem cały dzień i nie wyraziłem zgody. Niemniej, czego nie zdołali obcy, to zrobili swoi [...]. Siedzieli u mnie cały wieczór i namawiali. I obiecywali złote góry [...]. To znowu straszili, że mnie zniszczą, że będę żałował. Tak mnie zmordowali, że w końcu podpisałem deklarację. Ale nie na długo, bo na drugi dzień żona [...] kategorycznie zażądała zwrotu deklaracji. Udało się. Spółdzielnię założyli. Ale beze mnie”⁶.

Sąsiedzi spotykali się wieczorami, dyskutowali zawzięcie o kolektywizacji i jej skutkach, przedstawiali swe niepokoje i lęki, ustalali wspólny front działania, wspierali się wzajemnie i bronili swojej ziemi, której dziedzicami byli przeważnie od pokoleń. Utwierdzały ich też w tym uporze kazania proboszcza Fijała, który odważnie i zdecydowanie zachęcał do obrony własnych gospodarstw, rodzin, tradycji i religii.

„W styczniu 1950 roku [...] ksiądz Fijał mówił publicznie, aby ludzie, którzy mają zabraną ziemię pod spółdzielnię produkcyjną, nie godzili się na to oraz żeby innych działek nie brali bo to cudze. Apele jego odniosły pewien skutek, bowiem dwa miesiące później mieszkańcy Nagoszyna nie zebrali plonów z działek, które znajdowały się w spółdzielni. Złożyli oni wizytę księdzu Fijałowi i wspólnie podjęli decyzję, że wolą zapłacić karę, aniżeli być po-

sądzonym o współpracę ze spółdzielnią. Postanowili także, iż wiosną żaden z zebranych dobrowolnie nie zapisze się do spółdzielni, chyba że zostaną do tego zmuszeni np. groźbą wysiedlenia”⁷.

Autorytet proboszcza, jego odwaga, za którą – niestety – zapłacił więzieniem i zdrowiem, dodawały wszystkim wiary i otuchy. Odważnie, z determinacją i uporem bronili swojej ziemi. „Opór chłopstwa powodował, że spółdzielnie rolnicze i PGR-y powstawały bardzo powoli. Pod koniec planu sześcioletniego obejmowały one zaledwie 9% gruntów [...]. Rolnicy, obawiając się kolektywizacji, produkowali niemal tylko tyle, ile niezbędne było ich rodzinom do podtrzymania biologicznego bytu. Spowodowało to zapaść żywnościową w szybko zaludniających się miastach. W rezultacie plan sześcioletni zakończył się w rolnictwie pełnym fiaskiem – w 1955 roku produkowało ono mniej niż przed wojną”⁸.

Do kołchozu w wiosce mojego dzieciństwa – tak zresztą jak i w sąsiednich – przystąpili najbiedniejsi, których nie było np. stać na konia, a to przecież była podstawowa siła robocza, a także ideowi działacze polityczni; często jeszcze przedwojenni, i zwolennicy nowych porządków. Sąsiedzi bacznie przyglądali się tym, którzy rozpoczęli wspólne gospodarowanie.

Początkowo spółdzielnia działała dość sprawnie. Sprowadzono maszyny, o jakich indywidualni rolnicy mogli tylko pomarzyć: traktory, kopiarki, żniwiarki, młocarnie. My, jako dzieci – podziwialiśmy nowe, lśniące maszyny, o których uczyliśmy się w szkole, a przy których wioskowe konie i zwykłe rolnicze narzędzia prezentowały się mizernie.

Propaganda przekonywała, że koń to przeżytek, książki sławiły nowoczesne sposoby gospodarowania, tak jak np. powieść Witolda Zalewskiego „Traktory zdobędą wiosnę”, którą mogliśmy pożyczyć w szkolnej bibliotece, a piosenki i plakaty głosiły hasło: „Dziewczyny na traktory”. Reprezentacyjny zespół ludowy czasów PRL-u „Mazowsze” śpiewał piosenkę, która – wciąż powtarzana – zdobyła niezwykłą popularność:

„Cyraneczka nie ptak,
Dziewczyna nie ludzie [...],
A popatrzcie ludzie,
Jak na traktorze jedzie i orze,
A bo właśnie, że ludzie”.

Prasa przedstawiała reportaże pełne zdjęć uszczęśliwionych kołchoźników, a radio nadawało wywiady z tymi, którzy czuli się wspaniale, gdy oddali swe gospodarstwa i mogli pracować wspólnie w nowoczesnych spółdzielniach produkcyjnych. W „Przyjaciółce” z 1950 roku zamieszczono list dziewczyny, która właśnie zdobyła zawód traktorzystki: „Tak długo pragnęłam mieć jakąś „męską” pracę [...]. Jestem traktorzystką! Wierzę w to, że tu

najlepiej mogę się przydać i być pożyteczną [...] i czuję się szczęśliwą, że jestem pożyteczną”⁹.

Tak realizowano hasło zrównania praw osób płci obojga, które znalazło wiele zwolenniczek i – ochotniczek. „Wkrótce konserwatystów zaczęły szkować kobiece brygady murarskie, wytapiające stal hutniczeki i orzące pola zastępy traktorzystek”¹⁰.

Najsłynniejszy chyba plakat z tamtych lat autorstwa Władysława Chmielewskiego [1951 rok] przedstawiał uszczęśliwioną dziewczynę kierującą traktorem, ubraną w organizacyjną koszulę ze znaczkiem „Służba Polsce”. Napis pod plakatem wzywał: „Młodzieży – naprzód do walki o szczęśliwą, socjalistyczną wieś polską”¹¹.

Do plakatu pozowała prawdziwa traktorzystka – Magdalena Figur z wiośki Błotniki na Żuławach: „Magda jako pierwsza w kraju ukończyła kurs samodzielnego kierowcy traktorowego [1949], a niedługo później została kierowniczką pierwszej kobiecej brygady traktorzystek. Była przodownicą pracy, wydajnością bijącą na głowę pracujących z nią mężczyzn, zapalonym mechanikiem i racjonalizatorem [...]. Największy zaszczyt spotkał ją w 1952 roku podczas Święta Plonów – aby ucisnąć jej dłoń, z trybuny pochylił się sam Bolesław Bierut”¹².

Takie to były wtedy zaszczyty, a wszystkie kobiety chciano ubrać w robocze, paskudne kombinezony i wysyłać do ciężkiej pracy razem z mężczyznami. Nie wypadało nawet głośno marzyć o kolorowych ciuszkach, zgrabnych sylwetkach czy makijażu. Moda kobieca prezentowała się mizernie i brzydko.

By wspomóc nie radzących sobie kołchoźników, organizowano różnego rodzaju akcje, m.in. akcje żniwne, w których uczestniczyli studenci czy młodzi junacy z „Służby Polsce”. „Do stałego rytuału letniego należał udział zrzeszonej młodzieży w „akcji żniwnej”; zetempowcy pomagali w żniwach, omłotach i podorywkach – najczęściej pracując w niewydolnych i fatalnie zorganizowanych wiejskich spółdzielniach produkcyjnych”¹³.

Na ciężarówce ozdobionej czerwienią chorągiewek i zielonymi gałązkami przyjeżdżała na żniwne pole drużyna chłopców i dziewcząt w charakterystycznych furażerkach i zetempowskich mundurach i ze śpiewem na ustach włączała się do pracy. Młodzi ludzie przywozili radość i optymizm, choć nie mogli zmienić fatalnej kołchozowej gospodarki.

Ich działalność była szeroko propagowana w prasie i w radiu.

W PGR-ach w czasie akcji żniwnych i wykopkowych często pomagali też żołnierze.

„Co roku propaganda socjalistyczna nagłaśniała kampanię żniwną, który to termin zapożyczyła z terminologii wojskowej. Obowiązywała zatem wzmożona mobilizacja wszystkich służb, młodzieży, aktywu partyjnego czy

po prostu rolników – sąsiadów – wszyscy mieli pomagać przy żniwach, aby na czas dostarczyć zboże ojczyźnie”¹⁴.

Czołowa gazeta „Trybuna Ludu” z lipca 1956 roku wydrukowała odezwę przodujących traktorzystów i kombajnistów do kolegów z całego kraju: „Od nas przede wszystkim zależy sprawny i terminowy przebieg żniw [...], nie dopuścimy do zmarnowania ani jednego kłosa [...]. W walce o chleb dla miast i wsi [...] powinien uczestniczyć każdy z nas”¹⁵.

Gdy zaczęły działać tzw. GOM-y, czyli Gminne Ośrodki Maszynowe wypożyczające maszyny indywidualnym rolnikom, gazeta czytowana również przez mieszkańców wioski mojego dzieciństwa „Gromada. Rolnik Polski” z 1955 roku zamieściła entuzjastyczny list czytelnika z Widziszowa na Ziemiach Odzyskanych, wyrażający wdzięczność władzom gromadzkim, że „już 27 maja przygotowane były do pracy wszystkie kosiarki, grabiarki, roztrzascze do siana. Wszystkie te maszyny, łącznie ze snopowiązałkami, odebrane zostały komisyjnie i stwierdzono, że dobrze są wyremontowane”¹⁶.

Ten niby spontaniczny entuzjazm łączył się z troską owego czytelnika o ich użytkowanie. „Musimy więcej dbać o wypożyczoną w GOM maszynę, czyścić ją, smarować”¹⁷.

Mimo nachalnej propagandy, pomocy państwa, akcji młodzieży wciąż wspólne gospodarstwa prosperowały źle, a żniwa były prawdziwą zimą, co tłumaczono różnymi trudnościami, a nawet szkodliwym działaniem wroga. Zdarzało się też często, że wyłożone przez lipcowe burze, splątane i zachwaszczone zboże wymagało ręcznego koszenia, a ciężki sprzęt nie mógł wjechać na rozmiękłe od deszczu pola. Wtedy najczęściej pozostawało nie skoszone aż do jesieni; gniło, przerastało, marnowało się, co bardzo oburzało skrzętnych rolników indywidualnych.

Do różnych prac polowych np. do wykopków włączano też młodzież szkolną. W drugiej czy trzeciej klasie uczestniczyliśmy w takiej akcji zbierania ziemniaków w bobrowskim kołchozie. Na wielkim polu w „piaskach za smugiem”, które powstało z ziem podworskich, gromadzkich i własności członków spółdzielni, było rojno i gwarno. Kobiety i mężczyźni ubrani w robocze ubrania i w „cholewioki” pracowali dość niemrawo. Wszędobylskie wrony, straszone „parkotaniem” traktorów, co chwilę zrywały się do lotu. Kosiarki wykopywały obłocone ziemniaki, które pobieżnie zbierali dorośli, a dzieci za nimi wyszukiwały te, które pozostawiono. Była to dla nas, uczniów fajna przygoda. Byliśmy dumni, że uczestniczymy w czymś wielkim i ważnym. Ale najwspanialsza była nagroda za nasz trud, ufundowana przez dyrekcję kołchozu. Nauczycielka, pani Joanna Zielińska położyła na stole w klasie wielką papierową torbę pełną miętowych cukierków. Chodziliśmy wokół tego stołu ze śpiewem na ustach i po każdym okrążeniu, w miejscu oznaczonym linią, sięgaliśmy po jeden cukierek. Prześpiewaliśmy tak kilka piosenek, drep-

cąc jeden za drugim w kółko, zanim torba całkiem opustoszała, a w naszych dłoniach zaciśniętych w piastkę rozpływały się od ciepła poklejone, zielone, pachnące miętą cukierki. Niestety, taka frajda zdarzyła się tylko raz, a dorośli sarkali, że przez nasze solidne zbieranie nic nie zostało dla tych, którzy potem pozostawione ziemniaki mogliby zabrać do swych domów.

Życie mieszkańców wsi szło swoim torem, mijał czas, wszyscy powoli oswajali się z istnieniem kołchozu, ale nowych chętnych nie przybywało. Opór rolników indywidualnych – w tym moich rodziców – trwał nadal.

Lin z „Zamykania koła” – przybywszy do rodzinnej wsi na pogrzeb matki zauważa, że „ferment” kolektywizacji” wiele tu zmienił. „Zobaczył więc, jakby poszarzała i zdziadziała, zupełnie wypraną z radości. Nie mógł uwierzyć, że żył kiedyś tutaj i zamierzał na zawsze pozostać”¹⁸.

O tej sytuacji panującej w wiosce mojego dzieciństwa pisze też Leopold Harla: „Od 1949 roku rozpoczął się kurs na przyspieszoną kolektywizację rolnictwa. Nastąpiło to w okresie, kiedy nie było jeszcze ani dostatecznej bazy materialnej w kraju, ani też świadomość chłopska nie dojrzała do przyjęcia tak nagłej i zasadniczej zmiany. Budowa spółdzielni produkcyjnej w Bobrowej szła opornie i długo. Rolnicy byli niechętni. Tylko 12-tu zdecydowało się rozpocząć spółdzielcze gospodarowanie i w 1954 roku podpisało statut. Żywot spółdzielni był ciężki. Więcej członków nie przybywało i do końca istnienia spółdzielni nie przybyło. Po znanych wydarzeniach w kraju w 1956 roku spółdzielnia produkcyjna w Bobrowej została rozwiązana”¹⁹.

Gdy reżim trochę osłabł, a wspólna gospodarka ujawniła swoje słabe strony, „odpuszczono” rolnikom, żądając tylko, by wywiązywali się z płacenia podatków i z obowiązkowych dostaw, które wciąż podwyższano i konsekwentnie egzekwowano. Wyznaczany przez władzę kontyngent zboża i żywności nieraz przekraczał możliwości gospodarstw chłopskich. Kupowali więc u bogatszych gospodarzy pszenicę czy świnie, by je móc odwieźć na skup do Żyrakowa i by otrzymać m.in. deputat na trochę węgla, koniecznego do palenia w piecach. Coraz to wprowadzano też dodatkowe opłaty; a to na fundusz zdrowia, a to na odbudowę Warszawy, a to na oświatę.

Dramatycznym przeżyciem dla wszystkich była wymiana pieniędzy z dnia na dzień, bez wcześniejszego powiadomienia obywateli. Przygotowania do tej wymiany były trzymane w ścisłej tajemnicy. W sobotę 29 października 1950 roku wieczorem radio podało tę wiadomość, a już od niedzieli dotychczasowe pieniądze wyszły z użycia. Była to już druga wymiana pieniędzy po wojnie. Za 100 złotych zgromadzonych w banku płacono 3 nowe złote, a za te, które trzymano w domach tylko 1 złoty, by w ten sposób ukarać – jak tłumaczono – kapitalistów, prywaciarzy i spekulantów. Była to wymiana bardzo krzywdząca, która naraziła na straty wielu uczciwych ludzi; czę-

sto biednych, oszczędzających każdy grosz. Wywołała wielką gorycz i podważyła jeszcze bardziej – i tak niewielkie – zaufanie do władzy.

Moi rodzice dzień wcześniej sprzedali wyhodowaną świnie, za którą mieli kupić coś bardzo ważnego i pilnego. Pieniądze okazały się nic niewartymi papierkami, a całoroczna praca poszła na marne. Tak było w wielu domach. Gotówki w tamtych, niepewnych czasach nie zanoszono zazwyczaj do banku, tylko pracownicy, systematycznie „ciułano” i przechowywano w domu, zgodnie z przysłowiem: „Grosz do grosza, a będzie kokosza”. Niestety, w ówczesnej rzeczywistości nawet stare przysłowia traciły swą moc.

W tym samym czasie wydano również ustawę zakazującą posiadania walut obcych i złota, przewidującą nawet karę śmierci dla najbardziej opornych. Pewnego dnia sąsiad przyniósł wiadomość, że w Żyrakowie aresztowano znanego wszystkim mieszkańcom wioski mojego dzieciństwa właściciela cegielni i młyna Antoniego Darłaka, którego oskarżono o sprzedaż dolarów; podczas rewizji znaleziono również w jego domu 22 dolary amerykańskie. Wielu ludzi wiedziało, że Darlak należał w czasie wojny do AK i niepokoiło się o jego losy.

W grudniu 1950 roku we wsi pojawili się poważni panowie z teczkami pełnymi urzędowych papierów. Byli to komisarze przeprowadzający pierwszy po wojnie całościowy spis powszechny; w tym spis rolny. Mimo szeroko zakrojonej akcji wyjaśniającej w radiu, w prasie, w Polskiej Kronice Filmowej i na plakatach, na których widniało hasło: „Udział w spisie powszechnym wyrazem świadomości obywatelskiej”, ludzie obawiali się najgorszego. Prawie nikt nie wierzył, że ów spis ma służyć tylko do celów statystycznych. Znów sąsiedzi zbierali się po opłotkach, znów dyskutowali, plotkowali, narzekali. Ktoś zastanawiał się, gdzie by ukryć choć jedną krowę, ktoś inny słyszał, że liczą nawet posiadane buty, a wszyscy wieszczili jakiś kolejny podstęp władzy. Na szczęście, komisarze byli najczęściej życzliwi i niezbyt wścibscy, a bobrowscy gospodarze szybko zapomnieli o tym spisie; wszak codziennie musieli podejmować nowe wyzwania i rozwiązywać nowe problemy.

Poświęcali wszystkie swe siły, by ich gospodarstwa rozwijały się, a ziemia rodziła coraz więcej, co miało – przede wszystkim – zapewnić lepszą przyszłość dzieciom. Jedna z sąsiadek, ciężko harująca w swym gospodarstwie, wciąż powtarzała, że marzy tylko o tym, by jej – dość wątła i delikatna wnuczka – mogła kiedyś pracować „piórkiem na urzędzie”. Szkoda, że nie doczekała chwili, gdy tak się właśnie stało; wykształcona wnuczka rozpoczęła pracę biurową i stała się elegancką, nowoczesną kobietą.

Dzięki wytrwałości i pracowitości mieszkańców wioski mojego dzieciństwa – rzeczywiście – powoli gospodarstwa stawały się coraz bogatsze, a plony coraz obfitsze. Pojawiły się nawozy sztuczne, środki ochrony roślin, bardziej nowoczesne narzędzia, a nawet maszyny rolnicze: żniwiarki, młockarnie, kopaczki ułatwiające pracę; wypożyczane też innym, bowiem miesz-

kańcy wioski mojego dzieciństwa byli otwarci na nowe sposoby gospodarowania i życzliwi wobec sąsiadów. Najpierw zaczęto kupować nowe maszyny żniwne zwane „żniwiarkami”, które skoszone zboże zrzucały na pomiecie. Za maszyną szły kobiety podbierające słomę i wiążące ją w snopy. Następnie pojawiły się snopowiązałki więc tylko zbierano gotowe snopki i układano w mendle. Już na długo przed żniwami zapisywano się w kolejkę do skorzystania z nowoczesnego sprzętu, a posiadacze maszyn rolniczych cieszyli się dużym autorytetem. Sąsiedzi nawzajem chodzili „na łodrobek” więc akcje: żniwna, omłotów i wykopków przebiegały coraz sprawniej. Niestety, rolnicy nigdy nie mogli wykorzystać wszystkich możliwości tych maszyn, bo zawsze piętrzone jakieś trudności, jak np. przysłowiowy już brak sznurka do snopowiązałek przez lata dręczący naszą gospodarkę. Dziś trudno sobie wyobrazić niemoc władz, nie umiejących się uporać z tak błahym problemem.

Powstałe w wiosce mojego dzieciństwa Kółko Rolnicze, które m.in. wypożyczało rolnikom maszyny, wprawdzie nie załatwiało wszystkich problemów, ale było dużą pomocą. Lin wspomina sytuację, gdy zobaczył biegnącego ojca, ciotkę i Krzysztofa, którzy promieniowali radością:

„– Dostajemy z kółka traktor – z daleka oznajmił Krzysztof.

– Podaś mi parę snopków? – zapytał ojciec”²⁰.

Mimo pewnej poprawy warunków życia i gospodarowania mieszkańcy wsi w latach pięćdziesiątych przeżywali wiele trudnych chwil. Przeprowadzono m.in. wielką akcję eliminacji z gospodarstw chorych na gruźlicę krów. Prawie dla wszystkich była bardzo bolesna. Wielu rolników za żadne skarby nie chciało oddać swego bydła. Czasem okazywało się, że chora była ulubiona „krasula”, a czasem całe stado. Działy się wtedy dramatyczne sceny. Jedna z sąsiadek lamentowała głośno, zasłaniając sobą drzwi, gdy wyprowadzano jej krowę i wietrząc w tym jakieś oszustwo, pomstowała na władze. Była przekonana, że przecież przez wiele lat cała rodzina piła mleko, jadła ser i masło i nikt nie zachorował, to teraz też nie zachoruje. Ale na nic zdawały się lamentsy. Akcję przeprowadzono, a rolnikom dano niewielkie zapomogi i możliwość zakupu krów zdrowych i dobrej rasy.

Przyszedł też taki czas, że gospodarzy wprost zmuszano do kupowania nawozów sztucznych. Ustalono normy i czasem – nawet mimo protestów – przywożono przypadającą na dane gospodarstwo ilość nawozów i zrzucano w papierowych workach na mostki, przysyłając potem tylko wezwanie do zapłaty.

Po 1956 roku nastał okres pewnej „politycznej odwilży”. Wioska mojego dzieciństwa stawała się bogatsza, piękniejsza, nowocześniejsza. Były to ciekawe czasy: „czasy „Podwieczorku przy mikrofonie”, „Pięknych dziewcząt na ekrany” i gojenia się ran. Wyrosło całe pokolenie, które nie pamiętało wojny, a starsze, które pamiętało, chciało odpocząć. Te rany, które wciąż bolały, przyklepywało się i pudrowało blizny. Nawet Chruszczow, który się wtedy

objawił, postrzegany był w świecie jako „ludzki człowiek” i pisma poświęcone modzie pobłażliwie komentowały jego brązowy garnitur²¹.

Wraz z Chruszczowem zapanowała moda na uprawianie kukurydzy. Podobno „Wielki Brat” podpatrzył uprawę tej rośliny, będąc z wizytą w USA i zamarzyły mu się takie same złociste pola, porastające bujnie obszary całego „bloku wschodniego”, pozostającego pod wpływem Związku Sowieckiego. Ruszyła gigantyczna propaganda, obsiewano wielkie połacie ziemi aż po horyzont złocące się wkrótce wysoką kukurydzą; pisano o niej w prasie, mówiono w radiu, opiewano nawet w pieśniach.

W domowych „kołchoźnikach” pięknie brzmiał dźwięczny głosik młodziutkiej Nataszy Zylskiej, która śpiewała piosenkę z tekstem Krzysztofa Gryngiera:

„Wszyscy ludzie we wsi myślą – kukurydza rośnie,

To się memu tacie przyda,

Wszyscy ludzie we wsi myślą: kukurydza rośnie,

To się mamie mojej przyda.

Nikt nie wie, że ją sieję tylko dla ciebie [...],

Ze truchleję, gdy rośnie źle.

Któż zgadnie, że to dla nas szumi tak ładnie”.

Młodzi z radością przekonali się, że dorodne łany kukurydzy mogły być świetnym, tajemnym miejscem spotkań zakochanych, bo przecież „przed ciekawym okiem widza zasłaniała kukurydza”.

A więc ta cudowna roślina nie tylko miała stanowić źródło pożywienia, pełnego zdrowotnych składników dla ludzi i zwierząt. Aż korciło, by ją siać, plewić, pielęgnować, doglądać jak buja, jak nabrzmiewają na jej czubku dorodne kolby i złociste wiechy. Ścinano potem ręcznie dojrzałe łodygi, które rozwieszano na płotach tak, jak to robiono z liśćmi buraczanymi. Po wysuszeniu obrywano kolby, z których wyłuskiwano złote ziarno, mielone potem na pożywną kukurydzianą mąkę o żółtawym kolorze. Dodawano ją np. do karmy dla kurcząt, które migiem przybierały na wadze, lub mieszano z mąką pszenną i stosowano w kuchni do wszystkich potraw mącznych. Niekiedy też gotowano z tej mąki gęstą zupę – mamałygę. Wyłuskane z ziaren kaczany przeznaczano do spalenia.

Mimo optymistycznych prognoz i natarczywej propagandy kukurydza nie zrobiła u nas tak wielkiej kariery, na jaką liczono. Oczywiście zadomowiła się już na stałe na wiejskich poletkach [zwłaszcza odmiana zwana „końskim zębem”], ale w niezbyt dużych ilościach. Nam, dziewczynkom – kukurydza dostarczała materiału do dziewczyńskich zabaw. Zrywałyśmy niedojrzałe kaczany, z których zwisały miękkie, cieniutkie „nitki” przypominające włosy. To były nasze lalki, ciekawsze od brzydkich szmacianek, które szyły nam mamy czy babcie. Wkładałyśmy je do tekturowych pudełek po butach i bawiłyśmy się „w dom”. Niestety, te nasze lalki były bardzo nietrwałe; ale przecież

można było poszukać nowej, dopóki rodzice nie przepędzili nas krzycząc, że niszczymy bezmyślnie kukurydzę. Wtedy szukaliśmy innej zabawy.

Bo chociaż nie mieliśmy prawie żadnych kupionych w sklepie zabawek i tak nasz dziecięcy świat był barwny i radosny; bo to był świat dziecięcych psot, swobody i fantazji. Bawiliśmy się w „kuciubabkę” i w „chowanego”, puszczaaliśmy bańki mydlane, zanurzając odpowiednio przycięte żdźbła słomy w mydlanej wodzie i wydmuchując piękne, przeźroczyste kule zabarwione tęczą, robiliśmy pokraczne latawce, które – niestety – ciągle spadały na ziemię lub wpływały się w gałęzie drzew, łamiąc się i psując, bawiliśmy się w klasy, rysując kawałkiem białego, „piszącego” kamyka znaki na ubitej ziemi, graliśmy w kamyczki zwane „strulkamy” czy w piłkę zrobioną z gałganków. Ogromną furorę robiły przysłane nam pewnego razu w paczce z Ameryki maleńkie „grotki”, czyli naczynka dla lalek. Były czerwoniutkie i wykonane z jakiegoś nietłukącego się tworzywa, co wydawało się wtedy jakimś cudem. Podkradaliśmy też z kuchni garnuszki, miseczki czy łyżki, konieczne do zabawy, co jednak nie podobało się naszym mamom.

Czasami rodzice kupowali małym dzieciom na „jarmaku” drewnianego koguta na kółkach, który podczas jazdy poruszał kolorowymi skrzydłami, konika na biegunach lub wózek zaprzężony w koniki; zazwyczaj jednak bawiliśmy się wykorzystując patyki, sznurki, piasek, glinę, stare, zardzewiałe garnuszki czy wyszczerbione doniczki. Bo „brak zabawek rekompensowaliśmy sobie rozwijaniem wyobraźni i własnym konceptem”²².

Uciekaliśmy w cień jabłoni, orzechów czy lip, bo każdego dnia lipcowe słońce coraz bardziej paliło rozgrzaną ziemię. Gdy zawisało wysoko nad horyzontem, wyznaczając południe – obwieszczane biciem dzwonów na „Anioł Pański” – bieглиśmy do kuchni, by napić się mleka z południowego udoju, a nasze króciuteńkie cienie biegly tuż obok naszych bosych stóp. Drzewa stały w bezruchu, tylko gorące, ciężkie powietrze falowało nad polami. Trwała cisza skwarne go lata. Słychać było tylko brzęczenie os i kosmatych trzmieli, wpłątanych w pyszniące się urodą płatki różowych i bordowych malw, dumnie sterczących na swych sztywnych łodygach. Trawa na podwórku – już trochę wypalona od słońca, poprzerastana białą koniczyną, lancetową babką, ślazurem i dzikim rumiankiem – była rajem dla pszczoł. Nie udawało się uniknąć ich żądał, które wyjmowaliśmy cierpliwie palcami, walcząc dzielnie z bólem. Biegło się potem pod studnię czy do kałuży, by zanurzyć puchnącą stopę w zimnej wodzie, dającej chwilową ulgę. Również na polu pełno było pszczoł, czyhających na nasze dziecięce, bose stopy. Gdy nie było w pobliżu wody, szukaliśmy chłodnej gliny czy błotnistej kałuży. Oczywiście płaczący narażali się na śmiechy i kpiny; trzeba było mężnie znieść nieznośne, długotrwałe pieczenie. I znów szło się do swoich dziecięcych zabaw.

Całe lato – gdy tylko mieliśmy troszkę wolnego czasu – graliśmy w „dwa łognie”. Oczywiście nikt nie miał prawdziwej, nowej, skórzanej piłki; takiej, jaką grały profesjonalne drużyny. Ale kilku chłopaków zdobyło skądś jakieś stare, wyświechtane, pozszywane piłki, które często pękały albo się pruły, przybierając formę bezużytecznego „kapcia”, który trzeba było – po zreperowaniu – co chwilę pompować. Najczęściej więc graliśmy gumowym „balonem”, pożyczając go od szczęśliwego posiadacza, nie zawsze chętnego do tej przysługi. Czasem też używaliśmy „szmacianki” nazywanej też „zośką”, która jednak szybko się niszczyła, a zmoczona nadawała się tylko do wyrzucenia. Na szczęście sporządzenie nowej nie sprawiało wielkich trudności.

„Balon” był większy od „zośki” i na tyle twardy, że grało się lepiej, trafiało celniej, choć uderzenie porządnie bolało. Nie zważając na przeszkody, prawie codziennie rozgrywaliśmy zacięte mecze. Tuż przed wieczorem, po wykonaniu koniecznych obowiązków, które wszystkie dzieciaki mojej wioski miały „na głowie”, zbieraliśmy się całą gromadą „na wsi”, o której Mikołajek pisze: „Gromadzkie błonie, obecnie już tylko jego resztki, zawsze nazywano „wsią”²³. Grywaliśmy też na placyku obok „naszej” studni, drąc się i wygłupiając niemiłosiernie aż do chwili, gdy w zapadającym mroku nie można już było dostrzec piłki. A jak potem smakowała kolacja, jak piękne były sny!

Po ustaniu mody na kukurydzę nastała w wiosce mojego dzieciństwa moda na uprawianie tytoniu czyli „bakonu”. Podobno w okresie międzywojennym uprawianie tej rośliny było zakazane, ale niektórzy nałogowi palacze ukradkiem siali niewielkie ilości tytoniu, najczęściej podłego gatunku. W latach pięćdziesiątych jednak rozpropagowano uprawę tej rośliny tak sprytnie, że prawie każdy chciał skorzystać z dodatkowej możliwości zarobku; zresztą – jak zwykle – bobrowianie garnęli się do nowości.

Nie była to łatwa uprawa, ale nikt nie żałował sił. Należało odpowiednio przygotować ziemię, posadzić sprowadzone „flance” czyli sadzonki, pielęgnować wzrastające rośliny, plewić chwasty do chwili aż „bakon” wyrośnie i zakwitnie. Potem trzeba było czekać, by w odpowiednim czasie pozrywać nieuszkodzone liście, poukładać równiutko, nawlec na specjalne druty, a na koniec starannie suszyć. Bobrowianie zachęcili się do tej uprawy i wkrótce pola zazieleniły się wielkimi, jasnozielonymi liśćmi tytoniu, a potem zaróżowiły ślicznymi kwiatostanami, które były rajem dla pszczół. Bakon rósł wysoko jak kukurydza i cieszył oczy plantatorów. Niestety, jak zwykle okazywało się, że jednak nie zawsze wyglądał jak należy, że liście nie były zbyt dorodne, a suszenie nieodpowiednie. W skupie grymaszono, a może i trochę oszukiwano, tak że zyski były niewielkie; często żadne, a nawet niektórzy ponieśli straty, więc po kilku latach „bakon” zniknął z bobrowskich pól. Jednak przez pewien czas tytoniowe pola cieszyły oczy, a zapach suszących się liści przenikał naszą wieś. Przechodząc drogą, widziało się całe rodziny nawleka-

jące na długie druty te „bakonowe” liście, które potem wisały rzędami pod okapami domów i w specjalnie budowanych na podwórzach suszarniach.

Mężczyźni doceniali znaczenie tej rośliny. Prawie wszyscy dorośli palili papierosy: „extra mocne”, „płaskie”, „giewonty”, czy najbardziej popularne – nazwane jak na ironię „sportami”. Niektórzy robili skręty z bibułki, w którą zawijali rozdrobniony tytoń, po czym wkładali je do szklanej lufki, zbrązowiałej od środka, noszonej zawsze w kieszonce, lub pykali fajkę, ceniąc najbardziej tzw. „tytoń przedni”. Młodzi chłopcy nie mogli się doczekać, by zapalić pierwszego „cygarka”, bo to oznaczało nobilitację w gronie kolegów i znak zbliżającej się dorosłości.

A lipiec smażył gorącym słońcem dojrzewające, złociste łany, nad którymi unosił się w powietrzu złoty kurz. Ogłuszająco cykały koniki polne. Spłowiełe trawy mdlały od upału i suszy. Na polnych drózkach coraz dalej rozciągał swe długie macki bladoróżowo kwitnący powój, a malutkie polne bratki wciąż wzruszały ślicznymi różnokolorowymi płatkami z przewagą żółci i granatu. Zaczynano żniwa.

Żniwa były okresem bardzo trudnym, ale też radosnym. Zwieńczały przecież całoroczną pracę, dawały nadzieję na spokojny, syty rok, przynosiły satysfakcję z rolniczego trudu i cieszyły oczy dorodnym plonem. Ponieważ wymagały przebywania w polu od rana do nocy, przygotowywano się do nich starannie. Kobiety robiły wielkie pranie, przebierano pościel, sprzątano podwórza, a – przede wszystkim – boiska i stodoły, które miały się znów zapełnić nowym zbożem. W całej wiosce mojego dzieciństwa słychać było klepanie kos.

Była to czynność wymagająca dużych umiejętności i cierpliwości, a te – z żelaza z socjalistycznych hut – były toporne i niełatwe do przygotowania. Doświadczeni „klepace” po dźwięku rozpoznawali gotowość wyklepanych kos, dodatkowo wyostrzonych na „brusie”, a młodszy podglądali starszych, ćwiczyli na zużytych, wyszczerbionych ostrzach, lub musieli korzystać z pomocy kowali.

Tuż przed żniwami gospodarze szli na pola i sprawdzali dojrzałość ziarna. Z radością biegliśmy obok swych ojców wśród wysokich, przerastających nas zbóż. Wiatr niósł zapachy rozgrzanej słońcem ziemi, dzikich ziół i dojrzewających łanów. Ciężkie od ziaren kłosy ugięły się na wietrze. I było prawie tak, jak w opisanym scenie z książki Anny Chmiel:

„... szłam z ojcem w pole. On [...] wypatrywał czasu żniw, rozcierając na dłoni kłos dojrzewającej pszenicy. Ilość wysypującego się na dłoń ziarna znaczyła nie tylko, że termin zbiorów już nadszedł, lecz również wróżyła obfitość plonu [...]; wybiegałam do przodu wąskimi drózkami wzdłuż łanów pszenicy i zbierałam całe naręcza krwistoczerwonych maków, a przede wszystkim pachnących polami bławatków”²⁴.

Radość na twarzy ojca, kroczącego wśród zagonów dojrzewającego żyta, zaczynającej się złocić pszenicy i jeszcze zielonego, ale dorodnego owsa, wróżyła dobre plony.

Oczywiście, już jako małe dzieci potrafiliśmy odróżniać różne rodzaje zbóż: żyto, pszenicę, owies, jęczmień, proso i cieszyliśmy wraz z naszymi rodzicami. Ale niekiedy troska plamiła pomarszczoną twarz ojca. Tę troskę miało wypisaną na twarzach wielu rolników w wiosce mojego dzieciństwa.

Często bowiem atakowały zboża różne choroby. Jedną z nich była choroba grzybiczna pszenicy zwana śniecią. Na pozór zboże rozwijało się prawidłowo i dopiero przed samymi żniwami można było zauważyć, że kłosa są porażone, ziarna pękate, wypełnione wstrętną, brunatną mazią, która zmieniała się w buri pył o nieprzyjemnym, śledziowym zapachu. Śnieć była straszliwą plagą, trudną do zwalczenia, gdyż środków ochrony roślin wtedy prawie nie stosowano. Inną plagą był pasożyt bławinki czerwonej, nazywany sporyszem. Na niektórych kłosach wyrastały pojedyncze, olbrzymie, ciemnofioletowe ziarna, twarde i niebezpieczne dla zdrowia. Zarażony sporyszem chleb był dawniej powodem ciężkich chorób, a nawet śmierci. Dlatego oczyszczano ziarno, a niektórzy dzieciaki z wioski mojego dzieciństwa zbierały go na sprzedaż, bo był skupowany do celów farmaceutycznych.

Natomiast tylko sporadycznie zbierało się i sprzedawało zioła, bo choć różnorodnych roślin leczniczych i kwiatów było u nas co niemiara, to wielu z nich nie znano, a przede wszystkim trudno było sprostać surowym wymagom dotyczącym odpowiedniego ich suszenia.

Nadejście żniw zapowiadały też podobne do czerwonych płomyków maki barwiące karminowo dojrzewające zboża. Choć w wiosce mojego dzieciństwa niezbyt wiele ich rośło, pozostały w mej pamięci jako powiew lata i urok dzieciństwa. Nazywaliśmy je „panienkami” dużo wcześniej, niż w telewizji pojawiła się czeska bajeczka o makowej „panence”. Wyszukiwaliśmy nierozwinięte jeszcze pączki, odchylaliśmy zielone osłonki, by wydobyć delikatne, pomarszczone, jeszcze nie do końca wybarwione, różowawe płatki kwiatowe, wyobrażające różowe spódniczki makowej panienki. Gdzież do niej – tak delikatnej i pięknej – dzisiejszej sztucznej, sztywnej Barbie?

Kochaliśmy te śliczne czerwone maki, ale moja ziemia to przede wszystkim ziemia modrych bławatków, zwanymi poetycko „błękitnymi oczami zbóż”. Dorośli traktowali je jako uciążliwe chwasty i od wiosny z nimi walczyli, plewiąc poletka pszenicy i żyta. Ale bławatki zawsze odnosiły zwycięstwo i niebieściły nasz dziecięcy świat, zadziwiając kształtem kwiatów, intensywną barwą i zapachem. Zrywane garściami ozdabiały izby, powoli więdnąc w szklankach z tęsknoty za przestrzenią i słońcem. Pletliśmy z nich wianki śpiewając o dziewczynie, która też „wiła wianki i rzucała je do falującej wody”. Delikatne płatki bławatków zbierane skwapliwie dla „sypiorek”

mały dziedziniec kościelny podczas czerwcowych procesji, tworząc z białymi główkami rumianków, nielicznymi płatkami maków i polnych różyczek barwny kobierzec, po którym szedł sam Chrystus niesiony pod baldachimem feretronu w złocistej Monstrancji.

Niekiedy, odliczone według przepisu niebieskie główki, wygrzewały się na parapecie w szklanym słoiku, przemieniając się powoli za sprawą wody, cukru, słońca i czasu w „bławatkowe wino” o pięknej barwie głębokiej czerwieni. Rzadko jednak oglądaliśmy końcowy efekt. Gdy tylko bławatkowa woda zaczynała nabierać nieśmiałych rumieńców, po kryjomu próbowaliśmy jej smaku, a następnie uzupełnialiśmy zawartość słoika wodą. Te zabiegi powodowały, że „wino” prawie nigdy nie doczekało właściwego terminu i nie uzyskało właściwego smaku. Jeśli jednak było dobrze pilnowane przez dorosłych – którzy zazwyczaj sprzeciwiali się marnowaniu używanego do jego wytworzenia cukru – okazywało się napojem godnym królów. Było raczej oryginalnym, orzeźwiającym napojem; nigdy i nigdzie nie udało mi się posmakować czegoś tak pysznego, aromatycznego, cudownego. To był smak bezpowrotnie utraconego dzieciństwa.

A przygotowania do żniw nabierały tempa. W upalne lata już pod koniec czerwca pojawiały się na najbardziej piaszczystych polach pierwsze kopki i rżyska. Potem przybywało ich co dnia coraz więcej i więcej...

Oczywiście, najpierw koszony był najwcześniej dojrzewający jęczmień, później przychodziła pora na żyto, a na koniec uprzątno pszenicę o grubych, ościstych kłosach, zwaną wąsatką i owies.

Dawniej koszone zboże sierpami. Na pole wychodziła gromada żniwiarzy; cała rodzina i najemnicy. Zawsze pierwszą garść zboża ścinał gospodarz. Ale w czasach mojego dzieciństwa używano już kos, chyba, że zboże było bardzo splątane i położone po ulewach, wichurach czy gradach.

Sierp był od pokoleń symbolem pracy rolnika, jego herbem, skarbem, który przekazywany był z pokolenia na pokolenie potomkowi przejmującemu ziemię ojców.

Już świtem, zaraz po domowych obrządkach – gdy jeszcze w plamach cienia perliła się rosa, a od rzeczki ciągnął miły, rześki chłód – wyruszano gromadnie zapyłonym gościńcem na żniwne pola. Na czele szedł gospodarz, niosąc dumnie kosę na ramieniu, za nim dreptała żona w chustce na głowie, mającej chronić przed słonecznym żarem, niosąca wiklinową kobiałkę czy koszyk, w którym chowała bochen chleba, zsiadłe mleko, ser, czasem rybną konserwę, by było się czym posilić podczas południowej przerwy na odpoczynek. Obok „podyrdywały”, lub były niesione „na barana” marudzące, bo wyrwane ze snu kilkuletnie dzieci, które też musiały uczestniczyć w żniwach. Niektóre rodziny, zwłaszcza wielodzietne, szły całymi grupami. Jeśli było wśród nich kilku kosiarzy, wtedy prace kończyło się dużo szybciej. Młode

kobiety niosły na rękach niemowlęta, które – gdy nie zostawiali w domu starzy dziadkowie mogący służyć pomocą – miały spędzać czas, leżąc w cieniu pod czujnym okiem matek lub pod opieką starszego rodzeństwa. Niektórzy – zwłaszcza, gdy pola były oddalone daleko od domu – jechali wozami, wesoło pozdrawiając mijanych żniwiarzy. I już miedze i polne dróżki wypełniały się – jak co roku – „żeńcami” gotowymi rozpocząć żniwa. Przyjeżdżali też krewni z miasta, bo liczyła się każda para rąk.

Słoneczny żar lał się z nieba, ale prace trwały aż do wieczora. Tak było od zawsze.

Sikoń wspomina czasy początku wieku, gdy jeszcze żęto zboża sierpem. „Żyto żęto sierpami [...] od wschodu słońca do zachodu słońca [...] czyli od godziny piątej rano do godziny ósmej wieczór, mniej więcej 12-13 godzin dziennie, tyle było pracy uciążliwej na skwarze słonecznym”²⁵.

A w „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas” czytamy: „Praca podczas żniw to praca zespołowa, do zbioru zboża idą wszyscy: dziadek, babcia, tata, mama i dzieci. Każda para rąk się przydawała, a wspólny wysiłek całych rodzin jednoczył pokolenia i budował więzi sąsiedzkie, bo sąsiad też często przychodził do pomocy. Jednak sąsiadowi trzeba było „odrobić”, czyli odpracować w jego polu”²⁶.

Żniwa zaczynał gospodarz. Podchodził z powagą do złocącego się łanu, zaciskał pas od spodni dla lepszego rozmachu, popluwał w dłoń i przymerzał do ręki kosę. Kosiarze mieli do kos przytwierdzone pałaki zrobione z leszczynowego drewna, czasem dodatkowo obciążone materiałem. Jeszcze obowiązkowy znak krzyża, spojrzenie w stronę gotowej do podbierania towarzyszącej kobiety i ze słowami: „No, to z Bogiem” gospodarz zaczynał pracę.

Idąc powoli krok po kroku szerokim zamachem kosy zagarniał pokos zboża, które kładło się równiutko na tak zwanej „ścianie”, czyli opierało się o nieskoszony jeszcze pas pszenicy czy żyta. Za kosiarzem pojawiała się rży-sko czyli „ścirnia”, która powinna być przystrzyżona niziutko i równiutko. Nie było to łatwe. Należało też uważać, by czubek kosy nie zahaczył o ziemię, albo nie wplątał się w pokręcone, czasem poprzerastane chwastami żdźbła.

Mikołajkowy bohater Lin po pogrzebie matki też pomagał przy żniwach. „Codziennie w dziurawej koszuli i połatanych spodniach, z kosą na ramieniu wychodził w pole. Ojciec odbierał, ciotka robiła powrósła i wiązała. Zapach rzeki przypominał mu o sobie, kiedy wyszedł kosić żyto zamulone aż po kłosa po ostatnim wylewie. Słodki muł zatykał nozdrza i gardło, gryząca chmurą stał nad ścierniskiem. Skosił to żyto, zwiózł i przytarł, czyli wybił cepami najdorodniejsze ziarno, w gęstym kurzu prawie nie dostrzegając własnego wywijania cepami”²⁷.

Chociaż koszenie nie było łatwą sztuką, ale wszystkiemu umiano zaradzić, a mężczyźni niełatwo ulegali słabościom. Wspominając żniwa, Mikoła-

jek pisze: „Kosiliśmy niedaleko domu na piaszczystym wzgórzu. Ojciec wypinając tyłek, jakby okrakiem przesuwiał stopy po ścierni, z chrzęstem i bez wysiłku obalał szeroki pokos. Nie mogłem nadążyć; krzyż bolał mnie przy każdym ruchu. – Co z tobą? Ruszaj się – ojciec trącił mnie kosiskiem [...]. Zakładaj, nie będziesz musiał się schylać – podał mi kosę i zaśpiewał:

Idzie burza od morza, wicher łamie jawory,

Jakem spędzał, tak będę u dziewczyny wieczory”²⁸.

Nie było szkół ani kursów koszenia, nie było też jeszcze agronomów niosących fachową pomoc rolnikom. Ale przecież i ukończone szkoły – nawet wyższe – tu nie pomagały. Nieufność do ludzi wykształconych zazwyczaj mieszała się z pogardą do ich niewielkich praktycznych umiejętności. Słowo „nizinier” brzmiało prawie egzotycznie. Technik budził szacunek i poczucie dumy w rodzinie, ale też dystans. Żeby do końca być zaakceptowanym, trzeba było przejść próbę sprawności rolniczej.

Pisze o tym Nowakowski w „Mummi”: „Początkującemu kosiarzowi organizowano jakby egzamin z koszenia zboża, stawiania snopków czy podawania słomy. Nie były to czynności proste: czubek kosy zaplątywał się w zboże, pokos był mizerny, krzywy, a ściernisko nierówne. Kopki osuwały się, tzw. mendle miały niewłaściwą liczbę snopków, a nabierana na widły słoma rozsypywała się, często zasypując delikwenta. Wszystko odbywało się wśród śmiechów i dokuczliwych kpin. Jednak zaliczenie próby kończyło się ogólną zgodą, a przyjęcie do grona kumpli „roz biciem półliterka”. Poczuciem dumy, bo chłop potęgą”²⁹.

Również praca kobiet nie była łatwa. Musiały uwijać się nie lada, żeby nadążyć za kosiarzem. Schylając się podbierały na ręce skoszoną, złocistą słomę w jednakowe porcje i układały ją na rozłożonym powrósle. Powróśla najczęściej skręcały dzieci, nauczone przez rodziców tej sztuki, ale gdy ich nie było, „łodbirająco” kobieta musiała zdążyć robić je sama. Należało wziąć garść słomy, wyrównać ją i przytrzymując pod pachą skręcić mocno, a potem nakładać na tak zrobione powrósło odpowiednią ilość słomy. Gdy tej słomy było wystarczająco dużo, kobieta zakręcała na niej powrósło formując snopkę i dociskając go kolanem, i odkładała na bok.

Tak jak honorem mężczyzny było zostawiać za sobą szeroki, równiutki pokos, tak honorem jego towarzyszki było zdążać za kosiarzem, nie zostawiać na zagonach niestarannie zebranego zboża i robić nie rozwiązujące się łatwo, twarde, grube snopy, a nie jakieś mizerne „wiechetka”.

Pewnego lata wszyscy z ciekawością obserwowali żniwa u jednego z sąsiadów, który ożenił się niedawno z dziewczyną w sąsiedniej wsi. Dla młodej żony był to sprawdzian pracowitości i zdolności rolniczych. Ponieważ uwiłajała się po polu jak fryga, szybko została zaakceptowana przez bobrowskie kobiety i odtąd traktowana z życzliwością.

Wszyscy pracowali z całych sił. Nie używano żadnych ochronnych rękawiczek. Na białych koszulach z długimi rękawami, które miały chronić przed „ździeblamy” ostrymi jak igły, wykwitwały duże plamy potu. Wkrótce zaperliło się na czołach i policzkach, zapiekło w ustach, ale roboty nikt nie przerywał. Słychać było tylko posapywania żęńców i chrzęst ścinanego kosą zboża. Czasami nagle, znad rozżarzonego lipcowego pola wybuchała jak skowronek dziewczynska piosenka i niosła się hen, aż po horyzont: „Zachodźże słońce, skoro mosz zachodzić, bo mie nogi bolo po tym polu chodzić”. Wzbudzała śmiech, zwłaszcza, gdy pora była jeszcze przedpołudniowa, a łąn do wykoszenia ogromny.

Skwar lipcowego dnia jeszcze się wzmagał. I było jak u Reymonta:

„A wiater był całkiem ustał i gorąc podnosił się już nie do wytrzymania, żywy ogień lał się prosto na głowy [...]. Rychtyk i południe stanęło, słońce zawisło prosto nad głowami lejąc warem straszliwym i wszystko jakby pomdlało z onej spieki, że ni liść nie zadrgał, ni ptak przeleciał, ni jaki bądź głos powiał z pól. Niebo wisiało w martwej cichości kiej ta szklana tafla rozpalona do białego, a roztrzęsione niby wrzątek powietrze ślepiło wyżerając oczy”³⁰.

Dopiero wtedy, w największy południowy żar, przychodził czas odpoczynku. Wszyscy prostowali powoli zgięte plecy i wycierali mokre od potu czoła. I już szukano – pod koronami polnych grusz czy wierzb rosnących w pobliżu na miedzach, a nawet pod kopkami zbóż – przynoszącego trochę ulgi cienia. Gospodarz – wbiwszy kosisko w ziemię – rozsiadał się pierwszy i zapalał papierosa, a żona rozkładała jedzenie i zajmowała się dziećmi, które trochę marudziły; też głodne, znużone i spocone.

Taką chwilę wytchnienia wspomina autor „Mummi”: „Okolo południa [...] wszyscy zasiadali, a to pod drzewem stojącym na łące, albo pod krzewem, a to pod kopką siana, czy gdzieś na rowie, a to pod wozem – byle w cieniu, by dać wytchnienie zmęczonym plecom, obolałym nogom i posilić się. Kobiety wyciągały z koszyków i zawiniątek białe chusty i rozkładały je jak obrusy, na tym bochny chleba, jajka, sery, masło owinięte w liście chrzanu, żeby się nie roztopiło w upale. Kroiło się wielgachne kromy chleba, smarowało grubo masłem, przekładało serem bądź, trzymając w drugiej ręce jajko, jadło się wszystko w milczeniu, ze smakiem, mlaskając i cmokając”³¹.

Po zjedzeniu posiłku znów wracano do pracy. Słońce wciąż paliło nieśmiłosiernie, a do zachodu było jeszcze bardzo daleko. Również pozostawał jeszcze kawał nie zżętego łąnu, a ręczne żniwa nie przebiegały szybko. A gdy nawet ukończono pracę, czekały inne pola, a często też „łodrobek” lub konieczność pomocy np. starym rodzicom gospodarującym osobno.

Po zżęciu zboża znoszono snopki w jedno miejsce i stawiano kopki. Były różne rodzaje kopek, ale we wsi mojego dzieciństwa najczęściej stawiano tzw. „mendle” składające się z piętnastu snopków, układanych kłosami na cztery strony i przykrywanych jednym, rozczapierzonym w kształcie dasz-

ku, zwanym „chochołem”. Od sposobu i solidności postawienia kopek zależała w dużej mierze jakość zebranego zboża. W czasie częstych, gwałtownych burz wiatr porywał niedbale ściśnięte snopy, rozrywał kopki, ulewy zalewały zboże, które gniło, a ziarno zaczynało niebezpiecznie kiełkować. Po każdej burzy gospodarze spieszyli więc na pola, poprawiali zniszczone kopki, lub rozkładali poszczególne snopy, a czasem je nawet rozwiązywali, by dobrze wyschły. Następnie znowu je wiązali, składali i kopili.

Dzieci grabiły ścierniska i zbierały połamane kłosa. Nic nie mogło się zmarnować. Choć jeszcze nie wymyślono popularnego potem hasła: „Każdy kłos na wagę złota” to wszyscy szanowali zboże, które przecież zapewniało całoroczny chleb.

Jeden z bohaterów Mikołajka – Bluszcz wraca do żniwnych wspomnień ojca: „Patrzył w przeszłość, w początek dwudziestego wieku, kiedy jego ojciec był małym chłopcem. Kiedy na wiejskim błoniu dosiadał konia, krok za krokiem zmierzając w stronę słońca, gdzie horyzont stykał się z ziemią. Wtedy też była przedwieczorna cisza, na polach wyrastały kopy żółtego zboża. Bieleły chłopskie koszule, ożywiały pejzaż kobiece chustki [...]. Wtedy było dobre, spokojne życie”³².

Najtrudniej było tym, którzy pracowali w fabrykach i dopiero po południu mogli iść do żniwa. Lin z „Zamykania koła”, który pracował przy wydobywaniu żwiru z Wisłoki wspomina: „Najcięższe były żniwa – musieli pracować także w polu. Nieraz nie rozbierali się po kilka dni albo nawet nie kładli się w ogóle, by niedługo po północy wyruszyć na rzekę”³³.

Wiele osób – w tym dzieci – chodziło po „ścielni” boso. Stopy, przyzwyczajone od wiosny do dreptania po gołej ziemi, były stwardniałe i odporne na ukłucia. Drobnymi skaleczeniami i zadrapaniami nikt się nie przejmował. A po żniwach jeszcze długo ręce, nogi i twarze pełne były czerwonych śladów.

Ale pola żniwne wyglądały barwnie i wesoło. Przez cały lipiec wszędzie widać było uwijających się ludzi, „na pomieci” leżało żółte zboże, wyrastały jak grzyby po deszczu nowe kopki i coraz bardziej kurczyły się połacie szumiących, bursztynowych łąnów. Chmara wróbli spadała na ścierniska, ćwierkając zawzięcie, biegały dzieci i psy, ktoś śpiewał, ktoś inny odstawiwszy na chwilę kosę, szedł do cienia, by napić się wody z dzbanka. Ktoś przekazywał radosną wiadomość, że w czasie żniw sklep będzie otwarty wieczorem – co było ewenementem – i że przywiozą konserwy rybne i kiełbasę o niezwykle romantycznej nazwie „serwolotka”.

Potem w cieniu pod kopką jedliśmy w upale ociekające olejem te „byczki” z konserwy. Puszka była zrobiona z jakiejś strasznie solidnej stali i chyba nie miała kluczyków do otwierania, a może żaden kluczyk nie dawał jej rady; dość, że proszono jakiegoś żniwiarza o pomoc w dostaniu się do jej wnętrza. Wiadomo było, że każdy mężczyzna miał zawsze przy sobie składany „cy-

zoryk” zwany też kozikiem, zakrzywioną „kuškę” czy cyganek z drewnianą rączką i służył chętnie pomocą, najpierw wbijając ostrze w odporne żelastwo, a potem „rezając” je aż zgrzytało i wreszcie odpadało z brzękiem. I wtedy już można było zaczynać ucztę, wydobywając kawałki ryby i pogryzając pajdą chleba. Czym się popijało? Czasem chłodną, czarną kawą zbożową „Dobrzynką”, którą również mama szykowała na pole do żniwa, a także studzienną wodą i zimnym mlekiem, ukrytymi w kopce zboża przed zbytnim ogrzaniem. Wszystko bardzo smakowało po tych konserwowych „byczkach”.

Zmordowani ludzie coraz częściej prostowali plecy, ocierali pot z czoła i patrzyli, kiedy rozpalona kula słońca zniknie za horyzontem, zalewając wioskę pomarańczowym blaskiem. Wtedy wracali, by nazajutrz znów o świcie wyjść na pola.

Po zachodzie słońca również krowy – czerwone, czarne i łaciate wracały z pastwisk do swych obór, powłócząc nogami; ciężkie, z obwisłymi wymionami i rozdętymi bokami. Cały czas poruszały niecierpliwie łbami i majtały ogonami, daremnie broniąc się przed upartymi bąkami i gzami, których całe roje krążyły wokół stada. Spod ich racic gniotących trawę zrywały się skacząc w górę brązowe koniki polne, a na piaszczystej drodze rósł tuman szarego kurzu.

W samym środku żniw – 22 lipca wymyślono świętowanie odrodzenia Polski, oczywiście – ludowej. Znów były zabawy na świeżym powietrzu na ustawionej przez strażaków podłodze. Na rogach podłogi umieszczono żarówki oświetlające po zapadnięciu zmierzchu tańczące pary. W zaimprovizowanym bufecie stały skrzynki z winem i beczka piwa. Na początku tańczyli nieliczni. Pito, pogadywano i czekano wieczora, który w lipcu przychodził dość późno; za to noc była piękna: gwiazdzista i bardzo ciepła. Lipcowy księżyc rogiem bódł niebo, skoczne melodie niosły się po opłotkach, dziewczyny w swych powiewnych, kwiecistych sukienkach chichotały, obgadując chłopaków i czekając na zaproszenie do tańca. A oni, zarumienieni od gorąca i od wypitego piwa śpiewali coraz głośniejsze zagarniając ramionami chętnie do tańca bobrowskie panny:

„Nicht nom tu ni może za nasze piniondze,
Nicht nom tu ni może zabroniować,
Śpiwać i tajcować, dziwochy całować,
Nicht nom tu ni może zabroniować”.

I było wspaniale, choć czasem wciąż niebezpiecznie:

„Ułożona na trawniku podłoga, orkiestra, samogon. Pół litra w kółko na każdego i taniec. Słońce zatacza kręgi wraz z całą wsią, wraz z całym światem. Potem wiruje pijana noc, gwiazdy przychodzą na wyciągnięcie ręki. A później w ruch idą kastety i kapsłówki, noc nad skłębionym tłumem przecina błysk noża; „najślachetniejszo jest bitka na noże”³⁴.

Tak mówili mężczyźni, a tę zasadę znał każdy, gdyż stosowano ją od pokoleń. Ale te zwyczaje próbowano zmienić. Leopold Harla pisze, że duża w tym była zasługa postępowej, aktywnej młodzieży.

„Chodzi tu o takie sprawy jak kultura zabaw wiejskich, właściwy stosunek chłopca do dziewczyny, likwidacja krwawych bójek na zabawach wiejskich, likwidacja międzywioskowych antagonizmów itp. „Na zabawach organizowanych przez ZWM w Bobrowej bójki znikły. Wprowadzono bezwzględną zasadę, że członkowi ZWM na zabawie nie wolno wypić ani kieliszka wódki. ZWM-owcy muszą dać przykład, jak się bawić kulturalnie. Natomiast każdy członek otrzymał odpowiednie zadanie. Jedni obsługiwali bufet, inni sprzedawali bilety wstępu, jeszcze inni organizowali towarzyskie gry i zabawy w przerwach między tańcami. Specjalna grupa chłopców zabezpieczała porządek i spokój na sali i w najbliższym otoczeniu, interweniując natychmiast w wypadku jakiegokolwiek konfliktu. Awanturników rewidowano, odbierano im niebezpieczne narzędzia i wyprowadzano z sali”³⁵.

Zabawy wiejskie były świetną okazją do „polytykowania”. Sąsiedzi siadali gdzieś w kącie przy piwie czy ciut mocniejszym trunku i – początkowo cicho – a wraz z opróżnianiem musztardówek z pieniącym się pysznym napojem czy pojemnych kieliszków z „cystom” – coraz głośniej i śmielej narzekali na biedę, na podłe czasy, a także na bezwzględne, niesprawiedliwe wobec rolników władze.

O tych nastrojach i wielkim rozczarowaniu tak pisze Nowakowski:

„Z początku liczyli na jakąś nagrodę pocieszenia za to, co przeżyli podczas wojny. Ale po wojnie od razu strącono Orłu z głowy koronę i była w tym zapowiedź traktowania, na jakie mogliśmy liczyć”³⁶. „Nasz kraj długo nie mógł zrozumieć, że przegrał wojnę i dostał się do niewoli. Oficjalnie mówiło się o miażdżącym zwycięstwie i aby wykluczyć wszelkie wątpliwości pokazywano naszą flagę, powiewającą obok tej drugiej nad Bramą Brandenburską. Nie wiedzieliśmy, że naszą flagę powieszono tam na chwilę, tylko do tego zdjęcia, podczas, gdy ta druga, nie nasza, wisiała i wisiała, i widać ją było na zdjęciach pokazywanych we wszystkich innych krajach. Z gazet nikt się nie dowiedział, co naprawdę się stało. Ani z kronik filmowych, wyświetlanych w kinach przed seansem, ani z radia. Ojcowie z wujkami rozmawiali o tym przy półlitrowce z czerwoną kartką, kłócąc się zazwyczaj przez pół nocy i płacząc nad ranem”³⁷.

A nazajutrz wczesnym rankiem rolnicy znów wychodzili jak co dzień w pole, bo nie w głowie im było leniuchowanie, a dojrzałe zboże nie mogło czekać. Nawet proboszcz Fijał, tak pryncypialny w sprawach zachowywania Bożych przykazań – w szczególnych sytuacjach np. bardzo burzowego i deszczowego lata, gdy trzeba było „wykradać” chwile dobrej pogody – pozwalał nawet w niedzielę kończyć żniwa czy zwozić siano. Nigdy tego nie

nadużywano. Wierzono przecież, że „Kto w niedzielę pracuje, nigdy się nie dorobi”. Ale bywały sytuacje naprawdę wyjątkowe.

Na zakurzonych drogach, w opłotkach i w domach w lipcowe, skwarne dnie panowały pustki: „Ludzi we wsi prawie nie było; trochę tylko starców i dzieci. Kury grzebały się w kurzu, gęsi w bajorkach [...]. Cała ludność wiojski pławała się w kurzu i pocie [...], pola gęsto jeżyły się już mendłami żyta, a częściowo i pszenicy”³⁸.

Do żniw szli wszyscy, chyba że byli bardzo chorzy lub bardzo starzy. Ci drudzy w milczeniu cierpieli z powodu przymusowej beczynności, która odbierała im radość życia. Ich pobrużdżone twarze i porowate dłonie przypominały szarą, popękaną od upałów ziemię, a rysy przywoływały pamięć ciężkiej harówki wcześniejszych pokoleń. Byli jak owi starcy opisywani przez Wojciecha Jagielskiego”:

„Chowając się pod strzechami chat przed deszczem i słońcem, oparci plecami o chropawe, gliniane ściany [...] w milczeniu palili tytoń. Siedzieli tak całymi dniami, pozbawieni wszelkiego zajęcia, nie wiedząc, co robić z czasem, z beczynnymi rękami, wielkimi i sękatymi od ciężkiej pracy w polu. Zwijali je z chrzęstem w pięści, wciskali w kieszenie spodni, prostowali, zaplatali na piersiach, kościstymi palcami chwyтали z ziemi źdźbła trawy, kamienie. Prędej czy później sterane ręce i tak zwisały bezradnie w geście kapitulacji, jakby niedopasowane, do niczego niepotrzebne, do niczego niepasujące”³⁹.

Spracowane – pokryte bruzdami, guzami, szramami, żylaste i twarde, nie dające się odmyć do czysta chłopskie ręce były „znakiem firmowym” ludzi ciężkiej pracy. Gdy gładzili nimi policzki dzieci, wyczuwało się ich szorstkość i twardość, ale też tkliwość i ciepło. Wracali wciąż wspomnieniami do czasów, gdy byli młodzi, zwinni i robota paliła im się w rękach. Nie mogli się pogodzić z tym, że tak niespodziewanie wszystko się zmieniło. Jak pisze Maria Dąbrowska: „Długo trwają te lata, w które się myśli, że się ma siłę i chęci dosyć na wszystko, ale mijają i one i raptem pewnego dnia ukazują się zewsząd granice, za które już, człowieku, nie przejdiesz i w których już tylko część tego wykonasz, coś wykonać zamierzył”⁴⁰.

A upały trwały niezmiennie. Przed ścianami domów mdlały wysokie malwy, pod okapami kryły się czarnoskrzydłe jaskółki, a w gęstym cieniu drzew chroniły się leniwe kocury. Spękana ziemia była spragniona wody „jak kania dżdżu”.

Umęczeni żniwami ludzie w chwilach wolnego czasu wypoczywali w cieniu starych drzew, w których drzemały swojskie zapachy dojrzałego lata. Wynoszono też do sadów kołyski z niemowlakami, robiono prowizoryczne hamaki, wiążąc naprędce końce płachty do niskich konarów jabłoni, lub układając maluszkę w przykrytych prześcieradłem nieckach, jeszcze pachnących rozczynianym w nich ciastem. Nad spokojnym snem niemowlaka czuwały starsze

dzieci, co było dla nich nie lada utrapieniem i przeszkodą w zabawach. „Ślabilizowały” więc książkę nakazaną przez mamę do przeczytania lub gapiły się na osowiele wróble, na kryjące się w cieniu kury czy fruwające w powietrzu puchy ostów. Liście jabłoni, lip, topól i rosochatych wierzb pokrywał gruby pył.

A zwłaszcza wierzb było w mojej wiosce tak wiele!

Wierzby – jeden z symboli polskiej wsi – rosły tu od zawsze. Jak pisał reżyser Jerzy Antczak: „Nie ma Sahary bez piachu. Rosji bez brzoź. Polski bez wierzb!”⁴¹.

Były drzewami bardzo malowniczymi, pięknymi o każdej porze roku. Na zdjęciu zamieszczonym w „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas” widzimy jedną z bobrowianek – Zytę „Herlonkę” malowniczo upozowaną właśnie na tle wierzby. A bohater powieści „Żegnajcie chłopcy” „znów wracał myślami w początek dwudziestego wieku, kiedy nie było go jeszcze na świecie. Znow widział to wiejskie błonie, po którym jego ojciec kłusował naprzeciw słońcu. W pastelowej ciszy, na tle zielonych kulistych wierzb. Kiedy było spokojnie i niczego nie musiał nikt rozstrzygać. Wiedział, że to nieprawda, ale tylko w tym pejzażu odzyskiwał spokój”⁴².

Wierzby rosły u nas wszędzie; młode, dorodne, o lśniących w słońcu liściach, ale też rosochate starowinki o guzlastych pniach; niekiedy rozpękłych w środku, z wyżłobionymi dziuplami, o stwardniałej korze i połamanych gałęziach. W czas największych upałów dawały schronienie ptakom i odpoczywającym pod kopułą ich gałęzi ludziom, a gdy słońce zachodziło, kryjąc się za olszynowe wzgórza, kładły na gościńcu swe kuliste, szarozielone cienie.

Niektórzy twierdzą, że wioska mojego dzieciństwa mogłaby śmiało nazywać się „Wierzbowa”, tak jak od drzew wzięły nazwy inne niedalekie wsie np. Brzeziny, Brzezówka, Brzeźnica, Dębina, Zawierzbie czy Bukowa.

Wracającego do rodzinnej wsi Lina oczywiście wiodła znajoma „droga wśród wierzb i ogródków [...]”; „wieś spała, nawet psy nie szczekały. Długi Staszek jakby niósł głowę między czarnymi koronami wierzb”⁴³.

Symbolem wioski mojego dzieciństwa mogłaby być też wszędobylska wiklina, czyli giętka, krzaczasta odmiana wierzby, obficie krzewiąca się na podmokłej glebie. Drewno wierzb i wiklinowe gałęzie służyły jako opał, ale od wieków wykorzystywano je też do wyrobu wielu pożytecznych przedmiotów. Były cennym surowcem na „żyrdki” do płotów, plecione ogrodzenia, wiklinowe wasagi wozów, dziecięce wózekczki czy chodziki, „kobiełki”, wiadra, konewki, kwietniki, zabawki, różne meble: krzesła, etażerki, umywalki, stoliki czy stołki.

W „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas” zamieszczono zdjęcie z 1955 roku przedstawiające małą bobrowiankę Grażynkę Węgrzyn w pięknym, artystycznie wykonanym chodziku – właśnie z wikliny⁴⁴.

Wielu bobrowian potrafiło wyplatać wiklinę. Jeden z sąsiadów był prawdziwym mistrzem w sporządzaniu pięknych wiklinowych koszyków, które po-

tem rozdawał wszystkim potrzebującym. Przycięte odpowiednio pęki wiklinowych gałązek najpierw moczył w wiaderku z wodą, potem formował kształt koszyka, oplatał wilgotnymi witkami przygotowany obłak, objął drewnianą kołatką giętkie gałązki aż robiła się z nich gęsta plecionka. Wykańczał koszyk, przeciągając witkę przez dwa poprzednie rzędy. Po odcięciu wystających końców robił jeszcze specjalne obrzeża, które wzmacniały koszyk.

Każdy z nich był piękny, solidny, mocny i praktyczny. Były duże kosze do ziemniaków, mniejsze do noszenia gałązek na opał, a nawet małe koszyczki poręczne dla dzieci. A nabywców nigdy nie brakowało. I dorodnej wikliny również. Kierownictwo Budowy Regulacji Wisłoki w Dębicy, działające pod koniec XIX wieku, prowadziło nawet plantacje tej rośliny na brzegach rzeki, korzystając ze sprzyjających warunków przyrodniczych. Pęki wiklin zwane „faszyną” wykorzystywano m.in. do umacniania brzegów Wisłoki. A chłopaki strugali wierzbowe fujarki, które umilały im czas podczas pasienia krów.

Oprócz wierzb i wikliny w wiosce mojego dzieciństwa rosły bujnie topole; też z rodziny wierzbowatych. Te wspaniałe, szybko rosnące drzewa o regularnej, pięknej, wysmukłej sylwetce, miały dość kruche konary, łamiące się w czasie burz i silnych wichrów.

Nawet w bezwietrzne dni ich listki szeleściły cichutko, lśnić jasną, żywą zielenią na zewnętrznej i połyskując srebrzystością na wewnętrznej stronie liści. Późną wiosną topolowe kwiatostany podobne do gąsienic – zwane baziami – zalegały pod drzewami. Wytwarzały białą „watę”, która unosiła się z wiatrem, zasypując drogi i pola grubą warstwą jakby białej wełny, porywanej przez wiatr i mknącej w powietrzu na duże odległości, a potem wciskającej się w najmniejszy kąt. Mikołajek pisał: „Było bardzo zielono. [...]. Pod topolami ziemię usłały bazie, wyglądające jak gąsienice”⁴⁵.

Rosły też u nas brzozy – najczęściej w malowniczych kępach – a także kolczaste akacje, jarzębiny, jesiony i jawory, dzikie bzy i tarniny, tworząc razem piękny, niezapomniany pejzaż.

Drzewa zamykały bobrowski horyzont z każdej strony. Od północy widoczna była ciemna plama korzeniowskiego lasu, od zachodu różnorodne krzaki i drzewa rosnące w Olszynch i na nagoskich pagórkach, od południa bujne przydrożne i przydomowe drzewa wśród majaczących w dali zabudowań Woli Żyrakowskiej, a tam, gdzie co rano wstawało słońce, ciemną zielenią odcinały się od rozległych pól nadwiśłoczne gęste kępy drzew, wyznaczające granicę z Brzeźnicą.

Wiele wierzb, topoli i wiklinowych krzaków rosnęło też wzdłuż naszej ukochanej rzeczki. Pojono w niej krowy, prano bardzo zabrudzoną odzież, wyganiano do wody kaczkę i gęsi. Ale była przede wszystkim wspaniałym miejscem zabaw dla dzieci. Można było puszczać na wodę maleńkie łódki z kory, albo wielkie, zielone liście lipy, by patrzeć, jak płyną powolutku gdzieś daleko,

daleko. Na tle białego piasku lśniły w słońcu srebrne łuski maleńkich rybek, które uwielbialiśmy obserwować. Nikt nie miał w domu szklanego akwarium; rzeczka była boskim siedliskiem tych ślicznych stworzonek. Gdy robiliśmy piaskowe tamy, umacniane gałązkami, kawałkami drewna i drobnymi kamyczkami zbijały się w gromadkę i kłębiły wokół tej nieprzewidzianej przeszkody, a – uwolnione z pułapki – znów mknęły w niepojętą dal. Woda w naszej rzeczce była płyciutka, przejrzysta i przyjemnie chłodna. W pogodne dni lśniła słonecznym blaskiem, a nocą odbijał się w jej lustrze rogaty księżyc wschodzący na niebo. Pluskaliśmy się w niej z radością, a wychodząc na piaszczysty brzeg zostawialiśmy na piasku mokre ślady naszych dziecięcych stóp. Rzeczka była całkiem bezpieczna, ale zdarzyło się pewnego razu, że ucząca się dopiero chodzić córeczka sasiadów – Gusia potknęła się i wturlała do wody łamiąc nogę. Było trochę krzyku, ale wkrótce dziewczynka – pełna dziecięcego wdzięku – biegła radośnie, stukając nóżką zakutą z okropny gips.

Mikołajek – jak wszystkie dzieci z wioski mojego dzieciństwa – kochał tę rzeczke i pisał o niej wielokrotnie.

„Zobaczyłem się zupełnie małym nad rzeką [...]. Pod stopami biały piasek, za plecami wikliny. Dalej pole w skwarze letniego dnia. Roje motyli i topole [...]. A najważniejsze jest stadko białych gęsi na zakręcie”⁴⁶.

Ta nasza wążutka rzeczka, która – tak, jak w wierszyku z elementarza – wiła się „jak błękitna wstążeczka” to ten potok Skołodziński, który w Olaszynach miał wysokie brzegi, dość głębokie miejsca i muliste dno skrywające ryby, ale też niebezpieczne niewypały. Lin z „Zamykania koła” „kołysany własnym zmęczeniem pozwalał na swobodne przesuwanie się przed nim luźnych obrazów: polną drogę pośród rozległych płacht jaskrawego łubinu i dziewiczo białej gryki wyparła kręta rzeczka o wysokich, porośniętych olchami brzegach; nagi malec o miniaturze twarzy dorosłego Lina, dotykając brodą ruchomego lustra, wciskał wielki kosz pod splątane korzenie. Później rzeczka oblewała wieś”⁴⁷.

Gdzie indziej Mikołajek wspomina: „Wszedłem do rzeczki. Zwisająca gałąź uderzyła mnie po plecach, pomnożyła dreszcz chłodu; dotykając brodą wody, aż po ramiona wsunąłem ręce pod korzenie, obmacując zakamarki: najczęściej puste, czasem jednak pod palcami prześlizgiwał się bok, czy płetwa ryby. Aż wreszcie dłoń zacisnęła w sobie żywy podłużny kształt. Manewrując wśród korzeni ostrożnie wydobyłem ją na wierzch”⁴⁸.

A od zagrody jego dziadków rzeczke oddzielał tylko gościniec.

W „Sielance” pisze: „Wybiegłem; chyłkiem przez drogę, jednym skokiem przez rzeczke”⁴⁹. Wspomina też most na tej rzeczce znajdujący się koło domu Lipów; Paweł z „Tryptyku na śniegu” chowa się pod nim z żydowską dziewczyną, którą pragnie uratować przed śmiercią, a także słucha, jak przejeżdżają po nim niemieckie samochody, którymi odjeżdżają Niemcy po zamor-

dowaniu Synaków: „Ślizgając się po błocie biegłem, jakbym chciał dogonić to, co było [...]. Samochód zniknął za wzniesieniem mostu”⁵⁰.

Pisarz bardzo bolał, gdy rzeczkę uregulowano w 1950 roku. Jego bohater Lin, wróciwszy po kilkunastu latach do rodzinnej wsi, był świadkiem tych zmian. „Zamiast olch na krętych brzegach zobaczył teraz spychacz, wyrównujący spopielałą od słońca ziemię nad skarpami prostego wykopu. Wiedział dlaczego to zrobiono, lecz pożałował tamtego jej obrazu”⁵¹. Bo ukochana rzeczka jego dzieciństwa na zawsze utraciła swój dawny urok.

Jak zwykle wędrował zapamiętanymi ścieżkami, oglądał „przydymione niskim słońcem pola, błyszczącą rosą wieś, jej spokój i zamęt pilnych robót, szpetnie wyprostowany brzeg rzeczki; w pierwotnym stanie mógł ją zobaczyć kilkaset metrów za wsią, gdzie koryto miała proste, a brzegi jednolicie wysokie”⁵². Taką pozostała jeszcze w Olszynach, o których też pisał z czułością i nostalgią:

„Ogarnęła go wówczas tęsknota do zapamiętanej z dzieciństwa wsi [...]. Chmurny, obszarpany wyrostek, z pałąk w ręce stał na wysokiej skarpie strumyczka. Spomiędzy oplecionych powojem olch dobiegał szelest pasących się krów. Zboża chyliły się w pokłonie przed słońcem i ciepłym wiatrem – kiedyż to własny cień zmniejszył wymiary do pięciu stóp, żeby można było popędzić bydło do domu, pobiec nad rzekę. Wyczekując, jak gdyby czuł drganie każdej, tak długiej sekundy, a kiedy rzucał się w chłodną wodę wykrotu rzeczki – ten wykrot był tuż za wsią – te drgające sekundy były już daleko za nim, przestał o nich pamiętać. Wracały, gdy przychodziła pora wyganiania, i znów musiał się z nimi pasować”⁵³.

Po uregulowaniu rzeczki i przeprowadzeniu melioracji gruntów, gdy bobrowskie pola – zarówno w „pioskach”, jak i w rędzinach poprzecinały zbierające wodę „psiakały” – sytuacja powodziowa w wiosce mojego dzieciństwa trochę się poprawiła, chociaż do dziś zdarzają się groźne wylewy.

Potok Skołodziński wpadał daleko za zabudowaniami wsi do Wisłoki. A Wisłoka była drugą – ukochaną przez Mikołajka, a zarazem „przeklętą” rzeką, którą nazywał czasem „pijaną”, nawiązując do swojej tuż powojennej pracy przy wydobywaniu i wywożeniu żwiru. Brzegi tej „pijanej rzeki” na skutek tzw. erozji bocznej przez wieki zmieniały swój kształt. Powstawały terasy zalewowe, na których osadzały się kamienie: okrągłaki i żwir, a które rzeka nanosiła tu aż z Karpat. W okolicy było więc wiele żwirowni. Właśnie w jednej z nich pracował Mikołajek. W żwirowni pracują też jego bohaterowie, m.in. Kalita.

„Codziennie wyjeżdżał wraz z innymi do rzeki; poprzez grzechotanie skręcających ku niej wozów dobiegał jej cichy szmer. Gdzieś z tyłu sączyła się piosenka, a na wyspie zgrzytały już w stosach żwiru łopaty, słychać było okrzyki i przekleństwa furmanów. Dudniły wrzucane do łodzi kotwice, ustę-

powwały miękkie zwały mgieł, flotylla kryp wyruszała na płonącą pierwszym słońcem rzekę”⁵⁴.

Wydobywanie żwiru było popularnym zajęciem mężczyzn z wioski mojego dzieciństwa. Praca była bardzo ciężka, a mężczyźni dla dodania sobie animuszu raczyli się alkoholem, stąd określenie „pijana rzeka”. Wydobywany żwir czyli „siuter” był bardzo pożądanym materiałem budowlanym. Wykorzystywano go przy budowie domów, dróg, mostów czy kościoła. Lin – zwany przez kolegów piaskarzy Kalitą – tak o tej pracy opowiada kobiecie spotkanej w pociągu:

„A ja po wojnie zacząłem chwytać kamień – tak mówią u nas na żwir. Nikt też nie powie, że wydobywa go z dna rzeki, tylko każdy łapie lub chwytta. Każdy, kto nabawi się z przepracowania przepukliny lub nawet umrze, dostaje krótkie epitafium: kamień go zjadł”⁵⁵.

W swojej twórczości Mikołajek wielokrotnie wspomina tę swoją Wisłokę, którą nazywa też „Dużą Rzeką”.

„W niedzielę po południu ruszyłem do odległej o kilka kilometrów Dużej Rzeki; pola gęsto jeżyły się już mendlami żyta, a częściowo i pszenicy. Mimo upału szedłem wyciągniętym krokiem, jakby kąpiel miała mnie obmyć ze wszystkich niepokojów”⁵⁶.

Do tej Wisłoki oddalonej od zabudowań wsi około dwóch kilometrów trzeba było iść polnymi drózkami wśród rędzinnych pól. Jeden z Mikołajkowych bohaterów wspomina:

„Na skraju pól przystanąłem, popatrzyłem dokoła. Plamę kępiek ledwie było widać [...]. Kilkaset metrów dalej położyłem się na smugu, wśród gęstego sitowia. Patrzyłem na [...] wieś. Droga, rzeczka i wieś ciągnęły się równolegle do siebie aż do Dużej Rzeki”⁵⁷.

A Duża Rzeką, oglądana z wysokiego brzegu, wyglądała tajemniczo, groźnie, ale i pięknie.

„W dole lśni rzeka, biało-żółte wikliny zdają się płynąć wraz z nią [...], piana pokrywa ją białymi płatami”⁵⁸.

Lin z „Zamykania koła” – tak jak sam Mikołajek mieszkający po wojnie we Wrocławiu – wracał tu wielokrotnie; po wielu latach przyjechał z synem Krzysztofem.

„Na brzegu przystanął i patrząc na piaszczyste łachy i bladozieloną wodę ruchem stóp zrzucił sandały, wolno ściągał koszulę i spodnie. Słyszał plusk pływającego Krzysztofa, widział jego ciemną głowę pośród jasnych fal bijących o tamę; na krótko zbliżyła się do niego rzeka w innym czasie, potem znów wróciła ta dzisiejsza. Gdy syn pobiegł za dziadkiem, umył się i usiadł na brzegu. To była nie tylko rzeka, nad którą się urodził. To była także rzeka, którą musiał opuścić, jak musiał do niej wrócić. Tak myślał, wyjeżdżając z Wrocławia. Chciał tu przyjechać, popatrzeć na siebie z oddalenia, zoba-

czyć też w całości przebytą drogę, krocząc od tamtego czasu do obecnego, od tamtej rzeki do tej samej rzeki. Ale część tego marszu w pamięci była już za nim, utknął gdzieś na słonecznej ulicy miasta, niczego sobie nie wyjaśniając [...]. Siedział więc patrząc na rzekę w promieniach zachodu, aż zapadł zmierzch. Lśniła w mroku nieprzeniknioną czernią, wydając się o wiele głębsza, niż była w istocie. Słyszał też jej nieustanny szmer; wikliny podobne były do gęstych obłoków lub lekkich wydm, które nie oprą się silniejszym wiatrom. Nad polami powiewna noc – z całego obrazu zaczynał sączyć się w niego wielki spokój, tak bardzo mu dzisiaj potrzebny [...]. Chcąc wchłonąć go w siebie jak najwięcej, dalej siedział nad tą rzeką – tak bliską i znajomą, tak daleką i obcą. Patrzył w nią tak długo, aż ciągnący od wody chłód kazał mu wstać. Z pewnym trudem rozprostował zziębnięte ciało, wolno ruszył przez pola. Wieś wychodziła mu naprzeciw wypukłym, przetkanym rzadkimi światłami półkolem. Jej milczenie utrzymywało w nim zadumę, nie dopuszczając do żadnych wewnętrznych spieć⁵⁹.

Patrząc w nurty Wisłoki Lin przypominał sobie swoje dzieciństwo: „Znów płynę pierwszy raz przez rzekę. Starszy brat z kolegą ubezpieczają mnie z obu stron. Stoję nieruchomo, lecz zdaje mi się, że krzyczę i tonę raz po raz, jak wtedy. Wyciągali mnie na powierzchnię i holowali pod wodą, aż osiągnęliśmy przeciwległą plażę [...]. Brat zginął pod Dreznem, ojciec nad Bzurą. Jeden w obronie, drugi w natarciu. Matka żyje”⁶⁰.

Również we wspomnieniach Bluszcza z powieści „Żegnajcie chłopcy” pojawia się ta rzeka dzieciństwa: „Wyciągnął się na kocu patrząc w niebo. Wysokie i czyste stało nad nim, niżej nękany upałem las. Pierwsze powojenne lato. Można by teraz leżeć na piasku, słuchając głosów piaskarzy i jakby dalekiego plusku wody, płynącej o krok”⁶¹.

Bobrowianie lubili Dużą Rzekę; szczególnie młodzi chłopcy chodzili nad Wisłokę, by zażywać kąpieli. Niekiedy zbierali na brzegu płaskie kamienie i „puszczali kaczki”, czyli rzucali je na wodę tak, by nie tonały, tylko ślizgały się, podskakując kilkakrotnie na jej powierzchni. Rywalizowali, kto zrobi to najlepiej i jego kamyk pomknie najdalej, zanim nagle zapadnie gdzieś na dno.

Przez Wisłokę wiódł też ważny trakt prowadzący do stacji kolejowej w Kochanowce, skąd można było ruszyć do wielkiego świata lub choćby do pobliskich miasteczek i fabryk: w Lignozie, w Mielcu, w Dębicy. Dlatego tak ważny był pewny przewóz krypą wzdłuż przeciągniętej przez dwa brzegi grubej, stalowej liny. No i gotowość przewoźnika, mieszkającego niedaleko przeprawy. Takim przewoźnikiem przez wiele lat był Bartłomiej Bogdan nazywany „Bogdonem”. Zawsze gotowy do przeprawy, znał godziny wracających z pracy bobrowian przywołujących go z drugiego, brzeźnickiego brzegu. Często podejmował się przewozu nawet w warunkach zagrożenia, np. gdy Wisłoką płynął „stryż”, lub rzeka wzbierała niespokojną, powodziową

falą, a drąg – zwany palestrą nie mógł zgruntować dna. Zimą przemierzało się Wisłokę po lodzie, choć niekiedy – podczas odwilży – lód niebezpiecznie trzeszczał i pękał. Tak właśnie przechodzi rzekę Paweł z „Tryptyku na śniegu”: „Zjadłem kilka garści śniegu, poczołgałem się do rzeki. Przeszedłem ją po lodzie, byłem już na rodzinnych równinach. O północy chałupy Topolówki. Na drodze kłóciła się gromada pijanych”⁶².

Niekiedy, gdy łódka była przycumowana do brzegu, a warunki sprzyjające, przeprawiano się przez rzekę samodzielnie; trzymając się liny przymocowanej na obu przeciwnych brzegach. Nie było to łatwe, bo nurt był bystry i znosił krypę, której trzeba było mocno pilnować.

W taki sposób przeprawiają się właśnie bohaterowie Mikołajka Cok i Żenia. „Wyruszyli około północy. Wieś zostawała za nimi czarnym, jednolitym grzbietem. Sterty owsa na polach podobne były do ślepych chałupiek. Żenia palił [...]. Po paru minutach dojrzelili nadrzeczne mgły.

– Jest! – wycelował niedopałkiem w ledwie widoczne pudło krypy [...], rzucił kotwicę do łodzi: odpowiedziała stęknieniem, woda zadzwoniła o burzę. – Siadaj – ujął w ręce długi drąg. Wbijając go w zwirowate dno rzeki przesuwiał się wzdłuż burty, utrzymując krypę ukośnie do fali.

Cok usiadł na dziobie. Woda marszczyła się bełkotliwie. Płynęła wąwozem wśród kłębiastych wiklin [...]. Żenia dobił do brzegu, wyrzucił kotwicę. Do stacji było kawał drogi, ale już tu usłyszeli gwizd pociągów”⁶³.

Obydwie bobrowskie rzeki – mała i duża – dawały mnóstwo pożytku i radości, ale były też przyczyną wielu tragedii.

Prawie co roku nawiedzała wioskę mojego dzieciństwa groźna powódź.

W 1971 roku Leopold Harla pisał: „Niski teren oraz bezpośrednie sąsiedztwo Wisłoki było niejednokrotnie przyczyną straszliwych powodzi, które doszczętnie rujnowały mieszkańców. Ostatnia z wielkich powodzi miała miejsce [...] w 1934 roku.”⁶⁴.

Ale niebezpieczna bywała także – szczególnie w czasie ulewnych letnich burz – nasza mała, przyjazna dzieciom rzeczka, nad którą spędzaliśmy całe dnie. W ciągu kilku godzin wypełniała swe koryto aż po dość wysokie brzegi. Bulgocąca, groźna i tajemnicza coraz szybciej toczyła bure, spienione wody, przekształcając się w wielgachne jezioro, rozlewające się po podwórkach, po gościńcu i po polach. Pochylające się nad brzegiem wierzby moczyły swe długie witki w żółtej, spienionej fali, niosącej kawałki drewna, połamanych gałęzi i różnego rodzaju śmieci. Wszystkie mostki i „ławy” – bo tak nazywano drewniane kładki – dawno zniknęły pod wodą, odcinając wiele gospodarstw od reszty wsi.

Nie bardzo zdawaliśmy sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa. Wybiegaliśmy „na bosoka” z domu, by łowić pływające pod jabłonkami pachnące, dorodne papierówki i szybko uciekaliśmy przed wciąż padają-

cym deszczem. Jednak dorośli z troską patrzyli na wetknięty w ziemię patyk, określający poziom wody, który bez przerwy się podnosił. Woda zagrażała zwierzętom w stajniach i chlewikach; kury i króliki przenoszono na stryszki, a krowom i świnkom ścielono grubo słomę, mając nadzieję, że nie trzeba będzie ich wyprowadzać na jakieś wyższe miejsce, tym bardziej, że prawie cała wieś była płaska jak naleśnik.

Do piwnic – pomimo zabezpieczania piaskiem okienek – przesiąkała od spodu brudna maź. Niektórzy mężczyźni podwijając wysoko nogawki spodni przechodzili gościńcem zalanym po kolana do sąsiadów, by razem z nimi – stojąc na jeszcze suchych stopniach schodów – dzielić się uwagami na temat powodzi i prognozowanej pogody.

Tylko chłopaki traktowali tę sytuację jako coś fajnego; brodzili boso po podwórkach przemoczeni do suchej nitki, wygłupiali się, a nawet pływali po zalanym gościńcu na drzwiach zdjętych z jakiejś stajni czy chlewika, odpychając się drągami. Ale dorosłym nie było do żartów. Cały czas z troską i niepokojem patrzyli na ołowiane, deszczowe chmurzyska i podnoszący się poziom wody. Kto musiał załatwić jakąś ważną sprawę: iść do sklepu czy do urzędu – zdejmował buty i brodził w mętnej wodzie macając grunt po omacku. Pozostali dreptali w „gumiokach”, stojąc w progach domów i czekali zmartwieni, ale cierpliwi; wszak dramat powodzi przeżywali niemal co roku, a władze – zajęte ważniejszymi sprawami – nie umiały temu zaradzić. Pozostawała nadzieja i modlitwa. W kościele ksiądz intonował pieśń błagalną, którą wszyscy śpiewali z wiarą i nadzieją:

„Boże, Królu Abrahama
W Tobie moc i dobroć sama.
Wejrzyj na to ludzkie plemię.
Użycz pogody na ziemię”.

Dorośli czuwali całe noce. Nawet gdy czarne okna zaczynały już szarzeć, nikt nie myślał o spaniu. Na szybach zamazanych deszczem brzęczały monotonnie muchy, a gdzieś w ogrodzie odzywał się rechocący głos zielonej żabki rzekotki, wróżący kolejne deszcze. Koguty ogłaszały świt, wzywając do codziennych obrządków, a brudna, mętna woda wciąż rosła. Niepokorna natura ukazywała swe groźne oblicze i obnażała słabość i niemoc człowieka wobec potęgi żywiołu.

Gdy po kilku dniach zauważano, że patyk wbity w ziemię i mierzący poziom wody coraz bardziej się odsłania, wiara wstępowała w serca mieszkańców wioski mojego dzieciństwa. Już i promyk słoneczny pojawiał się na niebie w szczelinie chmur, powoli zaczęły wyłaniać się zalane krzewy, kępy trawy, fragmenty podwórek. Na ścieżki wyległy grube, pomarańczowe dżdżownice, które wkrótce stawały się smakowitym pokarmem dla – wreszcie wypuszczonych na podwórka – gęsi, kaczek i kur.

Wszyscy ochoczo zabierali się do pracy, by usuwać szkody, porządkować zagrody, wypędzać na pastwiska krowy i konie, zmęczone przymusowym uwięzieniem w stajniach. Zamiataliśmy podwórka, układaliśmy połamane gałązki, przywracaliśmy w miarę podobny do dawnego ład na grządkach, podlewaliśmy czystą wodą ocalałe z kataklizmu ogródkowe warzywa i kwiaty, i liczyliśmy straty. Życie powoli wracało do normy.

Ale zdarzały się powodzie tak dramatyczne, że zapisały się nie tylko w ludzkiej pamięci, ale i w pisanych dokumentach. Takimi podwoziami były te z 1772, 1774 czy z 1934 roku, kiedy wylała nawet Wisłoka płynąca w wysokich i zazwyczaj dość bezpiecznych brzegach. Wisłoka, biorąca początek w górskich potokach, co roku była groźna, przede wszystkim dla mieszkańców przysiółków, ciągnących się w jej pobliżu: Kolonii i Zakęcia. Ludzie wobec tego kataklizmu byli całkiem bezradni. Stali na wysokim brzegu, z przerażeniem obserwując przetaczającą się gwałtownie brudną, wzburzoną wodę. Mogli tylko lamentować, modlić się i narzekać. Jeszcze przez wiele lat wspominali na przykład tamtą, straszną powódź z 1934 roku i – będąc w Przecławiu na odpuszcie czy na targu – odwiedzali kapliczkę ufundowaną w XIX wieku przez przecławskich Reyów, by pomodlić się przed obrazem Matki Bożej Bolesnej i popatrzeć na znaki narysowane wysoko na zewnętrznej ścianie tej kapliczki, wskazujące poziom, jaki wtedy osiągnęła woda z rozlanej Wisłoki.

Jeszcze długo po powodziach – mimo uprzątnięcia podwórek, oczyszczania rowów, dróg i brzegów rzeki – wioska nosiła ślady „wielkiej wody”, długo też utrzymywał się zgniły, bagienny zapach zamulonych krzaków, traw i zbóż oraz nie wysychające kałuże.

Mikołajek wspomina „słodkawy i drażniący gardło zapach mułu, ubłoczone dołem i przywiedle górą wikliny, słońce toczące się po ziemi, po jednej stronie ciemna plama sośniny, po drugiej szara topolowego lasku [...]. Oblepione mułem wikliny. Zapach tego mułu, nieprzyjemnie słodkawy, pozbawiony już tej nieprzyjemnej woni zgnilizny, znów przypominał dzieciństwo; tu łowiliśmy po wiosennych wylewach pozostałe w zagłębieniach ryby”⁶⁵.

Wisłoka była szczególnie niebezpieczna w czasie wiosennych roztopów: wzburzona, kłębiąca się kipieli niosła wielkie kry oraz drobny „stryż”, splątane gałęzie, wielkie konary, jakieś deski i różne przedmioty, porwane przez szalejące wody. Uniemożliwiała przez wiele dni przeprawę na brzeżnicki brzeg – do fabryk czy do pociągu. Budziła respekt i niepokój. Wezbrane wody Wisłoki zniszczyły w 1946 roku most, łączący Bobrowę z Brzeźnicą, zbudowany przez żołnierzy radzieckich.

Cała wioska mojego dzieciństwa borykała się wciąż z wszechobecnym błotem. Od tego błota pochodziła nawet nazwa jednego ze strumyków, płynącego „Pode Dworem” – „Błocizna” oraz część wsi oddzielona tym strumyczkiem od drogi – tzw. „Zabłocie”.

Owa „Błocizna” doczekała się nawet uwiecznienia w poezji:

„Wiosenną porą, gdy śnieg topnieje,
Lub latem, gdy trwa ulewa
Skromny strumyczek, niewielki stawek,
Zwany Błocizną – wylewa.
Zatapia pola, zagrody, pastwiska,
Drogi, dróżki, ścieżynki.
Wypełnia studnie i gnojowiska,
Podtapia nawet budynki”⁶⁶.

Niezbędnym obuwiem, umożliwiającym dorosłym poruszanie się po wsi były kalosze zwane w wiosce mojego dzieciństwa „cholewiokamy” lub „gumiokamy”. Sznurowane „gumioki” z krótką cholewką nazywano „kanadyjkamy”. Ponieważ guma była nieprzyjemna w dotyku, a nogi bardzo w nich marzły lub się pociły, wkładano czasem do butów trochę słomy pełniącej rolę wkładek. A my, dzieci – po błocie biegaliśmy oczywiście „na bosoka”.

Władza socjalistyczna niosła pomoc powodzianom. Pewnego razu do Gromadzkiej Rady przywieziono dary od wojska. Rozdzielano według listy mieszkańców wojskowe płaszcze, spodnie, a także ciężkie, bure koce. Każda otrzymana rzecz przydawała się w tamtych ciężkich, biednych czasach. We wszystkich domach trzepano „zdobyczną” odzież, wietrzono, prano, pruto, poprawiano, przesywano, dopasowywano. Wkrótce cała wieś „przybrała” wojskowe barwy. Mężczyźni ubierali wojskowe bluzy i spodnie; z szyneli powstawały marynarki, kostiumy, spódnice, bezrękawniki, ubiory dla dzieci.

Wiele pracy miały bobrowskie krawcowe, a było ich przecież kilka – bardzo pracowitych i utalentowanych: Bronisława Osak, zwana pieszczotliwie „Brońcią”, Marysia Ostrowska, Milena PiękosioŹna i inne.

Szybko mijały lipcowe, skwarne dni. Na polach i w ogrodach królowały wciąż zapachy lata, w izbach – zapachy letnich obiadów: owocowej „pamuły”, „polywki” sporządzonej z „syrwotki”, kwaśnego „młyka” i „zimioków”, koperkowego sosu z „jojkiem”, czy zupy „szczawiowy”. Delikatny wietrzyk poruszał lekko firankę w otwartym na oścież oknie. Złociły się w słonecznych promieniach wirujące drobinki kurzu. Gospodyni, stojąc przy garnkach, dzierżyła w ręku „klapkę”, którą co chwilę zabijała uprzykrzone muchy.

Klapka była nieodzownym „narzędziem” w każdym domu, bo muchy były prawdziwą plagą, zwłaszcza, gdy w pobliżu znajdowała się stajnia. Składała się taka klapka z krótkiego kija, do którego przymocowywano kawałek gumy lub miękkiej skóry; najczęściej ze starej podeszwy. Niekiedy kupowano też zmyślne muchołapki przypominające lampy ze szklanym kloszem i podstawką, na którą sypało się cukier. Zwabione tym smakołykiem muchy wfruwały pod klosz, nie znajdując już wyjścia. Mikołajek pisze: „W izbie brzęczenie much. Tłukły się w szklanej muchołapce z podłożonym od spodu kawałkiem cukru”⁶⁷.

W sklepie kupowało się też lepy na muchy. Były to taśmy nasmarowane jakąś lepłą mazią, które wieszało się pod sufitem; często nad stołem, by chodząc po izbie nie zaczepiać o nie głową. Powszechnie stosowane ze względu na niską cenę i dużą skuteczność, cieszyły się wielką popularnością. W domach, w sklepach, w urzędach; wszędzie wisiały wprost oblepione zdechłymi muchami. Wszyscy byli przyzwyczajeni do takiego widoku i nie widzieli w tym niczego niestosownego.

Mikołajek pisze o spotkaniu Sokoła z Bluszczem w restauracji: „Weszli, lawirując głowami wśród nisko wiszących, czarnych od much lepów”⁶⁸.

W kącie ogródka kusiły swym urokiem białe, czerwone i czarne porzeczeki i miękkie już agrest, którego owoce pokryte były śmiesznymi, drobniutkimi włoskami, a na podwórku Celinki dojrzewały smakowite gruszki. Te, które spadając na trawę rozbijały się, odsłaniając swe pełne soku wnętrze, natychmiast były atakowane przez wszędobylskie pszczoły. Bo za domem wśród starych drzew stały ule, w których aż roiło się od tych niebezpiecznych owadów. Omijaliśmy je z daleka, patrząc, jak obsiadają kwitnące opodal, stare, rozłożyste lipy czy różnobarwne kwiaty w przydomowym ogródku. Czasem z tego brzęczącego roju odrywała się jakaś hałaśliwa pszczoła i goniła nas, zanim – machając rozpaczliwie rękami i umykając co sił w nogach – schroniliśmy się bezpiecznie w sieni. Zdarzało się, że ojciec Celinki, pracując w pasiece, przynosił nam plaster ociekającego kwietną wonią miodu, lub jej mama wlewała nam na talerzyki gęstą, złocistą, miodną masę, urzekającą cudną wonią. Dziwiliśmy się, smakując tę słodycz, że miód można jeść z talerzyka łyżeczką. Zazwyczaj używało się go tylko w czasie przeziębienia do herbaty, albo mamy rozlewały go cieniutko na chlebie, a słoik z miodem stał schowany głęboko w kredensie. I nigdy tak nie pachniał i nie smakował jak tamten, prosto z pasieki, przesycony wszystkimi zapachami lata.

Lipy były drzewami pięknymi i bardzo cenionymi; miały delikatne, jasnozielone, sercowate listki i cudne, pachnące słodkawo, miododajne kwiatuszki oraz dorodne, kształtne, kopulaste korony, a przy tym drewno odporne, twarde, nadające się nawet do wyrobu skrzypczek – ulubionego instrumentu ludowego. Traktowano je jako drzewa szczególnie szlachetne, tworzące „arkadyjski” klimat spokoju i szczęścia. Były długowieczne i rozrastały się bujnie; trwały dostojnie przez wiele, wiele lat, zadziwiając bardzo grubymi pniami i olbrzymimi konarami. Od wieków obsadzano nimi kościelne dziedzińce i tworzone całe aleje lipowe wokół zamków i dworów.

Konstanty Łubieński z Zasowa tak wspomina otoczenie rodzinnego pałacu:

„Park przecinały aleje grabowe, leszczynowe i tujowe, lecz najwspanialsza była aleja lipowa, ciągnąca się od bramy wjazdowej, strzeżonej przez dwie barokowe kolumny”⁶⁹.

Te szlachetne drzewa sadzono też chętnie w chłopskich zagrodach. Uważano, że wysokie lipy przyjmują uderzenia piorunów, ocalając tym samym pobliskie budowle, a w czasie pożarów zatrzymują w swych gęstych koronach porywane przez wiatr rozżarzone pęki słomy. Pod parasolami lip stawiano drewniane stoły i ławy służące latem do odpoczynku czy do rozmów z sąsiadami i krewnymi.

Nie bez powodu poeta Jan Kochanowski we fraszce „Na lipę” ukazał to drzewo jako gospodynię podwórza, zapraszającą do wytchnienia w jej cień, bo „tu zawsze chłodne wiatry z pola zawiewają, tu słowicy, tu szpacy wdzięcznie narzekają”, a „człowiekowi łąco słodki sen przypadnie”⁷⁰.

Wdrapywaliśmy się całą „halastrom” na grube, dogodne do siedzenia konary lip i do przyniesionych koszyczków zbieraliśmy aromatyczne kwiecie; żółtawe, drobniutkie, z cienkim, delikatnym listeczkiem przytwierdzonym do szypułki. Wysuszone w zacienionym miejscu i schowane w bawełnianym woreczku było surowcem na pyszną i „zdrowotną” herbatkę o cudnym jasnobursztynowym kolorze i miodnym zapachu lata. Niektórzy zrywali czasem jakiś dorodny lipowy liść i przyłożywszy do warg dmuchali, „wygrywając” na tym osobliwym instrumencie prościutkie melodie.

Prawie corocznie lipcowe upały cały miesiąc nękały ludzi i zwierzęta; mdłały rośliny, spękana ziemia wciąż czekała, spragniona deszczu. Mikołajek pisał: „Na drogę, szczerze obstawioną szpalerem chat i wierzb, nie przedostawał się najmniejszy nawet wietrzyk. Gorące powietrze dławiło. Kurczyły się w słońcu liście”⁷¹.

I nagle któregoś dnia w ogródku odezwała się nadrzewna rzekotka wróżąc deszcz. Powietrze zrobiło się nieznosnie parne, aż gęste. Jaskółki oknówki rozpoczęły niskie kołowanie, a potem szybko kryły się w gniazdach pod okapami domów i stajni. Wiedzieliśmy, że „Gdy jaskółka lot swój zniża, deszcz się zbliża”.

I rzeczywiście na niebie wykwitły niespodziewanie ciemne chmury, pędzone gorącym wiatrem. Zaczęło się „łyskać”, a my liczyliśmy czas, po którym pojawiał się daleki grzmot, by określić, jak blisko jest już burza. Po chwili w krzakach bzu cicho zaszeleściły pierwsze, drobne krople deszczu. I zaraz głośniejsze zabębniły po gałęziach, i nagle rozszalała się prawdziwa ulewa. Potężne błyskawice kroili niebo i przeraźliwe grzmoty toczyły się przez wieś. Zrobiło się prawie ciemno. Wicher z wściekłością smagał drzewa, porywał liście, dzwonił szybami okien. Uciekaliśmy do domów, już całkiem przemoczeni.

I było jak u Reymonta:

„Burza szła od wschodniej strony, kieby sierpem naciągały ciężkie, granatowe płachty chmur, opite deszczem czy gradem, krótki a hukliwy wiatry wyrywał się przodem, świszcząc po czubach drzew i szarpiąc zbożami, ptactwo z wrzaskiem uciekało pod dachy, nawet psy gnały do chałup, bydło wyrywało z pól, a po drogach już się kręciły słupy kurzawy, zaś grzmoty roz-

legały się coraz bliżej [...], burza krążyła nad wsią, by ogłuszyć błyskawicami, grzmotami i strugami deszczu. Wieś zamarła. Przytłoczone ciężarem niebo opadało coraz niżej, jakby chciało dotknąć ziemi. Wtem wiatr dmuchnął piachem [...], grzmoty już zahurkotały nad wsią i uderzył taki wichur, że dziw drzew nie powyrywał, jaże gałęzie i snopki z dachów w cały świat porwał, a pierwsze pioruny trzasnęły gdziesik w bory: całe niebo w mig posiniało niby wątroba, słońce zgasło, zawyły wichry i pioruny jęły bić jeden za drugim, grzmoty zatrzęsły ziemią i ognie błyskawic ozdierały schmurzone niebo, oczy wyżerając blaskami. Domy dygotały od huków, a wszelkie stworzenie przyczało się w strachu [...], lunął rześisty deszcz i poszła taka nawałnica, że w mig położyła zboża, rzeka wezbrała, a ze wszystkich rowów, miedzi i bruzd waliła spieniona woda”⁷².

Patrzyliśmy na trwającą nawałnicę przez zalane deszczem okno, na którym tlił się ogieniek zapalanej przez mamę gromnicy. Również w oknach innych domów migotały chwiejne płomyczki poświęconych w Święto Matki Boskiej Gromnicznej świec, mających ustrzec przed piorunami. A groźne niebo wciąż przecinały błyskawice i wciąż huczały gromy. Nagle przez ciemne chmury przedarł się pojedynczy, jaskrawy słoneczny promień, a zaraz potem na niebieskim już płacie nieba zajaśniała cała kula słońca i wkrótce nastała kojąca cisza, jak to zwykle bywa po burzy. Słysząc było tylko jeszcze przez chwilę cichutki szelest ostatnich kropel toczących się po liściach drzew. Wychodziliśmy śpiesznie na podwórko, by boso biegać po kałużach. Świeże powietrze pachniało ozonem. Znad przywisłoczných zarośli wychylała się na niebo piękna, barwna tęcza. Parowała rozgrzana ziemia. Ktoś biegł gościńcem, krzycząc głośno. Na „Dulówce” odezwał się jazgotliwie dzwon. Zobaczyliśmy niewielką łunę nad domami Piękosiów i Gilów. Na polach za „Marcelem” paliły się kopki.

Burza przeszła tak niespodziewanie, jak się zaczęła. I znów gorące słońce wzięło świat w swe władanie.

Gdy jednak deszcz nie ustawał i lało nawet przez kilka dni, nudząc się w domu, wymyślaliśmy różne psoty, bawiliśmy się w „kuciubabkę”, przewracając taborety i nabijając sobie siniaki o wystające kanty różnych sprzętów, czytaliśmy książeczki, graliśmy w „Państwo, miasto, rzeka...” lub oglądaliśmy stare zdjęcia.

Zazwyczaj nie było tych zdjęć zbyt wiele, ale każde z nich bardzo nas ciekawiło. Przechowywano je starannie na jakiejś półce w „nakaslyku” czy w szafie w specjalnie do tego celu przeznaczonych pudełkach – najczęściej po obuwiu; niekiedy też w albumie, który był traktowany z wielkim pietyzmem.

Czarno-białe, niektóre w kolorze sepia; często pożółkłe, wyblakłe, uszkodzone – nosiły ślady mijających lat i ślady trzymających je delikatnie rąk. Niektóre miały białe brzegi zdobne w ząbki jak mereżka na babcinyh serwetkach. Były niemym świadectwem przeszłego czasu, utrwalały historię

rodziny, umacniały więc z tymi, którzy odeszli na zawsze, ale – jak pisze poetka Urszula Kozioł: „pozostawili piętno rysów własnych twarzy powtarzanych w następnych pokoleniach”⁷³, albo zagubili się gdzieś w świecie lub tak się zmienili, że trzeba było od nowa szukać w pamięci ich dawnych rysów.

Jan Twardowski pisze:

„Tylko fotografie nie liczą się z czasem
pokazują babcię jak chudą dziewczynkę
z wiosną na czerwonych gałązkach wikliny [...]
jej warkoczek tak cienki jak anioł prywatny [...]
krajobraz co już dawno przeszedł w geografie
i oczy już za wielkie by stać je na rozpacz”⁷⁴.

Z wielką ciekawością i uwagą oglądaliśmy takie zdjęcia, wciąż odkrywając ich tajemnice i słuchając opowieści dorosłych o czasie dawno minionym, o losach przedstawionych tam postaci, wielokroć przypominanych, a jednak wciąż tak intrygujących!

Nasze stare zdjęcia o ząbkowanych brzegach miały najczęściej na odwrocie krótkie informacje dotyczące sfotografowanych osób, datę, czasem jakąś uwagę; wszystko zapisane starannie wykaligrafowanym, staroświeckim pismem oraz nazwisko fotografa i adres zakładu fotograficznego; czasem w formie owalnej pieczętki. Postacie na tych zdjęciach najczęściej stały lub siedziały starannie upozowane, uroczyste, odświeżone, utrwalone w jakiejś ważnej życiowej chwili. Zachowało się m.in. rodzinne zdjęcie moich dziadków, zamieszczone również w „Ocalić wspomnienia – zachować czas”⁷⁵. Było wykonane niedługo przed wojną. Dziadek Michał pewnego razu podobno powiedział: – Zbliża się wojna. To okropny czas. Wiem, bo jedną przeżyłem, a ta będzie jeszcze straszniejsza. Jutro jedziemy do fotografa i zrobimy sobie rodzinne zdjęcie, bo nie wiadomo, gdzie nas rzucą losy i czy wszyscy przeżyjemy.

Tak też się stało. Cała rodzina – odświeżone wystrojona – odbyła podróż do dębickiego zakładu fotograficznego; oczywiście na furmance. Fotograf starannie upozował przybyłych klientów na tle ściany ozdobionej kilimem, na którym wisiał duży obraz przedstawiający Najświętsze Serce Jezusa. Wszyscy – świadomi powagi chwili – wyglądają na owym zdjęciu dostojnie, elegancko i uroczyście. Rodzice: Michał i Józefa, ich synowie: Ferdynand, Aleksander, Tadeusz i Eugeniusz, córka Janina i kuzynka Janka prezentują się godnie: są poważni, przejęci, a chłopcy trochę nawet przestraszeni. Babcia Józia ze starannie ułożoną fryzurą, w eleganckiej ciemnej sukni z dużym, białym, ozdobnym kołnierzykiem i w ażurowych rękawiczkach, dziadek Michał w garniturze i białej koszuli z krawatem, mama w białej bluzeczce i koralikach na szyi, starsi chłopcy w ciemnych ubrankach z wyłożonymi białymi, szerokimi kołnierzami, a najmłodszy w samej koszulce ozdobionej aksamitką i w krótkich spodenkach z białymi guziczkami.

O czym myśleli, gdy fotograf naciskał migawkę? Spoglądają trochę smutno, choć przecież byli jeszcze nieświadomi tragicznej przyszłości, która czyhała tuż, tuż, a którą znamy my – wnukowie.

Takie dawne fotografie, nadgryzione zębem czasu to jakby podmuch dawnego, nieistniejącego już świata. Mają jakąś magię i nostalgiczny urok. Śpi w każdej z nich jakiś okruch dawnego życia, na zawsze już utraconego. Dzisiejsze zdjęcia, robione w ogromnych ilościach nowoczesnymi aparatami – choć kolorowe i utrwalające nas w wielu różnych pozach i sytuacjach – nie mają tej magii, tej tajemnicy i elegancji, piętna zastygłego czasu, czegoś niezwykłego, jedyne, co czyni tamte stare cennymi jak skarb. Oglądane po latach ożywają i przywołują umarłe historie. Ich bohaterowie nie wiedzą tego, co my, nie znają swego dalszego losu, który my znamy; na zawsze też pozostają młodzi, na zawsze już w tych samych, zastygłych pozach. Dzięki tym zdjęciom łatwiej nam przypomnieć sobie sylwetki i wyobrazić charakter i zachowania naszych przodków.

Dziadkowie zazwyczaj byli twardzi, zdecydowani, pracowici, wymagający od siebie i bliskich, ważący każde słowo, szanujący poglądy innych, ale zawsze mający swoje zdanie, rygorystyczni, uparci, odpowiedzialni za byt i los rodziny, sprawiedliwi i uczciwi, pobożni i honorowi, cieszący się autorytetem i szacunkiem.

Babcie miały w sobie więcej serdeczności niż dziadkowie, a choć też bywały surowe i wymagające, ale zawsze ciche, skromne, pozostające w cieniu swych mężów, których szanowały, dbały o nich i darzyły miłością. Niewiele natomiast chciały od życia dla siebie. Głęboko wierzące, śpiewały w kościele, klęcząc przed obrazem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy: „Niewinność, cichość, pokora to Maryi strój” i takie właśnie chciały być. Swe życie poświęcały przede wszystkim dzieciom, których zazwyczaj wiele rodziły i wychowywały. Przekazywały im wzory postępowania, których uczyły się od swych mam. Synom – jak to było w zwyczaju – dawały więcej swobody, za to wobec córek były bardzo wymagające. Wiedziały bowiem, że w najtrudniejszych czasach to one będą ostoją rodzin. Popularne przysłowie mówiło przecież: „Chłop trzyma jedno węgło domu, a baba trzy”. I tak było naprawdę.

Swe córki od najmłodszych lat przygotowywały więc do przyszłej, odpowiedzialnej roli żony i matki.

Jedna z sąsiadek – sama ciężko pracująca w gospodarstwie i w domu, o czym świadczyły jej ręce: guzowate, żylaste, z brązowymi plamami – wymagała też od swych dzieci, by ciągle były czymś zajęte.

Gdy któreś przysiadło na chwilę beczynnie, zaraz pytała: – A to już nic nie ma w domu do roboty, że tak siedzisz? Przecież jeszcze nie wieczór!

Ale to surowe wychowanie opłaciło się. Wszystkie jej dzieci wyrosły na solidnych, wartościowych, pracowitych ludzi.

Takie zasady wychowania obowiązywały dawniej w każdej rodzinie. Ewa Matuszkiewicz tak o nich pisze: „Dziewka [...] powinna być cnotliwa i pobożna, ojcom posłuszna i pracowita.[...] Oprócz pacierzy dziewczka musiała umieć strawę uwarzyć, haftkę przyszyć, krowę wydoić i w obejściu porządek utrzymać”⁷⁶.

Dziewczęta uczyły się też skromności, bo przecież „skromność – skarb dziewczęcia”, skrywania swoich myśli, marzeń, potrzeb i biernego czekania na spełnienie się szczęścia; wszak mówiono: „Siedź w kącie, a znajdą cię”. Córka nie opowiadała mamie nawet o swoich problemach w okresie dorastania; ani tych dotyczących stawania się kobietą, ani tych wywołanych rozterkami serca.

Sprawy intymne były traktowane jako coś wstydliwego więc – choć były przecież tak ważne – nie mówiło się o nich otwarcie. Nie było gazet czy mediów promujących seks, a nagość istniała tylko w aktach malowanych przez artystów, których twórczości w wiosce mojego dzieciństwa przecież prawie nikt nie znał.

Nie znaczy to, że intymność była czymś zupełnie obcym czy lekceważonym; przez swą tajemniczość nabierała wyjątkowego charakteru, a miłość skrywana przed oczami świata była często niezwykle piękna, pełna ciepła, poświęcenia i – „aż po grób”. Dla wyrażania treści intymnych używano różnych przenośni czy symbolicznych zwrotów; często występujących np. w przyśpiewkach ludowych. Takie symboliczne znaczenie miały m.in. niektóre rzeczy [czerwone korale, haftowany fartuszek], kwiaty [róże, lilie], owoce [maliny, wiśnie, jagody, korale kaliny, orzechy], zwierzęta i ptaki [jeleń, łabędzie, kogut, kukułka], a także pewne sytuacje, zachowania czy elementy przyrody przedstawiane w ludowych utworach: „czerwone jabłuszko przekrojone na krzyż”, woda dudniąca w cembrowanej studni, listek kalinowy płynący po wodzie, „ten biały wianeczek”, grusza stojąca w polu, która „słodkie grusze rodzi”, czy rozmaryn rosnący w ogródeczku.

Śpiewano np. dowcipną piosenkę o Andzi, która „kupiła sobie suknię zieloną. I z tej radości i z tej uciechy poszła do lasu zbierać orzechy”. Oczywiście czyhał już tam na nią okrutny wilk. Piosenka kończy się łatwym do rozszyfrowania morałem: „Nie radziłabym żadnej dziewczynie zbierać orzechów w gęstej leszczynie. W gęstej leszczynie wilki siadają i ładne panny często zjadają”.

Właśnie ludowe piosenki – tak lubiane i śpiewane przy każdej okazji – za pomocą barwnych, ale też czytelnych metafor określały zachowania i sytuacje, o których nie mówiło się wprost. O relacjach damsko-męskich obowiązujących na wsi opowiadała np. znana, dowcipna ludowa piosenka o Marynie:

„Maryna, Maryna, gotuj pirogi.

O, mój Maćku drogi, kiedy ni mom mąki.

Więc Maciek do miasta po mąkę do ciasta.

Maryna, Maryna gotuj pirogi.

O mój Maćku drogi, kiedy ni mom syra.

Więc Maciek..." itd. itd.

Inną sytuację – niestety drastyczną, ale i takie się zdarzały, gdy mąż wyznawał starą zasadę, że „Jak się żony nie bije, to jej wątroba gnije” – przedstawiała taka piosenka:

„Bije mie mąż, bije mnie wciąż.

Bije mie motykom. – Nie chodź za muzykom.

– Nie pójde już.

Bije mie mąż, bije mie wciąż.

Bije mnie grabiamy, nie chodź za chłopcamy:

– Nie pójde już”.

I jeszcze jedna zapomniana piosenka, popularna w wiosce mojego dzieciństwa; fajna, dowcipna, napisana w formie dialogu, warta ocalenia. Jak wszystkie utwory ludowe odwołuje się do doświadczeń życiowych i praktycznej mądrości mieszkańców wsi:

– „Macieju, Macieju, a dzie ty jedziesz?

– Do miasta jade, wiesz?

– Macieju, Macieju, ty mie z sobom weź.

– Nie musze, wiesz?

– A jak cie poprosze ładnie,

to cie tako myśl napadnie,

że ty mie weźniesz.

– No to siadej, tylko tam w kielni.

– Macieju, Macieju, ty my gemby dosz.

– Nie musze, wiesz?

– A jak cie poprosze ładnie,

to cie tako myśl napadnie,

że my gemby dosz.

– A weź se, tylko my wąsisków nie powyrywej”!

No i jak tu nie wierzyć przysłowiu, że „Gdzie diabeł nie może tam babę pośle”? Bo prawdziwa „baba” swym wdziękiem, urodą, miłymi słówkami, a także uporem potrafiła zmiękczyć serce nawet najbardziej szorstkiego, twardego i upartego mężczyzny. Szczególnie taka baba, co to – jak mówią – i „siała mak”, i „miała koguta”, a na ścianie w kuchni wieszała wyhaftowaną makatkę z komplementarnym napisem: „Dobra żona tym się chlubi, że gotuje, co mąż lubi”. I takie właśnie były kobiety z wioski mojego dzieciństwa.

Niestety, często te młode, piękne, zalotne dziewczyny po wyjściu za mąż – na skutek trudów i dramatów życia, nadmiaru obowiązków, a niekiedy złego traktowania przez męża – przekształcały się w smutne, „szczawiowe, barchanowe żony”, które przestawały dbać o siebie. Ale nawet te, które starały się być wciąż atrakcyjne, nie miały możliwości uchronienia się przed przykrymi śladami upływającego czasu. Nie było przecież jeszcze peelingów, silikonów,

zastrzyków kolagenowych, czy innych, późniejszych wynalazków podtrzymujących urodę. Smagające wiatry, deszcze i śniegi, prażące słońce, gorąco i ziąb, ciężka praca, a przede wszystkim zmartwienia, niedola, choroby, śmierci bliskich, niepokój o przyszłość, liczne cięższe, porody, kłopoty z dziećmi, sytuacja w kraju; tak trudna i często dramatyczna dla rodzin – wszystko to sprawiało, że na pięknych niegdyś twarzach żłobiły się zmarszczki, przygasał blask spojrzenia, garbiły się plecy, słabły nogi, na rękach powstawały odciski, guzy i żyłaste węzły. Kobiety godziły się na tę sytuację, z rezygnacją mówiąc: „Jakiegoś mie Boże stworzył, takiego mie mosz”.

Ale mimo tych śladów upływającego czasu malujących się na ich twarzach, najczęściej do końca ich serca były wierne złożonej w kościele przysiędze, przepełnione troską o bliskich i gotowością do poświęceń dla dzieci i wnuków. Zawsze miały czas, by pocieszyć strapionych, chętne ręce, by pomagać potrzebującym, ciepłe słowa, by wspierać bezradnych, czułe wargi, by scałowywać płaczącym ich łzy.

Ówczesne kobiety były nie tylko od dziecka przygotowywane do takiego życia; nie wyobrażały sobie innego, a nawet jeśli miały takie marzenia, to nie wierzyły, że mogłyby się spełnić. Na weselach śpiewano Pannie Młodej: „Myślałaś Marysiu [Zosiu, Kasiu], że za chłopem dobrze. Za chłopem cza robić, aż sie skóra podrze”.

A bohaterka „Przeklętych” przestrzegała córkę: „Za wcześniej; nie ma co pchać się w dorosłość. Na to zawsze przyjdzie czas. I nie trzeba za bardzo wierzyć uczuciom. Miłość wymyślili pisarze, żeby mieć o czym książki układać. Naczytałaś się i myślisz, że w życiu jest tak, jak w powieści. Nieprawda. Życie kobiety upływa na ciągłym poświęcaniu się, na rezygnowaniu ze swoich ambicji na rzecz męża, dzieci. Dla nas małżeństwo jest niczym innym jak cierpieniem. Mężczyźni kierują się pożądaniem, a nam zostawiają rozsądek i godzenie się z rzeczywistością.”⁷⁷.

Ta rzeczywistość tużpowojenna powodowała jednak dynamiczne przemiany w mentalności i obyczajowości mieszkańców wsi. Szczególnie młodzież szybko zaczęła uczyć się nowych zachowań, przejmować nowoczesne tendencje i idee. Zmieniały się jej poglądy na życie, przekonania, obyczaje, moda; także ta dotycząca piosenek. Te tradycyjne, ludowe zastępowano nowymi pieśniami masowymi, propagowanymi w szkole, w radiu i w prasie. Śpiewano o odbudowie, o pracy, o sporcie, a niedługo potem do repertuaru dołączyły też inne, również zagraniczne utwory, jak „Asturia”, „Suliko”, „Bella, bella donna” czy „Sekwana”.

Ewa Matuszkiewicz pisze o młodzieży końca lat pięćdziesiątych: „To było pokolenie pieśni masowej, swojskiej ludowości oraz liryzmu „Jarzębiny czerwonej”, chociaż repertuar się zmieniał. Teraz jeśli dwie lub trzy dziewczyny chciały sobie pośpiewać na przerwie, to nie nuciły o dziewczęcych rękach

kach, które od rana mieszają wapno i piach, ale raczej o hoteliku pod różami lub o Malagenii”⁷⁸.

A wciąż trwał upalny lipiec – ten najbardziej charakterystyczny miesiąc lata. Na polach coraz więcej było kopek zboża, jeżących się ściernisk, pachnących ziół i motyli barwiących się nad łąkami. Utrudzeni rolnicy wracali z pól, by po całodziennym trudzie odpocząć w lekkim chłodzie wieczoru, ciągnącym od rzeczki. Było spokojnie, cicho, bezpiecznie. Poetka Urszula Koziół ślicznie ukazała taki, letni, leniwie płynący czas, „statyczną rozwlekłość letnich dni obręczanych metalicznie kosą, sierpem i potrąconym łańcuchem, a nade wszystko nie milknącym bzyczeniem owadów [...]”. Więc właśnie tak [...], tak powinno być zawsze.”⁷⁹.

Ale w przeszłości zdarzały się inne, niezwykle dramatyczne lipce, wciąż przypominane w opowieściach starszych mieszkańców wioski mojego dzieciństwa. Tak było np. w czasach strasznej zarazy, która zaatakowała naszą okolicę właśnie w lipcu.

W Bobrowej najgroźniejsza epidemia cholery miała miejsce w 1873 roku. Przejęci grozą mieszkańcy zaczęli mówić, że to na pewno kara Boża za rabację z 1846 roku, gdy w lutym zamordowano m.in. księdza Konstantego Kuźmickiego, który uciekł z klasztoru Bazylianów w Poczajowie przed prześladowaniem władz rosyjskich [nie chciał przejść na prawosławie] i zamieszkał na dworze Konopków w Nagoszynie jako nauczyciel ich syna. Zabił to wtedy też organistę i kościelnego.

Tuż po rabacji nastały ciężkie lata głodu. Ludzie zbierali w polach zioła i chwasty, które gotowali i jedli z ziemniakami. Na mleku zmieszonym z wodą warzyli zupę z lebiody i szczawiu. Właśnie w tym tak trudnym okresie nagle pojawiła się epidemia cholery. Pierwszy raz zaatakowała znienacka w czasie żniw. Gdy wydawało się, że nastąpiło przesilenie, powróciła znów jesienią.

Ta zakaźna choroba przewodu pokarmowego, wywoływana przez bakterie przecinkowca cholery rozprzestrzeniała się bardzo szybko przez skażoną wodę, pokarm i bezpośredni kontakt z chorymi. Objawiała się początkowo wymiotami i biegunką, a także bardzo silnymi bólami brzucha. Szybko następowało odwodnienie organizmu; skóra marszczyła się, rysy wyostbrały, a w zapadłych oczach widać było zbliżającą się śmierć.

Cholera pojawiła się w Polsce po raz pierwszy w czasie powstania listopadowego w 1830 roku za sprawą rosyjskich żołnierzy i szybko rozprzestrzeniła się po całej Europie. To właśnie na nią zmarł prawdopodobnie przebywający w Turcji Adam Mickiewicz. Ale i wcześniej nękały ludność naszych terenów różne wyniszczające epidemie.

Jedną z nich wspomina Zofia Kossak-Szczucka w powieści „Złota wolność”, której akcja toczy się na początku XVII wieku. W czasie wyprawy szlachcica Sebastiana Pielsza z Czarnego Potoku na zjazd szlachty w Hoszczy jeźdźcy

dotarli do Dębicy. „Tuż za Dębicą Sebastian i jego pachołcy wkroczyli w krainę objętą morem, co snadno poznali wjechawszy do wsi Lubczyń [Lubzina?]. Zaraz z kraju spotkali chatę o wrotach zamkniętych i oknach zabitych deskami. Naznaczony białym wapnem na deskach krzyż czynił z niej trumnę i grób zbiorowy zarazem. Ani nad jedną strzechą kurnych chat nie płątał się dym, a na wąskiej drodze leżała cisza martwa i nieznośna. Druga chata również była zabita na głucho i wapnem naznaczona, podobnie trzecia i czwarta. Stały szeregiem wzdłuż drogi, w milczeniu kryjąc straszliwą tajemnicę swego wnętrza. Zdradzał ją mdlący odór, okropny cuch śmierci, tamujący oddech w gardle [...]. Gdy wyjeżdżali z tej wsi zmarłej, wyszła z opłotków chuda, stara koza [...], koza nie dawała się odpędzić i biegła uparcie niby wiaduch – duch moru, becząc żałośnie i szyderczo zarazem. Kiedy wreszcie stracili ją z oczu, wstrzymali konie w polu, złani potem, żegnając się raz po raz”⁸⁰.

Ale początkiem najstraszliwszej epidemii na naszych terenach był właśnie lipiec 1873 roku. W niektórych wsiach, jak np. Jastrząbka, Róża czy Jaźwiny liczba zmarłych była przerażająca. Grzebano ich na wałach cmentarnych, jak to było w Straszęcinie, czy – częściej – na osobnych cmentarzach, z dala od siedlisk ludzkich. Taki cmentarz np. istniał jeszcze do drugiej wojny światowej między Różą a Jaźwinami, ale ponieważ coraz bardziej zarastał dzikim zielskiem, więc wreszcie został zaorany i zapomniany. Również czas zatarł ślady cmentarza cholerycznego na dębickich Błoniach. Stańko pisze: „Cmentarz choleryczny [...] znajdował się na Błoniach, od strony zachodniej, na niewielkim wzgórzu, tam gdzie obecnie znajduje się Zakład Wiertniczy. Jeszcze w latach sześćdziesiątych XX wieku znajdowała się tutaj stara, nadgryziona zębem czasu kapliczka, jako widomy znak i symbol tego cmentarza. W tym miejscu były również zarośnięte krzakami okopy osłaniające walczących żołnierzy Konfederacji Barskiej z Moskalami. Przed budową Zakładu Wiertniczego spychacz zasypał i wyrównał te ostatnie ślady przeszłości”⁸¹.

Groźną atmosferę strasznych dni zarazy w rodzinnej wsi na Kujawach tak wspominał pisarz Stanisław Przybyszewski urodzony w 1868 roku:

„Och, jak dobrze pamiętam to straszne, upalne, pożarne lato, mimo że miałem wtedy pięć lat...Całymi nocami włóczyły się po drogach procesje chłopów od wsi do wsi, a wystraszone dziecko budziło ze snu o litość skowyczące: „Święty Boże”, albo nad rozwartymi grobami krwawym szlochem wołające: „Witaj Królowo! Do Ciebie wołamy wygnańcy Ewy, jęcząc i płacząc”. Nie pomogły ni jęki, ni prośby, ni błagania; co dzień przeciągały przez moją wieś rodzinną wozy chłopskie z trumnami, skleconymi z desek, które na „cholerycznym cmentarzu”, tuż za wsią, wrzucano do wspólnych dołów [...]. Już na wiosnę porosła trawa na cholerycznym cmentarzu, rozpleniło się na nim najprzedniejsze zielsko, bo o ten cmentarz nie było komu dbać”⁸².

Podobnie było w Nagoszynie i w Bobrowej. Dzwony obwieszczały głuchymi uderzeniami coraz to nową, straszną śmierć. Cieśle spieszyli się z robieniem prostych trumien, rodziny nie nadążały wycierać łez, codziennie zabierano z chałup ciała zmarłych, które chowano szybko, posypując je wapnem i robiąc prowizoryczne groby z drewnianym krzyżykiem.

Od 9 lipca do 19 września w obu wsiach umarło 131 osób: małe dzieci, ludzie w sile wieku i starcy; niekiedy kilka osób z jednej rodziny. Pogrzebne wozy ciągnęły przez wieś, by złożyć umarłych na cmentarzyku, urządzonym daleko za zabudowaniami, zwanym później „cholerycznym”. Wśród kęp drzew i krzewów, porastających to miejsce, przerażeni, zrozpaczeni bobrowianie – ocierając łzy – grzebali umarłych i prędko wracali do domów, niepewni losu swojego i swych najbliższych.

Niekiedy, ogarniając ostatnim spojrzeniem smętny cmentarzyk, dostrzegali majaczącą w dali wieżę kościoła w Zawadzie, gdzie królowała Najświętsza Panna Maryja słynąca od lat licznymi cudami. Gdy zaraza wciąż zbierała swe straszne żniwo, w swej rozpacz i bezradności postanowili udać się z błaganem o ratunek właśnie do Matki Boskiej Zawadzkiej.

Jej kult – jako Wspomożycielki cierpiących – sięga niepamiętnych czasów. Cudowny obraz przywieziony do Zawady przez jednego z Ligęzów, początkowo był umieszczony w kapliczce zamkowej w parku, a później – już wstawiony licznymi uzdrowieniami – przeniesiony do obecnego kościoła.

Jak pisze ksiądz Paweł Nowak: „Ma on w sobie ogrom subtelności piękna: pociąga subtelnością spojrzeniem Bogarodzicy, że można się weń wpatrywać bez końca. Obraz nosi na sobie cechy i charakter obrazu Najświętszej Maryi Panny Śnieżnej, jaki znajduje się w Bazylice Matki Bożej Większej w Rzymie⁸³.”

I dziś słynie z łask, a liczne uzdrowienia i cuda sprawiają, że wciąż ściągają tu ludzie nie tylko z okolicy, ale nawet z dalekich stron. Toteż mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa przerażeni panującą cholerą właśnie w zawadzkim kościele postanowili szukać ostatecznego ratunku.

– Tylko tam nasza obrona; w cudownym obrazie! – stwierdzili zgodnie.

I wtedy jeden z gospodarzy, Michał Kołodziej, zebrawszy składkę na Mszę świętą przed cudownym obrazem, poprowadził mieszkańców wioski mojego dzieciństwa do Zawady. „Straszna choroba, czyniąca spustoszenie, przestała, ale niezupełnie. Udali się więc po raz drugi do cudownej Pani. Prośba wysłuchana – choroba całkowicie ustała. Mieszkańcy tejże wsi do dnia dzisiejszego mają gorące nabożeństwo do Matki Boskiej Zawadzkiej i chętnie spieszą do Jej Kościoła”⁸⁴.

Zaraza z 1874 roku dotknęła całą okolicę i wszędzie szukano pomocy i pociechy w modlitwie. W kościele Świętej Jadwigi w Dębicy po ustaniu epidemii ufundowano ołtarz jako wotum dziękczynne za wysłuchanie błagalnych modłów. Również w wielu okolicznych miejscowościach stawiano wtedy kaplicz-

ki i krzyże, upamiętniające tamte, tragiczne wydarzenia, a także pielgrzymowano do świętych miejsc, gdzie zanoszono modły za najbliższych.

Potwierdzają to też zapisy w księgach parafialnych zawadzkiego kościoła: „W roku 1874 grasowała cholera w gminie Bobrowa – umarło kilkadziesiąt osób. Michał K. lat 74 zebrał w gminie składkę na odprawienie Mszy świętej przed obrazem Matki Bożej Zawadzkiej. Na Mszę tę przybyli bobrowianie z procesją i cholera rzeczywiście trochę ustała. Przybyli więc po raz drugi i cholera zupełnie wygasła. Na stwierdzenie tego faktu ofiaruje Michał K. swoją przysięgę”⁸⁵.

Wydarzenia te zostały potwierdzone również w książce „Dębica. W Dębickiej Brygadzie Legionów”, której współautorem jest bobrowianin Eugeniusz Skowron. Cmentarz w Bobrowej, na którym pochowano 54 zmarłych na epidemię cholery, zachował się do dziś dzięki zabiegom Sławomira Słąby i Mieczysława Wójtowicza. Został odnowiony, a 11 lipca 1993 roku – w 120 rocznicę tamtych tragicznych dni – poświęcony przez księdza Kanonika Stanisława Kurczaba, proboszcza parafii Nagoszyn. Skowron pisze: „W pogodny, letni dzień z cmentarza cholerycznego w Bobrowej doskonale jest widoczna wieża zawadzkiego kościoła stojącego na wzgórzu, który to widok, jak wieść niesie, był natchnieniem bobrowian, że pomocy trzeba szukać przed cudownym obrazem w Zawadzie. Wydarzenie to miało miejsce w czasie od 10 lipca do 14 września 1873 roku, co zostało zapisane w księgach parafialnych parafii Nagoszyn [...]. Zmarło wówczas 54 osoby, w tym m.in. osiem osób płci męskiej z rodziny Skowronów”⁸⁶.

Cmentarz „choleryczny” rzeczywiście usytuowano w miejscu oddalonym od zagród chłopskich na granicy Bobrowej i Dębiny na grząskim, dzikim terenie. Dzięki temu, że przetrwał do naszych czasów jest cennym zabytkiem kultury cmentarnej i świadectwem tamtych, dramatycznych wydarzeń. W okolicy również znajduje się kilka takich miejsc. W Jodłowej zachował się cmentarz choleryczny z 1855 roku, w Braciejowej i w Stasiówce krzyże poświęcone zmarłym na cholere, w Pilźnie kapliczka słupowa na cmentarzu cholerycznym, upamiętniająca epidemię z lat 1848-1873, w Strzegonicach też kapliczka, a w Latoszynie na północnym stoku Palanej Gery, w miejscu dawnych pochówków ofiar zarazy z lat 1831 i 1855 – kapliczka i symboliczny grób.

Do dziś zachowała się tam też legenda o tym, że przed epidemią chodziła po wsi tajemnicza Czarna Pani prosząca o wsparcie. Do którego domu wstąpiła, tam wkrótce wybuchała zaraza przynosząca śmierć.

„Ginęły całe rodziny. Nie było nikogo, kto by pośpieszył z pomocą, kto by pochylił się nad chorym, kto by lekarstwo czy łyk wody podał, kto by wyszeptał modlitwę o lekkie skonanie, o światłość wiekuistą.

Matka pragnęła zwlec się z posłania do dziecka w kolebce, wołającego ratunku. Daremnie się szamotała, daremnie ciszyła – idę dziecię...idę dziecię... Cichł szept w męczarniach konającej.

Na drzwiach zamkniętych na skubel czernił się sadzą nasmarowany krzyż, znak, że śmierć zabrała wszystkich mieszkańców i że nie wolno progu przestąpić”⁸⁷.

W „Przewodniku po Parafii w Nagoszynie” czytamy, że zmarłych z Nagoszyna chowano na nieoznakowanym dziś miejscu pod lasem, przy drodze do Korzeniowa, a w książce „Ścieżki i drożyny Paszczyzny”, że cmentarzysko choleryczne ofiar tej epidemii – po którym nie ma dziś żadnego śladu – było też usytuowane na południowym stoku Królowej Góry; tam, gdzie w czasach drugiej wojny światowej składano ciała zamordowanych w pustkowskim obozie zagłady, przeznaczone do spalenia.

Przed zbliżaniem się do takich miejsc ludzie odczuwali lęk więc porastały zielskiem, krzakami głogu, tarniny, dzikiej róży, brzošek i olszyn samosiejek, a także kolczastych ostreżyn; w końcu zmieniały się nie do poznania.

Gdy po pielgrzymkach i modłach do Matki Bożej Zawadzkiej zaraza w Bobrowej i okolicy ustała, „wydarzenie to z 1874 roku uznane zostało przez Kościół za cud”⁸⁸. Od tamtego czasu w pierwszą niedzielę maja wędrują bobrowianie do Zawady, by pokłonić się Maryi i prosić o różne łaski.

W księgach parafialnych zawadzkiego kościoła znajdujemy wpisy bobrowian pielgrzymujących do Matki Bożej Zawadzkiej:

„Rok 1905

Jan Z. z Bobrowej z Nagoszyna [parafia]: „Dziękuję Matce Boskiej Zawadzkiej za to, że ile razy mieszkańcy uciekali się w jakiej potrzebie, dotyczącej całej gminy, jak w czasie posuchy, słyty lub zarazy i udali się w procesji do kościoła w Zawadzie do obrazu Matki Boskiej zawsze zostali wysłuchani, tak, że utarła się w okolicy opinia: „O! Bobrowianie idą do Matki Boskiej to będzie deszcz – będzie pogoda itd.”⁸⁹.

„Rok 1908

Karolina G. Lat 36 z Bobrowej z Nagoszyna:

Moja siostra Maria K. Od południa była w omdleniu i tylko mogła odmówić: „O Matko Boska Zawadzka ratuj mię”. Ja zaś odmawiałam do Matki Boskiej Zawadzkiej różaniec o zdrowie dla niej. Ta ucieczka do Matki Boskiej Zawadzkiej sprawiła, że zaraz przyszła do zdrowia”⁹⁰.

„Rok 1911

Katarzyna G. z Bobrowej z Nagoszyna: „Matka moja zaziębiła się i z tego wywiązała się puchlina. Ta choroba trwała cztery miesiące. Ja bez ratunku modliłam się do Matki Boskiej Zawadzkiej za przyczyną św. Andrzeja Boboli. Odprawiłam nowennę i dałam na Mszę świętą do Matki Boskiej Zawadzkiej. Kiedy ksiądz P.[ks. Błażej Potoczek] po raz drugi matkę moją zaopatrzył na śmierć – matka przyszła do zupełnego zdrowia, za co Matce Boskiej Zawadzkiej składam podziękowanie”⁹¹.

Rok nieoznaczony: „Franciszek P. z Bobrowej z Nagoszyna: Żona moja Katarzyna chorowała na rękę i nie mogła nią robić przez jeden rok. Skoro się tylko udała do Matki Boskiej Zawadzkiej ręka została uzdrowioną tak, że żadnej słabości nie czuła”⁹².

Jakże wymowne były te pielgrzymki z naszej parafii, które odbywały się corocznie w maju, ale też w lipcu na uroczystość Matki Bożej Szkaplerznej i we wrześniu na święto Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, zwane u nas Świętem Matki Boskiej Siewnej, święcono bowiem wtedy na uroczystej Sumie ziarna zbóż na nowy zasiew. Pątnikom przewodniczyli księża z Nagoszyna na czele z proboszczem; za nimi ciągnął długi korowód mężczyzn, kobiet i dzieci. Powiększał się ciągle, bo po drodze dołączali coraz to nowi pielgrzymi. Nikt nie narzekał na niewygody, upał czy niepogodę, bolące nogi, kurz czy błoto. Najczęściej zdejmowało się buty i przemierzało całą drogę boso, a otarcia i skaleczenia leczyło dopiero po powrocie do domu. Na brzegu Wiśłoki już czekał przewoźnik, który kilkakrotnie musiał przemierzać rzekę pełną uczestników pielgrzymki. W czasie drogi odmawiano różaniec i śpiewano wiele pięknych, starych pieśni, jak „Nie opuszczaj nas”, „Dziś od rana rozśpiewana chwał, o duszo, Maryje”, „Idźmy, tulmy się jak dziatki do serca Maryi Matki” itp. Niektóre z nich zostały już prawie całkiem zapomniane, jak ta o Matce Bożej Gidelskiej, której historię – bardzo ciekawą i bardzo nas intrygującą – znaleźmy z opowiadań naszych mam.

Otóż dawno, dawno temu pewien rolnik z wioski Gildy koło Częstochowy wyjechał na swe pole, żeby je zaorać. W pewnej chwili, zawsze dotąd posłuszne woły zaparły się nogami, następnie uklęknęły i za nic nie chciały ruszyć dalej, choć chłop nawoływał je, a nawet poganiał batogiem. Nagle zobaczył, że z wyoranej ziemi bije jakiś dziwny blask. Pochylił się i dostrzegł – małą jak dłoń – kamienną figurkę Najświętszej Maryi Panny. Bardzo się zdziwił, ale też ucieszył z takiego skarbu. Po kryjomu przyniósł ikonkę do domu i ukrył w skrzyni pod ubraniami myśląc, że może ją drogo sprzeda. Nie zważał na to, że świętość należało zanieść do kościoła. Wkrótce on i cała jego rodzina stracili wzrok. Pewna pobożna kobieta, która przyszła pomóc niewidomym, poczuła niezwykle zapach wydobywający się ze skrzyni. Zaintrygowana podniosła wieko i zobaczyła świętą figurkę otoczoną blaskiem. Powiadomiła zaraz księdza i wtedy ikonkę przeniesiono do kościoła. Tu obmyto ją z ziemi i kurzu, a w tej wodzie przetarli swe oczy – ów chłop i jego rodzina, którzy natychmiast odzyskali wzrok. Figurkę ustawiono w specjalnie przygotowanej kapliczce. Gdy dwa razy zniknęła i wracała na miejsce znalezienia rozumiano, że tam chce pozostać. Dlatego wybudowano tam nowy kościół i wykonano piękny ołtarz, w którym do dziś króluje.

Ta Najświętsza Pani Gidelska otaczana była od początku wielką czcią. Nazywano Ją Uzdrawicielką Chorych, bo – jak mówią ludzie doznający jej łask – gdy Matka Boska Częstochowska jest „lekarką dusz”, ta – jest „lekarką ciał”.

Idąc na pielgrzymkę do Zawady czy uczestnicząc w nabożeństwach majowych pod kapliczkami, śpiewaliśmy o tym cudzie, który zdarzył się dawno temu w Gildach:

„Najświętsza Panno Gidelska! Tyś jest Pani Archanielska!

Wielkieś cuda uczyniła, żeś się w roli objawiła.

Objawiłaś się wieśniakowi, pracowitemu rolnikowi,

Który orał w par bydłety i wyorał obraz święty.

Bydłeta gdy to ujrzały, na kolana pokłękały,

A on bije i katuje, jeszcze zabić obiecuje.

Obejrzał się w prawą stronę, ujrzał obraz i koronę

I sam ukląkł z uczciwością i podniósł obraz z radością.

I zaniósł go do swej skrzyni. Tam go nieszcześnie nie minie,

Za taką jego gospodę nawiedził go Bóg w chorobę [...].

Najświętsza Panno Gidelska! Tyś jest Pani Archanielska!

Nie opuszczaj nas w potrzebie, którzy wołamy do Ciebie”.

Słowa tej pieśni znaliśmy na pamięć nawet wtedy, gdy jeszcze nic nie wiedzieliśmy o Gidlach i prawdziwej historii owej świętej figurki. Przejmowały nas może dlatego, że były takie proste, przemawiające do uczuć i wyobraźni zwyczajnych ludzi, a nawet dzieci.

O popularności Matki Bożej Gidelskiej świadczyć może kapliczka stojąca na posesji rodziny Baranów w wiosce mojego dzieciństwa, w miejscu, gdzie wcześniej ta święta figurka była zawieszona na drzewie, przy którym okoliczni mieszkańcy odprawiali majowe nabożeństwa.

Do dzisiejszego dnia corocznie z nagoskiej parafii wędrują pielgrzymki do Zawadzkiej „Maryi Matki”, która słynie wciąż na całą okolicę z licznych łask i cudów. Przed zawadzkim kościołem wszyscy mogą zobaczyć gruby pień starej akacji, w którym tkwi artyleryjski pocisk. To pamiątka z czasów pierwszej wojny światowej, gdy Rosjanie prowadzili tu ostrzał. Pocisk wbił się w drzewo i nie eksplodował, ocalając w ten sposób ołtarz z cudownym obrazem. Księża, mieszkańcy Zawady, a także stacjonujący tam żołnierze węgiersko-austriaccy, bardzo zdziwieni tym faktem, uznali go za cud.

Inny – straszny lipiec – zapisany na zawsze w pamięci mieszkańców wioski mojego dzieciństwa – wiąże się z okresem drugiej wojny światowej. To czas pacyfikacji dwunastu okolicznych wsi, przeprowadzonej przez Niemców. Wcześniej tajni wywiadowcy obserwowali teren i zbierali informacje o żywej w naszej okolicy działalności partyzanckiej i antyhitlerowskiej.

Już w lutym 1943 roku został aresztowany Klemens Trojan, a także Andrzej Bonar [ojciec Romana] i Helena Bonar [żona Romana]. Po dramatycz-

nym procesie zostali w kwietniu rozstrzelani na dębickim cmentarzu i tam pochowani. W 1947 roku przeniesiono ich prochy do wspólnego grobu, który zdobi pomnik z kamiennym mieczem na szczycie.

Do Bobrowej hitlerowscy weszli wczesnym rankiem 9 lipca 1943 roku. Otoczyli cały teren, uniemożliwiając jakąkolwiek ucieczkę.

„W pacyfikacji bierze udział kilkuset żołnierzy SS z Pustkowa, gestapo i granatowa policja z Dębicy. Po szczelnym otoczeniu wsi wydzielone grupy SS i gestapo atakują granatami domy Bonarów, Cholewów, Mądrów i Jeńców. Serie karabinów maszynowych koszą wybiegających z płomieni. Inni żołdacy przeszukują w tym czasie dom po domu, wielu ludzi aresztują, wielu rozstrzelują na miejscu”⁹³.

Zginęło wtedy 16 osób.

Niemcy mordowali całe rodziny. Najpierw w domu Bonarów zabili trzech chroniących się tam, bezbronnych gwardzistów [po każdej akcji broń ukrywali w polach w dojrzewającym zbożu]: maturzystę dębickiego gimnazjum, działacza młodzieżowego – Romana Bonara, Jana Szafrąńskiego z Róży, Floriana Jedynaka z Brzeźnicy oraz rosyjskiego partyzanta Wiktora o nieustalonym nazwisku, potem na podwórzu domu Marię Mądro [żonę Jana, który zdążył uciec, ale po 3 dniach zginął w Przecławiu], następnie wrzucili przez okna granaty, które spowodowały pożar. Próbującą uciekać przez okno Antoninę Mądro – matkę Jana – Niemcy wepchnęli z powrotem do domu, gdzie zginęła w płomieniach wraz z sześciomiesięcznym wnukiem Adasiem [Danusi udało się uciec]. Zginęli też wówczas Piotr i Antonina Jeńcowie oraz Józef i Stanisław Mordyńscy. W domu Cholewów, mieszkających obok ludowca, w bliskim sąsiedztwie dziadków Mikołajka, zginęli: Michał i jego druga żona Karolina, dwaj synowie – Jan i Franciszek oraz służąca Maria Winsior [lub Misin] wysiedlona z ziem wschodnich. Przeżył wojnę Stanisław Cholewa przebywający wtedy na robotach przymusowych w Niemczech i Władysław, będący u krewnych. W tym strasznym dniu w Bobrowej aresztowano też 6 osób, a 36 wywieziono do Rzeszy.

Siostra Romana Bonara – Bronisława Świder, która była świadkiem tamtej pacyfikacji, wspomina:

„Siódmego lipca, gdy padały deszcze, wrócił z tułaczki Romek z Wiktorem [rosyjski partyzant], Jankiem Szafrąnskim i Florkiem Jedynakiem. Byli przemoknięci. Chcieli przesuszyć swoje ubrania i mieli pójść gdzieś dalej [...].

W deszczową noc z 7 na 8 lipca poszedł Wiktor spać z Romkiem i Jedynakiem na strych stajni [...]. Wieczorem przyszedł do nas sołtys Zięba na pogawędkę i w rozmowie z mężem przy kieliszku powiedział, że podobno jutro mają być w Bobrowej Niemcy, więc jak mamy coś do ukrycia, to żebyśmy schowali. Po tej rozmowie poszłam do stajni i powiedziałam chłopcom o tym [...]. Żeby mnie uspokoić, powiedzieli, że pójdą. Zasnęli jednak i nie odeszli.

Szarówką, 9 lipca, gdy wyszłam na podwórko, zauważyłam uzbrojonych niemieckich żołnierzy. Wróciłam zaraz do izby i powiedziałam mężowi o tym, co nam grozi i co się koło nas dzieje. Nie przypuszczałam, że Romek ze swoją grupą pozostał [...]. Wkrótce usłyszałam mocne uderzenie w drzwi i wołanie, żeby otworzyć. Mąż otworzył. Wszedł szef gestapo z tłumaczem i zażądał kluczy do opuszczonego domu ojca i do stajni [...]. Na żądanie gestapowców mąż odemknął dom i stajnię, wyprowadził ze stajni bydło, wyniósł z domu sprzęty, a ze stodoły wyciągnął maszyny rolnicze.

Potem szef gestapo wszedł na strych pustego domu i podpalił zapalką dach w tym miejscu, gdzie był połatany świeżą strzechą [...], a ci z obławy zapalili zapalającymi kulami stajnię. [...] Z palącej się stajni wyskoczył Florek Jedynak, którego szybko sięgnęła seria kul z karabinu maszynowego, po której mózg odpadł o jakieś pół metra od ciała [...].

Szef wezwał mnie, bym przyszła i rozpoznała zabitego [...]. Udawałam, że nie wiem, kto to jest [...]. Wkrótce po podpaleniu domu i stajni wyskoczył ze strychu, przez strzechę sąsiedniego domu Jagoński [łąčniczki Jadwigi Skowron], Jan Szafrński [...]. Gdy czołgał się po mokrym, powalonym życie, zauważyli go żołnierze z obławy i jeden z nich przyprowadził go pod dom Jana Skowrona [...]. Zapytali, jak się nazywa. Jak Janek podał swoje nazwisko, kazali mu odejść kilka kroków. Strzelili do niego i tak, zabity, zawisł na płocie.

Romka jednak nie mieli i nie byli pewni, czy zginął, czy żyje. Dlatego szef gestapo wezwał sąsiadów: Domaradzkiego Grzegorza i Skowrona Józefa, żeby wyciągnęli z palącej się stajni pozostałych. Wzięli więc osęki i wyciągnęli za pas popalonego trochę i zranionego Romka, z zaciągniętym na głowę sweterkiem [...]. Cierpiał wielki ból od poparzenia i prosił o rozstrzelanie i skrócenie jego męczarni [...]. Jak szef gestapo się dowiedział od niego, że jest Romanem Bonarem, kazał wykonać jego prośbę [...]. Banschutz [...] odwrócił głowę od cierpiącego Romka, żeby na niego nie patrzeć i strzelił do niego pierwszy raz, drżącą ręką. Usłyszał głos Romka: – Jeszcze nie.

Strzelił drugi raz, a po chwili usłyszał ten sam głos, ale trochę cichszy: – Jeszcze nie.

Strzelił więc trzeci raz i głos zamilkł. Ciało podskoczyło do góry i opadło na ziemię.

Potem sąsiedzi wyciągnęli z ognia Wiktora, ale już nieżywego [...]. Rozrywany granat położył kres jego życiu [...].

Po tym wszystkim przyszedł do mego domu szef gestapo i powiedział tak: – Twój dom miał być pierwszy zniszczony, bo pomagałaś partyzantom, ale co temu winne twoje dzieci? Nic cię nie uratowało, tylko one [...].

Pomordowane ofiary owinęliśmy w prześcieradła. Sąsiedzi wywieźli je wozem pod cmentarz w Nagoszynie i tam pochowali⁹⁴.

Świadkiem bobrowskiej pacyfikacji była również łączniczka GL – Agata Baran:

„Kiedy wstałam raniutko 9 lipca i popatrzyłam w okno, to zobaczyłam, jak Niemcy obstawili zabudowania Bonarów. Wiedziałam już, co się będzie działo [...]. Zobaczyłam, jak po splądrowaniu mieszkania Bonara, zostały podpalone jego zabudowania [...]. Widziałam, jak palą się budynki Jeńców [...]. Od „granatowego” dowiedzieliśmy się, że został zastrzelony Mordyński [Stanisław], jego wnuczek i biedny Francuz-zielarz, który chodził po polach i zbierał zioła [...]. Po rozstrzelaniu Mordyńskich zamordowano w pobliżu starych Jeńców – rodziców Marysi, żony Janka Mądro. Ktoś z obławy wrzucił do ich izby granat. Po jego wybuchu, płomień spalił w kołysce kilkumiesięcznego synka Marysi i Janka oraz jego dziadków. Spaliły się wszystkie zabudowania Jeńców” [...]. Później wypędzili nas z domów, zaprowadzili i wpakowali do stodoły Książków, blisko remizy. Ze stodoły tej puszczali potem starszych do domów, a nas, młodych, załadowali na trzy furmanki i powieźli do Dębicy, skąd mieliśmy jechać na roboty do Niemiec”⁹⁵.

Echa bobrowskiej pacyfikacji znajdujemy oczywiście w twórczości Miłojaka.

W opowiadaniu pt. „Garbaty generał” bohater wspomina:

„Którejś nocy obudziły mnie strzały. Na ścianach izby łamał się różowy blask – sąsiednie zagrody płonęły, dym sięgał niskich chmur. Rodzice ubierali się pośpiesznie. Ich twarze wyłaniały się z mroku i ginęły; wiatr kołysał płomieniem. Skoczyłem do drzwi.

– Gdzie, stój! – zawołał ojciec. – Pacyfikują.

– Uciekać trzeba – matka wciągała lewy but na prawą nogę.

– Którędy? Wieś na pewno obstawiona – ojciec odpędził mnie od drzwi.

– Może nie wszystkich, może tylko wybierają.

– A ty na co czekasz? – wycelowałem w niego palcem. – To przecież przez takich jak ty i nauczyciel dzisiaj mordują. Bić się trzeba – znów porwałem się do drzwi.

Pchnął mnie pod okno. Seria karabinu maszynowego wypłoszyła z chałupy Korzeniów tabun iskier”⁹⁶.

To straszne wydarzenie znalazło też odbicie w powieści „Tryptyk na śniegu”. Autor pisze, że atak na wieś był zupełnym zaskoczeniem. Najpierw mieszkańcy usłyszeli szum jadących aut, potem przerażeni patrzyli z ukrycia, przed czym domem się zatrzymają. Paweł z „Tryptyku...” wspomina:

„Zdawało mi się, że w szumie wiatru wyławiam równomierny warkot silnika. Na chwilę ścichł, pewnie zjeżdża ze wzniesienia mostu”⁹⁷. „Pochyłony biegłem w stronę drogi do Sławna [...]. Na zakręcie, obok Domu Ludowego, kontury ciężarówki; gasną niebieskawe światła. Szorstki odgłos butów po żwirze. Jeden z idących o głowę przerastał resztę. Cała grupa to pojawiała

się, to ginęła między chałupami. Kilkanaście metrów przed nimi zagroda Synaków. Ktoś wsypał – pomyślałem. Skuliłem się [...]. A w chałupie Synaków odbijał się na szybie wąziutki klin światła. Oni czekali, bo Benka już drugą noc nie było w domu. Usiadłem. Usłyszałem brzęk szkła, krzyżowały się światła latarek. Synaków wyprowadzali na dwór. Odbić, jak wyjadą ze wsi. Wszystkich [...]. Pędziłem, skacząc przez krzaki, przez żerdzie pastwiska. Nie biegłem po broń – uciekałem. Tam już strzelali. Padał deszcz [...]. Wziąłem karabin. Kiedy biegłem w smugach deszczu z powrotem, nie wiedziałem, czy to grzmi, czy strzelają [...]. W obejściu Synaków leżały trzy postacie. Ślizgając się po błocie biegłem, jakbym chciał dogonić to, co było. Samochód zniknął za wzniesieniem mostu [...]. Zbudzone psy rwały się na łańcuchach, wskakiwały na płoty [...]. Meldowałem Szaremu: czterech żandarmów, ośmiu z sonderdienstu i ośmiu granatowych. Piją teraz u Kulawca⁹⁸.

Oprócz wyżej wymienionych mieszkańców wioski mojego dzieciństwa zginęli też wtedy: Karol Bogdan, Władysław Kolis i Bolesław Skrzypek. Pełna lista osób bobrowskiej pacyfikacji została zamieszczona w „Przewodniku po Parafii w Nagoszynie”⁹⁹, a na nagoskim cmentarzu znajduje się tablica upamiętniająca ofiary pacyfikacji.

Jeden z zabitych bobrowian – Bolesław Skrzypek uratował wcześniej żydowską dziewczynkę Miriam Berger z Nagoszyna. Ocaloną z dębickiego getta przechowywał przez jakiś czas w specjalnym schowku pod żłobem w stajni u swoich rodziców. „Niemcy sprawdzali domy [...] w poszukiwaniu osób uznanych za wywrotowców. Przyszli między innymi po brata Bolesława Skrzypka [Pawła]. Ten zdołał uciec. Gonili go, a on wbiegł do stajni. Niemcy za nim, ale go nie znaleźli. Schował się w schowku pod żłobem [...]. Okupantowi jednak bez różnicy było, kogo rozstrzelają. Rozstrzelali wybawcę Miriam Berger – Bolesława”¹⁰⁰.

Ocalony cudem Paweł Skrzypek, tak wspominał ten straszny dzień:

„Jak była pacyfikacja wsi, to byłem w tym czasie u Piękosia [Józefa] w domu, na górze, i słyszałem, jak przyszli do jego izby Niemcy i pytali się, gdzie Skrzypek Paweł. Piękoś odpowiedział im, że gwarantuje, że Skrzypka tu nie ma. Pooglądali się po izbie i poszli do stajni, a potem do stodoły. Jak poszli z izby, tak ja zeskoczyłem z góry i chciałem się schować w piwnicy, która tam była pod piecem. Ale Piekośka zawołała do mnie z cicha: – Paweł, uciekaj, bo nas wystrzelają.

Tak ja znów na górę. Myślę: co robić? Patrę przez szpary między deskami; zobaczyłem, jak Kolisa i Cholewów prowadzili pod Prucnała [Edwarda]. Przyszło mi do głowy, że u Piękosia jest dołek w stajni na gnojówkę, i żeby się tam schować [...]. Stajnia była przybudowana do domu, to można było wejść jednymi drzwiami do izby, a drugimi do tej stajni [...]. Patrę – dołek jest mały, nie zmieszczę się [...]. Rozglądam się, a pod żłobem królicia ma wy-

dartą jamę. Tak ja poddałem tę jamę pod tym żłobem, wepchnąłem się tam, jak mogłem i zakryłem sianem.

Poczułem za chwilę, że ktoś wszedł do stajni i ciarki mi przeszły po całym ciele, bo myślałem, że to Niemcy. Ale to był Piękoś, który mnie lepiej przysypał i nie kazał wychodzić. Potem weszli do stajni granatowi i mówili: – Gdzie ten sukinsyn się schował?

Za chwilę znów przyszedł Piękoś i powiedział, że Bonary się palą [...], potem znów, że mojego brata Bolka zastrzelili [...].

Jak wyszli granatowi i trochę się uspokoiło [...], wymknąłem się do sąsiada Gila [Franciszka]. Tam się trochę umyłem, wypłukałem oczy z piasku i poszedłem oglądnąć zabitych pod Prucnałem. Zobaczyłem tam między zabitymi brata, któremu wyskoczył mózg¹⁰¹.

Wciąż płonęły domy pacyfikowanych rodzin. Przybyła na miejsce pożogi straż pożarna – w której m.in. był mój ojciec – mogła tylko oblewać sąsiednie budynki, zapobiegając rozprzestrzenianiu się ognia, ale pod groźbą śmierci nie było wolno udzielać żadnej pomocy skazanym na śmierć ofiarom. Dopiero po odjeździe Niemców pozwolono pochować zamordowanych. Mikołajek tak pisze o tamtych wydarzeniach:

„– Panie, my tu przysłani – grupka ludzi przystanęła na drodze. – Kazali sołtysowi, żeby zaraz wszystkich zakopać. Zobaczyłem kilku chłopów z łopatami. Jeden z nich wszedł na trzeszczący, powalony płot. Iwa leżała na trawie¹⁰².”

Narażając życie, przybył również na miejsce tragedii ksiądz Fijał, by udzielić ostatniej posługi zabitym i wesprzeć w bólu ocalałych.

Bronisław Harla wspomina: „Widziałem tych spalonych, gdy wieziono ich w opałce na cmentarz. Osobno głowa, osobno ręce, nogi...”

Resztę ludzi z całej wsi spędzili w jedno miejsce. Wydawało się, że wszystkich rozstrzelają. Jednak nie doszło do tego. Sprawdzili tylko wszystkim kenkary i dużo młodych, dziewczyn i chłopaków, wywieźli do Niemiec.¹⁰³

Obrazy tych wydarzeń aż do końca życia tkwiły w pamięci rodziców i wszystkich mieszkańców wioski mojego dzieciństwa jak krwawiąca rana. Jeden z bohaterów Mikołajka – Paweł mówi, że nie mógłby po wojnie wrócić do swojej wsi, bo „zostały tam trupy [...] przyjaciół i tej pierwszej dziewczyny¹⁰⁴.”

A Emil z „Sielanki” wspomina: „O zmierzchu zaczął padać deszcz. Szedłem do domu i bałem się tego deszczu. Seria [...] pacyfikacji w naszej okolicy nastąpiła właśnie w czasie deszczu. Ludzie dusili się w dymie. Później wszystko miało oczy plazmy. Patrząc na zatrute nocą kontury drzew i budynków, myślałem: – Wszystko stoi na krawędzi. Nawet ten kogut, co pieje. Obojętne, czy jest noc, czy dzień...”¹⁰⁵.

Próbowano dociec, kto zdradził. Zabiegał o to m.in. Władysław Węgrzyn, ale pozostały tylko domysły, że mógł to być jeden ze „swoich”, tajemnicza

„Masia”, mająca liczne kontakty z Niemcami, czy handlarz, który chodził po wsi i sprzedawał różne dewocjonaia. Był bardzo wścibski i o wszystko wypytywał, zwłaszcza dzieci. Nigdy jednak nie wykryto winnych.

Znamienną pamiątką przypominającą tamte tragiczne wydarzenia jest kapliczka stojąca dawniej w polu, dziś obok posesji Skowronów; prawdopodobnie postawili ją w 1880 roku Mądrawie, którzy zostali zamordowani właśnie w czasie pacyfikacji.

Taki sam tragiczny los jak Bobrowę dotknął też wiele okolicznych wiosek. Już 23 marca spacyfikowano Wiewiórkę, gdzie zginęło 23 mieszkańców, a 30 czerwca Brzeźnicę, gdzie zginęło 16 mieszkańców. W Zasowie Niemcy zamordowali rodzinę Kosińskich, a w Róży 10 osób, w tym rodzinę Józefa Erazmusa [ps. „Anheli”] – dowódcy plutonu AK placówki Zasów. Jego samego natomiast zabrali do więzienia w Tarnowie, mając nadzieję, że wskaże dowódców AK w obwodzie dębickim. Jednak, mimo straszliwych tortur, „Anheli” nikogo nie wydał, został więc zamęczony na śmierć.

Codziennie do mieszkańców wsi docierały zewsząd tragiczne wieści. Panował strach, bo prawie nie było w okolicy miejscowości, w której Niemcy nie dokonywałyby mordów na działaczach różnych organizacji podziemnych i na ludności cywilnej.

Leopold Harla pisze: „Cios jest straszliwy nie tylko dla Bobrowej, ale także dla całego okręgu PPR i GL. Śmierć tylu kierowniczych działaczy partyjnych połączona z falą bestialskich pacyfikacji toczącą się przez powiat powoduje, że działalność konspiracyjna lewicy społecznej i politycznej w Dębickiem wyrażnie słabnie”¹⁰⁶.

Ale życie musiało toczyć się dalej, musiały trwać lipcowe żniwa, zwózki, orki; mimo wciąż żywych ran nie umierała nadzieja i wiara w sens kontynuowania walki z okupantem.

„W połowie lipca pacyfikacje ustały. Ludzie odetchnęli. Żniwa. Sylwetki kosiarzy kołysały się na polach. Na zagonach zostawały szeregi snopów [...]. Wszystko wydawało się normalne. Czasem znikąca pojedyncza chałupa w płomieniach, zostawało czarne gniazdo wypalanej ziemi, ale obok dojrzewały owoce. Ciemność wieczoru wygładzała topole nad rzeką. Słychać było chichot zaczepianych dziewczyn. Chłopi po dawnemu zbierali się w rowie na wieczorną „politykę”. Nocą kłapały ich buty po drodze”¹⁰⁷.

Organizujący akcje odwetowe partyzanci – tak jak Cykaniec – coraz mocniej przeżywali dylematy dotyczące sensu i skutków swych działań:

„Tyleśmy dowojowali – myślałem. – Ilu tu idzie za jednego? Gdzie tylko gestapo doszuka się powiązania z Gwardią Ludową, pałą. Ludzi i zwierzęta budzi płomień”¹⁰⁸.

Jedną z takich akcji odwetowych opisuje Mikołajek właśnie w „Tryptyku na śniegu”:

„Nie wypoczęliśmy jednak tej nocy. Zbudziła nas strzelanina, niebo prawie do połowy zasłaniała luna.

– Alarm! – zawołałem. Rozespani chłopcy, klnąc, zakładali oporządzenie. Brnęliśmy przez głęboki śnieg, w ciemność. Wieś płonęła w odległości kilkunastu kilometrów. Byliśmy tam rano; kolumna samochodów, poprzedzona pancerkami, odjeżdżała. Na białym tle śniegu dopalały się zgliszcza. Wszędzie trupy: dorosłych, dzieci, zwierząt. Woń spalonego mięsa”¹⁰⁹.

Takich scen nie dało się zapomnieć. Lin mówi: „Nie pomogą żadne terminy, wyznaczane jako początek zapomnienia. Przeszłość, raz pomieszczona we mnie, zostanie. Przytłumią ją najwyżej nowe wrażenia, a płomień czy nadlatujący z przestrzeni warkot silnika zawsze obudzi we mnie sprężenie”¹¹⁰.

A w ogrodach oglądaliśmy istne szaleństwo malw, szaławii, słoneczników, floksów i lili! Chociaż noce dawały już trochę wytchnienia, a także wcześniej rano i wieczorem zawiewało od rzeczki lekkim chłodem, bo wiadomo „Od świętej Hanki zimne wieczory i ranki”, ale w dzień upał wciąż trwał. Na miedzach, obmytych rosą, rozkwitały dzikie dzwonki i drobniutkie, liliowe goździki. Na błękitnym niebie szybowały ptaki. Na polach wciąż widać było sylwetki pracujących żniwiarzy. Jak okiem sięgnąć złościły się ścierniska. I było dobrze, mądrze i pięknie. W tym ładzie i pięknie otaczającego nas świata czuliśmy obecność Boga.

Wciąż trwały niemiłosierne upały. Stare guzłaste dęby, rozłożyste lipy i klony, wysmukłe topole i kasztanowce proste jak świece, jesiony i kolczaste akacje pławiły się w gorącym słońcu. Dojrzałe lato skłaniało do odpoczynku w zielonym cieniu tych, tak licznie rosnących w wiosce mojego dzieciństwa drzew. Ale prace w polu trwały w najlepsze. Kontynuowano żniwa, zwożono zboże, pokładano rżyska, sadzono „korpiele” i siano poplony. Czerwonoczu-be koguty budziły gospodarzy już o świcie, piejąc donośnie na wiklinowych płotach. Kobiety zrywały się najwcześniej i zaplatając w pośpiechu warkocze, lub zwijając włosy w małe koczki na karku, wychodziły do codziennego obrządku pośpiewując Godzinki: „Witaj Panno nad panny, Gwiazdo Porankowa”. W sadach dojrzewały jabłka, gruszki i wczesne śliwki, w kępach krzaków rosnących wśród pól – dzikie, rajske jabłuszka i śliwki mirabelki. Każdy dzień był wypełniony pracą.

Mikołajkowy bohater Lin wspomina, jak ojciec, jego syn Krzysztof i ciotka robili przed stodołą powrósła:

„Usiadł pod okapem.

– Będziemy wiązać owies skoszony na pas – oznajmił Krzysztof [...]. Po obiedzie poszedł [...] z nimi do tego owsa przy większej z dwu rzek. Stajenie było duże, dobre pół morga, nieudany owies na pół z ostem. Ojciec zgarniał pomieć grabiami. Krzysztof wiązał, Lin pomagał im ospale [...]. Przechodząc do kolejnego snopka, widział nadrzeczne wikliny, dalej porośnięty drzewami drugi brzeg – obraz płynącej korytem wody podsuwała mu pamięć. Odwrócił się w drugą stronę, jak gdyby to mogło zabrać mu ten widok sprzed oczu. Nie był mu na nic potrzebny i nie chciał widzieć go tak samo, jak i stojącego nad rzeką borku, gdzie przed ćwierćwieczem piłował z chłopakami telefoniczne słupy [...]. Poznosili całość na jeden zagon i zestawili kopki.

– Idźcie się kąpać – powiedział ojciec. – Ja zgrabie po drodze konicz. Słońce zelżało, nie będzie się krzył”¹.

Dzieci wciąż korzystały z wakacyjnej wolności. Biegliśmy do ogródka, gdzie dojrzewały wygrzane słońcem czerwone owoce pomidorów. Ze smakiem miażdżyliśmy zębami czerwone, pachnące kule. Najlepiej smakowały przecież te rwane prosto z krzaka.

Kończono żniwa. Na polach w „pioskach”, w rędzinach i „za smugiem” stały całe rzędy kopek. Było jak w popularnych przysłowiacz, które można było od-
czytać z kalendarza wiszącego na ścianie w kuchni: „Na święty Gustaw [2 VIII] kopy w polu ustaw”, a „Na świętego Ludwika [25 VIII] zboże z pola znika”.

Trwały więc też zwózki. Drabiniaste wozy – bez zatylników – były długie. Przy umiejętnym układaniu snopów można było nałożyć ich na taki wóz bardzo dużo, nawet do wysokości trzech metrów. Zachowywał on stabilność nawet wtedy, gdy pokonywało się nierówne, polne drogi i wyboisty gościniec. Często w tych pracach uczestniczyły dzieci; trochę pomagając, a – przede wszystkim – mając frajdę z jazdy na kopiastym wozie. Zdarzały się niekiedy przykre wypadki, ale kto by na to zwracał uwagę? Przecież dzieci od małego przyzwyczajone były do pracy w gospodarstwie, a także do właściwego obchodzenia się z końmi i innymi zwierzętami domowymi.

Syn jednego z sąsiadów zawsze podczas zwózki kokosił się na drabiniasty wóz, bo bardzo lubił jeździć wysoko, na snopkach. Zatroskana mama przybiegła upomnieć go, żeby się mocno trzymał, bo może spaść na ziemię. A on na to: – Mamo, ja już jestem na ziemi, tu, po drugiej stronie. Bo właśnie zjechał na ściernisko kłując się i tłukąc niemiłosiernie. Ale, na szczęście nic się groźnego nie stało.

Po dotarciu na podwórze zrzucono snopy na boisko w stodole, a stamtąd przy pomocy długich wideł podawano do sąsieka, gdzie trzeba je było starannie ułożyć. W licznych gospodarstwach, gdzie nie było stodoł, robiono na podwórzu kopę, zwaną też „styrtom”, którą należało zabezpieczyć przed zamoknięciem odpowiednio ciasno „pasując” snopy i tworząc na czubku rodzaj słomianego dachu. W późniejszym okresie niektórzy rolnicy zwozili zboże na przyczepie traktora, pożyczonego z Kółka Rolniczego.

Mikołajek pisze: „Zwozili żyto. Krzysztof podawał snopy. Lin układał je w przyczepie, później wysoko ponad nią. Ojciec grabił kopiska, co chwila zerkając, czy syn nie „przewala” na jedną stronę. Na szerokich miedzach miały się pełne i puste furmanki, gdzieś dalej parkotały inne ciągniki. Słońce prażyło, a on pracował obłany potem, pokłuty słomą i ostem, z gardłem wysuszonym na wiór”².

Potem, będąc już „na podwórzu, ojciec wszedł po drabinie na przyczepę, strącając snopy na ziemię. Ciotka podrzucała je na boisko, Krzysztof podawał je Linowi, który układał tzw. „woszte”. Blisko ścianki kładł od razu, ale im dalej od klepiska, tym więcej musiał biegać po sprężystym pokładzie.

Pracowali w kurzu i dusznym upale, pod pachami występowały od ukłuć nieprzyjemne potówki”³.

„Obrócili tak kilka razy bez odpoczynku – pole było blisko – poganiani przez świadomość, że i ludzie na ciągnik czekają, i opłaca się od godziny. Słońce obniżyło się już znacznie, ale upał trwał niezmiennie”⁴.

Zaraz po zwózce rolnicy „pokładały ścirnie”, by zasiać poplony: peluszkę, łubin, wykę, „saladere”, rzepę, a także by posadzić „korpiele”. Bo ziemia musiała rodzić.

Zaczęła się też już złocić kukurydza i bujnie krzewić trawa, podsiana białą kończyną zwaną „konicem”. Idąc wśród pól, czuć było w nieruchomym powietrzu zapachy dojrzałego lata.

Lin lubił taką wieś. „Cieszył się [...] patrząc na wyostrzone słońcem lub zatarte cieniem kontury budynków i drzew. Na to pół leniwe, na wpół wrzące pośpiechem zwózki życie wsi, czując specjalny zlepek różnych woni”⁵.

W okresie wakacji, gdy dorośli byli zajęci przy żniwach, w wiosce mojego dzieciństwa – tak jak w wielu wsiach – funkcjonowało przedszkole, powstałe z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, które niektórzy nazywali dziecińcem. Było wielką pomocą dla rodziców, spędzających całe dnie na polach. Uczono nas tam wielu piosenek, wierszyków, czytano bajki, organizowano zabawy, z których wiele przetrwało do dziś, a także wycieczki po najbliższej okolicy. Zebrani w kole wokół przedszkolanki śpiewaliśmy, że „Po szerokim stawie pływają łabędzie”, że „Chodzi lisek koło drogi, nie ma ręki ani nogi”, że „Stoi różyczka w czerwonym wieńcu, my się kłaniamy jako księżęciu”, że „Stary niedźwiedź mocno śpi, jak się zbudzi, będzie zły”, że „Rolnik sam w dolinie”, a „Ojciec Wirgiliusz uczył dzieci swoje”, a także o ptaszku, który: „asa tadrasa usiadł na rynku w Krakowie”, o Murzynku malutkim, który „oczka ma błyszczące” i „kręć mu się włoski” oraz wiele, wiele innych. Bawiliśmy się w „kuciubabkę”, w „Zgaduj zgadula, gdzie moja złota kula”, w berka, w „zbijanego”, w „Ciepło-zimno”, „Lampa-nos”, „Moja Ulijanko klękni na kolanko” czy w „Koło młyńskie za te cztery reńskie”. Tańczyliśmy krakowiaczka, trojaczka czy walczyka podśpiewując: „Krakowiaczek cija”, „Zasiali górale owies”, czy „Zielony walczyk raz dwa trzy, kto go nie umie niech patrzy, a kto go umie niech tańczy, zielony walczyk raz dwa trzy”. Śpiewaliśmy też, że „karuzela czeka, wzywa nas z daleka”, choć nigdy dotąd nie widzieliśmy prawdziwej karuzeli. Więc pewnego razu – na wieść, że do Dębicy przyjechało „Wesołe miasteczko” – błagaliśmy rodziców, by nas tam jak najprędzej zawieźli. I było to dla nas wielkie przeżycie!

Czegóż tam nie było! Kiczowate, kolorowe strzelnice, gdzie dorośli mogli ustrzelić papierowy kwiatek, pokój krzywych luster, wykrzywiających twarze i deformujących śmiesznie nasze sylwetki, wielka wirująca karuzela sznurowa, na którą baliśmy się wejść, no i ta – wymarzona dla dzieci – z nisko

nad podłogą umocowanymi siedzeniami w kształcie koników, kogutów czy bryczek – krzykliwie pomalowanych, niemożliwie przepięknych. Karuzela szarpała, skrzypiała, kręciła się powoli, więc trudno było tu o jakiś zawrót głowy, ale nam szalenie się podobała. Na koniec, uszczęśliwieni zjadaliśmy pyszne lody w wafelkowej tutce lub kleistą chmurkę cukrowej waty i wracaliśmy szczęśliwi do domów, nie mogąc potem zasnąć od nadmiaru wrażeń.

Zajęcia przedszkolne odbywały się w ludowcu, ale gdy tylko nie padało, wychodziliśmy na pola i łąki, zbieraliśmy kwiatki, obserwowaliśmy barwne motyle, pracowite pszczoły, uczyliśmy się dostrzegania piękna rodzinnej wioski: obfitości roślin, barw, zapachów i dźwięków. Szukaliśmy czterolistnej koniczyny „na szczęście”, patrząc jak na zagonie bujnie rozkładała swe ozdobne liście w kształcie serca. Recytowaliśmy dziecięce wyliczanki kryjące w sobie niezrozumiałą tajemnicę: „ene due ruke fake torbes borbes ekses smakes deus deus kosmateus baks”, wyznaczające na przykład tego, kto miał gonić uciekających podczas zabawy w berka, lub stulając dłonie w kształt gniazdka śpiewaliśmy: „Czyżyku, czyżyku, ptaszku mój maleńki, czyś widział, czyś słyszał, jak sieją mak”, a potem naśladując mamy drobiące w palcach wysiewane warzywa, dodawaliśmy: „Oto tak, oto tak, tak sieją mak”.

W przedszkolu otrzymywaliśmy jakiś skromny posiłek, ale w południe niektórzy biegli do domu, by napić się mleka prosto od krowy.

Pewnego razu córeczka pani przedszkolanki przyniosła dorodny słoik zielonej, pięknie pachnącej i błyszczącej brylantyny. Niektóre kobiety wcierały ją we włosy, by pięknie lśniły. Zauroczone tym skarbem najpierw użyliśmy jej tylko troszkę, smarując głowy naszym lalkom, ale ponieważ była tak miła w dotyku, tak pachnąca i kusząca – wysmarowaliśmy całą zawartość słoika we włosy tej milutkiej koleżanki. Pani przedszkolanka na próżno próbowała zmyć całą tę tłustą mazię, która utrzymywała się na włosach jej córeczki przez kilka dni. Było dużo krzyku, płaczu, wstydu, a uraz do brylantyny pozostał mi na zawsze. Również niemile wspominają pewnie wszyscy ówcześni przedszkolacy ogromne łychy tranu, który co dzień nam serwowano w trosce o nasze zdrowie. Ale poza tym było bardzo miło i wesoło.

W letnie upały, kto tylko miał trochę wolnego czasu uciekał w cień drzew rosnących na podwórzach. Mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa nie lubili drzew wycinać nawet gdy były stare, koślawe, chore, zdziczałe, o powykręcanych konarach i chropawej korze; za to chętnie je sadzili – wieś tonęła w zieleni sadów i drzew rosnących wszędzie: na miedzach, na niezagospodarowanych skrawkach ziemi, nad rzeką, za rowem wzdłuż drogi, a przede wszystkim właśnie w przydomowych obejściach. Często widzieliśmy, jak sadzili drzewa ludzie starzy, którzy zdawali sobie sprawę, że już nie zobaczą ich, gdy będą duże, a jednak ta czynność była czymś naturalnym, co tkwiło w nich gdzieś głęboko i cieszyło oczy i serca. Siadali potem w chwili wypo-

czynku z „blaszockiem” wystudzonego w studni mleka na kocu lub na gołej trawie pod rozłożystą jabłonią czy gruszą, a słońce, przesączające się przez liście nie piekło już tak niemiłosiernie, dając trochę wytchnienia.

Przydomowe sady pełne były jabłoni, śliw, grusz, wiśni, czereśni i orzechów dojrzewających wśród głębokiej zieleni gałęzi, aż ciężkich od owoców, a każde drzewo miało swoją historię, znaną tym, którzy je sadzili i pielęgnowali. Ewa Ankwiczówna – bliska sercu Mickiewicza – wspominała z sentymentem sady w Podgrodziu: „Jakie wyborne gatunki owoców w tych sadach zielonych, co wieńcem opasują każdą chałupę”!⁶

Tak było i u nas.

Bo czegoż w tych naszych, bobrowskich sadach nie było! – wiśnie szklanki i łutówki, śliwki mirabelki, luboszki, damachy, renklody i ich odmiana – małe, wrześniowe uleny; najlepsze do suszenia, ciemnofioletowe węgierki – najpyszniejsze, gdy już przy ogonku zaczęły się marszczyć; świetne na powidła, czy liczne odmiany jabłek – od pysznych papierówek po późnojesienne złote i zielone renety. Przydomowe drzewa dostarczały mnóstwo wspaniałych owoców, chętnie spożywanych przez ludzi, a nawet bydło. Posadzonymi drzewkami troskliwie się opiekowano: spulchniano wokół ziemię, przywiązywano je do palików, podlewano, bielono, owijano na zimę dolne części pni, by nie obgryzły ich zające. Wszyscy niecierpliwie czekali aż młode drzewka zakwitną po raz pierwszy i po raz pierwszy wydadzą owoce.

Szkoda, że wiele tamtych dawnych, pysznych, aromatycznych odmian już nie istnieje, np. jabłka „margorzątki”; kto jeszcze dziś pamięta ich smak i zapach? Niezbyt okazałe na pierwszy rzut oka, z nieśmiałym pomarańczowym rumieńcem, były rozkoszą dla podniebienia, gdy objadałyśmy się nimi, buszując po rozległym, starym sadzie koleżanki Zosi.

Na naszym podwórzu, prócz wyjątkowo dorodnych i smakowitych papierówek, rosły rozłożyste jabłonie rodzące – niemal jak w „hesperyjskim” sadzie – „złote jabłka” na konfitury i na szarlotki, czyli na „jabkowce”, a także żółtozielone antonówki oraz późne, złote renety przechowywane wraz z olbrzymimi gruchami w skrzyni ze zbożem i będące nie lada przysmakiem w zimowe, mroźne dni.

U zaprzyjaźnionego sąsiada Józefa rosły nieznane z nazwy odmiany jabłoni, z których zrywaliśmy owoce duże, żółte z ciemnopopielatymi „pieprzykami”; bardzo soczyste i smakowite, i inne – podłużne, z czerwonym rumieńcem, w których dojrzałe, brązowe pestki grzechotały jak drobne kamyczki. Ojciec szczepił na starych jabłoniach nowe odmiany przywiezione z Zasowa, gdzie od dziewiętnastego wieku rozwijało się nowoczesne sadownictwo za sprawą właścicieli tej wsi – rodziny Łubieńskich. Szkoda, że „modny” w PRL-u dendrolog Szczepan Pieniążek – wprowadzając wzorem uczo-

nego radzieckiego Miczurina odmiany mrozoodporne; łatwe w pielęgnacji i bardzo plenne – przyczynił się do zaniku dawnych, smakowitych odmian.

W wyniku eksperymentu ojca, który jeździł w tej sprawie do znajomego sadownika z Zasowa, rosły na jednej z naszych jabłoni dwie różne odmiany jabłek, zaszczipionych na macierzystych konarach „dziczki”. Były świetne – niestety – z czasem trochę się „wyrodziły”, a kolejne powodzie zniszczyły stary pień, więc drzewo wycięto i spalono.

Prócz jabłoni bardzo popularne w wiosce mojego dzieciństwa były grusze. W przydomowych sadach rosło bardzo dużo różnych odmian tych drzew.

U cioci Staszki w ogródku przed domem królowała rozłożysta grusza o pięknej, kształtnej koronie rodząca dość małe, niepokazne owoce. Ale upieczone w „brandurze” miały niepowtarzalny smak i mnóstwo miodnej słodyczy, wyciekającej z pękających z gorąca gruszcerek. Po przeciwnej stronie drogi, u mojej koleżanki Celinki, strącałyśmy długimi drągami, zaopatrzonymi w zrobione z grubych gwoździ haczyki, pyszne „cukrówki” z czerwonym rumieńcem i dość niepokazne „szarówki” o twardej skórce, maślanym wnętrzu i fenomenalnym smaku, a u kolejnej koleżanki Ceśki – żółciutkie, mięciuchne „klapsy”.

Gdy nieraz siadałyśmy z Ceską na jej podwórzu pod ogromną gruszą, rosnącą obok stodoły i plotkowałyśmy o naszych dziewczyńskich sprawach, na nasz rozścielony koc, na trawę, a czasem na nasze głowy spadały dojrzałe, pękate gruchy, rozbijając się i odsłaniając smakowite wnętrza. Zjadałyśmy je natychmiast, rzucając na trawę maleńkie ogryzki. Wokół nich i gnijących resztek owoców brzęczał rój os, niegroźnych dla nas, bo zajętych wspianiął ucztą.

Nad naszymi głowami śmigały czarne jaskółki, których gniazda oblepiały ściany stodoły. Zbudowane zmyślnie z gliny zmieszanej z drobniutkimi żdziebełkami jakichś traw, skutecznie chroniły te – tak sympatyczne ptaki – przed słońcem i deszczem.

Niektóre drzewa rosły dziko: na opuszczonych podwórkach, na miedzach czy przy polnych ścieżkach. W wiosce mojego dzieciństwa pełno było np. wysmukłych polnych grusz o charakterystycznych, z daleka rozpoznawalnych kształtach. Przynosiły ulgę pracującym w upale rolnikom, szukającym odpoczynku, dając chłodny cień pod koroną liści. Pod koniec sierpnia spadały z nich maleńkie, twarde gruszczerki, które zalegały pod drzewami w ogromnych ilościach. Tam, w trawie przeobrażały się w pyszne ulęgałki, czyli „łolyżółki”. Stadium między dojrzałą twardością a rozmamlaną zgnilizną, gdy skórka już zbrązowiała, a miąższ ściemniał i stał się soczysty i miękki to była właśnie ulęgałka. Gruszczerki te nie należały do nikogo. Każdy mógł ich nazbierać, ile tylko chciał: do „podołka”, za koszulę, do koszyczka, a potem usiąść gdzieś na trawie w cieniu i jeść, jeść, jeść rozkoszując się wspianiałym smakiem i aromatem.

Antoni Stańko wspomina, że wycofujący się po bitwie na Kałużówce partyzanci; ranni, zmordowani i wygłodzeni, posilili się właśnie ulęgałkami: „Odpoczęliśmy opodal gruszy, pod którą leżało moc owoców. Jakkolwiek były dzikie, smakowały wybornie. Przybyło nam nowych sił do dalszej drogi”⁷.

„Łolyżółki” to jeden z niezapomnianych smaków dzieciństwa, tak jak smak śliwek węgierek, luboszek, a także agrestu i porzeczek jedzonych prosto z krzaka.

Za domem wujka Władka przy drodze na Zakęcie rosła też morwa przepięknej urody. Wśród jasnozielonych, dużych, pięknych liści dojrzewały fioletowe owoce, trochę przypominające jeżyny, lecz nie okrągłe a podłużne. Były delikatne, słodkie i takie „egzotyczne”. Przejrzałe, spadały gęsto, plamiąc trawę. Dziś morwy to drzewa również – niestety – zapomniane.

Choć owoców w sadach było zatrzęsienie, nigdy się nie marnowały. Skrętne bobrowskie gospodynie przerabiały je na dżemy, kompoty, powidła, wykorzystywały do pieczonych ciast, do chleba, jako farsz do pierogów czy naleśników. Pokrojone w cieniutkie plasterki i wysuszone jabłka i gruszki czekały na Wigilię, by stać się cudownie pachnącym kompotem, smakującym także później, w zimowe dni, gdy świeżych owoców zabrakło nawet w przepaścistej skrzyni.

Sposoby robienia przetworów w słoikach, przykrywanych szklanym wieczkiem, uszczelnionym specjalną gumką i metalowymi zaczepami, a przede wszystkim tajniki suszenia jabłek i gruszek były przekazywane z pokolenia na pokolenie. Słyszeły z nich od lat w całej okolicy właśnie bobrowianki.

Na kursach gotowania organizowanych przez Koło Gospodyń Wiejskich uczyły się m.in. robić różnorodne przetwory. Późnym latem i wczesną jesienią całą wieś przenikały cudne zapachy, płynące aż na gościniec, gdy w wielu domach przez kilka dni smażyły się śliwkowe powidła, zanim uzyskały właściwą gęstość, kolor, smak i aromat.

A sierpień grzał wciąż jeszcze mocno, ogniste słońce wypalało trawę, gościniec pokrywał szary, pylisty kurz, na rowach i nieużytkach bujały łopiany, osty, podbiały i pokrzywy. Na polach ścierniska ustępowały miejsca popłonom, bociany były coraz bardziej osowiałe, a w ogródkach żółkły liście ogórków i kapały na ziemię przejrzałe pomidory, wśród których koczowały ślimaki, schowane przed upałem w swych paskowanych muszelkach. Grządki były złote od aksamitek i nasturcji, przyciągających pszczoły i motyle, a wieczorami – gdy pyzaty księżyc zaczynał swą wędrówkę po niebie – dusząco i miodnie pachniała krzewiąca się pod oknami maciejka. Ukradkiem między złożonymi na kompost gałązkami zielska przemykał kolczasty jeż lub na nocną wyprawę wyruszał leniwie bury kocur sąsiadki. Burze, gnane gwałtownymi wiatrami, pojawiały się rzadko, siekąc deszczem spragnioną

ziemię, która przez chwilę oddychała dobroczynną wilgocią, choć wkrótce słońce wypijało do kropli każdą napotkaną kałużę.

Rolnicy – od zawsze zależni od kaprysów natury – nauczyli się żyć i radzić sobie nawet w najtrudniejszych warunkach. Nauczyli się trwać na swej ziemi, kaleczonej ostrzem lemiesza, by rodziła chleb powszedni, o który codziennie się modlili; niszczonej przez wojny i kataklizmy. Trwać tak, jak ich dawni przodkowie, nawet gdy dotykały ich wielkie dramaty związane z tragicznymi losami naszej ojczyzny. A było ich tak wiele!

W 1772 roku Prusy, Rosja i Austria dokonały pierwszego rozbioru Polski. Rozpoczął się przeszło stuletni okres niewoli. Galicja stała się wówczas częścią wielonarodowościowej monarchii austriackiej, na której czele stanął gubernator z siedzibą we Lwowie. Dębica utraciła prawa miejskie [do 1914 roku]. Okoliczne wioski ubożały. Rząd austriacki traktował Galicję jako korzystny nabytek i wykorzystywał do granic możliwości.

Edmund Galas pisze: „Bezwzględna eksploatacja kraju i przeszkody stawiane przez władze w jego rozwoju gospodarczym zaciążyły poważnie [...] na życiu ludności wiejskiej, na sytuacji gospodarczej dworu, na rozwoju miast i miasteczek”⁸.

Odczuli to również boleśnie ówcześni mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa.

„Chłop z okolic Dębicy, tak jak i w innych częściach kraju, przygnieciony ciężarami pańszczyźnianymi nie znał pojęcia ojczyzna. Wiedział tylko, że ma obowiązki wobec dworu i kościoła, które musi wypełniać, że każda armia, bez względu jaka ona jest, zabierać mu będzie zboże, siano, konie i bydło, że może zabrać mu syna do wojska”⁹.

Coraz trudniej było prosperować nawet dworom, a „przed chłopem galicyjskim [...] stało zawsze widmo głodu i nędzy, towarzyszące pańszczyźnianym ciężarom, daninom na rzecz kościoła i żdzierstwom austriackiej administracji”¹⁰.

Następowało też ciągle rozdrabnianie gospodarstw, czemu sprzyjał wysoki przyrost naturalny, który – mimo dużej śmiertelności – powiększał liczbę mieszkańców wiosek. Nieurodzajne, wyjałowione ziemie pokryte piaskami, bagnami i lasami dawały głodowe plony. Galicja była regionem najbardziej przeludnionym, o niezwykle rozdrobnionej szachownicy gruntów oraz najcięższej sytuacji chłopów. Mimo mozolnej pracy, ledwo mogli utrzymać swe rodziny. Na dodatek wprowadzono tzw. cła ochronne, które celowo podtrzymywały drożyznę wyrobów przemysłowych. W tych warunkach chłopci starali się szukać dodatkowych źródeł dochodu. Oprócz tradycyjnych zbóż uprawiano len, udający się na piaszczystych polach, co umożliwiała rozwój tkactwa. Także pojawiły się nowe rodzaje rzemiosł, m.in. garbarstwo i rymarstwo. W wioskach położonych nad Wisłoką rozwinęło się też – wspomiane już – koszykarstwo: „Półkoszki na wozy, kosze na ziemniaki i owoce, małe opałecz-

ki na mięso koszerne dla Żydów dostarczali chłopci na targi do Dębicy, Ropczyc i Radomyśla. W Bobrowej, Żyrakowie [...] rozwinęło się garncarstwo”¹¹.

Zbytne obciążenia wobec dworu sprawiały, że mnożyły się skargi chłopskie na dziedziców, a nawet zaczął pojawiać się bierny opór. Chłopci „odmawiali wykonywania powinności, zagarniali łąki i pastwiska dworskie, wypasali pola, karczowali lasy”¹². Zdarzały się wypadki kradzieży we dworach, ożenki w sąsiednich wsiach bez koniecznych zezwoleń dziedziców i inne niesubordynacje. „Nędzę chłopów [...] potęgowały klęski żywiołowe, które sprowadzały wiele nieszczęść na ludność. Najbardziej we znaki dały się chłopom wylewy Wisłoki”¹³.

„Takie wioski jak Chotowa, Lipiny, Grabiny, Bobrowa całe nieraz były zatopione wodą [...]. Powódzie łączyły się zazwyczaj z mokrymi, nieurodzajnymi latami, z gradobiciem a więc z głodem i pomorem [...]. W następstwie tego w 1776 roku przyszedł straszny głód dla całej Galicji [...]. W latach 1775-80, 87, 89 i 90 miały miejsce wylewy, gradobicie, ciężkie zimy, a w związku z tym głód”¹⁴.

Wisłoka i okoliczne rzeki wylewały prawie corocznie. Gwałtowne powo-
dzie z 1812, 1813, 1827, 1831, 1840, 1845, 1846, czy 1848 roku były prawdziwymi katastrofami. Oprócz powozi, gradobicia czy klęsk nieurodzaju plagą nękającą wsie były groźne pożary, przemarsze różnych wojsk, a wreszcie rebelia chłopstwa z 1846 roku.

W 1809 roku w czasie trwania wojen napoleońskich w Przecławiu sześć tygodni stacjonowali żołnierze arcyksięcia Ferdynanda ciągnącego przeciw Józefowi Poniatowskiemu. „Rozzuchwaleni żołnierze wyprawiali się do okolicznych wiosek, grabiąc żywność i wszelki dobytek”¹⁵.

Początek XIX wieku – znaczony nie tylko groźnymi podwoziami i klęskami nieurodzaju, przynoszącymi głód, ale też epidemiami cholery – był dla mieszkańców naszych terenów czasem niezwykle tragicznym. Pod austriackim zaborem Galicja była przysłowiową krainą nędzy, ciemnoty i zacofania.

„W warunkach głodu, nędzy chłopskiej, związanej z ogólnym stanem gospodarki na wsi i klęskami żywiołowymi – wzrastała wśród chłopów świadomość konieczności walki z dworem”¹⁶.

Właśnie wówczas zaczęły na naszych terenach powstawać różne organizacje, wzywające do buntu przeciw uciskowi zaborców i obszarników. W okolicy działał m.in. konspirator i agitator Julian Goslar, który był postacią bardzo popularną, cieszącą się dużym autorytetem. Napisał odezwę nawołującą do zrzućcia pańszczyzny i do walki z zaborcą, uczestniczył w przygotowywaniu powstania w 1946 roku, a także był jednym z organizatorów akcji wstrzemięźliwości w rejonie dębickim. Podobno odwiedzał też wioskę mojego dzieciństwa.

Ledopold Harla pisze: „Między innymi miało to miejsce w Bobrowej nad Wisłoką. We wsi tej pastuchem gromadzkim był niejaki Piecuch, cieszący się szacunkiem wśród chłopów. Do niego to przychodził w 1844 roku Goslar”¹⁷.

Harla twierdzi, że – działając przez jakiś czas w Bobrowej – przyczynił się on do budzenia świadomości chłopskiej, że to pod jego wpływem „od tego czasu chłopci rozpoczęli bojkot miejscowych karczem, a więcej zaczęli myśleć o przyszłości”¹⁸.

Te wydarzenia znalazły odbicie we wspomnieniach pamiętnikarza i malarza pierwszej połowy XIX wieku Franciszka Ksawerego Preka.

Pisał on: „W okolicy Przeclawia w cyrkule tarnowskim zjawił się prorok, chłop, który mówił, że objawili mu się aniołowie i zapowiedzieli koniec świata za siedem lat, przyjście Antychrysta koleją żelazną, a szczególnie też najokropniejsze kary na tych, co wódkę piją [...]. O niczym nie słyhać między chłopami jak o proroku i jego przepowiedniach. O kilka i kilkanaście mil wokoło wysyłają do niego wsie deputacje, które, wróciwszy, najdziwniejsze roznoszą baśnie. Oto jakąś Żydówka urodzić ma Mesjasza, to znów gdzieś rozbito kufę z wódką, w której znalazły się same żmije i węże. Jeden chłop w swoim sąsiedztwie zwariował z desperacji, bo mu prorok powiedział, że ma diabła w sobie. Przepowiada on wkrótce czarne grady, pioruny padające na tych, co wódkę piją [...]. Lud nie poznaje się na tym i tak mu wierzy, że człowiek ten ma dzisiaj może największą władzę moralną nad masami [...]. Głównym tematem tej wariacji jest wstrzemięźliwość od wódki jako trunku piekielnego; całe wsie zupełnie nie piją, a Żydzi trzymający arendy chodzą jak struci, cena też w tej okolicy spadła zupełnie, nawet nie ma kupca na nią”¹⁹.

Przypis do tej historii wyjaśnia jej związek z postacią Goslara: „Jest to opis konkretnego wydarzenia, mającego dość bogatą literaturę roku 1846 [...]. Wojciech Piecuch, niezamożny chłop z Podola koło Przeclawia, lat około 35, troje dzieci, był pastuchem bydła gromadzkiego w Bobrowej pod Dębicą, które wypasał nad Wisłoką. Jemu to pod postacią anioła, wśród krzaków, miał się ukazywać Julian Goslar, wygłaszając umoralniające przemówienia, proroctwa, ukazując jakieś wizje. Piecuch przejął się tymi naukami, wpadł w trans, z przejęciem głosił, co widział – a chodziło głównie o odciągnięcie chłopów od pijaństwa. Poczuli zjeżdżać słuchacze z okolic, a w efekcie karczmy opustoszały. Po 1846 roku Piecuch stał się zaborcy niewygodny, aresztowany, przesłuchiwany w Tarnowie, zaprzestał uprawiania swego kaznodziejstwa, właściwie nie wiadomo, co się z nim stało”²⁰.

A może osiedlił się w Bobrowej, a wśród licznych mieszkańców wioski, noszących dzisiaj takie nazwisko, są potomkowie tamtego Piecucha?

Przytaczane już wcześniej powiedzenie mówi, że w każdej legendzie tkwi ponoć ziarenko prawdy. Wiadomo, że Goslar wędrował po okolicy, prowadząc działalność agitacyjną, że bywał m.in. w Gumniskach, w Pustkowie

i Brzeźnicy, gdzie rozdawał ulotki uświadamiające chłopów. To najpewniej stamtąd, przemierzywszy mały laszek zwany Borkiem, przeprawił się przez Wisłokę na bobrowski brzeg. Mógł to zrobić nawet wpław – było przecież lato – lub korzystając z popularnej krypy, która zawsze czekała na brzegu. Następnie przez nadrzeczne wiklinowe zarośla wyszedł na puste pola, ciągnące się aż do oddalonych o około dwa kilometry zabudowań Bobrowej, gdzie gromadzkie krowy wypasał właśnie ów Piecuch. Dla zaskoczonego chłopca, wyłaniająca się nagle z gęstwy krzaków postać, mogła się wydać widmem czy nawet wysłańcem niebios. Zdziwienie, zaskoczenie, strach i inne emocje, towarzyszące temu spotkaniu, uczyniły je nie lada sensacją. Oszołomiony, podekscytowany chłop chciał zapewne nadać jeszcze więcej niezwykłości temu wydarzeniu, ubarwiając swą relację, która – przekazywana ustnie – urosła do rangi cudu. Mogło tak być, ale o ileż piękniejsza jest legenda. Niech więc dalej trwa!

W okolicznych miejscowościach działali też inni znani konspiratorzy, m. in. Edward Dembowski czy Franciszek Wiesiołowski. Przygotowywali oni zbrojne wystąpienie przeciwko zaborcom, a narady spiskowców odbywały się m.in. w Dęborzynie, Łękach, Zasowie, a także we dworze Ankwiczów w Machowej. Podczas przygotowań do tego powstania – zwanego krakowskim – przywódcy obiecywali chłopom biorącym w nim udział ziemię i zwolnienie z pańszczyzny. Wówczas, zaniepokojone austriackie władze przekonały chłopów do zwrócenia się przeciw szlachcie, która miała być odpowiedzialna za brak jakichkolwiek zmian na wsi oraz do zbojkotowania „szlacheckiego” powstania. Rząd obiecał rebeliantom bezkarność oraz zapłatę 10 złotych reńskich za zabitego, 5 za ранnego i 2 – za żywego powstańca.

Rabacja, na czele której stanął chłop ze Smarżowej – Jakub Szela trwała około dwu tygodni i była wielką tragedią dla wszystkich. Rozwścieczeni chłopcy grabili dwory i mordowali ich właścicieli, mszcząc się za doznane krzywdy i za pańszczyznę.

Władysław Strumski – będąc członkiem zgrupowania partyzanckiego na Kałużówce, gdzie miała miejsce największa bitwa akowców na naszym terenie w ramach akcji „Burza” – pisał: „Kałużówka – taką nazwę nosiło to słynne wzgórze. Słynne, bo rósł tutaj ogromny dąb, pod którym według miejscowej legendy Jakub Szela podczas rabacji chłopskiej panów sądził i na śmierć skazywał”²¹.

O początku rabacji tak pisze dyrektor dębickiego muzeum Jacek Dymitrowski:

„Pierwszymi ofiarami rabacji byli przedstawiciele rodziny Boguszków z Siedlisk, z którymi Szela procesował się przez długie lata. Zostali zamordowani 18 lutego na drodze do Pilzna, kiedy udawali się na miejsce koncentracji oddziałów powstańczych. Było to sygnałem do chłopskiej czerniawy, której oddziały uderzyły na szlacheckie dwory”²².

„W Dębickiem doszło najwcześniej do wystąpień chłopskich [...]. Już dnia 19 lutego chłopci napadają na dwór w Wiewiórcie, tegoż dnia na dwór w Głowaczowej i Jastrzębce”²³. Miejscem chłopskich ataków były też „okolice Czarnej, Zasowa, Jastrzębki, aż po Bobrową i Nagoszyn. Charakterystycznym jest to, że wystąpiły tu miejscowe gromady przeciw dworom, a nie obce grupy, jak to miało miejsce w innych okolicach”²⁴.

„W dniu 19 II chłopci napadają na pozostałe dwory w rejonie czarneńsko-zasowskim. W tej okolicy nie uratował się ani jeden dwór. Równocześnie chłopci z Przyborowia i Grabin przechodzą przez Wisłokę do sąsiednich wsi tj. Lato-szyna i Podgrodzia, zaś chłopci z Bobrowej i Korzeniowa do Pustkowa i Brzeźnicy. Po drugiej stronie Wisłoki w dniu 19 lutego doszło do napadów na dwory w Podgrodziu, Latooszynie, Wolicy Gawrzyłowskiej oraz w samej Dębicy. W Dębicy zginął w tym samym dniu hrabia Rej Dominik właściciel Przyborowia”²⁵.

Krwawe wydarzenia, jakie rozegrały się w wiosce mojego dzieciństwa, tak przedstawił Leopold Harla:

„W Bobrowej zawrzało. Miejscowi chłopci razem z przybyszami z sąsiednich wsi ruszyli na dwór, ale panowie wcześniej zwąchali niebezpieczeństwo i zdążyli czmychnąć. Nie zdążył tylko ekonom Dymiński. Śmierć dosięgła go w dworskiej komnacie, gdzie próbował się schronić. Tłum splądrował wszelkie dworskie zabudowania. Zabrano, co tylko się dało. Bardziej energiczni pociągęli na sąsiednie dwory”²⁶.

W większości wsi cała ludność brała udział w pogromie, często też chłopci z jednej wsi byli wspomagani przez mieszkańców sąsiednich wiosek.

„Czerniawy” – bandy chłopskie dochodziły do 500-600 osób”[...]. Aby nie być rozpoznanym, zatrzeć ślady i zapewnić sobie własność zabranych ze dworu rzeczy sąsiednie gromady umawiały się co do napadu na dwory położone w ich wioskach [...]. W ślad za obcymi szli dopiero miejscowi ludzie i dokonywali rabunków”²⁷.

W okolicy wioski mojego dzieciństwa najwięcej było ofiar w Zasowie, gdzie zabito 18 osób, w Wiewiórcie 12, w Dębicy 10, w Pilźnie i w Dobrkowie 8, w Głowaczowej i Żdżarach 5, w Woli Żyrakowskiej 2, w Róży, Przerytym Borze, Straszęcinie i Korzeniowie po 1.

„Samo przeprowadzenie napadu na dwór odbywało się w ten sposób, że po ogłoszeniu alarmu przez warty czy poścążników z sąsiednich wsi, chłopci wychodzili na miejsca zbiórki, maszerując na dwór. We dworze przeprowadzali rewizję. W czasie rewizji do budynków dworskich wchodziła większa grupa ludzi i zaczynało się wywracanie przedmiotów, zabieranie pieniędzy. Poszukujący broni wiązali właścicieli, ekonomów, urzędników, przy czym często podburzony tłum rzucał się na związanych i bił ich [...]. W czasie najścia na dwór, gdy jedni dokonywali rewizji za bronią i aresztowań, inni wyprawiali bydło z obór, konie, odbijali spichlerze, zabierali zboże, słomę

ze stert, narzędzia, odbijali kopce z ziemniakami – rozbijali gorzelnie, a po doszczętnym ograbieniu dworu zabierali się do wycinania lasów [...]. Często po zakończeniu akcji w jednym dworze chłopci szli do następnej miejscowości, gdzie biciem w dzwony wzywali miejscowych ludzi do akcji [...]. Chłopi zmuszali wszystkich do wychodzenia i brania udziału w napadach. Opornych zmuszano kijami względnie wymówkami, że pewno z panami trzymają, a więc należy się im to samo co panom”²⁸. Często „parobcy i służebne wskazywały ukrytych panów, rozprawiali się z nimi, wskazywali schowki dworskie, oddawali klucze do magazynów i spichrzy, wspólnie z chłopami rozbierali majątek dworski”²⁹.

Niekiedy nawet „powtarzano najścia na dwory już raz splądrowane”³⁰. Ogółem podczas rabacji zniszczono ponad 470 dworów i zamordowano około dwu tysięcy osób.

W tych strasznych dniach – jak dalej pisze Leopold Harla: „Chłopi zwrócili się nie tylko przeciw dworom, ale również plebaniom i duchowieństwu [...]. W Dębickiem zostało zabitych dwóch księży; jeden w Dobrkowie, drugi w Nagoszynie. Poza tymi dwoma wypadkami, chłopci dokonali najść na kilkanaście kościołów i plebanii [...], takich najść na plebanie i kościoły było w tej okolicy około 15”³¹.

Wikary z Nagoszyna pisał do konsystorza, że tylko dzięki nieobecności księdza proboszcza, chłopci nie zabili i jego: „Niektóre rzeczy jak książki, ubranie sami do kościoła znieśli z największym zgorszeniem tu między siebie podzielili, tego przyczyną i całego zaburzenia był Józef Macoń, tutejszy parafianin. Gdyby [proboszcz] wtedy był w domu, byłby na części rozsiekany [...]. Zabili zaś z kościelnych osób organistę, z księży zakonnika”³².

Ten zakonnik – jak czytamy w „Przewodniku po Parafii w Nagoszynie” – to wspomniany już ksiądz Konstanty Koźmicki, czterdziestoletni zakonnik greko-katolicki, bazylianin, który uciekł przed rosyjskimi prześladowaniami z klasztoru w Poczajowie. Właściciele dworu w Nagoszynie Konopkowie przyjęli go do siebie jako nauczyciela ich syna. W dniu napaści Konopkowie wyjechali gdzieś w sprawach urzędowych, a żądni zemsty chłopci nie tylko splądrowali dwór i kościół; również „zamordowali kapłana, a oprócz tego Michała Skowrona – organistę i Franciszka Trafsera – kościelnego. Ich pogrzeb odbył się 1 marca 1846 roku. W tym samym czasie śmierć poniósł także Roman Dziesielewski – pisarz z Bobrowej i Jan Mittner – aktuariusz”³³.

Po tych wydarzeniach głośno mówiło się o klątwie, która przepowiadała, że ziemia zbroczona krwią zabitego kapłana nigdy nie wyda z siebie księdza. I tak rzeczywiście było w nagoskiej parafii aż do 1 maja 1939 roku, kiedy to został wyświęcony kapucyn Władysław Łanucha, syn Stanisława Łanuchy z Nagoszyna i Marii Kieraś z Mokrego. Władysław Łanucha jako chłopiec wychowywał się w Nagoszynie, chociaż urodził się w Stanach Zjednoczonych.

W sumie w Nagoszynie zabito siedem osób; we dworze, na plebanii i w leśniczówce. Niektórzy kapłani zdołali się wówczas uratować tylko dzięki pomocy parafian. Tak było np. w Paszczynie, gdzie jeden z mieszkańców ukrył księdza z Lubziny w beczce.

W Bobrowej – tak jak w okolicy – rabacja przyniosła tragiczne skutki; splądrowano dwór, stajnie, zrabowano majątki. Na szczęście właściciele uciekli przebrani za chłopów, co nie było takie łatwe. Wszędzie patrzono, czy pojmani mają spracowane ręce. Jeśli nie – okrutnie ich mordowano. W majątku Ankwiczków w Zasowie i w Machowej „obok zwykłego rabunku i zniszczeń chłopci rozjuszeni – i skrycie kierowani przez zaborcę – wymordowali nawet służbę”³⁴.

Na zasowskim cmentarzu spoczywa prawdopodobnie ponad 30 osób, które zginęły w czasie rabacji w majątku Kuczkowskich.

Henrieta Ankwicz – Kuczkowska pisała: „Mnie się zdaje, że już żaden majątek w Galicji tak nie ucierpiał: zabili ludzi co do jednego, co tylko do dworu należało, nawet ogrodników, choć to chłopcy z tej samej wsi. Rozbili browar [...], do szczytu oranżerie, całkiem oficyny zniszczyli [...]. Inwentarz: owce, krowy, konie, robocze woły wyróżnili lub rozkradli”³⁵.

Także niezwykle tragiczne były losy rodziny Reyów. Jeden z nich – Dominik z Przecławia, zakupił majątek w Przyborowiu, gdzie go zastała rabacja. Tamte dramatyczne wydarzenia opisał w pamiętniku jego syn – Mieczysław:

„Nadszedł fatalny rok 1846”³⁶.

„Jakoś w trzy dni przed wyjazdem naszym z Przyborowia, przybył ksiądz Mikiewicz, proboszcz ze Straszęcina, z alarmem, że wszędzie burzą się chłopcy i odgrażają rzezią panom-Polakom. Ojciec mój nie bardzo wierzył [...]. Wieczorem tenże ksiądz Mikiewicz doniósł, że w Głowaczowej napadnięto na dwór pana Wolskiego, tenże bronił się, ale przez okno zastrzelono mu żonę i uciekł w lasy po odparciu napadu [...]. Dzień też przedtem kilku mieszczan przybyło z Przecławia, z przestrożą, że gotuje się zawierucha chłopstwa [...]. Rano dnia 21 lutego zjawił się oficer z Dębicy i namówił rodziców, byśmy się puścili w drogę ku Lwowu, mówiąc, że wszystko jest spokojnie od Dębicy, ale odradza siedzenia w domu [...]. Ruszyliśmy przez Latoszyn ku Dębicy [...]. Przybyliśmy nad Wisłokę [...]. Na rzece w łodzi były dziury, więc trzeba było wypręgać konie, przetaczać powozy z ludźmi, a konie przeprowadzać pojedynczo, co dużo czasu zabrało. W Latoszynie wyszedł do nas właściciel jego Aleksy Morski i mówił, że u niego wszystko dotąd spokojnie. Ruszyliśmy dalej. Przez folwark szła droga ku gościńcowi. Jadąc nią, widzieliśmy, jak gościńcem biegają chłopcy [...] od karczmy, aby zabiec nam drogę [...]. Wtedy ostatni raz ujrzałem ojca [...]. Wrzask chłopstwa prowadzącego nas ku karczmie był ogłuszający [...]. Doprowadzono nas do karczmy, wyciągnięto z powozu i wprowadzono do wielkiej szynkowej izby zapchanej chłopstwem, wrzeszczącym i gestykulującym”³⁷.

Razem z rodziną Reyów jechał francuski guwerner. „Po jakimś czasie wrzasku i pijatyki dwóch chłopów chwyciło Francuza za związane ręce i wlokło go za karczmę pod okno, przy którym siedzieliśmy. Rzucono go na ziemię, a cała gromada zdziczałych istot jąta walić w niego, czym kto miał w rękach cepami i kłonicami. Straszna ta młócka jakby na boisku, trwała okrutnie długo, aż pokrwawione ciało zostało bez życia. Tłum dziki wlał się znowu do izby a twarze te były straszne”³⁸.

Mieczysław Rey wspomina dalej, jak bał się wraz z bratem, gdy pijany, rozwścieczony tłum nie mógł się zdecydować, czy ich – jeszcze dzieci – zabić, czy przekazać władzom austriackim. W tej sprawie posłano umyślnego do Pilzna, który nakazał uwolnić małych więźniów.

„Z rozkazu cesarskiego magistratu w Pilźnie ruszyli wraz z nami ku Dębicy przez lassek [...]. Matkę znalazłem w oberży Langerera dom na prawo, gdy się wyjeżdża z rynku w stronę Lwowa [...]. Ulice i rynek dębicki pełne były zbrojnego chłopstwa i mieszczan [...]. O szczegółach zamordowania ojca, dowiedziałem się później. Rodzice, przybywszy do Dębicy, stanęli koło oberży przed mostem i stamtąd posyłał ojciec parlamentariuszy do Latoszyna, aby się układali z chłopami o wydanie dzieci [...]. Gdy się lud zgromadził w znacznej liczbie, a szczególnie mieszczanie Dębicy napadli ojca, matkę broniącą go uderzył ktoś kłonicą tak silnie w ramię, że upadła, zaś ojca porwano i zamordowano na moście czy pod mostem. Karetę rozbito i konie zabrano. Nie pamiętam jakim sposobem mama z dziećmi i babcią Ankwiczową dostała się do oberży Langerera. Ojciec odżył w nocy. Zwłókł się i na raczkach posuwając, doszedł do domu doktora Grossera Żyda, naszego domowego lekarza i ten umieścił go w swej izbie”³⁹.

Podobno właśnie ten Żyd, by uniknąć spłaty 300 dukatów, które przed kilku dnami pożyczył od Dominika, zdradził go. „Chłopi wpadli tam i dobili mało co żywego w łóżku [...], a jeden ze zbójów przebił go na wylot widłami [...]. W niedzielę poszła mama rano do kościoła, a wracając, przeczytała rozlepione na ścianie ogłoszenie od starostwa [...], że od dnia dzisiejszego rząd zakazuje już zabijać szlachtę, Polaków, a jedynie dozwala rabować jeszcze dwa dni dwory szlacheckie”⁴⁰.

Dominika Reya pochowano na Starym Cmentarzu w Dębicy, a cały majątek Reyów w ciągu tych krwawych dni został rozgrabiony; wnętrza pałacu w Przyborowie zdewastowano i splądrowano.

Wkrótce krwawe wydarzenia ustały, „Szela został [...] internowany, a następnie otrzymał gospodarstwo na Bukowinie z dożywotnim zakazem powrotu do Galicji [...]. Wnuk Jakuba Szeli powrócił do Polski i osiedlił się w Dębicy”⁴¹.

Mimo zakończenia rabacji opór chłopów, którzy nie chcieli powrócić do odrabiania pańszczyzny, wciąż trwał. Władze austriackie zaczęły nawet

wysyłać wojsko do pacyfikowania wsi; wzywano do spokoju, ustanawiano komisarzy, odbierano zrabowane mienie dworskie, aresztowano opornych, ustalano kary dla przywódców.

„Porządek przywrócony siłą wojskową nie był jednak na tym terenie trwały. W końcu kwietnia i na początku maja po odejściu wojska z poszczególnych wsi, chłopci ponownie odmówili pracy pańszczyźnianej, domagali się zapłaty za robocizny już wykonane. Zdarzały się pożary budynków dworskich [...]. Chłopi wypowiadali się z żalem, że nie zabili wszystkich dziedziców [Jastrząbka, Róża, Bobrowa]”⁴². I mimo nawoływań starostów i biskupów do opamiętania i do zgody, a także mimo trwających represji – wciąż buntowali się przeciw władzy. W Wiewiórcie nawet doszło do starć chłopów z wojskiem; wszędzie też odmawiano zwrócenia zrabowanych dóbr, które ukrywano, a żywy inwentarz zabijano i zjadano.

Do ugody wzywały nie tylko władze, ale także księża i ocaleni dziedzice, którzy organizowali nawet misje mające przywrócić społeczny ład. „Misje organizowano z inicjatywy właścicieli. Stefania Konopkova – właścicielka Nagoszyna organizowała misje w swoich i w okolicznych wsiach”⁴³.

Ale nawet te zabiegi nie pomagały i bunt chłopów trwał jeszcze prawie przez cały rok, co miało tragiczne konsekwencje: „Tak w 1846 roku jak też w 1847 roku pańskie zboże gniło na polu, gdyż chłopci nie chcieli pracować ani za pańszczyznę, ani za pieniądze. Wskutek nieurodzajów chłopci też zebrali bardzo małe zbiory”⁴⁴.

„W niedzielę 22 lutego, już po rabacji, w katedrze tarnowskiej zostało odprawione żałobne nabożeństwo w intencji pomordowanych, przy pełnej po brzegi świątyni”⁴⁵.

Joanna Lubieniecka – dziedziczka z Lipin jako wotum za uratowanie życia ofiarowała swój majątek karmelitom, którzy do dziś mają tam swój klasztor, stawiano wotywnie krzyże i kapliczki, ofiarowywano duże kwoty na Msze żałobne i dziękczynne.

Ale przyszłość jawiła się w czarnych barwach. „Tego fatalnego roku ziemie były nieobsiane i nieobsadzone, nie wydały więc plonów. Powszechny głód i epidemia cholery zdziesiątkowały ludność Galicji. Wszędzie na polach i rowach czerniały trupy – konających z głodu i cholery ludzi”⁴⁶.

Powszechnie uważano to za karę Bożą. I znów wznoszono modły, stawiano nowe świątki, odprawiano błagalne procesje. Ale straszliwe piętno i bolesna rana owych „krwawych zapustów” została w pamięci jej uczestników już na zawsze. O tamtych okrutnych czasach przypominają m.in. figura Chrystusa Frasobliwego między Słotową a Strzegocicami upamiętniająca tragiczną śmierć sędziego, który schował się przed chłopami w spróchniałej wierzbie, ale ci znaleźli go, zawlekli do pobliskiej karczmy i tam zabili, a także krzyż stojący obok starej, drewnianej karczmy w Róży na mogile kryjącej ciała 14

osób, okrutnie pociętych piłami, czy pomnik nagrobny w kącie cmentarza w Gumniskach. Ten ostatni to smutna pamiątka po wydarzeniach z 21 lutego 1846 roku, gdy grupa kilkudziesięciu chłopów uzbrojonych w cepy, widły, kosy i pałki napadła na dwór w Głobikowej, należący do Konstantego Słotwińskiego – wielce zasłużonego Polaka, dyrektora wydawnictwa „Ossolineum”, działacza politycznego i społecznego, zwolennika uwłaszczenia; co – niestety – nie uratowało mu życia.

Leopold Harla pisze, że po zakończonej rabacji dwór w Bobrowej pozostał jeszcze na długo, lecz chłopci nie wrócili już do pańszczyzny.[...] Nastąpił wielki głód⁴⁷.

Zaraza i głód powodowały wielką śmiertelność wśród dorosłych i dzieci. Edmund Galas podaje, że z powodu głodu i chorób w parafii Nagoszyn w roku 1845 zmarło 1556 osób, a w roku 1848-1530 osób, a Jerzy Fierich – wśród poddębickich miejscowości, w których umierało wówczas z głodu najwięcej osób wymienia: Nagawczynę, Wolice, Borowę, Jażwiny i wioskę mojego dzieciństwa.

„Ludzie jedli perz, lebiodę, koński szczaw, pokrzywy, a nawet korzenie. W Bobrowej gotowano to wszystko na mleku, w Nagoszynie kiszono w garnku jak kapustę i gotowano. Głód dokuczał i kmieciom⁴⁸.

Dwa lata po powstaniu Szeli wybuchła Wiosna Ludów, w której również brali udział obywatele Galicji, m.in. ówczesny właściciel Przecławia – Władysław Rey. Ponoć po jego powrocie urządzono bal, na którym chłopci – niedawni uczestnicy rabacji – klęcząc i płacząc prosili o przebaczenie przybyłych tam ocalonych panów i „rabacyjne” wdowy: „przebaczone sobie wszystkie krzywdy wzajemne, przyrzekając nadal żyć w przyjaźni i zgodzie, a pracować wspólnie nad przyszłością narodu⁴⁹.

Ale nieszczęścia wciąż nie omijały nadwiślocznych wsi. „Rozdrobnienie gruntów, przeludnienie, nieumiejętność uprawy roli, zaniedbana gospodarka chłopska jako wynik przeciążenia chłopów pracą pańszczyźnianą, rozpijaniami ich przez karczmarzy, a wreszcie nieurodzaje i klęski żywiołowe sprowadziły na wieś nędzę i głód, a w ślad za tym zarazy⁵⁰. Trwający wciąż opór chłopów spowodował jednak w końcu zniesienie od maja 1848 roku pańszczyzny w całej Galicji, a więc i na naszych terenach. Wciąż jednak pozostawała nierozstrzygnięta sprawa serwitutów czyli: tzw. służebności, przysługujących chłopom na pastwiskach i w lasach. „Wkrótce stały się one przedmiotem nowych sporów między dworem a wsią, a wyroki, jakie zapadały, były niemal wyłącznie z korzyścią dla dworu. Chłop nadal przegrywał, a zarzewie buntu i niezgody było podsycane przez rząd austriacki⁵¹.

W latach 1860-1870 w Bobrowej [wraz z Dębiną] było 180 gospodarstw, w których żyło 810 mieszkańców [nie licząc dworu]. Majątki dworskie obej-

mowały 991 mórg ziemi; w tym 750 mórg upraw, 103 – pastwisk i 24 – lasów, a chłopskie – 1431 mórg ziemi.

Kolejne powstania narodowowyzwoleńcze kończyły się klęską. Kraj wciąż pozostawał rozdarty między trzech zaborców. Ale nieustępliwość chłopów, ich determinacja w walce o lepsze warunki życia, a także przemiany cywilizacyjne sprawiły, że w drugiej połowie XIX wieku rozpoczął się nowy okres w życiu wsi.

Stańko pisze: „Autonomia, którą Galicja otrzymała w latach 1867-73 przyniosła przebudowę ustroju politycznego [...]. Dębica znalazła się w granicach powiatu ropczyckiego [...]. Również w okolicznych wsiach zaczynają się pojawiać pierwsze oznaki postępu społecznego [...]. Tam, gdzie znaleziono pomoc i dobrą wolę ze strony właścicieli majątków, a takich było coraz więcej, zaczęto budować szkoły [...]. Młodzież uczyła się również rzemiosła”⁵².

Również Leopold Harla podkreśla, że „w okresie powułaszczeniowym zaznacza się pewien postęp w warunkach życia na wsi, poziomie gospodarowania, w technice rolnej, w świadomości społecznej mieszkańców”⁵³.

Ten postęp był widoczny także w wiosce mojego dzieciństwa: „W 1884 roku w czynie społecznym wybudowano pierwszą we wsi drewnianą szkołę, aby dzieci mogły pobierać nauki na miejscu i nie musiały uczęszczać do sąsiedniego Nagoszyna”⁵⁴.

Zaczęły też powstawać na wsiach spichrze zbożowe, zwane „zsypowymi”, gminne kasy pożyczkowe, zespoły straży pożarnej. „W Bobrowej i Dębnie mieszkańcy zbudowali w latach 1860-1866 spichlerze zbożowe. Zboże ze spichlerzów wypożyczano na przednówku biedniejszemu, chroniąc ich w ten sposób przed lichwiarzami”⁵⁵. To zboże było także zabezpieczeniem na wypadek powodzi, które ciągle niszczyły plony.

Powoli kształtował się też samorząd chłopski. W „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas” czytamy, że „w karczmie w Bobrowej od początku powstania samorządów czyli po 1856 roku [po rabacji, do roku 1873] urzędował wójt Stanisław Majka razem z radą gminną. Wtedy to wójta obierała okrzykiem gromada i oddawała mu oznakę władzy na nieoznaczoną ilość lat”⁵⁶.

Ale mimo zachodzących przemian, mimo uwłaszczenia i pewnych zdobyczy cywilizacyjnych wciąż mieszkańców wioski mojego dzieciństwa – tak jak całej Galicji – trapiła bieda, panoszyła się wciąż ciemnota i głód. Oczywiście nie wszyscy chłopi jednakowo odczuwali skutki tej trudnej sytuacji.

„Jeszcze w dziewiętnastowiecznych księgach metrykalnych znajdujemy rozróżnienie czterech warstw społecznych na wsi: kmieci [...], zagrodników [...], chałupników [...] i komorników [...]. O różnicach między tymi warstwami stanowił cenzus majątkowy”⁵⁷.

Niestety, w Bobrowej niewielu było kmieci, za to najwięcej chłopów ubogich: chałupników i komorników. Dlatego – zwłaszcza, gdy „ulewa smagała

srebrnym swym biczem wiosenne zasiewy, a ziemia w łzach zaledwie wydała słomę, a plewy”⁵⁸ – głód wciąż dawał się mocno we znaki; zdarzały się nawet przypadki śmierci głodowej. Mielono perz i robiono z niego placki, zioła i chwasty mieszano z mlekiem i gotowano, tworząc namiastkę zupy, jedzono podgniłe ziemniaki i brukiew. Najgorsze były przednówki. Brakowało zboża na chleb i na zasiew. Zachowało się wiele relacji opowiadających o tych tragicznych czasach głodu.

Oto kilka z nich:

„Mało kto mógł dociągnąć do nowego, wszyscy prawie musieli jedzenia dokupywać, a wszyscy nie mieli za co. Podmokłe, zapuszczone, źle uprawiane grunta rodziły też jak najgorzej. Ścierniska, nietknięte pługiem, leżały od zniw do jesieni. Pasiono na nich bydło, a przed siewem orano bardzo często na „razówkę”, w wąskie i głębokie zagony. W bruzdach, szczególnie w czasie lat mokrych, stała woda po kolana [...]. Zasadzone w taką ziemię marne łupiny ziemniaków ginęły pośród chwastów, a zasiany owies lub jęczmień, nigdy nie wychodził „z portek”. Nie lepiej było ze zbożem ozimym, w którym znajdowało się wiele rozmaitych chwastów, tak że chleb z niego wyglądał jak kawał próchnicy. A ponadto był on rzadkim gościem w domu [...]. Jedzenie zaś to zwykle czerwony, żytni barszcz bez omasty lub też okraszony olejem, parę drobnutkich ziemniaków, o które się biła między sobą głodująca rodzina. Zwykle bowiem chowano je do kopca na sadzenie i grubo przykrywano ziemią, by się nikt nie mógł do nich dostać. To zaś, co zostało, było traktowane jak największy przysmak”⁵⁹.

Józef Nocek urodzony w Jodłowej w 1880 roku pisał o swych rodzicach: „Straszna klęska głodowa w roku 1847 tak ich srodze dotknęła, że dziś jeszcze moja matka zrywa się nieraz ze snu z jękiem, przerażona widmem głodu, jako przypomnieniem owych lat strasznych”⁶⁰.

A wspominany już Stanisław Sikoń z Wielkiej Wsi wspominał: „Po roku 1908, nieurodzajnym, był na wiosnę wielki przednówek. Mówiono, że gdy kwitnie bób, to największy głód, a jak kwitnie mak, to już były nowe ziemniaki. Patrzono, kiedy żyto zapłonieje, szukano najźralszego żyta gdzieś na pagórku w gliniastej ziemi, aby kilka snopków żyta użąć sierpem na nowy chleb [...]. Omłócono 10-15 snopków, namłóciło się 7-8 garncy żyta miękkiego jak rozwarzony pęczak. Gdy było słońce to na płachtach się to żyto suszyło [...]. Zaraz się żyto miało w żarnach [...]. Mąkę przesiewano przez przetaćczek i zaraz rozczyňniano ciasto”⁶¹.

Klęskę głodu potęgowały nie tylko częste powodzie, ale też susze, które na przemian z mokrymi latami nękały ludność naszych terenów.

Oto relacja Martina Pollaka:

„Latem 1889 roku Galicję nawiedza prawdziwie biblijna susza. Na rozległych połaciach kraju nie pada od wielu tygodni, ziemia pęka, tworząc głę-

bokie szczeliny, wiatr wzbija tumany kurzu nad polami, wywiewa dojrzałe ziarno z łądyg, w strumieniach i studniach nie ma już wody, pożółkła przedwcześnie trawa spala się w żarzącym słońcu [...]. Okresy suszy w Galicji nie należą do rzadkości, ale takiej katastrofy nikt tu nie pamięta. Starsi ludzie, jak to zazwyczaj bywa podczas klęski naturalnej, powiadają, że czegoś takiego ani oni sami, ani ich rodzice czy nawet dziadkowie nigdy jeszcze nie doświadczyli, nikt w ogóle tego nie widział. W kronikach kościelnych brak jakiegokolwiek wzmianki o podobnej karze boskiej. Szczególnie daje się we znaki brak paszy dla zwierząt. Brakuje owsa, siana, buraków, ziemniaków, chłopci nie mają niczego. Kiedy zaczyna się zima, wielu z nich nie pozostaje nic innego, jak pozbyć się trzody, bo kończy się pasza. Stodoły i szopy są puste. Handlarze krążą od wsi do wsi i za śmieszłą cenę skupują bydło od zrozpaczonych chłopów”⁶².

Wtedy to rozpoczyna się na naszych terenach pierwsza wielka fala emigracji zarobkowej – za morze. Rodzi się z największej biedy, z beznadziei i desperacji, gdy wciąż dzielone na liczne potomstwo „szerokie jak pasek od spodni” poletka, na których trudno nawrócić pługiem, nie dają żadnej nadziei normalnego życia.

„Brak przemysłu, który mógłby wchłonąć narastający z każdym rokiem nadmiar siły roboczej, wysokie zaporowe podatki oraz opłaty na rzecz państwa i związane z tym zadłużenie małych, beznadziejnie przestarzałych gospodarstw chłopskich dopełniają tego ponurego obrazu”⁶³.

Uzyskane za sprzedaż zboża czy domowych zwierząt austriackie pieniądze: korony, reńskie, halerze czy szóstki nie zawsze wystarczały nawet na opłacenie podatków. Chłop prawie nie posiadał żadnej gotówki na swoje potrzeby, a ślad po owych pieniądzach zachował się jedynie w dziecięcej pio-sence: „Koło młyńskie za te cztery reńskie”.

Koniecznych pożyczek udzielają chętnie Żydzi; niekiedy na lichwiarskie procenty, co budzi niechęć i wrogość, a w konsekwencji nastroje antysemickie. W niektórych wsiach z pomocą chłopom przychodzą panowie, jak to miało miejsce np. w Zasowie, gdzie Łubieńscy tworzyli podwaliny pod nowoczesne szkolnictwo, dając tamtejszym mieszkańcom możliwość dodatkowego zarobku. Ale to są wyjątki. Agitatorzy pojawiający się w wioskach tworzą miraż emigracyjnego raj. Wielu więc wyprzedaje resztki dobytku i zdaje się na niepewny los.

Pollak pisze: „Chłopci odczuwają niewiarygodny głód ziemi, co z czasem staje się motorem emigracji”⁶⁴. Wyjeżdżając, pozostawiają ziemię i gospodarstwa swym najbliższym, a potem – gdy los się do nich uśmiechnie – przysyłają dolary poprawiające status ich rodzin.

Na przełomie wieków sytuacja galicyjskich wsi trochę się zmienia dzięki otwarciu połączeń kolejowych przez Dębicę; najpierw w 1858 roku z Wied-

nia do Lwowa, a w 1896 – do Mielca i Tarnobrzega. Wpływa to na ożywienie gospodarcze regionu, wzrost znaczenia Dębicy jako ośrodka przemysłowo-handlowego, powstanie nowych urzędów, instytucji, sklepów. Wielkie zasługi dla tamtej Dębicy położyli mieszkający tu wielcy społecznicy dążący do rozwoju, unowocześnienia i upiększenia miasta: wieloletni burmistrz Henryk Zauderer, adwokat Sydon Fiedberg czy notariusz Kazimierz Wilusz, którego willa przy ulicy Rzeszowskiej [wówczas Mickiewicza] w czasach jego dzieciństwa została zamieniona na Notariat i Urząd Stanu Cywilnego. Na początku XX wieku zaczęło działalność dębickie gimnazjum umożliwiające zdobywanie wykształcenia przez okoliczną młodzież, a także różnego rodzaju instytucje, jak Poczta, Sąd Powiatowy, Urząd Skarbowy, Składnica Kółek Rolniczych czy Towarzystwo Wzajemnego Kredytu.

„W okolicznych wsiach są zakładane filie tych instytucji i sklepy organizowane przez chłopów w postaci kółek rolniczych, zaopatrywane przez Dębicę w potrzebne towary. Rolnik, który korzystał z kredytu niskoprocentowego i mógł kupować towary we własnych sklepach na wsi, zaczynał doceniać pracę społeczną i chętnie sam w niej brał udział”⁶⁵.

W wielu poddębickich wsiach powstają wiejskie sklepy, mieszkańcy zaczynają też korzystać z dogodnych spółdzielczych kredytów, umożliwiających rozwój gospodarstw. Bobrowianie żywo uczestniczą w tych przemianach. Pomocą służy im m.in. znany w regionie działacz chłopski – Michał Jedynak z Paszczyny.

Jak wspomina Maria Włodarska „potrafił on żyć z chłopami nawet z dalszych wsi – Bobrowej, Nagoszyna i jak szli [...] do powiatu, do Ropczyc, to wstępowali do Jedynaka, a on doradzał tym chłopom w różnych sprawach, jak i gdzie mają załatwiać”⁶⁶. Chętnie z tych rad korzystali.

A Stańko pisze: „Mieszkańcy Bobrowej jako jedni z pierwszych w ówczesnym powiecie ropczyckim, założyli Kółko Rolnicze i spółdzielczy sklep spożywczy”⁶⁷.

Było to w roku 1887.

„Po kilku latach Bobrowa zasłynęła jako ośrodek trzody chlewnej”⁶⁸. Stało się to dzięki pracowitości, uporowi i determinacji gospodarzy, którzy umieli wykorzystać warunki środowiskowe i sprzyjającą sytuację gospodarczą. Bujne zielsko, a zwłaszcza krzewiące się wszędzie pokrzywy były świetnym komponentem paszy dla hodowanych świń. Sprzedawano je potem na targowisku w Dębicy, a pojedyncze sztuki zabijano – najczęściej przed Bożym Narodzeniem – zaopatrując dom w mięso, wędliny, słoninę i sadło. Sąsiadka wymiana tych produktów ułatwiała ich racjonalne spożytkowanie.

Niestety, „postęp ten został brutalnie zahamowany przez I wojnę światową”⁶⁹.

Wojnę tę zapowiadało wiele wcześniejszych, niepokojących wydarzeń politycznych, ale dla zwykłych ludzi ważne było to, że klęski nieurodzaju,

epidemii czy katastrofalnych wylewów na chwilę ustały i można było spokojnie siać i zbierać, a nawet rozwijać gospodarstwa, bo ostatnie lata przed wojną były niezwykle urodzajne.

Pisze o tym Jerzy Fierich: „W 1914 roku Opatrzność Boża opatrzyła tu-tejszą gminę i okolice w niepamiętne urodzaje zbóż wszystkich gatunków, ziemniaków, koniczyny, siana, że każdy miał więcej jak mu potrzeba, a do tego i bydła i świń jakoś więcej posiadał każdy. Było to jakby błogosławieństwo na wojnę”⁷⁰.

Już w styczniu 1914 roku gazety pisały: „Nikt temu nie zaprzeczy, że każdy wiek ma swojego ćwieka. Otóż ćwiekiem naszego stulecia jest militarizm – posunięty do szaleństwa. Pierwszo-, drugo-, trzecio-, nawet czwarto-rzędne państwa bez względu na kierunek polityczny głów, stojących u steru państwowego zbroją się dzisiaj na gwałt”⁷¹.

W sierpniu ogłoszono mobilizację. „Obwieszczenia o niej i odezwę cesarza „Do moich ludów” rozplakatowano na widocznych miejscach w ruchliwych punktach Dębicy – na kościele, synagodze, poczcie, dworcu kolejowym [...]. Mobilizację [...] przeprowadzono sprawnie, bo karty mobilizacyjne mężczyzn były wcześniej przygotowane i złożone u naczelników gmin. Oni to osobiście doręczali je w dniu mobilizacji powołanym i odstawiali do właściwych komend”⁷².

Ilu mężczyzn z wioski mojego dzieciństwa zostało wówczas zmobilizowanych? Ilu zginęło na frontach tej strasznej wojny? Któż to policzy?

Możemy sobie wyobrazić, jak bardzo cierpieli ci, którzy w środku zniw, przed wykopkami i jesiennymi zasiewami musieli opuszczać gospodarstwa i iść do obcego przecież – austriackiego wojska. Z jakim przerażeniem musiały patrzeć w przyszłość kobiety – matki i żony, wysyłające najbliższych na niepewny los i zostające bez męskiego wsparcia. Dla człowieka związanego z ziemią, przywiązanego do gospodarstwa, dziedziczącego instynkt rolniczy pójście na wojnę było czymś strasznym.

Odbicie tego dramatu znajdujemy m.in. w ludowych piosenkach. Wezwani do wojaczki chłopci żegnają najpierw swoją ziemię, swój dobytek, a dopiero na końcu kobiety – towarzyszki życia. Mówi o tym np. piosenka właśnie z czasów I wojny światowej: „Łączko, łączko, łączko zielona...” Wyruszający na wojnę mężczyzna obawia się o dalsze losy opuszczonego gospodarstwa: „Kto cię będzie łączko kosił, jak ja będę szablę nosił [...]? Kto cię będzie pole orał, jak ja będę maszerował?”, a dopiero na końcu wyraża żal za pozostawioną ukochaną Marysią.

O dramacie bobrowskich mężczyzn powołanych do wojska i ich rodzin, tak pisał Fierich: „Rezerwiści, ich żony i rodziny robili przygotowania do wymarszu, przyczem wszyscy zakłęci, ciche łzy ronili; po dniu nastąpił cichy wieczór i noc pożegnania się i wymarszu z domu, przy którym odprowadza-

jąc pieszo i furmanką, zawodzone były gorzkie płacze i lamenty, na drogach, jakby na cmentarzu, które powoli i powoli ucichały w miarę oddalania się i tak pozostała wieś [Bobrowa], jakby do grobu złożona”⁷³.

Trudno dziś sobie wyobrazić uczucia tych kobiet, żegnających swych mężczyzn, idących na wojnę i uczucia tych, którzy opuszczali swych najbliższych. Wybitny reżyser pochodzący z Rzeszowa – Józef Szajna tak wspominał pożegnanie z matką w czasie drugiej wojny światowej: „Pobiegła do mnie i objęła. Ten uścisk będzie ze mną do końca życia. Było w nim jakieś niespożyte drżenie energii. To nie było ciało w szlochu, rozpacz, przygnębieniu, a odwrotnie siła, jakby chciała przekazać mi całą swą wewnętrzną moc matki, kobiety, rodzicielki. Ile razy później [...] było mi nie do wytrzymania źle, przypominałem sobie ten uścisk i stawałem na nogi”⁷⁴.

Dramatyczne ceremonie pożegnań odbywały się we wszystkich okolicznych miejscowościach; także w wiosce mojego dzieciństwa. Wiemy, że brał udział w tej wojnie ojciec pisarza Tadeusza Mikołajka, który w utworze „Żegnajcie chłopcy” – pisząc o mobilizacji mężczyzn przed drugą wojną światową – wspomina i o tej pierwszej:

„Kosiłem młody potraw. Wiotki i niezbyt gęsty nie chciał się układać w pokosy. Matka szła szeroką miedzą z tobołem trawy na plecach. Przystojna jeszcze i młoda, jak wówczas, gdy wyszliśmy jej z ojcem naprzeciw przed samą wojną. Ojciec miał w ręce kartę mobilizacyjną. Niósł ją niczym opłatek, którym chciałby się z matką przełamać. W wieku czterdziestu lat szedł na trzecią już i ostatnią swoją wojnę”⁷⁵.

Wspomina ją też Lin, bohater „Zamykania koła”: „Ojciec w jego wieku musiał zwiedzić kilka krajów, bo Franz Joseph zrobił wojnę”⁷⁶.

Wojna była niewyobrażalnym dramatem dla wszystkich, a opuszczone gospodarstwa marnowały się bez męskiej ręki. Kobiety – choćby harowały ze wszystkich sił od nocy do nocy – nie mogły sobie poradzić w ciężkiej pracy na roli. Świadczą o tym np. zawierane małżeństwa. „Gdowy” z przymusu wychodziły powtórnie za mąż; czasem wydawałoby się za nieodpowiednich, np. dużo starszych partnerów, gdyż chciały za wszelką cenę ratować gospodarstwo i móc wyżywić osierocone dzieci.

Oprócz zmobilizowanych mężczyzn szli też ochotnicy do legionów polskich. W Dębicy np. zgromadziło się 80 takich ochotników pod dowództwem profesora gimnazjum Tadeusza Gawrysia.

Stańko pisze: „Obok synów mieszczańskich są również synowie chłopów z okolicznych wsi oraz synowie szlachty”⁷⁷. Trudno sobie wyobrazić, że nie było tam młodzieży z wioski mojego dzieciństwa. Bobrowianie zawsze rwali się do walki, choć nie wszystkimi kierowały tylko pobudki patriotyczne. Niektórzy to byli „ludzie bez grosza w kieszeni. Przyszli tu, szukając dla siebie żołądka i komysnego chleba”⁷⁸.

Nastaly tragiczne lata wojny. Nasłuchiowano wieści, które niepokoiły i budziły grozę. Już „w kilka dni po pożegnaniu pierwszej grupy ochotników legionowych, wtoczył się na stację kolejową w Dębicy od strony wschodniej pierwszy pociąg sanitarny wiozący rannych żołnierzy”⁷⁹.

Takich pociągów było więcej. Rannych i chorych na czerwonkę czy tyfus – bo zaczęły się też szerzyć epidemie – odwożono do Szpitala Wojskowego urządnego w dębickich koszarach, a dla zmarłych założono w 1914 roku Cmentarz Wojskowy.

Ludność miasta i okolicznych wsi doświadczała strasznych skutków tej wojny, która „nie szukała cesarskich dróg, przebiegała się na przełaj do wsi. Zatrzepotały nad kalenicami pierwsze wiadomości z frontu [...]. Za kontyngentami ludzi odpływały kontyngenty zwierząt i zboża. Wszyscy żyli w niepewności i strachu. Niebogie z natury spichrze i stajnie zubożały jeszcze więcej”⁸⁰. W dębickim gimnazjum rozlokował się austriacki sztab 4 armii z jej dowódcą arcyksięciem Józefem Ferdynandem.

Gdy wkrótce pojawiły się straszne wieści o zbliżającej się armii rosyjskiej, co bogatsi uciekali na zachód, inni starali się ukryć, co się tylko dało, pozostali bezradnie oczekiwali na to, co przyniesie los.

„24 września 1914 roku Rosjanie wkroczyli do Nagoszyna. Na ludność padł strach. Grabieże stały się chlebem powszednim”⁸¹.

Bronisław Harla – świadek tamtych wydarzeń – wspomina: „W jesieni wkroczyły do Bobrowej wojska carskie – Kozaki, Czerkiesy, Rosjanie, Ukraińcy i inne narodowości. I jak zwykle w takich sytuacjach rekwizycje: zabierali bydło, konie, siano, słomę, ziemniaki i w ogóle wszystko, co im w rękę wpadło i przedstawiało jakąś wartość.[...] Co działo się we wsi [...] to nie da się opisać. Ludzie ze strachu szaleli. Żony, których mężowie zostali zabrani do wojska, potraciły głowy. Tarzały się po ziemi. I zdawało się, że świat się kończy”⁸².

Piątego października znów wrócili na te tereny Austriacy, by wycofać się pod naporem wojsk rosyjskich już dziewiątego listopada. Rosjanie czuli się w Dębicy tak pewnie, że nawet w sali gimnastycznej gimnazjum otwarli prawosławną cerkiew.

Płonęły wsie; m.in. w 1914 roku Bobrowa, w 1917 roku, Nagoszyn, w którym pożar strawił 18 gospodarstw i znów Bobrowa.

Bronisław Harla wspomina: „W 1914 roku wybuchł we wsi wielki pożar. Zapaliło się we dworze i spalił się duży kawał wsi, doszczętnie, bo nie było komu i czym gasić ognia. [...] We wrześniu 1917 roku wybuchł jeszcze jeden pożar w Bobrowej. Zapaliło się od Lichonia Małego i spaliło się doszczętnie do samej szkoły, bo był wielki wiatr. Między innymi spalił się wtedy i nasz dom. Zostaliśmy bez dachu nad głową. Ojciec wyszukał nam kwaterę u babki Piecuszki”⁸³.

W tymże 1917 roku wybuchła na dodatek epidemia czerwonki, a w następnym – tyfusu. Dramatem tej wojny było również to, że Polacy musieli walczyć przeciwko sobie u boku znenawidzonych zaborców.

„Wojna na froncie wschodnim toczyła się dynamiczniej niż obliczona na wyniszczenie wojna pozycyjna na Zachodzie, gdzie Brytyjczycy i Francuzi walczyli z Niemcami dopóty, dopóki krwawe natarcia nie utkwily w martwym punkcie. Ziemie polskie leżały spustoszone, przez kraj przetaczały się tam i z powrotem wojska rosyjskie, niemieckie i austro-węgierskie. Miliony żołnierzy polskich zginęły w walkach na froncie wschodnim, zmarły też miliony cywilów. Najtragiczniejsze było to, że każda z trzech armii powoływała w swe szeregi Polaków z kontrolowanych przez siebie terytoriów. Niemal dwa miliony Polaków brało udział w walkach, choć niewiele mieli wspólnego z tą wojną. Liczba polskich ofiar wynosiła milion trzysta pięćdziesiąt tysięcy. Do polskich żołnierzy często dobiegał z okopów wroga śpiew w ojczystym języku, a spośród czterystu pięćdziesięciu tysięcy zabitych Polaków wielu zginęło z ręki rodaków”⁸⁴.

Autorzy „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas” piszą o sytuacji w Wiewiórcze:

„W roku szkolnym 1914/1915 w szkole zajęcia nie odbywały się, ponieważ przez wieś przemieszczały się wojska austriackie, niemieckie, rosyjskie, a budynek był zajęty jako kwatera sztabów wojennych. Rosjanie nieprzerwanie od 10 listopada 1914 do 10 maja 1915 zajmowali szkolne sale”⁸⁵.

Na naszych terenach najtragiczniejsze wydarzenia I wojny światowej miały miejsce w maju 1915 roku, gdy Rosjanie próbowali się bronić na linii Wiśłoki. Front przebiegał przez Dąbie, cmentarz w Zasowie, Wiewiórkę. 14 maja pod Górą Motyczną doszło do niezmiernie krwawej walki, gdy niespodziewana szarża konna rosyjskiej armii zupełnie zaskoczyła Austriaków. Było mnóstwo poległych, a ci, którzy ocalili, do końca życia nie zapomnieli tamtych dni.

Jeden z bohaterów „Orki na ugorze” Jana Wiktora – chłop Biel, tak wspomina tę wojnę:

„Kule gwizdały, granaty siepały ziemię, od ognia ino się łyskało. Koniec świata. A my w tym ogniu, w kurniawie, w kulach śpiewaliśmy: „Serdeczna Matko”, żeby odegnąć nieszczęście. Hi, hi, hi. Jędrak Packulin podniósł obie ręce, zerwało nim i rzuciło jak snopem w przykopę. Wojtek Gontków zacharczał i krew zalała śpiewanie. Jasiek Brzyskulin chycił się za serce i zawołał: mamó! Bartek Dobosz lig i płakał w ziemię: co z dziećmi, co z dziećmi?

Tyle pomarło, inom ja wrócił ledwo żywy i tak pobity, ani mnie było poznać”⁸⁶.

W całej okolicy wojna czyniła wielkie spustoszenia. W Bobrowej spalił się spichlerz ze zbożem, w Zawadzie zamek, a kule armatnie uszkodziły kościół z cudownym obrazem Maryi. W Żyrakowie spaliło się prawie połowę domów,

w Wiewiórcie i Starej Jastrzębce około 40 budynków i szkoła, kilka domów w Woli Żyrakowskiej i w Górze Motycznej. Rosjanie, wycofując się, podpalili budynek dębickiego gimnazjum i bursę, a po ostrzale artyleryjskim Austriaków z dębickiego rynku zostały tylko kikuty kamienic. W naszej okolicy tragiczne żniwo zbierała na dodatek śmiertelna epidemia grypy, zwanej hiszpanką. Zmarł na nią m.in. dyrektor dębickiego gimnazjum Józef Wyrobek.

Sam papież Benedykt XV próbował pojednać zwaśnione państwa, ale „wielka wojna białych ludzi” – jak ją nazwano – wciąż pochłaniała nowe ofiary i budziła grozę. Wieści, czasem spóźnione, czasem nieprawdziwe, a zawsze straszne docierały też do mieszkańców wioski mojego dzieciństwa. Również coraz częściej głód zaczął zaglądać do chałup. „Olbrzymie ciężary wojenne, grabieże i rekwizycje dokonywane przez stacjonujące oddziały obydwu zaborczych armii, dwukrotny pożar Bobrowej doprowadziły gospodarkę wsi do wielkiego upadku”⁸⁷.

Wojna poczyniła tak wielkie spustoszenia w całym kraju, tak udręczyła ludzi, że po jej zakończeniu nawet nie za bardzo potrafili cieszyć się z wolności odzyskanej przez Polskę.

Lecz wreszcie wracali – choć przecież nie wszyscy. W tej strasznej wojnie zginęło ponad połowę biorących w niej udział żołnierzy, w tym bardzo wielu w największej bitwie na tzw. froncie wschodnim; zwanej bitwą gorlicką, w której uczestniczył ojciec papieża Jana Pawła II służący w 56 Pułku Piechoty jako podoficer, zajmujący się ewidencją umundurowania żołnierzy. Rozsiane w całej naszej okolicy cmentarze i pomniki poświęcone poległym przypominają o tamtych dramatycznych wydarzeniach. Znajdziemy je w Zasowie, Róży, Łękach Górnych, Pilźnie, Parkoszu, Jastrzębce Starej, Jodłowej czy w Czarnej, gdzie na pomniku umieszczono napis: „Ręka śmierci, która powala żołnierza, ozdabia też wieńcem laurowym jego pobladłą dłoń”. Leżą tam pochowani żołnierze rosyjscy, niemieccy, austriaccy, węgierscy i polscy.

Ale rodziny czekały na żywych. Wieści o odzyskanej po przeszło stu latach niepodległości Polski – choć brak było dzisiejszych mediów – szybko dotarły do mieszkańców naszego regionu. Gdy w październiku 1918 roku Rada Regencyjna Królestwa Polskiego w Warszawie proklamowała uroczyste odrodzenie Polski po 145 latach niewoli pod zaborami, w Dębicy już 13 października odbyła się uroczysta Msza święta dziękczynna z okolicznymi kazaniem i odśpiewaniem hymnu „Boże, coś Polskę”. Odbyły się też uroczystości przed gmachem gimnazjum i przed pomnikiem Grunwaldzkim w parku obok budynku „Sokoła”. Komitet Obrony Narodowej wezwał mieszkańców miasta i okolic na wielki wiec w dniu 31 października. Na pewno przybyli na ten wiec również przedstawiciele wioski mojego dzieciństwa – zawsze aktywni politycznie, gotowi do manifestowania swych poglądów, patriotyczni i chętnie uczestniczący w ważnych wydarzeniach.

Stanisław Wiśniewski pisze, że „31 października rano [...] miasto Dębica było podniecone. Większa niż zwykle ilość ludzi na ulicach, tworzyły się gromadki rozmawiające z ożywieniem półgłosem. Zatrzymywano żołnierzy na ulicach i podawano im polskie orzełki, by je w miejsce bączków na czapkach umieszczali [...]. O zapowiedzianej godzinie 3 po południu 31 października na wyznaczone zgromadzenie w sali Magistratu poczęli się zjawiać zaproszeni goście z miasta i okolicznych wsi. Głównie przybyli księża i nauczyciele”⁸⁸.

Księdzem zarządzającym moją parafią był w chwili ogłoszenia niepodległości ksiądz Błażej Potoczek, który na pewno zorganizował nabożeństwo dziękczynne, w czasie którego nasi pradziadkowie i dziadkowie dziękowali Panu Bogu za dar wolności. Nie wiadomo, czy ksiądz Potoczek, a także ówczesny kierownik bobrowskiej szkoły dołączyli do grona delegatów na tamto zgromadzenie w dębickim Magistracie w dniu 31 października, ale – jak mówią niektórzy: „przypuszczenie, a nie pewność, jest godne opowieści”.

W tym dniu ustalono obywatelską straż, strzegącą porządku w mieście, a nazajutrz – pierwszego listopada 1918 roku przybył z Rzeszowa absolwent dębickiego gimnazjum porucznik Franciszek Kolbusz z rozkazem Polskiej Organizacji Wojskowej dotyczącym przejęcia dowództwa nad tutejszym pułkiem.

Kolbusz przekazał komendę rotmistrzowi Tadeuszowi Łubieńskiemu, który przyjechał w tym celu z Krakowa, a „dzień ten święty zakończył się nieszporem i nabożeństwem na cmentarzach dębickich, zwiedzaniem przez publiczność katolicką mogił drogich nieboszczyków na dawnym i na nowym cmentarzu wojskowym”⁸⁹.

W Dzień Zaduszny hrabia Łubieński wygłosił na rynku w obecności licznie zgromadzonych uroczystą przemowę, w której m.in. powiedział: „Po półtora wieku niewoli Polski stał się cud oswobodzenia Ojczyzny, dla której tyle krwi i tyle łez wylano. Dzięki za ten cud Bogu i Bogarodzicy, Orędowniczce, Królowej Korony Polskiej”⁹⁰.

Na koniec prosił, by zdolni do noszenia broni ochotnicy zgłaszali się w dębickich koszarach do służby wojskowej, już w wojsku polskim. Dowództwo w dębickich koszarach przejął Tadeusz Komorowski, który potem został Komendantem Głównym Armii Krajowej i akcji „Burza”.

Nastrój radości, dumy, poczucia patriotyzmu udzielał się wszystkim. Było zupełnie inaczej niż po zakończeniu II wojny światowej, gdy – rozdarty wewnętrznymi walkami i na siłę zaprowadzanymi nowymi porządkami naród – trwał w lęku o przyszłość.

Przy dawnym dębickim rynku Starego Miasta – obok pałacu Raczyńskich, który przez wiele lat był siedzibą sądu – z okazji pierwszej rocznicy odzyskania niepodległości postawiono kamienny pomnik Najświętszej Panny Maryi Niepokalanie Poczętej z napisem: „Bogarodzicy w rocznicę odro-

dzenia Polski. Dębica i okolica 1919”. Do dziś corocznie odbywają się tam uroczystości upamiętniające tamte wydarzenia.

Również w całym regionie pojawiły się wkrótce liczne nowe kapliczki i krzyże jako wotum dziękczynne za ocalenie życia w tej wojnie. Taki krzyż stoi m.in. na posesji Jachymów w Przerytym Borze. Ufundował go Andrzej Jachym, który walczył w oddziale autro-węgierskiej armii i szczęśliwie powrócił do domu.

Po ustaniu walk życie powoli wracało do normy. Kobiety czekały z nadzieją na swych mężczyzn. Mikołajek w „Sielance” przypomina anegdotę nawiązującą do powrotu z tej wojny jednego z ocalonych.

„Wrócił w nocy i pukając wołał:

– Magda. Otwórz.

– A kto tam?

– To ja, Józiu Halaba, Cukwirer światowy.

Od tego czasu został cukwirerem”⁹¹.

Tę historyjkę znali wszyscy mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa, ale podobno dotyczyła dziadka mojej koleżanki Ceśki. Bo i jej przodkowie, tak jak mój wujek Stanisław Piszczek czy dziadek Michał Bacher, brali udział w tej strasznej wojnie.

Wojenną historię Piszczka opisał Bronisław Harla:

„Gdy miał 16 lat został wcielony do armii austriackiej i po rekruckim przeszkoleniu wysłany na front włoski. Tam, po rozbiciu Austriaków pod Piawą, dostał się do niewoli włoskiej [...]. Był to moment, gdy w Europie walczyły się w gruzi i trony, i państwa. Zaczęła się tworzyć polska armia we Francji. Emisariusze tej armii przybyli także do Włoch i werbowali ochotników pośród jeńców-Polaków. Zwerbowali i Piszczka. Powieźli go do Francji [...]. Gdy wrócił z armią Hallera do Polski, otrzymał 14 dni urlopu. Przyjechał do Bobrowej. Był pięknie ubrany w niebieski mundur [...]. Przedłużył sobie urlop o cały miesiąc. Przyszła po niego policja. Potem sąd i około pół roku odsiadki [...]; stamtąd na front bolszewicki. Tam znowu dostał się do niewoli, do Sowietów [...]. Po zakończonej wojnie wrócił do domu. Ożenił się, założył rodzinę i gospodarzył jak inni”⁹².

Wielu jednak nie wróciło lub zostało kalekami. Mój dziadek Michał walczył gdzieś daleko od domu, chyba na ziemi węgierskiej, bo czasem podśpiewywał pod nosem jakąś piosenkę żołnierską w tym niezrozumiałym, szwargotliwym języku. Bardzo ciężko ranny, został nieprzytomny na placu boju i był już prawie skazany na śmierć, bo sanitariuszkom wydało się, że nie rokuje żadnej nadziei. Ale jednej z nich żal się zrobiło tego – wtedy bardzo młodego, przystojnego chłopaka. Wróciła po niego, zaopiekowała się nim i uratowała. Powrócił do domu z mocno nadszarpniętym zdrowiem i jedną nogą krótszą. Do końca życia był inwalidą, chociaż wciąż pracował

w polu i w swoim warsztacie stolarskim. Do dziś zachowała się jedna z jego legitymacji inwalidzkich, które trzeba było co jakiś czas uaktualniać. Wydana przez Starostwo Powiatowe w Rzeszowie w dniu 23 stycznia 1950 roku posiada numer 1966. Na legitymacji znajduje się zdjęcie właściciela, duża pieczęć starostwa i podpis referendarza Edwarda Halzhakera. Duży stempel potwierdza, że inwalidztwo jest trwałe.

Legitymacja taka umożliwia m.in. nabywanie specjalnego inwalidzkiego obuwia. Ale kalectwo było i tak widoczne i dokuczliwe, a przeżycia wojenne powracały wciąż we wspomnieniach i w snach.

Takich trwale okaleczonych żołnierzy – ofiar I wojny światowej – było wielu. Dramat jednego z nich ukazał przejmująco – wspomniany już poeta – Bolesław Leśmian:

„Wrócił żołnierz na wiosnę z wojennej wyprawy,
Ale bardzo niemrawy i bardzo koślawy.
Kula go tak schłostała po nogach i bokach,
Że nie mógł iść inaczej niż tylko w poskokach [...].
Zwłókł się do swej chałupy: „Idź precz, popod płoty,
Niepotrzebny nam skoczek w polu do roboty”.
Pobiegł do swego kuma, co w kościele dzwonił,
Lecz ten nie chciał go poznać i kijem postronił.
Podreptał do kochanki, a ta się zaśmiała
Ramionami, biodrami, wszystką mocą ciała!
„Z takim w łożu drygałam mam tańczyć do śmierci?
Ciała ledwo ćwierć miary, a skoków – trzy ćwierci!
Ani myślę ci dotrwać w takim niedopłacie!
Ani myślę wargami sypiać na twym wąsie!”⁹³.

Dalej poeta pisze, że okaleczony, nieużyteczny, niepotrzebny nikomu żołnierz poszedł pożalić się na swój los pod przydrożny krzyż, na którym wisiał drewniany Chrystus – tak samo wyglądający niezdarnie i kaleko, bo wyrzeźbił go jakiś niezbyt utalentowany, domorosły artysta. Ale przez to podobne kalectwo Bóg i żołnierz stali się sobie bardzo bliscy. Chrystus zszedł z krzyża, by towarzyszyć inwalidzie:

„I wzięli się za ręce i poszli niezwłocznie
Wadząc nogą o nogę śmiesznie i poskocznie. [...]
Mijały dni i noce, którym mijać chce się,
I mijało bezpole, bezkrzewie, bezlesie.
I nastała wichura, i ciemność bez końca
I straszna nieobecność wszelakiego słońca.
Kto tam z nocy na północ w burzę i zawieje
Tak bardzo człowieczeje i tak bożyścieje?
To dwa Boże kulawce, dwa rzewne cudaki,

Kuleją byle jako w świat nie byle jaki!
Jeden idzie w weselu, drugi w beżzałobie,
A obydwa nawzajem zakochani w sobie.
Kulał Bóg, kulał człowiek, a żaden – za mało,
Nikt się nigdy nie dowie, co w nich tak kulalo?
Skakali jako trzeba i jako nie trzeba
Aż wreszcie doskoczyli do samego nieba!”⁹⁴.

Po zakończeniu wojny wiejskie życie znów zaczęło toczyć się odwiecznym torem, znów dni miały w trudzie i biedzie, na pracy i modlitwie. Wydawało się, że niedawne, straszne doświadczenia uchronią ludzi przed kolejnym kataklizmem. Następowiała stopniowa stabilizacja, wzmagano się poczucie bezpieczeństwa, powracano do dawnych norm i obyczajów. Ludzie chcieli po prostu spokojnie żyć, pracować, kochać, wierzyć, cieszyć się i mieć nadzieję na lepsze czasy. Znów w upartym trudzie wznoszono domy, uprawiano pola, hodowano świny, krowy, kury i gęsi.

„W latach 20-tych zachował się ponadczasowy, iście tołstojowski świat [...]; życie blisko natury w rytmie zmieniających się pór roku wytyczane wiosną, porą dożynek oraz ważnych wydarzeń i świąt religijnych, jak adwent, Boże Narodzenie, Wielki Post, Wielkanoc, Boże Ciało i Wniebowzięcie Najświętszej Panny Marii. Był to powolny, tradycyjny świat, w którym dzwony kościelne wzywały na Anioł Pański w południe i o szóstej wieczorem, a wieśniacy przerywali prace na roli, żeby odmówić stosowną modlitwę”⁹⁵.

Starsi mieszkańcy wiosek najczęściej chcieli uciec od wielkiej polityki, konfrontacji i zagrożeń; byli szczęśliwi, że mogą znów spokojnie siać i zbierać, cieszyć się w rodzinach kolejnymi porami roku. Ich teraźniejszość nie różniła się prawie od przeszłości, w której żyli ich przodkowie. Ale już wkrótce nowe wojny, nowe ideologie, nowe społeczne konflikty zakłóciły ten kruchy i pozorny spokój. Młodzi mężczyźni znów szli walczyć. Bobrowianie: Bronisław Harla, Władysław Lipa i Michał Książek zostali wcieleni do 46 pułku piechoty strzelców kresowych w armii generała Józefa Hallera stacjonujących w Samborze. Książek zginął w czasie wyprawy Piłsudskiego na Kijów, mającej zapobiec inwazji bolszewickiej armii na ziemie polskie. Wkrótce jednak zaczęło się dramatyczne wycofywanie polskich oddziałów przed przeważającymi siłami bolszewików.

Tarnowski pisze:

„Latem 20 roku szalała wojna, a istnienie państwa polskiego wisało na włosku. Początkowo na kresach, ale w czerwcu kozacy I Armii Konnej Siemiona Budionnego, przekroczyli polską granicę na południu, a wkrótce armie Michała Tuchaczewskiego wdarły się od północy. Wzywał on: – Na Zachód! Po trupie białej Polski zagrządzającej drogę do światowej rewolucji. Na bagnietach niesiemy szczęście i pokój ludziom trudzącym się w pocie czoła.

Na Zachód! Nadszedł nasz czas. Na Wilno, Mińsk, Warszawę. Marsz [...]. Ocalenie nastąpiło za sprawą cudu nad Wisłą, czyli – jak głosi popularna legenda – interwencji Czarnej Madonny z częstochowskiego obrazu Najświętszej Marii Panny Królowej Polski [...]. Szef alianckiej misji wojskowej w Polsce [...] stwierdził, że to jedna z najważniejszych bitew w historii świata [...]; po klęsce nastąpiłby nie tylko niebezpieczny zwrot w dziejach chrześcijaństwa, ale zostałyby zagrożone samo istnienie zachodniej cywilizacji”⁹⁶.

W bitwie nad Bugiem i o Warszawę brało udział wielu mężczyzn z naszych terenów. Byli wśród nich również mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa. Uczestniczył w niej też jeden z Mikołajkowych bohaterów – „swok” Lina z jego rodzinnej wioski, który wspominał: „Pierwsza wojna, i rok dwudziesty, pan, trzeba liczyć sześć lat okopów”⁹⁷.

Mieszkańcy wszystkich regionów kraju z niepokojem śledzili losy tej wojny z bolszewikami. Wieść o cudownej interwencji Maryi wzmacniała wiarę i nadzieję. Prawie wszyscy ogromnym szacunkiem darzyli Józefa Piłsudskiego jako świetnego przywódcę państwa. Świadomość polityczna i społeczna narastała również wśród mieszkańców wioski mojego dzieciństwa. Świadczy o tym m.in. fakt uczestnictwa boborowian w pogrzebie Piłsudskiego w katedrze na Wawelu w dniu 18 maja 1935 roku. Na zachowanym zdjęciu trzech gospodarzy z Bobrowej stoi na tarasie jednej z krakowskich restauracji w czasie pobytu na uroczystościach pogrzebowych. Odświętnie ubrani, eleganccy, poważni, z czarnymi, żałobnymi opaskami na rękawach przyjechali, by zamanifestować swój patriotyzm. Jednym z nich był Antoni Szczygieł. Opowiadali potem o niezwyklej atmosferze towarzyszącej tym uroczystościom, o wspaniałej procesji z krakowskiego dworca kolejowego na Wawel, w której szli: prezydent Polski Ignacy Mościcki, członkowie rządu, przedstawiciele kilkunastu państw, duchowieństwo, dawni legioniści i rzesza ludzi pogrążonych w żalu, wśród których nie mogło zabraknąć mieszkańców wioski mojego dzieciństwa. Trumnę z ciałem Marszałka wieziono na lawecie. Obok kroczyła jego ulubiona klacz Kasztanka okryta czernią. Łopotały białe-czerwone flagi przepasane kirem, grzmiały honorowe salwy, rozbrzmiewał przejmującym łkaniem dzwון Zygmunta.

Okres dwudziestolecia nie poprawił zbyt wiele sytuacji materialnej chłopów i głodu ziemi. Sejm wprowadził pracował nad ustawą parcelacyjną, ale trwało to bardzo powoli. Niektórzy właściciele ziemscy, m.in. hrabia Edward Raczyński, biorąc pod uwagę to, że ze względu na sytuację społeczno-ekonomiczną niektóre folwarki przynosiły straty, sami przeprowadzili parcelację swoich majątków, nie czekając na decyzje władz. Ale również to nie rozwiązało do końca palących problemów wsi; wielu chłopów nie było stać na wykupienie ziemi, inni bali się zaciągania kredytów, jeszcze inni czekali na ustawę przekazującą ziemię bezpłatnie.

Mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa również byli w takiej sytuacji. Leopold Harla wspomina: „Wieś odbudowywała się powoli, a równocześnie pogłębiały się różnice majątkowe wśród chłopów. Procesu kapitalistycznego rozwarstwienia nie zahamowała nawet parcelacja obydwu bobrowskich dworów: w Woli Bobrowskiej w 1919 roku i w Bobrowej w 1928 roku. Ziemie dworskie wykupili przede wszystkim rolnicy napływowi oraz bogatsi miejscowi rolnicy”⁹⁸.

W przeprowadzeniu tej parcelacji dużą rolę odegrał znany działacz społeczny, poseł z Paszczyny Jan Henryk Jedynak, syn Michała. Pisze o tym Józef Pluta: „Na terenie powiatu ropczyckiego J. H. Jedynak wspierał parcelacje wchodzących w skład dóbr hr. Edwarda Raczyńskiego. Objęła ona folwarki w Paszczynie, Bobrowej i na Poddębach [...]. Parcelacja odbywała się z pełnym odszkodowaniem dla właściciela. Na ten cel Państwowy Bank Rolny w Krakowie udzielił długoterminowych kredytów dla nabywców ziemi [...]. Spłaty dokonywane były ratami. Domniemywać należy, że z pomocą posła Jana Henryka Jedynaka terminy spłat były odraczane, m.in. z powodu klęsk elementarnych, w tym długotrwałej posuchy [...]. Szacowanie i rozliczanie z nabywcami gruntów odbywało się na podstawie miernika zbożowego, który opierał się na cenie żyta [...]. Brano także pod uwagę gatunek gleby i położenie majątku”⁹⁹.

W Bobrowej wśród kierujących pracami związanymi z parcelacją byli Błażej Fila i Walenty Lipa.

Autorzy „Przewodnika po parafii Nagoszyn” tak piszą o tej parcelacji: „Ziemie w Bobrowej kupowali zamożni ludzie. Obszary rolne wzdłuż rzeki Wisłoka, tzw. Zakęcie i Kolonia zakupili ludzie z okolic Kolbuszowej, Brzostka, Brzeska, Sędziszowa i Wiewiórki. Rdzennym chłopom z Bobrowej przygotowano działki o obszarze jednego lub dwóch morgów”¹⁰⁰.

Ziemie sąsiadujące z dworem też w dużej mierze zakupili rolnicy napływowi. „Koloniści” zaadaptowali na mieszkania i zasiedlili budynki gospodarcze otaczające dwór [m.in. spichlerz]. Z Lubczy przybyli Trojanowie, z Zawadki Uszewskiej Marcowie, a z Tuszowa koło Mielca – Sehnowie. Ci ostatni zamieszkali w dawnym dworze Raczyńskich. W czasie wojny budynek dworski został zdewastowany i zniszczony, a po wyzwoleniu znacjonalizowany i przeznaczony na szkołę, w której uczyły się dzieci z klas V – VII. Sehnowie, po odzyskaniu domu, odrestaurowali podworski budynek zgodnie z wymogami konserwatora zabytków.

Mój dziadek Michał – tak jak jego sąsiedzi – również w czasie parcelacji nabył kilka kawałków piaszczystej ziemi niedaleko Olszyn. Jeszcze w czasach mojego dzieciństwa nazywano te rozparcelowane pola „dworskimi”. Także ojciec Lina z „Zamykania koła” mówi: „Mam nawet kupca na to na dworskim”¹⁰¹.

Dzięki napływowi nowych rolników – tych, którzy przybyli tu z różnych powodów: na skutek ożenków, różnych przypadków losowych czy zakupi-

li dużą część podworskiego majątku Raczyńskich – powiększyła się liczba bobrowskich gospodarstw. Osiedlił się tu m.in. brat mojej babci Józef Jan Sojka spod Sędziszowa, który nabył 5 hektarów gruntu, rodzina Kolbuszów spod Brzostka, czy Szczygłów w Wrzawy spod Sandomierza. Ci nowi mieszkańcy – osiedleni w większości nad brzegiem Wisłoki na tzw. Kolonii i Zakąciu – zachowywali początkowo wobec zasiedziały od wieków bobrowian pewien dystans; często chodzili do kościoła w Brzeźnicy, posługiwali się trochę innym językiem, mieli poczucie pewnej odrębności i wyższości. Po pewnym czasie zawiązały się jednak wspólne przyjaźnie, ściślejsze związki, nastąpiło zmieszanie się gwar i zwyczajów. Gdy „starzy bobrowianie” przekonali się, że osiedleńcy to ludzie szlachetni, uczynni i życzliwi, nawiązali z nimi przyjaźnie, zaczęli sobie nawzajem pomagać w polu czy przy budowie domów. Wspominano np. jednego z bardzo biednych chłopów, który przyjechał do budującego dom nowego gospodarza furą z ułożoną na niej beczką.

– Nic nie mam, co mógłbym wam ofiarować – powiedział – ale mogę wozić na waszą budowę wodę z Wisłoki. Bo w wiosce mojego dzieciństwa chętnie sobie pomagano.

W okresie dwudziestolecia Bobrowa radykalizowała się. Pojawili się tu działacze polityczni i społeczni zachęcający do walki o lepsze warunki życia. Takim działaczem był m.in. – już wspomniany – Jan Henryk Jedynak z Paszczyny – absolwent dębickiego gimnazjum, żołnierz legionów, polityk, marszałek sejmiku, działacz polityczny na terenie powiatu dębickiego, który inicjował różne działania właśnie związane z parcelacją gruntów czy zmierzające do podniesienia poziomu rolnictwa w naszym regionie. Pod wpływem takich działaczy mieszkańcy wsi podejmowali różne inicjatywy społeczne, m.in. budowali małe mleczarnie, co wpłynęło na rozwój hodowli bydła. Taka właśnie spółdzielnia mleczarska powstała w wiosce mojego dzieciństwa. Bronisław Harla wspomina, że wielkie zasługi położył tu wspomniany już – Klemens Trojan – radykalny działacz ludowy, inżynier-rolnik przybyły niedawno z rodziną do Bobrowej:

„Zwołał kilka zebrań, przemawiał do chłopów, zachęcał. Dużo pomogła mu młodzież, bo z nią współpracował. Wreszcie wziął mnie, Wojciecha Gila z Woli Żyrakowskiej, Władysława Ziębę, Józefa Barana i jakąś kobietę i pojechaliśmy z nim do Wiśniowej za Wielopole. Tam była już Spółdzielnia Mleczarska, a jej prezesem był kolega Trojana [...], który nas pouczył i objaśnił, co robić i jak. W końcu wysłał nas na wieś, abyśmy sami porozmawiali z członkami Spółdzielni i przekonali się, że jest to rzecz dobra. Po przyjeździe z Wiśniowej zabraliśmy się żywo do pracy: zebrania, dyskusje, podpisywanie deklaracji, zatwierdzenie statutu i wiele innych. Pracy nie brakowało. Ze składek członkowskich zakupiliśmy wirówki i różne przyrządy. Wreszcie wielkie zebranie: wybory Zarządu! Do Zarządu wybrani zostali jednogłośnie: Klemens Trojan

[...], Bronisław Harla [...], Wojciech Gil [...]. Tak powstała Spółdzielnia Mleczarska w Bobrowej, zarejestrowana w Małopolskim Związku Mleczarskim w Krakowie w 1929 roku. Na tym zebraniu wybrana została Rada Nadzorcza, której prezesem został ks. Leon Pyzikiewicz z Nagoszyna [...]. Na drugi dzień uruchomienie mleczarni. Jej kierownikiem został, przeszkolony na kursie w Rzeszowie, Kasper Wójcik z Bobrowej. Praca szła dobrze. Mleka było dość. I masła. [...]. Było jakiś czas dobrze. Potem się popsuło. Przyszedł kryzys [...]. Klemens musiał ustąpić z mleczarni [...]. Po usunięciu Trojana był wprowadzicie przewodniczący Zarządu Jan Cholewa z Nagoszyna [...], ale wszystkie agendy prowadził ja. Aż do likwidacji Spółdzielni w 1943 roku [...]. Niemcy okradli i zniszczyli ją tak, że musiała ulec likwidacji”¹⁰². W czasie swej działalności obsługiwała nie tylko naszą wieś, ale też Wolę Bobrowską, Nagoszyn, Wolę Nagoską, Korzeniów, Łączki Brzeskie, Wolę Żyrakowską, Żyraków i Straszecin. Pracował w niej również mój ojciec.

Po wojnie zlewnia znajdowała się w Dębicy, a mieszkańcy wynosili swe mleko w specjalnych bańkach, które zabierał po kolei z mostków przed domami jeden z gospodarzy i zawoził je furmanką do tej zlewni. Przy odstawianiu mleka pobierano próbki, które poddawano analizie pod względem zawartości tłuszczu. Według tego ustalano zapłatę dla każdego dostawcy.

Leopold Harla pisze, że „na początku lat dwudziestych powstaje w Bobrowej silne koło Stronnictwa Ludowego i koło Związku Młodzieży Wiejskiej „Znicz”¹⁰³. Ale najbardziej radykalna młodzież szuka dla siebie innej organizacji.

„Równocześnie do wsi docierają działacze Komunistycznej Partii Polski, której nieliczne na razie komórki działają już w powiecie. Zbiega się to wszystko z wielkim kryzysem ekonomicznym lat 1929-1933. Gwałtowny wzrost nędzy wsi zaostrza do niespotykanych granic sprzeczności klasowe i do głębi rewolucjonizuje chłopstwo. W Bobrowej powstaje komórka KPP, której założycielem jest Klemens Trojan. U boku komórki KPP skupia się duża część młodzieży „zniczowej”, z której tworzy się komórka Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej. Jej pracą kieruje Roman Bonar”¹⁰⁴.

Młodzi biorą udział w zebraniach i kursach politycznych, które prowadzi m.in. Klemens Trojan czy Józef Olechawski z Kandzierza. Takie kursy dla radykalnej młodzieży z całego powiatu odbywają się właśnie w Bobrowej; na jednym z nich była obecna znana działaczka KPP Małgorzata Fornalska, o której uczyliśmy się na lekcjach historii, a która w 1943 roku została aresztowana przez gestapo i rozstrzelana na Pawiaku.

Młodzi działacze organizują obchody Świąta Ludowego i Świąta Pracy, uczestniczą w chłopskich strajkach, protestach i wiecach. Na taki wiec zorganizowany w 1933 roku w Grabinach przybyło wielu mieszkańców okolicznych wsi. Podczas interwencji policji zabity został Wojciech Szmul z Głowaczowej, a kilka osób zostało rannych. Pogrzb stał się wielką ludową mani-

festacją, a w Straszęcinie wzniesiono potem pomnik upamiętniający walki chłopskie z 1933 roku. Wkrótce po tych krwawych wydarzeniach dokonano wielu aresztowań działaczy KPP, a wśród nich Klemensa Trojana, którego przewieziono do osławionego więzienia politycznego w Berezie Kartuskiej. Wrócił tuż przed wielkim strajkiem chłopskim w 1937 roku i wraz z grupą młodzieży udał się z czerwonymi i zielonymi sztandarami na wiec zorganizowany w Dębicy z okazji kolejnej rocznicy „cudu nad Wisłą”, gdzie przemawiał wraz z Piotrem Chłędowskim ze Skrzyszowa. Wiec ten przekształcił się w wielką manifestację antyrządową, a Trojan znów został aresztowany.

Tymczasem w 1933 roku Hitler został kanclerzem. W Niemczech narodził się zbrodniczy nacjonalizm grożący kolejną światową wojną. Dorośli nasłuchiwali niepokojących wieści ze świata, wspominali niedawną przecież, straszną światową wojnę, dyskutowali o niepewnej przyszłości, ale życie toczyło się ustalonym torem. Trzeba było siać, orać, kosić; rodziły się dzieci, umierali starcy i chorzy.

W tym okresie w wiosce mojego dzieciństwa – jak i w całym naszym regionie – nastąpiły dalsze pozytywne zmiany cywilizacyjne. Dębica stała się powiatem, a na okolicznych terenach powstał Centralny Okręg Przemysłowy; nowoczesny ośrodek przemysłu zbrojeniowego zlokalizowany w tzw. „trójkącie bezpieczeństwa” między Sanem a Wisłą. W ramach tego przedsięwzięcia powstały ważne dla całej okolicy nowoczesne zakłady przemysłowe, zatrudniające wiele osób. Wtedy to również wielu mieszkańców wioski mojego dzieciństwa znalazło popłatną pracę w przemyśle, otwierającą przed nimi nowe perspektywy życiowe. W przysiółku Pustkowa – Krownicach zbudowano zakład produkcji wojskowej „Lignoza”. Z inicjatywy hrabiego Edwarda Raczyńskiego powstała w 1927 roku Fabryka Przetwórstwa Mięsnego i Bekonów, której budynki z charakterystyczną wieżą do dziś są znakiem rozpoznawczym Dębicy. W latach 1937-1939 wybudowano fabrykę ogumienia samochodowego „Degum”, zakłady chemiczne przekształcone później w Fabrykę Farb i Lakierów i walcownię metali, która dała początek Wytwórni Urządzeń Chłodniczych. Powstała nowa kategoria mieszkańców wsi – tzw. dwuzawodowcy. Rolnicy pracowali jak dotychczas na swoich gospodarstwach, a dodatkowo dojeżdżali do fabryk.

Człowiekiem, pochodzącym z naszego regionu, który chyba najbardziej zasłużył się dla rozwoju przemysłu w Dębicy i okolicy był Edward Brzostowski ze Straszęcina. Pochodził z dość ubogiej rodziny rolników, prowadzących ok. 2-hektarowe gospodarstwo. Jako młody chłopak pracował krótko w stoczni, ale prawie całe dorosłe życie związał z rodzinnym Straszęcinem, gdzie stworzył świetnie prosperujący Kombinat Rolno-Przemysłowy „Igłopol”. Pełnił wiele funkcji społecznych i politycznych; w tym burmistrza Dębicy i posła na sejm. Dębica, Straszęcin i wiele innych miejscowości zawdzię-

czają mu bardzo wiele. Gdy kierował „Igloopolem” – przejmował upadłe PGR-y, rozwijając na ich terenach rolnictwo i hodowlę, i dając zatrudnienie wielu ludziom. Również w wiosce mojego dzieciństwa powstało w latach sześćdziesiątych gospodarstwo rolne należące do Kombinatoru, gdzie znalazło pracę wielu dawnych spółdzielców oraz inni mieszkańcy wioski i przybysze, szybko asymilujący się z miejscową ludnością.

W okresie międzywojennym nie lada problemem dla podejmujących pracę w przemyśle były dojazdy do fabryk. Duża odległość do Dębicy, Pustkowa czy Mielca, brak odpowiednich dróg, środków komunikacji czy mostów na Wisłocie – wszystko to bardzo utrudniało korzystanie z szansy, jaką dawały rozwijające się zakłady przemysłowe. Ale niektórzy mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa pokonywali te trudności i podejmowali pracę w okolicznych fabrykach. Gdy po zakończeniu II wojny światowej zaczęto odbudowywać okoliczny przemysł, znów chętnie wracali do swych zakładów pracy. Dołączyło do nich młodsze pokolenie, które dorosło w czasie wojny, a potem i to, które oglądało wojenne wydarzenia oczami dzieci.

Zapylonymi ścieżkami i miedzami wśród rodzinnych pól od strony Wisłoki wracali grupkami w sobotę wieczorem – bo oczywiście pracowało się sześć dni w tygodniu – młodzi i starsi bobrowanie zatrudnieni w Pustkowie, Mielcu czy Dębicy i tam wynajmujący jakieś skromne kwatery. Od stacji w Kochanówce szli przez brzeźnicki Borek do Wisłoki, którą przemierzali łódką, a potem kontynuowali wędrówkę do widniejących na horyzoncie swych chat, by po południu w niedzielę wracać tą samą drogą. Przez wiele lat tak wędrowały: Irena Harłówna, Hela Wójcikówna czy Staszka Lipówna. Wielu – zwłaszcza młodych – odnajdywało w miejscu pracy swoją miłość. Opuszczali więc na zawsze rodzinną wieś i osiedlali się na stałe poza Bobrową, jak Janek Piękoś, Bolek Markiel czy Tynek Wilczyński. Ale wielu też mieszkało wciąż w rodzinnej wiosce, bowiem wkrótce zorganizowano transport do Dębicy; początkowo dowożono pracowników ciężarówką „na pace”, a potem zakładowymi autobusami. Natomiast do Pustkowa wiele osób codziennie jeździło rowerami lub wędrowało na piechotę. Najpierw trzeba było polnymi ścieżkami dotrzeć do Wisłoki, przepłynąć się przez rzekę na brzeźnicki brzeg, a potem kontynuować wędrówkę przez Borek, Brzeźnicę aż do tzw. „mijanki” obok przystanku kolejowego w Kochanówce i dalej aż do wielkiej fabryki „Lignoza” skrytej w pustkowskim lesie. Najtrudniej mieli pracownicy trójzmianowi, do których należał też mój ojciec; zwłaszcza w okresach zimowych zawiei, „trzaskających” mrozów, wiosennych roztopów czy jesiennych szarug.

W okresie międzywojennym gościńce były w fatalnym stanie, a brak mostu w Zawierzbiu utrudniał kontakt mieszkańców wioski mojego dzieciństwa z Dębicą; dojazd do zakładu pracy, uczestniczenie w jarmarkach czy dotarcie do dworca kolejowego w celu jakiegoś ważnego wyjazdu.

Ten ważny most na Wisłoce zamierzano zbudować jeszcze w czasie zaborów. Długie starania u Austriaków zakończyły się pozytywnie, ale wybuch I wojny światowej spowodował przerwanie prac. Wbito jedynie żelbetonowe piloty jako podstawę przyczółków, lecz przygotowane głązy o kolosalnej wadze i objętości – wkrótce gdzieś zniknęły. Dlatego rzekę przejeżdżano brodem. Dopiero w 1918 roku zbudowano pierwszy most drewniany. Nie był zbyt solidny, więc gdy ruszały wiosną lody, wszyscy z trwogą patrzyli na napór groźnej kry. Robotnicy gminni i chętni obywatele sznurami podtrzymywali w takie dni drewniane filary, ale coraz bardziej gniły i stawały się niebezpieczne. Dlatego w 1932 roku zaczęto planować budowę nowego mostu, od którego zależał rozwój miasta. Gdy w czasie wielkiej powodzi w 1933 roku most runął, przystąpiono do budowy solidniejszego – na betonowych podporach – tych wzniesionych jeszcze przez Austriaków. Nareszcie łatwiej było dotrzeć do miasta do pracy, na targ, do lekarza czy na stację kolejową.

Ten nowy most bardzo ucieszył również moich dziadków prowadzących sklep.

W każdy czwartek, bez względu na porę roku i pogodę, wyruszali o świtanu zaprzęgiem konnym do Dębicy po towar do znajomych, sprawdzonych handlarzy: Polaków i Żydów. Gdy z szarych nadwisłocznych mgieł zaczęły się wyłaniać wysokie korony kasztanowców i białe pnie brzoź, rosnących wzdłuż długich budynków wojskowych koszar, można było usłyszeć niosącą się daleko po rosie, pięknie śpiewaną głosami młodych żołnierzy poranną pieśń: „Kiedy ranne wstają zorze”. Spoza wysokich drzew widać też było poranną krzątanicę wyruszających na zajęcia oddziałów. Taką sytuację wspomina bohater Mikołajkowej powieści „Żegnajcie chłopcy” – podporucznik Paweł:

„Wyszedłem trochę pokrzepiony, ale poranny ruch w batalionie, śpiew wychodzących na zajęcia pododdziałów, oślepiająca w słońcu biel brzoź – to wszystko, co do niedawna dawało mi poczucie prawdziwej łączności nie tylko ze swoją jednostką, teraz znów zaczęło działać przygnębiająco”¹⁰⁵.

Sprowadzona przez Austriaków do Dębicy w połowie XIX wieku jednostka kawalerii stacjonowała najpierw w centrum miasteczka:

„Główne koszary mieściły się początkowo w budynku odnajmowanym od Żyda na rynku miasta. Ujeżdżalnia kawaleryjska [rajtszul] zajmowała całość pierzei i mieściła się na tyłach rynku”¹⁰⁶. Potem wybudowano – wówczas jeszcze poza miastem, przy gościńcu wiodącym do przeprawy na Wisłoce – nowe, większe koszary. Teren został подарowany wojsku przez hrabiego Karola Raczńskiego, a ulicę wzdłuż koszar nazwano jego imieniem [dziś – Kościuszki].

Niestety, most na Wisłoce został zburzony przez bomby zaraz na początku września 1939 roku, więc znów musiano przeprawiać się promem. Kolejny – zbudowany przez Armię Radziecką – długi i wysoki; także drew-

niany – przetrwał do lat pięćdziesiątych, gdy wreszcie wybudowano solidny, żelbetonowy, służący przyjezdnym do dziś.

W czasach mojego dzieciństwa na tym moście i obok niego ciągle trwały jakieś roboty drogowe. Mikołajek pisze: „Kilku robotników krzątało się przy powykrzywianych fałochronach. Dozorował ich dróżnik w czapce z orzełkiem, z fajką w ustach”¹⁰⁷. Jednym z takich dróżników przez wiele, wiele lat nadzorującym prace przy utrzymaniu gościńca i mostu był mieszkaniec wioski mojego dzieciństwa Ostrowski [jego żona Katarzyna była siostrą mamy Tadeusza Mikołajka]. Codziennie przemierzał na wysłużonym rowerze trasę z Bobrowej do Dębicy, a jego charakterystyczna sylwetka w mundurze, służbowej czapce – zawsze ze skórzaną teczką zapiętą na ramie roweru – wrosła prawie w powojenny pejzaż położonych wzdłuż gościńca wiosek: Bobrowej, Woli Żyrakowskiej, Żyrakowa i Zawierzbia.

Jadąc wzdłuż koszar, można było oglądać jadące nad tunelem pociągi, a niedaleko, na prawo duży budynek dworca.

Mikołajek wspomina: „Po moście przerzuconym nad drogą prowadzącą do rzeki dudnił pociąg. Ślepie lokomotywy rozpychały mrok. Przystanął syżąc i spuszczać parę. Otoczyła go gromada pokrzykujących ludzi”¹⁰⁸.

Stację kolejową w Dębicy zaczęto budować już w 1863 roku, gdy powstała linia kolejowa z Wiednia do Lwowa. Był to ważny bodziec dla rozwoju miasta; dla handlu, przemysłu, osiedlania się nowych mieszkańców.

Tunel pod torami wyznaczał jadącym z Bobrowej ludziom prawdziwą granicę miasta. Należało tylko skręcić w prawo i przy uliczce zabudowanej maleńkimi, dość pokracznymi domkami zostawić furmankę, dać obrok koniom i powierzyć komuś ich pilnowanie. Uliczka prowadziła wprost do rynku obok piekarni, której właścicielem był Żyd Szlomo Herschlag. Cudowny zapach świeżo upieczonego chleba zawiewał stąd aż na rynek.

A ten już od wczesnego rana tętnił handlem, szczególnie w środy, które były dniem targowym. Rozkrzyczane przekupki rozkładały wokół swe towary. Wielu handlujących przywoziło je spoza Dębicy. Były tam „cebulorki” z Ropczyc, diegciarze z Gorlic handlujący diegciem do smarowania osi wozów, sprzedawcy sezonowych owoców czy garncarze, u których można było kupić gliniane doniczki, dzbanki, misy czy garnki. Pejsaci Żydzi uwijali się jak w ulu i wszędzie było słychać ich śpiewne szwargoty. Dopiero wieczorem uliczki pustoszały, zanikał gwar i ruch, a miasteczko ogarniała senna cisza.

Wokół rynku stały dorodne kamienice i małe żydowskie domki z tzw. okapem, kryte papą, o charakterystycznej zabudowie: z przodu sklepik, z tyłu mieszkanie. Na drzwiach sklepiku wisiał dzwonek zwiastujący wejście klienta. Wtedy natychmiast pojawiała się Żydówka, która w swym mieszkaniu gotowała obiad lub wykonywała jakieś inne domowe prace; zawsze w gotowości, by wejść od zaplecza i zachwalać znajdujące się w sklepiku to-

wary. W tym czasie jej mąż załatwiał różne interesy, jeździł po nowy towar czy kręcił się po rynku, zachęcając do odwiedzenia jego sklepu.

Żydzi byli tu od wielu pokoleń.

W 1676 roku właściciel części Dębicy Jacek Winiarski – widząc, że po niedawnym potopie szwedzkim i najeździe Rakoczego mieszkańcy nie mają możliwości odbudowy spalonego i zniszczonego miasta – wydał zgodę, by na jego terenie osiedlili się dwaj Żydzi, którzy sprowadzili tu swe rodziny. Wkrótce Żydów osiedlających się w Dębicy było tak dużo, że powstała tu żydowska gmina, prężnie zaczął rozwijać się handel i rzemiosło, wykształciły się grupy społeczne decydujące o charakterze miasta. Elitę żydowską stanowili rabini, sędziowie rabinacy, rytualni rzeźnicy, kantorzy, nauczyciele, lekarze, prawnicy, różni urzędnicy i bogaci kupcy, właściciele hoteli i restauratorzy. Najwięcej było rzemieślników: krawcy, szewcy, piekarze, czapnicy, kuśnierze, rzeźnicy, kotlarze, gorzelnicy, browarnicy, siodlarze, rymarze, cieśle, kowale, tragarze, handlarze koni i innych zwierząt gospodarskich, drobni sklepikarze, pracownicy tartaków, smolarni, wytwórni rytualnych świec, tkacze, stolarze, sprzedawcy gazet, wody sodowej, gęsiego smalcu, ryb, jaj i różnych innych towarów. Zamieszkiwali oni uliczki Starego Miasta niedaleko kościoła świętej Jadwigi i te wokół Nowego Rynku.

A rynek ten od początku był świadkiem wielu ważnych dla Dębicy wydarzeń i codziennego, toczącego się leniwie małomiasteczkowego życia. Tu spotykali się mieszkańcy, tu pejsate dzieciaki urządzały dzikie zabawy, żebracy lamentowali, prosząc o wsparcie, dziarskim krokiem maszerowali żołnierze, w modlitewnym skupieniu przechodzili pobożni Żydzi do mykwy, do chederu czy do synagogi, tu kupcy zachwali swe towary, tu nawet rozbijano cyrkowe namioty.

„O tym, jak wyglądała żydowska społeczność Dębicy, możemy wnioskować w oparciu o fakt, iż w centrum Starej Dębicy – oprócz kościoła i plebanii – w ogóle nie było katolickich budynków. Z wyjątkiem królewskiego gościńca i budynku sądu, który został wzniesiony w późniejszym okresie na placu przed kościołem, nic nie odgradzało od siebie rzędu żydowskich sklepików. Synagoga i rytualna łaźnia mieściły się tuż za nimi”¹⁰⁹. Do naszych czasów zachowały się przy ulicy Wielopolskiej resztki fundamentów tamtej synagogi. Przybywając na „jarmak” można było obserwować idących ulicą pobożnych Żydów z księgami pod pachą – w czarnych chałatach z atłasu, w lisich kołpakach na głowie, pod którymi zawsze tkwiły małe, okrągłe, aksamitne jarmułki, brodatych i pejsatych kupców, młodych chłopców w kaszkietach wciśniętych na kędzierzawe włosy, dziewczęta z niesfornymi kosmykami wysuwającymi się spod cieniutkich szalów czy starsze kobiety w śmiesznych, potarganych perukach.

W „Księdze Dębicy” czytamy: „Na początku osiemnastego stulecia żydowskie osiedle z trudem mieściło się w Starej Dębicy, której zachodnią granicę

wyznaczał dzisiejszy Potok Gawrzyłowski. Żydzi zaczęli się osiedlać na drugim brzegu: kupowali działki i budowali domy w Nowej Dębicy. Centralny plac Nowej Dębicy zwany był Rynkiem. Wszystkie budynki wyznaczające cztery pierzeje rynku zostały wzniesione przez Żydów. Aż do początku XX wieku w okolicy tej znajdował się tylko jeden dom chrześcijański. Podobna sytuacja miała miejsce w Starej Dębicy. Właścicielem tego domu, w którym znajdował się ogólnospożywczy sklep – pełniący również funkcję restauracji dla oficerów austro-węgierskiej armii oraz przedstawicieli polskich władz – był Stanisław Serednicki. Zakłady tkackie, krawieckie i szewskie zgrupowane były po jednej stronie rynku [...]. Stoiska mieściły się pod zadaszeniem. Stały tam kramy tkaczy oraz kupców handlujących ubraniami i barwionymi płótnami, wstążkami, koronkami itp. W pobliżu mieniącego się kolorami Rynku czaiła się jednak szara bieda żydowskiego ludu z jego codziennymi troskami”¹¹⁰.

Częste pożary i wojny obracały w perzynę drewniane budynki. Takie wielkie pożary miały np. miejsce w 1834 i w 1857 roku. Dziewiętnastowieczny historyk i folklorysta Żegota Pauli pisze: „Miasteczko Dębica, dość obszerne, pełne Żydów, nieporządnie zbudowane. Prawie całe przed dwoma laty ogniem spłonęło”¹¹¹.

Na miejscu niektórych drewnianych domów powstały kamienice, ale i one ulegały zniszczeniu, szczególnie w czasie I wojny światowej. Jednak handel trwał nieprzerwanie i ulice zawsze były pełne Żydów.

Taką Dębicę wspomina jeden z nich – Ruchama Bornstein: „Nie ma już Dębicy, Naszej Dębicy. I nie ma naszej dobrej ziemi, po której tak lubiliśmy spacerować [...]. Jakie cudowne były szabasy i święta w naszym mieście [...]. Modlitwy kruszyły mury [...]. Któż by nie pamiętał nabożeństw odprawianych przez naszego rabina [...]. Kto w piątkowe popołudnia tuż przed szabasem nie widział Żydów w pośpiechu idących do łaźni, aby odświeżyć i obmyć się z codziennych trosk i móc godnie uczestniczyć w nabożeństwie w synagodze?”¹¹². Tam, w synagodze znajdowała się ich największa świętość: zwoje Tory, czyli Pięcioksięgu, zawierającego prawo religijne i społeczne judaizmu, oparte na Starym Testamencie.

We wspomnieniach ocalałych z holokaustu wciąż ożywały barwne postacie żydowskiej społeczności dębickiej: rabi Chaim Szlezzynger, który nadzorował rytualny wypiek mac w wigilię święta Pesach, Szlomo Bornstein – właściciel hotelu usytuowanego niedaleko stacji kolejowej, znany od Krakowa po Lwów pośrednik handlowy Daniel Gerwitz, wyrabiająca piękne perłowe ozdoby Fejgele Kriger, właściciel młyna Szymon Grunspan, niewidomy kantor Lisze, właściciel apteki Zauderer, piekarni – Szlomo Herschlag i wielu, wielu innych.

Na przełomie wieków zaczął się wśród Żydów – również dębickich – rozwijać ruch syjonistyczny. Młodzi marzyli o tzw. „alii” do Izraela, by tam pra-

cować i tworzyć żydowskie państwo. Tylko nielicznym się to udało; zdecydowana większość żyła tradycyjnie, jak ich ojcowie i dziadowie.

„Wybuch I wojny światowej, w sierpniu 1914 roku, oznaczał nagłe przerwanie ciągłości żydowskiego życia w Dębicy. Gdy w kilka tygodni później armia rosyjska zbliżyła się do miasta, zdecydowana większość Żydów wyjechała. Uciekali wszelkimi dostępnymi środkami lokomocji [...] zdoławszy zabrać ze sobą jedynie najbardziej cenne przedmioty. Domy wraz z wyposażeniem oraz sklepy z towarami – porzucono”¹¹³.

Opuszczone mienie zostało zdewastowane przez rosyjskich żołnierzy, ale też polskich cywilów. „Rząd Austro-Węgier dał uchodźcom schronienie w Czechach [...], a w 1916 roku rząd austriacki przysłał po nich specjalne pociągi, które zawiozły ich powrotem do domu [...]. Miasto było prawie w całości zrujnowane i spalone. Jednak Żydzi zaczęli się w nim urządzać na nowo – najlepiej jak umieli”¹¹⁴. Trochę w tym „urządzaniu” pomagały władze, trochę krewni, którzy wyemigrowali do Ameryki, a przede wszystkim przedsiębiorczość samych żydowskich mieszkańców.

Dla ożywienia handlu w 1916 roku postawiono na rynku drewniany barak nazywany „austriacką trumną” – jako że był wątpliwej urody – w którym znajdowały się sklepiki żydowskie, a który przetrwał tam do 1934 roku. Po zakończeniu działań wojennych powoli odbudowywano też żydowskie domy – już murowane, bardziej nowoczesne; i znów rynek zaczął tętnić życiem.

Proporcje ludności polskiej i żydowskiej ulegały wciąż zmianom. Wnuk Aleksandra Fredry – pisząc w 1900 roku pozdrowienia znad Wisłoki do sędziwego pisarza Józefa Kraszewskiego – pytał, co słychać w Warszawie, „bo w Dębicy prócz Żydów nic nie słychać prawie”.

Rzeczywiście: „W XIX stuleciu Dębica była dużym skupiskiem ludności żydowskiej, znacznie przekraczającym swą liczebnością pozostałą ludność nieżydowską [...], przed drugą wojną światową już tylko co czwarty obywatel miasta był Żydem. Było to rezultatem napływu ludności polskiej, wywołanego rozwojem przemysłu”¹¹⁵.

Jehuda Petcher wspomina, że tuż przed II wojną światową coraz bardziej narastały nastroje antyżydowskie. Również „zgodnie z planami opracowanymi przez rząd, fabryki COP-u nie mogły zatrudniać żydowskich robotników ani korzystać z usług żydowskich dostawców. Dębica rosła w siłę, aczkolwiek jej żydowska populacja stale podupadała”¹¹⁶.

A przecież pierwsze zakłady usługowe i rzemieślnicze, jak np. fabryczka wyrobów powroźniczych i mat trzcinowych z lat osiemdziesiątych XIX wieku zatrudniająca 15 osób, fabryka obuwia, 2 młyny i tartak parowy powstały w Dębicy dzięki Żydom. Stosunki między nimi a mieszkańcami polskiego pochodzenia układały się na ogół poprawnie. Polacy mieli świadomość, że rozwój miasteczka należy zawdzięczać właśnie Żydom, ale drobne animozje

wciąż były obecne. Zwłaszcza gorzej prosperujący kupcy polscy od początku niechętnie patrzyli na konkurencję.

Pochodzący z Zawady Jan Składzień pisał: „Okolo roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego zaczęli Żydzi sprowadzać materiały bawełniane, płótna, barchany, płócienka kolorowe. Ceny były niskie i nie opłacało się siać lnu, bo za zboże z tego kawałka ziemi można było kupić więcej materiału niż wyrobiło się płótna w domu. Handlarze sprowadzali coraz to inne materiały na ubrania, a ludność chodząc do Dębicy podziwiała te cuda i coraz częściej je kupowała. Odtąd zaczęto pysznić się strojem, a do przesady pod tym względem doszło po wojnie światowej, kiedy to z braku wełny i bawełny zaczęto sprowadzać z zagranicy jedwabie. Stroili się jedni naprzeciw drugim według ostatniej mody i żurnali, wyrzucając grosz niepotrzebnie”¹¹⁷.

Pamiętający sytuację panującą w miasteczku w okresie międzywojennym – pewnie najślynniejszy dębiczanie – Krzysztof Penderecki wspomina: „Dębica była żydowskim miasteczkiem. Polskich rodzin było około dwustu. Stanowiliśmy mniejszość. Dziadek dawał mi pieniądze na cukierki, ale pod warunkiem, że nie kupię u Żyda. Choć akurat oni mieli lepsze i tańsze cukierki. Pamiętam pyszne mordoklejki za grosz albo dwa. Jeszcze po wojnie na sklepie w Dębicy widniał duży czarny napis: „Sklep katolicki. Nie kupuj u Żyda”. Nie miało to nic wspólnego z antysemityzmem. Chodziło o wspieranie katolickich kupców. Obok polskiego mieścił się żydowski sklep Kornreicha, ten z tańszymi i lepszymi cukierkami. Kornreich był też słynnym znachorem. Zjeżdżali się do niego chorzy ludzie z całej okolicy”¹¹⁸.

Rozpoczynający swą działalność handlową kupcy pochodzenia polskiego z trudem rywalizowali z zasiedziałyymi, doskonale znającymi tajniki handlu, sprytnymi i wszechobecnymi Żydami. Stąd ich niechęć, stąd hasła: „Nie kupuj u Żyda”, stąd agitacja promująca polskie sklepy utożsamiane z katolikami. Tak jak w żydowskich, można w nich było kupić: „szwarc, mydło, powidło i inne delikatesy”. Niektórzy przestrzegali, że trzeba uważać, bo „Żyd każdego ma przy sobie trzech diabłów: w jarmułce, w brodzie i za pasem. Stąd naprzód kłania się jarmułką, później głaszcze się pod brodą, a potem ręce za pas kładzie”¹¹⁹.

Moi dziadkowie, którzy na szyldzie swego sklepu w ich domu w Bobrowej umieścili napis: „Handel Towarów Mieszanych i Wódek” nie zważali na te przestrogi i kupowali potrzebne towary zarówno u Polaków, jak i u sprawdzonych dębickich Żydów. Jednym z nich był Hauser, mający swój sklepik przy rynku; będący także właścicielem drukarni. W każdy czwartek jeździli po gwoździe i igły, sznurek i zapałki, sól i kawę, herbatę i cukier, drożdże i „marmulade”, świece i przyprawy, po naftę i alkohol, a także po papierosy, bo prowadzili też trafikę tytoniową.

W sklepie dziadków zawsze było gwarno. Mieszkańcy Bobrowej lubili tu przychodzić. Często rozsiadali się na dłużej, palili skręty, słuchali nowinek, gwarzyli. Aleksander Bacher żartobliwie mówi o asortymencie w tym sklepie:

„Sklep był pełen towarów:

Przybory szkolne, krawieckie, szewskie,

Pinezki, gwoźdźniki, żywność, papierosy,

Zabawki, grzebyki, alkohol w butelkach,

Ocet, lemoniada, mydło i powidło,

Ciastka, czekolada”...¹²⁰.

Dziadkowie cenili solidność żydowskich dostawców, terminowość transakcji, a także jakość i różnorodność oferowanych artykułów. Najczęściej zaraz po załadowaniu furmanki wracali do domu, ale zdarzało się, że wstępowali do starej karczmy; tej zbudowanej jeszcze w XVIII wieku, która znajdowała się obok rynku, by napić się herbaty, a zimą trochę ogrzać przed powrotną drogą, zaś latem w największe upały fundowali sobie małe lody produkowane – jak głosiła reklama – „metodą krakowską” w modnej cukierni Eugeniusza Kici, lub odwiedzali krewnych Bacherów czy Sojków.

Do Dębicy po towar wyruszano w każdy tydzień bez względu na pogodę. Nie mogło przecież w sklepiku zabraknąć soli, nafty czy papierosów. Niekiedy zimą jedna z osób musiała iść przed koniem i trzymając go za uzdę „gruntować” drogę wśród zasp czy zawiei. A zaprzęg konny był jeszcze długo jedynym łącznikiem z miastem. Furmanką jeździło się na targ, do lekarza czy na stację kolejową, gdy ktoś wyjeżdżał do innego miasta na pogrzeb, na wesele lub udawał się w jakąś ważną podróż, np. do Ameryki. Ojciec Lina odwozi go na dworzec, gdy ten – po wojnie – postanawia szukać dla siebie szczęścia we Wrocławiu.

Będąc w Dębicy, można było obserwować wieśniaków przybyłych z okolicznych wiosek, miejscowych „kościorzy” – bo tak nazywano pogardliwie mieszkańców miast, jako że niby obgryzają kości kupowane w „tanich jatkach”, gdy na wsi je się prawdziwe mięso – pojazdy jadące ulicą wzdłuż rynku i zmierzające do Rzeszowa czy nawet do Lwowa, młodzież spieszącą do pobliskiego gimnazjum czy Żydów zdążających do „buźnicy” na modlitwę.

Zarówno gmach zbudowanego na początku wieku gimnazjum, jak i budynki żydowskiej bożnicy wyróżniały się spośród innych; budziły podziw i respekt. W gimnazjum uczyły się dzieci chłopów i mieszczan przybyłych tu nawet z odległych miejscowości, a także wielu Żydów pochodzących z bogatszych rodzin. Ci ostatni w soboty przychodzili na lekcje, ale pozwalano im, by nie pisali tego dnia, gdyż zabraniała im tego religia.

Również w szkole zawodowej [mieściła się w budynku obok kościoła świętej Jadwigi] do której uczęszczała moja mama, Żydówki – bowiem była to klasa żeńska – były traktowane z życzliwością. Na zachowanym zdjęciu wskazywa-

ła Ryfkę, Cyle, Salcię, Rachelę o charakterystycznych, semickich rysach, które przyjaźniły się z dziewczętami z polskich rodzin. Młodzież żydowska uczyła się też w chederach, gdzie czytano i interpretowano Święte Księgi. Przy ulicy Świętosława zachował się do dziś budynek dawnego żydowskiego chederu. Inny znajdował się naprzeciw dawnej synagogi. W tej samej izbie, gdzie wokół stołu gromadzili się uczniowie, żona rabina gotowała obiad czy skubała i patroszyła kaczki, przeznaczone do sprzedania na targu. Dzieci przychodziły tu najczęściej już o świcie, potem szły do szkoły świeckiej, by po południu znów wrócić do chederu. Czasem uciekały nad rzeczkę [Potok Gawrzyłowski] albo w zimie nad zamrożone rozlewisko za mykwą, ale szybko były przywoływane do porządku; niekiedy nawet przy pomocy różgi.

Aż na rynek, gdzie od świtu panował jarmarczny zgiełk, z okazałej „nowej” synagogi dochodziły głosy modlących się Żydów. Budowla ta powstała już na początku XVIII wieku, gdy Żydzi uzyskali pozwolenie na osiedlanie się w zachodniej części miasta, gdzie wytyczono obecny rynek, nazwany Nowym. Jednak wkrótce spłonęła i dopiero po sześćdziesięciu latach została odbudowana, a wokół Nowego Rynku rozkwitł handel.

W okresie dwudziestolecia prężnie działały żydowskie banki, chętnie udzielające kredytów, wielką popularnością cieszyła się kuchnia dla ubogich, przytułek, rozwijał się ruch skautowski, powstał klub sportowy, na Błoniach były korty tenisowe i boisko do piłki nożnej.

Przyjeżdżający do Dębicy mogli podziwiać budowę domu i kościoła klasztornego przy ulicy Krakowskiej, które wznosiły Siostry Służebniczki sprowadzone z Wielkopolski w 1882 roku przez hrabiostwo Karolinę i Karola Raczyńskich. Początkowo zajmowały budynek należący do parafii świętej Jadwigi, a po pięciu latach, przy ówczesnym trakcie cesarskim wybudowano dla nich parterowy dom z kaplicą. Prowadziły tu ochronkę dla biednych dzieci, bursę dla uczniów gimnazjum, szwalnię dla dziewcząt, pracowały w czasie I wojny w Szpitalu Wojskowym, opiekowały się ubogimi, sierotami, a w okresie hitlerowskiej okupacji dożywiały jeńców, niosły pomoc uciekinierom, ukrywały żydowskie maluchy. W sierpniu 1932 roku nowy, dwupiętrowy dom i neorenesansowy kościół klasztorny pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny został poświęcony przez biskupa Edwarda Komara. Kościół był piękny, zadbane i wielu przybyłych do miasta wstępowało tam choćby na chwilę, żeby się pomodlić. Urzekła zwłaszcza śliczna, drewniana figura Matki Boskiej Niepokalanej przywieziona aż z Tyrolu, a w bocznym ołtarzu, po babskiej stronie – tak samo jak w kościele nagoskim – spoglądająca łaskawie z obrazu na modlących się – Matka Boska Nieustającej Pomocy.

W latach trzydziestych dzięki staraniom ówczesnego burmistrza Michała Staronia rynek radykalnie zmienił swój wygląd. Rozebrano rozwalające

się drewniane stragany, utwardzono nawierzchnię, a w południowej części – tzw. „spacerowej” posadzono ozdobne drzewa i kwiaty.

Największy ruch panował w mieście oczywiście w dzień targowy. Atmosferę takiego miejskiego jarmarku przedstawił pisarz i publicysta Jerzy Braun:

„Cały rynek i wszystkie uliczki, wypełniały się chmarami bab idących z koszami i kobiałkami na targ, hałasem pędzących wozów, rykiem bydła i rżeniem koni [...]. Ćmiły oczy stragany z tandetnym towarem [...], ogłuszał hałas targowiska, nawoływanie przekupniów, krzyk gęsi, gdakanie kur, chrząkanie świnek”¹²¹.

W Dębicy odbywały się od dawna popularne targi koni. Zaczęły się dzięki Żydom. Jeden z nich, Herszel z Radomyśla, wybudował obok rynku magazyn dla koni, które skupował z całej okolicy, a następnie wysyłał koleją aż do Prus. Na targi koni jeździli do Dębicy również bobrowscy handlarze. Sprzedaż i kupowanie koni to był cały rytuał, w czasie którego sprawdzano zalety i wady koni, a udana transakcja kończyła się „przybijaniem” dłoni i poczęstunkiem; był to wspomniany już „litkup”. Podobno znany pisarz okresu Młodej Polski Stanisław Przybyszewski – chcąc dokuczyć innemu pisarzowi, Sewerowi-Maciejowskiemu, który wtedy gospodarzył w Braciejowej – pytał go: „Słuchaj, Sewer, czy to prawda, co mówią, że w Dębicy sprzedałeś na jarmaku komuś konia z przyprawionym ogonem”?¹²².

Nie było to jednak chyba możliwe, a Sewer znał się na literaturze, a nie na koniach. Prawie zawsze w czasie transakcji korzystano z rad kompetentnych przyjaciół, więc pewnie nikomu konia ze sztucznym ogonem nie udało się sprzedać. No, chyba, że Cyganom, bo ci byli mistrzami w handlu końmi. Potrafili przekonać do nabycia nawet najgorszego wałacha. Znali bowiem sztuczki, jak takiego konia zaprezentować i odmłodzić.

„Siwą sierść wokół oczu można pomalować henną, kopyta zamoczyć w gęstej oliwie lub w roztopionym łożu, grzywę i ogon przyciąć tak jak u młodego. Obowiązkowo spiłować zęby. Jeśli koń był za chudy, Cyganie kilka dni przed targiem dosypywali mu do karmy niegaszonego wapna [Zdychał później, ale już w rękach nowego właściciela]. Gdy kulał na lewą, przednią nogę, ranili go w prawą. Bolały go dwie, więc przez pewien czas nie kulał wcale. Jak koń był narowisty, poili go denaturatem.”¹²³.

Jarmark – pewnie dębicki – wspomina również Jarosław, Mikołajkowy bohater ze „Ślepych gwiazd”:

„Rozejrzał się dokoła; dzień był targowy, chłopskie furmanki kołatały po wybojach. Na torach kolejowych manewrował parowóz: wystrzelający z komina zwarty słup dymu z wolna rozpływał się w jasnej przestrzeni. Z targowiska dobiegał nasilający się gwar, w podcieniach rynku przekupki nagabywały przechodniów. Wymyty deszczami błękit rozpinał się nad starym i nowym miastem”¹²⁴.

Arkadiusz Więch w opracowaniu „Miasteczko. Życie codzienne mieszkańców Dębicy w latach 1900-1939” pisze, że na jarmark do Dębicy ściągali mieszkańcy wielu miejscowości. Wymienia m.in. właśnie z Bobrową, a także Braciejową, Górę Motyczną, Lubzinę, Nagawczynę, Nagoszyn, Pilzno, Stasiówkę, Straszecin, Zasów, Zawadę, Żyraków¹²⁵.

Mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa zawsze chętnie jeździli na „jarmak”. Wracali późnym popołudniem, zabierając po drodze tych, którzy zdążali pieszo; niekiedy „na krótsze” przez „Kendzysz” [Kandzierz]. Zawsze „taszczyli” do domu coś pożytecznego; a to „łopołke”, a to „bicysko”, a to nową „motyckę” czy „grace”. Gdy udało się sprzedać świniaka, parę kur, gęsi czy królików, można było też przywieźć jakąś zabawkę dla dzieci. Zazwyczaj były to drewniane, malowane w krzykliwe barwy „od marchwi” świszczące ptaszki czy czupurne kogutki przymocowane do deseczki na kółkach tak, że podczas pchania dyszła trzepotały skrzydłami okrutnie skrzypiąc; czasem też jakieś miniaturowe taczki, furki zaprzężone w koniki, maleńkie kołyski czy wózki dla lalek.

Na targ do Dębicy – zwłaszcza w niektóre środy np. przed świętami – całe rano ciągnęły bobrowskim gościńcem konne wozy i szli niestrudzeni piechurzy. Każdy gospodarz miał w mieście jakiś ważny interes do załatwienia, mógł też spotkać znajomych, czy wziąć udział w zawsze pasjonującej ceremonii targowania.

Niekiedy – choć rzadko – jeżdżono też we czwartek na targ do Przecławia. Autor „Niezwyczajnej historii [...] Gminy Przecław” pisze:

„W okresie międzywojennym, wokół rynku, stały trzy ostatnie drewniane domy z podcieniami [...]. Rynek był miejscem handlu i wymiany towarowej całej okolicy. Tu koncentrowało się życie miasteczka. Wśród mieszkańców rynku dominowała ludność żydowska. Wokół rynku funkcjonowały jatki, sklep bławatny, artykuły kolonialne, szklarz, cukiernia, handlarz bydłem. W owym czasie w miasteczku było 15 sklepów żydowskich i jeden prowadzony przez katolika [...], na placu hrabiowskim wznosiła się karczma, a na południowym stoku miejskim synagoga [...]. Przekupnie z Ropczyc przywozili warzywa i owoce. Sprzedawano garnki z Niwisk, maselnice i kosze [...]. Jarmark to była uciecha dla miasta [...]. Przysmakiem były kręcone bułki z Radomyśla, precle i obwarzanki”¹²⁶.

Tak jak ten w Przecławiu, rynek dębicki tętnił handlem; także i tu były jatki, kramy z wszelakim towarem, i tu „ropcycanki” handlowały cebulą i innymi warzywami, bo na tamtejszych glebach udawały się najbardziej dorodne i smaczne, czego ślad możemy znaleźć w popularnej ludowej piosence: „Ludzie moi, ludzie, cebula staniała, za co jo se bede korole sprawiała”? Tu można było kupić owoce, gliniane garnki, doniczki czy dzbanki, drewniane „maśnicki”, stolnice, „toloki” czy łyżki, wiklinowe kosze, „łopołki” czy szafki; handlowano maścią na odciski, szuwaksem do butów i osełkami do noży. Tu

w drugiej połowie lat dwudziestych wybudowano okazały gmach spółdzielni „Żniwo”, w którym rolnicy mogli zakupić m.in. sprzęt rolniczy. Można było też wstąpić do banku, by uzyskać konieczną pożyczkę, kupić potrzebne leki w aptecę Gardziela czy inne produkty codziennego użytku.

Mikołajek również ukazywał Dębicę pamiętającą międzywojenne i tuż-powojenne czasy. W powieści „Żegnajcie chłopcy” wygląd miasteczka, które przemierza Bluszcz po opuszczeniu leśnego oddziału, odpowiada topografii Dębicy, jaką znali nasi rodzice i dziadkowie. Możemy „rozpoznać” w tym opisie kościół świętej Jadwigi, gmach sądu, w którym było również więzienie, a który był jednym z pałaców Raczyńskich, wybudowanym przy dawnym rynku, gdzie początkowo znajdowała się administracja klucza Dębica, gdzie przyjmowano gości lub mieszkała przez kilka dni rodzina właścicieli. Dalej przedstawiony jest widok na ulicę Gawrzyłowską, u której końca wznoszą się wzgórza Stasiówki. Niedaleko stąd rynek z boczną ulicą Słowackiego zamkniętą okazałym gmachem gimnazjum, następnie kończąca rynek ulica, gdzie mieścił się budynek UB, i dalej – Krakowska z żydowską bożnicą i szpital u sióstr przy kościele klasztornym:

„W słońcu podnosił się kolorowy kurz, zmęczone upałem drzewa stały nieruchomo. Biegnąc wzrokiem po linii ich wierzchołków, dotarł do otaczających kościół lip [...]. W pobliżu kościoła było więzienie. Obszedł je dokoła i znów znalazł się na przykościelnym placu. Po głównej drodze hurkotały ciężkie furmanki z cegłą, końskie kopyta krzeszały iskry”¹²⁷.

„Stał przed gmachem sądu i więzienia, zwrócony na południe. Naprzeciw wylotu ulicy, przy końcu której zaczynały się góry”¹²⁸.

Mikołajek opisuje również Dębicę w związku z jedną z akcji oddziału partyzanckiego przeciwko nowej, powojennej władzy, w której Bluszcz został ranny:

„Na początku lutego napór zelżał i wtedy Stary zarządził odmarsz w góry. Na podwodach, żeby chłopcy nie styrali się za bardzo. Odważnie wjechali do miasta [...].

– Jeszcze czas – myślał – jeszcze czas. Zeskoczyć i między domy. Nikt ścigać nie będzie, nikt nie jest tak głupi – myślał patrząc na gmach sądu, w którym mieściło się główne więzienie. Nie zeskoczył. A furmanki skręciły w ulicę wiodącą prosto w góry”¹²⁹.

„Bitwa zaczęła się wśród pierwszych wzgórz. Szarozielone postacie ogarniały ich łukiem tyraliery. Bluszcz z kilkoma chłopcami leżał za kępą krzaków. Widział dachy miasta”¹³⁰.

„Oprzytomniał na saniach [...]. Zobaczył rynek, w bocznej uliczce mignął okazały gmach liceum. Bliżej knajpa [...]. W drzwiach knajpy stała gromadka ludzi. Niewielka to atrakcja, że wiozą bandziorów, ale zawsze popatrzeć można.

Pozostałe podwody skręciły w stronę Urzędu, ta jedna nadal jechała prosto. Zrozumiał, że do szpitala [...]. Sanie skręciły na wyjeżdżony podjazd.

Zszedł o własnych siłach. Krew kapłała mu z głowy na ramię czarnym, nieustannym sznureczkiem. W korytarzu usiadł na szpitalnym wózku.

– Takiś teraz słaby? Siedź już, nie wstawaj. Podeszła do niego siostra zakonna o twarzy starej chłopki”¹³¹.

Mikołajek przedstawia też inne, charakterystyczne miejsca Dębicy: gmach „Sokoła”, stację kolejową, wiadukt, koszary, most na Wisłoce.

W „Trójkacie błędów” i w „Żegnajcie chłopcy” opisuje też przewożenie do więzienia przegranych członków „band” i – wspomnianą już – egzekucję akowców na rynku w dniu 10 lipca 1946 roku:

„Nieraz widziałem jeńców: obszarpanych albo eleganckich, o rozbieganych lub zasłoniętych rękami oczach. Często też były uroczyste pogrzeby i klepsydry – afisze.

W lutym nastąpiła odwilż, potem spadł śnieg [...]. Zaraz za pierwszym skrzyżowaniem usłyszałem turkot oblepionych śniegiem kół. Ukryłem się.

Widziałem ich. Na pierwszej furmance jechał Stary. Czarne wąsy miał oszronione, brodę schował w kołnierzu kozucha. Na ostatniej Bluszcz przypalał od kogoś papierosa. Szacha oczywiście nie było, nie widziałem też Sokoła i kilku innych. W dolinach musieli ich silnie naciskać, skoro przynosili się w góry. Ta brawurowa jazda przez środek miasta nie budziła we mnie podziwu ani zazdrości [...]. Godzinę później baon wyruszył w pościg. Po południu wieziono jeńców, między nimi Bluszcz. Był ranny, stał w kielni chłopskiego wozu obstawiony lufami. Włosy miał skołtunione, sklezione śniegiem [...]. Kończył swoją grę”¹³².

Schwytanych akowców skazano na karę śmierci. Brawurowy przejazd partyzantów przez Dębicę i tamtą lipcową środę ludzie obecni na rynku zapamiętali na zawsze.

Strasznych przeżyć związanych z wojną los nie oszczędził nie tylko bohaterom podziemia, ale i Żydom, których dramat zaczął się już na początku okupacji w 1939 roku.

Niemcy zajęli Dębicę już 7 września. Podpalili synagogę, zabili troje mieszkańców pochodzenia żydowskiego, nakazali nosić opaski, wyrzucali z domów i z zakładów pracy, zakazali opuszczać miejsce zamieszkania, podróżować, wreszcie zamknęli w getcie niedaleko dworca kolejowego. Do dębickiego getta przywieziono też wielu Żydów z Pilzna, Sędziszowa, Ropczyc, Wielopola, Radomyśla i innych miejscowości. Warunki życia były tam niezwykle trudne. Żydzi pracowali przy rozbudowie węzła kolejowego oraz przy budowie lokomotywowni, co wiązało się z planami Niemców, dotyczącymi napaści na Związek Radziecki. Ściśnięci w prowizorycznych barakach cierpieli głód, zimno, choroby. Wielu z nich rozstrzelano, w czym przodowali: Julius Garbler – szef dębickiego Gestapo i policjant Robert Urban, wielu też wysłano do nowo po-

wstałego obozu w Pustkowie. Pracujący na kolei przynosili niepokojące wieści o mających się wkrótce rozpocząć wywózkach do obozów śmierci.

„W dniu 10 lipca 1942 roku Niemcy przystąpili do likwidacji ludności żydowskiej w całym powiecie. W tym celu przywieźli do Dębicy około 2 tysiące Żydów z różnych miejscowości powiatu. W Dębicy znajdowało się w tym czasie już około 2 tysiące Żydów zamkniętych w getcie. Wszystkich spędzili na tzw. Księżę Łąki obok getta. Tutaj przeprowadzono selekcję ofiar. Zdrowych i zdolnych do pracy odesłano z powrotem do getta. Starców, kobiety i dzieci w liczbie 574 osób wywieziono do lasu na Wolicy, gdzie ich zamordowano”¹³³. Cztery lata po wojnie miejsce to przykryto betonową płytą i ustawiono tablicę pamiątkową.

Pozostałych dębickich Żydów zamkniętych w getcie wywieziono do obozów w Bełżcu i Pustkowie. Świadek tamtych wydarzeń – Krzysztof Penderecki wspominał:

„Podczas okupacji przez jakiś czas, niedługo, mieszkaliśmy w Rynku, drzwi w drzwi z rodziną żydowską. Później zabrano ich do getta. Kiedy je likwidowano w lipcu 1942 roku, z okien od podwórza widać było dantejskie sceny. Patrzyliśmy na nie z bratem. Starców mordowano na miejscu...Widziałem ich wleczonych, poniewieranych, zabijanych strzałem w tył głowy. Byliśmy przerażeni, ale dziecięca ciekawość była większa niż strach [...]. Nie chcę więcej o tym mówić”¹³⁴.

Również Antoni Stańko był świadkiem tragicznych wydarzeń w getcie dębickim:

„Był pogodny lipcowy dzień 1942 roku, kiedy to zobaczyłem na tzw. „Księżych Łąkach”, położonych w pobliżu dworca kolejowego, spędzonych z getta Żydów, uformowanych w prostokątne grupy, klęczących i modlących się w oczekiwaniu na załadunek do wagonów. Ten charakterystyczny modlitewny pomruk słyszę do dziś. Żandarmi niemieccy przechadzali się korytarzami, utworzonymi pomiędzy grupami i wszelkie naruszenie szyku karali biciem. Wokół tego ponurego teatru grozy i barbarzyństwa stało wiele gapiów w grobowym milczeniu [...]. Wydawało mi się, że uczestniczę w jakimś makabrycznym pogrzebie tłumu jeszcze żywych [...]. Pewnej liczbie Żydów udało się zbiec, szukając pomocy na peryferiach miasta”¹³⁵. Na słupach przy dębickich ulicach mogli zobaczyć plakaty, grożące śmiercią każdemu, kto pomoże Żydom i inne zawierające ostrzeżenie: „Żydzi – wszy – tyfus plamisty”.

Dramat Żydów dotknął także wioskę mojego dzieciństwa. Był gorący sierpień 1942 roku. Właśnie wtedy – niespodziewanie – w spokojnych domostwach bobrowskich Żydów pojawili się esesmani. I wtedy ostatni raz widziano tych ludzi; sąsiadów i przyjaciół.

W przedwojennej Bobrowej żyło podobno sześć ortodoksyjnych rodzin żydowskich, przestrzegających wszystkich zasad Talmudu, a zajmujących się handlem.

Sąsiadujący z babcią Józią Ślama miał kawałek ziemi, którą obrabiał wraz z synami, zajmował się też skupowaniem różnych starych przedmiotów; najchętniej drewnianych mebli, które restaurował. Dzięki zdolnościom stolarskim odnawiał je tak pięknie, że wyglądały jak nowe. Sprzedawali je później dwaj jego bracia mieszkający w Dębicy, gdzieś przy ulicy Cmentarnej.

Ślama miał czworo dzieci: trzech chłopców o imionach: Haskiel, Śmielek i Kielek oraz córkę Ewke. Najmłodszy syn pracował na kolei i czasem przybiegał do dziadkowego sklepu po kawałek kiełbasy, prosząc równocześnie, by nie wydać go przed ojcem. Córką Ewke przyjaźniła się z moją mamą, która nieraz szła do jej domu, by zapalić zapałką ogień w piecu, bo w święta żydowskie każda praca, nawet podpalenie ognia było wielkim grzechem. Pewnego razu za namową Ewki obciąła jej gruby, rudy warkocz i to tak nierówno, że z jednej strony włosy kończyły się na szyi, a z drugiej nad uchem. Mama Ewki strasznie się gniewała i krzyczała, choć tak naprawdę była kobietą łagodną i serdeczną. Brała swoją najmłodszą pociechę na kolana i huśtała śpiewając:

„Do Krakowa jedzie pan, na koniku sam, sam, sam.

A za panem jedzie chłop, na koniku hop, hop, hop.

A za chłopem jedzie Żyd, na koniku dyg, dyg, dyg.

A za Żydem Żydóweczki. Pogubiły pakuneczki:

Hotala, hotala bęc!”

I przy tym: „bęc” – przechylała malucha do tyłu, a on krzyczał głośno – trochę ze strachu, a przede wszystkim z radości.

Na ścianach ich mieszkania nie było – tak jak u nas – świętych obrazów. Ale do framugi drzwi przytwierdzona była „mezusa” czyli zwitek pergaminu z fragmentami „Tory”, a w specjalnym piecu zwanym „szabaśnikiem” przygotowywane były koszerne potrawy. Ślama nawet do marynarki, którą niekiedy nosił, nie zakładał krawata, bo gesty konieczne przy jego zawiązywaniu przypominały znak krzyża. Przestrzegał wszystkich żydowskich rytuałów i wiele się modlił. Wtedy na głowę wkładał czarną mykę, rytualną szatę zwaną też „kipą”, taśes czyli rodzaj szala z frędzlami, a na czole i na ręce wiązał specjalne modlitewne kostki. Kiwając się, długo mamrotał niezrozumiałe słowa modlitw i nikomu nie wolno było mu przeszkodzić. W lipcu przyjeżdżali do niego okoliczni Żydzi z Nagoszyna, Korzeniowa i Żyrakowa, by wspólnie obchodzić Kuczki czyli Święto Namiotów, w czasie którego przygotowywano specjalne potrawy:

„Na początku piekli mace i barana,

Potem przyprawione ziołami pieczywo.

Jedli i śpiewali pobożnie do rana”¹³⁶.

Druga żydowska rodzina – Jankielów mieszkała w dużym domu obok ludowca. Jankiel, który prowadził sklep, skup jajek, króliczych skórek, handlował zbożem, cielętami, hodował krowy, konia, uprawiał kawałek pola – był najbogatszym bobrowskim Żydem. Ponieważ sprzedawał tylko koszerne towary, nie miał kielbasy, mięsa, papierosów, alkoholu, przychodziło do niego zbyt mało klientów, więc sklepik splajtował. Na dodatek – jak wspomina Bronisław Harla – niektórzy trochę mu dokuczali, więc w końcu sprzedał gospodarkę i wyjechał z Bobrowej jeszcze przed wojną. Jego ziemię i dom odkupił ojciec mojej koleżanki Ceśki. Często zachodziłam do niej, nie wiedząc nawet, że kiedyś mieszkali tam Żydzi.

Obok Jankielów mieszkał Żyd Chorem, który prowadził bobrowską karczmę.

Na końcu wsi były jeszcze trzy rodziny żydowskie: handlowali cielętami, skupowali i sprzedawali skóry. Żadna z tych rodzin nie była bogata; daleko im było np. do rodziny Bohrerów zamieszkujących sąsiednią Wolę Żyrakowską, gdzie pod koniec XIX w. Aron Bohrer był posiadaczem 170 ha ziemi, do ostatnich właścicieli dworu i lasu w Nagoszynie – Schindlingów, czy Frydmanów – Żydów z Mielca, którzy po parcelacji gruntów dworskich w 1921 roku zakupili nagoski las i prowadzili w Nagoszynie karczmę.

Zresztą karczmy były prawie w każdej wsi, również w wiosce mojego dzieciństwa. W „Wędrówkach po gminie Żyraków” znajdujemy nawet informację, że w XVI wieku w Bobrowej było 2 karczmy.

Ich wygląd był podobny do tej w Nagoszynie, która „ustawiona była frontem do drogi, a przed wejściem było zadaszone miejsce dla koni”¹³⁷. Przed karczmą zawsze był plac dla wozów, wewnątrz duże pomieszczenie z szynkiem, a na zapleczu najczęściej mieszkanie dla karczmarza i rodziny; zazwyczaj licznej, gnieźdzącej się w ciemnej izdebce z małymi okienkami. Podróżujący z Rzeszowa do Tarnowa XIX-wieczny zbieracz pieśni ludowych Ludwik Zejszner – znudzony monotonią krajobrazu naszych okolic – pisał:

„W pewnych [...] oddaleniach karczmy powychylały na gościniec otwarte wrota, nadstawiając je jak ogromną paszczę, gotową do pożarcia podróżnego z całym pakunkiem i zaprzęgiem”¹³⁸.

Zapewne nasze karczmy – ta nagoska i bobrowska – nie liczyły na bogatych podróżnych, ale chyba też chciwie „wychylały się”, upatrując potencjalnych klientów.

A tych klientów pewnie nie brakowało, wszak „ośrodkiem życia włościanina była karczma [...]”. Specjalne znaczenie miał we wsi Żyd-arendarz. Do niego zwracali się chłopci po nowe wiadomości, a także o radę i pomoc. U Żyda były też pieniądze, które mógł chłopcu pożyczyć na lichwiarski procent. Co niedzielę Żyd zamawiał do karczmy muzykanta, który przygrywał do zabawy do białego rana. Czasem odbywały się w karczmie bójki na noże

i drągi. Ale nie wszędzie tak było. W Nagoszynie w karczmie panowała miłość, zgoda i solidarność”¹³⁹.

A może było tak, jak w „Chłopach” Reymonta: „Tęgo sobie podpili, że już wszyscy razem gadali, a brali się w bary, a obłapiali, a całowali i kuźden drugiemu był bratem i przyjacielem, zwyczajnie, jak przy gęstym kieliszku. Ino Żyd uwijał się cicho i stawiał coraz nowe kwarty i butelki z piwem, a zapisywał kredą na drzwiach, co kto stawiał”¹⁴⁰.

Trudno uwierzyć w ten prawie sielankowy obrazek, ale może tak rzeczywiście było.

Pewnie nie zaglądali do tej nagoskiej karczmy – po wyjściu z kościoła – mieszkańcy mojej wioski, bo na pewno nie byłoby tak cukierkowo, znając animozje obu miejscowości. Świadczyć może o tym kolejna informacja: „Do karczmy zachodzili gospodarze z Nagoszyna po niedzielnej sumie, by pogawędzić z sąsiadami i podzielić się nowinami. Karczma była miejscem zebrania gromady wiejskiej”¹⁴¹.

Bobrowianie zapewne spod kościoła natychmiast wyruszali do domów; bez żalu, bo przecież po drodze mieli bobrowską karczmę koło ludowca. Ta karczma też była ważnym centrum spotkań, ośrodkiem życia towarzyskiego, miejscem, gdzie przekazywano sobie zasłyszane nowiny i gdzie dyskutowano na różne tematy. Jej właścicielem był wspomniany Chorym. Pewnie w niej – tak jak w tej opisaney przez zawadzkiego pisarza przełomu wieków Jana Skłodzenia – „pito w każdą niedzielę i zabawiano się do rana. Niektóre kobiety donosiły tam mężom jedzenie i przy okazji same popijały. Księża nie zakazywali wstępowania do karczmy, by nie narazić się dworowi, który wódkę wyrabiał i sprzedawał [...]. Przepijano w karczmach grunta i pieniądze”¹⁴².

Nie zawsze jednak tak było. W niektórych wsiach na skutek prowadzonej agitacji, m.in. właśnie przez księży, karczmy zamykano, tak jak i gorzelnie, które były własnością ziemian, mających prawo tzw. propinacji, czyli wyrobu i sprzedaży alkoholu. Zaopatrywali więc w ten alkohol karczmy; najczęściej będące ich własnością, a tylko dzierżawione przez Żydów. Zapewne więc zabiegi księży walczących z pijaństwem sprawiły, że bobrowska karczma Choryma splajtowała, a on sam przeniósł się do Kandzierza, gdzie zarabiał, przewożąc ludzi krypą przez Wisłokę. Jak wspomina Bronisław Harla, Chorym był człowiekiem uczciwym, a jego dwie córki przyjęły chrzest i wyszły za mąż za chłopaków z Bobrowej. Koncesję na wyszynk wódki i piwa odkupił Jan Węgrzyn – syn bogatego gospodarza, mającego wytwórnię pustaków, cegieł i sączków – Macieja Węgrzyna, który był w Ameryce, a po powrocie bogato się ożenił. Prowadził też sklep spożywczy. A na miejscu bobrowskiej karczmy powstał dom Stefana Mazura.

Pewien dystans między Żydami a innymi mieszkańcami wsi wytwarzały odmienne obyczaje, zwłaszcza związane z sobotnim szabasem i różnymi ży-

dowskimi świętami, a także niezrozumiały, „szwargotliwy” język, w którym mieszały się wyrazy w jidysz, niemieckie i polskie oraz charakterystyczna melodia wypowiedzianych słów; taki specyficzny zaśpiew, zawsze z łatwością rozpoznawalny. Wyróżniały też Żydów charakterystyczne pejsy, brody, zwracały uwagę typowe dla nich ubiory: kapoty, chałaty, mycki, lisie czapy czy sposób bycia – uniżoność połączona z twardością i uporem, a także towarzyszący ich rozmowom harmider, zgiełk, gwar; zwłaszcza podczas zachwalania swych towarów i upartego targowania się.

Mieszkańcy Bobrowej byli tolerancyjni wobec Żydów, ich religii i zwyczajów. Tak było od zawsze, odkąd sięgali pamięcią więc handlowali z nimi i utrzymywali dobrosąsiedzkie stosunki.

Czas wojny początkowo prawie niczego nie zmienił w sytuacji bobrowskich Żydów. Sąsiad dziadków stary Ślama zaraz po wkroczeniu Niemców do Polski zniknął przezornie z domu i udał się prawdopodobnie do Kolbuszowej, gdzie miał swoich krewnych czy znajomych. Pozostałe rodziny żyły jak dawniej. I wydawało się, że w prowincjonalnych wioskach Żydzi jakoś przeżyją, choć wciąż szerzyły się wieści o ich eksterminacji. Mieszkańcy Bobrowej też łudzili się, że tu nic się złego nie stanie. Niestety, pewnego sierpniowego dnia, w czas letniej kanikuly podjechały pod żydowskie zagrody budzące trwogę niemieckie „budy”.

Aleksander Bacher – sąsiad Ślamów i naoczny świadek tamtych tragicznych wydarzeń wspominał, jak uzbrojeni po zęby Niemcy wpadli do żydowskiego domu, wyrzucili z niego brutalnie wszystkich zaskoczonych domowników i wśród lamentu zabieranych w nieznane, pomagając sobie kolbami karabinów, zmusili do wejścia na platformę samochodu. Byli już tam stłoczeni inni Żydzi; z Bobrowej i z Nagoszyna:

„Raz hitlerowcy Żydów
W piękne, letnie południe
Wywlekli siłą z domu
Traktując ich okrutnie.
Wepchnęli do ciężarówki.
I przy śmiechach i drwinie
Wywieźli wśród lamentów;
Gdzieś na zatracenie.
Czy ich rozstrzelano?
Gdzie ich pochowano?
Nie wiadomo, bo ślady
Skrzętnie zacierano”¹⁴³.

„Ślamino” – o typowo semickich rysach twarzy, wypchnięta z chaty, rozglądała się półprzytomnie, stojąc przy samochodzie w swej szerokiej, długiej, burej sukni i poprawiając niesforne kosmyki peruki, wysypujące się spod zawią-

zanej pod szyją chustki. Ponieważ była kobietą otyłą i niezbyt sprawną, jeden z żołnierzy gorliwie ją podsadzał, a następnie wrzucił, jak worek ziemniaków do środka ciężarówki i błyskawicznie spuścił brezent; jeszcze w powietrzu zawisł ostatni rozdzierający krzyk, a już po chwili nie było śladu po tej akcji. Powróciła cisza i tylko otwarte drzwi, jakieś porzucone na podwórzu ubrania, jakiś walający się drobiazg świadczyły o niedawnym dramacie.

Ale istnieje jeszcze druga wersja tych strasznych wydarzeń. Ktoś podobno widział, że już na podwórzu zastrzelono Ślaminę i tam ją zostawiono, a pozostali członkowie rodziny zostali zamknięci w dębickim getcie. Po pewnym czasie jeden z wywiezionych synów pojawił się we wsi opowiadając, że choć przebywa z braćmi i siostrą w getcie, to jako świetny stolarz ma pracę i pewną swobodę poruszania się. Jednak później nikt z wywiezionych już nigdy nie powrócił ani nie dał znaku życia. Prawdopodobnie wszyscy zostali wywiezieni do obozów zagłady i tam zginęli.

Ale czy można było tak zaginać, nie zostawiając żadnego śladu? Przecież pozostał ich krzyk w skwarnym powietrzu tego tragicznego sierpnia, zapamiętany uścisk podawanej ręki, ślad uśmiechu, ślad stóp na omszałym kamieniu. I pamięć, która nigdy nie umiera.

Tylko niektórym Żydom udało się prawie cudem uniknąć śmierci. Znana w Dębicy rodzina Mikołajków przechowywała w swym domu przy ulicy Kościuszki tuż obok budynku zajętego przez Gestapo kilkanaście osób pochodzenia żydowskiego, w tym 13-osobową rodzinę Reichów.

Aleksander Mikołajków, który osiedlił się w Dębicy w 1930 roku, był znanym dębickim lekarzem, współtwórcą Miejskiego Ośrodka Zdrowia i jego pierwszym kierownikiem, a jego żona Leokadia – pielęgniarką. Jako zaprzysiężeni członkowie AK nieśli pomoc rannym, uciekinierom ze Wschodu, biednym dzieciom i – właśnie Żydom. Aleksander zginął w sierpniu 1944 roku podczas ostrzału Braciejowej, a żona po wojnie pracowała jako higienistka w dębickim liceum i w szkołach podstawowych oraz wychowywała synów Leszka i Andrzeja. W 1981 roku ci bohaterscy dębiczanie zostali odznaczeni medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”.

Również w wiosce mojego dzieciństwa i w sąsiednich wsiach były przypadki ukrywania Żydów. Jednym z takich ludzi był wspomniany już bobrowianin Bolesław Skrzypek, który wywiózł z dębickiego getta małą dziewczynkę Miriam Berger, pochodzącą z Nagoszyna.

Jak pisze Grzegorz Król: „Po drodze zostali zatrzymani przez Niemców. Zapytali, skąd i dokąd jadą [...]. Bolesław Skrzypek bez zastanowienia odpowiedział, że jak dziecko jest chore, to do lekarza trzeba zawieźć. Niemcy uwierzyli”¹⁴⁴.

Przez kolejne kilka miesięcy mała Miriam ukrywała się w zagrodzie Stanisława Cholewy w Nagoszynie, ale ponieważ często zachodzili tam Niemcy, Bolesław Skrzypek przywiózł ją do swego domu rodzinnego w Bobrowej,

gdzie przygotowano dla niej skrytkę w stajni pod żłobem. Dzięki poświęceniu i odwadze tego człowieka Miriam przeżyła wojnę, zaś on – niestety – zginął z rąk hitlerowców.

Cholewowie z Nagoszyna ukrywali też kilku innych Żydów. Schowek był w piwnicy, nad którą znajdował się kurnik. Prócz rodziny Bergerów przebywał tam Tewel Knie i Żydówka Deborah z małym dzieckiem. Deborah pewnego dnia postanowiła iść do dębickiego getta, mając nadzieję, że we wspólnocie będzie mieć większe szanse przetrwania. Prowadzący ją do Dębicy granatowy policjant okazał się człowiekiem szlachetnym. Oddał w powietrze dwa strzały, sugerując rozstrzelanie i kazał Deborze szybko uciekać. Król pisze, że Deborah przeszła z córką przez Wisłokę, wsiadła do pociągu i dotarła do Lwowa. Idąc jedną z lwowskich ulic obok klasztoru Kapucynów, matka z córką trafiły na łapankę. Deborah niepostrzeżenie wepchnęła dziecko za drzwi klasztoru, sama zaś została schwytana przez Niemców. Udało się jej jednak szczęśliwie uciec i wrócić w rodzinne strony, a po wojnie odszukać córkę, którą przygarnęły zakonnice i oddały pod opiekę pewnej rodziny. Deborah wyszła za mąż za Tewela Knie – który również ocalał – i razem wyjechali do USA. Niewielu miało takie szczęście.

Żydom pomagała też znana w okolicy rodzina Darłaków, dzierżawiąca od Jabłonowskich z Przyborowia wielką cegielnię, usytuowaną między Żyrakowem a Zawierzbiem, zaopatrującą w cegłę wysokiej jakości okoliczne wsie, w tym mieszkańców wioski mojego dzieciństwa. Kilkuosobowa rodzina żydowska ukrywała się przez kilka miesięcy w kominie nieczynnej cegielni. Niestety, ktoś wskazał kryjówkę i wszyscy Żydzi zostali rozstrzelani. W tym procederze brał udział osławiony funkcjonariusz Robert Urban, którego nazwisko wymawiano ze zgrozą. Był volkdeutschem ze Śląska, stacjonującym w Dębicy: „Jeden z bardziej zwyrodniałych funkcjonariuszy okupacyjnych; dwie próby jego likwidacji podjęte w maju i 9 czerwca 1944 roku nie udały się. Odpowiedzialny za wymordowanie setek Polaków i Żydów. Losy powojenne nieznane”¹⁴⁵. To on m.in. brał udział w rozstrzelaniu 11 kwietnia 1943 roku na Cmentarzu Żydowskim w Dębicy około 50 osób, w tym wielu uczniów szkół średnich. Był postrachem całej okolicy.

W wiosce mojego dzieciństwa szeptano o kilku rodzinach, które – oprócz Bolesława Skrzypka – przechowywały Żydów, m.in. o rodzinie Węgrzynów, mieszkających niedaleko mostu na naszej rzeczce, ale nikt nie potwierdził tego oficjalnie. Wiadomo, w czasie okupacji taki czyn groził śmiercią wszystkich domowników, a po wojnie też milczano, by nie narazić się na złośliwe, krzywdzące plotki o pieniądzach, jakie ponoć płaciły za przechowywanie żydowskie rodziny.

Jeden z Mikołajkowych bohaterów – Emil też pomaga młodej Żydówce Izie Bejc, którą znajduje leżącą pod kopką na polu niedaleko Wielkiej Rzeki:

„Nie poszedłem do Rzeki. Kilkaset metrów dalej położyłem się na smugu, wśród gęstego sitowia. Patrzyłem na kopkę, pod którą leżała Żydówka, i na wieś. Droga, rzeczka i wieś ciągnęły się równolegle do siebie aż do Dużej Rzeki [...]. O zmierzchu, z daleka omijając kopę, poszedłem do domu [...]. Nalałem do manierki mleka, napełniłem blaszany kubek twarogiem. Ukroiłem ćwiartkę chleba i zawiązałem to wszystko w dużą chustkę [...]. Biegiem ruszyłem do kopki.”¹⁴⁶.

„Do wsi podeszliśmy w miejscu, gdzie rzeczka ją przecinała. Zdjąłem buty dziewczynie i sobie; kilkaset metrów szliśmy płytką wodą. Dziewczyna zaczęła się potykać, coraz mocniej ścisnęła moją dłoń suchymi, gorącymi palcami. Pod mostem stanąłem, żeby odpocząć. Przejeżdżająca górą furmanka dudniąc, obsypała nas kurzem. Ktoś śpiewał:

Ach Boże mój jedyny,
Lepiej, jak mają dziewczyny;
Proszki, pudry, perfumerie
Oraz inne maszynerie
I parasol, kiedy pada deszcz.

Staliśmy w czystej wodzie czując swoje oddechy. Tak samo jak poprzednio na polach sytuacja wydawała mi się nieprawdziwa. Niedzielnny wieczór w mojej wsi, a ja zamiast dokazywać z dziewczuchami stoję pod mostem z Żydówką.

– Chodźmy – powiedziałem.

Po obu stronach rosły drzewa. Dziewczyna oburącz chwyciła moją rękę.

– Co to? – środkiem rzeki sunęła na nas biała plama.

– Puść, do diabła! – o mało się nie przewróciłem. – Gęsi się boisz? – chwyciłem ją pod pachy i wyniosłem na wysoki brzeg”¹⁴⁷.

Emil gorączkowo szukał kryjówki dla żydowskiej dziewczyny. Bał się ją przyprowadzić do domu: „Przebiegłem w myślach dziesiątki znanych z dzieciństwa zakamarków. Każdy następny wydawał mi się początkowo lepszy od poprzedniego, a po chwili traciłem pewność.

– W sośninie? W diabelskiej pary? [...] Za rozlewiskiem – zdecydowałem”¹⁴⁸.

„Podeszliśmy do skarpy. Porastały ją drzewa, a przy ziemi gęszcz krzaków [...]. Doczołgaliśmy się wreszcie do wielkiego dębu. Od dołu go podmyło i splecione korzenie zasłaniały obszerłą jak jaskinia wnękę [...], liście lśniły srebrem i miedzią; w dole jak syty kot mruczała rzeka”¹⁴⁹.

Dziewczyna opisana przez Mikołajka, którą Emil odwiedzał, karmił i uspokajał, znikła gdzieś pewnego razu, zniknęli też na zawsze wszyscy Żydzi zamieszkujący wioskę mojego dzieciństwa. Jak podaje Leopold Harla, z Bobrowej wywieziono cztery rodziny Żydów [Jankielowie i Chorymowie wyjechali z Bobrowej przed wojną], którzy zginęli w gettach w Dębicy, Sędziszowie oraz

w obozie w Pustkowie. Byli to: „rodzina Grossów – 4 osoby, rodzina Hutnerów – 5 osób, rodzina Veissów – 3 osoby i rodzina Veislerów – 5 osób”¹⁵⁰.

Przywoływany we wspomnieniach rodziców Żyd Ślama zapewne należał do którejś z wymienionych rodzin; w rozmowach używano jednak imion, a nie nazwisk.

Po wojnie – niestety – dość szybko pogodzano się z zaistniałą sytuacją, choć żydowskich sąsiadów zamieszkujących wioski i miasteczka wspomniano i żałowano. Nikt nie wiedział tak na pewno, co się z nimi stało, domyślano się tylko, że podzielili los innych polskich Żydów. Ich gospodarstwa przejęli nowi właściciele, a liche mienie niszczało. Żydowskie kirkuty zarastały zielskiem, a nagrobne macewy chyliły się, rozpadały lub były wykorzystywane jako płyty kamienne np. w budowie dróg. Ale niektóre żydowskie cmentarze ocalały, jak ten w Ropczycach, gdzie do grobu znanego cadyka do dziś przyjeżdżają Żydzi z różnych krajów. W Dębicy uratowano tylko część macew, które zabezpieczono przed zniszczeniem. Ale tużpowojenne czasy skłaniały do wymazywania z pamięci strasznej przeszłości, zmuszały do borykania się codziennie z nowymi problemami, a władze – w których znaleźli się również przedstawiciele żydowskiego pochodzenia – krzewiły nowe, wrogie zwykłemu człowiekowi idee.

Poeta Antoni Słonimski – jeden z ocalałych – z goryczą pisał:

„Znikły resztki ostatnie, żydowskie łachmany,
Krew piaskiem przysypano, ślady uprzątnięto
I wapnem sinym czysto wybielono ściany,
Jak po zarazie jakiejś lub na wielkie święto”¹⁵¹.

A ocalała z getta pisarka Roma Ligocka dziwiła się: „To wręcz nie do wiary, a jednak prawdziwe: w ciągu pierwszych dwu lat po wojnie prawie wcale nie pisano o Żydach. Jakby w ogóle nie istnieli. Zdaje się, że po tej straszliwej wojnie nikt nie zauważył ich braku [...]. A może ludzie byli tylko tak strasznie oniemiałi”¹⁵².

Dopiero po wielu latach nieliczni Żydzi – cudem ocaleni – wracali, by odwiedzić znajome miejsca. A wszyscy pamiętali i tęsknili. Jeden z nich – dębiczanie Jehuda Grunspan pisał:

„Poeta mówi, że człowieka kształtuje miejsce urodzenia, a zakątek świata, w którym się urodziliśmy i mieszkaliśmy, nie wyróżnia się niczym szczególnym. Nie ma tam wysokich gór ani nieprzebytych puszczy, brakuje niepowtarzalnych krajobrazów czy szczególnych cech fizycznych terenu, które zostają w pamięci. To okolica zwykła, ale nieskażona: zielona i przyjemna latem, bezchmurna i skuta lodem zimą, deszczowa i tonąca w błocie jesienią oraz jasna i kwitnąca wiosną. Dębiczanie byli podobni: nie byli wielkimi uczonymi w Torze, jednak pachnieli jej wonią. Wśród nich było bardzo mało uczonych. Nie mieli najlepszych pomysłów, ale z drugiej strony pomysłów im nie brakowało. Nie byli najmądrzejsi w kraju, ale zarazem nie brakowało

im życiowej mądrości. Nie byli fanatykami, ale nie byli też złoczyńcami. Byli to głównie ludzie prości – szczerzy i zrównoważeni. Byli przeciętnymi ludźmi – w najbardziej pozytywnym znaczeniu tego słowa”¹⁵³.

Takie wydarzenia jak eksterminacja Żydów, masowe wywózki czy pacyfikacje odbierały ludziom nadzieję na rychły koniec tej strasznej wojny i na szanse ocalenia swego życia i mienia. Pierwsze klęski Niemców na froncie wschodnim przyjęto więc z wielką radością. Jeden z Mikołajkowych bohaterów mówi:

„Kiedy wybuchła wojna na Wschodzie, wszyscy się cieszyli; nareszcie Niemcy złamią kark. Ja byłem zmartwiony, że skończy się to bez mojego udziału. Nastawiałem uszu na dyskusje chłopców; dowiedziałem się, że można iść do lasu”¹⁵⁴.

Niemcy uciekali w popłochu; brudni, nieogoleni, w strzępach mundurów. Nic nie zostało z ich niedawnej buty i bezwzględności. Chcieli tylko za wszelką cenę przeżyć i wrócić do swych rodzin.

Bohater „Egzekutora” tak wspomina czas oczekiwania na ofensywę, która ostatecznie miała rozgromić Niemców:

„Tylko skończyłem śniadanie, gdy z daleka słyszę odgłos armat! Razem z gospodynią lecimy na dwór. Słyszać je teraz bardzo wyraźnie. W całej wiosce wszystko, co żyje, wyskakuje na zewnątrz. Starsze babki żegnają się nabożnie. Ofensywa sowiecka, o której tyle słyszałem w ostatnich tygodniach, już blisko nas. Kto wie, może jeszcze kilka tygodni lub dni nawet, a będziemy poza linią frontu, będziemy w wolnej Polsce! Armaty już nie milkną teraz ani na chwilę. Są ciągle z nami, raz głośniejsze, raz cichsze, brzmią jak cicha muzyka, która zwiastuje nową wiosnę życia, zupełnie nową przyszłość”¹⁵⁵.

Ten pamiętny dzień zastał Jarosława Bryckiego – bohatera „Ślepych gwiazd” w oddziale leśnym na Wołyniu:

„Sielski obrazek porannego marszu znika jak zdmuchnięty. Zastępuje go szum i wybuchy, rosyjski okrzyk: Urra! Potężny, lecz postrzępiony niezgodnością poszczególnych głosów i detonacji. Setki głów, ramion i pleców, wyrastając jakby spod korzeni szarych olszyn, natychmiast wtapiają się w niskie słońce [...]. Widoczne już bagnety i twarze, pełne niezdarnego pośpiechu ruchy kończyn [...]; z boku toczy się po ziemi chmura całej chyba bolszewickiej brygady”¹⁵⁶.

Mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa też czekali z niecierpliwością na wyzwolicieli. Słuchano potajemnie zabronionego radia i dyskutowano z sąsiadami o zbliżających się wojskach. Gdy na dźwięk rosyjskich samolotów nadciągających od wschodu ludzie wybiegli z nadzieją z domów, pracujący jako pastuch w domu Kurczyków uciekinier z tamtych stron [nikt nie znał jego nazwiska; nazywano go „Łyko”] melancholijnie, z charakterystycznym, kresowym zaśpiewem powiedział: – Nie cieszcie się tak gospodarzu, jeszcze będziecie przeklinać ten dzień. Ale choć to były prorocze słowa, nikt go wtedy nie słuchał. Wierzono, że prawdziwe wyzwolenie jest blisko.

„Dnia 22 sierpnia wieczorem wojska radzieckie dotarły na przedpola Dębicy, od strony Żyrakowa i przystąpiły natychmiast do forsowania rzeki Wisłoka. Pod osłoną artylerii przeprawiły się przez rzekę trzy kompanie i uchwyciły przyczółek po prawej stronie Wisłoki, trwając na tych stanowiskach przez całą noc. Dnia 23 sierpnia ranniem wojska radzieckie wkroczyły do Dębicy ulicą Kościuszki, krusząc resztki obrony niemieckiej. O godzinie 10 walki w mieście ustały. Dębica była wolna od okupacji niemieckiej”¹⁵⁷.

Tak tę środę 23 sierpnia zapamiętał naoczny świadek tego wydarzenia Antoni Darłak:

„Był dzień pięknego i urodzajnego lata [...]. Za zwiadowcami zaczęła się wylewać ludzka masa, nie mająca się swoim ogromem nijak do garstki oddziałów niemieckich [...]. Żołnierze byli śmiertelnie znużeni”¹⁵⁸.

A Mikołajek pisze:

„Wojna rozpałała się coraz bardziej [...]. Nad wsią krążyły wielkie lampiony, rwały się szrapnele, granaty. Całą noc przesiedziałem w piwnicy. Rano zobaczyłem radzieckich żołnierzy”¹⁵⁹.

Podobne były wspomnienia naszej mamy. Był piękny, sierpniowy czas 1944 roku. Olbrzymie balony zwiadowcze na niebie nad wsią, wybuchy bomb, bezsenna noc spędzona w piwnicy, a rano „ruscy” żołnierze na gościńcu i na podwórzu. Obdarci, umorusani, zmęczeni, w długich, postrzępionych szynelach i lichych „pałatkach”, niektórzy z karabinami na sznurku i workami na plecach od razu zabierali się do gotowania strawy. Sprytnie wyłapywali kury, kaczki, gęsi umykające między opłotkami. Wielokrotnie potem wspomniano, jakim „bohaterstwem” wsławiła się niepozorna gęś jednej z sąsiadek, która – jak nigdy przedtem – nagle uniosła się wysoko w powietrze i machając skrzydłami nad głowami zdziwionych prześladowców, pofrunęła w dal, ocalając życie. Okazało się, że sfrunęła szczęśliwie na jakieś podwórko aż na końcu wsi i mogła bezpiecznie – już w koszyku – wrócić do domu.

Za piechurami o bardzo różnych twarzach, sylwetkach, kształcie oczu, kolorze skóry i włosów jechały niezliczone tabory i olbrzymie stalowe działa. Były to oddziały żołnierzy radzieckich I Frontu Ukraińskiego pod dowództwem generała Iwana Koniewa.

Bohater „Egzekutora” pisze: „Niektórzy chłopci, mając dość pańskich czasów, wychodzili nawet na spotkanie żołnierzy z czerwonymi sztandarami, lecz później byli mocno zawiedzeni, gdy sojusznicy ich tak ze wszystkiego obrabowali [...]. Sowieci nie mieli własnego zaprowiantowania, więc z miejsca uderzyli na wieś, aby spożyć śniadanie. Słyszał było gdakanie gonionych kur, ryczenie zabijanego bydła, kwiczenie świń”¹⁶⁰.

A tak te wydarzenia zapamiętał Leopold Harla:

„Front przetacza się przez Bobrową w dniu 23 sierpnia 1944 roku. Poza trzema spalonymi od pocisków domami większych zniszczeń ani strat w lu-

dziach nie ma. Zresztą co tam myśleć o zniszczeniach w takiej chwili. Ludzie wychodzą z piwnic, schronów i wszelkich innych kryjówek. Niewysłowna ulga, radość, szczęście malują się na każdym obliczu. Oczy szklą się od łez, od łez szczęścia”¹⁶¹.

Leopold Harla, mający wówczas 15 lat, podkreśla tu radość i nadzieję mieszkańców Bobrowej, czekających na rychłe wyzwolenie, nie chcąc przypominać tragicznych wydarzeń, które dotknęły wtedy i jego rodzinę. Píše o nich Bronisław Harla:

„Sowieci wkraczali w ogniu dział i karabinów maszynowych. Ludzie ze wsi uciekali, kryjąc się przed ostrzałem nad rzeką Skołodzierzą. Ja wcześniej wybudowałem obok domu schron w ziemi i w nim przesiedziałem całą noc.[...] Działa grzmiały, kule biły gęsto jak deszcz. Rano pocisk armatni uderzył w mój dom. Na strychu było trochę suchego siana i dom się zapalił. Gasić nie było można, bo kule bzykały jak wściekle osy. Wypędziliśmy bydło ze stajni i uciekliśmy w pole, w rędziny, na wolę boską [...]. Pomału, bruzdami i rowami dotarliśmy z powrotem do domu, który już cały płonął. Był tam Jan Skowron, a także Dziurgotówny: Irka i Staszka. Gdy strzelanina zmniejszyła się trochę, próbowaliśmy gasić. Na nic się to jednak nie zdało, bo nie było czym. A i kule padały wciąż gęsto. Wreszcie kanonada ustała zupełnie, ale nie było już co ratować. Z domu pozostały same zgłiszczka. W tej właśnie chwili wkroczyła armia sowiecka. Zamiast cieszyć się z oswobodzenia, przeżywaliśmy bardzo bolesne chwile. Bo w tym samym czasie padła od pocisku nasza ostatnia krowa. Słowem radość i rozpacz. I smutek”¹⁶².

A Aleksander Bacher – też świadek tamtych wydarzeń – tak zrymował swe wspomnienia:

„Szła rzeka piechoty, za nimi tabory,
A na końcu działa – stalowe potwory.
Dwie niespokojne noce spędziliśmy w domu,
Na trzecią ponownie zesliśmy do schronu.
Nie mogliśmy wcale opuszczać piwnicy,
Bo padały pociski z okolic Dębicy.
Jeden wpadł do stajni i tam eksplodował,
Zabił dwie krowy, konia, budynek zrujnował.
Odłamki posiekały też drzwi do piwnicy
I zabiły wojskowego konia na ulicy”¹⁶³.

W tej piwnicy pod domem babci Józji chronili się nie tylko domownicy. Rosjanie urządzili tam punkt sanitarny. Śliczne, młodziutkie rosyjskie sanitariuszki – wciąż pełne wiary w geniusz Stalina i w komunizm – miały poobcierane stopy, pełne zgrubień i bąbli, spały na byle jakich barłogach i myły się paskudnie śmierdzącym, szarym mydłem w zimnej wodzie pod studnią stojącą za domem. Czasem wychodziły na podwórze, by pod ścianą, oplecio-

na dzikim winem, wystawiać blade twarzyczki do słońka, czy prały jakieś ciuszki i rozwieszały na płocie, ale widok tej ich bielizny wzbudzał zdziwienie i współczucie. Wspominały też w swym śpiewnym języku rodziny pozostawione gdzieś daleko na Wschodzie, w których powtarzało się – podobnie brzmiące w wielu językach – słowo mama, a czasem nuciły cicho chwytające za serce, rzewne piosenki. Żaliły się też, że życie prostego żołnierza w ich wojsku niewiele się liczyło: – Stoit wosjemdiesjat piac kopiejek – mówiły. Częstoowały „tuszonką”, ale to tłuste mięso z konserwy nikomu nie smakowało. Śmiały się, że nie jest robiona według ustalonej receptury, tylko „na wkus”, czyli „na smak”. No, a jaki miał smak ktoś przygotowujący te konserwy, taka też była ta rosyjska tuszonka. Śliczne, młodziutkie sanitariuszki odeszły z wojskiem na zachód, oddalając się jeszcze bardziej od swych domów.

A upragnione wyzwolenie było jeszcze dalekie. Po zdobyciu Dębicy i okolic front ustabilizował się w rejonie Wisłoki. Centrum miasta, odbudowane w okresie międzywojennym po zniszczeniach I wojny światowej, znowu w sierpniu 1944 roku w czasie ofensywy wojsk radzieckich stało się jedną, wielką ruiną. Rosjanie zajmowali ocalałe domy, wyrzucając z nich mieszkańców. Tak było z rodziną Pendereckich, którzy właśnie wtedy zamieszkali w małym mieszkanku w zachodniej pierzei rynku. Krzysztof Penderecki wspomina:

„Prawie cały księgozbiór ojca i dziadka padł ofiarą żołnierzy radzieckich, którzy stacjonowali u nas w zimie 1944/ 1945 roku. Nie było wtedy węgla ani drewna, więc książki służyły do pieczenia zarekwirowanych u okolicznych chłopów prosiaków i kurczaków. Czerwonoarmiści sprzedawali również na targu za wódkę nasze dywany, ale dzielili się z nami jedzeniem. W tych strasznych czasach przetrwanie bardzo mroźnej zimy było ważniejsze od książek”¹⁶⁴.

W czasie walk, które toczyły się na linii frontu od 23 sierpnia 1944 do 12 stycznia 1945 roku, zginęło wielu walczących tu żołnierzy rosyjskich, polskich i niemieckich. Akowskie oddziały przygotowujące akcję „Burza” znalazły się w kotle wycofujących się Niemców. W walkach na „Kałużówce” zginęło około 60 partyzantów, m.in. podchorąży Łubieński „Iwo” i podchorąży Jabłonowski „Śmigło”. Rannych zostało około 30 żołnierzy, a do niewoli dostało się około 15.

Południowo-wschodnia część rynku zmieniała się w cmentarz setek rosyjskich żołnierzy. Dopiero w połowie lat 50-tych przeniesiono ich szczątki na Cmentarz Żołnierzy Armii Radzieckiej. Na pamiątkę zwycięskich walk rynek nazwano Placem Zwycięstwa, a na środku postawiono Pomnik Żołnierza Armii Radzieckiej. Przybywający na jarmark przyglądali się z ciekawością i zdziwieniem jeszcze zasłoniętej postaci na wznoszonym pomniku, górującej w miejscu, gdzie wcześniej stały kramy. Wkrótce „Karolek” stał się rozpoznawalnym znakiem Dębicy. Ławeczki wokół zajmowali nie tylko znużeni zakupami dorośli, wracający ze szkoły uczniowie, zmęczone bieganiami za

gołębiami lub delektujące się pysznymi lodami z pobliskiej cukierni „U Kiciowej” dzieci, ale przede wszystkim drobni pijaczkowie i dorodne Cyganki, natarczywie domagające się poświęcenia im chwili uwagi. Najpierw przytulnie obiecywały wywróżyć samo szczęście i powodzenie, a – ignorowane lub karcone – krzykiem, złością i przekleństwami przepędzały pechowca. Zdarzyło się też, że jakaś staruszka, przechodząc obok „Karolka”, postawiła koszyk z jajkami na ziemi i uklękawszy, mówiła pacierze, sądząc, że to figura jakiegoś świętego. A pomnik ten tak wrósł w pejzaż rynku, że gdy go przeniesiono na cmentarz, niektórym było go nawet trochę żal.

A tamten sierpień 1944 roku na zawsze pozostał w pamięci mieszkańców wioski mojego dzieciństwa i całej okolicy.

Leopold Harla pisał: „Odzyskana wolność nie od razu oznacza spokój i powrót do normalnej pracy. Front zatrzymuje się 4 km za Dębicą. Niemcy kilkakrotnie kontratakują, aby odzyskać Dębicę – ważny węzeł kolejowy. W czasie jednego z takich kontrataków na Bobrowę znowu spadają pociski artyleryjskie. We wsi powstaje popłoch i zamieszanie. Co bojaźliwsi ładują dobytek na wozy i wyjeżdżają do miejscowości bardziej oddalonych od linii frontu. Sytuacja przez kilka tygodni jest bardzo niepewna. Zarówno to, jak i fakt bliskości frontu powodują decyzję radzieckiego dowództwa wojskowego o ewakuacji ludności wsi położonych w pasie przyfrontowym. W tej liczbie znajduje się także Bobrowa. Rozpoczyna się kilkumiesięczna tułaczka ludzi po obcych domach, która daje się mocno we znaki”¹⁶⁵.

I znowu oddajmy głos Bacherowi:

„Z żalem opuściliśmy dom i idąc w stronę Korzeniowa

Patrzyliśmy jak pokryta działami była cała Bobrowa.

Kopy zbóż, rowy, dołki, kępy drzew i krzaki

Wprost obsiadły armaty jak padlinę ptaki”¹⁶⁶.

Jeszcze po wojnie wałało się w polach, w rowach, na „Przedewsiu” pełno żelastwa, które mieszkańcy przyciągali na podwórza i wykorzystywali do sporządzania różnych pożytecznych przedmiotów. Jeden z sąsiadów np. zrobił z takiego „wojennego” kawałka żelaza tarkę kuchenną, którą w wiosce mojego dzieciństwa nazywano „tarłem”. Nie grzeszyła urodą, ale była „nie do zdarcia”; gdy trochę się stępiła, gospodarz grubym gwoździem przebijał od nowa każdy otwór i znów była ostra jak brzytwa. Nawet, gdy już kupiono u „szmaciorza” nową, to do tarcia ziemniaków na placki wyciągano tę – zawsze niezawodną.

Wysiedlona ludność chroniła się m.in. w okolicach Przecławia, Mielca, Podola czy Ropczyc. W ciągu pięciu miesięcy ponad 14 tysięcy ludzi udało się na niepewną tułaczkę. Do Góry Ropczyckiej dotarli też moi dziadkowie z dziećmi. W czasie tej drogi niedaleko Lubziny przeżyli – schowani w jakimś rowie – niemieckie bombardowanie, przechodzili też przez pole, na którym

były poukładane różne pociski i miny, i wpływ przez Wielopolkę, groźną z powodu niebezpiecznych wirów.

Leopold Harla pisze dalej:

„Zarządzenie o ewakuacji pozostaje w mocy, mimo że po kilku tygodniach linia frontu ostatecznie się stabilizuje. Jest jednak wciąż bardzo blisko Bobrowej, tylko 10 kilometrów w linii prostej. Ludziom wracać do wsi nie wolno. Ale całkowicie kontaktu z gospodarstwami nie tracą. Mniejszymi lub większymi grupami, czasem pojedynczo, przyjeżdżają na krótko, kończą zbiory płodów rolnych, zabezpieczają pozostawiony dobytek, dokonują jesiennych zasiewów i wracają do pozostawionych u obcych rodzin, aby po kilku dniach znowu przyjechać. Radzieckie władze wojskowe nie stawiają temu zbyt wielu przeszkód, choć nakaz ewakuacji formalnie obowiązuje nadal. Więcej nawet, w wielu przypadkach przychodzą z dużą pomocą, żywiąc w kuchniach polowych całe rodziny”¹⁶⁷.

Oczywiście, mimo życzliwości krewnych, którzy – sami żyjąc biednie – dzielili się wszystkim, co mieli, każdy marzył o powrocie do domu. Tymczasem dochodzące wieści nie były optymistyczne.

„W najczarniejszych snach nie przypuszczaliśmy – pisał Darłak, który znalazł się najpierw na wysiedleniu w Głowaczowej, a potem w leśniczówce w Nagoszynie – że przyjdzie nam czekać na kolejną ofensywę aż do zimy. Docierały do nas informacje o powstaniu warszawskim, ale skąd mogliśmy sądzić, że Stalin postanowił go zdusić w sposób perfidny poprzez zaprzestanie działań [...]. Czuł się pewny [...], że może sobie pozwolić na dłuższy postój, patrząc spokojnie jak Warszawa ginie”¹⁶⁸.

Na terenach zajętych przez Rosjan natychmiast rozpoczynano organizowanie nowej administracji, mającej na celu umacnianie władzy komunistów. Podjęto też bezpardonową walkę z akowskim podziemiem. Natomiast żołnierze Gwardii Ludowej czy Batalionów Chłopskich zasilali szeregi Wojska Polskiego, walczącego u boku Armii Czerwonej. Ranny Edek z opowiadania „Żegnajcie chłopcy” wspomina:

„A jak to wyglądało, gdy w sierpniu 1944 roku zobaczył krasnoarmiejców w białawych mundurach? Niesiony przez chłopców, oburącz obejmował ranną nogę. Wrzucony do przyczepki motocykla jechał do szpitala. Pod prąd tysięcy białawych mundurów. Rozjeżdżona czołgami droga chwiała się jak grzęzawisko; trzaskały łamane płoty, trzaskał płomień płonących chałup. Na twarzach żołnierzy gruba na centymetr warstwa kurzu. Wydłużony i płaski, jakby wycięty z papieru, trup zgniecionego przez czołg Niemca. Ich artyleria ostrzeliwała drogę, ze wszystkich stron motocykla wyrastały czarne krzewy wybuchów. Kierowca manewrując, wywoził go na tyły [...]. Potem leżał w szpitalu, gdy chłopcy szli do wojska”¹⁶⁹.

W dramatycznej sytuacji wówczas znaleźli się i ci żołnierze Armii Krajowej, którzy – wcieleni do polskiego wojska – nie mogli się pogodzić z faktem, że ich dowódcami są Rosjanie, a wizja przyszłej Polski jest daleka od ich marzeń oraz ci, którzy nie ujawnili się i pozostali w konspiracji.

Front tkwiący na naszych terenach aż do stycznia 1945 roku pozostawił straszne ślady. Liczba ofiar wojny w powiecie dębickim przekroczyła 5 tysięcy osób. A leje po bombach na Przedewsiu oglądaliśmy jeszcze, wracając ze szkoły „na Zenówce”. Zimą – zalane wodą i zamrożnięte grubym lodem – zmieniały się w cudowne ślizgawki. Wieszaliśmy nasze torby na rosnących wzdłuż rzeki ogołoconych z liści rosochatych gałęziach wierzb i „siurgaliśmy się” bez opamiętania, nieraz do wcześniej zapadającego zmierzchu, dopóki nie przegonił nas głód i strach przed reprimendą rodziców, z troską oglądających rozłazące się podeszwy naszych trzewików.

Wojna poczyniła szkody prawie w każdym gospodarstwie, a do tamtych wydarzeń wracano często we wspomnieniach. Przysłuchiwaliśmy się z uwagą tym opowieściom dorosłych, ale jeszcze ciekawszych historii zaczęło dostarczać nam radio, które szybko stało się ważnym środkiem łączności ze światem, źródłem różnych wiadomości i tematów do dyskusji.

Najpierw słuchaliśmy radia na kryształki – chyba o nazwie „Detefon” – u babci Józi. Z napięciem czekaliśmy chwili, gdy w ebonitowych słuchawkach, które zakładało się na uszy, najpierw dudniły kroki trębacza, wchodzącego na wieżę kościoła Mariackiego w Krakowie, następnie rozlegały się dźwięki hejnału na trąbce; nagle urwanego, a na koniec odzywało się majestatyczne bicie zegara obwieszczającego południe. To według niego regulowano zegary znajdujące się w naszych izbach.

Potem w domu pojawił się „Pionier” z magicznym oczkiem” i wokół niego zasiadaliśmy, by słuchać różnych audycji, zwłaszcza muzycznych. Było to wielkie, pokraczne radio lampowe w ciemnej obudowie z bakelitu. Te radiowe lampy często „wysiały”; wtedy z Woli Żyrakowskiej przyjeżdżał znajomy „spec”, mający w przepastnej torbie zapas różnych tajemniczych narzędzi i „ustrojstw”. Sprawnie wymieniał uszkodzoną lampę i radio znowu „grało”.

Dorośli wybierali politykę. Władze wiedziały, że radio może być ważnym narzędziem propagandy i skrzętnie to wykorzystywały. Za pomocą różnych audycji próbowano „ukszałtować” społeczeństwo i skłonić je – w imię budowy socjalizmu – do posłuszeństwa rządzącym. Taką rolę pełniła np. „Fala 49”, którą prowadziła popularna wtedy reporterka Wanda Odolska. W bardzo atrakcyjny, przekonujący, a zarazem agresywny sposób krytykowała Zachód, Kościół, przywiązanie do tradycji, ludzi niezadowolonych z przemian politycznych, równocześnie podkreślając zasługi władzy ludowej, Związku Radzieckiego i towarzysza Stalina – dobroczyńcy Polaków. Audycje propa-

gowały też socjalistyczne wzorce kultury i sztuki, zaangażowanych twórców i ich utwory sławiące nowy ustrój.

„Radio jest nowym elementem kształtowania psychiki ludzkiej i doniosłym orężem upowszechniania oświaty, sztuki i kultury – mówił w 1947 roku prezydent Bolesław Bierut”¹⁷⁰.

Słuchano codziennych wiadomości, ale zazwyczaj nie były one optymistyczne, a często tak przeinaczane i interpretowane, by były zgodne z linią Partii. Tak np. przedstawiano umowę ze Związkiem Radzieckim o zamianie w 1951 roku przygranicznych terytoriów, gdy – podobno z inicjatywy naszego rządu – oddano część powiatów: hrubieszowskiego i zamojskiego Wielkiemu Bratu w zamian za opustoszałe okolice Ustrzyk Dolnych w Bieszczadach. Mieliśmy przez to uzyskać pewne ilości źródeł naftowych, a także rozwiązać istotne trudności komunikacyjne.

Mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa nie przyjmowali bezkrytycznie narzucanych im przez radio poglądów, prowadzili zacięte dyskusje z sąsiadami, wyrażali własne opinie, spierali się, buntowali oraz szukali prawdziwych wiadomości i oceny wydarzeń m.in. słuchając po kryjomu zakazanych stacji zagranicznych.

„Powszechnym zwyczajem lat 50. był nasłuch zagranicznych stacji radiowych nadających dla rodaków w kraju: Wolnej Europy i Głosu Ameryki. Sensacją stały się zwłaszcza emitowane od jesieni 1954 roku rewelacje wicedyrektora X Departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego Józefa Światły, który przedostał się na Zachód. W audycji „Za kulisami bezpieki i partii” odkrywał tajniki terroru politycznego w Polsce”¹⁷¹.

Ponieważ rządowe zagłuszarki pracowały na pełnych obrotach, trzeba było – przystawiając ucho do głośnika – wyławiać spośród trzasków i świrdującego buczenia niewyraźne głosy spikerów. Należało też wcześniej zamknąć i zasłonić okna, bo zdarzały się donosy na współmieszkańców nielegalnie słuchających zagranicznych, „wrażych” stacji.

Dorośli mocno przeżywali radiowe rewelacje, ale dla nas, dzieci – były zupełnie niezrozumiałe. Woleliśmy np. audycje muzyczne; bardzo ciekawe i wprowadzające miły nastrój do naszych domów.

Często w radiu śpiewali swe piosenki: Mieczysław Fogg, Jerzy Połomski, Andrzej Bogucki, Chór Czejanda, Marta Mirska, Janusz Gniadkowski czy Maria Koterbska, nadająca polskim utworom nowoczesne, „dżezujące” brzmienie.

A było wtedy naprawdę wiele piosenek o pięknych, wpadających w ucho melodiach, z ciekawymi tekstami, które łatwo było zapamiętać.

Do pracy w radiu, po tragicznych przeżyciach wojennych, wrócił – niemal cudem ocalony – Władysław Szpilman – kompozytor, aranżer, twórca niezapomnianych melodii, zwany „pianistą Warszawy”. W 1945 roku został dyrektorem działu muzyki Polskiego Radia. Skomponował ponad 500 popu-

larnych piosenek, takich jak: „Pójdę na Stare Miasto”, „Trzej przyjaciele z boiska”, „W małym kinie” czy „Autobus czerwony”, a w 1947 roku ułożył znany wszystkim sygnał dla „Polskiej Kroniki Filmowej”. Soliści, a także „Chór Czejanda” wiele mu zawdzięczają.

Ten „Chór Czejanda”, czyli męski kwartet wokalny, założony przez Czesława Januszewskiego, który przyjął pseudonim „Czejand” – śpiewał wiele popularnych piosenek, a także towarzyszył solistom. Wszyscy znaleźmy piosenkę o rumuńskiej dziewczynie o imieniu „Marynika”, która „śpi i śpi, doprawdy jak na złość, jak może spać i spać, i nigdy nie mieć dość”, ponadczasową „Cichą wodę”, zaśpiewaną po raz pierwszy w 1955 roku przez Zbigniewa Kurtycza do rosyjskiej melodii i słów Ludwika Jerzego Kerna, czy utwór „Tam za górą jest granica, na granicy jest strażnica”, w której spokojnym, miękkim głosem rewersi zapewniali: „śpij spokojnie, moja miła, żołnierz trzyma straż”.

Wiele piosenek sławiło nową rzeczywistość, a przede wszystkim budującą się Warszawę. Przemycano w nich pod ciekawą, popularną formą, różne treści ideologiczne. „Budujemy nowy dom, jeszcze jeden nowy dom w Warszawie” – ogłaszał chór Czejanda, „Pójdę na Stare Miasto, nie byłam tam od wczoraj” – śpiewała Marta Mirska.

Często też sami śpiewaliśmy prezentowane w radiu piosenki: „Na prawo most, na lewo most, a dołem Wisła płynie”, „Czerwony autobus”, „A w lipcu na Mariensztacie”, czy „Jak przygoda to tylko w Warszawie”, którą wykonywał bardzo popularny zespół „Mazowsze”.

Zespół „Mazowsze” został założony w 1947 roku przez Tadeusza Sygietyńskiego pod okiem Miry Zimińskiej dla upowszechniania polskich melodii i tańców ludowych. Artyści – wśród których była młodziutka Irena Santor, śpiewająca: „Ej, przeleciał ptaszek kalinowy lasek, siwe piórka na nim zadrżały” – byli jak barwne ptaki wśród szarej, powojennej codzienności. Ich występy uświetniały największe państwowe uroczystości i rozślawiały polskie melodie zagranicą. Niestety, na żywo „Mazowsze” mogliśmy podziwiać dopiero po latach, gdy ci artyści koncertowali w Rzeszowie, Tarnowie czy Mielcu.

W latach pięćdziesiątych radio przede wszystkim propagowało pieśni masowe.

„Nowa piosenka rozbrzmiewała z głośników radiowych zawieszonych na budowie, zachęcała do pracy, wypełniała powietrze szczerą radością [...]. Podczas zabaw po obchodach świąt państwowych młodzież śpiewała: „Ukochany kraj” do słów Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego i „To idzie młodość” z tekstem Ludwika Starskiego. Przypomnijmy inne charakterystyczne tytuły: „Miliony rąk” [kompozytor Edward Olearczyk], „Do roboty!” [Władysław Szpilman]”¹⁷².

Trzeba jednak dodać, że powstawały wówczas również inne piosenki z ciekawymi tekstami; śliczne, wpadające w ucho, które zaczęły zastępować

te – opiewające socjalizm, pracę, budowę. Zamiast: „Już wstaje dzień, dziewczyno wstań, do pracy czas”, czy: „Dziś rano twe ręce dziewczęce mieszały i wapno, i piach” wyśpiewywałyśmy – najczęściej fałszując niemiłosiernie – na przerwach, a czasem i na lekcjach: „Na wieczornym niebie gwiazd rój, taki gwiazd rój tworzy nastrój, nieraz wiosną taki nastrój się przydarzy”, czy „Różowo wtedy kwitł wiśniowy sad, gdyśmy biegali pośród drzew”.

Gdzieś na jakimś bobrowskim strychu wśród starych szpargałów zawieruszył się może i przetrwał do dziś jakiś dziewczynski zeszyt wypełniony tekstami tamtych piosenek, przepisywanych namiętnie pod ławką na lekcjach, upstrzony ortograficznymi błędami, ale jakże wspaniały!

Do dziś wspominamy z sentymentem tamte piosenki, bo był w nich powiew jakiejś lekkości, wolności i nieuchwytnego piękna. I do dziś pewnie wszystkie dziewczyny z tamtych lat znają przeboje: „Brzydula i rudzielec”, „Czy tak, czy nie”, „Żaba”, „Nie o mnie”, „Kasztany”, „Bo mój chłopiec piłkę kopie”. A może też – dziś pewnie całkiem zapomnianą – o dziewczynie, która „w buciorach ciężkich, że aż strach razem z [...] szturmowym oddziałem szła na front w bitewnych trudnych dniach”, a teraz wybiegła na spacer „w nowiutkich, modnych pantofelkach” – „zwiewna i skrzydlata”.

A takie modne pantofelki oglądało się wtedy tylko w prenumerowanej „Przyjaciółce”, gdzie na odwrocie strony tytułowej przedstawiane były najnowsze filmy oraz gwiazdy ekranu, teatru i estrady. Te zdjęcia ogromnie fascynowały wszystkie dziewczyny z wioski mojego dzieciństwa. Były takie piękne, że wydawały się nierealne. Świat, który znaliśmy na co dzień był całkiem inny – szary i brzydki. A gdy pewnego razu dostaliśmy w paczce z Ameryki kilka par takich właśnie pantofelków, byliśmy z siostrą wprost zauroczone. Zachwyciła ich uroda, lekkość, elegancja, piękne, intensywne kolory. Niestety, mama nigdy nie odważyła się ich włożyć, więc stroiliśmy się w nie podczas naszych teatrzykowych zabaw, wykrzywiając je niemiłosiernie i niszcząc. Bo okazało się – jak zawsze – że każda rzecz musi mieć swój czas, a wtedy nosiło się ciężkie czółenka „na klocku”, czyli topornym, grubym obcasie, niezgrabne półbuty „na słoninie” czy letnie, byle jak sklecone sandały, które nie miały ani koloru, ani wdzięku.

Ojciec często słuchał muzyki. Uwielbiał koncerty Stefana Rachonia nadawane w samo południe, audycje muzyczne Władysława Szpilmana, kompozycje Stanisława Hadyny – twórcy zespołu „Śląsk”, a najbardziej muzykę Orkiestry Tanecznej Polskiego Radia powstałej w 1946 roku, której dyrektorem był wspaniały muzyk pochodzenia żydowskiego – Jan Cajmer. Niestety, wyjechał nagle w 1957 roku do Izraela, a jego muzyka zamilkła w naszym radiu. Zostało tylko popularne powiedzenie: „masz zagrania jak Cajmer o północy” nawiązujące do bardzo późnej pory nadawania jego koncertów, a oznaczające zachowania zadziwiające i troszkę szokujące.

Wkrótce po Cajmerze – niestety – wyjechała też do Izraela młodziutka, bardzo utalentowana piosenkarka Natasza Zylska, która tak pięknie śpiewała o serduszkach, które miało wiele trosk: „czy być jak gład, czy być jak wosk” [„Pik, pik, pik”], o kasztanach, które „jak rudy lecał grad” [„Kasztany”], czy o tym, że mąż „lubi łowić ryby” i że „stać nad wodą chciałby cały dzień”. Jej inne, niezapomniane przeboje to „Mexicana”, „Czekolada”, „Bajo bongo”, „Klipsy”, „Kukurydza”, „Marianna ruda”, „Mambo italiano”, „Kobieta i mężczyzna” i wiele, wiele innych, które do dziś na pewno potrafią jeszcze zaśpiewać dziewczyny z tamtych lat. Ogromną popularnością cieszyła się też węgierska melodia z polskim tekstem o galamboszu, którego refren był tak bliski mieszkańcom wsi: „Wio koniku, a jak się postarasz, na kolację zajedziemy akurat, tobie owsa nasypiemy zaraz, a ja z miski smaczną zupę będę jadł”. Siadałyśmy ze swymi robótkami wokół radia, a ono migało do nas magicznym, zielonym oczkiem. Mama mówiła: – A, też przysiedę na chwile; bo rzeczywiście muzyka poprawiała humory, umilała czas, tworzyła fajny, rodzinny nastrój.

Czasami udawało się złapać „Radio Luxembourg” i usłyszeć wspaniałą muzykę Glenna Millera czy modne rytmy „cza-cza”.

Zawsze w niedzielę słuchaliśmy audycji Jerzego Haralda „Melodie świata”, w których występowała świetna – wspomniana już – Maria Koterbska, wprowadzająca do swych utworów nowy, trochę amerykański styl śpiewania. Gazety pisały, że „śpiewała po swojemu w ten jedyny, niepowtarzalny sposób, który sprawia, że cała jest muzyką i harmonią, melodią i rytmem”¹⁷³.

Gdy rozpoczęto nadawanie audycji „Podróże muzyczne po kraju” również one były przez nas bardzo wyczekiwane. Spiker serdecznie witał mieszkańców małych miasteczek i wsi, i zapraszał do poznania różnych kapel ludowych, grających skocznie, pięknie i znajomo. Najpiękniej chyba grała kapela Władysława Łobody z Dąbrowy koło Rzeszowa, szczególnie lubiana przez najstarszych słuchaczy.

Ale radio pełniło też inną, bardzo ważną rolę. Wielkim zainteresowaniem cieszyła się prowadzona przez kilka lat po wojnie akcja poszukiwania przez PCK zaginionych osób. W ramach tej akcji już w lutym 1945 roku Polskie Radio uruchomiło „Skrzynkę Poszukiwania Rodzin”. Spikerzy wyczytywali bardzo długą listę osób, które w czasie wojennej zawieruchy utraciły swych bliskich. Ale nikt się nie nudził, słuchając kolejnych nazwisk. Prawie w każdej rodzinie były takie osoby, na które wciąż czekano, a dzięki tej akcji odnajdywało się wielu zaginionych. Dorośli z zapartym tchem słuchali też relacji ze słynnego procesu generała Stanisława Tatara, oskarżonego o zdradę państwa, który miał miejsce w 1951 roku. Na podstawie spreparowanych dowodów został on skazany na dożywocie i dopiero po 1956 roku oczyszczono go z zarzutów i uwolniono.

Natomiast rodzice natychmiast wyłączali radio, gdy zaczynała się audycja mająca na celu zbliżyć relacje między Polakami a Ukraińcami nadawa-

na w języku ukraińskim, czyli „ukrainskoju mowoju”. Na dźwięk tych słów natychmiast skrzypiało pokrętko, a rozmowy schodziły na temat zbrodni nacjonalistów ukraińskich, tak bardzo jeszcze świeżych. Ze zgrozą wspomniano bandy UPA, które paliły całe polskie wsie, a mieszkańców okrutnie mordowano. Do naszej dziecięcej wyobraźni niezwykle przemawiały obrazy obcinanych kobietom piersi, roztrzaskiwanych o węgły domów główek maleńkich dzieci, rozcinanych brzuchów, rąbanych siekierami głów. Szeptano o świadkach tych zbrodni, którym udało się zbiec i osiedlić się w pobliskich miejscowościach, pamiętających np. jeden z lipcowych dni 1943 roku, gdy nacjonaści ukraińscy zaatakowali 100 polskich wsi na wschodnich kresach. Rozpoczęli akcję wczesnym rankiem, gdy jeszcze wszyscy spali: mordowali, palili i – zostawiwszy trupy i zgłiszcza – ciągnęli do kolejnych osad. Ponieważ była to niedziela, atakowali też ludzi chroniących się w kościołach. Wrzucono do środka granaty, używano broni maszynowej, wzniecano ogień. Zginęło wtedy około 20 tysięcy Polaków.

Niełatwo było o tym zapomnieć; nie chciano więc nawet słyszeć znienawidzonego języka czy problemów ludzi, którzy zajęli ziemie należące wcześniej do naszych rodaków. Za bardzo jeszcze krwawiła żywa pamięć.

Bardzo chętnie słuchano różnych programów rozrywkowych. Aby nie przegapić najciekawszych audycji, czekaliśmy z ołówkiem i kartką w ręku na chwilę, gdy wieczorem odczytywano program radiowy na następny dzień. Zapisywało się wtedy godziny emisji, a kartkę kładło na odbiorniku. Nie było przecież programu drukowanego w gazetach. Na szczęście wiele audycji miało ustalone pory nadawania, co pomagało nie przegapić ich w danym dniu.

Wcześniej rano budziła nas gimnastyka poranna, której wprowadzie nikt nie wykonywał, ale słuchało się jej bardzo chętnie. Spiker wesołym, zdecydowanym głosem wzywał do otwarcia okien i przedstawiał kolejne ćwiczenia. W rytm marszowej muzyki liczył: raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy... Dorośli już wcześniej wychodzili z izby do codziennych obrządków, a my, dzieci – słuchaliśmy tej gimnastyki, leżąc jeszcze pod ciepłymi pierzynami.

Dzieciaki szczególnie lubiły radiowy teatr, który przynosił w nieznana, niecodzienną rzeczywistość, uwrażliwiał na ludzkie dramaty, pokazywał radości, smutki i przygody niezwykłych ludzi. Niekiedy inscenizowano różne, ciekawe baśnie, jak ta, bardzo wzruszająca nas śląska legenda o Liczyrzepie, baśń o dzikich łabędziach czy o Królowej Śniegu. Całe rodziny zasiadały też przed radioodbiornikiem, by wysłuchać wesołej audycji „Przy sobocie po robocie”, którą prowadził Kazimierz Wajda, wesołej „Zgaduj-zgaduli”, czy – od 1958 roku – kabaretu radiowego „Podwieczorek przy mikrofonie”. To w nim wspaniała piosenkarka i aktorka Rena Rolska występująca w roli uczennicy – po tradycyjnym wezwaniu: „Rolska do tablicy! – czytała cieniutkim głosi-

kiem prześmieszne zadania domowe, które pod maską dziecięcej naiwności ośmieszały głupotę, zło, nieuczciwość i inne przywary Polaków.

Kazimierz Wajda to był legendarny Szczepko – jeden z „batiarów” z przedwojennej audycji „Wesoła Lwowska Fala”, który po wojennej tułaczce powrócił do Polski. Kochaliśmy też – dorośli i dzieci – Hanke Bielicką; mistrzynię satyrycznych monologów, stylizującą się na bazarową przekupkę czy na pretensjonalną „paniusię” Dziunię Pietrusińską, krzyczącą charakterystycznym, zachrypniętym głosem. Bawił wszystkich duet Jerzego Bieleni i Kazimierza Brusikiewicza, którzy jako Florczak i Malinowski żartobliwie ukazywali nonsensy życia biurowego i obyczajowego. Kierownik był typem niezbyt inteligentnego służbisty i biurokraty, za to zwyczajny urzędnik Malinowski wykazywał mądrość, spryt i zaradność szarego człowieka, obnażając głupotę przełożonego i absurdy życia społecznego.

„Podwieczorek przy mikrofonie” – transmitowany z warszawskiej kawiarni „Stolica” – był najpopularniejszym programem radiowym przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Nie tylko dostarczał rozrywki słuchaczom, ale dawał też możliwość zaistnienia początkującym artystom. Tu np. debiutowała na falach radiowych wspiana piosenkarka Anna German.

By dostarczyć rozrywki dla mieszkańców coraz dynamiczniej rozwijających się wsi w 1958 roku wymyślono audycję „Wesoły autobus”, który w każde niedzielne popołudnie „gnał po kocich łbach”, by bawić, a także w sposób lekki i przyjemny ukazywać współczesne, wiejskie tematy. Wjeżdżał na radiową antenę z radosną piosenką przekonującą, że „śmiać się, prze pana oho, dobrze jest od rana”. Prezentowano w nim wesołe piosenki, skecze i monologi. Najbarwniejszą postacią był tu Jerzy Ofierski, wcielający się w rolę wiejskiego sołtysa Kierdziołka z Chlapkowic, zaczynający swe dowcipne monologi o wsi słynnym powiedzeniem: „Cie, choroba!”

Wieczorami kto żyw słuchał serialowej audycji o rodzinie Matysiaków, która przedstawiała życie zwyczajnych ludzi z ulicy Dobrej w Warszawie tak wiarygodnie i sympatycznie, że prawie nikt nie dostrzegał ukrytych tam treści propagandowych. Wszyscy z zapartym tchem śledzili jej losy, przeżywali jej dramaty, radości i smutki, jakby były udziałem bliskich, prawdziwych postaci. Matysiakowie funkcjonowali w naszej wyobraźni jako naprawdę istniejący ludzie. Pierwszy odcinek tego słuchowiska wyemitowano 15 grudnia 1956 roku i od razu wszyscy je pokochali. W każdą sobotę o siódmej wieczorem 30 milionów radiosłuchaczy gościło w mieszkaniu przy ulicy Dobrej, żeby śledzić losy dziewięciorga głównych bohaterów i około 50 epizodycznych postaci. Toczyło się tam codzienne życie, przeżywano radości i dramaty, rozmawiano o sprawach wielkich i małych, podejmowano różne akcje społeczne jak ta, dzięki której na Krakowskim Przedmieściu postawio-

no pomnik Bolesława Prusa, a Warszawska Syrenka powróciła na swe dawne miejsce na wiślanym brzegu.

Przychodzące do nas ciotce i sąsiadki często komentowały wydarzenia na Dobrej, martwiły się i cieszyły razem z bohaterami. Słuchacze pisali do Matysiaków listy, przesyłali im prezenty, przejmowali się losami seniora Józka Matysiaka, kreowanego przez Jana Ciecierskiego, jego cudownej żony granej świetnie przez Stanisławę Perzanowską – aktorkę o charakterystycznym, trochę chropawym, ale ciepłym głosie, utalentowanego syna Stacha, synowej Wisi, córki Zosię i jej wielbiciela pana Kolasińskiego, a także sąsiada Grzelaka granego przez nieodżałowanego Tadeusza Fijewskiego czy młodego Gienka Matysiaka [w tej roli Stefan Friedman]. Piosenka o ulicy Dobrej wylansowana przez Tadeusza Janczara grającego rolę Staszka Matysiaka zdobyła wielkie uznanie. Śpiewaliśmy razem z bohaterami:

„Gdzie jest Polna? – bo pole,
A gdzie Dolna? – bo w dole,
A na Piwnej jest piwo,
A na Krzywej jest krzywo.
Lecz kto powie dlaczego,
Taka nazwa jak ta?
Dobra? Widać dobrego
Więcej tutaj niż zła”.

Ludzie w wiosce mojego dzieciństwa – tak jak wszędzie w Polsce – spragnieni byli dobra, ciepła rodzinnego, wrażliwości na zło, wzajemnego szacunku i miłości. Takiej chcieli rzeczywistości, takich rodzin, a ta audycja dawała nadzieję, że tak może przecież być.

Znany pisarz i publicysta Tadeusz Konwicki wspominał:

„Słuchając kiedyś radiowych „Matysiaków”, z drugiego pokoju, uległem naraz wrażeniu, że tuż obok żyje jakaś realna, znajoma rodzina. Słyszałem, jak stukają drzwiami, stękają, krają chleb, piją herbatę, prowadzą takie sobie idiotyczne, rodzinne rozmowy, wzdychają, kłócą się, i oto raptem, w obcym mieście [...] poczułem się obiektem jak gdyby czyjejś pamięci, współuczestnikiem czyjejś niedoli”¹⁷⁴.

Pojawiła się też w radiu parodia tej audycji pt. „Zagryziakowie”, gdzie wszyscy w przedstawionej rodzinie kłócili się i „gryźli” nawzajem, ale nie uzyskała aprobaty widzów. Natomiast rośnie zapotrzebowanie na programy o tematyce wiejskiej, więc w 1960 roku wymyślono cykliczną audycję o wiejskiej rodzinie Jabłońskich, nadawaną w niedzielne popołudnia pt. „W Jezioranach”, która – choć też cieszyła się dużą popularnością – nie dorównała jednak „Matysiakom”.

Z radością czekaliśmy też na audycje przeznaczone dla dorosłych i dla dzieci, w których uczono różnych piosenek. Najpopularniejszymi kompo-

zytorkami tych piosenek były: Ludwika Leszczyńska i Maria Kaczurbina. Prowadząca dyktowała teksty i uczyła melodii przy akompaniamencie fortepianu. Obecni w studio śpiewali małe fragmenty solo, potem kilka razy wspólnie, tak, że pod koniec audycji znało się już nową piosenkę. Teksty zapisywało się w specjalnym zeszytce. W klasie każda z dziewczyn dzieliła się swoją „piosenką”. Robiliśmy poprawki, uzupełnialiśmy pominięte fragmenty, a potem wciąż śpiewaliśmy – oczywiście strasznie fałszując; ale była to świetna, bardzo przez nas lubiana rozrywka.

I chociaż przekazywane przez radio wieści ze świata, komentarze, czy nawet teksty słuchanych piosenek nie zawsze dla nas, dzieci – były zrozumiałe, to przecież kształtowały nasz gust, naszą wrażliwość, rozbudzały zainteresowania, wyobraźnię i marzenia.

Na lekcjach wychowania fizycznego, gdy padał deszcz i nie graliśmy jak zwykle „w piłkę” – a przecież nie było żadnych sal gimnastycznych czy jakiś przyrządów do ćwiczeń – przeprowadzaliśmy zabawę w fanty. Była jaka wyliczanka; nawet „lampa-nos” była pretekstem do zebrania od uczniów różnych przyborów szkolnych, zeszytów czy innych drobiazgów. Delikwent, by odebrać fant musiał coś zaśpiewać. Pożyczałyśmy zeszyty z tekstami chłopakom, którzy – choć znali popularne melodie – prawie nigdy nie pamiętali słów. Jednego z nich nawet przez jakiś czas nazywaliśmy „Kotania”, bo śpiewając – zresztą bardzo pięknie – słynny motyw muzyczny z filmu „Most na rzece Kwai” zamiast: „miasteczko moje w kotlinie wśród wzgórz”, zaśpiewał: „w kotani wśród wzgórz”. Wielka szkoda, że Mariana o pięknym głosie nie ma już wśród nas.

Z każdym rokiem nadawano w radiu coraz więcej piosenek zagranicznych. I znów pęczniały nasze zeszyty pełne „potworkowych”, upstrzonych różnymi błędami tekstów; spisywałyśmy bowiem słowa fonetycznie, wprost z radia, często trzeszczącego i bełkotliwego. Miałyśmy jednak coraz więcej repertuaru na dziewczynskie spotkania i do wypełnienia czasu spędzanego przy pasieniu krów. „Śpiewałyśmy więc z naszych śpiewników: „Mała Genia”, „Kej sera sera”, „Bajobongo”, „Marina”, „Marżolene”, „Besame muczo” czy „Lakukaracza”. Piosenki naszego dzieciństwa nie przemijały, a dorastając, ich sens odkrywałyśmy na nowo. Do dziś miło się ich słucha; często prezentowanych w nowoczesnych wersjach.

Mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa – i duzi i mali – byli bardzo rozśpiewani. Zналиśmy wiele nowych przebojów: polskich i zagranicznych, ale także mnóstwo starych, ludowych piosenek, których uczyliśmy się od dorosłych. Wesela, zabawy, chrzciny, święta i inne uroczystości rozbrzmiewały wesołymi lub smętnymi piosenkami, niosącymi się głośnym echem przez wieś. Wszyscy znali nawet wielozwrotkowe teksty, które były przekazywane ustnie z pokolenia na pokolenie. Śpiewano np. o tym, jak „do niemieckich hufców chłopców zaciągali”, że „zielony mosteczek ugina się”, a „w zielonym

gaiku jelen złamał nogę”, że „stoi grusza w polu, słodkie grusze rodzi”, że „chciało się Zosi jagódek” – i setki innych piosenek. Szkoda, że wiele z nich zostało zapomnianych.

Tymczasem trwał sierpień. Żniwne pola opustoszały, ale pracy wciąż było wiele. Biegaliśmy boso, by czuć przyjemną miękkość, wilgoć i chłód rannej rosy, którą szybko wypijało coraz wyższe słońce. Cieszyliśmy się, że wciąż trwają wakacje, choć już troszeczkę tęskniliśmy za szkołą.

W samym środku miesiąca przypadał najpiękniejszy dzień polskiego lata – Święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, zwane świętem Matki Boskiej Zielnej.

Zawsze przed tym dniem przygotowywaliśmy bukiety ziela do poświęcenia w kościele. Był to cały rytuał powtarzany corocznie.

Najpierw biegliśmy do Olszyn, by tam nałamać kalinowych gałązek obsypanych koralami o intensywnej czerwieni, niezbędnych dla rangi i urody bukietu. Olszyny to był jedyny las w wiosce mojego dzieciństwa, w którym rośło wiele – niespotykanych w innych miejscach wsi – ciekawych okazów drzew i krzewów; w tym właśnie kalina.

Mama, wkładając obsypane czerwienią gałązki do dużego, glinianego dzbanka, przypominała nam zawsze piosenkę ze słowami Teofila Lenartowicza, której uczyła się w przedwojennej szkole:

„Rosła kalina liściem szerokim, nad modrym w gaju rośła potokiem.

Drobny deszcz piła, rosę zbierała, w majowym słońcu liście kąpała”.

I w naszych cudnych Olszynach tak właśnie było. Wśród kolczastych jeżyn, brzozowych drzewek, leszczynowych i olszynowych zarośli mogliśmy podziwiać dorodne kalinowe krzewy o gałązkach aż ciężkich od pięknych owoców zebranych w grube baldachy.

Mikołajek wielokrotnie wspomina ów uroczy zakątek naszej wioski: „Olchowy las; otwiera się przed nim gliniasta droga, po obu stronach faliste kępy jeżyn”¹⁷⁵.

Bo do Olszyn chodziliśmy nie tylko po kalinowe gałązki. Tam też dojrzewały wspaniałe orzechy laskowe, które zrywaliśmy, przyginając do ziemi giętkie gałęzie. Upychaliśmy kieszenie takimi – jeszcze z zielonymi – „falbankami”, bo te łatwo było rozłupać butem na kamieniu, a nawet rozgryźć zębami, by dostać się do jeszcze dość miękkiego, pysznego wnętrza. Trzeba było zdążyć przed wiewiórkami, które tylko smyrgały wśród gałęzi i robiły orzechowe zapasy.

Rosły tam też największe i najsmaczniejsze – wspomинane przez Mikołajka – jeżyny, które w wiosce mojego dzieciństwa zwano „baranami”. I choć broniły ich kolczaste, ostreżynowe, splątane gałęzie, to – narażając nogi i ręce, a także ubranie – wciskaliśmy się w sam gąszcz, by dotrzeć do tych najdorodniejszych, najbardziej dojrzałych, ciemnofioletowych owoców,

które po potraceniu gałązki kapały na ziemię jak olbrzymie, ciężkie od soku krople. Wracaliśmy cali podrapani, ubrudzeni, ale szczęśliwi.

Na pobliskich polanach rosły kępy szczeciniastej trawy, „mietlyca” i si-towie czyli „sit”, z którego można było pleść zielone warkocze, a nawet spi-czaste czapki. Przeskakiwaliśmy maleńkie strumyczki i błotniste bajorka, biegając między gorzko pachnącymi olchami o garbowanych, intensywnie zielonych, prawie okrągłych liściach i gęstych gałęziach – tworzących kopia-ste kępy, które rozsiadły się wśród malutkich łączek, kipiących pachnącym kwieciem. Najwięcej tu było złocistych jaskrów, fioletowych firletek, dzikich goździków, cykorii i dziewanny.

Aż roіło się tam też od różnych owadów i ptaków. To tam latały najpięk-niejsze motyle, a wśród nich cudnie ubarwiony paż królowej, opasłe trzmie-le, pszczoły, bąki i zielonkawie muchy. Spod nóg wyskakiwały brązowe ropu-chy i duże, zielone pasikoniki. Czasem zza krzaka smyrgnął zajęc, by szybkim susem skryć się w zielonej gęstwinie. Można też tam było spotkać jeża czy polne myszy. Były mrowiska i tajemnicze norki, między którymi wyrastały cienkie graby lub białokore brzożki, ale najczęściej było jednak krzaczastych „łolszyn”, które zdecydowały o nazwie tej „czarownej krainy”, a także wikli-nowych zarośli, jarzębin, głógów i leszczyn. Gdzieniegdzie ponad korony ni-skich drzew wystrzelał w niebo wspaniały dąb o chropowatej korze i dziw-nie pokręconych gałęziach. Wyniosły, wspaniały, nie lękał się ani spiekoty, ani siarczystych mrozów, ani porywistych wichrów. Trwał, wbijając swe po-tężne korzenie głęboko w ziemię.

Na nielicznych, nasłonecznionych, piaszczystych polankach pachniały krzewinki macierzanki i żółciutkiego rozchodnika.

Olszyny były ulubionym miejscem wypraw dziecięcych: po maliny, jeży-ny, orzechy czy żołądzie zwane dąbkami. Ten mikroświatek to było miejsce niemal magiczne, tajemnicze i piękne. Mikołajek pisał:

„Dwa kilometry za wsią zaczynały się wzgórza, wąwozy; czarnymi zato-kami kłębiła się leszczyna [...], w dole czernią lśniła woda.[...] Ciemnoszma-ragdowa plama rozlewiska zawsze sipsiała strumykami wody”¹⁷⁶.

„Szarzyzna olch rzednieje, droga biegnie wysokim brzegiem krętej rzeczki [...]. Mógłbym tedy iść z zamkniętymi oczami. Nie byłem tu przeszło dwadzieścia lat. Wracam do miejsca, gdzie kiedyś [...] tu na wzniesieniu pod sosną, bezradny i wystraszony nasłuchiwałem dalekich wybuchów”¹⁷⁷.

Z Olszyn przynosiliśmy też gałązki ziół, które musiały się znaleźć w przy-gotowywanym do poświęcenia bukicie: dziurawca, którego kwiaty zwane były dzwonczkami Panny Maryi, białego krwawnika czy gorzkiego piołunu. Dołączaliśmy do nich także ogrodowe kwiaty słoneczników, astrów, „gier-gonii” czy nagietek. Do tego dodawało się jeszcze twarde, kuliste makówki,

najdorodniejsze kłosa zbóż i nabijane na patyki maleńkie, prześlicznie czerwone jabłuszka, zawsze zrywane w sadzie na „Dulówce”.

Gotowy, barwny, sztywny bukiet – tak gruby, że ledwo można go było objąć rękami – przyozdabiało się kokardami i niosło dumnie do kościoła. Gdy ksiądz obficie skrapiał święconą wodą tonący w pachnących ziołach kościół, śpiewaliśmy wzruszeni starą, piękną pieśń:

„O Maryjo, czemu biegiesz w niebo,
Z jaką spieszysz do Boga potrzebą”?

Nie oczekiwaliśmy odpowiedzi. Już wołał nas świat pełen dziecięcych spraw i nie należało zmitrzążyć ni chwili. Wracaliśmy w podskokach, szybko oddając rodzicom poświęcone ziele, które wieszali na gankach lub pod okapem domów, by chroniły przed chorobami i złem. Długo te wysuszone, pachnące sierpniem bukiety zdobiły ściany wiejskich chat, a wreszcie lądowały jako dodatek do siana dla domowych zwierząt, lub zostawały wydane na pastwę ognia, jeszcze na koniec rozsiewając wokoło swój piękny zapach.

Niekiedy w Święto Matki Boskiej Zielnej mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa jechali na odpust do Przecławia, nawiązując do starej tradycji, gdy Bobrowa należała do przecławskiej parafii.

„Przecław, jako miejsce szczególnego kultu Maryjnego, ma bardzo dawną i piękną tradycję. Od kilku stuleci na święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny do Przecławia przybywają mieszkańcy sąsiednich miejscowości”¹⁷⁸.

Sierpniowy odpust w Przecławiu odbywający się w kościele pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny Wniebowziętej to rzeczywiście barwne wydarzenie, w którym do dziś biorą udział mieszkańcy wielu okolicznych wiosek. Kobiety – również bobrowianki – najczęściej udawały się pod boczny ołtarz po lewej stronie, by przed starym, bo pochodzącym z XVII wieku obrazem Matki Bożej Różańcowej modlić się o łaski i śpiewać stare pieśni Maryjne, jak ta – dziś trochę zapomniana:

„Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas
Matko, nie opuszczaj nas!
Matko, pociesz, gdy płaczemy,
Matko, prowadź, bo zginiemy!”

Odpust to było w Przecławiu – tak jak w Nagoszynie – wielkie święto! „Nieodzownym elementem święta są kolorowe kramy z ciastkami i zabawkami. Dawniej w czasie odpustu w kościele święcono niewielkie wiązki z ziele, w które wplatano malwy, makówki, piołun, miętę i „boże drzewko”¹⁷⁹.

„W sierpniowe odpusty na kramach sprzedawano wieńce plecione z ziół, rosnących na Stawiskach, które następnie święcono w kościele. Do Przecławia przyjeżdżała karuzela. Przysmakiem były ciastka z dziurką i cukierki – cygara”¹⁸⁰.

Od rana drogami wśród pól ciągnęli do miasteczka pielgrzymi. Ci, którzy przyjeżdżali furmankami, zatrzymywali się pod drzewami, by strudzone konie mogły odpoczywać w ich cieniu. Zawieszali też worki z owsem, wymieszanym z siewką na ich karkach tak, by konie mogły się posilać i zostawiwszy je pod opieką kilkunastoletnich chłopców, chętnie za parę groszy służących pomocą, spieszyli na uroczystą Sumę, w czasie której odbywała się wspaniała procesja, a w czystym powietrzu daleko niosły się pobożne śpiewy: „Bądźże pozdrowiona Hostyjo żywa, w której Jezus Chrystus bóstwo ukrywa”!

Sierpień był miesiącem nie tylko Święta Wniebowzięcia, ale też Matki Boskiej Częstochowskiej. Prawie nie uczestniczono wtedy w pielgrzymkach na Jasną Górę, ale wielkim przeżyciem dla mieszkańców wioski mojego dzieciństwa była peregrynacja po okolicznych parafiach Jasnogórskiego Obrazu. Odbywała się ona za przyczyną Prymasa Tysiąclecia – Stefana Wyszyńskiego, wielkiego czciciela Maryi, który – będąc internowany przez władze – przygotowywał w więzieniu plany obchodów Tysiąclecia Chrztu Polski. Był wielkim autorytetem moralnym dla wszystkich Polaków; także dla mieszkańców wioski mojego dzieciństwa, m.in. za przyczyną proboszcza Fijała, który odważnie popierał zdecydowane stanowisko Prymasa wobec władz prześladujących Kościół. Wzywał do życia godnego chrześcijanina i Polaka, modlił się za Kościół i za ojczyznę.

Proboszcz Fijał przywoływał słowa Prymasa Wyszyńskiego, modląc się w nagoskim kościele, przepełnionym wzruszonymi ludźmi: „Panie Boże, dajęś odpocząć innym narodom po tej niedawnej, strasznej wojnie, a my dusimy się od nadmiaru męki. Daj i nam wytchnienie”!

W naszych domach przypominano te słowa, rozmawiano o uwięzieniu Prymasa i o jego niezłomnej postawie. To dzięki niemu na Konferencji Episkopatu Polski w 1957 roku ustalono program uroczystości milenijnych, które właśnie miała poprzedzać peregrynacja Cudownego Obrazu po całej Polsce.

Wykonano na drzewie lipowym bardzo staranną kopię Jasnogórskiego Obrazu i zawieszono do Rzymu, gdzie został pobłogosławiony przez papieża Piusa XII. Obraz Nawiedzenia rozpoczął wędrówkę w Warszawie 29 sierpnia 1957 roku, ale 2 września 1966 roku „zaaresztowano” go i zamknięto na Jasnej Górze. Wtedy to rozpoczęły wędrówkę po parafiach i domach puste ramy ozdobione kwiatami i wotami zawieszanymi przez ludzi przyjmujących Maryję w swych domach. Płonąca świeca i księga Ewangelii dopełniały niezwykłego, bolesnego symbolu tamtych strasznych czasów totalitarnych rządów i zniewolenia narodu, i bardzo mocno przemawiały do serca każdego Polaka. Starsi mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa na pewno pamiętają, jak licznie gromadzono się w każdym kolejnym domu i żarliwie się modlono. Codziennie zanoszono do Jasnogórskiej Pani prośby, przekazywane przez pokolenia w starej, Maryjnej pieśni:

„Z dawna Polski Tyś królowo, Maryjo,
Ty za nami przemów słowo, Maryjo!
Ociemniałym podaj rękę,
Niewytrwałym skracaj mękę,
Swe królestwo weź w porękę, Maryjo!”

Również dzieci uczestniczyły w tych codziennych modłach.

Mamy przypominały: – Odróbcie szybko zadania, jak chcecie iść „na obraz”. Szliśmy chętnie i zawodziliśmy głośno, z przejęciem, przekręcając niezrozumiałe teksty. Czasem zamiast „swe królestwo weź w porękę” śpiewaliśmy bez sensu „swe królestwo weź pod rękę”, ale i tak były to chwile podniosłe, niezapomniane, pełne wzruszeń. Kobiety przepisywały też do zeszytów – często koślawo i z błędami – specjalnie na tę okoliczność układane pobożne pieśni. Uczono się ich, przekazywano kolejnym rodzinom i śpiewano z wiarą i nadzieją, a głosy niosły się daleko po wieczornej rosie. Jeszcze długo w naszym – i pewnie w wielu innych domach – leżały obok książeczek do modlenia te zeszyty, wypełnione przepisywanymi pieśniami Maryjnymi; śpiewano je czasami i później w wolnych chwilach, wspominając tamte święte dni.

Niektórzy mieszkańcy mojej wioski wędrowali co dzień „za obrazem”, inni zachodzili tylko do sąsiadów i krewnych; ustawały prace, cichły spory, miękły serca, rosła wiara, nadzieja i miłość. Chyba nie było w wiosce mojego dzieciństwa nikogo, kto nie uczestniczyłby w tych wydarzeniach; nawet najbardziej zatwardziały niedowiarków porywała ta nadzwyczajna atmosfera rozmodlenia, przemiany serc i uświęcenia dusz.

Z dużą radością przyjęto więc wiadomość, którą pewnego razu przyniósł – zawsze świetnie poinformowany listonosz – że zaufani ludzie wykradli więziony w Częstochowie obraz, by zawieźć go do Radomia na wielką uroczystość religijną, która odbyła się w czerwcu 1972 roku. Władze tym razem uległy i od tej pory Obraz peregrynował dalej przez Polskę. Trwało to w sumie 23 lata.

A późne, sierpniowe dni szybko mijały, przynosząc zmiany na polach, w sadach i ogrodach. Na grządkach rozpychały się czerwone buraki o lśniących, jakby oblanych tłuszczem liściach, bujał wysiany dziko koper – już nieco wyrudziały, o przekwitających baldachach, wśród dużych, już żółkniejących liści wylegiwały się brzuchate, ciemnozielone ogórki, a drewniane podpórki ledwie mogły udźwigać ciężkie, czerwoniutkie kule pomidorów.

W kącie ogródka grzechotały poruszane wiatrem dojrzałe główki dorodnego maku, między którym rozrastały się krzaki bladoróżowo i biało kwitnących „panienek” zwanych też „czoskami”, o listkach przypominających te koprowe i kwiatkach delikatnych i wiotkich, będących urozmaicheniem warzywnych grządek.

Nad płotami pyszniły się kwiaty „giergonii” o różnorodnych kolorach i kształtach, bujały grube badyle dojrzewających słoneczników, złocistej kukurydzy, konopi i fasoli, pnącej się po wysokich tyczkach.

Obsadzone po brzegach astrami i „śmierduszkamy” ogródkowe ścieżki ledwo były widoczne w pianie kwitnącej czerwieni, żółci i bieli. Te kwiaty – zwiastujące już zbliżającą się jesień – zapowiadały też czas dożynek.

Dożynki były wielkim świętem całej wsi. Zwieńczały przecież całoroczną pracę przy uprawie zbóż i zebraniu plonów. Odbywały się na przełomie sierpnia i września, gdy zwiezione zboże – już bezpiecznie schowane w stodołach i w stogach – czekało na młockę.

Na długo przed uroczystością – jeszcze w porze żniw – zaczynały się w ludowcu próby. Po całodniowej pracy na polu czy w gospodarstwie biegło się wieczorem do świetlicy, by tam odpocząć od szarżyzny i monotonii dnia codziennego, spotkać się z koleżankami i kolegami, i wziąć udział w czymś pięknym, barwnym i ciekawym.

Przygotowanie dożynkowej uroczystości wymagało profesjonalizmu i fantazji. Przygotowywał je m.in. instruktor do spraw kultury Alfred Maciuba – nauczyciel z Liceum Ekonomicznego w Dębicy, który przez kilka lat przyjeżdżał do Bobrowej na próby dożynkowych układów choreograficznych. Niedługo po wojnie instruktorem młodych „artystów” był Władysław Borowiecki, później też Aleksander Bacher. Ich zapal udzielał się młodzieży – chętniej do działania, gotowej do poświęcania swego czasu dla tworzenia czegoś ciekawego, pożytecznego, cieszącej się ze wspólnych spotkań. Bardzo ceniliśmy też Zosię Skrzypek [Szczepanik] – późniejszą dyrektorkę szkół w Chotowej i Dobrkowie, instruktorkę harcerską pełniącą funkcję komendanta Hufca w Pilźnie. Jako absolwentka renomowanego Liceum Pedagogicznego w Mielcu była świetnie przygotowana do pracy z młodzieżą, a jej serdeczność, otwartość, uśmiech ciągle goszczący na twarzy zjednywały wszystkich i zachęcały do wysiłku. Wesoło więc śpiewaliśmy wybrane przez nią dowcipne piosenki ludowe:

„Od Poborza do Witoni tam kawaler pannę goni,

A ona mu tak ucieko, co podskocy to poczeko”.

„Nie uwożej Jasiu na to, że jo tako piegowato,

Jak mnie schowosz pod pierzyną, to mi wszystkie piegi zginą.”

Zawsze – zgodnie z tradycją – na dożynki przygotowywano taniec „krakowiakopodobny”. Zmieniali się tancerze; odchodzili starsi, zakładający rodziny, a przychodzili na ich miejsce młodszy, wprowadzano coraz to nowe figury taneczne, czasem też zmieniano stroje, ale krakowiak był żelaznym punktem programu każdych bobrowskich dożynek. Najczęściej występowano we własnych ubiorach: chłopaki w białych koszulach, a dziewczyny w „wyróżnionych” gorsetach, ale niekiedy też w strojach wypożyczanych w dębickim

Domu Kultury. Zachowały się zdjęcia – m.in. zamieszczone w „Ocalić wspomnienia – zachować czas”¹⁸¹, na których tancerki prezentują się w wiankach na głowie, w kwiecistych spódnicach, wyszywanych gorsetach i białych fartuszkach, ozdobionych tasiemkami, a chłopaki w białych koszulach, krakowskich czapkach, „kierezyjach” i pasiastych lub białych portkach, włożonych w cholewy wysokich butów.

Dużą wagę zawsze przywiązywano do dożynkowych wieńców. Było w wiosce mojego dzieciństwa kilku „specjalistów”, którzy z przyniesionych przez uczestników z domu snopów pszenicy – najdorodniejszej, najbardziej okazałej – wyplatali prawdziwe cuda. W ciągu kilku wieczorów na stelażu z giętkich gałązek i drutu powstawały piękne wieńce dożynkowe o różnych kształtach – najczęściej koła lub serca; co roku inne, bardziej wymyślne. Ozdabianie wieńców należało do dziewcząt. Przynosiłyśmy z domów wstążki oraz kwiaty, których musiało być bardzo dużo, bo dekorowaliśmy też drabiniasty wóz, którym wieziono wieniec do kościoła i na miejsce uroczystości.

Gospodynie chętnie dawały nam całe naręcza kwiecica, bo wszyscy kochali dożynki. Znosiłyśmy więc całe stosy pachnących latem, obficie kwitnących we wszystkich ogródkach kolorowych, różnorodnych astrów, różowych floksów i wielkokwiatowych „giersonii”. Jednak te ostatnie były trochę kłopotliwe, bo – choć rosnąc na wysokich krzakach prezentowały się niezwykle pysznie, bogato i barwnie, a wielgachne kwiatowe kule wydawały się idealne do ozdoby wieńca – to po zerwaniu dość szybko więdły; mięsiste łodygi wiotczały, ciężkie kwiaty pochylały głowy i traciły cały swój urok. Wykorzystywaliśmy też kwiaty słoneczników – widoczne z daleka, słoneczne i ślicznie się prezentujące, a także drobnolistne bielutkie wiechy „marianków” czy odporne na niedogodne warunki, zawsze pewne i zawsze piękne, pomarańczowo-złote aksamitki o delikatnych i gładziutkich jak aksamit płatkach, czyli „śmierduszki”.

Dzień przed dożynkami zbijano z desek podłogę, która natychmiast stawała się wspaniałym „placem zabaw” dla dzieci. Najczęściej podłoga ta układana była na rozległej przestrzeni niedaleko naszego domu, prawie w centrum wsi, tam, gdzie obecnie znajduje się strażacka remiza, ale bywały też na placu obok ludowca, tuż przed rodzinnym domem mamy Mikołajka.

Żniwny wieniec najpierw święciło się uroczyście w kościele, do którego jechali artyści w ludowych, krakowskich strojach wozem, zaprzężonym w dorodne konie, przybranym zielonymi gałązkami, kwiatami i wstążkami; wśród śmiechów i przyśpiewek. W czasach największego reżimu zakazano tego zwyczaju, ale nawet wtedy corocznie odbywało się święcenie wieńca – choć bez wielkiej pompy; najczęściej w przededniu uroczystości.

W dzień dożynek już od rana biegały po pustej podłodze dzieci i krzatali się tam młodzi ludzie, którzy przygotowali trochę ławek i stolik dla honorowych gości, ustawiali beczki z piwem [i nawet troszkę już go próbowali], a także

ozdabiali zielenią ogrodzenie podłogi, składające się z kilku wbitych w ziemię drążków, połączonych listewkami lub grubszymi gałązkami brzoźowymi.

O wyznaczonej godzinie, gdy zaproszone władze zajęły już przygotowane dla nich miejsca i plac wokół zapełnił się widzami, przybywał gościńcem barwny korowód, niosący wieniec i śpiewający żniwną piosenkę:

„Ej, ode wsi do miasta,
Ej, gościniec prowadzi.
Witajcie kochani, witajcie kochani
I bądźcie nam tu radzi.
Idziemy do was z siłą,
Co w słońce jasne sięga,
Co w sercu się rodzi,
Co w sercu się rodzi,
A nie w uczonych księgach.
Idziemy do was z wiarą,
Co nigdy nie zawodzi,
Bo chłopska rzetelność,
Bo chłopska rzetelność,
Ej, z kochania się rodzi.”

Po dojściu na miejsce stawiano wieniec na wyznaczonym, honorowym miejscu i zwracając się do Gospodarza Dożynek śpiewano:

„Plon niesiemy, plon, w Gospodarza dom.
Żeby dobrze plonowało, ze sto korcy z kopy dało.
Plon niesiemy, plon”.

A potem śpiewano jeszcze jedną – szczególnie lubianą i chętnie wykonywaną przez zgromadzonych wokół podłogi mieszkańców wioski mego dzieciństwa, wtórujących artystom – starą, piękną, zawsze wzruszającą pieśń dożynkową:

„Błogosławiona dobroć człowieka,
Niesie pokój ludziom w dom,
W progu chaty na sierotę czeka,
Nie da płynąć bólu łzom.
Wyciągnijmy dłonie ku dobroci
Niechaj dom nasz słonecznie ozłoci.
Błogosławiona dobroć człowieka,
Niesie pokój ludziom w dom”.

Po tych śpiewach przekazywano Gospodarzowi Dożynek dorodny, specjalnie na tę okazję upieczony wielki bochen chleba na tacce okrytej bielusienną, haftowaną, wykrochmaloną serwetą prosząc, by podzielił go sprawiedliwie. Dzielił więc i rozdawał wszystkim wokoło, a następnie zapraszał do zabrania głosu jakiegoś przedstawiciela władz, który wygłaszał okolicz-

nościową mowę, dziękując rolnikom za ich trud, gratulując plonów i obiecując dołożyć starań, by rząd udzielał rolnikom jak największej pomocy. Niezbyt go słuchano, bo i tak niewielu w tę pomoc wierzyło, a już wszyscy chcieli skeczów, tańców, muzyki i zabawy. Część oficjalną szybko więc kończono i zaczynały się popisy artystyczne.

Na dany znak kapela zaczynała grać skocznego krakowiaczka, a młode pary – w pięknych, barwnych strojach – ruszały w tany. Taniec ten – bez względu na jego jakość artystyczną – zawsze bardzo się wszystkim podobał i był nagradzany głośnymi brawami. I zaraz potem zaczynały się dowcipne monologi, przyspiewki, skecze i żarty.

Jeden z monologów np. żartobliwie i trochę ironicznie reklamował – pojawiającą się wtedy w sklepach po raz pierwszy margarynę, która miała, niestety, paskudny smak i zapach:

„Gdy zastrajkują krowy i masła będzie brak,
Wyborna margaryna zastąpi jego smak.
A olej rzepakowy to wyśmienity tłuszcz,
Niech wiec strajkują krowy, nie dbamy o to już.
Panienki jeśli chcecie, by w życiu szczęście mieć,
Trzeba jeść margarynę i na oleju piec.
A ręczę, że za wami polecą męski ród,
Nie będzie starych panien, rozwódek ani wdów.

Margaryna, margaryna, ja o tobie tylko śnię” – przekonywaliśmy widzów, którzy przecież i tak wiedzieli swoje.

Inny znów skecz, o wiejskiej dziewczynie, rezolutnej Korduli – która wprowadzie potrafiła wypiekać dorodne pączki” jak kocie łebki”, ale nie chciała się uczyć, więc zajmowała się zamyśleniem – wyśmiewał nieuctwo i propagował modne hasło „Polska krajem ludzi kształcących się”.

Niekiedy grupa dziewczyn wykonywała też taniec cygański. W długich, kwiecistych spódnicach, białych bluzeczkach i muślinowych, ozdobionych haftem fartuszkach, z włosami skręconymi „w rurki” tańczyłyśmy – potrząsając zrobionymi własnoręcznie tamburynami i podśpiewując sobie z coraz bardziej dokuczającą zadyszka – skocznego i szybkiego, cygańskiego czardasza. Nasze tamburyny to były tekturowe obręcze oklejone kolorowymi paskami bibuły tak, że tworzyły jakby frędzle powiewające przy każdym ruchu. Wszyscy łaskawie klaskali, a my dumnie pozowałyśmy do pamiątkowych zdjęć. Jedno z nich – przedstawiające cały bobrowski zespół dożynkowy – zostało zamieszczone w „Ocalić wspomnienia – zachować czas”¹⁸².

Czasem dodatkową atrakcją dożynkowych uroczystości był tzw. „słup szczęścia”. Wkopywano go głęboko, żeby trzymał się mocno, a na jego czubku umieszczano butelkę alkoholu ozdobioną zieloną gałązką i wiązką bibułekowych wstążeczek. Słup był gładki i wysoki. Konkurs sprawdzający zwin-

ność i spryt mężczyzn gromadził wielu widzów i budził wiele emocji. Kolejni zawodnicy – przy głośnym dopingu obserwatorów – próbowali dobrać się do cennego trofeum. Wspinali się więc używając różnorodnych technik, ale – najczęściej – po kilku ruchach zjeżdżali po śliskiej powierzchni i „pacali” wśród kpin na ziemię. Ten, kto jednak dotarł na górę, nie tylko zdobywał w nagrodę umieszczoną na szczycie butelkę, ale przez długi czas chodził w glorii sławy. A zabawa taneczna pod ogromnym księżycem trwała jeszcze długo, długo w tę piękną, sierpniową noc.

Zawsze po zakończeniu dożynek w poszczególnych wsiach, odbywały się dożynki gminne, a następnie powiatowe, na które zapraszano najlepsze zespoły.

Pewnego roku pojechaliśmy z fasonem, choć też z lekką tremą na powiatowe dożynki, które odbywały się na dębickich Błoniach. „Ekskluzywna” ciężarówka miała „na pace” ułożone deski, pełniące rolę ruchomych ławek. Na gościńcu – pełnym wybojów – straszliwie trzęsło i rzucało nami na wszystkie strony, ale było wesoło i nikomu nawet nie przyszło do głowy, żeby narzekać. Staraliśmy się tylko chronić nasz cenny wieniec, który nie mógł przecież ponieść żadnego uszczerbku.

Na dębickich Błoniach falował kolorowy tłum. Wiele miejsca zajmowała tam plenerowa wystawa zwierząt gospodarskich i płodów rolnych. Olbrzymie marchewki, selery, ziemniaki, pomidory i inne warzywa pięknie się prezentowały na stoiskach przygotowanych specjalnie na tę okazję. W roztawionych klatkach, kojcach i prowizorycznych zagrodach wygrzewały się w słońcu króliki, kury, kaczki, gęsi i świny, dreptały konie, krowy, buhaje; a wszystkie zwierzęta dorodne, wypucowane „na glanc”, aż świecące czystością. Na scenie, po oficjalnych przemówieniach i prezentacji wieńców, odbywały się występy licznie przybyłych – jak my – zespołów. Upał coraz bardziej dawał się we znaki, zwłaszcza, że byliśmy w grubych i ciężkich ludowych strojach. Zaczynało burczeć w brzuchach i zasychać w gardle, a także narastała trema, bo wiele zespołów prezentowało się świetnie i miało ciekawy repertuar. Wreszcie przyszedł czas i na nas; już lekko wymiętych i sfatygowanych, ale walecznych i dziarskich. Jeszcze brzmiały głośne oklaski po naszym ognistym krakowiaku, gdy nagle zerwał się wichur i nadciągnęła gwałtowna burza z piorunami i ulewą. Nie było gdzie uciec, więc wszyscy zmokliśmy do suchej nitki. Ale byliśmy dumni z udanego występu i nic nie mogło nam zepsuć świetnego samopoczucia. Zresztą już po chwili pojawił się najpierw mały skrawek rozświetlonego złotem błękitu, a za chwilę znów wypełzło na niebo gorące, sierpniowe słońce. Wracaliśmy naszą rozklekotaną ciężarówką w cudownych humorach; „krakowiak” Gustek zgubił nawet jednego „cholewioka” i do domu poszedł boso, ale niezbyt się tym zmartwił.

A występ tak się podobał, że bobrowski zespół dożynkowy został zaproszony do udziału w dożynkach wojewódzkich w Rzeszowie.

Bacher wspomina:

„Zaproszeni,

Pojechaliśmy we wrześniu

Na dożynki do Rzeszowa.

Niestety,

Zaczynała się już jesień typowa.

Dzień był zimny, ponury,

Całe niebo zakrywały chmury,

Siąpiło.

Pojechaliśmy samochodem ciężarowym bez plandeki.

I bez opieki”¹⁸³.

Skończyło się na tym, że bobrowscy artyści – z powodu zbyt długich występów wielu zespołów – nie zaprezentowali swego repertuaru, a tylko barwnym korowodem przemaszerowali przed honorową trybuną. Jak zwykle zawalili organizatorzy. Ale nic nie mogło zgasić zapału bobrowskiej młodzieży, a dożynki wpisały się w wieloletnią kulturalną tradycję Bobrowej.

Artystami-amatorami uczestniczącymi w tych imprezach byli m.in. Bronisława Bugaj, Stanisława Ciukaj, Leokadia Ćwik, Bronisława Fila, Władysław Gil, Celina Harla, Zyta Harla, Barbara Janora, Józef Kmiecik, Salomea Kmiecik, Józef Kochan, Gustaw Książek, Antonina Lipa, Bronisław Lipa, Janina Lipa, Józef Lipa, Zbigniew Lipa, Kazimierz Łączak, Maria Marzec, Helena Mazur, Janina Osak, Antoni Piecuch, Maria Piecuch, Danuta Piękoś, Edward Piękoś, Emilia Piękoś, Mieczysław Piękoś, Antonina Pyskaty, Celina Skrzypek, Danuta Skrzypek, Zofia Skrzypek, Zenobia Wiącek, Janina Wójcik, Weronika Wójcik.

Socjalistyczna władza łaskawym okiem patrzyła na te święta wsi. Kochała przecież wiece, manifestacje i inne uroczystości, które wykorzystywała jako akcje propagandowe. Pochwalała wykonywane na wiejskich uroczystościach piosenki i tańce ludowe, bo dobrze wpisywały się w program partii, chcąc podporządkować wszystkie dziedziny sztuki nowym, socrealistycznym tendencjom. Ów modny socrealizm głosił, że sztuka powinna być orężem w budowie nowego społeczeństwa, czemu miały służyć również pieśni: ludowe i tzw. „masowe”.

Młodzież bobrowska, chętnie przygotowująca dożynki i inne imprezy udowadniała, że zawsze była chętna do wspólnego działania, że chciała się uczyć, bawić, uczestniczyć w czymś wielkim i ważnym, że była gotowa do pracy, że umiała się sprawdzić zarówno w walce, jak i w działalności społecznej.

Niektórzy już przed wojną należeli do Związku Młodzieży Wiejskiej, utworzonego w 1928 roku, który został reaktywowany w 1944 roku jako Związek Młodzieży Polskiej „Wici”.

Agata Baran z Bobrowej [późniejsza łączniczka GL] wspomina:

„Jako młoda dziewczynka wstąpiłam do młodzieżowej organizacji wiejskiej „Wici”, którą kierował Klemens Trojan i Roman Bonar. Brałam udział w naszych zebraniach i organizowaniu przedstawień, do których przepisywałam role. Uczestniczyłam w naszych uroczystościach świąt ludowych i w dożynkach. Jeździliśmy na te święta wozami do Tarnowa, Dębicy, Checheł i Ropczyc. Wozy stoiliśmy gałązkami wierzbowymi, a konie przystrajaliśmy zielenią, kolorowymi wstążkami z bibuły i kwiatami. Z dożynek zapamiętałam taki urywek naszej inscenizacji [...]:

„Błogosławiony chleb ziemi czarnej!

Sprawiedliwie dzielcie chleb ojcowie.

Łzy sieroce wołają i wdowie”.

Inszenizację dożynek [...] przedstawialiśmy u nas w Bobrowej i w niedalekiej Róży.

Zbieraliśmy się najczęściej w domu ludowym, gdzie odbywały się różne kursy, na które przyjeżdżali wykładowcy. Omawiali tematy społeczno-polityczne, a doktor Dygdoń z Nagoszyna mówił przeważnie o sprawach higieny i zdrowia. Na nasze wykłady [...] przychodzili koledzy z Nagoszyna, Pustkowa i Brzeźnicy.

Później nasza organizacja przyjęła nazwę „Znicz”.

Na naszych spotkaniach w polu, paliliśmy „znicz” i śpiewaliśmy:

„Rozpalaj się zniczu, rozpalaj się wkoło, bo nam tu przy tobie dobrze i wesoło”¹⁸⁴.

Wielu młodych – jak w całej Polsce – dało się uwieść ideologii socjalistycznej, mającej przecież na sztandarach piękne hasła: postępu, nauki, pracy, równości, pokoju. Dlatego też jeszcze przed zakończeniem wojny, w maju 1945 roku, ufni w szczere intencje władz, chcący budować szczęśliwą przyszłość, bobrowscy chłopcy i dziewczęta, wstąpili do koła Związku Walki Młodych. Organizatorami ZWM w wiosce mojego dzieciństwa byli: Jan Skowron, reprezentujący zarząd powiatowy Związku, a także Bronisław Dziurgot i Stanisław Adamowicz. Wkrótce – jak pisze Leopold Harla – „wstąpili w jego szeregi: Zofia Adamowicz, Jan Ziobro, Czesław Harla, Kazimierz Dadel, Jadwiga Baran, Fryderyk Lipa, Bolesław Wiącek, Jan Osak. Przewodniczącym koła zostaje Bronisław Dziurgot”¹⁸⁵.

Początkowo za miejsce spotkań służył dom przewodniczącego, bo ludowie wymagał gruntownego remontu po tym, jak w jesieni 1944 roku został przerobiony na piekarnię chleba dla rosyjskiego wojska. Do odbudowy rwali się wszyscy – i ci z ZWM i ci z „Wici” – i mimo początkowej niechęci, zaczęli działać razem. Bronek Dziurgot okazał się człowiekiem pełnym pomysłów. „Organizuje w domu coś w rodzaju kursów z matematyki, fizyki, historii Pol-

ski, geografii. Na tych kursach kilkanaścioro młodych ludzi przygotowuje się do egzaminów do szkół średnich w Dębicy”¹⁸⁶.

Przewodniczący koła umiejętnie wykorzystał zapał i zdolności młodych bobrowian, którzy postanawiali wybudować świetlicę i z zapałem wzięli się do pracy: „Burzą prowizoryczne piece piekarnicze, wprawiają podłogę, wstawiają brakujące okna, drzwi, budują scenę, wykonują proste ławki [...]. Potrzebne drzewo i inne materiały budowlane otrzymują bezpłatnie z lasu państwowego, z rozbiórki baraków w Pustkowie bądź z innych źródeł [...]. Po kilku tygodniach pracy – świetlica jest gotowa. Rozpoczynają się próby zespołu artystycznego, a wkrótce pierwsze przedstawienia i pierwsze dochody, które przeznacza się między innymi na zakup kurtyny”¹⁸⁷.

Młodzi aktywiści wiejscy z naszego regionu – mimo zaangażowania w działalność „dla dobra wspólnego” – pozostawali wierni tradycji, religii i miłości do ziemi ojców. Gdy rozpoczęto agitację, związaną z zakładaniem spółdzielni produkcyjnych, podzielali poglądy rodziców i bronili gospodarstw. Tak było we wszystkich wsiach powiatu dębickiego.

Ewelina Adamczyk pisze: „Ekipa propagandowa, składająca się z kolejarzy żaliła się, że kiedy przyjechała prowadzić agitację [...] i udali się do domów ZMP-owców, ci uciekli, nie chcąc podjąć nawet z nimi rozmowy”¹⁸⁸. Także niechętnie zapisywali się do PZPR-u. Na skutek tej sytuacji w 1953 roku – mimo szerokiej agitacji, prowadzonej szczególnie wśród młodzieży – tylko 2% rolników naszego powiatu należało do partii.

A tymczasem dojrzewały sierpniowe dnie, zapowiadające zbliżającą się jesień. W piwnicy leżakowały już przetwory z wiśni, jabłek i śliwek, czekając na zimę, a na kredensie w kuchni rozsiadł się pękaty gąsior z zielonego szkła, w którym „bulkało” młode wino.

Babcia szła ścinać łubin na nagoskim polu za krzyżem, obok tych niewielkich wzgórz, które nazywaliśmy dumnie „Górami”. Grube, dojrzałe łodygi były twarde i niełatwo poddawały się ostrzu sierpa, choć dorośli robili to z wielką wprawą. Garście tych suchych, nieprzyjemnie skrzypiących, szorstkich łodyg składało się na kupki i potem wiązało.

Biegłam do niedalekiego, wąskiego parowu zbierać dojrzałe jeżyny, wplatane w ostrężynowe liście i w raniące ręce i nogi ostre kolce. Wokół zakwitała słoneczna nawłóć, której dorodne krzewy, tworzące barwne kępy, zdobiły pobliskie nagoskie górki. Nie było ich zbyt wiele, ale okazały się roślinami bardzo inwazyjnymi i dziś opanowały wiele połaci nieuprawianych pól, miedzi i łąk. Prawdopodobnie zostały do Europy sprowadzone jako rośliny ozdobne z Ameryki i rozprzestrzeniły się dzięki wielkiej odporności, długowiecznym, silnym, szybko rozwijającym się pędom podziemnym i wielkiej plenności. Ich sztywne, puste w środku łodygi dorastają do półtora metra, a koszyczki drobnych kwiatków tworzących wiechy zwabiają mnó-

stwo pszczoł, motyli i trzmieli słodkim zapachem, intensywną żółtą barwą i obfitością nektaru. Niektórzy nazywają te rośliny polskimi mimozami. To o niech tak pięknie pisał Julian Tuwim:

„Mimozami jesień się zaczyna,
Złotawa, krucha i miła...”¹⁸⁹.

Nagle odezwał się z pobliskiej kościelnej wieży południowy dzwon. Babcia przystanęła i pobożnie zaczęła odmawiać Anioł Pański. I zaraz zrobiło się jakoś uroczyście i nastrojowo. Okoliczne pola były puste i ciche. Przydrożne wierzbki tkwiły w bezruchu. Nad pobliski ugor zlatywały bociany.

Wyglądały dostojnie i pięknie, gdy tak stąpały majestatycznie, wysoko unosząc swe czerwone nogi. Właśnie odbywały kilkudniowe sejmiki, by wkrótce odlecieć gdzieś na dalekie południe. Czekwały tylko na ciepłe, słoneczne dni, gdyż od wieków w taką właśnie porę wyruszały w egzotyczne kraje.

Koszono znów siano. Mikołajek pisze: „A teraz koszę ten potraw i mimo wysiłków nie umiem położyć go porządnie. Ciepły wiatr jesienny pociąga od olszyn, blask omiata zubożałe pola”¹⁹⁰.

W ten czas późnego lata zaczynały się też podorywki i z dala było słychać nawoływania oraczy poganiających konie. Siano rzepę i inne poplony. Słońce było już bledsze i leniwe, i nad światem zawisła jakaś przepełniona zadumą melancholia.

Bo jesień skradała się już pomaleńku...

Wrzesień

Nie wiadomo kiedy odeszło cichcem lato. Trochę było żal, ale w wiosce mojego dzieciństwa każda pora roku miała swoje uroki. Choć jak okiem sięgnąć królowała jeszcze zieleń, ale już bujna jesień szła przez świat. Pachniały żółte łubiny, znaczące swą wyrazistą barwą duże prostokąty rędzinnych pól, ciągnących się aż do ciemnozielonych zarośli Zakęcia. Miodowe światło słoneczne łagodnie złociło pola. Cała przyroda przeżywała stadium dojrzewania. Roślinność zachwycała swoją bujnością, obfitością, intensywnością i dojrzałą barwą. Przynosiła plony, rozsiewała nasiona, pyszniła się kolorami, z wdziękiem poddawała się wiatrowi, kołysząc się w urokliwym, ale jednym z ostatnich już przedśmiertnych tańców. Wszelkie żywe stworzenia – kierując się odwiecznym instynktem – przygotowywały się do przetrwania zimy. Białe motyle kapustnika przepoczwaczały się w zielone, włochate, wszędobylskie gąsienice, pszczoły, trzmiele i osy uwijały się jak w ukropie, korzystając z mocno jeszcze przygrzewającego słońca i obfitości dóbr. W wysokich trawach, na ścierniskach i miedzach też kipiało życie.

Podczas pasienia krów można było obserwować plamiastobrazowe, miękkie i pulchne ropuchy, spoglądające ciekawie wyłupiastymi oczami, by w pewnej chwili wykonać mistrzowski skok, pryskające spod nóg koniki polne, zawsze żwawo biegające mrówki, uwijające się wśród grudek szarej ziemi, bąki-pasibrzuchy bzyczące basem i całe robactwo mieszkające w gęstwie traw. Niekiedy spod miedzy wystrzelał jak z procy długouchy szarak i kicając zakosami, niknął z oczu w bujnej zieleni, skażonej już plamami brązu i miodowej żółci.

Wszędzie jeszcze czuć było – zastygłe w trawach, w krzewach i zarosłych poplonami zagonach – zapachy niedawnego lata. Ale w powietrzu czaiło się już coś niepokojącego, co wplątywało się w delikatne nitki babiego lata, drżało w jeszcze zielonych liściach, skradało się w porannych, coraz chłodniejszych mgłach i coraz czarniejszych nocach. Coś, co było zapowiedzią nieuchronnego nadejścia jesieni.

Wśród zieleni ozdobione czerwienią wyróżniały się rajki, zwane też płonkami czyli dzikie, rachityczne, ale odporne na niesprzyjające warunki jałoneczki, które rosły w kępach różnych krzaków i dzikiego zielska na skraju Olszyn i nad Wisłoką. Maleńkie, rajskie jabłuszka pacały w trawę, lekceważone przez ludzi; było przecież w sadach pod dostatkiem pysznych, złotych renet i innych jesiennych, smakowitych owoców.

Jedynie chłopaki zbierali je garściami, upychali w zanadrza, a potem celowali z nich do stad wróbli czy wron, sprawdzając swe umiejętności w trafianiu do celu. Organizowali nawet zawody strzeleckie, popisując się przed rówieśnikami.

Szeleściły pod nogami suche strąki akacji, na ścieżki spadały kolczaste kasztany, rozłupując się i odsłaniając wilgotne wnętrza, gdzie skrywały się brązowe, aksamitne kule. Pod dębami, których liście nabierały oliwkowego brązu, leżały małe, podłużne dąbki w czapeczkach z ogonkiem. A w kępach zarośli pełnych głogów, tarnin i czerwemchy pełno też było jarzębin, pysznących się teraz intensywną czerwienią.

Bogactwo owoców i nasion było rajem dla ptactwa. Zwłaszcza rozsiewgotane wróbłe całymi gromadami śmigały w powietrzu, by nagle przysiąść z hurkotem na chwilę na jakimś krzewie i do czysta go ogołocić ze smakowitych owoców.

W ogródkach można już było zrywać – specjalnie wysiewane na zimowe bukiety – miechunki wyglądające jak małe, czerwone papryczki uwieszone na zielonych, długich łodygach, kocanki zwane „suchymi kwiatkami” o różowych, złocistych i białych, łuskowatych, sztywnych płatkach – bardzo trwałe i ładnie prezentujące się w bukietach oraz srebrniki Judasza, których nasionka ukryte w srebrnych, prawie przezroczystych, okrągłych osłonkach szeleściły przy każdym powiewie wiatru. Na zagonkach, pełnych pożółkłych liści ogórków, rozpychającej się marchwi i bulwiastych, gotowych do wyrwania złocistych cebul górowały krzaki kopru, którego delikatne listki rozsiewały wokół piękny zapach, a ze zbrązowiałych baldachów wysypywały się drobniutkie nasionka. Wykiełkują znów na wiosnę, by rosnać według własnego widzimisie wśród równiutkich rzędków warzyw. Sprawdzaliśmy też, czy wielkie, twarde już i suche makówki są całkiem dojrzałe. Gdy przy poruszeniu cichutko grzechotały, zrywaliśmy je i po oderwaniu śmiesznego czubka w kształcie gwiazdki przechylaliśmy je prosto do otwartych ust. Lekko stukając w makówkę, opróżnialiśmy wnętrza pełne ciemnopopielatych, smakowitych ziarenek. A potem wytrząsaliśmy resztki maku, biegając między grządkami i wykrzykując: „Sioła baba mak, nie wiedziała jak, dziadek wiedział nie powiedział, a to było tak...”

Za to na polach można było zobaczyć coraz większe pustki. Żyto i pszenica już spoczywały w stodołach lub w przydomowych „styrkach” ułożone

w równe „woszy”. Jeszcze złościły się ostatnie owsy, gdzieniegdzie rósł brązowiejący łubin, sterczały suche łodygi kukurydzy, konopi i bobu, ale było ich już z każdym dniem coraz mniej.

Mikołajkowy bohater Paweł wspomina:

„Słońce. Jestem na polu z Henkiem. Wiążemy proso.

– Po ile będziemy znosić, w co będziemy stawiać? – pyta mały.

– W nic nie będziemy stawiać, w kopach by zwilgło. Trzeba od razu władować na wóz. Ja to poznoszę na jeden zagon, a ty leć do Franka po szkapę. Heniek pobiegł, ja poznosiłem snopy, usiadłem na miedzy.

Już jesień; ciemne płaty podorywek mieszają się z resztkami brudnych ścierni. Płynnie osiadają na nich stada wron [...]. Nadjeżdża Heniek [...]. Dzwonią obręcze na rozeschniętych kołach [...]. Z pól wlokły się krowy”¹.

W chłodne już wrześniowe poranki, pachnące wczesną jesienią, gdy jeszcze na trawach pełnych pajęczyn srebrzyły się ciężkie krople rosy, a prześwitujące przez welony mgieł promyczki słońca zapowiadały piękny, złoty dzień, szło się do korzeniowskiego lasu na grzyby. Wielkie podleśne połacie, pokryte były urokliwym, liliowym wrzosem. Jednak nikt go nie zrywał, bo zabrany do domu ponoć przynosił nieszczęście. Już na tych polanach, wśród kęp tarniny, licznych wrzosowych krzewinek, pod błyszczącymi białą korą brzoźkami i pod świerczkami o pochylających się aż do ziemi gałązkach, pokrytych masą kłujących igieł, można było wypatrzeć prześliczne czerwone kozaki, czy śliszkie, o śluzowatych kapeluszach, maślaki zwane u nas „maślichamy”.

Ale kosze zazwyczaj były duże, a prawdziwe grzybobranie zaczynało się dopiero w głębi lasu, na porośniętych mchami pagórkach, wśród gęstych sosen, żywicznych świerków i wysokich paproci. Szczęśliwcy potrafili wytropić zaplątane w kępy traw i ostrężyn, chowające swe wilgotne kapelusze wśród zeszłorocznych liści dorodne prawdziwki czy brązowoaksamitne „podlaszczoki”. Nas najbardziej urzeakały czerwoniutkie muchomory zdobne w białe kropki, których nie wolno było jednak zbierać, ani nawet dotykać ich pięknych, wielkich kapeluszy. „Grzybiorze”, którym się poszczęściło, wracali dumni, spragnieni podziwu oglądających zbiory, choć dla pozoru opowiadający z lekceważeniem o swych dokonaniach.

Na kuchennym stole odbywała się operacja przebierania, oczyszczania, krojenia i dzielenia grzybów. Wkrótce potem roznosił się po całym domu cudny zapach maślaków smażonych na śmietanie, na sznurkach suszyły się prawdziwki przeznaczone na Wigilię, a reszta tych leśnych skarbów znajdowała miejsce w słoikach chowanych przez gospodynię na zimowe okazje.

W ogródkach już przekwitły malwy, a ich wysokie łodygi sterczały sztywno, czekając aż dojrzeją ziarenka przeznaczone na jesienny wysiew, by zdążyły się ukorzenić, wyrosnąć i zakwitnąć latem przyszłego roku. Stare łodygi

przycinało się przy ziemi i paliło. Wiosną z podziemnej karpy wystrzelały nowe rośliny, jeszcze dorodniejsze i bardziej ukwiecone.

Wciąż pyszniły się na sztywnych łodygach słoneczniki, już nie obracające jednak swych czerniejących, ciężkich głów za słońcem, wciąż też kwitły „czoski”, czyli „panienki” – o skromnych, podobnych do kopru liściach, okrywających bujnie rozgałęzione, mocne łodygi i o białych, różowych lub bordowych kwiatach z koroną pojedynczych płatków, okalających żółciutki, aksamitny środek. Bujnie pleniła się żółta miłość, wciąż jeszcze barwiły grządki pomarańczowe nagietki, kolorowe astry, aksamitne brązowopomarańczowe „śmierduszki”, czy bordowe i różowe „giergonie”. W sadach jabłonie ugiwały się od dojrzałych owoców i pyszniły śliwkowe drzewa aż fioletowe od słodziutkich węgielek.

A nad pustoszącymi polami płynęły nitki babiego lata, zaplatając się w pióropusze traw, kępy pokrzyw czy stwardniałych kolb rosnącej jeszcze na nielicznych zagonkach kukurydzy. Osty przy łada powiewie rozsiewały swój biały puch, a dojrzałe haczykowate nasiona rzepów i ostre kujki „dzia-dów” wbijały się w nasze ubrania tak mocno, że trzeba było je po przyjściu do domu mozolnie wyszarpywać.

Mama zrywała do wiklinowego koszyczka pożółkłe strąki fasoli, pełne brązowych plamek. Wyłuskane ziarna były jeszcze dość miękkie i wilgotne, w sam raz na pyszną, fasolową zupę. Wkrótce, gdy strąki całkiem zbrązowieją i trochę się pomarszczą, ojciec powyrywa długie tyki służące jako podpórki do fasoli, by je przechować do następnej wiosny, a potem odplącze uschnięte łodygi i wrzuci do spalenia. Zebrane strąki będą czekać w suchym miejscu, aż w długie, jesienne wieczory cała rodzina zasiądzie wokół ciepłego pieca i wyłuska owalne, białawe fasolki, które można będzie wykorzystywać do różnych potraw przez calutką zimę.

Na krzaki „bulowatego” bzu, rosnącego w kącie ogrodu, którego wielkie, fioletowe baldachy kusiły dojrzałymi, smakowitymi owocami, co chwilę sfruwały jazgotliwe, barwne szczygły. Sady już muśnięte barwami jesieni wciąż miały bogactwem różnorodnych odmian jabłek, śliwek i gruszek. Chłopcy przełazili przez niskie płoty, wdrapywali się zwinnie na drzewa, które aż ugiwały się od ciężaru owoców. Często łamali gałęzie, a nawet – nogi, naprawiane potem przez wspaniałego bobrowskiego mistrza w swym fachu: Tadeusza Kuczkowskiego, do którego zjeżdżali po pomoc ludzie nawet z dalekich okolic. Jego niezwykły talent i umiejętności – na szczęście – odziedziczyli jego syn i córka, bo nagle, na weselu u Jana Sojki, Kuczkowski zmarł na zawał, ku rozpaczy wszystkich mieszkańców Bobrowej i pobliskich miejscowości.

Czasem, kryjąc się w zielonej gęstwinie, sprytni malcy zapierali się bosymi nogami o pień jabłoni, gruszy czy śliwy i potrząsali z całych sił niezbyt grubym konarem, a wtedy na ziemię spadał deszcz pysznych, dojrzałych

owoców. Zbierane przez dziewczyny do podołka czy przez chłopaków do obwisłych, zawsze wypchanych kieszeni – były wspaniałą przekąską podczas zabaw czy pasienia krów.

Rankami trawy perliły się coraz cięższą rosą, od rzeki ciągnął rześki chłód, a w wiosce mojego dzieciństwa rozpoczynały się młocki.

Zaraz po wojnie używane były dość prymitywne młockarnie, w których wciąż zrywały się pasy transmisyjne. Później kilku najbogatszych gospodarzy kupiło bardziej nowoczesne maszyny. Dzięki nim szybko kończyli młóckę we własnym gospodarstwie, a potem za opłatą pieniężną i za „łodrobek” użyczali je chętnym rolnikom. Także powstałe w mojej wiosce Kółko Rolnicze wypożyczało młockarnie. Była długa kolejka i czasem trochę sprzeczek, gdy ktoś chciał mieć „maszynę” wcześniej niż był zapisany, lub ze względu na jej awarię termin omłotów byłaby przesuwany.

Do pomocy przychodziło wielu sąsiadów, bo przy młóccie musiało pracować co najmniej dziesięcioro ludzi: do podawania snopów z sąsiedka lub z kopy – dwoje, na maszynę dwoje, czworo lub pięcioro do wiązania i odnośnienia słomy, jeden do worków z ziarnem i jeden przy plewach.

Niektóre czynności wymagały sprytu, inne siły fizycznej, praca przy „płowach” odporności na kurz, który natychmiast pokrywał grubą warstwą twarz, wdzierał się do oczu, ust i nosa, ale odbieranie worków z ziarnem zawsze należało do gospodarza. Ten – gdy plon był dorodny – z radością spoglądał na złoście ziarno, sypiące się do worków i z satysfakcją informował pracujących:

– Dobrze sypie!

Najlepiej udawały się na bobrowskich polach: żyto i pszenica wąsatka – ogromnie kłująca, ale plenna, albo „gołka” – gładka i dająca żółciutkie ziarno. O żadnych pszenżytach jeszcze nie słyszano, a ziarno z tradycyjnych odmian – czyste i dorodne – było chlubą gospodarza. Dawniej – jak wspomina Leonard Regner: „Rolnicy [...] uprawiali tylko jedną odmianę żyta, które miało żdźbła niewysokie, a kłosy bardzo małe o jednym rzędzie ziaren. Na polach dworskich uprawiano żyto, które miało długą słomę i kłosy o dwóch rzędach ziaren i dwa lub trzy razy dłuższe niż żyto miejscowe. Chłopi nie kwapili się, aby zaprowadzić u siebie tę odmianę, ponieważ – jak mówili – chleb z żyta dawnego jest smaczniejszy niż z żyta nowej odmiany. W istocie chleb był lepszy, ale po pewnym czasie chłopi wprowadzali nowe odmiany”².

Ojciec zanurzał otwarte dłonie głęboko w skrzyni, nabierał w garście złościstego ziarna i przez rozcapierzone palce przesypywał je, patrząc z zachwytem. Jakże dla niego – mającego w kościach trud i doświadczenie pokoleń rolników – pięknie pieścił uszy szelest osypującego się zboża! Szeleszczący plon wpadał do przepaścistej skrzyni, a on wołał mamę i mówił:

– Popatrz, jakie piękne ziarno w tym roku, jakie czyste, prawie bez kąkolu. Trzeba będzie jechać do młyna zanim będą długie kolejki. Tylko który

wybrać, czy w Woli Żyrakowskiej jak w zeszłym roku, czy może w Brzeźnicy, bo niektórzy ten bardziej chwalą?

I uśmiechali się do siebie, zapominając o trudach związanych ze żniwami, zwózką, młóceniem. Tak było w każdym gospodarstwie.

Zdarzały się jednak lata, gdy zboża były mizerne, małe, zsieczone deszczami, poprzerastane, a kłosa pokrzywione, pustawe, splamione kąkolem. Wtedy przesypując przez palce sypiące się marne ziarno, gospodarz miał frasunek w oczach i smutek w sercu. W milczeniu składał do „kumory” ubogi plon, już niepokojąc się, czy wystarczy chleba do nowych zbiorów.

Bobrowscy gospodarze najczęściej wozili mąkę do młyna w Brzeźnicy, który zbudowano jeszcze w XIX wieku. Początkowo wykorzystywał on wody Wielopolki, płynącej opodal, a później prąd elektryczny. Młynarze sprawdzali suchotę ziarna i nie przyjmowali zatechłego czy wilgotnego, które z konieczności mielono w „śrutownikach” na paszę dla bydła. Ze stu kilogramów suchego, pachnącego ziarna otrzymywało się w młynie pięćdziesiąt kilogramów mąki pierwszego gatunku [tzw. pięćdziesiątki]; z gorszego – „poślad”, czyli mąkę drugiego gatunku. Resztę stanowiły otręby czyli łuski pozostające po zmieleniu ziarna, a dwa kilogramy ziarna szło na tzw. „rozkusz”.

Młynarze cieszyli się dużym autorytetem i zaufaniem. Przed młynami jesienią stały długie kolejki furmanek pełnych zboża, a oczekiwanie na przyjęcie ziarna trwało czasem całą noc.

Ale zanim młyny zaczęły pracę pełną parą – gdy sąsiedki chłopskich stodół pełne były zboża, a na wielu podwórkach wyrastały wysokie kopy żyta i pszenicy – zaczynały się młocki.

Praca przy młóccie była ciężka, zmudna, nad głowami pracujących unosił się kurz, który drapał w gardle, a mieszając się z potem osiadał na twarzy, piekł w oczy, wiercił w nosie. Ale humory dopisywały. Zmęczeni młockarze popijali zimną wodę, zaczerpniętą ze studni, czasem też zrywali kilka śliwek „luboszek”, których było wiele na każdym podwórku.

Drobne, koślawe drzewka rodziły corocznie tak obficie, że korony były aż fioletowe od małych, kulistych owoców; pełno ich leżało także na trawniku, stając się rajem dla wszędobylskich os.

Gdzieś w kącie podwórza stadko gołębi, gruchając i drepcąc po trawie, śpieszyło się, by wybierać jak najwięcej rozsypanych ziaren. Co chwilę jakiś dorodny gołąb odrywał się od ziemi i trzepocąc skrzydłami kołował nad dachami domów, by znów powrócić do rozpoczętej uczty.

A krzątania wciąż trwała. Wybuchały śmiechy i wesołe pokrzykiwania. Któryś z chłopaków pogwizdywał, świetnie naśladując głosy ptaków, inny rzucił jakiś żarcik, ale nikt nie ustawał. Wspólne młócenie było świetną okazją do spotkań młodych ludzi, do flirtów, robienia różnego rodzaju psikusów, co czyniło tę – tak ciężką pracę – znośną, a niekiedy nawet przyjemną. Nie

było w tamtych czasach zwyczaju ani sposobności zbyt częstego spotykania się młodych. Cały dzień była praca w gospodarstwie, a pannom nie wypadało wieczorem przebywać poza domem. Zaraz by uznano taką dziewczynę za mało wartą, leniwą i lekko się prowadzącą, i wzięto by ją na języki.

Dzieci – najczęściej wysyłane do odnoszenia wymłóconych już snopków – też miały wiele uciechy. Spocone, pokryte warstwą kurzu, pokłute ostrymi źdźbłami zawsze potrafiły swą pracę przekształcić w zabawę. Można było przewracać się po układanych snopkach, urządzać wyścigi, chować się, popisywać siłą i sprawnością.

Dla dorosłych młocka nie była zabawą, ale ciężką pracą, którą jednak chętnie i z zapałem wykonywali. Kuzynka Fredzia np. zawsze rywalizowała z innymi dziewczynami, by zasiąść do „podawania maszynie” snopów. Była to funkcja trudna i odpowiedzialna. Należało umiejętnie, szybko i sprawnie rozwiązać rzucony na młockarnię snop, właściwie go ułożyć i wkładać do wnętrza mechanizmu odpowiednie porcje słomy tak, by młócenie odbywało się rytmicznie, bez przerw, ale też, by maszyna nie „dławiła” się, jak w przypadku, gdy wkładano zbyt duże garście. Pełniący tę rolę musiał uwijać się jak fryga, walczyć z tumanami wzbijającego się kurzu, bólem pleców i zmęczeniem. Nie każdy to potrafił, a sprawdzone „podawaczki” cieszyły się dużym autorytetem i budziły podziw u chłopaków, ceniących takie umiejętności dziewczyn. Zresztą wszystkie prace przy młocce były trudne i wymagały wiele wysiłku, ale nikt nie przyznawał się do zmęczenia. Byłoby to oznaką słabości, która spotykała się z pogardą i lekceważeniem. Na wsi trzeba było być twardym i dzielnym. Użalanie się nad sobą nie było w modzie.

„Esiok” na ropy „pyrkoł” i „kopciuł”, pas transmisyjny wprawiał w ruch koło zamachowe maszyny, a robota paliła się w rękach. Niekiedy młocka w gospodarstwie trwała nawet dwa dni, gdy żniwne zbiory wypełniały nie tylko obydwie sąsiedki stodoły, ale też ułożone były w olbrzymim stogu na podwórzu. Ukrywały się pod nim na wilgotnej ziemi czarne, okropne karakony.

U jednego z sąsiadów w cieniu takiego stogu zwanego „kopom” codziennie wylegiwał się, zagrzebany w słomianą „mirzwe” wielki, bury kocur, od czasu do czasu przeciągający grzbiet i dostojnie kroczący przez podwórze do domu. Po chwili wracał znów na swe przytulne legowisko, przepędzany z kuchni przez gospodynię, zgorszonym tym, że gardził myszami, a domagał się wciąż mleczka i innych smakołyków. Ustępowały mu z drogi nawet zadziorne gęsi i strzegący podwórza łatek, który, raz poznawszy ostrość kocich pazurów, podkulał ogon i czmychał do swej budy.

Pewnego razu owa sąsiadka odkryła w zagłębieniu kopy gniazdo pełne kurzych jaj. To jedna z jej kokoszek pogardziła gniazdami wymoszczonymi w kurniku i wybrała swobodę oraz to ustronne miejsce, do którego przemy-

kała się cichcem pod baczną strażą kocura. Gdy sąsiadka włożyła rękę, by zebrać jajka, nagle rozległ się huk i krzyk:

– O, Boże! Zabiło mnie! Krzątający się po podwórku domownicy rzucili się ratować. Okazało się, że to tylko „wybuchł” z hukiem jeden z „zapartków”, rozpryskując się na wszystkie strony i rozsiewając straszliwy smród. Sąsiadka stała przez moment jak sparaliżowana, by po chwili dołączyć do domowników pękających ze śmiechu. Pamiętano jej ten okrzyk trwogi długo i długo się z niej śmiano.

Nie obrażała się; była bowiem kobietą pogodną i wszystkim życzliwą. Jej czarne oczy w siatce zmarszczek radośnie uśmiechały się do wszystkich. Zawsze czymś zajęta, cały dzień mruczała pod nosem jakieś pobożne pieśni, przemawiała czule do swoich kurek i gąsek lub gderała życzliwie na psocących synów.

Jej ręce – pełne guzów, szram po skaleczeniach, ciemnych plam i reumatycznych wykoślawień były niesamowicie czułe i sprawne. Miło było patrzeć, gdy gładziła nimi policzki najmłodszego synka, a ten uśmiechał się szeroko bezzębna, umorusaną buzią, gdy podawała mu zebrane przed chwilą do koszyka piękne, czerwone pomidory czy gdy obierała ziemniaki, szybko i sprawnie, tworząc długą spiralę łupiny, odsłaniającej żółtawą ziemniaczaną kulę. Takie twarde, spracowane ręce mieli wszyscy zajmujący się rolą i gospodarstwem. Mówiły o człowieku więcej niż słowa. Były oznaką ciężkiej pracy; budziły szacunek, nawet czułość. Mówiono o takim człowieku, że ma złote ręce, choć tak naprawdę były one brązowe i niezbyt piękne. Natomiast z lekceważeniem traktowano tych, których ręce były miękkie i wypiełgnowane; takie ręce mieli zazwyczaj „obcy”: bezwzględni urzędnicy, wyniośli przedstawiciele władz, „gryzipiórki” nie znający pracy fizycznej, no i wszelkiego rodzaju obiboki, których na wsi nie tolerowano.

Zaraz po skończonej młocce gospodyni piekła chleb z nowego ziarna, który pachniał zapachami lata.

Regner wspomina: „Żyto na pierwszy chleb mełło się zwykle w żarnach i piekło się chleb razowy o takim zapachu i smaku, jakiego nie zna mieszkaniowiec miasta, jadający chleb upieczony z ziaren, które utraciły aromat słońca i pól”³.

Początek września zazwyczaj bywał pogodny, co sprzyjało wszystkim rolniczym pracom. Bo przecież zaczynały się też jesienne orki i siewy. Toż 8 września było wielkie święto Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, zwane też świętem Matki Boskiej Siewnej. Na uroczystej Mszy święcono ziarno przeznaczone na jesienny zasiew. Wielu bobrowian peregrynowało wtedy do Zawady na wielki odpust Maryjny. Obchodząc na klęczkach główny ołtarz z Cudownym Obrazem, powierzali swój los Najświętszej Pani, która przecież wielokrotnie wysłuchiwała ich modlitw. Śpiewano starą pieśń Maryjną, przez którą wyrażano swój ból i łzy, cierpienie i bezradność, ale przede wszystkim bezgraniczną ufność we wstawiennictwo Tej, która prze-

cież była „Uzdrowieniem chorych” i „Pocieszycielką strapionych”: „Nie płacz już dziecino, choć cię trapi ból, Maryja twą matką, pod płaszczy jej się wtul. Ona ci uzdrowi wszystkie rany twe...”

Przysłowie ludowe mówiło: „Jak na Siewną pogodnie, będzie tak cztery tygodnie”. I to była świetna prognoza dla wszystkich rolników, starających się, by przed jesiennymi słotami wykonać niezbędne prace polowe.

Matki modliły się w intencji dorastających synów, którzy czekali na jesienne powołanie do wojska. I choć żal im było swych kochanych chłopaków, szczególnie, że żołnierzy wykorzystywano jako darmową siłę roboczą do wykonywania najcięższych prac przy budowaniu dróg, torów kolejowych czy fabryk, a ich brak w gospodarstwie był bardzo uciążliwy, to przecież dumne były, że są zdrowi, sprawni i męscy, i że będą odbywać taką służbę, która nawet z maminsynka robi prawdziwego mężczyznę. A jak pyszniły się, gdy przyszło zaproszenie na przysięgę, jak wyczekiwały listów, z którymi biegały „po sąsiadkach”, a potem urlopu, by całej wsi pokazać, jak pięknie ich syn wygląda w wojskowym mundurze!

I naprawdę sprawdzało się przysłowie, że „Za mundurem panny sznurem”, bo taki urlopowicz – szpanujący przed wszystkimi nawet wtedy, gdy w wojsku był ostatnim ofertą – otoczony był codziennie wianuszkami umiżgających się dziewcząt, jeśli tylko pojawił się pod sklepem, w kościele czy na gościńcu. Bo dziewczyny zawsze miały powód, by wybiec z domu i niby przypadkiem natknąć się na eleganckiego żołnierzyka. Taki urlopowicz zapraszany był do domów kolegów i krewnych, był też pożądanym tancerzem na zabawie. A gdy wracał nad ranem z kolegami, to wszyscy mieszkańcy słyszeli, że „on do wojska był przynależniony, a ona za nim płakała”. Niektórzy, idąc „w kamasze”, zostawiali już swe narzeczone, wiernie czekające i rezygnujące z zabaw czy młodzieżowych spotkań, chwylące się listami i zapewnieniami o miłości, co wzbudzało zazdrość wszystkich koleżanek. Niestety, zdarzało się też tak, że chłopak po powrocie zrywał zaręczyny i szybko wynosił się do innej wsi, gdzie już czekała na niego nowa narieczona, zapoznana jeszcze przed wojskiem lub na którymś z urlopów.

Słońce, choć wstawało już późno, wciąż jeszcze dość mocno grzało. Ciężkie głowy słoneczników pęczniały od dojrzewających ziaren, na które zawsze chętkę miały wróble i dzieci. Rozświergotane stadko odfrukało dopiero wtedy, gdy słonecznikowa kula była całkiem ogołocona. Pola pustoszały, szarzały, smętniały. Zaorane i zabronowane „łoranki” czekały na nowe ziarno. Na trawach kołysała się w podmuchach wiatru platanina srebrzystych pajęczyn, nad pustym gościńcem wirowały opadające liście, a od rzeczki ciągnął już jesienny chłód.

Siewcy, krocząc dostojnie z płachtami przewiązanymi na ramieniu, pełnymi ziarna, uważnie wsiewali zboże na nowe zbiory, powtarzając od wie-

ków te same, zamaszyste gesty. Dobrze przecież pamiętali przysłowie: „Jak zasiejesz, tak i zbierzesz”.

Wioskę wciąż przenikały zapachy smażących się powideł, które nabierały odpowiedniej gęstości, właściwego koloru i smaku; musiały być aksamitne, pachnące i słodkie, ale nie „drujkie’ czy – broń Boże” – przypalone.

A ogrody i sady stały już całe w perlistej, zimnej rosie. Wybiegaliśmy ranniem, by zebrać do podołka leżące w trawie, spadłe nocą dojrzałe jabłka: pyszne, pachnące rajem. Nad płotami zwieszały się gałęzie ciężkie od owoców, które wpadały do rowów i leżały tam gnijąc, a nad nimi unosiły się roje brzęczących much i os. Strzępy słonecznych promieni kładły się na trawach, a znad rędzin wiatr przywiewał zapach dymów płynących w cichym powietrzu. Smukłe topole i pękate wierzby otulała lekka mgiełka. Leniwą, wiejską ciszę złotej jesieni zakłócał tylko głuchy, miarowy stukot cepów. Był to dźwięk wszystkim dobrze znany; codzienny odgłos wsi w porze jesieni i zimy.

Regner pisał: „Odgłosy [...] młocki układają się w pewnego rodzaju melodię, której różne frazy układają się zgodnie z kolejnymi czynnościami młockarzy. Inna zaś jest melodia, gdy młóci tylko jeden młockarz, – inna – gdy jest ich dwóch [...]. Inna jest melodia, gdy młockarze są weseli i gęsto wywijają cepami, aby mocniej uderzyć, inna – gdy są w złym nastroju i uderzają cepami jakby od niechcenia”⁴.

Pootwierane na przestrzał drzwi stodoł przedstawiały podobny widok. Na klepiskach mężczyźni – zaopatrzeni w cepy – walili głucho w rozwiązane i rozłożone na klepiskach snopki. Jeszcze wciąż w wiosce mojego dzieciństwa używano – oprócz młockarni – tego starego, prostego narzędzia, składającego się z dzierzaka i bijaka, połączonych przegubowo splotem rzemieni zwanym gozwą lub gackami, bo taka młocka dawała słomę prostą, potrzebną w gospodarstwach np. do poszywania dachów, wypychania sienników, robienia słomianych mat wieszanych na ścianach za łóżkiem, lub – w formie wycieraczek – kładzionych pod progiem izby. Nam, dzieciom – proste słomki potrzebne były do robienia choinkowych łańcuchów i gwiazdek oraz do puszczania mydlanych baniek. Należało uciąć kawałek dorodnego żdźbła i jego koniec przeciąć na krzyż. Na rozchylonych brzegach świetnie zatrzymywały się mydliny, z których wydmuchywało się piękne, kolorowe kule. Jedna z naszych dziecięcych książeczek przekonywała, że „bańka z mydła dla Jureczka to najmiłsza zabaweczka”. I rzeczywiście było to bardzo fajne zajęcie, zwłaszcza dla maluchów. A do ręcznej młocki – trwającej czasem kilka miesięcy – przygotowywano się starannie.

Regner pisze:

„Młocka była nie tylko robotą, ale pewnego rodzaju obrzędem. Młockarz przygotowywał boisko, zrzucał ze sąsiedka stodoły należycie odliczoną ilość snopków, otwierał te drzwi boiska, które wychodziły na podwórze, układał tu

rozrzucone uprzednio snopki, umieszczał na klepisku sześć lub osiem snopków w dwóch rzędach, tak, aby kłosa snopków były zwrócone ku linii środkowej. Najpierw młóciło się snopki związane [...]. Gdy kłosa leżące na wierzchu zostały wyłuskane, odwracało się snopy na drugą stronę [...]. Potem się rozwiązywało powróśla [...]. Po jeszcze jednym przewróceniu prawie już wymłóconej słomy uderzało się w nią, aby wyłuskać jeszcze resztki ziarna”⁵.

Cepy wciąż dudniły; obijano nimi nie tylko pszenicę i żyto, ale też groch, bób czy łubin. Skuteczne „wywijanie” cepami wymagało siły, umiejętności i sprytu. Praca była ciężka, pot perlił czoła i plamił koszule. Gospodyni wносиła na boisko garnuszek mleka, co było pretekstem do chwili wypoczynku. Sprytnie wróble wlatywały niespodziewanie do stodoły, by porwać parę ziarenek i natychmiast, hałaśliwie świergocąc, odfrunąć w trzepocie skrzydeł.

Co roku przybywało rolniczych maszyn. Wieś zmieniała swoje oblicze. Lin, wróciwszy po latach nieobecności, spotkał się kolegami: Synuniem i Majzlem.

„Siedział i rozmawiał z nimi bez przymusu. Ich obecnego, życia mimo wielkiego chłopskiego trudu, nie można było nawet porównywać do dawnego bytowania wsi i pewnie dlatego tym bardziej nie potrafił się tu z nimi zobaczyć na co dzień. Siedzieli przy otwartym oknie – napływała przez nie, skażona spalinami traktorów, woń wsi – widział ich nieogolone twarze, czuł niekłamana serdeczność i równie mocno konieczność wyjazdu”⁶.

Wkrótce po święcie Matki Boskiej Siewnej nadchodziło święto Matki Boskiej Bolesnej, której serce przebiło siedem mieczów, a po nim tzw. Suche Dni – obchodzone co kwartał – na początku zimy, wiosny i jesieni. Te wrześniowe – połączone ze ścisłym postem – były dniami dziękczynnymi za zbiorę; już przywiezione z pól i zgromadzone na zimę. W środę, piątek i sobotę odprawiano w tej intencji Msze święte, a wierni sumiennie przestrzegali postu; niektórzy nawet przeżywali te dni tylko o suchym chlebie i wodzie.

W tym miesiącu wspomniano też niedawny tragiczny wrzesień 1939 roku i poprzedzające go wydarzenia, które zwiastowały tamtą, straszną wojnę. Jednym z nich było pojawienie się na niebie komety.

Stanisław Srokowski pisał: „Już od rana na ludzi padł blady strach, a kobiety, mężczyźni i dzieci stali na progu domów i z zabobonnym lękiem śledzili niesamowite zjawisko na niebie [...]. Buchały wieści o wojnach, które zapowiada, o gwałtach, zabójstwach i straszliwych mękach, w jakich pograży się świat, a najstarsi mieszkańcy przypominali sobie, że tak właśnie było przed I wojną światową i wtedy morze krwi się polało. Kobiety chwyciły się za głowy, zakrywały przerażone oczy i długo stały pograżone w ciemnych wizjach i strasznych, apokaliptycznych obrazach.”⁷.

To niepokojące proroctwo było znane od pokoleń. Jego ślady znajdujemy na przykład w „Panu Tadeuszu”, w którym czytamy o komecie – jeszcze rodzaju męskiego – zwiastującym wyprawę Napoleona na Rosję:

„Dziś oczy i myśl wszystkich pociąga do siebie
Nowy gość, dostrzeżony niedawno na niebie:
Był to kometa pierwszej wielkości i mocy,
Zjawił się na zachodzie, leciał ku północy [...];
Warkocz długi w tył rzucił i część nieba trzecią
Obwinał nim, gwiazd krocie zagarnął jak siecią
I ciągnie je za sobą, a sam wyżej głową
Mierzy, na północ, prosto w gwiazdę biegunową”⁸.

Mimo wielu takich znaków, znamiennych wydarzeń i symptomów zbliżającej się wojny, tamto lato 1939 roku nie różniło się szczególnie od innych. Było upalne i zwyczajne. Dojrzawały pięknie zboża i cała wieś pracowała w pocie czoła przy żniwach, zwózce, uprzątnięciu pól. Radio w porze obiadowej nadawało audycje z muzyką rozrywkową; śpiewała Hanka Ordonówna i Mieczysław Fogg. W gazetach entuzjastycznie pisano o zdobyciu przez Polaków ośmiotysięcznika Nanda Devi w Himalajach, co było dużym sukcesem, choć okupionym śmiercią części ekipy wspinaczy. Donoszono o wyścigu kolarskim dookoła Polski i o rozbudowie Centralnego Okręgu Przemysłowego. Pojawiały się wprawdzie też informacje o narastającym w Europie napięciu, ale podkreślano również, że mamy oddanych sojuszników, a Polska była ukazywana jako kraj silny, posiadający nowoczesną armię, właściwie rządzony i bezpieczny.

Przygotowania do wojny, które czyniono w kraju, bezpośrednio nie dotyczyły mieszkańców wioski mojego dzieciństwa, choć niepokoiło ich wiele spraw: utworzenie Funduszu Obrony Narodowej, incydenty graniczne czy wybuch terrorystyczny na dworcu kolejowym w Tarnowie. Niektórzy szepotali, że wojna jest nieuchronna. Panowało jednak powszechne przekonanie, że nawet, jeśli do niej dojdzie, to walki będą krótkie i zwycięskie. Ówczesne media, czyli prasa i radio, utwierdzały ludzi w takim przekonaniu. Nikt nie wiedział, że 23 sierpnia przedstawiciele dwóch totalitarnych mocarstw – Niemiec i Rosji: Joachim von Ribbentrop i Władysław Mołotow podpisali w Moskwie pakt o nieagresji wraz z tajnym protokołem, na mocy którego dokonano czwartego rozbioru Polski. Niemcom miały przypaść ziemie po Narew, Wisłę i San oraz Litwa, a Rosji – tereny na wschód od wymienionych rzek oraz Finlandia, Estonia i Łotwa. Wojna czała się tuż, za progiem.

Pod sam koniec sierpnia pojawiało się coraz więcej znamion zbliżającego się kataklizmu, a mężczyźni otrzymali karty mobilizacyjne. Wszystkich ogarniał coraz większy niepokój i niepewność. Sąsiedzi przekazywali sobie coraz to nowe, zasłyszane wieści, budzące trwogę. Ale życie musiało się toczyć dalej swoim trybem.

Władysław Strumski tak wspomina tamte dni:

„Koniec sierpnia roku 1939 był niezwykle gorący nie tylko żarem płynącym z nieba, ale i wysoką temperaturą polityczną. Nad granicami Polski czaiły się już zmotoryzowane i pancerne dywizje Hitlera. Na lotniskach szykowała się armada Luftwaffe. W portach drzemały stalowe pancerniki, a niektóre już wyszły na żer. Jedne na dalekie morza i oceany, inne w stronę Gdyni i Gdańska”⁹.

Mikołajkowy bohater Cykaniec wspomina swego ojca – weterana pierwszej wojny – który zegnał go, gdy ten wyruszał na front:

„Od czasu, kiedy w gorące popołudnie ostatniego sierpnia 1939 roku pomógł mi wsiąść do przeładowanego pociągu, nasze kontakty były rzadkie i przypadkowe. Został wtedy w tłumie rodzin rezerwistów na jedynym torze, który przebiegał przez stację. Nie dawał mi żadnych rad, on stary żołnierz, jakby wiedział, że ta wojna będzie zupełnie niepodobna do tamtej. Ja jednak wiozłem ze sobą marzenie o pocztówkach, które mu będę przysyłał z Berlina”¹⁰.

Czy takie same marzenia miał bobrowianin Stanisław Piszczek, weteran pierwszej wojny światowej, gdy wyruszał wraz z innymi na front? Nie wiadomo. Wkrótce, po rozbiciu jego dywizji nad Sanem dostał się do niewoli niemieckiej, gdzie przebywał aż do wyzwolenia.

W wiosce mojego dzieciństwa właśnie wtedy – jak co roku – rozpoczynały się młocki. Dzień wstał słoneczny i wszyscy spieszyli do swoich zajęć. W ogródkach wciąż królowały pomarańczowe „śmierduszki” i czerwone pomidory, gdzieniegdzie na zagonkach wylegiwały się wśród zielonych liści ogromne pomarańczowe dynie zwane u nas „baniamy”, gałęzie drzew były ciężkie od owoców. Nikt jeszcze nie wiedział o nocnym nalocie na przygraniczne miasteczko Wieluń i o ostrzelaniu Westerplatte przez niemiecki krążownik Schleswig-Holstein.

Mama podawała snopki na maszynę u Lipów, gdy ktoś przybiegł wołając: wojna! wojna! Wszyscy byli bardzo zaskoczeni, choć widzieli przecież tak wiele oznak zbliżającego się kataklizmu. Nikt nie wiedział, co trzeba w tej sytuacji robić, jak się zachować, więc pracowano dalej, bo przecież zboże musiało być wymłócone. Nikt też nie ogarniał wyobraźnią mających nastąpić strasznych wydarzeń. Dopiero później wielokrotnie wracano do wspomnień tego dnia, który zwiastował koniec „świata w kolorze sepii”.

„Był piątek 1 września 1939 roku [...]. Hitlerowski „blitzkrieg”, dokonany z północy, południa i zachodu był nową formą działań wojennych, znacznie bardziej niszczącą od poprzednich. Wojna zaczęła się o czwartej czterdzieści, gdy półtora miliona Niemców wdarło się na ziemie polskie z tysiącami dział, czołgów, samochodów. Polskie lotnictwo walczyło dzielnie, ale dysponując niewielką liczbą przestarzałych maszyn, nie mogło powstrzymać ataków bombowych na miasta i zgrupowania żołnierzy [...]. Polskie dywizje wycofywały się na wschód”¹¹.

Nasi rodzice mieli po około dwadzieścia lat, a w młodych głowach i sercach wiele marzeń i planów. Nie mogli uwierzyć, że to nie koszmarny sen, a straszna rzeczywistość, która miała ich naznaczyć już na zawsze. Z niepokojem słuchano w radiu specjalnego przemówienia prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego: „A więc wojna. Z dniem dzisiejszym wszelkie sprawy i zagadnienia schodzą na plan dalszy. Całe nasze życie publiczne i prywatne przestawiamy na specjalne tory. Weszliśmy w okres wojny. Cały wysiłek narodu musi iść w jednym kierunku. Wszyscy jesteśmy żołnierzami. Musimy myśleć tylko o jednym: walka aż do zwycięstwa”¹².

A w Olszynch kwitły bujnie liliowe wrzosy.

Już pierwsze dni wojny okazały się tragiczne dla wielu ludzi z naszego regionu. Drugiego września o godzinie osiemnastej pojawiły się nad Dębicą niemieckie samoloty, które zrzucały na miasto około sześćdziesiąt bomb. Władysław Strumski wspominał:

„Wrzesień 1939. Pierwszy nalot na Dębicę. Pierwszy nalot i pierwsze ofiary. Tragedia rodziny Kitów. Bomba trafia w dom, niszcząc go prawie do fundamentów. Pod gruzami zginęli profesor Kita i jego córka Maria. Żona profesora i jego najmłodszy syn Aleksander zostali uratowani z ciężkimi kontuzjami [...]. Wieść o nieszczęściu nie dotarła do starszych synów, walczących w szeregach armii polskiej z Niemcami”¹³.

Okazało się, że wkrótce najstarszy syn został aresztowany przez gestapo. Po ciężkim pobycie w więzieniu w Rzeszowie przewieziono go do Oświęcimia, gdzie zmarł. Drugi syn – Stanisław, ps. „Jędrus” brał udział w różnych akcjach dywersyjnych i walczył w szeregach AK na Kałużówce jako adiutant dowódcy pułku. Za zasługi bojowe został odznaczony Krzyżem Walecznych.

Relację z tamtych tragicznych dni wrześniowych znajdujemy we wspomnieniach – cytowanej już – Jadwigi Lazarowicz, mieszkającej wówczas w Gumniskach.

„2 września wybrałam się furą z sołtysem Kubalą do Dębicy po zaopatrzenie. Zaraz na skraju miasta zatrzymują nas ludzie z opaskami białoczerwonymi i informują, że do miasta wjeżdżać nie wolno. Mają świeże wiadomości, że Dębica będzie bombardowana [...].

Ale człowiek nie wierzy. Dlaczego taką miejscinę mają bombardować? Kto tu co zawinił? Za co? Dlaczego? Różne pytania nasuwają się w myśli. Nie, to niemożliwe [...]. Puścili nas [...]. Świątynia była niedaleko. Zaledwie zmówiłam krótką modlitwę, gdy słyszę szum i warkot samolotów. Potem już po dachu kościoła jak grad sypią się kule karabinowe. Dobrze, że jestem ukryta. Myślę, nic mi się nie stanie.

Naraz straszny huk, jeden, drugi, w kościele robi się ciemno. Wchodzę do kruchty. Pada trzecia bomba, dosyć blisko. Cały gmach się trzęsie, a krzyż ze ściany spada na ziemię.

Wtedy wychodzę. Myślę, że lepiej zginąć szybko od kuli, aniżeli pod cegłami [...]. Padam na ziemię i czołgam się.

Ciemno, dym gryzie w oczy. Słyszę komendę oficera do rezerwistów, którzy uciekają z płonącej szkoły, bo już i tam spadła bomba.

Kolejne teraz spadają bomby na całe miasto. Słychać krzyki i jęki [...]. Biegną sanitariusze Czerwonego Krzyża, zbierają rannych [...].

Następnego dnia dowiadujemy się, że Dębica wciąż płonie. Jedne domy zapaliły się od bomb, a pożar przeniósł się na inne¹⁴.

Ranni – wojskowi i cywile – byli zaopatrywani w koszarach, gdzie znajdowała się Izba Chorych, kierowana przez lekarza Jana Szymaszka. Z koszar wyruszył już Piąty Pułk Strzelców Konnych, który wszedł w skład Armii „Kraków” i rozpoczął działania wojenne przeciw Niemcom.

Piękna, słoneczna niedziela 3 września wydawała się być dniem przełomowym. Po opłotkach przekazywano sobie informacje usłyszane w radiu, że Francja i Wielka Brytania wypowiedziały Niemcom wojnę. Oczekiwano więc na rychłe i szczęśliwe jej zakończenie. Niestety, kolejne dni rozwiewały resztki nadziei.

Od pierwszego dnia wojny niemieckie samoloty pojawiały się codziennie nad całą Rzeszowszczyzną. Jak ciężkie, złowrogie ptaki, lecące tuż nad horyzontem, były zwiastunami śmierci. Bombardowały m.in. lotniska w Krośnie i w Moderówce koło Jasła, a nieco później różne obiekty w Rzeszowie. Miasto zajęte zostało przez Niemców 8 września. Taki sam los spotkał Dębicę, którą zajął XXII korpus pancerny po nocnym sforsowaniu Wisłoki w okolicach Pilzna.

„W dniu 8 września o godzinie 7 rano Niemcy dotarli do Dębicy po uprzednim kilkakrotnym bombardowaniu, zniszczyli niebronione, otwarte miasto”¹⁵.

Jeszcze długo po wojnie na dźwięk lecącego samolotu – gdy zadzierałszy głowy z zaciekawieniem, wykrzykując łobuzersko: „Pilocie, masz dziurę w samolocie” – dorośli milkli i zamyślali się, nieruchomiejąc na chwilę.

Leopold Harla tak wspomina początek wojny w rodzinnej Bobrowej:

„Noc okupacyjna zapadła nad powiatem dębickim [...]. Do miasta wkroczyły pierwsze niemieckie oddziały. Jeden taki oddział zawitał także do Bobrowej. Był zmotoryzowany, karny, spasiony. Hitlerowcy żołdacy z miejsca zażądali jaj, kur, śmietany. Gapiącym się, oberwanym i bosym dzieciom rzucał w pył drogi kawałki czekolady i, śmiejąc się rubasznie, robili zdjęcia. Pytali także o komunistów i o Żydów. Tak rozpoczęły się straszliwe rządy okupanta, znaczone masowymi egzekucjami, wyniszczającymi kontyngentami, krematoriami, łapankami”¹⁶.

Gdy Niemcy wjechali 8 września do wioski mojego dzieciństwa, był piękny, słoneczny dzień. I właśnie od tego dnia zaczęły się dla mieszkańców

Bobrowej tragiczne dni wojny. Niespodziewana, straszna klęska szokowała i budziła rozpacz.

„Pod koniec września i początkiem października w rodzinne strony zaczęli powracać żołnierze polskich formacji walczących z Niemcami, którym udało się uniknąć niemieckiej bądź sowieckiej niewoli”¹⁷. Zmordowani, zrozpaczeni, przegrani, niepewni jutra ukrywali broń, jak Piotr – bohater powieści Tadeusza Nowaka „A jak królem, a jak katem będziesz”: „W nocy nasmarowaliśmy karabiny rzepakowym olejem i okręciwszy w szmaty, zakopaliśmy naszą broń koło studziennej cembrowiny”¹⁸. „Chowali ją też „po dziuplach, w strzechach stodół, po ulach”¹⁹.

Po klęsce wrześniowej wrócił również do domu ojciec Mikołajkowego bohatera z opowiadania „Garbaty generał”.

„Wrócił ojciec. Miał na sobie wojskowe spodnie i cywilną marynarkę. Całując mnie, pokłůł mi twarz. Było go czuć potem i tytoniem. Izbę zawaliła gromada chłopów i bab. Ojciec napił się mleka i powiedział: – Sprzedali nas”²⁰.

Nikt nie wiedział, co robić dalej.

„Strach paraliżował ludzkie działania. Nie wiadomo było, czy uciekać, czy trwać na posterunku. Kobiety płakały po kątach. Mężczyźni bezradnie rozglądali się wokół siebie. Nie można było zostawić dobytku i uciekać. Ale nie można też było trwać w bezczynności. Toteż każdy, kto mógł zabezpieczyć swój majątek, jak potrafił krył swoje dobra: zastawy stołowe, srebrne łyżki, zegarki, pierścionki, złote monety. Ale przecież nie mógł ukryć domu, gospodarstwa, zwierząt, całego dobytku [...]. Tu i ówdzie na wszelki wypadek, kopano ziemianki, jakby schrony, czy bunkry, by się w nich chować. W domach trwały nieustające i gorączkowe narady. Co robić, jak postępować, dokąd pójść i jak się ratować. Nie wiadomo było, co się stanie z ludnością cywilną. Napływające informacje nie pozwalały ludziom spokojnie spać ani snuć planów na przyszłość. Bo przyszłość rysowała się w czarnych barwach [...]. Kobiety modliły się po kościołach o ratunek do Boga, ale ratunek nie nadchodził”²¹.

Przerażeni ludzie zazdrościli odlatującym ptakom, spoglądając za ich śladem na pogodnym niebie, niektórzy tuż po napaści Niemców próbowali uciekać, zostawiając gospodarstwa na pastwę losu, inni zdawali się na wolę Bożą i czekali w trwodze. A drogami – wiodącymi na wschód – ciągnęli uciekinierzy:

„Rodziny przemieszczały się na konnych wozach drabiniastych, wyładowanych dobytkiem. Ciężarówki i samochody osobowe pękały w szwach. Wielu uciekało na rowerach lub pieszo, pchając ręczne wózki z rzeczami, albo dźwigając dzieci. Widać było spalone domy, pogruchotane czołgi, rozbite lawety, pojazdy zniszczone w wyniku ataków bombowych na kolumny wojsk i tłumy uchodźców, stosy martwych ciał na poboczach – żołnierzy i cywilów, koni i krów – niekiedy zaś szeregi żołnierskich mogił, umieszczonych

pojedynczo, albo po dwie, trzy, lub cztery, zaznaczonych pospiesznie zbitymi krzyżami i stalowymi hełmami tych, co w nich spoczywali”²².

Antoni Darłak tak zapamiętał ten czas: „Ciągnęły [...] na wschód całe kolumny furmanek z uciekinierami, blokując często drogi i utrudniając przez to działanie broniącej się armii polskiej. Zapanował niesamowity chaos, nie dający się opanować [...]. Uciekinierzy znaleźli się pod napierającą z drugiej strony ścianą i zaczęli wracać do domów”²³.

17 września była piękna, słoneczna niedziela. W bobrowskich Olszynach wciąż kwitły liliowe wrzosy. Było cicho i spokojnie. Nikt jeszcze nie wiedział o owej „ścianie” ze wspomnień Darłaka. W tym właśnie dniu rosyjscy żołnierze przekroczyli polską granicę jako okupanci ze Wschodu. Tak dokonał się ów czwarty rozbiór Polski, zgodnie z tajemnymi ustaleniami Hitlera i Stalina z 23 sierpnia. Sowieci zaatakowali, gdy polskie wojsko zmagало się wciąż z niemieckim najeźdźcą, łamiąc pakt o nieagresji z lipca 1935 roku. Na zagarniętych terenach wschodniej Polski zaczęła się sowiecka okupacja,znaczona represjami, egzekucjami i tragicznymi deportacjami.

Nasz region znalazł się pod okupacją niemiecką.

Wspomniana wcześniej nauczycielka Jadwiga Lazarowicz, mieszkająca w Gumniskach, której mąż od początku wojny walczył w oddziałach wojska polskiego, tak zapamiętała tamte dni:

„Którejś nocy mam straszny sen, że jakiś kościół, gmach wielki, zaczyna się palić u góry, na wieży, a u fundamentów pęka ziemia. Rano dowiadujemy się, że Niemcy zajęli Polskę po San, a Sowieci drugą połowę [...]. Dziwne uczucie szarpie człowiekiem, gdy dowie się, że jest niewolnikiem [...].

Słyszymy, że Niemcy pędzą naszych żołnierzy do obozów w Niemczech. Są strasznie wyczerpani, głodni i chorzy. Zbieramy prawie od każdego mieszkańca trochę żywności, mleka, jaja, kury, króliki, kasze i chleb. U Franciszka Parysa gotują w dużych garnkach zupę i w tych 25-lirowych naczyniach wiozą na wozach do Dębicy. Nasi przychodzą ze stacji w kolumnach, widać, jak z wielkim wysiłkiem ciągną nogi, są zmizerowani. Nasze dzieci podbiegają, rzucają im chleb do czapek, do menażek zupę wlewają. Niemcy grożą kolbami i pędzą biednych jeńców do koszar. Nasze wozy podążają za nimi. Poprzez ogrodzenie na dziedzińcu koszar żołnierze wyciągają ręce i pokazują, że są głodni. Znów przez szpary w płocie dzieci i starsi podają żywność. Ratują, jak mogą, swoich rodaków”²⁴.

Taką samą pomoc organizują dębickie Siostry Służebniczki, które dożywają w koszarach około tysiąca wojskowych, organizują dla nich zbiórkę pieniędzy wśród dębiczian, przygotowują też w kuchni przy restauracji kolejowej posiłki dla jeńców, których transporty zatrzymują się na stacji.

A do mieszkańców wioski mojego dzieciństwa dochodzą coraz tragiczniejsze wieści.

28 września skapitulowała Warszawa, w której 5 października Hitler obejrzał defiladę zwycięstwa Wehrmachtu. W październiku powiat dębicki wszedł w skład utworzonej przez Niemców GG. Wkrótce stał się dla Niemców ważnym miejscem strategicznym.

„Ten powiat miał szczególne znaczenie dla okupanta” – pisze Antoni Stańko. „W leżącej bowiem na jego terenie Bliżnie znajdowała się doświadczalna wyrzutnia broni rakietowej V-2, a w Pustkowie kwatery przejściowe wojsk przerzucanych na wschodni front. Obok tych obiektów militarnych Niemcy założyli w Pustkowie obóz koncentracyjny, w którym każdego dnia ginęły dziesiątki więźniów”²⁵.

A Antoni Darłak dodaje: „Zakłady w Pustkowie stały się siedzibą znaczących oddziałów SS oraz obozu pracy, w którym było około 15 tysięcy więźniów: Polaków, Żydów, jeńców rosyjskich i Cyganów. Liczebność stale tam stacjonujących jednostek SS wahała się od kilku do kilkunastu tysięcy żołnierzy, a zadania ich związane były z działaniami na froncie wschodnim oraz z prowadzeniem poligonu doświadczalnego broni rakietowej V-2”²⁶.

Codziennie sołtys Bobrowej i innych wsi musieli wyznaczać po kilka furmanek dwukonnych do pracy w obozie.

W pustkowskim obozie znalazło się również wielu okolicznych mieszkańców; zwłaszcza za pomoc więźniom. Jednym z nich był bobrowianin Władysław Szelest, urodzony w 1925 roku. Jako młodzieńki chłopak, pracownik pobliskiej Lignozy przerzucał przez ogrodzenie dla uwięzionych chleb i papierosy. Wkrótce jednak został złapany. Otrzymał numer 1530 i ubranie, które – jak wspominał – należało pewnie do jakiegoś zabitego jeńca, bo w kieszeni była jeszcze zastygła krew. W straszliwych warunkach przetrwał aż dziesięć miesięcy. Po wojnie wrócił do rodzinnej wsi. Pracował w Dębicy i równocześnie prowadził małe gospodarstwo rolne razem z żoną Filomeną – nazywaną ślicznie Filonką – i z trzema synami. Był człowiekiem poważnym, spokojnym, małomównym. Nie domyślaliśmy się nawet, jakie były jego wojenne doświadczenia, choć wybudował dom w bliskim sąsiedztwie i wielokrotnie go spotykaliśmy. Dorośli nie wtajemniczali jednak dzieci w tragiczne wydarzenia okupacji, chcąc uczynić nasze dzieciństwo w miarę spokojnym i szczęśliwym.

Również Bronisław Harla był świadkiem bestialskiego traktowania więźniów przez Niemców: „Sam widziałem, gdy byłem na robocie w Pustkowie [...]; jeden z oprawców położył więźniowi na szyi drąg i stanął na tym drągu nogami. I gniótł dotąd, aż ten więzień wyzionął ducha. Na to nie można było patrzeć. A oni to wykonywali z uśmiechem na ustach”²⁷.

Już w październiku 1939 roku nowe niemieckie władze rozpoczęły swe urzędowanie w Dębicy i w okolicznych wsiach. W miejsce powiatu dębickiego powstała tzw. Landkreis Dębica – nowa jednostka administracyjna samorządu terytorialnego, wchodząca w skład dystryktu krakowskiego General-

nego Gubernatorstwa, która funkcjonowała aż do sierpnia 1944 roku, gdy do miasta wkroczyły wojska radzieckie. Urzędujący na Wawelu gubernator Hans Frank jesienią 1943 roku przebywał kilka godzin w Dębicy, wracając z inspekcji w Rzeszowie.

Niemcy zaraz po zajęciu Dębicy zorganizowali tu siedzibę policji, plutonu żandarmerii, gestapo, służby bezpieczeństwa, policji kryminalnej, biura ochrony kolei i aresztu śledczego. Wprowadzili drakońskie prawa i zasady: przymus pracy, godzinę policyjną, nakaz stosowania zaciemnienia, język niemiecki jako urzędowy, nowe pieniądze i kartki żywnościowe. Nałożono mordercze kontyngenty i stworzono *Arbeisamt* – urząd, który miał dostarczać bezpłatną siłę roboczą do Niemiec. Każdy, kto miał ukończone 14 lat, a nie przekroczył sześćdziesiątki, mógł być skierowany na przymusowe roboty do kraju wroga. Okupanci rabowali bezkarnie sklepy, rekwirowali zwierzęta domowe, pojazdy, wartościowe przedmioty. Zamykali szkoły, biblioteki, instytucje kulturalne, aresztowali i mordowali polską inteligencję. Wprowadzali strach i terror. Wydawane po niemiecku gazety, różne obwieszczenia i zarządzenia zapowiadały surowe kary za jakiegokolwiek złamanie nowych praw. Pierwsza okupacyjna zima – bardzo mroźna i śnieżna – była więc dla wszystkich straszliwie trudna; towarami szczególnie pożądanymi był opał, szkło, by zabezpieczyć okna podziurawione od wybuchów, a także żywność, o którą było bardzo ciężko.

Brandys pisał: „GG, skrawek przedwojennej Polski pozbawiony przemysłu, było obszarem rolniczym. Granica była tak prowadzona [...], by cały przemysł, węgiel, hutnictwo odpadły od Gubernatorstwa, a reszta pozostała w cofniętym ewolucyjnie charakterze kraju czysto rolniczego. W miastach tej dziwacznej krainy szalał terror i handel. Poza rogatekami miast odbywała się bezwzględna eksploatacja. Kontyngenty rolne ściągano pod karą śmierci, robotników wywożono do Niemiec podstępem i gwałtem. Prywatny handel produktami rolnymi był surowo zakazany. Ceny płacone przez Niemców – sztyderczo niskie”²⁸.

Taka sytuacja była – oczywiście – również w wiosce mojego dzieciństwa.

„Co czuł wówczas przeciętny mieszkaniec Bobrowej? To samo, co cały naród – bezsilny ból, gorycz i palący wstyd za haniebną klęskę [...]. Ale okres rozpaczny nie trwał długo. Powoli umacniało się przekonanie, że klęska wrześniowa nie jest ostatecznym upadkiem narodu, że nie wolno pogrążyć się w beznadziejności, że trzeba myśleć o samoobronie, a nie czekać z założonymi rękami na rozwój wypadków”²⁹.

Mieszkańcy starali się przetrwać mimo wszystko i nie dać się zastraszyć. Pomagali sobie wzajemnie, wspierali, pocieszali. Między innymi prowadzili nielegalny ubój, chociaż był karany nawet śmiercią. Takie nielegalne świnio-bicia odbywały się m.in. w domu mojego dziadka Michała. Przy zasłoniętych dokładnie oknach pracowano całą noc, a potem rozwożono lub roznoszono mięso i jego przetwory do zaprzyjaźnionych rodzin. Pewnego razu ojciec

wiozący na rowerze mięso i wędliny schowane pod kurtką został zatrzymany przez też pedałuującego gościńcem Niemca. Już zegnał się z życiem, gdy tamten na migi wytłumaczył mu, że trzeba mu napompować koło, bo złapał „kapcia”. Skończyło się na strachu, a proceder nielegalnego handlu mięsem trwał aż do czasów wysiedlenia. Tragiczne wspomnienia mają m.in. mieszkańcy Góry Motycznej, gdzie za nielegalny handel mięsem zabito dwóch gospodarzy. W akcji brał udział osławiony funkcjonariusz policji Urban i żandarm Bąk, którego później zastrzelono na ulicy Kolejowej w Dębicy.

Młodzi pragnęli walczyć z bronią w rękę. Już jesienią polski rząd działający na emigracji powołał w tym celu Związek Walki Zbrojnej. To był początek działalności podziemnej w okupowanej Polsce. W wiosce mojego dzieciństwa również zrodził się konspiracyjny ruch ludowy, powstały oddziały partyzanckie i zaczęło się kształtować podziemie władz, które m.in. przygotowywały akcje zbrojne i zdobywały broń. Oddział Armii Krajowej zorganizowali: Michał Ziobro i Rudolf Zięba, Gwardii Ludowej – Klemens Trojan i Roman Bonar, a Batalionów Chłopskich – Bronisław Harla. Wielu bobrowskich chłopaków wstąpiło w szeregi tych organizacji, by uczestniczyć w licznych akcjach przeciwko okupantowi.

Przez cały okres okupacji trwały wywózki na roboty do Niemiec. Leopold Harla wymienia nazwiska bobrowskich młodych chłopaków i dziewczyn, którzy zostali wywiezieni do kraju wroga, by tam ciężko pracować mając przed sobą niepewną przyszłość. Byli to: „Baran Franciszek i Władysława, Bonar Karolina, Bonarek Helena, Bugaj Stanisław, Ciukaj Maria, Dykas Stanisław, Dziurgot Bronisław, Helena, Irena i Stanisława, Fila Bronisław i Maria, Gil Maria i Władysława, Harla Irena [córką Bronisława], Iskra Bronisława, Józefa i Władysława, Janora Elżbieta, Genowefa i Stanisław, Jarosz Genowefa, Jan, Stanisława [siostra mojego ojca], Władysław [brat mojego ojca], Kitrys Antoni, Król Józef, Lipa Antonina, Bolesław, Julia i Stanisław, Lipiór Maria, Łączak Franciszek, Mazur Julia, Bolesław i Edward, Mądro Bronisława, Miętus Janina i Józef, Moraniec Ferdynand, Mrzygłód Janina, Osak Jan, Piecuch Antoni, Piszczek Edward, Pytko Janina, Skowron Emilia i Józef, Wieloch Jan i Kazimierz, Wiącek Bolesław, Wilczyński Józef i Piotr”³⁰.

W „Ocalić wspomnienia – zachować czas” znajdujemy zdjęcie jednej z wywiezionych dziewcząt – Marii Fila zrobione w czasie pobytu na przymusowych robotach w miejscowości Brannschweig w Niemczech³¹, której w 1946 roku udało się szczęśliwie wrócić do domu.

Wywózki trwały od 1940 do 1944 roku. Jedna z nich miała miejsce w dniu pacyfikacji Bobrowej. Sołtys musiał sporządzić listę wszystkich młodych, zdolnych do pracy mieszkańców wioski, którą przekazywał niemieckim urzędnikom Arbeitsantu. Również do domu moich dziadków załomotali policjanci, by zabrać na miejsce zbiórki moją mamę znajdującą się na tej liście.

Ale wcześniej ostrzeżona, dobrze się ukryła wraz z bratem Ferdynandem, a w mieszkaniu został tylko 16-letni Aleksander nazywany w domu Olkiem. Zabrano więc jego i wraz z innymi stłoczono w stodole sołtysa Władysława Zięby, niedaleko ludowca. Pod nadzorem policjanta wszyscy musieli stać i czekać na wystawienie odpowiednich dokumentów. Tymczasem w wiosce mojego dzieciństwa trwało „polowanie” na ludzi i płonęły domy. Do środka stodoły wdzierał się swąd dymu.

„Drzwi były szeroko otwarte,
obok dwaj żołnierze pełnili wartę,
słyszeć było pojedyncze strzały
i słowa, których nie rozumiałem” – pisał Aleksander Bacher³².

Sytuacja była dramatyczna. Młodzi ludzie wyrwani z domów czekali, rozmyślając o tym, co wkrótce się wydarzy. W oczach zgromadzonych czaiły się strach i niepewność, ktoś cicho szlochał, ktoś żarliwie się modlił. Jak wspomina Bacher: „Wciąż ludzi przybywało; to znaczyło, że „polowanie” trwało”³³. Wreszcie i on został wezwany do mieszkania sołtysa, gdzie urzędował niemiecki oficer w okularach na nosie. W powietrzu unosił się zapach kawy i alkoholu, w kieszeni głodnego, przestraszonego chłopaka wciąż tkwiła kanapka, którą zdążyła mu zrobić mama. Na szczęście los był dla niego łaskawy. Obok stołu zobaczył swego ojca, który leciutko się do niego uśmiechnął. A oficer, posługując się śląską gwarą, powiedział, że zwalnia go do domu, bo ojciec – jako inwalida wojenny – musi mieć pomoc w pracy na gospodarstwie. Pomogła legitymacja inwalidzka mojego dziadka i – dyskretna łapówka.

Bo rodzice jak mogli, bronili swych dzieci. Czasem kończyło się to – niestety – tragicznie, jak w przypadku Michała Węgrzyna i Władysława Turka z Nagoszyna, którzy za ukrywanie swych córek przed wywózką zostali brutalnie pobici i wywiezieni do obozu w Pustkowie.

Czasem o losach wywożonych decydował przypadek, np. przebywanie poza domem czy ucieczka z transportu. Taką sytuację przedstawił Mikołajek w „Sielance”:

„Nim przyszedłem do wsi było już słońce. Ojciec stał we wrotach, skrobał się po piersi.

– Masz szczęście – powiedział. – Tyś był wystawiony – Bobka przykutasili.

– Kiedy? – przypomniałem sobie, że byłem wyznaczony na wyjazd do Niemiec.

– Co tylko furmanki odjechały. Zabrali ze trzydzieści chłopaków i dziewczuch. Połowa na pewno wróci. A już co do Bobka jestem spokojny.

Mimo takiego zapewnienia był markotny. Mama poszła dać na mszę. Nim wróciła, Bobek był w domu; uciekł zaraz z powiatowego punktu zbornego”³⁴.

Szczęśliwie udało się też uniknąć wywózki córce Bronisława Harli – Irene. Będąc już w Krakowie – dzięki łapówce i pomocy życzliwych znajomych

– mogła niepostrzeżenie uciec ze szkoły, gdzie trzymano wywożonych i wrócić do domu. Ci, którym nie udało się zbiec, aż do końca wojny ciężko pracowali w różnych gospodarstwach i fabrykach niemieckich, a po powrocie nigdy nie zapomnieli tych strasznych lat.

A okupacja trwała. Nikt nie był pewny, co może się wydarzyć. Mieszkańcy mojej wioski żyli początkowo – według określenia księdza Józefa Tischnera – „daleko od teatru wojny, ale nie daleko od jej koszmaru”³⁵. I nikt nie przypuszczał, że koszmar ten będzie trwał aż pięć lat...

A złota jesień szła przez świat. Drzewa pięknie stroiły się w kolory. Typowe dla tej pory roku barwy liści: głębokie czerwienie, rudości, brązy i żółcie ozdabiały wioskę mojego dzieciństwa. Na polach trwały jesienne orki. Za pługami dreptały krzykliwe wrony, porywając z nowo odkrytych skib tłuste pędraki. Znad „Dużej Rzeki” ciągnęły szare dymy ognisk. Zerwał się wiatr i zawirowały pierwsze opadłe liście. Tak jesień brała świat w posiadanie.

Wędrując do szkoły, z zachwytem przyglądaliśmy się otaczającemu nas światu. Był taki ciekawy! I skaczący po trawie ptak, który trzymał w dziobie długie źdźbło trawy, i pasące się na ugorze krowy, i bułane konie ciągnące pługi, i kolorowe drzewa, i jesienne kwiaty, i dojrzałe owoce, i znajomi ludzie.

Wrzesień to był oczywiście dla nas początek roku szkolnego. Zaczynaliśmy go nabożeństwem, w czasie którego śpiewaliśmy z ufnością i wiarą:

„My chcemy Boga, Panno Święta.

O, usłysz naszych wołań głos [...]

My chcemy Boga w rodzin kole,

W troskach rodziców, w dziatki snach,

My chcemy Boga w książce w szkole,

W godzinach wytchnień, w pracy dniach”.

Każdy po cichu planował pilnie się uczyć i zdobywać dobre oceny, ale niewielu się to udawało. Brakowało wytrwałości, czasu, chęci, zdolności. Bardzo dużo dzieci powtarzało klasę; nawet kilkakrotnie, wiele przerywało naukę, wiele też zostawało w domu na czas prac polowych, lub w okresie wielkich mrozów, gdy nie było pieniędzy na ciepłe buty.

Ale szkołę bardzo lubiliśmy. Była dla nas miejscem ciekawych spotkań, zabaw i przygód, a także – czymś oczywistym, naturalnym, wpisanym w życie; wydawało się – odwiecznym.

A przecież nie zawsze tak było, chociaż własną szkołę Bobrowa wybudowała i oddała do użytku już pierwszego lutego 1884 roku. Murowany budynek powstał w 1910, a nowa szkoła w 1964 roku.

Szkolnictwo zaczęło powstawać na naszych terenach już w XVI wieku. Wtedy to – w 1595 roku – wybudowano szkołę w Dębicy obok kościoła świętej Jadwigi. Był to okazały, jednopiętrowy budynek z cegły i kamienia, otynkowany i pokryty blachą. „W roku 1898 wmurowano w jego zewnętrz-

ną ścianę tablicę pamiątkową z napisem: „W setną rocznicę urodzin Adama Mickiewicza”. Budynek szkolny, rozbudowany w połowie XX wieku oraz tablica zachowały się do dzisiaj”³⁶.

W połowie XIX wieku również w niektórych okolicznych wioskach zaczęto tworzyć szkoły przykościelne, jak ta w Nagoszynie, która powstała w 1850 roku za sprawą baronowej Stefanii Konopkowej, czy w Zawadzie – w 1860 roku. Ale prawdziwy rozwój szkolnictwa rozpoczął się na naszych terenach pod koniec XIX wieku. W 1880 roku powstała szkoła państwowa w Wiewińce, w 1886 – w Nagoszynie, w 1890 – w Mokrem, w 1908 – w Korzeniowie, w 1909 – w Żyrakowie, w 1922 – w Górze Motycznej, w 1933 – w Woli Wielkiej. Jak widać, w wiosce mojego dzieciństwa dość wcześnie zadbano o rozwój oświaty mieszkańców, zawsze chętnych do działania i zdobywania wiedzy.

Jak pisze Stańko: „W roku 1883 hrabina Karolina Raczyńska [właścicielka Bobrowej i wielu okolicznych wsi] księżna z Wallersteinów darowała na rzecz budowy szkoły w Bobrowej 2 morgi gruntu i 2 tysiące cegieł [...]. Bobrowa dała robociznę, transport oraz 1500 reńskich ze zbiórki i 1. lutego 1884 roku dzieci bobrowskie rozpoczęły naukę we własnej szkole”³⁷. Dotychczas – nieliczni – chodzili uczyć się do Nagoszyna. Najpierw, od 1792 roku lekcje odbywały się w domu organisty, potem w budynku plebanii, gdzie nauczanie prowadził ksiądz Jan Książek. Dzięki niemu, a także dzięki staraniom wspomnianej już baronowej Stefanii Konopkowej z Grocholskich powstała w Nagoszynie w 1873 roku szkoła parafialna. Do tej szkoły uczęszczały również dzieci z Korzeniowa i z Woli Bobrowskiej.

Wcześniej, bo w 1873 roku, Krajowa Rada Szkolna powołała szkoły popolite – dwuklasowe i wyznaczyła obwody szkolne. W skład obwodu obejmującego Bobrowę weszły też wsie: Nagoszyn i Korzeniów.

Autorzy „Ocalić wspomnienia – zachować czas” piszą: „Bobrowianie własną szkołę wybudowali w 1884 roku. Budowę drewnianego, podmurowanego budynku, usytuowanego w pobliżu obecnej szkoły wspierała cała społeczność wsi. Mieszkańcy przeprowadzili zbiórkę pieniędzy, udostępnili transport konny oraz służyli robocizną”³⁸.

Były to czasy panowania cesarza Franciszka Józefa i w szkole uczono pieśni: „Boże wspieraj, Boże chroń nam cesarza i nasz kraj”. Do tej szkoły uczęszczały bobrowskie dzieci do 1910 roku. Wtedy to wzniesiono nowy, murowany budynek szkolny. Ten stary, drewniany kupił Żyd z Zawierzbia. Zamieszkał w nim i otworzył tam sklep z wyszynkiem.

Na początku XX wieku dla historii szkoły w Bobrowej wielce zasłużyli się jej dwaj kierownicy: Zygmunt Babczyn i Piotr Ortyński. Początkowo warunki do nauki były bardzo trudne, a metody wychowawcze – surowe. Książek prawie nie miał nikt. Aleksander Bacher wspomina:

„We wsiach istniały powszechne szkoły
trzyklasowe, sześcioddziałowe.
Nie było sali gimnastycznej,
Nie istniały boiska sportowe...
Dzieci nie miały podręczników do nauki.
Zeszyt, ołówek, gumka z myszką –
I to wszystko”³⁹.

A Bronisław Harla pisze o sąsiedzie, który aż ośmioro dzieci wysyłał do bobrowskiej szkoły. We wrześniu kupił jeden ołówek i jeden rysik do pisania na tabliczce, poprzecinał na kawałki, rozdał i zapowiedział, że mają wystarczyć do końca roku szkolnego.

Bo początkowo tylko owa „tabliczka” czyli czarna płytka oprawiona w drewno i rysik były „narzędziami” pracy ucznia. Często podczas dziecięcych zabaw i psot tabliczki się rozbijały, a rysiki łamały, za co można było oberwać i w domu, i w szkole, bo stosowano – jeszcze wywodzącą się ze średniowiecza zasadę, że „Duch Święty dziateczki różeczką bić radzi, różeczka dziateczkom nigdy nie zawadzi”.

Kary cielesne były uznawanym przez wszystkich, oczywistym i akceptowanym środkiem wychowawczym. Niezbędną więc pomocą nauczyciela była „trzcina”, którą sówicie karał krnąbrnych uczniów.

Jakub Bojko z Gręboszowa tak wspominał szkołę końca XIX wieku:

„Ściany były puste, tylko krzyż z Panem Jezusem był całą ozdobą klasy. Na stopniu stał stolik z papierami i parę prętów chrustowych, na które spoglądałem z wielką bojaźnią, bom widział, jak były wciąż w robocie. Gdy chłopcy przyszli z zeszytami do poprawy, poprawiano im błędy czerwonym atramentem i pisano notę, ale gdy mu napisał nauczyciel notę „źle”, to wsypał parę łap na pamiętne – i to skutkowało. Dzieciska siedziały cichusko ani mrumru, a ta cisza panowała nawet wtedy, kiedy nauczyciel poszedł na chwilę do „siebie”⁴⁰.

Nawet księża uczący religii stosowali kary cielesne, ponoć niezwykle pomocne w nauce i wychowywaniu. Bacher tak wspomina nauczyciela Ortyńskiego i księdza Pyzikiewicza:

„Czy pamiętasz rasowego pana kierownika szkoły,
Który trzcina smagał tego, kto był w klasie zbyt wesoły?
Wielmożnego kanonika, który tego, co nie słuchał
Przywoływał do stolika, świderk mu robił z ucha”⁴¹.
„I w domu, i w szkole była dyscyplina.
W domu często pasek, w szkole często trzcina”⁴².

Ksiądz Leon Pyzikiewicz – proboszcz pochodzący z Rzochowa, absolwent dębickiego gimnazjum i tarnowskiego seminarium duchownego, pracujący w Nagoszynie od 1927 roku do śmierci w 1941 roku zapisał się w pamięci bobrowskich dzieci jako człowiek niezwykle pobożny, mądry, cieszący

się szacunkiem, ale też surowy i niekiedy używający trzcinki na najbardziej krnąbrnych i leniwych uczniów. Uczył z wielkim zaangażowaniem, żądał przestrzegania zasad wiary, dyscypliny, pilności w nauce. Wszyscy go szanowali i cenili.

Pamiętała go również moja mama chodząca do bobrowskiej szkoły w latach trzydziestych XX wieku. Ale najbardziej zapamiętała jednak kierownika szkoły Piotra Ortyńskiego, który wraz z żoną Marią i córeczką Darią przybyli z Nagoszyna i zamieszkali w wiosce mojego dzieciństwa. Pan Ortyński miał wielki posłuch wśród młodzieży i dorosłych mieszkańców, cieszył się wielkim autorytetem, szacunkiem i uznaniem. Na fotografii zamieszczonej w „Ocalić wspomnienia – zachować czas” – a pochodzącej z kroniki szkolnej w Nagoszynie z 1935 roku – widzimy go siedzącego obok żony Marii w otoczeniu uczniów, jako młodego, eleganckiego, przystojnego mężczyznę; pogodnego, spokojnego, śmiało spoglądającego w obiektyw⁴³.

Kierownik Ortyński dbał o wychowanie patriotyczne młodzieży. Uczył patriotycznych wierszy i piosenek, jak ta o przysiędze Naczelnika Powstania z 1794 roku Tadeusza Kościuszki – autorstwa Marii Konopnickiej: „Na Krakowskim Rynku tam ludzi gromada, Tadeusz Kościuszko dziś przysięgę składa”, czy o pułkowniku Powstania Kościuszkowskiego – Janie Kilińskim, który „był szewcem, oj, podburzył Warszawę, zrobił Moskaliskom weselisko krwawe”.

Na lekcjach wprowadzał surową dyscyplinę. Musiała panować zupełna cisza, a uczniowie siedzieli prościutko z rękami założonymi do tyłu. Wszelkie psoty były surowo karane. Gdy pewnego razu mama wyciągnęła rękę, by dyskretnie wziąć od koleżanki cukierek, poznała co to znaczy mocne uderzenie trzcina. Spuchniętej dłoni nie można było pokazywać rodzicom, bo ci zawsze przyznawali rację nauczycielom, a czasem dodawali jeszcze jakąś karę.

Piotr Ortyński był dobrym pedagogiem; dbał o poziom nauki i solidne wychowanie swych podopiecznych; czasem – mimo surowości – potrafił być dowcipny, stosując oryginalne sposoby motywowania uczniów. Po jednym z dyktand nagroził ołówkiem i zeszytem tego, kto napisał dyktando bezbłędnie – i tego, kto zrobił najwięcej błędów. Było wiele śmiechu, gdy dumny z nagrody chłopak pokazywał zeszyt z dyktandem „upstrzonym” czerwonymi poprawkami nauczyciela.

Ortyński sumiennie „niósł oświaty kaganek” – uczył wielu piosenek i wierszy na pamięć, krzewił kulturę i surowe zasady moralne. Jedną z takich piosenek, zapamiętanych przez mamę była ta – witająca wiosnę:

„Słonko przygrzewa jasno, ogniecie,
Stroją się drzewa w zielone liście.
Lecą bociany, gile, słowiki,
Wszędzie jest pełno żywej muzyki.
Szary skowronek wzbił się w obłoki,

Dzwoni jak dzwonek z wieży wysokiej.

Dzieci radosne wybiegły z chatki

Przywitać wiosnę i zbierać kwiatki”.

Państwo Ortyńscy dochowali się czworo dzieci. A Piotr pełnił funkcję kierownika bobrowskiej szkoły do końca sierpnia 1940 roku. Prawdopodobnie tuż przed wojną wywiózł z Bobrowej swoją rodzinę, ale w 1949 roku wszyscy zostali zesłani do sowieckich łagrów na Syberię.

Dzieciaki biegające do przedwojennej szkoły w wiosce mojego dzieciństwa były najczęściej biedne, ale ich rodzice doceniali szansę kształcenia swych pociec, choć sami niekiedy byli analfabetami, podpisującymi się krzyżykiem, lub z trudem stawiającymi kulfoniaste litery.

W prostych, szkolnych ławkach zasiadały różnego autoramentu obdartusy w szorstkich swetrach – najczęściej w kolorach „wymiotnych” – wydzierganych przez babcie na drutach, w kurtczynach po starszym rodzeństwie, w przykrótkich porciętach z dziurami na kolanach, bo mamy nie mogły nadążyć z cerowaniem, a także dziewczynki z mysimi warkoczykami przewiazanymi jakąś tasiemką, w perkalowych sukienkach uszytych niezdarnie przez domorośłe krawcowe i w sweterkach „ulymanionych” z resztek wełny. Nie zawsze starczyło na zakup butów; wtedy ukrywało się pod ławką brudne pięty i gołe łydki pełne zadrapań, różnego rodzaju strupków i krost. Również w naszej – tużpowojennej szkole – zewsząd dobywał się zapach biedy, choć mamy starały się, byśmy chodzili czysti i domyci, szorując nas szczotką w wodzie z szarym mydłem. Obowiązkowe chusteczki nosiło się w kieszeni; do wycierania nosa zazwyczaj wystarczał – zawsze będący na podorędziu – rękaw swetra. Choć całą tę „halastre” trudno było zdyscyplinować, to dzieciaki starały się nauczyć jak najwięcej. Wszyscy znali przysłowie: „Czego się Jaś nie nauczy, tego Jan nie będzie umiał” i to drugie: „Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci”.

Szkoła była dla dzieci nie tylko placówką oświatową. Była ośrodkiem kultury i dobrego wychowania, miejscem realizacji marzeń i drogą do wyrwania się w świat.

Mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa byli zawsze ambitni, dążyli do wiedzy, do wybicia się, nawet gdy to wymagało wielu poświęceń i wyrzeczeń. Po skończeniu sześciu klas tzw. III-klasowej, przedwojennej szkoły [do starszych klas chodzono po dwa lata], niektórzy – zdolni i ambitni – kontynuowali naukę w szkołach dębickich, pokonując prawie dziesięciokilometrową odległość pieszo, czasem na rowerze, lub mieszkając na stacji czy u krewnych. Uczęszczali wtedy 4 lata do gimnazjum, a potem – by zdobyć maturę – 3 lata do liceum, lub kończyli jakąś szkołę zawodową. W wielu rodzinach podejmowano decyzję, żeby choć jedno dziecko – najczęściej syna – posłać do szkoły średniej i umożliwić mu zdobycie wykształcenia.

Wielu młodych ludzi – korzystając z szansy, jaką dawały powstające w ramach COP-u zakłady przemysłowe – podejmowało pracę zawodową w Dębicy, w Mielcu, w Pustkowie, tam kontynuując naukę na różnych kursach i zajmując coraz wyższe stanowiska.

Tuż po wojnie naukę w dębickich szkołach rozpoczęło kolejne pokolenie bobrowian. Najbardziej popularny był „mechanik”; ale też uczęszczano do szkoły handlowej czy ogólnokształcącej [Antoni Baran, Aleksander i Eugeniusz Bacher, Czesław i Leopold Harla, Eugeniusz i Jan Skowron, Eugeniusz Kucharski, Stanisław Bielawa, Emil Lipa, Maria Piękoś, Antonina Piękoś, Klara Koziara i wielu, wielu innych].

Bobrowianin Antoni Baran wspomina:

„Ostatnie dni sierpnia 1949 roku. Deszcz leje jak z cebra. Ścieżką wzdłuż Wisłoki maszeruję z Bobrowej do Dębicy na egzamin do Prywatnego Miejskiego Koedukacyjnego Liceum Administracyjnego. Bose stopy ślizgają się na glinie. Dopiero tuż przed miastem, na drewnianym jeszcze wówczas moście, myję nogi i wkładam buty. Egzamin wstępny obejmował język polski i matematykę pisemnie i ustnie oraz geografię ustnie. Po kilku dniach znalazłem się na liście przyjętych do szkoły [...]. Nowo przyjęci, szczególnie ci spoza miasta, trochę się obawiali nowej szkoły i nowego środowiska [...] Podtrzymywała mnie na duchu siostra, która wcześniej była uczennicą tej szkoły. Zresztą nie byłem sam z Bobrowej. Z mojej siódmej klasy było nas tu kilkoro. [...] Od września do listopada chodziłem codziennie do Dębicy pieszo [na skróty i wzdłuż Wisłoki, około 10 km] lub dojeżdżałem na rowerze [drogą ok. 15 km]. Potem rodzice załatwili mi tzw. stancję”⁴⁴.

Wielu absolwentów szkół ponadpodstawowych podejmowało studia – często zaoczne – i uzyskiwało tytuły inżynierów i magistrów. Pełnili potem ważne funkcje w gospodarce, kulturze, polityce, wojskowości i innych dziedzinach życia.

Wielu „bobrowiaków” wyjeżdżało do pracy w różne regiony naszego kraju, by tam kontynuować swoją karierę: do Nowej Huty, na Śląsk, do Wrocławia, Gdyni, Warszawy. Wracali na wakacje. Zdejmowali swoje miejskie ubiory czy mundury i szli w pole pomagać przy żniwach czy w innej pracy.

Mikołajkowy bohater – Staszek Cień, który został kapitanem żeglugi wielkiej, spotkawszy Lina w sklepie mówi: „W dzień chodzę w portkach ojca, dzieci całej wsi mają uciechę [...]. Pamiętasz, jak to zawsze szyli nam albo kupowali na wyrost”⁴⁵.

Zawsze z szacunkiem i sentymentem wspominali nauczycieli i księży, którzy uczyli ich w bobrowskiej szkole: Zygmunta Babczyna, Piotra Ortyńskiego, jego następcę Romana Chotyniewskiego, Jęczalika, czy Bronisława Zielińskiego, który przybył do wioski mojego dzieciństwa w kwietniu 1945

roku i pozostał tu aż do emerytury. Religii uczyli: ksiądz Błażej Potoczek, ksiądz Leon Pyzikiewicz, a następnie ksiądz Józef Fijał i Józef Majchrowicz.

Miło wspominali też bobrowskie nauczycielki: Józefę Jesionkównę, Marię Romańską, Jadwigę Kazanowską czy Joannę Zielińską.

W czasie wojny budynek szkoły został częściowo zniszczony. Bobrowianie szybko podjęli decyzję i „po powrocie z wysiedlenia, w lutym 1945 roku cała ludność gromady przystąpiła do remontu budynku szkolnego. Z desek uzyskanych z rozbiórki baraku wykonano 32 ławki szkolne, podstemplowano powałę w sali szkolnej, wprawiono okna, drzwi, postawiono piec kuchenny”⁴⁶. „Mimo to warunki panujące w szkole ciągle były nie najlepsze. Na budynku nie było rynien, w efekcie deszczówka spływała po ścianach, a w szkole panowała wilgoć”⁴⁷. Ale już w jesieni tego roku odbudowano komin i naprawiono dach. Budynek był mały, więc pomieściły się tu tylko klasy młodsze – od I do IV.

„W roku szkolnym 1945/46 na cele szkolne przejęto też budynek stanowiący własność Józefa Sehna”⁴⁸, który był oddalony od głównej szkoły o około 2 kilometry. Wszyscy oczywiście – i nauczyciele, i uczniowie – przemierzali je pieszo. Początkowo wyremontowano jedną salę, a w 1949 roku następną. Tu uczyły się klasy od V do VII, choć jeszcze długo niektóre pomieszczenia „Zenówki” były zawałone gruzem.

Dzieci było dużo. W roku szkolnym 1946/47 „z oferty edukacyjnej korzystało 253 uczniów”⁴⁹. Uporządkowano i uzupełniono zniszczoną dokumentację, wykonano brakujące sprzęty, na ścianie powieszono tablicę i krzyż. System powojennej polskiej szkoły oparto na wzorach radzieckich, wpisując nowe treści programowe – zwłaszcza z historii – i drukując nowe podręczniki. W 1948 roku zlikwidowano gimnazja, a wprowadzono klasy podstawowe: I-VIII i licealne: IX-XI. Cały program oparto na marksistowsko-leninowskich podstawach. Jednak nauczyciele starali się wpajać dzieciom przede wszystkim wartości uniwersalne, zanurzone w wierze i tradycji.

W latach 50-tych, gdy kierownikiem w bobrowskiej szkole był Bronisław Zieliński, pracowało tam wielu świetnych pedagogów: Joanna Zielińska – żona kierownika szkoły, Zbigniew Babczyn, Stanisława Baran, Zdzisław Białorucki, Maria Brettschneider, Irena Buch, Stanisław Cichowski, Stanisława Czaja, Zdzisław Drechny, Franciszek Głaz, Stanisława Jeleń, Stanisława Kizior, Stanisława Kubik, Zofia Kucharska, Kazimiera Lis, Czesława Longosz, Eleonora Łuczycza, Maria Muniok, Maria Nowak, Czesława Ostrowska, Władysława Pietras, Maria Sum, Stanisława Szewc, Maria Szędzioł, Stanisława Wójtowicz.

My, urodzeni w 1945 roku „z tużpowojennych doniczek”, zaczynaliśmy edukację w 1952 roku; w czasach ponurych i trudnych dla całej Polski. Ale nasza szkoła była przyjazna dzieciom, choć nas – pierwszaków starsi koledzy nazywali pogardliwie „štubokamy”.

Chętnie zasiadaliśmy codziennie w wygodnych ławkach, zaopatrzonych w otwory na kałamarze, wypełnione atramentem, otwieraliśmy nasze elementarze napisane przez Mariana Falskiego i szesnastokartkowe zeszyty, na okładkach których były wypisane różne hasła, zilustrowane odpowiednimi rysunkami: „Zbieraj złom”, „Wszyscy budujemy naszą stolicę”, „Niech żyje nam górniczy stan!” itp. Na okładkach kratkowanych zeszytów do matematyki była wydrukowana tabliczka mnożenia, którą mozolnie wbijaliśmy sobie w pamięć.

Wdychaliśmy bez skargi ostre zapachy napuszczonej jakimś środkiem dezynfekcyjnym, brązowej podłogi i spoglądaliśmy z uwagą na tablicę, na której nauczycielka pani Czesława Ostrowska, a potem pani Joanna Zielińska, którą nazywaliśmy „paniom kierownicom” – pisała różne litery, wyrazy i zdania.

Światem rządziła jesień, przez okna sączyło się coraz mniej słonecznego światła, mijały kolejne dni, a w dzienniku przybывało ocen; nie zawsze najlepszych. Zaczęto palić w kaflowych piecach. Okien – jasnych i dużych – prawie nie otwierano, bo żal było uciekającego ciepła. Na dodatek szyby w naszej klasie przesłonięte były częściowo – wykonanymi przez „paniom kierownicze” – wycinankami z białego papieru, bo ciągle spoglądaliśmy za okno na podwórze, ogrodzone nową siatką, którą ufundował Komitet Rodzicielski Szkoły, gdzie działy się rzeczy naprawdę interesujące. A to ksiądz Józef Majchrowicz – zdążający na lekcje rowerem – nie dostrzegł rozciągniętego wzdłuż furtki drutu i z całym pędem wjechał na tę niespodziewaną przeszkodę, upadając boleśnie, a to zerwał się z łańcucha olbrzymi, groźny buhaj, hodowany w przyszkolnej oborze i z szaleństwem w ślepiach taranował wszystko po drodze, a to wpadał niemniej rozwścieczony sąsiad, by wygrażać donośnie „gówniorzom”, zakradającym się na jabłka w sadzie, a to Stefcia – siostra pani Zielińskiej wodziła za sobą czereď swoich kotków, wołając je po imieniu; z charakterystycznym, wschodnim zaśpiewem.

Pani klaskała w dłonie, by przywołać nas do porządku, a ze ścian spoglądali na nas groźnie – umieszczeni na czarno-białych portretach – przedstawiciele najwyższych władz i inni dostojnicy PRL-u: Bierut, Rokossowski, Cyrankiewicz, Nowotko, Świerczewski.

Czekaliśmy zawsze chwili, gdy nasza pani – spoglądając na ręczny zegarek, który wydawał nam się czymś niezwykle cennym i pięknym – brała do ręki wielki dzwonek z drewnianym uchwytem i uchylając drzwi potrząsała nim energicznie, a donośny dźwięk obwieszczał upragnioną przerwę. Wybiegaliśmy na podwórze wraz z dzieciakami z sąsiedniej klasy, by urządzać szalone gonitwy, różne zabawy, a nawet bijatyki. O naszych psotach nie mówiliśmy w domu, bo obowiązywała zasada: „Choćby cię smażyli w smole, nie mów, co się dzieje w szkole”.

Nie istniały sale gimnastyczne czy szkolne boiska sportowe, ale całe przerwy byliśmy w ruchu: graliśmy w różne gry, rzucaliśmy szmaciankami, chłopcy bawili się w wojnę „strzelając” z patyków i popisywali się różnymi sztuczками. Rzucali też o ścianę monetą, celując w drugą – położoną w pewnej odległości na ziemi. Niektórzy byli prawdziwymi mistrzami i w ciągu przerwy bogacili się o niemały stosik „blaszoków”. Rywalizowali też o pierwszeństwo w precyzyjnym celowaniu nożem. Te ich noże miały różne barwne nazwy: „kozik”, „cyganek”, „cyzoryk”, „kuśka”. Starsi nosili nawet niekiedy niebezpieczne noże sprężynowe, zakazane przez nauczycieli. Chowali się gdzieś w kącie rozległego szkolnego podwórza i tam – otoczeni wianuszkami ciekawskich kolegów – rozpoczynali rywalizację. Kładli swą lewą dłoń na jakiejś desce rozcapierzając palce i nożem trzymanym w prawej dłoni jak najszybciej uderzali między kolejne palce.

Patrzyliśmy z przerażeniem, w jak zastraszającym tempie migał nóż, a także na ślady krwi, gdy ostrze trafiało w rękę. Zdarzało się to rzadko, a skaleczony chłopiec udawał, że nic go nie boli, natomiast cierpiał gorycz porażki, bo wtedy odpadał z gry. Gracze wykonywali też nożem różne ewolucje przykładając, a to do dłoni, a to do łokci, a to do czoła zimne, stalowe ostrze, by nagle wypchnąć nóż tak, że ten – wykonując w powietrzu efektowną woltę – wbijał się w ziemię.

Czasem dochodziło do sporów i mocowań; delikwenci przewracali się na ziemię, turlali szarpiąc za włosy i ubranie, bijąc pięściami, kopiąc i drapiąc przeciwnika, a cała „halastra” dzieciaków otaczała ich kołem i zagrzewała do walki. Dźwięk dzwonka natychmiast kończył wszelkie spory. Wszyscy karnie, całkowicie pogodzeni, wracali do klasy.

Dziewczyny na przerwach wyciągały przygotowane małe, przeźroczystobiałe kamyczki i grały w „strulki”, sprytnie podrzucając i łapiąc po kilka z nich według ustalonych zasad, rysowały kredą specjalne znaki, by grać „w klasy”, lub skakały na skakankach zrobionych ze sznurka. Nie braliśmy do szkoły żadnego śniadania, najwyżej jakieś jabłko, gruszkę czy parę śliwek, którymi dzieliliśmy się z kolegami.

Biegaliśmy też do ubikacji, które oczywiście były bardzo prymitywne; ot, zwyczajne latryny z pustaków schowane w krzakach na obrzeżach szkolnego podwórza, wciąż dezynfekowane śmierdzącym lizolem. Ale nie wyobrażaliśmy sobie innych i wiosną, jesienią czy zimą udawaliśmy się tam w nagłej potrzebie. Czasem też zakradaliśmy się pod okna maleńkiej chatynki tuż za szkołą, w której mieszkała tajemnicza, samotna, starsza kobieta, którą nazywano „Karolcią”. Zawsze milcząca, dziwacznie ubrana, nie kontaktująca się z nikim, obrażona na sąsiadów, przepędzająca kijem zaczepiających ją chłopaków, sama gospodarzyła i uprawiała nędzny kawałek pola. Pewnego razu podczas kopania ziemniaków uszkodziła motyką gniazdo os, które rzuciły

się na nas wywołując popłoch i zmuszając do panicznej ucieczki. Najbardziej ucierpiała nasza koleżanka Marynia, której kilka wściekłych os wplątało się we włosy uplecione w warkocze, żądłąc boleśnie. Jej krzyk wywołał na podwórko nauczycielki, które przybiegły z pomocą i – z reprimendą. Niestety, zawsze miłej, pogodnej Maryni nie ma już wśród nas.

Okres uczęszczania do szkoły był dla nas bardzo ważnym etapem w życiu; czasem kształtowania charakterów i zasad postępowania, rozwijania zainteresowań i ambicji, zdobywania wiedzy i doświadczeń życiowych, zawiązywania się przyjaźni i odkrywania talentów. Była też miejscem, gdzie nauczyliśmy się dyscypliny, odwagi, wytrwałości i walki o swoje. Słabych, maminsynków, bekisy czy skarżypyty wyśmiewano i gardzono nimi.

Nauczyciele, wykształceni w przedwojennych szkołach, prezentujący wysoki poziom nauczania rozbudzali w nas zamiłowanie do wiedzy i do czytelnictwa. Dlatego, mimo biedy, w wiosce mego dzieciństwa w wielu domach można było spotkać książki; i to nie tylko podręczniki, których często brakowało w księgarni, ale beletrystykę i książeczki dla dzieci. Jednak nie mieliśmy ich zbyt wiele, a dorośli raczej prenumerowali czasopisma.

Tradycja czytania czasopism była w Bobrowej długa. Jeszcze za czasów austriackich Stanisław Węgrzyn prenumerował gazetę „Przyjaciół Ludu” – pierwsze na ziemiach polskich pismo ruchu ludowego, wychodzące we Lwowie, a potem w Krakowie. W okresie dwudziestolecia bobrowianie kupowali gazety sprzedawane pod kościołem po Mszy. Były to: tygodnik warszawskich pozytywistów – „Prawda”, „Lud Katolicki”, czy „Mały Dziennik”. Po wojnie czytelnictwo prasy w wiosce mego dzieciństwa bardzo się rozpowszechniło. Zaprenumerowane gazety przynosił do domów listonosz. Najpopularniejszymi z nich były: „Gromada. Rolnik Polski” – codzienna gazeta dla mieszkańców wsi, wychodząca od 1948 roku i „Przyjaciółka” – tygodnik dla kobiet, nawiązujący do przedwojennego pisma „Moja Przyjaciółka” – też wychodzący od 1948 roku, a dla dzieci pisemko „Świerszczyk”.

Pierwszy numer „Świerszczyka”, którego tytuł wymyśliła znana wszystkim dzieciom pisarka Ewa Szelburg-Zarębina, został wydany przez redakcję „Czytelnika” już w maju 1945 roku.

Pisemko to towarzyszyło nam przez całe nasze dzieciństwo. Początkowo mama wypożyczała je nam od sąsiadki „Prucnalki”, która kupowała je dla swego syna Zbyszka, a później prenumerowaliśmy je i gromadziliśmy przez kilka lat. Do jego lektury zachęcała nasza nauczycielka Joanna Zielińska, która organizowała prenumeratę „Świerszczyka” w szkole. Było to pisemko naprawdę udane. W sposób atrakcyjny przekazywało wiedzę o świecie, dostarczało rozrywki, uczyło patriotyzmu, wychowywało, zachęcało do czytania. Autorzy unikali zbytniego ideologizowania i moralizowania.

Było tam dużo wierszyków, bajek, ciekawych historyjek i kolorowych ilustracji [choć niektóre strony były czarno-białe]. Czytaliśmy każdy „Świerszyk” od deski do deski i to wielokrotnie, a pani Zielińska wykorzystywała na lekcjach i uroczystościach szkolnych zamieszczane tam wierszyki i czytanki. Dla starszych dzieci wydawano „Płomyczek” i „Płomyc”. Później, od 1957 roku zaczęła się ukazywać – przeznaczona dla dziewcząt – typowo młodzieżowa „Filipinka”.

Gazeta „Gromada. Rolnik Polski” nie tylko zawierała najnowsze wiadomości polityczne i gospodarcze, ale też informacje ze świata, kącik humoru czy porady dla rolników, a w późniejszym czasie również program radiowy. Ale prasa ówczesna była przede wszystkim narzędziem propagandy. Oto przykład:

W numerze z 26 maja 1955 roku ukazał się artykuł o Konferencji Warszawskiej zorganizowanej w stolicy po podpisaniu Układu o utworzeniu Zjednoczonego Dowództwa Sił Zbrojnych Polski i ZSRR. Pod nim redakcja umieściła list czytelnika z Bolesławowa pt. „Byłem na wiecu w Warszawie” pełen podziwu i entuzjazmu dla tych, którzy uczestniczyli w wiecu sławiącym pokój i przyjaźń między socjalistycznymi narodami. Tekst ten – napisany pompaduczym, sztucznym, propagandowym stylem, nijak nie przypominał stylu prostego człowieka – kończył się zdaniem: „Moje myśli zlewały się z myślami i uczuciami tysięcy warszawiaków [...]; całkowicie popieram uchwały [...] i dumny jestem z tych historycznych chwil”⁵⁰.

Prenumeratorzy „Gromady” z wioski mojego dzieciństwa z wielkim dystansem odnosili się do takich tekstów, nawet je wyśmiewali; jednak gazeta – mimo tego – cieszyła się dużą popularnością. Od 1948 roku zaczęła też wychodzić „Trybuna Ludu” – propagandowy organ PZPR, ale ta nie znalazła akceptacji wśród rolników. Tytuły artykułów czy rysunkowe karykatury straszyły nową wojną, przedstawiały kapitalistów jako źródło wszelkiego zła, wyzysku i nędzy, równocześnie przeciwstawiając im budujących świetlaną przyszłość proletariackich przywódców, wzywających do walki o pokój i socjalizm.

Magdalena Tulli pisała: „Gazety codzienne zaczęły straszyć falą uderzeniową bomb atomowych, zdolną w mgnieniu oka zmieść świeżo wybudowane domy i mosty. Role były rozdane: my cierpliwie budowaliśmy, tamci chcieli nam wszystko zburzyć i nikt nie tłumaczył dlaczego. Na swoje usługi nieprzyjaciół miał trzy czwarte świata i pół Europy. Nasz kraj znalazł się w tej drugiej połowie. Klamka zapadła, nie było ucieczki. Ścigano każdego, kto zgrzeszył nadmiarem nadziei, że coś się jeszcze zmieni. Nadzieja była, owszem zalecana, ale nie taka. Należało żywić nadzieję, że nic się nigdy nie zmieni [...]. I nie wolno było oczekiwać zbyt wiele. W tamtym czasie słówko „trzeba” królowało w szkole, w wojsku i na porodówce. Brzmiało nagłąco i kategorycznie”⁵¹.

Kobiety wybierały „Przyjaciółkę” – początkowo z czarno-białymi jeszcze zdjęciami – bo tam mogły poczytać o aktorkach, o nowych filmach, modzie,

urodzie, zdrowiu, czy o różnych historiach z życia wziętych. Na odwrocie okładki – zazwyczaj prezentującej pięknych, młodych Polaków; oczywiście nowoczesnych i zaangażowanych, jak np. młodziutka, szczęśliwa traktorzystka, kołchoźnica niosąca snop zboża, dziarski chłopak z ZMP czy uśmiechnięci murarze – znajdowały się zdjęcia i informacje o najnowszych premierach filmowych, o życiu gwiazd i o różnych wydarzeniach kulturalnych na świecie. Tam nasze mamy czytały np. o wznowieniu wyświetlania „Zakazanych piosenek” w reżyserii Leonarda Buczkowskiego ze świetnymi kreacjami filmowymi: Danuty Szaflarskiej, Aliny Janowskiej, Jana Świderskiego i Jerzego Duszyńskiego, które miały premierę w styczniu 1947 roku, ale wkrótce zostały zdjęte z ekranu, by po pewnych przeróbkach ideologicznych znów być pokazywane w kinach. Można było w tym pięknym filmie usłyszeć popularne w czasie wojny i po wyzwoleniu piosenki: „Rozszumiały się wierzby płaczące”, „Siekiera, motyka, piłka, alas”, „Serce w plecaku” i inne. Reklamowano na łamach „Przyjaciółki” film „Skarb” tegoż reżysera z 1948 roku, czy „Przygodę na Mariensztacie” z Lidią Korsakówną i Tadeuszem Schmidtem, z którego to filmu pochodziła piosenka: „Jak przygoda to tylko w Warszawie”, która zdobyła wkrótce wielką popularność.

Te zdjęcia i informacje prezentowane w „Przyjaciółce” były namiastką wielkiego świata, o którym czasem można było chociaż pomarzyć. To tam w 1949 roku można było też przeczytać, że właśnie wyprodukowano film „Żebro Adama” ze słynną amerykańską parą: Spencerem Tracy i Katheriną Hepburn, którzy byli małżeństwem, a ich związek był niezwykle barwny, burzliwy i obfitujący w skandale. W 1953 roku gazeta informowała o premierze filmu „Fanfan Tulipan” z przystojniakiem Gerardem Philipe`m, który nie tylko odniósł spektakularny sukces, ale wprowadził męską modę na fryzury „na bikiniarza” z tzw. „kaczym dziobem”. Wkrótce taka fryzura zrobiła furorę wśród młodzieży buntującej się przeciw krótkim, gładko zaczesanym włosom chłopaków z propagandowej organizacji ZMP. W 1956 roku informowano o nowych – do dziś słynnych filmach: „Dwunastu gniewnych ludzi” z Henrym Fondą, „I Bóg stworzył kobietę” z Brigidte Bardot, czy „Gilda” z Ritą Hayworth. Nie mając możliwości obejrzenia żadnych z tych dzieł filmowych, czy wzięcia udziału w jakichś ważnych imprezach kulturalnych, kobiety w wiosce mojego dzieciństwa – dzięki „Przyjaciółce” – miały szansę poznać wybitnych aktorów, piosenkarzy czy ludzi sztuki.

Na kartach tego czasopisma pojawiały się zdjęcia i życiorysy takich gwiazd, jak Doris Day, Anita Ekberg, Marina Vlady, Audery Hepburn, Jan Kiepura, Edith Piaff czy Marylin Monroe. To w tej gazecie można było też obejrzeć zdjęcia nowozelandzkiego pszczelarza Eduarda Hillarego i nepalskiego przewodnika – Szerpę Tenzinga Norgaya, którzy w maju 1955 roku zdobyli najwyższy szczyt Himalajów Mont Everest – nazwany „dachem świata”, a liczący aż 8848

metrów wysokości, tu czytało się też o sukcesie pierwszego filmu Andrzeja Wajdy „Kanał”, który w 1957 roku zdobył nagrodę w międzynarodowym konkursie filmowym w Cannes, o nowych piosenkach światowych gwiazd: Ivesa Montanda, Edith Piaff, Franka Sinatry, które później rozbrzmiewały w naszych radiach. Próbowaliśmy potem nieudolnie naśladować piosenkarzy, podśpiewując a to melodię przeboju Marylin: „Moje serce należy do tatusia”, a to dramatyczne piosenki Piaff: „Nie, nie żal mi”, „Milord” itp.

„Przyjaciółka” zawierała też oczywiście zaangażowane treści polityczne, ale więcej było artykułów obyczajowych, ciekawostek, praktycznych porad dotyczących prowadzenia domu, przeróbek odzieży, załatwiania różnych trudnych spraw.

Przez kilka lat drukowano dowcipną historyjkę obrazkową o Apolonii Bywalec – przebojowej kobiecie, która demaskowała różne zaniedbania producentów; np. rozklejające się meble czy buble sprzedawane w sklepach, krytykowała biurokrację urzędników, ośmieszała bumelantów, nieuków, zacofańców, złodziei.

„Przyjaciółka” przybliżała zasady higieny, pouczając np. że „powinno się po każdym jedzeniu płukać usta ciepłą wodą z dodatkiem soli i czyścić sproszkowaną kredą”⁵². Drukowała też dokładne przepisy, jak np. zrobić czapkę, jak uszyć fartuszek, jak zamarynować grzyby czy przygotować domowy syrop na kaszel. Nie było w niej ani w innych czasopismach z tamtych lat, tak dziś popularnych reklam zachęających do zakupu różnych rzeczy, bo ciągle odczuwano permanentny brak towarów na rynku. Dopiero później zaczęły się pojawiać jakieś drobne, prymitywne reklamy ogrodowych narzędzi, środków czystości czy ubiorów. Brak było oczywiście w „Przyjaciółce” jakichkolwiek krzyżówek, konkursów, zdrapek czy jakichś gadżetów, ale i tak była ciekawą lekturą na długie, zimowe wieczory. Przez wiele lat w naszym domu były przechowywane roczniki tego czasopisma zmyślnie pozszywane przez ojca.

Dorośli chętnie wieczorami gromadzili się wokół lampy i czytali na głos różne artykuły z gazet lub książki pożyczane od znajomych, a później w bibliotece. Niekiedy kupowali też jakieś ważne dla nich poradniki, książki religijne czy utwory literackie, które niezwykle szanowano i przechowywano przez wiele lat. Do dziś np. zachowało się w naszym domu pierwsze po wojnie wydanie dzieł Adama Mickiewicza. Ludowe państwo postawiło sobie już na początku szczytne cele, mające świadczyć o jego wartości: elektryfikację kraju oraz zlikwidowanie analfabetyzmu i powszechny dostęp do wiedzy. Decyzja o wydaniu dzieł naszego wieszczą w maju 1945 roku, gdy jeszcze trwała wojna, była ważnym wydarzeniem propagandowym. Na odwrocie strony tytułowej widnieje interesujący napis:

„Uchwała powzięta na posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej w dniu 5 maja 1945 w sprawie Narodowego Wydania Dzieł Adama Mickiewicza

Krajowa Rada Narodowa, przejmując nie zrealizowaną inicjatywę Sejmu Ustawodawczego z 1920 roku w sprawie zbiorowego wydania dzieł Adama Mickiewicza, w pełni doceniając wielką rolę twórczej myśli wielkiego poety polskiego i słowiańskiego dla kultury narodowej w Odrodzonej Polsce postanawia pod wysokim Protektoratem Prezydenta Krajowej Rady Narodowej Bolesława Bieruta zrealizować to pomnikowe wydawnictwo pod nazwą

Wydanie Narodowe Dzieł Adama Mickiewicza, aby dostarczyć całemu społeczeństwu autentycznych tekstów poety we wzorowym opracowaniu krytycznym i typograficznym.

Krajowa Rada Narodowa poleca Radzie Ministrów wyznaczyć na ten cel odpowiedni fundusz i przekazać tę uchwałę do wykonania Ministerstwu Kultury i Sztuki"[...]”⁵³.

Wydanie tego dzieła powierzono „Czytelnikowi”. Do księgarń trafiło ono w 1949 roku i było szeroko reklamowane.

Najczęściej jednak książki pożyczano. Przez wiele, wiele lat bibliotekarzem w wiosce mojego dzieciństwa był Bronisław Harla. Jak już wspominałam, Harla był człowiekiem niezwykłym, zawsze aktywnym, zasłużonym w wielu dziedzinach życia wsi. Dla nas, dzieci – był propagatorem i doradcą czytelniczym.

A czytelnictwo w wiosce mojego dzieciństwa rozwijało się od czasów, gdy ksiądz Błażej Potoczek [proboszcz w Nagoszynie w latach 1906-1919] postanowił pożyczać swoje książki chętnym parafianom. W okresie XX-lecia młodzież bobrowska z koła „Znicz” zorganizowała tzw. „ruchomą biblioteczkę”. Książki, które mieściły się w jednej szafce, dostarczano z Dębicy, a wypożyczał je Stanisław Wilczyński. W okresie okupacji książki z własnego – dość bogatego księgozbioru – udostępnił chętnym czytelnikom kierownik szkoły – Jęczalik. Po wyzwoleniu, w 1948 roku punkt biblioteczny uruchomił Bronisław Harla. Księgozbiór – niezbyt duży i niezbyt różnorodny – znajdował się w jego domu. Ale można tam było znaleźć nawet takie dzieła, jak np. „Dziady” Mickiewicza. Dla nas, dzieci – była to lektura zbyt trudna, ale oglądaliśmy z zaciekawieniem zawarte w tej książce ilustracje, które robiły na nas wielkie wrażenie; zwłaszcza ta, przedstawiająca widmo „złego pana”, rozszarpywanego przez żarłoczne ptactwo. Potem dzięki staraniom Harli powstała w Bobrowej Gromadzka Biblioteka Publiczna, którą prowadził aż do 1967 roku. Biblioteka ta otrzymała swój własny lokal i wzbogaciła się o nowe dzieła. Harla dbał o rozwój czytelnictwa, służył radą, ale też pilnował, by nie pożyczać lektur nieodpowiednich dla danego wieku; rozmawiał też z nami o przeczytanych książkach, a nawet sprawdzał, czy zapamiętaliśmy ich treść. Organizował też uroczystości promujące czytelnictwo. Na zakończenie jednej z nich, w czasie której recytowaliśmy różne fragmenty

polskiej poezji, jego córka Celina apelowała do obecnych o taką frekwencję, „by ścieżka do biblioteki była bardziej wydeptana”.

W bobrowskiej bibliotece książki zawsze były starannie ułożone, obłożone szarym papierem, a nawet te stare – starannie poklejone. Było czysto i sympatycznie, a choć księgozbiór był dość ubogi, to Harla cały czas starał się o jego wzbogacanie.

Ciemną kartą powojennego bibliotekarstwa stało się zarządzenie wycofania z księgozbioru wielu utworów; często naprawdę wartościowych, a zastępowanie ich literaturą ideologiczną, niekiedy zupełnie niewykorzystaną, jak np. 55 tomów wszystkich pism Lenina czy dzieł Stalina, m.in. „W sprawie marksizmu w językoznawstwie”. Tę ostatnią książkę głośno reklamowano w prasie, radiu, zorganizowano nawet na jej temat sesję naukową pod patronatem partii i zachęcano do poznawania tego „arcydzieła”.

Bibliotekarz Harla – świetny animator życia kulturalnego w wiosce mojego dzieciństwa – proponował nam wartościowe książki, rozbudzał w nas też chęć do zdobywania wiedzy, do działalności na rzecz środowiska, do zainteresowania poezją. Organizował konkursy recytatorskie, w których chętnie uczestniczyliśmy, kwalifikując się do eliminacji powiatowych i zajmując w nich nieraz czołowe miejsca. Zawsze był jednym z tych, którzy podejmowali różne społeczne inicjatywy. Tak też było, gdy tuż po wojnie podjęto decyzję o wyremontowaniu szkoły czy zorganizowaniu dokształcania dorosłych.

Jednym z najważniejszych zadań nowej władzy była – wymieniana już – likwidacja w Polsce analfabetyzmu. Był to tuż po wojnie duży problem społeczny, ponieważ „z końcem lat 40. liczba analfabetów sięgała u nas półtora miliona, z czego 80% nie umiejących czytać ani pisać mieszkało na wsi”⁵⁴.

Tak było i w naszym regionie. „Przeprowadzona w roku 1949 rejestracja analfabetów w powiecie dębickim wykazała, iż w kwietniu tego roku zamieszkiwało na jego terenie 4 313 osób nie potrafiących czytać i pisać”⁵⁵.

W Bobrowej już w listopadzie 1946 roku zorganizowano kurs dokształcający w zakresie siedmiu klas szkoły podstawowej, zakończony egzaminem. Uczestniczyło w nim 26 osób. Byli tam starsi gospodarze, którzy dotychczas podpisywali się krzyżykiem, i tacy, którzy coś tam „ślabilizowały” z książeczki do modlenia czy z gazety, i młodzi, którzy nie mogli się uczyć w czasie wojny; między innymi niedawni akowcy i inni ludzie podziemia. Wszyscy przynosili za pazuchą wymięte zeszyty i posłusznie pisali literki, uczyli się czytać i odpowiednio zachowywać. W ramach walki z analfabetyzmem wydrukowano nawet specjalny elementarz, gdzie w miejsce dziecięcych historyjek o Celi, co je jajko, czy Ali, która ma Asa były zamieszczane proste teksty dotyczące dorosłych ludzi: zajęć gospodarskich, przyrody, spraw społecznych czy politycznych. Organizowano też takie kursy w zakładach pracy, z których korzystali również mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa.

Władza ludowa chlubiła się z sukcesów na tym polu: „Analfabetyzm jako zjawisko masowe został zlikwidowany – stwierdził w 1951 roku Stefan Matuszewski, Pełnomocnik Rządu do Walki z Analfabetyzmem”⁵⁶.

Obowiązkowym nauczaniem objęto wszystkie dzieci. Nasi rodzice doceniali rolę szkoły, choć niełatwo było znaleźć nawet parę groszy na wydatki związane z nauką. W „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas” czytamy: „Wielu mieszkańców Gminy Żyraków wspomina, że [...] rodziny były biedne, dlatego dzieci do szkoły chodziły boso. Jedynie w niedzielę do kościoła dostawały odświętne strój i buty, które były wyznacznikiem zamożności rodzin. Były dzieci, które z zazdrością patrzyły na obuwie kolegi, kokardę we włosach koleżanki”⁵⁷.

Nasze ubrania – choć byle jakie – zawsze były czyste, a dziury załatane. Dorośli przestrzegali tradycyjnych zasad ubioru: dziewczynki nie mogły nosić spodni, chłopcy ubrań we wzorek; należało też wyglądać skromnie i schludnie. Kpiono np. z odprutej listwy, dziury na łokciu, czy z bluzeczki wystającej spod sweterka. Mówiono wtedy: – Popatrz, sobota ci wyłazi spod niedzieli, lub recytowano wierszyk: „Siedzi Renia [Zosia, Józek] na kasztanie, a coś do niej [do niego] mruga, a to dziura na kolanie, a na łokciu druga”.

Wszyscy czekali niecierpliwie na pierwsze lekcje, z przejęciem przeglądali nowiutkie książki i zeszyty, niepewnie zasiadali w szkolnych ławkach i wpatrywali się w panią nauczycielkę; taką mądrą, uroczystą i elegancką. Pierwszy stres szybko mijał i już wkrótce śpiewaliśmy wesoło piosenkę, której uczyło się każde dziecko w wiosce mojego dzieciństwa:

„Dostał Jacek elementarz,
Ależ mina uśmiechnięta:
Hejże, hej, hejże ha,
Elementarz Jacuś ma!”.

Początkowo zaczynaliśmy lekcje modlitwą do Ducha Świętego, później odmawialiśmy ją tylko przed lekcjami religii. Prosiliśmy: „Duchu Święty, który oświecasz serca i umysły nasze, dodaj nam otuchy i zdolności, aby ta nauka była dla nas pożytkiem doczesnym i wiecznym. Przez Chrystusa Pana Naszego. Amen”. Na końcu ostatniej lekcji modliliśmy się słowami: „Dzięki Ci Boże za światłość tej nauki, którą oświecasz serca i umysły nasze...”

A ze zdolnościami i pilnością bywało różnie. Najbardziej oporni uczniowie za karę musieli siedzieć w ostatniej, czyli w „ośły ławce”, często zostawali po lekcjach, czyli „w kozie”, wielu też powtarzało klasę; zdarzało się, że nawet parokrotnie tę samą. Niektórzy – jak mówiono – ledwie przełazili z klasy do klasy i czasem nawet pod koniec edukacji nie potrafili płynnie pisać i czytać; cieszyli się jednak, że – ze względu na wiek – kończy się ich obowiązek szkolny. Ci jednak najczęściej pracowali już jak dorośli w swych gospodarstwach i uznawali swą edukację za wystarczającą. Bardzo wielu

jednak rodziców pilnowało swoich dzieci, by uczyły się jak najlepiej i po skończeniu podstawówki mogły się dalej kształcić.

W pierwszej klasie uczyliśmy się z „Elementarza” Mariana Falskiego, że Ola ma kota, Brońcia ma prążkowe pończochy, a babcia cerująca skarpety ma słaby wzrok więc wnuczka musi jej pomóc, bo „igiełki są takie cienkie”. Czytaliśmy bajkę „O kotku i kogutku”, uczyliśmy się na pamięć, że „płynie, wije się rzeczka jak błyszcząca wstążeczka”, że „dla dobra wspólnego wszyscy muszą pracować” i o wielu innych, ciekawych sprawach. Czasem szliśmy parami na wycieczkę, by nazbierać kolorowych liści, polnych kwiatków czy kasztanów i „dąbków”. Potem robiliśmy śmieszne ludziki i zwierzaki, które „zdobiły” parapety naszej klasy.

Pewnego razu mieliśmy narysować, jak – według nas – będzie wyglądało życie za 50 lat, ale nasze obrazki były naiwne i śmieszne; nikt nie potrafił sobie wyobrazić, jak gwałtownie i niewyobrażalnie zmieni się wkrótce świat wokół nas.

Pisaliśmy początkowo ołówkiem, a potem – za specjalnym pozwoleniem nauczycielki – piórem zaopatrzonym w stalówkę, którą maczaliśmy w kałamarzu napełnionym atramentem. Tylko ksiądz i nauczyciele mieli wieczne pióra przechowywane w specjalnych pudełeczkach wyściełanych miękką irchą; czarne, z ozdobnymi skuwkami i srebrnymi stalówkami, piszącymi gładko i cieniutko.

Nasze pióra, przechowywane wraz z ołówkiem i gumką w drewnianych piórnikach, wkrótce miały poobgryzane obsadki i „rozkracone” noski stalówek, a na naszych palcach i w zeszytach z koślawymi literami pełno było atramentowych plam, które przyciskaliśmy bibułą, wchłaniającą nadmiar atramentu.

Bibuły często się gubiły, lub uczniowie zabierali sobie nawzajem te cenne „pomoce naukowe”, więc pisaliśmy na nich: „Kto bibułę buchnie, temu łapa spuchnie”, co oczywiście w ogóle nie działało, a w zeszytach rozkwitały kolejne kleksy.

Zeszyty były zrobione z brudnożółtawego papieru klasy V „z odzysku”; najczęściej wkrótce miały pozaginane „ośle rogi”, a kartki poplamione, powycierane gumką-myszką, pomiętoszone i brudne. Nosiliśmy je w drewnianych tornistrach, w starych, skórzanych teczkach, zapinanych na paski ze sprzączkami albo tylko obwiązane ciasno rzemykiem. Były jednak dla nas cenne i ważne, bo codziennie wypełniane nowymi literkami i wyrazami, a także uwagami i ocenami wpisywanymi przez panią nauczycielkę czerwonym atramentem.

Czasem oprawialiśmy książki i te zeszyty w szary papier „pakowy”, choć lubiliśmy oglądać rysunki zamieszczane na ich okładkach.

Liczyć uczyliśmy się na patyczkach oraz rozwiązując niezliczoną ilość „słupków” z różnymi działaniami: dodawaniem, odejmowaniem, mnożeniem i dzieleniem. Całe matematyczne podręczniki do początkowych klas były wypełnione tymi słupkami. Patyczki zaś były naszą podstawową pomo-

cią naukową. Czasem zamiast nich wykorzystywaliśmy zapałki, którym obcinaliśmy łepki, bo pani uważała, że są wtedy bezpieczniejsze. Ale najczęściej przycinaliśmy równo drobne patyczki i składaliśmy je po dziesięć obwiązując kawałkami włóczki lub gumką uciętą ze „szlaufa”, czyli starej, dziurawej dętki rowerowej. Zapałek używaliśmy też do robienia różnych kasztanowych ludzików, a obrazki na wieczku tworzyły nasze nędzne filumenistyczne kolekcje. Rzadko zdarzał się na zapałczanym pudełku jakiś kolorowy, ciekawy obrazek. Zazwyczaj „zdobiły” je portrety dostojników państwowych: Świerczewskiego, Rokossowskiego, Bieruta, Dzierżyńskiego.

W klasie było duże, stojące na podłodze liczydło; piękne, z kolorowymi drewnianymi kulkami nadzianymi na druty, ale mogli go używać tylko uczniowie odpowiadający przy tablicy. Własnych liczydeł nie mieliśmy, tylko te patyczki, które ciągle się rozwiązywały i gubiły, no i nie grzeszyły urodą.

Pani nauczycielka miała jeszcze jedną, „wielofunkcyjną” pomoc naukową – długą, drewnianą linijkę do rysowania równiutkich kresek na tablicy, pokazywania różnych miejsc na wielkiej, kolorowej – choć mocno już sfałtgowanej – mapie Polski [która zwinięta w rulon spoczywała najczęściej w kącie za szafą], a czasem – do straszenia niesfornych uczniów. Ale pani Joanna Zielińska nie stosowała kar cielesnych; potrafiła utrzymać dyscyplinę i interesująco prowadzić lekcje. Ciekawie opowiadała o otaczającym nas świecie; uczyła nas dostrzegać uroki przyrody, kochać rośliny, zwierzęta, ludzi, naszą wieś i ojczyznę.

Różni byli bohaterowie jej opowiadań: a to kotek, który wypatrzył na zarosniętej wysoką trawą łące nakrapiane jajka, a to bezdomny piesek, którego przygarnął wyśmiewany przez wszystkich obszarpaniec, czy znaleziony przez dzieci ptaszek, na którego nóżce lśniła metalowa obrączka. Te historie zawsze były okazją, by nas nauczyć szanować przyrodę, poznawać ciekawych ludzi, właściwie się zachowywać. Czasem też pani „kierownicka” czytała nam piękne baśnie: o Koniku Garbusku, o Żar-Ptaku, czy „O carze Sałtanie, o jego synu, sławnym i potężnym bohaterze księciu Gwidonie Sałtanowiczu i o pięknej księżniczce Łabędzicy” – przenoszące nas w świat fantazji i marzeń. Pożyczaliśmy też książki do domu ze skromniutkiej szkolnej biblioteczki, mieszczącej się w jednej szafie; m.in. opowieść radzieckiego pisarza Anatolija Gajdara „Czuk i Hek”, którą potem opowiadaliśmy na lekcjach.

Najważniejszą pomocą naukową, którą wykorzystywała w codziennej pracy była oczywiście kreda. Pani pilnowała jej, bo czasem podkradaliśmy trochę, by narysować na ścieżce kwadraty do zabawy w klasy, lub tak – dla żartu.

Gdy kreda wypisała się do końca, pani szła po nową do swojego mieszkania, nakazując nam siedzieć grzecznie i cichutko. Ale chłopaki zaraz zaczęli rozrabiać i dokuczać dziewczynom, więc skarżyliśmy na nich, za co znowu nam dokuczali, choć – prawdę mówiąc – nie było to dla nas bardzo

niemiłe. Był to bowiem taki pewien rodzaj gry, która wkrótce zmieniła się w sympatyzowanie i kumplowanie wszystkich, bez względu na płeć. Szczególnie w czasie uczęszczania na „Zenówkę” stanowiliśmy zgraną, fajną grupę dzieciaków, a nasze przyjaźnie przetrwały przez lata.

Pani Zielińska była osobą elegancką, dystyngowaną, poważną, dbającą o powierzone jej opiece dzieciaki i o swoich bliskich. Mieszkała wraz z mamą, niezamężną siostrą i mężem Bronisławem, który był kierownikiem szkoły – w budynku szkolnym. Zawsze przychodziła do klasy w niebieskim, błyszczącym chałacie z białym, koronkowym kołnierzykiem i w sztywno wykrochmalonej wełnianej chustce na głowie, spod której wystawało troszkę włosów ułożonych na skroniach w staranne fale i przypiętych wielkimi wsuwkami do brzegów chustki.

Państwo Zielińscy zachowywali dystans wobec mieszkańców wioski mojego dzieciństwa. Opowiadano, że tuż po zamieszkaniu w Bobrowej wzięli udział w jakimś wiejskim weselu i wtedy wszyscy zaczęli przepijać do nowego kierownika szkoły, który niezbyt się wzbraniał. Wtedy pani „kierownicka” energicznie wkroczyła do akcji, zabierając męża do domu. Podobno miała wtedy wypowiedzieć wielokrotnie potem przytaczane przez bobrowian słowa: – Broniu, nie mieszaj się z chłopami. No i tak już zostało.

Państwo Zielińscy często chodzili do sklepu i wtedy miło pozdrawiali napotkanych mieszkańców wioski. Szli zawsze pod rękę; on z zielonym, wojskowym plecakiem na zakupy, wśród których zawsze musiały się znaleźć landrynki. Pani Joanna – o której dorośli mówili: „Jana” [być może takim spieszczeniem zwracał się do niej mąż] – wyjaśniała, że są mężowi niezbędne, bo choruje na cukrzycę. To „chodzenie pod rękę” było rzadkim widokiem w wiosce mojego dzieciństwa. Zdarzało się narzeczonym tuż przed ślubem czy młodym małżonkom, ale wśród małżeństw z dłuższym stażem raczej nigdy. Nie wypadało bowiem starszym ludziom tak jawnie afiszować swoich uczuć; można było się narazić na plotki i ironiczne uśmieszki.

Pani Zielińska wprowadziła w wiosce mojego dzieciństwa modę na uprawianie rabarbaru. Miała go mnóstwo i chętnie rozdawała sadzonki, a także propagowała robienie na zimę przetworów z rabarbaru i z różnych owoców, powtarzając często maksymę: „To, co latem się kopnie, to zimą się połknie”. Na prośbę jej siostry Stefci, zajmującej się gospodarstwem, codziennie kilka dziewcząt przychodziło wcześniej do szkoły, by pomagać oskrobywać buraki dla hodowanych w przyszkolnej oborze krów i buhaja, który był postrachem wszystkich dzieci. Za to otrzymywałyśmy pajdy chleba z „marmuladom”, które przygotowywała nam seniorka rodziny – starsza, elegancka pani zajmująca się kuchnią.

Podglądałyśmy czasem, jak robiła z sera z dodatkiem dużej ilości kminu i jakiś innych przypraw okrągłe kulki zwane „gomółkami”, które świetnie wyglądały i pachniały, ale – niestety – nigdy nie poznaliśmy ich smaku.

Na lekcje rysunku przynosiliśmy bloki rysunkowe z szorstkiego papieru, ołówki, które szybko się wypisywały, więc mieliśmy zwykle tylko jakieś małe „łogryzki” trudne do utrzymania w palcach oraz kredki; najczęściej świecowe, które nazywaliśmy „włoskowymy”; bardzo łatwo się łamiące i mażące brudne krechy. Bardziej lubiliśmy kredki „ołówkowe”, które trzeba było temperować scyzorykiem.

Te kredki – w papierowych pudełkach po sześć lub dziesięć – też zawsze miały takie wyblakłe, brzydkie, mdłe kolory, a rysiki w nich były twarde, drapiące papier i łamliwe.

Dlatego wielkim szokiem były dla mnie odwiedziny u koleżanki Janki, której ciocia z Ameryki przysłała kredki niezwykle piękne, o bardzo intensywnych barwach. W ozdobnym, metalowym pudełku znajdowało się ich aż dwadzieścia cztery – w różnych, pięknych kolorach i odcieniach, a wśród nich nawet srebrna i biała, co było wtedy dla nas czymś niewyobrażalnym, cudownym.

Z kredkami zza oceanu przypłynęło jeszcze coś innego – wspaniałego i niespotykanego u nas; gruba księga wypełniona niezwykle ciekawymi, dowcipnymi rysunkami do pomalowania. Z wielkim pietyzmem i starannością kolorowałyśmy strony tej książki i podziwialiśmy zamieszczone tam rysunki, przedstawiające zajęcia, zabawki, ubiory i różne scenki z życia dzieci. Ten świat z amerykańskiej książki był zupełnie inny od naszego – biednego i ponurego; takiego jak ponure były kolory naszych rodzimych kredek lub farbek akwarelowych, którymi również – w starszych klasach – malowaliśmy na lekcjach rysunków.

Czasem korzystaliśmy też z ołówka kopiającego, który nazywaliśmy atramentowym lub „chemicznym”, a który – pośliniony – rysował kreski mocne i niezmywalne.

Niekiedy też przerysowywaliśmy różne rysunki, używając przeźroczystego papieru pergaminowego lub korzystaliśmy z kalki, która miała jedną stronę nasączoną na fioletowo i można było przez nią odbijać różne kształty. Kalka szybko się wycierała, ale ówczesne gazety na wszystko znajdowały radę.

Jedna z nich pisała: „Kalkę mocno już zużytą można odnowić. Trzeba ją położyć jednym rogiem na brzegu stołu, kalkującą stroną do góry, róg ten przyciskając czymś cięższym, żeby się nie zsunął. Przeciwny uchwycić w powietrzu lewą ręką, prawą zaś wziąć zapaloną zapałkę i lekko podgrzewać kalkę od spodu. Pod wpływem ciepła kalkująca powierzchnia „rozlewa się” pokrywając wytarte miejsca równą warstwą i kalka jest jak nowa”⁵⁸.

I to był już koniec „wynałazków” pomocnych uczniowi.

Na lekcjach uczono nas również dbania o higienę i o właściwe zachowanie. Pani co kilka dni sprawdzała czystość uszu, szyi, rąk i głowy, nakazywała wyciągać chusteczki i wycierać nimi nosy, niektórym uczniom polecała zakup środka na odwszawienie lub wzywała w tym celu rodziców. Pewnego razu w czasie takiego przeglądu jeden z kolegów zaprezentował piękną, obszytą mereżką, bielutką chusteczkę batystową, ale gdy trzeba było wytrzeć nos, tę – reprezentacyjną – schował do teczki, a z kieszeni wyjął jakiś pomięty kawałek burej szmatki.

W starszych klasach na „Zenówce” również obywaliśmy się prawie bez pomocy naukowych. Były chyba ze dwie podarte mapy, wskaźnik z wystruganego patyka, zdezelowana ekierka, linijka i kątomierz, a w starej, oszkłonej szafie jakiś gipsowy model – chyba ucha, wypchany, zakurzony ptak, kilka ilustracji do przyrody, globus, jakiś papierowy sześcian, walec i ostrosłup – zrobione ręką uczniów, parę książek. I to wszystko.

Ale nawet te pomoce naukowe rzadko były wykorzystywane; chociaż niekiedy chłopcy sprytnie otwierali prymitywny zamek i używali niektórych „eksponatów” do różnych zabaw, na pewno niezgodnie z przeznaczeniem. Ale na ogół niezbyt nas zawartość tej szafy interesowała.

Pod koniec roku szkolnego kierownik szkoły pan Zieliński zostawiał kilka bardziej odpowiedzialnych dziewczynek po lekcjach, by starły kurze z tych pomocy naukowych, umyły szyby w szafie i z powrotem ładnie wszystko ułożyły. Dlatego byliśmy wprost zszokowani tym, gdy nowy nauczyciel chemii pan Stanisław Cichowski, który później, w 1963 roku został kierownikiem szkoły, na zorganizowane kółko chemiczne – co też było dla nas nowością – przynosił jakieś preparaty, menzurki, palniki i wykonywał niezwykle, fascynujące doświadczenia.

W pierwszej klasie szkoły podstawowej uczyła nas pani Czesława Ostrowska, która organizowała nam swoiste zawody. Ponieważ jeździła do szkoły rowerem, biegliśmy za nią, ciągnąc za sobą pętające się przy nogach teczki, a kto wygrywał ten wyścig, odbywał z nią przejażdżkę usadowiony „na rurce” roweru. Nie byłam mocna w tej konkurencji, ale raz dostąpiłam tego zaszczytu i mogłam zwycięskim okiem spoglądać na pozostałych w tyle przegranych „sprinterów”. Bardzo nam było żal, gdy ta – lubiana przez wszystkich pani – odeszła z naszej szkoły.

Ogromnie barwną postacią, którą zapewne wszyscy bobrowianie serdecznie wspominają, był nauczyciel – pan Zdzisław Białorucki. Kochaliśmy się w nim wszystkie miłością cielecą, tajemną, nikomu nie ujawnioną, bolesną. Uczył starsze klasy, ale przede wszystkim był naprawdę wspaniałym instruktorem harcerskim, budzącym nasz zapał, umiejącym przekonać do swych racji, rozumiejącym młodzież, tryskającym energią. Oczywiście śmiały do każdego, więc lubili go wszyscy mieszkańcy Bobrowej. Gmina wynaję-

ła mu skromny pokoik u Zofii Kołodziej naprzeciw naszego domu. Wpadał więc czasem wieczorem, by pogwarzyć z sąsiadami lub zagrać w tysiąca, bo nie było w mojej wiosce wielu rozrywek. Miał piękny, miękki głos i bardzo lubił śpiewać. Gdy zaczął nucić:

„Wieczorem, wieczorem, gdy wezmę harmonię,
harmonia rozbrzmiewa mi w rękach.
Siadajcie koledzy, siadajcie koło mnie
Niech wachtę obejmie piosenka.

Piosenkę niech wiatr poniesie przez świat” – topniały nasze serca i wyrwały się gdzieś w dalekie krainy, tak wtedy dla nas niedostępne i tajemnicze.

Nasze „śpiwniki”, upstrzone błędami, wzbogacały się co dzień o różne piosenki liryczne i pieśni ideowe, które dla nas – niewiele rozumiejących się na polityce – były tylko piękne. Zawodziłyśmy więc, fałszując niemiłosiernie o niezwykle odważnym frontowym szoferze, jadącym „pod bombami i pod ogniem dział”, o młodziutkim marynarzu, który był przedmiotem kpin, ale w czasie walki okazał się bohaterem „więc wieczorem, w czas wytchnienia gadka o nim poszła w mig: to nie kurczak, ani szczeniak, ale orzeł, ale wilk”, czy, że „pojedziemy zasiać urodzaj, gdzie wiatr chwasty ku ziemi gnie”.

Wszyscy chcieliśmy być zuchami, a potem harcerzami. Porywały nas te piosenki i byliśmy gotowi iść za „druhem” Białoruckim choćby w ogień. Bo w tych melodyjnych, pięknych utworach socjalistyczna ideologia była przemycana sprytnie, przekonująco i atrakcyjnie. Zgodnie z nią człowiek nie uznawał żadnych bogów – sam miał być bogiem, który wkrótce zapanuje nad światem i ujarzmi siły przyrody.

Butne hasła wykorzystywały batalistyczną retorykę. Używano wojennego słownictwa: socjalistyczny człowiek walczył z przyrodą, zmagał się z siłami natury, miał ją sobie podporządkować, a żywioły ujarzmić i wykorzystać dla dobra wspólnego. Dowiadywaliśmy się, że zmieniał bieg rzek, zasiewał pustynie, przebijał góry. Dopiero później się okazało, że ten spektakularny tryumf był krótkotrwały, a kataklizmy przyrodnicze niszczyły wykonane już prace i skazywały go na klęskę.

Mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa też ujarzmiali przyrodę, ale czynili to według odwiecznych zasad zawartych w Biblii: „czyńcie sobie ziemię poddaną”; w trudzie i znoju orali ziemię, siali ziarno, zbierali plony. Kochali tę ziemię – rodzicielkę, traktowali ją z nabożną czcią, dbali o nią, trzymali pazurami; a choć ranili ostrzem lemiesza i kłuli kółkami bron – to również nawadniali i nawozili, gładzili spracowanymi rękami, wsiewali ziarno i swój pot, oddawali jej siły, serce i życie. Żegnali się pobożnie przed każdą pracą polową, pracując śpiewali pobożne pieśni, nazywali swą ziemię „świętą” i dziękowali Bogu za dar chleba, który corocznie rodziła.

Pan Białorucki porywał i urzekał swoim urokiem, zapałem i talentem. Był człowiekiem miłym, otwartym, życzliwym dla wszystkich. Nie miał nic z portretowych, łysawych „towarzyszy”, których portretami „ozdobiono” nasze sale lekcyjne, wygłaszających drętwe mowy, wydających niezrozumiałe zarządzenia, a swymi nadętymi minami raczej odstraszaających od idei socjalizmu. Z łatwością przekonał nas, że warto być harcerzem więc z dumą śpiewaliśmy: „Wszystko co naszej Polsce oddamy, w niej tylko życie, więc idziem żyć” i składaliśmy harcerskie przyrzeczenie:

„Przyrzekam uroczyscie wobec kolegów i narodu polskiego uczyć się i pracować dla dobra Ojczyzny i sprawy socjalizmu [...]; zawsze i wszędzie służyć Polsce Ludowej”.

Ówczesny Związek Harcerstwa Polskiego nie był jeszcze organizacją zbyt upolitycznioną więc choć za „druhem” Białoruckim poszlibyśmy nawet się ten „urodzaj, gdzie wiatr chwasty do ziemi gnie”, to on chciał tylko byśmy organizowali różne gry i zabawy, uprawiali sport, wesoło spędzali wolny czas. Dopiero później ZHP stał się organizacją bardziej zaangażowaną, a władze oświatowe wprowadziły obowiązkowy ideologiczny program.

Na zbiórkach uczestniczyliśmy w różnych akcjach; np. zbieraliśmy makulaturę i złom, organizowaliśmy różne gry, uczyliśmy się piosenek, uprawialiśmy sport. Choć nie było żadnych sportowych urządzeń, a wiejskie dzieci miały dość ruchu na co dzień, to chętnie graliśmy w piłkę czy urządaliśmy zawody sportowe w biegu, skokach czy rzutach. Sport był popierany przez władze, bo był wizytówką tężyzny narodu. „Polska zmierzająca do socjalizmu winna być krajem zdrowych i mocnych ludzi [...], przygotowanych do pracy dla budowy Ludowej Ojczyzny i obrony w razie potrzeby Jej granic”⁵⁹ – głosiła uchwała Komitetu Centralnego PZPR z 1949 roku.

W tym celu powołano m.in. LZS-y, a organizację masowych imprez oparto – oczywiście – na wzorach radzieckich. Bo nowy człowiek miał być sprawny do pracy i do obrony. Śpiewaliśmy więc:

„Niech żyje sport, sport, sport żyje nam!

Więc dzielnie broń boiska dziś bram

I wiedz, że silną musisz mieć dłoń,

Byś udźwignął i młot, młot i broń”.

Nikt nie chciał znów dźwigać broni, ale Bolek, Staszek, Kazek, Janek, Mamek, Wiesiek i inne chłopaki z sąsiedztwa z zapałem wyznaczali „na wsi” boisko, stawiali prowizoryczne bramki i całymi popołudniami „kopali w bułę”.

Nauczycielką, którą wszyscy szanowali była pani Irena Buch – nasza świetna polonistka z „Zenówki”. Baliśmy się jej, choć nie używała siły fizycznej ani na nas nie krzyczała. Zawsze punktualna, zdecydowana, skrupulatna potrafiła utrzymać w naszej niesfornej klasie wzorową dyscyplinę, a także mobilizować nas do nauki. Szczególnie „gnębiła” nas z gramatyki, ale też

potrafiła bardzo ciekawie opowiadać, uczyła nas różnych piosenek, niekoniecznie zgodnych z linią partii, jak ta:

„Kościółek wśród wioski, kościółek wśród nas
Tam złożę me troski, tam przepędzę czas”.

Wyróżniała tych uczniów, którzy wiele czytali i pozwalała im mówić na „polskim” o swych książkowych fascynacjach. To na jej lekcjach Manek Lypioł [Marian Lipa] i Rysiek Kocorzyk [Ryszard Kaczor] z przejęciem i swadą opowiadali „Trylogię” Sienkiewicza, gdy większość uczniów była dopiero na etapie „Antka” i „Janka Muzykanta”. Nikt z nas – słuchających wtedy z zapartym tchem barwnych przygód Zagłoby, Skrzetuskiego, Kmicica czy Wołodyjowskiego – nie mógł przewidzieć, że energiczny, sprytny, ciekawy wszelkich nowości, odcytany, wesoły Rysiek za kilka lat ulegnie strasznemu wypadkowi na motorze, który spowoduje jego kalectwo i przedwczesną śmierć.

Ciekawą postacią i zupełnym przeciwieństwem pani Buch był – zastępujący ją przez pewien czas – nauczyciel języka polskiego Zbigniew Babczyn. Był bardzo młody, pogodny, życzliwy wobec uczniów; wprowadzał wiele luzu, pozwalał na żarty i niezbyt nas męczył. Niestety, zawsze, gdy mieliśmy wyznaczoną spowiedź w nagoskim kościele, zostawiał całą klasę „w kozie”, kpiąc sobie z naszego zdenerwowania i wypuszczając do domu po jednym uczniu – według siebie tylko znanego klucza. Był dobrym nauczycielem, potrafił tworzyć na lekcjach miłą atmosferę, choć prawdopodobnie bardziej lubił przedmioty ścisłe i chyba został w końcu matematykiem. Ale w czasach tużpowojennych nauczyciele uczyli bardzo różnych przedmiotów; zależnie od potrzeb. Zbigniew Babczyn pochodził ze znanej rodziny nauczycielskiej z Nagoszyna i był wnukiem kierownika bobrowskiej szkoły z początku XX wieku Zygmunta Babczyna.

Autorzy „Ocalić wspomnienia – zachować czas” – pisząc o jego córce Dorocie informują: „Najmłodsza nauczycielka z rodu Babczynów [...]. Ród nauczycielski od pokoleń... tak jak pradziad, jak pięć dziadkowych sióstr, jak ojciec i mama”⁶⁰.

Ciepłą, miłą, wyrozumiałą nauczycielką, która uczyła nas geografii i języka rosyjskiego była pani Władysława Pietras.

Język rosyjski był wówczas obowiązkowym przedmiotem nauki od piątej klasy. Kochana przez nas pani Władzia rozumiała powszechną niechęć do tego języka i nie zamęczała nas zbytnio. Wprawdzie musieliśmy się uczyć na pamięć, jak to „pasadł died riepku”, po czym wyrosła ta „riepka bolszaja, priebolszaja”, ale np. do końca nie wiedzieliśmy, co to takiego „udarzenie”, więc nie musieliśmy – czytając rosyjskie czytanki – martwić się jakimś tam akcentem. Pani Pietras była dla wszystkich dziewcząt wzorem modnego ubierania się więc zawsze czekałyśmy w napięciu, w jakim nowym ciuszkach wejdzie do klasy.

Zazdrościliśmy jej nie tylko pięknej, zielonej, kloszowej sukni z najmodniejszej tafty, w której poruszała się wdzięcznie jak baletnica, eleganckich

białych bluzek czy coraz to nowych torebek, ale też naleśników, które smażyła w swoim maleńkim pokoiku na „Zenówce”, gdzie mieszkała – jak to nauczyciele z tamtych lat – w bardzo prymitywnych warunkach. Podglądaliśmy przez otwarte na oścież drzwi, skąd dochodziły smakowite zapachy, drażniące nasze wygłodzone żołądki, jak je smażyła na wielkiej, okopconej patelni. Zdecydowanie naleśniczki pani Władzi różniły się od tych, robionych przez nasze mamy. Były nieprawdopodobnie żółciutkie, wyglądały niesamowicie i byliśmy pewni – przyglądając się im z zazdrością – że także smakowały. Cieszyliśmy się bardzo, że pani Władzia znalazła szczęście właśnie w naszej wiosce i tu wyszła za mąż.

Nauczyciele wiejscy mieli niełatwe życie. Mieszkali zazwyczaj w prymitywnych warunkach; rzadko w szkole, częściej wynajmując pokój u kogoś gospodarza. Dzielili z jego rodziną niedogodności codziennego życia; zwłaszcza tuż po wojnie, gdy nie było prądu, łazienek, bieżącej wody, dojazdu, radia, telefonu. Najczęściej jedli to, co wynajmująca pokój gospodyni przygotowywała dla swojej rodziny; w sklepie niewiele można było kupić, a przygotowanie własnych posiłków było utrudnione.

Nauczyciele poświęcali prawie cały swój czas dzieciom. Władze wymagały od nich wielkiego zaangażowania i realizowania zasad zawartych w nowym programie nauczania mającym na celu krzewienie socjalistycznych idei. Na kongresie zjednoczeniowym PZPR w 1948 roku ustalono, że szkoła ma – między innymi – uczyć „pojęcia walki klasowej, roli państwa, mas ludowych i jednostki w historii, wyzysku w ustroju kapitalistycznym i na tym tle sytuacji klasy robotniczej, istoty niebezpieczeństw imperializmu, podstawowych zasad ustroju socjalistycznego [...]”. Przedmiotem oddziaływania pedagoga jest przede wszystkim zespół, a nie jednostka”⁶¹.

Władze oświatowe pilnowały realizacji tych założeń ciągle kontrolując szkoły i nauczycieli.

Edyta Adamczyk-Pluta pisze: „Instytucją wspierającą PZPR w sprawowaniu nadzoru nad szkolnictwem i edukacją w powiecie był Inspektorat Szkolny w Dębicy, obsadzony w większości przez ludzi wywodzących się z partii [...]. Inspektorat i jego pracownicy dbali m.in. o czystość ideologiczną placówek oświatowych i realizację właściwego programu nauczania”⁶².

Także i do naszej bobrowskiej szkoły często przychodzili, by przysłuchiwać się lekcjom, poważni panowie z teczkami. Byliśmy zawsze przez nauczycielki przygotowani na taką wizytę. Umieliśmy na pamięć wierszyki o Stalinie i znaliśmy wiele potrzebnych informacji, o które mogli zapytać.

Każdy rok szkolny miał jakieś przewodnie hasło, np. w 1950 roku to hasło brzmiało: „Będziemy walczyć o wychowanie nowego człowieka”.

Chociaż nauczyciele byli oceniani pod kątem realizowania tych haseł, to przekazywali nam też wartości zgodne z własnymi przekonaniami, sumie-

niem, tradycją i wiarą. Rodzice wychowywali nas w duchu szanowania autorytetów, więc wszystko, co powiedzieli w szkole nauczyciele, było dla nas, dzieci – święte. Dlatego od postawy, odwagi, odpowiedzialności tych ludzi tak wiele zależało.

W lipcu 1950 roku władze PRL-u uchwaliły tzw. Plan Sześcioletni, który wkrótce znalazł również swe odbicie w programie szkolnego nauczania. O jego założeniach zdecydowała sytuacja międzynarodowa i to, że po zlikwidowaniu wszystkich kapitalistycznych form gospodarki Polska wchodziła w nową fazę budowy socjalizmu. Postawiono na ciężki przemysł zbrojeniowy i metalowy, na centralizację władzy i wzmocnienie organów aparatu bezpieczeństwa.

„Plan sześcioletni dokonywał się przy ogromnym współdziałaniu urzędowej propagandy. W prasie, na plakatach i w gazetkach zakładowych roiło się od założeń sześciolatki, podawanych w efektownych liczbach i wykresach”⁶³.

Wszędzie szerzono propagandowe hasła, ukazujące ogromną wartość tego planu. Na okładce zeszytu mogliśmy przeczytać: „Budujemy Polskę z żelaza i stali”, wielkie plakaty przedstawiały młodego chłopaka w robotniczej bluzie, który wskazywał przed siebie palcem i pytał: „Coś TY zrobił dla realizacji planu?”, a „Kalendarz Rolnika” informował: „Opierając się na braterskiej przyjaźni i pomocy ZSRR, klasa robotnicza w sojuszu z pracującym chłopstwem realizuje najśmielsze marzenia minionych pokoleń. W niesłychanie szybkim tempie rośnie potężny, socjalistyczny przemysł w naszej Ojczyźnie. Byliśmy krajem biednym i zacofanym, krajem drewnianego cepu i pługa – stajemy się krajem wielkiego, nowoczesnego przemysłu, krajem żelaza i stali. Idziemy po słusznej drodze do dobrobytu i szczęścia narodu”⁶⁴.

A my – jak ta Brońcia z elementarza Falskiego – wciąż nosiliśmy grube, brzydkie, prążkowe pończochy, byle jakie ubrania i buty, uczyliśmy się przy lampie naftowej, a nasze mamy liczyły każdy grosz. W zawsze czynnym „kołchoźniku” nadawano jednak optymistyczne informacje o rozwoju kraju i radośną „Piosenkę o Nowej Hucie”:

„Nad Wisłą, nad Wisłą szeroką
Murarzy rozgwarzył się śpiew
I płynie piosenka murarska wysoko
I płynie przez noce i dni.
O Nowej to Hucie piosenka...”

Śpiewano wciąż i pisano o tej – budowanej właśnie – Nowej Hucie pod Krakowem, bo to była sztandarowa inwestycja tamtych czasów, wokół której miało powstać pierwsze prawdziwie socjalistyczne miasto; świeckie, nowoczesne, szczęśliwe. Budowę rozpoczęto w 1949 roku, a 22 lipca 1954 roku – w 30 rocznicę śmierci Włodzimierza Lenina rozpoczęto produkcję stali. Oczywiście hucie nadano imię Lenina, a na głównym placu nowego, 100-tysięcznego miasta postawiono monstrualny pomnik tego wodza rewolucji.

Oprócz budowniczych Nowej Huty także górnicy byli przedstawiani jako jedni z głównych współtwórców socjalistycznego dobrobytu. Czuliśmy więc corocznie na szkolnej akademii górnicze święto – Barbórkę. W klasie udekorowanej chorągiewkami uczniowie w górniczych czapkach, wyklejonych z papieru, śpiewali piosenki i recytowali wierszyki według scenariusza zamieszczonego na tę okazję w „Świerszczyku”, których wyuczyła nas pani Zielińska. Recytowaliśmy m.in. wiersz Juliana Tuwima „Śląsk śpiewa” – dumni z burych kominów, osnuwających dymami cały Śląsk:

„Słyszycie, jak huczą młoty?

Turbiny turkotem trąkocą?

Pracują dniem i nocą.

Wre głuchy rytm roboty.

Dymią się bure kominy,

Piece hutnicze płoną.

Dudnią, dudnią maszyny.

Łuną palenisk czerwoną

Czarna zasnuwa się dal.

Śląsk śpiewa.

Głos ma węgiel i stal”!⁶⁵.

Na lekcjach ciągle też rozmawialiśmy o odbudowie kraju, o rozwoju przemysłu, o górnikach, hutnikach, murarzach, kołchoźnikach. Uczyliśmy się na pamięć wierszy sławiących plan sześcioletni, jak ten zamieszczony w naszej „Czytance”:

„Potrzeba było wielu zmian,

By powstał u nas wielki plan.

Pomyśleć tylko: chcesz budować,

To wnet żelazne belki sprowadź.

Do tego jest potrzebna huta

Gdzie taka belka jest wykuta.

Huta bez maszyn nic nie zdoła

Więc znów robota jest niemała...”

Plan sześcioletni miał wielkie konsekwencje dla całego kraju; także dla naszego regionu. Między innymi, w ramach tego planu powstała w 1951 roku Dębicka Chłodnia Składowa, gdzie znalazło pracę wielu dębiczian i mieszkańców okolicznych wiosek, w tym wioski mojego dzieciństwa. Ale ów plan przyniósł też wiele rozczarowań: „Oczekiwano wzrostu produkcji przemysłowej o 158%, rolniczej o 50%, a przyrostu dochodu narodowego o 112%. Już po trzech latach okazało się, że te prognozy były zbyt optymistyczne [...]. W 1954 roku ustalono czwartą już z kolei korektę planu sześcioletniego. Okazało się bowiem, że entuzjazm mas pracujących wyczerpuje się, a społeczeństwo stale narzeka z powodu ubożającego rynku konsumpcyjnego”⁶⁶.

Rzeczywiście, zwykły człowiek nie odczuwał poprawy warunków bytu; wprost przeciwnie – było coraz trudniej wiązać koniec z końcem. Zaczęto też dostrzegać coraz więcej absurdów w realizacji założeń tego planu: nierealne normy pracy, roczne normy wykonywane w połowie roku i pozornie przekraczane dzięki różnym akcjom, organizowanym przede wszystkim przed świętami państwowymi. Krzykliwa propaganda zagłuszała jednak prawdziwe błędy socjalistycznej gospodarki: bylejakość pracy „nie na swoim”, brak motywacji, bo „czy się stoi, czy się leży równa pensja się należy”, skutki promowania niewykształconej, a tylko ideowej kadry zarządzającej, według hasła: „Nie matura lecz chęć szczerą robi z ciebie bohatera”, upartyjnienie wszystkich dziedzin życia itp.

Już pierwsze lata planu sześcioletniego społeczeństwo odczuwało jako czas postępującej biedy, bo dochód narodowy był pochłaniany przez budowany od podstaw przemysł ciężki. Rosły ceny, wciąż podnoszono normy produkcyjne, doprowadzając je do absurdu. Idolem władz stał się górnik Wincenty Pstrowski, który w lipcu 1947 roku wezwał do rywalizacji w wydobywaniu rekordowej ilości węgla, stając do morderczego, bezsensownego wyścigu. Sam przekraczał kolejne normy, sięgające nawet 293%, przez co stał się pierwszym w PRL-u „przodownikiem pracy socjalistycznej”. Jego zdjęcie widniało na okładkach wszystkich gazet, a władze różnych zakładów pracy – odpowiadając na jego słynne pytanie: „Kto da więcej?” – zaczęły podejmować podobne „wyścigi”, które jednak najczęściej były jednorazową akcją, nie przynoszącą żadnych korzyści. Bardzo często fałszowano wyniki pracy załóg robotniczych, by sprostać zawyżanym, nierealnym normom, a nawet by chwalić się ich przekraczaniem. Dla osiągnięcia propagandowych sukcesów zgadzano się na bylejakość, pozorną pracę, akcyjność. Gdy w 1948 roku Pstrowski zmarł, wielu ludzi zaczęło wątpić w to, że nadmierny wysiłek nie ma wpływu na zdrowie i życie człowieka. Nasz sąsiad Józef, zasiadając na schodach, by – jak zwykle – podyskutować o sprawach politycznych, przytoczył z krzywym uśmiechem usłyszany gdzieś wierszyk:

„Wincenty Pstrowski, górnik ubogi
Przekroczył normę, wyciągnął nogi”.

Władze wciąż jednak propagowały niezwykle wyczyn Pstrowskiego, a jego sława ciągle rosła. Jego imieniem nazwano kopalnię, w której bił rekordy, jeden z rudowęglowców, sanatorium w Rabce, wiele placów, osiedli i ulic.

„W 1950 roku, gdy na żądanie Kremla zrewidowano w Polsce plan sześcioletni, zwiększając ponad wszelką miarę obciążenie dochodu narodowego inwestycjami w przemyśle zbrojeniowym, załamała się równowaga rynkowa i zabrakło podstawowych artykułów żywnościowych w sklepach. Wprowadzono wówczas kartki na mięso i tłuszcz [...]. Trzeciego stycznia 1953 roku przydziały kartkowe zniesiono, przy czym drastycznie podwyż-

szono ceny i bardzo nieznacznie – płace, a czołówki gazet obwieszczały, że jest to ważny krok podnoszący poziom życia ludzi pracy”⁶⁷.

Wzorem we wszystkich dziedzinach życia był dla naszych władz Związek Radziecki – „idealny kraj”, w którym – jak śpiewaliśmy: „tak wolno dyszyt czelawiek”. Przez wiele lat nasz Wielki Brat był obecny wszędzie: w filmach, audycjach radiowych, w każdym dokumencie, w gazetach, na plakatach, w podręcznikach i w tematach lekcyjnych. Oczywiście my też uczyliśmy się o tym wspaniałym kraju; m.in. czytaliśmy wierszyk o przyjaźni dzieci polskich i radzieckich, zamieszczony w podręczniku. Zaczynało się to jakoś tak:

„Dziś cały wieczór listy pisali

Wala do Mietka, Mietek do Wali”.

Ta Wala nazywała się Saratow i na kolorowym obrazku wyglądała bardzo ładnie w czarnym fartuszk ze „skrzydełkami”, w białej bluzce, z czerwoną pionierską chustą związaną na szyi. My wtedy wciąż chodziliśmy do szkoły wyubierani według mody Chochoła z „Wesela” Wyspiańskiego: „Ubrałem się w com ta miał”, dlatego patrzyliśmy z podziwem na tę uśmiechniętą, schludną, szczęśliwą dziewczynkę.

Po pewnym czasie również w Polsce naciski władz szkolnych sprawiły, że na długie lata wciśnięto nas w granatowe chałaty z podszewkowego materiału błyszczącego się z jednej, a matowego z drugiej strony; mnących się niemiłosiernie, ale ozdobionych ładnie białym kołnierzykiem najpierw przyszywanym lekko białą nicią ścięciem „na łowsiane ziorko”, a później przypinanym na guziczki, by można go było łatwo odpiąć do prania.

Wala Saratow opowiadała w liście do polskiego kolegi o tym, jak wspaniałe jest życie w jej socjalistycznej ojczyźnie. Z naiwnością dzieci wierzyliśmy tej Wali i bardzo jej zazdrościliśmy.

Na zadanie domowe mieliśmy napisać do niej list, opowiadając o osiągnięciach naszej ludowej ojczyzny. Oczywiście te listy nie były nigdzie wysyłane; wtedy to było niemożliwe, a moda na korespondencję z dziećmi ze Związku Radzieckiego, Czechosłowacji czy NRD zrodziła się dużo później.

Poznawaliśmy też bardzo ciekawe życie i przygody radzieckich pionierów ukazane w książce „Timur i jego drużyna” Arkadego Gajdara, która przez 40 lat była obowiązkową lekturą, mającą kształtować właściwe postawy młodzieży.

Dowiadaliśmy się również na lekcjach o wspaniałym przyjacielskim darze narodu radzieckiego dla nas – Polaków, jakim był Pałac Kultury i Nauki, który w 1952 roku zaczął powstawać w Warszawie.

Byliśmy dumni czytając wiersz Jana Brzechwy, poświęcony tej budowli, że „będzie trwał tak, jak radość dziecka, będzie trwał tak, jak miłość radziecka”. Wierzyliśmy, że spełnią się słowa poety i że ten pałac będzie tak piękny, jak na obrazku w naszej czytance. Dziwowaliśmy się, że do jego budowy potrzeba

było aż 40 milionów cegieł, 26 tysięcy ton stali i że ściany mają prawie pół metra grubości. Gazety – które poświęcały temu „darowi” wiele miejsca – opisywały ofiarną pracę inżynierów radzieckich, dla których wybudowano na obrzeżach Warszawy jednorodzinne domki z małymi ogródkami i dzielnych robotników, zakwaterowanych w szeregowo ustawionych w jednym z parków długich barakach mieszkalnych. Robota ponoć „paliła im się w rękach”.

Marzyliśmy więc, by pojechać do Warszawy, zobaczyć piękno tego pałacu, wjechać windą aż pod samą iglicę i z tarasu oglądać wspaniałą, odbudowaną stolicę. Oczywiście ukazywano budowę Pałacu Kultury jako wzorcową i nikt nie śmiał informować, że np. podczas prac, gdy nagle zawaliło się jedno z rusztowań, zginęło 16 osób; w tym dwoje dzieci.

W ramach wychowania socjalistycznego często organizowano w szkole różnego rodzaju akademie, obchody, masówki; czciliśmy rewolucję październikową, Święto Pracy czy kolejne rocznice śmierci generała Świerczewskiego, którego znaliśmy z obowiązkowej lektury „O człowieku, który się kulom nie kłaniał”, a który zginął właśnie od kuli, gdy w marcu 1947 roku jechał na inspekcję wojska walczącego wciąż w Bieszczadach z „bandami”. Natychmiast stworzono liczne legendy o bohaterstwie tego dowódcy. Recytowaliśmy, że „jak Achilles skąpany dzieckiem lęku przed niczym nie zna” i śpiewaliśmy, że „ziemia spadła na ciało, zapachniała jak senny las”.

Czciliśmy też śmierć Stalina. Znaliśmy go z lekcji, prasy, radia jako kogoś najważniejszego na świecie: wodza, mędrca, wielkiego przyjaciela dzieci, prawie boga. Czytaliśmy opowiadania o życiu Stalina, oglądaliśmy nawet o nim film w objazdowym kinie, które pewnego razu zawitało do naszej szkoły. Był tam przedstawiany jako wspaniały, mądry przywódca olbrzymiego, socjalistycznego kraju, „słońce” bohaterskiego radzieckiego narodu, troskliwy gospodarz i szlachetny, dobrotliwy człowiek. Jeździł do różnych miast i wsi, by życzliwie przyglądać się codziennemu życiu; oglądał łany dorodnych zbóż, wielkie kołchozowe hodowle bydła, nowoczesne fabryki i huty, a – przede wszystkim – rozmawiał ze szczęśliwymi radzieckimi ludźmi.

Na wielkim ekranie, zrobionym z prześcieradła, elegancki Stalin w białym garniturze spacerował, trzymając za ręce radosne, roześmiane dzieci. Na ścianie naszej klasy, tak jak we wszystkich szkołach, instytucjach i urzędach wisiał oczywiście jego portret, a w bibliotekach wiele półek zajmowały jego dzieła, których wydano w naszym kraju aż 2 miliony egzemplarzy. Na wszechobecnych zdjęciach i portretach zawsze wyglądał dostojnie, zdrowo, dziarsko; czasem z fajką w zębach, a zawsze z dobrodusznym uśmiechem.

Nagle, pewnego marcowego dnia 1953 roku dowiedzieliśmy się, że Stalin nie żyje, a jego portret przepasano czarną tasiemką.

W szkole oczywiście zorganizowano żałobną uroczystość. Recytowałam, że „na Kremlu pusto, smutno”, a koleżanka Celka, że „dzisiaj słońce jest za-

łobną chorągwią”. Wszyscy nauczyciele byli poważni, zmartwieni, zatroskani. W dniu pogrzebu gazety przybrały się w czerń, flagi przepasano kirem, biły dzwony. Wydawało się, że bez Stalina ludzie sobie nie poradzą, że umarł ktoś najważniejszy, drogi i niezastąpiony. Dziwiliśmy się więc, gdy w naszych domach nikt nie podzielał tego smutku; wręcz przeciwnie – w podsłuchanych rozmowach dorosłych słyszać było wyraźną nutę radości, choć też i niepokoju o przyszłość.

Dyskutowano w mieszkaniach, przy płotach, przed sklepem; choć zawsze przyciszonym głosem, rozglądając się niepewnie. Pytano: – Co teraz będzie? Czy coś się zmieni?

Ktoś słyszał w audycji „Wolnej Europy” o otruciu tyrana, choć zagłuszano tę zakazaną stację radiową całą parą urządzeń, ktoś przekonywał, że teraz na pewno wybuchnie ta straszna III wojna światowa, którą zapoczątkował wybuch atomowy w Hiroszimie, a dawno to już przepowiadała jakaś tajemnicza wieszczka Michalda. I nie zostanie kamień na kamieniu, a ocaleni, nieliczni ludzie szukać będą śladu drugiego człowieka.

Choć te przepowiednie mroczyły serca, to jednak życie musiało toczyć się dalej, a reżim jakby jeszcze bardziej się umacniał, zabijając w sercach Polaków nieśmiałe nadzieje. Prasa tuż po śmierci Stalina donosiła, że Katowice na cześć Generalissimusa otrzymują nową nazwę Stalinogród, a socjalizm wciąż rozkwita i się umacnia.

Wiele wydarzeń niepokoiło i napawało smutkiem. Już w 1949 roku inspektorzy szkolni „przeprowadzili kontrole w bibliotekach na terenie powiatu, usuwając z nich 84 książki uznane za „szkodliwe”⁶⁸. W 1952 roku zespół rządowy opracował listę książek, które należało usunąć z księgarń i bibliotek. Kierowano się względami ideologicznymi. Niekiedy dochodziło do absurdów krzywdzących i autorów, i czytelników. Za to na półkach tych instytucji pojawiało się wciąż więcej tzw. „powieści produkcyjnych”, które tworzone na wyraźne polecenie i zgodnie z dyrektywami władz. Można je było rozpoznać po charakterystycznych tytułach: „Węgiel”, „Kampania znaczy walka”, „Buraczane liście”, czy „Traktory zdobędą wiosnę”. Opowiadały o wydobywaniu węgla, o akcji żniwnej, uprawie buraków czy zaorywaniu kołchozowych pól. Krytyk literacki Tadeusz Drewnowski pisał, że każde takie dzieło: „uświadamia politycznie i poucza, mobilizuje i uodpornia, uzbraja i rozentuzjasmowuje”⁶⁹.

Na szczęście, ani nauczycielka prowadząca szkolną biblioteczkę, ani pan Harla z bobrowskiej biblioteki wiejskiej nie zmuszali nas do czytania tych „rozentuzjasmowujących” dzieł, a pożyczali nam pocziwe, stare, mądre powieści: „Trylogię”, „Chatę za wsią”, „Dzikowy skarb”, „Krzyżaków”, które czytaliśmy z wypiekami na twarzy.

Pewnego dnia zaszedł do nas wujek Władek i stojąc jeszcze w drzwiach powiedział tak jakoś wesoło: – Bolek umarł.

Mamie opadły ręce. – Który?

W naszej wsi było bowiem kilku Bolków, a nawet jeden – jeszcze młody – mieszkał po sąsiedzku.

– Bierut. Pojechał z delegacją do Moskwy i tam dostał ataku serca.

Ojciec rzucił się do radia. Rozległy się dźwięki poważnej, żałobnej muzyki. Oficjalne wiadomości podawane przez spikera były bardzo skąpe. Więc znów plotkowano, znów próbowano wśród strasznego warkotu zagłusząrek dowiedzieć się czegoś z Radia „Wolna Europa”. I znów zaczęły się dyskusje, domniemanie, niepokoje, ale też nadzieje i – oczywiście – zjadliwe komentarze i żarty.

– Pojechał dumnie, a wrócił w trumnie – śmiał się krzywo sąsiad Józef – zawsze rozpolitykowany i zawsze znający najnowsze wydarzenia. Ogłoszono żałobę narodową, flagi przepasano kirem, a radio wyliczało wciąż zasługi Bieruta przeplatając informacje muzyką klasyczną; na szczęście piękną i w doskonałych wykonaniach, jakie rzadko mieliśmy okazję słyszeć.

A socjalizm wciąż trzymał się mocno. Pewnego razu cała nasza klasa wzięła udział w masówce, zorganizowanej w naszej szkole przez zetempowską młodzież z Dębicy, pięknie ubraną w zielone koszule z naszywką na rękawach „ZMP” i w czerwonych krawatach, która śpiewała: „Tysiące rąk, miliony rąk, a serce bije jedno”. Ta kombinacja jednego serca i wielu rąk była okropnie skomplikowana i bardzo nas – chyba wtedy pierwszoklasistów – intrygowała. Cieszyliśmy się z imprezy, bo z tej okazji podarowano nam po kolorowym ołówku i zeszyte, co było wówczas wartościowym prezentem. Salę na tę okazję ozdobiono różnymi propagandowymi hasłami, a na korytarzu przyklejono wielki kolorowy plakat z uśmiechniętą, ślicznie ubraną dziewczynką i podpisem: „Mam tyle lat co Polska Ludowa”.

A jako postać do podziwiania i naśladowania przedstawiano nam radziecką bohaterkę z czasów wojny ojczyźnianej. Nazywała się Zoja Kosmodemiańska; była młodziutka, śliczna i zdolna. Jako żołnierz dywersji podpałała wsie wokół Moskwy, by Niemcy nie mogli znaleźć w nich schronienia. Ujęta w czasie wysadzania za pomocą butelek z benzyną niemieckiego składu amunicji, była torturowana, a wreszcie powieszona, ale nikogo nie zdradziła. Największe wrażenie zrobiła na nas jej odwaga, gdy Niemcy pędzili ją boso po śniegu. Chłopaki nawet gotowi byli sprawdzić, jak to jest tak biec po śniegu boso, ale akurat były ciepłe, wiosenne dni, a do zimy zapomnieliśmy już o tej bohaterskiej Zoi. Zostało tylko powiedzenie: „Nie łam się. Pamiętaj: Zoja się nie łamała”.

Pewnego razu odbyło się też w szkole spotkanie z młodzieżą z naszej wioski, która brała udział w Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie. Było to niezmiernie ważne wydarzenie propagandowe, które miało wykazać wyższość komunizmu nad kapitalizmem. Cały naród żył tym festiwalem,

a prasa zamieszczała różnorodne, ciekawe zdjęcia i szeroko informowała o jego przebiegu.

Opowiadano o kolorowych tłumach młodzieży na ulicach, o wspólnych tańcach i pieśniach przekonujących, że „ani góry wysokie, ani morza głębokie nie wstrzymają pochodu przyjaźni” i że „nie zna granic ni kordonów pieśni zew”.

Festiwal na przełomie lipca i sierpnia 1955 roku odbywał się pod hasłem: „Pokój i Przyjaźń”. Do stolicy – jeszcze pełnej ruin – przyjechało ponad 30 tysięcy młodych ludzi z całego socjalistycznego świata.

Ogromnie fascynowały nas wspomnienia uczestniczek tamtych wydarzeń – młodych bobrowianek: Jasi i Celki – zaproszonych do szkoły na jedną z akademii. Zakwaterowane w miasteczku festiwalowym na obrzeżach Warszawy, utworzonym z wieloosobowych namiotów, codziennie brały udział w wielu ciekawych imprezach. Wspominały spotkania z ludźmi o różnym kolorze skóry, opowiadały o ich egzotycznych strojach i niezwykle swobodnym sposobie bycia, o korowodach na ulicach Warszawy, o zawartych przyjaźniach, o pamiątkach, o przebiegu festiwalowych dni. Były zachwycone wszystkim, a najbardziej stolicą dźwigającą się z ruin; kolorową, bo na czas festiwalu całe miasto tonęło w dekoracjach, transparentach, flagach i ciekawych malowidłach, przesłaniających – jak tylko to było możliwe – wciąż widoczne ślady wojny.

Chłoniliśmy te wieści, zazdroszcząc starszym koleżankom.

Warszawa była nam bliska, bo przecież jej temat wciąż pojawiał się w prasie, radiu, w szkole, a nasi rodzice płacili składki na jej odbudowę.

Anna Chmiel wspomina młodzież z ZMP, która organizowała specjalne wyjazdy do Warszawy, by ją odbudowywać na nowo:

„Brygady młodzieżowe zjeżdżały się z całej Polski własnym transportem i z własnym sprzętem, aby odgruzowywać stolicę. Ogromne transparenty głoszące pochodzenie brygady, wbite styliskiem w gruzy, oznaczały, kto i zacz pracuje na poszczególnych odcinkach gruzowiska”⁷⁰.

Również niezrzeszeni młodzi ludzie wyjeżdżali do Warszawy i brali udział w odbudowie; wożono też z naszych terenów – nawet furmankami – materiały budowlane, potrzebne do powstawania nowych domów. Odbudowę stolicy sławiły popularne piosenki, jak ta zaczynająca się od słów: „Zbudujemy nowy dom, jeszcze jeden nowy dom, Warszawo!” Sprawa Warszawy była traktowana jako wyraz patriotyzmu i obywatelski obowiązek. Kazano nam ją kochać, być z niej dumnymi i uczyć się wierszy – zamieszczonych w naszych „Czytankach” – sławiących jej piękno:

„Jaka piękna jest Warszawa,
Ile ulic, ile ludzi,
Ile dumy i radości
w sercach nas stolica budzi!”

Dlatego z wielką uwagą i dumą słuchaliśmy tej Jasi i Celiny opowiadających o odbudowywanych warszawskich dzielnicach, ulicach i placach, o tym pięknym Pałacu Kultury i Nauki, czy o nowo oddanym do użytku Stadionie Dziesięciolecia. Wyobrażaliśmy sobie te wszystkie cuda i marzyliśmy, żeby tam pojechać i to wszystko zobaczyć.

Trochę później młodzież z mojej wioski wyjeżdżała też do Warszawy na Centralne Dożynki. Przed tą uroczystością zebrani z całej Polski ochotnicy ćwiczyli chyba przez dwa tygodnie różne figury gimnastyczne i kroki taneczne, by w dniu Dożynek na murawie Stadionu Dziesięciolecia uświetniać to doniosłe wydarzenie.

A nas uczono śpiewać: „Zdobyczym krokiem idziemy w słoneczny świat”, choć nasz świat wcale nie był słoneczny, a my nie byliśmy żadnymi zdobywcami. Kończyliśmy kolejne klasy, zbieraliśmy makulaturę i złom, pomagaliśmy rodzicom w pracach domowych, gospodarskich i polowych, i marzyliśmy, by jak najszybciej dorosnąć i wyfrunąć w szeroki świat.

Na co dzień zmagaliśmy się z szarą codziennością i różnymi problemami, których wciąż nie brakowało. A najgorzej mieli wszelkiego rodzaju „odmieńcy”.

Pisałam lewą ręką, a to było niedozwolone. W socjalistycznym kraju wszyscy musieli realizować wspólne cele i wszyscy musieli być praworęczni. Leworęczność była skazą, piętnem, wstydem, grzechem, kalectwem. Na mańkutów patrzono z pogardą, nie szcędzono im kpin, straszono.

Uczenie się wbrew naturze praworęczności było zmorą nie tylko mego dzieciństwa i stawiało nieszczęsnego „majkuta” zawsze w pozycji tego gorszego. Mimo najlepszych starań, nie udawało się bowiem uzyskać takiej sprawności prawej ręki, jaką przejawiały inne dzieci; pisało się brzydko, krzywo, nigdy na upragnioną piątkę. A już o kaligrafii, której nauka była w początkowych klasach obowiązkowa, nie było nawet mowy. Mieliśmy osobne zeszyty do kaligrafii; mój to była porażka!

Kiedy tylko można było – ukrywało się tę przypadłość np. rezygnując z pysznej bułki, jeśli trzeba ją było – na oczach innych przekroić i posmarować masłem. Bo posługiwanie się nożem za pomocą prawej ręki było umiejętnością ponad siły „lewusa”. Nie szcędzono nam pouczeń, próśb, gróźb i upokorzeń. Wyśmiewano, straszono, że pod pachą urosną nam straszliwe „buły”, na siłę wkładano ołówki do prawej ręki, polecano nauczycielom „walić po łapie” w razie niesubordynacji.

Praworęczni nie mają nawet pojęcia, jak bolały przytyki, kpiny, pogardliwe epitety i że piętno „mańkuta” długo tkwiło w naszej psychice.

Niełatwo mieli też jakający się czy mający inne wady wymowy, albo niedowidzący. Tylko mając dużą wadę wzroku dzieciak zgadzał się nosić okulary, od razu zyskując miano „ślepuży”, a w przypadku zezą – „świdrowatego”. Zresztą

okulary były wówczas okropnie brzydkie, szkła ciężkie, wyglądające jak denka od słoików, a oprawki okrągłutkie, czarne, straszliwie nietwarzowe.

Utykający byli nazywani „kulawcami”, „kuternogamy”, „gracmołamy” i również odsuwano ich od wspólnych zabaw. W najgorszej sytuacji byli dzieci niepełnosprawne intelektualnie, ale te najczęściej nie chodziły do szkoły tylko pozostawały w domu.

I tak rośliśmy, tak mijały codzienne dni, aż nastawał czerwiec i przygotowaną przez uczniów klas starszych akademią kończyliśmy kolejną klasę. Były wierszyki, żartobliwe scenki, piosenki, a nawet tańce.

Na uroczystościach szkolnych prawie zawsze tańczyliśmy – oczywiście – bez muzyki, bo nie było ani akompaniamentu, ani muzyki mechanicznej. Sami „tancerze” podśpiewywali sobie do rytmu, strasznie się męcząc i sapiąc pod koniec występów.

Do żelaznego repertuaru należał np. marynarski taniec w wykonaniu samych dziewczynek, podczas którego śpiewaliśmy, że „wesoła marynarska wiara żyje gdzie masztów las”. Pomimo tego, że nikt z nas nie był nigdy nad morzem, nikt też na żywo nie widział morskich fal, okrętu i „wesołej marynarskiej wiary”, starałyśmy się ze wszystkich sił, więc wszyscy doceniali nasz zapał i dobre chęci. Całym naszym przebraniem były wykonane na tę okazję z kawałka twardego papieru „marynarskie kołnierze” – duże, prostokątne, z naklejonymi białymi paskami, zapięte pod szyją „grafkom”.

Drugim „dyżurnym” tańcem, uświetniającym szkolne akademie, był trojak, też wykonywany przez same dziewczyny. W kolorowych spódnicach i w białych bluzkach, ozdobionych założonymi na ramiona barwnymi chustkami – co udawało strój góralski – podśpiewywałyśmy, że zasiali górale, a to żyto, a to owies i płaśaliśmy ochoczo, jak kto potrafił. I choć pewnie wyglądało to bardziej żałośnie niż pięknie, to przecież zawsze wkładałyśmy w te podrygi całe nasze dziewczynskie serca i umiejętności.

Trzecim – prawie na każdej akademii wykonywanym tańcem – był krakowiak. Krakowiaka tańczyłyśmy w cztery pary z chłopcami, których jakoś z trudem uprosiłyśmy, bo nauczyciele raczej się nie angażowali w przygotowania naszych „popisów”. Chłopcy ubierali białe koszule, spodnie wkładali takie, jakie mieli, a pod szyją wiązali wstążeczkę – aksamitkę. Dziewczynki oczywiście tańczyły w gorsetach, tych od sypania kwiatków. Podskakiwaliśmy więc wesoło w rytm krakowiaka wyśpiewując la, la, la, la, la, la. Z werwą wykonywaliśmy w parach obroty i przykłęki, mijania i ukłony, coraz bardziej zmęczeni, ledwo pod koniec „rzęząc” to: la, la, la, la.... Moim „krakowiaczem” był sympatyczny kolega Edek. To jego córka – wspomniana już Siostra Agnieszka Skrzypek – jest autorką książki o dębickich Służebniczkach.

Pewnego razu w czasie którejś z figur, jeden z chłopaków – Jasiek, zamiast la, la... wołał głośno zasłaniając partnerkę przed zbliżającą się inną

parą: – „Nie dom [nie dam] Kryśki, nie dom Kryśki”! Jeszcze po latach śmialiśmy się z tego incydentu, a choć wtedy chodziliśmy dopiero chyba do czwartej klasy, to naprawdę ta Kryśka została potem żoną swojego obrońcy.

Wykonywaliśmy też różne scenki, jak na przykład tę o młynarzu ze Zgiezra, który miał cztery córki, a „każda była bogata, każda chciała żołnierza”. No i tak się właśnie stało, a szczęśliwy młynarz śpiewał na koniec, że „jak się wnuki posypią z młyna będzie forteca”. Również w tych scenkach role męskie i żeńskie odgrywały prawie zawsze dziewczęta. Chłopcy bowiem – najczęściej – udział w tych programach rozrywkowych uważali za zajęcie niemęskie, a może się wstydzili występować publicznie. I tak – i młynarz, i występujący w tej scence ułan, lotnik, marynarz, „no i saper – to heca” – to były poprzebierane dziewczyny. Te przebrania były bardzo marne, ale i tak widzowie – dzieciaki z różnych klas, nauczyciele i rodzice – bili brawa, doceniając starania „domorosłych” artystów.

Rodzice rzadko przychodzili do szkoły na akademie czy nawet na wywiadówki. Najczęściej zjawiali się wtedy, gdy ksiądz lub nauczyciele mieli do ucznia jakieś pretensje. Zazwyczaj nie kwestionowali wtedy uwag pedagogów i obiecywali załatwić sprawę – no i załatwiali po powrocie do domu; bywało, że za pomocą rzemieennego pasa.

Ciekawą inscenizacją, wielokrotnie przedstawianą w naszej szkole – bo przecież nie wiedzieliśmy, skąd brać nowy repertuar – była Mickiewiczowska bajka „Golono, strzyżono”, czy znana scenka – tak nas wzruszająca – o pięknej krakowiance, która zbierała zielone, lipowe listki, a gdy „król się o tym dowiedział” to przyjechał i poprosił o jej rękę. Ale ona wzgardziła miłością króla, więc wydał na nią wyrok śmierci, pisząc list do kata: „Przyjeżdżaj kacie ścinać krakowiankę, bo ona królem wzgardziła”. A kat – zauroczony pięknem dziewczyny – również chciał ją pojąć za żonę. Śliczna krakowianka oczywiście nie chciała być „katową” więc prosiła: „Ach, ścinaj, ścinaj moją białą szyję, niech ja już dłużej nie żyję”. I ten proceder katowski wielokrotnie oglądaliśmy jak najciekawszy horror.

Bywały też recytacje wierszy, związanych tematycznie z różnymi państwowymi świętami czy rocznicami, a czasem też satyryczne drobiazgi, jak ten, gdy recytator zapowiadał z powagą: – Teraz wiersz Adama Mickiewicza pod tytułem „Burza”, po czym z patosem deklamował: „Zahuczało, zagrzmiało i nic się więcej nie stało”. A przemili widzowie, choć słyszeli ten żarcik już wiele razy, radowali się i bili głośnie brawa.

Oklaskiwali też śpiewaną wielokrotnie na różnych akademiach piosenkę zaczynającą się od słów: „Na drogę życia dostałam trzy kwiatki”. Mówiła ona o matczynym sercu, najlepszym ze wszystkich. Gdy zwiędły kwiaty od przyjaciela i od siostry, te od matki nadal były świeże, „bo tylko matka umie

kochać szczerze”. Lubiliśmy tę sentymentalną piosenkę, bo pięknie wyrażała uczucia, którymi darzyły nas nasze mamy.

Bo matki w wiosce mojego dzieciństwa – jak wszędzie indziej, jak zawsze, jak od wieków – bardzo kochały swoje pociechy. I choć na co dzień nie okazywały zbytnej czułości, to przecież serca miały tak wielkie, że mogły pomieścić wszystkie nasze bóle, radości i dramaty. Ciężkie życie, codzienna, nużąca praca, konieczność radzenia sobie w wielu trudnych chwilach, męczące niedostatki, upokarzająca bieda, choroby, nieszczęścia, uciążliwe obowiązki wobec państwa, niezrozumiała polityka i niechciany ustrój – to wszystko sprawiało, że twardniały serca, rodziła się szorstkość i chłód, zmęczenie i zniechęcenie.

Dlatego nie byliśmy maminsynkami. Od maleńkiego dzieciak uczył się życia, doświadczając bólu, trudu i surowości świata. Gdy upadał, rzadko się nad nim litowano; zazwyczaj się śmiano i nakłaniano do wstawania. Malec oglądał rozbite kolana, otrzępywał piasek i dalej się bawił. Babcie mówiły: „Gdy dziecko upada, Matka Boża ręce podkłada”, więc nic złego nie powinno się stać. I tak właśnie było.

Bo wszystko w tym postępowaniu dorosłych było mądre, słuszne i akuratne. Umorusane maluchy bawiły się czymkolwiek: łyżką, drewnkiem, znalezionym piórkiem. Najlepszymi przyjaciółmi dzieci były domowe koty i psy, bo rodzice nie mieli czasu na zabawy.

Ale bywały takie chwile, które na długo zapadały w pamięć: jakieś przytulenie, pogłaskanie po główce, oszczędna pochwała czy uśmiech taki, który był balsamem na serce i lekiem na całe zło. Zdarzało się też czułe zdrobienie przy zwracaniu się do nas, pędraków: córuś, synku, jakiś pocałunek niby mimochodem, cierpliwe czuwanie w czasie choroby, podsuwanie jakiegoś przysmaku schowanego gdzieś w kieszonce fartucha, jakiś spacer za rękę i śmiech, i piosenka. Zawsze czuło się matczyne, opiekuńcze dłonie gotowe do pomocy i gorące serca gotowe do miłości najszczerzej – od pierwszego naszego tchnienia aż po kres ich dni. Takie były nasze matki.

Od świtu krzątały się w domu i w gospodarstwie, wykonując równocześnie kilka prac, czasem nucąc przy tym pobożne pieśni; zawsze czujne, zapobiegliwe, zatroskane, opiekuńcze. Uczyły nas wykonywania różnych prac, podejmowania codziennych obowiązków, przygotowywały nas do dorosłości, choć rzadko uświadamiały w dziedzinie życia intymnego. To było tabu, coś zakazanego więc potrzebną wiedzę zdobywało się od starszych sióstr, koleżanek czy zaprzyjaźnionych, młodych sąsiadek. Często panna wychodząca za mąż nie miała pojęcia o zapobieganiu niechcianej ciąży, o przebiegu porodu czy o życiu intymnym. Ale cały czas matki towarzyszyły swoim dzieciom – nawet dorosłym – w ich radościach i troskach, problemach i dramatach.

Matka Doliny z powieści „Żegnajcie chłopcy” odwiedza go w szpitalu, gdzie znalazł się ciężko ranny w potyczce z bandami, gdy jechał do swojego pułku w Bieszczadach:

„– Paweł, synu! – poczułem jej porowate dłonie na skroniach i twarzy, chłodna kropla upadła mi na policzek.

– Usiądź, płacz nic nie pomoże. Co w domu, jak Heniek?

– Bogu dziękować zdrowy – nie widząc widziałem, jak matka siedzi na brzeżku krzesła, rogami związanej pod brodą chustki wyciera kąciki oczu. Widziałem jej pobrużdżoną twarz – moja wojaczka nie mało tych bruzd przysporzyła – i przygarbioną postać [...]. Myśląc o tym, musiałem chyba jęknąć lub zakląć, bo znów poczułem jej dłonie na skroniach.

– A co doktor? – zapytała”⁷¹.

Miłość naszych mam – choć nie okazywana zbyt spontanicznie – była mocna i prawdziwa, a zarazem zazwyczaj dramatyczna i bolesna, bo nie mogły nam zapewnić tego, czego dla nas chciały, o czym skrycie marzyły. Robiły jednak wszystko, co było w ich mocy, bo pragnęły – choć nie nazywały tego tak wzniośle – dać nam solidne podstawy, by nauczyć nas żyć i lekkie skrzydła, byśmy mogli wyfrunąć w świat. W ciepłych ramionach naszych mam było dobrze i bezpiecznie. Pragnęły naszego szczęścia, chciały być z nas dumne, przestrzegały przed złem świata i przed czynieniem zła innym.

– Pamiętaj, jeśli kogoś skrzywdzisz, ktoś kiedyś skrzywdzi ciebie – mówiły.

A często, gdy już ucichał uśpiony dom, a na ciemnogramatowym niebie jarzyła się złotym blaskiem plejada gwiazd, długo jeszcze stały w ciemnym oknie, marząc o szczęśliwej przyszłości dla swoich dzieciaków i czekając, że jakaś spadająca gwiazda będzie zapowiedzią tego szczęścia.

A jesień puszyła się coraz intensywniejszymi barwami. Była prawdziwie polska – złota, piękna, zazwyczaj pogodna, choć też czasem po niebie pędziły ciemne chmury podobne do tabunów rozszalałych koni, zrywały się zimne wiatry, przynoszące deszcze siekące w okna, a drzewa – otulające każde domostwo – szarzały i zaczynały gubić swoje liście. Ale po kilku dniach znów błękitniało niebo, na trawach w promykach słońca lśniły pajęczyny babiego lata, jeszcze całe w deszczowej, bladej mgle, a drzewa znów odzyskiwały intensywne, rdzawożółte barwy. I tylko dęby stały wciąż zielone, bo one najpóźniej zmieniały kolor, a ich liście niekiedy trzymały się przez całą zimę na ośnieżonych gałęziach.

Mały synek sąsiadów bawiący się na podwórku z ulubionym kotkiem popatrzył w zbiele niebo i krzyknął:

– Mamo, chodź szybko, zobacz!

Wysoko w górze płynął na tle obłoku wielki klucz dzikich gęsi, a ich charakterystyczny klangor niósł się daleko przez wieś. Sąsiadka wybiegła przed dom i przesłoniwszy oczy ręką zapatrzyła się w odlatujące ptaki. Trwała tak

przez krótką chwilę, po czym westchnęła z żalu za uchodzącym latem, ucałowała umorusaną mordkę najmłodszego synka i poszła do swoich zajęć.

Jesień zawsze kojarzyła się nie tylko z melancholią, ale też z radością, bo była porą wesel.

Mające się odbyć we wsi wesele było na ustach wszystkich. I było wielkim, barwnym świętem wśród codziennych, szarych dni. Poprzedzało je – czasem nawet kilkuletnie – „zalykanie się”, bo tak nazywano dzisiejsze „chodzenie z sobą”. Inicjatywa zawsze należała do mężczyzny. Gdy chłopak śmiało mógł „smalić cholewki” do dziewczyn, czyli je podrywać, to dziewczyna mogła jedynie nieśmiało się uśmiechnąć, ale i tak mówiono ze zgorszeniem, że strzela oczami zamiast czekać na zainteresowanego nią kawalera, zgodnie z powiedzeniem: „Siedź w kącie, a znajdą cię”. Wstydlivość dziewcząt była uznawana za cnotę, a wykwitające na policzkach rumieńce – dziś raczej niespotykane – za dowód niewinności i skromności.

Gdy jednak latka leciały, a absztyfikant się nie pojawiał, do akcji wkroczyli rodzice i sami upatrywali kandydata na zięcia oraz omawiali tę sprawę z jego rodzicami, nie licząc się zbytnio ze zdaniem młodych. Zresztą dziewczyna – obawiając się staropanieństwa, którym wszyscy ją straszili – godziła się na wszystko. Sprawę najczęściej załatwiał tzw. „faftur”. Bronisław Harla wspomina, że taką funkcję w wiosce swojego dzieciństwa pełnił Stanisław Ziobro. Był bardzo skuteczny, więc odwdzięczano się wódką, jajkami, kiełbasą i zapraszano go na wesela.

Kawaler – wystrojony odświętnie – w białą koszulę z długimi rękawami [męskie z krótkim rękawem chyba w ogóle nie istniały; w lecie można było jedynie podwijać rękawy] i ciemny garnitur, w półbutach lub trzewikach wyczyszczonych „na glanc” przychodził w sobotnie lub niedzielne wieczory do domu panny. Tam w obecności całej rodziny rozmawiano o sprawach ogólnych, dotyczących wszystkich: o gospodarce, polityce, pogodzie.

Nie było mowy o jakiś „zalycankach”, a dziewczyna mogła jedynie odprowadzić chłopaka do wrót i krótko z nim porozmawiać na osobności, ale nie pokazywała się z nim publicznie. Pewne możliwości – co zakochani zawsze potrafili wykorzystać – dawały wieczorne nabożeństwa w kościele, majówki pod kapliczkami, zabawy taneczne czy spotkania w świetlicy; jednak trzeba było uważać, żeby nie stać się powodem plotek czy zgorszenia. Niekiedy takie „zalecanie się” trwało nawet kilka lat.

Gdy wszyscy przyzwyczaili się do sytuacji, że młodzi „majo sie ku sobie”, można było już bardziej oficjalnie pokazywać się razem: wracać z kościoła, iść na zabawę, spotykać się pod sklepem, odwiedzać krewnych czy bliskich znajomych. Ale wciąż unikano jakichś serdecznych gestów, trzymania się za ręce czy przytulań, które mogły obrażać opinię publiczną. Rodzice dziewczy-

ny, choć zazwyczaj znali kawalera – wszak najczęściej pochodził z tej samej miejscowości – bacznie go obserwowali i oceniali.

Najbardziej liczyła się pracowitość, odpowiedzialność, zaradność, hart ducha, spryt, religijność; mało zwracano uwagi na wygląd zewnętrzny czy na siłę jego uczucia, tolerowano skłonność do kieliszka, nawet do bójek, co traktowano jako oczywiste u mężczyzny, bo mawiano, że „młodość musi się wyszumieć”. Natomiast wszelką słabość, niezaradność, delikatność, uległość uważano za niemęskie mazgajstwo, budzące pogardę i lekceważenie. Mąż musiał przecież zapewnić przyszłej rodzinie byt, opiekować się nią, zarządzać gospodarstwem, być odpowiedzialnym, zaradnym, odpornym na przeciwności losu, twardym w dążeniu do celu. No i byłoby dobrze, żeby – jak mówiono – był choć trochę ładniejszy od diabła. To wystarczało.

Natomiast ogromną rolę dla pragnących się pobrać pełniła sprawa majątku. Wiano powinna posiadać każda panna, nawet ta najbiedniejsza. Taka dziewczyna wynajmowała się np. do pracy w polu u bogatszych gospodarzy, by zarobić na uszycie pościeli, obrusów, nocnych koszul, zakup nowych ubrań czy domowych sprzętów.

O bogatą pannę starali się najczęściej majątni kawalerowie, bo biedny zazwyczaj nie miał szans. Jednak zdarzało się czasami, że niebogaty, ale sprytny i zaradny chłopak zdobywał bogatą dziewczynę i był szanowanym zięciem. Choć też bywało tak, jak w tej ludowej przysłówce: „Kiedym się zalycoł kiełbasy wisiały, kiedym się łożeniuł, dziesik się podziały. Kiedym się zalycoł mówiły my zięciu, kiedym się łożeniuł, gorzy niż bydlęciu”.

Trudniej było znaleźć kandydata na męża, gdy panna nie miała żadnego posagu; wioska mojego dzieciństwa była uboga, więc takich było wiele – i na dodatek pochodziła z wielodzietnej rodziny, gdzie majątek trzeba było podzielić na wszystkie dzieci. Mówią o tym słowa innej ludowej piosenki, którą śpiewało „Mazowsze”: „Jado goście, jado koło mego sadu, do mnie nie przyjado, bo ni mom posagu”.

Niekiedy więc takie dziewczyny zostawały starymi pannami, a status starej panny był bardzo niski i los często ciężki. Żyły przy rodzinach, wykonując najcięższe prace i spotykając się wielokrotnie z lekceważeniem i pogardą otoczenia. Jeśli w końcu wychodziły za mąż, to najczęściej za dużo starszych od siebie wdowców potrzebujących rąk do pracy i opieki nad dziećmi, lub za kawalerów z bardzo biednych rodzin, a czasem kalekich, pijaków czy obiboków, skazujących te dziewczyny na smutny los.

Ale ponieważ samotna kobieta nie mogła sobie poradzić w domu i w gospodarstwie bez pomocy mężczyzny, więc często – za sprawą intensywnych zabiegów wiejskich „swatek” i rodziny – dziewczyny decydowały się na małżeństwo nawet z niekochanym czy niewiele wartym kandydatem.

Status mężatki był zdecydowanie wyższy niż kobiety samotnej, a i mężczyzna pragnął ożenku, bo potrzebował opiekunki, gospodyni, partnerki, która urodzi mu syna. Tak było od dawna, o czym świadczy cytat z „Chłopów” Reymonta:

„Która i głupia jest, i niemrawa, która zaś kłótnica, która do chłopskich kołtunów sięgająca, która paparuch a latawiec po muzykach i karczmach, a zawsze chłopu z nią lepiej i wygodą”⁷².

Panowało przekonanie, że kobieta powinna być silna, zaradna, „krzepka jak rzepa”, pracowita, oszczędna, rozrośnięta w biodrach, by łatwo rodziła dzieci, dość pulchna, bo – jak mówili żartobliwie kawalerowie – taka to w ziemi zagrzeje, a w lecie posłuży cieniem.

W planowaniu małżeństwa miłość niewiele się liczyła, choć przecież była ważnym uczuciem; jednym z najważniejszych, jakich doznaje każdy człowiek. Tak było od wieków i tak będzie zawsze, bo taka jest ludzka natura. Ale nawet najbardziej szalona miłość niekoniecznie kończyła się małżeństwem, choć były też małżeństwa bardzo się kochające. Częściej jednak łączył pary wzajemny szacunek, odpowiedzialność za przyszły los, zrozumienie potrzeb partnera, wychowywanie dzieci, wspólne troski – no i gospodarstwo.

Miłość romantyczna była czymś, co przytrafiało się w książkach, w filmach, o których pisała popularna „Przyjaciółka”, ale też grą instynktów, czymś szalonym, najczęściej potajemnym, skrywanym przed otoczeniem. Taka szalona miłość zdarzała się i w wiosce mojego dzieciństwa, ale najczęściej rozsądek i presja rodziców brały górę i rozdzielały zakochanych; każde znajdowało odpowiedniego partnera do małżeństwa i szło swoją drogą. Mówiono, że miłość jest jak odra; niestety, trochę trzeba pocierpieć, ale po jakimś czasie sama przechodzi.

Niekiedy młodzięcza miłość małżonków po pewnym czasie wypalała się i nie było na to żadnego lekarstwa; ale małżeństwo było związkiem aż do śmierci, traktowanym jako coś oczywistego, a przysięga przed ołtarzem i więzy rodzinne – świętością.

W pamiętnikach wielu młodych dziewczyn z wioski mojego dzieciństwa zapisana była maksyma: „Dwa serca złączone, klucz rzucony w morze. Nikt nas nie rozłączy, tylko Ty, o Boże!”. Jednak, gdy wielka miłość umierała, wtedy przychodziło rozczarowanie, ból, zawiedzione nadzieje, poczucie przegranego życia.

Niejedną znów Panna Młoda, która „wydała się” za niekochanego chłopaka, popłakiwała początkowo po kątach, ale w codziennym zmaganiu się z życiem łzy powoli obsychały, a zawiedzione uczucie – coraz głębiej spychane w głąb duszy – powoli gasło. Dawni zakochani, nie widzący świata poza sobą unikali się nawzajem, a gdy się nawet spotkali, to udawali obojętność, by nie budzić dawnych uczuć i nie otwierać starych ran.

Jeśli czasami pojawiały się zakazane romanse, to i tak małżeństwo nadal trwało, bo przecież przysięgało się przed ołtarzem, miało się wspólny dorobek, rosły dzieci. Mężczyznom wybaczano zdrady mówiąc, że pewnie żona nie dbała właściwie o swego męża, natomiast zdradzającą kobietę bezwzględnie potępiano nazywając dziwką i wywłoką.

Zdarzały się też młodzieńcze zauroczenia, które kończyły się niechcianymi ciążami. Mężczyznom to zazwyczaj uchodziło na sucho. Natomiast dziewczyna z dzieckiem była napiętnowana przez księdza i przez opinię publiczną, rzadko znajdowała męża, a los jej i dziecka, które nazywano „bękartem” lub „znajdą” był nie do pozazdroszczenia.

Urodzenie nieślubnego dziecka było wstydem, skandalem, strasznym ciężarem i dramatem dla kobiety. Tak jak „stara panna” pozostawała w domu rodzinnym i musiała ciężko pracować, by utrzymać siebie i dziecko. Odsuwała się od świata; nie brała udziału w zabawach czy wiejskich uroczystościach, czuła się winna i upokorzona.

Ojciec dziecka zazwyczaj szybko – na skutek intensywnych działań rodziny – zapominał o niedawnym romansie i zgodnie z powiedzeniem, że „tego kwiatu to pół świata”, szybko znajdował inną kandydatkę na żonę. Niekiedy jego rodzice dawali porzuconej dziewczynie jakąś rekompensatę, żądając, by zapomniała o przeszłości, na co najczęściej się godziła. Wieś też zapominała, bo mężczyznom wciąż łatwo wybaczano grzechy młodości.

Zdarzało się również, że młodzi zakochiwali się, ich status społeczny był podobny, ale jedni z rodziców – z jakichś powodów – zabraniali małżeństwa. Gdy nie pomogły płacze i błagania zakochani ustępowali, szukając innych kandydatów, lub zgadzając się na tych wybranych przez rodziców, bo wola rodziców – od których byli zależni finansowo – była wciąż jeszcze czymś świętym.

Bohater powieści „A jak królem, a jak katem będziesz” – Jasiek, mieszkający w przedwojennej podtarnowskiej wiosce, postanowił ożenić się z wdówką o niezbyt dobrej opinii i na dodatek z innej wsi. „Ożenek swój trzymał w tajemnicy przed wszystkimi. Miał ochotę pobrać się z wdówką, a wiedział, że ojcowie raczej pójdą na kolanach do Rzymu, niż przystaną na to. Przeto chciał przepłacić proboszcza, żeby pierwsze, drugie i trzecie zapowiedzi wyszły razem i w ten sposób ojców wprowadzić do żywego rozpieklíč, ale równocześnie jak najmniej czasu zostawić im do deliberowania”⁷³.

Gdy – mimo sprzeciwu rodziców – młodzi, nie widzący świata poza sobą, upierali się i w końcu się pobierali, nie mogli liczyć na niczyją pomoc. Borykali się samotnie z losem, zdani tylko na siebie, mając przeciwko sobie nie tylko rodzinę, ale i mieszkańców wioski bacznie obserwujących ich życie i patrzących, kiedy ich związek zakończy się klęską. Zdarzali się jednak zwycięzcy w tej walce o miłość, gdy ich pracowitość, zaradność, hart ducha,

wzajemna troskliwość i życzliwość wobec sąsiadów sprawiały, że po jakimś czasie zyskiwali szacunek, uznanie otoczenia i akceptację rodziny.

Najbardziej na wsi chwalono takie dziewczyny, które całkowicie poświęcały się mężowi, dzieciom i gospodarstwu. Bohater powieści Nowaka cenił to, że „koszule były nakrochmalone i wyprasowane, zacerowane najmniejsze dziurki w spodniach i marynarkach, przyszyte wszystkie guziki”⁷⁴. A w popularnej piosence ludowej mężczyzna tak formułuje swe oczekiwania: „Jo jest prosty chłop łód pługa, mie trza baby do roboty, nie na żadne beśtefranty, utrapienia i kłopoty”.

Gdy młodzi i ich rodzice akceptowali plany małżeńskie organizowano tzw. „poseliny”, czyli spotkanie obydwu zainteresowanych stron w celu uzgodnienia spraw majątkowych.

Bronisław Harla – który nie miał już rodziców – wspomina: „Sam nie miałem śmiałości pytać się rodziców mojej żony o posag. A to wtedy nie była błaża rzecz.[...] Więc poszedłem do poważnego gospodarza, Jana Skowrona, i poprosiłem go, by mnie w tym wyręczył. Zgodził się chętnie [...]. W oznaczonym dniu wziąłem siostrę Jadwigę, szwagra Piotra Jarosza, no i trochę wódki i razem poszliśmy do przyszłych teściów, do Karola Wilczyńskiego na te poseliny. [...] Wszystko załatwiał Skowron”⁷⁵.

Na takim i na kolejnych spotkaniach rodziców i „narzeconych” [tak odtąd nazywano Młodych, choć nie było typowych zaręczyn] omawiano też m.in. sprawy związane ze ślubem cywilnym, czyli obowiązującym aktem prawnocywilnym, który traktowano tylko jako uciążliwy wymysł nowych władz.

Godzono się jednak na taki ślub, bo wiadomo było, że państwo nie honoruje tego kościelnego oraz dokumentów wydanych przez proboszcza. Nie wiązały się ze tym ślubem cywilnym żadne uroczystości. Podpisywano w obecności obowiązkowych dwu świadków określone dokumenty i wracano do codziennych zajęć, czekając na ten prawdziwy, w kościele, w blasku świec, organizowany z wielką pompą i zakończony barwnym weseliskiem.

Podczas spotkań rodziców ustalano też, gdzie młodzi małżonkowie będą mieszkać, ile dziewczyna wniesie w wianie pierzyn, poduszek, ręczników, kto im da pierwszą krowę i drób, kiedy i jakie będzie wesele, kogo się zaprosi i komu powierzy się najważniejsze na weselu funkcje – starostowania. Liczono osoby, które trzeba zaprosić, ilość Drużek i Swatów. Ustalano, kto będzie przygrywał na weselu i zamawiano muzykantów. Należało to zrobić na długo przed wybranym na ślub terminem, bo np. kapela mojego ojca miała kalendarz zapisany co najmniej na rok z góry. Trzeba było też dać zadatek, który nie był duży, bo muzycy zarabiali na odgrywaniu gościom i zamawianiu przez nich ulubionych „kawałków”.

Od tego dnia narzeczeni już mogli się pokazywać razem, chociaż okazywanie sobie publicznie czułości było i wówczas źle widziane.

Jednym ze śmiesznych zwyczajów w wiosce mojego dzieciństwa było to, że taki „żeniak” nosił swej dziewczynie torebkę, idąc z nią do kościoła czy na zabawę. Torebki były dość toporne; czasem skórzane, ale najczęściej z jakiejś dermy – prostokątne, twarde, ze sztywnymi uchami. Choć pokraczne, miały być przecież dodatkiem do kobiecego ubioru, a niesione przez mężczyznę w garniturze – często idącego też z papierosem w ustach – wyglądały strasznie „obciachowo”. Na dodatek – niestety – ci tak uczynni kawalerowie, niezbyt potem garnęli się do pomocy swym żonom, noszącym ciężkie torby, worki czy pełne wiadra.

Przygotowania do wesela trwały długo. Najpierw trzeba było dać na zapowiedzi w kościele. To spotkanie było dla narzeczonych bardzo stresujące, bo proboszcz tępił wszelkie próby bliższych kontaktów przed ślubem, a zawsze był świetnie o wszystkim poinformowany przez usługane parafianki. Po udzieleniu nauk, napomnień i odpytaniu delikwentów ze znajomości najważniejszych zasad religii [co zawsze budziło popłoch u Młodych], odbierał „co łaska”, zapisując dane narzeczonych. Następnie przez trzy niedziele Młodzi „spadali z ambony”, czyli były ogłaszane tzw. zapowiedzi przedślubne, na które wszyscy z ciekawością czekali.

Rzadko zdarzało się, że były niespodzianką dla ludzi zgromadzonych na nabożeństwie; ale w takim przypadku stawały się sensacją, którą żywo komentowano przez następne dni. Nie brakowało wiejskich plotkarek, które nie zostawiały na delikwentach suchej nitki, dziwując się takiemu związkowi i przepowiadając mu same nieszczęścia. Zresztą tematów do plotek nigdy nie brakowało. Wstydem np. było to, gdy chłopak był niższy od dziewczyny. Takich par prawie nie było, a jeśli się zdarzały, to budziły zawsze ironiczne komentarze. Również duża różnica wieku narzeczonych rodziła złośliwe plotki, choć tu opinia publiczna była bardziej tolerancyjna; zwłaszcza, gdy np. starszy już wdowiec żenił z młodą dziewczyną.

Mimo różnych zastrzeżeń zazwyczaj ludzie się cieszyli, że we wsi będzie się coś ciekawego działo; nie było przecież wielu powodów do radości. Sąsiedzi i krewni czekali na zaproszenie, podrostki szykowały bramę, a w domach narzeczonych zaczynało się prawdziwe urwanie głowy.

Należało dość wcześnie znaleźć odpowiednią kucharkę. Sprowadzano je nawet z odległych wiosek, a te renomowane – jak popularna w mojej wiosce „Laszka” – miały wiele zamówień. Kucharka była osobą poważaną i na weselu rządziła niepodzielnie całym zapleczem kuchennym. Żądała do pomocy wielu dziewcząt, co zresztą było dla nich fajną przygodą i rozrywką, choć wymagało wiele pracy. Chętnych – spośród zaproszonych na wesele – nigdy nie brakowało. I tu akurat nie sprawdzało się stare powiedzenie, że: „Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść”, bo dziewczyny, przywykłe do pomagania mamom w kuchni, uwijały się jak fryga.

A zapraszać szło się lub jechało furmanką w niedzielę, w odświętnym ubraniu; nigdy nie wysyłano zaproszeń pisemnych, chyba, że do bardzo odległych miejsc, np. do Ameryki. A przyjazd na wesele takiego amerykańskiego wujka to zawsze było nie lada wydarzenie i wielki splendor dla rodziny.

Zapraszającym Młodym towarzyszyli często rodzice. Była to okazja do odwiedzin – nieczęstych przecież – i do rozmów na różne ważne tematy. Witano się najczęściej słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, albo skróconą wersją: „Pochwalony”. Kobiety przytulały się całując w oba policzki, a mężczyźni podawali sobie ręce śmiejąc się, że „bedzie dyszcz, bo się baby całują”. Najczęściej nie trzeba było nikogo przedstawiać, bo wszyscy się znali. Gospodarze proponowali jakiś „kieliszeczek”, czasem pojawiał się na stole kompot; rzadko – herbata. Bywał też „jabkowiec” albo słodki drożdżowy placek z kruszonką, pokrojony w kromki, które jadło się z ręki.

Nikt nie odmawiał przyścia na wesele. To był zaszczyt, to była radość, nieczęsta okazja do zabawy i do wspólnego przebywania z rodziną; czasem rzadko widywaną. Tylko gdy ktoś miał żalobę, wtedy przez cały rok nie brał udziału w żadnych uroczystościach; nosił czarny ubiór, na rękawie przyszywał czarną przepaskę i zachowywał się poważnie, tak jak tego oczekiwano. Jeśli kogoś z rodziny – podczas zapraszania – z jakichś powodów pominięto, to długo chował urazę i rewanżował się tym samym.

W czasie zaprosin rozmawiano o przygotowaniach do wesela, o tym, gdzie młodzi będą mieszkać, z czego się będą utrzymywać, komentowano też bieżące wydarzenia polityczne, mówiono o codziennych problemach, chorobach, o pogodzie i o sąsiadach.

Natomiast o ubiorach, modzie, makijażu nikt nie rozmawiał. Nawet strój Panny Młodej nie budził zbytniego zaciekawienia. Wiadomo było, że suknia ma być biała, długa, pod samą szyję, od pasa kłoszowa lub marszczona, z długimi rękawami i welonem też długim, zakrywającym włosy, ozdobionym gałazeczkami zielonego mirtu.

Sukien ślubnych się nie kupowało. Przechowywano je z pokolenia na pokolenie, czasem pożyczano od krewnych czy znajomych, szyto z firanek – jeszcze sprzed wojny, czy ze zdobytego jakimś cudem, lub przysłanego w paczce z USA kuponu materiału: jedwabiu, cienkiej mory czy tiulu.

Krawcowe przed każdym ślubem miały pełne ręce roboty: szyły, przerabiały, pruły, dopasowywały, ozdabiały kokardkami, różyczkami z materiału, czasem perełkowymi koralikami pożądaną kreację dla Panny Młodej. Również Drużki, których każda wychodząca za mąż dziewczyna chciała mieć jak najwięcej, szyły nowe sukienki lub przerabiały, przesywały, dopasowywały posiadane ciuszki, by móc wyglądać jak najpiękniej. Przygotowywały też bukiety dla swych Swatów.

Niektóre mogły ich wybierać z przedstawionej listy, ale innym dostawali się „z przydziału”. Nie zawsze były zadowolone, bo przecież należało całe wesele być razem; i w tańcach, i przy stole. Bywało też tak, że na weselu zawiązywały się bliskie znajomości czy rodziły się miłości, które zapowiadały kolejne małżeństwa.

Gdy Panna Młoda nie mogła się dogadać z Drużkami co do przydziału Swatów, pozostawiała wybór własnemu losowi. Przystojny, bogaty, dobrze tańczący chłopak był kimś wymarzonym, więc dziewczyny rywalizowały o niego w ten sposób, że starały się przyjechać na wesele jak najwcześniej i przypiąć mu bukiet przed innymi.

Czasem sytuacja wyglądała zabawnie, gdy kilka dziewcząt „czyhało” na jednego chłopaka, a jak się pojawił, biegły jedna przed drugą, by mu przyszpilić bukiet i tak go „zaklepać” dla siebie. Pozostałe musiały się zadowolić tymi, którzy jeszcze oczekiwali na wybór.

Zdarzało się, że jakaś para czuła do siebie niechęć albo Swat szybko się upił, wtedy jego Drużka zazwyczaj „siała rutkę”, bo inne dziewczyny dobrze pilnowały swoich partnerów i nie chciały się nimi dzielić. Starsi mężczyźni woleli tańczyć z zamężnymi gospodyniami; bardziej odważnymi i lepiej znającymi dawne tańce i przyśpiewki.

W czasie zaprosin umawiano się też, jakie produkty potrzebne do weselnych wypieków ofiaruje dana rodzina. Znoszono więc potem jaja, mąkę, sery, niekiedy przyprawy pochodzące z zagranicznych paczek: pieprz, kakao, cynamon czy rodzyнки. Przynoszono też oskubane kury oraz pożyczano talerze, garnki, łyżki i inne potrzebne drobiazgi.

W tygodniu poprzedzającym wesele wszyscy zwijali się jak w ukropie. Zaproszone do pomocy dziewczyny pod surowym okiem kucharki ubijały pianę, miały mak, tarły w makutrach ser, przygotowywały ciasto, mieszały z drożdżami, miesiły, wałkowały „tolokiem” okrągłe plaki, pilnowały piekących się ciast, myły naczynia, pomagały w sprzątaniu i ozdabianiu weselnego domu tasiemkami z kolorowej bibuły. Mężczyźni przygotowywali wiktuały z zabitych świń czy cieląt, zbijali podłogę z desek, pod które podkładali grube „lygary”, przybijali gwoździe, sprawdzali gładkość i wytrzymałość tej podłogi, układali stoły i ławy, pokrzepiając się doprawianą właśnie przez Pana Młodego wódką, bo to on był odpowiedzialny za alkohol, który musiał smakować gościom i którego nie mogło zabraknąć.

Jeśli wesele odbywało się zimą, przygotowywano największą izbę w domu dziewczyny lub wynajmowano duże pomieszczenie u sąsiadów; jesienią czy wiosną można było tańczyć na boisku, a latem na świeżym powietrzu. Wtedy to zbijano stoły z desek opartych na tzw. „krzyżokach”, czyli skrzyżowanych belkach, a wokół nich stawiano drewniane ławy, a właściwie deski położone na pustakach; czasem dla ochrony ubrania przed zadziorami

przykryte – tak jak stoły – szarym, „pakowym” papierem przybitym gwoździkami. We wszystkich przygotowaniach brali oczywiście udział Młodzi.

Przed wojną, gdy rodzina panny gnieździła się w maleńkiej chałupce, wynajmowano pomieszczenie w jakimś dużym domu, np. u Bonarów, mieszkających na końcu wsi; później też w ludowcu.

W przeddzień wesela odbywały się tzw. „Dobranocki”, w których uczestniczył Pan Młody i drużbowie.

Bronisław Harla wspomina: Musiałem iść ze skrzypkami do wszystkich zaproszonych gości, tak od domu do domu, i pod każdym z nich grać i śpiewać skoczne melodie. I jeszcze raz prosić wszystkich na wesele. Zeszło nam na tym prawie do rana”⁷⁶. Szkoda, że ten uroczy zwyczaj został po wojnie zapomniany.

Narzeczeni nie mieli dużo czasu na zabiegi pielęgnacyjne tuż przed ślubem; zwłaszcza Panna Młoda, która – jak to dziewczyna – chciała być w tym dniu najpiękniejsza.

Niekiedy postępowała tak, jak Iwa z powieści Mikołajka „Tryptyk na śniegu”, która podstawiała dłonie pod spadające z liści krople rosy: „Zwilżała sobie nimi usta. Podobno rosa to najczystsza woda – śmiała się. – Najlepiej myć się rosą, najzdrowiej na twarz”⁷⁷.

Jeśli dziewczyna miała długie włosy, spletała je i spinała na głowie pod welonem, gdy krótkie – już wcześniej robiła trwałą ondulację. Rano przed ślubem wystarczyło się starannie uczesać, umyć, ewentualnie wetrzeć troszkę kremu „Nivea”, poszczypać policzki, żeby nabrały barw – i już można się było stroić.

Nie robiono specjalnych makijaży, a ilość dostępnych kosmetyków można było policzyć na palcach. Wśród nich był „Krem Tatrzański”, o lekkiej konsystencji, delikatnie, choć niezbyt pięknie pachnący, jakaś ścierająca się, o ordynarnym kolorze szminka czy tusz do brwi i rzęs, rozmazujący się i zostawiający pod oczami czarne smugi.

Planująca płakać – zgodnie ze zwyczajem – Panna Młoda najwyżej kawałeczkiem węgielka przyczerniała sobie brwi i unikała szminki, bo przecież musiała wyciąlować wszystkich gości, a zresztą – w kościele powinna wyglądać skromnie i niewinnie.

Sukienka i obowiązkowa halka czekały gotowe na wieszaku. Mama, lub przybyła wcześniej Pierwsza Drużka, upinały Pannie Młodej welon, przypinały gałązeczki mirtu i można już było w pełnej krasie witać gości.

A ponieważ śluby odbywały się zawsze przed południem, to pierwsi goście już się zaczęli zjeżdżać i schodzić.

Najpierw Starosta i Starościna zwana Swaszką z zapasem wódki, którymi musieli częstować w czasie trwania wesela, gdy goście zaczynali przyspiewywać: „A Starosta nie w lesie i pół litra przyniesie”, czy „Starościna staroście obiecała na moście” itp. Wkrótce Starosta ze Swaszką i z rodzica-

mi Panny Młodej witali goście i zapraszali do domu – pięknie przystrojonego kolorowymi bibułkami – na mały poczęstunek.

Tymczasem kapelę zawożono najpierw do domu Pana Młodego, gdzie przygrywała przybyłym tam gościom, którzy tworzyli orszak towarzyszący narzeczonemu. Wesoła kawalkada z fasonem zajeżdżała przed dom weselny: konie pięknie wyczyszczone zgrzeblę i wiechciem słomy, że ich sierść aż lśniła, z ozdobnymi klapkami przy ślepiach i z dzwonkami u chomąt, wozy też najlepsze, niekiedy na gumowych kołach, Pan Młody odświętnie ubrany i ostrzyżony – w otoczeniu Swatów i muzykantów – szpan i szyk!

Tadeusz Nowak tak opisuje taką ślubną kawalkadę: „Błaszi na końskiej uprzęży były wyczyszczone do połysku popiołem, drewniane części chomąt politurowane, a skóra natarta sadłem. Konie wyzgrzeblone i wyszczotkowane [...] szły z łbami uniesionymi do wierzbowych gałązek, strzygąc uszami. W naprężonych brzuchach grały śledziony”⁷⁸.

Po uroczystych powitaniach przy skocznej muzyce orkiestra podchodziła do kolejnych gości i odgrywała każdej rodzinie dziarskie marsze, bacząc, by nikogo nie pominąć, co byłoby wielkim nietaktem i powodem obrazy.

Takie piękne, weselne marsze były specjalnością kapeli „Jarosów”. Znali ich całe mnóstwo. Potrafili zagrać każdy, o jaki proszono. Mieli też kilka ulubionych, które były ich „znakiem firmowym”. Grali pięknie, z pasją, całym sercem. Wobec tych rytmicznych melodii nikt nie mógł pozostać obojętny.

Już po śmierci ojca jeden z mieszkańców wioski mojego dzieciństwa, uczestnik wielu wesel, mówił z żalem: – Tak jak Jarose zagrali marsza, nie zagra już nikt.

Bo oni bardzo się starali, kochali muzykę i zawsze grali z pasją i ochotą. Przed każdym weselem i zabawą zbierali się w naszym domu, by przeciwzyć stare i nauczyć się nowych „kawołków”. Gdy w radiu pojawił się jakiś modny przebój, można było być pewnym, że „Jarose” zagrają go na najbliższym wesele. Prenumerowaliśmy też czasopisma, w których zamieszczano nuty i słowa nowych piosenek, m.in. „Nową Wieś”. Ojciec i jego brat Staszek znali nuty, bo jako młodzi chłopcy uczęszczali na prywatne lekcje do nauczyciela Władysława Borowieckiego z Nagoszyna. Pozostali członkowie kapeli uczyli się tych nowych melodii „ze słuchu”.

Ojciec w dniu uroczystości wyjmował z futerału wyłożonego miękkim zamszem lśniący saksofon i czyścił go delikatnie specjalną, miękką szmatką, dobierał drewniany stroik czyli „blacik” przysłany aż z Ameryki, próbował brzmienia instrumentu, sprawdzał zapasowe stroiki i przynosił rzemienny „halsztuk” zakończony haczykiem, który podczas grania zawieszał na szyi, by zaczepić na tym haczyku saksofon.

Futerał miał wewnątrz mały schowek, gdzie ojciec czasem chował papierozy. Przynosił w nim dla nas weselne ciastka, ofiarowane przez kucharkę,

które – choć pachniały tytoniem, a czasem nawet były trochę oprószone tytoniowymi drobkami i najczęściej pokruszone – zawsze cudnie smakowały.

Jak nakazywał zwyczaj, weselni goście witani przez orkiestrę przystawali, kłaniali się wszystkim i czekali do końca melodii; czasem podrygiwali do rytmu lub podśpiewywali, a na koniec wrzucali do bębna pieniądze i zasiadali za stołem, lub stojąc pogadywali z innymi weselnikami. Znajomi witali się, dziewczyny flirtowały z kawalerami, dzieci biegały z piskiem, urządzając sobie jakieś zabawy, prowadzono ożywione rozmowy, grała muzyka, parskaly konie. Było głośno, radośnie, uroczyście i pięknie; zwłaszcza, gdy dopisywała pogoda.

Ale bywały też wesela w strugach deszczu czy w trzaskające mrozy, jak tamto u jednego z sąsiadów – Iskry. Wyglądaliśmy przez małą dziurkę wychuchaną w zamarzniętym grubo oknie na podjeżdżające sanie. Furmani pilnujący koni, nad którymi unosiły się kłęby pary, musieli oczekiwać na wyjazd do kościoła przy swoich zaprzęgach. By nie zamarznąć na ponad trzydziestostopniowym mrozie przytupywali, pobijali rękami o boki i nacierali uszy śniegiem. Drzewa rosnące wzdłuż gościńca ledwo dźwigały gałęzie ciężkie od zmrożonego śniegu. Na chałupach, płotach, na podwórkach leżała gruba warstwa białego puchu.

Wreszcie wytoczył się z izby orszak weselników, ale w grubo okutanych, zakapturzonych postaciach nikogo nie można było rozpoznać. Szybko ruszono, a po powrocie z kościoła wesele tłoczyło się w izbach i tylko czasem, gdy ktoś wybiegł na chwilę w jakiejś potrzebie, buchały w ośnieżoną przestrzeń śpiewy weselników i skoczna muzyka.

Zimowych wesel jednak unikano, bo i w kościele panował ziąb, a czasem dodatkowym utrudnieniem były zasy na drodze, wiodącej wśród pól, nieosłoniętej przed wiatrami, a przede wszystkim w „Górach”, gdzie hulające na otwartych przestrzeniach wiatry nawiewały wielkie masy śniegu. Dlatego najczęściej wesela odbywały się latem, a zwłaszcza jesienią, gdy już była mąka z nowego zboża, wykopane ziemniaki i wyrwane jarzyny. Wesela mogły być wtedy obfitsze i tańsze. Niestety, jesienią – tak jak i wczesną wiosną – droga do Nagoszyna tonęła w błocie.

W „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas” możemy oglądać bobrowskie orszaki weselne i różne scenki z wesel, utrwalone na starych fotografiach⁷⁹.

Jednym z najważniejszych momentów wesela było błogosławieństwo rodziców. Biada, gdy Młodzi pobierali się wbrew woli rodziców, bez pobłogosławienia na nową drogę życia. Uważano, że to bardzo źle wróży ich małżeństwu, co było uzasadnione; nie mogli liczyć na pomoc rodziny, opinia publiczna była im niechętna, więc sami musieli się trudzić na swoim gospodarstwie. Najczęściej jednak po kłótniach, płaczach i prośbach dochodziło do ugody i wesele mogło odbyć się zgodnie z tradycją.

Goście zebrani na „łobeściu” czekali na wyjście Młodych z domu, gdzie odbywała się ta ceremonia błogosławieństwa i gdzie przebywali tylko najbliżsi. Tam na małym kilimku klękała Młoda Para. Pan Młody – poważny i trochę sztywny; w ciemnym, najczęściej czarnym garniturze i białej koszuli, miał tak jak Swacia przypięty bukiet, ale nie w lewej, tylko w prawej klapie marynarki. Panna Młoda też już w pełnej krasie – w bielutkiej sukni i welonie – popłakiwała z cicha za kończącym się panieństwem.

Rodzice, podchodząc do Młodych, po kolei znaczyli im krzyżyk na czole, dawali do pocałowania krucyfiks, czasem kropili gałązeczka świerkową pomoczoną w wodzie święconej, mówili parę serdecznych słów, a muzykanci grali pieśń: „Serdeczna Matko opiekunko ludzi, niech Cię płacz sierot do litości wzbudzi...”.

Był to bardzo ważny i podniosły element uroczystości. Wielu na dźwięk tej pieśni Maryjnej, zapowiadającej wyjazd do kościoła, płakało wspominając własne śluby i myśląc o trudach czekających Młodych w ich małżeńskim życiu; pochłipywała Panna Młoda, a chyba najbardziej jej mama, żegnająca swe dziecko.

Ale już należało jechać do kościoła. Orkiestra grała „Wsiadanego”, a kobiety śpiewały: „Wsiadaj, wsiadaj, moje kochanie, już nie pomoże twoje płkanie” i pomagały usadowić się na wozie, a czasem na wypożyczonej bryczce – wciąż ocierającej łzy Pannie Młodej. Ten płacz to była też wróżba szczęśliwego życia w małżeństwie. Gdy natomiast Panna Młoda uśmiechała się wesoło, to przepowiadano jej przyszłość pełną łez. Wszyscy więc bacznie ją obserwowali, a Drużki poprawiały jej welon i suknię, by się zbyt nie pomięły, czy – nie daj Boże – wkręciły w szprychy koła.

A konie już, parszając i stukając kopytami, wyrwały się do biegu. Jeden z sąsiadów śmiał się głośno: – Jaki to piękny dzień, widzieć, jak konie tańczą!

I zaraz wszyscy goście też sadowili się na wozy, przybrane zielonymi gałązkami, kwiatami i kolorowymi, bibułkowymi wstążeczkami, i ruszali do nagoskiego kościoła. W oknach domów i na podwórkach pełno było gapiów; dzieci wybiegały na mostki, by z bliska zobaczyć barwne widowisko i też się dziwować, jak jest okazałe. O randze wesela świadczyła im.in. ilość Drużbów, a także ilość furmanek, którymi jechano do ślubu. Bronisław Harla wspomina, że na jego weselu było ponad 20 furmanek.

„Przejazd przez wieś ślubnego orszaku był wielkim wydarzeniem dla mieszkańców. Ludzie gromadzili się wzdłuż drogi i obserwowali gości jadących na wozach”⁸⁰.

Na początku orszaku w najpiękniej przystrojonym wozie jechali „Młodzi” z rodzicami, a za nimi rozśpiewane gromady Drużek i Swatów, i pozostali goście. Na końcu jechał Starosta ze Swaszką, która rzucała przygotowane na tę okazję ciastka i cukierki; czasem wpadały w piasek, kruszyły się lub moczyły, ale zawsze były cennym „łupem” dla czekających na tę chwilę dzie-

ciaków i smakowały cudownie. Barwny, weselny orszak zamykała kapela wygrywająca skoczne melodie.

Dopiero, kiedy Młoda Para „wykokosiła się” z furmanki i ustawiła się na kościelnych schodach cichły śpiewy jadących na wozach, muzykanci przedstawiali grać, a orszak ślubny wchodził do świątyni.

W kościele, odświętnie przystrojonym kwiatami, już czekały okryte ozdobnym kilimkiem lub białym prześcieradłem klęczniki przeznaczone dla Młodej Pary. Starostowie szli do zakrystii załatwiać z księdzem ostatnie formalności, by potem stanąć za Młodymi. Pierwsza Drużka – ta najważniejsza, starannie wybrana przez Pannę Młodą – pilnie czuwała, by pięknie rozpostarł się welon ciągnący się długim trenem za klęcznikiem i by Drużki i Swacia porządnie ustawili się w pary wzdłuż głównej nawy. Pozostali goście zasiadali w ławkach, starając się być jak najbliżej ołtarza, oczywiście zostawiając pierwszą ławkę dla rodziców narzeczonych. Organista intonował wstępną pieśń, a potem już cała uroczystość przebiegała według odwiecznego, pięknego, uroczystego rytuału.

Wszyscy z niecierpliwością czekali, jakie kazanie wygłosi ksiądz proboszcz i czy Młodzi na pewno powiedzą sakramentalne „tak”, po czym uśmiechając się z ulgą śpiewali z całego serca prośbę do miłosiernego Boga w intencji nowożeńców: „Ty im błogosław, ratuj w potrzebie i broń od zguby, gdy zagraża cios”.

A po Mszy świętej i złożonych ślubach Panna Młoda – już z obrączką na serdecznym palcu prawej ręki – szła przed boczny ołtarz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, by prosić o błogosławieństwo na nowej drodze życia, która właśnie tu miała swój początek.

I już Młodzi wychodzili z kościoła razem, pod rękę, jeszcze oszołomieni niezwykłością chwili, nie bardzo zdający sobie sprawę z wypowiedzianych przez chwilą w obliczu Boga i zebranych ludzi słów przysięgi małżeńskiej, których nie będzie można już nigdy cofnąć. Przed wojną muzykanci szli po uroczystości ślubnej na plebanie do księdza i tam grali dla niego jakiś wesoły „kawołek”.

A tu już goście wśród śmiechów i pokrzykiwań sadowili się na wozy, bo w drodze powrotnej nie obowiązywała żadna kolejność; każdy woźnica chciał być najlepszy, najszybszy, najpierwszy, wszyscy więc przepychali się, wyprzedzali, podcinali konie, zajeżdżali drogę, aż dziewczęta piszczwały ze strachu i emocji, a starsze kobiety lamentowały, napominały i strofowały młodych. Lecz Swacia, ale też i stateczni mężczyźni, głośnymi okrzykami wciąż zagrzewali do rywalizacji powożących zaprzęgami i zachęcali do jeszcze bardziej szalonej jazdy. Młodzież przyśpiewywała: „Pognała wołki na bukowinę”, „Szła dziewczeczka do laseczka”, „Rano, rano, raniusieńko, rano po rosie”, „Chciało się Zosi jagódek”... i inne znane wszystkim ludowe piosenki, żartowała i flirtowała wesoło.

Niestety, czasami ta szaleńcza jazda kończyła się lądowaniem w rowie czy zimą – w zaspie, ale chyba nigdy nikt nie odniósł poważniejszych obrażeń; ładowano się z powrotem na wóz, otrzepywano, poprawiano odzież i gonitwa zaczynała się na nowo.

Już zaraz za pierwszym zakrętem czekała na korowód weselny ozdobna brama. Młodziutki chłopaki, poprzebierane za żebraków, za Cyganów, za Babę Jagę, matkę karmiącą słomianą kukłę czy innych dziwaków przeciągali sznur lub łańcuch w poprzek drogi tak, że przejazd był niemożliwy, dopóki nie przekazano odpowiednich podarków: od Starosty „flaszki”, od Swaszki – ciastek, a od pozostałych gości – drobnych pieniędzy. Tylko jazda przez puste pola, dzielące Bobrowę i Nagoszyn, odbywała się płynnie. Już przy pierwszych zabudowaniach wioski mojego dzieciństwa czekała nowa brama, a czasem – kilka. Bramy weselne były to często starannie wykonane duże konstrukcje drewniane z napisem na górze: „Szczęść Boże Młodej Parze”, ozdobione pięknie zielonymi gałązkami i bibułowymi wstążkami. Goście byli na tę okoliczność przygotowani, więc nie denerwowali się postojami; przeciwnie – duża ilość bram dodawała weselu rangi i splendoru.

O zwyczajach związanych z takimi właśnie weselnymi bramami barwnie piszą autorzy „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas” podkreślając, że „od początku XX wieku urządzenie bram weselnych zmieniło się w widowiska niemal teatralne”⁸¹.

Gdy wreszcie wszyscy dotarli na miejsce, zaczynało się składanie życzeń, „odgrywanie” nowym gościom, a następnie witanie młodych małżonków chlebem i solą przez ich rodziców. Najpierw nowożeńcy całowali chleb, kosztowali soli, a potem częstowali się wódką, którą trzeba było wypić do dna. Opróżnione kieliszki należało rzucić za siebie; powinny się rozbić, bo była to dobra wróżba na wspólną przyszłość. Pan Młody brał swą wybrankę na ręce i wносił przez wysoki próg do domu. Tymczasem rodzice i Starostowie zapraszali gości do zasiadania przy stołach.

Obsługiwanie gości powierzano umówionym wcześniej młodym dziewczynom i mężatkom, wybranym wśród najbliższej, zaproszonej rodziny. Uwiłajały się, donosząc potrawy, myły naczynia, sprzątały ze stołu, ale – oczywiście – brały też udział w zabawie. Pomagali też Młodzi, rodzice, Starostowie.

Szybko zasiadano do obiadu.

Każdy rozumiał, że w rozgardiaszu mogło zabraknąć łyżki czy talerza, ale nikt się nie obrażał a dopominał się lub sam przynosił z kuchni. Goście zachowywali się naturalnie, bez żadnej pozy, a po paru „głębszych” humory i apetyty wszystkim dopisywały.

Najczęściej podawano rosół z kur poprzynoszonych przed weselem przez zaproszonych gości, a na drugie danie – pieczone mięso, ziemniaki i ćwikłę. Do popicia dawano kompot z jabłek lub ze śliwek i lemoniadę w zmyślnie

zamykanych metalowo-gumowymi „ustrojstwami” butelkach. Była ona nie lada przysmakiem; szczególnie dla dzieci, które jeszcze przed weselem marzyły o lemoniadowej uczcie.

Najważniejszym gościem na weselu był ksiądz; szczególnie proboszcz. Robił wielki zaszczyt, pojawiając się i uczestnicząc w uroczystym obiedzie. Sadzano go na najlepszym miejscu, obok najważniejszych osób, podawano najlepsze kąski, dbano, by niczego mu nie zabrakło i zabawiano go rozmową. Jedno ze zdjęć zamieszczonych w „Ocalić wspomnienia – zachować czas” przedstawia właśnie proboszcza Józefa Fijała na weselu Stanisławy Sojki z Kandzierza i Józefa Skwiry z Nagoszyna, odbywające się w domu rodzinnym Panny Młodej. Choć ślub miał miejsce w Żyrakowie – bo do tamtej parafii należał „Kendzyrz”, to ksiądz proboszcz przybył z życzeniami do swojego parafianina – Skwiry⁸².

Wszyscy goście weselni gratulowali Młodemu i „winszowali” im szczęśliwego życia. Zamiejscowi, którzy nie mieli okazji dostarczyć przed weselem jakiś darów w naturze, dawali Młodej Parze skromne, praktyczne prezenty, które miały przydać się na nowym gospodarstwie: garnek, talerze, prześcieradła, obrusy, kupon flaneli czy tetry na pieluszki. Nie wręczano kwiatów ani pieniędzy.

Wszyscy cierpliwie czekali, by Młodzi – którzy jeszcze sprawdzali, czy goście zaczęli już obiad – zasiedli na honorowych miejscach obok rodziców i też mogli się posilić. A wtedy zaraz zaczynało śpiewać: „Sto lat” dla Młodej Pary i domagano się ich pocałunków, a ponieważ miało być to ich pierwsze publiczne okazywanie uczuć, krygowali się wstydliwie; zwłaszcza Panna Młoda, bo Pan Młody – będący już po kilku kieliszkach wypitych „dla kurażu” – wykazywał większy zapał i odwagę.

Najbardziej wstydzono się księdza, krępowano jego obecnością, dlatego z ulgą przyjmowano jego decyzję o pożegnaniu wszystkich i życzeniu dobrej zabawy. Rodzice i Młodzi dziękowali za zaszczyt, odprowadzali gościa, żegnali z atencją, wręczając opierającemu się spore zawiniątko z weselnymi frykasami i wsadzali na wygodną furmankę czy nawet bryczkę, która go odwoziła do Nagoszyna.

Jeszcze przez chwilę komentowano przy stołach tę wizytę, przypominano słowa księdza wypowiedziane w kościele tuż po udzieleniu ślubu i życzenia składane przy stole, ale zaraz śpiewano: „Nie bedziemy jedly, bo nom nie smakuje, jaż się Para Młodo mocno pocałuje” – a ci, już trochę ośmieleni – zaśpiewując się welonem, chętnie dopełniali tego, nieprzykrego przecież obowiązku.

Wzbudzało to coraz większy entuzjazm gości, którzy, klaszcząc i pokrzykując żądali wielu powtórek, czemu młodzi małżonkowie coraz mniej się opierali.

I znów szły w ruch kieliszki, bo wódki nie żałowano. Najczęściej była domowej produkcji. Wielu mieszkańców wioski mojego dzieciństwa było mistrzami w jej sporządzaniu. Niedawna wojna zmuszała do zakazanego procederu „pędzenia” bimbru, który był bardzo skutecznym „lekiem na całe

zło” i środkiem płatniczym oraz przedmiotem wymiany ze stacjonującymi we wsi Rosjanami, którzy – niekiedy – nawet rowery czy karabiny gotowi byli oddać za alkohol.

Przepijano coraz częściej i cieszo się coraz głośniej. Przecież mówiono: „Jak pić to już całą kwartą, jak się weselić, to już całą niedzielę”, a gdy na moment gwar przycichał to zaraz śpiewano:

„A co to za wesele, że go nie słysząc,
Cy nie jadło, cy nie piło,
Ni może dychać”?

Kucharka i Swaszka roznosiły na talerzach słodkie placki, pokrojone w kromki i kwadraciki „maślzystych” ciastek. Chętnie się częstowano i zaraz komentowano smak tych wypieków, chwalono i dobierano wciąż nowe. A już zaczynały się tańce, bo orkiestra żwawo przygrywała, a dzieciarnia, która urządziła sobie gonitwy na ułożonej drewnianej podłodze, ustępowała miejsca dorosłym i wyszukiwała sobie inne zabawy, lub biegła do stołów, by zjeść coś słodkiego i popić ulubioną lemoniadą. Niekiedy kucharki piekły specjalnie dla maluchów drożdżowe kukiełki, które szybko znikwały, bo dzieciom – które na co dzień nie jadały żadnych frykasów – zawsze dopisywały apetyty.

A muzyka cały czas grała skoczne, weselne „kawołki” i pełno było radości i śmiechów. Najpierw wychodzili na podłogę starsi gospodarze i gospodynie i trzymając się wzajemnie pod boki wirowali w rytm muzyki, przytupując i pohukując głośno. Wkrótce dołączali młodszy, mniej doświadczeni w tańcu, często depcący sobie po nogach i potracający innych, ale pełni ochoty i zapału.

Wchodziła też oczywiście na podłogę Młoda Para, która jednak niedługo mogła cieszyć się sobą, bo ciągle krzyczano: „odbijany”! Wszak każdy chciał zatańczyć z bohaterami tego wesela. Panna Młoda musiała „obtańcować” wszystkich Swatów, królowała więc na podłodze wirując aż do utraty tchu i podtrzymując niesforny welon, który tańczył wraz z nią, fruując leciutko, coraz szybciej i szybciej.

Ale już musiała schodzić z podłogi, bo była zobowiązana wraz z mężem podchodzić do gości, przysiadać się do każdej rodziny, zamieniać choć kilka słów i przepić na zdrowie. Opuszczenie kogoś, lub odmówienie „przepitki” było nietaktem i kończyło się najczęściej obrazą. Panna Młoda zazwyczaj tylko „całowała kieliszek”, za to Pan Młody ochoczo wypełniał ten obowiązek i wkrótce, już dobrze podochocony, znów porywał swą żonę na podłogę, gdzie – choć było zazwyczaj bardzo ciasno, bo na wesela spraszano bardzo dużo gości – mogła czuć się jak prawdziwa królowa.

Wokół podłogi pełno było gapiów i chętnych do tańca.

Zapraszającemu nie wypadało odmawiać, choćby się nie podobał lub był stary czy trochę pijany. Nie było zresztą zbytnich ceregieli z tym związanych. Mężczyzna podchodził do upatrzonej kobiety, wyciągał ją za rękę na podłogę

i ułapiwszy wpół zaczynał tańce. Czasem zdobywał się na kilka miłych słów, ale nie było ukłonów, szarmanckich zaproszeń czy kurtuazyjnych komplementów. Zresztą wszyscy chętnie rwali się do tańców, bo była to przecież wspaniała, a nieczęsta rozrywka i przyjemność ożywiająca szarość wiejskiego życia. Więc nawet kwękające na co dzień kobiety puszczały się w tany i było jak w tej piosence:

„Boly mie noga w biedrze,
Ni moge chodzić dobrze,
Ale tańcować moge,
Zawiąże chustkom noge”.

Dziewczyny nie nosiły szpilek, tylko wygodne półbuty lub czółenka na małym, szerokim obcasie, co ułatwiało nawet najbardziej szalone wirowanie. Starsi mężczyźni zakładali często buty z wysoką cholewką, na dodatek podbite metalowymi podkówkami; trzeba było więc unikać tancerzy, którzy „dreptaly po nogach”, bo było to niezwykle bolesne. Ale można było w takich butach głośno przytupywać, wywijać różne „hołubce” i przyśpiewywać: „Podkówecki dejcie łognia, bo dziewczyna tego godna”.

Wspomina takie buty Jakub Bojko: „Buty niegdyś kuto wysokimi a ciekawej formy podkówkami, którymi w czasie tańca krzesano ognia”⁸³.

A przy stołach też już wesoło śpiewano, przekrzykując się nawzajem. I młodzi, i starzy znali różne melodie i teksty piosenek; nawet wielozwrotkowe i śpiewali przy każdej okazji. Niosły się więc przez wieś popularne melodie: „W cichy i pogodny wieczór majowy szła sobie dziewczyna przez las dębowy”, „Rano, rano, raniusieńko, rano po rosie”, „Tam nad Wisłą w dolinie siedziała dziewczyna”, która „wiła wianki i rzucała je do falującej wody”, „Zielony mosteczek ugina się”, „Z tamtej strony wody Cyganeczka tonie, gdybym miał łódeczkę popłynąłbym do niej”, Siadła pszczołka na jabłoni i otrzepuje kwiat”, „Szła dziewczeczka do laseczka” i wiele, wiele innych, równie popularnych, i równie pięknych.

Te – najczęściej stare – ludowe utwory nawiązywały do sytuacji chłopskiego bytowania, do przeżyć i uczuć prostych ludzi, ich doświadczeń i rozterek, a nawet filozoficznej zadumy nad życiem i przemijaniem. Opowiadały o sytuacjach charakterystycznych dla wiejskich ludzi różnych pokoleń. Śpiewano: „Ej żałuj się na te panny młodzieniec wybladły, że mu spokoju nie dały tylko zdrowie zjadły”, „Nie chce cie Marysiu, nie chce cie, bo rano nie wstajesz, krówkom jeś nie dajesz, nie chce cie Marysiu, nie”, „I co ci ze mnie i co ci po mnie, kiedy jo robić nie moge, łoberwałam sie małym zbanuszkim, z którym chodziałam po wodę”.

Przy poszczególnych stołach przypominano coraz to nowe piosenki; trwała rywalizacja, żeby śpiewać jak najpiękniej i najgłośniej.

Również na podłodze – a to Starostowie, a to starsi goście zaczynali podchodzić ze swymi partnerkami do muzykantów i przyśpiewywać „z przytupem”, zachęcając do grania intonowanych przez nich melodii. Przyśpiewki były związane z weselnymi zwyczajami i dotyczyły najczęściej Młodej Pary; w sposób metaforyczny – a często też dosadny, a nawet „sprośny” – opisywały nową sytuację dopiero co poślubionych małżonków.

Śpiewano np. „A już po weselu, już po ślubie, wpuść kogutka do łogródka, niech se podziubie”, „Łoloboga, co sie stało, pod fartuszkim pękło ciało”, „Heca, heca koło pieca ciele mie pobodło, mamusia mie smarowały, ale nie pomogło. I jo se tyż musioł, bo my sie porusoł, hej mości panowie, kapełusz na głowie”, „Myślałaś Marysiu [Zosiu, Kasiu], że za chłopem dobrze, za chłopem trza robić aż sie skóra podrze”, „Nie bedziesz już Maryś za chłopcamy lotać, sieńdziesz se pod gruszm, bedziesz portki lotać”. Pokpiwano też z Pana Młodego: „Jużeś sie łożeniul, jużeś sie ucieszuł, jużeś kawalyrke na płocie powiesiuł. Jużeś sie łożeniul, jużeś sie powiesiuł na ty szubienicy, co chodzi w spodnicy”. Po każdej przyśpiewce przez chwilę tańczono, by znów słuchać nowych, intonowanych przez kolejnych „hulacy”.

Specjalne przyśpiewki towarzyszyły oczepinom, gdy Panna Młoda zasiadała na krześle z nakrytym białą chustą przetakiem na podołku, do którego zbierała pieniądze na najpotrzebniejsze rzeczy w nowym gospodarstwie. Swaszka i otaczające Młodą kobiety zachęcały weselników do obfitych datków, śpiewając: „Czeba ji dać nie żałować. Czeba ji dać na łyżeczke, czeba ji dać na misecke i na mało kołysecke”.

Wszyscy z zainteresowaniem patrzyli, ile kto wrzuca do przetaka i komentowali szczodrość poszczególnych gości, dlatego każdy starał się zaimponować obecnym i ofiarować jak najwięcej pieniążków. I rzeczywiście, uzbierana kwota pomagała w zakupie wielu niezbędnych na nowym gospodarstwie rzeczy. Często specjalnie zapraszano najbogatszych, lub najhojniejszych gospodarzy, licząc na duże datki. Szczególnie byli mile widziani krewni, którzy przyjeżdżali np. z Ameryki, bo oni wrzucali do przetaka tak bardzo cenione „dulary”.

Następnie drużki odpinały Pannie Młodej welon, a ona rzucała go za siebie, gdzie już czekały panny chętne do złapania tego trofeum, zapowiadającego ponoć rychłe zamążpójście. Ona zaś musiała przebrać się w inną suknię, choć żal jej było tej pięknej, białej, której „żywot był krótszy niż żywot motyla”. Dawniej jeszcze obcinano Młodej warkocze i zakładano na włosy czepek, ale w czasach mojego dzieciństwa już ten zwyczaj zaginał.

Bronisław Harla wspomina, jak wyglądały bobrowskie oczepiny przed wojną: „Starościna posadziła Panią Młodą na krześle, zdjęła jej welon, rozpłótła włosy [...], wzięła talerz, położyła na nim welon i postawiła na stole. A goście kładli na ten talerz pieniądze. Ile kto uważał. To była składka na „wianek”.

Talerz przesuwany był po stole przez gości od jednego do drugiego. Gdy talerz obszedł wszystkich, Starościna zgarnęła pieniądze i wręczyła je Pani Młodej”⁸⁴.

Po skończonej ceremonii Pani Młoda mogła się już poczuć naprawdę jak kobieta zameżna. Przejmowała więc obowiązki gospodyni, dyrygując domownikami, zagadując gości, roznosząc jadło, oferując rozgrzanym tańcem weselnikom donoszoną wciąż z chłodnej piwnicy kolorową lemoniadę; cudnie pachnącą, pryskającą bąbelkami i bosko smakującą. O żadnych innych wymyślnych napojach nikomu się nie śniło; tak lubianą dziś coca-colę zaczęto sprzedawać w Polsce po raz pierwszy dopiero na targach w Poznaniu w 1957 roku, nie było też w sklepach żadnych owocowych soków czy wód mineralnych.

Po „łocepinach” wesele toczyło się już swobodnie, goście zmieniali miejsca przy stołach, siadając co chwilę przy innych krewnych czy znajomych, przepijali do siebie, kobiety plotkowały, niektóre biegly do domu, by obrządzić gospodarstwo i jeszcze wrócić, dzieci zmęczone gonitwami zaczęły tulić się do mam i podrzemywać, a niektórzy już szli się żegnać. Jakiś starszy mężczyzna, chodząc już trochę chwiejnie pomiędzy stołami, wykrzykiwał: „Wódki my dać, wódki my dać, bo my wiechcie z butów widać, a cy widać, cy nie widać, wódki my dać, wódki my dać”.

Na każde wesele przychodził wioskowy żebrak, wyróżniający się spośród wystrojonych weselników wyświechtaną kapotą, poprzecieraną na brzegach i dziurawą na łokciach. Tak było i w wiosce mojego dzieciństwa. Chudy, żylasty, ale wykazujący duży apetyt, siadał gdzieś na uboczu w pobliżu kuchni i zjadał z apetytem podawane mu potrawy. Chwilę przyglądał się też wszystkiemu ciekawie, a na koniec – poczęstowany kieliszeczkiem samogonki – napełniał swoje garnuszki przywiązane do pasa i odchodził zadowolony zapyłonym gościńcem, żegnany wściekłym jazgotem podwórkowych piesków.

Tymczasem młodzież tworzyła barwne węże lub zaczynała zabawę w całowanie śpiewając: „Mom chustecke haftowano, co mo śtyry rogi, kogo kochom, kogo lubie rzuca mu pod nogi”. I rzeczywiście, panny wymachiwały haftowanymi, bielusińkimi chusteczkami, które same obrębiały ozdobną мережką i nosiły „na parade”, bo do wycierania nosa miały zazwyczaj inne, bardziej zwyczajne. Dołączali do tej zabawy i starsi mężczyźni i przyklękając siarczyście całowali dziewczyny rozścielające przed nimi chusteczkę. Zmęczeni znów siadali za stołami, by dołączyć do wciąż rozlegających się śpiewów, wśród których nie mogło zabraknąć pięknej, rzewnej ukraińskiej dumki, dziś prawie zapomnianej:

„Tam w pustym stepie na kurhanie młody Kozak padł,
A na zdobyte krwawe rany koń mu głowę kładł.
Hej, cicho koniu nie brzęcz zbroją, widzę, widzę wierność twoją,
Wiem, że kochasz pana więc dziś mi jeszcze służ.
Tam gdzieś daleko w małej chatce matka czeka mnie już rok

I co dzień za mną w step wysyła załzawiony wzrok.
Hej przez manowce, przez zagony, pędź do domu koniu wrony,
Powiedz matce mej, niech mnie nie czeka już”.

A na weselu przybywało gości, bo wieczorem przychodzili chłopaki ze wsi, by – choć nie zaproszeni – zgodnie ze zwyczajem być poczęstowanym wódką i móc uczestniczyć w tańcach. Wtedy zdarzało się, że jakaś Drużka opuszczała swego Swata, bo pojawiał się jej ukochany chłopak albo znów odrącony adorator Panny Młodej zaczynał z nią wywijać w tańcu, wzbudzając gniew Pana Młodego i oburzenie kobiet. Dochodziło niekiedy do bójek, bo mężczyźni byli zadziorni i temperamentni.

Marian Modelski z Przemyśla koło Pilzna pisze: „Wesela bez bitek były rzadkością i nawet wydawały się być nie dość ciekawe, jak nudne filmy bez dynamiki i napięcia; nie było o czym opowiadać, ani się czym pochwalić”⁸⁵.

U nas np. opowiadano, że na pewnym weselu w wiosce mojego dzieciństwa zabito nawet jednego z uczestników i ciężko zraniono Pana Młodego.

Modelski pisze też, że „drobniejsze porachunki czy bijatyki miały zwykle miejsce między kawalerami, ale czasem natężające się antagonizmy włączały w udział również żonaty gospodarzy i mogły się przerodzić w konflikt dwóch społeczności wiejskich, pogłębiając wzajemną izolację”⁸⁶.

Ale zdarzało się to rzadko. Najczęściej wszyscy byli zadowoleni; dziewczyny miały do wyboru więcej tancerzy, ci mieli rozrywkę, a całe wesele – przychylne komentarze i pozytywną ocenę mieszkańców wsi. Długo jeszcze je wspomniano, przywoływano różne epizody, komentowano zachowania weselników, plotkowano.

Tańce, śpiewy i zabawa trwały aż do rana. Wesoły gwar rozmów, skoczne melodie grane przez niestrudzonych muzykantów i wesołe piosenki wionęły aż do nieba, ciężkiego od złotych gwiazd. Podochoceni mężczyźni coraz częściej podchodzili do kapeli i wykrzykiwali jakąś przyśpiewkę, w rytm której pragnęli tańczyć. Nie były to wyszukane melodie, więc muzykanci natychmiast je podchwytywali. Zamawiający wrzucał do bębna pieniądze i kontynuując piosenkę wirował szczęśliwy i dumny; tańczące pary też zaczynały ją nucić i już wszyscy śpiewali przekrzykując się nawzajem:

„Poly się, poly się, choście ratować!

Nie pude, nie pude, wole tajcować”!

Na weselach – w przeciwieństwie do zabaw, na których grano modne wśród młodzieży, znane z radia melodie – najczęściej słyszeć było polki, oberki czy sztajerki. Nazwa tego ostatniego tańca – dziś już zapomnianego – została utrwalona w znanej weselnej przyśpiewce: „Loboga, chłopoki, cyście mie nie poznały, żeście my štajerka nie zagrały. Jo se chłopok łod Rzesowa, łociec umar, matka wdowa. Loboga, chłopoki, zagrejcie my štajerka”.

Obserwujący tańczących też nie próżnowali. Pojadano dokładane wciąż na stoły wędliny, które przegryzano chlebem i kiszonym ogórkiem, czy coraz bardziej rozmiękle na ciepłe ciastka. Późną nocą podawano niekiedy bigos, choć najczęściej przygotowywano go na poprawiny, by wykorzystać pozostałe resztki wędlin. Nad stołami wciąż krążyły muchy, pragnące też uszczknąć coś z weselnych przysmaków. Również psy biegały wokół stołów licząc na niezdarność weselników lub dobre serce dzieci, karmiących je ukradkiem. Próbuując gdzieś przycupnąć mamę Panny Młodej – będącą już „na ostatnich nogach” – wciąż wyciągano do tańca śpiewając: „Wesele się kończy, mamusia nie tońcy, nie będzie wiedziała, że córkę wydała”.

W biedniejszych rodzinach uroczystości weselne były skromniejsze, weselne jedzenie nie było tak obfite, ale – choć czasem czegoś tam brakło – i tak bawiono się do upadłego. Niestrudzone pary wirowały pod księżycem, rozświetlającym srebrzystą poświatą mrok wrześnieowej, już nie tak upalnej nocy. Najbardziej wytrwali wracali do domów dopiero nad ranem, często budząc uśpionych mieszkańców swym głośnym śpiewem.

Przyjezdni krewni kładli się spać w stodole na sianie, lub gospodarze odstępowali im miejsca w izbach, sami idąc do stodoły.

Młodzi małżonkowie po pożegnaniu ostatnich gości zazwyczaj padali na siano śmiertelnie zmęczeni, czułości zostawiając na później. O opiewanej w literaturze nocy poślubnej nie było mowy, tym bardziej, że wkrótce byli budzeni przez rodziców, bo trzeba było przygotować się do poprawin. Ale mieli przecież przed sobą całe wspólne życie, bo prawie nie zdarzały się rozwody, odejścia czy separacje.

Na poprawiny, które były „obowiązkową” częścią uroczystości zaślubin, również zapraszano muzykantów, którzy znów witali i żegnali gości, odgrywając im marsze i inne weselne melodie. Cały czas trwali na posterunku, nie narzekając nigdy na zmęczenie czy jakieś niedogodności. Bo przecież „muzykanty to już taki dziwny naród, że ta mogą wciąż pić, oka nie zmrużyć i wciąż grać”⁸⁷.

I znów było ucztowanie, tańce i śpiewy. Młodzi małżonkowie – odświeżeni ubrani – posługiwali gościom, czując się już prawdziwymi gospodarzami tej uroczystości. Przypominano różne sytuacje z poprzedniego dnia, pytano o noc poślubną, przygadywano, żartowano, raczono się odgrzanym bigosem, pozostałymi z wesela wędlinami i plackami, przepijano wódką, której zazwyczaj nigdy nie brakowało.

A nazajutrz odbywało się wielkie sprzątanie, oddawanie pożyczonych naczyń i sprzętów, mycie, szorowanie, pranie, rozbieranie podłogi, stołów i ław, zdejmowanie dekoracji, zmiatanie podwórza.

A Młodzi? Czy jak w baśniach od tego dnia „żyli długo i szczęśliwie”? Niestety, to dopiero teraz zaczynali prawdziwe, nowe, trudne życie. Bo przecież

tylko w baśniach wesele zazwyczaj wszystko kończy; w rzeczywistości dopiero rozpoczyna się najważniejszy etap: dopiero teraz przychodzą wspólne radości i smutki, nadzieje i cierpienia, zawody i rozpacz, trudna codzienność, ciężka praca i cały szereg różnych życiowych przygód i przeżyć. Na dodatek to, na co długo czekali, a co dotąd nazywali cudem miłości otrzymywało nową nazwę, odartą z romantyzmu: obowiązki małżeńskie.

Zasypiający po trudach związanych z uroczystościami zaślubin, zakonani w sobie nowożeńcy nie mogli przewidzieć też, czy w ich przypadku sprawdzą się słowa dialogu ze starej piosenki, śpiewanej na weselu:

„A kiedy już będę siwa, siwusieńka,
Czy będziesz pamiętał, że byłam panienka?
Będę ci ja wierny nie roczek, nie cztery
Jeno aż do śmierci, jakem charakterny.”

Na razie byli szczęśliwi, że są razem. Wierzyli mocno, że ich miłość i Boże błogosławieństwo, które otrzymali podczas ślubnej ceremonii, będą im towarzyszyć aż po grób. Zasypiali, a wokół królowała czerń nocy, przyjazna cisza i gwiazdy. Wrześniowe gwiazdy i cisza.

Październik

Dojrzała jesień zaczynała swoje królowanie nad światem, przybranym w kolory złota i czerwieni, ale często też przechadzała się w koronie, utkanej z zimnych już mgieł. Kochaliśmy słoneczne niedziele, ale już często w niedzielny poranek niski pułap chmur straszył nadciągającym deszczem. Zimny wiatr, zaplątany w rosochate wierzby i w gałęzie złocących się klonów, dokuczał idącym do kościoła mieszkańcom wioski mojego dzieciństwa. Lepka wilgoć oplatała wszystko dokoła. Na trawach, pokrytych zimną rosą, lśniły srebrne nici pajęczyn. Samotna figura ukrzyżowanego Chrystusa w kępie tarniny i głogów, jaśniejąca bielą postumentu, wyznaczała połowę przebytej drogi. Z ulgą spoglądaliśmy, jak z szarego oparu zaczynały się powoli wyłaniać kontury kościelnej wieży, wcześniej niewidoczne. I już blisko były „Góry”, zarośnięte po brzegach rachitycznymi brzoškami, wikliną, dziką różą i wysokim zielskiem. Pod nogami – warstwa opadłych już, wilgotnych wierzbowych liści zmieszana z błotem. A tuż za zakrętem kościół rozbrzmiewający śpiewem. A potem znów powrót przez puste pola, na których hulał zimny wiatr. Nikogo nie dziwiło, że wszyscy się spieszą, że otulają głowy i szyje przed nieznośnym kapuśniaczkiem i biegną „na ukoski” przez pola „w pioskach” do coraz bliższych, ciepłych domów.

Znów październik. Kolejne ranki budzą się mgliste, senne, rzeczka tonie w podnoszących się powoli oparach mgieł; zimnych, gęstych, prawie dotykalnych. Słońce wstaje codziennie bledsze, chłodniejsze, toczy się po niebie powoli, leniwie i często chowa się wśród szarych chmur. Puste pola wyglądają szaro i smętnie w nikłym blasku dnia. Gdzieś na miedzy samotnie sterczy zapomniany strach na wróble w dziurawej kapocie i w zmoczonym kapeluszu. A choć drzewa zakwitły wszelakimi barwami jesieni, choć w słoneczne dni można cudownie tarzać się w morzu spadłych liści, to w powietrzu snuje się już jesienna melancholia i jakieś przecucie smutku i przemijania. A padający coraz częściej deszcz zmywa ostatnie ślady odchodzącego lata.

Przez wieś niosą się przenikliwe krzyki gęsi. W każdym bobrowskim gospodarstwie odbywa się wielka akcja oskubywania tych ptaków. Na podwórkach rozsiadły się okrakiem gospodynie i trzymając mocno wyrywające się gęsi, szybkimi ruchami wyskubują mięciutki puch i drobne piórka, które wpadają lekko do podstawionej miednicy. Wypuszczona bidulka ucieka co sił, rozsiewając jeszcze po drodze jakieś zapomniane piórka oraz prezentując swą goliznę i brzydotę. Czekał na swą kolej białe stadko, zbija się w gromadkę, uciekając przed zręcznymi ruchami gospodyni, która szybko wyławia następną ofiarę. W miednicy rośnie stos miękkiego puchu. Będzie przeznaczony na najlepsze poduszki. A pióra zimą trzeba będzie dopiero „skubać”.

Gęsi puch można było zawieźć do działającej w Dębicy oczyszczalni, ale zazwyczaj nie było to potrzebne, ponieważ bobrowskie gęsi wciąż przecież taplały się w czyściutkiej rzeczce. Gospodynie wkładają więc pióra i puch do worków i wynoszą do „kumory”, a z pęku najdłuższych piór robią miotełki do zmiatania kurzu i do smarowania wypieków rozbitym białkiem.

Mężczyźni też nie próżnują ni chwili. Wożą na pola gnój, by użyźnić ziemię pod jare zboża, które zasieją wiosną. Z wozów, z których zdjęli zatylniki, zakrzywionymi widłami zrzucają co parę metrów na „stajonko” przeznaczone pod orkę małe kupki obornika. Ich żony lub dorastające dzieci rozrzucają ten gnój po całym zagonie. Wkrótce zostanie przyorany i zasili wyjałowioną glebę.

Trwają też orki, siewy, wykopki i inne jesienne prace polowe.

Ponieważ tuż po wojnie brak było maszyn rolniczych, orka jednoskibowym pługiem, który ciągnęły najczęściej dwa konie, była ciężka i wymagała prawdziwych umiejętności. W najlepszej sytuacji byli gospodarze, którzy mieli swoje konie.

Idąc ze szkoły polnymi ścieżkami, lubiliśmy przyglądać się, jak srebrny lemiesz pruje szarą glebę, równiutko odkłada wilgotne skiby i jak potężne konie potulnie słuchają okrzyków oracza: wiśta wio, wio mały, hetta, hetta, prr.

Właśnie jeden z sąsiadów orzący wielkie „stajonko” przystanął na końcu zagonu, dając koniom chwilę odpoczynku. Przesunawszy czapkę na tył głowy, zaciągał się „cygarkiem”, z satysfakcją obserwując swoje pole. Był już w podeszłym wieku, ale trzymał się prosto, zawsze pogodny, skory do żartów, życzliwy. Pachniał tanim tytoniem, z którego robił skręty, końmi, którymi z radością się zajmował i ciężką pracą, która wypełniała całe jego życie. Ziemia była jego wielką miłością. Nigdy nikt nie widział na jego polu jakichś chwastów czy kawałeczka nieużytku; zawsze wszystko było dokładnie zaorane, zasiane, wyplewione, a jego zboża, ziemniaki czy kapusta zadziwiała dorodnością. Oczywiście w polu pracowali wszyscy domownicy, a była to rodzina wielodzietna, przyzwyczajona do ciężkiej harówki. Gospodarz ten dumny był też z posiadania pięknych koni, które często wynajmowano na wesela czy pogrzeby.

W gorszej sytuacji byli rolnicy mający jednego „siwka”, którzy najczęściej umawiali się z sąsiadem na tzw. sprzężaj. Ale w najtrudniejszej sytuacji byli biedacy posiadający tylko kilka małych spłachetków ziemi. Orki na ich polach odbywały się najpóźniej; czekali na pomoc bogatszych gospodarzy, udzielających im koni, a potem musieli chodzić na „łodrobek” – najczęściej do rozrzucania gnoju czy na wykopki, trwające kilka dni.

Niekiedy oprócz oracza pchającego pług w orce uczestniczył też tzw. poganiacz. „Praca poganiacza polegała na tym, że idąc za końmi z lewej strony trzymał konie na lejcach tak, aby oracz mógł odkładać równą skibę. Na końcu stajania poganiacz musiał tak pokierować końmi, aby oracz mógł łatwo obrócić pług i zapuścić go w nową skibę. Stare konie często same umiały wykonać obrót i w takim wypadku poganiacz był niepotrzebny”¹.

Rolę poganiaczy często pełnili dorastający synowie; w ten sposób przyuczali się do pracy na roli, no i czuli się wtedy prawie dorośli.

Zaorane już czarne bruzdy przeplatają się z zielenią tych obsianych ozi-miną, blade słońce z trudem przedziera się przez ciemne chmury, zimny wiatr porywa splamione ciemnym brązem liście z polnej gruszy, jakiś szary zajac przemyka wśród wysokich, usychających traw. Pasiemy wciąż krowy – najczęściej „Czarnule”, „Krasule” z różnymi łatkami i te o sierści ciemno-płowej – „Małyny” czy „Wiśnie”. O imionach nadawanym przez gospodarzy krowom dowcipnie pisze Jerzy, J. Fąfara: „Nosiły znamiona tożsamości [...] prowokujące do nadania takiego, a nie innego imienia. Borówka, bo czarna, Kropka, bo biała kropka w sierści między rogami, Łaciata, bo w łaty, Wiśnia, bo aż czerwona w zabarwieniu. Krowa, ciele, każde domowe zwierzę musiało mieć swoje imię. No, bo jak to bez imienia? A jak było ich dwie albo – jak u bogaczy – trzy lub więcej, to jak je zagonić na pastwisko? Głupio krzyczeć do krowy: krowo, a choćby nawet, to jak do pozostałych? Krowo pierwsza, druga. Nie, tak nie można. Ludzie za głupka by cię wzięli”².

Nasze „krasule” stąpają powoli, leniwie, monotonnie zagarniając jęzora-mi kępki trawy. Dopiero w swoich ciepłych oborach dokładnie ją przeżuwiają czyli „gryzo dźwioke”. Stadka krów, których pełno na rędzinnych polach wyglądają malowniczo; obojętnie omiatają teren zamglonym spojrzeniem, wydają się spokojne, leniwe, powolne, ale niekiedy potrafią się zdenerwować czy spłoszyć, wtedy z zadartym ogonem i szaleństwem w ślepiach „gzo sie”, goniąc na złamanie karku; a kto wszedłby im wtedy w drogę, wzięłyby go na swe ostre rogi lub zatratowały twardymi racicami.

Marzną nam ręce od żelaznych łańcuchów, dokuczliwy chłód przenika przez kurteczki i ziębi nogi w znoszonych buciorach. Z utęsknieniem czekamy powrotu do ciepłych domów.

Gdzie okiem sięgnąć, od wioskowych sadów aż po zarośla nad Dużą Rzeką, wciąż widać pochylone sylwetki oraczy. Wszędobylskie wrony dostojnie

kroczą za końmi ciągnącymi pługi. A nisko nad kartofliskami snują się dymy ognisk, niosąc dobrze znane zapachy jesieni. To znak, że na dobre zaczęło się wykopywanie ziemniaków.

Na chwilę przed szybko zapadającym zmierzchem nad nagorskimi górami rozlewa się czerwień słońca, wieszcząca nadejście porywistych wiatrów. Na szczęście słoneczna pogoda dotychczas sprzyjała wykopkom. A nie była to łatwa praca.

Bacher pisał:

„Kopanie ziemniaków – wówczas – motykami

Sprawiło, że dłonie kwitły pęcherzami”³.

Ziemniaki na bieżące potrzeby wybierano rękami spod korzeni lub wykopywano kilka dorodnych krzaków i wytrząsano bulwy już od początku lata. Niosło się je do domu w wiadrze lub w wiklinowym koszyku; czasem ktoś prowadził rower, na którego ramie przewiesił parciany worek, pełen burych bulw. Gościńcem toczyły się też dwukołowe wózki z dyszlem, które pchało się przed sobą. Te wózki – bardzo w wiosce mojego dzieciństwa popularne – były niezwykle pomocne w gospodarstwie. Przywoziło się na nich z pola „różności”: ziemniaki, buraki, kapustę, trawę dla świń, kukurydzę, a czasem nawet marudzące dziecko, które narzekało, że bolą je nóżki. W każdym niemal gospodarstwie były takie „pojazdy”, a kołodzieje i stolarze mieli pełne ręce roboty.

Prawdziwe wykopki były wielką akcją jesienną, taką jak w lecie żniwa czy młocki. W biedniejszych gospodarstwach wykopywano ziemniaki ręcznie, używając motyk. Najczęściej jednak najpierw pług wyorywał z rządków ziemniaczane kule, które wybierały z ziemi do koszyków spieszące za nim kobiety. Niekiedy stosowano też specjalne urządzenia zwane kopaczkami, mające – oprócz pługa o szerokim lemieszu – obracające się łopatki z metalowych prętów, które rozrzucały bryły wyoranej ziemi ze znajdującymi się tam bulwami ziemniaków.

Choć wykopki były – jak wszystkie roboty w polu – bardzo uciążliwe, wymagające siły, samozaparcia i poświęcenia, ale humoru zbieraczom nigdy nie brakowało. Wspólny trud dawał radość i sposobność do zaprezentowania swej wartości, sprytu i hartu, a także był okazją do spotkań, rozmów i żartów.

Po przeoraniu całego „stajonka” gospodarz równał ziemniaczysko bronami, przy okazji wydobywając na wierzch pominięte bulwy. Nic nie mogło się zmarnować. Te – przeoczone – zbierały zazwyczaj dzieci lub darowano je biedakom, którzy mogli je zabrać do domu.

Część urobku wysypywano na wozy, które zwoziły ziemniaki na podwórka. Za pomocą specjalnych wideł, których ostrza kończyły się kulkami nie niszczącymi bulw, wysypywano je do piwnic, znajdujących się pod domami, czy do „gruby” zbudowanej na „łobeściu”, a część kopcowano na polach,

w specjalnie przygotowanych wcześniej dołkach, zabezpieczając je przed mrozami słomą i uformowaną w kopiec ziemią. Tak miały przetrwać zimę.

Czasem – mimo zabezpieczeń – ziemniaki przemarzały lub gniły od wilgoci, co było wielką stratą i zmartwieniem dla każdej rodziny. Wielokrotnie w czasie zimy, lub podczas wiosennych roztopów zastanawiano się z troską, co dzieje się z zakopcowanymi ziemniakami. Ale nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać i mieć nadzieję.

Rolnicy z wioski mojego dzieciństwa mieli wypróbowane gatunki ziemniaków, które sprawdzały się najlepiej na niezbyt urodzajnych glebach; były pełne, smaczne, dość odporne na mrozy i na szkodniki. Jedną z takich odmian były słynne „amerykany”, których już sama nazwa była pewną gwarancją jakości i które szybko rozpowszechniły się w całej okolicy.

Po zabronowaniu pól zbierano uschnięte łodygi ziemniaków zwane łętami i rozpalano wielkie ogniska. Dymy z ognisk – o specyficznym, cudnym zapachu – zasnuwały całe połacie bobrowskich pól i były najbardziej rozpoznawalnym znakiem jesieni.

W gorącym popiele ognisk piekliśmy kształtne, niezbyt wielkie ziemniaki. Miękkie, jeszcze parzące w ręce i pękające przy naciśnięciu „piecoki” jedliśmy wraz z przypaloną na węgiel łupinką, nie potrzebując masła ani soli. Chuchając i przekładając je szybko z ręki do ręki wyjadaliśmy sypki, biały miąższ, smakujący jak największe rarytasy. A potem razem z dorosłymi wracaliśmy do domów zmęczeni, umorusani i szczęśliwi.

Październikowy zmierzch zapadał wcześnie. Słońce – zamglone i chłodne – kryło się w gałęziach drzew już mocno pobarwionych brązem, a znad Wisłoki wypełzała mgła zlewająca się z dymami ognisk. Gniecione butami wilgotne liście pachniały zgniłą jesienią. Wszyscy się spieszyli, bo w domach czekały gospodarskie obowiązki; wielu też zamierzało jeszcze iść do kościoła. Bo przecież w październiku trwały nabożeństwa różańcowe.

Chociaż dni były już krótkie, często słotne i wietrzne, a do kościoła szło się, gdy już zaczynało zmierzchać, to kto tylko mógł, zmierzał na modlitwę różańcową. Szeleściły przesuwane w palcach szklane lub drewniane różańce, niosły się w niebo serdeczne modły i pieśni Maryjne. Ożywały omroczone smutkiem oczy, a nadzieja znów zagnieżdżała się w sercach ludzi, udręczonych codzienną walką o przetrwanie. W chłodnym, pełnym tajemniczych cieni kościele łagodniały serca, odpoczywały ręce ułożone na podołku, dusze wyrwały się ku lepszemu jutru, a usta śpiewały z oddaniem: „Zawitaj, Królowo Różańca Świętego, jedyna nadziejo człowieka grzesznego”.

Wracało się już całkiem po ciemku. Od pól, które stały już całutkie w zimnej rosie, wiało przenikliwym chłodem. Wieczne ogrody, wygrabione do czysta, pachniały palonymi liśćmi, których nie zużyto na ogacanie domu, stajni i psiej budy. Niekiedy znów – w pogodne dni – zanim dotarliśmy do

domów, całutkie niebo iskrzyło się październikowymi gwiazdami, a zza rosochatych wierzb wytaczał się pyzaty, zimny księżyc.

Ale już witał nas dym z komina, więc z radością wbiegaliśmy do ciepłej izby, oświetlonej migotliwym blaskiem lampy. Głodni i zmarznięci, spoglądaliśmy z miłością na kruchą sylwetkę matki, krzątającej się przy piecu i jej dobre dłonie krojące chleb. Gorąca zacierka rozgrzewała i błogo usypiała. Więc jeszcze tylko lekcje odrabiane pośpiesznie, szybkie mycie i już można się było zanurzyć w ciepło puchatych pierzyn.

W nagoskim i korzeniowskim lesie wciąż dojrzewały grzyby, o których obfitości powiadał – jak zawsze – „mietlorz”. Wtedy sąsiadki znów skrzykiwały się na wspólną wyprawę. W jesiennym już lesie pod mokrymi gałęziami drzew, na pagórkach i w wykrotach, pełnych opadłych liści, gnijącego igliwia i wysokich, zrudziałych paproci, kryło się całe bogactwo grzybów. „Podlaszczoki”, „prowdziwki”, „maślychy” i „kozoki” wypełniały szybko wiklinowe kosze. Niekiedy natrafiało się na kępkę żółciutkich „lyszówek”, zbieranych zazwyczaj wczesnym latem, lub późnojesienne, chowające się w piasku „skrzypki”, których nazwa pochodziła pewnie stąd, że nigdy nie udawało się do końca wypłukać z ich „granek” – czyli z pasieczków pod kapeluszem – drobniutkich ziarenek piasku, który skrzypiał w zębach podczas jedzenia. Na przyleśnych łąkach pełno było dorodnych, dojrzałych purchawek, które po naciśnięciu butem pękały, dymiąc szarym pyłem. Wśród wilgotnych traw i piaszkowych łysin sadowiły się dorodne kopce mrowisk, a na licznych bajorkach zalegała zielonym kozuchem rzęsa wodna, z której niekiedy wystrzeliwały w górę dalekoskoczne, beżowo-brązowe żaby. Powrotna droga przebiegała szybko, zwłaszcza, gdy zbiory były udane.

Przyniesione do domu kosze sprawdzano, bacznie patrząc, czy nie ma wśród grzybów żadnych „trujoków” czyli „psiób”; potem je czyszczono, smażono, dodawano do zup, marynowano w occie i – oczywiście – suszono, nawlekając na nitki i wieszając w przewiewnym, suchym i ocienionym miejscu. Te ususzone wianki prawdziwków i podgrzybków czekały potem zamknięte w słoikach na wigilijną kolację, kiedy to pojawiały się w wielu daniach. Były cudownie pachnącym i także smakującym farszem w pierogach, łądowały w grzybowej zupie, nadawały smak barszczowi i kapuście.

Ogromny podziw i zazdrość budziły corocznie obfite zbiory ojca. Tylko najbliżsi byli wtajemniczeni w historię tych jego sukcesów. Otóż, jego kolega mieszkający w Nagoszynie i znający pobliski las jak własną kieszeń dyskretnie zawiadamiał go, że zamówione grzyby czekają gotowe do odebrania. Wtedy to raniutko wyjeżdżał rowerem „na grzybobranie”, by wieczorem wrócić w świetnym humorze z dwoma koszami dorodnych prawdziwków przytroczonymi do roweru.

Nie wyjawialiśmy nikomu tej jego tajemnicy, a on mógł być dumny z miana świetnego grzybiarza – samotnika, bowiem nigdy nikogo z sobą nie zabierał, udając, że tylko w samotności potrafi się skupić i dostrzec najpiękniejsze okazy. Za to chętnie każdemu udzielał cennych rad, aż któregoś jesieni zdradził swój sekret, bowiem był mężczyzną szczerym i skorym do żartów. A ususzone, cudnie pachnące prawdziwki wyjechały wraz z amerykańskimi ciotkami za ocean.

Dorośli, zabierając nas do lasu, zawsze nakazywali nam zbierać tylko te grzyby, które mają pod kapeluszem siateczkę; ale np. pasąc krowy „w pioskach” wrywaliśmy rosnące tam na polnych drogach jasnożółte grzybki z „grankamy”. Nie znaliśmy ich prawdziwej nazwy więc nazywaliśmy je „cubkamy” ze względu na ich czubate kapelusze. Były nie tylko jadalne, ale usmażone w śmietanie miały niepowtarzalny smak i aromat. Czy ktoś je jeszcze pamięta? A jeśli nawet gdzieś rosną to pewnie nikt już ich nie zna i nie zbiera, z pogardą traktując je jak zwykłe „psiuby”. Niestety, odpłynął na zawsze w niebyt jeszcze jeden ze smaków naszego dzieciństwa.

Wciąż pasło się jeszcze krowy. Duże stajenie podrastającego łubinu pokrywała gruba warstwa zimniej rosy, skrzącej się w leniwym słońcu. Opatuleni w ciepłe ubrania, wystawialiśmy zimne policzki na jego blade promyki. Jak okiem sięgnąć całe jesienne pola zasnuwały gęsto pajęczynowe nitki babiego lata. Zgodnie z przysłowiem: „Po święty Jadwidze pase, dzie widze” spuszczałyśmy krowy z łańcuchów, a one szukały miejsc, w których można było jeszcze znaleźć bujną trawę czy zielony łubin. Pilnowaliśmy tylko, by nie najadły się wilgotnego zielonego „konicu”, bo pewnego razu z tego powodu jedną z sąsiedowych krów „zdeło” i nie pomogła nawet interwencja weterynarza. Widok dogorywającej Krasuli o wydętych jak balony bokach był dla nas bolesną nauczka.

Nad polami stała cisza, słychać było tylko międlenie krowich pysków, zagarniających szorstkimi jęzorami zielone łodygi. Gdzieś tam kokosiła się jeszcze na zagonie brzuchata rzepa, którą po „łostruganiu” zjadaliśmy, mroząc sobie zęby. Pod dziką gruszą rosnącą na miedzy wirowały już w ostatnim tańcu żółtobrazowe liście. Wiedzieliśmy, że wkrótce wszystkie opadną, ale zbytnio nas to nie martwiło, bo przecież z wiosną znów pojawiały się nowe; wszak – wiadomo – świat toczy się według odwiecznych, ustalonych, choć niezbadanych i niepojętych prawideł.

„Święta Jadwiga bydło z pola ściga” – mówiło inne przysłowie, związane z tą świętą. Cieszyliśmy się, wiedząc, że już wkrótce bydło pozostanie w stajniach aż do wiosny, a my wreszcie zyskamy więcej wolnego czasu.

Dnia wciąż ubywało, a wieczory i noce stawały się dłuższe i dłuższe. Było cicho, sennie, melancholijnie. Na gościńcu coraz częściej można było zauważyć ludzi zdążających do sklepu po naftę do napełnienia lamp i stajennych latarek. A sklep w wiosce mojego dzieciństwa był tylko jeden.

Sklepy prywatne – tak jak ten u mojego dziadka Michała – nie przetrwały po wojnie. Państwo tępiło wszelką prywatną inicjatywę, walcząc z „prywatyzmami”, nie pasującymi do formuły nowego ustroju. Tworzono natomiast spółki produkcyjno-handlowo-usługowe, czyli Spółdzielnie „Samopomoc Chłopska”, które miały monopol handlu na wsi. Obejmowały one sprzedaż różnorakich artykułów, skup żywca i wytwórnie przetworów spożywczych: piekarnie, masarnie, rzeźnie itp. W prasie, radiu, na plakatach i na zebraniach dowodzono wyższości handlu spółdzielczego nad prywatnym. Na lekcjach czytaliśmy książeczkę Jana Brzechwy „Opowiedział dzieciom sowa”, w której skrytykowani zostali wilk Barnaba i ryś Bazyli, oszukujący klientów kupujących w ich sklepach. Dlatego zwierzęta założyły spółdzielnię, w której „nikt nikogo nie oszwabia, nikt na nikim nie zarabia. Bo gdzie łączą wspólne cele, tam są wszyscy przyjaciele”⁴.

W Bobrowej Spółdzielnię Spożywców „Społem” założono jeszcze przed wojną.

Bronisław Harla wspomina: „Byłem współorganizatorem i członkiem Zarządu. Przewodniczącym i gospodarzem „Społem” w Bobrowej został Jan Węgrzyn. Ja zostałem sekretarzem i księgowym, Władysław Cholewa – skarbnikiem. Przewodniczącym Rady Nadzorczej został Józef Bonarek. Była to placówka bardzo potrzebna mieszkańcom Bobrowej i bardzo pożyteczna. Istniała jeszcze po wyzwoleniu, aż do włączenia jej do Związku „Samopomocy Chłopskiej” w Żyrakowie. Weszliśmy tam w charakterze udziałowców”⁵.

Po wojnie, ten bobrowski sklep czyli „spudzielnia” funkcjonował najpierw w domu mojej koleżanki Celinki, a potem w ludowcu i był miejscem niezmiernie kuszącym i ciekawym. Chętnie chodziliśmy tam z rodzicami, by wyłudzić na nich kupno jakiegoś smakołyku. Najczęściej były to miodowe cukierki „pszczołki”, owinięte w żółte papierki z rysunkiem plastra miodu lub landrynki, które – umieszczone w wielkim, szklanym słoju stojącym na ladzie – kusiły różnymi kolorami i kształtami. Sklepowa Julka „Ciecierzyno” odpędzała osy, dobierające się do tych słodkości i blaszaną szufelką nabierała do zrobionej z szarego papieru tutki landrynkowe rybki, ptaszki i księżycy. Śledziliśmy jej każdy ruch marząc, by na szufli znalazło się jak najwięcej białuśkich cukierków migdałowych, które w niewielkiej ilości były wymieszane z lepiącymi się od ciepła landrynkami. I drżeliśmy, że ekspedientka, po położeniu tutki na wadze, odbierze z niej zbyt dużo cukierków.

Na sklepowej ladzie stały też dwa wielkie bloki: „marmulada” w buraczkowym kolorze; chyba właśnie z buraków robiona i szary, rozmiękły smalec. Z tłuszczów kupowało się jeszcze czasem ceres – pakowany w małe kostki. Oryginalny ceres to oczywiście tłuszcz z palmy kokosowej, ale gdzieżby wtedy u nas? Nasz był z utwardzonego oleju rzepakowego; biały, albo kremowy, nieprzyjemny w smaku i dotyku. Nie było w sklepie masła, bo każda gospo-

dyni hodowała krowy więc miała też mleko i śmietanę, z której sama wyrabiała masło w drewnianej „maśnicze”. Nie było też margaryny; tuż po wojnie jeszcze w wiosce mojego dzieciństwa nieznaną.

Niekiedy pojawiał się na ladzie wielki, smakowity kłoc tzw. bloku kakaowego. Czym był blok? „Była to słodka masa koloru szarokakaowego, przypominająca niby to lukier, ni to kajmak z odrobiną kakao, do której wrzucono połamane ciastka, herbatniki, wafelki. Taki sposób na zagospodarowanie cukru i resztek piekarskich”⁶.

Kupowaliśmy troszkę tej „dobrości” za resztę wydaną nam po zakupieniu zapalek, „prozy” czyli sody oczyszczonej, zwanej też przez niektórych „prołzom”, soli, cukru, ryżu, drożdży, pasty do butów, podstawowych przypraw, jak liść laurowy, cynamon, pieprz, czy innych, niezbędnych w domu produktów, po które wysyłały nas mamy.

Niekiedy wybierał się do sklepu ojciec – po naftę, po „cygarki”, denaturat, świece czy konserwy rybne. Zawsze chcieliśmy mu towarzyszyć, bo miał serce miękkie jak воск i zawsze dawał się namówić na jakieś dziecięce łakocie.

Kupowaliśmy też budyń w proszku o różnych smakach: śmietankowym, waniliowym czy czekoladowym w kolorowych papierowych torebkach, na których namalowany był uśmiechnięty kucharz w pięknej, białej czapce. Bardzo lubiliśmy ten budyń przyrządzany z mlekiem, cukrem i łyką masła.

Niestety, często się zdarzało, że sklep był zamknięty, a na drzwiach widniała kartka z tajemniczymi napisami: „Remament” [remanent], albo „Tarowanie wagi”. Pojawiały się też inne, już zrozumiałe napisy: „Pojechałam po towar”, czy „Jestem u lekarza”. Mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa ze zrozumieniem przyjmowali te informacje i niczemu się nie dziwili. Po prostu przychodzili na drugi dzień ponownie, bo – oczywiście – w godzinach popołudniowych sklep zawsze był nieczynny. A o troszkę nafty, cukru czy soli zawsze można było przecież poprosić sąsiada. Wprawdzie niektórzy pożyczali „na wieczne oddanie”, czyli nigdy nie zwracali pożyczonych produktów, ale były to niechlubne wyjątki.

W sklepie zawsze było ciekawie. Kobiety długo wybierały towar, przyglądały się bacznie, jak „sklepowo” kładzie na żelaznej wadze z szalami różne odważniki, jak nabiera na szufelkę z wielkich worków cukier czy sól, jak uważnie wysypuje je do beżowych, papierowych torebek przyglądając się, kiedy ząbki wagi osiągną równowagę, jak – następnie – sprytnie przesuwając kolorowe koraliki na drucikach dużego liczydła i błyskawicznie podaje łączną wartość zakupionych towarów, nawet wtedy, gdy ich lista jest bardzo długa. Usłyszawszy sumę do zapłaty kobiety zawsze jeszcze trochę się zastanawiały, kręciły głowami i wzdychały głośno, narzekając na drożyznę. Wreszcie wyciągały z zanadru zawieszony na tasimce płócienny mieszek i odliczały skrupulatnie każdy grosik, lub wydobywały z jakiejś przepastnej kieszeni

chusteczkę do nosa zawiązaną na supełek, gdzie skrywane były jakieś drobniaki. Portmonetek nie używano, bo i chować w nich nie było czego. Dopiero później wszedł do użytku „pularys”, ale stare kobiety pozostały wierne – najbezpieczniejszym według nich – woreczkom na szyi. Niektórzy mężczyźni nosili skórzane portfele, ale ich zawartość była dla nas, dzieci – zagadką.

Sklep bywał też miejscem spotkań. Lin z „Zamykania koła” wspomina takie spotkanie z dawnymi kolegami, którzy w opinii mieszkańców zrobili wielką karierę po opuszczeniu rodzinnej wioski: z lekarzem, pułkownikiem kontrwywiadu i kapitanem żeglugi. Uczcili tę okazję oczywiście tradycyjnie – alkoholem:

„Po chwili wszyscy czterej skupili się w ciemnym kącie przy ladzie nad nową butelką winiaku. Popijali z jedynej musztardówki, zagryzając sardynkami, które za ogony wyciągali z otwartego pudełka. Przerywając sobie nawzajem, ciągle się o coś wypytywali”⁷.

Kupujący, tak jak bohaterowie Mikołajkowej powieści, zupełnie lekceważyli napis wiszący na ścianie: „Załatw sprawę i żegnaj”, bo akurat nic on w naszym sklepie nie znaczył; było to miejsce popularnych spotkań, rozmów, dysput, do których żywo włączała się też sklepowa, a czasem i jej mąż, pomagający jej w noszeniu ciężkich worków, pudeł, czy w rozlewaniu nafty do przyniesionych butelek lub do specjalnych „kanek”.

Hasła: „Nasz klient, nasz pan” jeszcze w naszym sklepie nie było, nie było też chyba „Książki życzeń i zażaleń”; zresztą, na co mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa mieliby się żalić? Także pojawiające się napisy z nowymi zasadami, dotyczącymi pierwszeństwa obsługi były traktowane z dystansem; kolejek długich nie było, a każdy chciał trochę postać, by pogadać i na chwilę oderwać się od domowych prac.

Wybiegając ze sklepu z upragnionymi słodzcami, chcieliśmy się pochwalić i podzielić nimi z kimś bliskim. Najbliższą moją koleżanką była Ceśka.

Gdy pojawiła się w sklepie rewelacyjna nowość – oranżada w proszku, zjadałyśmy się tym smakołykiem, wysypując na dłoń trochę pomarańczowego proszku i wylizywałyśmy go dokładnie, upajając się musującą słodkością. Nie potrzeba nam było żadnej wody do jego rozpuszczania; sam był „obrzydliwie” smakowity. Oczywiście nie wiedziałyśmy o istnieniu takich przysmaków, jak np. guma do żucia, soczki dla dzieci, czy różnorodne – dziś dostępne – wyroby czekoladowe i batony.

Z Ceśką chodziłyśmy do jednej klasy, mieszkaliśmy blisko siebie i ciągle się spotykałyśmy w niezwykle ważnych, dziewczyńskich sprawach. Rozumiałyśmy się świetnie, miałyśmy podobne upodobania i problemy. Zdzieraliśmy ciuchy i buty po swoich starszych siostrach, opiekowałyśmy się młodszym rodzeństwem, śpiewałyśmy, pasąc krowy, te same piosenki, czytałyśmy te same książki i wspólnie snułyśmy marzenia. Na jednym z zachowanych, oczywiście czarno-białych zdjęć z tego okresu siedzimy przed moim do-

mem na kocyku; obie uczesane gładko w tzw. gretkę, w perkalowych, letnich sukienkach. Obok moja młodsza siostra Marysia z ogródkowymi floksami w ręce i ubrany jeszcze w śpioszki mały brat Ceśki, który – jak wielu bobrowian – po wyjeździe z wioski zrobił karierę, pełniąc w naszym powiecie ważne funkcje administracyjne. Atmosfera na zdjęciu jest sielankowa; nie widać tego, że nasi podopieczni sprawiali nam wiele kłopotów i przeszkadzali w zabawach. Ale tak na wsi było, że opieka nad maluchami przypadała starszemu rodzeństwu, a rodzice tylko doglądali, sprawdzali, czy nic się złego nie dzieje, bo sami byli zajęci poważniejszymi sprawami.

Bliską naszą koleżanką była czarnooka Lodzia. I ona, i jej mama miały piękne, niepospolite imiona: Leokadia i Adela. Zazdrościliśmy jej, że jest jedynaczką, a ona nam, że mamy rodzeństwo. W jej maleńkim mieszkaniu zawsze był idealny porządek: ubrania starannie złożone, przybory szkolne na wyznaczonym miejscu, a różne „dziewczyńskie skarby” w podpisanych pudełeczkach. Widząc to wstydziliśmy się naszego bałaganu, ale jakoś nie potrafiliśmy się zmobilizować do takich porządków.

Mieszkająca niedaleko Łodzi Janka miała tylko mamę, która była doskonałą krawcową i bardzo życzliwą kobietą. Janka imponowała nam tym, że miała krewnych w Skawinie niedaleko Krakowa i wyjeżdżała do nich na wakacje. To w jej ogródku kwitły najpiękniejsze w całej wsi szlachetne róże – ciemnobordowe i pachnące.

W naszej klasie była jeszcze jedna, bardzo sympatyczna Janka. Dzięki niej poznałam tzw. „Koniec” wsi, bo ona właśnie mieszkała „na Końcu”. Jej rodzice – bardzo życzliwi – częstowali nas upieczonym „jabkowcem” i smaczkowitym kompotem.

Fajną dziewczyną z sąsiedztwa była też Danką, z którą chodziłyśmy do kapliczki i na spotkania świetlicowe i Tereska – o typowej słowiańskiej urodzie, bławatkowych oczach, bardzo ładnych, delikatnych rysach, miękkim, łagodnym głosie, który urzekał wszystkich, i o takim też charakterze.

Rezulutna Krysia, z którą siedziałam w jednej ławce, mieszkała nad Wiśłoką w części wsi zwanej „Koloniją”. Bardzo się lubiłyśmy, pożyczaliśmy sobie nawzajem przybory szkolne, spisywałyśmy zadania i plotkowałyśmy o naszych dziewczczyńskich sprawach do upadłego.

„Kolegowałyśmy się” też z Natalką, troszkę starszą, poważną i melancholijną, której imię miało coś z lekkości motyla. Zazdrościłam jej tego ślicznego imienia, tak jak starszych braci Marynce, najwyższej z nas, szczupłej śmieszce, która pierwsza wprowadziła modę na „paseczkowe” torby na książki robione na drutach z resztek wełny. Z tej naszej paczki tylko Lodzia, Natalka, Janka z Końca i Krysia do dziś mieszkają w rodzinnej wiosce.

Fajni byli też koledzy z tamtych lat: Bronek, który podwoził nas na rowerowej rurce, a który po śmierci swej mamy nauczył się wykonywać wie-

le „babskich” prac, cichy, spokojny Manek, który został świetnym krawcem, Staszek o dziwnych, niebieskich oczach, który zawsze miał pełno szalonych pomysłów, kuzyni Manek i Kazek, z którymi grałyśmy w piłkę, czy Wiesiek, z którym „kaleczyłam” pierwsze tańce na bobrowskich zabawach. Niestety, Staszka już nie ma wśród żywych, a pozostali na zawsze opuścili wioskę mojego dzieciństwa. Ale na pewno wszystkie dziewczyny i chłopaki z naszego pokolenia z rozrzewnieniem wspominają tamto – tużpowojenne – biedne, ale przecież fajne, szczęśliwe dzieciństwo.

Jesień wciąż pachniała palonymi liśćmi, coraz większy ziąb wdzierał się nocami do chałup, zaś stare kalendarze nakazywały już „kapustę rąbać, jarzyny wybierać, rzepę wykopywać”. Dorośli szli więc co rano w pola, a my do szkoły.

A w szkole uczono nas „nowoczesnego” pojmowania patriotyzmu. Tradycyjnie rozumiane słowo „patriotyzm” było dość rzadko wypowiedane, bo nie sprzyjała temu sytuacja polityczna kraju. Niedawna wojna wymagała patriotycznych ofiar i takie składano, a codzienne zmaganie się z szarą rzeczywistością nie wydawało się wyrazem patriotycznej postawy. Nowy ustrój socjalistyczny, który nie był zanurzony w tradycji zachodniej, a – przeciwnie – zwalczał ją, zastępując sowieckimi porządkami, które były jak „inwazja z obcej planety” – preferował przede wszystkim internacjonalizm, poczucie wspólnoty socjalistycznych państw czy miłość do Związku Radzieckiego.

Traktując Polskę jak przyszłą republikę, moskiewskie władze, panoszące się w naszym kraju, krzewiły idee obce zwykłemu człowiekowi, niezrozumiałe i wrogie. W natrętnym języku propagandy zastąpiono słowo patriotyzm właśnie słowem internacjonalizm. Niedawną przedwojenną rzeczywistość potępiono w czambuł; więziono i torturowano niedobitków wojennego podziemia oraz przeciwników nowych porządków. Nasze białe-czerwone flagi umieszczano jakby wstydliwie pomiędzy panoszącymi się wszędzie czerwonymi, robotniczymi sztandarami, a nasz hymn narodowy coraz częściej zastępowano „Międzynarodówką”.

Kierownik szkoły, pan Zieliński próbował nauczyć nas naszego hymnu. Przynosił na lekcje śpiewu skrzypce w eleganckim futerale, po czym wyjmował je uważnie, kładł na stole, wyciągał ze specjalnego schowka zawinięty w irchową szmatkę kawałek kalafonii i przesuwiał nią lekko po strunach i smyczku. Następnie chował tę tajemniczą kalafonię z powrotem i chwytając delikatnie drogocenny instrument, próbował cichutko grać. Początkowo struny rzęziły, świstały, zgrzytały straszliwie, ale wkrótce kolejne, pojawiające się dźwięki zaczęły się układać w piękną, rozpoznawalną melodię. Górzej było ze śpiewaniem. Pan Zieliński – choć miał głos szlachetny i dość mocny – wykonywał utwór tak jakoś manierycznie, że brzmiał on nienaturalnie i niepoważnie: „Jeszcze Polska nie zgi-ne-che-ła-cha, póki my żyjemy, co nam obca przemoc wzie-che-ła-cha”... Słuchając hymnu w takiej formie,

nie czuliśmy, że jest tak ważny i uroczysty, nie potrafiliśmy zachować powagi czy doznawać uczucia dumy; przeciwnie – takie wykonanie wywoływało naszą nieudolnie maskowaną wesołość, która bardzo denerwowała nauczyciela. W takiej sytuacji przybiegał do pierwszej ławki, porywał za ramiona i wyprowadzał z klasy najbliższego ucznia. Zdarzało się to kilkakrotnie; niestety – ofiarą naszego złego zachowania padał zawsze ten sam kolega Staszek, zajmujący to pechowe miejsce. Znosił to ze spokojem, po męsku, nigdy nie przesiadając się do „bezpieczniejszej” ławki. Niestety, Staszka też nie ma już wśród nas.

A nasz patriotyzm drzemał uśpiony. Wprawdzie codziennie spoglądaliśmy na Orła wiszącego nad tablicą, ale był jakiś osowiały, wyblakły, namalowany na byle jakim papierze, nazwany przez Rosjan pogardliwie „kuricą”; oczywiście bez korony, o której istnieniu nie mieliśmy pojęcia. No i znajdował się w towarzystwie okropnych portretów starszych, smutnych, groźnie patrzących na nas nowych włodarzy ojczyzny. A piosenki: „Płynie Wisła płynie po polskiej krainie, a dopóki płynie Polska nie zaginie” – uczyły nas mamy, a nie nauczyciele.

Oprócz rodziców również Kościół stał na straży tradycyjnych wartości patriotycznych, przekonując, że dzieje Polski i Polaków są nierozdzielnie związane z dziejami chrześcijaństwa, a przez stulecia funkcjonował chlubny stereotyp Polaka-katolika. Szczególnie w okresie zaborów i walk o suwerenność narodową Polakom towarzyszyło szczytne hasło: „Bóg, Honor, Ojczyzna”. Patriotyzmu uczyliśmy się też z książek czytanych w kręgu naftowej lampy, czy – później – elektrycznej nocnej lampki.

A za oknami było jesienne niebo wyiskrzane gwiazdami, lub – coraz częściej – ciężkie od burych chmur siejących zimnym kapuśniaczkiem. Prawie już nagie drzewa szarpał październikowy wiatr, nad rozmokłymi łąkami snuły się coraz gęstsze, leniwe dymy mgieł, a w ogródku sterczały smętne kikuty zwarzonych pierwszym przymrozkiem „giergonii” i sztywne łodygi wydziobanych przez wróble słoneczników. Krwawe wieczorne zorze zapowiadały nowe wichry i nowe deszcze.

W coraz dłuższe, smętne wieczory, gdy jesienny wiatr zawodził i szarpał framugami okien, a pod blachą tańczyły pomarańczowe płomyki palącego się drewna, wypełniające izbę przyjemnym ciepłem, oglądaliśmy telewizję. Stały program telewizyjny zaczęto w Polsce nadawać od 1953 roku. Początkowo tylko marzyliśmy o tym cudownym wynalazku, ale nikt nie wierzył, że tak szybko zaglądnie do naszej wioski. Na razie musiały nam wystarczać rewelacje, o których mówiło radio i pisały gazety. Dowiadywaliśmy się na przykład, że początkowo dzienny program nadawany jest raz w tygodniu – w piątek i trwa pół godziny, wkrótce potem, że można go już oglądać codziennie [oprócz wtorku] po południu przez kilka godzin. Zaczęły się pojawiać „jak

grzyby po deszczu” coraz to nowe audycje: pierwsze transmisje sportowe, pierwszy teatr telewizyjny „Okno w lesie” [1953], pierwszy konkurs na prezentera [1955], „Tele-Echo” [1956], pierwszy „Dziennik Telewizyjny” prowadzony najpierw przez Eugeniusza Cześnina, a później przez wiele lat przez Jana Suzina [1958], „Kabaret Starszych Panów” [1958], pierwszy „Festiwal Polskiej Piosenki” w Opolu [1963].

Początkowo program był oczywiście jeden; zaczynał się około godziny szesnastej, a kończył filmem o godzinie dwudziestej. Telewizja była dla nas cudem techniki; niezrozumiałym, początkowo przyjmowanym nieufnie, ale fascynującym i – strasznie drogim. Tylko niektórych mieszkańców wioski mojego dzieciństwa stać było na kupno pokracznego odbiornika, budzącego respekt i podziw.

My biegaliśmy do sąsiadki Irusi, która jako jedna z pierwszych w Bobrowej zakupiła to „cudo”. Telewizor nazywał się chyba „Wisła” i był super-nowoczesnym „meblem”, zajmującym poczesne miejsce w dużym pokoju. Masywne, magiczne pudło miało maleńki ekranik o obciętych rogach, rozświetlony szarym światłem, a z tyłu spore wybrzuszenie.

Wiesław Kot pisze: „Programy telewizyjne oglądało często wspólnie po kilka rodzin. Telewizja miała olbrzymi wpływ nie tylko w dziedzinie propagandy: oddziaływała też na modę, obyczaje, upowszechniała kulturę”⁸.

Tak było też w wiosce mojego dzieciństwa. Codziennie w Iruśnym pokoju zbierała się dość duża grupka dorosłych i dzieci, sadowiona gdzie popadło. Było głośno i wesoło; komentowano na bieżąco oglądane programy, podziwiano urodę spikerek, krytykowano propagandowe wiadomości, oceniano oglądane filmy.

Początkowo scenografia telewizyjna była bardzo uboga: jakieś krzesło, kwiatek, tekturowa plansza stanowiąca tło, a zamiast audycji pojawiające się ciągle charakterystyczne, migające pasy. Oczywiście niewyraźny, śnieżący, czarno-biały obraz tej – stawiającej pierwsze kroki, siermiężnej telewizji – nie umniejszał naszego podziwu nad tym wynalazkiem.

Właściciele traktowali te „radia z lufcikiem” – jak o odbiornikach telewizyjnych pisał satyryk i gawędziarz warszawski Wiech, czyli Stefan Wiechecki – z nabożnym szacunkiem, za każdym razem uroczyście celebrując ich włączanie i wyłączanie, ku zachwytowi przybyłych na oglądanie sąsiadów. Bano się zepsuć tak cenną rzecz czy ją „wyczerpać” – jak mówiono.

Gdy w naszym domu pojawił się telewizor o wdzięcznej nazwie „Belweder”; oczywiście czarno-biały, toporny i ciężki, mama po dłuższym oglądaniu wyłączała go, mówiąc: „niech se trochę odpocznie”. Był to też jej sposób na oderwanie nas od tej czarodziejskiej skrzynki, byśmy zabrali się do nauki czy innych zajęć.

Dla tych, którzy nie mieli możliwości śledzenia w domu tego jedyne go programu nadawanego w godzinach popołudniowo-wieczornych, zakupio- no telewizor do świetlicy w ludowcu, gdzie gromadziła się młodzież i dzie- ciaki, by oglądać „jak leci” wszystkie kolejne audycje. Zupełnie nie przeszkad- zał nam brak kolorów, które pojawiły się dopiero w epoce Gierka ani ciągłe usterki, za które tak ślicznie przepraszała elegancka Irena Dziedzic lub cu- downa Edyta Wojtczak, pracująca w telewizji od 1959 roku.

Niekiedy wystarczało walenie pięścią w pudło telewizora, by go uspraw- nić na nowo, ale najczęściej trzeba było cierpliwie poczekać aż obraz sam powróci i milutka spikerka słodziutko zaprosi na dalszą część programu.

Gdy telewizory zagościły prawie w każdej rodzinie, dorośli codziennie oglądali „Dziennik Telewizyjny”, choć bardzo denerwował ich tendencyjny sposób relacjonowania wydarzeń. Komentowali głośno każdą wiadomość i konfrontowali z własnymi doświadczeniami, a potem o nich dyskutowali z sąsiadami i spotkanymi znajomymi. Cenili umiejętności telewizyjnych re- daktorów i nawet żalowali, gdy któryś z nich zniknął z anteny, jak np. Karol Małcużyński, który zawsze miał bardzo groźną minę, ale potrafił fascynują- co przedstawiać różne wydarzenia, a na dodatek zawsze przed sobą stawiał śmiesznego, malutkiego misia.

Całe rodziny zbierały się przed telewizorem, gdy nadawano „Tele-Echo”. Pojawiał się wtedy na chwilę elegancki świat, kulturalne, często dowcipne rozmowy, pełna gracji prowadząca Irena Dziedzic i ciekawi goście, których zapraszała na herbatę, podawaną w wykwinnych filiżaneczkach. Już pierw- szy program – reżyserowany przez Jerzego Gruzę – okazał się rewelacją. Tło stanowiły rysunki Jana Lenicy, przedstawiające Warszawę, a – wytworna spikerka prowadziła wraz z Edwardem Dziewońskim bardzo ciekawą, lekką rozmowę ze znaną aktorką Aleksandrą Ślaską i niezwykle wówczas popu- larnym warszawskim fryzjerem. I chociaż plotkowano, że wszystko w kolej- nych programach było wcześniej ustalone co do jednego słowa, to i tak przez wiele lat byliśmy wierni tej wyjątkowej wówczas audycji, bo w sierpniowym PRL-u była namiastką innej, piękniejszej rzeczywistości.

Oczywiście codziennie wieczorem oglądaliśmy „Dobranocki” dla dzieci, które zaczęto nadawać od 1958 roku. Wtedy już 13-letnie „stare konie” – po- zwalaliśmy się codziennie zauroczyć magią dziecięcych bajeczek.

Pierwszą polską dobranocką był „Miś z okienka”, w której to audycji po- pularny aktor Bronisław Pawlik prowadził z milutkim Misiem ciekawe roz- mowy o różnych dziecięcych zabawach, zajęciach czy książkach. Później po- jawiły się „Przygody Gąski Balbinki”, w których nieruchomym kreskówkom towarzyszył dowcipny dialog gąski i sepleniącego kurczaka Ptysia, witające- go zawsze Balbinę niezapomnianym – „Czeszcz Balbina”.

Ale najbardziej podobały się dzieciom sympatyczne, oczywiście czarno-białe, pacynki: Jacek i Agatka. Autorem tej dobranocki był wybitny artysta plastyk Adam Kilian, dialogi pisała Wanda Chotomska, a głosu bohaterom użyczała Zofia Raciborska. Pacynki – z piegami na buzi – wykonane były w sposób niezwykle prosty; były to bowiem pomalowane drewniane piłeczki nałożone na dłonie w czarnych rękawiczkach. Bohaterów tej audycji – pojawiających się na ekranie trzy razy w tygodniu – od razu pokochały nie tylko maluchy, ale i dorośli. Do redakcji telewizji codziennie przychodziło wiele listów od dzieci, w czasie trwania tej dobranocki wyludniały się podwórka, powstawały nowe zabawy, których bohaterami byli właśnie: Jacek i Agatka. W sklepach pojawiły się nawet kosmetyki z podobiznami bohaterów, ale nie pamiętam, by któreś znajome dziecko w ogóle używało jakiś dziecięcych kosmetyków; no może jedynie popularnego mydełka dla dzieci.

Po dobranocce dorośli czekali na wiadomości ze świata, a nade wszystko na prognozę pogody przedstawianą przez niezwykle sympatyczną parę prezenterów: zawsze uśmiechniętą Elżbietę Sommer – „Chmurkę” i jowialnego Czesława Nowickiego – „Wicherka”, który zapowiadał słońce w przeciwsłonecznych okularach, a deszcz – stojąc pod parasolem. Ciągłe przynosił do studia różne dziwy przyrody: monstrualne dynie, marchewki o śmiesznie powykrzywianych korzeniach, dorodne grzyby czy inne okazy.

Wszystko nam się podobało, nawet reklama środka na insekty o wdzięcznej nazwie „Prusakolep” – chyba pierwsza w telewizji; oczywiście z wyjątkiem tych migających pasów, które co rusz pojawiały się na ekranie, a które nazywaliśmy „pralką” – przypominały bowiem blaszaną tarę do prania. Wtedy ani grzeczny napis „Przepraszamy za usterki” czy „Za chwilę dalszy ciąg programu”, ani słodki głosik Edyty Wojtczak czy przystojnego Jana Suzina nie wynagradzały nam rozczarowania, bo nieodwracalnie uciekały fragmenty filmów czy jakichś interesujących programów. Obraz ciągle był niewyraźny, zamazany; żartowano, że trudno było odróżnić tańczącą Łowiczanekę od zamku w Malborku, ale nas i tak wciąż fascynował.

Często też – niestety – w najciekawszym momencie następowała przerwa w dostawie prądu. Nigdy nie była zapowiadana wcześniej; niekiedy trwała długo, tłumaczona potem przeciążeniem, gdy stopień zasilania nie nadążał za potrzebami odbiorców. Oczywiście prąd musiały mieć fabryki, szpitale, różne ważne instytucje, a zwykli obywatele mogli się przecież bez niego obejść. Na tę okoliczność zawsze trzymaliśmy na podorędziu jakąś świeczkę i pudełko zapalek, by choć trochę rozświecić ciemności.

Rosyjskie telewizory „Rubiny”, wyróżniające się najbardziej ciężarem, w których jak bomby wybuchały kineskopy, stając się przyczyną groźnych pożarów, wydawały się nam piękne. To w nich oglądaliśmy np. pierwszy Międzynarodowy Festiwal Piosenki w Sopocie, który odbył się w 1956 roku,

a w którym konferansjerami byli: Irena Dziedzic z „Tele-Echa” i aktor Mieczysław Voit. Lubiliśmy też telewizyjny „Koncert Życzeń”, w którym śpiewali piosenki bardzo popularni wówczas soliści: Maria Koterbska, Natasza Zylska, Sława Przybylska, Irena Santor, Jerzy Połomski, a także świetny program Adama Słodowego dla wszystkich majsterkowiczów „Zrób to sam” uczący, jak w sytuacji, gdy brakowało prawie wszystkiego, można wykonać wiele pożytecznych rzeczy. Wystarczyła jakaś blacha z puszki, kawałek drewna, skrawki materiału, niepotrzebne już pudełko, aby „wyczarować” ciekawą nocną lampkę, stojak na ubranie, kwietnik, zabawkę dla malucha czy inny ładny przedmiot. Dorośli w każdy czwartek zasiadali, by oglądać „Kobrę” – telewizyjny teatr „kryminalny”, do którego czołówkę z wijącym się wężem stworzył znany satyryk i rysownik Eryk Lipiński. Pochłonięci pasjonującą akcją nie zauważali nawet, że z zapartym tchem śledzą kryminalne zagadki również ułożone już do snu dzieciaki. Wśród nich były małe Edytki; moda na to imię dla dziewczynek zrodziła się właśnie pod wpływem telewizji. Mamy marzyły, by ich nowo narodzone córeczki były tak śliczne, urocze i zdolne jak ulubiona spikerka Edyta Wojtczak.

Przed ekranem telewizyjnym nie spędzano jednak zbyt dużo czasu, bo przecież było codziennie tyle ważnych zajęć. Często, gdy po całym dniu pracy w domu, w polu i przy gospodarstwie zasiadano do oglądania, oczy same się zamykały i trzeba było kłaść się do łóżek.

A dni wstawały już prawie codziennie w zimnej rosie, chłodzie i mgle. I choć nie chciało się nosa wyściubiać z ciepłej izby, trzeba było się zbierać do ostatnich jesiennych prac polowych. Kobiety ubierały „udzirgane” przez siebie wełniane swetry, pikowane kufajki, ciepłe chusty, grube spódnice, na nogi wkładały prążkowe pończochy, wełniane skarpety i „cholewioki”, i tak okutane i obute szły w pole, by z szarej, rozmiękłej ziemi wyrwać buraki i kapustę. Wycinanie i zbieranie kapusty, wyrwanie buraków czy „korpieli” odbywało się ręcznie i przypominało co żywo obrazy opisane przez Władysława Reymonta w „Chłopach”. Bo choć powojenna wieś była już inna, ale pewne czynności, zachowania i zwyczaje przetrwały.

Przecież tak samo „szły nieskończone, zimne, przenikające szarugi jesienne. Siwe, lodowate bicze deszczów siekły bezustannie ziemię i przebiegały do głębi, a drogi opustoszałe rozlały się w błotniste, gnijące kałuże. Krótkie, smutne, bezsłoneczne dni wlekły się ciężko przegniłymi smugami światła, a noce zapadały czarne, rozpaczliwe monotonnym chłupotem [...]. Cicho było we wsi, tylko gdzieś tam młócono po stodołach, bo wieś cała była na kapuśniskach”⁹.

Mężczyźni – też ciepło wyubierani – w „kalysonach” pod grubymi portkami, w jakiś kubrakach i czapkach na głowach znosili na kupki buraczane bulwy czy kapuściane głowy, pomagali oczyszczać je z ziemi czy ze zgni-

łych liści i wozili na podwórka. Przenikliwy wiatr przyginał do ziemi gałęzie drzew, kapuśniaczek kłuł w oczy, grabiały ręce, bolały karki, buty grzęzły w śliskim błocie, stając się coraz cięższe i niewygodne, ale robotę trzeba było wykonać do końca.

Rodzice zabierali też nas, dzieci – do pomocy, ale zawsze marudziliśmy, że zimno, że mokro, że taka „śląkwa”, że chcemy do domu. Najczęściej obiecaliśmy więc kapustę z zewnętrznych liści już po przywiezieniu na podwórko. Odkrawaliśmy też łodygi buraków pastewnych i karpielei, z których robiono kiszonki lub suszono, rozwieszając na płotach; służyły w zimie jako pożywny składnik karmy dla bydła. Dodawało się je np. do rozdrobnionych karpielei, zmieszanych z sieczką. Proste sieczkarnie stały na każdym boisku w stodole i często były obsługiwane przez dzieci, choć niektórzy rodzice nie pozwalali dotykać tego niebezpiecznego urządzenia. Za to wszyscy długie godziny spędzaliśmy w piwnicy oskrobując niezdarne, brudne bryły buraków czy karpielei zgrabiałymi z zimna rękami. A potem siekało się je „sieka-cem”, nazywanym też „esem”; zmyślnym narzędziem, składającym się ze styliska i nadzianego na jego koniec kawałka ostrego żelaza, zagiętego w kształt litery „s”, którym drobiło się twarde, buraczane i karpielewne kule. Nie dziwił więc fakt, że gdy pewnego razu w szkole nauczyciel narysował na tablicy literę „S” i zapytał, co to jest, jedno z dzieci zawołało: – To jest siekac.

Bo dzieci z wioski mojego dzieciństwa wcześniej poznały to narzędzie niż nauczyły się liter. Miały przecież od najmłodszych lat swoje obowiązki. Nawet w naszym niewielkim gospodarstwie – choć do wielu prac wynajmowaliśmy chętnych robotników – zawsze było coś do zrobienia.

Nigdy się nie nudziliśmy. Rodzice wymagali, żeby się nie lenić i ciągle znajdowali dla nas jakieś zajęcie. Nie wszystkie wykonywaliśmy chętnie, ale o proteście nie było mowy.

Zawsze za to chętnie biegaliśmy do sklepu czy szliśmy sprzedać uskładane przez kilka dni jajka do punktu skupu, znajdującego się w domu Kmietków obok mostku na rzeczce. „Kmietka” kładła jajka na sprytnym urządzeniu, zwanym prześwietlarką i zwracała wszystkie „sztuki nieświeże”, zgodnie z instrukcją przybitą gwoździkiem na ścianie. Te nieprzyjęte wyrzucało się w krzaki, wracając do domu z drobniakami, z których niekiedy mama wydzielala kilka najmniejszych monet na dropsy czy do szkoły na SKO.

Na skutek powszechnej propagandy wszędzie – również w szkole – głoszono hasło oszczędzania, chociaż przecież nie było z czego, bo mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa żyli bardzo biednie. Jeśli mogli coś zaoszczędzić, chowali grosiki do jakiegoś zakamarka w szafie czy skrzyni ufając, że „Grosz do grosza, a będzie kokosza”. Nie wierzono bankom, żadnym instytucjom państwowym czy władzom, zwłaszcza po owej niezapowiedzianej wymianie pieniędzy z dnia na dzień, na której wiele stracili.

Ale wielkie plakaty: „Oszczędzaj w SKO”, czy późniejsze: „Październik Miesiącem Oszczędności” i zachęta nauczycieli – zrobili swoje.

Nauczycielki prowadziły kartoteki oszczędności dla wszystkich uczniów. My też dostawaliśmy bloczki podzielone na rubryki, w które każdorazowo wpisywana była wpłacana kwota, potwierdzana przez nas własnoręcznym podpisem. Mogliśmy więc kontrolować i sumować zebrane oszczędności – no i planować przyszłe zakupy. Na skutek agitacji promującej oszczędzanie każdy z nas pragnął być najlepszy; organizowano też współzawodnictwo między klasami i między poszczególnymi uczniami.

Wierzyliśmy, że „ciując” grosz do grosza, spełnimy nasze dziecięce marzenia oraz włączamy się w wielką akcję narodową, bo składanie pieniędzy w SKO było socjalistycznym obowiązkiem każdego ucznia. Niestety, uzbierane przed wakacjami sumy pozwalały jedynie na drobne zakupy jakiejś pożytecznej rzeczy, najczęściej zasugerowanej przez rodziców, np. kolorowego perkalu na letnią sukienkę czy sandałków, które nazywaliśmy „gdynkami”. Można też było te zaoszczędzone pieniądze zostawić w SKO na następny rok, ale prawie nikt nie miał tak silnej woli i już na początku czerwca opowiadaliśmy sobie na przerwach, na co wydamy nasze oszczędności, poczynione najczęściej kosztem rezygnacji z jakiś słodczy, bo przecież nie mieliśmy żadnego kieszonkowego.

Najgorzej bywało, gdy rodzice rekwirowali dziecku kasę na jakiś pilny zakup; potrzebę ważniejszą niż dziecięce fanaberie. Ale rozpacz i smutek trwały krótko. Moje pokolenie rosło twarde – odporne na stresy, nie mągające się z byle powodu. A nawet drobny pieniążek dany przez dorosłych na jakąś słodkość zadowalał każde dziecko i czynił je szczęśliwym. Szkoła – w ramach tej ogólnopolskiej akcji oszczędzania – organizowała również akcje zbierania makulatury na nowe książki i zeszyty oraz złomu, by huty mogły produkować stal, która była podstawą socjalistycznego budownictwa. Oszczędzanie sławiły nawet piosenki, jak ta o młodej parze, która – urządzając swoje mieszkanie – postanowiła: „Zegara nie kupimy, bo zegar jest na rynku. Pani rozumie: akcja – O”.

Październik był w gospodarstwach wiejskich miesiącem przygotowań do zimy. Nawet jeśli długo utrzymywała się ciepła pogoda, nikt nie dał się zwieść leniwemu słońcu i nie mitrężył ani chwili. Wierzono przysłowiu, że „Gdy październik ciepło trzyma, wtedy mroźna będzie zima”. Kto nie zdążył w lecie, teraz przywoził z lasu drzewo na opał, świstały piły, z podwórek rozchodziły się głuche odgłosy siekier rąbiących drwa, które starannie układano pod dachem. Na otwartych boiskach wciąż dudniły cepy, bo przecież „Póki w ręce cep, póty w gębie chleb”. A w przydomowych ogródkach kobiety robiły ostatnie jesienne porządki.

Coraz częściej ziąb zaglądał do izb, a powietrze przenikały cierpkie zapachy snujących się nad dachami dymów. Wszyscy domownicy czekali na ciepłą, rozgrzewającą strawę. Każda gospodyni wiedziała, że jedzenie powinno być sycące, odżywcze i – jeśli to było możliwe – obfite. Nie gotowano wymyślnych potraw; korzystano z tego, co wyprodukowano w gospodarstwie. Bohater Mikołajkowego opowiadania „Drwal” po ciężkiej pracy w lesie „prawie nie gryząc, zjadł miskę kaszy ze słoniną, wypił garnek mięty”¹⁰.

A Emil z opowiadania „Sielanka” wspominał: „Siadłem do śniadania: podbita jaglaną kaszą zacierka [...]. Matka tłukła jaja na jajecznicę”¹¹. Te jaja były smażone z okazji przyjazdu znajomego – Kikuta, bo gościnność była na wsiach zawsze bardzo ważną zasadą.

Również Korab z opowiadania „Pod sosną” jest częstowany jajecznicą; kobieta, którą odwiedził, „postawiła przed nim talerz z jajecznicą, maselniczkę, chleb”¹².

Nie zawsze przygotowywano trzy posiłki w ciągu dnia. Czasem – jak mówi bohater – jadło się „kolację z obiadem za jednym przysiadem”¹³.

Nie było domu, w którym nie stałaby pękata beczka kiszonej kapusty. Wyszorowana i wywietrzona w lecie – a czasem naprawiana, gdy klepki rozsychały się i opadały, bo metalowe obręcze niezbyt trzymały – zajmowała ważne miejsce w chłodnej sieni. Kiszona kapusta była podstawową „jarzyną” w ciągu całej zimy; dodatkiem do potraw, stanowiącym świetne źródło witamin, samodzielnym daniem, a nawet lekarstwem. Sok z takiej kapusty podawano – przeważnie na czczo – dzieciom, by wytruć gnębiące je często owsiki. Kapusta była uprawiana przez wszystkich gospodarzy i rosła wspornie na bobrowskich glebach; zarówno wczesna „janówka”, jak i późnojesienne „kamienne głowy”.

O potrawach spożywanych w danym miejscu zawsze decyduje klimat, zajęcia ludności, możliwości uprawy i tradycja. Trudne warunki życia, ciężka praca, sezonowość dostępnych składników spożywczych wymagały sporządzania potraw sytych, bogatych w wartości odżywcze, kalorycznych, prostych w przyrządzaniu. Były zgodne z rytmem pór roku i przyzwyczajeniami mieszkańców. Gospodynie potrafiły wyczarować coś z niczego; nawet tam, gdzie było biednie a rodziny były wielodzietne, jadało się smacznie i do syta.

Prawie nie było problemu otyłości, nikt się nie musiał odchudzać, bo pożywienie i aktywny tryb życia pozwalały zachować szczupłą sylwetkę. A w tamtych czasach przecież nawet pożądanym było, by – szczególnie kobiety – były „przy kości”, czyli raczej korpulentne, bo to m.in. świadczyło o dobrej sytuacji materialnej rodziny. Takie kobiety również łatwiej rodziły dzieci, mogły ciężiej pracować, były odporniejsze na choroby i różne urazy.

Prawie wszystko, co wyprodukowano w gospodarstwie i na roli, mogło stać się surowcem do przygotowania jakiejś potrawy. Najbardziej popularne

były dania mączne, ziemniaczane i różnorodne ich połączenia np. z mięsem czy warzywami. Ojciec Piotrka z powieści Nowaka „A jak królem, a jak katem będziesz” „jadł chleb ze słoniną, tnąc składanym scyzorykiem jedno i drugie na drobne kostki. Każdy kęs żuł długo”¹⁴.

Tak jadało się często. Bohater „Tryptyku na śniegu” wspomina: „Matka podała chleb, kawałek słoniny, szklanki”¹⁵.

W naszych bobrowskich domach również jadało się potrawy tradycyjne, proste i pożywne, oparte na składnikach naturalnych, przede wszystkich tych wyprodukowanych we własnym gospodarstwie. Podstawą były produkty rolnicze: ziemniaki, ziarna zbóż, warzywa, nabiał i mięso.

Choć na półce w naszej kuchni królowała pięknie ilustrowana przedwojenna „Książka kucharska”, ucząca przyrządzania wyszukanych potraw i reklamująca różne wspaniałe dodatki, m.in. proszki do pieczenia Doktora Oetkera, który był niemieckim aptekarzem, a potem renomowanym wytwórcą proszków do pieczenia, budyniów i galaretek, mającym fabryki w całej Europie; w tym w Polsce – to stanowiła raczej ozdobę niż źródło przepisów.

W wiosce mojego dzieciństwa jadano zazwyczaj trzy podstawowe posiłki: śniadanie, obiad i kolację. W czasie ciężkich prac, np. żniw był jeszcze tzw. „podłobiadek”, a dzieci dodatkowo dostawały jakieś kromki z miodem, masłem, ze śmietaną i z cukrem lub posypane samym cukrem i pokropione wodą, by ten się lepiej trzymał. Oczywiście chleb należało zjadać do ostatniego okruszka, a jego marnowanie było grzechem. Gdy pewnego razu mama znalazła ukryte za doniczką obgryzione, wyschłe skórki, bardzo się zdenerwowała i zagroziła, że nie dostaniemy ani obiadu, ani kolacji, dopóki ich nie zjemy. Dała nam jedynie trochę gorącego mleka, by je rozmoczyć i – nauczkę na całe życie.

Rano najczęściej jadało się barszcz na zakwasie, robionym przez każdą gospodynię w glinianym garnuszku. Starsze kobiety były mistrzyniami w sporządzaniu tego „zacynu” i w gotowaniu „boszczu”, który wszystkim smakował; nawet młodym dziewczynom, które zjadały ten przysmak wbrew popularnej w wiosce mojego dzieciństwa przyspiewce: „Ej nie bede boszczu jadła, ej, bo by my buzia zbladła, tylko bede mlycko piuła i bede sie rumieniula”.

Barszcz maściło się „łomastom” zwaną też „łotopom” czy „szpyrkom”, czyli utopioną na patelni słoniną, a na przedwiośniu – sadłem. Pływające w barszczu kawałeczki przysmażonej słoniny zwane „pypkami” lub „skwarcakami”, a czasem też wkrojone jajko na twardo czyniły tę potrawę jeszcze pyszniejszą. Barszcz jadło się z ziemniakami albo z wdrobionymi kawałkami chleba. Nie każdego jednak było stać na te dodatki i wtedy – jak mówiono – rarytasem stawał się kożuch z „boszczu”.

Gdy jakaś młoda żona zapomniała przypilnować zakwasu i jej „gorcyna” całkiem wyschła, biegła cichcem do sąsiadki i ze wstydem przed domownikami pożyczła trochę, by móc uwarzyć śniadanie. Jeszcze większy był

wstyd, gdy się na chwilę zagapiła i barszcz wykipiał. Tę popularną potrawę przyrządzano od pokoleń. Sikon wspomina: „Gdy zegar z cyferblatem wydzwonił 5 razy matka zapalała w piecu i gdy był urodzaj na ziemniaki, to je gotowała [...]. Gotowano też barszcz zwany żurem [...]. Gdy [...] był ugotowany sam żur, to matka [...] chleba nakrajała pełną glinianą miskę i polewało się ten chleb żurem, i to było śniadanie¹⁶.”

Podstawowym daniem obiadowym była zawsze zupa. Zupy przyrządzano gęste, zawiesiste, z zasmażaną mąką, zabiелane śmietaną. Jedliśmy je z chlebem, bardzo gorące, parząc sobie język, bo przecież wiadomo, że „Najlepsza warza, co gębę parza”; zresztą nigdy nie mieliśmy wiele czasu, bo musieliśmy szybko biec do swoich dziecięcych spraw. Gotowano różnorodne zupy: pomidorową z ryżem lub z kluskami, ogórkową, pieczarkową, koperkową, kminkową, botwinę, kapuśniak, krupnik, barszcz biały i czerwony, szczawiową, grochową, fasolową, ziemniaczaną, z suszonych grzybów, jarzynową, owocową czyli „pamułę”, zupę „jankiel”, w której były i kluski, i pokrojone ziemniaki z warzywami, a nawet karpelową. Tę zupę „korpilowo” bardzo polecała jedna z sąsiadek; należało obrane karpiele pokroić na plasterki i gotować w wodzie zmieszanej z mlekiem. Niestety, była mdła, słodkawa i w ogóle – okropna.

Różnorodność zup zapewniała domownikom urozmaicone, zdrowe pożywienie, była też świetnym sposobem zapełnienia głodnych żołądków. W razie potrzeby zawsze można było dolać więcej wody czy dołożyć kromę chleba, albo bryłkę „zimioków”.

A ziemniaki jadano zazwyczaj trzy razy dziennie: rano z białym barszczem, w południe z zupą, kapustą, mięsem, jajkiem sadzonym, kwaśnym mlekiem lub jako danie samodzielne, różnie doprawiane: omastą ze smażonej słoniny, z roztopionym masłem posypane koperkiem, z utopionym sadłem, a czasem tylko same „z wody”. Wieczorem jadło się ziemniaki np. z „polywkom” zrobioną z ogrzanej „syrwotki”, albo z kwaśnym mlekiem – tak gęstym, że można je było kroić nożem, a także z różnymi pozostałościami z obiadu, lub podsmażone, jako samodzielne danie.

Co rano gospodynie siadały na stołeczku, wybierały ziemniaczane bulwy z pełnego koszyka, obierały je i wrzucały do garnka z zimną wodą. Staraliśmy się czasem pomagać w tej pracy mamom, ale szło to nam niesprawnie; obierki, które nazywano „łupamy” były grube, a ziemniaki „łostrugane w kant”. Z podziwem patrzyliśmy, jak robią to dorośli: w ich rękach noże tylko migwały w powietrzu, a łupiny wydłużały się niewiarygodnie szybko; były cieniutkie i równe, kręciły się chwilkę, by zaraz opaść do koszyka i zwinąć się w burą spiralę. A gar wkrótce był pełen białych kul. Umyte, zalane wodą i posolone „pyrkały” na małym ogniu, a spod pokrywki roznosiły się cudowne, znajome zapachy.

Ziemniaki, które gotowało się rano, później odgrzewano lub trzymano w brandurze, by zachowały ciepło. Nam, dzieciom – najbardziej smakowały gorące „brułki”, nakładane przez mamy „warzochom” wprost do rąk tuż po ugotowaniu i ugnieceniu. Jeszcze parzyły więc dmuchało się na nie, przekładało prędko z ręki do ręki i zjadało jak najlepszy przysmak.

Młode ziemniaki podawano w całości, a starsze ubijano drewnianym „tucokiem”.

Gotowane ziemniaki dodawano też do mąki, robiąc „skośnioki” i „knydle” ze śliwkami, mieszano je także z surowymi – drobno utartymi – przy tworzeniu „pacafółów”. Te wielkie kluchy były wypełnione serowym farszem przyprawionym pieprzem i solą. Polane masłem stanowiły niezwykle smaczne danie. Jeden z sąsiadów zachęcany, by poczęstował się kanapką odrzekł, że najadł się pacafółów: – Jeszcze mie te kluchy bodo” – dodał zadowolony.

Z surowych ziemniaków robiono też kluski „kudłate” – formowane w dłoni i wrzucane na wrzątek, czy bardzo popularne placki z utartej na „tarle” masy ziemniaczanej, zmieszanej z odrobiną mąki, jajkiem, czasem też drobniutko posiekaną cebulką, doprawionej pieprzem i solą; niektórzy lubili je przyrządzone na słodko – ze śmietaną lub posypane cukrem.

Często, gdy wracaliśmy całą gromadą ze szkoły, zapachy tych pysznych placków smażonych przez nasze mamy na oleju zawiewały aż na gościniec. Olej – oczywiście rzepakowy – był ciężki, kleisty, niezbyt ładnie pachnący i niezbyt smaczny. Ale nie wybrzydaliśmy; nie wytłaczano już, niestety – jak to było dawniej w wiejskich gospodarstwach – oleju z konopi, a w sklepie innego nie było.

Oprócz ziemniaków często gotowano różnego rodzaju kasze: jaglaną – z prosa, tatarczaną, grysik czy pęczak zwany „pencokiem” – z całych ziaren jęczmienia. Kasze jadło się z mlekiem czy na sypko z omastą; czasem też z gulaszem.

Popularne były również różnorodne dania mączne, robione oczywiście w domu np. makarony: nitki do rosółu, kwadraciki do łazanek, wstążki do sera, do smażonych jabłek, czy podawane tylko z omastą ze skwarkami. Kobiety – zwłaszcza starsze – były mistrzyniami w robieniu makaronowego ciasta i krojenia cieniuchnych kluseczkowych nitek. Czasem w kuchniach suszyły się ogromne koła rozwałkowanego ciasta, wyglądającego jak cieniutki papier. Wysuszony makaron mógł być dość długo przechowywany i był gotowy do użycia w każdej potrzebie.

Często jedliśmy też kluski na mleku: wstążki albo drobione – nazywane „zacirkom” lub „zaciurkom”. Na zacirke często wykorzystywano mąkę razową, tylko trochę „przetrażoną” w żarnach. Bardzo nam te kluski – uszcypywane z kuli ciasta i wrzucane wprost na wrzące mleko – smakowały i były bardzo zdrowe, choć brzydkie, szare, chropowate, drapiące w język. Ogromnie też lu-

biliśmy kluski na parze zwane „pyzamy” lub „pampuchamy”, czyli duże kule lepione z ciasta urobionego z jajkiem, układane na cieniutkiej szmatce okrywającej wierzch garnka z wrzącą wodą. Para sprawiała, że pięknie wyrastały i później bardzo smakowały polane masłem lub przypieczone na patelni. Często smażyono też naleśniki podawane potem z marmoladą, z powidłem jabłkowym, borówkowym czy rabarbarowym, a także podsmażane ze słodkim serem.

Gotowano różnorodne pierogi: z serem na ostro z dodatkiem soli i pieprzu, i na słodko z dodatkiem cukru, z kapustą – świeżą lub kwaszoną, z serem zmieszonym z ziemniakami zwane ruskimi, czasem z farszem grzybowym, a także z marmoladą czy z owocami: z jabłkami, wiśniami, borówkami. Te ostatnie jadło się często na zimno, polane na wierzchu śmietaną z cukrem. Były pyszne, choć strasznie plamiły na granatowo nasze buzie, ręce i ubrania.

Często smażyono racuszki na drożdżach zwane „blynkamy” i jabłka w cieście naleśnikowym.

Gotowano bób, fasolę szparagową i zwykłą – najczęściej traktowane jako samodzielne danie. Kapustę przyrządzano na różne sposoby; gotowano samą z przyprawami, lub z dodatkami: z grochem „jaśkiem” lub fasolą czy z kawałkiem mięsa. Przygotowywano też bigos, łącząc kapustę świeżą i kwaszoną z kiełbasą, kawałkami mięsa i przyprawami. Jako dodatek do mięsa podawano tzw. „parzygembe”, czyli ugotowane w całości liście kapusty polane masłem i tartą bułką. Niekiedy – zwłaszcza zimą – robiono gołąbki, zawijając w kapuściane liście farsz z ryżu czy kaszy z dodatkiem cebuli i przypraw; czasem dodawano troszkę mielonego mięsa lub drobno posiekanej kiełbasy.

Sikoń wspomina: „Na obiad to przeważnie w zimie jadło się ziemniaki z kapustą omaszczoną starym sadłem, a na drugie danie były kluski omaszczone słoniną, masłem lub cukrowane, a jak było w zimie mleko, to kluski były z mlekiem drobione lub krajane”¹⁷.

Mięso bywało tylko w święta, czasem w niedzielę, a także tuż po zabiciu świni czy po nieszczęśliwym wypadku, który przydarzył się jakiejś kurze; wpadła pod furmankę, dostała „pypcia” na języku czy zachorowała na wątrobę. Gospodynie bardzo szybko potrafiły dostrzec chorego ptaka i – mimo żalu – wyłapywały go sprawnie, po czym wzdychając, zносиły gospodarzowi, który zdecydowanym ruchem siekiery uciął ofierze łeppek przytulony do drewnianego pieńka. Patrzyliśmy dziecięcymi oczyma w zdumieniu, jak położony na ziemi kurak jeszcze wyrывał się do biegu, jeszcze trzepotał rozpostartymi skrzydłami, by nagle zastygnąć w bezruchu śmierci. Gospodyni szybkimi szarpnięciami skubała pióra, bo – jeszcze ciepłe – łatwiej wychodziły. Potem opalała nagi, bladoszyny tors nad kuchenną blachą, a pozostały jeszcze gdzieś puch skwierczał i śmierdział niemiłosiernie.

– Mamo, a czy kura ma duszę? – A czy kura idzie do nieba? – pytaliśmy, nadaremnie szukając w rozkrojonym wnętrzu ptaka znamion istnienia du-

szy. Blaszanę wiadro podstawione pod taboret, na którym dokonywała się pośmiertna operacja, wypełniało się parującymi, mdło pachnącymi wnętrznościami, a mama mówiła ojcu: – Widzisz, dobrze, że ją zabiliśmy, ma całą wątrobę rozmięknąć. Na pewno by zdechła, a tak – patrz jaka tłusta! Będzie rosół, że ho, ho, a i mięso do kapusty.

Rosół, którego charakterystyczny zapach roznosił się po izbie, był gotowany według starych receptur przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Zawsze była w nim marchewka, seler, przypalona na blasze cebula i zielone listki pietruszki. Gospodyni nabierała z solniczki trochę soli, sypała ją na dłoń i oszacowawszy jej ilość dopiero z dłoni wsypywała do garnka, mieszając rosół wielką chochlą i próbując, czy jest dobrze przyprawiony. Na wierzchu pływały żółte, tłuste oka, brązowe drobinki pieprzu i zielone listki pietruszki. Gorący rosół podawany z cieniutkim makaronem zawsze wspaniałe smakował, rozgrzewał i – ponoć leczył. Wierząc w tę jego ozdowieńczą moc, gotowało się go zawsze, gdy ktoś z domowników był chory.

Sikoń potwierdza, że „mięsa się nie kupowało, tylko na święta, kur się też nie jadło, chyba, że kto w domu był chory, to mu kurę zabito, aby wyzdrowiał, lub wtedy się kurę dobiło, gdy kura była chora¹⁸.

Również Tadeusz Nowak pisze: „Kur się nie jadło. Kury znosiły jajka. Za jajka kupowało się sól, naftę i zapałki”¹⁹.

Niekiedy gotowano też rosół z młodych gołębi dodając makaron lub drobną kaszkę. Delikatne mięso z „młodzików” stanowiło pyszną i zdrową wkładkę do tej potrawy.

Tuż po zabiciu świni, gdy trzeba było szybko przetworzyć uzyskane produkty, gotowano rosół wieprzowy, który podawano z całymi ziemniakami. Wtedy na drugie danie było mięso ugotowane w tym rosolu czy kaszanka z ubitymi tłuczkiem ziemniakami i ogórkiem kiszonym. W niedziele i święta na drugie danie gotowano mięso z kury, z kaczki czy z królika albo podgrzewano podsmażone po zabiciu świni kotlety i sznycle, czekające na tę okazję w zimnych komorach. Na święta wyciągano też z tych przechowalni szynki, salcesony i kiełbasy, które spożywano na śniadanie i częstowano nimi gości.

Do obiadu robiono też sosy na zasmażce z masła i mąki: koperkowy podawany z ugotowanym jajkiem, grzybowy czy pomidorowy. Dodatkowo do mięsnego dania bywała też mizeria, surówka z pomidorów, ogórków i cebuli przyprawiona pieprzem i solą, marchewka duszona z zielonym groszkiem czy utarte i podsmażone buraczki „ćwikowe”, a zimą – surówka z kiszonej kapusty i marchewki, ogórek kiszony lub przygotowane w słoikach przetwory z różnych warzyw.

O brokułach w ogóle nie wiedzieliśmy, a kalafior – choć lubiliśmy je polane tartą bułką przyrumienioną z masłem – gotowano rzadko. Nie bardzo się na grządkach udawały; najczęściej były małe, z ciemnymi plamkami, po-

obgryzane przez gąsienice. Zdarzało się, że taka gąsienica – grubaśna, miękkuchna, zieleniuchna, gdzieś dobrze schowana pod różyczkami kalafiora wypływała nagle na wierzch garnka z gotującym się warzywem, które trzeba było wyrzucić.

Na kolację zjadało się często pozostałości z obiadu, kwaśne mleko z ziemniakami, a nawet z chlebem, świeżo ugotowaną zacierkę lub „polywke”, a najczęściej – kromę chleba z masłem czy serem. A Mikołajek pisze, że również „chleb zagryzany z cebulą i odciągnięte mleko”²⁰.

Gdy brakło chleba pieczono „prozioki” – placki na kwaśnym mleku z dodatkiem sody oczyszczonej, czyli „prozy”. Ulepione krążki kładło się najczęściej bezpośrednio na kuchennej płycie – niekiedy też na patelni – i zjadało jeszcze gorące z masłem, które, topiąc się, skapywało na nasze ubrania i na podłogę. Jeden z bohaterów powieści Fąfary „Pomruk” wspomina: „Matka upiekła na blasze pieca takie placki: proziaki. Nazywały się tak od słowa proza, którą dodawało się do ciasta zamiast drożdży [...]. Filozofia proziaka polega na jego prostocie [...]. Miały swój specyficzny zapach i smak Z wierzchu tworzyła się na nich delikatna, cieniutka skórka, łatwo poddająca się zębom. Środek zaś był miękki, z małymi porami przypominającymi konsystencją środek chleba”²¹.

A chleba jedliśmy bardzo dużo: z masłem, ze smalcem, z „pypkami”, z serem odcisniętym w woreczku lub ususzonym na piecu z kminkiem i solą, z sadzonym jajkiem, a także z marmoladą, powidłem, miodem, z kiszonym ogórkiem, kawałkiem kiełbasy, boczku, z surową słoniną, z pokrojonym w plasterki ząbkim „czostku” – traktowanym jako lekarstwo dobre na wszystko, ze śmietaną i z cukrem, z samym cukrem pokropionym wodą, czy tylko z solą. Czasem też podpiekaliśmy kromki – zwłaszcza już niezbyt świeże – na płycie kuchennej i jedliśmy ciepłe, posmarowane topiącym się masłem, albo maczaliśmy je w patelni ze skwierzącą, gorącą „łotopom”. Zapach tamtego chleba był dla nas najcudniejszym aromatem; do dziś kojarzy się nierozzerwalnie z utraconym na zawsze czasem dzieciństwa.

Niektóre potrawy jadło się często z jednej michy, np. ziemniaki. Na stole stawiano też duży gar z zupą czy np. z kapustą, a każdy wielką chochlą nabierał na swój talerz tyle, ile zdołał zjeść. Jadło się najczęściej aluminiowymi, tandetnymi łyżkami. Goście dostawali widelce; noży nie podawano. Tylko jeden, duży, z drewnianą rączką leżał na stole, służąc w razie czego potrzebującym. Nie tolerowano marnotrawstwa i zostawiania resztek na talerzu, choć na nie też byli amatorzy: pieski, kotki, kury czy świnki. Mówiło się jednak, że „Lepiej żołądek popsować niż dar Boży zmarnować” i zmiatało się wszystko z talerza, aż się uszy trzęsły. Jeden talerz, najczęściej głęboki – blaszany albo fajansowy – służył do obu dań. Po zjedzeniu zupy nakładało się na niego drugie danie bez zbędnego mycia.

Wartościowym produktem żywnościowym były jajka, choć ciągle oszczędzano je, by sprzedać „u Kmietki”. Jajka spożywano w formie jajecznicy, sadzone na maśle, słoninie lub boczku, gotowane na twardo lub na miękko. Podawano je jako dodatek do sosu czy do niektórych zup, np. do żurku, a także do surówek, do chleba, lub traktowano jako danie samodzielne; najczęściej z musztardą stołową, którą kupowało się w charakterystycznych pękatych słoiczkach z grubego szkła, używanych po opróżnieniu zawartości jako praktyczne szklanki. Zdarzało się też, że jakiś chłopak zakradał się do kurnika i porywał jajko prosto z gniazda, a potem – ukrywając się przed karzącym okiem mamy – robił w jajku dwie dziurki na przeciwnych, spiczastych końcach i przechyliwszy – wypijał na surowo odżywczą i ponoć pyszną, śliską zawartość, by znów biec do swoich chłopięcych zabaw. Gospodyni narzekała na niczemu niewinną kurę, że przestała się nieść, do czasu, dopóki nie wytropiła sprytnego złodziejaszka i nie ucięła zakazanego procederu.

Piło się najczęściej mleko takie „prosto od krowy”, z gęstą, obfitą pianą zostawiającą pod nosem białe „wasy”, a także przegotowane z obrzydliwym kożuchem, który jednak dla niektórych był nie lada rarytasem, czy wystudzone, odciągnięte ze śmietany – jeszcze słodkie, niebieskawe, wodniste, lub skwaszone – gęste, że można je było kroić; podawane również z ziemniakami jako danie obiadowe. Wszystkie dzieci bardzo lubiły mleko. Często biegaliśmy do stajni z garnuszkami, gdzie mamy doiły krowy, by odlała nam tego – jeszcze ciepłego, pieniącego się mleka – wprost z wymion Krasuli.

Mikołajkowy bohater Emil wspomina: „Stałem w cieniu stodoły. Słuchałem: ojciec spluwając, wykańczał skręta na progu, mama doiła. Ostre i dźwięczne początkowo strzykanie mleka o skopek powoli zmieniło się w syte burczenie”²².

Emil przywołuje też specyficzną cechę tego mleka „prosto od krowy” „Kiedy otworzyłem oczy było już słońce. Domy, drzewa, przedmioty – wydawały mi się jakby przejaszczone w rysunku. Do drzwi chlewika z rykiem dobijały się świny. Ojciec klepał kosę. Napilem się świeżego mleka. Codzienny ruch, przyjemna – jak zwykle po mleku prosto od krowy – gęstość w ustach”²³.

Dojenie było trudną sztuką; dla nie znających jej tajników mogło skończyć się rozlaniem mleka, „oberwaniem” mającym ogonem, a nawet niebezpiecznym kopnięciem zdenerwowanej Krasuli, Mućki czy Jagody. W wiosce mojego dzieciństwa opowiadano śmieszną anegdotę o kierowniku szkoły panu Zielińskim, który na próżno usiłował się nauczyć tej sztuki. A był przecież właścicielem pięknego stadka: kilku dorodnych krów i ogromnego buhaja, którego – wiadomo – bały się wszystkie dzieci. Gdy panu kierownikowi po kilku próbach wreszcie udało się poskromić niezadowoloną krowę, to mleko ledwo „cyrkało” i – jak sam opowiadał: „sikało raz do rękawa, raz do garnka”.

Sprytne, doświadczone gospodynie wykonywały tę czynność prawie mechanicznie; choć bolały ręce i grzbiety to uwijały się szybko, a mleko pieńiło się pięknie i trafiało wprost do podstawionych skopków czy wiader.

Dojenie było uciążliwe również dlatego, że musiało być wykonywane systematycznie, codziennie o tych samych porach. Trzeba było też wiedzieć, kiedy doi się daną krowę trzy razy dziennie: rano, w południe i wieczorem, kiedy należy ograniczyć dojenie do rannego i wieczornego, a kiedy – przed kolejnym wycieleniem – zupełnie go zaprzestać. Po wycieleniu też trzeba było wiedzieć, jak długo należy ściągać niejadalną siarę, która jednak była cudownym pokarmem dla małego cielątka, a kiedy znów rozpocząć normalne dojenie trzy razy dziennie. Na tę chwilę wszyscy bardzo czekali, bo gdy krowa jałowiła i przestawała dawać mleko, to zazwyczaj się bez niego musiano obejść; no chyba, że kupowano troszkę dla dzieci. Wtedy szło się z blaszaną puszczką do któregoś z sąsiadów, mającego akurat wycieloną krowę. Rzadko płacono się pieniędzmi. Była to transakcja wiązana – za jajka, za odrobek czy na oddanie. Zdarzało się też często, że któraś z sąsiadek przynosiła trochę mleka, masła czy sera „dla dzieci” – z dobrego serca.

Dorośli obywali się zazwyczaj bez nabiału aż do wycielenia się własnej krowy. Świeże mleko precedzano przez gęste sitko i zostawiano w chłodzie. Na drugi dzień zbierano ustaną śmietanę, by zrobić z niej masło lub wykorzystać do maszczenia potraw.

Do zrobienia masła potrzebna była śmietana bardzo gęsta, prawie dająca się kroić nożem. Rzadka „chlabotka” nadawała się jedynie do zabielenia zup. Pysznym napojem była świeżutka maślanka z grudkami świeżego masła, którą wylewano do garnuszków wprost z „maśnicki”.

Taka drewniana „maśnicka” była w każdym domu.

Kobiety co kilka dni ubijały w niej śmietanę do chwili aż wyczuwały, że wewnątrz stawia opór twarda gruda masła. Po zdjęciu osłaniającego kapturka zwanego „prowdom” wybierano tę grudę o pięknym, kremowym kolorze oraz świeżym, smakowitym zapachu i ugniatano na talerzu – nadając jej kształt „łosołki”, którą zdobiono jeszcze wygniatając łyżką równe, poprzeczne karby. Niektóre gospodynie posiadały specjalną miseczkę na masło zwaną „faską”. Ale pewnie służyła ona i do innych celów, skoro śpiewaliśmy na ludowo: „Kominiorz, co my dosz, naraje ci Kaśke – smarkato, pyrkato, mo piniędzy faske”.

Maśnicke – po rozebraniu na części – starannie myto i suszono na płocie w towarzystwie garnków czy „skopca” na mleko. Niekiedy ta mała nakładka gdzieś się gubiła i wtedy wszyscy domownicy szukali „prowdy”, co budziło różne skojarzenia i było powodem do żartów.

Świeżutkie masło, miękkie i pachnące, z kilkoma kropelkami maślanki – było nie lada rarytasem. Czekaliśmy w pobliżu z pajdami chleba, by je roz-

smarować grubą warstwą, szybko spałaszować, popić maślanką i znów biec do swych dziecięcych spraw.

W wiosce mojego dzieciństwa piło się też kawę – oczywiście zbożową; najczęściej „Dobrzynkę” lub „Turek” – pachnące cykorią. Prawdziwej nikt nie kupował, chyba że sama przyплыnęła w jakiejś paczce od krewnych z Ameryki. Wtedy była przechowywana w widocznym miejscu ze względu na oryginalne, kolorowe, piękne pudełko i przeznaczana na wyjątkowe okazje. Czasem też – rezygnując ze skosztowania nawet tego rarytasu – dawało się ją na prezent komuś, kogo się bardzo ceniło lub należało wyrazić mu wdzięczność.

Niezmierzalnie rzadko pito kawę czarną; prawie zawsze podawano ją z mlekiem, tak jak i herbatę zwaną „bawarką”, szczególnie polecaną jako bardzo zdrową dla dzieci, kobiet w ciąży i tych, które karmiły niemowlęta. Herbatę „Gruzińską” można było kupić w sklepie, ale najczęściej piliśmy te z suszonych ziół: lipową i miętową. W lecie robiono kompoty z sezonowych owoców, a w zimowe niedziele i święta podawano kompoty ze słoików – przygotowane jesienią. Najlepsze były te z zerwanych prosto z drzewa wiśni, jabłek czy śliwek, a także z rabarbaru, pachnącego zapachami wczesnego lata. Piliśmy też dużo wody; czasem z domowym sokiem, ale najczęściej studzienną, zaczerpniętą garnuszkiem czy chochlą prosto z wiadra. Woda była pyszna i zdrowa – krystalicznie czysta i zimna; zwłaszcza w lecie łyk zimnej, prosto ze studni wody dawał ukojenie pragnienia i cudowną ochłodę.

W święta i niedziele – zawsze na wsi celebrowane – robiono też wypieki: amoniaczki, ciastka maszynkowe, jabłkowiec, makowiec, osławiony kisielowiec, który nazywaliśmy też „mękolem” czy andrut z masą kakaową.

Sąsiadki przekazywały sobie „zdobyczne”, tanie przepisy wielu potraw, w których stosowano różne „erzace” niedostępnych produktów. Tak powstawał tort z chleba, pasztet z resztek mięsa, placek z marchwią, kawa z jęczmienia prażonego na blasze itp. wynalazki. Takim wynalazkiem było też kupowane czasem w sklepie owsiane „kakało”, czyli proszek z prażonej mączki owsianej z małym dodatkiem mielonego prawdziwego kakao.

Podczas spotkań rodzinnych podawano alkohol: siwuchę, czystą „z kłosem” czy z czerwoną kartką, „przypolanke” z dodatkiem upalonego w garnuszku na brązowo cukru, samogonkę, czasem też robioną domowym sposobem wiśniówkę czy wino z owoców dzikiej róży. Nigdy nie kupowano i nie pito szampana, uznając to chyba za niepotrzebną fanaberię.

Natomiast samogon był chyba w każdym domu, a okazji do wypicia nigdy nie brakowało. Ślady tego zwyczaju znajdujemy w opowiadaniach Mikołajka. Gdy Jadźka od Giemzów z „Tryptyku na śniegu” chce ugościć Pawła, który odprowadził ją po zabawie do domu, stawia donicę pierogów i gąsiorek z samogonem. Franek, który przyszedł do kolegi pogadać, też wyciągnął z kieszeni butelkę samogonu: – „Z chleba – wyjaśnił – miękka w picu, a procent ma”²⁴.

Także bohatera powieści „Żegnajcie chłopcy” jego kolega Tadek częstuje samogonem:

– „Coś tam w plewach znajdziemy. Do przepicia mleko w piwnicy. Chodź na boisko – wprowadził go do stodoły, wetknął butelkę do ręki, wyszedł po mleko.

Czekając na Tadeka, pociągnął duży łyk samogonu. Żeby się oszołomić [...]. Miał dziewiętnaście lat i mocno chciał żyć”²⁵.

Samogon był również – jak wiadomo – uznanym środkiem płatniczym, popularnym nie tylko w czasie okupacji. Paweł z „Żegnajcie chłopcy” wspomina: „Szedłem przez rynek czując obolałość stóp; od wczoraj nie zdejmowałem butów. Pierwszych w życiu oficerek, kupionych za upędzony przez młodszego brata samogon”²⁶.

„Bimber” był oczywiście wytwarzany po kryjomu, nielegalnie, a władza ludowa tępiła ową produkcję i organizowała „naloty” milicji na miejsca, w których go „pędzono”. Znaleziony bimber i urządzenia do jego wytwarzania konfiskowano, a „producentów” karano nawet więzieniem. Jednak proceder trwał, choć wielkie plakaty straszyły, że „Bimber przyczyną ślepoty”, a radio i gazety wciąż donosiły o nowych akcjach milicji i o coraz wymyślniejszych sposobach ukrywania tego „specyjału”.

Do wódki jadło się czasami mięso z konserw mięsnych lub rybnych, które gospodyni przechowywała „na wszelki wypadek”. Ciotka Lina, po skończonej zwózce, zaprosiła kierowcę traktora do izby na zwyczajowy poczęstunek: „Pokaszlując, niechętnie i wstydliwie postawiła na stole butelkę wódki. Krzysztof przyniósł otwartą konserwę”²⁷.

Na co dzień niedostępne były jakiegokolwiek owoce zagraniczne. Cytryny, pomarańcze, winogrona, banany, ananasy, arbuzy, kokosy czy rodzynki oglądaliśmy tylko na obrazkach i długo nie znaliśmy ich smaku. Jeśli pojawiały się przed największymi świętami – zapowiadane dużo wcześniej przez radio i gazety transporty cytryn czy pomarańczy z Kuby – to uważane były za niezwykle rarytasy. Mamy kupowały po kilka tych owoców i w czasie świąt rozdzielały dzieciom. Cytryny i pomarańcze w niektórych domach także wieszano na choinkach obok bombek. Zamiast trudnych do zdobycia rodzynek używano do ciast suszonych owoców agrestu lub winogron. Innych owoców egzotycznych do Polski nie przywożono, natomiast na strychach w sianie leżały pachnące jabłka i gruszki z przydomowych sadów, też pyszne i zdrowe. Lin „po niedzielnym obiedzie [...] wlaź do stodoły, na kilka godzin utonął w zapachu siana i jabłek”²⁸.

Naczynia, potrawy, przyrządy do sporządzania posiłków miały swe bobrowskie nazwy lub specyficzne brzmienie: blaszok, blynki, brytfanka, chlyb, druśłok, gorcek, maślonka, maśnicka, skorupiok, pacafoly, pacocho, pampuchy, patelka, prołza, przetak, rzeszutko, serwotka, tasok, tolok, tucok; często używano też zdrobnień: cebrzycek, gornuszecek, żeleźniocek.

A jesienna szaruga coraz wyraźniej dawała znać o sobie. Dnie wlokły się szare, podobne do siebie jak dwie krople wody. Czasem nagle gwałtownie zrywał się porywisty wiatr, miotając zeschnięte liście, a w zamglone szyby siekł drobny, zimny deszcz. Po ponurych, coraz dłuższych wieczorach następowały wlokące się bezgwiazdne i bezksiężycowe noce. Rano witały nas trawy mokre od grubej rosy, a w powietrzu czuć było nastrój smętnej melancholii, charakterystycznej dla czasu łączącego odchodzącą jesień ze zbliżającą się nieuchronnie zimą. W takie jesienne, ponure, przepełnione smutkiem dnie już mniej czasu spędzano pracując na polu czy w obejściu. Po koniecznych obrządkach szybko wracano do domu, niosąc z sobą zapach deszczu, wiatru, dymu i mokrej ziemi.

A w ciepłych izbach nie próżnowano. Zwłaszcza kobietom robota aż paliła się w rękach. Migały druty, szydełka, igły, turkotał „wózek” do przedzenia wełny i maszyny do szycia. Przecież to kobiety dbały o ubrania dla siebie i całej rodziny.

Kobiety wiejskie posiadały wiele umiejętności praktycznych, dotyczących prowadzenia gospodarstwa, zarządzania pieniędzmi, wychowywania dzieci, a także zdolności rękodzielnicze, choć zazwyczaj nie miały innego wykształcenia prócz domowego.

Wiele rzeczy potrzebnych domownikom wykonywano w domu. Odzież musiała być praktyczna, schludna, czysta; natomiast mniej ważny był gatunek ubrania i to, czy było ono połatane, sfatygowane czy niedopasowane rozmiarem. Często przerabiano ubrania na mniejsze, „przenicowywano” na drugą stronę lub szyto nowe z różnych sprutych kawałków starego materiału.

Kobiety zawsze miały naturalną potrzebę podkreślania swojej urody gustownym strojem, wrodzone poczucie smaku i zmysł praktyczny. Dlatego nawet w tamtych ciężkich czasach potrafiły wyczarować coś ładnego, praktycznego i niedrogiego. Zwłaszcza dla dziewczynek szyły z kawałków perkalu lub kretonu zgrabne sukieneczki ozdobiane falbankami, paseczkiem z kokardką, haftowanym kołnierzykiem czy wyszywane ozdobnymi ściegami: ryżowym, gałązkowym, krzyżykowym. Dbaly również o ubrania dla synków i mężów. Ciągłe je prały, prasowały, cerowały wytarte łokcie i kolana, przyszywały odprute listwy, szelki i guziki. Nawet kaptcie z grubej tkaniny wykonywały w domu, podszywając je ceratową podeszwą.

O tym, jakie ubiory noszono w naszej okolicy dawniej, pisze pochodzący z Zawady Jan Składzień:

„Aż do roku tysiąc osiemsetnego materiałem używanym na odzież było w Zawadzie płótno i kozuch. Kobiety ubierały się latem w płócienne spódnice, na ramiona zarzucały lniane chustki [...]. Mężatki nosiły latem i zimą czepki uwite z chustki cienkiej, białej, ręcznie haftowanej. Dziewczęta nosiły w zimie chusteczki, w lecie nie używały żadnego nakrycia. W zimie kobiety

nosiły kozuchy. Mężczyźni nosili je białą skórą na wierzch, z szerszym, białym kołnierzem z barana. W lecie mężczyźni nosili kaftany płócienne [...]. Spodnie płócienne, koszule wyrzucone na spodnie, ściągnięte rzemiennym pasem [...]. W lecie noszono kapelusze ze słomy, słoma pleciona w ząbki, a wszystko to robione w domu. W zimie wdziewano baranie czapki”²⁹.

Len, z którego tkano materiały na odzież, pościel, obrusy, pieluchy, zasłonki itp. wysiewano też na bobrowskich polach. Jeszcze w czasach mojego dzieciństwa „w pioskach za smugiem” ślicznie błękitniały całe zagony kwitnącego lnu.

„Len obrabiano na drewnianych międlicach i cierlicach [...]. W zimie [...] kobiety haftowały, młodzież przędła len na nici”³⁰.

Na nogach noszono półbuty lub trzewiki skórzane, czasem też buty z wysoką cholewą z porządnej, juchtowej skóry, którą przecierało się szuwaksem. Ale nie były niczym ocieplane, więc w zimie nogi przemarzały, mimo onuc czy wełnianych skarpet. Dlatego wkładano do butów trochę słomy. To było źródłem powiedzenia, że komuś „słoma wyłazi z butów”, mającego pejoratywne znaczenie, bo określającego człowieka prymitywnego, wieśniaka; szczególnie, gdy udawał pana.

Jakub Bojko – pisarz i działacz ludowy z przełomu XIX i XX wieku wspominał: „Nogi w butach obwijano w słomę żytnią [...], suchy wiecheć dodawał im tyle ciepła, że kopiąc w największe mrozy w lesie lub jadąc na furmance, zimna nie czuli”³¹.

Oprócz lnu uprawiano konopie służące do wyrobu płótna tkanego potem ręcznie i nazwanego samodziałem, a także sznurów i oleju, który wytłaczano w gospodarstwach.

Bronisław Harla tak pisze o ubiorach bobrowian na początku XX wieku: Mężczyźni „gaci czyli kaleson nie nosili. Tylko same portki. Na te portki wypuszczali koszule na wierzch, przepasywali pasem i tak chodzili. Nawet do kościoła [...]. W zimie nosili takie żółte kozuchy baranie, długie za kolana. Kobiety ubierały się w spódnice i bluzki, czy też w kaftaniki i chustki [...]. Płaszczy na wsi wtedy jeszcze nie noszono”³².

Przemiany gospodarcze, społeczne i cywilizacyjne powodowały również zmianę obyczajów dotyczących noszenia ubiorów przez mieszkańców wsi. Żydowscy kupcy zaczęli sprowadzać do Dębicy wiele różnych materiałów i gotowych wyrobów, dostarczały ich też rodzime zakłady wytwórcze. Zawsze zapobiegliwe bobrowskie kobiety robiły w dębickich sklepach konieczne zakupy, a potem korzystały z pomocy krawcowych, sąsiadek czy znajomych. Ponieważ razem było łatwiej radzić sobie z różnymi problemami, zaczęły na wsiach powstawać Koła Gospodyń Wiejskich, organizujące m.in. kursy kroju i szycia.

Książka „Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas” zawiera informację z 1936 roku, że Okręgowy Związek Kół Gospodyń, działający przy Okręgowym Towarzystwie Rolniczym w Dębicy skupiał już wtedy 110 organizacji

rolniczych, w tym 28 kół gospodyń, zrzeszających aż 778 członkiń. Zamieszczona tam fotografia przedstawia członkinie takiego koła z Bobrowej. Wśród 23 kobiet w różnym wieku znajduje się ówczesna przewodnicząca KGW Maria Borkowska, członkini zarządu – właścicielka „Zenówki” Klara Sehn, a także kierownik szkoły w Bobrowej Piotr Ortyński³³.

Wiadomo, że II wojna światowa spowodowała wielkie straty w każdej dziedzinie życia; przyniosła śmierć, strach, biedę, upadek przemysłu, handlu, działalności społecznej. Najważniejsze stało się ocalenie życia i resztek mienia. Tuż po ustaniu działań wojennych trzeba było organizować wszystko na nowo. I znów kobiety zajęły się sprawami dotyczącymi zapewnienia ubiorów i obuwia domownikom, co było niezmiernie trudne, bo nie było pieniędzy, przemysł odzieżowy dopiero się odradzał, kupienie czegokolwiek było nie lada wyczynem, a władze wprowadziły talony na zakup wielu koniecznych towarów. W domach znów pruto, przerabiano, nicowano, cerowano, znów turkotały maszyny do szycia, migąły druty, szydełka i igły. Pewnego razu mama również przyniosła taki przydziałowy kupon kolorowej flaneli, która wydawała nam się prawie skarbem – niesamowicie pięknym – a z której wkrótce została uszyta nowa, ciepła pościel.

Po pewnym czasie coraz częściej zaczęły pojawiać się w dębickich sklepach różne, coraz to nowocześniejsze tkaniny, ale kupowano je oszczędnie, bo na wszystko brakowało pieniędzy. Tkaniny początkowo były naturalne: perkal, bawełna, kreton, batyst, kora, wełenka, barchan, baja – czyli pulchna, miękka flanela, drelich, samodział, wełna, a nawet jej delikatna odmiana „bławat”. Z każdym rokiem pojawiały się jakieś nowości: elegancki jedwab, żorżeta, cieniutka pika w wypukły wzorek, muślin, tiul, sztruks, gabardyna, popelina, ryps, bawełniana koronka, połyskliwa satyna, „zerówka” ze sztucznego włókna, przypominająca wełnę i jej gruba odmiana – cajt, elana, kaszmir czy błyszcząca tafta, a kobiece czasopisma, radio, a potem telewizja propagowały modne ubiory z coraz to piękniejszych tkanin.

Nam, dziewczynkom – szyto sukienki i bluzeczki z płócienka, kretonu, kory, perkaliku, letnią bieliznę z bawełny i z cienkiego batystu, a zimową – z flaneli lub barchanu. Nosiłyśmy „udzirgane” przez mamy „swedry” i tanie, długawe sukienki z karczkiem. Dorosłe kobiety szyły sobie sukienki najczęściej odcinane w pasie, z marszczonym lub kloszowym dołem; proste, praktyczne, w „niebrudliwym” kolorze. O „dekoldach” czy odsłoniętych kolanach nie było mowy. Ale wszystkie kobiety, a zwłaszcza młode dziewczyny przynajmniej po kryjomu marzyły, by stroić się modnie, odważnie i pięknie jak eleganterki, oglądane w czasopismach i w telewizji.

A radykalna zmiana w modzie zaczęła się w Europie tuż po zakończeniu wojny. Już w czerwcu 1946 roku – o czym donosiła niezastąpiona „Przyjaciółka” – odbył się np. pierwszy pokaz stroju kąpielowego „bikini”, który był tak

rewolucyjnym wstrząsem jak wybuch atomowy, który miał miejsce na atolu Bikini, stąd jego nazwa. Dzięki projektantowi mody Christianowi Diorowi, który dokonał prawdziwej rewolucji w dziedzinie ubiorów i Coco Chanel, która po wojnie powróciła do projektowania nowoczesnych ubiorów, Paryż stał się wkrótce stolicą mody. Kobiety po latach wojny, gdy musiały ubierać się byle jak, pragnęły nowości, oryginalności, odrobiny szaleństwa. Oczywiście w wiosce mojego dzieciństwa niełatwo było wprowadzać nowe trendy, ale dziewczyny i młode mężatki zawsze potrafiły uszyć sobie „coś z niczego”, przeszyć, unowocześnić czy modnie ozdobić posiadane sukienki, bluzki czy spódnice.

W ówczesnych numerach „Przyjaciółki” i w innych czasopismach kobiecych pełno było porad dotyczących różnych przeróbek, zamieszczano też wykroje do powiększenia, lub w naturalnej wielkości – rozrysowane na specjalnych, rozkładanych kartkach, z których korzystały też bobrowskie krawcowe. Ale największą karierę zrobiło niemieckie czasopismo „Burda” poświęcone modzie; początkowo zdobywane z trudem od znajomych, a później spod lady lub zostawiane w którymś z dębickich kiosków w specjalnej teczce prenumeratora. Aby założyć taką teczkę trzeba było mieć specjalne znajomości.

Anna Chmiel wspomina:

„Znajomości trzeba było mieć wszędzie [...], nawet w kioskach z gazetami, gdzie tylko specjalnym gościom zakładano teczki, w które odkładano gazety-rarytasy [...]. Każde załatwienie sprawy poważniejszej należało poprzedzić załącznikiem w postaci co najmniej bomboniery z Wedla, tzn. „22 Lipca”³⁴.

Z wykrojów korzystało się, szyjąc ciuszki na ważne okazje: wtedy podpatrywało się modne dekolty [karo, serki, łódki], krój spódnic [portfelowe, rozpinane, kloszowe], rękawów [bufiaste, kimono, odwijane], czy różne ozdoby [falbanki, baskiny, koronki, żaboty, ciekawe guziczki, kieszonki itp.]. Niełatwo było jednak zdobyć cokolwiek oryginalnego, np. guziki były tylko standardowe, brzydkie, czarne, białe lub bure. Dlatego cudem wydawały się barwne guziczki o najbardziej fantastycznych kształtach, które zdobiły ciuszki przychodzące w zagranicznych paczkach.

Oficjalna propaganda negatywnie oceniała wszelkie zagraniczne trendy. Ośmieszala noszenie wąskich spodni czy spódnic, zgrabnych czółenek czy szpilek. W dobie traktorzystek, murarek, spawaczek i kołchożnic propagowano szerokie robocze portki i bluzy w barwach brudnego granatu, szerokie spódnice „w kolorze wymiotnym” oraz błyszczące satynowe chałaty z białym kołnierzykiem dla urzędniczek, pań na poczcie, ekspedientek i – uczniów.

Do tego ciężkie, toporne, ale wygodne i praktyczne buty; na przykład okropne botki na gumie z filcem czy półbuty na grubym, klockowym obcasie. Prasa z entuzjazmem pisała o produkcji tego paskudztwa: „Ciepłe, mocne, tanie będą botki na gumie z filcu i stylonu produkowane przez Złotoryjskie Zakłady Przemysłu Filcowego. Szesnaście kolorów i wzorów”³⁵. Najtrudniej

było kupić obuwie, gdy delikwent miał nogi wielkie „jak podolski złodziej”, bo produkowano zazwyczaj tylko typowe rozmiary.

My nosiliśmy tandetne gdynki, łopanki, sandałki, półbuty i trzewiki.

Nie było też początkowo rajstop. Nosiło się zazwyczaj bawełniane, grube, prążkowe pończochy w kolorze brudnego beżu; brzydkie, wiecznie opadające, lub – uważane za bardziej eleganckie, ciut cieńsze, też bawełniane fildekosy. Pończochy podtrzymywane były przez gumowe podwiązki, boleśnie uciskające uda, czy przez haltery – zmyślną „konstrukcję” w formie szerokiego pasa materiału zapinanego w pasie na haftki – a w przypadku dzieci mocowanego na szelkach – z przyszytymi czterema kawałkami szerokiej gumy zapinanymi po dwie na każdej z pończoch za pomocą specjalnych, metalowych żabek z gumowymi pyszczkami.

Cieniutkie pończochy – początkowo jedwabne, a później z tworzyw sztucznych: nylony, stylony czy radzieckie kaprony wydawały się cudem, choć początkowo były niezbyt starannie wykonane i nadawały skórze kolor sinobury. Oczywiście przeznaczone były tylko dla dorosłych kobiet, które zakładały je na specjalne okazje, a gdy poleciało w nich oczko – co dość często się zdarzało – podciągały je szydełkiem. Wkrótce pojawiły się w Dębicy punkty tzw. repasacji. Znajdowały się one najczęściej w jakimś wydzielonym kącie sklepu, gdzie królowała pani „repasatorka” ze specjalnym szydełkiem w ręce, a wokół leżało pełno kłębiących się podartych pończoch wielu klientów, co wyglądało dość upiornie.

Pod koniec lat pięćdziesiątych zaczęto ubierać się bardziej wesoło i kolorowo. Przyczyniły się do tego w dużej mierze paczki z zagranicy. Od znanych czy na targowisku w Dębicy za zaoszczędzone pieniądze kobiety kupowały sobie jakiś piękny, oryginalny ciuch, którym można było się chwalić i wzbudzać zazdrość sąsiadek czy koleżanek. Także nasz rodzimy przemysł odzieżowy zaczął powoli się rozwijać, chociaż nadal ładniejsze ubrania można było dostać tylko po znajomości, spod lady.

A październikowe niebo coraz bardziej zasnuwało się szarością, coraz wcześniej zapadał wieczorny mrok, światem rządziły jesienne nize, porywiste wiatry i słoty. Coraz częściej dudniły o parapet grube krople deszczu, ziąb wiskał się do chałup, a porywisty wiatr przenikał do szpiku kości. Zakończono prace polowe i dużo czasu spędzano w domach, chroniąc się w cieple przed jesienną „śwąkwom”. Oczywiście nikt nie próżnował. Dzięki zręcznym rękóm kobiet, schylonych nad maszynami krawieckimi, powstawały niemowlęce flanelowe kaftaniki, chłopięce cajgowe czy „drelychowe” „portecki”, perkalowe dziewczęce sukieneczki, batystowe halki z cieniutką koronką, solidne „majtasy” z krótkimi nogawkami, kuchenne zapaski i szerokie, marszczone lub układane w „plyski” „spodnice z trzech półek” dla babć, trykotowe podkoszulki i płóciennokowe kalesony z troczkami dla mężczyzn, obrusy, prześcieradła, pie-

luszki, powłoki na poduszki i pierzyny oraz wiele innych niezbędnych rzeczy. Materiał krojono oszczędnie; z odzyskanych resztek szyci się jakieś drobiazgi; ściereczkę, śliniaczek, fartuszek, a czasem sukienkę dla lalki.

W długie już wieczory, gdy migotliwe światło lampy rzucało wokół pomarańczowe blaski, rozmyślało kontury mebli i sprzętów, a na ścianach malowało ruchome cienie, kobiety zasiadały przy radiu i wyciągały z koszyczków ręczne robótki. Na drutach robiono ubrania, a serwetki, firanki, poduszki, brzegi chusteczek wykonywano szydełkiem. Również przy pomocy igły – na kanwie, czyli na specjalnym podkładzie z tkaniny – wyszywano „molynom, atłaskiem, „siutasiem” lub „kordunkiem” obrusy, makatki, serwetki czy poduszki. Na obrusach, z których wyciągano najpierw po kilka nitek wzdłuż brzegów, robiono specjalny wzór „mereżkę”, a niektórzy znali nawet tajniki niezwykle trudnego, wymagającego anielskiej cierpliwości, dokładności i talentu – haftu „ryszenie”.

Gdy nastała moda na wyszywanie różnych wzorów krzyżykowym ścięciem skrawkami kolorowej wełny na sztywnym płótnie, bobrowskie kobiety prześcigiwały się w tworzeniu pięknych, różnobarwnych makatek, kilimków wieszanych nad łóżkiem i ozdobnych poduszek.

Wiele kobiet było też mistrzyniami w robótkach wykonywanych na drutach. W ich zręcznych rękach powstawały ciepłe wełniane czapki, szaliki, rękawiczki, nauszniki, skarpety czy swetry w piękne, oryginalne wzory o różnorodnych, nieraz bardzo wymyślnych i skomplikowanych ściągach, których uczono się nawzajem z czasopism czy ze specjalnych poradników.

Oczywiście dla kobiet i dziewczynek ubiory były całkiem inne niż dla mężczyzn i chłopców. Zresztą dziewczynki od chłopców różniło wszystko; nie tylko ubrania, ale sylwetki, fryzury, zachowanie, sposób mówienia, chodzenia, gesty, reakcje, obowiązki i przywileje, zajęcia, zabawy czy zainteresowania. Pomyłka była prawie niemożliwa; jeśli jednak zdarzyła się, to reagowano na nią zdziwieniem i rozbawieniem. Pewnego razu w czasie wielkiej ulewy wpadła do sklepu jedna z dziewczynek, którą trudno było rozpoznać, bo na głowę miała zarzucony parciany worek, mokre włosy przykleiły się jej do twarzy ociekającej wodą, spod jakiejś kurtczyny wystawały tylko obłocone, gołe nogi.

– Aleś zmókł! – skomentowała jedna z kobiet robiących zakupy. Dziewczynka natychmiast się oburzyła, zaprotestowała gwałtownie, a wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Przynależność do danej płci była powodem dumy; każda miała wyraźnie określone funkcje w społeczności, mocne poczucie tożsamości i niepisany kodeks zachowań. Szycie na maszynie, haftowanie, robienie na drutach, niańczenie dzieci – to były zajęcia typowo „babskie”, wstydlive dla każdego mężczyzny. Ich zaś domeną były ciężkie prace w domu, w gospodarstwie i w polu, w czasie których mogli wykazać się siłą, hartem ducha, praktycznymi umiejętnościami i rzetelnością. Zajmowali się zwierzętami; kochali

szczególnie konie, którym poświęcali wiele czasu. Wyzgrzeblone, z lśniąco sierścią i starannie wyczesaną grzywą, dziarskie, piękne, rwące się do biegu konie były ich miłością i dumą. Lubili popisywać się odwagą, zręcznością, odpornością na ból i zmęczenie, byli wrażliwi na punkcie swego honoru, rwali się do bitki, wstydzili się słabości i łez, skrywali swe uczucia. Jedynie gniew wyrażali w sposób otwarty, gwałtowny i groźny.

Dziewczynki mogły płakać i śmiać się do woli; najczęściej jawnie wyrażały swe uczucia: miłość, nienawiść, serdeczność czy gniew. Nie wstydziły się pisać miłosnych listów, które zazwyczaj zaczynały się konwencjonalnymi zwrotami, utrwalonymi w epistolarnej tradycji. Jedna z sąsiadek w korespondencji do chłopaka z wojska zawsze pisała na początku: „Siedzę przy stoliku, stolik się kołysze, ja do Ciebie Jasiu nowy liścik piszę”.

Dziewczyny kupowały sobie i prowadziły pamiętniki, co w przypadku chłopaków byłoby nie do pomyślenia. Nie zapisywały w nich jednak własnych przeżyć tylko prosiły swoich krewnych, znajomych i przyjaciół o wpisywanie w nie różnych maksym czy życzeń. Pamiętnik mamy, zwany przez babcię sztambuchem, prowadzony bardzo starannie przez wiele lat, zawierał wpisy rodziców, krewnych, a przede wszystkim koleżanek. Wiele z nich – uczynionych starannym, kaligraficznym pismem i ozdobionych własnoręcznymi rysunkami – zawierało mądrości życiowe i nakazy patriotyczne; w sztambuchach wyrażano też uczucia, a także zamieszczano tekściki satyryczne. Pamiętniki naszego pokolenia nie miały już tej wartości; kartki się wyrывało, zapisywało byle co, kupowało nowe, wyrzucając te – już zniszczone, popisane, brzydkie. Przez jakiś czas panowała moda na tzw. „sekrety”. Zaginało się róg kartki pamiętnika i wpisywało jakąś poufną informację przeznaczoną niby tylko dla jego właściciela, ale – oczywiście – czytana przez wszystkich wpisujących się.

Zwyczaj prowadzenia tego rodzaju pamiętników umarł śmiercią naturalną, a pojawiła się moda na pisanie innych jego odmian np. sekretnego spisywania swych przeżyć, zwłaszcza, gdy nadchodził czas pierwszych miłości i zauroczeń. Szkoda jednak tamtych dawnych, sztambuchowych wierszyków; może i naiwnych, ale jakże uroczych. Wielokrotnie przepisywane zapadały w pamięć, a ich treść traktowano jak przydatne mądrości życiowe. Oto kilka takich pamiętnikowych wierszyków ze starego sztambucha:

„Choćby ci ręce skuto w kajdany
I w zimnym lochu przykuto do ściany,
Nie zniżaj czoła, nie daj się rozpaczy,
Wszak jesteś Polką, a Polka nie płacze”.
„Polko! Nie kochaj tego,
Kto nie kocha Orła Białego!”
„Siedziałam, dumałam nad potoczkiem blisko,
Składałam z kamyczków to twoje nazwisko,

Co na A [B, C, D...] się zaczyna, a na Z [I, A, R...] się kończy.

Niech się nasza miłość nigdy nie rozłączy!”

„Śmieję się wśród ludzi, płacz tylko w ukryciu,

Bądź lekką w tańcu, ale nigdy w życiu”.

„Ucz się i pracuj, a dojdiesz do celu,

Jak doszedł Mickiewicz i doszło ich wielu”.

„Kiedy życie ci dokuczy, a los prawie z nóg cię zetnie,

Na pytanie: – Jak ci idzie? Odpowiadaj zawsze: – Świetnie!

Dając takie odpowiedzi dwojakiego dopniesz celu:

Złośliwego tym zasmucisz, radość wzbudzisz w przyjacielu”.

„Na górze róże, na dole fiołki,

My się kochamy jak dwa aniołki”.

„Na górze róże, na dole mech,

Kto Cię nie kocha, bodaj zdechł”.

„Wpisuję się w samym środku,

Bo Cię lubię miły kotku”.

„Ile razy jedząc zrazy

Trafisz na cebulę,

Tyle razy bez urazy

Wspomnij o mnie czule”.

„Chwytaj w życiu piękne chwile,

Bo uleć jak motyle, potem będzie żal”.

„Nie wierz mężczyźnie,

Bo to kwiat maczany w truciźnie.

Dzisiaj Ciebie kocha nad życie,

Jutro przed inną klęka w zachwycie”.

„Każda zmarszczka ma historię swą,

Każda wyryta uśmiechem lub łzą”.

Przez zaporowane okna patrzyliśmy, jak jesienne mgły brały świat w posiadanie, jak otulały szare domy, które traciły powoli swe naturalne kontury, rozmywając się w mroku. Nisko nad dachami coraz częściej wisiały ciężkie chmury, szczelnie zakrywające niebo, z którego monotonnie mżył drobny, dokuczliwy kapuśniaczek. Gałązki przydrożnych drzew – zwarzone pierwszym przymrozkiem – smętnie sterczały, gubiąc liście całe w brudnej zieleni i brązie. Zmokłe wrony, strosząc swe czarne pióra, przysiadały pod rosnącą na środku podwórka jabłónką. I było tak, jak w szkolnym wierszyku, którego właśnie uczyliśmy się na pamięć:

„Wicher wieje, deszcz zacina,

Jesień, jesień już.

Świerka świerszczyk zza komina,

Naszej chatki stróż”.

Ostatnie dni października zawsze wloką się powoli; szare, mokre, monotonne pod niskim niebem, zasnutym strzępami burych dymów nad dachami. Czasami przemknie tylko pod ścianami jakaś gospodyni w byle jak narzuconej na włosy chuście, czasem gościńcem przebiegnie skulona postać z workiem na głowie, chroniącym przed deszczem, dźwigając jakąś „kalyte” z koniecznymi zakupami, a potem nikogo – nawet „psa z kulawą nogą” czy „żywego ducha”. Krowy już pozostają w stajniach, a wracające ze szkoły, zmoknięte dzieciaki grzeją zgrabiące ręce przy piecu. Mamy dorzucają drew i odgrzewają pozostałe z obiadu pierogi, czasem gotują zacierkę lub kroją grube pajdy chleba i smarują je masłem. Zabielona gorącym mlekiem kawa „Dobrzyńka” nalana do żelaznego „blaszocka” przyjemnie parzy zziębnięte dłonie. Ojcowie zapalają lampę, włączają radio. Przez okna sączy się do izby szary zmierzch.

Jesienne długie wieczory wypełniają rozmowy, radiowa muzyka, gazety, książki i opowieści. Wszyscy skupieni w kręgu lampy odczuwają wzajemną bliskość, serdeczność, spokój. I małe, zwyczajne szczęście, każdemu tak konieczne jak chleb. A najbardziej tym, którzy dopiero co wrócili z wojennej tułaczki, z dalekiego, wrogiego świata, z przeklętych, obcych dróg.

Taki zwykły, ale jakże wszystkim potrzebny, bezpieczny dom – zagubiony we wszechświecie. Jakże maleńki!

„Na ziarnku maku stoi mały domek” – pisał Miłosz.

A więc ziemia jak ziarnko? Na tym „ziarnku” wiele, wiele domów, a w domach – ludzie. Jakże słabi i bezbronni wobec potęgi wszechświata!

Ale mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa nie odczuwają kruchości swego istnienia. Trwają tu od wieków; na dobre zakorzenieni w rzeczywistości. Mają wrodzone poczucie ładu i odwiecznego porządku świata. Porządku dni i nocy, rzeczy i zjawisk, tego co było, co jest i co będzie. Mocno wierzą, że człowiek nie jest istotą przypadkową w kosmosie, że ich życie ma głęboki sens, choć czasem tak bardzo kaleczy i boli. Nie buntują się więc, nie walczą z losem – intensywnie żyją, pracują, kochają i nienawidzą, cieszą się i cierpią. Ufają. Żyją nadzieją. I robią swoje. Pracują, dbają o rodziny, uczestniczą w życiu swej społeczności, modlą się i marzą.

Czasem w takie szare, smętne, przesiąknięte wilgocią, ciągnącą od smutnych, opustoszałych pól październikowe dni, gdy zmrok zapadał wcześniej i niespodziewanie, w ludowcu odbywały się różne spotkania, imprezy, czy zebrania wiejskie, na które przyjeżdżali przedstawiciele powiatowych władz, by omawiać ważne sprawy dotyczące mieszkańców.

O takich zebraniach z roku 1947 i 1948 pisze Leopold Harla: „Z inicjatywy Związku Samopomocy Chłopskiej rozwijana była wówczas kampania na rzecz tworzenia tzw. „wzorcowych wsi samopomocowych”. W każdym powiecie miało być wybranych kilka wsi, które w oparciu głównie o kredyty państwowe oraz o środki własne rolników miały być rozwijane jako wsie

nowoczesne, wzorcowe, w perspektywie spółdzielcze. Wybrana wieś wzorcowa miała być wyposażona w nowoczesne maszyny i urządzenia rolnicze [traktory z maszynami towarzyszącymi, samochody ciężarowe, zmechanizowane obiekty hodowlane itp.], zelektryfikowana, odpowiednio zaopatrywana w nawozy sztuczne, zarodowe rasowe bydło, wysokoplenny materiał siewny itp. W każdej wzorcowej wsi miały być wybudowane: piekarnia, pralnia mechaniczna, wodociągi, nowe drogi, chodniki, dom kultury³⁶.

Ale mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa – nieufni wobec wyraźnych radzieckich inspiracji – słusznie się obawiali, że wszystko to zmierza do wspólnoty produkcyjnej, czyli kołchozów i w zdecydowanej większości byli sceptyczni wobec tych „cudownych” wizji.

„Przedstawiona koncepcja – pisze dalej Leopold Harla – zyskała w Bobrowej pewną liczbę zwolenników. Byli także zagorzali przeciwnicy. Najwięcej było niezdecydowanych. Po kilku zebraniach ogólnowiejskich sprawa ostatecznie upadła”³⁷.

Gdy przekazywany z domu do domu „łokólnik” informował o zebraniu, bardzo wielu bobrowian chętnie przychodziło do ludowca. W ciżbie pełnej gwaru najwięcej było gospodarzy w podeszłym wieku, trochę młodych chłopaków i nieliczne kobiety. Starsi najczęściej zjawiali się wcześniej, rozsiadali się na ustawionych w kilku rzędach ławach czy krzesłach, zapalali skręty i podgadywali z sąsiadami. Przedstawiciele władzy zasiadali za stołem, rozkładali urzędowe papiery, informowali o nowych zarządzeniach, propozycjach czy problemach i zachęcali do dyskusji. Głos zabierano chętnie; zaczynały się spory, polemiki, czasem wzajemne oskarżenia, ale najczęściej dochodzono do zgody i potrzebnych ustaleń.

Mieszkańcy mojej wioski – choć byli przeciwni kolektywizacji – w innych sprawach wykazywali duży entuzjazm: chętnie podejmowali prace społeczne, byli otwarci, dążyli do postępu i nowoczesnych zmian. Młodzi zazwyczaj stawali z tyłu pod ścianą; głośno dyskutowali, dogadywali i co chwila wybuchali śmiechem. W powietrzu unosiły się zapachy szarego mydła, którym się wyszorowali przed założeniem czystych koszul i modnej wody toaletowej „Przemysławki”, którą się obficie skropili, zmieszane z ostrą wonią taniego tytoniu. Wkrótce w sali było aż ciemno od dymu, bo prawie wszyscy „kurzyli”; a to fajeczkę, a to machorkę w skrętach, a najczęściej papierosy „Sporty”, lub „Giewonty”. Popiół zazwyczaj strzepywano na podłogę. W kącie stawiano jednak spluwaczkę; korzystanie z niej uważano za przejaw kulturalnego zachowania. Wszyscy rozmawiali głośno, twardo obstając przy swoim, wtrącając dosadne słowa, a nawet soczyste przekleństwa, które nikogo jednak nie raziły.

Po zakończeniu zebrania wracali grupkami, zazwyczaj już po ciemku, znacząc drogę światełkiem latarek. A potem w domach, po odmówieniu wieczornych pacierzy – na klęczkach, przed świętymi obrazami – padali na

łóżka i natychmiast zasypiali, a sen uwalniał ich od trosk, od których aż pękała głowa. Czasem przyśnił się miły sen, choć wielu dręczyły różne nocne koszmary. Wprawdzie po przebudzeniu mówili: „Sen mara, Bóg wiara”, ale przecież troszkę wierzyli, że gdy się np. przyśni się mętna woda to zbliża się jakieś choróbsko, czarny koń oznacza czyjąś śmierć, wyrwany ząb – nieszczęście, a czerwony rumak – wesele.

A nam, dzieciom – śniło się latanie!

Wierze w sny towarzyszyła też wiara w różne przesady i zabobony. Choć najczęściej zarzekano się, że to tylko żarty, ale – szczególnie starsi – ostrzegali: – Nie wstawaj lewą nogą, nie witaj się przez próg, nie dawaj swoich rzeczy ludziom mieszkającym na północ od ciebie, bo sam poniesiesz stratę, usiądź przed podróżą, bo będzie nieudana, nie wracaj się z drogi, bo nie załatwisz sprawy, nie siadaj na rogu stołu, bo zostaniesz starą panną [lub starym kawalerem], nie spoglądaj wciąż w lusterko, bo zobaczysz diabła, a gdy je rozbijesz to nieszczęście cię nie opuści przez siedem lat, nie rób zęza, bo ci tak zostanie, pożycz kobiecie w ciąży o co poprosi, bo myszy zjedzą ci zboże, po przyjeździe do sąsiada posiedź chwilę, bo kury nie będą się nieść, nie przechodź pod drabiną, uważaj, żeby ci czarny kot lub kobieta z pustym wiadrem nie przeszła drogi, nie krzyżuj w drzwiach rąk, bo profanujesz święty symbol, włóż nitkę do ust jak szyjesz coś na sobie, bo zaszyjesz sobie rozum, jak ci łyżka spadnie, to na pewno przyjdzie ktoś głodny itd. itp. A gdy w okna biły gwałtowne wiatry, żegnano się i mówiono: – Boże, znowu „ktosik się powiesił!”

A rankiem na trawie za rzeczką skrzył się już biały szron, wysrebrzony przez blade, zimne słońce.

I znów listopad...

Cały świat pogrążył się już całkiem w jesiennej szarości. W rędzinach żółciły się jeszcze gdzieś nie zaorane łubiny, ale ich kolory były wyblakłe i skażone rdzawą burością. Gnane przeszywającym wiatrem wirowały na gościńcu w swym przedśmiertnym tańcu opadłe liście wierzby. Na krzakach ostu, krzewiącego się wzdłuż „krzykopy”, stadko wróbli świergotało jak szalone. Przez okitowane już na zimę okna widać było mokre strzechy chałup, огоłocone z zieleni jabłonie, zwarzone pierwszymi przymrozkami jesienne ogrody i ołowiane niebo, wiszące nad dachami. Zegary odmierzały jednostajnie upływające godziny.

I znów czas zatoczył koło. Co dzieje się z tym, który minął? Gdzie odszedł, by dołączyć do wcześniejszych lat, pozostawiając w pamięci jedynie ślady dawnych wydarzeń i przeżytych chwil? Niektóre z nich są nadal tak żywe, że wciąż napawają smutkiem lub napełniają radością.

Wiadomo – tak jak każda zieleń szarzeje, tak przemija wszystko, a zostaje tylko pamięć – ulotna i niepełna, której mijający czas odbiera gorycz przeżytych porażek, a czasem ubarwia je i dodaje uroku. Pewne wydarzenia, osoby, kształty wyłaniają się nagle z otchłani zapomnienia tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. Nagle czujemy zapach tamtej – zapamiętanej z dzieciństwa – czystej, źródlanej wody, smak dojrzałych jagód na wargach, dźwięk serdecznej melodii, dotyk matczynej ręki. Liliowe dzwonki na letniej łące, stara jabłoń w sadzie roniąca złociste owoce, polny kamień, skrzypiąca furtka, wytarty próg domu, najdroższe twarze rodziców – wszystko to powraca ożywione serdecznym wspomnieniem. Cieszy, ale też boli, bo przecież jest już bezpowrotnie utracone. Czasem też jakaś zapomniana nuta ożywia nagle dawno umarłe dźwięki: brzęk klepanych kos, stukot biegunów kołyski, świergot ptaków nad ranem, zgrzyt obracanych żaren...

Gdy szarugi jesienne brały świat w posiadanie, a w każdym kącie izby czał się mrok, na ścianach kładły się cienie dziecięcych główek skupionych wokół lampy. Ogień „hajcowo!” i przyjemnie trzaskał w kuchennym piecu,

nad którym suszyły się rozpięte na drewnianych prawidłach, wyprawione ałunem skórki królicze, świetne na kołnierze i zimowe czapki dla dzieci. Matematyczne „słupki” zapełniały kolejne strony naszych zeszytów, na których drapiące stalówki zostawiały granatowe, atramentowe plamy. Graliśmy w „Państwo, miasto, rzeka, roślina...”, lub na szorstkiej kartce rysunkowego bloku robiliśmy różne atramentowe nakrapianki.

Na gościńcu rozlewały się plamy brudnej wody, na podwórkach i na polnych drózkach miesiło się błoto. Trudno było gdziekolwiek pojechać, bo stan dróg w naszym regionie był opłakany – wszędzie prawdziwe wertepy: pełno błota, zwały piachu, doły, kałuże. Jeszcze w latach sześćdziesiątych – jak informowała w specjalnym opracowaniu Irmina Przysiecka – nie było „wykształconych powiązań komunikacyjnych poprzecznych w stosunku do kierunku wschód-zachód, z uwagi na przeszkody, jakie na północy stwarzała rzeka Wisłoka i linia kolejowa, a od południa – górzysty teren. Katastrofalnie przedstawiał się stan dróg lokalnych, praktycznie nieprzejezdnych dla pojazdów mechanicznych”¹.

Ludzie w gumiakach i w płachtach na grzbiecie przemykali przez podwórka, po których porywisty wiatr roznosił ostatnie spadłe liście, z niepokojem patrzyli w ołowiane, niskie niebo zasnuwane strzępami mgieł, wzdychali ciężko i chowali się na powrót w chałupach.

– Ale od rana „sipi”, że psa nie wygoń – mówiła ciocia Staszka, wchodząc do izby i starannie zamykając drzwi. Strzepywała z chustki krople zimnego deszczu i odgarniała z karku ciężki, gruby warkocz.

– Przyszłam się zagrozić – dodawała, siadając na małym stołeczku obok pieca, w którym buchał płomień, a po izbie rozchodził się zapach rozżarzonego bukowego drewna.

Zawsze wypełniała nasz dom radosnym śmiechem, tak zaraźliwym, że wszystkim topniały serca i smutki pierzchały gdzieś daleko w kąt. Cała jej twarz była utkana z uśmiechów. Przynosiła najnowsze wzory szydełkowych serwetek czy wymyślne ścięgi wełnianych swetrów, jak ten w ażurowe pawie oczka, który wkrótce stał się prawdziwym hitem tamtych lat. Sweterki w pawie oczka musiała mieć każda modna panna i dbająca o swój wygląd mężatka.

Te pawie oczka były wzorem skomplikowanym, wymagającym rysunkowego zapisu w postaci kombinacji liczb różnie nawijanych oczek, a często też kolorów wplatanych nitek. Ciocia przychodziła zawsze z robótką, którą wykonywała szybko, sprawnie i jakby od niechcienia, równocześnie ze swadą opowiadając różne barwne, wesołe historie. Dołączała też zaraz do niej mama; zawsze wymyślająca jakieś nowe robótki. Druty czy szydełka tylko migały w ich rękach. Ciocia częstowana jakimś „mękołem” zawsze chwaliła jego smak, a czasem nawet przynosiła kawałek swojego placka. Bo w wiosce

mojego dzieciństwa wszyscy życzliwie dzielili się tym, co mieli. Choć śmiano się z jednej z sąsiadek, że zawsze witała gości z udanym żalem:

– Szkoda żeście nie przyśli w tamte niedziele. Miałam taki dobreńki placzek, a dzisioj ni mom nic.

A gdy dzień był słotny czy śnieżny dodawała: – Ojjoj, jak się wom chciało przychodzić na tako bide.

Ale takie przypadki zdarzały się bardzo rzadko.

Ciocia wracała do domu, gdy na dworze panowała już głęboka ciemność, którą ledwo rozpraszał nikły blask latarki i błada poświata, przesączająca się przez zasłonięte okna chat. Ale „ćmok” – mówiła wychodząc w czerń nocy – „choć łoko wykol”.

Wciąż w serdecznych wspomnieniach powracają tamte jesienne wieczory i tamte spotkania przy mdłym świetle naftowej lampy; wracają tamte wonie, kolory i dźwięki – choć już przetworzone i ubarwione przez czas. Niestety, wiele wydarzeń czy ciekawych chwil umknęło bezpowrotnie. A przecież warto ocalać od zapomnienia to wszystko, co niesie doświadczenie pokoleń i ludzka pamięć.

W krainie mojego dzieciństwa żyli i nadal żyją wspaniali, dumni, pracowici ludzie. W bogatej przeszłości stykali się z monarchami, rycerzami i mędrcami, brali udział w wojnach toczących się na naszych terenach. Zmieniająca się sytuacja historyczna, trudne warunki bytowania i dramatyczne doświadczenia uczyły ich odporności i siły, odwagi i uporu, zdecydowania i determinacji, gotowości do walki i poświęcenia nawet życia dla wielkich idei.

Krew przez wieki wsiąkała w tę ziemię. Przez wieki zarastały trawą i zielskiem, krzakami i łąkami zbóż miejsca, gdzie ginęli nasi przodkowie. Zasypywał je piach, niszczył upływający czas i niepamięć. Rozrzucone po polach, lasach, wykrotach czy łąkach mogiły wypłaszczwały się powoli, zarastały, malały, wreszcie ginęły. Tylko wieczorne zadumy, wietrzne poszumy i pamięć serdeczna wciąż trwają.

I można być pewnym, że bez względu na czasy i wydarzenia, które będą jeszcze udziałem mieszkańców wioski mojego dzieciństwa i sąsiednich wsi, zawsze będą wierni swej wierze, swej ziemi, swej tradycji i że będą trudzić się każdego dnia, by przemieniać rzeczywistość i spełniać swe marzenia.

Listopad zawsze budził sentymentalne wspomnienia.

„Tak dawno minął już ten piękny miesiąc róż, a w sercu został żal, że poszedł w dal” – nuciła mama krzątając się po izbie. Lampa stojąca na stole lekko filowała, delikatne cienie tańczyły na ścianach, a przez zakopcone szkiełko sączyło się słabe światółko. Ojciec podnosił głowę znad gazety, zdejmował ostrożnie gorące szkiełko i przycinał ostrymi nożyczkami parciany knotek. Następnie dolewał nafty i pokrętem regulował wysokość płomienia. W tym czasie mama czyściła szkiełko, chuchając do jego wnętrza i starannie

je wycierała suchą, bawełnianą ściereczką. I znów lampa rozświetlała izbę jasnym, pomarańczowym blaskiem.

Zimny wiatr targał okiennicami, za którymi czała się ciemność, za kominiem cykał świerszcz, a w piecu buzował ogień, gdy zasypialiśmy przy wtórze piosenek – kołysanek nuconych przez nasze mamy, schylone nad igłą, szydełkiem czy drutami: „Na Wojtusia z popielnika iskiereczka mruga”, „Był sobie król, był sobie paż i była też królewna”, „Za górami, za lasami tańczyła Małgorzatka z góralami”, „Była sobie raz królewna, cudny miała sen, że wplatała białe róże w włosów swoich len. I przyszły krasnoludki...” Zasypialiśmy szczęśliwi. A za ciemnymi oknami wciąż jednostajnie padał deszcz – ta najstarsza ponoć kołysanka świata – i w zapłakanych szybach dźwięczał jesienny wiatr.

Nikt nie buntował się przeciw paskudnej pogodzie. Taka była kolej rzeczy. Wiadomo było, że klimat na naszych terenach był zawsze zmienny. Oczywiście najbardziej pamiętało się upalne, słoneczne lata. Bo słońca było bardzo dużo. Ale zawsze należało się liczyć z gwałtownymi zmianami pogody. Czasem z północnego wschodu zawiewał syberyjski, mroźny wicher, dręczyły majowe przymrozki i październikowe halne powiewy, niekiedy ciągnęły z północnego zachodu – aż znad Atlantyku – długotrwałe, zimne deszcze, jesienne szarugi i chłody, a czasem od strony Ukrainy ciepłe powiewy niosły aż z południa Europy, a nawet znad Afryki skwarne, męczące powietrze. Te gwałtowne zmiany pogody przynosiły różne kataklizmy: siarczyste mrozy, groźne powodzie, gwałtowne burze, niszczące grady czy ogromne śniegi. Mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa byli jednak zahartowani i przygotowani na taką aurę i traktowali ją jako coś oczywistego. Nikt nie słyszał o jesiennych nostalgiiach, depresjach, chandrach czy schizofreniach.

Zanim nastały pierwsze mrozy, spóźnieni gospodarze przywozili jeszcze z lasu drzewo. Oczywiście ci, którzy wystarali się o asygnatę na przydział odpowiedniej ilości drewna u władz, pilnujących, by wcześniej obywatel w oznaczonym terminie wywiązał się z obowiązkowych dostaw i uiścił różnego rodzaju opłaty, m.in. zakupił cegielkę na odbudowę Warszawy, na PCK czy na TPD. Praca w lesie przy użyciu ręcznych pił i siekier była bardzo ciężka. Ojcowie zabierali z sobą dorastających synów, a ci nigdy nie odważyli się buntować. Tylko w popularnej ludowej przysłówce brzmi odważny sprzeciw: „Jo do lasu nie pojade, niech se jedzie łojciec som, jo se bede spacerował tam dzie ładne panny som”.

Przywiezione drzewo – odpowiednio oznakowane, co było często sprawdzane przez milicję, skrupulatnie egzekwującą prawo – zrzucano na podwórko. Potem w ruch szły piły, a na koniec siekiery. Odgłosy piłowania i rąbania drzewa wtapiały się w inne, wiejskie dźwięki późnej jesieni. Dzieci zapędzano do układania porąbanego drzewa wzdłuż ścian pod dachami domów lub w specjalnej szopie zwanej dREWUTnią, potem do zbierania „czosek”, czyli kawałków

kory i drobnych drzazg pozostałych po porąbaniu drewnianych klocków, a na koniec do pozamiatania podwórza z resztek liści, gałązek i trocin. Dokuczliwy wiatr przeszkadzał, rozwiewał śmieci, szarpał nasze kurtczyny, zmarznięte kury chowały się w kurniku i tylko stadko wróbli hałasowało przed stodołą. Z podziwem patrzyliśmy, jak jeden z wróbelków – malutki, szarutki rozpychał się, by wydziobać jak najwięcej ziarenek. I choć uporczywy wiatr stroszył mu piórka, a większe od niego wróble próbowały go wyprzedzić, nie dawał za wygraną. Dopiero Burek – zbudzony ptasim rwetesem – wyskoczył z budy i przepędził całą czeredę. Wiatr strząsał ostatnie rudozłote liście z wiśniowych gałęzi. Spoglądaliśmy, ile ich jeszcze zostało na drzewach; wszak mówiono, że dopóki na wiśni liście, dotąd nie trzeba obawiać się przyjścia zimy. Ale coraz większy ziąb codziennie wdzierał się do chat. A chociaż okna i drzwi były pozamykane, to aż na gościniec niosły się obrzydliwe zapachy przyprawiające o mdłości. To w niektórych domach produkowano mydło.

Było ono towarem deficytowym, zwłaszcza, gdy w 1952 roku wprowadzono bony tłuszczowe. Można było za nie kupić 25 deka mydła na osobę, a przecież w gospodarstwach wiejskich potrzeba go było znacznie więcej. Mydło – szare, brzydko pachnące, które sklepowa kroїła w kostki z dużego bloku według naznaczonego na nim wzoru, było przecież prawie jedynym – oprócz grudowatego, tandetnego proszku do prania – środkiem czystości.

Joanna Lustyk pisze:

„Matka Adama kupowała na targu żółte i śmierdzące kawały krowiego łoju i gotowała je w wielkim garnku, dodając sodę kaustyczną i kalafonię. Trzeba było gotować długo, często mieszając, aż wszystko zamieni się w jednolitą, szklistą masę, zastygającą na kiju, którym się ją mieszało. Potem wlewała do blaszanych form, a gdy masa stwardniała, krajała ją na kostki, które miały brunatny kolor i brzydki zapach, ale znakomicie nadawały się do mycia i prania”².

Takie wyklarowane mydło kroїło się na małe kawałki i przechowywało w chłodnej komorze.

Specyficznym zapachem, którego nie dało się niczym zabić, przesiąkały nasze ciała i nasze ubrania.

Wieczorami mężczyźni schodzili się po domach, by pograć w „zechcyka” lub w tysiąca. Wyciągali karty, najczęściej noszące ślady wielokrotnego użycia, wytarte, z rozdwojonymi rogami, zrudziałe i pogięte, bo w sklepie nie można było kupić tego deficytowego towaru, a gra w karty była na wsi jedną z nielicznych męskich rozrywek. Zasiadano wokół stołu, a ponieważ zazwyczaj było wielu chętnych, wyznaczano kolejki do uczestniczenia w kolejnych rozgrywkach. Stawiano na stole popielniczkę i ustalano stawki. Często grano „na piniondze” o jakieś grosze, ale także na zapałki czy na punkty; a wtedy na stole pojawiała się też kartka papieru i jakiś kawałek ołówka. Przed założeniem elektryczności nad stołem wieszano naftową lampę; czasem przy-

noszono też jakąś butelczynę wódki, a wtedy też oczywiście i kieliszek. Zdarzało się też, np. po świniobiciu, że gospodyni podawała kanapki z kielbasą i kiszonym ogórkiem, ale zazwyczaj nie była zadowolona z karcianego towarzystwa kopącego papierosy i kłócącego się głośno do późnej nocy, więc raczej gderała, upominała, że dzieci nie mogą spać, że od papierosowego dymu aż trudno oddychać, a w końcu przepędzała „karciorzy”.

Gra w karty budziła zawsze wiele emocji i sporów wśród uczestników i obserwatorów, zwłaszcza gdy ustalone, żelazne zasady były łamane; dochodziło do oszustw, podpowiadania, zaciętych sporów czy kpin z jakiegoś pechowego gracza, który cały wieczór nie miał furtki i ciągle przegrywał. Karciany slang pełen był charakterystycznych odzywek, okrzyków; nawet poszczególne karty miały specyficzne nazwy: tromf, krajc, krzoki, żołądz, dupek, walek itp.

Byli wśród graczy prawdziwi mistrzowie, prawie zawsze wygrywający i znający różne karciane sztuczki. Ważne było już samo tasowanie kart, które stawało się niekiedy prawdziwą sztuką. Bohater powieści Wiesława Myśliwskiego „Ostatnie rozdanie” wspomina:

„Długo tasowałem różnymi sposobami, sypiąc z pewnej wysokości kartami z obu rąk na jedną kupkę, po czym rozpołowiwszy talię, na wcisk obie połowy w siebie, i wsparłszy przeguby rąk [...] przemiennie karta na kartę z jednej, drugiej dłoni, i z dłoni do dłoni na harmonijkę, ale również konwencjonalnie, z tym, że to od spodu, to od góry”³.

Prawdziwi mistrzowie cieszyli się zasłużoną sławą i byli chętnie zapraszani do gry. I jeszcze następnego dnia wspomniano różne sytuacje karciane, komentowano ciekawe strategie, spierano się i umawiano na następny wieczór.

Listopad zawsze kojarzy się z przemijaniem, odchodzeniem, ciemnymi wieczorami i deszczem na szybach, z melancholijnymi nastrojami, czemu winien brak słonecznego światła i smutna perspektywa zbliżającej się zimy – tak ubogiej w kolory, zapachy i słońce. Ale przede wszystkim kojarzy się ze Świętem Zmarłych. Bo listopad zaczynał się przecież od uroczystości Wszystkich Świętych i Zaduszek.

Poeta Młodej Polski Stanisław Przybyszewski wspomina:

„Wieczne nabożeństwo „Zaduszek”. Ten czarny katafalk na środku kościoła, wokół którego ksiądz odbywa żałobne nabożeństwo, te jarzące się wokół gromniczne świece, monotony, a tak do szpiku kości przejmujący śpiew [...]. Od Zaduszek począwszy nic już prócz beznadziejnego, bezpamiętnego smutku – dawno już szczytnie melancholijne „babie lato” – jak widno i daleko, czarne rozorane pola zlewają się z czarnymi moczarami [...]. Jedna przeolbrzymia czarna, błotna pustynia. A na niej szaleją wściekle wichry, a deszcz leje od rana do nocy, od nocy do rana, tygodniami całymi, aż wreszcie wszystko się rozplywa w jednej wielkiej kałuży”⁴.

Przez cały listopad odbywały się w nagoskim kościele takie żałobne nabożeństwa, w czasie których ksiądz czytał „wypominki”; nazwiska i imiona zmarłych osób polecanych przez ich rodziny, za które odmawiano różaniec. Kościół tonął w szarościach; w szarym świetle – rozjaśnionym tylko trochę światłem świec, opatuleni w szare ubrania, zmarznięci, szarzy ludzie monotonnym zawodzeniem: „Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie” – powierzali los swych bliskich zmarłych miłosiernemu Bogu.

W panującym półmroku prawie nie można było rozeznaczyć twarzy. Wiadomo było tylko, że – zgodnie z tradycją – kobiety pozajmowały miejsca po prawej, a mężczyźni po lewej stronie kościoła. Dzieci przytulały się do kolan matek, a młodzież stała z tyłu pod chórem, niekiedy wzywana przez proboszcza do zajęcia miejsc bliżej ołtarza, co zazwyczaj pomagało, choć na krótko.

Na nabożeństwa żałobne nawoływały kościelne dzwony. Niosące się daleko jęklive głosy tych dzwonów pogłębiały nastrój żałoby i zadumy, wpadały gdzieś głęboko w serce i pamięć, i pozostawały tam na zawsze. Na ten dźwięk podrywały się z dachu kościoła czarne, kraczące wrony i krążyły wokół wieży jak zwiastuny śmierci.

Krzysztof Penderecki, który mieszkał w Dębicy niedaleko kościoła świętej Jadwigi wspominał: „Pamiętam dźwięk dzwonów kościelnych. Takie dźwięki zostają w uszach na całe życie. W wielu moich utworach dzwonią dzwony, właśnie te zapamiętane z Dębicy”⁵.

Nagoskie cmentarze mojego dzieciństwa – „stary” i „nowy” – corocznie zapełniały się coraz to nowymi mogiłami. Były miejscami straszliwie smutnymi, zapuszczonymi, porośniętymi różnorodnym zielskiem, pleniącym się obficie przez całe lato. Nawet w Zaduszki nie wyglądały jak dzisiejsze – podobne do ogrodów pełnych kwiecica; zresztą pięknych, różnobarwnych sztucznych kwiatów jeszcze nie było.

Kwiatki do dekoracji grobów można było kupić na „jarmaku”, ale częściej wykonywało się je w domu. Najpopularniejsze były różopodobne kwiaty z „marszczonej”, czyli – jak mówiono – „gufrowany” bibuły. Odcinało się pasek takiej bibuły, zwijało w luźny rulonik i wywijało delikatnie brzegi na zewnątrz, a potem palcami lub nożyczkami rozciągało się je tworząc coś w rodzaju falbanki. Następnie tak powstały kwiat usztywniało się i impregnowało brzegi roztopionym woskiem, który szybko sprawiał, że stawały się sztywne i mocne.

Nawet lekko zmoczone jesiennym deszczem przez kilka dni zachowywały względną formę. Jeszcze tylko dokręcało się ogonek z drutu i kwiaty były gotowe. Bardziej wyrafinowanym sposobem było skręcanie miękkiego, cieniutkiego drucika w spiralę nawiniętą na jakiś pręt, a po zsunięciu nadanie tej spirali kształtu płatków kwiatowych. Następnie przeciągało się przez nią kolorową nitkę z „kordunka” lub z „molyny”, by wypełnić wnętrza płatków. Na koniec łączyło się je razem formując kwiaty i dodawało się

drucikowy ogonek. Były delikatniejsze i trwalsze od bibułkowych; również bardziej kolorowe, choć wciąż na cmentarzach dominowały: żałobny fiolet i biel. Białymi kwiatami – oznaczającymi niewinność – ozdabiano groby dzieci i młodych dziewcząt, zaś fioletowe były przeznaczone dla pozostałych. Żywych kwiatów kładziono na grobach niewiele i były to zawsze „gryzanty”, czyli chryzantemy. Nigdy ich nie kupowano. W przydomowych ogródkach zakwitały drobnokwiatowe, różowe lub białe jesienne odmiany; pełne lub „ślypiate”, z małym żółtym środkiem. Czasem zdarzały się też chryzantemy ciut większe, ciemnobordowe, ale było ich zdecydowanie mniej.

Na mogiłach stawiano drewniane krzyże z tabliczkami informacyjnymi. Oprócz imienia, nazwiska, daty urodzin i śmierci zawierały one jakieś pobożne westchnienie czy fragment modlitwy: „Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie...”

Groby bliskich odwiedzało się obowiązkowo raz w roku na Wszystkich Świętych oraz uczestnicząc w jakimś pogrzebie. Wtedy była okazja, by wyplewić chwasty, wyrzucić stare kwiaty i znicze, sprawdzić czy nie przechylił się krzyż lub nie spełzły całkowicie litery na nagrobnej tabliczce. Odmawiano też „zdrowaśkę” za zmarłego; pospiesznie, by wraz z innymi powrócić do domu. Zniczy czy nowych kwiatów przy tej okazji nie przynoszono.

Nagoski cmentarz kryje wiele tajemnic; i tych z czasów wojny, i tych wcześniejszych. W dzień Wszystkich Świętych cały płonie od zniczy. Mdłe światełka żałobnych lampek tańczące na wietrze i unoszące się wokół dymy stwarzają niepowtarzalny, uroczysty nastrój. Nad cmentarnym wzgórzem płynie nostalgiczna zaduma, którą tak pięknie wyraziła Stefania Grodzieńska:

„Ci wszyscy, co byli przed nami, gdzie są?

Gdzie ich marzenia i sny?

Spokojnie, spokojnie snem wiecznym już śpią,

A dzisiaj, dziś inni – dziś my [...].

Spokojnie, spokojnie, zluzują i nas

I po nas rozsiądą się tu.

Co komu stąd przyjdzie, że kiedyś, że raz

Jakiejś nocy żałował i snu”...⁶

Przed dniem Wszystkich Świętych ksiądz proboszcz Fijał zawsze zapowiadał program uroczystości „zadusznych” i procesję żałobną z kościoła na cmentarz, w której uczestniczyli prawie wszyscy parafianie. Przypominał też o obowiązku uporządkowania grobów. Pewnego roku – niezadowolony z zachowania parafian – odmówił wzięcia udziału w tej procesji żałobnej, co było niezwykle wydarzeniem, długo komentowanym przez dorosłych.

Bardzo zaniedbana była najdalsza część cmentarza; tam, gdzie chowano dzieci. Przez lato zarastała wysoką „mietlycom” i innym zielskiem. Ścieżkę do tych małych grobków przycupniętych pod cmentarnym płotem, trzeba

było karczować co roku sierpem. Wciśnięte w kąt cmentarza niepozorne kopczyki z maleńkimi krzyżykami robiły żalosne wrażenie. Było ich wiele, bo wiele dzieci umierało tuż po urodzeniu.

Kobiety przecież rodziły same lub przy pomocy wiejskich akuserek, nie zawsze mogących poradzić sobie z różnymi komplikacjami czy zakażeniami towarzyszącymi porodom. Wtedy pocieszano je, że przecież urodzą kolejne dzieci i mówiono: „Bóg dał, Bóg wziął”, ale serca matek długo jeszcze krwawiły w nieutulonym żalu. Nad maleńkimi mogiłkami przystawało wiele kobiet; zasępionych, przygniecionych ciężarem wspomnień, ocierających rękawem toczące się po twarzy łzy.

Wiele też maluchów umierało, nie przeżywszy nawet roku; ulegały różnym infekcjom i niemowlęcym chorobom; najczęściej nie rozpoznanym i nieleczonym. Zapalenia płuc, przeziębienia – szczególnie zimą, gdy mieszkano się w słabo „łopolonych” domach, różne epidemie, wybuchające z powodu korzystania z brudnej wody czy małej dbałości o higienę, a także bieda, brak wiedzy medycznej i profesjonalnej opieki lekarskiej prowadziły do przedwczesnych śmierci. Dzieci często ulegały też śmiertelnym wypadkom, gdy rodzice nie mogli im zapewnić należytej opieki. Niezabezpieczone narzędzia rolnicze, studnie, gnojowniki, nie pilnowane zwierzęta domowe, groźna Wielka Rzeka, a w czasie powodzi i mała rzeczka – zbierały tragiczne żniwo.

Najbardziej zaniedbany był stary cmentarz. Tylko mogiły najbliższych były przez krewnych oczyszczane i ozdabiane; ścieżki i liczne – dawniejsze, zapomniane już groby nieznanymi osobami, porośnięte różnego rodzaju zieleciem – sprawiały ponure wrażenie. Groby były tylko kopczykami z ugniecionej ziemi, najczęściej obłożonymi zieloną darnią. Łatwo zarastały, zapadały się, a po większych deszczach rozmywały się i ginęły wśród dziko rosnących „chabazi”.

Czasem tylko ktoś na wiosnę posiał na którymś z grobów bratki lub nagietki, ale nie pielęgnowane przegrywały z chwastami; roślinki wyrastały nieliczne, drobne, cienkie, rachityczne. Czasem też na mogiłach rósł ciemnozielony, płożący się barwinek. Na wiosnę zakwitał drobnymi, fioletowymi kwiatuszkami, a latem zapuszczał coraz dalej ciągnące się po ziemi długie pędy, zarastające całą mogiłę, a nawet sąsiednie groby; jego gęste, lśniąco-zielone listki zieleniły się przez całą zimę, jeśli nie przysypał ich śnieg.

W dzień Wszystkich Świętych na skromnie ozdobionych grobach zapalano świeczki wbijane w ziemię lub „lampki”, czyli małe znicze: blaszane pudełeczka wypełnione woskiem, ze sznurkowym knotem, które paliły się niepewnie, krótko i blado, sycząc, kopiąc i pachnąc dusząco. Zapalając je trzeba było osłaniać pojawiający się ogieniek dłonią, by ochronić go przed silnymi podmuchami, które szarpały połami płaszczy, ziębiły policzki i ręce, przenikały do kości. Bo listopady niekiedy zaczynały się już przymrozkami, czasem nawet prószył śnieżek, a nad nagoskim cmentarzem, usytuowanym na wzgórzu, zawsze

hulał zimny, porywisty wiatr. Szybko też zapadał zmierzch, więc uczestnicy „zadusznych” procesji – po krótkich modłach i chwili zadumy – wracali przez opustoszałe, zamglone pola do majaczących w oddali bobrowskich chat.

Biegliśmy na przełaj miedzami i ugorami, które pokrywała gruba warstwa rozmiękłego, lepkiego błota, klejącego się do naszych butów, wyprzedzając zamyślonych rodziców, już chętni do wesołych zabaw. Czasem wyrwaliśmy jakąś rzepę lub „korpiela”, których jeszcze trochę rosło na zagonach, by je zaraz – zimne i pobrudzone szarą ziemią – obrać zgrabiałymi palcami i wgryzać się w biały, twardy, chrupiący miąższ, szybko zaspokajający pragnienie i mrozący zęby. Niekiedy też znajdowaliśmy w podmokłych trawach przy pełnym wody „psiakale” parę dorodnych, bielutkich pieczarek, które nawet o tej porze roku rosły na opustoszałych pastwiskach. Jesienne światło tego smutnego dnia ginęło już we mgłach wieczornych, wypełzających z nadwiślocznych zarośli i ciągnących przez rędzinne pola, a długie cienie snuły się po opłotkach, gdy docieraliśmy do domów o ciemnych, pustych oknach. Dorośli zapalali lampy, rozniecali pod piecem ogień i jeszcze cały wieczór rozmawiali o przeżytym dniu; o spotkanych znajomych i krewnych dawno niewidzianych i o zmarłych, którzy powracali w serdecznych wspomnieniach – zawsze nieocenieni, wspnianiali, nieodżałowani.

W 1950 roku rozmowy schodziły też na temat niedawnych wyroków śmierci, które warszawski sąd wydał niedawno na działaczy nielegalnej, powojennej organizacji „Wolność i Niezawisłość”. Wśród dziesięciu ofiar komunistycznego reżimu byli też bohaterowie walczący w czasie akcji „Burza” na naszych terenach, komendanci dębickiego Obwodu AK: Adam Lazarowicz i Karol Chmiel.

Mówiono o ich odwadze, desperacji, o wierności wolnościowym ideałom i o niezłomnej postawie w czasie przebywania w ubeckich więzieniach. Żałowano ich i coraz bardziej troskano się o przyszłość. Ale twarde warunki życia zmuszały do zajęcia się bieżącymi problemami i pozostawienia spraw zmarłych w ich mogiłach, choć wciąż trapiła dorosłych tajemnica niezbadanych ludzkich losów, kruchości życia i bezradności człowieka, który „choć na cierpienia znalazł leki, śmierci nie ujdzie on grotów”. Bo odczucia żalu, smutku, żałoby i potrzeby duchowego kontaktu z tymi, którzy już odeszli żyją w nas zawsze; od wieków tak samo bolesne. Ale gdy starożytny człowiek w chwili śmierci bliskiej osoby posypywał głowę popiołem, kaleczył się z rozpacz, krzyczał i tarzał się w prochu, to współczesny stara się zachowywać pozory zewnętrznego spokoju, choć serce rwie się na strzępy. Chowa głęboko swe rany, swoje czarne myśli, którymi niechętnie dzieli się z innymi, bojąc się niezrozumienia, a może nawet wyszydzenia.

Niedawne, straszne doświadczenia wojenne uczyły cierpieć w niemym milczeniu. Ale rodziły też inne dylematy. W czasie niedawnej wojny śmierć zatraciła swój dawny majestat, stała się czymś bardziej szatańskim niż świę-

tym. Dotykała wielu najbliższych, była wszechobecna. W wieczornych rozmowach opowiadano o trupach spotykanych na polach, w rowach, w lasach; rozkładających się, obdartych z ubrań, przerażających.

W czasie pacyfikacji znajomi ginęli wśród płomieni w straszliwych męczarniach, w akcji przeciw działaczom podziemia Niemcy zastrzelili wielu bobrowian. Ich wspólny grób w kącie cmentarza nie pozwalał zapomnieć. Mieszkańcy wioski podchodzili do tej tragicznej mogiły, zapalali lampki i stali w zadumie. A potem jeszcze długo w ten zaduszkowy wieczór pamięć przywoływała obrazy tamtych ludzi, których jeszcze nie tak przecież dawno spotykali na gościńcu, w sklepie, w polu, a którym wojna przyniosła straszną śmierć.

A w szkole trwały przygotowania do uczczenia kolejnej rocznicy radzieckiej rewolucji która – co nas trochę dziwiło – choć „październikowa”, obchodzona była w listopadzie. Nazwę tej rewolucji kazano nam pisać wielką literą, bo ponoć była najważniejszym wydarzeniem w dziejach świata. Kleiliśmy czerwone chorągiewki i wycinaliśmy gołąbki pokoju, a także uczyliśmy się wierszyka – chyba Zbigniewa Turka – zamieszczonego w naszych czytankach:

„Wielki Październik nam to dał,
To Rewolucja dała,
Żeś w jasnej izbie Jaśku wstał,
Że izba w słońcu cała.
Wielki Październik nam to dał,
Że idziesz nową drogą
Do nowej szkoły, w której dziś
Wszyscy się uczyć mogą”.

Dziwiło nas bardzo, że nawet słońce zawdzięczamy tej rewolucji i jej wodzowi Leninowi, którego portret, wraz z portretami brodatego Marksa i Engelsa zdobił ścianę jednej z klas w naszej szkole, ale szybko zapominaliśmy o tym, mając ważniejsze, dziecięce sprawy.

A jesienne wieczory – najczęściej spędzane w gronie rodziny i sąsiadów, którzy schodzili się „na polytyke” – sprzyjały wojennym wspomnieniom, tak przecież świeżym. Jeszcze wciąż dowiadywano się o nowych faktach z okresu okupacji, które dotychczas były nieznane lub okryte tajemnicą. Pewnego dnia któryś z sąsiadów przyniósł właśnie wieść, że to bobrowscy gwardziści – Jan Skowron i Bronisław Dziurgot zlikwidowali niemieckiego oficera, którego znaleziono w czasie wojny utopionego w Wisłoce.

Pisze o tym Leopold Harla: „Początek czynnej działalności bobrowskiej grupy GL wiąże się z głośnym naówczas wypadkiem zaginięcia niemieckiego oficera. Wiadomość taka latem 1942 roku obiegła Bobrową i okoliczne wsie. Po kilku dniach ciało Niemca znaleziono w nurtach Wisłoki. Chodziły potem „słuchy”, że utopili go partyzanci. Ale nikt nie wiedział, jak było naprawdę”⁷.

Przez cały okres wojny mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa zdawali sobie sprawę z rodzącego się ruchu oporu i cicho szeptali o działających we wsi podziemnych organizacjach. Wielu młodych chłopców z bobrowskich rodzin opuszczało domy i szło do partyzantki. Sąsiedzi spotykali się w domach i w zaufanym gronie dzielili się szeptanymi wiadomościami. Mężczyźni z zafasowaniem, czającym się w oczach, popalali skręty, aż izby wypełniały się szarym dymem. Palenie było domeną typowo męską; z niepalących śmiano się, że „śmierdzo myszamy”. Ale nie do pomyślenia było, żeby paliła jakaś kobieta. Krewny Lina zwany przez niego swokiem mówi: „Paliłem czterdzieści lat. Ledwie się zbudził, zaraz nic, ino zapalać”⁸.

Palono od wczesnej młodości, a pierwszy papieros był rodzajem wtajemniczenia, którego pragnęli wszyscy dorastający chłopcy. Jeden z Mikołajkowych bohaterów wspomina:

„Do izby cicho wszedł Izydor. Duża, kręcona czupryna leżała mu na czole i na uszach.

– Słyszałeś?

– Kiwnąłem głową.

– Zajarzyć u ciebie...

– Sto razy mówiłem ci, że nie palę.

– Źle robisz. Jeden chłop nie palił, tylko zbierał pieniądze i kupił kozuch.

Ale, że było lato schował go w słomę... – i nie kończąc opowiadki o spalonym w słomie kozuchu, ciężko usiadł na ławie”⁹.

Wspomniany bohater „Tryptyku na śniegu” Izydor był w konspiracji, jak wielu chłopaków z Bobrowej, którzy rwali się do walki; jak zawsze aktywni, gotowi do podejmowania ryzyka, nie umiejący biernie czekać na rozwój wypadków, odważni, zadziorni. Jak wiadomo, swą chęć działania realizowali w tych podziemnych strukturach, które powstały w naszym regionie i w oddziałach organizowanych w wiosce mojego dzieciństwa, do których zachęcali i wprowadzali ich już tam działający koledzy, krewni czy znajomi. Gdy o akowcach możemy przeczytać w utworach Mikołajka, o tych, którzy wstępowali do Gwardii Ludowej dowiadujemy się z relacji Leopolda Harli.

Pisze on, że już na początku 1940 roku Roman Bonar i Klemens Trojan prowadzili akcję rozsyłania ulotek, wzywających do przygotowania się do walki z najeźdźcą, i przekonywali, że po zwycięstwie Polska będzie krajem sprawiedliwym dla wszystkich. Wkrótce powstała organizacja „Polska Ludowa – Organizacja Ludu Pracującego” właśnie z siedzibą w Bobrowej, gdzie organizowano zebrania lewicowych działaczy z powiatu dębickiego i mieleckiego, a także komórka PPR i GL. Ruch lewicowy rozszerzał się na okoliczne wsie. Sekretarzem Komitetu Podokręgu Dębickiego z siedzibą w wiosce mojego dzieciństwa został wybrany Roman Bonar.

„Stąd, z Bobrowej, płyną najważniejsze polecenia i wytyczne do niższych ogniw, tu opracowuje się plany najważniejszych akcji [...]. Fakt ten jest szczególnie godny podkreślenia, gdyż Bobrowa znajduje się w odległości zaledwie 5 km od hitlerowskiego obozu śmierci w Pustkowie i SS-mańskiego poligonu, na którym przebywa stale kilka tysięcy niemieckich żołnierzy. Jednym z głównych ich zadań jest właśnie krwawe dławienie ruchu oporu w najbliższym terenie”¹⁰.

Stanisław Szerszeń z Bobrowej wspomina: „Romek Bonar namówił mnie do wstąpienia do PPR i GL. Przyszedł raz do mnie i powiedział: – Potrzeba nam ludzi do walki z okupantem. Ale to jest wielka tajemnica. Wiesz tylko o tym ty i ja. Zgodziłem się na to i po tygodniu byłem na naszym pierwszym zebraniu piątkowym, które mieliśmy w krzakach nad Wisłoką [...]. Każdy z nas miał pod sobą pięciu ludzi [...]. Omawiana była sytuacja na froncie, a informacje z takich spotkań przekazywał później każdy z nas ludziom swojej piątki. O ustroju przyszłej Polski nic się na tych zebraniach nie mówiło, tylko o pomocy w walce o jej wyzwolenie”¹¹.

Również bobrowskie dziewczyny działały w konspiracji. Łączniczką GL była żona Romana Bonara – Helena, jego siostra – Bronisława Świder, Jadwiga Skowron [Jagośka], czy Agata Baran, która tak wspomina swą działalność:

„W Gwardii Ludowej byłem łączniczką. Na nasze spotkania przychodzili niektórzy koledzy z naszej wsi, jak Węgrzyn Władysław, Cholewa Jan, Szerszeń Stanisław. Przychodzili też do nas koledzy z innych wiosek [...]. Jako łączniczka przenosiłam broń i przechowywałam przez jakiś czas maszynę do pisania [powielacz], którą miałam ukrytą w komorze w sąsiedztwie z żytem [...]. Przenosiłam ulotki i doręczałam pisma”¹².

Latem 1944 roku okazało się, że zaginął jeden z oficerów z obozu w Pustkowie, którzy ciągle „plątali się” po wsi: wstępowali do mleczarni, zaglądali na wesela i na zabawy taneczne do ludowca, zachodzili do sklepu w domu mojego dziadka Michała, gdzie zamawiali alkohol i „szwargocąc” po niemiecku, przesiadywali po kilka godzin. Potem wracali do Pustkowa – często pijani – przeprawiając się przez Wisłokę. Pewnie taką sytuację wykorzystali bobrowscy partyzanci. Zdobyli wtedy tak potrzebną broń – pistolet i dodatkowy magazynek z amunicją.

Leopold Harla pisze również o innych odważnych akcjach GL: „Jesienią 1942 roku grupa gwardzistów z Bobrowej [m.in. Władysław Kolis] i Brzeźnicy dokonała zuchwałego napadu na niemiecki samochód z bronią koło stacji Kochanówka. Zaskoczeni konwojent i kierowca zostali ogłuszeni kamieniami. Zabrano broń, ile zdołano unieść. Ta zdumiewająca akcja nie była planowana. Po prostu gwardziści wykorzystali nadarżającą się okazję”¹³.

„W grudniu 1942 roku gwardziści z Bobrowej – Jan Skowron, Władysław Kolis i Bronisław Dziurgot zaskoczyli i rozbili dwóch żołnierzy niemieckich

kich w polu między Bobrową i Brzeźnicą. Niemcy wracali nocą z wiejskiej zabawy, na której zostali obficie poczęstowani alkoholem”¹⁴.

Mieszkańcy wioski mojego dzieciństwa chętnie pomagali partyzantom walczącym ze zniechwalanymi Niemcami.

Siostra Romana Bonara – Bronisława Świder, wspomina: „Pewnego razu odpoczywało z Romkiem w stodole jedenastu głodnych chłopaków, których nakarmiłam masłem i mlekiem [...]. Za kilka dni [...] poszłam z żywnością, pełną drogą, w pole w kierunku Nagoszyna, gdzie w wymokniętej pszenicy czekał na mnie Romek [...]. Zabił mąż niedużego prosiaka, który ważył około 60 kilo i wyrobił z niego kiełbasy, które razem z posolonym boczkiem uwędził w polu, gdzie grupa Romka miała swoje tymczasowe legowisko. Zabrali chłopcy tę wędlinę razem z chlebem, który im upiekłam i odeszli gdzieś w lasy [...]. Jak się czasem dopytywałam Romka o kolegów, to nigdy mi nie podał ich imion i nazwisk, tylko mówił, że są to koledzy z Przecławia, Ostrowa, Skrzyszowa. Wiedziałam tylko, że był między nimi Czarny, który był nauczycielem z Przecławia”¹⁵.

Życzliwość bobrowian wobec partyzantów potwierdza relacja Leopolda Harli:

„Ludność [...] chętnie dostarczała środki żywności, częściowo pieniądze i odzież, dawała schronienie, ostrzegała przed niebezpieczeństwem. Broń zaś można i trzeba było zdobyć przede wszystkim w bezpośredniej walce z wrogiem”¹⁶.

Tych akcji było wiele:

„W styczniu gwardziści z Bobrowej i Brzeźnicy w sile dwudziestu ludzi pod dowództwem Romana Bonara przerwali kolejową linię telefoniczną pomiędzy Pustkowem i Mielcem ścinając 28 słupów. Na skutek tego przerwa w ruchu kolejowym na tym odcinku trwała kilka godzin”¹⁷.

„W miesiąc później gwardziści z Bobrowej i Brzeźnicy wykoleili pociąg koło stacji Kochanówka, przerywając ruch pociągów na 8 godzin”¹⁸.

Niestety, akcje te spotykają się z odwetem Niemców, którzy „węższą, inwigilują, próbują przekupstwa i prowokacji, organizują obławy, wzmagają represje w całym powiecie”¹⁹.

Ta fala represji dosięgnie również bobrowskich działaczy lewicowego podziemia. Ale gwardziści działają dalej.

„Na początku kwietnia 1943 roku grupa GL Romana Bonara zrywa tor kolejowy na trasie Ropczyce – Sędziszów, przerywając ruch pociągów na 12 godzin. Przy okazji grupa niszczy dwa niemieckie samochody z żywnością. W końcu kwietnia 1943 roku część bobrowskich gwardzistów razem z gwardzistami [...] z Róży i Zasowa [...] pod ogólnym dowództwem Piotra Chłędowskiego wyrusza w tarnowskie lasy po spodziewany zrzut broni radzieckiej. Zrzut z niewyjaśnionych przyczyn nie nastąpił. W drodze powrotnej gwar-

dziści demolują dwa folwarki pod zarządem niemieckim, rozbijają gorzelnię [...] oraz konfiskują kilkadziesiąt tysięcy złotych na cele konspiracji. W kilka dni po powrocie z tarnobrzeskich lasów Roman Bonar, Jan Szafrąński i Jan Kusibab z Paszczyny, na szosie pomiędzy Zawadą a Brzezówką, rozbijają niemiecki patrol motocyklowy, zabijając trzech Niemców”²⁰.

Zbrojne akcje nasilają się; przeprowadzają je różne organizacje bojowe, działające na naszym terenie. Niestety, brak porozumienia między nimi w sprawach ideowych i politycznych stanowi dużą przeszkodę w działaniu.

Leopold Harla wspomina: „Walka, wskutek znanego stanowiska politycznego polskiego rządu emigracyjnego w Londynie i „góry” AK i BCH z jednej, a GL z drugiej strony nie jest skoordynowana. To ułatwia w dużym stopniu przeciwdziałanie wroga. Nie mogąc pokonać partyzantów w polu, gwałtownie zaostrzają hitlerowcy terror i represje, stosując masowo ludobójczą zasadę zbiorowej odpowiedzialności. W okresie dwóch miesięcy, tj. w czerwcu i lipcu 1943 roku, pastwą bestialskich pacyfikacji padają Brzeźnica, Zasów, Róża... Ginę PPR-owcy, gwardziści, ich rodziny, starcy i dzieci, giną ludzie zupełnie nie związani z konspiracją, ogień pożera zabudowania i dobytek. Los Brzeźnicy, Skrzyszowa, Róży dzieli Bobrowa”²¹.

Oprócz 16 ofiar tej zbrodniczej akcji, o której już była mowa, w czasie wojny zginęło wielu innych mieszkańców wioski mojego dzieciństwa. Oto dane wg Leopolda Harli: „Zamordowani w więzieniach i obozach: Michał Milas, Jan Piecuch, Władysław Wilczyński – w 1942 roku, Helena Bonar, Andrzej Bonar, Klemens Trojan, Michał Bonar w 1943 roku, rozstrzelani w różnych okolicznościach: Jan Mądro w 1943 roku, Tomasz Żak w 1944 roku”²².

Antoni Stańko pisze też, że we Lwowie Niemcy zamordowali bobrowianina Tadeusza Mazura, żołnierza AK, pełniącego funkcję naczelnika poczty w Rawie Ruskiej.

Nie doczekali wolności agitujący – również w wiosce mojego dzieciństwa – do walki z okupantem: pochodzący z Kędzierz Józef Olechawski, który zmarł w obozie w Dachau i Florian Jedynak – sekretarz dzielnicy Brzeźnica [w czasie pacyfikacji Bobrowej].

Choć przeważająca część bobrowskiej młodzieży uczestniczyła podczas wojny w podziemnej działalności przeciwko Niemcom, to widoczne zróżnicowane pod względem przynależności do działających na terenie wioski organizacji powodowały napięcia, konflikty, nawet bójki. Tę atmosferę pełną napięć przedstawił Mikołajek, opisując w „Tryptyku na śniegu” zabawę w ludowcu, odbywającą się w czasie okupacji, na którą przyszedł akowiec Paweł Gwóźdź, utykający jeszcze po nie wygojonej do końca ranie; pamiętce jednej z akcji przeciw Niemcom:

„Usłyszałem pisk skrzypiec. Stłumiony odgłos bębna był podobny do uderzenia cepów na klepisku. Heniek zapukał w szybę.

– Muzyka w ludówce, pełno chłopaków we wsi. Wstawaj [...].

Są chłopaki z Kunowa i ze Sławna. Na jednym i na drugim końcu wsi rozstawili warty. Co pół godziny jadą na rowerach nowi i zmieniają się. Huk jak na weselu, a ty śpisz [...].

Nie miałem zamiaru iść, ale o północy wstałem z łóżka. Koło Domu Ludowego znajomi chłopcy zaczęli mnie poklepywać:

– Cześć, Paweł. Gdzieś tak długo kręcił światem? Co, kulawy jesteś? Kilo piór ci spadło na nogę? – Obowiązywała konspiracja, ale akowcy, gwardziści i chłopaki z BCh wyczuwali się na odległość.

Stałem w drzwiach, zapaliłem papierosa.

– Polka w prawo.

– Stój, teraz w lewo.

– Każdy do swojej! – krzyknął wysoki Rudek, gwardzista z Kunowa. Wszyscy skłębili się w ciasnocie i dymie” [...].

Było duszno, zaczęły się tworzyć grupki. Wiedziałem, na co się zanoszą, i wołałem się nie pchać w tłum. Padały okrzyki:

– Teraz hulają ci, co wiedzą.

Odezwało się jurczenie. Bulgocący wrzask, który zamierał w jednym gardle, jakby podejmowany odradzał się zaraz w drugim.

Tańczyli chłopcy z AK. Do środka wskoczył wysoki Rudek. Reszta ruszyła spod ścian. Z kółeczka zrobił się kłębek, dojrzałem błękitnawe ostrze noża. Wycofałem się na zewnątrz. Przez okno coś wyleciało. Po chwili kłębek człowieka rozwinął się i przysiadł. Było ciemno, wiedziałem, że kogoś wyrzucili, ale nie mogłem dojrzeć kogo. Chciałem podejść, zobaczyć. Z drzwi wypadły dwa sklezione ze sobą cienie. Jeden z nich upadł. Ktoś stojący pod ścianą zaświecił ręczną latarką. Leżący wstał i znowu przykucnął:

– Nie mam, Pieter, do ciebie żalu, żeś mi przerznął plecy. Zagoi się i koniec. Ale po coś rznął koszulę [...].

– A jak miałem zrobić? Wsadzić ci rękę pod koszulę? To szczęście, że miałeś bluzkę na łeb zadartą. Bo bym ci ciachnął i bluzkę. A tak, widzę, sama koszula; myślę – głębiej wejdzie. I założyłem. Myślałem, że to Gliwiak.

– Toteż właśnie mówię: nie mam żalu. Ciemno jest i diabeł by się nie rozeznał w tym wszystkim. Tylko właśnie po coś koszulę...

– Gadasz jak dziecko. Wciągaj te szmaty i chodźmy do domu.

– A pewnie – zgodził się ranny i zaśpiewał:

„Boksery i noże to nasze kochanie.

Szpitala, więzienia to nasze mieszkanie”.

– Zamknijcie pyski! – warknąłem. Wewnątrz ludówki krzyczano:

– Ty bolszewiku, mało ci jeszcze?

Wtedy miałem ochotę wskoczyć do środka i prac. Ale okna ludówki zgasły. Wszyscy wywalali się na zewnątrz. Dziewczyny obejmowały swoich chłopaków:

– Marcel, jeszcze mało ci nawtykali? Chcesz więcej?

– Józek, chodź do rzeki, umyć się trza. Gdzie lecisz? Przecież po ciemku i tak go nie złapiesz”²³.

Gdy zabawa rozkręcała się na dobre, a rozochoczone pary wirowały w rytm muzyki, pod oknem ludowca – chudy, blady chłopak ubrany w dziwaczne łachy – „wsiowy gupek” śpiewał głośno, straszliwie fałszując: „Umar Maciek umar, już leży na desce, gdyby mu zagrały podskoculby jeszcze”.

„Gupkami” lub „gupiakami” nazywano osoby psychicznie chore, które można było znaleźć w każdej wsi. Nieleczone, lekceważone, odrzucane, a niekiedy nawet krzywdzone, przeżywały swe życie najczęściej w czterech ścianach rodzinnych domów.

Jasiek był spokojny, nikogo nie zaczepiał, więc nie robiono mu krzywdy. Miał smykałkę do wykonywania różnych wyrobów z wikliny i to było jego codzienne zajęcie. Czasami jednak porzucał robotę i coś gnało go gdzieś po polach i ścieżkach. Potem wracał do swojego kąta w izbie i kołysał się w przód i w tył na swoim „taborku”, patrząc tępo przed siebie. Czasami zachodził też pod okna ludowca, by słuchać muzyki, a częstowany przez chłopaków wódką, zaczynał śpiewać na cały głos, dopóki ktoś z krewnych nie zabrał go do domu.

Jego matka „Jańcia” – samotnie prowadząca ubogie gospodarstwo – kochała go i opiekowała się nim troskliwie. Był dla niej całym światem, ratował przed samotnością i nadawał jej życiu sens. Jańcia była już dosyć starą, spracowaną kobietą, na której czas i trudne warunki bytowania, różne dramaty i koleje życia odcisnęły swe ślady. Pochylona, ze zwiotczałą skórą i guzowatymi, powykręcany reumatyzmem rękami miała w pomarszczonej twarzy coś serdecznego i miłego. Lekceważyla brzydkie brodawki na policzkach mówiąc, że „na stary sośnie to choć co rośnie” i uśmiechała się do wszystkich, a wtedy jej wąskie, spękane wargi i pełne łagodności oczy w rozwodnionym, bladym kolorze stawały się młode i ładne.

Jańcia hodowała „japoński grzybek”; ponoć bardzo zdrowy i pożywny. Na stole w jej kuchni stał duży słoik przykryty gazą zaciśniętą gumką ze „szlaufta”. Wewnątrz pływała galaretowata masa przypominająca trochę meduzę. Co jakiś czas gospodyni „karmiła” ten grzybek wodą z cukrem lub słodką herbatą. Wtedy rozrastał się i rozmnażał wydzielając przy tym kwaśną, mdłą woń. Codziennie rano Jańcia piła wodę z tym grzybkiem przechylając słoik i przecedzając zawartość przez gazę. Dawała też pić ten „specyjoł” synkowi. Niektóre starsze kobiety brały od niej oderwany kawałek tej galarety i też hodowały ją w swych kuchniach.

W Jańcinej kuchni nad łóżkiem o wysokim „zotyłku”, nakrytym kolorową, pasiastą narzutą, zrobioną na szydełku, wisiało – jak w wielu bobrowskich domach – przykurzone „monidło”. Choć Jańcia od lat była wdową, to ze ślubnego portretu wciąż uśmiechał się do niej młodziutki, przystojny mąż.

Monidła były w latach pięćdziesiątych prawdziwym krzykiem mody. Te portrety malowane przez anonimowych „artystów” na podstawie różnych fotografii pragnęła mieć każda kobieta z wioski mojego dzieciństwa. Bobrowskie domy odwiedzał co jakiś czas sprytny agent, który tak barwnie opowiadał o konieczności posiadania, o urodzie i o wartościach takiego „dzieła sztuki”, że o żadnym głosie rozsądku nie mogło być mowy. Gospodynie zazwyczaj zamawiały portrety ślubne, pewnie z rozrzewnieniem wspominając piękny dzień zaślubin, z którego nie zostawała zazwyczaj żadna materialna pamiątka. Przecież prawie żaden ślub nie był utrwalany na zdjęciach, ponieważ przeważnie nikt z obecnych na weselu nie posiadał aparatu fotograficznego, a wyjazdy do profesjonalnego fotografa w Dębicy były dość utrudnione, drogie, a – przede wszystkim – nie było takiego zwyczaju.

Sprytny „domokrażca” wyciągał z wielkiej walizy przykładowe piękne portrety obiecując, że nawet na podstawie najmniejszych, przypadkowych fotografii artysta potrafi wyczarować takie чудо, którego zazdrościć będą wszystkie sąsiadki. Kobiety wyszukiwały więc w „nakasłyku” jakieś zdjęcia i powierzały je agentowi, ustalając szczegóły; jaki należy namalować welon, fryzury, suknię, męzowski garnitur oraz płaciły solidną zaliczkę. Następnie z niecierpliwością czekały na efekt, denerwując się i dzieląc tym zdenerwowaniem z tak samo czekającymi sąsiadkami; zwłaszcza, gdy zataiły ten fakt przed mężem ufając, że piękny portret na pewno zmiękczy jego serce i nie będzie narzekał na bezsensowne marnotrawienie grosza.

Po jakimś czasie zjawiał się wreszcie długo oczekiwany agent i powoli, celebrując każdy ruch, wydobywał z walizy zamówione monidło oraz zwracał zabrane zdjęcia.

Najczęściej pierwsze wrażenie było szokiem. W uśmiechających się sztucznie postaciach trudno było znaleźć jakikolwiek ślad podobieństwa do zamawiających portret delikwentów. Ale zdolności agenta wmawiającego oczywiste podobieństwo sprawiały, że w końcu dopatrywano się jakiś wspólnych szczegółów, akceptując dziwnie fruwający welon, fantazyjną suknię, bujną fryzurę łysawego Pana Młodego i podbarwione „trupim” fioletem rumieńce i wargi sportretowanych bohaterów. Przygotowane pieniądze lądowały w portfelu agenta, a monidło – na ścianę. Gdy jednak – mimo dobrej woli oglądających – stawało się powodem żywej krytyki i ciągłych kpin rodziny i znajomych – lądowało gdzieś za szafą, a jego miejsce zajmował jakiś święty obraz.

W naszym domu za szafą stały takie dwa monidła, bo mama – jak wiele kobiet z wioski mojego dzieciństwa – dała się znów przekonać kolejnemu

agentowi, reklamującemu piękniejsze portrety, wykonywane tym razem przez doskonalszego niż poprzedni – artystę. Szkoda, że te – choć kiczowate – ale przecież bliskie sercu i będące symbolem tamtych, siermiężnych lat pięćdziesiątych monidła odeszły gdzieś do lamusa niepamięci. A może jeszcze gdzieś jednak przetrwały?

W długie, ciemne, listopadowe noce zarówno dorosłych, jak i dzieci nawiedzały różne sny. Często były to koszmary, wypełzłe ze strzępów strasznych przeżyć, których wielu doświadczało, czasem znów jakieś echa niespełnionych marzeń i rojeń. Ale najczęściej pojawiały się w snach jakieś dziwaczne, straszne potwory, powodujące, że budziliśmy się z krzykiem, złani zimnym potem i długo tuliliśmy się do mam, próbujących nas uspokoić. Gładząc nas po rozczochranych główkach, mówiły, że „Sen mara, Bóg wiara” i że wystarczy spojrzeć w okno, a zaraz wszystkie koszmary zapadną się w niepamięć. I choć tak rzeczywiście było, to zawsze pozostawiały one pewien niepokój i obawę przed kolejną nocą. Szczególnie baliśmy się w czasie pełni, gdy jasny blask ogromnego, kulistego księżyca rozświetlał mrok nieprzyjemnym, zimnym światłem. Zastaniało się dokładnie okna, bo podobno w takie właśnie noce „Lucyfer” zaglądał do chat. Ale zdarzało się, że śniło się nam coś cudownego i pięknego, co znaliśmy tylko z książek, z czasopism czy z telewizji, więc marzyliśmy, by spełniło się na jawie, bo czuliśmy, że prawdziwe życie toczy się gdzieś daleko, poza opłotkami naszej wsi i pragnęliśmy jak najszybciej poznać to nieznane, dalekie, co musiało przecież nastąpić.

Jedna z sąsiadek chętnie tłumaczyła sny i przepowiadała przyszłość. Była już staruszką, chyba niepiśmienną, nie umiała też odczytywać z zegara godzin, ale wciąż żwawa, „rozmowna” i towarzyska, powoływała się na stare przepowiednie Michaldy, wieszcząc rychły koniec świata. Gdy kobiety zaczęły jeździć na rowerach, obcinały na krótko włosy i wkładały niekiedy spodnie utwierdzała się w przekonaniu, że wkrótce nie rozróżni się kobiety od mężczyzny, a to będzie początkiem końca. I stanie się tak, że pewnego dnia rolnicy wyjdą kosić siano, a na łąkach będzie śnieg. To będzie widomy znak zbliżającego się straszego Sądu Ostatecznego...

Kolejny listopadowy ranek budził się powoli; znów szary i zimny. Gospodynie – jak zwykle – wstawały najwcześniej. I znów trzeba było iść do stajni, do codziennego obrządku. Dopiero potem można było pomyśleć o śniadaniu. Tak zaczynał się każdy dzień kobiet w wiosce mojego dzieciństwa. Od wieków wciąż był kultywowany wzór kobiety zapracowanej, poświęcającej się dla rodziny, nie dbającej o swoje potrzeby i o zdrowie. Godziły się na tę rolę, a ich najważniejszym szczęściem były dzieci. Zazwyczaj umierały cicho, nie pozostawiając po sobie żadnego innego trwałego śladu oprócz właśnie tych dzieci, których zazwyczaj miały kilkoro, a które dziedziczyły ich rysy, ich cechy, ich niepokoje i lęki, a także ich los. A były to kobiety naprawdę niezwykle i wspaniałe.

Jedna z takich sąsiadek sypała np. jak z rękawa różnymi aforyzmami, które wplatała w swoje wypowiedzi; zawsze rozważne i przemyślane. Całe życie była chorowita i nie mogła ciężko pracować, więc gospodarstwo powierzyła synowej, a sama zajmowała się tylko hodowaniem kur i gęsi. Lubiła przyglądać się, jak po „łobeściu” dumnie kroczył wspaniały kogut o lśniących, kolorowych piórach i jaskrawoczerwonym grzebieniu, pilnujący sporego stadka siemieniactych kur, rozgrzebujących piasek, na który sypała z podwiniętej „zopaski” poślad i złotą pszenicę. Dorodne kokoszki swymi paciorkowymi oczami potrafiły dostrzec nawet najmniejsze ziarno i wydziobać wszystko do ostatka. Czarny koczur bawił się pod ścianą z upolowaną myszą; co chwilę wypuszczał ją ze swoich pazurów, a gdy próbowała uciekać, jednym ruchem łapał ją z powrotem.

Sąsiadka często siadała na ławeczce przed domem z rękami skrzyżowanymi na piersi lub złożonymi na podołku, nawiązując rozmowę z każdym, kto szedł gościńcem i zachęcając do chwili wytchnienia:

– Sieńście se kwilke, przecie mlyko wom nie kipi – zapraszała na tę swoją ławeczkę i z ciekawością wysłuchiwała wszystkich nowinek, żalów, przyczyn zmartwień i trosk, a każda opowieść była dla niej wspaniałą okazją do wygłaszania różnych mądrości życiowych. A to, że „Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy”, a to, że „Trafiła kosa na kamień”, a to, że „Starość nie radość”, że „Im krzywsi, tym smyśni”, „Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi”, „Nie urodzi sowa sokoła”, „Pracuj, pracuj, a garb ci sam wyrośnie”, „Co nagle to po diable”, „Słowo może uzdrowić, ale może i zabić”, „Robota tuczy, a bida uczy”, czy że „Nie przesadza się starych drzew”...

Najbardziej podobała nam się jej wróżba, że „Jak na Hieronima jest mróz albo go ni ma, to potem leje albo nie leje”.

Pewnego razu niespodziewanie od krewnych z innej wioski owa sąsiadka otrzymała list wzywający do wzięcia udziału w tzw. „Łańcuszku świętego Antoniego”. Otóż ponoć pewien misjonarz z Ameryki Południowej ułożył specjalną modlitwę do tego świętego i postanowił ją rozpropagować na cały świat. W tym celu należało otrzymany w liście tekst przepisać 13 razy i w ciągu 13 dni powysyłać znajomym, by ci uczynili to samo. Spełnienie tego warunku miało przynieść szczęście, zaś przerwanie „łańcuszka” wielkie strapienie. Do modlitwy dołączone były przykłady dramatycznych lub szczęśliwych przypadków kilku ludzi z różnych kontynentów, którzy kontynuowali lub przerywali „łańcuszek”. Niektórzy odbiorcy takich listów początkowo – najczęściej ze strachu – wysyłali te modlitwy, ale wkrótce o „łańcuszku” całkiem zapomniano.

Choć listopad siał deszczem i ziębił chłodem wciąż organizowano jeszcze jesienne, spóźnione wesela. Młodzi – gdy wcześniejsze wesele było z jakiś względów niemożliwe – chcieli zimę spędzić już razem, wzajemnie się wspierając, bo zbliżał się trudny czas śniegów i mrozów, co zapowiadały imieniny Marcina i Katarzyny. Mówiono, że „Święty Marcin na białym koniu

jedzie”, bo niekiedy, wkrótce po jego imieninach, przypadających w dniu 11 listopada, bywało biało od śniegu, a – „Po świętej Katarzynie pomyśl o pie-rzynie”, bo przychodziły coraz mroźniejsze noce.

Nazajutrz po imieninach Katarzyny był dzień świętego Andrzeja, zapowia-dający zbliżający się adwent. Znów organizowano zabawę w ludowcu, na którą – jak zawsze – chętnie przychodziła bobrowiska młodzież. Chłopaki parado-wali w garniturach szytych na miarę przez tzw. męskich krawców, wśród któ-rych wielką renomą cieszył się Stanisław Muciek z Żyrakowa. Gotowych ubrań w sklepach nie było, a i kupienie dobrego materiału było nie lada wyczynem. Ale gdy ktoś zdobył np. na czarnym rynku kupon prawdziwej bielskiej wełny, znaczonej na brzegach niebieskim szlaczkiem, mógł być pewien, że jego gar-nitur będzie leżał „jak ulał”, spodnie będą długo trzymały kant, a kolana nigdy się nie wypchają. Taki garnitur musiał wystarczyć na wiele lat; do kościoła, na rodzinne przyjęcia, jakieś wyjazdy, wesela czy pogrzeby. Najwięcej chłopaków miało jednak garnitury z byle jakiego materiału, wyświechtane, noszące ślady długiego noszenia i różnych życiowych przygód. Zdarzały się też wojskowe bluzy czy spodnie, choć w zdecydowanej mniejszości.

Dziewczyny zakładały na tę okazję kolorowe sukienki, a na nie własno-ręcznie „udzirgane” sweterki lub nawet matczyne, przedwojenne żakiety, zawsze jednak czymś przyozdobione; czy to broszką czy kokardką, koralika-mi czy barwną chusteczką. Bo bobrowskie „dziwochy” zawsze dbały o swój wygląd i zawsze rwały się do tańców. Jak zwykle też przychodzili na zabawę starsi gospodarze i gospodynie. Lubili się przy takiej okazji spotykać, razem spędzać czas, razem pić piwo, obserwować tańczących, dyskutować, słuchać muzyki, podśpiewywać, a na koniec też ruszać w tany. Tak było od dawien dawna; wspólne uczestnictwo w takich wiejskich imprezach dawało poczucie radości, relaksu, szczęścia, przynależności do gromady, z którą dzieliło się los.

Mikołajek w „Tryptyku na śniegu” wspomina incydent, który naprawdę się zdarzył na jednej z zabaw w wiosce mojego dzieciństwa i był wielokrot-nie przypominany w formie dowcipnej anegdoty.

„Trębacz wydał policzki. Wtedy wyskoczył na podium Lipiór.

– Muzyka, halt! – krzyknął. – Ćwiartka wódki i pół placka zginęło. – Koło podium stał na krzyżakach stół z zakąską dla muzykantów. Lipiór podsko-czył do bębniasty i pociągnął go za połę wiatrówki: – Muzyka, halt!

Bębniasta jakby mimochodem stuknął go tłuczkiem w głowę i bębnił da-lej. Szła polka na beznogę. Nikt nie zwracał na nic uwagi. Skrzypek jeździł smyczkiem po strunach, zginał się wpół, przysiadł, a potem wyciągał się jak gumowy aż pod sufit. Oczy miał na wpół przymknięte”²⁴.

Postacie przedstawione w tym epizodzie przez Mikołajka mają swoje au-tentyczne pierwowzory. To członkowie rodzinnej kapeli „Jarosów”, zawsze grającej na bobrowskich zabawach. Skrzypek to najstarszy z braci – Kazi-

mierz; nie tylko mistrz skrzypceczek, ale prawdziwy artysta samouk, grający jak w transie, z figurami niemal akrobatycznymi: przyklękaniem i „wyciąganiem się aż pod sufit”. Trębacz to mój ojciec, grający na saksofonie i na klarncie. Brak tylko trzeciego z braci: akordeonisty Stanisława. Czasem któregoś z „grajków” zastępował właśnie znajomy Lipior z Podola, grający na klarncie, nazywany „Lypiurem”. Bębniasta zaś to Julian Partacz z Dębiny, zawsze towarzyszący „Jarosom”. Był mężczyzną dowcipnym i czasem, dla żartu, stukał w głowę jakiegoś natrętnego rozmówcę „tłuczkiem” do uderzania w bęben.

Również incydent opisany przez Mikołajka naprawdę miał miejsce w czasie jednej z bobrowskich zabaw. Ze stolika, który stawiano obok podwyższenia dla orkiestry, by muzykanci w czasie przerwy mogli usiąść na chwilę, coś zjeść czy się napić zginęły razem z talerzem wypieki przygotowane przez członkinie Koła Gospodyń Wiejskich. I rzeczywiście wtedy Lipior krzyknął: „Halt, muzyka! – placki skradli”, a ten okrzyk wciąż później funkcjonował w naszej rodzinie jako żartobliwe wezwanie do powstrzymania się przed pochopną, nieprzemyślaną decyzją czy działaniem.

Po Andrzejkach znów nadchodził adwent – czas oczekiwania na kolejne Boże Narodzenie. Przed zaśnięciem, gdy już tuliliśmy się do ciepłych poduszek i pierzyn, mamy uczyły nas kolęd, których znały bardzo dużo. Niektóre dziś już zostały prawie całkiem zapomniane, jak ta o ślicznej Paniencie; tak przecież piękna:

„Śliczna Panienska Jezusa zrodziła,
W stajni powiwszy, siankiem Go okryła.
Ej! siano, siano, czemu nie gorejesz,
Czemu przynajmniej Pana nie ogrzejesz?”

Co roku te kolędy wzruszały nas od nowa, tak samo jak wzruszały nas święta, przyroda, zwyczaje, uroczystości kościelne i wszystkie zjawiska otaczającego nas świata, które przeżywaliśmy intensywnie i zachłannie. Bo przecież – jak pięknie napisała poetka Urszula Koziół: „Nigdy za wiele wzruszeń, za wiele krajobrazów, mrozów siarczystych i śniegów, nigdy za wiele słońca, ani ulewy, ani burzy. I nigdy nie dość życia.”²⁵.

Nie posiadaliśmy wiele, a otaczający nas świat również był siermiężny i ubogi. Ale nie mieliśmy poczucia braku różnych rzeczy, charakterystycznego dla dzisiejszych czasów. Dlatego wszystko tak bardzo nas cieszyło!

W tym świecie wszystko miało swój porządek, swój rytm, swój czas. Był wyznaczony od wieków czas pracy i czas zabawy, snu i czuwania, nauki i odpoczynku, czas śmiałej młodości i czas powagi doświadczonych przez los. Ale o bogactwie życia świadczyły też niespodziewane miłości i zdrady, urodziny i śmierci, szaleństwa i rozpacz.

I choć za omglonymi oknami padał deszcz, zimne krople rozbijały się głucho o szyby, a za oknem snuła się późnojesienna melancholia, to przecież

była w nas nadzieja i gotowość na kolejne lepsze dni, kolejne radości i smutki, zwątpienia i ryzykowne decyzje. I była miłość tamtego miejsca, tamtej ziemi, tamtych ludzi. I ta miłość trwa.

Bo, jak twierdzi twórca muzyki filmowej Jan Kaczmarek: „Miejsce urodzenia zakorzenia nas w świecie i jest wartością nieocenioną [...] Każdy wraca. To naturalne. Albo fizycznie, albo choćby myślą. Jeśli ktoś tutaj wyrósł, to już na zawsze będzie stąd. Nasze myśli nieustannie wracają do naszego dzieciństwa, do bliskich nam miejsc. To jest nasz kapitał”²⁶.

Jakie to cudowne, że istnieje takie magiczne zaklęcie, które pozwala, by tam znów powracać – wspomnienia!

„To było tak dawno...

Dobrze, że było”²⁷.

A „moja” Bobrowa, położona podobnie jak okoliczne wsie na prawie płaskiej równinie, ukryta w sadach, ciągnąca się wzdłuż zapylonego gościńca, znaczone prostokątami pól, kępami krzewów, płaczących wierzb i białokorych brzoź, mokrych łąk, bagiennych stawków pełnych tataraku trzciny i sitowia, bocianów i jaskółek, wróbli i barwnych gilów, na zawsze już zostanie najpiękniejszym miejscem na ziemi.

„Pola zielone, wciąż widzę je”...²⁸

Halina Niziołek, Dębica 2016 r.

Przypisy

Wstęp

- ¹ Słowo wstępne arcybiskupa Desmond Tutu [w:] Wolność. Istota bycia człowiekiem, Warszawa 2009, s. 7
- ² Miłosz Czesław, Słońce [w:] Miłosz Czesław, Wiersze wybrane, Warszawa 1981, s. 53
- ³ Szymborska Wisława, *** [w:] Binkot Anna, Pamiątkowe rupiecie, Kraków 2012, s. 77
- ⁴ Harla Leopold, Kartki z historii Bobrowej [w:] Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Dębicy, Dębica 1971, s. 136
- ⁵ Morawczyński Marian, Od Raby do Wisłoki – szlakami pióra, Tarnów 1995, s. 507
- ⁶ Ibid. s. 514
- ⁷ Ibid. s. 509
- ⁸ Stańko Antoni, Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów, Dębica 2004, s. 574
- ⁹ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, Wrocław 1976, s. 367
- ¹⁰ Morawczyński Marian, op. cit. s. 513
- ¹¹ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, Wrocław 1971, s. 67
- ¹² Mach Wilhelm, Życie duże i małe, Warszawa 1974, s. 108/109
- ¹³ Twardowski Jan, który stwarzasz jagody, Kraków 1988, s. 13

Listopad

- ¹ Reymont Władysław, Chłopi. Tom II, Warszawa 1975, s. 289
- ² Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 400
- ³ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 22/23

- ⁴ Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 469
- ⁵ Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 13,14,15
- ⁶ Rozmowa z Jerzym Andrzejewskim [w:] Trznadel Jacek, Hańba domowa, Lublin 1990, s. 70
- ⁷ Grzebałkowska Magdalena, 1944. Wojna i pokój, Warszawa 2015, s. 24/25
- ⁸ Harla Leopold, op. cit. s. 151
- ⁹ Ibid. s. 152/153
- ¹⁰ Ibid. s. 151
- ¹¹ Ibid. s. 151
- ¹² Adamczyk-Pluta Edyta, Władza a społeczeństwo Dębicy. Powiat dębicki w latach 1944-1956, Tuchów 2015, s. 226/227
- ¹³ Lazarowicz Jadwiga, Stracony dom, Kraków 2015, s. 153
- ¹⁴ Adamczyk-Pluta Edyta, op. cit. s. 336
- ¹⁵ Lazarowicz Jadwiga, op. cit. s. 175/176
- ¹⁶ Harla Leopold, op. cit. s. 153
- ¹⁷ Ibid. s. 154
- ¹⁸ Harla Bronisław, Moje zapiski [zbiory prywatne], Bobrowa 1982, s. 45/46
- ¹⁹ Harla Leopold, op. cit. s. 154
- ²⁰ Adamczyk-Pluta Edyta, op. cit. s. 62
- ²¹ Kindziuk Milena, Matka Świętego, Kraków 2012, s. 34
- ²² Mikołajek Tadeusz, Trójkąt błędów [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 428
- ²³ Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, Żyraków 2012, s. 133
- ²⁴ Tulli Magdalena, Włoskie szpilki, Warszawa 2012, s. 28/29
- ²⁵ Brandys Kazimierz, Między wojnami, Warszawa 1956, s. 524
- ²⁶ Harla Leopold, op. cit. s. 151
- ²⁷ Ibid. s. 154
- ²⁸ Ibid. s. 156
- ²⁹ Brandys Kazimierz, op. cit. s. 722
- ³⁰ Korboński Stefan, W imieniu Kremla [w:] Śląski Jerzy, Żołnierze wyklęci, Warszawa 2004, s. 171
- ³¹ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 273
- ³² Łuniewska Luiza, Szukając Inki, Warszawa 2015, s. 102
- ³³ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 265
- ³⁴ Ibid. s. 288
- ³⁵ Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 475/476

- ³⁶ Mikołajek Tadeusz, Trójkąt błędów [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 429
- ³⁷ Szymborska Wisława, Koniec i początek [w:] Binkot Anna, op. cit. s. 293
- ³⁸ Harla Leopold, op. cit. s. 160
- ³⁹ Bednarczuk Wincenty, Na finiszu [w:] „Przekrój”. Dodatek specjalny, nr 1/1945, s. 4
- ⁴⁰ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 326
- ⁴¹ Darłak Antoni, Stanisław Darłak i jego Dębica, Tuchów 1999, s. 71
- ⁴² Lipska Ewa, A myśmy biegle [w:] Kaliński Witold, Poezja naszego wieku, Warszawa 1989, s. 424
- ⁴³ Rozmowa z Markiem Rymkiewiczem [w:] Trznadel Jacek, op. cit. s. 120
- ⁴⁴ Fedorowicz Jacek, Życie PRL, Warszawa 2011, s. 20
- ⁴⁵ Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 119
- ⁴⁶ Ibid. s. 100
- ⁴⁷ Harla Leopold, op. cit. s. 160
- ⁴⁸ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 343
- ⁴⁹ Grzebałkowska Magdalena, op. cit. s. 26
- ⁵⁰ Stachnik Ewa, Konieczne kłamstwa, Warszawa 2004, s. 210, 213
- ⁵¹ Kalicińska Małgorzata, Fikołki na trzepaku, Warszawa 2009, s. 193
- ⁵² Nowak Tadeusz, A jak królem, a jak katem będziesz, Warszawa 1974, s. 185/186
- ⁵³ Mikołajek Tadeusz, Trójkąt błędów [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 36
- ⁵⁴ Nowakowski Ludwik, Mummi, Warszawa 2008, s. 271
- ⁵⁵ Mikołajek Tadeusz, Trójkąt błędów [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 425

Grudzień

- ¹ Syrokomla Władysław, Lalka [w:] Poeci polscy. Ludwik Kondratowicz [Władysław Syrokomla], Warszawa 1964, s. 24
- ² Łuniewska Luiza, op. cit. s. 143
- ³ Tulli Magdalena, Włoskie szpilki, op. cit. s. 17
- ⁴ Kozioł Urszula, Postoje pamięci, Warszawa 1964, s. 191
- ⁵ Sikoń Stanisław, Ciernista droga [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 489
- ⁶ Fąfara Jerzy, J. Pomruk, Rzeszów 2014, s. 75
- ⁷ Wiktor Jan, Orka a ugorze, Lwów 1936, s. 382
- ⁸ Ibid. s. 382

- ⁹ Cybruch Krzysztof, Babci zegar, [https:// www, google. pl](https://www.google.pl).
- ¹⁰ Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit, s. 155
- ¹¹ Ibid, s. 43/44
- ¹² Ibid, s. 113
- ¹³ Ibid. s. 117
- ¹⁴ Płużański Tadeusz, Oni wołają o pomoc [w:] „Super Express”, Warszawa 2013, nr 301, s. 6
- ¹⁵ Kindziuk Milena, op. cit. s. 54
- ¹⁶ Bełza Władysław, Co kochać [w:] Bełza Władysław, Kto ty jesteś, Kraków 2000, s. 17
- ¹⁷ Kindziuk Milena, op. cit. s. 24/25
- ¹⁸ Nowak Szymon, Dziewczyny wyklęte. 2, Warszawa 2016, s. 182
- ¹⁹ Jeż Antoni, Ufność dziecińy [w:] Kwiat Eucharystyczny, Kraków 1939, s. 142
- ²⁰ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 266
- ²¹ Tuwim Julian, Kwiaty polskie, Warszawa 1977, s. 14
- ²² Harla Leopold, op. cit. s. 138
- ²³ Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 88
- ²⁴ Sarmago Jose, O malarstwie i kaligrafii, Poznań 2000, s. 138

Styczeń

- ¹ Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 211
- ² Ibid. s. 156
- ³ Niezwykła historia i atrakcyjna współczesność Gminy Przecław, Mielec 1998, s. 61
- ⁴ Bacher Aleksander, Kolędniczy [w:] Bacher Aleksander, Wiersze z szuflady. Zeszyt I, Tarnów 2005, s. 7
- ⁵ Niezwykła historia i atrakcyjna współczesność Gminy Przecław, op. cit. s. 61
- ⁶ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 22
- ⁷ Kotula Franciszek, Po rzeszowskim Pogórzu błędząc, Kraków 1974, s. 82
- ⁸ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 22
- ⁹ Bacher Aleksander, Elektryfikacja wsi [w:] Bacher Aleksander, Wiersze z szuflady, op. cit. s. 32
- ¹⁰ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 24/25
- ¹¹ Szymborska Wisława [w:] Binkot Anna, op. cit. s. 227

- ¹² Bacher Aleksander, Szarwarki i warty [w:] Bacher Aleksander, Wydarzenia. Zeszyt V, Tarnów, s. 22
- ¹³ Kotula Franciszek, op. cit. s. 47
- ¹⁴ Ibid. s. 47
- ¹⁵ Wędrówki po gminie Żyraków, Dębica 2008, s. 31
- ¹⁶ Harla Bronisław, op. cit. s. 35
- ¹⁷ Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 349
- ¹⁸ Harla Bronisław, op. cit. s. 35
- ¹⁹ Wędrówki po gminie Żyraków, op. cit. s. 31
- ²⁰ Ibid. s. 31
- ²¹ Ibid. s. 25
- ²² Dąmbiski Stefan, Egzekutor, Warszawa 2010, s. 29
- ²³ Harla Leopold, op. cit. s. 150
- ²⁴ Stańko Antoni, Przypisy [w:] Stańko Antoni, Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów, op. cit. s. 184
- ²⁵ Harla Bronisław, op. cit. s. 45
- ²⁶ Ibid. s. 46
- ²⁷ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 32
- ²⁸ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 341
- ²⁹ Mikołajek Tadeusz, Jutro się wyprowadzimy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 555
- ³⁰ Stefan Janusz, Zapiski z okresu wyzwolenia Pilzna i tworzenia się władzy ludowej w tym mieście [w:] Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Dębicy, op. cit. s. 204
- ³¹ Stańko Antoni, Gdzie Karpat progi..., Warszawa 1984, s. 5
- ³² Mikołajek Tadeusz, Tryptyk błędów, op. cit. s. 14
- ³³ Ibid. s. 14
- ³⁴ Stańko Antoni, Gdzie Karpat progi..., op. cit. s. 15
- ³⁵ Ibid. s. 15
- ³⁶ Ibid. s. 127
- ³⁷ Nowak Tadeusz, op. cit. s. 155
- ³⁸ Mikołajek Tadeusz, Sielanka [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 183
- ³⁹ Lazarowicz Jadwiga, op. cit. s. 40/41
- ⁴⁰ Strumski Władysław, Dziesiątka w akcji, Dębica 2004, s. 156
- ⁴¹ Ibid. s. 113
- ⁴² Ibid. s. 161
- ⁴³ Ibid. s. 191
- ⁴⁴ Stańko Antoni, Gdzie Karpat progi..., op. cit. s. 75
- ⁴⁵ Strumski Władysław, op. cit. s. 46

- 46 Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 261
- 47 Stańko Antoni, Gdzie Karpat progi..., op. cit. s. 114
- 48 Lazarowicz Jadwiga, op. cit. s. 34/35
- 49 Stańko Antoni, Gdzie Karpat progi..., op. cit. s. 191
- 50 Strumski Władysław, op. cit. s. 28
- 51 Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 62
- 52 Stańko Antoni, Gdzie Karpat progi..., op. cit. s. 76
- 53 Ibid. s. 83
- 54 Ibid. s. 85
- 55 Ibid. s. 87
- 56 Łubieński Konstanty, Kartki z wojny, Warszawa 1976, s. 147
- 57 Harla Leopold, op. cit. s. 144
- 58 Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 74/75
- 59 Strumski Władysław, op. cit. s. 79
- 60 Sowa Stanisław, Szlakiem cudów Podkarpacia, Rzeszów 2011, s. 15
- 61 Płęs Andrzej, Blizna tajna do dziś [w:] Sowa Stanisław, Szlakiem cudów Podkarpacia, ibid. s. 15
- 62 Stańko Antoni, Gdzie Karpat progi..., op. cit. s. 94
- 63 Ibid. s. 204
- 64 Ibid. s. 167
- 65 Ibid. s. 231
- 66 Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 7
- 67 Ibid. s. 11/12
- 68 Ibid. s. 131
- 69 Strumski Władysław, op. cit. s. 40
- 70 Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 132
- 71 Ibid. s. 141
- 72 Ibid. s. 91
- 73 Ibid. s. 61/62
- 74 Ibid. s. 92/93
- 75 Ibid. s. 118
- 76 Ibid. s. 145/146
- 77 Dąbski Stefan, op. cit. s. 56
- 78 Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 156
- 79 Ibid. s. 160
- 80 Ibid. s. 160

- ⁸¹ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 400
- ⁸² Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 95
- ⁸³ Stańko Antoni, Gdzie Karpat progi..., op. cit. s. 5
- ⁸⁴ Dąmbowski Stefan, op. cit. s. 34
- ⁸⁵ Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 112/113
- ⁸⁶ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 306/307
- ⁸⁷ Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 118
- ⁸⁸ Ibid. s. 99/100
- ⁸⁹ Morawczyński Marian, op. cit. s. 513
- ⁹⁰ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 329
- ⁹¹ Mikołajek Tadeusz, Żarówka, Wrocław 1973, s. 148
- ⁹² Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 318/319
- ⁹³ Ibid. s. 284
- ⁹⁴ Maciąg Włodzimierz, Szkoła gustu. Smutni nieheroiczni, „Nowe Książki”, Warszawa 1969, nr 11, s. 757 [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 508
- ⁹⁵ Morawczyński Marian, op. cit. s. 510
- ⁹⁶ Ibid. s. 510
- ⁹⁷ Ibid. s. 511
- ⁹⁸ Harla Bronisław, op. cit. s. 35/36
- ⁹⁹ Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 234
- ¹⁰⁰ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 254
- ¹⁰¹ Mikołajek Tadeusz, Trójkąt błędów [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 412
- ¹⁰² Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 342
- ¹⁰³ Ibid. s. 334
- ¹⁰⁴ Ibid. s. 368
- ¹⁰⁵ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 66

Luty

- 1 Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 68
- 2 Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 126
- 3 Harla Leopold, op. cit. s. 144/145
- 4 Ibid. s. 145
- 5 Mikołajek Tadeusz, Sielanka [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit.
- 6 Ibid. s. 200
- 7 Harla Leopold, op. cit. s. 157
- 8 Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 57
- 9 Antczak Jerzy, Dnie i noce mojego życia, Warszawa 2009, s. 43
- 10 Harla Bronisław, op. cit. s. 52
- 11 Ibid. s. 32
- 12 Ibid. s. 34
- 13 Harla Leopold, op. cit. s. 159
- 14 Wędrowki po gminie Żyraków, op. cit. s. 25
- 15 Harla Leopold, op. cit. s. 159
- 16 Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 361
- 17 Dąbski Stefan, op. cit. s. 69
- 18 Harla Bronisław, op. cit. s. 49
- 19 Syrokomla Władysław, Korale [w:] Syrokomla Władysław, Wiersze, Warszawa 1964, s. 44
- 20 Wiktor Jan, op. cit. s. 106
- 21 Tarnowski Andrew, Ostatni mazur, Warszawa 2008, s. 358
- 22 Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Kraków 2005, s. 1135
- 23 Morawczyński Marian, op. cit. s. 505
- 24 Ibid. s. 505
- 25 Ibid. s. 505
- 26 Ibid. s. 506
- 27 Ibid. s. 506
- 28 Ibid. s. 512
- 29 Ibid. s. 513
- 30 Mikołajek Tadeusz, Trójkąt błędów [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 421
- 31 Ibid. s. 422
- 32 Ibid. s. 420
- 33 Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 287
- 34 Bacher Aleksander, Spotkanie z dziećmi szkolnymi [w:] Bacher Aleksander, Wiersze okolicznościowe. Zeszyt IV, Tarnów 2010, s. 26
- 35 Harla Bronisław, op. cit. s. 20
- 36 Orzechowski Stanisław, Wybór pism [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 41

- 37 Rolle Józef, Opowiadania [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 37
38 Mickiewicz Adam, Śniła się zima [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 155
39 Ibid. s. 155
40 List Henrietty Kuczkowskiej do Mickiewicza z 9 marca 1848 r.[w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 159
41 List Mickiewicza do Henrietty Kuczkowskiej [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 161
42 Kuczkowska Henrietta, Pamiętnik [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 162
43 Ks. Nowak Paweł, Najświętsza Maryja Panna z Zawady, Dębica 2014, s. 55
44 Ibid. s. 19
45 Ibid. s. 21
46 Pauli Żegota, Dziennik podróży ze Lwowa do Krakowa,[w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 173
47 Prek Ksawery, Czasy i ludzie [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 118
48 Buszko Józef, Dębica. Zarys dziejów miasta i regionu, Kraków 1995, s. 323
49 Ibid. s. 227
50 Łubieński Konstanty, op. cit. s. 70
51 Skrzypek Agnieszka SBDNP, Służebniczki Dębickie w diecezji tarnowskiej w latach 1891-1989, Dębica 2016, s. 362
52 Stańko Antoni, Gdzie Karpat progi..., op. cit. s. 270
53 Ibid. s. 236/237
54 Łubieński Konstanty, op. cit. 100/101
55 Ibid. s. 103
56 Ocalić wspomnienia – zachować czas, op. cit. s. 29
57 Łubieński Konstanty, op. cit. s. 74

Marzec

- 1 Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 60
2 Nowak Tadeusz, op. cit. s. 240
3 Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 89
4 Mikołajek Tadeusz, Świeże powietrze [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 687/688
5 Harla Leopold, op. cit. s. 136
6 Reymont Władysław, Chłopi. Tom II, op. cit. s. 8
7 Mickiewicz Adam, Pan Tadeusz, Wrocław 1972, s. 500
8 Norwid Kamil Cyprian, Moja piosnka [II] [w:] Krajewski Kazimierz, Echo z dna serca, Warszawa 1988, s. 21/22
9 Kraszewski Józef, Chata za wsią, Kraków 1973, s. 31/32

- ¹⁰ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 269
- ¹¹ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 57
- ¹² Bacher Aleksander, Pytanie [w:] Bacher Aleksander, Wiersze okolicznościowe. Zeszyt IV, op. cit. s. 57/58
- ¹³ Dąbrowska Maria, Noce i dnie. Tom I, Warszawa 1975, s. 43
- ¹⁴ Wiktor Jan, Pieniny i Ziemia Sądecka, Kraków 1965, s. 87
- ¹⁵ Leśmian Bolesław, Żołnierz [w:] Leśmian Bolesław, Poezje wybrane, Warszawa 1983, s. 102
- ¹⁶ Kotula Franciszek, Znaki przeszłości, Warszawa 1976, s. 136
- ¹⁷ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 97
- ¹⁸ Ibid. s. 123
- ¹⁹ Ibid. s. 61
- ²⁰ Nowak Tadeusz, op. cit. s. 28
- ²¹ Koziół Urszula, op. cit. s. 184
- ²² Dąbrowska Maria, op. cit. s. 276
- ²³ Kraszewski Józef, op. cit. s. 287
- ²⁴ Ibid. s. 13
- ²⁵ Ibid. s. 120/121
- ²⁶ Ibid. s. 13
- ²⁷ Mach Wilhelm, op. cit. s. 61/62
- ²⁸ Kraszewski Józef, op. cit. s. 19
- ²⁹ Harla Leopld, op. cit. s. 149
- ³⁰ Bator Joanna, Ciemno, prawie noc, Warszawa 2005, s. 141
- ³¹ Ibid. s. 139
- ³² Ibid. s. 140
- ³³ Kuźniak Angelika, Papusza, Wołowiec 2013, s. 170
- ³⁴ Ibid. s. 21
- ³⁵ Kłos Stanisław, Wstęp [w:] Abramowicz Józef, Powiat Dębicki, Rzeszów 2011, s. 7
- ³⁶ Ibid. s. 7
- ³⁷ Auster Paul, Sunset Park, Kraków 2012, s. 75/76
- ³⁸ Ozga Karol, Koci zamek [w:] Ozga Karol, W cieniu Palany Gery, Dębica 2008, s. 35
- ³⁹ Kłos Stanisław, op. cit. s. 7
- ⁴⁰ Smoła Andrzej, Wstęp [w:] Ozga Karol, op. cit. s. 6
- ⁴¹ Kotula Franciszek, Po rzeszowskim Pogórzu błędząc, Kraków 1974. s. 41
- ⁴² Ozga Karol, Palana Gera – świątynia Peruna [w:] Ozga Karol, op. cit. s. 17
- ⁴³ Ibid. s. 18
- ⁴⁴ Ibid. s. 22
- ⁴⁵ Kotula Franciszek, Po rzeszowskim Pogórzu błędząc, op. cit. s. 193

- ⁴⁶ Ozga Karol, Źródło Świętego Stanisława [w:] Ozga Karol, op. cit. s. 32
⁴⁷ Ozga Karol, Grób Dragona [w:] Ozga Karol, op. cit. s. 57
⁴⁸ Ibid. s. 57
⁴⁹ Ibid. s. 57
⁵⁰ Ibid. s. 58
⁵¹ Ibid. s. 58/59
⁵² Mickiewicz Adam, Konrad Wallenrod [w:] Mickiewicz Adam, Powieści poetyckie, Warszawa 1973, s. 102

Kwiecień

- ¹ Urbanek Mariusz, Brzechwa nie dla dzieci, Warszawa 2013, s. 192
² Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 119
³ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 15
⁴ Syrokomla Władysław, Dni doroczne na Litwie [w:] Joanna Puchalska, Kresowi Sarmaci, Warszawa 2015, s. 107
⁵ Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 355
⁶ Konopnicka Maria, W polu [w:] Polscy poeci dzieciom, Ożarów 2012, s. 18
⁷ Pollack Martin, Cesarz Ameryki. Wielka ucieczka z Galicji, Wołowiec 2011, s. 16
⁸ Maciejowski Ignacy – Sewer, Michał Kopeć [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 222
⁹ Ibid. s. 222/223
¹⁰ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 34
¹¹ Kozioł Urszula, op. cit. s. 284
¹² Ibid. s. 285
¹³ Białoszewski Miron, Rozprawa o stolikowych baranach [w:] Kaliński Witold, op. cit. s. 357
¹⁴ Hołownia Szymon, Kościół dla średnio zaawansowanych, Kraków, 2010, s. 175/176
¹⁵ Twardowski Jan, przepiórka [w:] który stwarzasz jagody, op. cit. s. 68
¹⁶ Andrus Artur, Osławiony między niewiastami, Warszawa 2012, s. 65
¹⁷ Bernhard Thomas, Wycinka, Warszawa 2011, s. 65
¹⁸ Twardowski Jan, na wsi [w:] który stwarzasz jagody, op. cit. s. 87
¹⁹ Chotomska Wanda, Nie deptać stokrotek [w:] Gawęda śpiewa, Kraków 1979, s. 21
²⁰ Puchała Kazimierz, Stan osadnictwa oraz tendencje urbanizacyjne powiatu dębickiego [w:] Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Dębicy, Dębica 1971, s. 188

- ²¹ Harla Leopold, op. cit. s. 137
²² Harla Leopold, Bobrowa [w:] Harla Bronisław, op. cit. s. 12
²³ Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 72
²⁴ Buszko Józef, Dębica. Zarys dziejów miasta i regionu, op. cit. s. 83
²⁵ Kruszyńska-Idzior Agnieszka, Nasz Zawisza Czarny [w:] „Obserwator Lokalny. Historia”, nr I, Dębica, 2013, s. 2
²⁶ Sienkiewicz Henryk, Krzyżacy, Kraków 2007, s. 58
²⁷ Ibid. s. 65/66
²⁸ Ibid. s. 540/541
²⁹ Ibid. s. 547
³⁰ Ibid. s. 90
³¹ Wójtowicz Janina, Gwara w Nagoszynie w powiecie dębickim [w:] Ks. Migacz Damian, ks. Kardyś Adam, Przewodnik po Parafii w Nagoszynie, Tarnów 2013, s. 9
³² Mikołajek Tadeusz, Sielanka [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 207
³³ Ks. Migacz Damian, ks. Kardyś Adam, op. cit. s. 11
³⁴ Sienkiewicz Henryk, op. cit. s. 132
³⁵ Ryłski Eustachy, Szara lotka [w:] Ryłski Eustachy, Szara lotka, Warszawa 2014, s. 8
³⁶ Bacher Aleksander, Przygoda, [w:] Bacher Aleksander, Wiersze okolicznościowe. Zeszyt IV, op. cit. s. 21
³⁷ Szalay-Groele Waleria, Nasze warownie i grody, opowiadania z dalekiej przeszłości [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 277
³⁸ Ks. Migacz Damian, ks. Kardyś Adam, op. cit. s. 12
³⁹ Ibid. s. 9
⁴⁰ Ozga Karol, Bodzos z Magi [w:] Ozga Karol, op. cit. s. 7
⁴¹ Strumski Władysław, Kosy przeciw kiścieniom, Lublin 1980, s. 15/16
⁴² Ibid. 209/210
⁴³ Ibid. s. 211

Maj

- ¹ Nowakowski Ludwik, Mummi, op. cit. s. 266
² Myśliwski Wiesław, Ostatnie rozdanie, Kraków 2013, s. 40
³ Fronczewski Piotr, Ja, Fronczewski, Kraków 2015, s. 77/78
⁴ Dąbrowska Maria, Noce i dnie. Tom II, op. cit. s. 261
⁵ Ks. Migacz Damian, ks. Kardyś Adam, op. cit. s. 7
⁶ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 343/344

- ⁷ Konopnicka Maria, Co dzieci widziały w drodze [w:] Konopnicka Maria, Jada, jada dzieci drogą, Warszawa 1991, s. 5
- ⁸ Bełza Władysław, Katechizm polskiego dziecka [w:] Bełza Władysław, op. cit. s. 9
- ⁹ Mikołajek Tadeusz, Garbaty generał [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 697
- ¹⁰ Bacher Aleksander, Bobrowskie dziewczyny [w:] Bacher Aleksander, Wiersze z szuflady, op. cit. s. 103
- ¹¹ „Poradnik Rolnika” 1954 r. [w:] Fedorowicz Jacek, Życie PRL, op. cit. s. 33
- ¹² Brzechwa Jan, Stonka i Bronka [w:] Urbanek Mariusz, op. cit. s. 192
- ¹³ Ibid. s. 193
- ¹⁴ Ibid. s. 193
- ¹⁵ Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 10
- ¹⁶ Fedorowicz Jacek, op. cit. s. 68
- ¹⁷ Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 234
- ¹⁸ Bacher Aleksander, Festyn [w:] Bacher Aleksander, Wiersze z szuflady. Zeszyt I, op. cit. s. 16/17
- ¹⁹ Mikołajek Tadeusz, Dziewczyna z warkoczem [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 574
- ²⁰ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 70
- ²¹ Harla Leopold, op. cit. s. 159
- ²² Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 68
- ²³ Ibid. s. 69
- ²⁴ Matuszkiewicz Irena, Przeklęte, zaklęte, Warszawa 2007, s. 11
- ²⁵ Wiktor Jan, Pieniny i Ziemia Sądecka, Kraków 1965, s. 16
- ²⁶ Ks. Migacz Damian, ks. Kardyś Adam, op. cit. s. 11
- ²⁷ Ibid. s. 114
- ²⁸ Hołownia Szymon, op. cit. s. 140
- ²⁹ Tuwim Julian, Kwiaty polskie, op. cit. s. 9
- ³⁰ Mikołajek Tadeusz, Sielanka [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 202
- ³¹ Miłosz, Przy piwoniach [w:] Miłosz, Wiersze wybrane, op. cit. s. 21
- ³² Matuszkiewicz Irena, op. cit. s. 206
- ³³ Chmiel Anna, Suknia z zielonej portiery, Rzeszów 2009, s. 182
- ³⁴ Kalicińska Małgorzata, op. cit. s. 20/21
- ³⁵ Gorczyński Adam [Jadam], Powieści Jadam [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 129
- ³⁶ Przypis do: Gorczyński Adam, op. cit. s. 129
- ³⁷ Kaczkowski Zygmunt, Murdelio [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 201/202

- 38 Matuszkiewicz Irena, op. cit. s. 21237.
39 Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 58
40 Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 42
41 Stańko Antoni, op. cit. s. 162
42 Fąfara Jerzy, Pomruk, op. cit. s. 52
43 Harla Bronisław, op. cit. s. 22
44 Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 214
45 Harla Bronisław, op. cit. s. 68
46 Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 22
47 Bacher Aleksander, Wspomnienia z dzieciństwa [w:] Bacher Aleksander, Wiersze z szuflady. Zeszyt I, op. cit. s. 12
48 Gałczyński Konstanty Ildefons, Pieśni [w:] Serwus, madonna. Wiersze i poematy, Warszawa 1984, s. 280
49 Kozioł Urszula, Postoje pamięci, op. cit. s. 185/186
50 Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 134
51 Mikołajek Tadeusz, Spotkanie z nocą [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 758
52 Tuwim Julian, op. cit. s. 16
53 Mikołajek Tadeusz, Czarny [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 63
54 Mikołajek Tadeusz, Trójkąt błędów [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 425
55 Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 230
56 Ibid. s. 142
57 Ibid. s. 135
58 Mikołajek Tadeusz, Trójkąt błędów [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 424

Czerwiec

- 1 Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 83
2 Ks. Migacz Damian, ks. Kardys Adam, op. cit. s. 80
3 Ibid. s. 20
4 Wspomnienia Bronisławy Świder, siostry Romana Bonara [w:] Wróbel Seweryn, Wspomnienia z lat walki i cierpień, Pustków-Rudki 1990 [brak numeracji stron] – zbiory prywatne
5 Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 83
6 Strumski Władysław, Dziesiątka w akcji, op. cit. s. 116/117
7 Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 145

- ⁸ Ibid. s. 185
- ⁹ Mikołajek Tadeusz, Sielanka [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 184/185
- ¹⁰ Adamczyk-Pluta Edyta, op. cit. s. 209
- ¹¹ Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 83
- ¹² Adamczyk-Pluta Edyta, op. cit. s. 375
- ¹³ Ibid. s. 429
- ¹⁴ Ibid. s. 371
- ¹⁵ Ibid. s. 374
- ¹⁶ Ibid. s. 375
- ¹⁷ Ibid. s. 376
- ¹⁸ Ibid. s. 417
- ¹⁹ Ibid. s. 382
- ²⁰ Ks. Migacz Damian, ks. Kardyś Adam, op. cit. s. 81
- ²¹ Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 83
- ²² Ks. Migacz Damian, ks. Kardyś Adam, op. cit. s. 13
- ²³ Ibid. s. 62
- ²⁴ Ibid. s. 79
- ²⁵ Stańko Antoni, Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów, op. cit. s. 368
- ²⁶ Ks. Migacz Damian, ks. Kardyś Adam, op. cit. s. 18
- ²⁷ Ibid. s. 19
- ²⁸ Ks. Zaborowski Marek, Dzieje parafii Nagoszyn [w:] Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 79
- ²⁹ Ibid. s. 79
- ³⁰ Ks. Migacz Damian, ks. Kardyś Adam, op. cit. s. 20
- ³¹ Stańko Antoni, op. cit. s. 368
- ³² Ks. Migacz Damian, ks. Kardyś Adam, op. cit. s. 22
- ³³ Ibid. s. 21
- ³⁴ Ibid. s. 28
- ³⁵ Ibid. s. 31
- ³⁶ Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 355
- ³⁷ Ibid. s. 145
- ³⁸ Ks. Migacz Damian, ks. Kardyś Adam, op. cit. s. 39
- ³⁹ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie, chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 375
- ⁴⁰ Mikołajek Tadeusz, Sielanka [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 211
- ⁴¹ Mikołajek Tadeusz, Drwal [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 648
- ⁴² Bacher Aleksander, Spotkanie z dziećmi szkolnymi [w:] Bacher Aleksander, Wiersze okolicznościowe. Zeszyt IV, op. cit. s. 23

- ⁴³ Mikołajek Tadeusz, Sielanka [w:] Mikołajek Tadeusz, *Ślepe gwiazdy*, op. cit. s. 179
- ⁴⁴ Ibid. s. 179
- ⁴⁵ Solorz Wojciech [w:] Turowska Zofia, Agnieszki, Warszawa 2000, s. 23
- ⁴⁶ Raczek Tomasz, *Karuzela z herosami*, Michałów 2004, s. 56
- ⁴⁷ Mikołajek Tadeusz, Sielanka [w:] Mikołajek Tadeusz, *Ślepe gwiazdy*, op. cit. s. 213
- ⁴⁸ Mikołajek Tadeusz, *Trójkąt błędów* [w:] Mikołajek Tadeusz, *Ślepe gwiazdy*, op. cit. s. 436
- ⁴⁹ Mikołajek Tadeusz, *Żegnajcie, chłopcy* [w:] Mikołajek Tadeusz, *Ślepe gwiazdy*, op. cit. s. 367/368
- ⁵⁰ Żółkiewska Wanda, *Ślady rysich pazurów*, Warszawa 1984, s. 132
- ⁵¹ Myśliwski Władysław, op. cit. s. 154
- ⁵² Harla Bronisław, op. cit. s. 48
- ⁵³ Mikołajek Tadeusz, *Żegnajcie chłopcy* [w:] Mikołajek Tadeusz, *Ślepe gwiazdy*, op. cit. s. 344
- ⁵⁴ Mikołajek Tadeusz, Sielanka [w:] Mikołajek Tadeusz, *Ślepe gwiazdy*, op. cit. s. 211
- ⁵⁵ Sikoń Stanisław, *Ciernista droga* [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 488/489
- ⁵⁶ Mikołajek Tadeusz, *Tryptyk na śniegu* [w:] Mikołajek Tadeusz, *Ślepe gwiazdy*, op. cit. s. 12
- ⁵⁷ Ibid. s. 46
- ⁵⁸ Ibid. s. 7
- ⁵⁹ Mikołajek Tadeusz, *Zamykanie koła*, op. cit. s. 71
- ⁶⁰ Mikołajek Tadeusz, *Nad Wisłoką* [w:] Mikołajek Tadeusz, *Ślepe gwiazdy*, op. cit. s. 626
- ⁶¹ Białoszewski Miron, *Ballada z makaty* [w:] Matuszewski Ryszard, *Wiersze polskich poetów współczesnych*, Warszawa 1982, s. 242
- ⁶² Ibid, s. 243
- ⁶³ Mikołajek Tadeusz, *Tryptyk na śniegu* [w:] Mikołajek Tadeusz, *Ślepe gwiazdy*, op. cit. s. 47
- ⁶⁴ Sikoń Stanisław [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 490
- ⁶⁵ Mikołajek Tadeusz, *Zamykanie koła*, op. cit. s. 24
- ⁶⁶ Ibid. s. 25
- ⁶⁷ Mikołajek Tadeusz, *Żegnajcie chłopcy* [w:] Mikołajek Tadeusz, *Ślepe gwiazdy*, op. cit. s. 368
- ⁶⁸ Mikołajek Tadeusz, *Zamykanie koła*, op. cit. s. 71
- ⁶⁹ Myśliwski Wiesław, op. cit. s. 156
- ⁷⁰ Lustyk Joanna, *Nad rzeką niepamięci*, Warszawa 2013, s. 127

- ⁷¹ Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 15
- ⁷² Wiktor Jan, op. cit. s. 3
- ⁷³ Kraszewski Józef, op. cit. s. 258
- ⁷⁴ Staff Leopold, Radość i smutek szczęścia i chwili [w:] Staff Leopold, Wybór poezji, Warszawa 1985, s. 67
- ⁷⁵ Hołownia Szymon, op. cit. s. 188
- ⁷⁶ Ks. Migacz Damian, ks. Kardyś Adam, op. cit. s. 23
- ⁷⁷ Ibid. s. 25
- ⁷⁸ Przybyszewski Stanisław, Ziemia Kujawska i „Hymny” [w:] Hutnikiewicz Artur, „Hymny” Jana Kasprowicza, Warszawa 1973, s. 128
- ⁷⁹ Braun Jerzy, Czasy i ludzie [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 309
- ⁸⁰ Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 191, 193
- ⁸¹ Hołownia Szymon, op. cit. s. 139
- ⁸² Ks. Migacz Damian, ks. Kardyś Adam, op. cit. s. 59
- ⁸³ Kotula Franciszek, Po Rzeszowskim Pogórzu błędząc, op. cit. s. 70
- ⁸⁴ Tuwim Julian, op. cit. s. 12
- ⁸⁵ Wyspiański Stanisław, Wesele. Akt III, s. 17, Kraków 1973, s. 176/177
- ⁸⁶ Mikołajek Tadeusz, Trójkąt błędów [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 425

Lipiec

- ¹ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 54
- ² Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, op. cit. s. 1078
- ³ Kot Wiesław, PRL – czas nonsensu, Poznań 2007, s. 14
- ⁴ Koper Sławomir, Wielcy zdrajcy. Od Piastów po PRL, Warszawa 2012, s. 336/337
- ⁵ Konwicki Tadeusz, Wiatr i pył, Warszawa 2009, s. 429
- ⁶ Harla Bronisław, op. cit. s. 52/53
- ⁷ Adamczyk-Pluta Edyta, op. cit. s. 383
- ⁸ Kot Wiesław, op. cit. s. 14
- ⁹ „Przyjaciółka” z 1950 r.[w:] Fedorowicz Jacek, op. cit. s. 26
- ¹⁰ Fedorowicz Jacek, op. cit. s. 26
- ¹¹ Ibid. s. 27
- ¹² Ibid. s. 27
- ¹³ Kot Wiesław, op. cit. s. 21
- ¹⁴ Fedorowicz Jacek, op. cit. s. 30
- ¹⁵ Ibid. s. 31

- ¹⁶ Ibid. s. 31
¹⁷ Ibid. s. 31
¹⁸ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 97
¹⁹ Harla Leopold, op. cit. s. 163
²⁰ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 55
²¹ Turowska Zofia, Agnieszki, Warszawa 2000, s. 112
²² Kalicińska Małgorzata, op. cit. s. 8
²³ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. 24
²⁴ Chmiel Anna, op. cit. s. 55
²⁵ Sikoń Stanisław, Ciernista droga [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 491
²⁶ Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 210
²⁷ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 98
²⁸ Mikołajek Tadeusz, Sielanka [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 184
²⁹ Nowakowski Ludwik, op. cit. s. 210
³⁰ Reymont Władysław, Chłopi. Tom III, op. cit. s. 259
³¹ Nowakowski Ludwik, op. cit. s. 106
³² Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 269
³³ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 28
³⁴ Ibid. s. 28
³⁵ Harla Leopold, op. cit. s. 158/159
³⁶ Tulli Magdalena, op. cit. s. 4
³⁷ Ibid. s. 13
³⁸ Mikołajek Tadeusz, Sielanka, [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 186
³⁹ Jagielski Wojciech, Nocni wędrowcy, Warszawa 2000, s. 23
⁴⁰ Dąbrowska Maria, Noce i dnie. Tom II, op. cit. s. 42/43
⁴¹ Antczak Jerzy, Noce i dnie mojego życia, op. cit. s. 229
⁴² Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 324
⁴³ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 22-58
⁴⁴ Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 249
⁴⁵ Mikołajek Tadeusz, Trójkąt błędów [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 428
⁴⁶ Mikołajek Tadeusz, Czarny [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 743
⁴⁷ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 15
⁴⁸ Mikołajek Tadeusz, Spotkanie z nocą [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 759

- ⁴⁹ Mikołajek Tadeusz, Sielanka [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 189
- ⁵⁰ Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 9
- ⁵¹ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 55
- ⁵² Ibid. s. 71
- ⁵³ Ibid. s. 55
- ⁵⁴ Ibid. s. 123
- ⁵⁵ Ibid. s. 26
- ⁵⁶ Ibid. s. 87
- ⁵⁷ Mikołajek Tadeusz, Sielanka [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 186
- ⁵⁸ Ibid. s. 188
- ⁵⁹ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 325
- ⁶⁰ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 64/65
- ⁶¹ Mikołajek Tadeusz, Trójkąt błędów [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 427/428
- ⁶² Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 264
- ⁶³ Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 46
- ⁶⁴ Mikołajek Tadeusz, Świeże powietrze [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 682
- ⁶⁵ Harla Leopold, op. cit. s. 137
- ⁶⁶ Mikołajek Tadeusz, Trójkąt błędów [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 428
- ⁶⁷ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 368
- ⁶⁸ Ibid. s. 286
- ⁶⁹ Łubieński Konstanty, op. cit. s. 102
- ⁷⁰ Kochanowski Jan, Na lipę [w:] Kochanowski Jan, Poezje, Warszawa 1988, s. 10
- ⁷¹ Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 9
- ⁷² Reymont Władysław, Chłopi. Tom II, op. cit. s. 196
- ⁷³ Kozioł Urszula, op. cit. s. 10
- ⁷⁴ Twardowski Jan, op. cit. s. 60
- ⁷⁵ Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 288
- ⁷⁶ Matuszkiewicz Irena, op. cit. s. 9
- ⁷⁷ Ibid. s. 225/226

- ⁷⁸ Ibid. 230
- ⁷⁹ Kozioł Urszula, op. cit. Warszawa 1964, s. 133
- ⁸⁰ Kossak-Szczucka Zofia, Złota wolność, Warszawa 1957, s. 97
- ⁸¹ Stańko Antoni, Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów, op. cit. s. 39
- ⁸² Przybyszewski Stanisław, Ziemia Kujawska i „Hymny” [w:] Hutnikiewicz Artur, op. cit. s. 132
- ⁸³ Ks. Nowak Paweł, Najświętsza Maryja Panna z Zawady, Tarnów 2014, s. 11
- ⁸⁴ Stańko Antoni, Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów, op. cit. s. 174
- ⁸⁵ Ks. Nowak Paweł, op. cit. s. 74
- ⁸⁶ Stańko Antoni, Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów, op. cit. s. 173/174
- ⁸⁷ Fąfara Jerzy, J. Pieniny i Ziemia Sądecka, Rzeszów 1965, s. 310
- ⁸⁸ Stańko Antoni, Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów, op. cit. s. 174
- ⁸⁹ Ks. Nowak Paweł, op. cit. s. 72
- ⁹⁰ Ibid. s. 71
- ⁹¹ Ibid. s. 72
- ⁹² Ibid. s. 72
- ⁹³ Harla Leopold, op. cit. s. 147
- ⁹⁴ Wspomnienia Bronisławy Świder z Bobrowej, siostry Romana Bonara [w:] Wróbel Seweryn, op. cit. [brak numeracji]
- ⁹⁵ Wspomnienia łączniczki GL w Bobrowej Agaty Baran, z domu Skowron [w:] Wróbel Seweryn, op. cit. [brak numeracji]
- ⁹⁶ Mikołajek Tadeusz, Garbaty generał [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 699/700
- ⁹⁷ Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 7
- ⁹⁸ Ibid. s. 8/9
- ⁹⁹ Ks. Migacz Damian, ks. Kardys Adam, op. cit. s. 97
- ¹⁰⁰ Król Grzegorz, Sharon spotkała wybawców matki, „Obserwator Lokalny” nr 40, Dębica 2010, s. 21
- ¹⁰¹ Wspomnienia Pawła Skrzypka z Bobrowej [w:] Wróbel Seweryn, op. cit. [brak numeracji]
- ¹⁰² Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 10
- ¹⁰³ Harla Bronisław, op. cit. s. 38
- ¹⁰⁴ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 337
- ¹⁰⁵ Mikołajek Tadeusz, Sielanka [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 212
- ¹⁰⁶ Harla Leopld, op. cit. s. 148

- ¹⁰⁷ Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 18
¹⁰⁸ Ibid. s. 17/18
¹⁰⁹ Ibid. s. 119
¹¹⁰ Ibid. s. 17

Sierpień

- ¹ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 62/63
² Ibid. s. 55
³ Ibid. s. 56
⁴ Ibid. s. 56
⁵ Ibid. s. 59
⁶ Kuczkowska Henrietta, Pamiętnik [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 162
⁷ Stańko Antoni, Gdzie Karpat progi..., op. cit. s. 223
⁸ Edmund Galas, Stosunki społeczno-gospodarcze i walki klasowe na wsi dębickiej w okresie od rozbiorów Polski do uwłaszczenia chłopów [w:] Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Dębicy, op. cit. s. 8
⁹ Ibid. s. 9
¹⁰ Ibid. s. 21
¹¹ Ibid. s. 31
¹² Ibid. s. 37
¹³ Ibid. s. 62
¹⁴ Ibid. s. 62/63
¹⁵ Niezwykła historia i atrakcyjna współczesność Gminy Przecław, op. cit. s. 9
¹⁶ Galas Edmund, op. cit. s. 66
¹⁷ Ibid. s. 71
¹⁸ Ibid. s. 138
¹⁹ Prek Franciszek, Czasy i ludzie [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 119
²⁰ Morawczyński Marian, op. cit. s. 119/120
²¹ Strumski Władysław, Dziesiątka w akcji, op. cit. s. 44
²² Dymitrowski Jacek, Krwawy luty 1846 roku, „Głos Dębicki” nr 2, 2016, s. 8
²³ Galas Edmund, op. cit. s. 6/87
²⁴ Ibid. s. 87
²⁵ Ibid. s. 88
²⁶ Harla Leopold, op. cit. s. 137
²⁷ Galas Edmund, op. cit. s. 91/92
²⁸ Ibid. s. 93/94
²⁹ Ibid. s. 96
³⁰ Ibid. s. 101

- 31 Harla Leopold, op. cit. s. 98
- 32 Rok 1846 w Galicji. Wikary z Nagoszyna do konsystorza [w:] Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk Dębicy, op. cit. s. 99
- 33 Ks. Migacz Damian, ks. Kardyś Adam, op. cit. s. 15
- 34 Morawczyński Marian, op. cit. s. 152
- 35 Ankiewicz Kuczkowska Henrietta [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 152
- 36 Rey Mieczysław, Pamiętnik [w:] Stańko Antoni, Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów, op. cit. s. 44
- 37 Ibid. s. 45/6
- 38 Ibid. s. 48
- 39 Ibid. s. 51/52
- 40 Ibid. 52
- 41 Dymitrowski Jacek, op. cit. s. 8
- 42 Galas Edmund, op. cit. s. 124
- 43 Ibid. s. 110
- 44 Ibid. s. 126
- 45 Ibid. s. 127
- 46 Stańko Antoni, Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów, op. cit. s. 44
- 47 Harla Leopold, op. cit. s. 137
- 48 Fierich Jerzy, Z przeszłości wsi powiatu ropczyckiego. Rabacja [w:] Galas Edmund, op. cit. s. 128
- 49 Niezwykła historia i atrakcyjna współczesność Gminy Przecław, op. cit. s. 22
- 50 Galas Edmund, op. cit. s. 64/65
- 51 Stańko Antoni, Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów, op. cit. s. 53
- 52 Ibid. s. 55
- 53 Harla Leopold, op. cit. s. 138
- 54 Ibid. s. 138
- 55 Stańko Antoni. Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów, op. cit. s. 55/56
- 56 Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 89
- 57 Regner Leonard, Ścieżki i drożyny Paszczyny, Dębica 2009, s. 19
- 58 Konopnicka Maria, Wolny najmita [w:] Konopnicka Maria, Poezje, Warszawa 1969, s. 95
- 59 Witos Wincenty, Moje wspomnienia [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 474/475
- 60 Nocek Józef, Wspomnienia [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 447
- 61 Sikoń Stanisław, Ciernista droga [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 489
- 62 Pollack Martin, Cesarz Ameryki, op. cit. s. 161/162
- 63 Ibid. s. 67
- 64 Ibid. s. 67
- 65 Stańko Antoni. Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów, op. cit. s. 56/57

- ⁶⁶ Włodarska Maria, Wspomnienia [w:] Pluta Józef, Z ludu dla ludu. Wspomnienie o Jedynakach, Kraków 2014, s. 39
- ⁶⁷ Stańko Antoni, Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów, op. cit. s. 57
- ⁶⁸ Harla Leopold, op. cit. s. 138
- ⁶⁹ Ibid. s. 138
- ⁷⁰ Fierich Jerzy, Przeszłość wsi powiatu ropczyckiego [w:] Wędrówki po gminie Żyraków, op. cit. s. 17/18
- ⁷¹ „Nowa Gazeta Łódzka” z 28 I 1914 r.[w:] „Super Historia”[dodatek do:] „Super Express”, 28 I 2014 s. 4
- ⁷² Buszko Józef, op. cit. s. 271
- ⁷³ Fierich Jerzy, Przeszłość wsi powiatu ropczyckiego [w:] Wędrówki po gminie Żyraków, op. cit. s. 18
- ⁷⁴ Szajna Józef [w:] Fąfara Jerzy, 18 znaczy życie – rzecz o Józefie Szajnie, Rzeszów 2009, s. 133
- ⁷⁵ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 375
- ⁷⁶ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 34
- ⁷⁷ Stańko Antoni, Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów, op. cit. s. 78
- ⁷⁸ Ibid. s. 83
- ⁷⁹ Ibid. s. 79
- ⁸⁰ Baranowicz Jerzy, Trudna młodość [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 345
- ⁸¹ Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 86
- ⁸² Harla Bronisław, op. cit. s. 22
- ⁸³ Ibid. s. 22
- ⁸⁴ Tarnowski Andrew, Ostatni mazur, op. cit. s. 33
- ⁸⁵ Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 73
- ⁸⁶ Wiktor Jan, Orka na ugorze, op. cit. s. 138/139
- ⁸⁷ Harla Leopold, op. cit. s. 138
- ⁸⁸ „Echo znad Wisłoki” [w:] „Obserwator Lokalny” 10 XI 2012, s. 12
- ⁸⁹ Ibid. s. 4
- ⁹⁰ Ibid. s. 4
- ⁹¹ Mikołajek Tadeusz, Sielanka [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 185
- ⁹² Harla Bronisław, op. cit. s. 64
- ⁹³ Leśmian Bolesław, Żołnierz [w:] Leśmian Bolesław, op. cit. s. 90
- ⁹⁴ Ibid. s. 90
- ⁹⁵ Tarnowski Andrew, op. cit. s. 49/50
- ⁹⁶ Ibid. s. 46/47
- ⁹⁷ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 61
- ⁹⁸ Harla Leopold, op. cit. s. 138
- ⁹⁹ Pluta Józef, Z ludu dla ludu. Wspomnienie o Jedynakach, op. cit. s. 153

- ¹⁰⁰ Ks. Migacz Damian, ks. Kardyś Adam, op. cit. s. 12
- ¹⁰¹ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 68
- ¹⁰² Harla Bronisław, op. cit. s. 34/35
- ¹⁰³ Harla Leopold, op. cit. s. 139
- ¹⁰⁴ Ibid. s. 139/140
- ¹⁰⁵ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 302
- ¹⁰⁶ Leibel Daniel [w:] Socha Ireneusz, Księga Dębicy, Przemyśl 2014, s. 109
- ¹⁰⁷ Mikołajek Tadeusz, Trójkąt błędów [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 420
- ¹⁰⁸ Ibid. s. 424
- ¹⁰⁹ Socha Ireneusz, op. cit. s. 44
- ¹¹⁰ Ibid. s. 45
- ¹¹¹ Pauli Żegota, Dziennik podróży ze Lwowa do Krakowa 1840 [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 173
- ¹¹² Bornstein Ruchama, Kolebka młodości [w:] Socha Ireneusz, op. cit. s. 22
- ¹¹³ Pechter Jehuda [w:] Socha Ireneusz, op. cit. s. 130
- ¹¹⁴ Ibid. s. 131/132
- ¹¹⁵ Stańko Antoni, Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów, op. cit. s. 254
- ¹¹⁶ Pechter Jehuda [w:] Socha Ireneusz, op. cit. s. 140
- ¹¹⁷ Składzień Jan, Za ciasnym wydał mi się ten zakątek. Pamiętniki [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 468
- ¹¹⁸ Penderecki Krzysztof, Saga Pendereckich, Kraków 2003, s. 14
- ¹¹⁹ Prek Ksawery, Czasy i ludzie [w:] Morawczyński, op. cit. s. 119
- ¹²⁰ Bacher Aleksander, Sklep [w:] Wiersze odnalezione. Zeszyt III, Tarnów 2008, s. 62
- ¹²¹ Braun Jerzy [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 309
- ¹²² Grzymała-Siedlecki Adam, Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 210
- ¹²³ Kuźniak Angelika, op. cit. s. 80
- ¹²⁴ Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 504
- ¹²⁵ Więch Arkadiusz Stanisław, Miasteczko. Życie codzienne mieszkańców Dębicy w latach 1900-1939, Przemyśl 2012, s. 38
- ¹²⁶ Niezwykła historia i atrakcyjna współczesność Gminy Przecław, op. cit. s. 13
- ¹²⁷ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 302
- ¹²⁸ Ibid. s. 305
- ¹²⁹ Ibid. s. 307/308
- ¹³⁰ Ibid. s. 308
- ¹³¹ Ibid. s. 309/310

- ¹³² Mikołajek Tadeusz, Trójkąt błędów [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 454
- ¹³³ Stańko Antoni, Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów, op. cit. s. 260
- ¹³⁴ Penderecki Krzysztof, op. cit. s. 10
- ¹³⁵ Stańko Antoni, Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów, op. cit. s. 259/260
- ¹³⁶ Bacher Aleksander, Sąsiedzi [w:] Bacher Aleksander, Wydarzenia. Zeszyt V, op. cit. s. 11
- ¹³⁷ Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 89
- ¹³⁸ Zejszner Ludwik [w:] Zieliński Andrzej, Romantyczne wędrówki po Galicji, Wrocław 1987, s. 324
- ¹³⁹ Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 89
- ¹⁴⁰ Reymont Władysław, Chłopi. Tom I, op. cit. s. 114
- ¹⁴¹ Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 89
- ¹⁴² Składzień Jan, Za ciasnym wydał mi się ten zakątek. Pamiętniki [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 467
- ¹⁴³ Bacher Aleksander, Sąsiedzi [w:] Bacher Aleksander, Wydarzenia. Zeszyt V, op. cit. s. 11/12
- ¹⁴⁴ Król Grzegorz, Sharon spotkała wybawców matki, „Obserwator Lokalny” 2010, nr 40, s. 21
- ¹⁴⁵ Strumski Władysław, Dziesiątka w akcji, Warszawa 2004, s. 180
- ¹⁴⁶ Mikołajek Tadeusz, Sielanka [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 188/189
- ¹⁴⁷ Ibid. s. 191/192
- ¹⁴⁸ Ibid. s. 192
- ¹⁴⁹ Ibid. s. 193
- ¹⁵⁰ Harla Leopold, op. cit. s. 149
- ¹⁵¹ Słonimski Antoni, Elegia miasteczek żydowskich [w:] Lam Andrzej, Ze struny na strunę, Kraków 1980, s. 186
- ¹⁵² Ligocka Roma, Tylko ja sama, Kraków 2004, s. 287
- ¹⁵³ Grunspan Jehuda [w:] Socha Ireneusz, op. cit. s. 256
- ¹⁵⁴ Mikołajek Tadeusz, Garbaty generał [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 698
- ¹⁵⁵ Dąbski Stefan, op. cit. s. 43
- ¹⁵⁶ Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 471
- ¹⁵⁷ Stańko Antoni, Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów, op. cit. s. 197
- ¹⁵⁸ Darlak Antoni, Stanisław Darlak i jego Dębica, Kraków 1999, s. 22
- ¹⁵⁹ Mikołajek Tadeusz, Garbaty generał [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 700
- ¹⁶⁰ Dąbski Stefan, op. cit. s. 46
- ¹⁶¹ Harla Leopold, op. cit. s. 150

- ¹⁶² Harla Bronisław, op. cit. s. 42
- ¹⁶³ Bacher Aleksander, 1944 rok. Wysiedlenie i powrót [w:] Bacher Aleksander, Wydarzenia. Zeszyt V, op. cit. s. 14
- ¹⁶⁴ Penderecki Krzysztof, op. cit. s. 89/90
- ¹⁶⁵ Harla Leopold, op. cit. s. 151/152
- ¹⁶⁶ Bacher Aleksander, Wysiedlenie i powrót [w:] Bacher Aleksander, Wydarzenia. Zeszyt V, op. cit. s. 15
- ¹⁶⁷ Harla Leopld, op. cit. s. 151
- ¹⁶⁸ Darłak Antoni, op. cit. s. 23
- ¹⁶⁹ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 319/320
- ¹⁷⁰ Kot Wiesław, op. cit. s. 24
- ¹⁷¹ Ibid. s. 25
- ¹⁷² Ibid. s. 64
- ¹⁷³ Frankl Roman, Koterbska. Karuzela mego życia, Warszawa 2008, s. 192
- ¹⁷⁴ Konwicki Tadeusz, Wiatr i pył, op. cit. s. 165
- ¹⁷⁵ Mikołajek Tadeusz, Spotkanie z nocą [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit.s. 757
- ¹⁷⁶ Mikołajek Tadeusz, Sielanka [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 193/193
- ¹⁷⁷ Mikołajek Tadeusz, Spotkanie z nocą [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 758
- ¹⁷⁸ Niezwykła historia i atrakcyjna współczesność Gminy Żyraków, op. cit. s. 26
- ¹⁷⁹ Ibid. s. 64
- ¹⁸⁰ Ibid. s. 13
- ¹⁸¹ Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 402/403
- ¹⁸² Ibid. s. 402
- ¹⁸³ Bacher Aleksander, Żyraków – Bobrowa [w:] Bacher Aleksander, Wydarzenia. Zeszyt V, op. cit. s. 33
- ¹⁸⁴ Wspomnienia łączniczki GL w Bobrowej Agaty Baran, z domu Skowron [w:] Wróbel Seweryn, op. cit. [brak numeracji]
- ¹⁸⁵ Harla Leopold, op. cit. s. 156
- ¹⁸⁶ Ibid. s. 157
- ¹⁸⁷ Ibid. s. 157
- ¹⁸⁸ Adamczyk-Pluta Edyta, op. cit. s. 436
- ¹⁸⁹ Tuwim Julian, Wspomnienie [w:] Smaszcz Witold, Juliana Tuwima życie o imieniu dziewczęcym, Białystok 2014, s. 6
- ¹⁹⁰ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 375

Wrzesień

- 1 Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 20
- 2 Regner Leonard, op. cit. s. 26
- 3 Ibid. s. 31
- 4 Ibid. s. 30/31
- 5 Ibid. s. 30
- 6 Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 67
- 7 Srokowski Stanisław, Ukraiński kochanek, Kraków 2008, s. 88/89
- 8 Mickiewicz Adam, Pan Tadeusz, Warszawa 1972, s. 327/328
- 9 Strumski Władysław, Wojenne losy uczniów, Tarnów 1990, s. 8
- 10 Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 96
- 11 Tarnowski Andrew, op. cit. s. 111/112
- 12 Nowak Szymon, Dziewczyny wyklęte.2, Warszawa 2016, s. 195
- 13 Strumski Władysław, Dziesiątka w akcji, op. cit. s. 46
- 14 Lazarowicz Jadwiga, op. cit. s. 12/13/14
- 15 Stańko Antoni, Gdzie Karpat progi..., op. cit. s. 11
- 16 Harla Leopold, op. cit. s. 141
- 17 Małozieć Maciej [w:] Magdoń Jacek, Sybiracy, Sędziszów 2015, s. 42
- 18 Nowak Tadeusz, op. cit. s. 120
- 19 Ibid. s. 232
- 20 Mikołajek Tadeusz, Garbaty generał [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 694
- 21 Srokowski Stanisław, op. cit. s. 226
- 22 Tarnowski Andrew, op. cit. s. 121
- 23 Darłak Antoni, op. cit. s. 70
- 24 Lazarowicz Jadwiga, op. cit. s. 16/17
- 25 Stańko Antoni, Gdzie Karpat progi..., s. 11
- 26 Darłak Antoni, op. cit. s. 23
- 27 Harla Bronisław, op. cit. s. 36
- 28 Brandys Marian, op. cit. s. 532
- 29 Harla Leopold, op. cit. s. 142
- 30 Ibid. s. 148/149
- 31 Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 285
- 32 Bacher Aleksander, Pacyfikacja Bobrowej [w:] Bacher Aleksander, Wiersze okolicznościowe. Zeszyt IV, op. cit. s. 50
- 33 Ibid. s. 49
- 34 Mikołajek Tadeusz, Sielanka [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 206

- 35 Bereś Witold, Tischner. Życie w opowieściach, Kraków 2008, s. 150
36 Stańko Antoni, Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów, op. cit. s. 21
37 Ibid. s. 458
38 Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 112
39 Bacher Aleksander, Spotkanie z dziećmi szkolnymi [w:] Bacher Aleksander, Wiersze okolicznościowe. Zeszyt IV, op. cit. s. 23
40 Bojko Jakub, Ze wspomnień [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 457
41 Bacher Aleksander, Zaproszenie [w:] Bacher Aleksander, Wiersze z szuflady. Zeszyt I, op. cit. s. 94
42 Ibid. s. 8
43 Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 268
44 Monografia. Zespół Szkół Ekonomicznych im. Janusza Korczaka w Dębicy, Dębica 2016, s. 155/156
45 Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 57
46 Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. 11
47 Wędrowki po Gminie Żyraków, op. cit. s. 28
48 Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 114
49 Ibid. s. 114
50 „Gromada. Rolnik Polski” z 26V 1955 r.[w:] Fedorowicz Jacek, op. cit. s. 18
51 Tulli Magdalena, op. cit. s. 24/25
52 Kot Wiesław, op. cit. s. 36
53 Uchwała KRN [w:] Mickiewicz Adam, Dzieła, Wrocław 1949, s. IV
54 Kot Wiesław, op. cit. s. 16
55 Adamczyk-Pluta Edyta, op. cit. s. 222
56 Kot Wiesław, op. cit. s. 16
57 Ocalić wspomnienia zatrzymać czas, op. cit. s. 100
58 Kot Wiesław, op. cit. s. 29
59 Ibid. s. 30
60 Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 274
61 Kot Wiesław, op. cit. s. 17
62 Adamczyk-Pluta Edyta, op. cit. s. 195/196
63 Kot Wiesław, op. cit. s. 13
64 „Kalendarz Rolnika” z 1952 r. [w:] Fedorowicz Jacek, op. cit. s. 34
65 Tuwim Julian, Śląsk śpiewa [w:] Tuwim Julian, Wiersze zebrane. Tom II, Warszawa 1971, s. 378
66 Kot Wiesław, op. cit. s. 12/13
67 Modzelewski Karol, Zajeżdżimy kobyłę historii, Warszawa 2013, s. 63
68 Adamczyk-Pluta Edyta, op. cit. s. 196
69 Kot Wiesław, op. cit. s. 50
70 Chmiel Anna, op. cit. s. 190

- ⁷¹ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 388/389
- ⁷² Reymont Władysław, Chłopi. Tom I, op. cit. s. 26
- ⁷³ Nowak Tadeusz, op. cit. s. 16
- ⁷⁴ Ibid. s. 240
- ⁷⁵ Harla Bronisław, op. cit. s. 57
- ⁷⁶ Ibid. s. 57/58
- ⁷⁷ Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 19
- ⁷⁸ Nowak Tadeusz, op. cit. s. 35
- ⁷⁹ Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 168-173
- ⁸⁰ Ibid. s. 176
- ⁸¹ Ibid. s. 176
- ⁸² Ibid. s. 165
- ⁸³ Bojko Jakub, Ze wspomnień [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 456
- ⁸⁴ Harla Bronisław, op. cit. s. 58
- ⁸⁵ Modelski Marian, Przyśpiewki i pieśni ludowe z okolic Pilzna, Pilzno 2004, s. 8
- ⁸⁶ Ibid. s. 9
- ⁸⁷ Maciejowski Ignacy – Sewer, Przybłądy, Warszawa 1952, s. 30

Październik

- ¹ Regner Leonard, op. cit. s. 27
- ² Jerzy, J. Fąfara, op. cit. s. 52
- ³ Bacher Aleksander, Rowerami do szkoły [w:] Bacher Aleksander, Wiersze z szuflady. Zeszyt I, op. cit. s. 24/5
- ⁴ Brzechwa Jan, Opowiedział dzięcioł sowie [w:] Urbanek Mariusz, op. cit. s. 167
- ⁵ Harla Bronisław, op. cit. s. 35
- ⁶ Kalicińska Małgorzata, op. cit. s. 38/39
- ⁷ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 58
- ⁸ Kot Wiesław, op. cit. s. 90
- ⁹ Reymont Władysław, Chłopi. Tom I, op. cit. s. 83/84
- ¹⁰ Mikołajek Tadeusz, Drwal [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 205
- ¹¹ Mikołajek Tadeusz, Sielanka [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 197
- ¹² Mikołajek Tadeusz, Pod sosną [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 233

- ¹³ Mikołajek Tadeusz, Sielanka [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 205
- ¹⁴ Nowak Tadeusz, op. cit. s. 19
- ¹⁵ Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 47
- ¹⁶ Sikoń Stanisław, Ciernista droga [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 491
- ¹⁷ Ibid. s. 491
- ¹⁸ Ibid. s. 491
- ¹⁹ Nowak Tadeusz, op. cit. s. 8
- ²⁰ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 118
- ²¹ Fąfara Jerzy, J. op. cit. s. 57/58
- ²² Mikołajek Tadeusz, Sielanka [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 180/181
- ²³ Ibid. s. 182
- ²⁴ Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 47
- ²⁵ Mikołajek Tadeusz, Żegnajcie, chłopcy [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 225
- ²⁶ Ibid. s. 335
- ²⁷ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 56
- ²⁸ Ibid. s. 67
- ²⁹ Składzień Jan, Za ciasnym wydał mi się ten zakątek. Pamiętniki [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 467/468
- ³⁰ Ibid. s. 468
- ³¹ Bojko Jakub, Okruszyny z Gręboszowa [w:] Morawczyński Marian, op. cit. s. 456
- ³² Harła Bronisław, op. cit. s. 25/26
- ³³ Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, op. cit. s. 351
- ³⁴ Chmiel Anna, op. cit. s. 256
- ³⁵ Kot Wiesław, op. cit. s. 40
- ³⁶ Harła Leopold, op. cit. s. 163
- ³⁷ Ibid. s. 163

I znów listopad...

- ¹ Przysiecka Irmina, Sieć i stan dróg państwowych i lokalnych w powiecie dębickim oraz ich wpływ na rozwój gospodarczy terenu [w:] Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Dębicy, op. cit. s. 171
- ² Lustyk Joanna, op. cit. s. 168
- ³ Myśliwski Wiesław, op. cit. s. 126

- ⁴ Przybyszewski Stanisław, op. cit. s. 129
- ⁵ Penderecki Krzysztof, op. cit. s. 18
- ⁶ Grodzieńska Stefania, Urodził go niebieski ptak [w:] Kalicka Manuela, Rembrandt, wojna i dziewczyna z kabaretu, Kraków 2008, s. 3
- ⁷ Harla Leopold, op. cit. s. 145
- ⁸ Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, op. cit. s. 60
- ⁹ Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 15
- ¹⁰ Harla Leopold, op. cit. s. 144
- ¹¹ Wspomnienia Stanisława Szerszenia z Bobrowej [w:] Wróbel Seweryn, op. cit. [brak numeracji]
- ¹² Wspomnienia łączniczki GL w Bobrowej Agaty Baran, z domu Skowron [w:] Wróbel Seweryn, op. cit. [brak numeracji]
- ¹³ Harla Leopold, op. cit. s. 145
- ¹⁴ Ibid. s. 145
- ¹⁵ Wspomnienia Bronisławy Świder, siostry Romana Bonara [w:] Wróbel Seweryn, op. cit. [brak numeracji]
- ¹⁶ Harla Leopold, op. cit. s. 144
- ¹⁷ Ibid. s. 145
- ¹⁸ Ibid. s. 145/146
- ¹⁹ Ibid. s. 146
- ²⁰ Ibid. 146
- ²¹ Ibid. s. 146/147
- ²² Ibid. s. 148
- ²³ Mikołajek Tadeusz, Tryptyk na śniegu [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 49/50/51
- ²⁴ Mikołajek Tadeusz, Tryptyk błędów [w:] Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, op. cit. s. 49/50
- ²⁵ Kozioł Urszula, op. cit. s. 331
- ²⁶ Kaczmarek Jan [w:] Richardson Monika, Lubię być Polakiem, Wrocław 2008, s. 78/79
- ²⁷ Tyrmand Mary Ellen [w:] Tuszyńska Agata, Tyrmandowie. Romans amerykański, Kraków 2012, s. 13
- ²⁸ Leddecki Józef, Pola zielone, <https://www.google.pl>.

Wybrana bibliografia

- Adamczyk-Pluta Edyta, Władza a społeczeństwo Dębicy. Powiat dębicki w latach 1944-1956, Tuchów 2015
- Bacher Aleksander, Wiersze z szuflady. Zeszyt I, Tarnów 2005
- Bacher Aleksander, Wiersze odnalezione. Zeszyt III, Tarnów 2008
- Bacher Aleksander, Wiersze okolicznościowe. Zeszyt IV, Tarnów 2010
- Bacher Aleksander, Wydarzenia. Zeszyt V, Tarnów 2011
- Brandys Marian, Między wojnami, Warszawa 1956
- Buszko Józef, Dębica. Zarys dziejów miasta i regionu, Kraków 1995
- Chmiel Anna, Suknia z zielonej portiery, Rzeszów 2009
- Darłak Antoni, Stanisław Darłak i jego Dębica, Tuchów 1999
- Dąbski Stefan, Egzekutor, Warszawa 2010
- Fedorowicz Jacek, Życie PRL, Warszawa 2011
- Harla Bronisław, Moje zapiski [zbiory prywatne], Bobrowa 1982
- Harla Leopld, Kartki z historii Bobrowej [w:] Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Dębicy. Tom II, Dębica 1971
- Kalicińska Małgorzata, Fikołki na trzepaku, Warszawa 2009
- Kindziuk Milena, Matka Świętego, Kraków 2012
- Kot Wiesław, PRL – czas nonsensu, Poznań 2007
- Kotula Franciszek, Po rzeszowskim Pogórzu błędząc, Kraków 1974
- Kozioł Urszula, Postoje pamięci, Warszawa 1964
- Kraszewski Józef, Chata za wsią, Kraków 1973
- Lazarowicz Jadwiga, Stracony dom, Kraków 2015
- Lustyk Joanna, Nad rzeką niepamięci, Warszawa 2013
- Łubieński Konstanty, Kartki z wojny, Warszawa 1976
- Mach Wilhelm, Życie duże i małe, Warszawa 1974
- Ks. Migacz Damian, ks. Kardyś Adam, Przewodnik po Parafii w Nagoszynie, Tarnów 2013
- Mikołajek Tadeusz, Ślepe gwiazdy, Wrocław 1976
- Mikołajek Tadeusz, Zamykanie koła, Wrocław 1971
- Mikołajek Tadeusz, Żarówka, Wrocław 1973
- Morawczyński Marian, Od Raby do Wisłoki – szlakami pióra, Tarnów 1995

- Myśliwski Wiesław, Ostatnie rozdanie, Kraków 2015
- Niezwyczajna historia i atrakcyjna współczesność gminy Przecław, Mielec 1998
- Nowak Paweł, Najświętsza Panna Maryja z Zawady, Dębica 2014
- Nowak Tadeusz, A jak królem, a jak katem będziesz, Warszawa 1974
- Nowakowski Ludwik, Mummi, Warszawa 2008
- Ocalić wspomnienia – zatrzymać czas, Żyraków 2012
- Ozga Karol, W cieniu Palany Gery, Dębica 2008
- Penderecki Krzysztof, Saga Pendereckich, Kraków 2003
- Pollack Martin, Cesarz Ameryki. Wielka ucieczka z Galicji, Wołowiec 2011
- Regener Leonard, Ścieżki i drożyny Paszczyzny, Dębica 2009
- Reymont Władysław, Chłopi, Warszawa 1975
- Sienkiewicz Henryk, Krzyżacy, Kraków 2007
- Socha Ireneusz, Księga Dębicy, Przemyśl 2014
- Stańko Antoni, Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów, Dębica 2004
- Stańko Antoni, Gdzie Karpat progi..., Warszawa 1984
- Strumski Władysław, Dziesiątka w akcji, Dębica 2004
- Strumski Władysław, Kosy przeciw kiścieniom, Lublin 1980
- Tarnowski Andrew, Ostatni mazur, Warszawa 2008
- Trznadel Jacek, Hańba domowa, Lublin 1990
- Twardowski Jan, który stwarzasz jagody, Kraków 1988
- Urbanek Mariusz, Brzechwa nie dla dzieci, Warszawa 2013
- Wędrówki po gminie Żyraków, Dębica 2008
- Wiktor Jan, Orka na ugorze, Lwów 1936
- Wróbel Seweryn, Wspomnienia z lat walki i cierpień, Pustków-Rudki 1990
[maszynopis]

Podziękowania

Wydanie książki nie jest możliwe bez finansowych nakładów, pomocy, życzliwości i serdecznego wsparcia wielu ludzi. Tak też było w moim przypadku. Pewnie ta opowieść tkwiłaby na zawsze uwieczniona w przepaściach komputera, gdyby nie inicjatywa Dyrektora I Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy im. Władysława Jagiełły – mojego Kolegi Leszka Klabachy, Jego zachęta, osobiste zaangażowanie i nieoceniona pomoc w długim procesie przygotowywania książki do druku.

Wyrazy wielkiej wdzięczności kieruję do Księdza Doktora Habilitowanego Kazimierza Talarka – Proboszcza Parafii w Nagoszynie za wspaniałomyślne poświęcenie swego czasu na przeczytanie mojej opowieści, za bezinteresowną, profesjonalną, wnikliwą recenzję, uwzględniającą wszystkie zalety i błędy tekstu, za wielką życzliwość, wiele dobrych słów i za wszelką pomoc.

Dziękuję za życzliwe komentarze: Redaktorowi „Ziemi Ropczyckiej” – Panu Profesorowi Doktorowi Habilitowanemu Władysławowi Tabaszowi, Dyrektorowi Muzeum Regionalnego w Dębicy – Panu Jackowi Dymitrowskiemu oraz mojej nieocenionej Koleżance, a zarazem skrupulatnej korektorze książki – Dorotce Stępień, nauczycielce I Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława Jagiełły w Dębicy za serdeczność, ofiarowany mi czas oraz piękną prezentację fragmentu książki na spotkaniu nauczycieli-emerytów.

Dziękuję Redaktorowi „Obserwatora Lokalnego” – Panu Januszowi Grajcarowi za informację o moich planach wydania książki o „małej ojczyźnie”, zamieszczoną na łamach gazety.

Jestem wdzięczna Pani Prezes Zarządu Związku Nauczycielstwa Polskiego w Dębicy, nauczycielce I Liceum Ogólnokształcącego i mojej Koleżance – Marysi Grek za zorganizowanie spotkania nauczycieli-emerytów, na którym zostały przedstawione fragmenty „Pól zielonych...” oraz za wyrazy wsparcia i za wzruszenie. Fragmenty książki czytali uczniowie przygotowani przez polonistkę I LO, a zarazem moją Koleżankę – Kasię Zalewską, której również serdecznie dziękuję.

Bardzo dziękuję Koleżance Basi Bonarek za udostępnienie mi „Wspomnień z lat wojny i cierpienia” opracowanych przez Seweryna Wróbla, a zawierających cenne relacje bezpośrednich świadków bobrowskiej pacyfikacji i innych wojennych wydarzeń, a także jej córce, a zarazem mojej uczennicy i Koleżance – Marcie Socha za przygotowanie prezentacji fragmentów mojej książki w czasie uroczystości Dnia Edukacji Narodowej w dębickim I LO.

Pragnę również wyrazić wdzięczność tym wszystkim, którzy ochotnie służyli mi różnymi ciekawostkami, wiadomościami, wspomnieniami czy zdjęciami, które wykorzystałam w tej opowieści, a zwłaszcza Pani Lidii Szczygieł za udostępnienie mi pamiętnika swego dziadka Bronisława Harli, Dyrekcji i Gronu Nauczycielskiemu w Bobrowej, a szczególnie nauczycielce – Pani Barbarze Kula, Radnej Rady Gminy Żyraków – Pani Zuzannie Janora, Paniom: Michalinie Marzec, Annie Szczygieł, Jasi Janora i Marysi Ostrowskiej, a także moim bobrowskim Koleżankom: Łodzi Osuch [Ćwik] i Zosi Szczepanik [Skrzypek] za wyszukiwanie i dostarczanie mi potrzebnych materiałów.

Wyrazy podziękowania kieruję również do tych, którzy wykonali dla mnie lub udostępnili zdjęcia do zamieszczenia w książce. Byli to: moja wujanka Irena Bacher, kuzynka Renia Moraniec, Radny Powiatu Dębica – kuzyn Paweł Jarosz, Kolega geograf z mojego liceum – Tomasz Kozioł, Pani Janina Kowal, Pani Elżbieta Dudek oraz Dyrektorka szkół w Chotowej i Dobrkowie – Zosia Szczepanik.

Wiele serdecznych podziękowań kieruję do mojego wujka Aleksandra Bachera, którego wspomnienia – a zwłaszcza wiersze – bardzo wzbogaciły moją książkę, tak jak i barwne bobrowskie anegdoty opowiadane przez mojego szwagra – Staszka Szczygła.

Bardzo dziękuję darczyńcom, którzy z życzliwością ofiarowali pieniądze, umożliwiające wydanie książki: Fundacji „Twoja Szansa” działającej przy Fabryce Farb i Lakierów „Śnieżka”, a zwłaszcza Pani Annie Mikrut, Staroście Powiatu Dębickiego – Panu Andrzejowi Regule, Wicestarście – Panu Mateuszowi Paskowi, Wójtowi Gminy Żyraków – Panu Markowi Rączce, Prezesowi Banku Spółdzielczego w Żyrakowie – Pani Danucie Klabasze, a także tym, którzy pomogli mi w znalezieniu sponsorów: mojemu profesorowi i Koledze, Panu Andrzejowi Molowi – nauczycielowi I LO, Dyrektorowi I Liceum – Panu Leszkowi Klabasze, Przewodniczącej Rady Gminy Żyraków – Pani Marii Bodzioch i Pani Zofii Szczepanik.

Na koniec bardzo serdecznie pragnę podziękować mojej rodzinie: siostrze Marysi i Krysi za wspomnienia, zięciowi Marcinowi za pomoc w sprawach technicznych, moim dzieciom i wnuczkom za wsparcie oraz mężowi Zbyszkowi – za wszystko.

Spis fotografii

1. Tadeusz Mikołajek – „dzięki temu pisarzowi Bobrowa trafiła na karty literatury” [reprodukcja z książki M. Morawczyńskiego „Od Raby do Wiśłoki – szlakami pióra” s. 507]
2. Ksiądz proboszcz Fijał – „odważny, bezkompromisowy, strzegący wiary, moralności kapłan, zatroskany o swych wiernych i losy ojczyzny” [reprodukcja z książki ks. D. Migacza i ks. A. Kardysia „Przewodnik po Parafii w Nagoszynie” s. 80]
3. Bronisław Harla – bobrowianin; „zapisał się w historii wsi złotymi zgłoskami” [fotografia ze zbiorów Ireny Bacher]
4. Aleksander Bacher – bobrowianin: „jego karierze zawodowej towarzyszy pasja społecznikowska oraz amatorska twórczość poetycka; w wierszach wyraża swe przywiązanie i tęsknotę do rodzinnej wioski” [fotografia ze zbiorów autorki]
5. „Palmowa niedziela dla nas była zapowiedzią już najprawdziwszej wiosny” [fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]
6. „Zobaczyć na wiosnę żrebaka wcześniej niż jakiś nowo wykłuty drób, to była wspaniała wróżba na cały rok” [fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]
7. „Tamto lato 1939 roku nie różniło się szczególnie od innych. Nasi rodzice mieli po około 20 lat, a w młodych głowach wiele marzeń i planów” [fotografia ze zbiorów autorki]
8. „Jakże pięknym i bezpiecznym wydawał się nam, dzieciom świat!” [fotografia ze zbiorów autorki]
9. „Opieka nad maluchami przypadała starszemu rodzeństwu” [fotografia ze zbiorów autorki]
10. „Kobiety z wioski mojego dzieciństwa starały się wyglądać pięknie” – lata 30-te [fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]

11. „W niedzielę drogą spacerowały panny” – lata 30-te [fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]
12. „Wiejska dziewczyna w tym wiejskim stroju najładniej wygląda w świecie” – dożynki 1955 [fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]
13. „A on do wojska był przynależniony” – lata 50-te [fotografia ze zbiorów autorki]
14. „Chłopaki z wioski mojego dzieciństwa” [fotografia ze zbiorów autorki]
15. „Gospodynie wiejskie miały ręce pełne roboty w domu i w zagrodzie” [fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]
16. „Kopanie ziemniaków – wówczas – motykami, sprawiało, że dłonie kwitły pęcherzami” [fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]
17. „Nowy, duży, murowany kościół pod wezwaniem świętego Antoniego z Padwy został konsekrowany 19 lipca 1925 r.” [fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]
18. „Całe rodziny brały udział w życiu Kościoła”; uroczystość religijna – 1938 rok [fotografia ze zbiorów autorki]
19. „Członkowie bobrowskiego chóru” – 1953 rok; w pierwszym rzędzie stoją od lewej: Walenty Wolak, Stanisław Skrzypek, Stanisław Jarosz [kierownik chóru], Kazimierz Łączak, osoba nierozpoznana, Bronisław Harla, Jan Sojka, Stanisław Kolbusz, Jan Osak. W drugim rzędzie pierwszy z lewej – Leonard Kolbusz; [fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]
20. „Koło Gospodyń Wiejskich” w Bobrowej – 1933 rok; wśród członkiń w pierwszym rzędzie od lewej: Julia Piekos, Aniela Bonarek, osoba nierozpoznana, Klara Sehn, Maria Borkowska [przewodnicząca koła], Zofia Pytko, Zofia Ciukaj, Anna Zięba. Stoją od lewej: osoba nierozpoznana, osoba nierozpoznana, Maria Wójcik, Katarzyna Gil, osoba nierozpoznana, Piotr Ortyński – kierownik szkoły w Bobrowej, osoba nierozpoznana, Zofia Lipa, Maria Kmiecik, Magda Bielawa, Maria Łączak, Józefa Bacher, Julia Skowron [fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]
21. „W niedzielę paradowaliśmy w odświętnych ubraniach” – [fotografia ze zbiorów autorki]
22. „Wysoko w niebo niosły się pobożne śpiewy uczestników procesji” [fotografia ze zbiorów autorki]
23. „Rzędy dziewczynek w białych wiankach na głowie”, chłopcy obcięci „do grzywki” – Boże Ciało; w pierwszym rzędzie siedzą: proboszcz ks. Józef Fijał i katecheta ks. Józef Majchrowicz [fotografia ze zbiorów autorki]

24. „Siostry „tercyjanki” starannie ustawiały nas do takich pamiątkowych zdjęć” – na pierwszym planie ks. Józef Majchrowicz [fotografia ze zbiorów autorki]
25. „Każda dziewczynka miała wianek na głowie, a w ręce lilijkę świętego Józefa” – Pierwsza Komunia Święta [fotografia ze zbiorów Stefanii Dumi]
26. „Chłopcy występowali w białych koszulach z kołnierzykiem wyłożonym na ciemne, najczęściej czarne ubrania; zamiast lilijek nieśli świece” – Pierwsza Komunia Święta [fotografia ze zbiorów Stefanii Dumi]
27. „Pierwsze po wojnie wydanie dzieł Mickiewicza” – strona tytułowa [fotografia autorki]
28. „Musiał zwiedzić kilka krajów, bo Franz Joseph zrobił wojnę”; bobrowianin Jan Skóra w wojsku austriackim [fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]
29. Legitymacja inwalidzka dziadka Michała: „powrócił z wojny z jedną nogą krótszą” [fotografia ze zbiorów autorki]
30. „Musieli opuszczać gospodarstwa i iść do wojska”; bobrowianin Walenty Wolak w 1932 roku jako strzelec w pułku ułanów [fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]
31. Gospodarze z Bobrowej „w czasie pobytu na uroczystościach pogrzebowych Józefa Piłsudskiego” w Krakowie [fotografia ze zbiorów Stanisława Szczygła]
32. „W 1910 roku wzniesiono nowy, murowany budynek szkoły” – uroczystość poświęcenia szkoły; w środku kierownik – Zygmunt Babczyn [fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]
33. „Szkołę bardzo lubiliśmy” – przed budynkiem „starej” szkoły siedzą nauczyciele: Zdzisław Białorucki, kierownik szkoły Bronisław Zieliński, jego żona Joanna Zielińska, Irena Buch [fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]
34. „W latach 50-tych kierownikiem szkoły był Bronisław Zieliński”; tu z żoną Joanną i nauczycielką Ireną Buch [fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]
35. „W czasie uczęszczania na „Zenówkę” byliśmy zgraną, fajną grupą dzieciaków” – w środku stoi kierownik szkoły Bronisław Zieliński, siedzą nauczycielki: Irena Buch i Władysława Pietras [fotografia ze zbiorów autorki]
36. Szkoła zawodowa w Dębicy lata 30-te; „Żydówki przyjaźniły się z dziewczętami z polskich rodzin” [fotografia ze zbiorów autorki]
37. „Wesele – to była radość!” [fotografia ze zbiorów Renaty Moraniec]

38. „Drużki chciały wyglądać jak najpiękniej, przygotowywały też bukiety dla swych swatów” [fotografia ze zbiorów autorki]
39. „Panna Młoda – jak to dziewczyna – chciała być w tym dniu najpiękniejsza” [fotografia ze zbiorów Stefanii Dumy]
40. „Panna Młoda powinna wyglądać skromnie i niewinnie” – bobrowskie wesele; rok 1944 [fotografia ze zbiorów autorki]
41. „Na początku ślubnego orszaku jechała para Młodych” – „konie pięknie wyczyszczone, że ich sierść aż lśniła” [fotografia ze zbiorów Stefanii Dumy]
42. „Orkiestra odgrywała każdej rodzinie dziarskie marsze” [fotografia ze zbiorów autorki]
43. „W wiosce mojego dzieciństwa przez wiele lat działała kapela „Jarosów” – rok 1941 [fotografia ze zbiorów autorki]
44. „Plon niesiemy plon, w Gospodarza dom” – borowskie dożynki [fotografia ze zbiorów autorki]
45. „Instruktorem młodych artystów był m.in. Aleksander Bacher” [fotografia ze zbiorów autorki]
46. „Na dożynkach występowano czasem w strojach wypożyczonych z dębickiego Domu Kultury” [fotografia ze zbiorów autorki]
47. „Zachowało się też rodzinne zdjęcie moich dziadków” [fotografia ze zbiorów autorki]
48. „Stare fotografie mają jakąś magię i nostalgiczny urok” [fotografia ze zbiorów Ireny Bacher]
49. Mikołajek wspominał nie istniejące już domostwo dziadków „w zaułku położonym w centrum wsi, tuż obok ludowca”: „Na obejściu leżał cień budynków i dębu” – wygląd obecny [autor fotografii – Paweł Jarosz]
50. Staw obok „Zenówki” – „rzęsa ze wszech stron otaczała maleńki szlachełek wody” – wygląd obecny [fotografia ze zbiorów autorki]
51. Staw obok „Zenówki” – „Woda była czysta. Pojono nią krowy, pławiono w niej konie, myto dzieciom głowy” [dowcipny rysunkowy komentarz autorstwa Stanisława Sumary do „Wspomnień z dzieciństwa” Aleksandra Bachera s. 11]
52. „Królowała zima. Biel śnieżnego puchu znaczona była tropami ptaków i zajęcy” [autor fotografii – Paweł Jarosz]

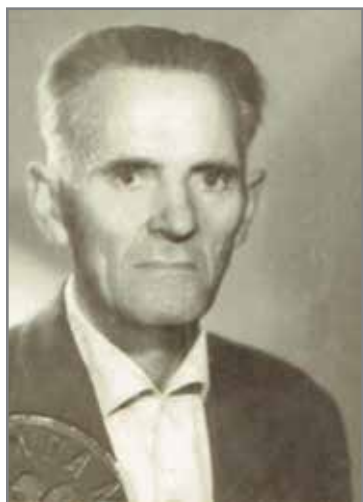
53. „Kochaliśmy śliczne, czerwone maki, ale moja ziemia to ziemia modrych bławatków” [fotografia autorstwa Zuzi Greckiej na konkurs „Przyroda Powiatu Dębickiego – 2016]
54. „Pełna urokliwych zakrętów i mielizn rzeczka” – wygląd dzisiejszy [fotografia ze zbiorów autorki]
55. „Olszyny były ulubionym miejscem wypraw dziecięcych” [autor fotografii – Paweł Jarosz]
56. „Wisłoka – oglądana z wysokiego brzegu wyglądała tajemniczo, groźnie, ale pięknie” [fotografia ze zbiorów Tomasza Koziola]
57. „Wkrótce po wojnie zaczęły powstawać nowe, ładne, funkcjonalne domy. Również nasz” – wygląd obecny [fotografia ze zbiorów autorki]
58. „Kościół, zawsze otwarty, był dla nas wszystkim strażnikiem wiary, ostoją tradycji i mecenasem kultury” [reprodukcja z książki ks. D. Migacza i ks. A. Kardysia „Przewodnik po Parafii w Nagoszynie” s. 4]
59. „Krzyż na granicy Bobrowej i Nagoszyna był swoistym drogowskazem wyznaczającym połowę drogi do kościoła” [reprodukcja z książki ks. D. Migacza i ks. A. Kardysia „Przewodnik po Parafii w Nagoszynie” s. 112]
60. „Wciąż trwał zwyczaj jeżdżenia na odpust do Przecławia”; kościół pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny Wniebowziętej w Przecławiu [reprodukcja z książki „Niezwykła historia i atrakcyjna współczesność Gminy Przecław s. 42]
61. „Książeczka „Kwiat Eucharystyczny” – wydana 25 sierpnia 1939 roku” i różaniec z kłokoczki [autorka fotografii – Zuzia Grecka]
62. „Kapliczka Pode Dworem – ta była jakby ważniejsza” [fotografia ze zbiorów autorki]
63. „Cmentarz choleryczny w Bobrowej, na którym pochowano 54 zmarłych na cholere, zachował się do dziś” – wygląd obecny [fotografia ze zbiorów autorki]
64. „Ludowiec zbudowano przed wojną z inicjatywy młodzieży bobrowskiej” [rysunek zamieszczony w książce A. Bachera „Wspomnienia z dzieciństwa”]
65. „Długi parterowy budynek; kiedyś dworskiej resztówki” czyli „Zenówka” – wygląd obecny [fotografia ze zbiorów Tomasza Koziola]
66. „Kilka kukiełek z szopki przetrwało, by świadczyć, że czas nie unicestwia wszystkiego” [autorka fotografii – Renata Moraniec]

Fotografie



1. Tadeusz Mikołajek
– „dzięki temu pisarzowi
Bobrowa trafiła na
karty literatury”
[reprodukcja z książki
M. Morawczyńskiego
„Od Raby do Wisłoki
– szlakami pióra” s. 507]

2. Ksiądz proboszcz Fijał – „odważny,
bezkompromisowy, strzegący wiary, moralności
kapłan, zatroskany o swych wiernych i losy
ojczyzny” [reprodukcja z książki ks. D. Migacza
i ks. A. Kardysia „Przewodnik po Parafii
w Nagoszynie” s. 80]



3. Bronisław Harla
– bobrowianin; „zapisał
się w historii wsi złotymi
zgłoskami” [fotografia ze
zbiorów Ireny Bacher]



4. Aleksander Bacher
– bobrowianin: „jego karierze zawodowej towarzyszy pasja społecznikowska oraz amatorska twórczość poetycka; w wierszach wyraża swe przywiązanie i tęsknotę do rodzinnej wioski”
[fotografia ze zbiorów autorki]



5. „Palmowa niedziela dla nas była zapowiedzią już najprawdziwszej wiosny” [fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]



6. „Zobaczyć na wiosnę żrebaka wcześniej niż jakiś nowo wykłuty drób, to była wspaniała wróżba na cały rok”
[fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]



7. „Tamto lato 1939 roku nie różniło się szczególnie od innych. Nasi rodzice mieli po około 20 lat, a w młodych głowach wiele marzeń i planów”
[fotografia ze zbiorów autorki]



8. „Jakże pięknym i bezpiecznym wydawał się nam, dzieciom świat!”
[fotografia ze zbiorów autorki]



9. „Opieka nad maluchami przypadała starszemu rodzeństwu”
[fotografia ze zbiorów autorki]



10. „Kobiety z wioski mojego dzieciństwa starały się wyglądać pięknie” – lata 30-te
[fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]



11. „W niedzielę drogą spacerowały panny”
– lata 30-te [fotografia ze zbiorów
Zofii Szczepanik]



12. „Wiejska dziewczyna w tym wiejskim stroju
najładniej wygląda w świecie” – dożynki 1955
[fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]



14. „Chłopaki z wioski mojego dzieciństwa”
[fotografia ze zbiorów autorki]



13. „A on do wojska był
przynależniony” – lata 50-te
[fotografia ze zbiorów autorki]



15. „Gospodynie wiejskie miały ręce pełne roboty w domu i w zagrodzie”
[fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]



16. „Kopanie ziemniaków – wówczas – motykami, sprawiało, że dłonie kwitły pęcherzami”
[fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]



17. „Nowy, duży, murowany kościół pod wezwaniem świętego Antoniego z Padwy został konsekrowany 19 lipca 1925 r.” [fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]



18. „Całe rodziny brały udział w życiu Kościoła”; uroczystość religijna – 1938 rok [fotografia ze zbiorów autorki]



19. „Członkowie bobrowskiego chóru” – 1953 rok; w pierwszym rzędzie stoją od lewej: Walenty Wolak, Stanisław Skrzypek, Stanisław Jarosz [kierownik chóru], Kazimierz Łączak, osoba nierozpoznana, Bronisław Harla, Jan Sojka, Stanisław Kolbusz, Jan Osak. W drugim rzędzie pierwszy z lewej – Leonard Kolbusz; [fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]



20. „Koło Gospodyń Wiejskich” w Bobrowej – 1933 rok; wśród członkiń w pierwszym rzędzie od lewej: Julia Piekos, Aniela Bonarek, osoba nierozpoznana, Klara Sehn, Maria Borkowska [przewodnicząca koła], Zofia Pytko, Zofia Ciukaj, Anna Zięba. Stoją od lewej: osoba nierozpoznana, osoba nierozpoznana, Maria Wójcik, Katarzyna Gil, osoba nierozpoznana, Piotr Ortyński – kierownik szkoły w Bobrowej, osoba nierozpoznana, Zofia Lipa, Maria Kmiecik, Magda Bielawa, Maria Łączak, Józefa Bacher, Julia Skowron [fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]

21. „W niedzielę paradowaliśmy
w odświętnych ubraniach” –
[fotografia ze zbiorów autorki]



22. „Wysoko w niebo niosły się pobożne śpiewy uczestników procesji”
[fotografia ze zbiorów autorki]



23. „Rzędy dziewczynek w białych wiankach na głowie”, chłopcy obcięci „do grzywki” – Boże Ciało; w pierwszym rzędzie siedzą: proboszcz ks. Józef Fijał i katecheta ks. Józef Majchrowicz [fotografia ze zbiorów autorki]



24. „Siostry „tercyjanki” starannie ustawiały nas do takich pamiątkowych zdjęć” – na pierwszym planie ks. Józef Majchrowicz [fotografia ze zbiorów autorki]

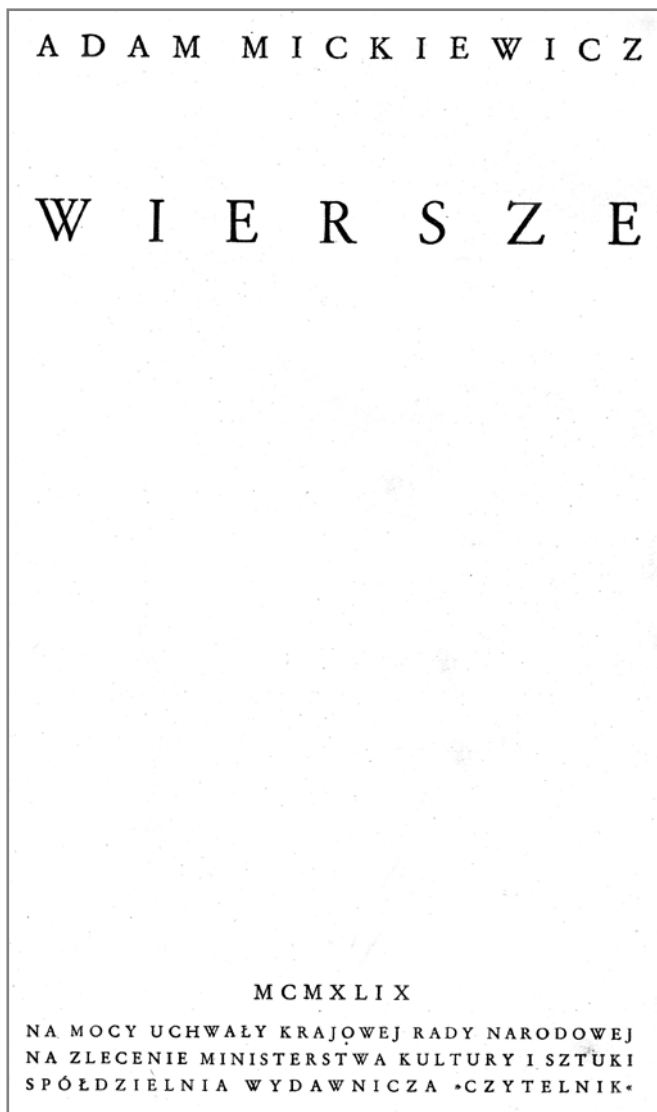


25. „Każda dziewczynka miała wianek na głowie, a w ręce lilijkę świętego Józefa” – Pierwsza Komunia Święta [fotografia ze zbiorów Stefanii Dumy]

26. „Chłopcy występowali w białych koszulkach z kołnierzykiem wyłożonym na ciemne, najczęściej czarne ubrania; zamiast lilijek nieśli świece” – Pierwsza Komunia Święta [fotografia ze zbiorów Stefanii Dumy]



27. „Pierwsze po wojnie
wydanie dzieł Mickiewicza”
– strona tytułowa
[fotografia autorki]



28. „Musiał zwiedzić kilka krajów, bo Franz Joseph
zrobił wojnę”; bobrowianin Jan Skóra w wojsku
austriackim [fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]



29. Legitymacja inwalidzka dziadka Michała: „powrócił z wojny z jedną nogą krótszą”
[fotografia ze zbiorów autorki]

30. „Musieli opuszczać gospodarstwa i iść do wojska”; bobrowianin Walenty Wolak w 1932 roku jako strzelec w pułku ułanów
[fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]



31. Gospodarze
z Bobrowej „w czasie
pobytu na uroczystościach
pogrzebowych Józefa
Piłsudskiego” w Krakowie
[fotografia ze zbiorów
Stanisława Szczygła]



32. „W 1910 roku wzniesiono nowy, murowany budynek szkoły” – uroczystość poświęcenia
szkoły; w środku kierownik – Zygmunt Babczyn [fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]



33. „Szkółę bardzo lubiliśmy” – przed budynkiem „starej” szkoły siedzą nauczyciele: Zdzisław Białorucki, kierownik szkoły Bronisław Zieliński, jego żona Joanna Zielińska, Irena Buch [fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]

34. „W latach 50-tych kierownikiem szkoły był Bronisław Zieliński”; tu z żoną Joanną i nauczycielką Ireną Buch [fotografia ze zbiorów Zofii Szczepanik]



35. „W czasie uczęszczania na „Zenówkę” byliśmy zgraną, fajną grupą dzieciaków” – w środku stoi kierownik szkoły Bronisław Zieliński, siedzą nauczycielki: Irena Buch i Władysława Pietras [fotografia ze zbiorów autorki]



36. Szkoła zawodowa w Dębicy lata 30-te; „Żydówki przyjaźniły się z dziewczętami z polskich rodzin” [fotografia ze zbiorów autorki]



37. „Wesele – to była radość!” [fotografia ze zbiorów Renaty Moraniec]

38. „Drużki chciały wyglądać jak
najpiękniej, przygotowywały
też bukiety dla swych swatów”
[fotografia ze zbiorów autorki]



39. „Panna Młoda – jak to dziewczyna
– chciała być w tym dniu najpiękniejsza”
[fotografia ze zbiorów Stefanii Dumy]



40. „Panna Młoda powinna wyglądać skromnie i niewinnie” – bobrowskie wesele; rok 1944
[fotografia ze zbiorów autorki]



41. „Na początku ślubnego orszaku jechała para Młodych” – „konie pięknie wyczyszczone, że ich sierść aż lśniła” [fotografia ze zbiorów Stefanii Dumi]



42. „Orkiestra odgrywała każdej rodzinie dziarskie marsze” [fotografia ze zbiorów autorki]

43. „W wiosce mojego dzieciństwa przez wiele lat działała kapela „Jarosów” – rok 1941 [fotografia ze zbiorów autorki]



44. „Plon niesiemy plon, w Gospodarza dom” – borowskie dożynki [fotografia ze zbiorów autorki]



45. „Instruktorem młodych artystów był m.in. Aleksander Bacher”
[fotografia ze zbiorów autorki]



46. „Na dożynkach występowano czasem w strojach
wypożyczonych z dębickiego Domu Kultury”
[fotografia ze zbiorów autorki]

47. „Zachowało się też rodzinne
zdjęcie moich dziadków”
[fotografia ze zbiorów autorki]



48. „Stare fotografie mają
jakąś magię i nostalgiczny
urok” [fotografia ze zbiorów
Ireny Bacher]

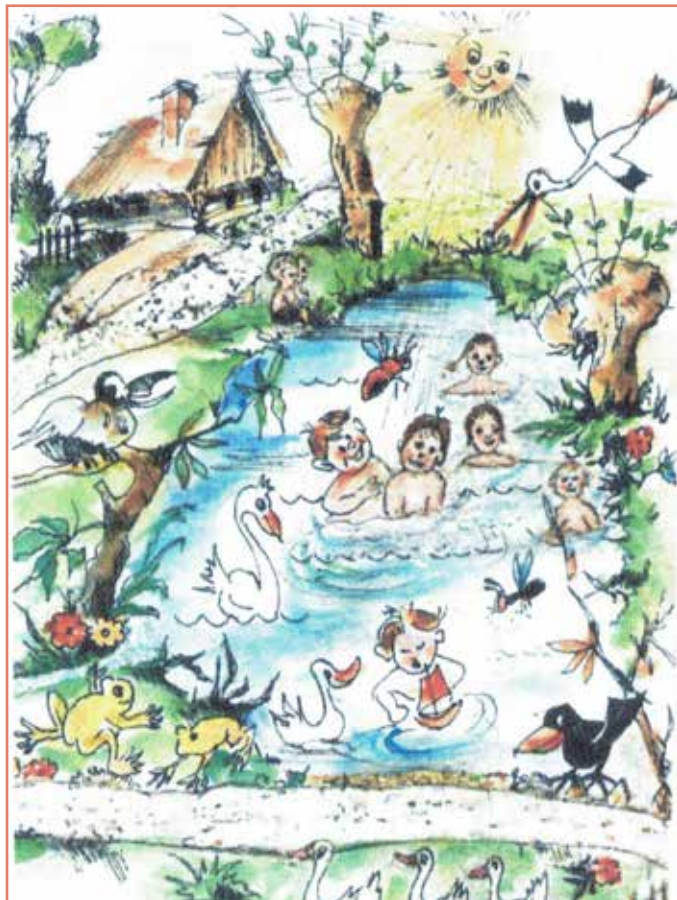


49. Mikołajek wspominał nie istniejące już domostwo dziadków „w zaułku położonym w centrum wsi, tuż obok ludowca”: „Na obejściu leżał cień budynków i dębu” – wygląd obecny [autor fotografii – Paweł Jarosz]



50. Staw obok „Zenówki” – „rzęsa ze wszystkich stron otaczała maleńki szlachetek wody” – wygląd obecny [fotografia ze zbiorów autorki]

51. Staw obok „Zenówki”
 – „Woda była czysta. Pojono nią
 krowy, pławiono w niej konie,
 myto dzieciom głowy”
 [dowcipny rysunkowy
 komentarz autorstwa
 Stanisława Sumary do
 „Wspomnień z dzieciństwa”
 Aleksandra Bachera s. 11]



52. „Królowała zima. Biel śnieżnego puchu znaczone była tropami ptaków i zajęcy”
 [autor fotografii – Paweł Jarosz]



53. „Kochaliśmy śliczne, czerwone maki, ale moja ziemia to ziemia modrych bławatków”
[fotografia autorstwa Zuzi Greckiej na konkurs „Przyroda Powiatu Dębickiego – 2016”]



54. „Pełna urokliwych zakrętów i mielizn rzeczka” – wygląd dzisiejszy
[fotografia ze zbiorów autorki]



55. „Olszyny były ulubionym miejscem wypraw dziecięcych” [autor fotografii – Paweł Jarosz]



56. „Wisłoka – oglądana z wysokiego brzegu wyglądała tajemniczo, groźnie, ale pięknie”
[fotografia ze zbiorów Tomasza Koziola]



57. „Wkrótce po wojnie zaczęły powstawać nowe, ładne, funkcjonalne domy. Również nasz”
– wygląd obecny [fotografia ze zbiorów autorki]



58. „Kościół, zawsze otwarty, był dla nas wszystkim strażnikiem wiary, ostoją tradycji
i mecenasem kultury” [reprodukcja z książki ks. D. Migacza i ks. A. Kardysia
„Przewodnik po Parafii w Nagoszynie” s. 4]

59. „Krzyż na granicy Bobrowej i Nagoszyna
był swoistym drogowskazem wyznaczającym
połowę drogi do kościoła” [reprodukcja z książki
ks. D. Migacza i ks. A. Kardysia
„Przewodnik po Parafii w Nagoszynie” s. 112]



60. „Wciąż trwał zwyczaj
jeżdżenia na odpust do
Przeclawia”; kościół pod
wezwaniem Najświętszej
Marii Panny Wniebowziętej
w Przeclawiu [reprodukcja
z książki „Niezwykła
historia i atrakcyjna
współczesność Gminy
Przeclaw s. 42]



61. „Książeczka
„Kwiat Eucharystyczny” –
wydana 25 sierpnia 1939 roku”
i różaniec z kłokoczki
[autorka fotografii – Zuzia Grecka]



62. „Kapliczka Pode Dworem – ta była jakby ważniejsza” [fotografia ze zbiorów autorki]



63. „Cmentarz choleryczny w Bobrowej, na którym pochowano 54 zmarłych na cholere, zachował się do dziś” – wygląd obecny [fotografia ze zbiorów autorki]

64. „Ludowiec zbudowano przed wojną z inicjatywy młodzieży bobrowskiej”
[rysunek zamieszczony w książce A. Bachera „Wspomnienia z dzieciństwa”]





65. „Długi parterowy budynek; kiedyś dworskiej resztówki” czyli „Zenówka” –
wygląd obecny [fotografia ze zbiorów Tomasza Koziola]



66. „Kilka kukiełek z szopki przetrwało, by świadczyć, że czas nie unicestwia wszystkiego”
[autorka fotografii – Renata Moraniec]

Patronat i Sponsorzy



Fundacja Śnieżki

Twoja Szansa





Powiat Dębicki



Gmina Żyraków



Bank Spółdzielczy
w Żyrakowie